

C.S. LEWIS

**LEW, CZAROWNICA I STARA
SZAFA**

Przełożył Andrzej Polkowski

DO LUCY BARFIELD

Moja Droga Lucy,

Napisałem tę opowieść dla ciebie, ale kiedy zaczynałem ją pisać, nie zdawałem sobie sprawy, że dziewczynki rosną szybciej niż książki. W rezultacie jesteś już za stara na bajki, a kiedy tę książkę wydrukują i oprawią, będziesz jeszcze starsza. Pewnego dnia będziesz jednak dostatecznie stara, aby znowu do bajek wrócić. Możesz wtedy zdjąć tę książkę z jakiejś wysokiej polki, odkurzyć i powiedzieć mi, co o niej myślisz. Prawdopodobnie będę wtedy tak głuchy, że nie będę nic słyszał, i tak stary, że nie będę niczego rozumiał, ale na pewno będę wciąż twoim kochającym cię ojcem chrzestnym,

CS LEWIS

ROZDZIAŁ 1

ŁUCJA ZAGLĄDA DO SZAFY

BYŁO RAZ CZWORO DZIECI: Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja. Opowiem wam o tym, co im się przydarzyło. Podczas wojny wysłano je z Londynu na wieś, aby były bezpieczne w okresie bombowych nalotów na miasto. Zamieszkały w domu pewnego starego Profesora, który żył w głębi kraju, na wsi, dziesięć mil od najbliższej stacji kolejowej i dwie mile od najbliższej poczty. Profesor nie miał żony i mieszkał w wielkim starym domu, ze swoją gospodynią, panią Macready, i jej trzema pomocnicami. (Jeżeli już chcecie wiedzieć, to nazywały się Ivy, Margaret i Betty, ale w tej historii nie odegrały większej roli.) Profesor był bardzo stary i miał krzaczastą, białą brodę, która łączyła się z równie siwą czupryną, a rosła tak gęsto i obficie, że na twarzy pozostawało już niewiele wolnego miejsca. Dzieci szybko go polubiły, choć przy pierwszym spotkaniu w drzwiach starego domu wydał im się postacią tak bardzo dziwną, że Łucja (która była najmłodsza) trochę się go przestraszyła, a Edmund (który był następny w kolejności wieku) o mało nie wybuchnął śmiechem; uratowała go chusteczka, w której ukrył twarz udając, że wyciera nos.

Pierwszego wieczora, kiedy dzieci powiedziały już Profesorowi dobranoc, pobiegły na górę do swoich sypialni. Tyle było jednak spraw do omówienia, że przed położeniem się do łóżek chłopcy przyszli do pokoju dziewczynek na krótką naradę.

- No, to się nam udało, nie ma co - powiedział Piotr. - Założę się, że tu będzie fantastycznie. Ten stary pozwoli na wszystko, co tylko nam przyjdzie do głowy.

- Uważam, że to strasznie miły staruszek - powiedziała Zuzanna.

- Och, dajcie spokój - przerwał im Edmund, który był już zmęczony, a pragnął sprawiać wrażenie nie zmęczonego, co zawsze wprawiało go w zły humor. - Przestańcie tak gadać.

- To znaczy jak gadać? - spytała Zuzanna. - A w ogóle powinieneś już leżeć w łóżku.

- Próbujesz przemawiać jak mama - powiedział Edmund. - A kim ty właściwie jesteś, że mówisz mi, kiedy mam iść do łóżka? Sama sobie idź do łóżka.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli wszyscy pójdziemy już spać - wtrąciła się Łucja. - Jak usłyszą, że jeszcze rozmawiamy, będzie awantura.

- Nie będzie żadnej awantury - powiedział Piotr. - Mówię wam, że to taki dom, w którym nikt nie będzie sobie specjalnie zawracał głowy tym, co robimy. A zresztą i tak nas nie usłyszą. Z jadalni idzie się tu prawie dziesięć minut przez te wszystkie

korytarze i schody.

- Co to za dziwny odgłos?! - spytała nagle

Łucja. Nigdy jeszcze nie była w tak dużym domu i na samą myśl o tych wszystkich długich korytarzach, z rzędami drzwi wiodących do pustych pokojów, ciarki przebiegły jej po plecach.

- To tylko jakiś ptak, głuptasie - powiedział Edmund.

- To sowa - powiedział Piotr. - Wygląda mi na to, że trafiliśmy do prawdziwego raju dla ptaków. Jeśli chodzi o mnie, to idę do łóżka, a wam radzę zrobić to samo. Od jutra rozpoczynamy badanie okolicy. W takim miejscu można znaleźć rzeczy, o jakich wam się nie śniło. Widzieliście te góry w pobliżu? A te lasy? Tu mogą być orły. Mogą być jelenie. I jastrzębie.

- Borsuki! - dodała Łucja.

- Lisy! - dodał Edmund.

- Króliki! - dodała Zuzanna. ;

Ale następnego ranka obudziło ich monotonne bębnienie deszczu, tak gęstego, że przez okno nie było widać ani gór, ani lasów, ani nawet strumyka płynącego przez ogród.

- Oczywiście MUSI padać! - stwierdził Edmund. Właśnie skończyli śniadanie z Profesorem i byli już na górze, w pokoju, który im przydzielono. Był to długi, niski pokój z dwoma oknami wychodzącymi na dwie różne strony świata.

- Och, Edziu, proszę cię, przestań narzekać - powiedziała Zuzanna. - Stawiam dziesięć do jednego, że przejaśni się w ciągu godziny. Tymczasem nie jest tak źle. Mamy radio i mnóstwo książek.

- Jeżeli chodzi o mnie, to na razie nie skorzystam - wtrącił Piotr. - Zamierzam najpierw dokładnie zwiedzić ten dom.

Wszyscy chętnie na to przystali i tak zaczęły się ich przygody. Dom był pełen zakamarków i niespodzianek, wielki, z rodzaju tych wielkich domów, co to zdają się nigdy nie mieć końca. Jak można było się spodziewać kilkoro pierwszych drzwi, które otworzyli, wiodło do pustych sypialni, wkrótce jednak doszli do bardzo długiego pokoju pełnego obrazów na ścianach; odkryli tu kompletną starą zbroję. Dalej był pokój obity zieloną tkaniną, ze stojącą w rogu harfą, następnie przejście prowadzące trzy stopnie w dół, a potem pięć stopni w górę, za nim niewielka komnata z drzwiami na balkon, a dalej cały szereg połączonych ze sobą pomieszczeń z półkami pełnymi książek, przeważnie bardzo starych, niektóre z nich były z pewnością większe od Biblii

w kościele. Wkrótce potem dotarli do prawie pustego pokoju, w którym stała stara szafa z dużym lustrem w drzwiach. Nie było tu nic więcej, jeśli nie liczyć stojącej na parapecie pustej butelki z niebieskiego szkła.

- Tu nic nie ma! - stwierdził Piotr i wszyscy poszli dalej. Wszyscy - oprócz Łucji, która pomyślała sobie, że warto by na wszelki wypadek sprawdzić, czy drzwi szafy nie dadzą się otworzyć, choć była prawie pewna, że będą zamknięte. Ku jej zdumieniu otworzyły się z łatwością, a na podłogę wypadły dwie kulki naftaliny.

Kiedy zajrzała do środka, zobaczyła rząd wiszących płaszczy. Były to przeważnie futra, a trzeba wam wiedzieć, że dla Łucji nie było nic miłszego nad zapach i dotyk futer. Nie wahając się ani chwili, weszła do szafy i zanurzyła się w futrach, z rozkoszą wtulając w nie twarz. Oczywiście nie zapomniała o pozostawieniu otwartych drzwi, ponieważ wiedziała, że to bardzo głupio przypadkowo zamknąć się w szafie. Postąpiła krok czy dwa w głąb i stwierdziła, że wewnątrz jest jeszcze drugi rząd płaszczy. Tutaj było już prawie zupełnie ciemno i Łucja wyciągnęła ręce przed siebie, by nie uderzyć głową w tylną ścianę szafy. Zrobiła jeszcze jeden krok naprzód, potem jeszcze dwa lub trzy, wciąż spodziewając się, że końcami palców dotknie drewnianej ściany. Ale nic takiego nie nastąpiło. „To musi być naprawdę ogromna szafa” - pomyślała, posuwając się wciąż dalej i rozgarniając miękkie futra, aby zrobić sobie miejsce. Nagle zauważyła, że coś skrzypi pod jej nogami. „To chyba kulki naftaliny”, pomyślała i schyliła się, chcąc namacać je ręką. Ale zamiast twardego i gładkiego drewna podłogi wyczuła coś miękkiego, sypkiego i zimnego.

- To bardzo dziwne - powiedziała do siebie i zrobiła jeszcze krok lub dwa.

Teraz jej twarz i ręce przestały wyczuwać miękkość futer, a napotkały coś twardego i szorstkiego, a nawet kłującego.

- Ależ to zupełnie przypomina gałęzie drzew! - wykrzyknęła i nagle zauważyła jakieś światło. I to wcale nie kilkanaście centymetrów przed sobą, tam gdzie powinna być tylna ściana szafy, lecz w oddali. W chwilę później zdała sobie sprawę, że stoi pośrodku lasu, jest noc, pod nogami ma najprawdziwszy śnieg, którego płatki wirują w powietrzu.

Łucja trochę się przestraszyła, ale jednocześnie była ciekawa i podniecona. Spojrzała przez ramię za siebie. Między czarnymi pniami drzew wciąż widziała otwarte drzwi szafy, a nawet kawałek pustego pokoju. (Oczywiście zostawiła drzwi otwarte, ponieważ pamiętała, że to bardzo głupio zamknąć się w szafie.) Wyglądało na to, że w pokoju nadal jest dzieńne światło. „Gdyby coś było nie w porządku, zawsze

mogę wrócić" - uspokoiła się i zaczęła iść przez las, skrzyp-skrzyp po śniegu, ku dziwnemu światłu przed sobą.

Kiedy po blisko dziesięciu minutach doszła do światła, przekonała się, że to świeci latarnia na słupie. A kiedy tak stała i patrzyła na nią, rozmyślając, skąd się wzięła latarnia w środku lasu i co robić dalej, usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Wkrótce potem bardzo dziwna postać z parasolem wynurzyła się spomiędzy drzew i weszła w krąg światła rzucany przez latarnię.

Dziwna istota była tylko trochę wyższa od Łucji. Od pasa w górę przypominała człowieka, ale jej nogi były nogami kozła (pokrytymi czarną, połyskującą w świetle latarni sierścią), a zamiast stóp miała najprawdziwsze kopytka. Miała też ogon, choć w pierwszej chwili Łucja go nie zauważyła, ponieważ był elegancko przewieszony przez trzymającą rozłożony parasol rękę, zapewne po to, aby nie ciągnął się po śniegu. Szyję otulał czerwony, wełniany szalik, a jej skóra miała również lekko czerwoną barwę. Twarz wędrowca była dziwna, lecz miła. Miał krótką, ostro zakończoną bródkę i kręjące się włosy, z których wystawały dwa małe różki. W jednej ręce, jak już powiedziałem, trzymał otwarty, biały od śniegu parasol, w drugiej - kilka paczek owiniętych w brązowy papier, jakby wracał z zakupów przed Bożym Narodzeniem.

Był to faun. Kiedy zobaczył Łucję, tak gwałtownie podskoczył z wrażenia, że wszystkie paczki wypadły mu z rąk.

- Boże miłosierny! - wykrzyknął.

ROZDZIAŁ 2

CO ŁUCJA TAM ZOBACZYŁA

DOBRY WIECZÓR - powiedziała Łucja.

Faun był tak zajęty zbieraniem swoich paczek, że w pierwszej chwili nie odpowiedział na jej powitanie. Dopiero kiedy skończył, lekko się skłonił i powiedział:

- Dobry wieczór, dobry wieczór. Najmocniej przepraszam, nie chciałem być zbyt natrętny, ale czy nie myślę się sądząc, że jesteś Córką Ewy?

- Mam na imię Łucja - odpowiedziała, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Ale czy nie jesteś, proszę mi wybaczyć, czy nie jesteś kimś, kogo się nazywa „dziewczynką”? - zapytał faun.

- Oczywiście, że jestem dziewczynką - zgodziła się Łucja.

- Czy to znaczy, że jesteś człowiekiem?

- Oczywiście, że jestem człowiekiem - powiedziała Łucja coraz bardziej zdziwiona.

- Naturalnie, naturalnie. Cóż za głupiec ze mnie! Ale proszę zrozumieć, jeszcze nigdy nie widziałem Syna Adama lub Cóрки Ewy. Bardzo się cieszę. Trzeba ci bowiem wiedzieć... - i tu urwał, jakby miał powiedzieć coś, czego nie zamierzał, ale w porę ugryzł się w język. - Bardzo mi przyjemnie. Pozwól, że się przedstawię. Nazywam się Tumnus.

- Miło mi pana poznać, panie Tumnusi - powiedziała Łucja.

- A czy wolno mi zapytać, o Łucjo, Cóрко Ewy, w jaki sposób znalazłaś się w Narnii?

- W Narnii? A co to takiego? - zapytała Łucja.

- Przecież znajdujemy się w kraju, który nazywa się Narnią. Wszystko, co leży między Latarnią a wielkim zamkiem Ker-Paravelem nad wschodnim morzem - wszystko to należy do Narnii. A ty, ty zapewne przybywasz z Zachodniej Puszczy?

- Ja... ja przyszedłam tu ze starej szafy w garderobie - wyjąkała Łucja.

- Ach! - westchnął pan Tumnus melancholijnie. - Gdybym tylko trochę bardziej przykładał się do geografii, kiedy byłem małym faunem, to bez wątpienia wiedziałbym wszystko o tych dalekich i dziwnych krajach. Teraz już na to za późno.

- Ale to wcale nie są żadne kraje - powiedziała Łucja, rozbawiona. - To jest tam, zaraz za nami... a w każdym razie... no, nie jestem taka pewna. Tam jest lato.

- Jednakże - zauważył pan Tumnus - w Narnii jest zima, i to od tak dawna! Jeżeli będziemy tak stać i rozmawiać w tym śniegu, to możemy się przeziębnić. Czy

Córka Ewy z dalekiego kraju Gar-Deroby, gdzie panuje wieczne lato wokół prześwietnego miasta Staraszafa, nie zechciałaby przyjąć zaproszenia na mały podwieczorek?

- Bardzo panu dziękuję, panie Tumnusie - powiedziała Łucja - ale zastanawiałam się właśnie, czy nie powinnam już wracać.

- To zaledwie parę kroków stąd - nalegał faun. - Będzie też ogień na kominku i grzanki, i sardynki, i ciasto...

- To bardzo uprzejme z pana strony - powiedziała Łucja. - Ale naprawdę nie będę mogła zostać zbyt długo.

- Gdybyś zechciała wziąć mnie pod rękę, Córko Ewy, to parasol osłoni nas oboje. Idziemy w tamtą stronę. A więc - w drogę!

I w ten sposób Łucja szła teraz przez las, trzymając pod rękę tę dziwną istotę, jakby znali się od urodzenia.

Nie uszli daleko, gdy teren stał się bardziej pofałdowany, naokoło pojawiły się skały i niezbyt wysokie wzgórza. Zeszli na dno płytkiego wąwozu i tutaj pan Tumnus skręcił nagle w bok, jakby miał zamiar wejść prosto na wyjątkowo dużą skałę, i dopiero w ostatniej chwili Łucja spostrzegła, że w skale jest wejście do pieczary. Kiedy znaleźli się w środku, oślepił ją blask ognia płonącego na kominku. Pan Tumnus schylił się, małymi, zgrabnymi szczypcami wyjął płonące drewnisko i zapalił lampę.

- Nie potrwa to długo - powiedział, stawiając imbryk na ogniu.

Łucja pomyślała sobie, że nigdy jeszcze nie widziała tak miłego domu. Była to niewielka, sucha i czysta pieczara, wykuta w czerwonej skale. Na podłodze leżał dywan, stały też dwa foteliki („Jeden dla mnie, drugi dla przyjaciela”, wyjaśnił pan Tumnus), stół i kredens, a nad gzymsem kominka wisiał portret fauna z siwą brodą. W rogu były drzwi, prowadzące zapewne do sypialni pana Tumnusa, a pod jedną ze ścian stała półka z książkami. Kiedy gospodarz przygotowywał podwieczorek, Łucja obejrzała sobie książki, wśród których natrafiła na takie dziwne tytuły, jak *Życie i pisma Sylena* albo *Nimfy i ich Życie*, albo *Ludzie, mnisi i leśnicy; studium znanej legendy*, albo *Czy człowiek jest mitem?*

- Wszystko gotowe, Córko Ewy! - oznajmił faun.

Był to naprawdę wspaniały podwieczorek: najpierw wyborne jajka na miękko, potem sardynki na grzankach, potem znowu grzanki z masłem, i jeszcze grzanki z miodem, a na koniec ciastko z lukrem. A kiedy Łucja już się najadła, faun zaczął opowiadać. Cóż to były za cudowne opowieści o życiu w puszczy! Opowiadał o

zabawach w świetle księżycy, gdy nimfy - które mieszkają w źródłanych jeziorkach - i driady - które mieszkają w drzewach - wychodzą o północy na polanę, aby tańczyć z faunami; o gonitwach za mlecznobiałym jelonkiem, który może spełnić każde życzenie, gdy się go schwyta; o biesiadach z dzikimi Czerwonymi Karłami i o wyprawach po skarby ukryte w głębokich kopalniach i jaskiniach; a potem jeszcze o lecie, o tym, jak by to było dobrze, gdyby drzewa były znowu zielone i gdyby znowu odwiedził ich stary Sylen na swoim grubym ośle, a może i sam Bachus; w strumieniach popłynęłoby wino zamiast wody, a wszyscy mieszkańcy lasu oddaliby się beztrudnie, trwającej tygodniami zabawie...

- Gdyby tylko nie było tej wiecznej zimy - zakończył ponuro faun.

Potem, jakby chcąc dodać sobie otuchy, wydobył z leżącego na kredensie futerału dziwny, mały flet, wyglądający, jakby był zrobiony z trzciny, i zaczął na nim grać. Tęskny ton fletu sprawiał, że Łucji chciało się płakać i śmiać, tańczyć i spać jednocześnie. Musiały chyba minąć całe godziny, kiedy otrząsnęła się z zasłuchania i powiedziała:

- Och, drogi panie Tumnusie, tak mi żal, że muszę panu przerwać, bo tak strasznie podoba mi się ta muzyka, ale, naprawdę, muszę już wracać do domu. Miałam wpaść tylko na chwilę...

- Nie sądzę, żeby było najrozsądniej iść TERAZ - odpowiedział faun.

- Nierozsądnie? - Łucja zerwała się z fotela, trochę przestraszona. - Co pan ma na myśli? Muszę zaraz wracać do domu. Będą się o mnie niepokoić.

Lecz za chwilę, widząc dziwną zmianę w twarzy gospodarza, zapytała:

- Och, drogi panie Tumnusie, co się stało?

Brazowe oczy fauna napełniły się łzami, które zaczęły spływać mu po policzkach, zbierać się na czubku nosa i skapywać na ziemię, aż w końcu zakrył twarz rękami i gorzko zaszlochał.

- Panie Tumnusie! Panie Tumnusie! - zawołała Łucja przerażona. - Proszę przestać, błagam pana! Co się stało? Czy źle się pan czuje? Kochany panie Tumnusie, niech mi pan wreszcie powie, czy stało się coś złego?

Ale faun płakał dalej, jakby mu miało za chwilę pęknąć serce. Nie przestał szlochać nawet wówczas, gdy Łucja podeszła do niego, objęła go serdecznie i ofiarowała mu swoją chustkę do nosa. Płakał i płakał, teraz już w chusteczkę, wyzymając ją co jakiś czas, gdy stawała się tak mokra, że już więcej łez nie chciało w nią wsiąknąć.

- Panie Tumnusie! - krzyknęła wreszcie Łucja, potrząsając nim w rozpacz. - Proszę przestać! Proszę natychmiast przestać! Powinien się pan naprawdę wstydzić, taki duży faun jak pan. No i dlaczego, na miłość boską, tak pan ryczy?!

- Och, och, och - załkał pan Tumnus. - Płacę, bo jestem bardzo złym faunem...

- Wcale nie myślę, że jest pan złym faunem - powiedziała Łucja. - Myślę, że jest pan bardzo miłym faunem. Naprawdę, jest pan najmiłszym faunem, jakiego zdarzyło mi się spotkać.

- Och, och, nie mówiłabyś tak, gdybyś wiedziała o wszystkim - odpowiedział faun w krótkiej przerwie między dwoma gwałtownymi atakami szloch. - Nie, nie jestem wcale dobry, jestem bardzo zły.

- Ale co takiego pan zrobił? - spytała Łucja.

- Spójrz tylko na mojego starego tatę - powiedział pan Tumnus - tam, nad kominkiem, na portrecie. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

- Czego by nie zrobił?

- Tego, co ja zrobiłem - odrzekł faun. - Jestem sługą Białej Czarownicy. Oto, czym jestem. Zaprzedałem się Białej Czarownicy.

- Białej Czarownicy? Któż to taki?

- Jak to, nie wiesz? To przecież ona panuje nad całą Narnią. To ona sprawia, że zawsze jest zima. Zawsze jest zima, choć nigdy nie ma Bożego Narodzenia - sama tylko pomyśl!

- Ależ to okropne! - powiedziała Łucja. - Ale co TY właściwie dla niej robisz?

- To właśnie jest najgorsze - odpowiedział pan Tumnus i jęknął głucho. - Porywam dla niej dzieci, oto cała prawda. Popatrz na mnie, Córko Ewy. Czy mogłabyś uwierzyć, że jestem takim faunem, co to spotyka w lesie biedne, niewinne dziecko, które nie zrobiło mu nic złego, udaje, że się z nim zaprzyjaźnia, zaprasza je do swojego domu - a wszystko po to, aby je uspić, a potem oddać w ręce Białej Czarownicy?

- Nie - powiedziała Łucja. - Jestem pewna, że pan nie zrobiłby niczego w tym rodzaju.

- Ale ja to zrobiłem - załkał faun.

- No, cóż... - powiedziała Łucja powoli (ponieważ chciała być sprawiedliwa, ale i niezbyt surowa). - Cóż, to rzeczywiście brzydko z pana strony. Ale żałuje pan tak szczerze... Jestem pewna, że to się już nigdy nie powtórzy.

- O Córko Ewy, czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? - zapytał faun. - Nie mówię o czymś, co KIEDYŚ zrobiłem. Ja to robię TERAZ, w tej właśnie chwili...

- Co pan chce przez to powiedzieć?! - krzyknęła Łucja, a jej policzki zrobiły się nagle o wiele bielsze niż przedtem.

- To ty jesteś tym dzieckiem. Otrzymałem rozkaz od Białej Czarownicy, aby schwytać i oddać w jej ręce każdego Syna Adama i każdą Córkę Ewy, których kiedykolwiek spotkam w lesie. A ty jesteś pierwszą Córką Ewy, jaką spotykam. Robiłem wszystko, żebyś się ze mną zaprzyjaźniła, zaprosiłem cię na podwieczorek, ale przez cały czas, tak, przez cały czas myślałem tylko o tym, że kiedy cię uśpię, pójdę i powiem JEJ...

- Och, ale pan przecież tego nie zrobi?! - krzyknęła Łucja. - Nie robi pan tego, prawda? Przecież pan tego nie może zrobić!

- A jeśli tego nie zrobię - powiedział faun, wybuchając znowu płaczem - ona się o tym na pewno dowie. Każe mi odciąć ogon, odpiłować różki, wyrwać brodę, a potem machnie swoją różdżką nad moimi ślicznymi, rozszczepionymi kopytkami i zamieni je w okropne, bryłowate kopyta, jak u jakiejś nędznej szkapy. A jeżeli będzie na mnie szczególnie zła, zamieni mnie w kamień i będę tylko posągami fauna, aż do czasu, gdy cztery trony na Ker-Paravelu znowu zostaną zajęte, a Bóg jeden wie, kiedy to się stanie i czy w ogóle do tego kiedykolwiek dojdzie.

- Bardzo mi przykro, panie Tumnusie - powiedziała stanowczo Łucja - ale proszę mi pozwolić iść już do domu.

- Pozwolę, rzecz jasna - odrzekł faun. - To oczywiste, że muszę tak postąpić. Teraz widzę to wyraźnie jak na dłoni. Nie miałem pojęcia, jacy są ludzie, zanim ciebie spotkałem. Teraz, kiedy już cię znam, wiem dobrze, że nie mogę cię oddać w ręce tej wiedźmy. Musisz jednak zaraz ruszać w drogę. Odprowadzę cię aż do Latarni. Myślę, że stamtąd trafisz już łatwo do Gar-Deroby i Staraszafy?

- Jestem pewna, że trafię - powiedziała Łucja.

- Musimy zachować najwyższą ostrożność. Cały las pełen jest jej szpiegów. Nawet niektóre drzewa są na jej służbie.

Tak więc pan Tumnus ponownie rozłożył parasol, podał Łucji ramię i pospiesznie wyszli z pieczary, nie dbając nawet o posprzątanie po podwieczorku. Tym razem droga nie przypominała już zupełnie miłego spaceru do pieczary fauna; przemykali się ukradkiem przez las, nie odzywając się do siebie, a pan Tumnus starał się wybierać najciemniejsze przejścia. Łucja odetchnęła z ulgą, kiedy dotarli wreszcie do Latarni.

- Czy stąd już pamiętasz drogę, Cóрко Ewy? - zapytał Tumnus.

Łucja wpatrzyła się w ciemność między drzewami i dostrzegła w oddali jasną plamkę, wyglądającą jak odbłask dziennego światła.

- Tak, widzę już drzwi szafy.

- A więc pędź do domu tak szybko, jak tylko potrafisz - powiedział faun. - I... czy b-będziesz mi mogła w ogóle przebaczyć to wszystko, o czym ci powiedziałem?

- Ależ naturalnie, wybaczam - powiedziała Łucja, ściskając mu serdecznie rękę.

- I mam nadzieję, że nie wpadniesz przeze mnie w jakieś straszne tarapaty.

- Zegnaj, Córko Ewy - odpowiedział szybko faun. - A może... może mógłbym zatrzymać chusteczkę?

- Chyba tak! - powiedziała Łucja i popędziła w stronę plamki dziennego światła między drzewami tak szybko, jak potrafiła. I nagle, zamiast szorstkich gałęzi drzew, poczuła na twarzy miękkość futrzanych płaszczy, a zamiast skrzypiącego śniegu pod nogami - twardość drewnianej podłogi, aż raptem zdała sobie sprawę z tego, że wyskakuje przez otwarte drzwi szafy wprost do tego samego pokoju, w którym rozpoczęła się ta dziwna przygoda. Starannie zamknęła szafę i rozejrzała się wokół, łapiąc oddech po szybkim biegu. Na dworze wciąż padało, a z korytarza dobiegły ją głosy rodzeństwa.

- Hej, jestem tutaj! - krzyknęła. - Jestem tutaj! Wróciłam! Nic mi się nie stało!

ROZDZIAŁ 3

EDMUND WCHODZI DO SZAFY

Łucja wybiegła z pustego pokoju na korytarz, gdzie znalazła pozostałą trójkę rodzeństwa.

- Nic mi nie jest! - powtórzyła. - Już wróciłam.

- O czym ty, na miłość boską, mówisz, Łucjo?

- zapytała Zuzanna.

- Jak to? - zdziwiła się Łucja. - Czy nie martwiliście się o mnie?

- A więc schowałaś się przed nami? - powiedział Piotr. - Biedna Łusia, schowała się i nikt tego nie zauważył! Na drugi raz, jak będziesz chciała, żeby ktoś zaczął martwić się twoim zniknięciem, musisz posiedzieć w kryjówce trochę dłużej.

- Ale przecież nie było mnie przez całe godziny!

- krzyknęła Łucja.

Trójka rodzeństwa popatrzyła po sobie.

- Ona jest stuknięta! - powiedział Edmund, pukając się w czoło. - Kompletnie stuknięta.

- Co właściwie masz na myśli, Łucjo? - zapytał Piotr.

- To, co powiedziałam - odrzekła Łucja. - Zaraz po śniadaniu weszłam do szafy, nie było mnie całe godziny, jadłam tam podwieczorek i w ogóle zdarzyło się mnóstwo różnych rzeczy.

- Nie bądź głupia, Łucjo - powiedziała Zuzanna. - Dopiero co wyszliśmy z tego pokoju i ty tam jeszcze byłaś.

- Ona wcale nie jest głupia - powiedział Piotr. - Po prostu całą tę historię wymyśliła sobie dla żartu. Mam rację, Łucjo? Przecież nie ma w tym nic złego.

- Nie, Piotrze, niczego sobie nie wymyśliłam - powiedziała Łucja. - To jest zaczarowana szafa. W środku jest las i pada śnieg, i tam jest faun i Czarownica, i to się nazywa Narnia, a jak nie wierzycie, to idźcie i sami zobaczcie.

Dzieci nie wiedziały, co o tym sądzić, ale Łucja była tak wzburzona, że wszyscy wrócili do pustego pokoju. Łucja pierwsza podbiegła do szafy, otworzyła drzwi i zawołała:

- A teraz wejdźcie do środka i sami zobaczcie!

- No i co, głupia gąsko - powiedziała Zuzanna, wsadzając głowę do środka i rozchylając futra - to przecież zwykła szafa. Popatrzcie, tu jest tylna ściana.

Potem każdy po kolei zaglądał do środka, rozchyłał płaszcze i - cóż, wszyscy,

łącznie z Łucją, mogli sobie obejrzeć najzwyklejszą w świecie szafę. Nie było ani lasu, ani śniegu, jedynie tylna ściana szafy ze sterzącymi z niej hakami. Piotr wszedł do środka i zabębnił w nią pięściami, aby upewnić wszystkich, że jest to tylko zwykłe, twarde drewno.

- Znakomity kawał - powiedział po wyjściu z szafy. - No, Łucjo, naprawdę udało ci się nas nabrać. Prawie ci uwierzyliśmy.

- Ale to nie był żaden kawał - zaperzyła się Łucja. - To prawda. Jeszcze przed chwilą wszystko było inaczej. Naprawdę tak było. Przysięgam.

- Posłuchaj, Łucjo - powiedział Piotr - czy nie uważasz, że trochę przesadziłaś? Zupełnie nieźle sobie z nas zazartowałaś, ale teraz może byłoby lepiej dać temu spokój, co?

Łucja zaczerwieniła się i chciała jeszcze coś powiedzieć, ale ponieważ nie bardzo wiedziała co, wybuchnęła płaczem.

Przez następne kilka dni była bardzo biedna. Mogła z łatwością w każdej chwili przerwać tę niemiłą sytuację, gdyby tylko dla świętego spokoju przyznała, że wszystko to było wymyśloną przez nią dla zabawy bajką. Ale Łucja była bardzo prostolinijną dziewczynką i wiedziała, że w rzeczywistości to ona ma rację, toteż nie mogła się na to zdecydować. Pewność, z jaką inni uznawali jej opowieść za kłamstwo - i to bardzo głupie kłamstwo - sprawiała jej wielką przykrość. Co prawda starsze rodzeństwo wkrótce przestało jej dokuczać, ale Edmund potrafił być złośliwy, a w tym wypadku pokazywał, na co go stać. Bez przerwy kpiał i naśmiewał się z biednej Łucji, wypytując ją, czy znalazła jakieś inne dziwne kraje w różnych kredensach i szafach w całym domu. A przecież te dni mogły być tak przyjemne! Pogoda była piękna i dzieci mogły teraz przebywać poza domem od rana do wieczora, łowiąc ryby, kąpiąc się, wspinając na drzewa i wylegując na wrzosowisku. Łucja nie potrafiła jednak cieszyć się tym wszystkim naprawdę. I tak było aż do następnego deszczowego dnia.

Tego dnia, kiedy już zrobiło się popołudnie i wciąż nie było najmniejszych oznak zmiany pogody, dzieci postanowiły zabawić się w chowanego. Pierwsza szukała Zuzanna. Gdy tylko reszta rozbiegła się w poszukiwaniu kryjówek, Łucja wśliznęła się do garderoby. Wcale nie miała zamiaru chować się w szafie, ponieważ wiedziała, że gdyby ją tam znaleziono, znowu zaczęłyby się złośliwe docinki na temat tej przekłętej historii. Chciała jednak jeszcze raz do niej zajrzeć, gdyż sama zaczynała już się zastanawiać, czy rzeczywiście Narnia nie była tylko pięknym snem. Dom był tak wielki i pełen tylu zakamarków, że z pewnością miałyby jeszcze potem czas na znalezienie

sobie jakiejś innej, dobrej kryjówki. Gdy zbliżyła się do szafy, usłyszała kroki na korytarzu i nie pozostało jej nic innego, jak wskoczyć do środka i przymknąć za sobą drzwi. Oczywiście nie zamknęła ich całkowicie, ponieważ wiedziała, że to bardzo głupio zamknąć się w szafie - nawet wtedy, gdy jest to szafa zaczarowana.

Kroki, które usłyszała, były krokami Edmunda. Zdążył wejść do pokoju wystarczająco wcześnie, by dostrzec Łucję znikającą w szafie. Od razu postanowił wejść za nią do środka - nie dlatego, by uważał szafę za szczególnie dobrą kryjówkę, ale dlatego, że chciał znowu pokpić sobie z Łucji i z jej wymyślonego kraju. Otworzył drzwi. Wewnątrz wisiały, jak zawsze, futra, pachniało naftaliną, było cicho i ciemno, ale po Łucji nie było ani śladu. „Na pewno myśli, że to przyszła Zuzanna, aby ją złapać - pomyślał Edmund - więc siedzi cicho gdzieś w głębi”. Wskoczył do środka i zamknął za sobą drzwi zapominając, że takie postępowanie może świadczyć tylko o głupocie. Potem zaczął macać rękami w ciemności, szukając siostry, lecz ku swemu zdziwieniu nigdzie nie mógł jej znaleźć. Postanowił więc otworzyć drzwi, aby wpuścić do środka trochę światła. Ale i drzwi gdzieś się zapodziały. To już zupełnie przestało mu się podobać, zaczął więc przepychać się między płaszczami to w jedną, to w drugą stronę, nawołując:

- Łucjo! Łucjo! Gdzie jesteś? Wiem, że tu jesteś!

Nie było odpowiedzi. Edmund zauważył, że jego głos brzmi jakoś dziwnie - wcale nie tak, jakby tego można było oczekiwać pokrzykując w zamkniętej szafie, ale tak, jakby znajdował się na dworze. Poczul też, że zrobiło się nieoczekiwanie zimno. I wtedy zobaczył światło.

„Dzięki Bogu - pomyślał - drzwi musiały się same otworzyć”. Zapomniał już zupełnie o Łucji i podążył ku światłu, pewien, że to otwarte drzwi szafy. Ale zamiast wyskoczyć z ciemności wprost do pełnej światła garderoby, stwierdził nagle, że wychodzi z cienia jakiegoś gęstego, jodłowego zagajnika na otwartą przestrzeń w środku lasu.

Pod stopami chrzęścił mu suchy, sypki śnieg, który pokrywał też gałęzie drzew. Nad nim jaśniało bladoniebieskie niebo, takie, jakie zdarza się w piękne zimowe poranki. Wprost przed sobą, między pniami drzew, zobaczył wschodzące słońce, czerwone i wyraźne. Naokoło panowała głęboka cisza, jakby był jedyną żywą istotą w tym kraju. Wśród drzew nie dostrzegł choćby drozda czy wiewiórki, a las rozciągał się w każdym kierunku tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć wzrokiem. Poczul, że ciarki przebiegają mu po plecach.

Teraz przypomniał sobie o Łucji, a także - choć poniewczasie - o swoich docinkach na temat jej „wymyślonego kraju”, który - jak się okazało - wcale nie był wymyślony. Wciąż miał jednak nadzieję, że siostra musi być gdzieś blisko, więc zawołał:

- Łucjo! Łucjo! Ja też jestem tutaj! To ja, Edmund!

Nie było żadnej odpowiedzi. . „Na pewno jest na mnie zła za to wszystko, co jej ostatnio mówiłem”, pomyślał Edmund. I chociaż nie lubił przyznawać się do błędów, jeszcze mniej podobało mu się to, że jest zupełnie sam w tym dziwnym, zimnym i cichym miejscu.

Krzyknął więc jeszcze raz:

- Hej, hej, Łusiu! Przepraszam, że ci nie uwierzyłem. Teraz widzę, że od początku miałaś rację. Ale wyjdź już, proszę cię! Dajmy temu spokój!

Wciąż nie było żadnej odpowiedzi.

- Jak to dziewczynka! - powiedział do siebie Edmund. - Dąsa się gdzieś i nie przyjmie żadnych przeprosin.

Raz jeszcze rozejrzał się wokoło i doszedł do wniosku, że to miejsce nie bardzo mu się podoba, wobec czego już postanowił wracać do domu, gdy nagle, gdzieś daleko w lesie, odezwał się dźwięk dzwoneczków. Nasłuchiwał, a dzwonki przybliżały się i przybliżały, aż w końcu zza drzew wyskoczyły sanie zaprzężone w dwa reny.

Reny były wielkości szetlandzkich kucyków, a sierść miały tak białą, że w porównaniu z nimi nawet śnieg wydawał się szary. Ich rozgałęzione rogi były pozłacane i kiedy zaśniło na nich słońce, zapłonęły żywym ogniem. Uprząż była zrobiona ze szkarłatnej skóry i przyozdobiona dzwoneczkami. Na koźle siedział przysadzisty karzeł, który z pewnością nie miałby nawet metra wysokości, gdyby stanął wyprostowany. Ubrany był w kozuch z polarnego niedźwiedzia, a na głowie miał czerwony kaptur z długim, zwisającym nisko pomponem. Obfita broda spływała mu aż na kolana, pełniąc funkcję czegoś w rodzaju pledu chroniącego przed zimnem. Za nim, na podwyższeniu pośrodku sań, siedziała zupełnie inna postać: wysoka pani, bardziej wysoka niż najwyższa kobieta, jaką Edmund kiedykolwiek widział. Pani również była przykryta białym futrem, w prawej ręce trzymała długą, prostą laseczkę, a na głowie miała złotą koronę. Jej twarz była biała - nie zwyczajnie blada, lecz zupełnie biała, jak śnieg lub papier, lub wata cukrowa, tylko wargi płonęły jaskrawą czerwienią. Była to twarz piękna, lecz dumna, zimna i surowa.

Zbliżające się do Edmunda sanie wyglądały naprawdę cudownie: dzwoneczki

dzwoniły, karzeł strzelał z bata, a śnieg wzbijał się w powietrze po obu stronach.

- Zatrzymaj się! - powiedziała pani i karzeł ściągnął lejce tak ostro, że reny prawie przysiadły na śniegu. Potem wyprostowały się i potrząsały gniewnie łbami, parszkając głośno, a w mroźnym powietrzu ich szybkie oddechy zamieniały się w gęstą parę.

- A kimże ty jesteś? - zapytała pani, spoglądając surowo na Edmunda.

- Ja... ja... nazywam się Edmund - wyjąkał chłopiec. Wcale nie podobał mu się sposób, w jaki na niego patrzyła.

Pani zmarszczyła brwi.

- I w ten sposób odzywasz się do swojej królowej? - zapytała, patrząc na niego jeszcze bardziej surowo.

- Proszę o wybaczenie, wasza królewska wysokość, nie wiedziałem...

- Nie znasz królowej Narnii?! - krzyknęła pani.

- Ha! Zaraz poznasz nas lepiej. Ale pytam raz jeszcze: kim jesteś?

- Niech mi wasza królewska wysokość wybaczy

- wyjąkał Edmund - ale nie wiem, co odpowiedzieć. Jestem w szkole... to znaczy byłem... teraz są wakacje...

ROZDZIAŁ 4 PTASIE MLECZKO

ALE KIM JESTEŚ? - zapytała ponownie królowa. - Czy może jesteś wyrośniętym karłem, który obciął sobie brodę?

- Nie, wasza królewska wysokość - odpowiedział Edmund. - Nigdy nie miałem brody. Jestem chłopcem.

- Chłopcem? Czy chcesz powiedzieć, że jesteś Synem Adama?

Edmund nic nie odpowiedział. Był zbyt zmieszany, aby zrozumieć pytanie.

- Kimkolwiek jesteś, to prócz tego jesteś na pewno idiotą - powiedziała królowa. - I odpowiedz mi wreszcie, chyba że chcesz, abym straciła cierpliwość: czy jesteś człowiekiem?

- Tak, najjaśniejsza pani - powiedział Edmund. .,; - A jak się dostałeś do mojego królestwa?

- Dostałem się tu przez szafę, najjaśniejsza pani.

- Przez szafę? Co to znaczy?

- Ja... ja otworzyłem drzwi... i po prostu znalazłem się tutaj, najjaśniejsza pani - wyjąkał Edmund.

- Ha! - wykrzyknęła królowa, bardziej do siebie niż do niego. - Drzwi. Drzwi do Świata Ludzi.

Słyszałam już o takich rzeczach. To może popsuć wszystko. Ale na razie on jest sam i łatwo sobie z nim poradzę.

Powstała ze swojego siedzenia i spojrzała Edmundowi prosto w twarz. Jej oczy zapłonęły dziwnym blaskiem, a ręka uniosła różdżkę. Edmund czuł, że za chwilę stanie się coś strasznego, ale nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Ale kiedy już pogodził się ze swoim losem, królowa nagle jakby zmieniła zamiar.

- Moje biedne dziecko - odezwała się do niego zupełnie innym tonem - chyba bardzo zmarłeś, prawda? Chodź tutaj i usiądź ze mną w saniach, a ja otulę cię futrem i trochę sobie porozmawiamy.

Trudno powiedzieć, żeby ten pomysł spodobał się Edmundowi, ale nie śmiał być nieposłuszny, więc wspiął się na sanie i usiadł u jej stóp. Pani zarzuciła na niego futro i troskliwie go nim otuliła.

- A teraz może byś się napił czegoś gorącego?

- zapytała.

- Tak, bardzo proszę, wasza królewska wysokość

- odpowiedział Edmund, szcękając zębami. Królowa wyjęła z fałd swego płaszcza małą flaszczykę, wyglądającą jakby była zrobiona z miedzi. Potem wyciągnęła rękę poza sanie i wylała z flaszczyki kroplę jakiegoś płynu. Przez moment kropla zalśniła w słońcu jak diament, ale gdy tylko spadła na śnieg, coś zasyczało - i oto w tym samym miejscu stał wysadzany drogimi kamieniami kubek z czymś, co parowało w zimnym powietrzu. Karzeł błyskawicznie zeskoczył na ziemię, podniósł kubek, skłonił się i podał Edmundowi z uśmiechem. Nie był to wcale przyjemny uśmiech. Ale gdy tylko chłopiec wypił kilka łyków gorącego płynu, poczuł się od razu lepiej. Dziwny napój nie przypominał niczego, co pił kiedykolwiek przedtem: był słodki, pieniący się i gęsty, a po wypiciu ciepło rozchodziło się momentalnie po całym ciele.

- Nie sądzisz, że dobrze byłoby teraz coś zjeść, Synu Adama? - zapytała królowa. - Na co miałbyś ochotę?

- Na ptasie mleczko, jeśli można, wasza królewska wysokość - odpowiedział Edmund.

Królowa wylała z buteleczki jeszcze jedną kroplę; tym razem na śniegu pojawiło się okrągłe, przewiązane zieloną wstążeczką pudło, pełne - jak się okazało - najlepszego ptasiego mleczka. Każdy kawałek był słodki i cudownie piankowaty aż do samego środka i Edmund musiał przyznać, że nigdy jeszcze nie jadł czegoś równie wspaniałego. Teraz zrobiło mu się bardzo ciepło i przyjemnie.

Kiedy objadał się ptasim mleczkiem, królowa zadawała mu mnóstwo pytań. Początkowo starał się pamiętać, że nie wypada mówić z pełnymi ustami, ale wkrótce o tym zapomniał, pragnąc jedynie pochłonąć tyle ptasiego mleczka, ile tylko zdoła. Im więcej zjadał, tym bardziej miał na nie ochotę, tak że nie wpadło mu nawet do głowy zastanowić się, dlaczego królowa jest taka ciekawa. Bardzo łatwo wyciągnęła z niego, że ma brata i dwie siostry, że jedna z nich już tutaj była i spotkała faunę oraz że nikt prócz niego i jego rodzeństwa nie ma pojęcia o istnieniu Narnii. Królową interesowało szczególnie to, że jest ich czworo, i wciąż wracała do tego tematu.

- Czy jesteś pewien, że jest was czworo? Dwóch Synów Adama i dwie Córki Ewy, ani więcej, ani mniej?

Edmund, z ustami pełnymi ptasiego mleczka, odpowiadał wciąż:

- Tak, przecież już mówiłem - zapominając nawet o dodaniu „wasza królewska wysokość”, ale królowa wydawała się nie zwracać na to uwagi.

W końcu całe ptasie mleczko zostało zjedzone i Edmund wpatrywał się uporczywie w puste pudełko, modląc się w duchu, by go zapytano, czy nie chciałby

więcej. Królowa zapewne dobrze wiedziała, o czym Edmund marzy, ponieważ wiedziała też, że jest to zaczarowane ptasie mleczko i że każdy, kto go choć raz skosztuje, będzie chciał wciąż więcej i więcej, tak że mógłby zajeść się na śmierć, gdyby mu na to pozwolono. Ale nie zaproponowała następnego pudełka, tylko powiedziała:

- Synu Adama, tak bardzo chciałabym zobaczyć twoje czarujące rodzeństwo... Czy mógłbyś je do mnie przyprowadzić?

- Spróbuję - odpowiedział Edmund, wciąż spoglądając z żalem na puste pudełko.

- Bo widzisz, jeżeli przyjdiesz tu jeszcze raz, naturalnie razem z nimi, to będę ci mogła dać więcej ptasiego mleczka. Teraz już nie mogę, bo takie czary można zrobić tylko raz. Co innego w moim pałacu...

- A dlaczego nie możemy tam pojechać zaraz? - zapytał Edmund. Kiedy wsiadał do sań, trząśł się ze strachu, że ta wyniosła pani powiedzie go do jakiegoś nieznanego miejsca, z którego nie będzie mógł trafić do domu, ale teraz zapomniał o wszystkim.

- Ach, mój pałac to naprawdę cudowne miejsce - powiedziała królowa. - Jestem pewna, że będzie ci się podobało. Są tam pokoje pełne ptasiego mleczka, a musisz wiedzieć, że nie mam swoich własnych dzieci. Bardzo bym chciała mieć jakiegoś miłego chłopca, którego mogłabym uczynić księciem i który zostałby królem Narnii, kiedy mnie już nie będzie. Jako księżę mógłbyś nosić złotą koronę i przez cały dzień zajadać się ptasim mleczkiem. A muszę wyznać, że jesteś najmądrzejszym i najprzystojniejszym młodzieńcem, jakiego dotąd spotkałam. Myślę, że naprawdę mógłbyś zostać księciem pewnego dnia, kiedy przyprowadzisz do mnie swoje rodzeństwo.

- Dlaczego nie teraz? - spytał Edmund. Miał wypieki na twarzy, ślina ciekła mu z ust, a ręce lepiły się od potu. Cokolwiek mogła mówić królowa, nie wyglądał teraz ani mądrze, ani pięknie.

- Och, gdybym cię tam zabrała teraz - powiedziała - nie zobaczyłabym twojego uroczego rodzeństwa. Bardzo pragnę je poznać. Ty będziesz księciem, a później królem, to zrozumiałe. Ale przecież musisz mieć swoich dworzan i baronów. Twego brata uczynię hrabią, a twoje siostry hrabinami.

- Oni nie są specjalnie interesujący - powiedział Edmund. - Zresztą mogę ich przyprowadzić kiedy indziej.

- Och, kiedy już raz znajdziesz się w moim pałacu, mógłbyś o nich zapomnieć.

Czeka cię tam tyle różnych przyjemności, że nie będzie ci się chciało po nich iść. Nie, musisz teraz wrócić do swojego kraju. Będę na ciebie czekała i NA NICH, oczywiście. Nie byłoby dobrze, gdybyś tu wrócił sam.

- Ale ja nawet nie wiem, czy trafię tu z powrotem - spróbował jeszcze raz Edmund.

- To nie będzie trudne - odpowiedziała królowa. - Widzisz tę Latarnię? - Wskazała swoją różdżką, a Edmund odwrócił się i zobaczył Latarnię, pod którą Łucja spotkała fauna. - Za nią znajdziesz drogę do Świata Ludzi. A teraz popatrz tam - wskazała w przeciwnym kierunku - i powiedz mi, czy widzisz te dwa wzgórza nad drzewami?

- Chyba widzę - odpowiedział Edmund.

- A więc mój pałac leży właśnie między tymi dwoma wzgórzami. Kiedy tu wrócisz następnym razem, musisz tylko znaleźć Latarnię, poszukać tych dwu wzgórz i iść w ich kierunku przez las, a bardzo szybko trafisz do mojej siedziby. Ale pamiętaj: musisz przyprowadzić swoje rodzeństwo. Byłabym bardzo zła, gdybyś przyszedł sam.

- Będę się bardzo starał - odpowiedział Edmund.

- Aha, jeszcze jedna sprawa. Nie musisz im o mnie od razu mówić. To będzie taki nasz mały sekret, dobrze? Zróbmy im niespodziankę. Zaprowadź ich do tych dwu wzgórz, taki mądry chłopiec jak ty na pewno coś wymyśli, aby się zgodzili. A kiedy dojdziecie do mojego zamku, możesz po prostu powiedzieć: „Chodźcie, zobaczymy, kto tu mieszka”, czy coś w tym rodzaju. Jestem pewna, że tak będzie najlepiej. Jeżeli twoja siostra spotkała jednego z faunów, mogła nasłuchać się o mnie różnych dziwnych rzeczy... złośliwych plotek, które opowiadają, aby się mnie lękano. Fauny nigdy nie mądrego nie mówią, a musisz wiedzieć, że...

- Błagam, och, błagam - przerwał jej nagle Edmund - czy nie mógłbym dostać na drogę choć jednego kawałka ptasiego mleczka?

- Nie, nie - odpowiedziała królowa ze śmiechem - musisz poczekać do następnego razu. - Dała znak karłowi, a kiedy sanie ruszyły, pomachała Edmundowi ręką wołając: - Następnym razem! Następnym razem! Nie zapomnij! Wróć szybko!

Edmund wciąż jeszcze wpatrywał się w drzewa, za którymi zniknęły sanie, gdy nagle usłyszał, jak ktoś wykrzykuje jego imię, a kiedy się rozejrzał, zobaczył Łucję wychodzącą z innej części lasu.

- Och, Edmundzie! - zawołała. - A więc ty też tu trafiłeś? Czy tu nie jest cudownie? A teraz...

- Dobra, dobra - powiedział Edmund. - Przecież widzę, że mówiłaś prawdę i że to rzeczywiście jest zaczarowana szafa. Jeżeli chcesz, to mogę cię przeprosić. Ale, na miłość boską, gdzie się podziewałaś przez cały ten czas? Wszędzie cię szukałem.

- Gdybym tylko wiedziała, że ty też tu trafisz, tobym na ciebie poczekała - powiedziała Łucja, która była tak szczęśliwa i podniecona, że nie zauważyła dziwnej nuty w jego głosie i wypieków na jego zmienionej twarzy. - Zjadłam mały obiadek z panem Tumnusem, tym faunem, który ma się zupełnie dobrze; Biała Czarownica nic mu nie zrobiła za to, że mnie puścił, więc sądzi, że w ogóle się o tym nie dowiedziała, i być może wszystko dobrze się skończy.

- Biała Czarownica? - zapytał Edmund. - Kto to taki?

- To okropna postać. Nazywa siebie królową Narnii, chociaż wcale nie ma do tego prawa, i wszystkie driady i najady, i karły, i zwierzęta, w każdym razie te, które są dobre, po prostu jej nienawidzą. Ona może zmieniać ludzi w kamień i w ogóle potrafi robić różne okropne rzeczy. I to właśnie ona zaczarowała Narnię, tak że zawsze jest tu zima, zawsze zima, a nigdy nie ma Bożego Narodzenia! Jeździ po kraju w saniach zaprzęzonych w reny, ze swoją czarodziejską różdżką i w koronie na głowie.

Edmundowi było już niedobrze od zjedzenia zbyt wielu słodczy, a kiedy usłyszał, że pani, z którą się zaprzyjaźnił, jest groźną czarownicą, poczuł się jeszcze gorzej. Wciąż jednak miał tak straszną ochotę na ptasie mleczko, że wszystko inne wydawało mu się zupełnie nieważne.

- Kto ci naopowiadał tych bzdur o Białej Czarownicy? - zapytał.

- Pan Tumnus, ten faun - odpowiedziała Łucja.

- Nie powinno się wierzyć we wszystko, co mówią fauny - powiedział Edmund, starając się sprawić wrażenie, jakby wiedział o faunach o wiele więcej.

- A tobie kto to powiedział?

- Każdy to wie - powiedział Edmund. - Zapytaj kogo chcesz. Nie sądzę też, żeby było coś zabawnego w staniu na śniegu. Chodźmy do domu.

- Masz rację! Och, Edmundzie, tak się cieszę, że ty też tu trafiłeś. Piotr i Zuzanna będą teraz musieli uwierzyć w Narnię. Ach, jaka to będzie zabawa!

Edmund nic nie odpowiedział, ale w głębi serca pomyślał, że dla niego to nie będzie wcale tak zabawne. Będzie musiał przyznać przed wszystkimi, że Łucja miała rację, był też pewien, że pozostała trójka stanie po stronie faunów i zwierząt, sam zaś był już bardziej niż w połowie po stronie Czarownicy. Nie wiedział więc, co powie i jak utrzyma wszystko w tajemnicy, kiedy będą w czwórkę rozmawiać o Narnii.

Tym razem trafili z powrotem bez trudności. Nagle, zamiast ośnieżonych gałęzi, poczuli na twarzach dotyk miękkich futer, a w następnym momencie oboje stali przed szafą w garderobie.

- Ejże, Edmundzie - powiedziała Łucja - przecież ty okropnie wyglądasz. Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest - odpowiedział Edmund, chociaż było to dalekie od prawdy. Czuł się fatalnie.

- A więc chodź, poszukamy innych. Tyle mamy im do opowiedzenia! I pomyśl tylko, jakie nas czekają wspaniałe przygody, kiedy już będziemy w Narnii we czwórkę!

ROZDZIAŁ 5

Z POWROTEM PO TEJ STRONIE DRZWI

Ponieważ zabawa w chowanego wciąż jeszcze trwała, odnalezienie reszty rodzeństwa zajęło Edmundowi i Łucji wiele czasu. Ale kiedy już w końcu wszyscy byli razem (a zdarzyło się to w owym długim pokoju, w którym znaleźli rycerską zbroję), Łucja wybuchnęła:

- Piotrze! Zuzanno! To wszystko jest prawda. Edmund też to widział. Naprawdę JEST taki kraj, do którego można się dostać przez szafę. Byliśmy tam razem, Edmund i ja, i spotkaliśmy się w lesie. No, Edmundzie, opowiedz im o wszystkim.

- Co to wszystko znaczy, Edziu? - zapytał Piotr.

I tu dochodzimy do jednego z najbardziej paskudnych momentów w całej tej historii. Aż do tej chwili Edmund czuł się okropnie, był nadąsany i zły na Łucję, ponieważ w końcu okazało się, że to ona miała rację, ale nie bardzo jeszcze wiedział, co z tym wszystkim począć. Kiedy jednak Piotr zapytał go nagle o zdanie, zdecydował się bez wahania na najbardziej podły i złośliwy uczynek, jaki mu przyszedł do głowy. Postanowił Łucję całkowicie pognać.

- No, powiedz nam, Edziu - odezwała się Zuzanna.

I Edmund przybrał pobłażliwą minę, jakby był o wiele starszy od Łucji (w rzeczywistości był między nimi tylko rok różnicy), zachichotał i powiedział:

- Ach tak, po prostu bawiłem się z Łucją udając, że uwierzyłem w całą tę historię. Naturalnie tylko dla zabawy. A naprawdę nic tam nie ma.

Biedna Łucja rzuciła mu tylko jedno spojrzenie i wybiegła z pokoju.

Edmundowi, który z każdą minutą stawał się coraz bardziej podły, wydawało się, że odniósł wielki sukces, i ciągnął dalej w tym samym stylu:

- Znowu coś ją naszło. Co się z nią dzieje? To jest właśnie najgorsze z tymi dzieciakami, zawsze...

- Hej, ty! - krzyknął Piotr i spojrzał na niego groźnie. - Zamknij się! Byłeś wyjątkowo okrutny dla Łucji od samego początku, gdy tylko zaczęła opowiadać te bzdury o szafie, a teraz bawisz się jej kosztem i jeszcze ją podpuszczasz. Jestem pewien, że robisz to wszystko tylko po to, aby jej dokuczyć.

- Ale przecież to są bzdury - powiedział Edmund, całkowicie zaskoczony.

- Jasne, że bzdury - powiedział Piotr. - Właśnie o to chodzi. Kiedy odjeżdżaliśmy z domu, Łucja była zupełnie normalna, ale odkąd tu jesteśmy, sprawia

wrażenie, jakby zaczynała dostawać bzika albo zamieniła się w odrażającą kłamczuchę. Ale czy sądzisz, że jej pomożesz, jeśli jednego dnia dokuczysz jej i wyśmiewasz się z tego, co opowiada, a następnego udajesz, że w to wierzysz?

- Ja myślałem... myślałem... - wyjąkał Edmund i urwał, bo nie wiedział, co powiedzieć.

- Wcale nie myślałeś - powiedział Piotr. - To wszystko ze złości. Zawsze lubiłeś być okrutny wobec mniejszych od siebie. Widzieliśmy to już w szkole.

- Przestańcie, błagam was - wtrąciła się Zuzanna. - Nie poprawicie sytuacji, jeśli i wy dwaj będziecie się kłócić. Chodźmy i poszukajmy Łucji.

Chyba nie będzie dla was niespodzianką, że kiedy w końcu znaleźli Łucję, nikt nie miał wątpliwości, że płakała. Próbowali załagodzić sprawę różnymi sposobami, ale na nic się to zdało. Uparcie obstawała przy swojej historii i powtarzała:

- Wcale mnie nie obchodzi, co sobie myślicie, i nie obchodzi mnie, co mówicie. Możecie powiedzieć Profesorowi albo napisać do mamy, albo zrobić, co się wam będzie podobało. Spotkałam fauna i... żałuję, że tam nie zostałam... a wy wszyscy jesteście potwory, potwory!

Ten wieczór nie należał do najprzyjemniejszych. Łucja była w okropnym nastroju, a Edmund zaczynał sobie zdawać sprawę z tego, że jego plan nie udaje się tak dobrze, jak myślał. Piotr i Zuzanna zaczęli zupełnie poważnie obawiać się, że Łucja ma źle w głowie. I kiedy młodsze dzieci położyły się już do łóżek, długo jeszcze stali na korytarzu, szepcząc coś do siebie.

Rezultat tej nocnej narady był taki, że następnego dnia postanowili iść do Profesora i wszystko mu opowiedzieć.

- Oczywiście trzeba się liczyć z tym, że napisze do ojca, jeśli uzna, że z Łucją rzeczywiście dzieje się coś niedobrego, ale na to już nic nie poradzimy - powiedział Piotr, kiedy szli do gabinetu Profesora. Zapukali do drzwi, a kiedy Profesor zawołał: „Proszę!”, weszli do środka. Starszy pan znalazł dla nich jakieś krzesła i oświadczył, że jest całkowicie do ich dyspozycji. Potem usiadł w fotelu, złożył dłonie tak, że stykały się końcami palców, i słuchał z uwagą. Kiedy skończyli, milczał przez jakiś czas, potem odchrząknął i powiedział coś, czego żadne z nich się nie spodziewało:

- A skąd wiecie, że opowieść waszej siostry nie jest prawdą?

- No, bo przecież... - zaczęła Zuzanna i urwała. Wyraz twarzy Profesora wcale nie wskazywał na to, że sobie z nich żartuje. - Przecież sam Edmund powiedział, że tak się tylko bawili.

- To jest właśnie punkt - powiedział Profesor - który z pewnością zasługuje na naszą uwagę, na bardzo wnikliwą uwagę. Na przykład, jeśli mi wolno zapytać, czy wasze dotychczasowe doświadczenie pozwala wam stwierdzić, że jedno z nich - albo brat, albo siostra - bardziej zasługuje na zaufanie? Chodzi mi o to, które z nich jest według was bardziej prawdopodobne?

- To dość śmieszna sprawa, panie Profesorze - powiedział Piotr. - Aż dotąd zawsze bym odpowiedział, że Łucja.

- A co ty o tym sądzisz, moja droga? - zapytał Profesor Zuzannę.

- No więc, tak ogólnie, jestem tego samego zdania co Piotr, ale przecież to nie może być prawda... to wszystko o tym lesie i o faunie.

- Tego jeszcze nie wiemy - powiedział Profesor - a zarzut kłamstwa wobec kogoś, kogo zawsze uważaliście za osobę prawdopodobną, to bardzo poważna sprawa, naprawdę bardzo poważna sprawa.

- Obawiamy się, że to wcale nie musi być kłamstwo - powiedziała Zuzanna. - Może z Łucją dzieje się coś niedobrego?

- Macie na myśli obłąd? - zapytał Profesor spokojnie. - Och, o to możecie być spokojni. Wystarczy na nią popatrzeć, wystarczy z nią porozmawiać, żeby stwierdzić, że na pewno nie zwariowała.

- Ale wobec tego... - zaczęła Zuzanna i urwała. Nawet się jej nie śniło, że dorosły może mówić w ten sposób i zupełnie nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Logika! - powiedział Profesor, jakby do siebie. - Dlaczego nie uczą was logiki w tych szkołach? Są tylko trzy możliwości. Albo wasza siostra kłamie, albo zwariowała, albo mówi prawdę. Wiecie, że nie zwykła kłamać, i jest oczywiste, że nie zwariowała. A więc przynajmniej czasowo, zanim nie uzyskamy jakichś nowych danych, musimy założyć, że mówi prawdę.

Zuzanna popatrzyła na niego uważnie, ale wyraz jego twarzy nie wskazywał na to, że żartuje.

- Ale jak coś takiego może być prawdą? - spytał Piotr.

- Dlaczego o to pytasz?

- Z jednego powodu - odpowiedział Piotr. - Jeżeli to prawda, to dlaczego każdy, kto wejdzie do szafy, nie znajduje tego kraju? Chodzi mi o to, że tam naprawdę nic nie było, kiedy zajrzeliśmy do środka; nawet Łucja nie twierdziła wówczas, że jest inaczej.

- A co to ma do rzeczy? - zapytał znowu Profesor.

- Ależ, panie Profesorze, jeżeli coś jest prawdziwe, to musi być prawdziwe

zawsze!

- Musi? - raz jeszcze zapytał Profesor i Piotr nie wiedział, co na to powiedzieć.

- A poza tym brakuje czasu na to wszystko - dodała Zuzanna. - Nawet gdyby takie miejsce istniało, to Łucja nie miałaby czasu, aby być wszędzie, gdzie opowiadała. Przecież wybiegła z tego pokoju zaraz za nami. Nie minęła nawet minuta, a ona upierała się, że nie było jej całe godziny.

- To właśnie sprawia, że jej opowieść wygląda na prawdziwą - powiedział Profesor. - Jeżeli rzeczywiście są w tym domu Drzwi, które prowadzą do jakiegoś Innego Świata (a powinienem was ostrzec, że to bardzo dziwny dom i nawet ja dobrze go nie znam) - jeśli więc, mówię, Łucja dostała się do Innego Świata, to wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że ten Inny Świat ma swój własny, odrębny czas; tak więc, niezależnie od tego, jak długo w nim się przebywa, NASZ czas nie ma z tym nic wspólnego. Z drugiej strony nie sądzę, by dziewczynka w jej wieku mogła coś takiego sama wymyślić. Sądzę, że gdyby naprawdę chciała was nabrać, to by się gdzieś schowała i siedziała tam tak długo, żeby to pasowało do jej opowieści.

- Ale czy pan naprawdę uważa - powiedział Piotr - że mogą być jakieś inne światy, w tym miejscu, tuż koło nas, tak jak ten?

- Nie ma nic bardziej prawdopodobnego - odpowiedział Profesor, zdejmując okulary. Zabrał się do ich czyszczenia, mrużąc do siebie: - Jestem ciekaw, czego oni ich uczą w tych szkołach.

- Ale wobec tego, co mamy robić? - zapytała Zuzanna. Miała wrażenie, że cała ta rozmowa zaczyna tracić sens.

- Moja panno - powiedział Profesor i spojrzał na nich ostro. - Jest pewien pomysł, którego nikt jeszcze nie podsunął, a który wart jest wypróbowania.

- Co to takiego?

- Możemy wszyscy spróbować zająć się własnymi sprawami.

Był to koniec rozmowy.

W ciągu następnych dni atmosfera trochę się polepszyła. Piotr zadbał o to, aby Edmund przestał dokuczać Łucji, a ani ona, ani nikt z reszty rodzeństwa nie miał najmniejszej ochoty wracać do sprawy starej szafy. Stała się po prostu tematem zakazanym. Tak więc przez jakiś czas mogło się wydawać, że ich nadzwyczajne przygody dobiegły końca. Wkrótce jednak miało się okazać, że jest inaczej.

Dom Profesora - o którym nawet on sam tak mało wiedział - był tak stary i tak słynny, że z całej Anglii przyjeżdżali tu różni ludzie, aby poprosić o zgodę na jego

zwiedzenie. Był to jeden z tych starych domów, które wymieniane są w przewodnikach, a nawet w książkach historycznych; nie było w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę to, co o nim opowiadano. Niektóre z tych historii były jeszcze bardziej niesamowite niż ta, którą wam właśnie opowiadam. A kiedy przybywały grupy turystów i prosiły o pozwolenie zwiedzenia domu, Profesor zawsze się zgadzał, a pani Macready, jego gospodyni, oprowadzała ich po domu, opowiadając o obrazach, o zbroi, o rzadkich okazach książek w bibliotece. Pani Macready nie bardzo lubiła dzieci, a już szczególnie nie znosiła, by jej przeszkadzano, kiedy opowiadała zwiedzającym wszystko, co wiedziała o starym domu. Już pierwszego ranka po przyjeździe dzieci (po udzieleniu wielu innych instrukcji) zapowiedziała im: „I proszę bardzo, abyście pamiętali, że gdy oprowadzam jakąś grupę po domu, to was tam nie ma, rozumiano?”

- Tak jakby ktoś z nas chciał marnować połowę przedpołudnia na szwendanie się po domu z tłumem obcych wapniaków! - powiedział później Piotr, a pozostała trójka była tego samego zdania. I właśnie z tego powodu ich przygody zaczęły się po raz drugi.

Kilka dni po rozmowie z Profesorem Piotr i Edmund przyglądali się stojącej w pokoju z obrazami zbroi, zastanawiając się, jak by tu ją rozebrać na kawałki, kiedy nagle wpadły siostry krzycząc:

- Uwaga! Nadchodzi Macready i cała banda razem z nią!

- Szybko! - zawołał Piotr i cała czwórka czmychnęła przez drzwi w drugim końcu pokoju. Ale kiedy przelecieli przez zielony pokój i zatrzymali się w bibliotece, usłyszeli nagle głosy przed sobą i zdali sobie sprawę z tego, że pani Macready musiała poprowadzić grupę zwiedzających tylnymi schodami, a nie frontowymi, jak tego oczekiwali. A potem - nie bardzo już wiadomo dlaczego: czy potracili głowy, czy też pani Macready uwzięła się, aby ich przyłapać, czy może zaczęły działać jakieś czary, aby zwabić ich do Narnii - dość, że biegali tam i z powrotem, wciąż słysząc zbliżające się głosy, aż w końcu Zuzanna krzyknęła:

- Och, niech dunder świśnie tych wycieczkowiczów! Tutaj! Schowajmy się w garderobie, dopóki nie przejdą. Nikt tam za nami nie wejdzie. - Ale gdy tylko wpadli do pustego pokoju z szafą, usłyszeli głosy na korytarzu, potem chrobotanie przy drzwiach, a wreszcie zobaczyli, że klamka zaczyna się poruszać.

- Szybko! - wyrzucił z siebie Piotr. - Tylko to nam pozostało! - I otworzył szafę. Wszyscy czworo dali nurka między futra i usiedli na podłodze, ciężko dysząc. Piotr

przyciągnął za sobą drzwi, nie zamykając ich jednak całkowicie, bo oczywiście pamiętał o tym - o czym pamięta każdy rozsądny człowiek - że nie powinno się nigdy zatrząskiwać za sobą drzwi, gdy się wchodzi do szafy.

ROZDZIAŁ 6

W PUSZCZY

OJEJ, NIECH TA MACREADY SIĘ POSPIESZY i zabierze stąd tych wszystkich ludzi, bo się uduszę - wyszeptała Zuzanna.

- I co za zapach naftaliny - dodał Edmund.

- Na pewno wszystkie kieszenie tych płaszczy są jej pełne - powiedziała Zuzanna - To przed molami.

- Coś mnie uwiera w plecy - odezwał się Piotr.

- A czy to nie jest przypadkiem zimne? - zapytała Zuzanna.

- Rzeczywiście, jest zimne i... o, psiakostka, mokre! Oj, to jest coraz bardziej mokre! - I zerwał się na równe nogi.

- Chodźcie, wyłazimy stąd - powiedział Edmund. - Już poszli.

- Ooooch! - krzyknęła nagle Zuzanna. Wszyscy zapytali co się stało.

- Siedzę przed jakimś drzewem! - odpowiedziała Zuzanna. - I, popatrzcie tylko, tam jest jakieś światło... o tam!

- O holender, masz rację! - zawołał Piotr. - I popatrzcie tu, i tu! Wszędzie są drzewa. A to mokre świństwo to śnieg. Ależ my przecież jesteśmy w lesie Łucji!

I nie mylił się. Cała czwórka stała teraz, mrugając oczami, w pełnym świetle jasnego, zimowego dnia. Za nimi były płaszcze na wieszakach - przed nimi pokryte śniegiem drzewa.

Piotr zwrócił się od razu do Łucji.

- Wybacz mi, że ci nie uwierzyłem. Naprawdę, bardzo mi głupio. Podamy sobie ręce?

- Oczywiście! - odpowiedziała Łucja.

- A co teraz zrobimy? - zapytała Zuzanna.

- Co zrobimy? - powiedział Piotr. - Ależ naturalnie pójdziemy i zbadamy ten las.

- Robi mi się zimno - stwierdziła Zuzanna, przytupując na śniegu. - Co byście powiedzieli na to, żeby włożyć po jednym z tych futer?

- Nie są nasze - powiedział z wahaniem w głosie Piotr.

- Jestem pewna, że nikomu to nie zaszkodzi, przecież nie chcemy ich wynieść z domu. Pomyśl, my ich właściwie nawet nie wyniesiemy z szafy.

- Wiesz, Zuziu, sam nigdy bym na to nie wpadł - powiedział Piotr. - To wcale nie jest takie głupie. Nikt nie może powiedzieć, że się ukradło płaszczy, jeżeli on wciąż

pozostaje w tej samej szafie, w której go znaleziono. A zakładam, że cały ten kraj należy do szafy.

Szybko zgodzili się na bardzo rozsądny pomysł Zuzanny. Futra były na nich za długie, sięgały aż do i stóp, tak że kiedy je powkładali na siebie, przypominały bardziej królewskie szaty niż zwykłe płaszcze.

Od razu zrobiło im się cieplej, a każdy był przekonany, że pozostali wyglądają w nowym stroju o wiele lepiej i bardziej pasują do otoczenia.

- Możemy udawać, że jesteśmy odkrywcami polarnymi - powiedziała Łucja.

- To wszystko jest tak niesamowite, że chyba nie ma potrzeby niczego udawać - zauważył Piotr, prowadząc ich przez las. Na niebie wisiały ciężkie chmury i zanosilo się na to, że śnieg będzie padać jeszcze przed nadejściem nocy.

- Słuchajcie - odezwał się nagle Edmund - czy nie powinniśmy kierować się bardziej na lewo, oczywiście jeśli chcemy dojść do Latarni? - Przez moment zapomniał, że miał przecież nie przyznawać się do tego, że był już kiedyś w tym lesie. Jak tylko wypowiedział te słowa, zrozumiał, że się zdradził. Wszyscy stanęli i patrzyli na niego w milczeniu. Piotr zagwizdał.

- A więc rzeczywiście tu byłeś, kiedy Łucja mówiła, że cię tu spotkała. A ty upierałeś się, że ona kłamie.

Zapadła cisza.

- Ach, te małe jadowite potworki - mruknął pogardliwie Piotr i wzruszył ramionami. Prawdę mówiąc, nie było już nic więcej do powiedzenia i cała czwórka ruszyła w dalszą drogę, ale Edmund powtarzał sobie w duchu: „Zapłacicie mi za to wszyscy. Banda zarozumiałych, zadowolonych z siebie pyszałków!”

- Ale dokąd właściwie idziemy? - zapytała Zuzanna, przede wszystkim po to, aby zmienić temat.

- Myślę, że Łucja powinna prowadzić - odparł Piotr - choć Bóg jeden wie, czy do tego dorosła. Dokąd byś nas zaprowadziła, Łucjo?

- A co myślicie o odwiedzeniu pana Tumnusa? - zapytała Łucja. - To ten miły faun, o którym wam mówiłam.

Wszyscy się na to zgodzili i ruszyli teraz żwawiej w drogę, chrzęszcząc butami po śniegu. Łucja okazała się dobrym przewodnikiem. W pierwszej chwili nie była wcale pewna, czy znajdzie drogę, ale wkrótce rozpoznała jakieś dziwnie wyglądające drzewo, a potem jakiś pniak, który poprzednio utkwił jej w pamięci. Dość szybko znaleźli się w górzystej okolicy, potem zeszli do małego wąwozu, aż w końcu trafili na

wejście do pieczary pana Tumnusa. Ale tutaj oczekiwała ich przykra niespodzianka.

Drzwi zostały wyłamane z zawiasów i porozbijane na kawałki. Wewnątrz pieczary było ciemno, wilgotno i zimno - czuło się przygnębiającą atmosferę nie zamieszkanego od wielu dni miejsca. Do środka nawiało sporo śniegu, który leżał na podłodze, zmieszany z czymś czarnym, co okazało się zawartością dawno wygasłego kominka. Ktoś najwyraźniej porozrzucił popiół i zwęglone szczapy po całym pokoju, a następnie miażdżył je butami. Wszędzie wały się potłuczone naczynia, a portret taty fauna pocięto nożami.

- Kompletna klapa - powiedział Edmund. - W ogóle nie warto było tu przychodzić.

- A co to takiego? - Piotr zwrócił uwagę na kawałek papieru przygwożdżony do dywanu.

- Czy tam jest coś napisane? - zapytała Łucja.

- Tak mi się wydaje - odpowiedział Piotr - ale w tych ciemnościach nie mogę niczego odczytać. Wyjdźmy z tym na dwór.

Wyszli na światło dzienne i otoczyli Piotra, który odczytał następujące słowa:

Poprzedni właściciel tej nieruchomości, faun Tumnus, został aresztowany i oczekuje sądu pod zarzutem Spisku Najwyższego Stopnia przeciw władzy Jej Cesarskiej Wysokości Jadis, Królowej Narnii, Kasztelanki na Ker-Paravelu, Cesarzowej Samotnych Wysp etc., a także pod zarzutem sprzyjania wrogom Jej Królewskiej Wysokości, udzielania schronienia szpiegom i przyjaźnienia się z Ludźmi.

Podpisano: Maugnm,

Kapitan Tajnej Policji.

Niech żyje Królowa!

Dzieci popatrzyły po sobie.

- Wcale nie jestem pewna, czy mi się tu naprawdę podoba - powiedziała Zuzanna.

- Kim jest ta królowa, Łucjo? - zapytał Piotr.

- Czy coś o niej wiesz?

- Ona wcale nie jest prawdziwą królową. To straszna wiedźma, Biała Czarownica. Nienawidzą jej wszyscy, wszyscy mieszkańcy lasu. To ona z czarowała cały ten kraj, tak że zawsze jest zima, a przy tym nigdy nie ma Bożego Narodzenia.

- Ja... zastanawiam się, czy w ogóle jest sens iść dalej - powiedziała Zuzanna. -

Chodzi mi o to, że tutaj jakoś nie jest specjalnie bezpiecznie, i myślę, że nie będziemy się dobrze bawić. A poza tym z każdą chwilą robi się coraz zimniej i nie zabraliśmy nic do jedzenia. Co wy na to, żeby wrócić do domu?

- Ale przecież nie możemy tego zrobić, naprawdę, nie możemy! - wykrzyknęła Łucja. - Czy to nie jest dla was jasne? Po tym wszystkim nie możemy sobie tak po prostu iść do domu. Przecież to przeze mnie ten biedny faun wpadł w takie tarapaty. Mówiłam wam, że ukrył mnie przed Czarownicą i pokazał mi powrotną drogę. To właśnie oznacza „sprzyjanie wrogom Królowej i przyjaźnienie się z Ludźmi”. Musimy spróbować go uwolnić.

- Dużo możemy zrobić - wtrącił się Edmund

- kiedy nawet nie mamy nic do jedzenia.

- Cicho bądź! - powiedział Piotr, który wciąż był na niego zły. - A co ty o tym myślisz, Zuzanno?

- Mam okropne uczucie, że Łucja ma rację. Nie mam najmniejszej ochoty iść ani kroku dalej i żałuję, że w ogóle tu przyszłam. Ale sądzę, że musimy coś zrobić dla pana Jak-mu-tam-na-imię, to znaczy tego fauna.

- I ja tak myślę - powiedział Piotr. - Niepokoi mnie tylko brak jedzenia. Głosowałbym za powrotem i zabranie czegoś ze spiżarni, gdyby tylko była pewność, że uda nam się dostać do tego kraju po raz drugi. Ale takiej pewności nie mamy. Uważam, że musimy iść dalej.

- Ja też - powiedziały jednocześnie obie dziewczynki.

- Dobrze by było, żebyśmy chociaż wiedzieli, gdzie tego biedaka uwięziono - dodał Piotr.

Milczeli przez chwilę zastanawiając się, co robić, kiedy nagle Łucja zawołała:

- Spójrzcie! Tam jest drozd, z takim czerwonym brzuszkiem! To pierwszy ptak, jakiego tu widzę. Patrzcie! A może ptaki w Narnii potrafią mówić? On wygląda tak, jakby chciał nam coś powiedzieć. - I zwróciła się wprost do drozda: - Przepraszam bardzo, czy nie mógłbyś nam powiedzieć, dokąd zabrano fauna Tumnusa?

Kiedy to powiedziała, zrobiła kilka kroków w kierunku ptaka, a drozd natychmiast odfrunął na następne drzewo i zaćwierkał, wpatrując się w nich tak, jakby rozumiał wszystko, co mówili. Prawie bezwiednie cała czwórka postąpiła krok lub dwa w jego stronę. Drozd znowu przeleciał na następne drzewo i znowu patrzył na nich, jakby chciał im coś powiedzieć. (Trudno byłoby spotkać drozda o bardziej czerwonym brzuszku i o bardziej bystrym spojrzeniu.)

- Wiecie co - powiedziała Łucja - jestem pewna, że on naprawdę chce nas gdzieś zaprowadzić.

- Ja też tak myślę - zgodziła się Zuzanna. - Co o tym sądzisz, Piotrze?

- No cóż, w każdym razie możemy spróbować - odpowiedział Piotr.

Drozd wydawał się wszystko doskonale rozumieć. Przelatywał z drzewa na drzewo, zawsze kilkanaście metrów przed nimi, ale na tyle blisko, aby nie stracili go z oczu. Kiedy odfruwał, z gałązek opadała lawina śniegu. W ten sposób prowadził ich po nieznacznie opadającym zboczu. Po jakimś czasie czarne chmury na niebie rozstały się i wyjrzało blade, zimowe słońce, a śnieg wokół nich rozjarzył się kłującą w oczy bielą. Wędrowali tak około godziny. Dziewczynki szły na przedzie. W pewnej chwili Edmund odezwał się półgłosem do Piotra:

- Jeżeli nie jesteś zbyt dumny i wielki na to, aby ze mną rozmawiać, to miałbym ci coś do powiedzenia. Dobrze by było, żebyś to wiedział.

- Co masz na myśli?

- Ciiicho! Nie tak głośno. Po co straszyć dziewczyny? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co robimy?

- A co? - spytał Piotr, zniżając głos do szeptu.

- Idziemy za przewodnikiem, o którym nic nie wiemy. Skąd możemy wiedzieć, po czyjej stronie jest

i ten ptak? A może prowadzi nas w pułapkę?

- To wredny pomysł. To przecież drozd... We wszystkich opowieściach, jakie czytałem, drozdy są zawsze dobrymi ptakami. Jestem pewien, że drozd nie mógłby być po złej stronie.

- Jeżeli już o to chodzi, to która strona jest naprawdę dobra? Skąd możemy wiedzieć, że fauny są w porządku, a królowa, tak, tak, SŁYSZAŁEM, że to czarownica, jest zła? Przecież nic nie wiemy ani o niej, ani o faunach.

- Faun uratował Łucję.

- On tak tylko POWIEDZIAŁ. Skąd wiesz, że tak było naprawdę? A poza tym jest jeszcze jedna sprawa. Czy ktoś z was ma najmniejsze pojęcie o tym, jak wrócić do domu?

- O holender! Nie pomyślałem o tym.

- I w dodatku nie ma żadnych widoków na obiad - dodał Edmund.

ROZDZIAŁ 7

DZIEŃ U BOBRÓW

PODCZAS GDY DWAJ CHŁOPCY szeptali między sobą w tyle, dziewczynki krzyknęły nagle: „Och!” i raptownie się zatrzymały.

- Drozd! - zawołała Łucja. - Drozd gdzieś odleciał!

I miała rację. Nigdzie go nie było.

- I co teraz zrobimy? - zapytał Edmund, patrząc na Piotra tak, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”

- Ciiicho! Spójrzcie! - powiedziała Zuzanna.

- Co? - spytał Piotr.

- Tam coś jest wśród drzew, o, tam, na lewo. Wszyscy wytrzeszczyli oczy, a nikt nie czuł się zbyt przyjemnie.

- O, znowu się rusza - powiedziała Zuzanna. - Wciąż tam jest. Schowało się za tym wielkim drzewem.

- Co to może być? - zapytała Łucja, starając się, aby jej głos nie brzmiał zbyt nerwowo.

- Nie wiem, co to jest, ale wiem, że wyraźnie się przed nami chowa - zauważył Piotr. - To coś takiego, co nie chce być zauważone.

- Wracajmy do domu - powiedziała Zuzanna. I wtedy, chociaż nikt nic nie powiedział, wszyscy zdali sobie sprawę z tego, o czym Edmund szeptał Piotrowi na końcu poprzedniego rozdziału. Zabłądzili.

- Jakie to jest? - spytała znowu Łucja.

- To jest chyba jakiś rodzaj zwierzęcia - powiedziała Zuzanna.

- O, patrzcie! Patrzcie! Szybko! O, tam jest!

Teraz wszyscy zobaczyli porośniętą futrem twarz z długimi wąsami, która obserwowała ich zza drzewa. Ale tym razem dziwne stworzenie nie uciekło na ich widok. Przeciwnie, przyłożyło łapę do pyska, tak jak ludzie przykładają palec do ust, kiedy dają znać, żeby być cicho. Potem znowu znikło. Dzieci stały, wstrzymując oddechy.

Chwilę później dziwny stwór wychynął zza drzewa, rozejrzał się dookoła, jakby w obawie, że ktoś może ich zobaczyć, i powiedział: „Ciiicho!”, czyniąc wyraźne znaki, by poszli za nim, w gęstszy las. Potem zniknął ponownie.

- Wiem, co to jest - powiedział Piotr. - To bóbr. Widziałem jego ogon.

- On chce, żebyśmy za nim poszli - wtrąciła Zuzanna - i ostrzega nas, żebyśmy

byli cicho.

- To jasne - powiedział Piotr. - Problem tylko, czy iść za nim, czy nie. Co o tym myślisz, Łucjo?

- Wygląda na bardzo miłego bobra.

- Tak, tylko skąd o tym WIESZ? - zapytał Edmund.

- Czy nie możemy zaryzykować? - odezwała się Zuzanna. - Nie sądzę, aby stanie w tym śniegu dało nam coś więcej, a poza tym czuję, że na pewno zjadłabym obiad.

W tej chwili bóbr znowu wytknął głowę zza drzewa i wyraźnie pokiwał na nich pazurem.

- Chodźmy - powiedział Piotr - sprawdzimy to. Trzymajmy się blisko siebie. Powinniśmy być godnymi przeciwnikami dla jednego bobra, jeśli okaże się wrogiem.

Tak więc dzieci zbiły się w ciasną gromadkę i poszły w kierunku drzewa, a za nim, jak można się było spodziewać, znalazły bobra. Na ich widok znowu zaczął się cofać, a widząc, że się wahają, odezwał się chrapliwym, gardłowym głosem:

- Trochę dalej. Chodźcie trochę dalej. O, tam, gdzie pokazuję. Na otwartej przestrzeni nie jesteśmy bezpieczni.

Wreszcie zaprowadził ich do ciemnego miejsca, gdzie cztery drzewa rosły tak blisko siebie, że ich gałęzie połączyły się, tworząc szczelny dach. Pod nogami widać było zamiast śniegu brunatną ziemię i jodłowe igły. Dopiero tutaj zatrzymał się i zaczął mówić.

- To wy jesteście Synami Adama i Córkami Ewy?

- Zgadza się, jesteśmy przedstawicielami tego gatunku - odpowiedział Piotr.

- Nie tak głośno, proszę. Nie jesteśmy tu bezpieczni.

- Dlaczego? Kogo się obawiasz? - zapytał Piotr. - Oprócz nas nie ma tu nikogo.

- Są tu drzewa - powiedział bóbr. - One zawsze nasłuchują. Większość z nich jest po naszej stronie, ale są i takie, które mogłyby donieść JEJ, wiecie, o kim mówię.

- Jeżeli już mówimy o stronach - powiedział Edmund - to skąd możemy mieć pewność, że jesteś naszym przyjacielem?

- Nie chcemy, oczywiście, pana obrazić - wtrącił szybko Piotr - ale sam pan rozumie, jesteśmy tu obcy.

- W porządku, w porządku - powiedział bóbr. - Oto mój znak rozpoznawczy. - Po tych słowach podał im jakiś mały przedmiot. Wszyscy popatrzyli ze zdziwieniem, a Łucja oznajmiła:

- Ależ oczywiście! To moja chusteczka, którą dałam biednemu panu

Tumnusowi.

- Zgadza się - rzekł bóbr. - Biedaczysko, wyczuł, że przyjdą go aresztować, i *zdążył* mi ją przekazać. Powiedział mi, że gdyby mu się coś stało, muszę was odnaleźć i zabrać do... - tu głos mu zamarł, a on sam wykonał kilka tajemniczych gestów. Potem dał znać dzieciom, aby przysunęły się do niego jeszcze bliżej, tak że jego długie wąsy łaskotały je w policzki, i dodał stłumionym szeptem:

- Mówią, że Aslan jest w drodze... a może już wylądował.

I wówczas zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Żadne z dzieci nie wiedziało o Aslanie więcej niż wy, ale gdy tylko bóbr wypowiedział te słowa, każde z nich poczuło się zupełnie inaczej. Być może zdarzyło się wam kiedyś we śnie, że ktoś powiedział coś, czego nie rozumieliście, ale co zdawało się mieć jakieś niezwykle znaczenie: albo przerażające - i wtedy cały sen zamieniał się w koszmar, albo tak cudowne, że trudno wyrazić je słowami - i wtedy sen stawał się czymś tak wspaniałym, że zapamiętaliście go na całe życie i zawsze odtąd pragniecie, aby przyśnił się wam raz jeszcze. Coś podobnego poczuły dzieci po wypowiedzeniu przez bobra tego dziwnego zdania. Na dźwięk imienia „Aslan” każdemu z dzieci coś drgnęło w sercu. Edmund odczuł falę tajemniczego lęku. Piotr stał się nagle wyjątkowo dzielny i żądny przygód. Zuzanna poczuła się tak, jakby ją ogarnął jakiś cudowny zapach albo jakaś zachwycająca, słodka melodia. A uczucie, które przeniknęło Łucję, przypominało nastrój, w jakim ktoś budzi się rano i zdaje sobie sprawę, że jest pierwszy dzień wakacji albo początek lata.

- A co z panem Tumnusem? - przerwała ciszę Łucja. - Gdzie on może teraz być?

- Sza! - syknął bóbr. - Nie tutaj. Muszę was zaprowadzić tam, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać, no i zjeść obiad.

Nikt - prócz Edmunda - nie miał już żadnych wątpliwości, że można bobrowi zaufać, i wszyscy - tym razem również i Edmund - ucieszyli się na dźwięk słowa „obiad”. Pospieszyli więc za swoim nowym przyjacielem, który podążał naprzód nadspodziewanie szybko i prowadził ich przez najbardziej zarośnięte miejsca. Trwało to około godziny. Każdy był już porządnie zmęczony i głodny, kiedy wreszcie drzewa przed nimi stały się rzadsze, a teren zaczął się stopniowo obniżać. Chwilę później wyszli na otwartą przestrzeń. Słońce wciąż świeciło, a przed nimi roztaczał się wspaniały widok.

Stali na zboczu spadzistej, wąskiej doliny, na której dnie płynęła - a w każdym razie płynęłaby, gdyby nie była skuta lodem - dość szeroka rzeka. Tuż pod nimi na

rzece zbudowano tamę i kiedy ją zobaczyli, przypomnieli sobie od razu, że przecież bobry zawsze budują tamy. Nie mieli wątpliwości, że patrzą na tamę, którą zbudował właśnie pan Bóbr. Zauważyli zresztą, że na jego twarzy pojawił się wyraz dumy - coś takiego, co łatwo można dostrzec na twarzy osoby, która pokazuje nam swój ogród albo czyta nam napisane przez siebie opowiadanie. Zuzanna potrafiła się znaleźć i powiedziała:

- Cóż za wspaniała tama!

A pan Bóbr nie syknął tym razem „Sza!”, ale rzucił lekceważąco:

- Ależ to przecież nic nadzwyczajnego! Nic nadzwyczajnego! Jeszcze nie skończona...

Powyżej tamy znajdowało się coś, co zapewne było kiedyś głębokim stawem, ale teraz jedynie płaską powierzchnią ciemnozielonego lodu. Poniżej też był lód, ale nie płaski i równy jak stół, lecz pofałdowany i pożłobiony, jakby nagle chwycił ostry mróz i utrwalił kształty spienionych fal w ich naturalnym biegu w dół rzeki. A tam, gdzie niegdyś woda spływała w kaskadach z tamy, lśniła teraz ściana lodowych sopli, jakby tę stronę budowli pokrywały kwiaty, wieńce i girlandy z najczystszej cukru. Pośrodku tamy, częściowo w nią wbudowany, wyrastał śmieszny domek przypominający wielki ul. Z dziury w jego szczycie ulatywał wesoły dymek i już sam ten widok (zwłaszcza gdy się było głodnym) przywodził na myśl gotowanie, pieczenie i smażenie, co sprawiało, że czuło się jeszcze większy głód niż przedtem.

Trudno się dziwić, że dzieci wpatrywały się w domek na tamie jak urzeczone, ale Edmund dostrzegł coś jeszcze, na co pozostałe nie zwróciły w ogóle uwagi. Nieco niżej widać było ujście drugiej, mniejszej rzeczki, biegnącej przez niezbyt stromą dolinę. Patrząc w górę tej dolinki, zobaczył dwa małe wzniesienia. Nie ulegało wątpliwości, że są to owe dwa wzgórza, które pokazała mu Biała Czarownica, gdy tamtego dnia rozstawali się w pobliżu Latarni. „A więc gdzieś pomiędzy nimi - pomyślał Edmund - musi być jej pałac, zaledwie milę stąd, a może jeszcze bliżej”. Pomyślał o ptasim mleczku i o tym, że może zostać królem („Ciekaw jestem, czy Piotrowi będzie się to podobało”), i okropny pomysł wpadł mu do głowy.

- A więc jesteśmy na miejscu - oznajmił pan Bóbr - i wygląda na to, że pani Bobrowa nas oczekuje. Pokażę wam drogę. Uważajcie tylko, żeby się nie pośliznąć.

Tama okazała się wystarczająco szeroka, aby po niej iść, chociaż (dla ludzi) nie było to zbyt przyjemne ze względu na lód, który ją pokrywał. Z jednej strony zamrożone rozlewisko górnej rzeki równało się poziomem ze szczytem tamy, a z

drugiej strony ziała niebezpieczna przepaść, na której dnie bieleły się lodowe fale dolnej rzeki. Pan Bóbr poprowadził ich gęsiego po szczycie tamy, aż na sam środek, skąd hen, do horyzontu, widać było rzekę z jednej i drugiej strony. Tutaj znajdowały się drzwi do jego domku.

- A więc jesteśmy, żono - powiedział pan Bóbr. - Znalazłem ich. Oto są Synowie i Córki Adama i Ewy.

Pierwszą rzeczą, która zwróciła uwagę Łucji, kiedy weszli do środka, był dziwnie znajomy turkot. Potem zobaczyła puszystą postać siedzącą w kącie przy maszynie do szycia. Była to pani Bobrowa. Na ich widok zatrzymała maszynę, wstała, wyjęła długą nitkę, która zwisała jej z pyska, i spojrzała na nich przyjaźnie.

- Wreszcie przybywacie! - powiedziała, wyciągając do nich swoje pomarszczone, stare łapy. - Nareszcie! Pomyśleć tylko, że dożyłam tego dnia! Kartofle już się gotują, czajnik podśpiewuje i mam nadzieję, panie Bobrze, że przyniesiesz nam jakąś rybkę.

- Przyniosę, a jakże - odpowiedział pan Bóbr i chwyciwszy cebrzyk, wyszedł z domu (a Piotr z nim). Na środku zamarzniętego rozlewiska czerniał wyrąbany w lodzie siekierą niewielki przerębel. Pan Bóbr usiadł na jego brzegu (nie przejmując się wcale temperaturą), popatrzył uważnie w dziurę, potem nagle zanurzył błyskawicznie łapę w wodzie i zanim zdążylibyście powiedzieć „Kuba Wróbel”, wyciągnął pięknego pstrąga. Potem powtórzył tę sztukę tyle razy, ile było potrzeba, by cebrzyk napełnił się rybami.

W tym samym czasie dziewczynki pomagały pani Bobrowej napełnić kociołek wodą, nakryć do stołu, pokroić chleb, włożyć talerze do piekarnika, aby się ogrzały, z beczułki stojącej w kącie nalać dla pana Bobra piwa do sporego kufla, postawić na ogniu patelnię i rozgrzać tłuszcz. Łucja pomyślała sobie, że dom

państwa Bobrów jest bardzo przytulny, choć w niczym nie przypominał pieczary pana Tumnusa. Nie było w nim książek ani obrazów, a zamiast łóżek wbudowano w ściany prycze, jak na okręcie. Z sufitu zwieszały się szynki i wieńce cebuli, a na ścianach wisiały gumowe buty, płaszcze nieprzemakalne, siekiery, nożyce, szpadle, rydle, rozmaite narzędzia murarskie, wędki, sieci rybackie i więdzierze. A obrus na stole, choć bardzo czysty, był szorstki w dotyku.

Właśnie kiedy tłuszcz na patelni zaczynał już skwierczeć, Piotr i pan Bóbr powrócili z rybami, które gospodarz uprzednio wypatroszył i oczyścił nożem na świeżym powietrzu. Możecie sobie wyobrazić, jak cudownie pachniała smażąca się

świeżo złowiona ryba i jak bardzo dzieciom ciekła ślinka, i jak głód ich wzrastał i wzrastał z każdą chwilą, aż wreszcie pani Bobrowa oznajmiła: „No, to jesteśmy już prawie gotowe”. Zuzanna odcedziła kartofle i postawiła je jeszcze na kuchni, aby odparowały, a Łucja pomogła pani Bobrowej wyłożyć pstrągi na półmisek. Wreszcie każdy mógł sobie przysunąć jeden ze stołków (w domu Bobrów wszystkie stołki miały trzy nogi; wyjątkiem był specjalny fotel na biegunach, w którym pani Bobrowa siadywała przy piecu) i przygotować się na bliskie już rozkosze podniebienia. Na stole stał dzban kremowego mleka dla dzieci (pan Bóbr wołał zostać przy piwie) i wielka bryła złocistego masła, z której każdy mógł sobie brać do kartofli tyle, na ile miał ochotę. Każde z dzieci pomyślało sobie - a ja zgadzam się z nimi - że nie ma nic lepszego nad dobrą rybę ze słodkiej wody, jeżeli je się ją w pół godziny po złowieniu i w pół minuty po zdjęciu z patelni. A kiedy skończyli jeść rybę, pani Bobrowa wyciągnęła niespodziewanie z piekarnika wielką, jeszcze gorącą i polukrowaną na wierzchu struclę z marmoladą i postawiła imbryk na ogniu, tak że kiedy skończyli struclę, herbata była już gotowa. I kiedy każdy dostał filiżankę herbaty, każdy podsunął swój stołek do ściany, aby się o nią wygodnie oprzeć, i każdy wydał z siebie długie westchnienie pełnego szczęścia.

- A teraz - powiedział pan Bóbr, odstawiając pusty już kufel i przysuwając sobie filiżankę herbaty - jeżeli będziecie tak mili i poczekacie, aż napełnię sobie fajkę, możemy zająć się naszymi sprawami. Widzę, że śnieg znowu pada - dodał, spoglądając w okno. - To najlepsze, co mogło się zdarzyć, bo to znaczy, że nie będziemy mieli nieproszonych gości, a jeśli ktoś próbował was tropić, nie znajdzie żadnych śladów.

ROZDZIAŁ 8

CO WYDARZYŁO SIĘ PO OBIEDZIE

A TERAZ - poprosiła Łucja - niech nam pan opowie, co stało się z panem Tumnusem.

- No cóż, to paskudna, bardzo paskudna sprawa - odpowiedział pan Bóbr, potrząsając głową. - Nie ma wątpliwości, że zabrała go policja. Dowiedziałem się o tym od pewnego ptaka, który to wszystko widział.

- Ale dokąd go zabrali? - zapytała Łucja.

- Kiedy go ostatni raz widziano, prowadzili go na północ, a wszyscy wiemy, co to oznacza.

- Nie wszyscy. MY nie wiemy - powiedziała Zuzanna.

Pan Bóbr jeszcze raz potrząsnął głową ze smutkiem.

- Obawiam się, że to oznacza tylko jedno: prowadzą go do jej Domu.

- Ale co oni chcą z nim zrobić? - wydusiła z siebie Łucja.

- No cóż - odpowiedział pan Bóbr - trudno to z całą pewnością przewidzieć. W każdym razie z tych, których tam zabrano, niewielu dotąd powróciło. Posągi. Mówią, że cały ten Dom pełen jest posągów: na dziedzińcu, wzdłuż schodów, w wielkiej sali. Posągi tych, których ona zamieniła - tu przerwał na chwilę i wzdrygnął się - zamieniła w kamień.

- Ale, panie Bobrze - powiedziała Łucja - czy nie możemy... to znaczy my musimy coś zrobić, aby go uratować. To przecież jest straszne... i to wszystko z mojego powodu.

- Nie wątpię, żebyś go uratowała, gdybyś tylko mogła, moja kochana - wtrąciła się pani Bobrowa

- ale nie ma żadnej szansy, aby się dostać żywym do pałacu bez jej woli i wyjść z niego żywym.

- Czy nie możemy wymyślić jakiegoś fortelu?

- zapytał Piotr. - To znaczy, czy nie możemy przebrać się za kogoś albo udawać, że jesteśmy... no, na przykład wędrownymi sprzedawcami, albo kimkolwiek, albo zacząć się i czekać, aż ona będzie wyjeżdżała, albo, och..., do licha, przecież musi być jakiś sposób! Ten faun uratował moją siostrę, narażając swoje życie. Nie możemy go tak po prostu zostawić, żeby był... żeby... żeby z nim to zrobiono.

- Nie sądzę, Synu Adama - powiedział pan Bóbr - aby cokolwiek wyszło z WASZYCH prób. Ale skoro już Aslan jest w drodze...

- Właśnie! Opowiedz nam o Aslanie! - odezwało się kilka głosów naraz, ponieważ znowu, na sam dźwięk tego imienia, ogarnęło ich dziwne uczucie: jak pierwsze oznaki wiosny, jak dobra nowina.

- Kim jest Aslan? - zapytała Zuzanna.

- Aslan? - powtórzył pan Bóbr. - Jak to, nie wiecie? On jest Królem. On jest Panem całej puszczy, choć nie bywa tu często. Nie było go tu za

mojego życia ani za życia mojego ojca. Ale oto doszła nas nowina, jakoby powrócił. Już jest w Narnii. On sobie poradzi z Białą Czarownicą. To on, a nie wy, może uratować pana Tumnusa.

- A czy ona nie może zamienić i jego w kamień? - zapytał Edmund.

- Niech cię Pan Bóg ma w swojej opiece, Synu Adama! Cóż to za naiwne pytanie - odpowiedział pan Bóbr, wybuchając śmiechem. - Zamienić w kamień JEGO? Jeżeli zdoła stanąć na własnych nogach przed nim i spojrzeć mu w twarz, to już będzie szczyt tego, na co ją stać. Nie, nie. On wszystko naprawi, jak mówi się w naszych stronach w pewnym starym wierszu:

Zło zostanie naprawione,
Gdy w tę Aslan przyjdzie stronę;
A gdy głośno on zaryczy,
Znikną smutki i gorycze;
A gdy zębem wkoło błysnie,
Zimę nagła śmierć uściśnie,
A gdy grzywą złotą wstrząśnie
Da początek wiecznej wiosnie.

Zrozumiecie zresztą sami, kiedy go zobaczycie.

- Ale czy go zobaczymy? - zapytała Zuzanna.

- O Córko Ewy, przecież właśnie dlatego tutaj jesteście. Mam was zaprowadzić tam, gdzie się z nim spotkacie.

- Czy... czy on jest człowiekiem? - zapytała Łucja.

- Aslan... człowiekiem! - powiedział pan Bóbr ostro. - Oczywiście, że nie. Powiedziałem wam, że on jest Królem puszczy i synem Wielkiego Władcy-Zza-Morza. Czyżbyście nie wiedzieli, kto jest królem zwierząt? Aslan jest lwem, i to nie jakimś tam lwem, ale Wielkim Lwem!

- Och! - zawołała Zuzanna. - Myślałam, że jest człowiekiem. Czy on... nie jest groźny? Obawiam się, że może mi się zrobić słabo, kiedy spotkam lwa.

- Nie ma wątpliwości, że ci się zrobi słabo, moja kochana - odezwała się pani Bobrowa. - Jeżeli jest ktoś, kto może stanąć przed Aslanem, nie trzęsąc się przy tym ze strachu, to albo jest najdzielniejszym z dzielnych, albo jest po prostu głupi.

- A więc on jest groźny? - zapytała Łucja.

- Groźny? - powtórzył pan Bóbr. - Nie słyszałaś, co powiedziała moja żona? Oczywiście, że jest groźny. Ale jest dobry. Powiedziałem wam, że on jest Królem.

- Tak bardzo chciałbym go zobaczyć - powiedział Piotr. - Nawet jeśli miałbym się bardzo bać, gdy do tego dojdzie.

- Masz świętą rację, Synu Adama - powiedział pan Bóbr, uderzając łapą w stół z taką siłą, że wszystkie filiżanki i spodeczki podskoczyły z hałasem.

- I zobaczysz go. Nadeszła wiadomość, że macie się właśnie z nim spotkać - jutro, jeśli to będzie możliwe - przy Kamiennym Stole.

- Gdzie to jest? - zapytała Łucja.

- Pokażę wam - powiedział pan Bóbr. - To jest w dół rzeki, dobry kawałek stąd. Zaprowadzę was.

- Ale co będzie z biednym panem Tumnusem?

- Nie ma szybszego sposobu udzielenia mu pomocy od spotkania się z Aslanem. Kiedy już będzie z nami, możemy zaczynać. To wcale nie znaczy, że nie będziemy was potrzebować. Jest jeszcze jeden stary wiersz, który głosi:

Gdy ciało z ciała Adama i kość z jego kości,
W Ker-Paravelu na tronie zagości,
Przeminą złe czasy niegodziwości.

A więc musi zbliżyć się spełnienie tego wszystkiego, skoro on nadchodzi i wy już jesteście. Słyszeliśmy, że kiedyś, kiedyś - nikt nie wie kiedy - Aslan był już w tych stronach. Ale nigdy jeszcze nie widziano tu nikogo z waszej rasy.

- Tego właśnie nie rozumiem, panie Bobrze - powiedział Piotr. - Czyżby Czarownica nie była człowiekiem?

- Bardzo by chciała, żebyśmy w to uwierzyli, bo właśnie na tym opiera swoje roszczenia do tronu Narnii. Ale ona nie jest Córką Ewy. Ona pochodzi od Lilith, która twierdziła, że jest pierwszą żoną waszego praojca Adama - tutaj pan Bóbr skłonił się - ale naprawdę należała do rasy dzinnów. Tyle jeśli idzie o jej pochodzenie z jednej strony. Z drugiej strony pochodzi od olbrzymów. Nie, nie, w tej Czarownicy nie płynie ani jedna kropla prawdziwej ludzkiej krwi.

- I właśnie dlatego jest na wskroś zła - dodała pani Bobrowa.

- Jeżeli już mamy być całkiem szczerzy, moja żono - powiedział pan Bóbr - to mogą być dwie różne opinie na temat ludzi, bez obrazy tutaj obecnych.

Ale z całą pewnością trudno o dwie różne opinie na temat takich typów, którzy wyglądają jak ludzie, a nimi nie są.

- Znam zupełnie przyzwoite karły - powiedziała pani Bobrowa.

- I ja również, jeżeli już mamy o tym mówić - odparł jej mąż - ale tak naprawdę to nie jest ich zbyt wielu, a w dodatku nie bardzo przypominają ludzi. Ale biorąc rzecz w ogólności, posłuchajcie mojej rady i kiedy spotkacie kogoś, kto zamierza być człowiekiem, a jeszcze nim nie jest, albo kiedyś był człowiekiem, a już nim być przestał, albo też powinien być człowiekiem, a nim nie jest - to nie spuszczaście go z oka i przypomnijcie sobie, gdzie macie siekiere. Ale, wracając do rzeczy, właśnie dlatego ta wiedźma wciąż wypatruje, czy w Narnii nie pojawi się jakiś prawdziwy człowiek. Wypatruje was od lat, a jeżeli się dowie, że jest was czworo, będzie jeszcze bardziej niebezpieczna.

- A co to ma do rzeczy? - zapytał Piotr.

- Istnieje jeszcze jedna przepowiednia. W Ker-Paravelu - jest to zamek położony na brzegu morza, u ujścia rzeki, który powinien być stolicą całego kraju, gdyby wszystko działo się tak, jak dziać powinno - a więc w Ker-Paravelu znajdują się cztery trony, a od niepamiętnych czasów krąży po Narnii przepowiednia, że kiedy dwóch Synów Adama i dwie Córki Ewy zasiądą na tych tronach, nadejdzie koniec - już nie tylko panowania Białej Czarownicy, ale i jej życia. Oto dlaczego musieliśmy być tacy ostrożni, kiedy tu wędrowaliśmy. Gdyby się tylko dowiedziała, że jest was czworo, wasze życie nie byłoby warte kawałeczka moich wąsów.

Wszystkie dzieci były tak zaszuchane w opowieść pana Bobra, że zapomniały o Bożym świecie. Teraz, po chwili milczenia, które zapadło po jego ostatnich słowach, Łucja zapytała, nagle:

- Słuchajcie, gdzie jest Edmund?! i

Zapanowała złowroga cisza, a potem wszyscy, jeden przez drugiego, zaczęli zadawać sobie bezładne pytania: „Kto go widział ostatni?” - „A może wyszedł na dwór?” - „Od jak dawna go nie ma?” Rzucili się do drzwi i wyjrżeli na zewnątrz. Śnieg sypał gęsto, zielonkawy lód na powierzchni rozlewiska pokrył się już całkowicie białą pierzyną, a ze środka tamy, gdzie stali, ledwo można było dostrzec oba brzegi. Wyszli z domku i zapadając się po kostki w miękki, sypki śnieg, krążyli wokół, nawołując aż do zachrypnięcia: „Edmund! Edmund!” Ale cicho padający śnieg wydawał się tłumić

ich głosy i nie było nawet echa w odpowiedzi.

- Och, jakie to okropne! - biadała Zuzanna, kiedy w końcu dali spokój poszukiwaniom i zrozpaczeni wrócili do domku. - Och, jak żałuję, że w ogóle tu przychodziliśmy!

- I co teraz mamy robić, panie Bobrze? - zapytał Piotr.

- Robić? - powtórzył gospodarz, który już wkładał długie buty. - Co robić? Musimy natychmiast ruszać w drogę. Nie mamy ani chwili do stracenia.

- Będzie lepiej, jak podzielimy się na cztery grupy poszukiwawcze - powiedział Piotr - i rozejdziemy w różnych kierunkach. Jeżeli ktoś z nas go znajdzie, musi od razu wrócić i...

- Grupy poszukiwawcze? - zapytał pan Bóbr.

- A po co?

- Jak to? Aby szukać Edmunda!

- Nie ma najmniejszego sensu go szukać - oświadczył pan Bóbr.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - odezwała się Zuzanna. - Przecież nie mógł odejść daleko. A my musimy go znaleźć. Co pan miał na myśli mówiąc, że nie ma sensu go szukać?

- Powód, dla którego nie ma sensu go szukać, jest prosty: ponieważ dobrze wiemy, dokąd poszedł - odpowiedział spokojnie pan Bóbr. Wszyscy popatrzyli na niego ze zdumieniem.

- Czy wy nie rozumiecie? - powiedział pan Bóbr. - On poszedł do NIEJ, do Białej Czarownicy. Zdradził nas wszystkich.

- Och, naprawdę! - zawołała Zuzanna. - Przecież nie mógł tego zrobić!

- Nie mógł? - zapytał pan Bóbr, patrząc uważnie na troje dzieci, i wszystko, co chciały powiedzieć, zamarło im na ustach, ponieważ każde z nich nagle poczuło, że Edmund na pewno to zrobił.

- Czy sądzi pan, że on wie, jak tam trafić? - zapytał Piotr.

- A czy był już kiedyś w tym kraju? - odpowiedział pytaniem pan Bóbr. - Czy kiedykolwiek był tu sam?

- Tak - powiedziała Łucja prawie szeptem. - Obawiam się, że był.

- A czy mówił wam, co tu robił i kogo spotkał?

- No więc... nie, nie mówił - odpowiedziała Łucja.

- A więc posłuchajcie, co wam powiem - oświadczył pan Bóbr. - A powiem wam, że on już spotkał Białą Czarownicę, już jest po jej stronie i już wie, gdzie ona

mieszka. Nie chciałem wam wcześniej tego mówić..., ostatecznie to wasz brat! Ale kiedy go tylko zobaczyłem, powiedziałem sobie: „On mi wygląda niepewnie”. On mi wyglądał na takiego, co spotkał się z tą wiedźmą i jadł to, co mu dała. Jeśli będziecie długo żyli w Narnii, zawsze to poznacie. Jest coś takiego w ich oczach...

- A jednak - powiedział Piotr zdławionym głosem - musimy iść i szukać go. Ostatecznie to nasz brat, nawet jeśli prócz tego jest małym potworem. No, i to jeszcze dziecko.

- Iść do domu Czarownicy? - zapytała pani Bobrowa. - Czy nie rozumiecie, że jedynym sposobem na to, aby uratować jego i siebie, jest trzymanie się od niej z daleka?

- Co pani ma na myśli? - zapytała Łucja.

- Przecież ona właśnie tego pragnie: dostać was wszystkich czworo w swoje szpony. Przez cały czas myśli o tych czterech tronach w Ker-Paravelu. Kiedy już raz znajdziecie się w pałacu, przestanie się niepokoić; po prostu do jej kolekcji przybędą cztery nowe posągi, i to zanim zdążycie wypowiedzieć choćby jedno słowo. A dopóki ma tylko jego, to myślę, że nie zrobi mu krzywdy, bo to najlepsza przynęta, aby zwabić was troje.

- Och, czy NIKT nie może nam pomóc? - jęknęła głucho Łucja.

- Tylko Aslan - powiedział pan Bóbr. - Musimy iść i spotkać się z Aslanem. To jest teraz nasza jedyna szansa.

- Wydaje mi się, moi kochani - wtrąciła się znowu pani Bobrowa - że jest bardzo ważne, aby ustalić, KIEDY on się wymknął z domu. Bo to, co może jej powiedzieć, zależy od tego, co usłyszał. Na przykład, czy zaczęliśmy mówić o Aslanie, zanim wyszedł? Jeżeli nie, to jesteśmy górami, bo wobec tego ona nie będzie wiedziała, że Aslan przybył do Narnii oraz że mamy się z nim spotkać, a w takim razie nie będzie się miała na baczności, przynajmniej jeśli o TO chodzi.

- Nie mogę sobie przypomnieć, czy tu jeszcze był, kiedy rozmawialiśmy o Aslanie - zaczął Piotr, ale Łucja szybko mu przerwała:

- Och, tak, był! Pamiętacie, to właśnie on zapytał, czy Czarownica nie może zamienić Aslana w kamień.

- A więc był - powiedział Piotr. - Tak, i to jest ten rodzaj pytania, który bardzo do niego pasuje.

- Coraz gorzej, coraz gorzej - zamruczał pan Bóbr. - A teraz następna sprawa: czy był tu jeszcze, kiedy wam powiedziałem, że mamy się spotkać z Aslanem przy

Kamiennym Stole?

I naturalnie nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

- Bo jeśli był - ciągnął pan Bóbr - to ona bardzo szybko popędzi saniami w tym kierunku, zagrozi nam drogę do Kamiennego Stołu i będzie chciała nas złapać, jak będziemy tam szli. W ten sposób zostaniemy odcięci od Aslana.

- Jak ją znam - dodała pani Bobrowa - to akurat nie będzie pierwszą rzeczą, jaką zrobi. Jak tylko Edmund powie jej, gdzie jesteśmy, wyruszy, aby nas wszystkich złapać jeszcze tej nocy. A jeżeli uciekł jakieś pół godziny temu, to ona tu będzie za jakieś dwadzieścia minut.

- Masz świętą rację, moja żono - powiedział pan Bóbr. - Musimy natychmiast stąd uciekać. Nie ma nawet chwili do stracenia.

ROZDZIAŁ 9

W DOMU CZAROWNICY

A TERAZ CHCIELIBYŚCIE się na pewno dowiedzieć, co się stało z Edmundem. Edmund zjadł obiad wraz z innymi, ale nie sprawiało mu to specjalnej przyjemności, ponieważ przez cały czas myślał o ptasim mleczku, a nie tak nie psuje smaku dobrego, normalnego jedzenia, jak wspomnienie o jakimś złym, zaklętym przysmaku. Rozmowa, której się przysłuchiwał, również nie sprawiała mu przyjemności, bo miał wrażenie, że nikt nie zwraca na niego uwagi, a jeśli już ktoś zwraca, to traktuje go bardzo oziębło. Oczywiście mijają się to z prawdą, ale Edmund był o tym święcie przekonany. Wysłuchał tego wszystkiego, co pan Bóbr mówił im o Aslanie, a kiedy dowiedział się o spotkaniu wyznaczonym przy Kamiennym Stole, niepostrzeżenie wśliznął się za kotarę, która osłaniała drzwi. Podczas gdy w innych samo wspomnienie imienia Aslana rodziło jakieś tajemnicze, cudowne uczucie, w nim budziło coś równie tajemniczego, ale i strasznego zarazem.

W tym samym momencie, w którym pan Bóbr recytował wiersz *O ciele z ciała Adama i kości z jego kości*, Edmund ostrożnie nacisnął klamkę, a zanim pan Bóbr zaczął im mówić, że Biała Czarownica nie jest wcale człowiekiem, lecz pochodzi w połowie od dzinnów, a w połowie od olbrzymów, Edmund wymknął się z domu i jak mógł najciszej zamknął za sobą drzwi.

Nie powinniście sądzić, że Edmund był już tak przeżarty niegodziwością, by pragnął zaklęcia brata i sióstr w kamienne posągi. Bardzo mu się chciało ptasiego mleczka, a prócz tego pragnął już zostać księciem (a później królem) i odplacić Piotrowi za to, że nazwał go potworem. Jeśli chodzi o to, co Czarownica robi z jego rodzeństwem, to nie życzył sobie bynajmniej, aby była dla nich zbyt miła - a z całą pewnością nie chciał, by potraktowała ich tak dobrze, jak jego - ale starał się wierzyć, a przynajmniej udawał przed samym sobą, że wierzy, iż nie będzie dla nich zbyt okrutna. „Wszyscy, którzy mówią o niej takie wstrętne rzeczy - myślał sobie w duchu - są po prostu jej wrogami; z pewnością nawet połowa z tego nie jest prawdą. W każdym razie była dla mnie bardzo miła, o wiele miłsza niż oni. Jestem przekonany, że to ona jest prawdziwą królową, a w każdym razie jest na pewno lepsza od tego strasznego Aslana!” Wszystko to mówił sobie, aby znaleźć usprawiedliwienie tego, co właśnie robił, ale tak naprawdę wcale nie był przekonany, że jest to słuszne. W głębi serca Edmund czuł, że Biała Czarownica jest zła i okrutna.

Pierwszą rzeczą, z jakiej zdał sobie sprawę, gdy wyszedł na dwór, w gęsto

padający śnieg, był brak płaszcza, który został w domku bobrów. Nie było, rzecz jasna, żadnej szansy na to, aby wrócić i zabrać go tak, by nikt tego nie zauważył. Stwierdził też, że zrobiło się już prawie ciemno. Gdy zasiedli do obiadu, była prawie trzecia, a w zimie dni są krótkie. Nie wziął tego przedtem pod uwagę, ale teraz nie zamierzał się już wycofywać. Postawił więc kołnierz i zaczął się posuwać ostrożnie po szczycie tamy (który na szczęście nie był już tak śliski, odkąd przykryła go gruba warstwa śniegu) ku dalekiemu brzegowi rzeki.

Kiedy dotarł do brzegu, zrobiło się jeszcze gorzej. Ciemność gęstniała z każdą chwilą, a w dodatku płatki śniegu wirowały wokół niego tak gęsto, że trudno było zobaczyć coś dalej niż na dwa kroki. Nie było też żadnej drogi. Wpadał po pas w głębokie zasy śnieżne, przewracał się na zamarzniętych kałużach, potykał się o zwalone pnie, ześlizgiwał ze stromych zboczy i rozbijał kolana o skały, aż w końcu cały był przemoknięty, przemarznięty i poobtłukiwany. Cisza i poczucie samotności napełniały go strasznym lękiem. Jestem pewien, że mógłby w końcu zrezygnować z całego planu, wrócić, przyznać się do wszystkiego i pogodzić z resztą rodzeństwa, gdyby nie przyszła mu do głowy następująca myśl: „Kiedy już zostanę królem Narnii, pierwszą rzeczą, jaką zrobię, będą porządne drogi”. A kiedy już zaczął myśleć o tym, że będzie królem, i o różnych rzeczach, które zwykle mogą robić monarchowie, poczuł się nieco raźniej. Rozmyślał więc nad tym, jak będzie wyglądał jego pałac, ile będzie miał samochodów i prywatnych kin, gdzie wytyczy główne drogi i jakie wyda ustawy na temat bobrów i budowania przez nich tam. Właśnie zastanawiał się nad szczegółami zasad, które pozwolą na utrzymanie Piotra w należyтым posłuszeństwie, gdy spostrzegł, że pogoda się zmienia. Najpierw przestał padać śnieg. Potem zaczął dąć przenikliwy, lodowaty wiatr, który rozgonił chmury. Wyłonił się księżyc w pełni, którego światło zalało cały zaśnieżony krajobraz, i gdyby nie czarne, niepokojące cienie, mogłoby się wydawać, że jest dzień.

Gdyby nie księżyc, Edmund prawdopodobnie nigdy by nie znalazł drogi. Teraz stwierdził, że dotarł już do owej drugiej rzeczki (tej, którą zobaczył ze szczytu tamy, gdy przyszli do domku pana Bobra), mającej swe ujście nieco poniżej tamy. Pamiętając o położeniu dwu wzgórz, skierował się w górę jej biegu. Dolinka, którą szedł, okazała się o wiele bardziej stroma, skalista i zarośnięta, tak że z trudem posuwał się naprzód. Kilka razy zatrzymał się, aby trochę odsapnąć, i za każdym razem z jakiejś gałęzi spadała mu na plecy wielka bryła śniegu. I za każdym razem Edmund myślał, jak bardzo nienawidzi Piotra - zupełnie tak, jakby to była jego wina.

W końcu doszedł jednak do miejsca, w którym teren był równiejszy, a strome brzegi dolinki ustąpiły łagodnemu zboczowi. I oto przed nim, na drugim brzegu rzeki, wznosił się na niewielkiej równinie pomiędzy dwoma wzgórzami Dom Królowej. Księżyc wydawał się teraz świecić jeszcze jaśniej. Dom był w rzeczywistości małym zamkiem. Sprawiał wrażenie, jakby cały składał się z wież o wysokich, ostro zakończonych dachach, przypominających spiczaste kapelusze, jakie noszą wróżki i czarnoksiężnicy. Dachy wież lśniły w blasku księżyca, a ich długie cienie kładły się złowrogo na śniegu. Edmund zaczął się trochę bać tego Domu. Było już jednak za późno, aby się wycofać. Przeszedł po łodzie na drugi brzeg i zaczął iść w kierunku zamku. Naokoło nie dostrzegał najmniejszego ruchu, nie słyszał najlżejszego dźwięku. Nie słyszał nawet swoich własnych kroków po świeżo spadłym śniegu. Szukając wejścia, szedł i szedł, od jednego rogu Domu do drugiego, mijając wciąż nowe baszty. Musiał obejść prawie cały zamek, zanim odnalazł olbrzymią, zwieńczoną łukiem bramę. Żelazne wrota były otwarte na oścież.

W bramie zatrzymał się i zajrzał ostrożnie na dziedziniec. To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Tuż przy bramie stał na ugiętych łapach olbrzymi lew, jakby gotował się do skoku. Edmund zamarł w cieniu bramy, bojąc się zrobić krok w przód i bojąc się uciekać, a kolana stukwały mu leciutko jedno o drugie. Stał tak długo, że na pewno zęby zaczęłyby mu szczekać z zimna, gdyby już uprzednio nie szczekały ze strachu. Jak długo to naprawdę trwało, nie wiem, ale Edmundowi wydawało się, że upłynęły całe godziny.

W końcu zaczął się trochę dziwić, dlaczego lew zamarł tak w bezruchu: odkąd na niego po raz pierwszy spojrzął, zwierzę nie poruszyło się nawet o centymetr. Posunął się ostrożnie do przodu, wciąż pamiętając, aby padał na niego cień bramy. Ze sposobu, w jaki lew stał, wywnioskował, że zwierzę wcale na niego nie patrzy. („Przypuśćmy jednak, że odwróci głowę...”, pomyślał.) Lew patrzył na coś innego - na niewielkiego karzełka, który stał ze dwa metry dalej, odwrócony do niego plecami. „Aha! - pomyślał Edmund. - Kiedy skoczy na karzełka, spróbuję uciec”. Ale lew tkwił wciąż w bezruchu, podobnie zresztą jak i karzełek. I w końcu Edmund przypomniał sobie, jak mówiono, że Biała Czarownica zamienia swoich wrogów w kamienie. Gdy tylko o tym pomyślał, dostrzegł śnieg na głowie i grzbiecie lwa. Ależ naturalnie, to może być tylko posąg! Żadne zwierzę nie pozwoliłoby na to, aby je pokrył śnieg. Powoli, z sercem bijącym tak, że czuł je w gardle, zbliżył

się do lwa. Nawet teraz nie mógł się przez dłuższą chwilę ośmielić, by go

dotknąć, aż wreszcie wyciągnął szybko rękę i zrobił to. Poczł zimny kamień. A więc bał się zwykłego posągu!

Ulga, jaką odczuł, była tak wielka, że pomimo mrozu zrobiło mu się cieplej i natychmiast wpadło mu do głowy coś, co uznał za wspaniałe odkrycie. „To jest na pewno ten wielki lew Aslan, o którym oni opowiadali. To znaczy, że ona go już złapała i zamieniła w kamień. A więc TAK wygląda prawdziwy koniec tych wszystkich bajek! Phi! Kto się teraz boi Aslana?”

I tak stał, sycąc oczy widokiem skamieniałego lwa, aż wreszcie przyszedł mu do głowy jeszcze jeden głupi i bardzo dziecinny pomysł. Wyjął z kieszeni kawałek kopiowego ołówka i domalował lwu wąsiki, a potem okulary. „Taaak! - powiedział, zadowolony z siebie. - Stary, głupi Aslanie! Jak się czujesz, będąc kamieniem? A myślałeś, że jesteś taki mocny”. Ale mimo tych wąsików i okularów wielka kamienna bestia wyglądała w świetle księżyca wciąż tak strasznie, przynębiająco i szlachetnie zarazem, że te drwiny wcale nie sprawiły Edmundowi wielkiej przyjemności. Odwrócił się więc i zaczął iść przez dziedziniec.

Kiedy znalazł się na środku, zobaczył wszędzie tuziny posągów stojących tu i tam, jak figury na szachownicy w połowie partii szachów. Były tu więc kamienne satyry i kamienne wilki, niedźwiedzie, lisy i dzikie koty. Były też cudowne kamienne figurki, wyglądające jak młode dziewczęta (w rzeczywistości były to duchy drzew). Był wielki skamieniały centaur i uskrzydłony koń, i wielki wijący się potwór, przypominający smoka. Wszystkie te postacie wyglądały tak niesamowicie, gdy tak stały jak żywe, lecz zupełnie nieruchome i ciche w księżycowej poświacie, że przejście przez dziedziniec wcale nie było czymś najprzyjemniejszym. W samym środku stał posąg przypominający człowieka, lecz wysoki jak drzewo, z dziką twarzą i zwichrzoną brodą, trzymający w ręku wielką maczugę. Edmund był pewien, że jest to tylko kamienny olbrzym, ale jakoś nie miał ochoty koło niego przejść.

Teraz zauważył blade światło sączące się z drzwi na końcu dziedzińca. Poszedł w ich kierunku. Do drzwi wiodły niezbyt wysokie kamienne schody. Kiedy się na nie wspiał, znowu zamarł z przerażenia. Na szczycie schodów, w poprzek drzwi, leżał wielki, szary wilk.

„W porządku, wszystko w porządku - powtarzał sobie Edmund - to tylko wilk z kamienia. Nic mi nie może zrobić”. Uniósł nogę, aby nad nim przejść, gdy nagle bestia powstała ze zjezoną na grzbiecie sierścią, otworzyła wielki, czerwony w środku pysk i powiedziała bulgocącym ze złości głosem:

- Kto tu jest? Kto tu jest? Stój spokojnie, obcy przybyszu, i powiedz mi, kim jesteś.

- Tak jest, panie - wyjąkał Edmund, trzęsąc się tak, że ledwo mógł mówić. - Nazywam się Edmund i jestem tym Synem Adama, którego jej królewska wysokość spotkała pewnego dnia w lesie, i przyszedłem, aby przynieść jej wiadomość, że mój brat i moje siostry są już w Narnii, całkiem blisko stąd, w domu bobrów. Ona... ona chciała ich zobaczyć.

- Powiem jej królewskiej wysokości - warknął wilk. - A tymczasem stój spokojnie na progu, jeśli ci życie miłe. - Po tych słowach zniknął we wnętrzu.

Edmund stał i czekał. Palce bolały go z zimna, a serce łomotało mu w piersiach, aż wreszcie szary wilk - a był to Maugrim, szef Tajnej Policji Królewskiej - powrócił w susach z powrotem i oznajmił: - Wejdz! Wejdz, szczęśliwy pupilku królowej... choć może nie tak znowu szczęśliwy...

I Edmund wszedł, starając się nie nadepnąć przypadkiem na łapy wilka.

Teraz znalazł się w wielkiej, ponurej sali, podpartej wieloma kolumnami i - tak jak dziedziniec - pełnej posągów. Tuż przy drzwiach stał mały skamieniały faun z bardzo nieszczęśliwą miną i Edmund nie mógł się oprzeć wrażeniu, że może to być przyjaciel Łucji. W sali płonęła tylko jedna lampa. W kręgu jej światła siedziała Biała Czarownica.

- Przyszedłem, najjaśniejsza pani - wyjąkał Edmund.

- Jak śmiałeś przyjść tu sam? - zapytała Czarownica głosem mrozącym krew w żyłach. - Czyż ci nie powiedziałam, żebyś przyprowadził ze sobą resztę?

- Niech wasza królewska wysokość zechce mnie wysłuchać - powiedział Edmund. - Zrobiłem wszystko, co mogłem. Przyprowadziłem ich bardzo blisko stąd. Są w domku na szczycie tamy, jak się idzie w górę rzeki, u państwa Bobrów.

Na twarzy Czarownicy pojawił się powoli okrutny uśmiech.

- Czy to wszystko, co chcesz mi powiedzieć?

- Nie, najjaśniejsza pani. - I Edmund opowiedział jej dokładnie wszystko, co usłyszał, zanim opuścił dom bobrów.

- Co? Aslan? - krzyknęła królowa. - Aslan! Czy to prawda? Jeśli się okaże, że mnie okłamujesz...

- Ja... ja tylko powtarzam, o czym oni mówili - wyjąkał Edmund.

Ale królowa przestała zwracać na niego uwagę i zaklaskała w dłonie. Nagle pojawił się ten sam karzeł, którego już widział za pierwszym razem.

- Przygotuj sanie - rozkazała - I załóż uprząż bez dzwonek.

ROZDZIAŁ 10

CZARY ZACZYNAJĄ TRACIĆ SWĄ MOC

A TERAZ MUSIMY POWRÓCIĆ do państwa Bobrów i trójki pozostałych dzieci. Jak tylko pan Bóbr zawołał: „Nie ma ani chwili do stracenia!”, wszyscy zaczęli pośpiesznie wciągać płaszcze. Wszyscy - prócz pani Bobrowej, która zebrała kilka worków, położyła je na stole i zwróciła się do męża:

- A teraz sięgnij no po tę szynkę. I daj jeszcze paczkę herbaty. I cukier. Weźmiemy też trochę zapalek. I niech ktoś wyjmie ze dwa lub trzy bochenki chleba z tego kotła w rogu.

- Co pani robi, pani Bobrowo? - wykrzyknęła Zuzanna.

- Pakuję dla każdego prowiant, moja kochana - odpowiedziała spokojnie. - Chyba nie myślisz, że wyruszymy w drogę bez jedzenia.

- Ale przecież nie mamy czasu! - powiedziała Zuzanna, zapinając się pod szyją. - Ona może tu być w każdej chwili.

- To samo mówię - zgodził się pan Bóbr.

- A dajcie mi wszyscy święty spokój - powiedziała jego żona. - Pomyśl tylko, mężu. Przecież ona nie może tu być prędzej niż za kwadrans.

- Ale czy nie musimy wyruszyć jak najszybciej ___ wtrącił się Piotr - jeśli chcemy dotrzeć do Kamiennego Stołu przed nią?

- Musi pani pamiętać, pani Bobrowo - dodała Zuzanna - że jak tylko tu przybędzie i zobaczy, że nas nie ma, natychmiast tam wyruszy.

- Na pewno to zrobi - zgodziła się pani Bobrowa - ale i tak będzie tam przed nami, choćbyśmy stawali na głowie. Ona ma sanie, a my będziemy szli pieszo.

- A więc... nie mamy żadnej szansy?

- Przestań się tak gorączkować, moja kochana, tylko wyjmij z pół tuzina czystych chusteczek z tamtej szuflady. Oczywiście mamy szansę. Nie możemy tam być PRZED nią, ale możemy się ukrywać i iść takimi drogami, których ona nie zna. W ten sposób może się nam uda jakoś przejść.

- Masz świętą rację, moja żono - wtrącił pan Bóbr - ale teraz naprawdę musimy już iść.

- A TY też nie zaczynaj robić zamieszania, mężu. O, tak. Tak jest lepiej. Tu są cztery worki, dla każdego po jednym, i ten najmniejszy dla najmniejszej z nas. To dla ciebie, moja kochana - dodała i spojrzała na Łucję.

- Och, błagam panią, chodźmy już - powiedziała Łucja.

- No, jestem już prawie gotowa - oznajmiła wreszcie pani Bobrowa, pozwalając mężowi włożyć sobie śniegowce. - Maszyna do szycia jest chyba za ciężka, żeby ją brać ze sobą, co?

- Tak, ZA ciężka - odparł pan Bóbr. - O wiele za ciężka. I chyba nie sądzisz, że będziesz mogła szyc w drodze?

- Nie mogę się pogodzić z myślą, że ta wiedźma będzie przy niej majstrować i połamie ją albo ukradnie, jak amen w pacierzu.

- Och, błagam, błagam, błagam, pospieszcie się! - krzyknęło jednocześnie troje dzieci.

I w końcu wyszli wszyscy na dwór, pan Bóbr zamknął drzwi na klucz („To ją trochę zatrzyma”) i ruszyli w drogę, każdy ze swoim węzełkiem na ramieniu.

Właśnie śnieg przestał padać i zza chmur wyszedł księżyc. Szli gęsiego: pan Bóbr na czele, potem Łucja, Piotr, Zuzanna, a na końcu pani Bobrowa. Pan Bóbr poprowadził ich przez tamę na prawy brzeg, a potem bardzo wyboistą i ledwo widoczną ścieżką tuż nad samą rzeką. Zbocza doliny, jaśniejące w blasku księżyca, wznosiły się stromo nad ich głowami.

- Najlepiej trzymać się jak najniżej - powiedział pan Bóbr szeptem. - Ona będzie jechać górą, bo nie zdołałyby zjechać tu na dół saniami.

Sceneria była piękna, zwłaszcza gdyby się ją mogło oglądać przez okno z wygodnego fotela, ale i tak Łucja zachwycała się nią - z początku. Ale kiedy tak szli i szli, a worek robił się coraz bardziej i bardziej ciężki, zaczęła się niepokoić, czy aby to wszystko wytrzyma. Wkrótce przestała patrzeć na jaśniejącą w ciemnościach zamarzniętą rzekę z jej lodowymi kaskadami, na wielki, jarzący się księżyc i niezliczone gwiazdy. Widziała przed sobą tylko łapki pana Bobra, przebierające szybko i regularnie po śniegu, jakby nie miały się nigdy zatrzymać. Potem księżyc schował się za chmury i znowu zaczął padać śnieg. W końcu Łucja była już tak zmęczona, że prawie zasnęła w marszu. Nagle zdała sobie sprawę, że pan Bóbr skręcił w prawo i prowadzi ich teraz w górę zbocza, w najgęstsze zarośla. A kiedy rozbudziła się już całkowicie, zobaczyła, jak pan Bóbr znika nagle w małej dziurze, prawie zupełnie niewidocznej między krzakami, zanim się nie stanęło tuż przed nią. Kiedy sobie uświadomiła, co się dzieje, z czarnego otworu wystawał już tylko jego krótki, płaski ogon.

Łucja zatrzymała się i wpełzła za nim do dziury. Potem usłyszała za sobą odgłosy gramolenia się na czworakach, sapanie i kichanie - i oto cała piątka była już

razem w środku.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Piotr zmęczonym i wyblakłym głosem. (Mam nadzieję, że wiecie, co mam na myśli, mówiąc o wyblakłym głosie.)

- To stara kryjówka bobrów, używana w złych czasach - odpowiedział pan Bóbr - a jej położenie utrzymywane jest w największej tajemnicy. Nie ma tu zbyt wiele miejsca, ale musimy przespać się parę godzin.

- Gdybyście wszyscy nie byli w takiej piekielnej gorączce, jak wyruszaliśmy w drogę, tobym zdążyła zabrać kilka poduszek - powiedziała pani Bobrowa.

Nie była to pieczara nawet w przybliżeniu tak przytulna jak dom pana Tumnusa: po prostu zwykła, sucha jama, wydrążona w ziemi. Miejsca rzeczywiście nie było tu zbyt wiele, tak że kiedy się wszyscy położyli, sprawiali wrażenie jednego wielkiego tobołka z ubraniami. Było im jednak ciepło - zwłaszcza że rozgrzał ich szybki marsz - i całkiem przyjemnie. Gdyby tylko podłoga była trochę bardziej równa! Pan Bóbr puścił w obieg małą, płaską butelkę, z której każdy pociągnął łyk czegoś, co powodowało kaszel i piekło w gardle, ale po przełknięciu cudownie rozgrzewało - i wszyscy zapadli w głęboki sen.

Łucji zdawało się, że upłynęła zaledwie chwilka (choć w rzeczywistości minęło kilka dobrych godzin), gdy obudziła się, trochę zziębnięta i strasznie zeszywniała, myśląc, że dobrze by było wziąć gorącą kąpiel. Potem poczuła, że czyjeś długie wąsy łaskoczą ją w policzek i zobaczyła zimne światło dzienne, sączące się przez otwór wejściowy. Po chwili rozbudziła się całkowicie, podobnie jak pozostali. Wszyscy usiedli z szeroko otwartymi oczami i ustami, słuchając tego dźwięku, o którym myśleli (a czasem wydawało się im, że go słyszeli) w ciągu całej nocnej wędrówki. Był to dźwięk brzęczących dzwoneczków.

Pan Bóbr błyskawicznie wyskoczył z jamy. Może się wam wydaje, że zrobił głupio - i tak pomyślała Łucja. A jednak było to naprawdę rozsądne posunięcie. Wiedział, że potrafi się wspinać aż na szczyt zbocza nie zauważony przez nikogo, a chciał za wszelką cenę zobaczyć, w którą stronę kierują się sanie Czarownicy. Pozostali siedzieli cichutko w jamie, czekając i zastanawiając się, co z tego wyniknie. Czekali tak prawie pięć minut, aż usłyszeli coś, co ich przeraziło. Usłyszeli głosy. „Och! - pomyślała Łucja. - Zobaczono go. Ona go złapała!” Ale, ku ich zaskoczeniu, rozległ się głos pana Bobra:

- Wszystko w porządku! Wyjdź, żono! Wychodźcie, Synowie i Córki Adama. Wszystko w porządku! To nie jest JEJ! - Oczywiście nie było to w porządku z

gramatyką, ale tak już bobry mówią, kiedy są bardzo podniecone - w każdym razie w Narnii, ponieważ w naszym świecie przeważnie w ogóle nie mówią.

Wszyscy wysypali się z jamy, mrugając oczami w pełnym świetle dnia, umazani ziemią, pomięci, rozczochrani i zaspani.

- Dalej! - krzyknął pan Bóbr, prawie tańcząc w miejscu z radości. - Chodźcie i zobaczcie! A to dopiero paskudny kawał zrobiono Czarownicy! Wygląda na to, że jej władza już trzeszczy!

- O czym pan mówi, panie Bobrze? - wysapał Piotr, kiedy wspinali się po stromym zboczu.

- Czy wara nie mówiłem, jak ta wiedźma zrobiła, że zawsze jest zima, a nigdy nie ma Bożego Narodzenia? Czy wam nie mówiłem? A więc chodźcie i zobaczcie sami!

Teraz wszyscy stali już na szczycie i mogli zobaczyć, co tak bardzo ucieszyło pana Bobra.

To rzeczywiście były sanie i to rzeczywiście były reny w uprzęży przyozdobionej dzwoneczkami. Były jednak większe od renów Czarownicy i nie białe, lecz brązowe. A na saniach siedziała postać, którą każdy rozpoznał bez trudu, gdy na nią spojrział. Był to rosły mężczyzna w jaskrawoczerwonym płaszczu z kapturem (tak czerwonym jak jagody ostrokrzewu), z długą siwą brodą, która opadała mu na piersi jak spieniona kaskada. Każdy go od razu rozpoznał, ponieważ - choć osobistości tego typu można spotkać tylko w Narnii - w naszym świecie (w świecie po tej stronie szafy) widzi się go często na obrazkach i wysłuchuje o nim różnych opowieści. Ale oczywiście obrazki to co innego, a żywa postać w Narnii - co innego. Na niektórych obrazkach w naszym świecie Święty Mikołaj wygląda tylko śmiesznie i wesoło. Teraz, kiedy dzieci przed nim stały, mogły stwierdzić, że w rzeczywistości jest zupełnie inny. Był tak wielki, tak miły i tak prawdziwy, że choć czuły wielką radość z tego spotkania, stały onieśmielone i poważne.

- A więc wreszcie jestem! - powiedział. - Długo nie pozwalała mi przybyć, ale wreszcie jestem. Aslan jest już w drodze. Czary wiedźmy tracą swą moc.

I Łucja poczuła, jak przebiega przez nią dreszcz najgłębszej radości, jaką można odczuć tylko wtedy, jeśli się jest poważnym i nic się nie mówi.

- A teraz - powiedział Święty Mikołaj - trochę prezentów. Oto nowa i, jak sądzę, o wiele lepsza maszyna do szycia dla pani Bobrowej. Podrzucę ją do waszego domu, jak będę przejeżdżał.

- Dzięki stokrotne, panie - powiedziała pani Bobrowa dygając - ale dom jest

zamknięty.

- Zamki i kłódki nie stanowią dla mnie żadnej przeszkody. A teraz pan Bóbr. Po powrocie do domu zastanie pan tamę już ukończoną i naprawioną. Znikną wszelkie przecieki, a będzie za to nowa służa.

Pan Bóbr tak się ucieszył, że tylko otworzył szeroko pysk i nie mógł powiedzieć ani słowa.

- Piotrze, Synu Adama - powiedział Święty Mikołaj.

- Jestem, panie - odpowiedział Piotr.

- To są prezenty dla ciebie. I pamiętaj, że to nie są zabawki. Być może czas, w którym ich użyjesz, nie jest już tak daleki. Niech ci służą.

Mówiąc to, wręczył Piotrowi tarczę i miecz. Tarcza była koloru srebra, z wymalowanym na niej lwem stojącym na tylnych łapach, tak jaskrawoczerwonym jak poziomki, kiedy się je zrywa. Miecz miał złotą rękojeść; była też pochwa i pas, wszystko, co powinno być przy mieczu, a jego rozmiary i waga sprawiały wrażenie, jakby był zrobiony specjalnie dla Piotra. Przyjął te dary w milczeniu i z powagą, ponieważ czuł, że nie jest to zwykły prezent na Boże Narodzenie.

- Zuzanno, Córko Ewy - powiedział Święty Mikołaj - to dla ciebie.

I wręczył jej łuk z kołczanem pełnym strzał oraz mały róg z kości słoniowej.

- Możesz użyć tego łuku tylko w wielkiej potrzebie, bo nie masz brać udziału w bitwie. Ten łuk nie chybia. A kiedy zadmiesz w róg, zawsze, gdziekolwiek będziesz, zjawi się jakaś pomoc. Wreszcie powiedział:

- Łucjo, Córko Ewy. - I Łucja podeszła do niego. Dał jej buteleczkę z czegoś, co wyglądało jak szkło (ale później opowiadano, że była z diamentu) oraz mały sztylet.

- W tej butelce - wyjaśnił - jest lek zrobiony z soku jednego z Ognistych Kwiatów, które rosną w Górach Słońca. Gdyby któreś z was było ranne, wystarczy kilka kropel z tej buteleczki, a rana zniknie. A ten sztylet jest do obrony własnej, i to tylko w największym niebezpieczeństwie. Ty również nie będziesz brała udziału w bitwie.

- Dlaczego, proszę pana? - zapytała Łucja. - Myślę... no, nie wiem... ale myślę, że byłabym dzielna.

- Nie w tym rzecz - odpowiedział. - Po prostu bitwy nie wyglądają zbyt ładnie, gdy biorą w nich udział kobiety. A tutaj - i nagle przestał być tak poważny jak przedtem - tutaj jest coś dla was wszystkich! - i wyciągnął (z wielkiego worka za plecami, jak przypuszczam, ale nikt tego dokładnie nie widział) wielką tacę z pięcioma

filiżankami na spodeczkach, miską cukru w bryłkach, dzbankiem kremowej śmietanki i wielkim imbrykiem z dymiącą i syczącą herbatą. Potem krzyknął: „Wesołych Świąt! Niech żyje prawdziwy król!” i strzelił z bata, a potem reny i sanie zniknęły na horyzoncie, zanim ktokolwiek zdał sobie sprawę z tego, że ruszyły z miejsca.

Piotr wyjął swój miecz z pochwy i właśnie pokazywał go panu Bobrowi, kiedy pani Bobrowa zawołała:

- Dalej, proszę! Przestańcie tak stać i gadać, aż herbata całkiem wystygnie. Jak to mężczyźni. Chodźcie tu i pomóżcie mi znieść tę tacę na dół. Zrobimy śniadanie. Dzięki Bogu, pomyślałam o tym, żeby zabrać nóż do chleba.

Tak więc zeszli ponownie po zboczu i wpełzli do pieczary, pan Bóbr pokroił trochę chleba i szynki, pani Bobrowa naląła herbaty i wszyscy zaczęli zajadać ze smakiem. Ale na długo przedtem, zanim nacieszyli się śniadaniem, pan Bóbr powiedział:

- A teraz czas już w drogę!

ROZDZIAŁ 11

ASLAN JEST BLISKO

W TYM SAMYM CZASIE Edmund przeżywał swoje najgorsze chwile. Kiedy karzeł odszedł, aby przygotować sanie do drogi, chłopiec spodziewał się, że Czarownica wreszcie zacznie być dla niego miła, jak obiecywała przy pierwszym spotkaniu. Tymczasem w ogóle się do niego nie odzywała, więc zebrał w sobie całą swą odwagę i powiedział:

- Wasza wysokość, czy mógłbym dostać trochę ptasiego mleczka?

- Ty... ty... zamilknij, ty głupcze! - wrzasnęła królowa, ale po chwili, jakby jej coś przyszło do głowy, powiedziała do siebie: - Nie byłoby jednak dobrze, gdyby ten gamoń zasłabł gdzieś po drodze - i jeszcze raz zaklaskała w dłonie. Natychmiast pojawił się inny karzeł.

- Przynies temu ludzkiemu pomiotowi coś do jedzenia i picia - rozkazała.

Karzeł zniknął, a za chwilę wrócił, niosąc blaszaną miseczkę z odrobiną wody i blaszany talerz z kawałkiem suchego chleba. Wyszczrzył zęby w odrażający sposób, postawił naczynia na podłodze przed Edmundem i powiedział:

- Ptasie mleczko dla małego księcia. Ha! ha! ha! ha!

- Zabierz to - odpowiedział Edmund nadąsany. - Nie będę jadł suchego chleba.

Ale Czarownica nagle odwróciła się do niego z tak strasznym wyrazem twarzy, że natychmiast przeprosił i zaczął żuć chleb, tak czerstwy, że trudno było go ugryźć.

- Zatęsknisz jeszcze do chleba, zanim go znowu skosztujesz - powiedziała.

Wciąż jeszcze żuł zeszlą kromkę, kiedy wrócił pierwszy karzeł i oznajmił, że sanie są gotowe. Czarownica wstała, rozkazała chłopcu iść za sobą i opuściła komnatę. Kiedy wyszli na dziedziniec, śnieg sypał wciąż gęsto, ale królowa nie zwracała na to uwagi i kazała Edmundowi usiąść w saniach obok siebie. Zanim ruszyli, zawołała Maugrima, który przybiegł natychmiast i oparł się przednimi łapami o burtę sań, jak pies.

- Weź ze sobą najszybszego z twoich wilków, popędźcie zaraz do domu Bobrów i zabijcie każdego, kogo tam znajdziecie. Jeżeli już ich nie będzie, pobiegnijcie do Kamiennego Stołu, ale tak, żeby was nikt nie widział. Ukryjcie się tam i czekajcie na mnie. Muszę w tym czasie zrobić wiele mil na zachód, zanim znajdę dogodne miejsce, by przejechać saniami przez rzekę. Gdyby się wam udało dogonić ich, zanim dotrą do Kamiennego Stołu, to chyba wiecie, co z nimi zrobić?

- Usłyszałem i jestem posłuszny, o królowo! - warknął wilk i natychmiast

skoczył w śnieg i ciemność, tak szybko jak koń wyścigowy. W ciągu kilku minut był już - wraz z drugim wilkiem - przy tamie, wężąc przy domku bobrów. Na szczęście, jak już wiecie, dom był pusty. Gdyby nie padający gęsto śnieg, który zasypał wszystkie ślady, stawiałbym dziesięć do jednego, że wilki dogoniłyby naszą piątkę przed dojściem do kryjówki bobrów.

Tymczasem karzeł zaciął reny batem i sanie śmignęły przez wielką bramę w lodowate zimno i ciemność. Dla Edmunda, który nie miał płaszcza, była to straszna podróż. Zanim minął kwadrans, cały był oblepiony śniegiem. Z początku próbował go strząsać, ale wkrótce dał spokój, ponieważ natychmiast zbierała się nowa warstwa. Bardzo prędko przemókł do suchej nitki. Och, jaki był biedny! Nic nie wskazywało na to, by Czarownica miała zamiar zrobić go królem. Jakże głupio brzmiało teraz to, co sobie przedtem mówił, aby przekonać samego siebie, że jest dobra i miła oraz że opowiadanie się po jej stronie jest wyborem strony właściwej! Oddałby wszystko, aby w tej chwili spotkać innych - nawet Piotra! Aby się zupełnie nie pogрузić w rozpacz, powtarzał sobie, że musi to być sen, z którego w każdej chwili może się obudzić. I rzeczywiście, gdy tak pędzili w ciemności przed siebie, godzina za godziną, wszystko to coraz bardziej wydawało się złym snem.

Trwało to dłużej, niż mógłbym opisać, gdybym nawet zużył na to parę tuzinów stronic. Przejdę więc od razu do czasu, gdy śnieg przestał padać, nadszedł ranek i jechali teraz w świetle szarego, zimowego dnia. Wciąż pędzili i pędzili przed siebie, w głębokiej ciszy, w której słychać było tylko świst śniegu pod płozami i skrzypienie uprzęży. Nagle Czarownica zawołała:

- Hola! A co to takiego? Zatrzymaj się!

Jakże wielką miał Edmund nadzieję, że Czarownica powie teraz coś o śniadaniu! Ale zatrzymała się zupełnie z innego powodu. Nie opodał, pod drzewem, siedziała sobie przy stole wesola kompania: para wiewiórek z trojgiem dzieci, dwa satyry, karzeł i lis. Edmund nie mógł dostrzec wyraźnie, co mają do jedzenia, ale pachniało to cudownie. Wydawało mu się, że widzi dekoracje z gałązek świerkowych i coś, co mogło być plackiem ze śliwkami. Kiedy sanie się zatrzymały, lis - który był najwidoczniej najstarszy w towarzystwie - właśnie wstał, trzymając kielich w łapie, jakby zamierzał coś powiedzieć. W tej samej chwili całe towarzystwo zobaczyło sanie i kto w nich siedzi. Radość natychmiast znikła z ich twarzy. Głowa rodziny wiewiórek zamarła z widelcem w powietrzu, a małe wiewiórki zaczęły piszczeć ze strachu.

- Co to wszystko ma znaczyć?! - zapytała królowa. Nikt nie odpowiedział. -

Odpowiadajcie, nędzne robaki! A może chcecie, aby mój karzeł rozwiązał wam języki batem? Co ma znaczyć to obżarstwo, to marnotrawstwo czasu, to folgowanie swoim żądom? Skąd macie to wszystko?

- Wasza wysokość raczy wybaczyć - odezwał się wreszcie lis - ale my to wszystko dostaliśmy. I jeżeli mogę się ośmielić... czy wolno mi wznieść toast za najlepsze zdrowie waszej wysokości...

- Kto wam to dał? - krzyknęła Czarownica.

- Śśśświęty Mikołaj - wyjął lis.

- Co?! - ryknęła Czarownica, zeskoczyła z sań i zbliżyła się do przerażonych zwierząt. - Nie było go tutaj! Nie mogło go tutaj być! Jak śmiałeś? Ale nie. A więc kłamałeś? No cóż, nawet teraz ci wybaczę.

W tym momencie jedna z małych wiewiórek zupełnie straciła głowę.

- Tak! On skłamał! Skłamał! Skłamał! - zaskrzeczała, tłukąc łyżeczką w stół. Edmund zobaczył, że Czarownica przygryzła wargi tak, że kropelka krwi spłynęła jej po brodzie. Podniosła różdżkę.

- Och, nie! Nie, błagam! - krzyknął Edmund, ale zanim głos zamarł mu w krtani, machnęła różdżką i oto tam, gdzie jeszcze parę chwil temu odbywało się wesołe przyjęcie, były już tylko kamienne figurki (jedna z kamiennym widelcem zastygłym w połowie drogi do kamiennego pyszczka) siedzące przy kamiennym stole, na którym leżały kamienne talerze i kamienny placek ze śliwkami.

- A to dla ciebie - dodała Czarownica, wymierzając Edmundowi siarczysty policzek, gdy już wsiadła z powrotem do sań. - Niech to cię oduczy proszenia o łaskę dla szpiegów i zdrajców. W drogę!

Po raz pierwszy w tej historii Edmund poczuł żal nad kimś innym niż on sam. Jakże to było smutne pomyśleć o tych małych kamiennych figurkach, siedzących pod drzewem przez całe ciche dni i całe ciemne noce, rok po roku, aż w końcu porośnie je mech, a ich twarze pokruszą się ze starości.

I znowu pędzili przed siebie. Wkrótce jednak Edmund zauważył, że płatki śniegu, biegnące im na spotkanie i oblepiające ubrania, są jakby większe i bardziej mokre. Jednocześnie stwierdził, że nie jest mu już tak strasznie zimno. Pojawiła się mgła. Rzeczywiście, z każdą chwilą robiło się coraz cieplej i coraz bardziej mglisto, a sanie nie mknęły już po śniegu tak chyżo jak dotąd. W pierwszej chwili pomyślał, że reny są już po prostu zmęczone, ale wkrótce zrozumiał, że nie to było prawdziwą przyczyną wolniejszego tempa. Płozy zgrzytały, ślizgały się i podskakiwały, jakby

napotykały kamienie, a chociaż karzeł okładał biedne reny batem, zwierzęta biegly coraz wolniej i wolniej. Naokoło rozlegały się dziwne dźwięki, ale hałas, jaki teraz robiły sanie i krzyki karła, przynaglające reny do biegu, nie pozwalały Edmundowi rozpoznać, co to jest. Nagle sanie zgrzytnęły straszliwie po raz ostatni, gwałtownie w coś uderzyły i zatrzymały się. Dalej nie można już było jechać. Zapanowała cisza i teraz chłopiec mógł już wsłuchać się w owe dziwne dźwięki. Dziwny, słodki, szumiący i świergotliwy szmer - dziwny, a przecież nieobcy, kiedyś już go słyszał - gdyby tylko przypomniał sobie, gdzie! Ależ tak, to szmer płynącej wody! Wszędzie naokoło, choć jeszcze niewidoczne, płynęły strugi i strumienie - świergocące, mruczające, pluskające i bulgoczące, a nawet (w oddali) ryczące. Edmundowi drgnęło coś w sercu (choć nie bardzo wiedział dlaczego), kiedy zdał sobie sprawę z tego, że mróz ustąpił. A jeszcze bliżej słychać było wszędzie klip-klip-klip z gałęzi drzew. I nagle, kiedy wpatrywał się w jedno z drzew, wielka śniegowa czapa zsunęła się z gałęzi i z głośnym pacnięciem spadła na ziemię. Po raz pierwszy, odkąd przybył do Narnii, zobaczył ciemną zielen jodły. Nie miał jednak czasu, by nasłuchiwać i obserwować te wszystkie zmiany dłużej, gdyż Czarownica powiedziała:

- Przestań się tak gapić! Wyłaź z sań i pomóż mu!

I oczywiście Edmund musiał być posłuszny. Zeskoczył w śnieg - była to teraz mokra breja - i zaczął pomagać karłowi krzątającemu się przy saniach. W końcu udało się im wyciągnąć sanie z błotnistej dziury, w której się zaryły. Znęcając się okrutnie nad renami, karzeł zdołał je zmusić do dalszego biegu. Teraz śnieg już naprawdę topniał w oczach, a wszędzie naokoło zaczęły pojawiać się plamy zielonej trawy. Dopóki nie przyjdzie wam patrzeć na śnieżny świat tak długo jak Edmundowi, dopóty trudno wam będzie wyobrazić sobie ulgę, jaką mu sprawiały te zielone plamy po nie kończącej się bieli. Wtem sanie zatrzymały się ponownie.

- Nie damy rady, wasza wysokość - powiedział karzeł. - Nie możemy jechać saniami przez to błoto.

- A więc będziemy szli pieszo - odpowiedziała Czarownica.

- Nigdy ich nie prześcigniemy, idąc pieszo - burknął karzeł. - Mieli lepszy start.

- Jesteś moim doradcą czy moim niewolnikiem? Rób, co ci każę. Zwiąż temu ludzkiemu pomiotowi ręce na plecach i trzymaj mocno koniec sznura. I weź swój bat. Odetnij uprząż renom, same znajdą drogę z powrotem.

Karzeł posłuchał i za chwilę Edmund był zmuszony iść tak szybko, jak tylko mógł, z rękami związanymi na plecach. Co kilka kroków ślizgał się po rozmokłym

śniegu, błocie i mokrej trawie, a za każdym razem karzeł miotał pod jego adresem przekleństwa albo nawet chłastał go batem. Czarownica szła za karzelem, powtarzając co jakiś czas:

- Szybciej! Szybciej!

Z każdą minutą plamy zielonej trawy robiły się coraz większe, a śniegu było coraz mniej. Z każdą

minutą coraz więcej drzew zrzucało swoje śnieżne kożuchy. Wkrótce, gdzie tylko można było okiem sięgnąć, zamiast białych kształtów widniały ciemnozielone jodły albo czarne gałęzie nagich jeszcze dębów, buków i wiązów. Potem biała dotąd mgła zrobiła się złocista, a w końcu rozwiała się zupełnie. Fale cudownego słonecznego światła zalały poszycie puszczy, a nad głowami, między wierzchołkami drzew, zajaśniało błękitne niebo.

Wkrótce zdarzyło się jeszcze więcej cudownych rzeczy.

W pewnym momencie, kiedy doszli do skraju zagajnika srebrnych brzoź, Edmund zobaczył murawę pokrytą wszędzie żółtymi kwiatkami - chelidoniami. Plusk wody stawał się coraz głośniejszy; w końcu musieli się przedostać przez prawdziwy strumień. Rosły nad nim kwitnące przebiśniegi.

- Pilnuj swego nosa! - warknął karzeł i szarpnął sznurem, gdy zobaczył, że Edmund odwrócił głowę, aby na nie spojrzeć.

Ale oczywiście nie mógł mu przeszkodzić w widzeniu tych wszystkich dziwów.

Nie minęło pięć minut, gdy dostrzegł z tuzin złotych, purpurowych i białych krokusów, rosnących wokół jakiegoś starego drzewa. Potem usłyszał dźwięk jeszcze słodszy od pluskania wody. Tuż przy ścieżce, którą szli, zaćwierkał nagle z gałęzi jakiś ptaszek i natychmiast odpowiedział mu trochę dalej drugi. I wówczas, jakby to był sygnał, rozległo się ze wszystkich stron ćwierkanie i świergotanie, a za chwilę cały las rozbrzmiewał śpiewem ptaków, a gdziekolwiek Edmund spojrzał, widział ptaki ulatujące z gałęzi albo szybujące nad głowami, albo ścigające się nawzajem, albo sprzeczące się żartobliwie między sobą, albo układające sobie dzióbkami piórka.

- Szybciej! Szybciej! - poganiała ich Czarownica.

Teraz nie było już ani śladu mgły. Niebo stawało się coraz bardziej błękitne i pojawiły się białe obłoki. Na rozległych polanach wyrastały z trawy pierwiosniki. Powiał lekki wiaterek, zdmuchujący krople soku z kołyszących się gałęzi drzew i przynoszący ze sobą jakieś cudowne, orzeźwiające wonie. Drzewa zaczęły odżywać na dobre. Modrzewie pokrywały się zielenią, szczytówce złotem. Wkrótce buki

wypuściły delikatne, przezroczyste listki. Kiedy pod nimi szli, światło również pozieleniało. Naokoło bzykały pszczoły, uganiające się za swoimi sprawami.

- To nie jest odwilż - powiedział karzeł, nagle zatrzymując się. - To WIOSNA. Co teraz zrobimy? Twoja zima została zniweczona, mówię ci! To robota Aslana.

- Jeżeli któryś z was jeszcze raz wymówi to imię - wycodziła przez zęby Czarownica - to go zabiję bez ostrzeżenia.

ROZDZIAŁ 12

PIERWSZA WALKA PIOTRA

W TYM SAMYM CZASIE, daleko od miejsca, w którym karzeł i Biała Czarownica prowadzili tę rozmowę, państwo Bobrowie i trójka dzieci zagłębiali się z każdą godziną coraz bardziej w krainę z cudownego snu. Już dawno rozstali się z płaszcami i zmęczeni się już ciągłymi okrzykami w rodzaju: „Patrzcie! Zimorodek!” albo „O! Dzwonki!”, albo „Co tak rozkosznie pachnie?”, albo „Tylko posłuchajcie tego drozda!” Teraz szli w milczeniu, chłonąc w siebie to wszystko, przechodząc przez plamy ciepłego, słonecznego światła, a potem przez chłodne, zielone gąszcze, i znowu przez wyścielone samym mchem wysokopienne lasy, pod zielonym dachem listowia wiązów, potem przez gęste chaszczki dzikich porzeczek i głogów obsypanych kwiatami, gdzie słodki zapach odurzał jak wino.

Jak Edmund, tak i oni zdumiewali się, gdy zobaczyli, że zima nagle ustępuje, a cały las przechodzi w kilka godzin to, co zwykle dzieje się od stycznia do maja. Nie wiedzieli nawet z całą pewnością (o czym wiedziała Czarownica), że wszystko to związane jest z przybyciem do Narnii Aslana. Wiedzieli jednak, że to jej zaklęcie dało ongiś początek nie kończącej się zimie, a stąd łatwo im było wywnioskować, że ta raptowna wiosna oznacza coś bardzo niedobrego dla niej i dla jej planów. Po jakimś czasie zdali sobie też sprawę, że Czarownica nie będzie już mogła posługiwać się saniami. Nie musieli się już tak bardzo spieszyć i pozwalali sobie na częstsze i dłuższe odpoczynki. Byli już oczywiście porządnie zmęczeni, ale wciąż jeszcze mogli iść dalej. Przepęłniała ich senność, ociężałość i dziwny spokój - tak jak się to dzieje, gdy nadchodzi wieczór po długim dniu spędzonym na świeżym powietrzu. Zuzannie zrobił się mały pęcherz na pięcie.

Od pewnego czasu nie wędrowali już z biegiem wielkiej rzeki, ponieważ aby dojść do Kamiennego Stołu, trzeba było skrócić trochę w prawo (czyli na południe). I tak zresztą nie mogliby iść dalej wzdłuż rzeki, którą nagle odwilż zamieniła we wspaniałą, grzmiącą i ryczącą żółty potok, toczący się całą szerokością doliny. Wąska ścieżka, którą uprzednio szli, była już z pewnością pod wodą.

A teraz słońce było już nisko, jego blask poczerwieniał, cienie wydłużyły się, a kwiaty zaczynały myśleć o zamknięciu kielichów.

- Już niedaleko - powiedział pan Bóbr i poprowadził ich w górę zbocza, po miękkim, zapadającym się głęboko mchu, sprawiającym ulgę zmęczonym nogom. Rosły tu tylko pojedyncze, bardzo wysokie drzewa. Ta wspinaczka pod koniec długiej,

całodziennej wędrówki porządnie ich wymęczyła. Wszyscy dyszeli ciężko, a Łucja zastanawiała się właśnie poważnie, czy zdoła wejść na tę górę bez jeszcze jednego dłuższego odpoczynku, gdy nagle zorientowała się, że są już na szczycie. I oto, co tam zobaczyli.

Znajdowali się na zielonym, bezdrzewnym płaskowyżu. W dole, jak okiem sięgnąć, rozciągała się puszcza - tylko z jednej strony, na wschodzie, widać było coś innego, coś połyskliwego i ruchliwego.

- Nie do wiary! Przecież to morze! - wyszeptał Piotr do Zuzanny.

A w samym środku zielonej przestrzeni wznosił się Kamienny Stół. Była to olbrzymia płyta z szarego kamienia, wsparta na czterech głazach. Wyglądała na bardzo starą: pokrywały ją dziwne ornamenty i znaki, przywodzące na myśl litery jakiegoś nieznanego alfabetu. Z boku, na zielonej murawie, rozpięto wielki namiot. Był to wspaniały widok - zwłaszcza teraz, gdy prześwietlały go promienie zachodzącego słońca: namiot z żółtego jedwabiu, ze szkarłatnymi wiązaniami i drażkami z kości słoniowej. Nad nim, na wysokim maszcie, pobłyskiwał proporzec z czerwonym lwem wspiętym na dwu łapach, powiewający w bryzie od dalekiego morza, chłodzącej im łagodnie twarze. I kiedy tak stali, urzeczeni tym widokiem, usłyszeli muzykę dochodzącą z prawej strony, a kiedy się obrócili, zobaczyli to, co było celem ich wędrówki.

W środku półkola, utworzonego przez tłum najróżniejszych dziwnych istot, stał Aslan. Były tam nimfy leśne i nimfy wodne (driady i najady, jak je zwą w naszym świecie) z instrumentami przypominającymi harfy: to właśnie spod ich palców płynęła owa słodka muzyka. Były tam również cztery wielkie centaury; od pasa w dół przypominały rosłe konie używane na angielskich farmach, od pasa w górę - groźne, lecz wspaniale olbrzymy. Był tam również jednorożec, byk z głową mężczyzny, i pelikan, i orzeł, i wielki pies. Tuż obok Aslana stały dwa leopardy; jeden trzymał koronę, drugi sztandar.

Jeżeli chodzi o samego Aslana, to ani dzieci, ani bobry nie wiedziały, co zrobić lub co powiedzieć, kiedy go zobaczyły. Temu, kto nigdy nie był w Narnii, trudno pojąć, że coś może być jednocześnie i dobre, i groźne. A jeśli dzieci nigdy by w to nie uwierzyły, to teraz były wyleczone ze swojej niewiary. Kiedy spojrzały na twarz Aslana, dostrzegły tylko błysk złotej grzywy i jego wielkie, królewskie, poważne i przenikliwe oczy. Trwało to krótko, bo każde z nich zdało sobie szybko sprawę z tego, że nie może patrzeć w te oczy. Ogarnął je dziwny lęk.

- No, dalej - szepnął pan Bóbr.

- Nie - szepnął w odpowiedzi Piotr. - Pan najpierw.

- Nie, Synowie Adama przed zwierzętami - wyszeptał znowu pan Bóbr.

- Zuzanno - Piotr zwrócił się po cichu do siostry - może ty? Panie mają pierwszeństwo.

- Nie, ty jesteś najstarszy - odpowiedziała. I oczywiście im dłużej to trwało, tym bardziej czuli się zmieszani. Wreszcie Piotr zrozumiał, że to jednak jego chwila. Wydobył miecz z pochwy, podniósł go w geście pozdrowienia, wycodził przez zęby do reszty: „Dalej! Razem naprzód!”, podszedł do Lwa i powiedział:

- Przyszliśmy, Aslanie!

- Witaj, Piotrze, Synu Adama - odpowiedział Aslan. - Witajcie, Zuzanno i Łucjo, Córki Ewy! Witajcie, Bobrowie!

Jego głos był głęboki i bogaty i w jakiś sposób nappełnił ich spokojem. Już nie czuli zakłopotania i lęku, kiedy tak stali przed nim i nic nie mówili.

- Ale gdzie jest czwarty? - zapytał Aslan.

- Próbował ich zdradzić i przeszedł na stronę Białej Czarownicy, Aslanie - powiedział pan Bóbr.

I wtedy coś kazało Piotrowi powiedzieć:

- To częściowo moja wina, Aslanie. Byłem zły na niego i myślę, że to go popchnęło w nie dobrą stronę.

A Aslan nie powiedział nic, aby Piotra oskarżyć lub potępić, lecz tylko stał, patrząc na niego swoimi wielkimi, nieruchomymi oczami. I wszyscy odczuli, że nie ma tu już nic więcej do powiedzenia.

- Aslanie, proszę cię bardzo - powiedziała nagle Łucja - czy nie można nic uczynić, aby uratować Edmunda?

- Wszystko zostanie uczynione - powiedział Aslan - chociaż może się to okazać cięższe, niż ci się zdaje. - I znowu zamilkł na jakiś czas. Aż do tej chwili wydawał się Łucji przede wszystkim niezwykle królewski, silny i pełen spokoju; teraz pomyślała, że jest również z jakiegoś powodu smutny. Ale w chwilę potem to wrażenie minęło. Lew wstrząsnął grzywą, klasnął w przednie łapy („Cóż to za straszne łapy - pomyślała Łucja - dobrze chociaż, że ma schowane pazury”) i powiedział:

- Ale tymczasem przygotujmy się do uczty. Panie niech zaprowadzą Córki Ewy do namiotu i pomogą im we wszystkim.

Kiedy dziewczynki odeszły, Aslan położył łapę na ramieniu Piotra (pazury miał

oczywiście głęboko ukryte, ale chłopiec ugiął się pod jej ciężarem).

- Chodź ze mną, Synu Adama. Pokażę ci z oddali zamek, który będzie twoją królewską siedzibą.

Poszli ku wschodniemu brzegowi szczytu - Piotr wciąż z mieczem w dłoni - skąd rozciągał się wspaniały widok. Słońce zachodziło za ich plecami i cała kraina u ich stóp zalana była jego czerwonożłotym światłem: lasy, wzgórza, doliny i - wijąca się jak srebrny wąż - wielka rzeka. A daleko, daleko, poza tym wszystkim, było morze, a za morzem niebo pełne różowiejących już obłoków. A tam, gdzie kraina Narnii graniczyła z morzem, u ujścia wielkiej rzeki, jaśniało coś złociście na niewielkim wzgórzu. Był to zamek, a blask pochodził z odbicia promieni słonecznych w jego oknach, lecz Piotrowi wydało się, że to wielka gwiazda, spoczywająca na morskim brzegu.

- Oto, Synu Adama - odezwał się Aslan - Ker-Paravel czterech tronów. Na jednym z nich ty masz zasiąść jako król. Pokazuję ci to, bo jesteś pierworodnym z całego rodzeństwa i jako ten będziesz Wielkim Królem, władcą nad innymi.

I tym razem Piotr nic na to nie odpowiedział, ponieważ nagle rozległ się dziwny głos przypominający dźwięk trąbki, choć o wiele od niego bogatszy.

- To róg twojej siostry - powiedział Aslan niskim głosem, tak niskim, że można by go właściwie nazwać mruczeniem, jeśliby to nie miało oznaczać braku szacunku wobec Lwa.

W pierwszej chwili Piotr nie zrozumiał, o co chodzi. Potem, gdy zobaczył innych, biegnących ze wszystkich stron, i usłyszał ryk Aslana: „Do tyłu! Niech księżę zdobędzie swe ostrogi!”, wreszcie zrozumiał i zaczął biec, jak tylko mógł najszybciej, do namiotu. A tam zobaczył straszną scenę.

Najady i driady rozpierzchły się we wszystkie strony. Łucja biegła ku niemu, ile tylko miała sił w krótkich nóżkach, a jej twarz była biała jak papier. Potem zobaczył Zuzannę, jak wyskakuje z namiotu, biegnie do najbliższego drzewa, chwyta się jednej z niższych gałęzi i podciąga do góry. Za nią pędziła jakaś olbrzymia szara bestia. Najpierw wydawało mu się, że to niedźwiedź. Potem stwierdził, że zwierzę przypomina bardziej owczarka alzackiego, tyle że było o wiele za duże jak na psa. Wreszcie zrozumiał, że to wilk, stojący już teraz na dwu łapach, przednimi oparty o pień drzewa, warczący i kłapiący zębami, z sierścią zjeżoną na karku. Jedna ze stóp Zuzanny zwisała zaledwie o kilkanaście centymetrów od jego rozwartej paszczy. Piotr zastanawiał się przez moment, dlaczego jego siostra nie wspina się wyżej lub

przynajmniej nie podciągnie nóg, zaraz jednak zrozumiał, że była bliska omdlenia. Oznaczało to, że za chwilę spadnie - prosto na tę wściekłą bestię.

Piotr nie czuł się wcale mężnie; zrobiło mu się słabo. Nie mogło to jednak mieć żadnego wpływu na to, co musiał zrobić. Natarł na potwora mieczem i wymierzył cios w jego bok. Ale uderzenie nie dosięgło wilka. Jak szara błyskawica okręcił się wokół siebie, przez moment zamarł w bezruchu, wpatrując się w chłopca płonącymi ślepiami, i rozwarł paszczę w ryku wściekłości. Gdyby wilk nie był tak rozwścieczony, że przed atakiem po prostu musiał wydać z siebie ów ryk, to z pewnością schwyciłby Piotra za gardło w sekundę po chybionym ciosie. Ale teraz - choć wszystko to stało się zbyt prędko, by Piotr miał czas o tym pomyśleć - chłopiec mógł zrobić szybki unik, a następnie z całej siły wbić miecz między przednie łapy bestii. To, co działo się później, przypominało kilka chwil z jakiegoś koszmarnego snu. Czuł potężne szarpnięcie i napór szarego cielska, nie wiedział, czy wilk jest żywy, czy martwy. Widział jego lśniące kły tuż przed swoją twarzą, w końcu wszystko zamieniło się w krew, sierść i gorąco. W chwilę później potwór leżał martwy u jego stóp. Piotr wyciągnął z niego miecz, wyprostował się i otarł pot z twarzy. Poczul straszliwe zmęczenie.

A potem Zuzanna zeskoczyła z drzewa i padła mu w objęcia. Nie wstyd przyznać, że teraz obojgu trzęsły się nogi i że nie zabrakło pocałunków i łez. Ale w Narnii nikt nie myślał o tym gorzej od was.

- Szybko! Szybko! - zagrzemiał głos Aslana. - Centaury! Orły! Widzę drugiego wilka w zaroślach. O tam - za wami! Właśnie ucieka! Wszyscy za nim! Ucieknie do swojej pani. Teraz wy macie szansę odnaleźć Czarownicę i uwolnić czwartego Syna Adama.

I oto nagle, z hukiem kopyt i łopotem skrzydeł, około tuzina najszybszych istot znikło w gęstniejących ciemnościach. Piotr, wciąż jeszcze ciężko dysząc, odwrócił się i zobaczył Aslana tuż obok siebie.

- Zapomniałeś oczyścić swój miecz - powiedział Aslan.

Była to prawda. Piotr wzdrygnął się, gdy spojrział na białą klingę i zobaczył, że cała powalana jest krwią i sierścią. Schylił się i wytarł ją do czysta o trawę, a potem jeszcze o swój płaszcz.

- A teraz daj mi swój miecz i uklęknij, Synu Adama - rzekł Aslan.

I kiedy Piotr to uczynił, Lew uderzył go płaską stroną klingi w ramię i powiedział:

- Powstań, Piotrze, Pogromco Wilka. A odtąd - cokolwiek się stanie - nigdy nie

zapominaj o wytarciu swego miecza.

ROZDZIAŁ 13

WIELKIE CZARY Z ZAMIERZCHŁYCH CZASÓW

A TERAZ MUSIMY WRÓCIĆ DO EDMUNDA. Nigdy przedtem nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek mógł wytrzymać tak długą wędrówkę, do jakiej go teraz zmuszono. Wreszcie Czarownica zatrzymała się w jakimś mrocznym wąwozie ocienionym jodłami i cisami, a chłopiec upadł po prostu twarzą na ziemię i leżał tak, nie myśląc już o tym, co będzie dalej, byleby tylko pozwolono mu nie ruszać się z miejsca. Był tak zmęczony, że zapomniał nawet o głodzie i pragnieniu. Opodal niego Czarownica i karzeł rozmawiali przyciszonymi głosami.

- Nie - powiedział karzeł - to się już nie uda, królowo. Teraz są już na pewno przy Kamiennym Stole.

- Może wilk zwietrzy nas i przyniesie nam wiadomości.

- Obawiam się, że nie będą to dobre wiadomości, nawet gdyby nas odnalazł.

- Na Ker-Paravelu są cztery trony - powiedziała Czarownica. - A więc, jeśli tylko trzy zostaną zajęte, przepowiednia się nie spełni.

- Cóż to ma za znaczenie, odkąd ON jest tutaj? - odpowiedział karzeł. Nawet teraz nie ośmielił się przed swą panią nazwać Aslana po imieniu.

- Nie zostanie tu długo. A potem napadniemy na tych w Ker.

- A czy nie byłoby lepiej - wtrącił karzeł - trzymać tego tu - i kopnąć Edmunda - na przetarg?

- Tak! I dać im go odbić! - zauważyła zgryźliwie Czarownica.

- A więc zrobmy lepiej od razu to, co mamy zrobić.

- Chciałabym to zrobić na Kamiennym Stole. To jest właściwe miejsce. Tam to zawsze robiono.

- Upłynie jeszcze wiele czasu, zanim będziemy mogli składać krwawe ofiary na Kamiennym Stole.

- Masz rację - powiedziała Czarownica, a po chwili dodała: - Tak, musimy to zrobić.

I w tym momencie z gardłowym skowytem wpadł między nich wilk.

- Widziałem ich. Są wszyscy przy Kamiennym Stole - razem z NIM. Zabili mojego kapitana, Maugrima. Schowałem się w krzakach i wszystko widziałem. Zabił go jeden z Synów Adama. Uciekajmy! Uciekajmy!

- Nie - powiedziała Czarownica. - Nie ma potrzeby uciekać. Biegnij i zwołaj wszystkich naszych poddanych. Niech przybędą tu tak szybko, jak potrafią. Wezwij

olbrzymów i wilkołaki, i duchy tych drzew, które są po naszej stronie. Wezwij ghule i upiory, ogry i minotaury. Wezwij srożyce, wiedźmy, widma i lud spod muchomorów. Będziemy walczyć. Cóż to? Czyżbym już nie miała swojej różdżki? Czy nie wiesz, że zamienię ich szeregi w kamień, nawet jeśli nas zaatakują? Ruszaj szybko, mam tu pewną rzecz do załatwienia.

Wielka bestia pochyliła krótko łeb, odwróciła się i odbiegła wielkimi susami.

- A więc - powiedziała Czarownica - nie mamy stołu. Niech no się rozejrzę. Lepiej będzie przywiązać go do drzewa.

Edmund został brutalnie postawiony na nogi. Karzeł przycisnął go do pnia drzewa i mocno przywiązał. Chłopiec zobaczył, że Czarownica zrzuca swój płaszcz. Jej ramiona były przeraźliwie białe - tak białe, że widział je dobrze w mrocznym cieniu, choć nie mógł już dostrzec niczego więcej.

- Przygotuj ofiarę - rozkazała Czarownica. Karzeł rozpiął mu kołnierz i zebrał koszulę na karku. Potem chwycił go za włosy i odchylił mu głowę w tył. I wtedy Edmund usłyszał dziwny dźwięk: uiiiizzzz - uiiiizzzz - uiiiizzz. W pierwszej chwili nie wiedział, co ten dźwięk oznacza. Potem zrozumiał. Był to odgłos ostrzenia noża.

I niemal w tej samej chwili usłyszał ze wszystkich stron głośnie krzyki - tętent kopyt i łopot skrzydeł - jęk Czarownicy - zamieszanie wokoło. Potem poczuł, że ktoś go odwiązuje. Otoczyły go czyjeś silne ramiona i usłyszał mocne, ale przyjemne głosy:

- Połóżcie go na trawie - dajcie mu trochę wina - wypij to teraz - leż spokojnie - przyjdiesz do siebie w ciągu minuty.

Potem głosy zwracały się już nie do niego, lecz rozmawiały między sobą:

- Kto złapał Czarownicę? - Myślałem, że ty.

- Nie widziałem jej, odkąd wytrąciłem jej nóż z ręki.

- Gonilem karła. - Czy to znaczy, że uciekła? - Trudno się od razu połapać. - Co to jest? - Och, nie, nie, to tylko stary pniak.

Ale w tym momencie Edmund przestał słyszeć cokolwiek, gdyż zemdlał ze strachu i wyczerpania.

Centaury, jednorożce, jelenie i ptaki (była to oczywiście owa grupa pościgowa, wysłana przez Aslana za wilkiem przy końcu poprzedniego rozdziału) wyruszyły w drogę powrotną, unosząc chłopca ze sobą. Gdyby jednak wiedziały, co stało się w wąwozie, który opuściły!

W wąwozie zapanowała głęboka cisza. Nagle zaświecił księżyc i gdybyście tam byli, zobaczylibyście, jak jego światło pada na stary pniak i sporych rozmiarów głąz.

Ale gdybyście patrzyli dłużej, musiałyby wam przyjść do głowy, że jest coś dziwnego w tym pniaku i w tym głazie. A potem zaczęlibyście się zastanawiać, czy ten pniak nie przypomina czasem małego, grubego człowieczka przycupniętego przy ziemi. A gdybyście obserwowali dość długo, zobaczylibyście, jak pniak wędruje sobie do głazu, a głaz podnosi się i zaczyna rozmawiać z pniakiem. Bo w rzeczywistości pniak był karłem, a głaz Czarownicą. Była to jedna z jej magicznych sztuczek, dzięki której mogła sprawiać, że różne rzeczy zmieniały swój wygląd. Uczyniła to wtedy, kiedy wytracono jej nóż z ręki. Nie wypuściła jednak swojej różdżki.

Kiedy pozostałe dzieci obudziły się następnego ranka (spały na stosach poduszek w wielkim namiocie), pierwszą rzeczą, o jakiej się dowiedziały (od pani Bobrowej), było to, że w nocy ich brat został odbity i przyniesiony do obozu; teraz rozmawia z nim Aslan. Gdy tylko zjadły śniadanie, wyszły na zewnątrz i zobaczyły Aslana spacerującego z Edmundem po mokrej od rosy trawie, z dala od reszty dworu. Nie sądzę, abym musiał wam opowiadać, co mu Aslan powiedział (nikt tego zresztą nie słyszał), ale była to w każdym razie rozmowa, której Edmund nigdy nie zapomni. Kiedy dzieci zbliżyły się, Aslan zwrócił się w ich stronę i popchnął ku nim Edmunda.

- Oto wasz brat. Nie ma już potrzeby wracać do tego, co było.

Edmund uściśnął każdemu rękę i każdemu powiedział: „Bardzo mi przykro”, i każdy odpowiedział: „Już wszystko w porządku”. A potem każdy chciał powiedzieć coś takiego, po czym byłoby już zupełnie jasne, że znowu jest ich przyjacielem - coś prostego i naturalnego - i oczywiście nikt nie mógł czegoś takiego wymyślić. Ale zanim zdążyło to ich wprowadzić w kompletne zmieszanie, jeden z leopardów zbliżył się do Aslana i powiedział:

- Miłościwy panie, przybył poseł wroga i prosi o posłuchanie.

- Niech się zbliży - odpowiedział Aslan. Leopard odszedł i wkrótce powrócił, prowadząc karła

Czarownicy.

- Co masz nam do powiedzenia, Synu Ziemi? - zapytał Aslan.

- Królowa Narnii i Cesarzowa Samotnych Wysp pragnie tu przybyć i odbyć z tobą rozmowę na temat, który jest przedmiotem zainteresowania obu stron; w związku z tym żąda, byś zapewnił jej na ten czas nietykalność.

- Królowa Narnii, dobre sobie! - wtrącił pan Bóbr. - Te wszystkie bezczelne...

- Spokój, Bobrze! - powiedział Aslan. - Już niedługo wszystkie imiona i tytuły zostaną zwrócone ich prawowitym właścicielom. Na razie nie będziemy o tym

rozmawiać. Powiedz swojej pani, Synu Ziemi, że przyrzekam jej bezpieczeństwo, pod warunkiem że zostawi swoją różdżkę pod tamtym dębem.

Karzeł zgodził się i dwa leopardy poszły razem z nim do Białej Czarownicy, aby upewnić się, że warunek zostanie spełniony.

- Ale czy ona przypadkiem nie zamieni ich w posągi? - szepnęła Łucja do Piotra. Myślę, że to samo przyszło do głowy i leopardom; w każdym razie kroczyły ostrożnie, z najeżoną sierścią i napuszczonymi ogonami - jak koty, które zobaczyły obcego psa.

- Nic im się nie stanie - odpowiedział również szeptem Piotr. - Gdyby im coś groziło, toby Aslam ich nie wysłał.

W kilka minut później sama Czarownica pojawiła się na szczycie wzgórza, przeszła przez otwartą przestrzeń i stanęła przed Aslanem. Na widok jej twarzy ciarki przebiegły po plecach trójce dzieci, które zobaczyły ją po raz pierwszy. Dało się również słyszeć stłumiony pomruk wśród wszystkich zwierząt. Pomimo pełnego słońca wszystkich przeszył chłód. Tylko dwie osoby pozostały niewzruszone: Aslan i sama Czarownica. Było coś niesamowitego w widoku tych dwu twarzy, złotej i martwobiałej, tak blisko siebie. Ale - jak nie omieszkał zauważyć pan Bóbr - Czarownica nie patrzyła Aslanowi w oczy.

- Masz tu zdrajcę, Aslanie - powiedziała. Nikt nie miał wątpliwości, że chodzi o Edmunda. Ale Edmund miał już poza sobą poważne przemyślenie swojego postępowania po tym wszystkim, co przeszedł, i po porannej rozmowie z Aslanem. Teraz nie odrywał od niego oczu. Nie obchodziło go wcale, o czym mówi Czarownica.

- No cóż - odrzekł Aslan - nie ciebie zdradził.

- Czyżbyś zapomniał o Wielkich Czarach? - zapytała.

- Powiedzmy, że zapomniałem - odpowiedział Aslan chłodno. - Opowiedz nam o Wielkich Czarach.

- Opowiedzieć ci? - głos Czarownicy przeszedł nagle w pisk. - Opowiedzieć ci, co jest wyryte na głębokość ostrza włóczni na krzemienych głazach Tajemnego Wzgórza? Powiedzieć ci, co jest napisane na berle Władcy-Zza-Morza? Znasz przecież Prawo, które Władca ustanowił w Narnii na samym początku. Wiesz, że każdy zdrajca do mnie należy jako moja prawowita zdobycz i że za każdą zdradę mam prawo zabić.

- Ach - wtrącił pan Bóbr - więc to DLATEGO wyobrażasz sobie, że jesteś królową, ponieważ jesteś katem Władcy... Rozumiem.

- Spokój, Bobrze! - powiedział Aslan, a słowom tym towarzyszył cichy, lecz

groźny pomruk.

- Tak więc - ciągnęła Czarownica - to ludzkie stworzenie do mnie należy. Jego życie jest w moich rękach. Jego krew jest moją własnością.

- Więc chodź i spróbuj go wziąć - zaryczał jeden z byków o ludzkiej głowie.

- Głupcze! - warknęła Czarownica z okrutnym uśmiechem. - Czy myślisz, że twój pan może mi siłą wydrzeć moje prawa? On dobrze zna Wielkie Czary. Wie, że jeśli nie dostanę tej krwi, jak nakazuje Prawo, to cała Narnia zapadnie się i zniknie w ogniu i wodzie.

- To prawda - powiedział Aslan. - Nie zaprzeczam temu.

- Och, Aslanie! - szepnęła Zuzanna do jego ucha. - Czy nie możemy... to znaczy, czy ty nie możesz... możesz, prawda? Możesz coś zrobić z tymi Wielkimi Czarami? Czy nie ma nic takiego, co by można przeciw nim zrobić?

- Zrobić coś przeciw Czarom Władcy? - zapytał Aslan i odwrócił się do niej z dziwnym, jakby nieco groźnym wyrazem twarzy. I nikt już nie wspomniał nic więcej na ten temat.

Edmund stał po drugiej stronie, wpatrując się w niego przez cały czas. Czuł, że coś dławi go w gardle, a jednocześnie zastanawiał się gorączkowo, czy nie powinien się odezwać. Zaraz jednak wyczuł, że nie oczekiwano od niego niczego więcej poza milczeniem i zrobieniem tego, co mu powiedzą.

- Cofnijcie się wszyscy! - zawołał Aslan. - Chcę porozmawiać z Czarownicą sam na sam.

Wszyscy posłuchali. Był to straszny okres oczekiwania, podczas gdy Lew i Czarownica rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, z wielką powagą na twarzach. Łucja krzyknęła cicho: „Och, Edmundzie!” i rozpląkała się. Piotr odwrócił się do wszystkich plecami i wpatrywał się w odległe morze. Bobry stały obok siebie ze zwieszonymi głowami, trzymając się za łapy. Centaury przebierały niespokojnie kopytami. Ale w końcu zapanowała głęboka cisza, tak że można było usłyszeć buczenie przelatującego trzmiela, śpiew ptaków w lasach na zboczach wzgórza i szelest liści na wietrze. Rozmowa wciąż trwała. Wreszcie usłyszeli głos Aslana.

- Możecie wszyscy wrócić! Sprawa została załatwiona. Ona zrzekła się roszczeń do krwi waszego brata. - I po całym wzgórzu rozległ się taki odgłos, jakby przedtem wszyscy wstrzymali oddechy, a teraz jednocześnie wypuścili powietrze z płuc. Potem dał się słyszeć szmer przyciszonych rozmów.

Na twarzy Czarownicy malował się okrutny triumf. Zamierzała już odejść, lecz

w ostatniej chwili odwróciła się raz jeszcze i powiedziała:

- Jaką mogę jednak mieć pewność, że twoja obietnica zostanie spełniona?

- Rrrrrroooooouughh! - zaryczał Aslan, podnosząc się ze swojego tronu; jego wielka paszcza otwierała się coraz szerzej i szerzej, a ryk był coraz bardziej i bardziej potężny, aż Czarownica, popatrzwszy przez chwilę na tę rozwartą paszczę, zebrała suknię ręką i uciekła ze wzgórza, w obawie o swe życie.

ROZDZIAŁ 14

TRIUMF CZAROWNICY

GDY TYLKO CZAROWNICA ODESZŁA, Aslan powiedział:

- Musimy natychmiast opuścić to miejsce. Będzie potrzebne do innych celów. Dziś wieczór rozbijemy obóz przy Brodzie Beruny.

Oczywiście każdy umierał z ciekawości, jak zakończyła się rozmowa z Czarownicą, ale jego twarz była surowa, a wszyscy mieli jeszcze w uszach dźwięk strasznego ryku, tak że nikt nie śmiał o to pytać.

Po posiłku, który zjedzono pod gołym niebem, na szczycie wzgórza (słońce przygrzewało już teraz mocno i trawa obeschła), zajęto się zwijaniem namiotu i pakowaniem rzeczy. W dwie godziny po południu maszerowali już, kierując się na północny wschód. Ponieważ odległość od celu nie była zbyt wielka, nie musieli się spieszyć.

Na początku wędrowki Aslan wyjaśnił Piotrowi swój plan strategiczny. „Jest prawie pewne, że jak tylko Czarownica załatwi swoje sprawy w tej okolicy, powróci do zamku i przygotowuje się do oblężenia. Nie wiadomo, czy uda ci się przeciąć jej drogę i udaremnić ten zamiar”. Potem nakreślił dwa plany bitwy: jeden, gdyby przyszło im walczyć w lesie, drugi, gdyby doszło do oblężenia zamku. Mówiąc o szczegółach obu planów, doradzał Piotrowi, jak ma przeprowadzić operacje wojskowe, na przykład: „Musisz ustawić centaury tu i tu” albo: „Musisz wysłać zwiadowców, żeby się dowiedzieć, czy ona nie zrobiła tego i tego”, aż w końcu Piotr zauważył:

- Ale przecież ty sam z nami będziesz...

- Nie mogę ci tego obiecać - odpowiedział Lew i dalej udzielał mu instrukcji.

W drugiej części marszu osobami, które towarzyszyły mu najbliżej, były Zuzanna i Łucja. Nie mówił jednak wiele i wydawał się czymś przygnębiony.

Było jeszcze jasno, kiedy doszli do miejsca, w którym dolina otworzyła się, a rzeka była szeroka i płytka. Był to Bród Beruny i Aslan wydał rozkaz, aby zatrzymać się po tej stronie rzeki.

- Czy nie byłoby lepiej - zauważył Piotr - rozbić obóz po tamtej stronie, aby nas nie zaatakowano w nocy?

Aslan, który wydawał się myśleć o czymś innym, podniósł się, potrząsnął swą wspaniałą grzywą i powiedział:

- Co takiego?

Piotr powtórzył swoją propozycję.

- Nie - odpowiedział Aslan bezbarwnym głosem, jakby cała sprawa niewiele go już obchodziła. - Nie, ona nie zaatakuje nas w nocy.

I westchnął głęboko. Zaraz jednak dodał:

- Niemniej dobrze to było pomyślane. Tak właśnie powinien myśleć żołnierz. Ale to już nie ma większego znaczenia.

Tak więc zabrali się do rozbijania obozu. Tego wieczora wszystkim udzielił się dziwny nastrój Aslana. Piotr nie mógł się oswoić z myślą, że być może przyjdzie mu poprowadzić walkę i że wielkiego Lwa może zabraknąć w oczekującej ich bitwie. Jedli wieczorny posiłek w milczeniu czując, że wydarzyło się coś, co zupełnie zmieniło sytuację. Było tak, jak gdyby dobre czasy niespodziewanie się kończyły, choć tak niedawno dopiero się zaczęły.

Ten nastrój długo nie pozwalał Łucji zasnąć. Próbowала liczyć barany i przewracała się na posłaniu, aż usłyszała głębokie westchnienie Zuzanny i poczuła, że siostra również przewraca się z boku na bok w ciemności.

- Ty też nie możesz zasnąć? - zapytała Zuzanna.

- Nie mogę - odpowiedziała Łucja. - Myślałam, że już śpisz. Słuchaj, Zuzanno...

- Co?...

- Mam takie okropne uczucie... jakby coś nad nami wisiało.

- Tak?... Bo widzisz, ja też coś takiego czuję.

- To się wiąże z Aslanem - dodała Łucja. - Wydaje mi się, że albo z nim ma się stać coś strasznego, albo on sam zamierza zrobić coś strasznego.

- Coś niedobrego działo się z nim przez całe popołudnie. Słuchaj, Łusiu, dlaczego on powiedział, że nie może być z nami w bitwie? Chyba nie myślisz, że mógłby tej nocy uciec i zostawić nas samych?

- A gdzie on teraz jest? Tutaj w namiocie?

- Chyba nie.

- Zuzanno! Wyjdźmy na dwór i rozejrzyjmy się. Musimy się z nim zobaczyć.

- Dobrze, chodźmy. I tak nie możemy zasnąć.

Ostrożnie, żeby nie zbudzić śpiących, znalazły drogę do wyjścia i wyczołgały się z namiotu. Księżyc świecił jasno i w głębokiej ciszy słycać było tylko plusk wody, rozbijającej się o kamienie. Nagle Zuzanna złapała Łucję za ramię i szepnęła: „Spójrz!” Na dalekim skraju obozowiska, tam gdzie zaczynały się już drzewa, zobaczyły Lwa, odchodzącego powoli w stronę lasu. Bez słowa podążyły za nim.

Aslan szedł najpierw w górę zbocza, oddalając się od rzeki, potem skręcił nieco

w prawo, idąc najwyraźniej tą drogą, którą tego popołudnia przybyli ze Wzgórza Kamiennego Stołu. Szedł i szedł, to zagłębiając się w gęsty cień drzew i zarośli, to krocząc w jasnej poświacie księżyca. Wyglądał zupełnie inaczej niż wielki Aslan, którego dotąd znali. Ogon i łeb zwisały mu ciężko, łapy miał zmoczone rosą, posuwał się wolno, jakby był bardzo, bardzo zmęczony. I nagle, na rozległej polanie, gdzie brakowało cienia, w którym mogłyby się ukryć, zatrzymał się i rozejrzał wokoło. Ucieczka nie miała już sensu, więc poszły w jego kierunku. Kiedy były blisko, usłyszały jego głos:

- Och, dzieci, dzieci, czemu za mną idziecie?

- Nie mogliśmy zasnąć - odpowiedziała Łucja i nagle poczuła, że nie ma potrzeby już nic więcej mówić, że Aslan dobrze wie, o czym myślały.

- Pozwól nam iść ze sobą... gdziekolwiek idziesz - powiedziała Zuzanna.

- No cóż - zaczął Aslan i wyglądało na to, że się zastanawia. Potem powiedział: - Tej nocy miła mi będzie czyjaś bliskość. Tak, możecie ze mną iść, jeśli mi przyrzekniecie, że zatrzymacie się, kiedy wam powiem, i pozwolicie mi iść już dalej samemu.

- Och, dziękujemy ci, dziękujemy, Aslanie. Zrobimy tak, jak zechcesz - odpowiedziały dziewczynki.

Poszli więc dalej razem - każda z siostr po jednej stronie Lwa. Jakże jednak wolno szedł! A jego wielka, królewska głowa zwisała się tak nisko, że nos prawie dotykał trawy. Po chwili wzdrygnął się i wydał z siebie głuchy jęk.

- Aslanie! Kochany Aslanie! - zawołała Łucja. - Czy stało się coś złego? Czy nie możesz nam powiedzieć?

- Może jesteś chory, Aslanie? - zapytała Zuzanna.

- Nie - odpowiedział Aslan. - Czuję się smutny i osamotniony. Połóżcie ręce na mojej grzywie, żebym czuł, że tu jesteście, i idźmy tak dalej.

I dziewczynki zrobiły to, czego nigdy nie śmiałyby zrobić bez jego zachęty, a o czym marzyły od pierwszej chwili, gdy go spotkały: zanurzyły swoje zimne rączki we wspaniałej gęstwinie jego grzywy i trzymając się jej, szły dalej blisko niego. Wkrótce stwierdziły, że idą pod górę, po zboczu wzgórza, na którym stał Kamienny Stół. Kiedy doszli do ostatniego drzewa (pod którym rosły jakieś krzaki), Aslan zatrzymał się i powiedział:

- Och, dzieci, dzieci... Tutaj musicie pozostać. A cokolwiek się wydarzy, nie pozwólcie, aby was zauważono. Zegnajcie.

I obie dziewczynki zapłakały gorzko (choć właściwie nie wiedziały dlaczego) i przytuliły się do Lwa, i ucałowały jego grzywę, jego nos, jego łapy i jego wielkie, smutne oczy. Potem odwrócił się od nich i wszedł samotnie na szczyt wzgórza. A Łucja i Zuzanna, przycupnąwszy w krzakach, patrzyły za mm - i oto, co zobaczyły.

Naokoło Kamiennego Stołu zebrał się wielki tłum, a chociaż księżyc świecił jasno, wielu trzymało pochodnie, których złowrogie, czerwone płomienie otaczały kłęby czarnego dymu. Ach, cóż to była za zgraja! Ogry z wielkimi zębami, wilki i wilkołaki, duchy złych drzew i trujących roślin i wiele innych potworów, których nie będę opisywał, bo gdybym to zrobił, dorośli nie pozwoliliby wam czytać tej książki - srożyce, wiedźmy i zmory, widma, strachy, ifryty, karły, orki, wampiry i harpie. Zebrali się tu rzeczywiście wszyscy, którzy stali po stronie Czarownicy i których wilk zwołał na jej rozkaz. A pośrodku, przy Kamiennym Stole, stała sama Czarownica.

Szwargot i skowyt przerażenia rozległy się na wzgórzu, gdy zgraja potworów zobaczyła wielkiego Lwa krocącego w ich kierunku, i przez moment wydawało się, że nawet Czarownica uległa fali strachu. Szybko jednak opanowała się i wybuchnęła dzikim śmiechem.

- Głupiec! - wykrzyknęła. - Przyszedł głupiec. Zwiążcie go mocno!

Łucja i Zuzanna wstrzymały oddech w oczekiwaniu na ryk Aslana i jego skok na wrogów. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Cztery wiedźmy, szczerząc zęby i łypiąc złośliwie oczami, zaczęły się zbliżać do niego, ociągając się trochę ze strachu.

- Powiedziałam, związać go! - powtórzyła Biała Czarownica.

Wiedźmy rzuciły się na Lwa i zawyły z triumfu, gdy stwierdziły, że nie stawia żadnego oporu. Potem inni - karły i małpoludy - ruszyli, aby im pomóc. Wkrótce przewrócili potężnego Lwa na grzbiet i związali mu mocno wszystkie cztery łapy razem, wrzeszcząc i pokrzykując, jakby dokonali nie lada wyczynu, chociaż - gdyby tylko zechciał - wystarczyłaby jedna z tych potężnych łap, aby ich wszystkich uśmiercić. Ale Lew był nadal spokojny, nawet wówczas, gdy jego wrogowie, miotając się i szarpiąc sznurami, zaciągnęli węzły tak mocno, że wpiły się w żywe ciało. Potem zaczęli go wlec w stronę Kamiennego Stołu.

- Zatrzymajcie się! - rozkazała Czarownica. - Trzeba go najpierw ogolić.

I znowu ryk szyderczego śmiechu zagrzmiął nad tłumem jej poddanych, gdy jeden z ogrów wysunął się do przodu z nożycami do strzyżenia owiec w rękę i nachylił się nad głową Aslana. Rozległ się szybki zgrzyt nożyc i masy wijącego się złota zaczęły spadać na ziemię. Wreszcie ogr podniósł się, a dziewczynki, obserwujące to wszystko z

ukrycia, zobaczyły głowę Aslana - małą i zmienioną nie do poznania bez grzywy. Wrogowie również zauważyli tę różnicę. Ktoś wykrzyknął:

- Patrzcie, przecież to jest tylko wielki kot!

- Czy to jest TO, czego się tak baliśmy? - odezwał się drugi głos.

I wszyscy otoczyli go ciasnym kołem, szydząc z niego i nawołując: „Kici, kici, kici, biedna kicia” i „Ile myszek dzisiaj złapałeś, kotku?”, i „Chciałbyś dostać spodeczek mleka, kocurku?”

- Och, jak oni MOGA? - wykrztusiła Łucja, a łzy spływały jej po policzkach. - Wstrętne bestie! Bestie! - Teraz, kiedy minął już pierwszy szok, nagi łeb Aslana wydawał się jeszcze bardziej mężny, bardziej piękny i bardziej spokojny niż kiedykolwiek.

- Nałóżcie mu kaganiec! - rozkazała Czarownica. I nawet teraz, gdy nakładano mu kaganiec, tylko jedno kłapięcie jego paszczy kosztowałoby utratę rąk dwu lub trzech wrogów. Ale się nie poruszył, co zdawało się jeszcze bardziej rozwścieczać tę hałastrę. Teraz otoczyli go wszyscy. Ci, którzy uprzednio bali się do niego zbliżyć nawet wówczas, gdy już był związany, teraz nabrali odwagi. Przez kilka minut dziewczynki przestały go widzieć - tak gęsto był otoczony tłumem potworów, które go kopały, biły, opluwały i wydrwiwały.

W końcu mieli już dosyć. Teraz zaczęli go ciągnąć do Kamiennego Stołu. Jedni popychali go, inni ciągnęli; wreszcie z najwyższym trudem udało im się umieścić olbrzymie cielsko na kamiennej płycie. Jeszcze raz zaciśnięto stare więzy i dodano nowe.

- Tchórze! Podłe tchórze! - Ikała Zuzanna. - Czyżby WCIAŻ się go bali, nawet teraz?

Kiedy już Aslan leżał na płaskiej powierzchni kamiennej płyty (związany tak, że ledwo go było widać spod płataniny sznurów), tłum uciszył się. Cztery wiedźmy stanęły przy czterech rogach Stołu z płonącymi pochodniami w rękach. Czarownica zrzuciła płaszcz, obnażając ramiona, jak to uczyniła wówczas, gdy ofiarą miał być Edmund. Potem zaczęła ostrzyć nóż. Blask pochodni padł na klingę i dziewczynkom wydało się, że nie jest to nóż ze stali, lecz z krzemienia; miał dziwny i złowrogi kształt.

W końcu zbliżyła się do Stołu. Stała teraz tuż przy głowie Aslana. Jej twarz wykrzywił grymas złej namiętności - jego była wciąż spokojna: ani zła, ani przerażona, jedynie nieco smutna. Patrzył w niebo. Czarownica podniosła nóż, lecz nagle jeszcze raz opuściła rękę i powiedziała drżącym z podniecenia głosem:

- A więc, kto zwyciężył? Ty głupcze, czy myślisz, że przez to wszystko uratujesz tego ludzkiego zdrajcę? Teraz zabiję cię zamiast niego, tak jak się umówiliśmy, i w ten sposób uczynimy zadość Wielkim Czarom. Ale kiedy już będziesz martwy, ktoś mnie powstrzyma przed zabiciem również i jego? Kto go WTEDY wyrwie z moich rąk? Czy już pojąłeś, że oddałeś mi Narnię na zawsze, straciłeś życie i wcale nie uratowałeś tego małego zdrajcy? A teraz, z tą świadomością - giń!

Dziewczynki nie zobaczyły ruchu jej ręki. Nie mogły już na to patrzeć i ukryły twarze w dłoniach.

ROZDZIAŁ 15

NAJWIĘKSZE CZARY SPRZED POCZĄTKÓW CZASU

Zanim ukryte w zaroślach dziewczynki ośmieliły się ponownie spojrzeć na Kamienny Stół, usłyszały głos Czarownicy:

- Już po wszystkim! A teraz wszyscy za mną! Skończymy z tą wojną. Nie zajmie nam wiele czasu policzenie się z tym ludzkim robactwem i ze zdrajcami, kiedy już ten wielki głupiec, wielki kot, leży martwy.

Przez kilka chwil dziewczynkom groziło bardzo poważne niebezpieczeństwo. Oto z dzikim wrzaskiem, z jazgotem piszczałek i przenikliwym rykiem rogów cała ta podła hałastra zaczęła opuszczać szczyt wzgórza i zbiegać po zboczu tuż obok ich kryjówek. Czuły widma przepływające koło nich jak chłodne powiewy i drżenie ziemi pod nogami pędzących minotaurów, a nad nimi rozlegał się ohydny łopot skrzydeł i niebo poczerniało od sępów i wielkich nietoperzy. Kiedy indziej dygotałyby ze strachu, ale teraz smutek, wstyd i przerażenie po śmierci Aslana przepełniały je tak, że niemal nie zwracały na to uwagi.

Gdy tylko las ucichł ponownie, Zuzanna i Łucja wypełzły ze swojej kryjówki na otwartą przestrzeń na szczycie wzgórza. Księżyc zaczął się już zniżać i raz po raz przesłaniały go przejrzyste chmury, ale zarys martwego ciała na Kamiennym Stole był jeszcze dobrze widoczny. Dziewczynki uklękły w mokrej od rosy trawie, ucałowały zimny łeb Lwa i pogłaskały jego wspaniałe futro - to, co z niego jeszcze zostało - a potem płakały i płakały, aż wydało im się, że wypłakały już wszystkie łzy. A wtedy popatrzyły na siebie i chwyciły się za ręce, aby nie czuć się tak samotnie - i zapłakały znowu, a potem znów ucichły. W końcu Łucja powiedziała:

- Nie mogę już patrzeć na ten okropny kaganiec. Zastanawiam się, czy nie udałoby się nam go zdjąć.

A więc spróbowały. Nie było to łatwe, gdyż palce zgrabiały im z zimna i zaczęła się już najciemniejsza część nocy, ale wreszcie dopięły swego. A kiedy zobaczyły pysk Lwa bez kagańca, wybuchnęły płaczem raz jeszcze, a potem wytarły krew i pianę, tak jak potrafiły, i zrobiło się im jeszcze bardziej samotnie, beznadziejnie i strasznie - bardziej, niż potrafię to opisać.

- Tak sobie myślę, czy nie dałoby się go również rozwiązać - odezwała się Zuzanna.

Ale oprawcy z czystej złości zaciągnęli węzły tak mocno, że dziewczynki nie mogły sobie z nimi poradzić.

Mam nadzieję, że nikt z czytających tę książkę nie czuł się nigdy tak nieszczęśliwy jak Zuzanna i Łucja tej nocy; ale jeżeli ktoś z was przeżył kiedyś coś podobnego - jeśli płakał całą noc, aż zabrakło mu łez - to wie, że w końcu przychodzi pewien szczególny rodzaj spokoju. Człowiek czuje się tak, jakby już nie nigdy nie miało się zdarzyć. I tak mijały godzina za godziną, a dziewczynki nie czuły nawet, że robi się coraz zimniej. Aż w końcu Łucja zauważyła dwie rzeczy. Pierwszą było to, że niebo po wschodniej stronie zrobiło się nieco mniej ciemne niż godzinę wcześniej. Drugą był jakiś delikatny ruch w trawie u jej stóp. W pierwszej chwili zupełnie się tym nie przejęła. Cóż to może mieć za znaczenie? Nic się już teraz nie liczy! Ale po jakimś czasie zauważyła, że cokolwiek-to-mogło-być wpełza na głązy, podtrzymujące kamienną płytę. A potem owo cokolwiek-to-mogło-być zaczęło łązić po martwym ciele Aslana. Nachyliła się niżej. Zobaczyła coś małego i szarego.

- Aj! - krzyknęła Zuzanna z drugiej strony.

- Jakie to wstrętne! Okropne małe myszy chodzą sobie po nim. Wynoście się, wy, potworki! - I zamachała rękami, aby je przepędzić.

- Zaczekaj! - powiedziała Łucja, która przypatrywała im się uważnie z bliska. - Czy nie widzisz, co one robią?

Obie dziewczynki nachyliły się jeszcze bardziej.

- Nie do wiary! - powiedziała Zuzanna. - Cóż to za dziwy! One przegryzają więzy!

- Tak właśnie myślałam - odezwała się Łucja. - Sądzę, że to są przyjazne myszki. Biedactwa, nie zdają sobie sprawy z tego, że on jest już martwy. Myślą, że mu pomogą, gdy go rozwiążą.

Teraz zrobiło się dużo jaśniej. Dziewczynki zauważyły po raz pierwszy błądź swoich twarzy. Widziały wyraźnie myszy gryzące grube powrozy - tuziny i tuziny, może nawet setki małych polnych myszy. I w końcu wszystkie sznury - jeden po drugim - opadły.

Niebo na wschodzie pojaśniało, a gwiazdy zbladły - wszystkie, prócz jednej wielkiej gwiazdy, płonącej nisko nad wschodnim horyzontem. Poczuły teraz, że jest im bardzo zimno, zimniej niż w ciągu całej nocy. Myszy znikły gdzieś w trawie.

Dziewczynki usunęły resztki przegryzionych powrozów i teraz Aslan wyglądał trochę bardziej swojsko. I z każdą chwilą, gdy robiło się jaśniej i mogły widzieć go wyraźniej, jego martwa twarz wyglądała coraz mniej strasznie.

Gdzieś poza nimi, w lesie, zaczął się ptak. Tak długo przedtem było cicho, że

aż podskoczyły na ten dźwięk. Potem odpowiedział mu inny ptak i wkrótce cały las rozbrzmiał ptasim śpiewem. Był wczesny ranek.

- Zimno mi - powiedziała Łucja.

- Mnie też - dodała Zuzanna. - Przejdźmy się trochę.

Poszły na wschodni brzeg płaskiego szczytu i spojrzały w dół. Wielka gwiazda nad horyzontem prawie już znikła. Cała kraina w dole tonęła jeszcze w ciemnozielonym mroku, ale za nią, hen, na samym końcu świata, jaśniało już blade morze. Niebo zaczynało się czerwienić. I tak chodziły, tam i z powrotem, od martwego Aslana do wschodniego brzegu szczytu, niezliczoną ilość razy, aż porządnie się zmęczyły. I wreszcie, kiedy przystanąły akurat na krawędzi zbocza, patrząc na morze i Ker-Paravel (który mogły już teraz rozpoznać), wzdłuż linii rozdzielającej morze i niebo czerwień zamieniła się w złoto i powoli, powoli wynurzył się skrawek słońca. I w tej samej chwili usłyszały za sobą ogłuszający, straszny trzask, jakby jakiś olbrzym przełamał swoją miskę.

- Co to takiego?! - krzyknęła Łucja, wczepiając się w ramię Zuzanny.

- Ja... ja... boję się odwrócić - wyjąkała Zuzanna. - Stało się coś strasznego.

- Coś złego dzieje się z NIM! - zawołała Łucja. - Chodźmy! - I odwróciła się, pociągając Zuzannę za sobą

Wschód słońca sprawił, że teraz wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Wszystkie barwy i cienie zmieniły się, tak że przez chwilę nie zauważyły rzeczy najważniejszej. A potem to zobaczyły. Kamienny Stół był przełamany: wielka szczelina biegła od jednego końca do drugiego. Aslan znikł.

- Och! Och! Och! - wykrzyknęły dziewczynki i pobiegły do Stołu.

- Och, tego już ZA wiele! - łkała Łucja. - Mogli chociaż ciało zostawić w spokoju.

- Kto to zrobił? - krzyczała Zuzanna. - Co to znaczy? Czy to nowe czary?

- Taaak! - rozległ się za nimi potężny głos. - To nowe czary!

Odwróciły się. A tam, jaśniejący w blasku wschodzącego słońca, jeszcze większy niż przedtem, wstrząsając grzywą (która widocznie mu odrosła) stał Aslan.

- Och, Aslan! - zawołały dziewczynki, wpatrując się w niego i czując chyba tyle radości, co i strachu.

- A więc nie jesteś już martwy, kochany Aslanie? - zapytała Łucja.

- Teraz już nie - odpowiedział Aslan.

- I nie jesteś... nie jesteś... tym... - powiedziała Zuzanna drżącym głosem, nie mogąc wypowiedzieć ostatniego słowa: DUCHEM. Aslan pochylił swój złoty łeb i

liznął ją w czoło. Poczowała ciepło jego oddechu i silny, przyjemny zapach bijący z jego grzywy.

- Czy przypominam ducha? - zapytał.

- Och, jesteś prawdziwy, jesteś prawdziwy! Och, Aslanie! - krzyknęła Łucja. Obie dziewczynki rzuciły się na niego i obsypały go pocałunkami.

- Ale co to wszystko znaczy? - spytała Zuzanna, kiedy już ochłonęły trochę z wrażenia.

- To znaczy - odpowiedział Aslan - że chociaż Czarownica zna Wielkie Czary, są czary jeszcze większe, o których nie wie. Jej wiedza sięga tylko początków czasu. Gdyby jednak potrafiła sięgnąć nieco dalej, w bezruch i ciemność sprzed początków czasu, poznałaby inne zaklęcie. Dowiedziałyby się, że kiedy dobrowolna ofiara, która nie dopuściła się żadnej zdrady, zostanie zabita w miejsce zdrajcy, Stół rozłamie się i sama Śmierć będzie musiała cofnąć swe wyroki. A teraz...

- O, tak! A teraz? - krzyknęła Łucja, podskakując i klaszcząc w dłonie.

- Och, dzieci - powiedział Lew - czuję, że mi wracają siły. Och, dzieci, złapcie mnie, jeśli potraficie!

Przez chwilę stał nieruchomo, z błyszczącymi oczami, drżącymi, napiętymi łapami i śmigającym na boki ogonem. Potem skoczył nagle nad ich głowami i wylądował po drugiej stronie Stołu. Łucja śmiejąc się (choć nie wiedziała dlaczego) wgramoliła się na szczątki kamiennej płyty, aby go złapać. Ale gdy już była po tamtej stronie, Aslan skoczył znowu. Rozpoczęła się zwariowana zabawa. Ścigały go po całym szczytzie wzgórza; Lew krążył wokół, to daleki, nie do pochwycenia, to znów pozwalając im prawie złapać się za ogon, to opadając w skoku między nimi, to wyrzucając je w powietrze podrzutem potężnych, miękkich łap i chwytając je bezpiecznie z powrotem, to zatrzymując się raptownie w ucieczce, aż cała trójka turlała się razem po trawie w roześmianym kłębkę futra, rąk, nóg i łap. Takich swawoli nikt by się nie spodziewał; Łucja nie bardzo wiedziała, czy to zabawa z piorunem, czy zabawa z rozkosznym kotem. I ciekawa rzecz: kiedy już wszyscy troje leżeli w słońcu oddychając głęboko, dziewczynki nie czuły się wcale ani zmęczone, ani głodne, ani spragnione.

- A teraz - odezwał się wreszcie Aslan - teraz wracajmy do naszych spraw. Czuję, że zaraz będę ryczał. Lepiej zatkajcie sobie uszy palcami.

I tak zrobiły. A Aslan podniósł się i kiedy otworzył paszczę, wyglądał tak strasznie, że nie śmiały na niego patrzeć. Zobaczyły tylko, jak drzewa ugięły się pod

podmuchał jego ryku, tak jak trawy uginają się na łące pod powiewem wiatru. Potem powiedział:

- Mamy przed sobą daleką drogę. Będziecie podróżować na moim grzbiecie.

I położył się, a dzieci wspięły się na jego ciepły, złoty grzbiet; Zuzanna usiadła na przedzie, chwytając się jego grzywy, a Łucja za nią, obejmując ją mocno rękami. A Lew podniósł się powoli i nagle skoczył naprzód, i szybciej od najszybszego konia popędził susami po zboczu wzgórza, a potem przez gęstniejący las.

Ta jazda była chyba ich najcudowniejszym przeżyciem w czasie całego pobytu w Narnii. Jeździliście kiedy pełnym galopem na koniu? Pomyślcie o tym, a potem odejmijcie głuchy tętent kopyt i dzwonienie uprzęży, a zamiast tego wyobraźcie sobie prawie bezszelestne opadanie wielkich łap. I zamiast czarnego, siwego lub kasztanowego grzbietu konia wyobraźcie sobie miękkie, złociste futro i grzywę powiewającą w pędzie. A potem wyobraźcie sobie, że pędzicie dwa razy szybciej niż na najlepszym koniu wyścigowym. W dodatku wasz wierzchowiec nie musi być kierowany i nigdy się nie męczy. Pędzi wciąż naprzód i naprzód, nigdy się nie potyka, nigdy nie zawaha, zawsze bezbłędnie znajduje drogę między pniami drzew, przeskakuje przez krzaki, wrzosa i małe strumienie, przechodzi w bród przez większe, śmiało przepływa przez największe. I nie galopujecie po drodze, po parku ani nawet po wydmach, ale wprost przez Narnię, pośród wiosny, między rzędami dostojnych buków i przez słoneczne polany, pod dębami i przez dzikie sady pełne wiśni obsypanych śnieżnobiałym kwieciami, obok ryczących wodospadów, omszałych skał i odpowiadających echem jaskiń, po zboczach wichrowych wzgórz porośniętych jałowcem i przez przełęczę pokryte wrzosem, przez przepastne, zapierające dech grzbiety górskie - i znowu w dół, w dół, w dół, w dzikie wąwozy, a potem przez nie kończące się łąki pokryte błękitnymi kwiatami.

Było prawie południe, gdy z wysokiego wzgórza zobaczyły zamek, wyglądający z tej odległości jak zabawka. Ale Lew pędził po zboczu z taką szybkością, że zamek rósł z każdą chwilą i zanim zdążyły zapytać jedna drugą, co to jest, byli już na dole. I teraz nie wyglądał już jak zabawka, ale srożył się przed nimi mnóstwem złowrogich, ostro zakończonych wieżyc. Między blankami i w strzelnicach nie dostrzegły żywej duszy, a wrota były zamknięte. Aslan, nie zwolniwszy nawet biegu, skoczył ku twierdzy jak pocisk.

- Dom Czarownicy! - krzyknął. - Teraz, dzieci, trzymajcie się mocno!

W następnej chwili cały świat odwrócił się nagle do góry nogami, a dzieci

poczuły, jakby się coś z nich wyrwało i zostało w tyle, bo oto Lew sprężył się do skoku, jakiego nawet on sam nigdy jeszcze nie wykonał, i skoczył - albo może lepiej powiedzieć: poszybował w powietrzu - ponad murami zamku. Obie dziewczynki, bez tchu, ale żywe i całe, zsunęły się z jego grzbietu pośrodku rozległego, pokrytego kamiennymi płytami dziedzińca, wypełnionego posągami.

ROZDZIAŁ 16

CO SIĘ STAŁO Z POSĄGAMI

CÓŻ TO ZA NIESAMOWITE MIEJSCE! - zawołała Łucja. - Jakie dziwne, te wszystkie kamienne zwierzaki, o, i ludzie! To wygląda jak... jak muzeum.

- Sza! - powiedziała Zuzanna. - Aslan coś robi.

Miała rację. Aslan zbliżył się do kamiennego lwa i dmuchnął na niego. Potem błyskawicznie okręcił się w miejscu - zupełnie jak kot próbujący złapać własny ogon - i dmuchnął na kamiennego krasnoludka, który (jak pamiętacie) stał kilka kroków przed lwem, obrócony do niego plecami. Potem chuchnął na wysmukłą kamienną driadę, stojącą za krasnoludkiem, zwrócił się nagle w stronę kamiennego królika po prawej stronie, a potem ku dwóm centaurom. I w tym momencie Łucja zawołała:

- Och, Zuzanno! Spójrz! Spójrz na tego lwa! Mam nadzieję, że widzieliście, jak ktoś przykłada

zapaloną zapałkę do kawałka gazety podłożonego na palenisku pod drewnem: przez chwilę nic się nie dzieje, potem pojawia się cienka smuga ognia, pełzająca wzdłuż brzegu gazety. Coś podobnego działo się z lwem. Kiedy Aslan na niego dmuchnął, przez dobrą chwilę lew stał dalej nie zmieniony. Potem cienka smuga złota zaczęła pojawiać się na jego białym, marmurowym grzbiecie, za chwilę rozszerzyła się gwałtownie, aż złocisty kolor spłynął na całą postać, tak jak płomień liżący kawałek papieru; wreszcie, podczas gdy jego zad zdawał się wciąż jeszcze być z kamienia, lew wstrząsnął grzywą, a wszystkie ciężkie, kamienne fałdy rozsypały się w kaskadę żywych włosów. Otworzył wielki, czerwony wewnątrz pysk, ciepły i żywy, i cudownie ziewnął. Teraz również i tylne łapy ożyły: lew podniósł jedną i podrapał się za uchem. Potem, zobaczywszy Aslana, podbiegł do niego w kilku susach i zaczął brykać wokół niego, skamłając z radości i podskakując, aby polizać go w pysk.

Dziewczynki śledziły tę scenę z zapartym tchem. Ale wkrótce na całym dziedzińcu zaczęły się dziać takie dziwy, że szybko o niej zapomniały. Wszędzie ożywały kamienne posągi. Dziedziniec nie wyglądał teraz jak muzeum - już bardziej przypominał ogród zoologiczny. Najróżniejsze istoty biegały za Aslanem i tańczyły wokół niego, aż w końcu prawie zniknął w ruchliwym tłumie. W miejsce wszechobecnej martwej bieli wybuchnęły wszędzie żywe barwy: lśniące, kasztanowe boki centaurów, błękitne rogi jednorożców, jaskrawokolorowe upierzenie ptaków, czerwono-brązowe futerka i ogony lisów, psów i satyrów, żółte pończochy i szkarłatne buty krasnali; i jeszcze nimfy brzożowe w srebrze, i nimfy bukowe w świeżej,

przejrzystej zieleni, i nimfy modrzewiowe w zieleni tak jasnej, że aż prawie żółtej. A w miejsce martwej ciszy cały dziedziniec rozbrzmiewał teraz radosnym porykiwaniem, rżeniem, tupotem, skamleniem, szczekaniem, kwileniem, gruchaniem, krzykami, wiwatowaniem, śpiewem i śmiechem.

- Och! - wykrzyknęła Zuzanna już innym tonem. - Spójrz! Nie wiem... to znaczy... czy to rozsądne?

Łucja spojrzała i zobaczyła, jak Aslan dmucha na stopę kamiennego olbrzyma.

- Wszystko w porządku! - zawołał Aslan radosnym głosem. - Jak tylko ożyją stopy, cała reszta pójdzie za ich przykładem.

- Nie to akurat miałam na myśli - szepnęła Zuzanna do Łucji. Ale było już za późno, aby Aslana powstrzymać, nawet gdyby zechciał jej posłuchać. Ożywały już całe nogi olbrzyma. Teraz poruszył stopami. W chwilę później zdjął maczugę z ramienia, przetarł oczy i powiedział:

- Coś takiego! Chyba musiałem się zdrzemnąć. Hej, a gdzie jest ta przeklęta mała wiedźma, która płała się tu po ziemi! Widziałem ją gdzieś przy moich stopach.

Ale kiedy wszyscy zaczęli jeden przez drugiego wykrzykiwać mu, co się naprawdę stało, i kiedy przyłożył dłoń do ucha i poprosił, aby mu to powtórzono jeszcze raz, w końcu zrozumiał, pokłonił się przed Aslanem nisko, tak że jego głowa znalazła się na wysokości zwykłego stogu siana, i dotknął kilka razy palcami swojej czapki, a jego prostacka, brzydka twarz rozpromieniła się ze szczęścia. (Olbrzymy są już dziś tak rzadkie w Anglii i tak niewiele z nich należy do łagodnych, iż stawiam dziesięć przeciwko jednemu, że nikt z was nie widział jeszcze olbrzyma z rozpromienioną twarzą. To coś, co warto zobaczyć.)

- A teraz weźmy się za wnętrze tego Domu - powiedział Aslan. - Rozglądajcie się bacznie wokół! Na górę, w dół i do komnaty naszej pani! Przeszukajcie każdy kąt. Nigdy nie wiadomo, gdzie jeszcze mogą być ukryci jacyś biedni więźniowie.

Wszyscy ruszyli do środka i przez następne kilkanaście minut cały ten ciemny, posępny i cuchnący stęchlizną stary zamek rozbrzmiewał echem otwieranych okien i przekrzykujących się nawzajem głosów: „Nie zapomnijcie o lochach!", „Pomóż nam przy tych drzwiach!", „Tu są jeszcze jedne kręte schodki!", „Och! Uwaga, tu jest jeszcze jeden biedny kangur! Zawołajcie Aslana!", „Aaaaapsik! Co tu tak śmierdzi?", „Uważajcie na tę zapadnię!", „Tu, na górę! Tu jest ich jeszcze mnóstwo na piętrze!" Ale najlepsze było, gdy Łucja wbiegła na górę i krzyknęła:

- Aslanie! Aslanie! Znalazłam pana Tumnusa! Och, chodź tutaj szybko!

I w chwilę później Łucja i jej mały przyjaciel tańczyli z radości wokół, trzymając się za ręce. Faun nie zmienił się wcale, będąc tak długo kamienną figurą, i oczywiście bardzo był ciekaw wszystkiego, co mu Łucja miała do opowiedzenia.

Wreszcie przetrząsanie twierdzy Białej Czarownicy dobiegło końca. Cały zamek był już pusty, każde drzwi i każde okno szeroko otwarte, a światło i świeże, wiosenne powietrze przenikały do tych wszystkich złowrogich miejsc, które tak długo były ich pozbawione. Tłum wyzwolonych leśnych istot zappełnił dziedziniec. I właśnie wtedy ktoś (myślę, że to był Tumnus) powiedział:

- Ale jak my się stąd wydostaniemy? Pamiętacie bowiem, że Aslan przeskoczył przez mur,

a brama była wciąż zamknięta.

- Nie ma się o co martwić - odpowiedział Aslan, wzniosł się na tylnych łapach i zawołał do olbrzyma:

- Hej! Chodźże tutaj! Jak ci na imię?

- Olbrzym Grzmotołup, jeśli wasza miłość pozwoli - odpowiedział olbrzym, jeszcze raz dotykając ręką kapelusza.

- A więc, olbrzymie Grzmotołupie - powiedział Aslan - wypuść nas stąd, dobrze?

- Tak jest, wasza miłość. To dla mnie wielka przyjemność. Odsuńcie się na przyzwoitą odległość od bramy, maluchy.

Potem podszedł do wrót kilkoma wielkimi krokami i -bang-bang-bang- zahuczła jego wielka maczuga. Wrota zatrzeszczały przy pierwszym uderzeniu, zatrzeszczały przy drugim i zadygotały przy trzecim, ale pozostały zamknięte. Złapał więc każdą z wież strzegących bramy i po kilku minutach strasznych trzasków wieże, a z nimi spory kawał muru po obu stronach bramy, runęły z łoskotem na ziemię, rozbijając się w masę gruzu. Kiedy pył opadł, wszyscy stojący na tym ponurym kamiennym dziedzińcu zobaczyli zieloną trawę, falującą na wietrze drzewa, połyskującą rzekę, niebieskie wzgórza poza nią, a jeszcze dalej - błękit nieba.

- Niech skonam, jeśli się paskudnie nie zmachałem - powiedział olbrzym, dysząc jak największa w świecie lokomotywa. - Wychodzi na to, że straciłem formę. Czy któraś z was, młode damy, nie ma czasem przy sobie czegoś takiego jak chusteczka?

- Ja mam! - pisnęła Łucja, stając na czubkach palców i wyciągając rękę z chusteczką tak wysoko, jak tylko mogła.

- Dzięki ci, panienko - odrzekł olbrzym Grzmotołup i pochylił się ku niej. Łucja najadła się trochę strachu, ponieważ nagle znalazła się w powietrzu, schwyтана dwoma palcami przez olbrzyma. Była już bardzo blisko jego twarzy, gdy nagle potrząsnął głową i postawił ją łagodnie z powrotem na ziemi, mrucząc: - To ci dopiero! Przez omyłkę podniosłem dziewczynkę. Proszę mi wybaczyć, panienko, myślałem, że to chusteczka.

- Nie, nie! - powiedziała Łucja, krztusząc się ze śmiechu. - Tu jest chusteczka!

Tym razem olbrzym pochwycił właściwą rzecz, ale oczywiście chusteczka była dla niego tak mała, jak dla was pastylka sacharyny, więc gdy Łucja zobaczyła, jak z wielką powagą pociera nią swoją wielką, czerwoną twarz, zawołała:

- Obawiam się, że nie będzie pan miał z niej wielkiego pożytku, panie Grzmotołupie.

- Niezupełnie. Niezupełnie - odpowiedział grzecznie olbrzym. - Nigdy jeszcze nie widziałem tak przyjemnej chusteczki. Jaka piękna, jaka poręczna! Taka... no, nie wiem, jak ją opisać...

- Cóż to za uroczy olbrzym - powiedziała Łucja do pana Tumnusa.

- Och, tak - odrzekł faun. - Łupy zawsze są takie. To jedna z najbardziej szacownych rodzin olbrzymów w Narnii. Może nie najmądrzejsza (nigdy zresztą nie spotkałem bardzo mądrego olbrzyma), ale bardzo stara. Z tradycjami, ma się rozumieć. Gdyby należał do jakiegoś innego rodzaju olbrzymów, nigdy by go nie zamieniła w posąg.

Ale w tej chwili Aslan klasnął w łapy i uciszył wszystkich.

- Nie zrobiliśmy jeszcze wszystkiego, co przypada na ten dzień. Jeśli mamy zwyciężyć Czarownicę przed nocą, musimy jak najszybciej odnaleźć pole bitwy.

- I chyba połączyć się z resztą, miłośniwy panie! - dodał największy z centaurów.

- Oczywiście - rzekł Aslan. - A teraz wszyscy, którzy nie potrafią dotrzymać mi kroku, a więc dzieci, krasnoludki, małe zwierzęta, jadą na grzbietach tych, którzy to potrafią, a więc lwów, centaurów, jednoroźców, koni, olbrzymów i osłów. Ci, którzy mają dobre nosy, niech biegną na czele, razem z nami, lwami, aby wywęszyć, gdzie toczy się bitwa. Dalej, żywo, rozejrzyjcie się wokoło i podzielcie między sobą!

Zaczęła się wielka krzątanina i wrzawa. Najbardziej zadowolony był drugi lew, który biegał tu i tam, udając bardzo zajętego, ale tak naprawdę chciał tylko powiedzieć każdemu, kogo spotkał: „Słyszeliście, co on powiedział? Z NAMI LWAMI. To znaczy z

nim i ze mną. Z NAMI LWAMI. To właśnie lubię w Aslanie. Żadnego wynoszenia się nad innych. Z NAMI LWAMI. To znaczy z nim i ze mną". Powtarzał to w kółko do chwili, gdy Aslan wsadził mu na grzbiet trzech krasnali, driadę, trzy króliki i jeża. To go trochę ostudziło.

Kiedy wszyscy byli gotowi (a długo by to trwało, gdyby nie wielki owczarek, który pomógł Aslanowi zebrać ich i odpowiednio podzielić), opuścili zamek przez wylot w murze. Z początku lwy i psy rozbiegły się, węsząc, w poszukiwaniu śladu. Ale wnet jeden z wielkich psów złapał trop i zaszczekał. Nie było na co czekać. Wkrótce lwy, psy, wilki i inne łowcze zwierzęta gnały w pełnym biegu po śladzie przy ziemi, a o jakieś pół mili za nimi pędziła cała reszta, tak szybko, jak tylko potrafiła. Przez las niosła się wrzawa, przypominająca odgłosy polowania na lisa, tyle że bardziej doniosła, gdyż raz po raz do ujadania psów dołączył się ryk drugiego lwa, a czasem jeszcze głośniejszy i jeszcze straszniejszy ryk samego Aslana. Ślad był coraz świeższy i tempo pogoni rosło. I wreszcie, kiedy dotarli do ostatniego załomu wąskiego, krętego wąwozu, Łucja usłyszała ponad tym ujadaniem i rykiem jakiś inny hałas, który przeszył ją dreszczem lęku. Był to odgłos krzyków i uderzania metalem o metal. W chwilę potem wydostali się z wąwozu i Łucja zobaczyła, co ten zgiełk oznaczał. Zobaczyła Piotra, Edmunda i całą resztę armii Aslana walczących zaciekle z hordami tych strasznych istot, które widziała ubiegłej nocy. Teraz, w świetle dnia, wyglądały jeszcze bardziej niesamowicie i złowrogo; wydawało się też, że jest ich jeszcze więcej. W porównaniu z tym tłumem armia Piotra - ustawiona do Łucji plecami - sprawiała wrażenie żałośnie słabej. Pole bitwy usiane było kamiennymi posągami, co dowodziło, że Czarownica z powodzeniem używa swojej różdżki. Ale teraz posługiwała się inną bronią - swoim krzemiennym nożem - a jej przeciwnikiem był Piotr. Walczyli tak zaciekle, że Łucja z trudem mogła się zorientować w przebiegu pojedynku; widziała tylko błyski kling krzemiennego noża Czarownicy i stalowego miecza Piotra, wznoszących się i opadających tak szybko, jakby to były trzy noże i trzy miecze. Ta para walczyła w samym środku, a wokół niej rozciągała się linia starcia obu armii. Gdziekolwiek spojrziała, działy się rzeczy straszne.

- Złazcie na ziemię, dzieciaki! - zawołał Aslan i obie zsunęły się z jego grzbietu. Z rykiem, który wstrząsnął całą Narnią, od Latarni na zachodzie do brzegu morza na wschodzie, olbrzymie zwierzę skoczyło na Białą Czarownicę. W ułamku sekundy Łucja zobaczyła tylko jej twarz, na której zamarł grymas zdumienia i przerażenia, potem znalazła się na ziemi, a Lew był już nad nią, a jednocześnie cała wojownicza hurma

stworzeń, wyprowadzonych przez Aslana z zamku, zaatakowała wściekle linię wroga: krasnale swoimi toporami, psy kłami, olbrzymy maczugami (i stopami, które miażdżyły tuziny przeciwników), jednorożce swoimi rogami, centaury mieczami i kopytami. Wyczerpana walką armia Piotra wydała okrzyk radości, nowo przybyli ryknęli dziko, a szeregi wroga zaszwargotały i zawyły w odpowiedzi, aż echo tego niespodziewanego ataku odbiło się gromko od ściany lasu.

ROZDZIAŁ 17

POLOWANIE NA BIAŁEGO JELENIA

NIE MINEŁO NAWET KILKA MINUT od ich przybycia, a było już po bitwie. Większość wrogów zginęła w wyniku pierwszej szarży Aslana i jego towarzyszy, a kiedy ci, którzy pozostali przy życiu, zobaczyli śmierć Czarownicy, poddali się albo rzucili do ucieczki. Łucja zobaczyła Piotra i Aslana ściskających sobie ręce. Dziwne było widzieć Piotra takim, jakim był teraz: jakby postarzały, z twarzą pobladłą i srogą.

- To wszystko zasługa Edmunda, Aslanie - mówił Piotr. - Gdyby nie on, byłoby już po nas. Czarownica zamieniała nasze szeregi w kamień, gdzie tylko skierowała swą różdżkę. Ale jego nic nie zdołało powstrzymać. Pokonując trzech ogrów, przebił się do niej, gdy właśnie zamieniała w posąg jednego z twoich leopardów. Gdyby próbował ugodzić mieczem w nią samą, z pewnością byłby już zimnym głazem: ten błąd popełniło przed nim wielu innych. Był na tyle mądry, że uderzył mieczem w jej różdżkę. Kiedy się rozsypała, pojawiła się przed nami jakaś szansa. Gdybyśmy tylko nie stracili przedtem tylu wojowników. Ale i on został ciężko ranny. Musimy iść i zobaczyć, co się z nim dzieje.

"Znaleźli Edmunda opodal linii walki, pod opieką pani Bobrowej. Cały był we krwi, usta miał otwarte, a jego twarz nabrała niedobrego, zielonego koloru.

- Łucjo, prędko! - powiedział Aslan.

I Łucja, chyba po raz pierwszy, przypomniała sobie o drogocennym napoju, który dostała od Świętego Mikołaja. Ręce tak jej drżały, że przez chwilę nie mogła sobie poradzić z otworzeniem flaszeczki. W końcu zdołała wlać kilka kropel w usta brata.

- Są jeszcze inni ranni - powiedział Aslan, gdy wpatrywała się wciąż z napięciem w bladą twarz Edmunda, niepewna, czy lek w ogóle podziała.

- Tak, wiem o tym - odpowiedziała ze złością. - Poczekaj trochę.

- Córkó Ewy - odezwał się Aslan bardziej poważnym głosem - inni też są o krok od śmierci. Czy wielu jeszcze ma za niego umrzeć?

- Och, wybacz mi, Aslanie - powiedziała Łucja, podnosząc się i idąc za nim. Przez następne pół godziny oboje mieli pełne ręce roboty - ona przy rannych, on przywracając do życia tych, którzy zostali zamienieni w posągi. Kiedy wreszcie mogła wrócić do Edmunda, zastała go już na nogach, nie tylko wyleczonego z ran, ale wyglądającego lepiej niż kiedykolwiek, przynajmniej od czasu, gdy po raz pierwszy poszedł do tej okropnej szkoły, gdzie zaczęło się z nim dzieć coś złego. Teraz znowu

był prawdziwym sobą i patrzył innym prosto w oczy. I w tym miejscu, na polu bitwy, Aslan pasował go na rycerza.

- Czy on chociaż wie - szepnęła Łucja do Zuzanny - co Aslan dla niego uczynił? Czy wie, jakie były warunki umowy z Czarownicą?

- Ciiiiicho! Nie, oczywiście nie wie - odpowiedziała Zuzanna.

- A czy nie powinien się dowiedzieć?

- Och, na pewno nie. To byłoby dla niego zbyt straszne. Pomyśl, jak byś się czuła, gdybyś była na jego miejscu.

- Mimo to uważam, że powinien o tym wiedzieć - upierała się Łucja, ale w tym momencie ktoś im przerwał i rozmowa się skończyła.

Tej nocy spali w pobliżu pola bitwy. W jaki sposób Aslan postarał się, aby mieli co jeść, nie wiem; tak czy owak o ósmej wszyscy siedzieli na trawie, zjadając wyborną kolację. Nazajutrz wyruszyli na wschód, wzdłuż wielkiej rzeki. A dnia następnego, około pory podwieczorku, znaleźli się u jej ujścia. Opodal wystrzelał w niebo swymi wieżycami zamek Ker-Paravel; przed nimi był piasek, skały pokryte wodorostami i małe zagłębienia pełne słonej wody. A dalej lśniła niezmiernie długa linia zielononiebieskich fal, obmywających wciąż i wciąż plażę. Pachniało morzem, słychać było cudowny krzyk morskich mew. Słyszeliście go kiedyś? Pamiętacie?...

Tego dnia po podwieczorku dzieci raz jeszcze zeszły na plażę i zdjawszy buty i skarpetki, spacerowały w słońcu czując, jak piasek przesypuje się im między palcami. Ale następny dzień był bardziej uroczysty. Wówczas to w wielkiej sali Ker-Paravelu - w owej wspianej sali ze stropem z kości słoniowej, z zachodnią ścianą pokrytą pawimi piórami i wschodnią z drzwiami otwartymi na morze - w obecności przyjaciół i przy dźwiękach trąb Aslan ukoronował uroczystie wszystkich czworo i powiódł ich do czterech tronów wśród ogłuszających okrzyków: „Niech żyje król Piotr! Niech żyje królowa Zuzanna! Niech żyje król Edmund! Niech żyje królowa Łucja!”

- Zostając królem lub królową w Narnii - oznajmił Aslan - zostaje się królem lub królową na zawsze. Noście te korony godnie, Synowie Adama! Noście je godnie, Córki Ewy!

Tak więc dzieci zasiadły na tronach, wręczono im berła i mogły teraz nagrodzić zaszczytami i podarkami wszystkich swoich przyjaciół: fauna Tumnusa, państwa Bobrów, olbrzyma Grzmotołupa, leopardy, dobre centaury, karły i lwa. I tej nocy w Ker-Paravelu odbył się wielki bal: ucztowano i tańczono, lśniło złoto i płynęło wino, a w odpowiedzi na muzykę rozbrzmiewającą w wielkiej sali z zewnątrz dobiegała do

nich raz po raz muzyka mieszkańców morza - bardziej dziwna, bardziej słodka i bardziej wzruszająca.

Gdzieś w środku tych zabaw i śpiewów Aslan niepostrzeżenie się oddalił. A kiedy królowie i królowie to zauważyli, nie powiedzieli nic. Pan Bóbr ostrzegł ich wcześniej: „Aslan przychodzi i odchodzi. Jednego dnia go widzisz, drugiego już nie. Nie lubi być niczym skrępowany, no i, oczywiście, ma wiele innych krajów pod swoją opieką. Tak powinno być. Będzie zresztą do nas zaglądał. Tylko nie próbujcie nalegać, aby został. Wiecie już, że jest dziki. To nie jest OSWOJONY lew”.

I tutaj, jak sami widzicie, moja opowieść zbliża się (choć jeszcze niezupełnie) do końca. Dwaj królowie i dwie królowe rządzili Narnią sprawiedliwie, a panowanie ich było długie i szczęśliwe. Z początku musieli poświęcić większość czasu na wyszukanie i zniszczenie niedobitków armii Białej Czarownicy. Jeszcze przez długi czas dochodziły sygnały o pojawieniu się różnych złych stworów w najbardziej niedostępnych częściach puszczy: tu coś straszło, tam trwożna wieść niosła o jakimś tajemniczym mordzie, jednego miesiąca gdzieś pojawiał się wilkołak, a innego rozchodziły się niepokojące nowiny o jakiejś wiedźmie. W końcu jednak całe to plugawe plemię zostało wytępione. Ustanowili sprawiedliwe prawa, utrzymywali pokój, czuwali, aby nie wycinano niepotrzebnie dobrych drzew, stawali w obronie małych krasnoludków i satyrów, kiedy chciano je siłą posłać do szkoły, wyplenili intrygi i właśnie oraz opiekowali się zwykłymi mieszkańcami lasu, aby mogli żyć swobodnie i aby pozwalali żyć innym. Wyparli dzikich olbrzymów (zupełnie innego rodzaju niż olbrzym Grzmotołup), kiedy ci przedarli się przez północną granicę Narnii. Zawarli przymierza z krajami poza morzem oraz złożyli tam oficjalne wizyty przyjaźni i przyjęli oficjalne delegacje z tych krajów u siebie. A w miarę jak upływały lata, zmienili się i wydorośleli. Piotr stał się wysokim, barczystym mężczyzną i słynnym rycerzem, a nazywano go królem Piotrem Wspaniałym. Zuzanna wyrosła na smukłą, pełną wdzięku dziewczynę o czarnych, opadających prawie do stóp włosach; wkrótce królowie z zamorskich krajów zaczęli przysyłać swych posłów, prosząc o jej rękę. Nazywano ją królową Zuzanną Łagodną. Edmund stał się mężczyzną poważniejszym i spokojniejszym niż Piotr i zasłynął z mądrych rad i wyroków, a nazywano go królem Edmundem Sprawiedliwym. A Łucja pozostała wciąż tak samo żywa i złotowłosa, a wszyscy książęta z państw ościennych pragnęli, aby została ich królową. Jej własny lud nazywał ją królową Łucją Mężną.

I tak żyli sobie w wielkiej radości, a jeśli kiedykolwiek wspomnieli swoje życie

w naszym świecie, było to tylko jakby wspomnienie snu. A jednego roku zdarzyło się, że Tumnus (który był teraz faunem w średnim wieku i trochę już przytył) przywędrował do nich z biegiem rzeki i przyniósł wiadomość o tym, że w jego okolicy pojawił się znowu Biały Jeleń - ten sam, który spełnia każde życzenie, jeśli się go schwyta. Tak więc obaj królowie i obie królowe, wraz z co znamienitszymi członkami swych dworów, wśród dźwięku rogów i szczekania psów, wyruszyli na wielkie polowanie do Zachodniej Puszczy, aby schwytać Białego Jelenia. Tropili go bardzo długo, zanim go wreszcie zobaczyli. Wówczas zaczęli gonitwę, a jeleni wiódł ich przez góry i równiny, przez gąszcze i polany, aż konie wszystkich dworzaków zmęczyły się tak, że musieli zrezygnować z dalszej gonitwy; tylko tych czworo dalej ścigało zaklęte zwierzę. Wreszcie Biały Jeleń zawiódł ich do puszczy tak gęstej, że nie mogli już dalej jechać konno. Wówczas odezwał się król Piotr (a mowa jego była teraz nieco inna, skoro tak długo był monarchą):

- Szlachetne siostry i prawy bracie, zsiądźmy teraz z naszych koni i pójdźmy za tym Jeleniem w gęstwinę, nigdy bowiem nie zdarzyło mi się polować na tak godną zwierzynę.

- Panie - odpowiedzieli - niech więc stanie się tak, jak chcesz.

Zatem zeskoczyli z koni i przywiązali je do drzew, a potem weszli w gęstwinę leśną. Jak tylko to jednak uczynili, królowa Zuzanna powiedziała:

- Mili przyjaciele, oto jest dziw nad dziwy, jeśli mnie bowiem oczy nie mylą, widzę oto drzewo z żelaza.

- Pani - rzekł król Edmund - jeśli przypatrzysz się dobrze temu drzewu, ujrzysz, że jest to kolumna z żelaza, a na jej szczycie znajduje się lampa.

- Na grzywę Lwa, dziwny to obyczaj - odezwał się król Piotr - stawiać lampę tam, gdzie drzewa wokoło są tak gęste, że gdyby ją zapalono, nikt by nie dostrzegł jej światła!

- Panie mój - powiedziała królowa Łucja - zapewne kiedy stawiano tę lampę, drzewa były tu mniejsze albo rzadsze, albo też nie było ich wcale. Widać bowiem, że las jest tu młody, a żelazna kolumna stara.

I tak stali, patrząc na to dziwo, aż król Edmund powiedział:

- Nie wiem, czemu tak się dzieje, ale widok tej lampy na słupie dziwne we mnie rodzi uczucie. W sercu mym czuję, jakbym już ją kiedyś widział, jakby to był sen albo sen we śnie.

- Panie - odpowiedzieli troje pozostali - tak jest i z nami.

- I więcej jeszcze - dodała królowa Łucja - nie mogę bowiem oprzeć się przecuciu, że jeśli minie ten słup z lampą, spotkają nas jakieś dziwne przygody albo też dokona się wielka odmiana naszych losów.

- Pani - rzekł król Edmund - podobne przecucie przeszło i moje serce.

- I moje, szlachetny bracie - rzekł król Piotr.

- I moje także - powiedziała królowa Zuzanna. - Dlatego też posłuchajcie mojej rady: nie zwlekając powróćmy do naszych koni i zaprzestańmy gonitwy za Białym Jeleniem.

- Pani - rzekł król Piotr - racz mi wybaczyć, ale jestem odmiennej myśli. Nigdy jeszcze, odkąd my czworo panujemy w Narnii, nie przyłożyliśmy ręki do spraw wyższej wagi, takich jak bitwy, gonitwy, wyczyny rycerskie, dzieła sprawiedliwości i temu podobne, tylko po to, aby je następnie porzucić; zawsze sięgaliśmy celu, który sobie zamierzaliśmy.

- Siostro - dodała królowa Łucja - mój królewski brat ma rację. I myślę, że byłoby hańbą, gdybyśmy z powodu jakichś lęków lub przeczuć zaprzestali ścigania tak szlachetnego zwierzęcia, na jakie przyszło nam polować.

- Takie jest i moje zdanie - oświadczył król Edmund - a przy tym tak wielce pragnę odkryć znaczenie tej dziwnej rzeczy, że nie zawróciłbym z drogi za najdroższy klejnot w całej Narnii i za wszystkie wyspy.

- A więc w imię Aslana - powiedziała królowa Zuzanna - skoro wszyscy także sądzicie, pójdźmy i stawmy czoło przygodzie, która nas czeka.

Zatem weszli śmiało w gęstwinę leśną i zanim jeszcze zdążyli zrobić pierwsze dwadzieścia kroków, przypomnieli sobie, że owa dziwna rzecz nazywa się Latarnią, a zanim zrobili drugie dwadzieścia kroków, zauważyli, że nie przeciskają się już między gałązkami jodeł, lecz między futrzanymi płaszczami. A w chwilę później wszyscy wysypali się - jedno po drugim - przez otwarte drzwi starej szafy do pustej garderoby i nie byli już królami i królowymi we wspaniałych myśliwskich strojach, lecz Piotrem, Zuzanną, Edmundem i Łucją w starych dzieciennych ubrankach. I był to ten sam dzień i ta sama jego pora, kiedy wszyscy czworo wskoczyli do szafy, aby się w niej schować. Z korytarza dobiegły ich głosy pani Macready i zwiedzających, ale na szczęście nikt nie wszedł do garderoby i dzieci nie zostały odkryte.

I to byłby już naprawdę koniec tej historii, gdyby cała czwórka nie poczuła, że naprawdę trzeba wyjaśnić Profesorowi, dlaczego w starej szafie brakuje czterech płaszczy. A Profesor, który był człowiekiem bardzo osobliwym, nie powiedział im nic

takiego, jak: „Nie bądźcie głupi!” albo: „Przestańcie kłamać!”, ale uwierzył w całą tę historię.

- Nie - powiedział - nie sądzę, aby mogło coś dobrego wyniknąć z próby powrotu do Narnii przez drzwi szafy w celu przyniesienia tych płaszczy.

Nie dostaniecie się już do Narnii TĄ drogą. I nie sądzę, aby był wielki pożytek z tych płaszczy, nawet gdybyście się tam dostali. Cóż to? Co się stało? No więc, tak, oczywiście, kiedyś jeszcze do Narnii powrócicie. Kto raz został królem w Narnii, na zawsze nim pozostanie. Ale nie próbujcie nigdy używać tej samej drogi. Powiem więcej: nie PRÓBUJECIE w ogóle tam się dostać. To się stanie samo, właśnie wtedy, kiedy nie będziecie się o to usilnie starać. I nie rozmawiajcie za dużo o tym wszystkim, nawet między sobą. A innym w ogóle o tym nie wspominajcie, chyba że spotkacie takich, co sami przeżyli przygody tego rodzaju. Co znowu? Po czym to poznać? Och, będziecie o tym dobrze WIEDZIEĆ. Będą mówić dziwne rzeczy, a nawet ich wygląd będzie nieco dziwny. Miejcie oczy otwarte. Coś takiego! Czego oni ich NAPRAWDĘ uczą w tych szkołach!

I tu już jest naprawdę koniec przygody ze starą szafą. Ale, jeśli Profesor miał rację, był to dopiero początek narnijskich przygód.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział 1 ŁUCJA ZAGLĄDA DO SZAFY.....	
Rozdział 2 CO ŁUCJA TAM ZOBACZYŁA.....	
Rozdział 3 EDMUND WCHODZI DO SZAFY.....	
Rozdział 4 PTASIE MLECZKO.....	
Rozdział 5 Z POWROTEM PO TEJ STRONIE DRZWI.....	
Rozdział 6 W PUSZCZY.....	
Rozdział 7 DZIEŃ U BOBRÓW.....	
Rozdział 8 CO WYDARZYŁO SIĘ PO OBIEDZIE.....	
Rozdział 9 W DOMU CZAROWNICY.....	
Rozdział 10 CZARY ZACZYNAJĄ TRACIĆ SWĄ MOC.....	
Rozdział 11 ASLAN JEST BLISKO.....	
Rozdział 12 PIERWSZA WALKA PIOTRA.....	
Rozdział 13 WIELKIE CZARY Z ZAMIERZCHŁYCH CZASÓW.....	
Rozdział 14 TRIUMF CZAROWNICY.....	
Rozdział 15 NAJWIĘKSZE CZARY SPRZED POCZĄTKÓW CZASU.....	
Rozdział 16 CO SIĘ STAŁO Z POSĄGAMI.....	
ROZDZIAŁ 17 POLOWANIE NA BIAŁEGO JELENIA.....	

C.S. LEWIS

KSIĄŻĘ KASPIAN

Przełożył Andrzej Polkowski

DLA MARY CLARE HAVARD

ROZDZIAŁ 1

WYSPA

BYŁO RAZ CZWORO DZIECI: Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja. W innej książce, pod tytułem *Lew, Czarownica i stara szafa*, opowiedziałem o niezwyklej przygodzie, jaka im się przydarzyła. Pewnego razu dzieci otworzyły drzwi zaczarowanej szafy i znalazły się w zupełnie innym świecie. A w tym innym świecie zostały królami i królowymi kraju zwanego Narnią. Były przekonane, że ich panowanie w Narnii trwało długie, długie lata, ale kiedy przeszły z powrotem przez drzwi starej szafy i znalazły się znowu w Anglii, okazało się, że wszystko to nie trwało nawet minuty. W każdym razie nikt nie zauważył ich zniknięcia. I nigdy nie opowiadały o swojej przygodzie nikomu, z wyjątkiem pewnego bardzo mądrego dorosłego.

Wszystko to wydarzyło się jakiś rok temu. Teraz cała czwórka siedziała na ławce na stacji kolejowej, a wokół nich piętrzyły się walizy i pudła z zabawkami. Wracali do szkoły. Stacja była ich miejscem przesiadki; dotąd podróżowali razem, a teraz czekali na dwa różne pociągi. Jeden miał zabrać do szkoły dziewczynki, a drugim - około pół godziny później - mieli pojechać do swojej szkoły chłopcy. Pierwsza część podróży, którą odbyli razem, wydawała im się jeszcze częścią wakacji, ale teraz, kiedy mieli niedługo pożegnać się i rozdzielić, każde z nich czuło, że lato naprawdę już się kończy. Ponownie ogarnęły ich uczucia, które zna każdy, kto rozpoczynał nowy rok szkolny. Nic więc dziwnego, że wszyscy czworo mieli raczej ponure miny i nikt się nie wysiłał, aby zacząć rozmowę. Nie było o czym mówić. Łucja szła po raz pierwszy do szkoły z internatem.

Była to mała, wiejska stacja, pusta i uśpiona, na której prócz nich nie było nikogo. Siedzieli w ciszy.

Nagle Łucja wrzasnęła przenikliwie, jakby ją osa ugryzła.

- Co się stało, Łusiu? - zapytał Piotr i w chwilę potem sam krzyknął: - Au!

- Co wy, do licha... - zaczął Edmund, nagle urwał i zawołał: - Zuzanno, zostaw mnie! Co ty wyprawiasz? Dokąd mnie ciągniesz?!

- Nawet cię nie dotknęłam - zaprotestowała Zuzanna. - To MNIE ktoś ciągnie. Och - och - och! Przestań!

Każdy zauważył, że twarze pozostałych zrobiły się nagle białe.

- Czuję to samo - wykrztusił Edmund. - Jakby mnie coś ciągnęło. To jest

okropne... och, znowu się zaczyna...

- Mnie też ktoś ciągnie - powiedziała Łucja.

- Ojej, nie zniosę tego dłużej!

- Uwaga! - krzyknął Edmund. - Złapmy się za ręce i trzymajmy mocno razem.

Czuje, że to jakieś czary. Prędko!

- Tak! - powiedziała Zuzanna. - Trzymajmy się mocno za ręce. Och, naprawdę, żeby to już przestało... och!

I nagle bagaże, ławka, peron i cała stacja zniknęły im sprzed oczu. Trzymając się za ręce i z trudem łapiąc oddech, znaleźli się w jakimś lesie, tak gęstym, że gałęzie wbijały się im w ubrania i trudno było się poruszać. Wszyscy czworo przetarli oczy i zaczerpnęli głęboko powietrza.

- Och, Piotrze! - krzyknęła Łucja. - Nie sądzisz, że wróciliśmy do Narnii?

- Możemy być wszędzie - odpowiedział Piotr.

- W tym gąszczu trudno coś zobaczyć dalej niż na pół metra. Spróbujmy się wydostać na jakąś otwartą przestrzeń, jeżeli tu w ogóle taka jest.

Nie było to łatwe. W końcu, poparzeni pokrzywami i podrapani kolcami, wydostali się z gęstwiny. Zrobiło się jaśniej i po kilku krokach znaleźli się na skraju lasu. Czekala ich nowa niespodzianka. Tuż przed nimi rozciągała się piaszczysta plaża, a dalej, zaledwie parę metrów od nich, piasek obmywały fale morza, tak małe, że prawie nie słyszeli ich plusku. Na horyzoncie nie widniał żaden ląd, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Słońce znajdowało się tam, gdzie powinno być o dziesiątej rano. Morze było oślepiająco niebieskie. Stali, wciągając w nozdrza słony, morski zapach.

- A niech to dunder świeśnie! - zawołał Piotr.

- To mi się nawet podoba.

Pięć minut później nikt już nie miał na nogach butów i skarpetek. Brodzili w chłodnej, czystej wodzie.

- Na pewno wolę to, niż kisanie się w dusznym pociągu i zbliżanie do łaciny, francuskiego i algebry! - zauważył Edmund. I znowu nikt nic nie mówił przez dłuższy czas, wszyscy byli zajęci chlapaniem się w wodzie i wypatrywaniem krewetek i krabów.

- Tak czy owak - odezwała się w końcu Zuzanna - myślę, że powinniśmy coś postanowić. Niedługo zachce nam się jeść.

- Mamy kanapki, które mama dała nam na drogę - odpowiedział Edmund. - W

każdym razie ja mam swoje.

- Ja nie - oznajmiła Łucja. - Moje były w tej mniejszej torbie.

- I moje też - dodała Zuzanna.

- Moje są w kieszeni płaszcza, tu, na plaży - powiedział Piotr.

- To by były dwa drugie śniadania na czworo. Nie wygląda to zbyt wesoło.

- Och, bardziej marzę o jakimś picciu niż o jedzeniu, przynajmniej w tej chwili - powiedziała Łucja.

Teraz każdy poczuł pragnienie, co jest zupełnie normalne, gdy w gorącym słońcu brodzi się przez dłuższy czas w słonej wodzie.

- To tak, jakbyśmy byli rozbitkami - zauważył Edmund. - W książkach zawsze na wyspie znajduje się jakieś źródło z czystą, świeżą wodą. Dobrze by było pójść i poszukać.

- Czy to znaczy, że trzeba wrócić do tego gęstego lasu? - zapytała Zuzanna.

- Wcale nie - odpowiedział Piotr. - Jeżeli tu są jakieś strumienie, to muszą wpadać do morza. Tak pójdziemy plażą, to w końcu na któryś natrafimy.

Ruszyli więc ku brzegowi lasu, najpierw przez pas gładkiego, mokrego piasku, a potem po suchym i łamliwym, przesypanych się między palcami nóg. Na skraju plaży włożyli skarpetki i buty. Edmund i Łucja chcieli je tu zostawić i iść dalej boso, ale Zuzanna stwierdziła, że to głupi pomysł:

- Możemy już ich nie znaleźć, a będą nam potrzebne, jeśli zastanie nas tutaj noc i zrobi się zimno.

Ubrali się i powędrowali wzdłuż brzegu, mając morze po lewej stronie, a las po prawej. Okolica była cicha i spokojna, tylko od czasu do czasu pojawiała się samotna mewa. Do gęstego i splątanego lasu trudno było zajrzeć. Nic się w nim nie poruszało, ani śladu ptaków czy nawet owadów.

Musze i wodorosty, anemony i maleńkie kraby w skalnych rozpadlinach - wszystko to są rzeczy bardzo ciekawe, ale szybko ma się ich dość, jeżeli w gardle zasycha z pragnienia. Po brodzeniu w chłodnej wodzie dzieci czuły, jak pieką nogi i ciężą im ciasne teraz buty. Zuzanna i Łucja dźwigały swoje płaszcze od deszczu. Edmund położył swój na peronowej ławce, nim zaczęły się czary, więc teraz niósł na zmianę z Piotrem jego okrycie.

Brzeg zaczął skręcać w prawo. Po kwadransie doszli do wrzynającego się w morze skalistego cypla, za którym brzeg cofał się pod ostrym kątem w głąb lądu. Kiedy minęli cypel, szli w zupełnie przeciwnym kierunku niż wówczas, gdy po raz

pierwszy wyszli z lasu na plażę. Za wodą pojawił się drugi brzeg, porośnięty lasem tak samo gęstym jak ten, który zamierzali zbadać.

- Zastanawiam się, czy jesteśmy na wyspie, czy też idziemy wzdłuż głębokiej zatoki i w końcu dojdziemy do tamtego brzegu - odezwała się Łucja.

- Nie mam zielonego pojęcia - odpowiedział Piotr i znowu brnęli dalej w milczeniu.

Brzeg, którym szli, zaczął się teraz zbliżać do przeciwległego. Za każdym razem, kiedy dochodzili do kolejnego cypla, spodziewali się zobaczyć miejsce, w którym oba brzegi łączą się, i za każdym razem czekało ich rozczarowanie. Doszli w końcu do jakichś skał i wspięli się na nie, aby rozejrzeć się po okolicy.

- A niech to licha! - krzyknął Edmund. - Wcale mi się to nie podoba. Nigdy nie dojdziemy do tamtego lasu. Jesteśmy na wyspie!

Miał rację. W tym miejscu przesmyk między nimi a przeciwległym brzegiem miał zaledwie jakieś trzydzieści metrów szerokości, ale teraz widzieli już wyraźnie, że jest to tylko jego najwęższy odcinek. Dalej brzeg znowu się cofał, a pomiędzy nim a dalekim lądem jaśniało otwarte morze. Było oczywiste, że obeszli już więcej niż połowę wyspy.

- Spójrzcie! - zawołała Łucja. - Co to takiego? - Wskazała na długi srebrny kształt wijący się jak wąż przez plażę.

- Strumień! Strumień! - krzyknęli pozostali, pomimo zmęczenia, nie tracąc ani chwili, ześlizgnęli się po skałach i pobiegli ku świeżej wodzie. Wiedzieli, że trudno pić wodę ze strumienia na piaszczystej plaży, skierowali się więc od razu do miejsca, w którym strumień wypływał z lasu. Drzewa i krzaki rosły tu tak samo gęsto jak wszędzie, ale strumień wyłobił głębokie koryto między pokrytymi mchem brzegami, tak, że zgiąwszy się wpool, mogli wejść w las tunelem utworzonym przez zarośla i gałęzie drzew. Przy pierwszej, brązowej, pomarszczonej przez prąd sadzawce upadli na kolana i pili, pili, i zanurzali w wodzie twarze, a potem ręce aż po łokcie.

- No, a teraz, co z tymi kanapkami? - odezwał się w końcu Edmund.

- Och, czy nie lepiej zachować je na później? - powiedziała Zuzanna. - Później mogą być jeszcze bardziej potrzebne.

- Jak by to było dobrze - wtrąciła Łucja - gdybyśmy teraz, kiedy już nie chce się nam pić, byli tak mało głodni jak wtedy, kiedy BYLIŚMY spragnieni...

- Tak, hm... ale co z tymi kanapkami? - powtórzył Edmund. - Będziemy je oszczędzać, aż się zepsują? Pamiętajcie, że tu jest o wiele cieplej niż w Anglii, a

niesiemy je w kieszeniach od wielu godzin. Wyjęli więc dwie paczuszki z kanapkami, które podzielili na cztery części. Nikt nie najadł się do syta, ale poczuli się teraz o wiele lepiej. Zaczęli dyskutować nad tym, jak zdobyć coś na następny posiłek. Łucja proponowała, by wrócić nad morze i nałowić krewetek, ale ktoś przypomniał, że nie mają przy sobie żadnej siatki. Edmund stwierdził, że trzeba nazbierać mewich jajek, ale kiedy zaczęli się nad tym zastanawiać, doszli do wniosku, że po pierwsze - nikt nie widział po drodze ani jednego jajka, a po drugie - jak je ugotować? Piotr pomyślał sobie, że jeśli tylko nie wydarzy się coś niezwykłego, to prawdopodobnie już niebawem nadejdzie czas, gdy z radością zjedliby i surowe jajka. Nie widział jednak sensu, by mówić o tym na głos. Zuzanna upierała się, że głupotą było zjedzenie kanapek tak wcześnie. Zanosilo się na to, że jedno czy dwoje z nich za chwilę straci panowanie nad sobą. W końcu Edmund powiedział:

- Słuchajcie! Pozostaje nam tylko jedno. Musimy zbadać ten las. Pustelnicy, błędni rycerze i inni tacy zawsze jakoś potrafili wyżyć w puszczy. Jedli korzonki, jagody i różne takie rzeczy.

- Co to były za korzonki? - spytała Zuzanna.

- Zawsze myślałam, że chodziło o korzenie drzew - powiedziała Łucja.

- Dajcie spokój! - przerwał Piotr. - Edmund ma rację. Zresztą i tak coś trzeba zrobić. A chyba lepsze to niż powrót na oślepiające słońce.

Podnieśli się i zaczęli iść w górę strumienia. Nie był to lekki spacer. Musieli zginać się wpół pod nisko wiszącymi gałęziami, przełazić przez zagradzającą drogę pnie i przedzierać się przez zbity gąszcz jakiegoś paskudnego zielska przypominającego rododendrony. Wkrótce wszyscy mieli podarte ubrania i przemoczone buty. Nikt się nie odzywał, słychać było tylko plusk strumienia i hałas, jaki sami robili, przedzierając się przez zarośla i raz po raz wpadając do wody. Byli już porządnie zmęczeni, kiedy nagle poczuli jakiś cudowny zapach, a potem dostrzegli coś jaskrawokolorowego, migającego wśród zieleni wysoko, na prawym brzegu strumienia.

- Hej! - krzyknęła Łucja. - Mogę się założyć, że to jabłoń.

Miała rację. Wspięli się na stromy brzeg, z trudem przedarli przez gąszcz jeżyn i stanęli przed wielkim, starym drzewem, uginającym się pod ciężarem złocistych jabłek, tak jędrnych i soczystych, jak tylko można sobie było wymarzyć.

- I to nie jest jedyne drzewo - zauważył Edmund z pełnymi ustami. - Spójrzcie tylko tam... i tam...

- Rzeczywiście, jest ich mnóstwo - powiedziała Zuzanna, odrzucając ogryzek pierwszego jabłka i zabierając się do drugiego. - Tu musiał być kiedyś sad, dawno, dawno temu, zanim całe to miejsce zdziczało i zarosło.

- A więc ta wyspa była kiedyś zamieszкана - zauważył Piotr.

- A cóż to takiego? - odezwała się nagle Łucja, wskazując przed siebie.

- Tam do smoka, to przecież mur! - zawołał Piotr - Stary, kamienny mur.

Torując sobie drogę wśród zwałów opadłych gałęzi, dotarli do muru. Był bardzo stary, miejscami wykruszony i popękany, porośnięty mchem i zielskiem, wciąż jednak wyższy niż największe z drzew. A kiedy podeszli jeszcze bliżej, stwierdzili, że w murze widnieje wielki łuk, który musiał być kiedyś zwieńczeniem bramy, wypełnionej teraz prawie całkowicie największą ze wszystkich jabłoni. Musieli wyłamać trochę gałęzi, aby dostać się do środka, a kiedy to zrobili, oślepiło ich nagle światło słońca. Znaleźli się na rozległej przestrzeni otoczonej murem. Nie było tu drzew, tylko trawa, stokrotki, bluszcz i szare mury. Było to miejsce jasne, lecz tajemnicze, ciche i nieco ponure. Doszli do samego środka, zadowoleni, że mogą wreszcie wyprostować plecy i poruszać swobodnie nogami.

ROZDZIAŁ 2

STAROŻYTNY SKARBIEC

- To NIE BYŁ OGRÓD - powiedziała w końcu Zuzanna. - To był zamek, a tu, gdzie stoimy, na pewno był dziedziniec.

- Ależ tak, teraz to widzę - zgodził się Piotr.

- Tak, to resztki jakiejś wieży. A to musiały być schody wiodące na szczyt murów. I popatrzcie na tamte stopnie, te szerokie i niskie, prowadzące ku temu wejściu. To pewno było wejście do wielkiej sali.

- Przed wiekami, sądząc po wyglądzie - dodał Edmund.

- Tak, przed wiekami - powiedział Piotr. - Bardzo bym chciał wiedzieć, kim byli ludzie, którzy mieszkali w tym zamku, i kiedy to było.

- To wszystko budzi we mnie jakieś dziwne uczucie - powiedziała Łucja.

- Naprawdę, Łusiu? - zapytał Piotr, odwracając się i przyglądając się jej uważnie. - Bo widzisz, we mnie też... Czuję, że to najbardziej niesamowita rzecz, jaka nam się przytrafiła w ciągu tego niesamowitego dnia. Gdzie my jesteśmy i co to wszystko znaczy?

Tak rozmawiając przeszli przez dziedziniec, a potem przez drugą bramę, do której wiodły szerokie schody. Znaleźli się teraz w miejscu, które niewątpliwie było kiedyś wielką salą, choć obecnie niewiele różniło się od dziedzińca, gdyż sklepienie dawno temu się zapadło, a pośrodku rosła trawa i stokrotki. Tyle że przestrzeń była mniejsza, a mury wyższe. Na końcu znajdowało się coś w rodzaju podwyższenia.

- Zastanawiam się, czy to naprawdę była sala

- powiedziała Zuzanna - bo co ma oznaczać ten taras?

- Ależ nie bądź głupia, Zuziu - powiedział Piotr, który zdradzał objawy dziwnego podniecenia. - Czy nic ci to nie przypomina? To przecież jest podwyższenie, gdzie stał wysoki stół, za którym zasiadał król i jego szlachetni baronowie. Mógłby kto pomyśleć, że już zapomniałaś, jak to było, gdy sami byliśmy królami i królowymi i siadaliśmy na podobnym podwyższeniu w naszej wielkiej sali królewskiej.

- W naszym zamku Ker-Paravel... - wpadła mu w słowo Zuzanna i ciągnęła dalej rozmarzonym, śpiewnym głosem: - W Narnii, u ujścia Wielkiej Rzeki. Jakżebyś mogła zapomnieć?

- Jak to wszystko powraca... - powiedziała Łucja. - Możemy sobie wyobrazić, że jesteśmy w Ker-Paravelu. Ta sala musiała być rzeczywiście bardzo podobna do tej, w której uctowaliśmy.

- Rzeczywiście, tyle że, niestety, nie widzę tu żadnej uczty - przerwał jej Edmund. - Robi się późno. Zobaczcie, jakie długie są cienie. I czy zauważyliście, że nie jest już tak gorąco?

- Trzeba będzie rozpałcić ognisko, jeśli mamy tu spędzić noc - powiedział Piotr. - Mam zapalki. Chodźmy poszukać jakiegoś suchego drewna.

Dla każdego zabrzmiało to bardzo rozsądnie i przez następne pół godziny wszyscy mieli pełne ręce roboty. W sadzie, w którym byli wcześniej, nie znaleźli drewna na ogień, spróbowali więc szczęścia po drugiej stronie zamku. Wyszli z sali królewskiej przez małe boczne drzwi i znaleźli się w labiryncie kamiennych rumowisk i rozpadlin, które zapewne były kiedyś korytarzami i komnatami, ale teraz zarosły pokrzywami i dzikimi różami. Dotarli w końcu do murów zamku i znaleźli w nich dziurę na tyle szeroką, by przez nią przejść. Po drugiej stronie ciągnął się ciemny las, w którym pełno było martwych gałęzi, spróchniałych pni, zeschniętych liści i szyszek. Wrócili tam kilka razy, aż na podwyższeniu w wielkiej sali zebrał się spory stos. Potem dziewczynki poszły narwać jabłek, a chłopcy przygotowali ognisko w samym rogu tarasu, pod murem, gdzie wydawało się najcieplej i najbardziej przytulnie.

Mieli trochę trudności przy rozpalaniu i zmarnowali sporo zapalek, ale w końcu im się udało i wszyscy zasiedli przy ogniu, opierając się plecami o kamienny mur. Próbowali piec jabłka nadziane na patyki, ale okazało się, że pieczone bez cukru nie są najlepsze; trudno też jeść gorące jabłka palcami, a kiedy ostygną - są gorsze od surowych. Musieli więc zadowolić się surowymi, co pozwoliło Edmundowi zauważyć, że kolacje w szkolnym internacie nie były w końcu takie złe.

- Nie miałbym nic przeciwko grubej pajdzie chleba z margaryną - dodał. Ale poczucie wielkiej przygody podniosło każdego na duchu i tak naprawdę nikt nie pragnął znaleźć się z powrotem w szkole.

Jak tylko znikło ostatnie jabłko, Zuzanna wyszła, by napić się wody ze studni. Kiedy wróciła, niosła coś dziwnego w ręku.

- Patrzcie - powiedziała zdławionym głosem. - Znalazłam to przy studni.

Podziała to coś Piotrowi i usiadła. Jej głos i mina zdradzały, że zaraz może się rozplakać. Edmund i Łucja podskoczyli do Piotra, aby zobaczyć, co ma w ręku: mały, jasny przedmiot, połyskujący w świetle ogniska.

- No nie, niech mnie dunder świśnie... - powiedział Piotr, a jego głos również zabrzmiał jakoś dziwnie. Potem podał przedmiot innym.

Teraz wszyscy zobaczyli, co to było: figurka konika szachowego, normalnej

wielkości, lecz niezwykle ciężka, bo zrobiona z czystego złota. Oczywiście to były dwa małe rubiny - albo raczej jeden, ponieważ drugiego brakowało.

- Ale przecież - powiedziała Łucja - jest zupełnie taki sam, jak jeden z tych złotych koników, którymi graliśmy w szachy, gdy byliśmy królami i królowymi na Ker-Paravelu.

- Weź się w garść, Zuziu - powiedział Piotr do drugiej siostry.

- Nie mogę się opanować - odrzekła Zuzanna. - Wszystko staje mi znów przed oczami. Och, jakie to były cudowne czasy! Pamiętam, jak graliśmy w szachy z faunami i dobrymi olbrzymami... Pamiętam śpiew wodników i rusałek dochodzący z morza... i mojego wspaniałego konia... i... i...

- Słuchajcie - przerwał jej Piotr zupełnie innym głosem - najwyższy czas, żebyśmy wszyscy zrobili właściwy użytek z naszych mózgowic.

- O co ci chodzi? - zapytał Edmund.

- Czy nikt z was jeszcze nie zgadł, gdzie właściwie jesteśmy?

- Mów, mów dalej - powiedziała Łucja. - Już od dłuższego czasu czuję, że jakaś cudowna tajemnica wiąże się z tym miejscem.

- No to strzelaj, Piotrze - odezwał się Edmund. - Wszyscy słuchamy.

- Znajdujemy się w ruinach Ker-Paravelu - powiedział Piotr.

- Ale przecież... - zaczął Edmund i urwał. - Skąd ci to przyszło do głowy? Te ruiny są bardzo stare. Spójrz na te wszystkie wielkie drzewa rosnące aż do samej bramy. Spójrz na te kamienie. Przecież każdy widzi, że nikt tu nie mieszkał od setek lat.

- Wiem - powiedział Piotr. - Na tym polega cała trudność. Ale zapomnijmy o niej na chwilę. Chciałbym wam przedstawić moje argumenty, jeden po drugim. Punkt pierwszy: ta sala ma dokładnie takie same rozmiary i kształt jak nasza sala królewska w Ker-Paravelu. Wystarczy tylko sobie wyobrazić sufit, kolorową posadzkę zamiast trawy, tkaniny na ścianach i będziecie mieli naszą królewską salę bankietową. Nikt się nie odezwał.

- Punkt drugi: zamkowa studnia znajduje się w tym samym miejscu co nasza, nieco na południe od wielkiej sali, ma też dokładnie te same rozmiary i kształt.

I tym razem wszyscy milczeli.

- Punkt trzeci: Zuzanna znalazła przed chwilą jedną z naszych figur szachowych, albo coś tak podobnego, jak dwie krople wody.

Znowu nikt nie miał na to odpowiedzi.

- Punkt czwarty: przypomnijcie sobie dzień przed przybyciem posła od króla Kalormenów, czy nie pamiętacie, jak zakładaliśmy sad za północną bramą Ker-Paravelu? Sama Pomona, królowa drzewnych ludzi, przybyła, aby wypowiedzieć nad nim swoje życzliwe zaklęcia. A poczciwe krety wykonały wszystkie prace ziemne. Czy już zapomnieliście starego Liliaka Rękawicę, wodza kretów, jak wsparł się na swoim szpadlu i powiedział: „Niech mi wasza wysokość uwierzy, że będzie kiedyś wielki pożytek z tych jabłoni”. I niech mnie dunder świśnie, jeżeli się mylił.

- Pamiętam! Pamiętam! - zawołała Łucja, klaszcząc w dłonie.

- Ależ, Piotrze - powiedział Edmund - przecież to wszystko nie ma sensu. Zaczyna się od tego, że nie mogliśmy zaplanować takiego paradnego sadu tuż przed bramą. Przecież chyba mieliśmy trochę oleju w głowie.

- Masz świętą rację, tacy głupi nie byliśmy - odpowiedział Piotr. - Ale od tego czasu sad rozrósł się aż do bramy.

- A teraz druga sprawa - ciągnął Edmund. - Ker-Paravel nie leżał na wyspie.

- Tak, o tym też myślałem. Ale był to wówczas... jak to się nazywa... półwysp. Prawie jak wyspa. Czy od naszych czasów nie mógł stać się wyspą? Ktoś mógł przekopać kanał.

- Chwileczkę! - zawołał Edmund. - Powiedziałeś „od naszych czasów”. Ale przecież dopiero rok minął, odkąd wróciliśmy z Narnii. Chcesz nam wmówić, że w ciągu jednego roku zamki zamieniają się w kompletną ruinę, wielkie puszcze wyrastają tam, gdzie ich nie było, małe drzewka, które sami sadziliśmy, stają się wielkim, starym sadem i Bóg wie co jeszcze?

- Coś sobie przypominam - przerwała im Łucja. - Jeżeli to jest Ker-Paravel, to przy końcu królewskiego podium powinny być drzwi. Tak, powinniśmy siedzieć akurat przed tymi drzwiami. Pamiętacie... drzwi prowadzące do skarbcza.

- Nie wydaje mi się, żeby tu były jakieś drzwi - powiedział Piotr i wstał.

Ściana pokryta była kaskadą bluszczu.

- Możemy się o tym zaraz przekonać - powiedział Edmund, chwytając jedną z gałęzi, które przynieśli z lasu na ognisko, i zaczął nią metodycznie walić w mur. Tap - tap - tap - odpowiadała ściana, i znowu: tap - tap - tap, aż nagle: bum - bum - bum - usłyszeli zupełnie inny dźwięk, pusty i drewniany.

- O holender! - krzyknął Edmund.

- Musimy oczyścić mur z tego bluszczu - powiedział Piotr.

- Och, dajcie teraz spokój - wtrąciła Zuzanna - Możemy to zrobić rano. Jeżeli

mamy tu spędzić noc, to nie chcę mieć za plecami żadnych otwartych drzwi i wielkiej czarnej dziury, z której w każdej chwili może Bóg wie co wylecieć, nie mówiąc o przeciągu i wilgoci. I zaraz robi się ciemno.

- No wiesz, Zuzanno! Jak możesz! - powiedziała Łucja z wyrzutem. Ale obaj chłopcy byli zbyt podnieceni, aby zwracać uwagę na rady Zuzanny. Zabrali się do usuwania bluszczu rękami i scyzorykiem Piotra z takim zapalem, że bardzo szybko ostrze się złamało. Edmund wyciągnął swój scyzoryk. Wkrótce całą posadzkę w rogu podwyższenia pokrył bluszcz, a w ścianie wyraźnie ukazały się drzwi.

- Oczywiście zamknięte - powiedział Piotr.

- Ale drewno jest zbutwiałe - stwierdził Edmund. - W dwie minuty rozbijemy je na kawałki i będziemy mieli dodatkowy opał.

Zajęło im to jednak więcej czasu, niż się spodziewali i zanim drzwi zostały otwarte, zapadł zmrok, a wysoko nad ich głowami pojawiły się pierwsze gwiazdy. Nie tylko Zuzanna poczuła lekki dreszcz, kiedy chłopcy stanęli wreszcie na stosie połupanego drewna, otrzepując ręce i patrząc w wiejący chłodem czarny otwór.

- Teraz potrzebna będzie pochodnia - powiedział Piotr.

- Och, po co to wszystko? - odezwała się Zuzanna. - I przecież sam Edzio mówił, że...

- Ale teraz mówię co innego - przerwał jej Edmund. - Wciąż tego nie rozumiem, ale wyjaśnimy to później. Mam nadzieję, Piotrze, że zamierzasz tam wejść?

- Musimy to zrobić - odpowiedział Piotr. - Weź się w garść, Zuzanno. Nie możemy się zachowywać jak dzieci, kiedy już jesteśmy z powrotem w Narnii. Tutaj jesteś królową. I przecież nikt nie mógłby zasnąć, nie wyjaśniwszy takiej tajemnicy.

Próbowali zrobić pochodnie z długich patyków, ale nic z tego nie wyszło. Jeżeli się taki patyk trzyma płonącym końcem do góry, szybko gaśnie, a jeśli trzyma się go odwrotnie, płomień parzy w rękę, a dym gryzie w oczy. W końcu przypomnieli sobie o latarce Edmunda; na szczęście dostał ją na urodziny zaledwie przed tygodniem i bateria była prawie nowa. Zaczął schodzić pierwszy, oświetlając drogę. Potem szła Łucja, za nią Zuzanna, a Piotr zamykał pochód.

- Tu zaczynają się schody w dół - odezwał się Edmund.

- Licz stopnie - powiedział Piotr.

- Raz... dwa... trzy... - liczył Edmund, schodząc ostrożnie, aż doszedł do szesnastu. - To już koniec.

- A więc to musi być Ker-Paravel - powiedziała Łucja. - Tam było właśnie

szesnaście stopni.

Nikt się nie odezwał. Stanęli wszyscy na dole, trzymając się blisko siebie. Edmund poświecił latarką wokoło.

- O - o - o - och! - wykrzyknęła cała czwórka zgodnym chórem.

Teraz bowiem wszyscy już wiedzieli, że naprawdę znajdują się w starożytnym skarbcu, w Ker-Paravelu, gdzie niegdyś byli królami i królowymi Narnii. Do środka komnaty wiodło coś w rodzaju ścieżki (podobnie jak to bywa w cieplarniach), a po każdej jej stronie i na rogach krzyżujących się przejść stały kompletne zbroje, wyglądające jak rycerze strzegący skarbów.

Pomiędzy zbrojami ciągnęły się po obu stronach półki z drogocennymi przedmiotami. Były tam naszyjniki i bransolety, pierścienie, złote misy, talerze i długie kły słoniowe, brosze, diademy i złote łańcuchy oraz całe stosy nie oprawionych drogich kamieni, leżących byle jak, jakby to były marmurowe kulki do gry lub kartofle: diamenty, rubiny, granaty, szmaragdy, topazy i ametysty. Pod półkami stały wielkie kufry z dębowego drewna wzmocnione żelaznymi okuciami i pozamykane na ciężkie kłódki. Było tu przeraźliwie zimno i tak cicho, że słyszeli swoje oddechy. Skarby pokrywała gruba warstwa kurzu. Gdyby nie byli pewni, gdzie się znajdują, i gdyby nie pamiętali wielu spośród tych przedmiotów, z trudnością rozpoznaliby, że są to skarby. To miejsce miało w sobie coś przygnębiającego i budzącego lęk: wszystko było przerażająco stare i zapomniane od wieków. Przez dobrą minutę nikt nic nie mówił.

Ale potem, rzecz jasna, zaczęły się rozmowy, buszowanie po skarbcu i odnajdywanie różnych znajomych przedmiotów. Przypominało to spotkanie z bardzo dawno nie widzianymi przyjaciółmi. Gdybyście tam byli, usłyszeliście, jak co chwilę ktoś woła: „Och, patrzcie! Nasze pierścienie koronacyjne... pamiętacie, jak włożyliśmy je po raz pierwszy? - O, przecież to jest ta broszka, o której wszyscy myśleli, że zginęła! - Hej, czy to nie jest zbroja, którą nosiłeś podczas wielkiego turnieju na Samotnych Wyspach? - A pamiętasz tego karła, który mi ją zrobił? - Pamiętacie, jak się piło z tego rogu? - Pamiętacie? - Pamiętacie?”

W końcu Edmund powiedział:

- Słuchajcie, powinniśmy oszczędzać baterię. Kto wie, ile razy będzie nam jeszcze potrzebna. Czy nie byłoby lepiej zabrać to, co chcemy, i wrócić na górę?

- Musimy wziąć nasze podarunki - powiedział Piotr. Dawno temu on, Zuzanna i Łucja dostali w Narnii pewne prezenty, które cenili bardziej niż całe królestwo.

Edmund nie dostał nic, ponieważ w tym czasie nie było go z nimi. (Zresztą z jego własnej winy; możecie o tym przeczytać w innej książce, pod tytułem *Lew, Czarownica i stara szafa.*)

Wszyscy zgodzili się z Piotrem i poszli śródkowym przejściem aż do odległego końca komnaty, gdzie - tak jak się spodziewali - na ścianie wisiały drogocenne dary. Najmniejszy należał do Łucji, a była nim niewielka buteleczka, zrobiona jednak nie ze szkła, lecz z diamentu, a wewnątrz znajdowała się wciąż jeszcze ponad połowa magicznego płynu, który goił każdą ranę i leczył każdą chorobę. Łucja nic nie powiedziała, ale minę miała bardzo uroczystą, kiedy zdjęła swój dar i przewiesiła przez ramię rzemyk skórzanej pochewki. Tak zwykle ją nosiła w dawnych, dobrych czasach. Darem należącym do Zuzanny był łuk, kołczan ze strzałami i róg. Łuk wisiał na swoim miejscu wraz z kołczanem pełnym dobrze upierzonych strzał, ale...

- Och, Zuzanno - powiedziała Łucja - gdzie jest twój róg?

- A niech to licho! - zawołała Zuzanna po chwili namysłu. - Teraz mi się przypomniało. Miałam go ze sobą ostatniego dnia, gdy polowaliśmy na Białego Jelenia. Musiałam go zgubić, kiedy przedzieraliśmy się do tego innego miejsca... mam na myśli Anglię...

Edmund aż gwizdnął. Ta strata mogła się okazać najbardziej dotkliwa. Róg był zaczarowany: kiedykolwiek się na nim zagrało, było pewne, że zawsze nadejdzie jakaś pomoc, bez względu na miejsce i czas.

- To właśnie była taka rzecz, którą dobrze jest mieć pod ręką w miejscu takim jak to - powiedział Edmund.

- Nic na to nie poradzimy - odpowiedziała Zuzanna. - Zresztą mam jeszcze swój łuk. - I zdjęła go ze ściany.

- Czy aby cięciwa nie zbutwiała? - zapytał Piotr.

Ale czy to z powodu jakichś magicznych właściwości powietrza w skarbcu, czy też z innych przyczyn łuk był wciąż sprawny. W strzelaniu z łuku i w pływaniu Zuzanna była naprawdę dobra. W jednej chwili umocowała cięciwę, a następnie lekko ją odciągnęła i puściła. Rozległ się dźwięczny, wibrujący w powietrzu brzdęk. I ten krótki dźwięk przypomniał im dawne czasy bardziej i wyraźniej niż wszystko, co wydarzyło się do tej pory. Obrazy bitew, gonitw myśliwskich i uczt zaczęły się nagle tłoczyć jeden przez drugi przed ich oczami.

Zuzanna ponownie odwiązała cięciwę z jednego końca i zawiesiła kołczan u boku.

Teraz Piotr sięgnął po swoje dary: tarczę z wymalowanym na niej wielkim, czerwonym lwem i królewski miecz. Zdmuchnął kurz i stuknął nimi kilka razy w posadzkę. Umieścił tarczę na ramieniu i zawiesił miecz u boku. Trochę się bał, że klinga mogła zardzewieć i przywrzeć do wnętrza pochwy. Ale nie: jednym szybkim ruchem wy dobył miecz i wznosił do góry, a ostrze zaśniło w świetle latarki.

- To mój miecz Rindon, którym zabiłem wilka. - W jego głosie zabrzmiał teraz nowy ton i reszta rodzeństwa poczuła, że znowu jest Wielkim Królem Piotrem.

Ale wkrótce przypomnieli sobie, że trzeba oszczędzać baterię. Wspięli się po schodkach na górę, dorzucili sporo drewna do ogniska i położyli się jedno przy drugim, aby było ciepiej. Kamienna posadzka była twarda i niewygodna, ale w końcu wszyscy zasnęli.

ROZDZIAŁ 3

KARZEŁ

W SPANIU POD GOŁYM NIEBEM najgorsze jest to, że człowiek budzi się tak okropnie wcześnie. A po przebudzeniu trzeba zaraz wstać, bo dopiero wtedy czuje się, jak było twardo i niewygodnie. Jeszcze gorzej, jeśli na śniadanie czekają nas tylko jabłka, zwłaszcza jeśli tylko jabłka były na wczorajszą kolację. Kiedy Łucja stwierdziła, że ranek jest cudowny - co zresztą było prawdą - nikt nie kwapił się do rozwijania tego tematu. Wreszcie Edmund wypowiedział na głos to, o czym myśleli wszyscy:

- Nie ma co, musimy się jakoś wydostać z tej wyspy.

Napili się wody ze studni i ochlapali nią twarze, a potem poszli z powrotem brzegiem strumienia nad morze i popatrzyli na wąski przesmyk oddzielający ich od lądu.

- Będziemy musieli go przepłynąć - powiedział Edmund.

- Zuzannie na pewno nie sprawiłoby to większej trudności - zauważył Piotr - ale mam wątpliwości co do reszty.

Mówiąc o „reszcie” miał w rzeczywistości na myśli Edmunda, który nie potrafił jeszcze przepłynąć dwu długości szkolnego basenu, oraz Łucję, która w ogóle nie umiała pływać.

- A niezależnie od tego - dodała Zuzanna - mogą tu być silne prądy. Ojciec zawsze nam powtarzał, że nie powinno się pływać w miejscu, którego się nie zna.

- Ale posłuchaj, Piotrze - powiedziała Łucja. - Wiem, że nie mam pojęcia o pływaniu tam, u nas, to znaczy w Anglii. Czy jednak nie potrafiliśmy wszyscy pływać w dawnych czasach - czy to naprawdę tak dawno? - kiedy byliśmy królami i królowymi w Narnii? Jeździliśmy przecież konno i w ogóle robiliśmy różne rzeczy. Nie pomyślałeś o tym?

- Tak, ale wtedy byliśmy czymś w rodzaju dorosłych. Panowaliśmy przecież przez długie lata i nauczyliśmy się wielu rzeczy. A teraz chyba mamy swój prawdziwy wiek, czy nie?

- Och! - krzyknął Edmund w taki sposób, że wszyscy zamilkli i odwrócili się w jego stronę.

- Właśnie to wszystko zrozumiałem - oznajmił.

- Co zrozumiałeś? - spytał Piotr.

- No, to wszystko. Pamiętacie, jak się wczoraj męczyliśmy nad zagadką, że

zaledwie rok temu opuściliśmy Narnię, a wszystko wygląda tak, jakby nikt nie mieszkał w Ker-Paravelu od stuleci? No co, jeszcze nic nie rozumiecie? Pomyślcie trochę. Chociaż czas spędzony w Narnii wydawał się nam bardzo długi, to kiedy wróciliśmy do garderoby, wyglądało na to, że nie minęła nawet minuta.

- Mów dalej - wtrąciła Zuzanna. - Chyba zaczynam rozumieć.

- A to znaczy - ciągnął Edmund - że kiedy się opuści Narnię, przestaje się mieć pojęcie o upływie narnijskiego czasu. Dlaczego nie miałyby upłynąć setki lat w Narnii, podczas gdy dla nas, w Anglii, minął zaledwie rok?

- Tam do smoka! - zawołał Piotr. - Wydaje mi się, że trafiłeś w dziesiątkę. No tak, w tym sensie rzeczywiście mogły upłynąć całe stulecia, odkąd mieszkaliśmy w Ker-Paravelu. A teraz wracamy do Narnii jak krzyżowcy albo Anglo-Saksonowie, albo starożytni Brytowie, albo jacyś inni dawni ludzie powracający do współczesnej Anglii!

- Ale będą zdziwieni, jak nas zobaczą - zaczęła Łucja, lecz nagle wszyscy pozostali krzyknęli:

- Hej, patrzcie! - i: - Ciiiiicho! - bo teraz zaczęło się coś dziać.

Na przeciwległym brzegu, nieco na prawo od nich, był zalesiony cypel i wszyscy przypuszczali, że tuż za nim musi być ujście rzeki. I oto teraz zza tego cypla wyłoniła się łódź. Kiedy minęła cypel, zmieniła kurs i zaczęła płynąć prosto w ich kierunku. W łodzi znajdowało się dwóch ludzi: jeden wiosłował, drugi siedział przy sterze i przytrzymywał jakiś tłumok, który podskakiwał i wydymał się, jakby w nim było coś żywego. Obaj wyglądali na żołnierzy. Mieli na sobie stalowe kołpaki i lekkie kolczugi, a ich twarze były brodate i srogie. Dzieci schowały się szybko w zaroślach i zamarły bez ruchu, obserwując zbliżającą się łódź.

Kiedy była już naprzeciwko nich, usłyszeli głos żołnierza siedzącego przy sterze:

- Teraz to zrobimy.

- Może byłoby dobrze przywiązać mu kamień do nóg, kapralu? - zapytał drugi i przerwał wiosłowanie.

- Gadanie! - warknął żołnierz nazwany kapralem. - Wcale nie musimy tego robić, a zresztą nie wzięliśmy kamienia. I tak pójdzie na dno, jeśli tylko węzły są dobrze zaciśnięte.

Po tych słowach wstał i podniósł swój dziwny toból. Piotr zobaczył teraz, że w rzeczywistości jest to żywy karzeł ze związanymi mocno rękami i nogami, wciąż

wierzgający i walczący zaciekle w miarę możliwości. W następnej chwili usłyszał tuż obok siebie brzdęknięcie cięciwy i prawie jednocześnie żołnierz wyrzucił ręce do góry, upuszczając karła na dno łodzi, a sam wpadł do wody. Natychmiast jednak wynurzył się i zaczął brnąć w stronę przeciwnego brzegu. Piotr zrozumiał, że strzała Zuzanny ugodziła w hełm. Odwrócił głowę i zobaczył, że siostra pobladła, lecz opiera już drugą strzałę na cięciwie. Nie musiała jej jednak wypuszczać. Gdy tylko drugi żołnierz zobaczył, co stało się z jego towarzyszem, wyskoczył z łodzi z dzikim wrzaskiem, przebrnął do brzegu przez płytką w tym miejscu wodę i zniknął w lesie.

- Szybko! Bo zniesie ją prąd! - krzyknął Piotr i wskoczył w ubraniu do wody. Za Piotrem skoczyła Zuzanna i zanim woda sięgnęła im do ramion, schwycili za burłę łodzi. Szybko doholowali ją do brzegu i wynieśli biednego karła na piasek, a Edmund zaczął się mozolić nad przecięciem krępujących go sznurów swoim scyzorykiem. (Miecz Piotra był na pewno ostrzejszy, ale miecze nie są najbardziej wygodnym narzędziem do przecinania więzów na czyimś ciele, gdyż trudno je trzymać za klingę.) Kiedy w końcu karzeł został uwolniony, usiadł, zaczął rozcierać ręce i nogi, po czym powiedział:

- Hm, cokolwiek by mówili, W DOTYKU wcale nie przypominacie duchów.

Jak większość karłów był bardzo krępy i przygarbiony. Gdyby stanął, nie miałby zapewne więcej niż metr wysokości, a ruda, zmierzwiona broda zakrywała mu prawie całą twarz, tak że prócz niej widać było tylko długi, haczykowany nos i bystre, czarne oczy.

- Tak czy owak - ciągnął - duchy czy nie duchy, uratowaliście mi życie i jestem wam z tego powodu wielce zobowiązany.

- Dlaczego mielibyśmy być duchami? - zapytała Łucja.

- Przez całe życie powtarzano mi - odpowiedział karzeł - że w tych lasach na wybrzeżu jest tyle duchów, ile drzew. Tak w każdym razie opowiadają. Właśnie dlatego, kiedy chcą się kogoś pozbyć, zwykle go tu zabierają (tak jak zrobili ze mną) i mówią, że zostawią go na pastwę duchom. Prawdę mówiąc, zawsze podejrzewałem, że po prostu topią tu ludzi lub podrzynają im gardła. Nigdy tak do końca nie wierzyłem w duchy. Natomiast ci dwaj tchórze, których dopiero co ustrzeliliście, na pewno w nie wierzyli. Kiedy im kazano zaprowadzić mnie tu i uśmiercić, byli bardziej przerażeni ode mnie.

- Aha, więc to dlatego tak szybko uciekali - zauważyła Zuzanna.

- Co?! Co takiego? - zapytał karzeł.

- Uciekli - powiedział Edmund. - Na ląd.

- Nie strzelałam, aby zabić - wyjaśniła Zuzanna. Nie chciała, by ktokolwiek pomyślał, że chybiła z tak małej odległości.

- Hm, to niedobrze - powiedział karzeł. - To może oznaczać, że będziemy mieć kłopoty. Chyba będą trzymać język za zębami dla swojego własnego dobra.

-Dlaczego właściwie zamierzali cię utopić? - zapytał Piotr.

- Och, jestem niebezpiecznym złoczyńcą, tak, tak... - odpowiedział karzeł drwiącym tonem. - Ale to długa historia. Na razie zastanawiałem się, czy nie zamierzacie przypadkiem zaprosić mnie na śniadanie. Nie macie pojęcia, jaki człowiek robi się głodny, kiedy mają na nim wykonać wyrok śmierci.

- Mamy tylko jabłka - powiedziała Łucja melancholijnie.

- Lepsze to niż nic, ale nie tak dobre jak świeża ryba - zauważył karzeł. - Wygląda na to, że sam będę musiał zaprosić was na śniadanie. Widziałem jakieś przybory wędkarskie w łodzi. W każdym razie trzeba ją przeprowadzić na drugą stronę wyspy. Chyba nie zależy wam specjalnie na tym, by ją zobaczył ktoś z lądu?

- Powinienem o tym sam pomyśleć - powiedział Piotr.

Zeszli szybko na brzeg, nie bez trudu zepchnęli łódź do wody i wgramolili się do środka. Karzeł od razu przejął dowodzenie. Oczywiście wiosła były dla niego za duże, więc wziął się za nie Piotr, a karzeł usiadł przy sterze i poprowadził łódź na północ, wzdłuż cieśniny, a potem na wschód, wokół cypla wyspy. Stąd było już dobrze widać brzeg lądu: ujście rzeki, a za nim wszystkie zatoki i przylądki. Niektóre miejsca wydawały się im znajome, ale lasy, które rozrosły się od ich czasów, sprawiały, że wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Kiedy już opłynęli wyspę i znaleźli się na otwartym morzu, karzeł zabrał się do łowienia ryb. Udało mu się złapać sporo pawenderów: pięknych, bajecznie kolorowych ryb, które jadali w Ker-Paravelu za dawnych, dobrych czasów. Kiedy już ryb było dosyć, wprowadzili łódkę do niewielkiej zatoczki i przywiązali do drzewa. Karzeł, który okazał się bardzo uzdolnioną osobą (nigdy zresztą nie słyszałem o głupim karle, chociaż spotyka się karły złe), zręcznie ryby porozcinał, wypatroszył i oznajmił:

- A teraz będzie nam potrzebne drewno na ogień.

- Mamy go trochę w zamku - powiedział Edmund.

Karzeł zagwizdał.

- Na brody i brzeszczoty! - zawołał. - A więc jednak jest tu jakiś zamek?

-Teraz to tylko ruiny - powiedziała Łucja.

Karzeł popatrzył na nich z dziwnym wyrazem twarzy.

-A właściwie kim wy... - zaczął, lecz nagle rozmyślił się i powiedział: - Nieważne. Najpierw śniadanie. Mam tylko jedną prośbę, zanim się zabierzemy do jedzenia. Czy możecie mi powiedzieć, ale tak z ręką na sercu, że naprawdę jestem żywy? Czy jesteście pewni, że mnie nie utopiono i że wszyscy razem nie jesteśmy duchami?

Zapewnili go, że się nie myli, że naprawdę wciąż żyje. Powstał też problem, jak przenieść złowione ryby. Nie mieli koszyka, nie było ich na co nawlec i w końcu musieli użyć do tego czapki Edmunda (bo tylko on jeden miał czapkę). Pewnie nie zgodziłby się na to tak łatwo, gdyby sam nie był tak okropnie głodny.

Z początku karzeł nie wyglądał na zbyt uradowanego widokiem zamku. Rozglądał się dookoła, węszył i mruczał: „Hm, sprawia wrażenie, jakby tu naprawdę straszło. I czuć tu duchami” . Lecz gdy rozpalili ognisko nastrój mu się poprawił i zaczął im pokazywać, jak upiec ryby na żarzących się węglach. Jedzenie gorącej ryby bez widelców, gdy się ma tylko jeden scyzoryk na pięć osób, nie jest czynnością zbyt łatwą i czystą. Zanim skończyli jeść, było sporo poparzonych palców. Ale ponieważ minęła już dziewiąta, a tego dnia wstali o piątej, nikt się tym specjalnie nie przejmował. Kiedy zjedli ryby, popili wodą ze studni i zagryźli jabłkiem na deser, karzeł wydobył ogromną fajkę, napełnił ją, zapalił, wypuścił wielki kłęb wonnego dymu i powiedział:

- No, a teraz opowiadajcie.

- Opowiedz nam najpierw o sobie - powiedział Piotr - a potem my opowiemy ci naszą historię.

- Cóż, skoro uratowaliście mi życie, macie prawo wyboru. Nie wiem tylko, od czego zacząć. Przede wszystkim powinniście wiedzieć, że jestem wysłannikiem króla Kaspiana.

- Kim on jest? - zapytało równocześnie czworo dzieci.

- Kaspian Dziesiąty, król Narnii, oby nam długo panował! - odpowiedział karzeł. - Mówiąc ściślej, on powinien być królem Narnii, i mamy nadzieję, że nim kiedyś będzie. Na razie jest królem nas, Starych Narnijczyków...

- Co masz na myśli, mówiąc o STARYCH Narnijczykach? - zapytała Łucja.

- Jak to co? - zdziwił się karzeł. - To właśnie my. Jesteśmy, jeżeli tak można powiedzieć, powstańcami.

- Rozumiem - wtrącił Piotr. - A Kaspian jest najbardziej znamienitym wśród Starych Narnijczyków.

- Cóż, można by tak to ująć - powiedział karzeł, drapiąc się po głowie - ale tak naprawdę to on sam jest Nowym Narnijczykiem... Telmarem, jeśli wiecie, o co mi chodzi.

- Niestety nie - powiedział Edmund.

- To gorsze niż Wojna Dwu Róż - zauważyła Łucja.

- Moi drodzy - powiedział karzeł - zdaje mi się, że zupełnie źle zacząłem. Myślę, że będę musiał wrócić do początku i opowiedzieć wam, jak Kaspian wychowywał się na dworze swojego wuja i jak to się stało, że stanął po naszej stronie. Ale uprzedzam, że będzie to długa opowieść.

- Tym lepiej - powiedziała Łucja. - Kochamy takie opowieści.

Tak więc karzeł usadowił się wygodnie i opowiedział im całą historię. Nie będę jej tutaj powtarzał w całości, słowami, jakich użył, z dodatkiem wszystkich pytań zadawanych przez dzieci w trakcie opowiadania. Trwałoby to zbyt długo, a i tak pewne sprawy nie byłyby całkiem jasne, o wielu rzeczach bowiem dzieci dowiedziały się później. Przedstawię wam więc tylko samo sedno jego opowieści.

ROZDZIAŁ 4 OPOWIEŚĆ KARŁA

KSIĄŻĘ KASPIAN mieszkał w wielkim zamku w samym środku Narnii ze swoim wujem Mirażem, królem Narnii, oraz swoją ciotką, która była ruda i nazywała się Pretensjonata. Rodzice Kaspiana już nie żyli, a osobą, którą kochał najbardziej, była jego niania. Będąc księciem miał mnóstwo wspaniałych zabawek, które mogły robić wszystko, prócz jednego: nie potrafiły rozmawiać. Z całego dnia najbardziej lubił ostatnią godzinę przed snem, kiedy wszystkie zabawki leżały już na swoich półkach, a niania opowiadała mu różne przedziwne historie.

Wuj i ciotka niewiele się Kaspianem zajmowali. Dwa razy w tygodniu wuj nakazywał przyprowadzać chłopca do siebie, by odbyć z nim półgodzinną przechadzkę po tarasie w południowej części zamku. Podczas jednej z takich przechadzek król powiedział:

- A więc, chłopcze, musimy cię teraz nauczyć jeździć konno i władać mieczem. Jak wiesz, nie mamy dzieci i wszystko wskazuje na to, że ty zostaniesz królem, kiedy mnie już nie będzie na tym świecie. Jak ci się to podoba?

- Nie wiem, wuju - odpowiedział Kaspian.

- Nie wiesz?... - zdziwił się Miraż. - Hm, chciałbym wiedzieć, czego by można bardziej pragnąć! - A jednak JEST coś takiego, przynajmniej jeśli o mnie chodzi - powiedział Kaspian.

- Czego więc pragniesz? - zapytał król.

- No więc... chciałbym... chciałbym żyć w Dawnych Czasach - odpowiedział chłopiec czerwieniąc się.

Aż do tej chwili król Miraż mówił znudzonym głosem, jakim często przemawiają niektórzy dorośli i jaki pozwala sądzić, że to, co mówią, niewiele ich w rzeczywistości obchodzi. Teraz jednak spojrzał na Kaspiana z uwagą.

- Co? O czym ty właściwie mówisz? - zapytał. - Jakże znowu dawne czasy masz na myśli?

- Och, wuju, czyżbyś nie wiedział? - odpowiedział chłopiec. - Mówię o czasach, kiedy wszystko było inaczej. Kiedy wszystkie zwierzęta potrafiły mówić, kiedy w strumieniach i drzewach żyły różne miłe stwory: najady i driady, tak je nazywano. Były również karły. I we wszystkich lasach były cudowne, małe fauny. Miały nogi zakończone kopytkami jak kozy. I...

- To wszystko są bajki dla małych dzieci - przerwał mu surowo król. - Dla

dzieci, słyszysz? Jesteś już za duży na takie głupstwa. W twoim wieku powinno się myśleć o bitwach i rycerskich przygodach, a nie o bajkach.

- Ale przecież w tamtych czasach też były bitwy i przygody - powiedział Kaspian. - Wspaniałe przygody! Była raz Biała Czarownica i ona obwołała się królową całego kraju. I zrobiła tak, że zawsze była tylko zima. A potem przyszli skądś dwaj chłopcy i dwie dziewczynki i zabili Czarownicę, i to oni zostali królami i królowymi Narnii. Nazywali się: Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja. I panowali bardzo, bardzo długo, i każdy był bardzo szczęśliwy, a to wszystko dlatego, że Aslan...

- A któż *to* taki? - zapytał Miraż. Gdyby Kaspian był trochę starszy, ton głosu wuja ostrzegłby go, że nie powinien już nic więcej mówić. Ale chłopiec paplał dalej:

- Och, to ty nie wiesz, wuju? Aslan to wielki lew, który pochodzi z kraju za morzem.

- Kto ci naopowiadał tych wszystkich bzdur?! - zagrmiał król.

Kaspian przestraszył się i nic nie odpowiedział.

- Wasza książęca mość! - zawołał król, zatrzymując się i puszczając rękę chłopca. - Nakazuję ci natychmiast odpowiedzieć na moje pytanie. Spójrz mi prosto w oczy. Kto ci naopowiadał tych wszystkich wyspanych z palca bajek?

- Nia... nia... niania - wyjąkał Kaspian i wybuchnął płaczem.

- Przestań! - powiedział jego wuj podniesionym głosem, chwycił chłopca za ramiona i mocno nim potrząsnął. - Przestań! I żebym już nigdy nie przyłapał cię na tym, że mówisz albo MYŚLISZ o tych wszystkich bzdurnych historiach. Nie było tu żadnych królów i królowych. Jak w ogóle mogło być dwu królów jednocześnie? I nie ma żadnego Aslana. Nie ma żadnych lwów. I nigdy nie było czasów, w których zwierzęta potrafiły mówić. Czy mnie słuchasz?

- Tak, wuju - wykrztusił Kaspian przez łzy.

- A więc przestańmy już rozmawiać na ten temat - powiedział król.

Potem zawołał jednego ze swoich zaufanych ludzi, oczekujących na rozkaz w dalekim końcu tarasu, i powiedział chłodnym głosem:

- Proszę zaprowadzić jego książęcą mość do jego apartamentów i przysłać mi tu NATYCHMIAST nianię jego książęcej mości.

Następnego dnia Kaspian zrozumiał, co zrobił, ponieważ niania zniknęła z zamku tak szybko, że nawet nie zdążyła się z nim pożegnać. Powiedziano mu też, że od tej pory będzie miał wychowawcę.

Kaspianowi bardzo brakowało niani i często z tego powodu popłakiwał. Teraz,

kiedy był tak nieszczęśliwy, rozmyślał o opowieściach z Narnii częściej niż uprzednio. W każdą noc śnił o karłach i driadach, a w dzień wychodził ze skóry, aby nauczyć mówić pałacowe psy i koty. Ale psy tylko merdały ogonami, a koty mruczały.

Kaspian sądził, że będzie nienawidził swojego wychowawcy, kiedy jednak ten przybył w tydzień później, okazał się osobą, której w żaden sposób nie można nie lubić. Był to najniższy, a także najgrubszy z ludzi, jakich Kaspian dotąd spotkał. Miał długą, srebrzystą, ostro zakończoną brodę opadającą aż do pasa, a jego brązowa, pokryta zmarszczkami twarz była bardzo mądra, bardzo brzydka i bardzo dobra. Głos miał tubalny, a oczy wesołe, także dopóki się go dobrze nie poznało, niełatwo było poznać, kiedy żartuje, a kiedy jest poważny. Nazywał się Doktor Kornelius.

Ze wszystkich lekcji z Doktorem Korneliusem Kaspian lubił najbardziej historię. Do tej pory, jeśli nie liczyć opowieści niani, niewiele wiedział o dziejach Narnii. Był bardzo zaskoczony, gdy dowiedział się, że królewska rodzina wcale nie pochodzi z Narnii.

- Przodek waszej książęcej mości, Kaspian Pierwszy - mówił Doktor Kornelius - podbił Narnię i uczynił ją swoim królestwem. To on przyprowadził tutaj cały wasz lud. Nie jesteście Narnijczykami z pochodzenia. Jesteście Telmarami, co oznacza, że wszyscy pochodzicie z Telmaru, kraju leżącego daleko poza Zachodnimi Górami. I dlatego Kaspian Pierwszy zwany jest również Kaspianem Zwycięzcą.

- Powiedz mi, Doktorze - zapytał Kaspian pewnego dnia - kto żył w Narnii, zanim przybyliśmy tutaj z Telmaru?

- Zanim Telmarowie zajęli Narnię - odpowiedział Doktor Kornelius - nie było tu ludzi, albo było ich bardzo niewiele.

- A więc co właściwie zwyciężył mój pra-pra-pradziadek?

- Nie CO, ale KOGO, wasza wysokość - powiedział Doktor. - Chyba już czas przejść od historii do gramatyki.

- Och, nie, jeszcze nie, proszę... - nalegał Kaspian - Chodzi mi o to, czy była wtedy jakaś bitwa? Dlaczego nazywano go Kaspianem Zwycięzcą, jeśli nie było tu nikogo, kto by z nim walczył?

- Powiedziałem, że było tu bardzo niewiele ludzi - odpowiedział Doktor Kornelius, wpatrując się bardzo dziwnie w chłopca spoza swoich wielkich okularów.

Przez chwilę Kaspian nie wiedział, co ma znaczyć ta odpowiedź, ale nagle serce zaczęło mu bić mocniej.

- Czy chcesz przez to powiedzieć - wykrztusił - że żyły tu jakieś inne istoty? Czy

to znaczy, że rzeczywiście było tak, jak opowiadała mi niania? Czy to były...

- Sza! - syknął Doktor Kornelius i nachylił się do Kaspiana. - Ani słowa więcej. Czy nie wiesz, że twoją nianię odesłano właśnie za to, że opowiadała ci o Starej Narnii? Król tego nie lubi. Gdyby się dowiedział, że wyjawiam ci te tajemnice, zostałbyś wychłostany, a ja zapewne utraciłbym głowę.

- Ale dlaczego?... - zapytał Kaspian.

- Już najwyższy czas, aby przejść do gramatyki

- oświadczył Doktor Kornelius, podnosząc głos. - Czy wasza wysokość zechciałby otworzyć Pulverulentusa Sikkusa na czwartej stronie jego *Ogrodu Gramatycznego albo Altany Przypadków Rozkosznie Otwartej dla Wrażliwych Mózgów?*

I zaczęły się rzeczowniki i czasowniki, i trwało to aż do obiadu, ale nie sędzę, by Kaspian wiele się nauczył. Był zbyt podniecony. Czuł, że Doktor Kornelius nie powiedziałby mu tak wiele, gdyby nie zamierza! - wcześniej czy później - powiedzieć mu więcej. Jego przeczucia okazały się słuszne. Kilka dni później jego wychowawca powiedział:

- Dziś chciałbym ci udzielić lekcji astronomii. Kiedy noc zapadnie na dobre, dwie wspaniałe planety,

Tarva i Alambil, zbliżą się do siebie na odległość jednego stopnia. Takie zbliżenie, a nazywamy to koniunkcją, zdarzyło się ostatni raz aż dwieście lat temu, kiedy waszej książęcej mości jeszcze nie było na świecie. Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz dziś spać nieco wcześniej niż zwykle. Kiedy zbliży się czas koniunkcji, przyjdę i obudzę cię.

Nic nie wskazywało na to, że gwiazdy mają coś wspólnego ze Starą Narnią, a tylko tego chciał słuchać Kaspian, ale wstanie z łóżka w samym środku nocy zawsze jest interesujące, tak więc słowa Doktora trochę go zaciekawiły. Kiedy tego wieczora położył się do łóżka, myślał, że nie będzie mógł zasnąć, ale zmorzył go bardzo szybko. Wydawało mu się, że płynęło zaledwie kilka minut, gdy poczuł, jak ktoś lekko potrząsa. Otworzył oczy i zobaczył, że cały pokój zalany jest światłem księżyca. Tuż przy łóżku stał Doktor Kornelius otulony długim płaszczem z kapturem, z małą lampą w ręku. Kaspian przypomniał sobie od razu, co mają zrobić. Wyskoczył z łóżka i włożył coś na siebie. Pomimo lata noc była chłodniejsza, niż się spodziewał, i z wdzięcznością przyjął od Doktora podobny płaszcz z kapturem i wysokie buty z miękkiej skóry. W chwilę później, otuleni ciemnymi płaszczami, w kapturach na głowach, stąpając

bezszelestnie na miękkich podszwach, nauczyciel i jego uczeń opuścili komnatę.

Doktor prowadził go przez wiele korytarzy, tajemnych przejść i wąskich schodków, aż w końcu wyszli na płaski dach przez małe drzwi jakiejś wieżyczki strażniczej. Z jednej strony widniały blanki murów, z drugiej strony dach; poniżej, jak kobierzec utkany z cieni i migotliwych blasków, ogrody zamkowe, a nad nimi - gwiazdy i księżyc. Doszli teraz do innych drzwi, prowadzących do wnętrza wielkiej wieży pośrodku zamku. Doktor Kornelius otworzył je kluczem i zaczęli się wspinać po mrocznych schodach, wśród ponurych pogwizdywań wiatru. Kaspian nigdy jeszcze nie szedł tymi schodami. Były bardzo strome i wydawały się nie mieć końca, ale kiedy wreszcie dostali się na dach wieży i gdy złapał oddech, przekonał się, że to, co zobaczył, warte było trudu wspinaczki. Daleko, po prawej stronie, majaczyły Góry Zachodnie, po lewej lśniła w świetle księżyca Wielka Rzeka.

Cisza była tak głęboka, że mógł słyszeć daleki szum wodospadu przy Bobrowej Tamie, położonego o dobrą milę od zamku.

Nietrudno było odnaleźć na niebie dwie gwiazdy, które przyszli zobaczyć. Błyszczały dość nisko w południowej części nieba, prawie tak jasne jak dwa małe księżyce.

- Czy one się nie zderzą? - zapytał cicho chłopiec z lękiem w głosie.

- Nie, mój kochany książe - odpowiedział Doktor, również szeptem. - Wielcy księżęta wysokiego nieba zbyt dobrze znają kroki swego tańca. Przypatrz im się dobrze. To ich spotkanie jest szczęśliwym znakiem: oznacza, że jakieś wielkie dobro spłynie na smutną krainę Narnii. Tarva, Pan Zwycięstwa, pozdrawia Alambil, Panią Pokoju. Za chwilę znajdą się najbliżej siebie.

Szkoda, że te drzewa trochę zasłaniają - powiedział Kaspian. - Z Zachodniej Wieży byłoby lepiej widać, choć nie jest tak wysoka.

Doktor Kornelius nic na to nie odpowiedział, wciąż wpatrując się w Tarwę i Alambil. Wreszcie westchnął głęboko i zwrócił się do Kaspiana:

- Oto ujrzałeś coś, czego żaden z żyjących do dziś ludzi jeszcze nie widział i już nie zobaczy. I masz rację. Z niższej wieży widok byłby jeszcze lepszy. Przeprowadziłem cię tutaj z innego powodu.

Kaspian spojrzał na niego, ale twarz wychowawcy ukryta była w cieniu kaptura.

- Przeprowadziłem cię tutaj, bo mamy teraz pod sobą sześć pustych komnat i wysokie schody, a drzwi na dole są zamknięte. Nikt nas tutaj nie podsłucha.

- Czy chcesz mi powiedzieć to, czego nie powiedziałeś mi tamtego dnia? -

zapytał Kaspian.

- Tak - odpowiedział Doktor. - Ale pamiętaj: nie wolno nam nigdy i nigdzie rozmawiać o tych sprawach. Tylko tu, na szczycie Wielkiej Wieży.

- Oczywiście. Przyrzekam - zapewnił go Kaspian. - Ale już mów, powiedz mi wszystko, błagam!

- A więc słuchaj. Wszystko, co usłyszałeś o Starej Narnii, jest prawdą. To nie jest kraj ludzi. To kraj Aslana, kraj przebudzonych drzew i widzialnych najad, kraj faunów i satyrów, karłów i olbrzymów, centaurów i mówiących zwierząt. To z nimi walczył Kaspian Pierwszy. To wy, Telmarowie, sprawiliście, że zwierzęta, drzewa i źródła leśne zamilkły. To wy wymordowaliście lub przepędziliście karły, fauny, i to wy próbujecie teraz pogrzebać pamięć o nich. Król nawet mówić o nich nie pozwala!

- Och, jakbym chciał, żeby tak nie było! - powiedział Kaspian. - I cieszę się, że to wszystko było kiedyś naprawdę, nawet jeśli już przeminęło.

- Wielu z twojej rasy w głębi serca myśli tak samo - powiedział Doktor Kornelius.

- Ależ, Doktorze - zdziwił się Kaspian - dlaczego mówisz o MOJEJ rasie? Przecież chyba ty też jesteś Telmarem?

- Tak myślisz?

- Przecież jesteś człowiekiem... - wyjąkał Kaspian.

- Tak myślisz? - powtórzył Doktor głośniejszym głosem i odrzucił kaptur, tak że chłopiec mógł teraz zobaczyć wyraźnie jego twarz w świetle księżyca.

Kaspian natychmiast zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki i zdumiał się, że nie dostrzegł tego wcześniej. Doktor Kornelius był przecież tak niski, tak gruby i miał tak długą brodę! Dwie myśli zrodziły się w nim jednocześnie. Pierwsza napełniła go grozą: „Przecież to nie jest prawdziwy człowiek, to w ogóle nie jest człowiek, to KARZEŁ, który przyprowadził mnie tutaj po to, aby mnie zabić”. Ale druga myśl napełniła go słodyczą i szczęściem: „A więc są jeszcze prawdziwe karły i właśnie ja zobaczyłem w końcu jednego z nich!”

- A więc wreszcie się domyśliłeś - powiedział Doktor Kornelius - albo prawie się domyśliłeś. Nie jestem czystej krwi karłem; płynie we mnie również krew ludzka. Wielu karłów przeżyło Wielką Bitwę, uciekło i ukryło się między ludźmi. Obcięli brody, włożyli buty na wysokich obcasach i zmieszali się z wami, Telmarami. Ja jestem jednym z ich potomków, półkarłów, a jeżeli jacyś moi krewniacy, prawdziwe karły, żyją jeszcze gdzieś na świecie, z pewnością gardziliby mną i nazwali zdrajcą. Ale

my nigdy nie zapomnieliśmy o naszym pochodzeniu, o innych szczęśliwych mieszkańcach Starej Narnii i o utraconej wolności.

- Och, jak mi przykro, Doktorze - przerwał mu Kaspian. - Tak bardzo ci współczuję. Wiesz, że to nie moja wina.

- Nie mówię tego wszystkiego po to, aby cię oskarżać, drogi książę. Możesz jednak zapytać, po co ci to w ogóle mówię. Są dwa powody. Po pierwsze dlatego, że moje stare serce ukrywało te tajemnice już tak długo, że napełniło się bólem i prawie by pękło, gdybym ci ich w końcu nie wyjawiał. A po drugie, bo zrodziła się we mnie nadzieja, że gdy zostaniesz królem, możesz nam pomóc. Bo zobaczyłem, że ty, choć jesteś Telmarem, pokochałeś Dawne Czasy.

- Tak, i to bardzo - powiedział Kaspian. - Ale jak mógłbym wam pomóc?

- Możesz okazać swą życzliwość resztkom ludu karłów, takim jak ja. Możesz zgromadzić uczonych magów i spróbować odnaleźć sposób na ponowne obudzenie się drzew. Możesz przeszukać wszystkie zakątki i ustronia tego kraju, aby zobaczyć, czy nie żyją jeszcze gdzieś w ukryciu fauny, mówiące zwierzęta czy karły.

- Myślisz, że jeszcze gdzieś żyją? - zapytał Kaspian z nadzieją w głosie.

- Nie wiem, nie wiem - odpowiedział Doktor i westchnął głęboko. - Czasem ogarnia mnie lęk, że już jest za późno. Szukałem ich śladów przez całe życie. Czasem wydawało mi się, że słyszę bębny karłów gdzieś w górach. Czasem nocą, w lesie, wydawało mi się, że dostrzegam nagle gdzieś w oddali, pomiędzy drzewami, sylwetki tańczących faunów i satyrów, ale kiedy dochodziłem do tego miejsca, nie było tam nikogo. Wiele razy traciłem już wszelką nadzieję, ale zawsze zdarzało się coś, co pozwalało mi ją odzyskać. Nie wiem. Ale w każdym razie możesz spróbować być takim królem, jakim był kiedyś król Piotr, a nie takim jak twój wuj.

- A więc to wszystko prawda, te opowieści o królach i królowych, i może nawet o Białej Czarownicy? - zapytał Kaspian.

- Oczywiście. To wszystko prawda - powiedział Doktor. - Ich panowanie było Złotym Wiekiem Narnii. W tym kraju nigdy o nich nie zapomniano.

- Czy oni mieszkali w tym zamku?

- Nie, mój drogi. Ten zamek zbudował twój pra-pra-dziadek. Ale kiedy dwaj Synowie Adama i dwie Córki Ewy byli z woli samego Aslana królami i królowymi Narnii, ich siedzibą był zamek Ker-Paravel. Nikt z żyjących dziś ludzi nie widział tego błogosławionego miejsca i zapewne po zamku nie ma już nawet śladu. Utrzymuje się jednak przekonanie, że leżał on daleko stąd, u ujścia Wielkiej Rzeki, na samym brzegu

morza.

- Och! - wzdrygnął się Kaspian. - W Czarnym Lesie? Tam, gdzie żyją te wszystkie... te... no wiesz, duchy?...

- Wasza książęca mość mówi tak, jak go nauczono - powiedział Doktor - ale to są wszystko kłamstwa. Nie ma tam żadnych duchów. To są bajki wymyślone przez Telmarów. Wasi monarchowie panicznie boją się morza, bo nie mogą zapomnieć, że we wszystkich starych opowieściach Aslan właśnie zza morza przybywa. Sami nie mają ochoty zbliżyć się do morza i nie chcą, aby ktokolwiek tam chodził. Pozwolili więc, by wyrosła tam wielka, gęsta puszcza, odcinająca od morza ich poddanych. Ci zaś boją się lasu, bo zawsze żyli w nieprzyjaźni z drzewami. A ponieważ boją się lasu, wyobrazili sobie, że tam straszy. I nawet królowie i baronowie, nienawidzący morza i lasu, po części sami wierzą w te opowieści o duchach, a po części specjalnie je rozgłaszają. Czują się bezpieczniej, jeśli nikt w Narnii nie ośmiela się zawędrować aż na wybrzeże i spojrzeć na morze - ku królestwu Aslana, ku porannej zorzy, ku wschodniemu krańcowi świata.

Przez kilka minut panowała głęboka cisza. Wreszcie Doktor Kornelius powiedział:

- Chodźmy. Jesteśmy tu już zbyt długo. Czas zejść na dół i kłaść się do łóżka.

- Naprawdę musimy? - żalił się Kaspian. - Mógłbym słuchać o tych rzeczach całymi godzinami.

- Ktoś mógłby zacząć nas szukać, gdybyśmy tu dłużej zostali - powiedział Doktor Kornelius.

ROZDZIAŁ 5

PRZYGODY KASPIANA W GÓRACH

Od TEGO CZASU KASPIAN i jego wychowawca mieli więcej takich potajemnych spotkań na szczycie Wielkiej Wieży, w czasie których chłopiec dowiadywał się coraz to nowych rzeczy o Starej Narnii. Marzenia i rozmyślenia o dawnych czasach wypełniały mu teraz wszystkie wolne chwile. A nie miał ich zbyt wiele. Uczył się władać mieczem i jeździć konno, pływać i nurkować, strzelać z łuku, grać na flecie i na lutni, tropić jelenia i oprawiać go po upolowaniu, nie mówiąc już o kosmografii, retoryce, heraldyce, wersyfikacji, no i oczywiście o historii, prawie, fizyce, alchemii i astronomii. Jeżeli chodzi o magię, to poznawał tylko teorię, ponieważ zdaniem Doktora Korneliusa wiedza praktyczna z tej dziedziny nie jest przeznaczona dla książąt. „Ja sam - dodał - jestem zaledwie początkującym magiem i potrafię przeprowadzić tylko najprostsze eksperymenty” . Nie uczył się też nawigacji („choć jest to szlachetna sztuka godna bohaterów” , mówił Doktor Kornelius), ponieważ król Miraż nie chciał nawet słyszeć o okrętach i morzu.

Kaspian nauczył się też robić użytek ze swoich oczu i uszu. Gdy był małym chłopcem, często zastanawiał się, dlaczego nie lubi swojej ciotki, królowej Pretensjonaty. Teraz zrozumiał przyczynę: po prostu królowa go nie lubiła. Zaczął także dostrzegać, że Narnia nie jest szczęśliwym krajem. Podatki były wysokie, prawa surowe, a Miraż był człowiekiem okrutnym.

Po upływie paru lat królowa zachorowała. Zaczęła się krzątanina i zamieszanie, przybywało wielu medyków, dworzanie szeptali między sobą po kątach. Było wczesne lato, kiedy Doktor Kornelius obudził Kaspiana w środku nocy, po kilku zaledwie godzinach snu.

- Czy będziemy przerabiać astronomię, Doktorze? - zapytał Kaspian.

- Sza! - uciszył go Doktor. - Zaufaj mi i rób to, co ci powiem. Ubierz się dobrze, czeka cię długa podróż.

Kaspian był zaskoczony, ale nauczył się już całkowicie ufać swemu wychowawcy, zaczął więc bez słowa wypełniać jego polecenie. Kiedy już był ubrany, Doktor powiedział:

- Mam tu dla ciebie torbę. Musimy pójść do drugiego pokoju i napełnić ją jedzeniem, które zostało z wczorajszej kolacji.

- Mogą tam być moi służący - zauważył Kaspian.

- Śpią twardo i nie tak łatwo się obudzą. Jestem tylko początkującym magiem,

ale w końcu potrafię sprawić, by ktoś zdrowo zasnął.

Przeszli do sąsiedniej komnaty i tam, zgodnie z jego słowami, zastali dwu służących wyciągniętych w fotelach i chrapiących głośno. Doktor Kornelius złapał szybko kawałek zimnego kurczaka i kilkanaście płatów dziczyzny, trochę chleba, jabłko i małą butelkę dobrego wina i zapakował to do torby Kaspiana, którą chłopiec przewiesił przez ramię.

- Masz swój miecz? - zapytał Doktor. - Mam.

- Dobrze. Otul się płaszczem, tak aby ukryć torbę i miecz. W porządku. A teraz pójdziemy na Wielką Wieżę, aby spokojnie porozmawiać.

Noc była pochmurna, jakże różna od tej, podczas której obserwowali koniunkcję Tarvy i Alambil. Kiedy znaleźli się na szczycie wieży, Doktor Kornelius powiedział:

- Drogi książę, musisz natychmiast opuścić ten zamek i szukać szczęścia w szerokim świecie. Tutaj twojemu życiu zagraża niebezpieczeństwo.

- Dlaczego?

- Ponieważ jesteś prawdziwym królem Narnii, Kaspianem Dziesiątym, prawdziwym synem i dziedzicem Kaspiana Dziewiątego. Oby wasza królewska mość żyła jak najdłużej - i tu nagle, ku wielkiemu zdumieniu Kaspiana, ukląkł na jedno kolano i pocałował go w rękę.

- Co to wszystko ma znaczyć? Nic nie rozumiem - powiedział Kaspian.

- Dziwiłem się zawsze, dlaczego nigdy mnie o to nie pytasz - odpowiedział Doktor. - Dlaczego, będąc synem króla Kaspiana, sam nie jesteś królem Kaspianem? Każdy, prócz waszej królewskiej mości, wie, że Miraż jest uzurpatorem. Kiedy zdobył władzę, nawet on sam nie nazwał siebie królem tylko Wielkim Opiekunem. Ale potem zmarła twoja matka, dobra królowa, jedyna spośród Telmarów, która była mi życzliwa. A potem, jeden po drugim, zmarli lub gdzieś zniknęli wszyscy baronowie, którzy znali twojego ojca. Nie było to dzieło przypadku. To Miraż ich usunął. Belizar i Uwilas zginęli przeszyci strzałami na polowaniu; mówiło się, że to nieszczęśliwy wypadek. Cały wielki ród Pasarydów został wysłany nad północną granicę, aby walczyć z olbrzymami. Wszyscy po kolei zginęli Arian, Erimon i wielu innych zostali skazani i uśmierceni pod zarzutem spisku, oczywiście na podstawie fałszywych świadectw. Dwóch braci z Bobrowej Tamy kazał zabić jako szaleńców. W końcu namówił siedmiu szlachetnych baronów, jedynych spośród Telmarów, którzy nie bali się morza, aby pożeglowali przez Wschodni Ocean w poszukiwaniu nowych lądów.

Żaden z nich nigdy nie powrócił i nietrudno się domyślić, że zostało to zaplanowane. A gdy już nie było nikogo, kto mógł przypomnieć o twoich prawach, wówczas jego poplecznicy zaczęli go błagać (zgodnie z jego życzeniem, rzecz jasna), aby obwołał się królem. Oczywiście zgodził się szybko.

- Sądysz, że teraz chce zabić mnie? - zapytał Kaspian.

- To prawie pewne - odpowiedział Doktor Kornelius.

- Ale dlaczego dopiero teraz? Dlaczego nie zrobił tego wcześniej? I co takiego mu zrobiłem?

- Może przedtem tego nie chciał, ale teraz zmienił zdanie po tym, co zdarzyło się zaledwie dwie godziny temu. Królowa urodziła mu syna.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z tym wszystkim - powiedział Kaspian.

- Nie rozumiesz! - zawołał Doktor. - Czyż bym na próżno uczył cię historii i polityki? Słuchaj więc. Dopóki nie miał swoich własnych dzieci, godził się na to, że zostaniesz królem, kiedy jego już nie będzie. Ty sam niewiele go obchodziłeś, ale na pewno wołał na tronie ciebie niż kogoś obcego. Teraz, kiedy już ma swego własnego syna, będzie z całą pewnością pragnął, aby to on został jego następcą. Czy nie rozumiesz, że jesteś przeszkodą?! Usunie cię z drogi.

- Czy on naprawdę jest taki zły? - zapytał Kaspian. - Czy naprawdę mógłby mnie zamordować?

- Zamordował twojego ojca - powiedział Doktor Kornelius.

Kaspianowi zrobiło się słabo i zamilkł.

- Kiedyś ci o tym opowiem - dodał po chwili Doktor. - Ale nie teraz. Teraz nie ma chwili do stracenia. Musisz natychmiast uciekać.

- Czy pójdziesz ze mną? - zapytał Kaspian.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Byłbyś jeszcze bardziej zagrożony. Dwóch łatwiej wytropić niż jednego. Kochany książę, mój miły królu Kaspianie, musisz być bardzo dzielny. Musisz wyruszyć natychmiast i samotnie. Próbuj przedostać się przez południową granicę, na dwór króla Naina z Archenlandii. Przyjmie cię dobrze.

- Czy już nigdy cię nie zobaczę? - zapytał Kaspian załamującym się ze wzruszenia głosem.

- Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś zobaczymy, miły królu. Nie mam przecież na całym świecie żadnego przyjaciela prócz waszej królewskiej mości. Ale teraz, naprawdę, trzeba się bardzo spieszyć. To najważniejsze. Tu są dwie rzeczy, które mogą ci się przydać w drodze. Oto niewielka sakiewka ze złotem, niestety bardzo

mała, choć zgodnie z prawem wszystkie skarby w tym zamku powinny należeć do ciebie. A tu jest coś znacznie lepszego.

Włożył Kaspianowi do ręki coś, czego królewicz nie mógł w ciemności zobaczyć, ale co musiało być niewielkim rogiem.

- To jest - powiedział Doktor - największy i najświętszy skarb w całej Narnii. Wiele wycierpiałem i wiele zaklęć wyszeptalem, gdy byłem młody, aby go odnaleźć. To jest zaczarowany róg samej królowej Zuzanny. Zostawiła go po sobie, kiedy nagle zniknęła z Narnii pod koniec Złotego Wieku. Mówią, że ktokolwiek w niego zadmie, otrzyma niespodziewaną pomoc, a nikt nie może przewidzieć, jak dziwną i niespodziewaną. Róg posiada moc sprowadzenia tutaj z dalekiej przeszłości królowej Łucji i króla Edmunda, i królowej Zuzanny, i Wielkiego Króla Piotra, którzy z powrotem zaprowadzą prawo. Może na jego dźwięk przybędzie sam Aslan? Weź go, królu Kaspianie, ale pamiętaj: możesz go użyć tylko w ostatecznej potrzebie. A teraz szybko, szybko, szybko! Te małe drzwi na samym dole wieży, drzwi do ogrodu, są otwarte. Tam się rozstaniemy.

- Czy nie mógłbym przedtem wyprowadzić mojego Rumaka?

- Już jest osiodłany i czeka na ciebie w końcu sadu.

Kiedy schodzili po schodach pełnej wiatru wieży, Kornelius szeptał mu do ucha ostatnie rady i wskazówki. Serce Kaspiana przepelniał smutek, ale starał się wszystko dobrze zrozumieć i zapamiętać. Zeszli wreszcie na sam dół i Doktor mocno uściśnął mu dłoń. Przebiegłszy przez trawniki, napotkał Rumaka radosnym rzeniem witającego swego pana - i oto król Kaspian Dziesiąty opuszczał już zamek swego ojca. Kiedy obejrzał się ostatni raz za siebie, zobaczył sztuczne ognie, którymi witano narodziny nowego królewicza.

Przez całą noc pędził na południe, trzymając się bocznych dróg i wąskich ścieżek leśnych tak długo, jak długo okolice były mu znajome; potem jechał już główną drogą. Rumak był równie podniecony jak jego pan tą niezwykłą nocną jazdą, a Kaspian, choć oczy miał pełne łez, gdy żegnał się z Doktorem Korneliusem, teraz czuł się dzielnie i był nawet - w pewien sposób - szczęśliwy jako król Kaspian pędzący na koniu w poszukiwaniu przygód, z mieczem u lewego boku i zaczarowanym rogiem królowej Zuzanny u prawego. O świcie przeleciał drobny deszczyk i królewicz, rozejrzawszy się dookoła siebie, zobaczył tylko nie znane sobie zupełnie lasy, dzikie wrzosowiska i błękitne szczyty gór. Pomyślał, że świat jest wielki i obcy. Poczul się w nim mały i zagubiony.

Kiedy zrobiło się już zupełnie jasno, zjechał z głównego traktu i znalazł zaciszną, porośniętą miękką trawą polankę. Rozsiadł Rumaka i puścił go wolno, a sam zjadł kawałek zimnego kurczaka i popił winem. Wkrótce zmorzył go sen. Obudził się dopiero późnym popołudniem. Przełknął kilka kęsów chleba z mięsem i ruszył w dalszą wędrowną. Jechał znowu bocznymi drogami, kierując się wciąż na południe. Znajdował się już wśród wzgórz i raz po raz przychodziło mu wspinać się na zbocza, to zjeżdżać w dół, wciąż jednak wyżej i wyżej. Z każdego kolejnego wzniesienia widział coraz wyraźniej szczyty gór. Pod wieczór dojechał już do ich niższych partii. Wiatr był coraz silniejszy, aż nagle spadły z nieba strumienie deszczu. Rumak włókł się niechętnie, zanosilo się na burzę. Mroczny sosnowy las, przez który jechał, wydawał się nie mieć końca. Przypomniały mu się wszystkie opowieści o nieprzyjaznych wobec ludzi drzewach. Zdał sobie sprawę z tego, że jest przecież Telmarem, jednym z rasy, która wycinała drzewa wszędzie, gdzie prowadziła walkę z pierwotnymi mieszkańcami Narnii, a chociaż on sam różnił się od swoich ziomków, trudno byłoby oczekiwać, że drzewa o tym wiedzą.

I nie wiedziały. Wichura przeszła w prawdziwą burzę, las napelnił się hukami i trzaskami. Nagle, z przeraźliwym hałasem, olbrzymie drzewo upadło na drogę tuż za nim. „Spokojnie, Rumaku, spokojnie”, przemówił Kaspian do swego konia, głaszcząc go po szyi ale sam drżał ze strachu wiedząc, że był bliski śmierci. Zajaśniała błyskawica, a potem rozległ się ogłuszający grzmot, jakby niebo pękło na dwie części tuż nad jego głową. Rumak skoczył do przodu i Kaspian, choć był dobrym jeźdźcem, nie potrafił go powstrzymać. Starał się tylko utrzymać w siodle, świadom, że podczas szalonej galopady, która teraz się zaczęła, jego życie wisi na włosku. Drzewa migwały mu przed oczami, raz po raz ocierał się o nie w wielkim pędzie. I nagle - a stało się to tak szybko i niespodziewanie, że nawet nie pomyślał o bólu i ranie (w rzeczywistości jednak naprawdę został zraniony) - coś uderzyło go w czoło. Stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, stwierdził, że leży w kręgu światła rzucanego przez ognisko, cały potłuczony i posiniaczony, a głowa pęka mu z bólu. Tuż obok siebie usłyszał przyciszone głosy.

- A teraz - mówił jeden - zanim się przebudzi, trzeba postanowić, co z nim zrobimy.

- Trzeba go zabić - odezwał się drugi głos. - Nie możemy darować mu życia. Mógłby nas wydać.

- Trzeba go było od razu zabić albo zostawić - przemówił trzeci głos. - Nie

możemy go zabić teraz, kiedy już go stamtąd zabraliśmy i opatrzyliśmy. To tak jakby zabić gościa.

Szlachetni panowie - odezwał się Kaspian ślali m głosem - cokolwiek zrobicie ze mną, miejcie litość dla mojego biednego konia.

- Twój koń uciekł na długo przedtem, zanim cię znaleźliśmy - odpowiedział pierwszy głos, wyjątkowo ochryply i prostacki.

- Nie możemy pozwolić, aby nas omamił słodkimi słówkami - powiedział drugi głos. - Powtarzam...

- Na rogi i rosomaki! - zawołał trzeci głos.

- Przecież nie możemy go zabić! Wstydz się, Nikabriku. Jak myślisz, Truflogonie, co z nim zrobić? - Przede wszystkim damy mu pić - odpowiedział pierwszy głos, należący - jak można było przypuszczać - do Truflogona. Kaspian zobaczył ciemną postać zbliżającą się do niego, a potem poczuł ramię wsuwające mu się pod plecy - jeśli to było naprawdę ramię. Wyczuwał coś dziwnego w tej postaci, choć nie widział jej dokładnie. Twarz, która się nad nim pochylała, była również dziwna. Wydawało mu się, że jest bardzo zarośnięta, z długim nosem i dziwnymi białymi smugami po bokach. „To pewno coś w rodzaju maski - pomyślał Kaspian - albo może mam gorączkę i majaczkę”. Poczul na wargach coś gorącego i słodkiego. Wypił i w tej samej chwili ktoś rozgarnął drwa w ognisku. Buchnął płomień i Kaspian ledwo się powstrzymał od okrzyku na widok oblicza, które się nad nim nachylało. Nie była to bowiem wcale twarz człowieka, lecz borsuka, choć większa i bardziej przyjazna niż u jakiegokolwiek borsuka, którego przedtem widział. Nie ulegało też wątpliwości, że ten borsuk mówił!

Kaspian stwierdził teraz, że leży na posłaniu z wrzosu w jakiejś jaskini. Przy ognisku siedziało dwóch brodaczy, o wiele bardziej dzikich, zarośniętych i korpulentnych niż Doktor Kornelius. Domyślił się od razu, że są to karły ze starodawnej rasy, prawdziwe karły bez kropli ludzkiej krwi w żyłach. Teraz wiedział już, że wreszcie spotkał Starych Narnijczyków! A potem wszystko rozplynęło się we mgle: ponownie stracił przytomność.

W ciągu kilku następnych dni nauczył się imion swoich nowych towarzyszy. Borsuka nazywano Truflogonem; był najstarszy i najbardziej mu życzliwy. Karzeł, który chciał go zabić, należał do Czarnych Karłów (a więc włosy miał czarne, grube i sztywne jak końska grzywa) i nazywał się Nikabrik. Drugi był Czerwonym Karłem (o włosach rudych jak u lisa) i zwał się Zuchon.

- A teraz - powiedział Nikabrik pewnego wieczoru, kiedy Kaspian czuł się już tak dobrze, że mógł usiąść i mówić - teraz musimy w końcu postanowić, co zrobić z tym ludzkim pomiotem. Wam dwóm wciąż się wydaje, że zrobiliście coś wspaniałego nie pozwalając mi go zabić. A skutek jest taki, że teraz trzeba by go gdzieś uwięzić na całe życie. Ja w każdym razie nie mam zamiaru puścić go wolno, żeby wrócił do swoich i wydał nas wszystkim.

- Na pikle i poduchy, Nikabriku! - zawołał Zuchon. - Czy musisz zawsze wygadywać takie okropieństwa? Co winne jest to stworzenie, że rozbiło sobie głowę o gałąź akurat przed naszą pieczarą? Czy tak, według ciebie, wygląda szpieg?

- Słuchajcie - odezwał się Kaspian - przecież nawet mnie nie zapytaliście, czy JA CHCĘ wrócić. A wcale tego nie chcę. Chcę zostać z wami, jeśli mi tylko pozwolicie. Takich jak wy szukałem przez całe życie.

- To nawet niezła bajeczka - warknął Nikabrik. - Jesteś Telmarem i człowiekiem, może nie? To przecież jasne, że musisz chcieć wrócić do swoich.

- Gdybym nawet tego chciał, nie mogę - powiedział Kaspian. - Wypadek z gałęzią przydarzył mi się, kiedy uciekałem, ratując swe życie. Król chce mnie zabić. Jeżeli wy mnie zabijecie, zrobicie coś, co go bardzo ucieszy.

- Ejże, to nie do wiary! - powiedział Truflogon.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał Zuchon. - Cóż takiego zrobiłeś, człowieku, że będąc jeszcze chłopcem stanąłeś na drodze Mirażowi?

- To mój wuj... - zaczął Kaspian, na co Nikabrik podskoczył i wyciągnął sztylet.

- Tu cię mamy! - krzyknął. - Nie tylko Telmar, ale jeszcze do tego bliski krewniak naszego największego wroga! Trzeba być szaleńcem, żeby puścić tę kreaturę z życiem! - I rzucił się na Kaspiana z nożem. Gdyby go borsuk i Zuchon nie przytrzymali, byłoby już po wszystkim.

- Nikabriku, raz i na zawsze - powiedział Zuchon - przyrzeknij, że będziesz nad sobą panował, chyba że chcesz, byśmy ci usiedli na głowie.

Karzeł wydusił z siebie przyrzeczenie, a borsuk poprosił chłopca, aby im opowiedział swoją historię. Kiedy Kaspian skończył, zapadło długie milczenie.

- To najdziwniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałem - powiedział w końcu Zuchon.

- A mnie się to wciąż nie podoba - warknął Nikabrik. - Nie wiedziałem, że ludzie wciąż sobie o nas opowiadają. Im mniej o nas wiedzą, tym lepiej.

I ta stara niania... Byłoby lepiej, żeby trzymała język za zębami. A ten

wychowawca, jeden z tych karłów-zdrajców... Nienawidzę ich. Nienawidzę ich bardziej od ludzi. Zapamiętajcie sobie moje słowa: nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Nie powinienesz tyle gadać o sprawach, których nie rozumiesz, Nikabriku - powiedział Truflogon. - Wy, karły, macie tak krótką pamięć jak sami ludzie i tak samo łatwo zmieniacie zdanie. Ja zaś jestem zwierzęciem i do tego borsukiem. My się tak szybko nie zmieniamy. Jestem pewien, że to początek jakiejś wielkiej, dobrej sprawy. Oto mamy wśród nas prawdziwego króla Narnii, prawdziwego króla wracającego do prawdziwej Narnii. A my, zwierzęta, pamiętamy, jeśli nawet karły o tym zapomniały, że w Narnii wtedy było dobrze, gdy panował nad nią Syn Adama.

- Na raki i rosomaki, Truflogonie! - zawołał

Zuchon. - Nie chciałbyś chyba oddać Narnii ludziom? - Nic takiego nie mówiłem - odpowiedział borsuk. - To nie jest kraj ludzi (a kto może o tym wiedzieć lepiej ode mnie?), ale to jest kraj, w którym człowiek ma być królem. My, borsuki, mamy wystarczająco dobrą pamięć, aby o tym wiedzieć. Cóż, do diaska, czyż Wielki Król Piotr nie był człowiekiem?

- Wierzysz w te wszystkie starodawne opowieści? - zapytał Zuchon.

- Powiedziałem wam: my, zwierzęta, mamy dobrą pamięć i nie zmieniamy się tak łatwo - odpowiedział Truflogon. - Wierzę w Wielkiego Króla Piotra i innych ludzi, którzy panowali na Ker-Paravelu, wierzę tak mocno, jak wierzę w samego Aslana.

- Tak mocno jak w TO? - wtrącił Zuchon z przekąsem. - A kto dziś wierzy w Aslana?

- Ja wierzę - powiedział Kaspian. - A gdybym nie wierzył już w niego przedtem, uwierzyłbym teraz. Tam, wśród ludzi, wielu jest takich, co śmieją się z Aslana, ale to są ci, którzy śmieją się również, gdy im ktoś opowiada o mówiących zwierzętach i karłach. Czasami i ja zastanawiałem się, czy naprawdę mogą istnieć takie istoty jak wy. A jednak wy istniejecie.

- Racja - powiedział Truflogon. - Masz rację, królu Kaspianie. I dopóki będziesz wierny Starej Narnii, będziesz MOIM królem, cokolwiek by różni tacy mówili. Niech nam wasza królewska mość długo żyje!

- Niedobrze mi się robi, jak tego słucham - warknął Nikabrik. - Wielki Król Piotr i jego towarzysze mogli być ludźmi, ale to był zupełnie inny rodzaj ludzi. A to jest jeden z tych przeklętych Telmarów. Na pewno polował na zwierzęta dla samej przyjemności. Co, może nie mam racji? - dodał, odwracając się nagle do Kaspiana.

- No cóż, jeśli mam być szczery, polowałem - odpowiedział Kaspian. - Ale to nie

były mówiące zwierzęta.

- To niczego nie zmienia - warknął Nikabrik.

- Nie, nie, nie - wtrącił się Truflogon. - Wiesz dobrze, że tak nie jest. W dzisiejszej Narnii zwierzęta są zupełnie inne. To biedne, nieme, otepiałe stworzenia, takie jak w Kalormenie czy Telmarze. Są też o wiele mniejsze. Różnią się od nas bardziej niż półkarły od was.

Rozmowa trwała jeszcze długo i zakończyła się ogólną zgodą na to, by Kaspian pozostał z nimi, a nawet obietnicą, że gdy tylko będzie zdrow, zabiorą go na spotkanie z „innymi”, jak się wyraził Zuchon. Dla Kaspiana stało się teraz jasne, że w tych dzikich okolicach żyją wciąż w ukryciu wszystkie rodzaje istot ze Starej Narnii.

ROZDZIAŁ 6

LUD MIESZKAJĄCY W UKRYCIU

Teraz rozpoczęły się dla Kaspiana najszczęśliwsze w jego życiu dni. Pewnego cudownego letniego ranka, gdy rosa lśniła jeszcze na murawie, wyruszyli z borsukiem i dwoma karłami przez las. Wspięli się na przełęcz położoną wysoko w górach, a potem zeszli po ich południowych zboczach, skąd widać już było zielone wzgórza Archenlandii.

- Najpierw odwiedzimy Trzy Brzuchate Niedźwiedzie - oznajmił Zuchon.

Doszli do starego, zmurszałego dębu, pokrytego mchem i najwidoczniej pustego w środku, ponieważ Truflogon zapukał w pień trzy razy. Nie było jednak żadnej odpowiedzi. Zapukał ponownie i wówczas usłyszeli zaspany, wełnisty głos:

- Dajcie nam spokój. Jeszcze nie czas wstawać. Ale kiedy zapukał jeszcze raz, wewnątrz rozległ

się dziwny hałas, przypominający małe trzęsienie ziemi, potem otworzyło się coś w rodzaju drzwi i jeden po drugim wyszły z drzewa trzy brązowe misie, rzeczywiście bardzo brzuchate i bardzo zaspane. A kiedy już wszystko im wyjaśniono (co trwało bardzo długo), zgodziły się z Truflogonem, że Syn Adama powinien być królem Narnii, ucałowały Kaspiana - a były to bardzo mokre i sapiące pocałunki - i ofiarowały mu trochę miodu. Kaspian nie miał wielkiej ochoty na miód - bez chleba i o tej porze - ale pomyślał, że nie byłoby grzecznie odmawiać. Wiele czasu upłynęło, zanim ręce przestały mu się kleić.

Ruszyli w dalszą drogę, aż doszli do wysokiego bukowego lasu i tu Truflogon zawołał:

- Trajkowitko! Trajkowitko! - I prawie natychmiast, skacząc z gałęzi na gałąź, aż zawisła tuż nad ich głowami, pojawiła się najwspanialsza ruda wiewiórka, jaką Kaspian kiedykolwiek widział. Była o wiele większa niż zwykłe nieme wiewiórki, które spotykał czasem w ogrodzie zamkowym - mniej więcej rozmiarów małego psa teriera - i wystarczyło na nią spojrzeć, aby wiedzieć, że potrafi mówić. I to jak! Najtrudniejsze okazało się skłonienie jej do chwili milczenia, bo - jak wszystkie wiewiórki - była okropną gadułą. Od razu powitała Kaspiana z radością i zapytała, czy nie miałby ochoty na orzeszka. Królewicz odpowiedział, że o niczym innym nie marzy, lecz kiedy smyrnęła szybko w górę, Truflogon szepnął mu do ucha:

- Tylko nie patrz teraz na nią. Patrz w zupełnie innym kierunku. Wśród wiewiórek uważa się za wielki nietakt, gdy ktoś chce zobaczyć, gdzie są ich spiżarnie

lub sprawia wrażenie, że chce się tego dowiedzieć.

Trajkowitzka wróciła z orzechem, a kiedy Kaspian go zjadł, zapytała, czy chcą może przekazać komuś jakąś wiadomość.

- Przedostanę się wszędzie bez dotykania stopą ziemi - dodała.

Uznali to za dobry pomysł i poprosili ją, aby wezwała mieszkańców lasu na ucztę i naradę, która odbędzie się za trzy noce w Tanecznym Uroczysku.

- I zaprosz też Trzy Brzuchate Niedźwiedzie - dodał Zuchon - bo zapomnieliśmy im o tym powiedzieć.

Potem odwiedzili Siedmiu Braci z Posępnego Boru. Zuchon poprowadził ich z powrotem do wysokiej przełęczy, a potem na wschód, po północnym zboczu gór, aż doszli do nieco ponurego miejsca wśród skał i jodeł. Szli w całkowitej ciszy i nagle Kaspian poczuł, że ziemia pod nim drży, jakby ktoś siedział w środku i walił w coś ciężkim młotem. Zuchon podszedł do płaskiego kamienia wielkości pokrywy sporej beczki i tupnął weń nogą. Po dłuższej chwili kamień poruszył się i ktoś odsunął go na bok. W skale pojawiła się czarna dziura, z której buchnęła gorąca para, a w dziurze ukazała się głowa karła bardzo podobnego do Zuchona. Rozmowa trwała długo, bo karzeł okazał się bardziej podejrzliwy niż Trzy Brzuchate Niedźwiedzie i Trajkowitzka, ale w końcu zaproszono ich do środka. Zeszli pod ziemię po ciemnych, wykutych w kamieniu schodkach. Na dnie było całkiem jasno: blask bił od wielkiego pieca, gdyż podziemna pieczara okazała się wielką kuźnią. Płynął tu podziemny strumień. Dwóch karłów obsługiwało miech, trzeci trzymał długimi obcęgi na kowadle kawał rozpalonego do czerwoności żelaza, a czwarty bił w nie wielkim młotem. Dwu innych wyszło im na spotkanie, wycierając ręce w usmolone fartuchy.

Sporo czasu zajęło wyjaśnianie im, że Kaspian nie jest ich wrogiem, lecz przyjacielem, ale kiedy w końcu zrozumieli, zawołali „Niech żyje król!” i wręczyli im podarunki: stalowe kolczugi, hełmy i miecze dla Kaspiana, Zuchona i Nikabrika. Borsuk mógł również otrzymać taki wojenny ekwipunek, ale odmówił, twierdząc, że jest zwierzęciem, tak, zwierzęciem, i jeśli pazury i zęby nie wystarczą mu do obrony własnej skóry, to nie warto jej bronić. Uzbrojenie wykonane było po mistrzowsku i Kaspian chętnie zamienił swój miecz, który wydał mu się teraz dziecinną zabawką. Siedmiu Braci (wszyscy byli Czerwonymi Karłami) przyrzekło swój udział w ucztie w Tanecznym Uroczysku.

Nieco dalej, w suchym, skalistym wąwozie, znajdowała się jaskinia pięciu Czarnych Karłów. Przyglądali się Kaspianowi podejrzliwie, ale w końcu najstarszy z

nich powiedział:

- Jeżeli on jest przeciw Mirazowi, to może być naszym królem.

A drugi dodał:

- Chcecie, żebyśmy was zaprowadzili wyżej, aż do turni? Mieszka tam jeden wilkołak, a może i dwóch, a także wiedźma. Możemy was przedstawić.

- Bardzo dziękujemy, ale chyba... - zaczął szybko Kaspian i zająknął się, a Truflogon skrzywił się i powiedział:

- Myślę, że nie skorzystamy z tej propozycji. Nie chcemy mieć żadnych takich po naszej stronie.

Nikabrik był innego zdania, ale został przegłosowany przez borsuka i Zuchona. Kaspian ledwo swym oczom i uszom wierzył, przekonując się, że rzeczywiście żyją jeszcze w Narnii potomkowie strasznych i dziwnych istot, znanych mu dotąd tylko z opowieści starej niani.

- Aslan nie byłby po naszej stronie, gdybyśmy zabrali całą tę hałastrę - zauważył Truflogon, kiedy schodzili w dół, wracając z jaskini Czarnych Karłów.

- Och, znowu ten Aslan! - prychnął Zuchon pogardliwie. - Ważniejsze, że wtedy i ze mnie musielibyście zrezygnować.

- A ty wierzysz w Aslana? - zapytał Kaspian Nikabrika.

- Wierzę w każdego i we wszystko - odpowiedział karzeł - kto i co będzie walczyć z tymi przeklętymi telmarskimi barbarzyńcami i pomoże nam rozerwać ich na strzępy albo wyrzucić z Narnii. W każdego i we wszystko, w Aslana czy w Białą Czarownicę, rozumiesz?

- Spokojnie, spokojnie - wtrącił Truflogon. - Sam nie wiesz, co mówisz. Ona jest gorsza od Miraza i całej jego rasy.

- Ale nie dla karłów - odpowiedział hardo Nikabrik.

Następna wizyta była bardziej przyjemna. Kiedy zeszli w dół, góry rozstąpiły się, tworząc rozległą, leśną dolinę, po której dnie płynęła bystra rzeczka. Nad jej brzegiem drzewa ustąpiły miejsca zacisznej polance, porośniętej naparstnicami i dzikimi różami.

- Grom oj arze! Gromojarze! - zawołał Truflogon i po chwili Kaspian usłyszał w oddali tętent kopyt, który zbliżał się i potężniał, aż cała dolina zaczęła drżeć, i w końcu, łamiąc i tratując zarośla, pojawiły się najszlachetniejsze stworzenia, jakie Kaspian kiedykolwiek widział: wielki centaur Gromojar ze swoimi trzema synami. Jego boki lśniły jak świeżo obłupane ze skórki kasztany, a długa broda, spływająca na

piersi, miała kolor czerwonego złota. Gromojar był prorokiem i potrafił czytać w gwiazdach, więc nie musieli mu niczego tłumaczyć.

- Niech żyje król! - zawołał. - Ja i moi synowie jesteśmy gotowi do wojny. Kiedy będzie bitwa?

Aż do tej chwili ani Kaspian, ani jego towarzysze nie myśleli poważnie o wojnie. Wyobrażali sobie mgliście, że można - na przykład - dokonać wypadu na jakąś ludzką zagrodę albo zaatakować grupę myśliwych, gdyby zapędzili się za daleko w południowe dzikie ostępy. Na ogół myśleli jednak raczej o życiu wśród lasów i gór, o próbie odbudowania Starej Narnii z dala od ludzi. Kiedy Gromojar przemówił, poczuli nagle, że cała sprawa jest bardziej poważna, niż im się wydawało.

- Masz na myśli prawdziwą wojnę, aż do wypchnięcia Miraza i jego ludu z Narnii? - zapytał Kaspian.

- A cóż by innego? - odpowiedział centaur.

- Po cóż by wasza królewska mość wkładał hełm i kolczugę i zawieszał miecz u boku?

- Ale czy to może się udać, Gromojarze? - zapytał borsuk.

- Już nadszedł czas - odpowiedział Gromojar.

- Do mnie, jak wiesz, należy pilne badanie gwiazd, tak jak do ciebie pamiętanie o wszystkim. Tarva i Alambil spotkały się na wysokim niebie, a na ziemi narodził się raz jeszcze Syn Adama, który ma nazwać po imieniu wszystkie stworzenia i rządzić nad nimi w pokoju. Godzina wybiła. Nasza narada w Tanecznym Uroczysku musi być naradą wojenną.

Gromojar przemawiał takim tonem, że ani Kaspian, ani jego towarzysze nawet nie pomyśleli o tym, że można mu zaprzeczyć. Uwierzyli teraz w możliwość zwycięstwa. To, że wojnę trzeba rozpocząć, nie budziło już w nikim żadnej wątpliwości.

Minęło już południe, więc zatrzymali się dłużej nad rzeczka, aby odpocząć i zjeść to, czym ich mogły ugościć centaury: owsiankę, jabłka, różne zioła, wino i ser.

Zanim dotarli do kolejnej siedziby, porządnie się zmęczyli, bo chociaż samo miejsce nie było odległe, musieli nadłożyć kawał drogi, aby obejść tereny zamieszkane przez ludzi. Dopiero późnym popołudniem znaleźli się wśród zacisznych pól, poprzecinanych żywopłotami. Tutaj Truflogon nachylił się nad wejściem do niewielkiej nory w zielonym zboczu, a kiedy zawołał, wynurzyło się coś, czego się Kaspian najmniej spodziewał: mówiąca mysz. Była oczywiście większa niż zwykła

mysz; kiedy stanęła na tylnych łapach, mogła mieć sporo ponad trzydzieści centymetrów, a kiedy dodało się uszy, długie jak u królika (ale o wiele szersze), sprawiało to imponujące wrażenie. Był to Rycypisk, wesoły i wojowniczo usposobiony jegomość, ze szpadą u boku i z długimi wąsami, które raz po raz podkręcał zawadiacko.

- Jest tu nas dwunastu, miłościwy panie - oznajmił, kłaniając się szarmancko - i oddaję wszystkie siły mojego ludu do całkowitej dyspozycji waszej królewskiej mości.

Kaspian zrobił wszystko, aby nie wybuchnąć śmiechem, ale pomyślał, że Rycypiska z całym „jego ludem” można by z łatwością zmieścić w koszu na bieliznę i zanieść na plecach do domu.

Zajęłoby nam zbyt wiele czasu wyliczanie wszystkich dziwnych stworzeń, które odwiedzili tego dnia. Był tam kret Gburak Łopata, trzech Twardziaków (którzy byli borsukami, jak Truflogon), zając Kamillo i jeź Szczotosław. Wreszcie zatrzymali się, aby odpocząć przy źródelku na skraju przestronnego i płaskiego kręgu murawy, otoczonego wysokimi wiązami. Cienie drzew były długie, bo słońce już zachodziło; stokrotki tuliły płatki, a gawrony wracały do swoich gniazd. Zjedli na kolację to, co zabrali ze sobą, i Zuchon wyciągnął fajkę (Nikabrik w ogóle nie palił).

- Gdybyśmy jeszcze potrafili obudzić duchy tych drzew i tego źródelka - powiedział borsuk - to mielibyśmy za sobą kawał dobrej roboty.

- A nie potrafimy? - zapytał Kaspian.

- Nie - odpowiedział Truflogon. - Nie mamy nad nimi władzy. Kiedy zjawili się ludzie, wyrabując lasy i plugawiąc strumienie, driady i najady zapadły w głęboki sen. Kto wie, czy w ogóle kiedyś się przebudzą? A to dla nas wielka strata. Telmarowie piekielnie się boją lasu i gdyby tylko drzewa powstały przeciw nim w całym swym gniewie, nasi wrogowie zmykaliby z Narnii w popłochu ile tylko sił w nogach.

- Ależ wy, zwierzęta, macie wyobraźnię! - zakpił Zuchon, który nie wierzył w takie rzeczy. - Dlaczego tylko drzewa i wody? Nie byłoby piękniej, gdyby i kamienie same rzucały się na starego Miraza?

Borsuk zamruczał coś pod nosem, a potem zapadła taka cisza, że Kaspian zaczął już powoli zasypiać, gdy nagle wydało mu się, iż słyszy delikatne, melodyjne dźwięki dochodzące z lasu za jego plecami. Pomyślał, że to zaczął się już jakiś sen, i przewrócił się z boku na bok, ale gdy tylko dotknął uchem murawy, poczuł albo posłyszał (trudno to było właściwie rozróżnić) ciche brzdąkanie lub bębnienie. Podniósł głowę. Bębnienie ucichło, ale dziwna muzyka powróciła, jeszcze bardziej

wyraźna. Zobaczył, że Truflogon też usiadł i wpatruje się w ciemny las. Księżyc świecił teraz jasno i Kaspian pomyślał, że musiał spać dłużej, niż sądził. Muzyka zdawała się przybliżać: coraz głośniejsze i wyraźniej brzmiała dziwna, dzika i jednocześnie senna melodia, a towarzyszył jej jakby odgłos wielu stóp. I nagle z ciemnego lasu, w krąg polany zalanej księżycową poświatą, zaczęły się wynurzać zwiewne tańczące kształty, właśnie takie, jakie Kaspian widział w swoich snach, gdy jako mały chłopiec śnił o spotkaniach ze Starą Narnią. Leśne istoty nie były wyższe od karłów, ale o wiele szczuplejsze i pełne wdzięku. Z głowy wyrastały im małe różki, górna część ciała lśniła nagością w bladym świetle księżyca, a ich nogi przypominały zakończone kopytkami nogi kozłów.

- Fauny! - krzyknął Kaspian i zerwał się na nogi, a dziwne istoty otoczyły go ze wszystkich stron. Nie marnowali czasu na wyjaśnianie całej sytuacji. Nim się Kaspian spostrzegł, już tańczył razem z nimi, za chwilę dołączył do nich Zuchon, podskakując ciężko, lecz ochoczo, i nawet Truflogon zaczął podrygiwać i przytupywać, dając z siebie wszystko, na co go było stać. Tylko Nikabrik nie ruszył się z miejsca, przypatrując się temu wszystkiemu w milczeniu. Fauny utworzyły krąg wokół Kaspiana, tańcząc i przygrywając na trzciniowych fletach, a ich dziwne twarze, smutne i wesołe zarazem, jaśniały w blasku księżyca. Był tam Mentius i Obentinus, Dumnus, Voluns, Voltinus, Girbius i Nimienus, Nausus i Oskuns. A wszystkich przysłała tu Trajkowitka.

Kiedy Kaspian obudził się następnego dnia, trudno mu było uwierzyć, że to dziwne nocne spotkanie nie było snem. A jednak całą polanę pokrywały ślady małych, rozdzielonych w środku kopytek.

ROZDZIAŁ 7

STARA NARNIA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Miejscem, w którym spotkali się z faunami, było oczywiście Taneczne Uroczysko. Pozostali tu aż do nocy Wielkiej Rady. Były to dla Kaspiana niezwykle przeżycia: spać pod gwiazdami, pić wodę ze źródła, jeść tylko orzechy i dzikie owoce - po długich latach spania na jedwabnej pościeli w obwieszanej drogimi tkaninami komnacie zamkowej, ze służącymi czekającymi na jego wezwanie w sąsiednim pokoju, gdzie stał zawsze nakryty stół z wymyślnymi potrawami na złotej i srebrnej zastawie. Nigdy jednak nie czuł się tak szczęśliwy jak teraz. Nigdy przedtem nie budził się tak wypoczęty i rześki, nigdy jedzenie nie smakowało mu tak jak owe proste owoce lasów i pól. W krótkim czasie zmęźniał, a jego twarz nabrała królewskiego wyglądu.

I wreszcie nadeszła wielka noc. Księżyc był już w pełni i Kaspianowi serce rosło, gdy widział, jak z ciemnego lasu wynurzają się jego najdziwniejsi poddani, pojedynczo, po dwóch, po trzech, po sześciu i siedmiu. Było ich wielu, a wszyscy składali przed nim pokłon jak przed królem. Zeszli się wszyscy, których już spotkał: Trzy Brzuchate Niedźwiedzie, Czerwone i Czarne Karty, krety i borsuki, zające i jeże. Przybyło też wielu, których jeszcze nie widział: pięciu rudych jak lisy satyrów, cały oddział mówiących myszy, uzbrojonych po zęby i poprzedzanych przenikliwym wrzaskiem trąbki, trochę sów, stary kruk z Kruczego Urwiska. Na samym końcu, razem z centaurami, przybył nie największy, ale najprawdziwszy olbrzym, Świdrogrzmot ze Wzgórza Wisielca, niosący na plecach kosz pełen karłów z wyraźnymi oznakami choroby morskiej.

Brzuchate Niedźwiedzie nalegały, aby rozpocząć od uczy, a naradę odłożyć na potem, najlepiej do następnego dnia. Ryczypisk, przemawiający w imieniu całego swego oddziału, oświadczył, że i ucztę, i naradę można odłożyć na później, a teraz, nie czekając poranka, trzeba zaatakować Miraza w jego zamku. Trajkowitka i inne wiewiórki stwierdziły, że można przecież jeść i mówić jednocześnie, dlaczego więc nie połączyć narady z ucztą? Krety radziły wykopać fortyfikacje ziemne wokół uroczyska, zanim cokolwiek się postanowi. Fauny proponowały rozpocząć od uroczystego tańca. Stary kruk, zgadzając się w zasadzie z niedźwiedziami, że trudno byłoby czekać z kolacją, aż skończy się narada, błagał o pozwolenie wygłoszenia krótkiego przemówienia wstępnego. Wreszcie zabrały głos centaury, karły, a na końcu sam Kaspian i wszyscy zgodzili się z nimi, że trzeba natychmiast zacząć prawdziwą wojenną naradę.

Z pewnym trudem zdołano wreszcie skłonić wszystkich, aby zasiedli w wielkim kręgu wokół Kaspiana. Najtrudniejsze okazało się uspokojenie Trajkowitki, która biegała tu i tam, pokrzykując: „Cisza! Cisza! Król chce przemówić!” , ale w końcu i to się udało. Kaspian powstał, czując lekkie ściskanie w dołku.

- Narnijczycy! - zaczął, ale na tym jego przemówienie się skończyło, bo gdy tylko wypowiedział pierwsze słowo, zając Kamillo zapiszczał:

- Ciiiicho! Gdzieś w pobliżu jest człowiek! Mieszkańcom leśnych ostępów, przyzwyczajonym do ukrywania się i ucieczki przed nagonką, nie trzeba było nic więcej mówić. Wszyscy zamarli jak posągi. Zwierzęta zwróciły nosy we wskazanym przez Kamilla kierunku.

- Czuć człowiekiem, ale tak jakby niezupełnie... - szepnął Truflogon.

- Jest coraz bliżej - pisnął Kamillo.

- Dwa borsuki i trzy karły z łukami gotowymi do strzału! - rozkazał półgłosem Kaspian. - Podejść po cichu i rozpoznać!

- Zaraz go załatwimy - mruknął jeden z Czarnych Karłów, opierając koniec strzały na cięciwie.

- Nie strzelać, jeżeli jest sam - powiedział Kaspian. - Trzeba go schwytać żywego.

- Dlaczego? - zapytał karzeł.

- Rób, jak ci powiedziano - odezwał się centaur Gromojar.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, podczas gdy trzy karły i dwa borsuki popęzły ku drzewom na północno-zachodnim skraju polany. Potem rozległ się ostry krzyk karła:

- Stój! Kto tu jest?

Trzasnęły gałęzie i w chwilę później dał się słyszeć głos, który Kaspian rozpoznał od razu:

- W porządku, w porządku, nie mam broni. Trzymajcie mnie za rękawy, szlachetne borsuki, ale nie przegryźcie ich, jeśli łaska. Chcę mówić z królem.

- Doktor Kornelius! - zawołał Kaspian z radością i pobiegł, aby spotkać się ze swoim starym wychowawcą. Wszyscy otoczyli ich ciasnym kręgiem.

- Tfu! - splunął z obrzydzeniem Nikabrik. - To karzeł-zdrajca! Mieszaniec. Czy mogę mu przejechać nożem po gardle?

- Siedź spokojnie, Nikabriku! - zagrział Zuchon. - To stworzenie nie wybierało sobie przodków.

- To mój największy przyjaciel, który uratował mi życie - powiedział Kaspian. - Jeżeli komuś nie podoba się jego towarzystwo, może opuścić szeregi mojej armii i to zaraz. Kochany Doktorze, jakże się cieszę, że znowu cię widzę. Jak nas odnalazłeś?

- Za pomocą najprostszej magii, wasza królewska mość - odparł Doktor, wciąż jeszcze dysząc i sapiąc po szybkim marszu. - Ale nie ma teraz czasu, by o tym opowiadać. Musimy wszyscy natychmiast opuścić to miejsce. Zostaliście zdradzeni i Miraż już tu wyruszył. Zanim nastanie południe, będziecie otoczeni.

- Zdradzeni! - krzyknął Kaspian. - Przez kogo?

- Na pewno przez jakiegoś innego karła-mieszkańca - warknął Nikabrik.

- Przez twojego Rumaka, najjaśniejszy panie - powiedział Doktor Kornelius. - Oczywiście biedne zwierzę nie wiedziało, co robi. Kiedy spadłeś ze swego konia, powrócił do stajni w zamku i w ten sposób twoja ucieczka przestała być tajemnicą. Nie miałem ochoty na odwiedzin w sali tortur i natychmiast czmychnąłem z zamku. Moja kryształowa kula powiedziała mi, gdzie mam szukać swojego króla. Przez cały dzień, to znaczy przedwczoraj, widziałem jednak tu i tam zwiadowców Miraza. Wczoraj dowiedziałem się, że jego armia już wyruszyła. Niestety, nie wydaje mi się, aby niektórzy z twoich... hm... czystej krwi karłów potrafili zachować się w lesie tak, jak by tego należało oczekiwać. Zostawiliście wszędzie mnóstwo śladów. To wielka nieostrożność! W każdym razie Miraż wie już, że Stara Narnia wcale nie jest tak martwa i głucha, jak mu się wydawało. Idzie tu z całym swym wojskiem.

- Hurra! - wrzasnęło coś przenikliwie w okolicach butów Doktora. - Niech tylko tu przyjdą! Wszystko, czego potrzeba mnie i moim ludziom, to zezwolenie na walkę w pierwszych szeregach.

- Cóż to takiego, do licha? - zdziwił się Doktor Kornelius. - Czy wasza miłość ma w swojej armii koniki polne albo komary? - Nachylił się, popatrzył uważnie przez swe okulary i wybuchnął śmiechem.

- Na Wielkiego Lwa! To przecież mysz. Panie Myszu, bardzo bym pragnął poznać pana bliżej. Wielki to dla mnie zaszczyt spotkać tak dzielne zwierzę.

- Możesz liczyć na moją przyjaźń, uczony człowieku - zapiszczał Ryczypisk. - A każdy karzeł albo olbrzym, który obrazi cię niegrzecznym słowem, zapozna się z końcem mojej szpady.

- Czy to odpowiedni czas na takie błazenady? - zapytał Nikabrik. - Jakie są nasze plany? Bitwa czy ucieczka?

- Jeżeli zajdzie potrzeba, będzie i bitwa - powiedział Zuchon - ale na razie nie

jesteśmy do niej wcale przygotowani. I nie jest to najlepsze miejsce do obrony.

- Nie bardzo mi się podoba pomysł ucieczki - zauważył Kaspian.

- Słuchajcie króla! Słuchajcie króla! - zaryczały Brzuchate Niedźwiedzie. - Cokolwiek zrobimy, niech to nie będzie UCIECZKA. A zwłaszcza nie przed kolacją i nie zaraz po niej.

- Ci, którzy uciekają pierwsi, nie zawsze uciekają ostatni - zauważył centaur. - Dlaczego mamy pozwolić, by wróg decydował o naszych pozycjach, zamiast wybrać je sami? Musimy znaleźć jakieś bardziej umocnione miejsce.

- To mądre słowa, wasza królewska mość, mądre słowa - powiedział Truflogon.

- Ale dokąd możemy iść? - zapytało jednocześnie kilka głosów.

- Wasza królewska mość - odezwał się Doktor Kornelius - i wy, wszystkie rodzaje leśnych stworzeń! Myślę, że powinniśmy udać się na wschód, wzdłuż rzeki, aż do Wielkiej Puszczy. Telmarowie źle się czują w tych okolicach. Zawsze bali się morza i tego, co może zza morza nadejść. Właśnie dlatego pozwolili, aby wyrosła tam Wielka Puszcza. Jeśli stare podania mówią prawdę, to tam, u ujścia Rzeki, był niegdyś Ker-Paravel. Cała ta okolica będzie przyjazna nam, a wroga Telmarom. Musimy się przedostać do Kopca Aslana.

- Kopiec Aslana? - rozległy się głosy. - A gdzie to jest?

- Na skraju Wielkiej Puszczy. Jest to wielki kopiec usypany przez starożytnych Narnijczyków na zaczarowanym miejscu, tam, gdzie stał, a być może stoi do dzisiaj, magiczny Kamień. Wewnątrz Kopca jest mnóstwo korytarzy i pieczar, a sam Kamień znajduje się w największej z nich. Jest tam dość miejsca na zgromadzenie zapasów oraz dla tych, którzy najbardziej potrzebują osłony, a są nawykli do życia pod ziemią. Reszta zalegnie w lesie. W razie potrzeby wszyscy, prócz tego dzielnego olbrzyma, mogą szukać schronienia w Kopcu, gdzie nic nam nie grozi, prócz głodu.

- Dobra to rzecz mieć wśród siebie takiego uczonego człowieka - powiedział Truflogon, ale Zuchon mruknął:

- Na sery i selery! Wolałbym, żeby nasi wodzowie przestali się zajmować opowieściami starych ciotek i zajęli się poważnie zaopatrzeniem i uzbrojeniem.

Wszyscy jednak zgodzili się na propozycję Korneliusa i tej samej nocy byli już w drodze. Przed wschodem słońca dotarli do Kopca Aslana.

Było to bez wątplenia miejsce wzbudzające grozę: kolisty, zielony kopiec na szczycie większego wzgórza, od dawna gęsto zarośniętego drzewami. Do wnętrza prowadziło tylko jedno niewielkie wejście. Korytarze tworzyły prawdziwy labirynt, w

którym łatwo było zablądzić, dopóki się go dobrze nie poznało. Ściany i sklepienia korytarzy wyłożono kamiennymi, gładkimi płytami, a na nich majaczyły w słabym świetle jakieś dziwne litery i wiły się ornamenty, wśród których raz po raz powtarzała się postać lwa. Napisy wyglądały na bardzo stare. Kaspian pomyślał, że mogą pochodzić z czasów dawniejszych niż Stara Narnia, o której opowiadała mu niania.

Ale gdy już zakwaterowali się wewnątrz Kopca i naokoło niego, szczęście zaczęło się od nich odwracać. Zwiadowcy króla Miraza wkrótce odkryli ich nową pozycję i niewiele czasu minęło, gdy jego armia dotarła do brzegu Wielkiej Puszczy. Jak to się często zdarza, siły wroga okazały się o wiele większe, niż sądzili na podstawie dotychczasowych doniesień. Otucha powoli topniała w sercu Kaspiana, kiedy ze skraju lasu patrzył na przybywające wciąż nowe i nowe kompanie. A chociaż było prawdą, że ludzie Miraza odczuwali widoczny lęk przed wejściem do lasu, to jeszcze bardziej bali się samego Miraza. Walczyli więc pod jego wodzą i w głębi puszczy, niekiedy dochodząc nawet do samego wzgórza. Kaspian i jego dowódcy nie ograniczali się do obrony i dokonywali wielu wypadów z lasu na otwarte pole. I tak walka ciągnęła się przez całe dni, a czasem i w nocy; w sumie jednak wojska Kaspiana ponosiły większe straty.

W końcu nadeszła najgorsza noc. Po padającym przez cały dzień deszczu zrobiło się bardzo zimno. Tego ranka Kaspian zdecydował się stoczyć największą, decydującą bitwę. On sam, na czele większości karłów, miał uderzyć o świcie na prawe skrzydło armii Miraza, starając się ściągnąć na siebie jak największą liczbę przeciwników. W tym samym czasie olbrzym Świdrogrzmot z centaurami i największymi zwierzętami mieli przełamać linię wroga w innym miejscu i odciąć prawe skrzydło królewskiej armii. Ale nic z tego nie wyszło. Nikt nie ostrzegł Kaspiana (bo też nikt już o tym w owych czasach nie pamiętał), że olbrzymy nie są najmądrzejsze. Pocziwy Świdrogrzmot nie był pod tym względem wyjątkiem, choć nie brakowało mu odwagi i męstwa. Zaatakował linię wroga w zupełnie innym miejscu i o innym czasie, niż to było umówione, co spowodowało, że zarówno jego oddział, jak i grupa dowodzona przez Kaspiana poniosły ciężkie straty i nie wykonały swoich zadań. Najsilniejszy z niedźwiedzi został lekko ranny, jeden z centaurów bardzo ciężko, a w oddziale Kaspiana niewielu było takich, którzy ran nie odnieśli.

Niewesoło wyglądało wojsko, gdy zebrało się wieczorem, by spożyć skąpą kolację pod ociekającymi deszczem drzewami.

Najbardziej ponury był olbrzym Świdrogrzmot, ponieważ już zrozumiał, że to

jego wina. Siedział załamany, roniąc wielkie łzy, które zbierały mu się na czubku nosa, a potem spadały z głośnym pluskiem wprost na biwak oddziału myszy, którym właśnie zaczęło być ciepło i sennie. Myszy skoczyły na równe nogi, wytrzasając wodę z uszu i wyzymając swoje kocyki, po czym cienkimi, lecz stanowczymi głosami zapytały olbrzyma, czy sądzi, że nie dość jeszcze przemokły w ciągu całego dnia.

Wtedy obudzili się inni i zwrócili uwagę myszom, że miały pełnić rolę wywiadowców, a nie orkiestry. Świdrogrzmot poczłapał w inne miejsce, by w samotności rozpaczać nad swym losem, lecz niechcący nadepnął na czyjś ogon i ten ktoś (mówiono później, że to był lis) ugryzł go w nogę. I w ten sposób wszyscy stracili humor do końca, jeżeli go w ogóle przedtem mieli.

W tym samym czasie król Kaspian, Kornelius, borsuk, Nikabrik i Zuchon odbywali wojenną naradę w tajemnej i magicznej komnacie w mym sercu Kopca.

Strop komnaty podparty był starodawnej roboty kolumnami. Pośrodku znajdował się Kamień - kamienny stół, pęknięty w poprzek i pokryty śladami jakichś napisów, które zostały wymyte i zatarte przez stulecia wiatrów, deszczu i śniegu, kiedy to Kamienny Stół wznosił się na szczycie wzgórza i kiedy nie było jeszcze zbudowanego nad nim później Kopca. Nie ośmielili się, oczywiście, użyć Stołu ani nawet przy nim zasiąść; był na to zbyt tajemniczy i zaczarowany. Zasiedli opodal, na przyniesionych z lasu pniakach, przy szorstkim drewnianym stole, na którym stała zwykła gliniana lampka, oświetlająca ich blade twarze i rzucająca długie cienie na ściany.

- Jeżeli wasza królewska wysokość zamierza kiedykolwiek użyć rogu królowej Zuzanny - powiedział Truflogon - to myślę, że przyszedł na to czas. - Kaspian powiedział im kilka dni temu o swym drogocennym skarbie.

- Z całą pewnością jesteśmy w wielkiej potrzebie - odpowiedział Kaspian - ale trudno stwierdzić, czy w największej. Co będzie, jeśli nadejdą jeszcze gorsze chwile po tym, jak już zrobimy z niego użytek?

- Tak rozumując - wtrącił się Nikabrik - wasza królewska mość nigdy nie użyje tego rogu lub zrobi to wtedy, gdy już będzie za późno.

- Zgadzam się z tym - powiedział Doktor Kornelius.

- A co ty o tym myślisz, Zuchonie? - zapytał Kaspian.

- Och, jeśli chodzi o mnie - odparł Czerwony Karzeł spokojnie - to wasza królewska wysokość wie, co myślę o tym rogu, a także o tym kawale pokruszonego kamienia, i o waszym królu Piotrze, i o jego Lwie Aslanie, wszystko to są opowieści

starej cioci. Jest mi zupełnie obojętne, kiedy wasza miłość zadmie w ten róg. Nalegałbym tylko, aby nasza armia o tym się nie dowiedziała. Nie byłoby dobrze wzniecać nadzieję na magiczną pomoc, która, jak myślę, nigdy nie nadejdzie.

- A więc, w imię Aslana, zadmiemy w róg królowej Zuzanny - powiedział uroczyście Kaspian.

- Jest jeszcze jedna rzecz, mój panie - dodał Doktor Kornelius - którą powinno się chyba przedtem zrobić. Nie wiemy, jaką formę przybierze pomoc. Może to być sam Aslan, wezwany przez nas zza morza, choć sądzę, że będzie to raczej Wielki Król Piotr i jego potężni towarzysze wezwani przez nas z dalekiej przeszłości. Ale bez względu na to, jaka to będzie pomoc, nie wiemy, czy nadejdzie dokładnie w to miejsce, w którym się znajdujemy.

- To najmądrzejsza rzecz, jaką powiedziałeś - wtrącił Zuchon.

- Myślę - ciągnął uczony - że oni albo on powrócą do jednego ze starożytnych miejsc w Narnii. To, w którym jesteśmy, jest najbardziej starożytne i z pewnością najbardziej zaczarowane ze wszystkich. Ale są jeszcze dwa inne. Jedno to Latarniane Pustkowie, w górze Rzeki, na zachód od Bobrowej Tamy, gdzie, jak mówią kroniki, Królewskie Dzieci po raz pierwszy pojawiły się w Narnii. Drugie leży u ujścia Rzeki, tam, gdzie stał niegdyś ich zamek Ker-Paravel. A jeśli przybędzie sam Aslan, właśnie to miejsce będzie najodpowiedniejsze, by go spotkać, ponieważ każdy wie, że jest on synem wielkiego Władcy-zza-Morza, a więc będzie musiał przebyć morze. Najlepiej byłoby wysłać kogoś do obu miejsc, do Pustkowie i do ujścia Rzeki, aby powitać ich albo jego, albo to coś.

- Tak jak myślałem - mruknął Zuchon. - Pierwszym skutkiem tych wszystkich głupot jest nie tyle pomoc, co pozbawienie nas przynajmniej dwóch żołnierzy.

- Kogo powinniśmy wysłać, Doktorze Korneliusie? - zapytał Kaspian.

- Wiewiórki są najlepsze, jeśli chodzi o niepostrzeżone przejście przez linię wroga - powiedział Truflogon.

- Wszystkie nasze wiewiórki, a nie mamy ich wiele, wtrącił Nikabrik - są dość waleczne. Jedyńą, której powierzyłbym takie zadanie, jest Trajkowitka.

- A więc niech będzie Trajkowitka - powiedział król Kaspian. - A kto ma być drugim wysłańcem? Wiem, że ty byś poszedł, Truflogonie, ale chyba nie jesteś wystarczająco szybki. Ani ty, Doktorze Korneliusie.

- Ja nie pójdę - oznajmił Nikabrik. - Z tymi wszystkimi zwierzętami, no i z ludźmi, musi być jakiś karzeł, który przypilnuje, by jego krewniaków traktowano jak

należy.

- Na grzmoty i grzechotniki! - krzyknął Zuchon. - Czy tak się mówi do króla? Poślij mnie, panie, ja pójdę.

- Sądziłem, że nie wierzysz w zaczarowany róg, Zuchonie - powiedział Kaspian.

- Ani trochę, wasza królewska mość. Ale co to ma do rzeczy? Mogę równie dobrze zginąć, polując na dzikie gęsi, jak tutaj. Ty jesteś moim królem. Znam różnicę między dawaniem dobrych rad a słuchaniem rozkazów. Udzieliłem ci rady, teraz jest czas na spełnienie rozkazu.

- Nigdy ci tego nie zapomnę, Zuchonie - powiedział Kaspian. - Poślijcie po Trajkowitkę. Kiedy mam zadać w róg?

- Poczekałbym na wschód słońca, wasza królewska wysokość - powiedział Doktor Kornelius. - Ta pora sprzyja Białej Magii.

W kilka minut później przybyła Trajkowitka i wyjaśniono jej, na czym polega zadanie. Jak większość wiewiórek była odważna, szybka, energiczna, pełna zapału i zarozumiała, tak więc gotowa była do drogi, zanim jeszcze usłyszała wszystko do końca. Postanowiono, że uda się do Latarnianego Pustkowiec, a Zuchon pójdzie do ujścia Rzeki. Zjedli coś w pośpiechu i ruszyli w drogę, żegnani serdecznymi podziękowaniami i dobrymi życzeniami króla, borsuka i Korneliusa.

ROZDZIAŁ 8

JAK WYDOSTALI SIĘ Z WYSPY

- I W TEN SPOSÓB - zakończył Zuchon (ponieważ, jak się chyba domyśliliście, to on opowiadał czwórce dzieci całą tę historię, siedząc na trawie w ruinach wielkiej sali Ker-Paravelu) - i w ten sposób wsadziłem do kieszeni jedną czy dwie kromki chleba, zostawiłem swój miecz, zachowawszy jedynie sztylet, i o szarym brzasku zanurzyłem się w puszcę. Przedzierałem się przez gąszcze wiele godzin, gdy nagle rozległ się dźwięk, jakiego nigdy jeszcze w życiu nie słyszałem. Ech, nigdy go nie zapomnę! Ten dźwięk wypełnił cały las, donośny jak grzmot, lecz o wiele bardziej przeciągły, zimny i zarazem słodki, jak muzyka płynąca z nad rzeki, a jednocześnie tak potężny, że drzewa od niego drżały. I powiedziałem sobie: jeżeli to nie jest ten zaczarowany róg, to możecie mnie nazwać królikiem. A w chwilę później zacząłem rozmyślać, dlaczego król zagrał na nim tak późno.

- O której to było? - zapytał Edmund.

- Między dziewiątą a dziesiątą - odpowiedział Zuchon.

- Właśnie wtedy, gdy siedzieliśmy na stacji! - wykrzyknęły dzieci i popatrzyły po sobie, a oczy im płonęły.

- Opowiadaj dalej - poprosiła Łucja.

- A więc, jako się rzekło, dziwiłem się, dlaczego róg zabrzmiał tak późno, ale pędziłem naprzód, ile tylko sił w nogach. Wędrowałem całą noc, aż w końcu, tuż przed świtem, zrobiłem coś, co mógłby równie dobrze zrobić jakiś olbrzym. Zaryzykowałem skrócenie drogi przez niezalesiony teren między zakolem rzeki i zostałem schwytany. I to wcale nie przez regularne wojsko, ale przez ludzi jakiegoś napuszonego starego głupca, siedzącego w małej twierdzy, ostatniej od strony wybrzeża warowni Miraza. Nie potrzebuję wam mówić, że nie wyciągnęli ze mnie ani słóweczka, ale w końcu jestem karłem i to im wystarczyło. Ale - na raki i robaki! - całe szczęście, że ów kasztelan był takim nadętym głupcem! Każdy inny kazałby po prostu od razu poderznąć mi gardło. A ten nie mógł sobie odmówić paradnej egzekucji, no i z całym ceremoniałem wysłał mnie tu, „do duchów”. A potem ta młoda pani - tu skłonił się w stronę Zuzanny - pokazała nam trochę sztuki łuczniczej, to był niezły strzał, muszę przyznać, i oto jestem. Bez broni, bo oczywiście mi ją odebrali. - Wystukał popiół z fajki i napełnił ją ponownie.

- O holender! - zawołał Piotr. - A więc to róg, twój róg, Zuziu, ściągnął nas z tej ławki na peronie wczoraj rano! Aż trudno w to uwierzyć, ale wszystko do siebie

pasuje.

- Nie rozumiem, dlaczego nie miałbyś w to uwierzyć - powiedziała Łucja - jeśli w ogóle wierzysz w czary. Czy nie słyszałeś mnóstwa historii o czarach przenoszących ludzi z jednego miejsca... z jednego świata... w inne? Na przykład w *Bajkach z tysiąca i jednej nocy*, kiedy mag wezwał džina i ten natychmiast się pojawił. Tak samo i my musieliśmy wrócić.

- Tak - powiedział Piotr. - Tylko wydaje się to dziwne, bo w tych opowieściach wzywającym jest zawsze ktoś z naszego świata. Nie zastanawiamy się nigdy, SKĄD džin przychodzi.

- A teraz wiemy już, jak czuje się taki džin - powiedział Edmund chichocząc. - Ojej! To niesamowite, wiedzieć, że to MY możemy być w ten sposób WYTRĄBIENI w każdej chwili. To chyba jeszcze gorsze od tego, o czym myśli tata, gdy mówi, że jest ofiarą telefonu.

- No, ale my przecież chcemy tutaj być, no nie?

- powiedziała Łucja. - Przecież Aslan nas potrzebuje.

- Tak czy owak - wtrącił się do rozmowy karzeł

- trzeba zdecydować, co dalej. Chyba nie pozostaje mi nic innego, jak wrócić do króla Kaspiana i powiedzieć mu, że niestety, żadna pomoc nie nadeszła.

- Nie nadeszła? - powtórzyła Zuzanna. - Przecież róg nas ściągnął!

- Hm... Tak, z pewnością. To widać - powiedział karzeł, sprawiając wrażenie, jakby był bardzo zajęty swoją fajką. - Ale... hm... chodzi mi o to, że...

- Czy jeszcze nie rozumiesz, kim jesteśmy? -zawołała Łucja. - Jesteś naprawdę głupi.

- Przypuszczam, że jesteście tą czwórką dzieci ze starych opowieści - powiedział Zuchon - i bardzo się cieszę, że was spotkałem. I wszystko to jest bardzo niezwykle. Ale... bez obrazy... - i znowu urwał.

- Weź się w garść i powiedz wreszcie to, co chcesz powiedzieć - odezwał się Edmund.

- A więc... bez obrazy - powiedział Zuchon - ale, rozumiecie, król, Truflogon i Doktor Kornelius oczekują, jak by to powiedzieć, pomocy. Inaczej mówiąc, myślę, że wyobrażali sobie was jako wielkich rycerzy. A okazuje się... oczywiście my strasznie lubimy dzieci... ale właśnie teraz, w środku wojny... no, jestem pewien, że sami rozumiecie...

- Chcesz powiedzieć, że my nie bardzo się nadajemy - powiedział Edmund

czerwony na twarzy jak borsuk.

- Błagam was, nie czujcie się urażeni - przerwał mu karzeł. - Zapewniam was, moi mali przyjaciele...

- „Mali” w twoich ustach to już naprawdę za wiele! - zawołał Edmund, zrywając się na nogi. - Pewno nie wierzysz, że to właśnie my zwyciężyliśmy w bitwie pod Beruną? No cóż, możesz sobie mówić, co chcesz, ale i tak...

- Nie ma co nawzajem się denerwować - uciął Piotr. - Dajmy mu nowy rynsztunek ze skarbca, uzbroimy się sami i wtedy porozmawiamy.

- Nie bardzo rozumiem, co chcesz przez to osiągnąć - powiedział Edmund, ale Łucja szepnęła mu do ucha:

- Lepiej zrobmy tak, jak chce Piotr. Przecież jest Wielkim Królem. Jestem pewna, że ma jakiś pomysł.

Edmund zgodził się i korzystając z jego latarki wszyscy, łącznie z Zuchonem, zeszli ponownie po schodach na dół, w ciemny chłód i zakurzony przepych zanikowego skarbca.

Karłowi oczy się zaświeciły, gdy zobaczył całe to bogactwo leżące na półkach (choć musiał się wspinać na palce, aby je zobaczyć).

- Nigdy bym nie pozwolił, żeby Nikabrik to zobaczył, nigdy - wymamrotał pod nosem.

Znaleźli dla niego żelazną kolczugę, miecz, hełm, tarczę, łuk i kołczan ze strzałami - wszystko dopasowane do jego wzrostu. Hełm był z brązu, wysadzany rubinami, a miecz miał złotą rękojeść. Zuchon nigdy jeszcze nie widział - a tym bardziej nie miał na sobie - takich bogactw. Dzieci również nałożyły kolczugi i hełmy, znaleziono miecz i tarczę dla Edmunda oraz łuk dla Łucji. Piotr i Zuzanna byli już uzbrojeni w swoje bożonarodzeniowe podarunki. Kiedy wracali po schodach na górę, dzwoniąc rynsztunkiem i czując się teraz bardziej prawdziwymi Narnijczykami niż dziećmi, chłopcy zostali nieco w tyle, najwidoczniej omawiając między sobą jakiś plan. Łucja usłyszała słowa Edmunda:

- Zostaw to mnie. Tym większa będzie jego porażka, jeśli zwyciężę, i tym mniejsza hańba dla nas wszystkich, jeśli przegram.

- W porządku, Edziu - zgodził się Piotr. Kiedy wyszli na światło dzienne, Edmund skłonił

się grzecznie przed karłem i powiedział:

- Mam do ciebie prośbę. Takie dzieciaki jak my nieczęsto mają sposobność

spotkania tak wielkiego rycerza jak ty. Czy moglibyśmy się zmierzyć? Byłoby to bardzo uprzejme z twojej strony.

- Ależ, chłopcze - odparł Zuchon - te miecze są ostre.

- Wiem - powiedział Edmund - ale będę się starał nie podchodzić blisko do ciebie, a ty z pewnością łatwo rozbroisz mnie bez wyrządzania mi krzywdy.

- To niebezpieczna zabawa - powiedział Zuchon - ale skoro tak ci na tym zależy, chętnie sobie przypomnę parę sztuchów.

Dobyli mieczy, a trójka pozostałych dzieci zeskoczyła z podium i stanęła, przyglądając się pojedynekowi. A było na co popatrzeć. Nie przypominało to w niczym walenia pałaszem o pałasz na teatralnej scenie ani nawet walki na szpady między dwoma dobrymi zawodnikami. Była to prawdziwa walka na miecze. Najbardziej skuteczne jest tu cięcie przeciwnika w nogi, jedyną część ciała, która nie jest osłonięta tarczą lub zbroją. Najlepszą obroną przed takim cięciem jest błyskawiczny podskok do góry, tak aby ostrze przeszło pod ugiętymi w kolanach nogami. Dawało to przewagę karłowi, ponieważ Edmund, o wiele od niego wyższy, musiał się wciąż zginać i przysiądać. Nie sądzę, by Edmund miał jakieś szansę, gdyby mu przyszło walczyć z Zuchonem dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Ale od czasu, gdy znaleźli się na wyspie, atmosfera Narnii zrobiła swoje i przypomniały mu się stare pojedynki i walki, a ramiona i palce odnalazły dawny styl. Znowu był królem Edmundem. Krążyli wokół siebie, zmieniali pozycję, miecz z trzaskiem zatrzymywał miecz. W pewnej chwili Zuzanna (która nigdy nie potrafiła polubić rycerskich zabaw) krzyknęła: „Och! Uwważ!” I w chwilę później tak szybko, że nikt (prócz Piotra, który znał tę sztuczkę) nie zauważył, jak to się właściwie stało, Edmund zakręcił klingą w szczególny sposób, miecz karła wyleciał w powietrze i oto Zuchon stał, rozcierając pustą dłoń, jak to się czasem robi po zbyt mocnym uderzeniu przy grze w palanta.

- Chyba cię nie zraniłem, mój mały przyjacielu? - zapytał Edmund lekko zdyszany i włożył swój miecz do pochwy.

- Teraz rozumiem - powiedział z przekąsem Zuchon. - Znasz jakiś chytry sztuch, którego się nie uczyłem.

- Święta prawda - wtrącił Piotr. - Nawet najlepszy na świecie rycerz może zostać rozbrojony za pomocą sztuchu, którego nie zna. Myślę, że powinniśmy dać Zuchonowi szansę na jakimś innym polu. A może odpowiadają ci małe zawody w strzelaniu z łuku? Moja siostra chętnie się z tobą zmierzy. Jak wiesz, przy strzelaniu z łuku nie ma miejsca na żadne chytne sztuczki.

- Ach, niezłe z was dowcipnisie - odpowiedział karzeł. - Zaczynam rozumieć. Tak jakbym nie wiedział, że ona potrafi strzelać, po *tym*, co się wydarzyło dzisiaj rano! Ale chętnie spróbuję. - Starał się zachować spokój, choć oczy mu płonęły, ponieważ cieszył się sławą jednego z najlepszych łuczników wśród Czerwonych Karłów.

Przeszli na dziedziniec.

- Do czego będziecie strzelali? - zapytał Piotr.

- Myślę, że jedno z tych jabłek wiszących nad murami będzie znakomitym celem - powiedziała Zuzanna.

- Doskonale, panienko - wycedził Zuchon. - Masz na myśli to żółte, niedaleko środka łuku bramy?

- Nie, nie to - odparła Zuzanna. - To czerwone, nieco wyżej.

Karłowi mina nieco zrzędła. „Bardziej przypomina czeresnię niż jabłko” , mruknął do siebie pod nosem, ale głośno nie powiedział nic.

Zagrali w orła i reszkę, kto ma strzelać pierwszy (przede wszystkim aby zaspokoić ciekawość Zuchona, który po raz pierwszy widział losowanie za pomocą monety) i Zuzanna przegrała. Umówili się, że będą strzelać ze szczytu schodów wiodących z wielkiej sali na dziedziniec. Ze sposobu, w jaki karzeł stanął i uchwycił łuk, nietrudno było się domyślić, że dobrze wie, co robi.

Cięciwa brzęknęła krótko. Był to świetny strzał. Małe jabłuszko zadrżało, gdy strzała musnęła je w locie, a na ziemię upadł listek, który wyrastał z jego ogonka. Teraz Zuzanna stanęła na szczycie schodów i napięła swój łuk. Nie cieszyła się z tych zawodów tak jak Edmund ze swojego pojedynku; nie dlatego, by nie była zupełnie pewna, że trafi w jabłko, ale dlatego, że miała bardzo miękkie serce i nie lubiła wygrywać z kimś, kto już raz przegrał. W chwilę później, prawie równocześnie z lekkim, matowym stęknieniem cięciwy, jabłko spadło na ziemię, przeszyte strzałą dokładnie w samym środku - Dobra robota, Zuziu! - rozległy się krzyki pozostałych dzieci.

- Twój strzał był równie dobry - powiedziała Zuzanna do Zuchona. - Wydaje mi się, że kiedy strzelałeś, akurat powiał boczny wiatr.

- Nie, nie było żadnego wiatru - powiedział Zuchon. - Nie musisz mi mówić takich rzeczy. Wiem, kiedy przegrywam w uczciwym pojedynku. Nie wspomnę nawet, że ostatnia rana trochę mi doskwiera, kiedy wyciągnę łokieć mocno do tyłu...

- Och, jesteś ranny? - zapytała Łucja. - Pozwól, że zobaczę.

- To nie jest widok dla małych dziewczynek - zaczął Zuchon, lecz nagle urwał i

potrząsnął głową. - Znowu mówię jak głupiec. Założę się, że jesteś tak dobrym chirurgiem, jak twój brat we władaniu mieczem, a twoja siostra w strzelaniu z łuku.

Usiadł na schodach, odpiął kolczugę i zsunął koszulę, obnażając swoje małe, lecz owłosione i muskularne jak u żeglarza ramię. Pod spodem widniał brudny bandaż, który Łucja rozwinęła ostrożnie, odsłaniając paskudną ranę i sporych rozmiarów opuchnięcie nad łopatką.

- Och, biedny mały Zuchonie - rozczuliła się Łucja. - Jakie to okropne! - Potem ostrożnie kapnęła na ranę kropelkę cudownego leku ze swojej buteleczki.

- Hej! Co mi zrobiłaś? - zawołał Zuchon. Wykręcał głowę, zezował i wicherzył sobie brodę we wszystkie strony, ale nie mógł zobaczyć swojego ramienia. Sięgnął więc drugą ręką, wyginając ją dziwacznie, jak to się robi, gdy się chce podrapać po plecach. Zgiął ją, wyprostował, pomacał mięśnie i w końcu skoczył na równe nogi, krzycząc:

- Dobrze, jak nowe! - A potem wybuchnął wielkim śmiechem i w końcu powiedział: - No tak, chyba jeszcze nigdy żaden karzeł nie pozwolił zrobić z siebie takiego głupca. Nie obraziliście się chyba na mnie? Pokorny sługa waszych królewskich wysokości, pokorny sługa. I stokrotne dzięki za uratowanie mi życia, za wyleczenie ręki, za śniadanie... no i za parę lekcji.

Dzieci zapewniły go, że wszystko jest w porządku i że nie ma o czym mówić.

- A teraz - powiedział Piotr - jeśli już naprawdę zdecydowałeś się w nas uwierzyć...

- Wierzę - przerwał mu karzeł.

- W takim razie wiemy, co trzeba zrobić. Musimy jak najszybciej dołączyć do króla Kaspiana.

- Im wcześniej, tym lepiej - zgodził się Zuchon. - I tak już zmarnowaliśmy całą godzinę przez moją głupotę.

- Droga, którą ty szedłeś, zajmie nam około dwu dni marszu - powiedział Piotr.

- Mam tu na myśli nas czworo: nie jesteśmy w stanie maszerować bez przerwy cały dzień i całą noc, jak wy, karły.

Odwrócił się do reszty rodzeństwa.

- To, co Zuchon nazywa Kopcem Aslana, to oczywiście Kamienny Stół. Pamiętajcie, stamtąd do Brodu Beruny...

- Most Beruny, tak to teraz nazywamy - wtrącił Zuchon.

- Za naszych czasów jeszcze nie było mostu. A więc od Kamiennego Stołu do

Brodu Beruny było jakieś pół dnia drogi albo trochę mniej, a z Beruny do Ker-Paravelu dzień i trochę. Idąc spacerkiem, wracaliśmy zawsze na podwieczorek następnego dnia. Szybkim marszem można przejść całą trasę w jakieś półtora dnia.

- Pamiętaj, że teraz wszędzie są gęste lasy - zauważył Zuchon - i trzeba się będzie strzec, aby nie wpaść w ręce wroga.

- Czy musimy koniecznie iść tą samą drogą, jaką trafił tu nasz Kochany Mały Przyjaciel? - zapytał Edmund z przekąsem.

- Nie wspominajmy już tego więcej, wasza królewska mość, błagam - jęknął karzeł.

- Świetnie - powiedział Edmund. - Czy KMP będzie brzmiało lepiej?

- Och, Edmundzie - odezwała się Zuzanna - czy nie mógłbyś się od niego odczepić?

- Nic nie szkodzi, panienko... to znaczy wasza królewska wysokość - powiedział Zuchon chichocząc. - Kpina nie zostawia bąbli.

I odtąd często nazywali go KMP, aż prawie zapomnieli, co ten skrót oznacza.

- A więc, jak powiedziałem - ciągnął dalej Edmund - nie musimy wcale iść tą drogą. Dlaczego nie moglibyśmy popłynąć morzem na południe, aż do Zatoki Szklanej Wody, a potem w głąb niej? Znajdziemy się wówczas dość blisko wzgórza Kamiennego Stołu, a na morzu będziemy bezpieczni. Jeżeli wyruszymy natychmiast, możemy dopłynąć do brzegu, zanim się ściemni, przespać się parę godzin i dołączyć do Kaspiana wczesnym rankiem.

- Dobrze jest znać wybrzeże - zauważył Zuchon. - Nikt z nas nawet nie słyszał o Szklanej Wodzie.

- A co z jedzeniem? - zapytała Zuzanna.

- Będziemy się musieli zadowolić jabłkami - odpowiedziała Łucja. - Ruszajmy w drogę. Jesteśmy tu już dwa dni, a jeszcze niczego nie zrobiliśmy.

- W każdym razie, niech nikt już nie myśli o użyciu mojej czapki jako koszyka na ryby - oświadczył Edmund.

Z jednej peleryny zrobili coś w rodzaju worka i zebrali tyle jabłek, ile się tylko zmieściło. Potem każdy napił się do syta wody ze studni (wiedzieli, że nie będą mieli słodkiej wody aż do wylądowania w zatoce) i zeszli na brzeg, do łodzi. Dzieciom zrobiło się trochę żal na myśl o tym, że opuszczają Ker-Paravel, w którym - choć był w ruinach - zaczęły się już czuć jak w domu.

- Niech KMP siądzie przy sterze - powiedział Piotr - a my z Edmundem

weźmiemy się za wiosła. Aha, jeszcze jedno. Zdejmijmy lepiej kolczugi, będzie nam ciepło. Dziewczęta niech zajmą miejsce na dziobie i wskazują KMP kierunek, bo nie zna drogi. Zanim opłyniemy wyspę, lepiej będzie trzymać się z dala od brzegu.

Wkrótce zielone, lesiste brzegi wyspy zaczęły się od nich oddalać, a jej zatoczki i skaliste przylądki stawały się coraz mniejsze i mniejsze, aż łódź wypłynęła na pełne morze, wznosząc się i opadając na łagodnej fali. Morze wokoło zrobiło się jeszcze bardziej niebieskie, a tuż przy łodzi zielone i pienne. Pachniało solą, a w ciszy słychać było tylko delikatny szum fal, miarowy chłupot wody o burty, pluskanie wioseł i skrzypienie dulek. Słońce przygrzewało coraz mocniej.

Cudownie było siedzieć na dziobie, przechylając się przez burtę i próbując dotknąć palcami spienionej fali. A głęboko pod wodą jaśniało czyste, białe dno, poznaczone od czasu do czasu purpurowymi smugami wodorostów.

- Jak za dawnych dobrych czasów - powiedziała cicho Łucja do siostry. - Pamiętasz naszą podróż do Terebintu i do Galmy, i do Siedmiu Wysp, i do Samotnych Wysp?

- Tak - odpowiedziała Zuzanna. - I nasz wielki okręt „Blask szmaragdu” z głową łabędzia na dziobie i z wyrzeźbionymi skrzydłami, odchylonymi do tyłu wzdłuż obu burt?

- I jedwabne żagle, i wielkie latarnie na rufie...

- I uczyły na pokładzie rufowym, i muzykę...

- A pamiętasz, jak fleciści wdrapali się wysoko na maszty i przygrywali z wysoka, jakby to była muzyka z nieba?

Potem Zuzanna zmieniła Edmunda przy wiosle, a on przeszedł na dziób do Łucji. Minęli już wyspę i płynęli teraz bliżej brzegu, opuszczonego i zarośniętego gęstym lasem. Może i wydałby się im piękny, gdyby nie pamiętali czasów, w których całe to wybrzeże było zamieszkane przez ich wesołych przyjaciół, a morza nie dzieliła od reszty kraju nieprzebyta, mroczna puszcza.

- Uch, to wiosłowanie daje porządnie w kość - wysapał Piotr.

- Może cię zmienić? - zapytała Łucja.

- Wiosła są dla ciebie za duże - uciał sprawę Piotr, nie dlatego, by był na nią zły, lecz dlatego, że nie chciał marnować sił na dalszą rozmowę.

ROZDZIAŁ 9

CO ZOBACZYŁA ŁUCJA

ZUZANNA I CHŁOPCY byli już porządnie zmęczeni wiosłowaniem, gdy okrążyli ostatni cypel i wpłynęli wreszcie do Zatoki Szklanej Wody. Łucję rozboleła głowa od słońca i długiego wpatrywania się w migoczącą wodę. Nawet Zuchon miał już dość morskiej podróży. Ławeczka przy sterze nie była przystosowana do wzrostu karłów, tylko ludzi, co sprawiało, że jego stopy wisiały przez cały czas w powietrzu; każdy wie, jakie to niewygodne, nawet przez dziesięć minut. Im mocniej odczuwali zmęczenie, tym bardziej tracili otuchę. Dotąd dzieci myślały tylko o tym, jak dotrzeć do Kaspiana. Teraz zaczynały się zastanawiać, co zrobią, gdy go wreszcie odnajdą. W jaki sposób garstka karłów i leśnych stworzeń może zwyciężyć armię dorosłych ludzi? Zapadał już zmierzch, gdy powoli płynęli w głąb krętej Zatoki Szklanej Wody. Zatoka stawała się coraz węższa i robiło się coraz ciemniej, aż w końcu zwieszające się z obu brzegów gałęzie prawie połączyły się nad ich głowami. Szum morza oddalał się; aż nadszedł czas, gdy ucichł zupełnie. Teraz słyszeli tylko pluskanie strumyków biegnących przez las i wpływających do zatoki.

Kiedy wreszcie dopłynęli do brzegu, byli zbyt zmęczeni, aby rozpaścić ognisko, i nawet perspektywa kolacji złożonej z samych jabłek (choć nikt nie mógł już na nie patrzeć) wydawała się im lepsza od myśli o złowieniu lub ustrzeleniu czegoś do jedzenia. Schrupali w milczeniu po jabłku i rzucili się na posłanie z mchu i zeschniętych liści pod czterema wielkimi drzewami. Wkrótce spali już wszyscy - oprócz Łucji.

Łucja była najmniej zmęczona i dlatego bardziej od innych odczuwała wszystkie niewygody tego leśnego noclegu. Przekonała się też bardzo szybko, że w tym, co się mówi o chrapaniu karłów, nie ma żadnej przesady: chrapią naprawdę wyjątkowo głośno. Wiedziała, że jeśli ktoś nie może zasnąć, powinien przestać o tym myśleć, leżała więc cicho z otwartymi oczami. Przez szczelinę między gałęziami drzew i liśćmi paproci widziała wodę zatoki i kawałek nieba. Nagle, z przejmującym dreszczem wzruszenia, przypomniała sobie wygląd i nazwy narnijskich gwiazdozbiorów. Kiedyś, przed laty, znała je lepiej niż gwiazdy ziemskiego nieba, ponieważ jako królowa Narnii nie musiała kłaść się do łóżka tak wcześnie jak dzieci w Anglii. I oto widziała je znowu, a w każdym razie trzy letnie konstelacje: Okręt, Młot i Leoparda. „Kochany, stary Leopard”, zamruczała do siebie w ciemności, szczęśliwa z powrotu wspomnień.

Leżała tak już dość długo, sen wciąż nie przychodził - przeciwnie, przenikało ją

poczucie dziwnego rozbudzenia i rozmarzenia, jakie zdarza się tylko w nocy. Z miejsca, w którym leżeli, nie widziała księżycy, ale jaśniejące coraz bardziej wody zatoki świadczyły o tym, że była pełnia. I kiedy tak leżała w ciemności wśród paproci, poczuła nagle, że cały las rozbudza się, podobnie jak ona. Nie bardzo wiedząc, czemu to robi, wstała i odeszła nieco od nocnego obozowiska.

- Och, jak cudownie! - powiedziała cicho do siebie. Powietrze było chłodne i orzeźwiające, pełne dolatujących zewsząd delikatnych zapachów. Gdzieś w pobliżu zaczął wyśpiewywać swoje trele słowik, potem przerwał i znowu zaczął, jakby próbował znaleźć właściwy ton. Przed nią, za drzewami, było nieco jaśniej. Poszła w tamtym kierunku i wkrótce znalazła się w miejscu, w którym drzewa rosły o wiele rzadziej. Było tu dość jasno, ale jaskrawe plamy księżycowego światła mieszały się z cieniami tak, że trudno było cokolwiek rozpoznać. W tej samej chwili słowik uznał, że znalazł wreszcie odpowiedni ton, i zaczął śpiewać swoją nocną serenadę.

Oczy Łucji przyzwyczyły się powoli do księżycowej poświaty i mogła teraz dostrzec wyraźniej najbliższe drzewa. Znowu zatęskniła za dawnymi narnijskimi czasami, gdy drzewa potrafiły mówić. Pamiętała bardzo dobrze, jak przemawia każdy rodzaj drzew i jaką ludzką postać przybiera. Gdyby tylko mogła je przebudzić! Spojrzała na srebrną brzozę: przebudzona, mówiłaby miękkim, szemrzącym głosem, a wyglądałaby jak wysmukłe, rwące się do tańca dziewczę o włosach opadających na twarz. Popatrzyła na dąb: przebudzony, przybrałby postać pomarszczonego, ale krzepkiego jeszcze starca z kędzierzawą brodą i owłosionymi naroślami na twarzy i rękach. Spojrzała na drzewo buku, pod którym stała. Ach, ono byłoby najwspanialsze! Byłoby pełną wdzięku i godności gładkolicą boginką, panią lasu.

- Och, drzewa, drzewa, drzewa! - powiedziała głośno Łucja (choć wcale nie zamierzała mówić).

- Och, drzewa, obudźcie się, obudźcie się! Nie pamiętacie tego? Nie pamiętacie MNIE? Driady i hamadriady, wyjdźcie, przyjdźcie do mnie!

Nie było najłżejszego wiatru, a jednak wszystkie drzewa wokół niej nagle poruszyły się, a szelest liści zabrzmiał jak słowa. Słowik urwał swoją pieśń, jak gdyby się wsłuchał w ich szum. Łucja poczuła, że jeszcze chwila i zacznie rozumieć, co drzewa chcą jej powiedzieć. Ale ta chwila nie nadeszła. Szelest liści ucichł, słowik znowu zaczął śpiewać. Drzewa nawet w świetle księżycy znowu wyglądały bardzo zwyczajnie. A jednak Łucja miała takie uczucie, jakie się miewa czasami, kiedy się próbuje przywołać w pamięci jakieś imię lub datę i już, już ma się je wypowiedzieć,

gdy nagle to poszukiwane słowo znika. Było tak, jakby przemówiła do drzew o jedną sekundę za wcześnie lub za późno, albo jakby wypowiedziała o jedno słowo za mało, albo jakby w tym, co powiedziała, jakieś jedno słowo nie było właściwe.

Nagle poczuła zmęczenie. Wróciła do obozowiska, wśliznęła się między Zuzannę i Piotra i w kilka minut później już spała.

Przebudzenie nie należało do najprzyjemniejszych momentów w ich życiu. Było zimno i ponuro, a w głuchej ciszy szary świt sączył się między drzewami; słońce jeszcze nie wzeszło.

- Hej, hej, jabłuszka! - zawołał Zuchon, szczerząc zęby w nieco ponurym uśmiechu. - Muszę przyznać, że wy, starożytni monarchowie, potraficie zadbać o to, aby wasi dworzanie się nie przejadali.

Wstali, wstrząsając się z zimna i rozglądając dookoła. Grube drzewa rosły tak gęsto, że trudno było cokolwiek zobaczyć dalej niż na kilka metrów.

- Mam nadzieję, że wasze wysokości dobrze znają drogę? - zapytał karzeł.

- Ja nie znam - powiedziała Zuzanna. - Nigdy w życiu nie byłam w tym lesie. Jeżeli już o to chodzi, to od początku wydawało mi się, że powinniśmy popłynąć w górę Rzeki.

- Mogłaś przynajmniej powiedzieć nam o tym we właściwym czasie - zauważył Piotr uszczypliwie.

- Och, nie zwracaj na nią uwagi - wtrącił Edmund. - Zawsze lubi wylewać na nas kubek zimnej wody. Masz swój kieszonkowy kompas? No, to jesteśmy w domu. Musimy tylko trzymać kurs na północny zachód, aż dojdziemy do tej małej rzeczki, jak jej tam, Bystrej czy...

- Wiem - przerwał mu Piotr. - Do tej, co wpada do Wielkiej Rzeki przy Brodach Bemny albo Moście Beruny, jak to się teraz, według KMP, nazywa.

- No właśnie. Trzeba przejść przez rzeczkę, wspiąć się pod górę i już będziemy przy Kamiennym Stole, to znaczy przy Kopcu Aslana. O ósmej lub dziewiątej powinniśmy być na miejscu. Mam nadzieję, że król Kaspian poczęstuje nas dobrym śniadaniem!

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedziała Zuzanna. - Jeśli o mnie chodzi, to mam kompletną pustkę w głowie.

- To jest właśnie najgorsze z dziewczynami - powiedział Edmund do Piotra i karła. - Nigdy nie mają mapy w głowie.

- To dlatego, że my już coś w głowach mamy - odezwała się Łucja.

Z początku wszystko wydawało się bardzo proste. Sądzieli nawet, że trafili na jakąś starą ścieżkę, ale jeśli macie jakie takie pojęcie o lesie, to dobrze wiecie, że zawsze się znajduje jakaś nie istniejąca w rzeczywistości ścieżka. Niestety, ścieżka taka zwykle znika po pięciu minutach. Potem zdaje się wam, że znaleźliście inną (i macie nadzieję, że to dalszy ciąg tej pierwszej), a potem ona znowu znika i kiedy już dawno zgubiliście właściwy kierunek, przychodzi wam do głowy, że tak naprawdę żadnej ścieżki nie było. Chłopcy i karzeł byli jednak przyzwyczajeni do leśnych wędrówek i nie dawali się nabierać na takie leśne kawały dłużej niż przez kilka minut.

Brnęli tak przez las około pół godziny, gdy nagle Zuchon szepnął: „Stać!” i wszyscy się zatrzymali.

- Coś za nami idzie - wyjaśnił karzeł stłumionym głosem. - Albo raczej coś trzyma się blisko nas, raz po jednej stronie, raz po drugiej.

Zamarli bez ruchu, nasłuchując i wytrzeszczając oczy.

- Lepiej nałóżmy strzały na cięciwy - szepnęła Zuzanna do Zuchona.

Karzeł kiwnął głową i kiedy oboje przygotowali swoje łuki do strzału, wszyscy ruszyli w dalszą drogę. Przeszli jakieś kilkadziesiąt metrów przez dość rzadki las, rozglądając się wciąż bacznie wokoło, aż dotarli do miejsca, w którym posycie zgęstniało. Przechodzili właśnie tuż obok gęstej kępy zarośli, gdy nagle rozległ się głośny trzask łamanych gałęzi i coś wyskoczyło z nich jak piorun, warcząc i błyskając bielą kłów. Łucję zważyło z nóg, a kiedy już leżała na ziemi, usłyszała krótkie brzęknięcie cięciwy. Gdy znowu przysła do siebie, zobaczyła wielkiego, groźnie wyglądającego niedźwiedzia, leżącego bez życia na mchu, ze strzałą Zuchona wbity głęboko w bok.

- Tym razem KMP był od ciebie lepszy, Zuziu - powiedział Piotr, zmuszając się do czegoś w rodzaju uśmiechu. Nawet on był wstrząśnięty tą przygodą.

- Ja... ja... ja napięłam łuk za późno - wyjąkała Zuzanna, wyraźnie zawstydzona.

- Tak się bałam, że to może być jeden z naszych niedźwiedzi, no wiecie, jeden z tych mówiących niedźwiedzi.

Wszyscy wiedzieli, że nie lubiła zabijać żadnych stworzeń.

- To zawsze sprawia kłopot - powiedział Zuchon - od kiedy większość zwierząt stała się naszymi wrogami i przestała mówić, a tylko niektóre się nie zmieniły. Nigdy się tego nie wie, a nie zawsze jest czas, aby się dowiedzieć.

- Biedny stary miś - powiedziała Zuzanna. - Nie sądzisz, że właśnie on mógł być jednym z tych, które mówią?

- Nie on - zapewnił ją karzeł. - Już ja widziałem ten pysk i słyszałem ten ryk. Ten chciał tylko schrupać na śniadanie małą dziewczynkę. A jeśli już mowa o śniadaniu, to nie chciałbym bynajmniej osłabiać nadziei waszych wysokości na to, czym nas poczęstuje król Kaspian, ale świeże mięso przyda się w każdym obozie. A na tym niedźwiedziu jest sporo dobrego jedzenia. Wstyd by było zostawić je i nie wziąć chociaż części ze sobą. Nie zajmie nam to więcej niż pół godziny. Ośmielam się mieć nadzieję, że wy, młodzieńcy, to znaczy królowie, ma się rozumieć, wiecie, jak się oprowadza niedźwiedzia?

- Chodźmy stąd i usiądźmy gdzieś z dala od tych okropności - powiedziała Zuzanna do Łucji. Łucja wstrząsnęła się z odrazą i skwapliwie kiwnęła głową. Kiedy usiadły opodal, powiedziała:

- Wiesz, Zuziu, okropna myśl przyszła mi do głowy.

- Co takiego?

- Czy to nie byłoby straszne, gdyby pewnego dnia w naszym świecie, na Ziemi, ludzie zdziczyli w środku jak te zwierzęta tu, w Narnii, a z zewnątrz wyglądałoby nadal jak zwykli ludzie, tak że nigdy by się nie wiedziało, z kim się ma do czynienia?

- Mamy dosyć spraw na głowie tu i teraz, w Narnii, żeby się martwić takimi sprawami - odpowiedziała zawsze praktyczna Zuzanna.

Kiedy wróciły do chłopców i karła, mięso - a przynajmniej tyle mięsa, ile mogli zabrać ze sobą, i to najlepsze kawałki - było już poćwiartowane. Surowe mięso nie jest zbyt przyjemną rzeczą, zwłaszcza jeśli trzeba je nieść w kieszeniach, ale zawinęli je w świeże liście i starali się o tym nie myśleć. Byli zresztą zbyt doświadczeni, żeby nie wiedzieć, że te niemiłe w dotyku, miękkie paczki staną się bardziej miłe, kiedy po długiej wędrówce odezwie się prawdziwy głód.

Ruszyli naprzód (zatrzymali się tylko przy najbliższym strumieniu, żeby chłopcy i karzeł mogli umyć ręce), a tymczasem słońce już wzeszło i ptaki się rozśpiewały, a wśród paproci pojawiły się roje bzyczących much. Zesztywniałe po wczorajszym wiosłowaniu ręce i plecy powoli się rozluźniały. Wszystkim nastrój się poprawił. Słońce grzało coraz mocniej; wkrótce pozdejmowali hełmy i nieśli je w rękach.

- Mam nadzieję, że idziemy w dobrym kierunku? - zapytał Edmund jakieś pół godziny później.

- Nie bardzo widzę, jak moglibyśmy zabłądzić, jeżeli tylko nie zboczymy zbyt daleko w lewo - powiedział Piotr. - Jeśli nawet zejdziemy ze szlaku trochę w prawo, to

najwyżej dojdziemy do Wielkiej Rzeki za wcześnie i nie zyskamy na czasie, jak planowaliśmy, chcąc przeciąć jej zakole.

I znowu szli dalej w całkowitej ciszy, przerywanej jedynie odgłosem kroków i podzwaniem żelaznych koszulek.

- Gdzie jest ta piekielna Bystra, do pioruna! - odezwał się Edmund po jakimś czasie.

- Byłem przekonany, że już do niej dochodzimy - odpowiedział Piotr. - I tak przecież musimy iść naprzód. - Obaj wiedzieli, że od pewnego czasu karzeł spogląda na nich z niepokojem, choć nic nie mówi.

Szli dalej, a żelazne kolczugi zaczęły się robić coraz bardziej gorące i ciężkie.

- A cóż to takiego, do licha! - wykrzyknął nagle Piotr, który szedł pierwszy.

Doszli prawie na sam skraj niezbyt głębokiej górskiej przepaści. W dole ciemniał stromy wąwóz, a na jego dnie płynęła jakaś rzeczka. Przeciwległy brzeg wąwozu był o wiele wyższy i jeszcze bardziej stromy. Prócz Edmunda (i może Zuchona) żadne z nich nie miało wielkiego doświadczenia w górskiej wspinaczce.

- Bardzo mi przykro - powiedział Piotr. - To moja wina, to ja wybrałem tę drogę. Zabłądziliśmy. Widzę te okolice po raz pierwszy w życiu.

Karzeł zagwizdał cicho przez zęby.

- Och, wracajmy i idźmy tamtą inną drogą - powiedziała Zuzanna. - Od dawna wiedziałam, że zgubiliśmy się w tych lasach.

- Zuzanno! - odezwała się Łucja z wyrzutem w głosie. - Mogłabyś nie dokuczać Piotrowi. Mamy po prostu pecha, a on chciał jak najlepiej.

- A ty z kolei nie czepiaj się Zuzanny - wtrącił Edmund. - W końcu ma rację, jeżeli chcesz znać moje zdanie.

- Na matnie i manowce! - wykrzyknął Zuchon. - Jeżeli już zabłądziliśmy, jaką mamy szansę znalezienia drogi powrotnej? A jeśli mamy wrócić na wyspę i zaczynać od początku, jeśli w ogóle tam dotrzemy, możemy równie dobrze dać sobie spokój z tym wszystkim. Miraż skończy z Kaspianem, zanim się z nim spotkamy.

- Myślisz, że powinniśmy iść dalej naprzód? - zapytała Łucja.

- Wcale nie jestem pewien, czy Wielki Król naprawdę zabłądził - odpowiedział Zuchon. - Kto powiedział, że ta rzeczka w dole nie może być Bystrą?

- Bystra nie płynie wąwozem - powiedział Piotr, starając się mówić spokojnie.

- Wasza wysokość mówi PŁYNIE - zauważył Zuchon - ale czy nie byłoby poprawniej powiedzieć PŁYNEŁA? Znaliście ten kraj setki, a może nawet tysiące lat

temu. Czy nie mógł się przez ten czas zmienić? Przecież jakieś potężne osunięcie ziemi mogło oderwać połowę zbocza tego wzgórza i obnażyć nagą skałę, i już mamy ścianę tej przepaści po drugiej stronie wąwozu. Bystra mogła złobić coraz głębsze koryto, aż powstało to mniejsze urwisko po naszej stronie. Mogło też być trzęsienie ziemi. Wszystko mogło się zdarzyć.

- Nigdy o tym nie pomyślałem - powiedział Piotr.

- A w każdym razie - ciągnął Zuchon - nawet gdyby to nie była Bystra, płynie na północ, a więc musi wpadać do Wielkiej Rzeki. Teraz sobie przypominam, że idąc do was, na wybrzeże, chyba przeprowałem się przez coś takiego. Jeśli pójdziemy w prawo, z biegiem tego strumienia, dojdziemy wreszcie do Wielkiej Rzeki. Może niezupełnie w tym miejscu, w którym chcieliśmy, ale w końcu nie będzie to droga dłuższa od tej, którą ja szedłem.

- Zuchonie, widzę, że z tobą nie zginiemy - powiedział Piotr. - Dalej, schodzimy w dół, do wąwozu.

- Patrzcie! Patrzcie! - zawołała Łucja.

- Gdzie? Co?!

- Lew! Sam Aslan. Nie widzicie? - Jej twarz zmieniła się, a oczy płonęły.

- Czy ty naprawdę... - zaczął Piotr.

- Gdzie go, jak sądzisz, zobaczyłaś? - zapytała Zuzanna.

- Przestańcie mówić jak dorośli - powiedziała Łucja, tupiąc nogą. - Nie SĄDZĘ, że go widziałam. Ja go WIDZIAŁAM.

- Ale gdzie, Łusiu? - spytał Piotr.

- Tam, między tymi dwoma górskimi jesionami. Nie, nie tam, po tej stronie wąwozu. I wyżej, nie tak nisko. Akurat z przeciwnej strony drogi, którą chcecie iść. Chciał, żebyśmy szli tam, gdzie on stał, o tam, w górę rzeki!

- Skąd wiesz, czego on od nas chciał? - zapytał Edmund.

- On... ja... ja to po prostu wiem - powiedziała Łucja. - Z jego twarzy.

Pozostała czwórka popatrzyła po sobie w milczeniu.

- Wasza wysokość mogła w istocie widzieć lwa - odezwał się w końcu Zuchon. - Mówiono mi, że w tych lasach ich nie brakuje. Ale nie musiał to być koniecznie lew bardziej przyjazny i mówiący od tego niedźwiedzia, który chciał cię porwać.

- Och, nie pleć takich bzdur - powiedziała Łucja. - Myślisz, że nie poznałabym Aslana?

- Hm... Musi być teraz dość stary - zauważył Zuchon - jeżeli to ten sam, którego

znaliście, gdy byliście tu po raz pierwszy. A jeżeli to ten sam, to czy nie mogło się równie dobrze zdarzyć, że zdziczał i otepiał jak wiele innych lwów?

Łucja zrobiła się purpurowa i chyba by się rzuciła na Zuchona, gdyby Piotr nie położył jej ręki na ramieniu.

- KMP tego nie rozumie, bo i jak? Zuchonie, musisz się z tym pogodzić: my naprawdę wiemy coś o Aslanie, nie wszystko, rzecz jasna, ale coś jednak o nim wiemy. I nie powinieneś o nim więcej mówić w taki sposób, jak przed chwilą. Po prostu zgódź się z tym, że dla jednych to wszystko mogą być bzdury, ale dla innych może to znaczyć wiele. A czy Aslan naprawdę tu był, to już rzeczywiście inny problem.

- Ale ja wiem, że to był on - powiedziała Łucja, a w jej oczach pojawiły się łzy.

- Tak, Łusiu, ty wiesz, ale my nie wiemy, rozumiesz? - powiedział Piotr.

- Trudno, trzeba głosować - odezwał się Edmund.

- Dobrze - zgodził się Piotr. - KMP, jesteś wśród nas najstarszy. Za czym głosujesz? Idziemy w górę, czy w dół?

- W dół - odpowiedział karzeł. - Nie wiem nic o Aslanie. Ale wiem, że jeśli pójdziemy w lewo, w górę tej rzeczki, możemy iść cały dzień, zanim znajdziemy miejsce, w którym można się będzie przepawić na drugą stronę. A jeśli pójdziemy w prawo, w dół wąwozu, musimy dojść do Wielkiej Rzeki za parę godzin. I jeżeli tu rzeczywiście SA jakieś prawdziwe lwy, to powinniśmy raczej trzymać się od nich z daleka.

- A co ty powiesz, Zuzanno?

- Nie gniewaj się na mnie, Łucjo - powiedziała Zuzanna - ale myślę, że powinniśmy iść w dół. Jestem okropnie zmęczona. Wydostaniemy się wreszcie z tego przekłętego lasu na otwartą przestrzeń. A poza tym nikt z nas, prócz ciebie, NICZEGO nie widział.

- Edmund? - zapytał Piotr.

- No więc tak - zaczął Edmund, trochę się jękając i czerwieniąc. - Kiedy po raz pierwszy odkryliśmy Narnię rok temu albo tysiąc lat temu, jeśli wolicie... to właśnie Łucja pierwsza tu trafiła i żadne z nas nie chciało jej uwierzyć, a ja byłem w tym wszystkim najgorszy. A jednak w końcu okazało się, że to ona miała rację. Czy nie byłoby słuszne uwierzyć jej i teraz? Głosuję za pójściem w lewo.

- Och, Edziu! - zawołała Łucja i ścisnęła mu rękę.

- A teraz twoja kolej, Piotrze - powiedziała Zuzanna - i mam nadzieję...

- Och, przestań tyle gadać i pozwól mi pomyśleć - przerwał jej Piotr. -

Naprawdę, wolałbym raczej nie głosować.

- Jesteś Wielkim Królem - powiedział Zuchon z powagą.

- A więc w dół - odezwał się Piotr po długiej chwili milczenia. - Wiem, że w końcu Łucja może mieć rację, ale nic na to teraz nie poradzę. Możemy zrobić tylko jedno albo drugie.

Tak więc ruszyli wzdłuż brzegu urwiska, kierując się w prawo, z biegiem rzeczki. A Łucja szła na samym końcu, gorzko płacząc.

ROZDZIAŁ 10

POWRÓT LWA

Trzymanie się krawędzi wąwozu nie było jednak tak łatwe, jak myśleli. Po krótkim marszu napotkali młody jodłowy las, rosnący aż do samego brzegu skalnego urwiska. Kiedy zaczęli się przezeń przedzierać - zatrzymując się co chwila i znów atakując splątana, kłującą gęstwinę - szybko doszli do wniosku, że w ten sposób zrobią zaledwie milę w ciągu godziny. Wycofali się więc i postanowili las obejść. Trwało to o wiele dłużej, niż przypuszczali. Wkrótce nie tylko stracili z oczu skalną grań po drugiej stronie wąwozu, ale nawet przestali słyszeć szum potoku. Zaczęli się już obawiać, że do niego nie trafią. Nikt nie wiedział, która godzina, ale z pewnością zbliżała się najgorętsza pora dnia.

W końcu jednak obeszli młodniak i powrócili do brzegu wąwozu o jakąś milę w dół od miejsca, z którego wyruszyli. Skalne urwisko było tu o wiele niższe i poprzecinane jęzorami ziemi. Wkrótce znaleźli zejście na dno wąwozu i dalej szli brzegiem rzeczki. Nikt nie wspominał już o śniadaniu - a nawet o obiedzie

- u króla Kaspiana.

Wędrowanie wzdłuż Bystrej wydawało się dobrym pomysłem. Mieli teraz pewność, że idą we właściwym kierunku, a od czasu próby sforsowania jodłowego lasku bali się zgubić w lesie, gdyby jakaś nowa przeszkoda kazała im znowu odejść od wąwozu. Wokół była dziewicza puszcza, bez śladu leśnych dróg czy ścieżek. W takim lesie spotyka się raz po raz wielkie kępy beznadziejnie splątanych jeżyn, przewrócone drzewa, bagna i całe połacie gęstwiny nie do przebycia; nawet z kompasem trudno utrzymać właściwy kierunek. Ale i wąwóz Bystrej nie należał do najprzyjemniejszych miejsc, oczywiście dla kogoś, komu się spieszy. Na popołudniowy piknik, wieńczący niedzielną wycieczkę, było to miejsce wręcz wymarzone.

Było tu wszystko, czego się zwykle przy takich okazjach oczekuje: grzmiące wodospady, srebrzyste kaskady, głębokie rozlewiska o barwie bursztynu, omszałe skały, miękki mech, w który zapadało się po kostki, najrozmaitsze gatunki paproci, ważki mieniące się jak drogie kamienie. Czasem pojawiał się nad wąwozem jastrząb, a raz (według Piotra i Zuchona) prawdziwy orzeł. Ale, oczywiście, tym, co dzieci i karzeł chcieli zobaczyć najbardziej, były: Wielka Rzeka, Beruna i droga do Kopca Aslana.

Bystra stawiała się coraz bardziej rwąca i dzika. Coraz rzadziej napotykali miejsca, w których można było maszerować w miarę swobodnie, coraz częściej

musieli wspinać się na strome skały z niebezpiecznymi uskokami i ziejącymi czernią rozpadlinami, z gniewnym rykiem strumienia na dnie przepaści.

Możecie być pewni, że przez cały czas pilnie obserwowali zbocze po drugiej stronie, szukając jakiegoś przełomu lub choćby bardziej dogodnego do wspinaczki miejsca. Ale skalne urwisko wciąż wystrzelało w górę naga, bezlitosną ścianą. Dręczyło ich poczucie własnej bezsilności, byli bowiem prawie pewni, że gdyby tylko mogli wspiąć się na tamten brzeg, wystarczyłoby zejść po łagodnym zboczu i po krótkim marszu dojść w okolice pozycji Kaspiana.

Chłopcy i karzeł zaczęli częściej namawiać do rozpalenia ogniska i upieczenia paru kawałków niedźwiedziego mięsa. Zuzanna nie chciała o tym słyszeć; jedyne, o czym myślała, to - jak w końcu powiedziała - „iść naprzód, i skończyć z tym, i wydostać się wreszcie z tych przeklętych lasów” . Łucja była zbyt zmęczona i nieszczęśliwa, aby mieć swoje zdanie na jakikolwiek temat. Ale i tak nigdzie nie było widać suchego drewna i wobec tego nie bardzo się liczyło, co kto myśli o ognisku. Chłopcy zaczęli się zastanawiać, czy surowe mięso jest rzeczywiście tak okropne, jak im zawsze mówiono. Zuchon zapewnił jednak, że mówiono im szczerą prawdę.

Gdyby im przyszło podjąć taką wędrówkę kilka dni temu, w Anglii, z całą pewnością już dawno daliby za wygraną. Ale mówiłem wam już, jak odmieniła ich Narnia. Nawet Łucja była teraz, jeśli tak można powiedzieć, tylko w jednej trzeciej dziewczynką idącą po raz pierwszy do normalnej szkoły: w dwu trzecich była już królową Łucją z Narnii.

- Nareszcie! - krzyknęła nagle Zuzanna.

- Och, hurra! Hurra! - zawołał Piotr.

W tym miejscu wąwóz raptownie zakręcał i kiedy minęli załom, roztoczył się przed nimi wspaniały widok. Hen, aż do horyzontu, rozpościerała się zielona, otwarta przestrzeń, przecięta szeroką, srebrną wstęgą Wielkiej Rzeki. W jednym miejscu Rzeka wydawała się płytsza, a jej brzegi spięte były długim mostem, wspartym na wielu przęsłach. Przy moście, na drugim brzegu, widać było jakieś miasteczko.

- Tam do smoka! - zawołał Edmund. - Czy pamiętacie bitwę pod Beruną? Walczyliśmy dokładnie na tym miejscu, gdzie teraz jest to miasteczko!

To wspomnienie jeszcze bardziej podniosło chłopców na duchu. Trudno nie poczuć się lepiej, kiedy się patrzy na miejsce, na którym stoczyło się niegdyś zwycięską bitwę. Nie minęła chwila, a już Piotr i Edmund rozprawiali o bitwie z takim zapalem, że zapomnieli o poobcieranych nogach i ciężarze kolczug na ramionach.

Karzeł przysłuchiwał się im z zainteresowaniem.

Ruszyli dalej żwawo, zwłaszcza że droga nie była już tak uciążliwa. Skalne urwisko po drugiej stronie rzeczki ciągnęło się dalej, jednakże po tej stronie brzeg wyraźnie się obniżył, aż w końcu wąwóz zmienił się w dolinę. Bystra płynęła wolniej i bardziej rozlewnie, skończyły się też górskie wodospady. Znaleźli się znowu wśród gęstego lasu.

Nagle rozległ się krótki, metaliczny świst, a potem stuk, jakby dzięcioł uderzył dziobem w pień. Dzieci zastanawiały się jeszcze, gdzie i kiedy (chyba całe wieki temu) słyszały podobny dźwięk i dlaczego nie kojarzył się im z niczym przyjemnym, gdy Zuchon krzyknął: „Padnij!” i pociągnął gwałtownie Łucję (która była akurat najbliżej) w dół, między paprocie. Piotr, który właśnie rozglądał się za jakąś wiewiórką, zobaczył, co to było: długa, groźna strzała, tkwiąca teraz w pniu drzewa tuż nad jego głową. Kiedy przewrócił Zuzannę i sam padł na ziemię, następna strzała świsnęła nad jego ramieniem i utkwiała w ziemi tuż koło jego boku.

- Szybko! Szybko! Cofamy się! Pełzaniem! - wy dyszał Zuchon.

Zaczęli się czołgać w górę zbocza, klucząc między paprociami, wśród rojów brzęczących natrętnie much. Wokół nich świstały strzały. Jedna uderzyła w hełm Zuzanny z głośnym szczękiem i ześliznęła się w bok. Czołgali się coraz szybciej, spoceni jak myszy, a potem zaczęli pędzić wielkimi susami, trzymając miecze w rękach, aby ich nie pogubić.

Była to rozpaczliwa ucieczka - i to w dodatku z powrotem, tam, skąd przyszli. Kiedy poczuli, że już dłużej nie mogą biec, nawet za cenę życia, padli na wilgotny mech pomiędzy jakimś wodospadem i wielkim głazem, dysząc ciężko. Sami byli zaskoczeni, widząc, jak daleko uciekli w tak krótkim czasie.

Nasłuchiwali w milczeniu, ale z dołu nie dochodził żaden odgłos pogoni.

- A więc udało się! - odezwał się wreszcie Zuchon, biorąc głęboki oddech. - Nie zamierzają przeszukiwać lasu. Mam nadzieję, że to tylko wartownicy.

To by oznaczało, że Miraż wystawił tu wysuniętą placówkę. Na gardy i halabardy! Ale było gorąco!

- Powiniennem dostać po głowie za to, że przyprowadziłem was tą drogą - powiedział Piotr.

- Przeciwnie, wasza królewska mość - odpowiedział Zuchon. - Po pierwsze, to nie był pomysł waszej królewskiej mości, lecz waszego królewskiego brata, króla Edmunda. To on doradził nam drogę przez Szklaną Wodę.

- Obawiam się, że KMP ma rację - wtrącił Edmund, który naprawdę o tym zapomniał, jak tylko zaczęły się kłopoty.

- A po drugie - ciągnął Zuchon - nawet gdybyśmy szli moją drogą, to najpewniej też wpadlibyśmy na tę nową placówkę, tyle że z drugiej strony, i w najlepszym razie mielibyśmy tyle samo kłopotów, co teraz. Sądzę, że droga przez Szklaną Wodę okazała się jednak najlepsza.

- Szczęście w nieszczęściu - odezwała się Zuzanna.

- W nieszczęściach! - poprawił ją Edmund.

- Chyba będziemy musieli znowu wrócić do wąwozu - zauważyła Łucja.

- Łusiu, jesteś prawdziwym bohaterem - powiedział Piotr. - Miałaś teraz wszelkie powody, aby nam powiedzieć: „A nie mówiłam?” No cóż, wracamy.

- A jak tylko będziemy głęboko w lesie - dodał Zuchon - zamierzam rozpalić ognisko i zrobić kolację, bez względu na to, co kto o tym myśli. Musimy jednak odejść o wiele dalej.

Nie trzeba opisywać drogi powrotnej do wąwozu. Nie było to ani łatwe, ani przyjemne, ale - rzecz dziwna - czuli się bardziej dziarsko niż przedtem. Złapali drugi oddech, no i samo słowo KOLACJA zrobiło swoje.

Zanim zapadł zmierzch, dotarli do jodłowego młodnika, który sprawił im tyle kłopotu. Na jego skraju, w małej kotlinie rozbili obozowisko. Zbieranie suchego drewna nie było najbardziej ciekawym zajęciem, ale w końcu nadeszła wielka chwila: płomień strzelił w górę. Wydobyli wilgotne i rozlaźłe zawiniątka z niedźwiedzim mięsem, które z całą pewnością nie wzbudziłyby zachwyty w kimś, kto spędził cały dzień w zaciszu domowym. Karzeł miał wspaniałe pomysły kucharskie. Mieli jeszcze trochę jabłek i idąc za jego radą zawinęli każdy owoc w płat mięsa (jakby to były knedle z jabłkami, tyle że ciasto zostało zastąpione mięsem), a następnie nadziali je na zastrzone patyki i upiekli.

Sok z jabłek nasycił mięso tak, jak sos jabłkowy przenika pieczoną wieprzowinę. Niedźwiedzie żywiące się głównie innymi zwierzętami nie mają zbyt smacznego mięsa, ale te, które karmią się leśnymi owocami i miodem, mają mięso wprost wyśmienite. Wszystko wskazywało na to, że ustrzelony przez Zuchona niedźwiedź należał do tej drugiej kategorii. Był to naprawdę królewski posiłek. W dodatku nie musieli myśleć o zmywaniu: po jedzeniu każdy rozłożył się wygodnie na mchu, wyciągając z rozkoszą zbolące nogi. Karzeł zapalił swoją fajkę i zaczęły się wieczorne gawędy. Teraz wydawało im się całkiem prawdopodobne, że już jutro rano

odnajdą króla Kaspiana i wraz z nim pobiją Miraza w ciągu kilku dni. Te nadzieje mogły być pozbawione większego sensu, ale wszyscy szczerze je odczuwali. Gawędzili tak przez jakiś czas, aż jedno po drugim wyłączało się z rozmowy bez specjalnych zapowiedzi i wkrótce wszyscy już spali.

Łucja przebudziła się z głębokiego snu z uczuciem, że głos, głos najdroższy w świecie, wypowiada jej imię. Najpierw pomyślała, że to głos ojca, ale wkrótce doszła do wniosku, że chyba się myli. Potem pomyślała, że to Piotr, ale i tę myśl szybko odrzuciła. Wcale nie chciało się jej wstawać; nie dlatego, by była wciąż zmęczona - przeciwnie, czuła się cudownie wypoczęta i kości przestały ją zupełnie boleć - ale dlatego, że było jej bardzo dobrze i wygodnie. Patrzyła prosto na narnijski księżyc (o wiele większy niż nasz) i rozgwieźdzone niebo, gdyż miejsce, w którym rozbili obóz, nie było specjalnie zarośnięte.

- Łucjo! - rozległ się znowu ten głos, który nie był głosem ani ojca, ani Piotra. Usiadła, drżąc nie ze strachu, ale ze wzruszenia. Księżyc świecił tak jasno, że cały leśny krajobraz widziała wyraźnie jak w dzień, tyle że wszystko wydawało się bardziej dzikie i niesamowite. Za sobą miała jodłowy las, po prawej stronie bieląca skalna ściana drugiej strony wąwozu, przed nią rozpościerała się łąka, za którą na odległość strzału z łuku wyrastała kępa drzew. Łucja wpatrzyła się z uwagą w drzewa.

- Aż trudno uwierzyć, ale przecież one się ruszają! - powiedziała do siebie zdumiona. - Chodzą sobie!

Zerwała się na nogi, a serce biło jej mocno, i ruszyła w stronę drzew. Od leśnej kępy dochodził dziwny, śpiewny odgłos, jaki wydają drzewa na wielkim wietrze: dziwny, bo tej nocy żadnego wiatru nie było, a przy tym były to niesamowite dźwięki. Wydawało się Łucji, że składają się na jakąś melodię, ale nie potrafiła jej uchwycić, tak jak poprzedniej nocy nie mogła uchwycić słów, które zdawały się do niej szeptać drzewa. Ale wyczuwała rytm, temu nie mogła zaprzeczyć, bo jej nogi same zaczęły tańczyć, gdy zbliżyła się jeszcze bardziej. I teraz nie miała już żadnej wątpliwości, że drzewa naprawdę się poruszają, okręcają wokół siebie i zamieniają miejscami, jak w jakimś skomplikowanym tańcu ludowym. („I jestem pewna - pomyślała Łucja - że kiedy drzewa tańczą, to nie może być nic innego, tylko bardzo, bardzo ludowy taniec” .) A teraz była już między nimi.

Pierwsze drzewo, na które spojrzała, wydawało się na pierwszy rzut oka wysokim mężczyzną ze zmierzwioną brodą i długimi, poskręcanyimi włosami. Łucja nie bała się, widziała już takie rzeczy. Kiedy spojrzała po raz drugi, dziwna istota

znowu była drzewem, chociaż nadal się poruszała. Nie mogła dostrzec, czy ma stopy, czy też korzenie, bo kiedy drzewa chodzą, to oczywiście nie stawiają kroków po powierzchni ziemi, tylko brodzą w niej, jak my w śniegu. To samo działo się ze wszystkimi innymi drzewami, na które spojrzała. Raz wydawały się przyjaznymi, dobrymi olbrzymami, obudzonymi do pełnego życia przez jakieś czary, a w chwilę później wyglądały znowu jak drzewa. Kiedy wyglądały jak drzewa, były to dziwnie ludzkie drzewa, a kiedy wyglądały jak ludzie, były to dziwnie gałęziaste i liściaste postacie. I przez cały czas rozlegał się ów niesamowity, rytmiczny, szeleszczący, chłodny - lecz wesoły - dźwięk.

- Już prawie się rozbudziły, ale jeszcze nie do końca - powiedziała do siebie Łucja. Sama czuła się rozbudzona bardziej, niż to jest zwykle możliwe.

Posuwała się wśród drzew bez lęku, tańcząc, podskakując i starając się w tańcu nie wejść w drogę swym wielkim partnerom. Ale to nie drzewa ciągnęły ją najbardziej. Prawdę mówiąc, chciała już wydostać się z ich kręgu, chciała minąć je i dotrzeć tam, skąd wcześniej słyszała ukochany głos.

I wkrótce wydostała się spomiędzy drzew, nie bardzo wiedząc, czy w tej dziwnej wędrówce wyciągała ręce po to, aby rozchylić gałęzie, czy po to, aby uchwycić inne ręce w wielkim korowodzie olbrzymich tancerzy, wyginających się, by dosięgnąć jej rąk. Okazało się, że drzewa tworzyły krąg wokół rozległej polany. Łucja wyśliznęła się z objęć ruchomej mieszanki cudownych blasków i cieni i przystanęła na skraju polany zalanej światłem księżyca. Zobaczyła krąg murawy, miękkiej i równej jak najwspanialszy trawnik, otoczony ze wszystkich stron roztańczonym korowodem drzew. A potem - cóż za radość! Tam był ON: potężny Lew jaśniejący bielą księżycowego blasku, odcinający się ostro od czerni swego cienia.

Gdyby nie lekki ruch ogona, mógł się wydawać kamiennym posągiem. Ale Łucja nawet o tym nie pomyślała. Nie zastanawiała się też nawet przez chwilę, czy to lew przyjazny, czy dziki. Pobiegnęła ku niemu. Czuła, że serce jej pęknie, jeśli zmarnuje jeszcze choćby sekundę. I w chwilę później uświadomiła sobie, że całuje go, zarzuca mu ręce na szyję i zanurza twarz w cudownej, bogatej jedwabistości jego grzywy.

- Aslan... Aslan... Kochany Aslan - powtarzała płacząc. - W końcu jesteś...

Wielkie zwierzę przewróciło się na bok, tak że Łucja znalazła się między jego przednimi łapami, pół siedząc, pół Jeżąc. Pochylił łeb i dotknął językiem jej nosa. Owionął ją ciepły oddech. Wpatrywała się w jego wielką, mądrą twarz.

- Witaj, moje dziecko - powiedział Lew.

- Aslanie - powiedziała Łucja - jesteś większy.

- To dlatego, że ty jesteś starsza, maleńka - odpowiedział.

- A nie dlatego, że ty jesteś starszy?

- Nie jestem starszy. Im bardziej będziesz rosła, tym bardziej będę dla ciebie większy.

Przez jakiś czas była tak szczęśliwa, że nie chciała nic mówić. Ale przemówił Aslan.

- Łucjo, nie możemy tutaj dłużej leżeć. Macie wiele do zrobienia, a już dużo czasu dziś straciliście.

- Tak, czy to nie wstyd? - powiedziała Łucja. - Przecież cię widziałam. A oni mi nie uwierzyli. Oni naprawdę są tak...

Gdzieś w samym środku Aslana rozległo się coś, co było niewątpliwie leciutką zapowiedzią ryku.

- Och, przebac mi - powiedziała Łucja, która potrafiła odczytywać jego nastroje. - Nie chciałam na nich skarżyć. Ale to przecież nie była moja wina, prawda?

Lew patrzył jej prosto w oczy.

- Och, Aslanie, przecież nie myślisz, że to moja wina! Jakżeby mogła... no, nie mogłam ich zostawić i pójść sama do ciebie... Nie patrz tak na mnie... och, no dobrze, więc chyba MOGŁAM. Tak, i nie byłabym sama, wiem, byłabym z tobą. Ale co by to dało?

Aslan milczał.

- Chcesz powiedzieć - głos Łucji był nieco słabszy - że w jakiś sposób wyszłoby na dobre? Ale jak? Aslanie, proszę cię! Czy mam o tym nie wiedzieć?

- Wiedzieć, co BY się stało, moje dziecko? - powiedział Aslan. - Nie. Tego nikt nie wie.

- Och, kochany... - zaczęła znowu Łucja.

- Ale każdy może się przekonać, co się STANIE - mówił Aslan. - Jeżeli wrócisz teraz do reszty, obudzisz ich i opowiesz, że znowu mnie widziałas i że wszyscy musicie natychmiast wstawać i pójść za mną

- co się wtedy stanie? Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

- I tego właśnie ode mnie oczekujesz? - wyszeptła Łucja.

- Tak, maleńka - odpowiedział Aslan.

- A czy inni też ciebie zobaczą?

- Teraz - na pewno nie. Później - to zależy.

- Ale oni mi nie uwierzą! - zawołała Łucja.

- To nie ma znaczenia - powiedział Aslan.

- Och, kochany, drogi Aslanie! A tak się ucieszyłam, że ciebie odnalazłam. I myślałam, że pozwolisz mi zostać ze sobą. I myślałam, że zaczniesz ryczeć i przepędzisz wszystkich wrogów... tak jak wtedy. A teraz wszystko zaczyna wyglądać okropnie.

- Wiem, że jest ci ciężko - powiedział Aslan

- ale nic nie dzieje się dwukrotnie w ten sam sposób. Nam wszystkim w Narnii też było bardzo ciężko.

Łucja schowała twarz w jego grzywie, aby ukryć się przed jego spojrzeniem. Ale w tej grzywie musiały być jakieś czary, bo natychmiast poczuła, jakby ją napełniła lwia siła. Podniosła się.

- Przepraszam, Aslanie. Jestem już gotowa.

- Teraz jesteś jak mała lwica - rzekł Aslan. - I teraz cała Narnia zostanie odnowiona. Ale chodźmy już. Nie mamy czasu do stracenia.

Lew podniósł się i zaczął iść swym bezszelestnym, majestatycznym krokiem ku tańczącym drzewom. Łucja szła obok, trzymając się jego grzywy drżącą trochę ręką. Drzewa rozstały się przed nimi i przez chwilę przybrały całkowicie ludzką postać. Łucja zdążyła zobaczyć całą gromadę cudownych leśnych bożków i leśnych boginek nisko kłaniających się Lwu. Po chwili znów były drzewami, ale wciąż jeszcze pochylonymi w tak wdzięcznym wygięciu gałęzi i pni, że sam ten pokłon wydawał się taneczną figurą.

- A teraz, moje dziecko - powiedział Aslan, kiedy już przeszli za pierścień drzew - będę na ciebie tutaj czekał. Idź i obudź swoich towarzyszy, i powiedz im, aby do mnie przyszli. Jeśli tego nie zrobią, musisz przyjść sama.

Czekało ją okropne zadanie: obudzić cztery osoby, starsze od niej i bardzo zmęczone, aby powiedzieć im coś, w co prawdopodobnie nie uwierzą, i skłonić je do zrobienia czegoś, czego z pewnością nie będą chciały zrobić. „Muszę coś wymyślić, muszę to zrobić”, powtarzała sobie Łucja, zbliżając się do obozowiska.

Zaczęła od Piotra. Potrząsnęła nim i szepnęła mu do ucha:

- Piotrze, obudź się. Szybko. Aslan jest blisko. Mówi, że musimy natychmiast za nim iść.

- Tak, tak, Łusiu. Zrobię, co zechcesz - wymamrotał Piotr. Zabrzmiało to zachęcająco, ale w tej samej chwili przewrócił się na drugi bok i zasnął ponownie.

Spróbowała z Zuzanną. Siostra przebudziła się, ale tylko po to, aby oświadczyć swoim najbardziej nudnym, dorosłym głosem:

- Śniło ci się, Łucjo. Kładź się i śpij. Zaczęła tarnosić Edmunda. Niełatwo było wyrwać

go ze snu, ale kiedy się to w końcu udało, usiadł całkowicie rozbudzony.

- He? - mruknął gderliwie. - Co ty opowiadasz?

Łucja usiadła obok niego i jeszcze raz wszystko mu opowiedziała. To właśnie było najgorsze, bo za każdym razem cała historia brzmiała coraz bardziej niewiarygodnie.

- Aslan! - zawołał Edmund podskakując. - Hurra! Gdzie?

Łucja odwróciła się i pokazała ręką tam, gdzie wciąż widziała czekającego na nich Lwa. Czowała, że na nią patrzy.

- Tam - powiedziała.

- Gdzie? - powtórzył Edmund.

- Tam, tam. Nie widzisz? Z tej strony drzew. Edmund wytrzeszczył oczy przez chwilę, a potem powiedział:

- Nie. Tam nikogo nie ma. Musiało cię oszukać światło księżyca. To się zdarza. Sam myślałem przez chwilę, że coś widzę. To tylko złudzenie... jak to się nazywa...

- Widzę go przez cały czas - powiedziała Łucja. - Patrzy prosto na nas.

- To dlaczego ja go nie widzę?

- Powiedział, że może nie będziesz mógł.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Tak mówił.

- A niech to dunder świśnie! - powiedział Edmund. - Chciałbym, żebyś już przestała widywać różne takie rzeczy. Ale chyba musimy obudzić resztę.

ROZDZIAŁ 11

LEW RYCY

KIEDY JUŻ WSZYSCY się obudzili, Łucja musiała powtórzyć swoją opowieść po raz czwarty. Głucha cisza, jaka zapadła po jej słowach, nie wróżyła niczego dobrego.

- Nic nie widzę - powiedział Piotr po długiej chwili wpatrywania się w kępę drzew tak, że oczy mu zaszyły łzami. - A ty, Zuzanno?

- Nic a nic, zresztą to chyba oczywiste - prychnęła lekceważąco Zuzanna - bo nie ma tam nic do zobaczenia. Jej się to po prostu śniło. Kładź się i spróbuj znów zasnąć, Łusiu.

- A ja wciąż mam nadzieję - powiedziała Łucja drżącym głosem - że wszyscy pójdziecie ze mną. Bo... bo ja i tak pójdę, czy będziecie chcieli, czy nie.

- Nie pleć bzdur, Łucjo - odezwała się Zuzanna. - To przecież jasne, że nie możesz iść sama. Nie pozwól jej, Piotrze. Robi się naprawdę nieznośna.

- Ja z nią pójdę, jeżeli naprawdę MUSI iść - wtrącił się Edmund. - Pamiętajcie, że już raz miała rację, a my...

- Pamiętam - powiedział Piotr. - I być może miała rację dziś rano. To pewne, że nie spotkało nas nic dobrego, kiedy uparliśmy się, aby iść z biegiem rzeczki. Ale... o tej godzinie, w nocy... I dlaczego by Aslan miał być dla nas niewidzialny? To do niczego nie pasuje. A co na to wszystko powie KMP?

- Nic nie powiem - odparł karzeł. - Jeżeli pójdziecie, to, rzecz jasna, pójdę z wami; a jeżeli się podzielicie, zostanę z Wielkim Królem. To mój obowiązek wobec niego i wobec króla Kaspiana. Jeżeli jednak chcecie znać moją prywatną opinię, to jestem tylko prostym karłem, który nie sądzi, byśmy znaleźli właściwą drogę w nocy, jeśli nie możemy jej znaleźć w ciągu dnia. I nigdy nie miałem do czynienia z zaczarowanymi lwami, które potrafią mówić, ale nie mówią, ani z przyjaznymi lwami, które jakoś nam nie pomagają, ani z wyjątkowo wielkimi lwami, których jednak nikt nie może zobaczyć. Z tego, co widzę, wynika, że to wszystko duby smalone i nic więcej!

- Teraz uderza łapami w ziemię, żebyśmy się pospieszyli - powiedziała Łucja. - Musimy iść. A w każdym razie ja muszę.

- Nie masz prawa zmuszać nas wszystkich do tego w ten sposób! - krzyknęła Zuzanna. - Masz cztery głosy przeciw sobie i jesteś najmłodsza.

- Och, dajcie spokój - warknął Edmund. - Musimy iść. Nie będzie spokoju, dopóki nie pójdziemy. - Był całkowicie zdecydowany poprzeć Łucję, a jednocześnie zły, że mu przerwano sen, i dąsał się trochę na pokaz.

- A więc w drogę - zdecydował Piotr, wsuwając rękę pod uchwyty tarczy i wkładając hełm. Czuł, że powinien powiedzieć Łucji coś miłego; była jego ulubioną siostrą i wiedział, że musi się teraz czuć okropnie. Zdawał sobie również sprawę z tego, że cokolwiek się stało - lub nie stało - nie było w tym jej złej woli. Ale jednocześnie był na nią trochę zły i w końcu nic nie powiedział. Najgorsza była Zuzanna.

- Przypuśćmy, że JA zacznę się teraz zachowywać jak Łucja. Może JA też powiem, że zostanę tutaj, bez względu na to, czy reszta idzie, czy nie. I naprawdę, zrobię tak!

- Trzeba słuchać Wielkiego Króla, wasza wysokość - oświadczył Zuchon. - Trzeba iść. Jeżeli już nie mogę spać, to wolę natychmiast ruszać w drogę, niż stać tu i gadać na próżno.

W końcu ruszyli w drogę. Łucja szła pierwsza, przygryzając wargi i starając się nie wypowiedzieć na głos tego wszystkiego, co w tej chwili myślała o Zuzannie. Ale zapomniała o tym natychmiast, gdy tylko utkwiała oczy w Aslanie. Odwrócił się i zaczął iść wolnym krokiem jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi. Reszta musiała iść tam, gdzie ich prowadziła Łucja, ponieważ Lew był dla nich wciąż niewidzialny. Niczego też nie słyszeli, bo gdy kroczył po murawie, jego wielkie, kocie łapy nie wydawały najmniejszego odgłosu.

Poprowadził ich na prawo od tańczących drzew - a nikt nie wiedział, czy tańczą w dalszym ciągu, bo Łucja była wpatrzona w Lwa, a reszta była wpatrzona w Łucję - aż do krawędzi wąwozu. „Na graty i grobowce! - pomyślał Zuchon. - Mam nadzieję, że to szaleństwo nie skończy się na wspinaczce przy księżycu i na połamanych karkach” .

Aslan kroczył przez dłuższy czas tuż przy samej krawędzi przepaści. Potem doszli do miejsca, w którym tuż nad brzegiem urwiska rosło kilka drzew, i nagle zniknął między nimi. Łucja wstrzymała oddech. Wyglądało to, jakby skoczył w przepaść. Była jednak zbyt pochłonięta tym, by nie stracić go z oczu, i dlatego nie zastanawiała się, co robić dalej. Przyspieszyła kroku i wkrótce sama znalazła się wśród drzew. Spojrzała w dół i dostrzegła wąską i stromą ścieżkę biegnącą zakosami między skałami, aż na dno wąwozu. Aslan odwrócił głowę i spojrzał na nią przyjaźnie. Klasnęła w dłonie i zaczęła ostrożnie schodzić za nim w dół. Za plecami usłyszała

okrzyki: „Hej, Łucjo! Uważaj, na miłość boską! Jesteś na skraju przepaści!” , a w chwilę później głos Edmunda: „Nie, ona ma rację. Tam jest ścieżka” .

W połowie drogi w dół Edmund znalazł się tuż za nią.

- Zobacz! - zawołał podniecony. - Zobacz! Co to za cień porusza się przed nami?

- To JEGO cień - odpowiedziała Łucja. Wierzę, że masz rację. Trudno mi pojąć, że nie widziałem go wcześniej. Ale gdzie on jest?

- To jasne, tam gdzie jego cień. Jeszcze go nie widzisz?

- Już mi się wydawało, że go zobaczyłem... przez chwilę. Tu jest takie dziwne oświetlenie.

- Naprzód, naprzód, królu Edmundzie! - usłyszeli tuż nad sobą głos Zuchona, a potem, z góry, prawie z samego szczytu, głos Piotra:

- Trzymaj się, Zuzanno! Daj mi rękę. Przecież nawet dziecko by tędy zeszło. I przestań już gderać.

Po kilku minutach wszyscy znaleźli się na dnie wąwozu. Ogłuszył ich ryk potoku. Ostrożnie jak kot Aslan przeskakiwał już z kamienia na kamień, przechodząc na drugą stronę. Na samym środku przystanął i napił się wody, a potem podniósł głowę i spojrzał na nich. I tym razem Edmund go zobaczył.

- Och, Aslan! - zawołał i rzucił się naprzód. Ale Lew okręcił się w miejscu, dał susa i już wspinał się lekko po zboczu po drugiej stronie Bystrej.

- Piotrze! Piotrze! - krzyczał Edmund. - Widziałeś?

- Coś widziałem - odpowiedział Piotr. - Ale w świetle księżyca wszystko się zmienia i migocze. Idźmy dalej. I niech żyje Łucja! Wcale nie czuję zmęczenia.

Aslan prowadził ich bez wahania w lewo, w górę zbocza. Było coś niesamowitego w tej nocnej wędrówce, przypominającej sen: grzmiący górski potok, mokra, szara trawa, lśniące bielą skały i wspaniałe, kroczące przed nimi bezszelestnie Zwierzę. Teraz widzieli je już wszyscy, prócz Zuzanny i Karła.

Doszli wreszcie do ścieżki wśród skał, biegnącej kreto nad głęboką przepaścią. Podejście było jeszcze bardziej strome, a szczyt o wiele wyższy, więc wspinaczka trwała długo i zmęczyła ich o wiele bardziej niż zejście na dno wąwozu. Na szczęście księżyc świecił teraz nad samym wąwozem, więc nie było cienia po żadnej stronie.

Łucja ledwo już dyszała, gdy ogon i tylne łapy Aslana zniknęły za najwyższą krawędzią skały. Zrobiła ostatni wysiłek, wgramoliła się za nim na skałę i stanęła na trzęsących się nogach, z trudem łapiąc oddech. Była na szczycie skalnej grani, po drugiej stronie wąwozu, tam, gdzie tak bardzo chcieli się znaleźć od czasu

wylądowania w Zatoce Szklanej Wody. Przed nią wznosiło się łagodne, porośnięte trawą i wrzosami zbocze, poznaczone od czasu do czasu bielą wysokich skał. A dalej, w górze, jakieś pół mili od miejsca, w którym stała, czerniał las. Teraz wiedziała już, gdzie się znaleźli. Stała przed Wzgórzem Kamiennego Stołu.

Dzwoniąc kolczugami i dysząc ciężko, pojawili się na krawędzi skały inni. Ale Aslan nie pozwolił im odpocząć i po chwili szli już za nim po zboczu.

- Łucjo - odezwała się cichutko Zuzanna.

- Tak?

- Teraz go widzę. Strasznie cię przepraszam.

- Nie ma już o czym mówić.

- Ale ja jestem o wiele gorsza, niż myślisz. Tak naprawdę, to uwierzyłam, że on tam był... wiesz, wczoraj, kiedy nas ostrzegął, żebyśmy nie szli z biegiem strumienia. I naprawdę wierzyłam, że spotkałaś go tej nocy, kiedy nas obudziłaś. To znaczy, wierzyłam w to gdzieś głęboko, w środku. Albo wierzyłabym, gdybym sama sobie pozwoliła uwierzyć. Ale ja po prostu chciałam się wydostać z tych lasów i... och, sama nie wiem. I co ja mu teraz powiem?

- Może nie będziesz musiała wiele mówić - powiedziała Łucja.

Wkrótce doszli do drzew i zobaczyli przez nie Wielki Kopiec wzniesiony nad Kamiennym Stołem już po ich odejściu z Narnii.

- Nasi nie mają za dobrych straży - zamruczał Zuchon. - Już teraz powinni nas zatrzymać i sprawdzić, czy znamy hasło.

- Cicho! - zawołała jednocześnie pozostała czwórka, bo teraz Aslan zatrzymał się, odwrócił i stał nieruchomo, patrząc na nich, majestatyczny i pełen mocy. Czuli się tak szczęśliwi, jak tylko może się czuć ktoś, kto się boi, i tak przerażeni, jak tylko może się czuć ktoś, kto jest szczęśliwy. Chłopcy wysunęli się do przodu, Zuzanna i karzeł za nimi. Podeszli do Lwa.

- Aslanie - powiedział król Piotr, klękając na jedno kolano i podnosząc wielką łapę Lwa do swojej twarzy. - Tak się cieszę. I tak się wstydzę. Prowadziłem ich źle od samego początku, a już zwłaszcza wczoraj rano.

- Mój ukochany Synu - rzekł Aslan. Potem zwrócił się do Edmunda:

- Dobrze się spisałeś.

A potem, po trudnej do zniesienia długiej chwili milczenia, powiedział głębokim, pełnym powagi głosem:

- Zuzanno.

Zuzanna nie odpowiedziała, ale wszystkim się zdawało, że płacze.

- Pozwoliłaś, aby strach zapanował nad tobą, moje dziecko. Chodź, niech cię ogrzeję swym oddechem. Zapomnij o lękach. Już jesteś dzielna?

- Trochę, Aslanie - odpowiedziała Zuzanna.

- A teraz - głos Aslana podniósł się, a na jego dnie czaiła się zapowiedź prawdziwego ryku. - A teraz, gdzie jest ten mały karzeł, ten słynny mistrz miecza i łuku, który nie wierzy w Lwy? Chodź tutaj, Synu Ziemi, chodź TUTAJ! - I ostatnie słowo nie było już tylko zapowiedzią, ale prawdziwym rykiem.

- Na widma i wadoły! - wysapał Zuchon i głos mu zamarł w krtani. Dzieci, które znały Aslana, wiedziały już, że polubił karła i nie odczuwały strachu, ale trudno to było powiedzieć o Zuchonie, który w ogóle zobaczył Lwa po raz pierwszy w życiu, a w dodatku TEGO Lwa. A jednak zrobił najmądrzejszą rzecz, jaką mógł zrobić, zamiast czmychnąć (na co miał wielką ochotę), zbliżył się do Aslana bardzo niepewnym krokiem.

Aslan skoczył na niego. Widzieliście kiedy małego kotka, niesionego przez matkę w pysku? To było coś takiego. Karzeł został wyrzucony w powietrze jak mała piłka i oto zwiślał już z pyska wielkiego Lwa. Po chwili Aslan potrząsnął nim lekko, aż całe rycerskie oporządzenie biednego karła zadzwoniło jak skrzynka z narzędziami, i - hola, hop! - wyleciał znowu w powietrze. Był tak bezpieczny jak w łóżku, choć bynajmniej tak się nie czuł. Zanim spadł na ziemię, miękkie, aksamitne łapy schwytały go delikatnie jak ramiona matki i postawiły (głową do góry, rzecz jasna) na ziemi.

- Synu Ziemi, czy chcesz, abyśmy zostali przyjaciółmi? - zapytał Aslan.

- Thy-y-y-a-a-a-k - wystękał karzeł, wciąż nie mogąc złapać tchu.

- A teraz, do dzieła! - zawołał Lew. - Księżyc już zachodzi. Spójrzcie za siebie: zaraz będzie dniało. Nie mamy czasu do stracenia. Wy trzej, Synowie Adama i Synu Ziemi, spieszcie do Kopca i radźcie sobie z tym, co tam zastaniecie.

Karzeł wciąż jeszcze nie mógł dobyć z siebie głosu, a i chłopcy nie śmieli zapytać Aslana, czy będzie im towarzyszył. Wszyscy trzej dobyli mieczy, zasalutowali, odwrócili się i zniknęli w półmroku, dzwoniąc rymsztunkiem. Łucja zauważyła, że na ich twarzach nie było ani śladu lęku; zarówno Wielki Król, jak i król Edmund wyglądali teraz bardziej jak rycerze niż chłopcy.

Dziewczynki patrzyły za nimi, stojąc tuż przy Aslanie. Teraz oświetlenie zaczęło się szybko zmieniać. Nad wschodnim widnokregiem płonęła już jak mały księżyc

Aravir, poranna gwiazda Narnii. Aslan, który wydawał się teraz jeszcze większy, podniósł łeb, potrząsnął grzywą i zaczął ryczeć.

Ryk, z początku głęboki i pulsujący jak organy na najniższej nucie, podnosił się powoli i potężniał, a potem stał się jeszcze mocniejszy, aż ziemia i powietrze zdrząły. W dole, w obozie Miraza, ludzie obudzili się, bladzi ze strachu, patrząc po sobie i ściskając oręż. Jeszcze niżej, w Wielkiej Rzece, z wody wynurzyły się głowy i ramiona nimf, a potem brodata twarz rzeczno-bożka. Za rzeką, w lasach i na polach, króliki wystawiły uszy ze swoich nor, ptaki wyjęły łebki spod skrzydeł, sowy zaczęły pohukiwać, lisy szczekać, jeże chrząkać, drzewa szumieć. W miastach i wsiach matki przytuliły mocniej dzieci do piersi, rozglądając się z niepokojem, psy zaczęły wyć, a mężczyźni wyskoczyli z łóżek, szukając po omacku lamp. Daleko, na północnej granicy górskie olbrzymy wyjrzały z ciemnych wrót swoich zamków.

A Łucja i Zuzanna zobaczyły, jak coś ciemnego zbliża się do nich ze wszystkich stron poprzez wzgórza. Najpierw wyglądało to jak czarna mgła pełznąca po ziemi, potem jak wzburzone fale czarnego morza podnoszące się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie jak to, czym naprawdę było - zbliżające się do nich zewsząd lasy. Wydawało się, że wszystkie drzewa z całego świata spieszą, by pokłonić się Aslanowi. A kiedy były już blisko, przestały wyglądać jak drzewa, i kiedy cały ten tłum, kłaniając się, wiwatując i wymachując rękami, zbliżył się do Łucji, zobaczyła, że był to tłum istot o ludzkich kształtach. Blade panny-brzozy kołysały głowami, wierzby-niewiasty odrzucały długie włosy ze swych zadumanych twarzy, aby spojrzeć na Aslana, królewskie buki stały cicho, oddając mu cześć, kędzierzawi dębowi mężowie, chude i melancholijne wiązy, ostrokrzewy z potarganymi włosami (mężczyźni ciemni, ale ich żony jaśniejące od czerwonych jagód), wesole jarzębiny - wszyscy pochyłali się w pokłonie, a potem podnosili wołając: „Aslan! Aslan!” ochrypłymi, trzeszczącymi i falującymi głosami.

Tańczący wokół Aslana tłum (bo teraz zaczął się prawdziwy taniec) zrobił się tak gęsty, a taniec tak szybki, że Łucja nie potrafiła zupełnie powiedzieć, skąd się wzięły jakieś inne istoty płasające wśród drzew. Zobaczyła młodzieńca odzianego w jelenią skórę, z pędami winorośli wplecionymi we włosy, którego twarz była niezwykle piękna, choć o wiele bardziej dzika niż twarz chłopca. Czuło się, że - jak to ujął Edmund, gdy go zobaczył kilka dni później - „to jest facet, po którym można się spodziewać wszystkiego”. Różnie go nazywano: Bromios, Basareus albo po prostu Kozioł - to tylko trzy imiona spośród wielu, jakie nosił. Było z nim wiele dziewcząt,

równie dzikich jak on sam. I była też jakaś dziwna postać na osiołku!

I każdy śmiał się, tańczył i wykrzykiwał: „Euan, euan, euoi, euoi-oi-oi-oi!”

- Czy to nie czas Wielkich Swawoli, Aslanie? - zawołał młodzieniec.

I wszystko wskazywało, że tak było, przynajmniej dla tej wesołej kompanii. Tyle, że każdy wydawał się mieć inne zdanie na temat tego, w co się bawić. Mogła to być zabawa w kotka i myszkę, ale Łucja nie była w stanie rozstrzygnąć, kto kogo goni. Równie dobrze można byłoby mówić o ciuciubabce, tyle że każdy zachowywał się tak, jakby właśnie jemu zawiązano oczy. Ale mogła to być również zabawa w łapanie pantofla, choć nikt nigdy go nie złapał. Jeszcze większego zamieszania narobił dziwny mężczyzna na osiołku, stary i niezwykle gruby, który zaczął nagle wołać: „Czas na przekąskę! Czas na przekąskę!” i już zsuwał się z osła, gdy inni starali się wepchnąć go z powrotem na grzbiet, a sam osioł sprawiał wrażenie, jakby się znajdował w cyrku i próbował dać pokaz chodzenia na tylnych nogach. I wciąż pojawiała się skądś coraz więcej i więcej winorośli, nie tylko samych pnączy i liści, ale i winnych gron, które zaczęły się wspinać na wszystko, co napotkały. Pięły się po nogach leśnych istot i oplatały im szyje. Łucja podniosła rękę, aby odgarnąć włosy, i stwierdziła, że odgarnia z czoła pędy winorośli. Po jakimś czasie cały osiołek pokryty był zielonymi liśćmi, a coś ciemnego wisiało między jego uszami. Łucja przyjrzała się temu lepiej i odkryła, że to kiście dojrzałych, granatowych winogron. Teraz wszędzie już było pełno winogron - nad głowami, pod stopami, wszędzie, gdzie się tylko spojrzeło.

- Przekąska! Przekąska! - wrzeszczał staruszek na osiołku. Wszyscy zaczęli jeść. Choćby nie wiem jakie ciepłarnie mieli wasi znajomi, to nigdy jeszcze nie jedliście tak wspaniałych winogron. Jędrne i twarde na wierzchu, wystrzelały chłodną słodkością, gdy tylko włożyło się je do ust. Dziewczynki jadły i jadły, bo takich winogron nigdy nie ma się dość, a tutaj było ich więcej, niż ktokolwiek mógłby sobie wymarzyć, no i w dodatku nie obowiązywały dobre maniery. Wszędzie widać było palce umazane sokiem i lepkiem mięszem, a chociaż wszyscy mieli pełne usta, nie milkły ani śmiechy, ani dzikie jodłowanie. Aż nagle, w jednym momencie, każdy poczuł, że zabawa (w cokolwiek się bawiono) i uczta mają się ku końcowi, i wszyscy padli bez tchu na murawę, wpatrując się w Aslana i czekając, co teraz powie.

W tej samej chwili słońce zaczęło wschodzić, a Łucja przypomniała sobie coś i szepnęła Zuzannie do ucha:

- Słuchaj, Zuziu, ja wiem, kim oni są.

- No?

- Ten chłopiec z dziką twarzą to Bachus, a ten staruszek na ośle to Sylen. Nie pamiętasz, jak pan Tumnus kiedyś nam o nich opowiadał?

- Ależ tak! Ale wiesz, Łusiu.

- Co?

- Chyba nie czułabym się zbyt bezpiecznie z Bachusem i jego dzikimi towarzyszami, gdybym ich spotkała bez Aslana.

- Chyba masz rację - powiedziała Łucja.

ROZDZIAŁ 12

CZARNA MAGIA

TYMCZASEM ZUCHOM i chłopcy dotarli do osłoniętego kamiennym łukiem wejścia do wnętrza Kopca. Dwa borsuki (Edmund zobaczył tylko białe pasy na ich pyskach) wynurzyły się nagle z ciemności, warcząc i obnażając kły.

- Kto idzie? - rozległ się ostry, chrapliwy głos.

- Zuchon - odpowiedział karzeł. - Zuchon, prowadzący Wielkiego Króla Narnii sprzed wieków.

Borsuki trąciły nosami ręce chłopców.

- Nareszcie! Nareszcie jesteście.

- Dajcie nam jakieś światło, przyjaciele - powiedział Zuchon.

Borsuki znalazły pochodnię, a Piotr zapalił ją i wręczył karłowi.

- Niech KMP prowadzi - powiedział. - Nie mamy pojęcia o drodze.

Zuchon wziął pochodnię i wszedł pierwszy do mrocznego tunelu. Było tu zimno i ciemno, pachniało stęchlizną. Z sufitu i ścian zwieszały się pajęczyny, a od czasu do czasu przez krąg światła, rzucany przez pochodnię, przelatował nietoperz. Chłopcy, którzy od poranku na stacji kolejowej przebywali wciąż na powietrzu, czuli się tu jak w więzieniu lub pułapce.

- Piotrze - szepnął Edmund. - Spójrz na te znaki na ścianach. Czy nie wyglądają na bardzo stare? A przecież my jesteśmy od nich starsi. Nie było ich jeszcze, kiedy tu byliśmy ostatni raz.

- Tak - odpowiedział Piotr. - To daje do myślenia.

Karzeł prowadził ich prosto, potem skręcił w prawo, potem w lewo, kilka stopni w dół i znowu w lewo. Znajdowali się teraz w krótkim korytarzu, na końcu którego zobaczyli światło sączące się przez szparę w drzwiach. Usłyszeli jakieś głosy. Stali przed wejściem do głównej komory Kopca. Głosy były pełne gniewu. Ktoś mówił tak głośno, że nie mógł usłyszeć zbliżania się chłopców i karła.

- Wcale mi się to nie podoba - szepnął Zuchon do Piotra. - Posłuchajmy przez chwilę, co się tam dzieje. - I cała trójka zamarła bez ruchu pod drzwiami.

- Wiesz dobrze - odezwał się głos („To król” , szepnął Zuchon) - dlaczego róg nie zabrzmiał o wschodzie słońca tamtego dnia. Czy już zapomniałeś, że Miraż zaatakował nas tuż po odejściu Zuchona i że walczyliśmy o życie przez ponad trzy godziny? Zadałem w róg, gdy tylko mogłem nabrać powietrza do płuc i przyłożyć go do warg.

- Nie zapomniałem o tym - zabrzmiał gniewny głos - i trudno, bym zapomniał. - („To Nikabrik” , szepnął Zuchon.) - To przecież moje karły przyjęły na siebie główne uderzenie. Na każdym pięciu jeden został na placu boju.

- Na honor, karle - odezwał się inny, niski i chrapliwy głos. („Truflogon” , wyjaśnił Zuchon.) - Wszyscy walczyliśmy tak samo jak wy, a już na pewno nikt nie był lepszy od króla.

- Powiedz to moim ludziom - odpowiedział Nikabrik. - Tak czy inaczej żadna pomoc nie nadeszła i nie obchodzi mnie przyczyna: czy zadałeś w róg za późno, czy też wcale nie jest zaczarowany. A ty, wielki mędrce, wielki mistrzu magii, ty, który wiesz wszystko, czy wciąż jeszcze chcesz, żebyśmy nadal pokładali całe nasze nadzieje w Aslanie, królu Piotrze i tym podobnych bzdurach?

- Muszę przyznać... nie mogę temu zaprzeczyć... no cóż, jestem głęboko rozczarowany rezultatem całej operacji - padła odpowiedź. („To będzie Doktor Kornelius” , wyszeptał znowu Zuchon.)

- Mówiąc nieco prościej - odezwał się znowu Nikabrik - twój worek jest pusty, czyli, mówiąc jeszcze inaczej, twoje obietnice okazały się niewarte funta kłaków. Przestań się w końcu wtrącać i pozwól działać innym. I właśnie dlatego...

- Pomoc nadejdzie - usłyszeli głos Truflogona. - Ja trzymam z Aslanem. Miej trochę cierpliwości, tak jak my, zwierzęta. Pomoc nadejdzie. Może nawet jest już blisko.

- Bajdy! - warknął Nikabrik. - Wy, borsuki, chcecie nas namówić, abyśmy czekali, aż z nieba zaczną nam spadać pieczone gołąbki. Powtarzam, nie możemy czekać! Jedzenia coraz mniej, w każdym starciu ponosimy ciężkie straty, sprzymierzeńcy zaczynają nas opuszczać.

- A dlaczego? - przerwał mu Truflogon. - Powiem ci, dlaczego. Ponieważ rozeszło się między nimi, że wezwaliśmy na pomoc starożytnych królów, a ci królowie nie nadeszli. Ostatnie słowa, jakie wypowiedział Zuchon, zanim odszedł (niestety, chyba po swoją śmierć) brzmiały: „Jeżeli musicie zadać w róg, zróbcie to tak, aby armia nie wiedziała, po co to robicie i jakie w tym pokładacie nadzieje” . I tak się jakoś stało, że jeszcze tego samego wieczoru nie było w obozie nikogo, kto by o tym nie wiedział.

- Lepiej by ci było, borsuku, wsadzić swój szary ryjek w gniazdo szerszeni, niż mnie oskarżać o zbyt długi język! - krzyknął Nikabrik. - Odwołaj to albo...

- Och, przestańcie obaj! - przerwał im król Kaspian. - Chciałbym się

dowiedzieć, co to właściwie znaczy, że Nikabrik bez przerwy nas krytykuje i radzi, co mamy zrobić. Ale przedtem chcę wiedzieć, kim są ci dwaj obcy, których przyprowadził na naszą naradę. Ci, co tam stoją, milczą i bacznie się wszystkiemu przysłuchują.

- To moi przyjaciele - powiedział Nikabrik. - A jakie ty masz prawo, aby tu być, prócz tego, że jesteś przyjacielem Zuchona i borsuka? A jakie ma do tego prawo ten stary ramol w czarnej todze? Dlaczego ja jeden nie miałbym przyprowadzić tu swoich przyjaciół?

- Jego wysokość jest królem, któremu przysiągłeś wierność - odpowiedział Truflogon z powagą.

- Dworska gadanina! - warknął Nikabrik. - Tu, w tej dziurze, możemy porozmawiać szczerze. Wiesz dobrze, że ten telmarski chłopiec nie będzie królem niczego i nikogo w ciągu tygodnia, jeżeli nie pomożemy mu wydostać się z pułapki, w jaką sam się wpakował. I on sam dobrze o tym wie.

- A może - rozległ się głos Korneliusa - twoi nowi przyjaciele zechcieliby sami mówić za siebie? Hej, wy, kim jesteście?

- Czcigodny mistrzu - odezwał się cienki, skamlący głos - racz mnie wysłuchać. Jestem tylko starą, biedną kobieciną, wielce zobowiązaną jego czcigodnej karłowatości za przyjaźń, którą mnie obdarza, to rzecz pewna. Jego królewska wysokość, niech nam długo jaśnieje jego piękna buzia, nie ma potrzeby obawiać się starej kobiety, zgiętej w pół przez reumatyzm i nie mającej nawet paru patyczków, żeby je wsadzić pod swój kociołek. Znam parę drobnych zaklęć... oczywiście nie mogę się równać z tobą, mistrzu Doktorze... których bym chętnie użyła przeciw naszym wrogom, jeśli tylko *zgodzą* się na to wszyscy, którzy mają tu coś do powiedzenia. Bo ja ich nienawidzę! O tak. Nie ma nikogo, kto by nienawidził bardziej ode mnie.

- To wszystko jest bardzo interesujące i... hm... wystarczające - powiedział Doktor Kornelius. - Chyba już teraz wiem, kim jesteś, pani. A teraz może twój drugi przyjaciel, Nikabriu, powie nam coś o sobie?

Rozległ się głuchy, ponury głos, na dźwięk którego Piotrowi ścierpła skóra.

- Jestem głód. Jestem pragnienie. To, co ugryzę, trzymam, aż umrę, a nawet po mojej śmierci muszą wyciąć z ciała naszego wroga to, co złapałem, i pochować razem ze mną. Mogę pościć sto lat i nie zdechnę. Mogę leżeć sto nocy na lodzie i nie zmarzną. Mogę wypić rzekę krwi i nie pęknię. Pokażcie mi waszych wrogów.

- I właśnie w obecności tych dwojga chcesz nam wyjawić swój plan? - zwrócił się Kaspian do Nikabrika.

- Tak. I przy ich pomocy chcę go urzeczywistnić. W ciągu najbliższej minuty, albo i dwu, Zuchon i chłopcy słyszeli tylko przyciszone głosy Kaspiana i jego dwu przyjaciół, tak stłumione, że nie mogli niczego zrozumieć. Potem Kaspian znów przemówił głośno:

- A więc dobrze, Nikabriku. Posłuchamy twojego planu.

Teraz zapanowała cisza, tak długa, że chłopcy zaczęli się już zastanawiać, czy Nikabrik w ogóle ma zamiar przemówić, a kiedy przemówił, jego głos był cichszy niż przedtem, jakby sam bał się tego, co miał powiedzieć.

- Biorąc pod uwagę wszystko to, co już powiedziano i co się zdarzyło, nikt z nas nie zna prawdy o dawnych czasach, Zuchon nie wierzył w żadną z tych opowieści. Byłem jednak gotów je sprawdzić. Spróbowaliśmy najpierw z tym rogiem i nic z tego nie wyszło. Jeżeli kiedykolwiek był rzeczywiście Wielki Król Piotr i królowa Zuzanna, i król Edmund, i królowa Łucja, to albo nas nie usłyszeli, albo nie mogą przyjść, albo są naszymi wrogami...

- Albo są w drodze - przerwał mu Truflogon.

- Będiesz to powtarzać dotąd, aż Miraż nakarmi nami swoje psy. Jak powiedziałem, wypróbowaliśmy jedno ogniwo w łańcuchu starych legend i nie wyszło to nam na dobre. Tak... Ale kiedy w boju złamie się miecz, wyciąga się sztylet. Te opowieści mówią również o innych potęgach, oprócz starożytnych królów i królowych. A może by teraz wezwać na pomoc TE SIŁY?

- Jeżeli masz na myśli Aslana - powiedział Truflogon - to nie ma różnicy, czy wzywa się jego czy królów. Oni mu służyli. Jeżeli ich do nas nie przyśle (ale jestem całkowicie pewien, że to zrobi), to tym bardziej sam nie przyjdzie.

- Tu się z tobą zgadzam - powiedział Nikabrik. - Aslan i królowie przychodzą razem. A więc albo sam Aslan jest już martwy, albo też wcale nie jest po naszej stronie. A może być i tak, że jest coś silniejszego od niego, co nie pozwala mu przyjść. A jeśli nawet przybędzie, skąd mamy wiedzieć, że przybędzie jako nasz przyjaciel? Po tym, co o nim wiemy, można sądzić, że nie zawsze był największym przyjacielem karłów czy zwierząt. Zapytajcie wilków. W każdym razie wszyscy mówią, że był w Narnii tylko raz i długo w niej nie pozostał. Na Aslanie można się zawieść. Myślę o kimś innym.

Nie było żadnej reakcji na jego słowa, przez kilka minut panowała taka cisza, że Edmund wyraźnie słyszał świszczący i chrapliwy oddech borsuka.

- Kogo masz na myśli? - odezwał się w końcu Kaspian.

- Mam na myśli potęgę większą od Aslana, potęgę tak wielką, że jeśli tylko dawne opowieści mówią prawdę, to właśnie ona trzymała w zakłębieniu całą Narnię przez sto lat.

- Biała Czarownica? - krzyknęły jednocześnie trzy głosy, a po hałasie, jaki im towarzyszył, Piotr poznał, że cała trójka przyjaciół skoczyła na równe nogi.

- Tak - powiedział Nikabrik bardzo powoli i bardzo uroczyście. - Mam na myśli Czarownicę. Usiądźcie z powrotem. Przestraszyliście się samego imienia, jakbyście byli dziećmi. Potrzebujemy siły, potrzebujemy potęgi, która by stanęła po naszej stronie. Jeśli chodzi o siłę, to czy stare opowieści nie mówią o tym, że Czarownica zwyciężyła Aslana, związała go i zabiła na tym właśnie Kamieniu, tym, który stoi tam, za nami, za kręgiem światła lampy?

- Ale te same opowieści mówią też, że ożył ponownie - powiedział ostro borsuk.

- Tak, MÓWIĄ - odpowiedział Nikabrik - ale warto zauważyć, że nie mówią nic o tym, co zrobił potem. Po prostu znika nagle ze starych opowieści. Jak to wyjaśnić, jeśli naprawdę ożył? Czy nie oznacza to raczej, że wcale nie ożył i że opowieści nie wspominają o nim więcej, ponieważ nie było już nic do wspominania?

- To on ustanowił królów i królowe - odezwał się Kaspian.

- Król, który wygra bitwę, może objąć królestwo w posiadanie bez pomocy jakiegoś zaczarowanego lwa - odrzekł Nikabrik. Rozległ się dziwny, wściekły bulgot, świadczący prawdopodobnie o reakcji Truflogona.

- A zresztą - ciągnął Nikabrik - co przyszło z królów i ich panowania? Oni również gdzieś zniknęli. Inaczej się ma rzecz z Czarownicą. Mówią, że panowała przez sto lat, sto lat zimy. Oto jest potęga, jeśli mam być szczery. Oto jest coś konkretnego.

- Ależ, na niebo i ziemię! - zawołał Kaspian. - Czyż nie mówiono nam zawsze, że to właśnie ona była naszym największym wrogiem? Czy to nie ona była tyranem dziesięć razy gorszym od Miraza?

- Być może - odparł chłodno Nikabrik. - Być może BYŁA tyranem, przynajmniej dla was, ludzi, jeżeli w ogóle byli jacyś ludzie w tamtych czasach. Być może była okrutna dla niektórych zwierząt. Wytępiła bobry, w każdym razie nie ma ich teraz w Narnii. Ale wobec nas, karłów, była zawsze w porządku. A ja jestem karłem i dobro mojego ludu jest dla mnie najważniejsze. MY nie lękamy się Czarownicy.

- Ale przyłączyliście się do nas - powiedział Truflogon.

- Tak, i zrobiliśmy prócz tego mnóstwo innych rzeczy - wycedził Nikabrik. -

Kogo się posyła na wszystkie niebezpieczne wypadki? Karły. Komu się obcina racje, kiedy nie starcza żywności? Karłom. Kto...

- Kłamstwa! To wszystko są kłamstwa! - krzyknął borsuk.

- I dlatego - mówił Nikabrik, a jego głos przeszedł teraz w pisk - jeżeli nie możecie zrobić niczego dla moich ludzi, udam się do kogoś, kto może.

- Czy to otwarta zdrada, karle? - zapytał król Kaspian.

- Schowaj ten miecz z powrotem do pochwy, Kaspianie - powiedział Nikabrik. - Mord podczas narady, tak? To w twoim stylu? Nie bądź aż tak głupi, by tego próbować. Myślisz, że się ciebie boję? Jest was trzech i nas jest troje.

- A więc chodź, spróbuj - warknął Truflogon, ale przerwał mu głos Doktora Korneliusa.

- Przestańcie! Przestańcie! Czy nie za daleko się posuwacie? Czarownica nie żyje. Wszystkie opowieści są co do tego zgodne. Co miał na myśli Nikabrik, kiedy mówił o jej wezwaniu?

Ponury, straszny głos, który odezwał się dotąd tylko raz, zapytał:

- Och, nie żyje? Jesteś pewien?

A potem zabrzmiał piskliwy, skamlący głos:

- Och, słodkie serduszko, moja kochana, małeńka królewska wysokość nie musi się martwić o to, że Biała Pani, tak MY ją nazywamy, nie żyje. Czcigodny pan Doktor tylko sobie kpi z takiej biednej, starej kobieciny jak ja, kiedy mówi takie rzeczy. Mój słodziutki panie Doktorze, uczony panie Doktorze, czy ktoś kiedykolwiek słyszał, żeby jakaś czarownica naprawdę umarła? Zawsze można ją sprowadzić z powrotem.

- Wezwij ją - zabrzmiał ponury głos. - Jesteśmy gotowi. Zakreśl krąg. Przygotuj błękitny ogień.

Ponad wzbierający na sile ryk borsuka i ostry okrzyk Korneliusa „Co!” wzbil się potężny głos króla Kaspiana:

- A więc taki jest twój plan, Nikabriku? Czarna Magia i wezwanie na pomoc przeklętego ducha? Wiem już, kim są twoi przyjaciele. To wiedźma i wilkołak!

Rozległ się ryk zwierzęcia i szcęk stali. Zuchon i chłopcy wpadli do środka. Piotr zobaczył straszną, wychudłą istotę, pół-człowieka i pół-wilka, jak skacze na chłopca w jego wieku; Edmund ujrzał borsuka i karła toczących się po podłodze w zażartej walce. Zuchon znalazł się naprzeciw wiedźmy. Jej nos i broda przypominały obcęgi, szare włosy rozwiały się wokół twarzy, a długie palce zaciskały się na szyi Doktora Korneliusa. Rozległ się świst miecza Zuchona i głowa wiedźmy potoczyła się

po podłodze. Potem ktoś przewrócił lampę i wszystko zamieniło się w płataninę mieczy, zębów, pazurów, pięści i obcasów. Trwało to około minuty. Potem zapanowała cisza.

- Edmundzie, żyjesz? - rozległ się wreszcie głos Piotra.

- Chyba tak - wysapał Edmund. - Mam tu tego Nikabrika, ale wciąż jeszcze jest żywy.

- Na kufry i konwie! - usłyszeli zduszony, wściekły głos. - To nie Nikabrik, to JA! Siedzisz na MNIE! Jesteś ciężki jak młody słoń!

- Bardzo cię przepraszam, KMP Teraz już lepiej?

- Auuu! Nie! - zawył Zuchon. - Wpychasz mi obcas w usta!

- Czy jest tu gdzieś król Kaspian? - zapytał Piotr.

- Jestem tutaj - dobiegł ich słaby głos. - Coś mnie ugryzło.

Rozległ się trzask zapalanej zapalniczki. To był Edmund. Płomień oświetlił jego twarz, bladą i brudną. Rozejrzał się dookoła, znalazł świecę (lampa była już bezużyteczna, bo wylała się z niej oliwa), zapalił ją i postawił na stole. W półmroku kilka postaci podniosło się na nogi. Sześć twarzy patrzyło na siebie, mrugając i dysząc ciężko.

- Chyba nie ma już wśród nas wrogów - powiedział Piotr. - Tu jest wiedźma, martwa - szybko odwrócił od niej spojrzenie - tu Nikabrik, też martwy. A to, jak mi się zdaje, jest wilkołak. Dawno już żadnego nie widziałem. Głowa wilka i ciało człowieka. To znaczy, że właśnie przemieniał się z człowieka w wilka, kiedy dosięgła go śmierć. A ty, jak sądzę, jesteś królem Kaspianem?

- Tak - odpowiedział młodzieniec. - Ale nie mam pojęcia, kim ty jesteś.

- To Wielki Król, król Piotr - powiedział Zuchon.

- Witam waszą wysokość - odezwał się Kaspian.

- A ja witam wysokość waszą. Jak wiesz, nie przyszedłem tu, aby zająć twoje miejsce, lecz po to, aby ci pomóc je odzyskać.

- Najjaśniejszy panie! - rozległ się inny głos, tuż pod łokciem Piotra. Odwrócił się i zobaczył borsuka. Pochylił się, uściskał go i pocałował w czoło. Nie było w tym nic dziecinnego - był przecież Wielkim Królem.

- Najdzielniejszy z borsuków - powiedział.

- Nigdy w nas nie zwątpiłeś.

- Nie ma w tym mojej zasługi, miłościwy panie

- rzekł Truflogon. - Jestem zwierzęciem, a my się nie zmieniamy. A w dodatku

jestem borsukiem, a my trzymamy się mocno.

- Żal mi Nikabrika - powiedział Kaspian. - Wiem, że nienawidził mnie od pierwszej chwili, w której mnie zobaczył. Myślę, że jego serce zgorzkniało zupełnie od długiego cierpienia i nienawiści. Gdybyśmy szybciej odnieśli zwycięstwo, mógłby się stać dobrym karłem w czasach pokoju. Nie wiem, kto z nas go zabił. I cieszę się z tego, że nie wiem.

- A ty krwawisz - powiedział Piotr.

- Tak, ten... to wilcze stworzenie mocno mnie ugryzło.

Oczyszczenie i zabandażowanie rany trwało dość długo, a kiedy skończyli, Zuchon powiedział:

- No, a teraz, zanim zrobimy cokolwiek, musimy zjeść śniadanie.

- Tylko nie tutaj - powiedział Piotr.

- Nie - zgodził się Kaspian i wstrząsnął się z obrzydzeniem. - Trzeba zabrać stąd te zwłoki.

- Niech zakopią to robactwo w jakiejś dziurze - dodał Piotr. - Prócz karła; jego ciało oddamy jego towarzyszom, aby je pochowali zgodnie ze swymi zwyczajami.

Zjedli śniadanie w jednej z ciemnych komór Kopca Aslana. Nie był to posiłek, za jakim tęsknili, bo Kaspian i Kornelius marzyli o pasztecie z sarniny, a Piotr i Edmund o jajecznicy na maśle i gorącej kawie, ale każdy dostał kawałek zimnego niedźwiedziego mięsa (z kieszeni chłopców), kawałek twardego sera, cebulę i garnek wody. Sądząc jednak po tym, jak czuli się po śniadaniu, można by pomyśleć, że było wspaniale.

ROZDZIAŁ 13

POD WODZĄ WIELKIEGO KRÓLA

- A TERAZ MUSIMY SIĘ NARADZIĆ - powiedział Piotr, gdy skończyli śniadanie. - Aslan i dziewczynki (to znaczy królowa Zuzanna i królowa Łucja, Kaspianie) są gdzieś w pobliżu. Nie wiemy, kiedy Lew zacznie działać. Trudno to w ogóle przewidzieć. Tymczasem musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy. Mówisz, Kaspianie, że nasze siły są za małe, aby stawić czoło Mirażowi w otwartej bitwie?

- Obawiam się, że nie mamy szans, miłościwy panie - odpowiedział Kaspian. Bardzo Piotra polubił, ale wciąż czuł się trochę onieśmielony. Spotkanie z wielkimi królami z pradawnych czasów było dla niego czymś o wiele bardziej niezwykłym niż dla nich spotkanie z nim.

- A więc dobrze - powiedział Piotr. - Przekażemy mu wyzwanie na pojedynek.

Nikomu nie przyszło to wcześniej do głowy.

- Miłościwy panie - rzekł Kaspian - czy tym, kto zmierzy się z Mirażem, nie mógłbym być właśnie ja? Chcę pomścić mojego ojca.

- Ty jesteś ranny - odpowiedział Piotr. - A oprócz tego, czy nie sądzisz, że może wyśmiać twoje wyzwanie? Wiemy, że jesteś królem, i widzieliśmy cię w walce, ale Miraż wciąż uważa cię za chłopca.

- Pozwól mi coś powiedzieć, panie - odezwał się borsuk, który siedział blisko Piotra i przez cały czas nie spuszczał z niego oka. - Czy on w ogóle przyjmie wyzwanie, nawet od ciebie? Przecież wie, że jego armia jest silniejsza.

- Prawdopodobnie nie przyjmie - powiedział Piotr - ale jakaś szansa zawsze istnieje. A nawet jeśli odmówi, zyskamy na czasie, wymieniając między sobą poselstwa, zastanawiając się nad odpowiedzią i tak dalej. A w tym czasie Aslan może coś zrobić. A jeśli nie, to w każdym razie będę miał czas na dokonanie przeglądu armii i umocnienie pozycji. A więc wyślę posłów z wyzwaniem. Trzeba je napisać od razu. Doktorze Korneliusie, czy masz atrament i pióro?

- Uczony nigdy się z nimi nie rozstaje, wasza wysokość - odpowiedział Kornelius.

- Świetnie, a więc będę dyktował.

Doktor wydobyl kawałek pergaminu i otworzył rożek z atramentem. Gdy ostrzył pióro, Piotr odchylił się do tyłu z zamkniętymi oczami, próbując sobie przypomnieć język, jakim zwykle pisało się takie rzeczy w Narnii dawno temu.

- A więc dobrze - powiedział wreszcie. - Jesteś gotów, Doktorze?

Doktor Kornelius zanurzył pióro w kałamarzu i czekał. Piotr zaczął dyktować:

- „Piotr, z woli Aslana, z wyboru, mocą prawa i mocą swego zwycięstwa Król Najwyższy nad wszystkimi królami Narnii, Cesarz Samotnych Wysp i Pan na Ker-Paravelu, Kawaler Szlachetnego Orderu Lwa, Mirażowi, synowi Kaspiana Ósmego, w swoim czasie Wielkiemu Opiekunowi Narnii, a teraz pretendentowi do tronu Narnii, śle pozdrowienia” . Zapisalesz to?

- ...Narnii, przecinek, śle pozdrowienia - zamruczał Doktor. - Tak, zapisałem.

- A więc od nowego wiersza:

„Pragnąc powstrzymać dalszy rozlew krwi i uchronić kraj od wszystkich innych klęsk i niewygód, niechybnie czekających nasze królestwo Narnii, gdyby rozgorzał jeszcze bardziej płomień rozpoczętej już wojny, zechcieliśmy podnieść nasze królewskie ramię w obronie naszego wiernego i umiłowanego Kaspiana i w uczciwym, zgodnym z rycerskim obyczajem pojedynku z Waszą Wielmożnością wykazać, iż rzeczony Kaspian jest prawowitym królem Narnii tak na mocy naszej łaski, jak i na mocy praw Telmarów, natomiast Wasza Wielmożność jest winien podwójnej zdrady, tak przez zagarnięcie tronu Narnii należącego się rzeczonemu Kaspianowi, jako i przez najbardziej odrażający i niehumaniczny” - nie zapomnij, że „niehumaniczny” pisze się razem - „krwawy mord dokonany na Waszym szlachetnym panie i bracie, królu Kaspianie, Dziewiątym tego imienia. Dlatego też, będąc głęboko poruszeni w sercu naszym tymi niegodziwościami, wyzywamy Waszą Wielmożność na świętą walkę, jeden przeciw jednemu, i przesyłamy Wam ten list rękoma naszego umiłowanego i królewskiego brata Edmunda, niegdyś posłusznego nam Króla Narnii, Księcia Latarnianego Pustkowie i Margrabiego Zachodniej Marchii, Kawalera Szlachetnego Orderu Stołu, któremu też udzielamy wszelkich pełnomocnictw do ustalenia z Waszą Wielmożnością warunków rzeczzonego pojedynku.

Dan w naszej kwaterze w Kopcu Aslana, dwunastego dnia miesiąca Zieleni, w pierwszym roku panowania Kaspiana Dziesiątego, prawdziwego króla Narnii” .

- To powinno wystarczyć - dodał Piotr, biorąc głęboki oddech. - A teraz musimy wybrać jeszcze dwóch, aby towarzyszyli królowi Edmundowi w poselstwie. Myślę, że jednym z nich powinien być olbrzym.

- Ale on... on nie jest zbyt mądry - powiedział Kaspian.

- Wiem o tym - przerwał mu Piotr. - Ale każdy olbrzym zawsze sprawia duże wrażenie, jeśli tylko zachowuje się spokojnie. No, i to go trochę podniesie na duchu.

Kto będzie drugi?

- Jeżeli chcesz kogoś, kto może zabić samym spojrzeniem - wtrącił się Zuchon - to Ryczypisk byłby najlepszy.

- Z tego wszystkiego, co o nim słyszałem, na pewno tak - powiedział Piotr, krztusząc się ze śmiechu - gdyby tylko nie był taki mały. Nawet go nie zobaczą, dopóki nie będzie bardzo blisko.

- A więc wyślij Gromojara, mój panie - powiedział Truflogon. - Nikt jeszcze nie śmiał się z centaury.

W godzinę później dwaj możni dowódcy armii Miraza, hrabia Podlizar i hrabia Sobiepan, przechadzający się wzdłuż pierwszych linii i wydłubujący resztki śniadania z zębów, dostrzegli zbliżające się ku nim od strony lasu poselstwo: centaury i olbrzyma Świdrogrzmota,

których już widzieli przedtem na polu bitwy, a pomiędzy nimi postać, której nie mogli rozpoznać. Jestem pewien, że szkolni koledzy Edmunda również nie poznaliby go w tej chwili, gdyby tylko mogli go zobaczyć, tak wielkiej powagi i męstwa dodała mu zbroja, okoliczności - a przede wszystkim magiczny oddech Aslana.

- Co to ma znaczyć? - odezwał się hrabia Podlizar. - Czy to atak?

- Raczej parlamentariusze - powiedział Sobiepan. - Zobacz, niosą zielone gałęzie. Daję głowę, że przychodzą, aby się poddać.

- Ten, który idzie między centaurem i olbrzymem, wcale nie wygląda na takiego, co chce się poddać - zauważył Podlizar. - Kto to może być? To nie jest ten mały Kaspian.

- Nie, z pewnością nie - zgodził się Sobiepan. - To prawdziwy rycerz, nie ma co. Skąd ci buntownicy go wytrzasnęli? Między nami mówiąc, nie da się ukryć, że wygląda ma bardziej królewski niż nasz Miraż. I co za zbroja! Żaden z naszych płatnerzy nie potrafiłby takiej wykuć.

- Stawiam mego nakrapianego Srokacza, że nie przybywa, aby się poddać, ale po to, aby rzucić rękawicę.

- Jakże to? - zdziwił się Sobiepan. - Trzymamy ich w garści. Miraż nie byłby taki głupi, żeby tracić całą swoją przewagę, godząc się na pojedynek.

- Hm, może być do tego zmuszony - powiedział Podlizar, zniżając głos.

- Ciszej! - wpadł mu w słowo Sobiepan. - Odejdźmy trochę od tych wartowników. No więc, czy dobrze zrozumiałem waszą hrabiowską mość?

- Jeżeli król podejmie wyzwanie - wyszeptał Podlizar - to cóż, albo on zabije

przeciwnika, albo sam zginie.

- I co? - zapytał Sobiepan, nadstawiając ucha.

- A jeśli to on zabije, to my wygramy tę wojnę.

- To jasne. A jeśli nie?

- No cóż, jeśli nie, to wygramy ją bez królewskiej łaski równie dobrze, jak z nią.

Nie muszę chyba tłumaczyć waszej mości, że Miraż nie jest wielkim wodzem. A potem będziemy zwycięzcami bez króla.

- I, jeśli dobrze rozumiem waszą hrabiowską mość, nas dwóch będzie mogło trzymać w garści ten kraj równie łatwo bez króla, jak z królem?

Twarz Podlizara wykrzywił niemiły grymas.

- Nie zapominajmy, że to właśnie my wprowadziliśmy go na tron. A przez te wszystkie lata, w których cieszył się berłem i koroną, jaką mieliśmy z tego korzyść? Czym się nam odpłacił?

- Nie musisz więcej mówić - odpowiedział Sobiepan. - Ale spójrz, Miraż wzywa nas do siebie.

Kiedy doszli do królewskiego namiotu, zastali Edmunda i jego towarzyszy siedzących na zewnątrz i podejmowanych winem i ciastkami. List został już doręczony królowi, który oznajmił, że musi mieć trochę czasu na rozważenie jego treści. Przyjrzeni się wszystkim trzem posłom uważnie i to, co zobaczyli, wcale ich nie uspokoiło.

Miraż siedział bez zbroi w namiocie i kończył śniadanie. Twarz miał spoconą, a czoło zachmurzone.

- Spójrzcie tylko! - krzyknął, ciskając pergamin przez stół. - Spójrzcie, co za bzdury z opowieści starej niani ośmiela się nam przysyłać ten zarozumialec, nasz siostrzeniec!

- Za pozwoleniem, wasza królewska mość - powiedział Podlizar. - Jeżeli ten młody rycerz, którego dopiero co widzieliśmy przed namiotem, jest królem Edmundem, o którym się wspomina w liście, to trudno go nazwać bzdurą z opowieści starej niani. Wygląda na bardzo groźnego przeciwnika.

- Król Edmund, też mi coś! - warknął Miraż. - Czy wasza hrabiowska mość też wierzy w te babskie bajeczki o Piotrze, Edmundzie i całej reszcie?

- Muszę wierzyć swoim oczom, wasza królewska mość.

- No cóż, nie widzę powodu, abyśmy się mieli o to spierać - powiedział Miraż - ale jeśli chodzi o wyzwanie, to żywię nadzieję, że mamy jedno zdanie?

- Sądzę, że tak, miłośniwy panie - odpowiedział Podlizar.

- I jakie jest wasze? - zapytał król.

- Niewątpliwie trzeba wyzwanie odrzucić - powiedział Podlizar. - Nikt jeszcze nie nazwał mnie tchórzem, ale muszę wyznać, że nie znajduję w swym sercu tyle odwagi, by stawić czoło temu młodzieńcowi. A jeśli, na co mi wygląda, jego brat, Wielki Król, jest jeszcze groźniejszy od niego, to, na twe życie, panie mój i królu, nie masz się co z nim mierzyć.

- A niech cię zaraza pochłonie! - ryknął Miraż. - Nie takiej rady oczekiwałem. Czy myślicie, że wezwałem was po to, aby się dowiedzieć, czy mam się lękać tego Piotra (jeśli w ogóle taki istnieje)? Myślicie, że się go boję? Chciałem waszej rady co do taktyki, jaką powinniśmy zastosować, a mianowicie, czy warto ryzykować w takiej walce przewagę, którą już mamy.

- Na co mogę odpowiedzieć tylko jedno, wasza królewska mość - powiedział Podlizar - a mianowicie, że jest wiele powodów, aby to wyzwanie odrzucić. W twarzy tego dziwnego rycerza czai się groza śmierci.

- A ten znów swoje! - zawołał Miraż, porządnie już rozgniewany. - Czyżbyś chciał wykazać, że jestem takim tchórzem jak ty?

- Wasza królewska mość ma prawo mówić, co zechce - odpowiedział Podlizar obrażony.

- Mówisz jak stara baba, Podlizarze - powiedział król. - A jakie jest twoje zdanie, hrabio Sobiepanie?

- Nie przyjmuj wyzwania, panie - padła odpowiedź. - A to, co wasza królewska mość nazywa taktyką przewagi, będzie bardzo użyteczne. Daje to waszej królewskiej mości wyśmienity pretekst do odmowy pojedynku bez narażania dobrego imienia i honoru.

- Wielkie nieba! - wrzasnął Miraż, podrywając się od stołu. - Czy CIEBIE też dziś coś opętało? Czy myślisz, że SZUKAM pretekstów do odmowy? Równie dobrze mógłbyś mnie nazwać tchórzem.

Rozmowa toczyła się dokładnie w tym kierunku, jakiego sobie życzyli dwaj telmarscy panowie, nie powiedzieli więc nic.

- Widzę, co to wszystko oznacza - powiedział Miraż, wpatrując się w nich tak, jakby mu za chwilę oczy miały wyskoczyć z orbit. - Sami jesteście tchórzliwi jak zające i macie czelność przykładać swoją miarę do mojego serca! Preteksty do odmowy, też mi coś! „Przepraszam, ale nie walczę!” Czy nie jesteście żołnierzami? A jeśli

rzeczywiście odmówię (co nakazywałyby wymogi taktyki wojennej), będziecie uważać i innym to wmawiać, że stchórzyłem? Czy nie o to wam chodzi?

- Żaden rozsądny żołnierz - powiedział Podlizar - nie nazwie tchórzem mężczyzny w wieku waszej królewskiej mości, jeśli ten odmówi walki z tak groźnym rycerzem w kwiecie wieku.

- A więc według was jestem starym niedołęgą, stojącym jedną nogą w grobie? - zagrzmał Miraż. - Powiem wam, do czego to wszystko prowadzi, moi panowie. Wasze babskie rady - haniebne nawet z jedynie rozsądnego punktu widzenia, a więc z punktu widzenia taktyki i polityki - wywołały skutek całkowicie odmienny od tego, o jaki wam chodziło. Chciałem odrzucić to wyzwanie. Ale przyjmę je. Słyszycie, przyjmuję je! Nie pozwolę się zhańbić tylko dlatego, że jakiś urok - albo i jad zdrady - zatrzał wam krew.

- Zaklinamy waszą królewską mość... - zaczął Podlizar, ale Miraż wyleciał z namiotu i natychmiast usłyszeli jego wrzask, gdy oznajmiał Edmundowi, że przyjmuje wyzwanie.

Dwaj telmarscy panowie spojrzeli na siebie i zachichotali cichutko.

- Wiedziałem, że to zrobi, jeśli tylko odpowiednio się go podbechta - powiedział Podlizar. - Nigdy jednak nie zapomnę, że nazwał mnie tchórzem. Zapłaci mi za to.

Wielkie było poruszenie w Kopcu Aslana, kiedy wieść o pojedynku rozeszła się wśród leśnych stworzeń. Pod nadzorem Edmunda i jednego z dowódców Miraza wytyczono szranki i ogrodzono je linami. Zgodnie z umową każda strona miała wyznaczyć po trzech mistrzów turnieju: dwóch w rogach i jednego w środku szranków. Piotr tłumaczył właśnie Kaspianowi, że nie może wystąpić w tej roli, bo to o jego prawo do tronu toczyć się będzie walka, gdy nagle rozległ się gruby, nieco zaspany głos:

- Wasza wysokość, wasza wysokość...

Piotr odwrócił się i zobaczył najstarszego z Trzech Brzuchatych Niedźwiedzi.

- Jeżeli wasza wysokość pozwoli, to się przedstawię. Jestem niedźwiedź.

- To nie ulega wątpliwości, i w dodatku z pewnością dobry niedźwiedź - powiedział Piotr.

- Tak. I my, niedźwiedzie, zawsze mieliśmy prawo wystawiania jednego z mistrzów turnieju.

- Nie słuchaj go, miłościwy panie - szepnął Zuchon. - To dobre stworzenie, ale przyniesie nam wstyd. Zaśnie i będzie ssał łapę na oczach wszystkich naszych wrogów. Nie robi mu to żadnej różnicy.

- Nie mogę tego uczynić - odpowiedział mu cicho Piotr. - On ma rację. Niedźwiedzie zawsze miały ten przywilej. Nie mogę tylko pojąć, jak pamięć o tym dochowała się przez tyle lat, choć o tak wielu innych rzeczach zapomniano.

- Miłościwy panie - zamruczał niedźwiedź.

- To wasze prawo - powiedział Piotr. - Tak więc mianuję cię jednym z mistrzów turnieju. Ale musisz pamiętać, żeby nie ssać łapy w szrankach.

- Ależ, miłościwy panie - zamruczał niedźwiedź z wyrzutem w głosie.

- A co robisz w tej chwili? - ryknął Zuchon. Niedźwiedź szybko wyjął pazury z pyska i udawał, że niczego nie słyszał.

- Panie! - odezwał się cienki głosik gdzieś z trawy.

- Ach Ryczypisk! - zawołał Piotr, rozglądając się wokół, jak to zwykle robią ludzie, gdy mówi do nich mysz.

- Panie! Oddałem życie na twoje rozkazy, ale mój honor należy do mnie. Panie, mam wśród swoich ludzi jedynego trębacza w całej armii waszej królewskiej mości, myślałem więc, że to my zostaniemy wysłani z poselstwem. Panie, moi ludzie są bardzo niezadowoleni. Gdybyś raczył mnie mianować mistrzem turnieju, może by ich to podniosło na duchu.

W tym momencie gdzieś z wysoka rozległ się hałas, przypominający wiosenny grzmot: to olbrzym Świdrogrzmot wybuchnął jednym z tych nie bardzo mądrych śmiechów, do których przyjemniejsze rodzaje olbrzymów są tak skore. Opanował się jednak natychmiast i spoważniał, zanim Ryczypisk odkrył, skąd pochodził hałas.

- Obawiam się, że to niemożliwe - powiedział Piotr z powagą. - Niestety, niektórzy ludzie boją się myszy...

- Zauważyłem to nieraz - wtrącił skromnie Ryczypisk.

- ...i byłoby nie bardzo uczciwie wobec Miraza - ciągnął Piotr - gdybyśmy postawili w zasięgu jego wzroku kogoś, kto mógłby obniżyć próg jego odwagi.

- Wasza królewska mość jest zwierciadłem rycerskiego honoru - powiedział Ryczypisk, składając jeden ze swoich najwspanialszych ukłonów. - Cieszę się, że mamy wspólne zdanie w tej sprawie... Zdawało mi się, że przed chwilą usłyszałem czyjś śmiech. Jeżeli ktoś z obecnych pragnie uczynić mnie przedmiotem swoich kpin, jesteśmy do jego usług, ja i mój miecz, kiedykolwiek znajdzie chwilę wolnego czasu.

Zapanowała śmiertelna cisza, którą przerwał głos Piotra:

- Olbrzym Świdrogrzmot, niedźwiedź i centaur Gromojar będą naszymi mistrzami szranków. Pojedynek zacznie się o drugiej po południu. Obiad w samo

południe!

- Myślę, Piotrze - powiedział Edmund, kiedy szli razem do Kopca - że wszystko JEST tak, jak być powinno. To znaczy, mam nadzieję, że możesz go zwyciężyć?...

- Będziemy walczyć właśnie po to, aby się o tym przekonać - odpowiedział Piotr.

ROZDZIAŁ 14

WSZYSCY SĄ BARDZO ZAJĘCI

TUZ PRZED GODZINĄ DRUGĄ Zuchon, borsuk i cała reszta Starych Narnijczyków zasiedli na skraju lasu, mając przed sobą w dole, w odległości dwu strzałów z łuku, połyskujące w słońcu szeregi armii Miraza. W samym środku, w miejscu, gdzie teren był płaski i równy, wyznaczono palikami i linami prostokąt, w którym miał się odbyć pojedynek. Przy dwu dalszych rogach stanęli z obnażonymi mieczami hrabiowie Podlizar i Sobiepan, a w bliższych rogach zajęli miejsca olbrzym Świdrogrzmot i Brzuchaty Niedźwiedź, który pomimo wszystkich próśb i gróźb pochłonięty był całkowicie ssaniem pazurów i, mówiąc szczerze, wyglądał bardzo głupio. Za to Gromojar stojący w środku nieruchomo, jeśli nie liczyć krótkich ruchów kopyt, rozgarniających od czasu do czasu murawę, wyglądał o wiele bardziej imponująco niż telmarski baron, stojący również w środku, tyle że po lewej stronie. Piotr uściśnął bez słowa rękę Edmundowi i Doktorowi i schodził teraz powoli po zboczu, gotów do walki. Była to chwila niezwykłego napięcia, jak oczekiwanie na strzał przed startem do jakiegoś ważnego wyścigu, tyle że stawka tych zawodów była o wiele, wiele poważniejsza.

- Jakby to było dobrze, gdyby Aslan pojawił się, zanim do tego doszło - powiedział Zuchon.

- Tak, i ja o tym myślałem - zgodził się Truflogon. - Ale spójrz za siebie!

- Na wrony i wapory! - zdumiał się karzeł, gdy tylko się odwrócił. - Cóż to takiego? Cóż to za olbrzymy, cudowne olbrzymy, jakby leśne bożki i boginki... Jest ich mnóstwo, setki, tysiące... Kim oni są?

- To driady, hamadriady i sylwany - odpowiedział Truflogon. - Aslan je przebudził.

- Wielka to będzie pomoc, jeśli tylko wróg spróbuje jakichś zdradzieckich sztuczek. Ale, niestety, nie pomoże to Wielkiemu Królowi, jeżeli Miraż okaże się tym, który lepiej włada mieczem.

Borsuk nic na to nie odpowiedział, bo oto Piotr i Miraż wchodzili już w szranki z dwu przeciwnych stron, obaj pieszo, w kolczugach, w hełmach i z tarczami. Podeszli do siebie, wymienili ukłony i wyglądało na to, że coś do siebie mówią, choć z tej odległości trudno było cokolwiek usłyszeć. W chwilę później dwa miecze błysnęły w słońcu, dał się słyszeć szcęk żelaza, ale natychmiast zagłuszyła go wielka wrzawa, ponieważ obie armie zaczęły wznosić okrzyki jak tłum na meczu piłkarskim.

- Dobrze! Och, Piotrze, wyśmienicie! - zawołał Edmund, kiedy zobaczył, jak Miraż cofa się o krok, a potem jeszcze o pół kroku. - Naprzód! Za ciosem! - Piotr natarł jeszcze raz i przez chwilę wydawało się, że walka zaraz się skończy. Ale Miraż wytrzymał atak, zebrał się w sobie i zaczął robić właściwy użytek ze swojego wzrostu i wagi.

- Mi-raz! - Mi-raz! Nasz król! Nasz król! - rozległ się ryk Telmarów. Kaspian i Edmund pobledli, czując niepokój wypełniający chłodem ich serca.

- Teraz przyjął kilka strasznych ciosów - powiedział Edmund.

- Hej! Co się teraz dzieje? - zawołał Kaspian.

- Rozłączyli się. Chwila oddechu, jak sądzę. Spójrz, znowu walczą, teraz z większą rozwagą i wyczuciem. Krążą wokół siebie, każdy próbuje poznać obronę przeciwnika.

- Obawiam się, że Miraż dobrze zna to rzemiosło - powiedział Doktor, któremu wzrok nie bardzo już dopisywał.

- Wielki Król ugodził go w pachę - powiedział Kaspian klaszcząc - dokładnie w to miejsce, w którym napierśnik styka się z rękawem. Pierwsza krew.

- Ale teraz znowu nie jest dobrze - odezwał się Edmund po jakiejś chwili. - Piotr nie wykorzystuje w pełni swojej tarczy. Wygląda na to, że jest ranny w lewe ramię.

W rzeczywistości było jeszcze gorzej. Wszyscy widzieli, że tarcza Piotra zwisa bezwładnie u jego boku. Krzyki Telmarów przybrały na sile.

- Widziałeś więcej walk ode mnie - powiedział Kaspian. - Czy są jakieś szanse?

- Nie są duże - odpowiedział Edmund. - Ale mam wciąż nadzieję, że PO PROSTU zwycięży. Jeśli będzie miał szczęście.

- Och, dlaczego w ogóle zgodziliśmy się na ten pomysł! - jęknął Kaspian.

Nagle okrzyki po obu stronach ucichły. Edmund wpatrywał się w szranki zaskoczony, ale po chwili powiedział:

- Aha, teraz już rozumiem. Zgodzili się na przerwę w walce. Chodźmy, Doktorze. Może uda nam się zrobić coś dla Wielkiego Króla.

Zbiegli do szranków i Piotr wyszedł ku nim zza lin, z twarzą czerwoną od wysiłku i mokrą od potu. Oddychał ciężko.

- Czy jesteś ranny w lewe ramię? - zapytał Edmund.

- Właściwie to nie jest rana - odpowiedział Piotr. - Przyjąłem na tarczę cały ciężar jego barku, jakby się na mnie zwałił wóz pełen cegieł, i uchwyt tarczy uszkodził

mi przegub. Nie sędzę, aby kość pękła, ale wygląda to na zwichnięcie. Jeżeli zwiążecie mi rękę bardzo mocno, to chyba jakoś wytrzymam.

Kiedy to robili, Edmund zapytał z niepokojem:

- Co o nim myślisz, Piotrze?

- Twardy. Bardzo twardy. Mam pewną szansę, jeśli uda mi się utrzymać go na odległość miecza, aż jego waga i krótki oddech, a także upał, pozbawią go sił. Ale, mówiąc szczerze, to cała moja szansa. Pozdrów ode mnie wszystkich, wszystkich w domu, Edziu, jeśli przegram. No, już wchodzi za liny. Bywaj, stary. Do widzenia, Doktorze. I proszę, cię, Edziu, powiedz coś specjalnie miłego Zuchonowi. To prawdziwy zuch, można na nim polegać.

Edmund nie był w stanie nic powiedzieć. Wrócił z Doktorem do reszty armii, czując dziwną słabość w żołądku.

Ale drugie starcie rozpoczęło się bardziej szczęśliwie. Piotr mógł teraz robić użytek ze swojej tarczy, a jeszcze lepszy ze swoich nóg. Tańczył wokół Miraza, utrzymując dystans i zmieniając raz po raz pozycję. Pojedynek zaczął przypominać zabawę w kotka i myszkę.

- Tchórz! - Telmarowie zaczęli gwizdać i pohukiwać. - Dlaczego unikasz starcia? Nie uśmiecha ci się to, co? Zapomniałeś, że tu trzeba walczyć, a nie tańczyć? Dalej!

- Och, modłę się, żeby ich przypadkiem nie posłuchał - odezwał się Kaspian.

- Nie on - powiedział Edmund. - Nie znasz go... Och!

Bo w tej chwili Mirazowi udało się wreszcie zadać cios. Klinga uderzyła w hełm Piotra, który zachwiał się i upadł na jedno kolano. Ryk Telmarów przypominał teraz huk wzburzonego morza.

- Teraz! Teraz, Mirazie! - wyli. - Szybko! Szybko! Zabij go!

Uzurpator nie potrzebował jednak ich zachęty: już był nad Piotrem. Edmund zagryzł wargi do krwi, kiedy miecz spadał ze świstem. Cios zadany był z taką siłą, że wydawało się, iż rozłupie Piotrowi czaszkę. Ale - dzięki Bogu! - klinga ześliznęła się po gładkiej krzywiźnie i ugodziła w prawe ramię. Wykuta przez karłów kolczuga wytrzymała cios.

- O holender! - krzyknął Edmund. - Już się podniósł. Piotrze, wytrzymaj!

- Nie mogę dostrzec, co się dzieje - powiedział Doktor. - Jak on to zrobił?

- Złapał Miraza za rękę, gdy ten ją opuścił, zadając cios - wołał Zuchon, tańcząc ze szczęścia. - To ci dopiero! Użył ręki przeciwnika jako laski! Oto nasz wódz! Wielki

Król! Wielki Król! Niech żyje Stara Narnia!

- Popatrzcie! - powiedział Truflogon. - Miraż zaczyna się wściekać. To bardzo dobrze.

Teraz obaj przeciwnicy postawili już wszystko na jedną kartę. Wymieniali ciosy tak szybko i zażarcie, że aż trudno było uwierzyć, iż zaden z nich nie był śmiertelny. W miarę jak napięcie rosło, krzyki zamierały, aż zapanowała cisza. Widzowie wstrzymali oddechy. Była to najstraszniejsza i jednocześnie najwspanialsza chwila.

Nagle Starzy Narnijczycy wydali głośny okrzyk. Miraż upadł twarzą na ziemię - i to nie po ciosie Piotra, ale potknąwszy się na kępce trawy. Piotr cofnął się i czekał, aż król wstanie na nogi.

- A niech to licho, niech to licho porwie! - jęknął Edmund do siebie. - Czy on musi być aż tak rycerski? Chyba musi. Jest przecież nie tylko rycerzem, ale i Wielkim Królem. Sądzę, że to by się podobało Aslanowi. Ale przecież ten potwór zaraz wstanie, a wtedy...

Ale „potwór” nie wstał. Baronowie Podlizar i Sobiepan uznali, że czas, by wkroczyć do akcji. Jak tylko zobaczyli, że ich król leży na ziemi, podnieśli miecze, wołając:

- Hańba! Hańba! Narnijski zdrajca ugodził go w plecy, gdy leżał bezbronny na ziemi! Do broni! Do broni, Telmarowie!

Piotr wciąż nie mógł zrozumieć, co się właściwie dzieje. Zobaczył dwóch wielkich Telmarów, biegnących ku niemu z obnażonymi mieczami. Potem trzeci przeskoczył przez linę z lewej strony.

- Do broni! Narnia! Zdrada! - zawołał. Pewnie nie zdążyłby w ogóle wydać z siebie głosu,

gdyby wszyscy trzej Telmarowie zaatakowali go jednocześnie, ale Podlizar zatrzymał się przy leżącym Mirazie i pchnął go mieczem. „To za twoją obelgę dziś rano”, wyszeptał wycierając klingę. Piotr skoczył, by odeprzeć atak Sobiepana. Ciął go w nogi i prawie jednocześnie, wywinąwszy mieczem młynka, rozłupał mu głowę. Przy jego boku stał już Edmund, wołając: „Narnia! Narnia! Aslan!” Ruszyła na nich cała chmara Telmarów. Ale teraz wkroczył do boju olbrzym, powoli prąc do przodu i mlóćąc maczugą. Rozpoczęły szarżę centaury. Z tyłu brzdęknęły łuki karłów i ze świstem przeleciał grad strzał. Zuchon walczył już po jego lewej stronie. Zaczęła się prawdziwa bitwa.

- Wycofaj się, Ryczypisku, ośle jeden! - zawołał Piotr. - Tutaj może cię spotkać

tylko śmierć. To nie miejsce dla myszy.

Ale śmieszne małe stworzonka już uwijały się po całym polu bitwy między nogami walczących, kłując na prawo i lewo swoimi szpadami. Tego dnia wielu Telmarów poczuło nagle, jak tuzin cienkich ostrzy przeszywa im stopy. Podskakiwali na jednej nodze i przeklinali ból, a kiedy padali na ziemię, czekała ich już niechybna śmierć z rąk myszy. Była to okrutna i wielce skuteczna metoda: jeśli któremuś udało się utrzymać na nogach, natychmiast padał obok inny.

Ale zanim jeszcze Starzy Narnijczycy rozgrzali się w walce na dobre, poczuli, że wróg ustępuje. Srogo wyglądający wojownicy bledli nagle, pokazywali sobie w przerażeniu nie ich, Starych Narnijczyków, ale coś poza nimi, i rzucali miecze, wrzeszcząc:

- Drzewa! Drzewa! Koniec świata!

Wkrótce nie słyhać już było ani ich krzyków, ani szczęku oręża, bo wszystko utonęło w przypominającym wzburzony ocean ryku obudzonych drzew, które minęły linie armii Piotra i ruszyły w pościg za Telmarami. Czy staliście kiedyś na skraju wielkiego lasu rosnącego na wysokim grzbiecie górskim, gdy dziki południowo-zachodni wicher uderzy weń w jesienny wieczór? Wyobraźcie sobie ten dźwięk. A potem wyobraźcie sobie, że drzewa, zawsze wrośnięte w jedno miejsce, ruszają nagle prosto na was i oto przestają być drzewami i zamieniają się w olbrzymich ludzi, a jednak wciąż przypominają drzewa, bo ich długie ręce kołyszą się jak konary, głowy podnoszą się i opadają, liście lecą naokoło jak deszcz. Tak to właśnie widzieli Telmarowie, a nawet Narnijczycy byli trochę zaniepokojeni. W ciągu kilku minut całe wojsko Miraza pędziło już w dół, ku Wielkiej Rzece, w nadziei przedostania się przez most do Beruny i zorganizowania tam obrony za wałami i zamkniętymi bramami miasta.

Ale kiedy dotarli do Rzeki, czekała ich straszna niespodzianka. Mostu nie było. Zniknął już poprzedniego dnia. Ogarnęło ich jeszcze większe przerażenie i w panice wszyscy się poddali.

A co właściwie stało się z mostem?

Wczesnym rankiem, po kilku godzinach snu, dziewczynki obudziły się i zobaczyły Aslana, który stał nad nimi i mówił:

- Wstawajcie, zrobimy sobie święto!

Przetarły oczy i rozejrzały się dookoła. Drzewa już odeszły, w oddali widać było ich ciemną masę, napływającą powoli ku Kopcowi Aslana. Bachus i menady - jego

dziwne, zwariowane towarzyszeki - byli wciąż w pobliżu. Łucja skoczyła na nogi, całkowicie wypoczęta. Wszyscy się już obudzili, wszyscy się znowu śmiali i znowu rozśpiewały się flety i rozdzwoniły cymbały. Wokół nich zgromadziły się tłumy zwykłych, niemych zwierząt.

- A co teraz będzie, Aslanie? - zapytała Łucja. Oczy jej się śmiały, a nogi same rwały się do tańca.

- Chodźcie, dzieci - powiedział Lew. - Dzisiaj będziecie znowu jechać na moim grzbiecie.

- Och, cudownie! - krzyknęła Łucja i obie wspięły się szybko na ciepły, złocisty grzbiet, jak to już kiedyś zrobiły - dawno, dawno, nikt nie wie, ile lat temu. A potem ruszyli w drogę. Aslan na przedzie, za nim Bachus i menady, podskakując, goniąc się i wywijając koziolki. Wokół nich wszędzie brykały najróżniejsze zwierzęta, a Sylen na osiołku zamykał pochód. Skierowali się nieco w prawo, zbiegli w dół po stromym zboczu i znaleźli się nad Rzeką, przed Mostem Beruny. Zanim jednak na niego weszli, z wody wynurzyła się wielka, mokra i brodata głowa opleciona wieńcem z sitowia. Spojrzała na Aslana, a z jej ust rozległ się głęboki głos:

- Bądź pozdrowiony, Aslanie! Uwolnij nas z łańcuchów!

- A cóż TO takiego? - szepnęła Zuzanna.

- To chyba Wodnik, duch Rzeki. Ale cicho! - odpowiedziała Łucja.

- Bachusie - powiedział Aslan - uwolnij go z łańcuchów.

„Zdaje mi się, że chodzi o most” , pomyślała Łucja. I miała rację. Bachus i jego towarzyszeki wskoczyli do płytkiej wody i za chwilę zaczęły się dziać bardzo dziwne rzeczy. Wielkie, mocne pnącza bluszczu nagle skłębiły się wokół wszystkich przęseł mostu, rosnąc tak szybko, jak płomień ognia. Oplatały kamienie, wciskały się w szczeliny, aż w końcu wielkie głazy zaczęły się z trzaskiem kruszyć, pękać i rozdzielać. Przez kilka chwil most był jednym wielkim żywopłotem, a potem z hukiem i dudnieniem zapadł się nagle w spienione fale. Z pluskiem, wrzaskiem i śmiechem cała wesoła kompania przeprawiła się - brodząc, płynąc lub tańcząc - przez dość płytką w tym miejscu Rzekę („Hurra! Znowu mamy Bród Beruny!” , zawołały dziewczynki) i wyszła na przeciwległy brzeg, na bulwary i ulice miasta.

Na ich widok wszyscy zaczęli uciekać w popłochu. Pierwszym domem, do którego przyszli, była szkoła. Grupa narnijskich dziewcząt ze schludnie splecionymi warkoczami, w brzydkich, ciasnych, uwierających szyje kołnierzykach i w grubych pończochach, od których swędziały nogi, miała właśnie lekcję historii. „Historia” ,

której nauczano w Nowej Narnii za rządów Miraza, była jeszcze nudniejsza niż najprawdziwsza historia, o jakiej kiedykolwiek czytaliście, i mniej prawdziwa niż najbardziej fantastyczna książka przygodowa.

- Gwendolino, jeżeli nie zaczniesz wreszcie uważać - powiedziała właśnie nauczycielka - i jeśli nie przestaniesz wyglądać przez okno, postawię ci dwóję ze sprawowania.

- Ale, pani Pryzello... - zaczęła Gwendolina.

- Słyszałaś, co powiedziałam, Gwendolino? - zapytała pani Pryzella.

- Proszę mi wybaczyć, pani Pryzello - odpowiedziała Gwendolina - ale tam jest LEW!

- Druga dwója z zachowania za mówienie bzdur

- powiedziała pani Pryzella. - A teraz...

A teraz przerwał jej głośny ryk, a do klasy wtargnęły przez okna pnąca bluszczu. Ściany pokryła zielona, migocząca masa. Tam, gdzie był sufit, zwisały teraz ciężkie girlandy obsypanych liśćmi gałązek. Pani Pryzella stwierdziła, że stoi w trawie na leśnej polanie. Złapała się kurczowo swojego stolika, bo zakreśliło się jej w głowie, lecz odkryła, że stolik zamienił się w krzak róży. Jakieś dziwne istoty, jakich nigdy nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, krążyły wokół niej. Potem zobaczyła Lwa i zaczęła z piskiem uciekać, a za nią cała klasa, składająca się w większości z przysadzistych, nadętych i bardzo nudnych dziewczynek o tłustych nóżkach. Została tylko Gwendolina.

- Czy chcesz się do nas przyłączyć, kochanie?

- zapytał Aslan.

- Och, a mogę? Dziękuję, dziękuję! - zawołała Gwendolina. Natychmiast schwyciła wyciągnięte do niej dłonie dwóch menad, które zaczęły ją okręcać w wesołym tańcu, a potem szybko pomogły jej uwolnić się od najbardziej niewygodnych i zupełnie niepotrzebnych części szkolnego mundurka.

I tak było wszędzie, gdzie tylko się pojawili w owym małym, spokojnym niegdyś miasteczku Beruna. Większość mieszkańców uciekła, reszta przyłączyła się do radosnego pochodu. Miasteczko opuszczała jeszcze większa i jeszcze bardziej wesoła gromada.

Szli teraz przez równinę, ciągnącą się wzdłuż północnego brzegu Rzeki. Z każdej zagrody wybiegały zwierzęta, aby się do nich przyłączyć. Stare, ponure osły, które nie wiedziały przedtem, co to jest zabawa, stawały się nagle młode; psy zrywały

się z łańcuchów; konie roztrzaskiwały swoje wozy na kawałki i przybiegały do nich truchtem, wzbijając kopytami błoto i rżąc radośnie.

Na podwórzu jednego z gospodarstw, przy studni, natrafili na mężczyznę, który okładał kijem jakiegoś chłopca. Z kija wystrzeliły nagle kwiaty, a kiedy chciał go odrzucić, przyrósł mu do ręki. I oto w mgnieniu oka jego ramię zamieniło się w gałąź, tułów w pień, a stopy w korzenie. Chłopiec przestał płakać, wybuchnął radosnym śmiechem i szybko się do nich przyłączył.

W małym miasteczku, leżącym w połowie drogi do Bobrowej Tamy, gdzie spotykają się dwie rzeki, zobaczyli inną szkołę, w której bardzo mizerna i zmęczona panienska uczyła arytmetyki gromadkę chłopców bardzo przypominających prosiaki. Wyjrzała przez okno i zobaczyła wesołą leśną gromadę, tańczącą i śpiewającą na ulicy. Dreszcz radości przeszył jej serce. Aslan zatrzymał się pod oknem i spojrzał na nią.

- Och, nie, nie - zawołała. - Tak bym chciała, ale przecież nie mogę. Muszę spełniać swoje obowiązki. Dzieci by się przestraszyły, gdyby ciebie zobaczyły.

- Przestraszyły? - powtórzył najbardziej prosiakowaty chłopiec. - Do kogo ona mówi? Powiemy inspektorowi, że ona rozmawia z ludźmi przez okno, zamiast nas uczyć.

- Chodźcie, zobaczymy, kto tam jest - powiedział drugi chłopiec i wszyscy zaczęli się tłoczyć do okna. Ale jak tylko małe główki pojawiły się w otwartym oknie, Bachus zakrzyczał dziko: „Euau - euoi - oi - oi!” i chłopcy zaczęli wrzeszczeć ze strachu, a potem rozbiegli się w panice, czmychając przez drzwi i okna gdzie pieprz rośnie. Mówiono później (trudno powiedzieć, czy to prawda, czy nie), że już nigdy więcej nie widziano tych chłopców, ale w okolicy pojawiło się małe stadko różowych i tłustych prosiaczków, którego tu nigdy przedtem nie było.

- Chodź do nas, moje serduszko - powiedział Aslan do nauczycielki, a ona wyskoczyła szybko przez okno i przyłączyła się do radosnego pochodu.

Przy Bobrowej Tamie przeszli z powrotem przez Rzekę i skierowali się na wschód, wzdłuż południowego brzegu. Natrafili na mały, wiejski domek, w którego drzwiach stało płaczące dziecko.

- Dlaczego płaczesz, kochanie? - zapytał Aslan. Dziecko, które nigdy nie widziało lwa nawet na obrazku, wcale się go nie przestraszyło.

- Moja ciocia jest bardzo chora - powiedziało. - Chyba umrze.

Aslan chciał wejść do środka, ale drzwi okazały się za małe, więc wsadził tylko łeb (Łucja i Zuzanna zeskoczyły szybko z jego grzbietu czując, co się święci), naparł

barkami, podniósł cały dom i odrzucił go na bok. Zobaczyli starą kobietę, wyglądającą, jakby w niej płynęła krew karłów. Leżała w łóżku, które stało teraz pod gołym niebem. Była już u wrót śmierci, ale kiedy otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą jasną, okoloną grzywą twarz Lwa, nie wrzasnęła ani nie zemdląła ze strachu, tylko powiedziała:

- Och, Aslan! Wiedziałam, że to prawda. Czekałam na ciebie przez całe życie. Czy przyszedłeś, aby mnie zabrać ze sobą?

- Tak, moja kochana - powiedział Aslan. - Ale to jeszcze nie będzie daleka podróż. - I kiedy to mówił, na jej bladej twarzy pojawił się rumieniec - jak blask różowiały brzeg chmurki o wschodzie słońca - oczy zajaśniały, usiadła w łóżku i powiedziała:

- Naprawdę, czuję się już lepiej! Chyba mogę sobie pozwolić na małe śniadanko?

- Służę ci, mateczko - powiedział Bachus, zanurzając cebrzyk w studni. A kiedy go jej podał, okazało się, że to nie woda, ale najprawdziwsze wino, czerwone jak jagody ostrokrzewu, gładzące podniebienie jak oliwa, krzepiące jak bycza krew, rozgrzewające jak herbata i chłodne jak rosa.

- Ejże, co ty zrobiłeś z naszą studnią? - zaśmiała się staruszka. - Ale to nie najgorsza zmiana, wcale nie najgorsza. - I wyskoczyła z łóżka.

- Pojedziesz na moim grzbiecie - powiedział Aslan. - A wy, moje królowe, będziecie teraz musiały biec.

- Wcale nas to nie martwi - odpowiedziała Zuzanna.

I ruszyli dalej.

I tak, wśród wesołych podskoków, tańców i pieśni, z muzyką, śpiewaniem, porykiwaniem, szczekaniem i rzeniem, przybyli w końcu do miejsca, w którym całe wojsko Miraza stało, porzuciwszy miecze, z rękami podniesionymi do góry, a armia Piotra otaczała ich ze wszystkich stron z bronią w rękach, dysząc ciężko, lecz z triumfem na twarzach. A pierwszą rzeczą, jaka się wydarzyła, było to, że staruszka zsunęła się z grzbietu Lwa, podbiegła do Kaspiana i rzuciła mu się w objęcia. Ucałowali się serdecznie, albowiem była to jego stara niania.

ROZDZIAŁ 15

ASLAN ROBI DRZWI W POWIETRZU

NA WIDOK ASLANA policzki telmarskich żołnierzy pokryły się trupią bladością, kolana zaczęły im stukać jedno o drugie, a wielu padło na twarz. Nie wierzyli przedtem w lwy i teraz bali się jeszcze bardziej. Nawet Czerwone Karły, które wiedziały już, że przychodzi jako sprzymierzeniec, stały z otwartymi ustami, a głos zamarł im w gardłach. Kilku Czarnych Karłów, należących do grupy Nikabrika, zaczęło chyłkiem uciekać. Natomiast wszystkie mówiące zwierzęta cisnęły się do Lwa, mrużąc, chrząkając, popiskując i rżąc z radości, wymachując ogonami, łasząc się i ocierając o niego, trącając go nosami i przebiegając tam i z powrotem pod jego brzuchem oraz między łapami. Jeśli widzieliście kiedy małego kotka łaszącego się do wielkiego psa, którego zna i do którego czuje zaufanie, to będziecie mogli wyobrazić sobie to, co działo się wokół Aslana. A potem przez tłum zwierząt przecisnął się Piotr, prowadząc Kaspiana.

- To jest Kaspian, panie - powiedział. A Kaspian ukląkł na jedno dolano i ucałował łapę Lwa.

- Witaj, książę - powiedział Aslan. - Czy czujesz w sobie dość siły i mądrości, aby objąć panowanie nad Narnią?

- Ja... ja... nie sądzę, abym coś takiego czuł, panie - wyjąkał Kaspian. - Jestem jeszcze chłopcem.

- To dobrze - odpowiedział Aslan. - Bo gdybyś to czuł, byłby to najlepszy dowód, że brakuje ci i sił, i mądrości. Dlatego też mocą naszą i mocą Wielkiego Króla Piotra czynimy cię Królem Narnii, Panem na Ker-Paravelu, Cesarzem Samotnych Wysp. Ciebie i twoich dziedziców, póki będzie żył twój ród. Twoja koronacja... ale cóż tutaj mamy?

Przerwał, bo w tej chwili ukazała się dziwna procesja: jedenaście myszy, z których sześć niosło nosze zrobione z gałązek, nosze nie większe od dużego atlasu. Nikt jeszcze nie widział myszy bardziej od nich przygnębionych i nieszczęśliwych. Wszystkie pokryte były błotem - a niektóre krwią - uszy i wąsy zwisały im żałośnie, ogony wlokły się po trawie, a trębacz grał na malutkiej piszczałce smutną melodię. Na noszach leżało coś, co nie wyglądało lepiej niż kawałek zmoczonego futerka - wszystko, co pozostało po walecznym Rycypisku. Wciąż jeszcze oddychał, ale widać było, że kołaczę w nim tylko słaba iskierka życia. Miał liczne rany, jedną łapkę zmiażdżoną, a w miejscu ogona widać było tylko obandażowany kikut.

- Teraz twoja kolej, Łucjo - powiedział cicho Aslan.

Łucja natychmiast wydobyła swój diamentowy flakonik. Chociaż na każdą ranę Ryczypiska wystarczyła tylko jedna kropla cudownego leku, ran było tyle, że długo trwała pełna napięcia cisza, zanim Łucja skończyła i Pan Mysz zeskoczył z noszy. Jedną ręką powędrowała natychmiast do rękojeści szpady, a druga podkręciła węż. Potem skłonił się.

- Witaj, Aslanie! - rozległ się przenikliwy głosik. - Mam honor... - i nagle urwał.

Nie wiadomo dlaczego: czy Łucja o tym zapomniała, czy też czarodziejski kordiań leczyl tylko rany, a nie mógł spowodować, by odrastały utracone członki - dość, że Ryczypisk wciąż nie miał ogona. Stwierdził jego brak, gdy składał swój wyszukany ukłon; być może ogon pomagał mu zwykle zachować przy tym równowagę. Spojrzał przez ramię, a ponieważ ogona wciąż nie było widać, wykręcał szyję coraz bardziej, aż wreszcie musiał się cały obrócić. Oczywiście razem z szyją i tułowiem obracał się również jego zadek, co sprawiało, że wciąż nie mógł go zobaczyć. Spróbował jeszcze raz, niestety, z tym samym skutkiem. Dopiero gdy wykonał trzy pełne obroty, dotarła do niego straszliwa prawda.

- Jestem zmieszany - powiedział do Aslana.

- Jestem naprawdę w głębokiej konfuzji. Błagam o wybaczenie za tak niestosowny wygląd.

- Nie widzę w tym nic niestosownego, mój mały - powiedział Aslan.

- Jednak - odpowiedział Ryczypisk - jeśli tylko można by coś z tym zrobić... Może wasza wysokość?... - i skłonił się nisko przed Łucją.

- Ale po co ci koniecznie ogon? - zapytał Aslan.

- Panie mój, mogę bez niego jeść i spać, a także umrzeć za mojego króla. Ale ogon to honor i chwała każdej myszy.

- Czasami zastanawiam się, przyjacielu - powiedział Aslan - czy nie za dużo myślisz o swoim honorze.

- O najwyższy z wielkich królów! - odezwał się Ryczypisk. - Pozwól mi zwrócić uwagę na to, że myszy zostały obdarzone bardzo małym wzrostem i jeżeli nie będziemy strzec naszej godności, niektórzy (ci, co mierzą swą wartość centymetrem) mogą sobie pozwolić na bardzo nieprzyjemne żarty pod naszym adresem. Właśnie dlatego zadaję sobie trochę trudu, aby było wiadome, że nikt, kto nie chce poczuć końca tej szpady blisko swego serca, nie będzie w mojej obecności opowiadał o Pułapkach, albo o Pieczonym Serze, albo o Świecach. Nie, panie, nie pozwolę na to

nawet najwyższemu głupcowi w całej Narnii!

I spojrział bardzo groźnie na Świdrogrzmota, ale olbrzym, do którego wszystko docierało z pewnym opóźnieniem, nie odkrył jeszcze, kto tam przemawia w dole, koło jego stopy, i nie pochwycił aluzji.

- A czy mogę zapytać, dlaczego to wszyscy twoi towarzysze dobyli mieczy? - zapytał Aslan.

- Niech wasza wielka wysokość pozwoli mi wyjaśnić - powiedział jeden z małych rycerzy. - Jesteśmy gotowi odciąć sobie ogony, jeśli nasz wódz będzie musiał odejść stąd bez swojego. Nie moglibyśmy znieść wstydu obnoszenia naszego honoru, jeśli by brakowało go Wielkiej Myszy.

- Ach! - zaryczał Aslan. - Zawojowaliście mnie. Macie wielkie serca. I nie z powodu twojej godności, Ryczypisku, ale z powodu miłości, jaka łączy cię z twoim ludem, a jeszcze bardziej z powodu dobroci, jaką twoi poddani okazali mi dawno temu, kiedy na tym Kamiennym Stole przegryźli moje więzy (i właśnie wtedy, choć już tego nie pamiętacie, staliście się MÓWIĄCYMI myszami) - będziesz miał znowu swój ogon!

I zanim skończył mówić, ogon był na swoim miejscu. A potem, na rozkaz Aslana, Piotr pasował Kaspiana na Rycerza Zakonu Lwa, a Kaspian, gdy tylko został rycerzem, nadał tę samą godność Truflogonowi, Zuchonowi i Ryczypiskowi, Doktora Korneliusa uczynił Wielkim Kanclerzem oraz potwierdził prawo Trzech Brzuchatych Niedźwiedzi do pełnienia godności mistrza turnieju z prawem dziedziczności. A wszyscy przyjęli to z wielkim entuzjazmem.

Potem - bez szyderstw i uderzeń, ale ze stanowczością - przeprowadzono telmarskich żołnierzy przez bród i zamknięto ich pod kluczem w miasteczku Beruna, gdzie wydano im piwo i wołowinę. Było przy tym trochę zamieszania, bo Telmarowie nienawidzą wody i boją się do niej wejść, podobnie jak nienawidzą i boją się lasów i zwierząt. Ale w końcu jakoś sobie z tą delikatną sprawą poradzono i zaczęła się najmiłsza część tego długiego dnia.

Lucja siedziała blisko Aslana i czuła się szczęśliwa tak, że trudno to w ogóle opisać. Ale cóż wyprawiają te drzewa? Najpierw myślała, że to jakiś nowy taniec, bo rzeczywiście utworzyły dwa ruchome kręgi, z których każdy obracał się wolno w inną stronę. Potem zauważyła, że przez cały czas drzewa rzucają coś pomiędzy te dwa kręgi. Raz wydawało się jej, że są to długie pasma ich włosów, innym razem, że odłamują sobie długie palce, ale jeśli tak rzeczywiście było, to musiały mieć mnóstwo

niepotrzebnych włosów i palców, i z całą pewnością nie sprawiało im to przykrości. Cokolwiek jednak rzucały, kiedy już to upadło na ziemię, zamieniało się w suche patyki i chrust. Wreszcie wystąpiło trzech lub czterech karłów z krzesiwami i hubką. Stos chrustu najpierw zatrzeszczał, potem zapłonął, aż w końcu wystrzelił w górę i zahuczał, jak przystało na leśne ognisko w letnią noc, a wszyscy usiedli wokół niego.

Potem Bachus, Sylen i menady zaczęły tańczyć. Był to taniec o wiele bardziej dziki niż taniec drzew. Był to taniec nie tylko radości i piękna, ale i magiczny taniec obfitości. Gdzie tylko stąpnęły ich nogi i nachyliły się dłonie, tam pojawiała się wszystko, czego potrzeba do wspaniałej uczty: polacie pieczonego mięsa, które napełniały cały las cudownym zapachem, pszenne placki i owsiane ciastka, miód i różnokolorowe głowy cukru, krem gęsty jak owsianka i aksamitny jak woda w sadzawce, brzoskwinie, morele, granaty, gruszki, winogrona, truskawki, maliny - całe piramidy i kaskady owoców. Potem, w wielkich drewnianych czarach, misach i dzbanach oplecionych bluszczem pojawiły się wina: ciemne i gęste jak morwowy syrop, klarowne i czerwone jak rozpuszczona czerwona galaretka, złote i zielone, a także złotozielone i zielonozłote.

Dla Drzewnego Ludu postarano się o inne smakołyki. Kiedy Łucja zobaczyła, jak Gburak Łopata i jego krety rozkopują murawę (w miejscach, które wskazywał im Bachus) i zrozumiała, że drzewa będą jadły ZIEMIĘ, trochę to nią wstrząsnęło. Ale kiedy zobaczyła ziemię, jaką przyniosły im krety, poczuła się zupełnie inaczej. Najpierw był ciemnobrazowy czarnoziem, który tak przypominał czekoladę w proszku, że Edmund nie mógł się powstrzymać, aby go nie skosztować; niestety, okazało się, że wygląd nie zawsze świadczy o smaku. Kiedy żyzny czarnoziem zaspokoił pierwszy głód drzew, zabrały się do ziemi, którą można zobaczyć w Anglii, w hrabstwie Somerset: jasnej gleby prawie różowego koloru. Według drzewiastych była ona lżejsza i słodsza. Na etapie serów podano im glebę kredową, a na koniec delikatny deser, składający się z najprzedniejszych żwirków posypanych wybornym srebrnym piaskiem. Nie piły wiele wina (ale i tak ostrokrzewy zrobiły się bardzo rozmowne) i swoje pragnienie gasiły wielkimi łykami rosy zmieszanej z deszczem i zaprawionej leśnymi kwiatami oraz przybranej białymi chmurkami.

I tak Aslan podejmował ucztą Narnijczyków, a słońce dawno już zaszło i pojawiły się gwiazdy. Wielkie ognisko, teraz gorętsze, lecz cichsze, jaśniało jak latarnia morska wśród ciemnych lasów, a przerażeni Telmarowie patrzyli na nie z oddali i dziwili się, co to może być. Najlepsze w tej uczcie było to, że nie musiało się jej

kończyć, a potem żegnać się i odchodzić. Kiedy gawędy cichły i zamierały, uczujący zaczęli po prostu jeden po drugim drzemać, a potem zapadali w głęboki sen, z nogami w stronę ogniska, z przyjaciółmi po bokach, aż w końcu nad polaną zapanowała głęboka cisza i dał się znowu słyszeć plusk wody obmywającej kamienie w Brodzie Beruny. I tylko Aslan i Księżyc patrzyli na siebie przez całą noc szeroko otwartymi i pełnymi radości oczami.

Następnego dnia rozesłano po całym kraju heroldów (którymi były głównie wiewiórki i ptaki), aby ogłosili odezwę do rozproszonych Telmarów - nie wyłączając tych, którzy byli uwięzieni w Berunie. Oznajmiono im, że teraz królem jest Kaspian, a Narnia będzie odtąd należeć nie tylko do ludzi, ale i do mówiących zwierząt, karłów, driad, faunów i innych leśnych stworzeń. Każdy, kto zechce się podporządkować nowym prawom, może pozostać w Narnii, a dla tych, którym się to nie będzie podobało, Aslan przygotował inny kraj. Wszyscy, którzy pragną się tam udać, muszą stawić się przed Aslanem i królami przy Brodzie Beruny w południe piątego dnia od ogłoszenia odezwy. Możecie sobie wyobrazić, jak się zaczęli skrobać w głowę Telmarowie w całej Narnii. Niektórzy, zwłaszcza młodszy, słyszeli już przedtem - podobnie jak Kaspian - opowieści o Dawnych Czasach i cieszyli się, że znowu wróciły. Ci zdążyli się już zaprzyjaźnić z mieszkańcami lasu, a teraz postanowili pozostać w Narnii. Ale większość starszych, a zwłaszcza ci, którzy uprzednio piastowali urzędy i godności, nadąsała się i nie chciała żyć w kraju, w którym nie mogła już odgrywać pierwszoplanowej roli. „Żyć tutaj, z tymi wszystkimi przekłętymi tresowanymi zwierzętami? Nigdy w życiu”, mówili. „I z duchami”, dodawali inni, wstrząsając się z obrzydzeniem. „Bo czym są naprawdę te driady i inne cudaki? Możecie sobie to wyobrazić?” Byli też podejrzliwi. „Nie można mieć do nich zaufania, do tego straszego Lwa i całej reszty. ZOBACZYCIE, że niedługo wyciągnie po nas swoje pazury”. Ale zawarta w odezwie obietnica znalezienia im drugiej ojczyzny też budziła nieufność. „Zawlecze nas do swojego legowiska i zje jednego po drugim, jak amen w pacierzu”, mruzcili posępnie. A im dłużej rozprawiali o tym między sobą, tym bardziej robili się nadąsani i podejrzliwi. W końcu jednak więcej niż połowa Telmarów stawiła się o wyznaczonym czasie przy Brodzie Beruny.

Na jednym końcu polany Aslan kazał wbić w ziemię dwa długie, wyższe od człowieka paliki, tak że cała konstrukcja wyglądała jak drzwi prowadzące znikąd donikąd. O oznaczonej porze zebrali się przed nimi wszyscy: sam Aslan, mając po prawej stronie Piotra, a po lewej Kaspiana, Edmund, Zuzanna i Łucja, Zuchon i

Truflogon, Doktor Kornelius, Gromojar, Ryczypisk i inni. Dzieci i karły zrobiły dobry użytek z królewskiej garderoby znalezionej w tym, co było kiedyś zamkiem Miraza, a teraz stało się siedzibą Kaspiana. Cóż to były za jedwabie i złotogłowy, cóż za śnieżne płótna, bielejące między rozcięciami rękawów! I srebrzyste siatkowe koszulki, i wysadzone drogimi kamieniami rękojeści mieczów, i pozłacane hełmy, i aksamitne berety z pióropuszcami - wszystko to lśniło tak, że nie można było długo na nich patrzeć. Nawet zwierzęta zawiesiły sobie na szyjach bogate łańcuchy. Ale nikt nie przyglądał się ani dzieciom, ani karłom, ani zwierzętom. Wszystkie oczy wlepione były w Aslana, którego grzywa, opadając złocistą, żywą gęstwiną, jaśniała bardziej niż srebra i złotogłowy. Reszta Starych Narnijczyków stała w dwóch rzędach po obu brzegach polany, a na dalekim końcu zebrali się Telmarowie. Słońce świeciło jasno, proporce i sztandary łopotały na lekkim wietrze.

- Ludu Telmaru! - przemówił Aslan. - Wy, którzy szukacie nowej ojczyzny, posłuchajcie moich słów. Wyślę was do waszej własnej ojczyzny, którą ja znam, lecz której wy nie znacie.

- Nie pamiętamy Telmaru. Nie wiemy, gdzie on leży. Nie wiemy, jaki jest - zaczęli szemrać Telmarowie.

- Przyszliście do Narnii z Telmaru - mówił dalej Aslan - ale Telmar nie jest waszą prawdziwą ojczyzną. W ogóle nie należycie do tego świata. Przybyliście do niego wiele pokoleń temu ze świata, do którego należy Wielki Król Piotr.

Na te słowa połowa Telmarów wszczęła tumult, wykrzykując piskliwie:

- Sami widzicie! A nie mówiliśmy? Chce nas pozabijać, chce nas zgładzić z tego świata!

Druga połowa zaczęła natomiast wypinać piersi i poklepywać się nawzajem po ramionach mówiąc:

- Sami widzicie! Można było podejrzewać, że jesteśmy czymś lepszym od tego tłumu cudacznych, obmierzłych, nienaturalnych stworzeń. Widzicie, płynie w nas królewska krew! - I nawet Kaspian i Kornelius, a także czwórka dzieci, zwrócili się do Aslana z wyrazem zdumienia na twarzach.

- Spokój! - zagrzemiał Aslan niskim głosem, bardzo już bliskim ryku. Ziemia zdrząła lekko i każde żywe stworzenie zamarło w milczeniu.

- Ty, szlachetny Kaspianie - powiedział Aslan - powinieneś wiedzieć, że nie mógłbyś zostać prawdziwym królem Narnii, gdybyś nie był Synem Adama i gdybyś nie pochodził ze świata Synów Adama, jak starożytni królowie. I jesteś nim. Wiele lat

temu w tamtym świecie, na głębokim morzu, które nazywają tam Południowymi Morzami, okręt pełen piratów został rozbity przez burzę u brzegów pewnej samotnej wyspy. A oni zrobili to, czego się można było spodziewać po piratach: zabili krajowców i wzięli sobie ich kobiety za żony. Z palmy zrobili wino i pili je, zasypiając pijani w cieniu palmowych drzew. A potem budzili się, wszczynali kłótnie i często jeden zabijał drugiego. W czasie tych bójek sześciu zostało zmuszonych przez resztę do ucieczki, zabrali swoje kobiety i uciekli na wysoką górę, która wznosiła się pośrodku wyspy. Znaleźli tam jaskinię, w której się ukryli. Ale nie była to zwykła jaskinia. Było to jedno z magicznych miejsc, jedna ze szczelin między tym światem a tamtym. Dawno temu istniało wiele takich szczelin, lecz z biegiem czasu pozostawało ich coraz mniej. Ta była jedną z ostatnich, choć nie powiedziałem, że OSTATNIA. I stało się, że ci ludzie wpadli w tę szczelinę albo wspięli się przez nią, albo wpełzli w nią, albo przeciekli przez nią jak woda, dość że znaleźli się w tym świecie, w krainie Telmar, która nie była wówczas zamieszkana. A dlaczego była nie zamieszkana, to długa historia, opowiem wam ją innym razem. I tak żyli w Telmarze, a ich potomkowie stali się ludem dumnym i dzikim. Po wielu stuleciach nastał w Telmarze wielki głód i wtedy to najechali na Narnię, w której panował wówczas chaos (ale to również jest długa historia), podbili ją i zaczęli w niej panować. Czy słuchasz mnie uważnie, królu Kaspianie?

- Słucham z najwyższą uwagą, panie mój - odpowiedział Kaspian. - I wołałbym mieć bardziej szlachetne pochodzenie.

- Pochodzisz od Pana Adama i Pani Ewy - powiedział Aslan. - To wystarczy, by najędzniejszy z żebraków podniósł dumnie głowę, i wystarczy też, by największy na ziemi władca pochylił swe ramiona ze wstydu. Bądź zadowolony.

Kaspian skłonił się.

- A więc, mężowie i niewiasty Telmaru, czy chcecie wrócić do świata ludzi, na wyspę, z której wyszli wasi praojcowie? To nie jest złe miejsce. Potomkowie piratów dawno już wymarli i wyspa jest bezludna. Są tam źródła słodkiej wody i żyzna ziemia, drzewo na budulec i ryby w zatokach, a inni ludzie z tamtego świata jeszcze jej nie odkryli. Szczelina jest wciąż otwarta. Muszę was jednak ostrzec, że kiedy raz przez nią przejdziecie, zamknie się za wami na zawsze. Nie będzie już w tym miejscu połączenia między dwoma światami.

Zapanowała cisza. Potem jakiś krzepki, przyzwoicie wyglądający żołnierz wysunął się z tłumu Telmarów i powiedział:

- Zgoda. Ja przyjmuję tę propozycję.

- To dobry wybór - rzekł Aslan. - A ponieważ przemówiłeś pierwszy, bądź spokojny o swoją przyszłość w tamtym kraju. Podejdź tu.

Twarz mężczyzny pobladła, ale podszedł i stanął przed Lwem. Cały dwór rozstał się, pozostawiając mu wolną drogę do przejścia zrobionego z trzech tyczek.

- Przejdź przez to, mój synu - powiedział Aslan, nachylił się i lekko dotknął jego nosa swoim. Gdy tylko oddech Lwa owionął żołnierza, w jego oczach pojawił się nowy wyraz - wyraz zaskoczenia, jakby próbował sobie coś przypomnieć, a to coś było bardzo przyjemne. Wyprostował się i przeszedł przez Drzwi.

Wszystkie oczy były w niego utkwione. Wszyscy widzieli trzy drewniane tyczki, a pomiędzy nimi drzewa, trawę i niebo Narnii. Widzieli mężczyznę między tyczkami, a potem - w jednej sekundzie - już go nie było.

Z drugiego końca polany, gdzie zgromadziła się reszta Telmarów, rozległ się głośny lament.

- Och! Co się z nim stało! Czy chcesz nas wszystkich pozabijać? Nie przejdziemy tamtędy!

A jeden z mądrzejszych Telmarów powiedział:

- Nie widzimy żadnego innego świata między tymi tyczkami. Jeśli chcesz, abyśmy ci uwierzyli, dlaczego jeden z WAS nie przejdzie pomiędzy nimi? Wszyscy twoi przyjaciele jakoś się trzymają z dala od tych drzwi.

Jeszcze nie przebrzmiały jego słowa, gdy z gromadki dworzan wystąpił Rycypisk, skłonił się i powiedział:

- Jeżeli mój przykład może się na coś przydać, Aslanie, ja sam na czele moich jedenastu towarzyszy przejdę bez wahania między tymi tyczkami!

- Nie, mój mały - odparł Aslan, kładąc ostrożnie swoją aksamitną łapę na głowie Rycypiska. - Okropne rzeczy czekałyby cię w tamtym świecie. Pokazywano by cię na jarmarkach. Nie, to inni muszą dać przykład.

- Chodźcie - powiedział nagle Piotr do Edmunda i Łucji. - Nasz czas nadszedł.

- Co masz na myśli? - zapytał Edmund.

- Tędy! - krzyknęła Zuzanna, która sprawiała wrażenie, jakby była w coś wtajemniczona. - Tu, między drzewa. Musimy to zmienić.

- Co zmienić? - zapytała Łucja.

- Zmienić ubrania, rzecz jasna - odpowiedziała Zuzanna. - Ale byśmy głupio w TYM wyglądali na peronie małej angielskiej stacji.

- Ale przecież nasze stare ubrania są w zamku Kaspiana - zauważył Edmund.

- Nie, już ich tam nie ma - odezwał się milczący dotąd Piotr, który prowadził ich w najgęstsze zarośla. - Są tutaj. Zostały przyniesione dziś rano w tobołku. Wszystko jest gotowe.

- A więc to o tym mówił Aslan dziś rano tobie i Zuzannie? - zapytała Łucja.

- Tak, i o wielu innych rzeczach - powiedział Piotr z uroczystą miną. - Nie mogę tego powtórzyć wam wszystkim. Były tam rzeczy, o których chciał powiedzieć tylko mnie i Zuzannie, ponieważ my dwoje już nigdy nie wrócimy do Narnii.

- Nigdy?! - krzyknęli jednocześnie Edmund i Łucja z przerażeniem.

- Och, to was nie dotyczy - odpowiedział Piotr. - Bo z tego, co mówił, wynika, że w każdym razie wy wróćcie tu pewnego dnia. Ale Zuzanna i ja... już nigdy. Powiedział, że robimy się za starzy.

- Ach, Piotrze - zawołała Łucja - cóż to za pech! Możesz to znieść?

- No cóż, myślę, że jakoś to zniosę - odpowiedział Piotr. - Wszystko wygląda trochę inaczej, niż myślałem. Zrozumiecie to, kiedy nadejdzie wasz ostatni raz. A teraz pospieszcie się, tu są wasze rzeczy.

Nie był to dla nich miły powrót, teraz kiedy już zdjęli królewskie szaty i mieli na sobie swoje szkolne ubranka (niezbyt świeże, należy dodać). Wśród Telmarów dały się słyszeć pojedyncze gwizdy. Ale reszta mieszkańców Narnii powstała i zaczęła wiwatować na cześć Wielkiego Króla Piotra, królowej Zuzanny od Zaczarowanego Rogu, króla Edmunda i królowej Łucji. A potem były serdeczne i (przynajmniej jeśli chodzi o Łucję) nie wolne od łez pożegnania ze starymi przyjaciółmi: całusy ze zwierzętami, uściski z Brzuchatymi Misiami, ściskanie rąk z Zuchonem, a na końcu łaskoczące całowanie z Truflogonem. I oczywiście Kaspian próbował oddać róg Zuzannie, i oczywiście Zuzanna powiedziała, aby go zatrzymał. A potem było pożegnanie cudowne i okropne zarazem, pożegnanie z samym Aslanem. Aż wreszcie Piotr stanął pierwszy, za nim Zuzanna, która położyła ręce na jego ramionach, Edmund położył ręce na jej ramionach, Łucja położyła ręce na jego ramionach, pierwszy z Telmarów położył ręce na jej ramionach - i tak, w długim rzędzie, ruszyli ku Drzwiom. A potem nadszedł moment, który trudno opisać, ponieważ dzieciom wydawało się, że widzą trzy rzeczy naraz. Jedną był czarny wylot jaskini, otwierającej się na zieleń i błękit jakiejś wyspy na Pacyfiku, na której mieli się już za chwilę znaleźć Telmarowie po przejściu przez Drzwi. Drugą była leśna polana w Narnii, twarze karłów i zwierząt, przepastne oczy Aslana i białe pasma na policzkach borsuka. A

trzecią (która nagle pochłonęła tamte dwie) była szara, ponura płyta peronu na wiejskiej stacyjce i ławka z rozłożonymi wokół niej bagażami, na której wszyscy czworo siedzieli tak, jakby się z niej nigdy nie ruszali. Było to trochę nudne i ponure miejsce po tym wszystkim, co przeszli w Narnii, ale jednocześnie nieoczekiwanie miłe w swoisty sposób, ze znajomym kolejowym zapachem, angielskim niebem i jesiennym semestrem szkolnym przed nimi.

- No cóż - powiedział Piotr. - Ale MIELIŚMY przygodę!

- Psiakość! - zawołał Edmund. - Zostawiłem w Narnii swoją nową latarkę!

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział 1 WYSPA.....
Rozdział 2 STAROŻYTNY SKARBIEC.....
Rozdział 3 KARZEŁ.....
Rozdział 4 OPOWIEŚĆ KARŁA.....
Rozdział 5 PRZYGODY KASPIANA W GÓRACH.....
Rozdział 6 LUD MIESZKAJĄCY W UKRYCIU.....
Rozdział 7 STARA NARNIA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE.....
Rozdział 8 JAK WYDOSTALI SIĘ Z WYSPY.....
Rozdział 9 CO ZOBACZYŁA ŁUCJA.....
Rozdział 10 POWRÓT LWA.....
Rozdział 11 LEW RYCZY.....
Rozdział 12 CZARNA MAGIA.....
Rozdział 13 POD WODZĄ WIELKIEGO KRÓLA.....
Rozdział 14 WSZYSCY SĄ BARDZO ZAJĘCI.....
ROZDZIAŁ 15 ASLAN ROBI DRZWI W POWIETRZU.....

C.S. LEWIS

**PODRÓŻ WĘDROWCA DO
ŚWITU**

Przełożył Andrzej Polkowski

GEOFFREYOWI CORBETTOWI

ROZDZIAŁ 1

OBRAZ W SYPIALNI

BYŁ RAZ PEWIEN CHŁOPIEC, który nazywał się Eustachy Klarencjusz Scrubb, i trzeba powiedzieć, że raczej na to zasługiwał. Rodzice mówili na niego „Eustachy Klarencjusz”, a nauczyciele „Scrubb”. Trudno mi powiedzieć, jak go nazywali przyjaciele, ponieważ takich nie miał. Kiedy zwracał się do matki lub ojca, nie mówił „matko” lub „ojcze”, ale „Haroldzie” i „Alberto”. Byli to ludzie bardzo nowocześni i postępowi. Nie jadali mięsa, nie palili tytoniu i nie pili alkoholu, nosili też specjalną, higieniczną bieliznę. W ich domu było bardzo mało mebli, na łóżkach niewiele pościeli, a okna były zawsze otwarte.

Eustachy Klarencjusz lubił zwierzęta, zwłaszcza żuki, jeśli były martwe i przybite szpilkami do kartonu. Lubiał książki, jeśli tylko były pełne tak zwanych informacji oraz zdjęć nowoczesnych zbiorników na zboże albo tłustych, zagranicznych dzieci uczących się we wzorcowych szkołach.

Eustachy Klarencjusz nie lubił swoich kuzynów: Piotra, Zuzanny, Edmunda i Łucji Pevensie, ucieszył się jednak na wieść o przyjeździe Edmunda i Łucji. W głębi serca lubił bowiem przewodzić i pastwić się nad innymi, a chociaż był tylko małym, słabowitym chłopcem, który nie dałby rady nawet Łucji - nie mówiąc już o Edmundzie - wiedział, że jest wiele sposobów dokuczenia ludziom, jeśli się jest w swoim własnym domu, a oni są tylko gośćmi.

Edmund i Łucja wcale nie chcieli przyjeżdżać do wuja Harolda i ciotki Alberty. Nie mieli jednak wyboru. Tego roku ojciec jechał na szesnaście tygodni do Ameryki. Zaproszono go tam do wygłoszenia cyklu letnich wykładów. Matka zgodziła się jechać razem z nim, jako że od dziesięciu lat nie miała prawdziwych wakacji. Piotr przygotowywał się do trudnego egzaminu i postanowiono, że spędzi lato u starego profesora Kirke, w którego domu czwórka dzieci przeżyła kiedyś - jeszcze w czasie wojny - cudowne przygody. Gdyby Profesor miał wciąż ten wielki, stary dom, na pewno by zaprosił do siebie całą czwórkę. Ale tak się stało, że Profesor nie był już teraz tak zamożny i mieszkał w małym domku, w którym wszyscy by się nie pomieścili. Rodzice nie mogli sobie też pozwolić na zabranie całej czwórki do Ameryki. Pojechała tylko Zuzanna, która była ulubienicą rodziców, choć nie najlepiej się uczyła (była jednak bardzo dojrzała jak na swój wiek). Matka uznała, że „Zuzanna bardziej skorzysta z wyjazdu niż młodsze dzieci”. Edmund i Łucja starali się nie zazdrościć siostrze, ale perspektywa spędzenia wakacji u wujostwa wydawała się im

bardzo ponura. „A dla mnie to będzie jeszcze gorsze niż dla ciebie - mówił Edmund do Łucji - bo ty przynajmniej będziesz miała swój pokój, a ja będę musiał spać z tym królem wszystkich parszywców, Eustachym”.

Wszystko zaczęło się pewnego popołudnia. Byli już w domu wujostwa i zdołali wykraść kilka minut tylko dla siebie. Rozmawiali - rzecz jasna - o Narnii, o ich własnej, tajemnej krainie. Myślę, że większość z nas ma taką swoją tajemną krainę, ale dla większości z nas istnieje ona tylko w wyobraźni. Edmund i Łucja byli pod tym względem szczęśliwsi, ponieważ ich tajemna kraina istniała naprawdę. Odwiedzili ją już dwukrotnie i nie była to wcale zabawa lub sen, lecz najprawdziwsza rzeczywistość. Oczywiście dostali się tam dzięki Czarom, bo tylko dzięki Czarom można się dostać do Narnii. A kiedy Narnię opuszczali, obiecano im, że pewnego dnia do niej powrócą. Możecie więc sobie wyobrazić, że gdy tylko byli sami, rozmawiali o tym wciąż i wciąż.

Siedzieli na brzegu łóżka w sypialni Łucji i patrzyli na obraz wiszący na przeciwległej ścianie. Był to jedyny obraz w tym domu, który im się podobał. Natomiast ciotce Albercie nie podobał się wcale (i dlatego powiesiła go w małym, zwykle nie używanym pokoju na piętrze), ale ponieważ otrzymała go w prezencie ślubnym od kogoś, komu nie chciała zrobić przykrości, nie mogła go wyrzucić.

Na obrazie namalowany był okręt: żaglowiec płynący niemal wprost na patrzącego. Połączony dziób miał kształt głowy smoka z szeroko otwartą paszczą. Okręt miał tylko jeden maszt i jeden wielki prostokątny żagiel barwy czystej purpury. Zielone burty zwieńczone były na przedzie złotymi skrzydłami smoka. Dziób zawisł właśnie nad jedną z granatowych fał, której szczyt załamywał się i opadał pienistą kaskadą ku patrzącemu. Widać było, że okręt, pochylony lekko na lewą burtę, płynie chyżo naprzód, gnany silnym wiatrem. (Przy okazji, jeśli macie rzeczywiście zamiar przeczytać tę książkę i jeśli jeszcze tego nie wiecie, to zapamiętajcie, że lewa strona okrętu - gdy patrzy się ku dziobowi - nazywa się bakburtą, a prawa sterburtą.) Z tej właśnie strony - od bakburty - padały nań promienie słońca, a woda mieniła się zielenią i purpurą, z drugiej natomiast, ocienionej burtą i żaglem, była granatowa.

- Sam już nie wiem - odezwał się Edmund - czy nie jest jeszcze gorzej PATRZYĆ na okręt z Narnii, kiedy nie można się tam dostać...

- Nawet samo patrzenie jest lepsze niż nic - odpowiedziała Łucja. - Jest tak bardzo narnijski!

- A wy wciąż się bawicie w waszą starą zabawę? - przerwał im nagle Eustachy Klarencjusz, który podsłuchiwał pod drzwiami, a teraz wszedł do pokoju, szczerząc

zęby w grymasie, który miał oznaczać uśmiech. W zeszłym roku, kiedy odwiedził kuzynów, udało mu się podsłuchać, jak rozmawiali o Narnii, i odtąd bardzo lubił kpić sobie z tego. Był oczywiście święcie przekonany, że sami to wszystko wymyślili, a ponieważ był za głupi, by też coś wymyślić, bardzo go to drażniło.

- Nikt cię tu nie prosił - powiedział szorstko Edmund.

- Próbuję właśnie ułożyć limeryk - rzekł Eustachy. - Coś w tym rodzaju:

Pewne dzieci bawiące się w Narnię Coraz większy i większy bzik ogarniał...

- Po pierwsze, NARNIĘ i OGARNIAŁ nie rymuje się - zauważyła Łucja.

- To jest asonans - odrzekł Eustachy.

- Nie pytaj go, co to błazeńskie ple-ple znaczy - powiedział Edmund. - Wyłazi ze skóry, żeby tylko go o to zapytać. Nic nie mów, może sobie pójdzie.

Po takim przyjęciu prawie każdy chłopiec albo by sobie poszedł, albo próbował w jakiś sposób się odciąć. Ale Eustachy nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Pochodził trochę po pokoju, szczerząc wciąż zęby, a po jakimś czasie znów się odezwał:

- Podoba się wam ten obraz?

- Na litość boską, Łusiu, nie odpowiadaj, bo zaczniesz mówić o Sztuce i tak dalej - wtrącił szybko Edmund, lecz Łucja, która była bardzo prostolinijna, odpowiedziała:

- Tak, mnie się podoba. Bardzo mi się podoba.

- Straszny kicz - powiedział Eustachy.

- Jak stąd wyjdiesz, nie będziesz musiał na niego patrzeć - rzekł Edmund.

- A dlaczego ci się podoba? - zapytał Eustachy Łucję.

- Przede wszystkim dlatego, że okręt wygląda tak, jakby rzeczywiście płynął. A woda wygląda, jakby rzeczywiście była mokra. A fale - jakby naprawdę wznosiły się i opadały.

Naturalnie Eustachy miał na to mnóstwo odpowiedzi, ale nie powiedział nic, gdyż właśnie w tym momencie spojrzął na fale i zauważył, że rzeczywiście wyglądają tak, jakby się naprawdę wznosiły i opadały. Tylko raz w życiu płynął statkiem (i to zaledwie na wyspę Wight) i cierpiał wówczas okropnie z powodu choroby morskiej. Kiedy się przyglądał falom na obrazie, zrobiło mu się niedobrze. Odwrócił się (nieco zielony na twarzy), potem spróbował spojrzeć raz jeszcze. I wtedy nie tylko on, ale również Edmund i Łucja zaczęli wpatrywać się w obraz z szeroko otwartymi ustami.

W to, co zobaczyli, trudno uwierzyć, kiedy się o tym czyta, ale prawie tak samo trudno było w to uwierzyć, kiedy się to widziało. Obraz ożył. Nie przypominało to wcale kina: kolory były zbyt prawdziwe i czyste, czuło się też, że wszystko to dzieje się

na zewnątrz. Dziób okrętu opadł ciężko w wodę, a potem wzniósł się, wzbijając w powietrze masę pianistych bryzgów. Fala przebiegła wzdłuż burt i dźwignęła rufę tak wysoko, że po raz pierwszy ukazał się na chwilę pokład, a potem znikł, gdy dziób napotkał następną falę. W tej samej chwili leżący obok Edmunda zeszyt zafurkotał, uniósł się, poszybował w powietrzu i pacnął w ścianę. Łucja poczuła, że włosy zawirowały jej wokół twarzy, jakby nagle powiał silny wiatr. I to był wiatr - wiatr wiejący ku nim z obrazu. I nagle z wiatrem przy płynęły do nich dźwięki: chlust przewalających się fal, łomotanie wody w boki okrętu, trzeszczenie burt, a ponad tym wszystkim potężny, nieustający ryk wiatru i wody. Lecz dopiero zapach - mocny, słony zapach - przekonał Łucję, że to nie sen.

- Przestańcie! - rozległ się skrzekliwy, pełen strachu i złości głos Eustachego. - To jakieś wasze głupie sztuczki! Przestańcie! Bo powiem wszystko Albercie... Aauuuuu!...

Edmund i Łucja byli bardziej oswojeni z dziwnymi przygodami, ale dokładnie w tej samej chwili, gdy Eustachy krzyknął „Aauuuuu!”, i oni wrzasnęli „Aauuuuu!”, bo oto wielki, zimny i słony bałwan chlusnął nagle z ram obrazu, pozbawiając ich tchu. Byli przemoczeni do suchej nitki.

- Rozwałę to paskudztwo! - zawołał Eustachy. W tej samej chwili zaczęło się dziać wiele rzeczy

naraz. Eustachy ruszył w kierunku obrazu, a Edmund, który wiedział coś niecoś o Czarach, skoczył za nim krzycząc, aby nie był głupi i miał się na baczności. Łucja złapała go za rękę z drugiej strony i została pociągnięta do przodu. Jednocześnie albo obraz nagle urósł, albo też oni stali się mniejsi, dość że kiedy Eustachy podskoczył, próbując zerwać go ze ściany, znalazł się na ramie; przed nim nie było szyby, lecz prawdziwe morze, a wiatr i fale uderzały wściekle w ramię, jakby to była przybrzeżna skała. Eustachy zupełnie stracił głowę i złapał się kurczowo kuzynów, którzy wskoczyli na ramię obok niego. Rozległy się krzyki i zaczęła się lekka szamotanina. I właśnie wtedy, gdy wszystkim się zdawało, że złapali już równowagę, wyrósł przed nimi wielki, granatowy bałwan, zwałił ich z nóg i pociągnął prosto w morze. Rozpaczliwy krzyk Eustachego zamarł nagle, kiedy woda dostała mu się do ust.

Łucja dziękowała Bogu, że w ostatnim letnim semestrze zrobiła znaczne postępy w pływaniu. Co prawda, lepiej by sobie radziła, gdyby poruszała rękami trochę wolniej, a także gdyby woda nie okazała się tak przeraźliwie zimna, ale i tak

utrzymywała się jakoś na powierzchni. Szybko zrzuciła buty, jak powinien zrobić każdy, kto wpadnie w ubraniu do głębokiej wody. Pamiętała nawet o tym, aby mieć zamknięte usta i otwarte oczy. Znajdowali się wciąż blisko okrętu, zobaczyła piętrzącą się nad nią zieloną burtę i ludzi na pokładzie pokazujących ją sobie palcami. A potem, jak można się było spodziewać, Eustachy w panice uchwycił się jej kurczowo i woda przykryła im głowy.

Kiedy się wynurzyli, Łucja zobaczyła białą postać skaczącą z pokładu do morza. Edmund był teraz blisko nich i - przebijając szybko nogami w wodzie - zdołał pochwycić rękę wyjącego dziko Eustachego. A potem ktoś inny, czyja twarz była jej dziwnie znajoma, podtrzymał ją z drugiej strony. Na pokładzie zabrzmiały okrzyki, wiele głów pojawiło się nad balustradą, rzucono liny. Edmund i ów obcy pływak opasali ją liną. Nastąpiła długa chwila wyczekiwania, podczas której twarz jej posiniała i zęby zaczęły szczekać z zimna, aż wreszcie uchwyciono dogodny moment i wyciągnięto ją na górę. Kiedy już stanęła na pokładzie, drżąca i ociekająca wodą, okazało się, że mimo wysiłków marynarzy miała porządnie stłuczone kolano. W chwilę potem pojawił się nad burtą Edmund, a po nim wyciągnięto nieszczęsnego Eustachego. Na końcu wdrapał się na pokład złotowłosy chłopiec, zaledwie kilka lat od niej starszy.

- Ka... Ka... Kaspian! - wyjąkała Łucja, gdy tylko złapała oddech. Bo był to Kaspian, młody król, któremu podczas swych ostatnich odwiedzin w Narnii pomogli odzyskać tron. Teraz poznał go i Edmund. Uścisnęli sobie dłonie i pokleпали się po plecach, wielce uradowani.

- A kim jest wasz przyjaciel? - zapytał Kaspian, patrząc na Eustachego z miłym uśmiechem. Ale Eustachy płakał i to o wiele żałośniej, niż miałby prawo płakać chłopiec w jego wieku, któremu w końcu nie stało się nic gorszego od przemoknięcia do suchej nitki. Wśród szlochów słychać było od czasu do czasu urywane zdania:

- Ja chcę stąd iść... ja chcę wracać... wcale mi się to NIE PODOBA.

- Chcesz stąd iść? - zapytał Kaspian. - Ale dokąd?

Eustachy podbiegł do burty, jakby się spodziewał zobaczyć ramę obrazu wiszącą nad wzburzonym oceanem, a może i kawałek sypialni Łucji. Ale zobaczył tylko granatowe fale zwieńczone pianistymi grzywami i błękitne niebo stykające się z morzem na widnokręgu. Może i trudno winić go za to, że się załamał. Natychmiast zrobiło mu się niedobrze.

- Hej, Rynelfie! - zawołał Kaspian do jednego z marynarzy. - Przynieś

korzennego wina dla ich królewskich mości. Musicie się czymś rozgrzać po tej kąpieli.

Nazwał Edmunda i Łucję „ich królewskimi gośćmi”, ponieważ byli kiedyś - wraz z Piotrem i Zuzanną - królami i królowymi Narnii, dawno temu, jeszcze przed jego czasami. Narnijski czas płynie zupełnie inaczej niż nasz. Jeśli się spędzi w Narnii nawet sto lat, powraca się do naszego świata o tej samej godzinie, w której się go opuściło. Jeśli natomiast wróci się do Narnii po tygodniu spędzonym tutaj, może się

zdarzyć, że minęło już tysiąc narnijskich lat, albo jeden dzień, albo też czas w ogóle nie ruszył z miejsca. Nigdy się tego nie wie, dopóki się nie znajdzie w Narnii. Kiedy ostatnim razem Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja wrócili do Narnii, dla jej mieszkańców było to coś takiego, jakby król Artur wrócił do dzisiejszej Anglii (a są tacy, co twierdzą, że wróci; jeśli chodzi o mnie, to powiem tylko: im prędzej, tym lepiej).

Wrócił Rynelf, niosąc dymiący dzban wina z korzeniami i cztery srebrne kubki. Tego im właśnie było trzeba. Kiedy wysączyli po kubku gorącego płynu, poczuli od razu ciepło w całym ciele. Tylko Eustachy krzywił się, krztusił i pluł, i znowu był chory, i od nowa zaczął płakać, i prosił, aby mu dostarczono Witaminizowanej Odżywki na Nerwy firmy Plumtree i żeby mu ją rozpuszczono w destylowanej wodzie, i w ogóle, żeby go wysadzono na ląd w najbliższym porcie.

- Wesołego pasażera nam sprowadziłeś, bracie, nie ma co - szepnął Kaspian do Edmunda, chichocząc, ale nim zdążył powiedzieć coś więcej, Eustachy znowu wybuchnął:

- Och! Cóż TO znowu, na miłość boską! Zabierzcie to, zabierzcie to szkaradztwo!

Tym razem usprawiedliwiał go trochę fakt, że mógł być nieco zaskoczony. Z nadbudówki na rufie wyszło coś rzeczywiście dziwnego i powoli się do nich zbliżało. Można by to nazwać - i odpowiadałoby to prawdzie - myszą. Ale była to mysz stojąca na tylnych łapach i mająca ponad pół metra wysokości.

Wokół głowy miała wąską, złotą przepaskę z długim, szkarłatnym piórem. (Futerko myszy było ciemne, prawie czarne, więc efekt był wspaniały.) Pazury lewej łapy spoczywały na rękojeści rapiera, prawie tak długiego jak jej ogon. Podziw budził sposób, w jaki utrzymywała równowagę na kołyszącym się pokładzie, zachowując przy tym dostojność kroku i dworskość manier. Łucja i Edmund rozpoznali tę dziwną istotę natychmiast: był to Rycypisk, wódz myszy, najwaleczniejszy rycerz pośród wszystkich mówiących zwierząt Narnii. Okrył się on wielką sławą w drugiej bitwie pod

Beruną. Łucja miała straszną ochotę (a miała ją zawsze, kiedy go spotykała) pochwycić Rycypiska w ramiona i mocno do siebie przytulić. Wiedziała jednak, że to niemożliwe; poczułby się głęboko urażony. Przyklękła więc, aby z nim porozmawiać.

Rycypisk wystawił lewą nogę, cofnął prawą, wykonał głęboki ukłon, ucałował jej rękę, wyprostował się, podkreślił węża i powiedział przenikliwym, piskliwym głosem:

- Pokorny sługa waszej królewskiej mości. I króla Edmunda, a jakże. - Tu skłonił się ponownie. - Obecność waszych wysokośći była jedyną rzeczą, jakiej nam brakowało w tej wspaniałej przygodzie.

- Och, zabierzcie to stąd - jęknął znowu Eustachy. - Nienawidzę myszy. I nie znoszę tresowanych zwierząt. Są głupie, wulgarne i... i sentymentalne.

- Czy mam rozumieć - powiedział Rycypisk do Łucji, obrzuciwszy uprzednio Eustachego długim spojrzeniem - że ta wyjątkowo nieuprzejma osoba jest pod opieką waszej królewskiej mości? Bo jeśli nie...

W tym momencie Łucja i Edmund jednocześnie kichnęli.

- Cóż za głupiec ze mnie, żeby was trzymać tutaj w mokrych ubraniach - rzekł Kaspian. - Proszę na dół, zaraz je zmienimy. Naturalnie oddaję ci swoją kajutę, Łucjo, ale obawiam się, że nie mamy na pokładzie damskich strojów. Będziesz musiała wybrać sobie coś z moich rzeczy. Rycypisku, prowadź i bądź dobrym kompanem.

- Jeśli w grę wchodzi wygoda damy - powiedział Rycypisk - nawet sprawa honoru musi ustąpić, przynajmniej na jakiś czas - i spojrzał twardo na Eustachego. Ale Kaspian szybko popchnął go do przodu i po chwili Łucja *znalazła* się w pomieszczeniu rufowym. Było tu cudownie: trzy prostokątne okna, za którymi widać było niebieską, pofalowaną wodę, niskie, wyściełane ławy z trzech stron stołu, kołysząca się pod sufitem srebrna lampa (po misterności wykonania poznała robotę karłów) i złota płaskorzeźba nad drzwiami przedstawiająca Wielkiego Lwa Aslana. Łucja zdążyła tylko rzucić okiem na to wszystko, bo Kaspian otworzył już drzwi po prawej stronie i powiedział:

- To będzie twoja kajuta. Wezmę tylko coś suchego dla siebie - mówiąc to szperał w jednej ze skrytek w ścianie - i zostawiam cię, żebyś mogła się przebrać. Mokre rzeczy wyrzuć za drzwi, każę je zabrać do kuchni, aby wyschły.

Łucja poczuła się tak swojsko, jakby mieszkała w kajucie Kaspiana od kilku tygodni. Leniwe kołysanie okrętu nie przeszkadzało jej ani trochę, bo przecież w dawnych czasach, gdy była królową w Narnii, nieraz odbywała dalekie morskie

podróże. Kajuta Kaspiana była niewielka, ale bardzo czysta i jasna, z biegnącymi dookoła kolorowymi kasetonami wymalowanymi w ptaki, zwierzęta, szkarłatne smoki i winorośle. Ubrania Kaspiana okazały się na nią za duże, ale w końcu coś dla siebie znalazła. Zwłaszcza jego trzewiki, sandały i długie żeglarskie buty były beznadziejnie wielkie, lecz stwierdziła, że na statku może przecież chodzić bosą. Już ubrana popatrzyła przez okno na uciekającą warko wodę i odetchnęła głęboko. Pomyślała, że znowu rozpoczęły się dla nich cudowne czasy.

ROZDZIAŁ 2

NA POKŁADZIE „WĘDROWCA DO ŚWITU”

NO, WRESZCIE JESTEŚ, ŁUCJO - powiedział Kaspian.

- Czekaliśmy tylko na ciebie. Oto mój kapitan, lord Drinian.

Ciemnowłosa mężczyzna przykląkł na jedno kolano i ucałował jej dłoń. Prócz niego i Kaspiana w pomieszczeniu rufowym był Ryczypisk i Edmund.

- A gdzie jest Eustachy? - zapytała Łucja.

- W łóżku - odrzekł Edmund. - I nie sądzę, żeby można było coś dla niego zrobić. Kiedy się próbuje być dla niego miłym, jest jeszcze gorzej.

- A my tymczasem - powiedział Kaspian - musimy porozmawiać.

- Święta racja - zgodził się Edmund. - Przede wszystkim na temat czasu. Według naszego czasu minął rok, odkąd rozstaliśmy się tuż przed twoją koronacją. Ile czasu upłynęło w Narnii?

- Dokładnie trzy lata - odrzekł Kaspian.

- Wszystko idzie dobrze? - zapytał Edmund.

- Nie sądzisz chyba, że opuściłbym swoje królestwo i wyruszył na morze, gdyby były jakieś kłopoty

- odpowiedział król. - Nie może być lepiej. Nie ma już żadnych niesnasek między Telmarami, karłami, mówiącymi zwierzętami, faunami i całą resztą. Było trochę trudności z tymi niespokojnymi olbrzymami na granicy, ale ostatniego lata daliśmy im taką nauczkę, że teraz płacą nam daninę. A wyruszając w morze, pozostawiłem jako swego regenta wspianą postać, karła Zuchona. Pamiętacie go?

- Kochany Zuchon - powiedziała Łucja. - Jasne, że go pamiętam. Nie mogłeś dokonać lepszego wyboru.

- Wierny jak borsuk, pani, i mężny jak... jak mysz - rzekł Drinian. Chciał powiedzieć „jak lew”, ale w porę zauważył utkwione w sobie oczy Ryczypiska.

- A dokąd właściwie teraz zmierzamy? - zapytał Edmund.

- To dłuższa historia - powiedział Kaspian. - Pamiętacie może, że kiedy byłem dzieckiem, mój wuj, uzurpator Miraż, pozbył się siedmiu przyjaciół mojego ojca (którzy mogli stanąć po mojej stronie), wysyłając ich na zbadanie nieznanych Mórz Wschodnich poza Samotnymi Wyspami.

- Tak, pamiętam - wtrąciła Łucja. - I żaden z nich nigdy już nie wrócił.

- Tak właśnie było. A więc, w dniu mojej koronacji, za aprobatą Aslana, złożyłem przysięgę, że kiedy zaprowadzę pokój w Narnii, wyruszę na trwającą rok i

jeden dzień wyprawę poza Samotne Wyspy, by odnaleźć przyjaciół mojego ojca lub pomścić ich śmierć, jeśli to będzie możliwe. Oto imiona tych szlachetnych baronów: Revilian, Bern, Argoz, Mavramorn, Okteżjan, Restimar i... och, ten ostatni, którego imię tak trudno zapamiętać...

- Baron Rup, panie - wtrącił Drinian.

- Rup, Rup, oczywiście - powiedział Kaspian. - Oto mój główny cel wyprawy. Ale Rycypisk żywi jeszcze inne, bardziej śmiałe nadzieje.

Wszystkie oczy zwróciły się na waleczną mysz.

- Tak śmiało jak duch, który mnie ożywia - rzekł Rycypisk - choć być może tak małe jak mój wzrost. Otóż, dlaczego nie mielibyśmy dotrzeć do samego wschodniego krańca świata? I co możemy tam zobaczyć? Jeśli chodzi o mnie, to mam nadzieję, że znajdziemy tam krainę Aslana. Wielki Lew zawsze przybywa ze wschodu, zza morza.

- No wiecie, to jest myśl! - powiedział Edmund zmienionym z wrażenia głosem.

- Ale czy sądzisz - spytała Łucja - że kraina Aslana jest taka... to znaczy... takiego rodzaju, że w ogóle można do niej DOPIYNAĆ?

- Nie wiem, pani - odrzekł Rycypisk. - Ale racz posłuchać. Kiedy byłem jeszcze w kołysce, leśna boginka, driada, wypowiedziała nade mną takie słowa:

Gdzie się niebo z wodą spotka, gdzie się fala robi słodka, Rycypisku, bez wątpienia spełnisz wszystkie swe pragnienia; tam jest Ostateczny Wschód.

Nie wiem, co ten wiersz oznacza, ale czar tych słów urzekł mnie na całe życie.

Przez chwilę wszyscy milczeli, aż w końcu Łucja zapytała:

- A gdzie jesteście teraz, Kaspianie?

- O tym powie ci lepiej kapitan - odrzekł Kaspian, a Drinian wydobyl mapę i rozłożył ją na stole.

- Oto nasze położenie - powiedział, wskazując palcem. - Mówiąc ściślej, takie było dziś w południe. Po opuszczeniu Ker-Paravelu mieliśmy niezły wiatr i pożeglowaliśmy na północ, do Galmy, dokąd dopłynęliśmy następnego dnia. Tam staliśmy w porcie przez tydzień, ponieważ ksiązę Galmy urządzył wielki turniej na cześć jego królewskiej mości. Król powalił na ziemię wielu rycerzy...

- I sam niejeden raz spadł z konia, Drinianie

- przerwał mu Kaspian. - Ślady tego można oglądać do dzisiaj.

- ... Król powalił na ziemię wielu rycerzy - powtórzył Drinian, szczerząc zęby - i wydawało się nam, że ksiązę byłby bardzo rad, gdyby jego królewska mość poślubił jego córkę, ale nic z tego nie wyszło...

- Miała zeza i piegi - wtrącił Kaspian.

- Biedaczka! - westchnęła Łucja.

- Po opuszczeniu Galmy - ciągnął Drinian

- wpadliśmy w sztłil trwający dwa dni, tak że musieliśmy w końcu użyć wiosł, a potem znowu złapaliśmy wiatr i po czterech dniach dopłynęliśmy do Terebintu. Ale król Terebintu wysłał nam ostrzeżenie, abyśmy nie wpływali do portu, bo w mieście panuje zaraza. Okrążyliśmy przylądek i rzuciliśmy kotwicę w małej zatoczce, by nabrać świeżej wody. Musieliśmy tam czekać trzy dni, zanim złapaliśmy południowo-wschodni wiatr i pożeglowaliśmy ku Siedmiu Wyspom. Trzeciego dnia zaatakował nas piracki okręt (terebincki, sądząc po takielunku), lecz po krótkiej wymianie strzałów z łuków odplynął, widząc, że jesteśmy dobrze uzbrojeni...

- A powinniśmy go ścigać, zdobyć abordażem, a potem powiesić tych wszystkich szubrawców - wtrącił Rycypisk.

- ... A po pięciu dniach zobaczyliśmy Muil, która jest, jak wiecie, najdalej na zachód wysuniętą jedną z Siedmiu Wysp. Potem powiosłowaliśmy przez cieśniny i przed zachodem słońca wpłynęliśmy do Redhaven na wyspie Brenn, gdzie przyjęto nas bardzo gościnnie. Tam uzupełniliśmy prowiant i wodę. Sześć dni temu wypłynęliśmy w morze, mając przez cały czas sprzyjający wiatr. Biorąc pod uwagę dobrą szybkość, mam nadzieję zobaczyć Samotne Wyspy pojutrze. Tak więc jesteśmy już na morzu blisko trzydzieści dni i przebyliśmy ponad czterysta lig, czyli tysiąc dwieście mil morskich*1.

- A co będzie za Samotnymi Wyspami? - zapytała Łucja.

- Tego nikt nie wie, wasza wysokość - odrzekł Drinian. - Może powiedzą nam coś na ten temat mieszkańcy Wysp.

- Za naszych czasów nie potrafili nic powiedzieć - wtrącił Edmund.

- A więc - rzekł Rycypisk - nasza przygoda zacznie się naprawdę dopiero za Samotnymi Wyspami.

Kaspian zaproponował, że przed kolacją pokaże im statek, ale Łucja poczuła wyrzuty sumienia i powiedziała:

- Muszę pójść i zobaczyć, jak się miewa Eustachy. Dobrze wiecie, że choroba morska to rzecz okropna. Gdybym tylko miała swój cudowny lek, wyleczyłabym go od razu.

- Przecież go masz! - zawołał Kaspian. - Zupełnie o tym zapomniałem. Po

*1 Liga morska - 5,56 kilometra = 3 mile morskie Mila morska - 1,852 kilometra - przyp tłum

waszym odejściu z Narnii uznałem, że jest częścią skarbu królewskiego, więc wybierając się w podróż, zabrałem go ze sobą. Jeśli tylko uważasz, że można go marnować na coś takiego jak morska choroba...

- Wystarczy tylko kropelka - powiedziała Łucja.

Kaspian otworzył jedną ze skrytek w ławie i wyjął z niej przepiękny diamentowy flakonik, który Łucja tak dobrze pamiętała.

- A więc przyjmij z powrotem to, co do ciebie należy, królowo - rzekł Kaspian. Potem wyszli z kajuty na zalany słońcem pokład.

W pokładzie, po obu stronach masztu - od dziobu i od rufy - znajdowały się dwa luki. Oba były otwarte, jak zwykle w czasie dobrej pogody, aby wpuścić do wnętrza światło i świeże powietrze. Kaspian poprowadził ich do jednego z luków. Zeszli po drabinie i znaleźli się w obszernym pomieszczeniu z ławkami dla wioślarzy, które biegły rzędami wzdłuż obu burt. Przez okrągłe otwory na wiosła sączyło się dzienne światło, na suficie migotały słoneczne plamki. Naturalnie okręt Kaspiana nie był tą okropną rzeczą, jaką jest galera, na której wioślarzami są niewolnicy.

Wioseł używano tylko podczas sztilu, czyli ciszy morskiej, albo do manewrowania przy brzegu, i wówczas wszyscy (prócz Rycypiska, który miał za krótkie nogi) wiosłowali kolejno. Wzdłuż burt pozostawiono wolne miejsce, aby wioślarze mieli gdzie oprzeć nogi, ale cały środek zajmowało obszerne, sięgające aż do stępki zagłębienie, wypełnione najróżniejszym prowiantem: workami mąki, beczkami wody i piwa, baryłkami wieprzowiny, garncami miodu, bukłakami wina, jabłkami, orzechami, serami, sucharami, rzepą, polciami bekonu. Z sufitu - to znaczy ze spodniej strony pokładu - zwieszały się szynki i wieńce cebuli. Wisiały tu też hamaki, w których wypoczywali marynarze oczekujący na swoją wachtę.

Kaspian poprowadził ich w stronę rufy, krocząc po ławkach wioślarskich (w każdym razie dla niego były to kroki, bo Łucja wykonywała coś pośredniego między krokami a susami, a Rycypisk musiał posuwać się do przodu długimi skokami). W ten sposób dotarli do ściany działowej na wysokości rufówki. Kaspian otworzył niewielkie drzwiczki i wprowadził ich do pomieszczenia wypełniającego sterówkę pod kajutą rufową. Było tu nisko, a ściany zbiegały się ku sobie przy podłodze. Małych, okrągłych okienek z grubego szkła nigdy się nie otwierało z tej prostej przyczyny, że były już pod linią wody. Kiedy okręt wspinał się i opadał na falach, okienka robiły się to złote - od słońca, to ciemnozielone - od morskiej wody.

- To będzie nasza kajuta, Edmundzie - powiedział Kaspian. - Myślę, że

zostawimy koję twemu kuzynowi, a sobie rozwiesimy hamaki.

- Zaklinam waszą królewską mość... - zaczął Drinian, ale Kaspian szybko mu przerwał: - Nie, nie kapitanie, już to ustaliliśmy. Ty i Rins - Rins był zastępcą kapitana, czyli matem - kierujecie statkiem i będziecie mieć mnóstwo spraw wieczorami, kiedy my będziemy sobie śpiewać pieśni i opowiadać stare opowieści. Musicie mieć rufową kajutę nad nami.

Królowi Edmundowi i mnie będzie tu bardzo wygodnie. Ale jak się miewa nasz gość?

Eustachy, bardzo zielony na twarzy, jęknął i zapytał, czy są jakieś oznaki świadczące o tym, że sztorm się kończy.

- O jakim sztormie mówisz? - zapytał zdumiony Kaspian, a Drinian wybuchnął śmiechem.

- Sztorm! - zagrział. - Mój młody panie, trudno sobie wymarzyć lepszą pogodę!

- Kto to taki? - zapytał Eustachy ze złością. - Każcie mu stąd iść. Głowa mi pęka od jego wrzasku.

- Przyniosłam coś, co sprawi, że zaraz poczujesz się lepiej - powiedziała Łucja.

- Och, idźcie sobie wszyscy i zostawcie mnie w spokoju - warknął Eustachy.

Łucja już otworzyła swój flakonik i cała kajuta napełniła się cudownym zapachem. W końcu udało się go namówić, aby przełknął kroplę, i chociaż oznajmił, że to jakieś paskudztwo, po chwili powróciły mu rumieńce. Musiał poczuć się lepiej, bo zamiast dalej narzekać na burzę i swoją głowę, zaczął się domagać wysadzenia na ląd, dodając, że w pierwszym napotkanym porcie „złoży przeciwko nim doniesienie” na ręce brytyjskiego konsula. Rycypisk zapytał, co to jest „doniesienie” i jak się je składa (myśląc, że to jakaś nie znana mu forma wyzwania na pojedynek), na co Eustachy tylko mruknął z pogardą: „Żeby czegoś takiego nie wiedzieć”. W końcu przekonali go z trudem, że właśnie płyną ile wiatru w żaglach do najbliższego znanego im lądu i że odesłanie go teraz do Cambridge (gdzie mieszka wuj Harold) jest równie trudne, jak wysłanie na Księżyc. Nie przestając się dąsać, włożył wreszcie suche ubranie, które mu przyniesiono, i wyszedł za nimi na pokład.

Kaspian pokazał im teraz cały okręt, choć w rzeczy samej widzieli już jego większą część. Weszli na pokład dziobowy i zobaczyli „człowieka na oku”, czyli marynarza stojącego na małej półeczce we wnętrzu połączanej szyi smoka i obserwującego morze przez jego otwartą paszczę. Pod pokładem dziobówki była

okrętowa kuchnia i kajuty dla żeglarskiej starszyny: bosmana, cieśli i dowódcy łuczników. Pewnie wydaje wam się dziwne umieszczenie kuchni na dziobie, bo sobie wyobrażacie, że dym z jej komina leci na cały pokład. Ale tak byłoby tylko na parowcu, ustawianym zwykle pod wiatr. Na żaglowcu wiatr zawsze wieje od rufy; dym oraz przykre zapachy z kuchni są natychmiast zdmuchiwane na zewnątrz.

Pokazano im także platformę bitewną, czyli marsa, i kiedy się tam wdrapali, aż dech im zapało, tak daleki i maleńki zdawał się pokład z tej wysokości. Wydawało się, że nie ma żadnej szczególnej przyczyny, by trafić akurat w pokład, a nie w morze, gdyby się nagle spadło. Potem weszli na pokład rufowy, gdzie Rins i jeden z marynarzy trzymali wachtę przy wielkim rumplu, za którym podnosił się połączony ogon smoka z wąską ławeczką biegnącą po wewnętrznej stronie boków. Okręt nosił nazwę „Wędrowiec do Świt”. Niewiele miał wspólnego z naszymi współczesnymi statkami, ale różnił się też od narnijskich kog, karak i galeonów z czasów, gdy Łucja i Edmund byli w Narnii monarchami, a Piotr Wielkim Królem, ponieważ później, za panowania przodków Kaspiana, zaniechano w ogóle żeglugi i budowy statków. Kiedy uzurpator Miraż wpadł na pomysł wysłania w morze siedmiu baronów, trzeba było zakupić okręt w Galmie i tam nająć załogę. Kaspian zaczął jednak znowu uczyć Narnijczyków żeglarskiej sztuki, a „Wędrowiec do Świt” uchodził za najlepszy okręt, jaki dotąd zbudował. Był tak mały, że od masztu do dziobu niewiele już pozostawało miejsca między środkowym lukiem, łodzią okrętową i zagrodą dla kur (Łucja zajęła się ich karmieniem). Ale był piękny jak młoda dama - tak mówili o nim żeglarze - miał świetną linię, czyste kolory, misternie wykończone reje, liny i żagle. Eustachemu nic się oczywiście nie podobało i bez przerwy opowiadał o transatlantykach, motorówkach, samolotach i łodziach podwodnych („Tak jakby ON coś o nich wiedział” - mrucał Edmund), ale pozostała dwójka była „Wędrowcem do Świt” zachwycona. Kiedy wrócili do sterówki na kolację i popatrzyli na słońce, płonące nisko na zalanym szkarłatem zachodnim niebie, kiedy poczuli smak soli na wargach i drżenie statku, kiedy pomyśleli o nieznanym lądach na wschodniej krawędzi świata - Łucja poczuła się zbyt szczęśliwa, by można to było wyrazić.

Co myślał Eustachy, najlepiej opowiedzieć jego własnymi słowami. Kiedy następnego ranka dostali z powrotem swoje wysuszone ubrania, od razu wyciągnął z kieszeni mały, czarny notes z ołówkiem i zaczął prowadzić dziennik. Notes ten zawsze miał przy sobie i zapisywał w nim wszystkie stopnie, jakie otrzymywał, bo chociaż żaden przedmiot w szkole nie interesował go sam dla siebie, miał bzika na punkcie

stopni i często zaczepiał innych, mówiąc: „Dostałem czwórkę. A co ty dostałeś?” Ale ponieważ nic nie wskazywało na to, że na pokładzie „Wędrowca do Świt” będzie dostawał jakieś stopnie, zaczął prowadzić dziennik. Oto jego pierwszy zapis:

7 sierpnia. Już od dwudziestu czterech godzin jestem na tej piekielnej łajbie, jeżeli to nie sen. Przez cały czas szaleje potworny sztorm (dzięki Bogu, nie mam morskiej choroby). Olbrzymie fale wlewają się na pokład od dziobu i już wiele razy widziałem, jak przykryły cały statek. Wszyscy udają, że tego nie zauważają. Albo to poza, albo też sprawdza się to, co mówił Harold: tchórze zawsze zamykają oczy na Fakty. To szaleństwo wyprawiać się na morze w tak marnej łupinie. Niewiele większa od łodzi ratunkowej. No i oczywiście absolutnie prymitywna wewnątrz. Nie ma sali klubowej z prawdziwego zdarzenia, nie ma radia, łazienek, leżaków na pokładzie. Wczoraj wieczorem pokazano nam cały statek i robiło mi się niedobrze, gdy Kaspian pysznił się tą swoją dziecinną łódką, jakby to była „Queen Elizabeth”. Próbowałem mu opowiedzieć, jak wygląda prawdziwy statek, ale jest na to za tępy. E. i Ł. OCZYWIŚCIE mnie nie poparli. Przypuszczam, że taki dzieciak jak Ł. nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, a E. podlizuje się K., jak zresztą wszyscy na pokładzie. Nazywają go królem. Powiedziałem mu, że jestem republikaninem, a on spytał, co to znaczy! Sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie miał o niczym pojęcia. Muszę zaznaczyć, że umieszczono mnie w najgorszej kajucie, właściwie w czymś w rodzaju lochu. Łucja dostała cały pokój na górze tylko dla siebie, zupełnie niezły w porównaniu z resztą. K. mówi, że to dlatego, że jest dziewczynką. Próbowałem mu wytłumaczyć, że - jak zawsze mówi Alberta - tego rodzaju postępowanie w rzeczywistości poniża dziewczynki, ale i na to był za tępy. Mógłby jednak zwrócić uwagę na to, że rozchoruję się, jeśli będą mnie dłużej trzymać w tej dziurze. E. mówi, że nie powinniśmy narzekać, bo sam K. dzieli ją z nami, oddawszy swoją kabinę L. Tak jakby to jeszcze bardziej nie pogarszało sprawy: jest przecież ciasniej! O mały włos zapomniałbym napisać, że jest tu takie coś w rodzaju myszy. Zachowuje się wobec każdego tak bezczelnie, że trudno to sobie w ogóle wyobrazić. Inni mogą jej na to pozwalać, jeśli tylko mają ochotę, ale jeśli chodzi o mnie, to ukręcę jej ten śliczny ogon, jak ze mną zacznie. Jedzenie jest okropne.

Do pierwszego poważnego starcia między Eustachym a Rycypiskiem doszło wcześniej, niż można się było spodziewać. Następnego dnia, gdy wszyscy pozostali siedzieli już przy stole, czekając na obiad (na morzu zawsze ma się ogromny apetyt), Eustachy wpadł do kajuty, trzymając się za rękę i wrzeszcząc:

- Ten mały dzikus o mało mnie nie zabił! - Żądam stanowczo, aby trzymano go pod strażą! Mogę wszcząć postępowanie przeciw tobie, Kaspianie. Mogę ci kazać zniszczyć to szkaradztwo.

W tej samej chwili pojawił się Rycypisk. W ręku trzymał rapier, wąsy miał dziko nastroszone, ale nie zapomniał o dobrych manierach.

- Proszę wszystkich obecnych o wybaczenie, a szczególnie jej królewską mość - tu skłonił się przed Łucją. - Gdybym tylko wiedział, że właśnie tu poszuka schronienia, poczekałbym na bardziej stosowny czas, by mu dać nauczki.

- Co się stało, do licha? - zapytał Edmund.

A oto, co się naprawdę wydarzyło. Rycypisk, któremu zawsze się wydawało, że okręt nie płynie dostatecznie szybko, lubił siadywać na samym dziobie, tuż za głową smoka, patrząc w stronę wschodniego horyzontu i swoim nieco skrzekliwym głosem śpiewając cicho słowa, jakie kiedyś wypowiedziała nad

nim driada. Choćby okrętem nie wiem jak kołysało, nigdy się niczego nie trzymał, zachowując doskonałą równowagę prawdopodobnie dzięki swemu długiemu ogonowi, który zwisał na pokład między słupkami balustrady. Cała załoga przyzwyczała się już do tego, a marynarze trzymający wachtę na oku bardzo ten zwyczaj polubili, bo mieli z kim porozmawiać. Nigdy się nie wyjaśniło, w jakim celu Eustachy - zataczając się, potykając i czołgając, bo nie nauczył się jeszcze marynarskiego kroku - dostał się aż na pokład dziobowy. Być może miał nadzieję zobaczyć jakiś ład, a może chciał zwędzić coś z kuchni przez okno. Tak czy owak, jak tylko zobaczył długi ogon zwisający z balustrady - może to i był widok kuszący - pomyślał, że byłoby wspaniale złapać za ten ogon, wywinąć biedną mysz młynka raz czy dwa, a potem uciec i pękać ze śmiechu. Z początku wszystko szło jak z płatka. Mysz nie była cięższa od dużego kota. Eustachy wyciągnął ją za ogon zza balustrady i uradowany patrzył, jak głupio - według niego - wygląda z rozłożonymi na wszystkie strony łapami i otwartym pyszczkiem. Na jego nieszczęście Rycypisk, który nieraz bywał w gorszych opałach, nigdy nie tracił choćby na chwilę ani głowy, ani swoich umiejętności. Niełatwo wyciągnąć rapier z pochwy, kiedy się jest okręcanym w powietrzu za ogon, ale Rycypisk to potrafił. Eustachy poczuł dwa bolesne ukłucia w rękę i natychmiast puścił ogon myszy. W następnej chwili Rycypisk odbił się od pokładu jak piłka i już stał na tylnych łapach, patrząc na niego groźnie, a koniec długiego, błyszczącego i ostrego przedmiotu przypominającego szpikulec drgał niebezpiecznie o cal od brzucha Eustachego. (Narnijskie myszy nie przestrzegają

zakazu ciosów poniżej pasa, bo trudno by im było w ogóle sięgnąć wyżej.)

- Przestań - wybełkotał Eustachy. - Idź sobie. Zabierz to. To niebezpieczne. Przestań, mówię. Powiem Kaspianowi. Każę cię związać. Każę ci założyć kaganiec.

- Dlaczego nie sięgasz po swój miecz, podły tchórze! - zapiszczał Ryczypisk. - Dobądź miecza i walcz albo cię wypłazuję na czarno i niebiesko!

- Nie mam broni - odpowiedział Eustachy. - Jestem pacyfistą. Nie wierzę, by walka miała jakiś sens.

- Czy mam rozumieć - wycedził Ryczypisk, opuszczając na chwilę rapier - że nie zamierzasz udzielić mi satysfakcji?

- Nie wiem, o co ci chodzi - odrzekł Eustachy, oglądając swoją zranioną rękę. - Jeżeli nie znasz się na żartach, to w ogóle nie mam zamiaru zawracać sobie głowy twoją osobą.

- A więc masz! - zawołał Ryczypisk. - A to... aby cię nauczyć dobrych manier! ... i szacunku wobec rycerza!... i dla myszy!... i dla ogona myszy!...

I za każdym słowem uderzał go płazem rapiera, który był z hartowanej przez karłów stali, cienki i giętki jak brzoza witka. Eustachy chodził do szkoły, w której - rzecz jasna - nie stosowano kary cielesnej, więc to przeżycie było dla niego całkowitą nowością. I oto dlaczego, chociaż nie nauczył się jeszcze marynarskiego kroku, w ciągu niecałej minuty zdążył zbiec z pokładu dziobowego, pokonać całą długość głównego pokładu i wpaść do kajuty rufowej, przez całą drogę zawzięcie ścigany przez Ryczypiska. Miał przy tym wrażenie, że rapier jest rozżarzony do czerwoności.

Nie było większych trudności w załagodzeniu całej sprawy, gdy tylko Eustachy przekonał się, że wszyscy potraktowali pomysł pojedynku zupełnie poważnie, i gdy usłyszał, że Kaspian chce mu pożyczyć swój miecz, a Drinian i Edmund rozprawiają już nad tym, jak zmniejszyć wyraźną przewagę wzrostu Eustachego. Nadąsany przeprosił w końcu Ryczypiska i poszedł z Łucją przemyć i zabandażować rękę. Potem uciekł do swojej koi, pamiętając o tym, by położyć się nie na plecach, lecz na boku.

ROZDZIAŁ 3

SAMOTNE WYSPY

- Ziemia na horyzoncie! - zawołał człowiek na oku.

Łucja, która właśnie rozmawiała z Rinsem na pokładzie rufowym, szybko zeszła po drabinie i, podśpiewując radośnie, pobiegła na dziób. Po drodze przyłączył się do niej Edmund, a kiedy wspięli się na pokład dziobowy, zastali już tam Kaspiana, Driniana i Ryczypiska. Był chłodny ranek, niebo nie nabrało jeszcze barwy, a na bardzo ciemnym morzu bieleły się tu i ówdzie grzywy fal. I oto przed nimi, nieco na prawo, widniała najbliższa z Samotnych Wysp, Felimata, jak niskie, zielone wzgórze pośród morza. Poza nią majaczyły szare zbocza siostrzanej wyspy Dorn.

- Nasza stara Felimata! Nasz stary Dorn! - zawołała Łucja, klaszcząc w dłonie. - Och, Edmundzie, ileż to czasu upłynęło od chwili, gdy widzieliśmy ją po raz ostatni!

- Nigdy nie mogłem dociec, jak to się stało, że te wyspy należą do narnijskiej Korony - powiedział Kaspian. - Czy to Wielki Król Piotr je podbił?

- Och, nie - odrzekł Edmund. - Należały do Narnii jeszcze przed naszym przybyciem, za czasów Białej Czarownicy.

(Nawiasem mówiąc, sam nie wiem, jak doszło do tego, że te odległe wyspy stały się częścią narnijskiej Korony; jeśli się kiedyś dowiem, a opowieść okaże się ciekawa, może opiszę to w innej książce.)

- Czy mamy tu przybić do brzegu, panie? - zapytał Drinian.

- Nie sądzę, aby było warto - powiedział Edmund. - Za naszych czasów Felimata była prawie bezludna i nic nie wskazuje na to, że coś się zmieniło. Ludzie mieszkają głównie na Dornie oraz na Awrze - to trzecia wyspa, jeszcze jej nie widać. Na Felimacie są tylko pasterze strzegący wielkich stad owiec.

- A więc trzeba będzie okrążyć przylądek - powiedział Drinian - i wylądować na Dornie. A to oznacza, że musimy użyć wiosł.

- Szkoda, że omijamy Felimatę - odezwała się Łucja. - Bardzo bym chciała znowu po niej pochodzić, wśród tej cudownej trawy i koniczyny. I było tam tak samotnie... mam na myśli ten miły rodzaj samotności.

- I ja bym chętnie rozprostował nogi - powiedział Kaspian. - Coś wam powiem. Dlaczego nie mielibyśmy wziąć łodzi, przybić do brzegu i odesłać ją z powrotem, a potem przejść przez wyspę i wrócić na pokład „Wędrowca do Świtu” łodzią, którą by nam Drinian przysłał po opłynięciu przylądka?

Gdyby Kaspian miał już to doświadczenie, jakie zdobył później, nigdy by nie

uczynił tej propozycji, ale w tym momencie wszystkim wydawała się ona wspaniała.

- Och, zróbmy tak! - zawołała Łucja.

- Popłyniesz z nami? - zapytał Kaspian Eustachego, który pojawił się na pokładzie z zabandażowaną ręką.

- Zrobię wszystko, byle tylko zejść z tej przeklętej łajby - odpowiedział Eustachy.

- Przeklętej? Co masz na myśli? - zapytał Drinian.

- W cywilizowanym kraju, z jakiego pochodzę

- odparł Eustachy - statki są tak duże, że kiedy się przebywa w środku, trudno w ogóle zauważyć, że się jest na morzu.

- Po co wobec tego w ogóle wypływać w morze?

- zdziwił się Kaspian. - Kapitanie, każ spuścić łódź. Król, Rycypisk, Łucja, Edmund i Eustachy zeszli do łodzi, która przewiozła ich na brzeg Felimaty. Marynarze powiosłowali z powrotem, a oni stanęli na piaszczystej plaży i popatrzyli na „Wędrowca do Świtu” stojącego w oddali na kotwicy. Z tej odległości wydawał się zaskakująco mały.

Łucja była wciąż bosą (bo, jak pamiętacie, zrzuciła swoje buty, gdy wpadła do morza), ale wcale się tym nie przejmowała, skoro czekał ją spacer po puszystej murawie. Cudownie było znaleźć się znowu na lądzie i wdychać zapach ziemi i trawy, choć początkowo grunt zdawał się kołysać pod nogami, jak to zwykle bywa, gdy się zejdzie ze statku po długiej podróży. Na wyspie było o wiele cieplej niż na pokładzie i Łucja z radością brodziła po rozgrzanym piasku plaży. Wysoko w górze śpiewał skowronek.

Ruszyli w głąb wyspy, wspinając się na zbocze dość stromego, choć niezbyt wysokiego wzgórza. Na szczycie spojrzeli jeszcze raz za siebie, gdzie na ciemnej wodzie „Wędrowiec do Świtu” jaśniał jak wielki, błyszczący owad, sunąc powoli na wiosłach ku północnemu zachodowi. A potem przeszli przez grzbiet wzgórza i wkrótce stracili okręt z oczu.

Teraz ujrzeli wyspę Dorn, oddzieloną od Felimaty szerokim na milę kanałem, a za nią, po lewej stronie, wyspę Awrę. Widać też było doskonale bielejący na Dornie port Narrowhaven.

- Hej, a co to takiego? - powiedział nagle Edmund.

W zielonej dolinie, w którą wchodzili, zobaczyli sześciu lub siedmiu uzbrojonych, groźnie wyglądających ludzi siedzących pod drzewem.

- Myślę, że lepiej będzie nie mówić im, kim jesteśmy - powiedział Kaspian.

- Ale dlaczego, wasza królewska mość? - zapytał Ryczypisk, który zgodził się, by Łucja niosła go na barana.

- Przyszło mi do głowy - odrzekł Kaspian - że już od dawna mogli nie mieć kontaktu z Narnią. Bardzo możliwe, że nie uznają naszej władzy. A jeśli tak, to nie byłoby zbyt bezpiecznie ujawniać się przed czasem.

- Mamy przecież miecze, panie - powiedział Ryczypisk.

- Tak, Ryczypisku, nie zapomniałem o tym - odparł Kaspian - ale jeżeli mielibyśmy podbijać te wyspy na nowo, to wolałbym tu powrócić z nieco większą armią.

Byli już blisko obozujących pod drzewem ludzi.

Jeden z nich - wysoki, czarnowłosy mężczyzna - zawołał na ich widok:

- Mile witamy, obcy przybysze!

- I my was witamy - odparł Kaspian. - Czy na Samotnych Wyspach jest jeszcze gubernator?

- A jest, jest, jako żywo - odpowiedział mężczyzna. - Gubernator Gumpas. Jego samowystarczalność przebywa w Narrowhaven. Ale usiądźcie i napijcie się z nami.

Kaspian podziękował uprzejmie i - chociaż ani jemu, ani reszcie nie bardzo przypadła do gustu ta nowa znajomość - wszyscy usiedli pod drzewem. Nie zdążyli jednak nawet podnieść do ust ofiarowanych im kubków, gdy czarnowłosy mężczyzna dał znak swoim towarzyszom i w mgnieniu oka cała piątka została pochwycona przez silne ręce. Próbowali się bronić, ale szybko ulegli przewadze napastników. Po chwili każdy stał już rozbrojony, z rękami związanymi na plecach.

Tylko Ryczypisk miotał się jeszcze rozpaczliwie w uścisku swego przeciwnika, gryząc go z furją.

- Ostrożnie z tym zwierzakiem, Teks - powiedział przywódca bandy - nie zrób mu krzywdy. Głowę daję, że dostaniemy za niego więcej niż za całą resztę.

- Tchórz! Nędzny tchórz! - zaskrzeczał Ryczypisk. - Oddaj mi rapier i puść moje ręce, jeśli tylko starcza ci odwagi!

- Fiu-fiu-fiu - zagwizdał łowca niewolników (bo, jak się chyba domyślacie, tym właśnie był czarnowłosy przywódca bandy). - Toż to cudo mówi! Nigdy jeszcze czegoś takiego nie trafiłem. Niech mnie diabli porwą, jeśli nie wezmę za niego co najmniej dwustu krescentów*.

*Kalormieński krescent, który jest główną monetą w tych okolicach, ma wartość około jednej trzeciej angielskiego funta (przyp. autora)

- A więc wiemy już, kim jesteś - powiedział Kaspian. - Łowca ludzi i handlarz żywym towarem! Mam nadzieję, że jesteś z tego dumny.

- No, no, no - odezwał się handlarz. - Nie zaczynaj mi tu prawić kazań. Im bardziej będziecie posłuszni, tym mniej będzie to was kosztować. Nie robię tego dla przyjemności. Zarabiam na życie, jak każdy.

- Dokąd chcesz nas zabrać? - zapytała Łucja, wymawiając każde słowo z pewnym trudem.

- Do Narrowhaven. Akurat jutro mamy dzień targowy.

- Czy jest tu gdzieś konsul brytyjski? - zapytał Eustachy.

- Kto taki?

Ale na długo przedtem, zanim Eustachy zmęczył się próbami wyjaśnienia, o co mu chodzi, przywódca bandy uciał krótko:

- Dobra, dobra. Mam już dosyć tego gładzenia. Ta mysz to wielka gratka, ale ten tutaj zagadałby na śmierć nawet osła. No, braciszku, zabieramy się stąd.

Przywiązano ich do długiej liny i cały orszak ruszył ku wybrzeżu. Tylko Ryczypisk nie szedł na własnych

nogach, niósł go jeden z porywaczy. Nie mógł już gryźć, bo związano mu pysk, ale mógł jeszcze mówić i rzeczywiście miał wiele do powiedzenia. Łucja dziwiła się, że jakikolwiek człowiek może znieść te wszystkie obelgi, które mysz wyrzucała z siebie przez cały czas pod adresem handlarza niewolników. Ale on nic sobie z tego nie robił, a nawet wtrącał co jakiś czas, gdy Ryczypisk przerywał dla nabrania oddechu: „No, dalej, powiedz coś jeszcze!” albo: „Psiajucha, trudno w to uwierzyć, ale mówi tak, jakby wiedział, co mówi”, albo: „Czy to jedno z was tak ją wytresowało?” Te uwagi tak rozwścieczyły Ryczypiska, że w końcu zachłysnął się zbyt wielką liczbą słów, które chciał wyrzucić z siebie jednocześnie, więc tylko krótko zabalgotał i ucichł. Doszli w końcu do małej wioski nad cieśniną dzielącą Felimatę od Dornu. Na piasku leżała długa łódź, a w pewnej odległości od brzegu kołysał się jakiś brudny, prymitywnie wyglądający statek.

- A teraz, droga młodzieży - powiedział handlarz - tylko bez awantur, a nie będzie powodów do płaczu. Wszyscy do łodzi.

W tym momencie z jednego z domów (wyglądającego na gospodę) wyszedł jakiś postawny, brodaty mężczyzna i powiedział:

- Hej, Glino, widzę, że masz świeży towar? Handlarz, który najwidoczniej nazywał się Glino, skłonił się nisko i powiedział przymilnym głosem:

- A tak, wasza wysokość, jest tego trochę.

- Ile chcesz za tego chłopca? - zapytał mężczyzna, wskazując na Kaspiana.

- Och, wiedziałem, że wasza wysokość od razu wyłowi najlepszego - odrzekł Glino. - Nie ma mowy o wciśnięciu waszej wysokości towaru drugiej klasy. Ten chłopiec, hm, prawdę mówiąc, chciałbym go zatrzymać dla siebie. Bardzo mi się spodobał. Tak. Mam takie miękkie serce, że właściwie nie powinienem się w ogóle brać za to zajęcie. Ale dla klienta takiego jak wasza wysokość...

- Powiedz mi swoją cenę, ty hieno - przerwał mu mężczyzna chłodno. - Czy myślisz, że mam ochotę wysłuchiwać tego bajdurzenia, które jest częścią twojego brudnego zawodu?

- Trzysta krescentów, wasza wysokość, tylko trzysta krescentów dla waszej wysokości, bo dla każdego innego...

- Dam ci sto pięćdziesiąt.

- Och, błagam! - nie wytrzymała Łucja. - Błagam, nie rozdzielajcie nas, cokolwiek z nami zrobicie. Nie wiecie, że... - i urwała, widząc, że nawet teraz Kaspian nie chce zdradzić, kim jest naprawdę.

- A więc sto pięćdziesiąt - powtórzył mężczyzna. - Jeśli o ciebie chodzi, panienko, to przykro mi, ale nie mogę cię kupić. Rozwiąż mojego chłopca, Glino. I słuchaj uważnie: traktuj pozostałych dobrze, póki są w twoich rękach, bo pożałujesz.

- Dobrze? - powiedział Glino. - Czy słyszano, by ktokolwiek z mojej branży dbał o swoją trzódkę lepiej ode mnie? Ja o nich dbam jak o własne dzieci!

- Zdaje się, że tym razem powiedziałaś prawdę - zauważył mężczyzna ponuro.

Teraz nadeszła okropna chwila. Kaspian został uwolniony z więzów, jego nowy pan powiedział: „Chodź ze mną, chłopcze”, Łucja wybuchnęła płaczem, a Edmund zrobił się biały jak papier. Ale Kaspian odwrócił się do nich i powiedział:

- Głowa do góry. Jestem pewien, że wszystko dobrze się skończy. Do zobaczenia!

- Hej, panienko - odezwał się Glino. - Nie przejmuj się tym wszystkim i nie zepsuj mi swojego wyglądu do jutrzejszego targu. Bądź miłą dziewczynką, a nie będziesz miała powodu do płaczu. Rozumiemy się?

Przewieziono ich łodzią na statek i zamknięto w długim, ciemnym i brudnym pomieszczeniu pod pokładem, gdzie zastali już więcej takich jak oni nieszczęśników. Glino był po prostu piratem i właśnie wrócił z kolejnej wyprawy, podczas której jego ludzie porywali, kogo tylko zobaczyli na okolicznych wyspach. Dzieci nie spotkały tu

nikogo znajomego, więźniowie byli w większości Galmijczykami i Terebintjczykami. Usiedli na ńędznej słomie i zaczęli rozmyślać, co się stało z Kaspianem, próbując co jakiś czas uciszyć Eustachego, który bezustannie oskarżał wszystkich - prócz siebie - o to, co się stało.

Dla Kaspiana los okazał się bardziej łaskawy. Jego nowy właściciel poprowadził go wąską ścieżką pomiędzy dwoma domami, a potem na otwartą przestrzeń poza wioską. Tutaj zatrzymał się, odwrócił i popatrzył na chłopca.

- Nie musisz się mnie lękać, chłopcze - powiedział. - Będę cię dobrze traktował. Kupiłem cię ze względu na twoją twarz. Bardzo mi kogoś przypominasz.

- Czy mogę zapytać, kogo, panie? - spytał Kaspian.

- Przypominasz mi mojego króla, Kaspiana, władcę Narnii.

Wtedy Kaspian zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę.

- Panie mój - rzekł - ja jestem twoim królem. Jestem Kaspian, król Narnii.

- Wolnego, mój chłopcze! - zawołał mężczyzna. - Masz na to jakieś dowody?

- Pierwszym jest moja twarz. Drugim fakt, że wiem, kim jesteś. Jesteś jednym z siedmiu baronów narnijskich, których mój wuj Miraż wysłał za morze, i na poszukiwanie których wyprawilem się w tę podróż. Jesteś więc albo Argozem, albo Bernem, albo Oktezjanem, albo Restimarem, albo Mavramornem, albo... albo... och, zapomniałem imion pozostałych. A w końcu, jeśli tylko dostanę miecz, udowodnię każdemu w uczciwym pojedynku, że jestem Kaspianem, synem Kaspiana, prawowitym Królem Narnii, Panem na Ker-Paravelu, Cesarzem Samotnych Wysp!

- Wielkie nieba! - zawołał mężczyzna. - To głos jego ojca i ten sam styl! Wasza królewska mość, przyjmij mój hołd! - I tak jak stał, ukląkł w szczerym polu i ucałował rękę króla.

- Pieniądze, które waszmość za nas wyasygnował, zostaną zwrócone z naszego skarbca - powiedział Kaspian.

- Jeszcze ich Glino nie ma w swej sakiewce - przerwał mu baron Bern, bo on to właśnie był - i wierzę, że ich nigdy mieć nie będzie. Już ze sto razy błagałem jego samowystarczalność gubernatora, by wyplenił ten handel żywym towarem.

- Baronie Bernie - rzekł Kaspian - musimy pomówić o sytuacji na tych wyspach. Ale najpierw pragnę usłyszeć o losach waszmości.

- Krótka to historia - odpowiedział Bern. - Razem z moimi sześcioma towarzyszami zawędrowałem aż tutaj, pokochałem dziewczynę z tych wysp i stwierdziłem, że mam już dość morza. Nie było po co wracać do Narnii, dopóki wuj

waszej królewskiej mości wciąż dzierżył berło, więc ożeniłem się i osiadłem tutaj.

- A jaki jest ten gubernator, Gumpas? Czy wciąż uznaje władzę króla Narnii?

- W słowach - tak. Wszystko robi się tutaj w imię króla Narnii. Ale nie sądzę, by Gumpas bardzo się ucieszył, gdyby dowiedział się, że przybył tu prawdziwy, żywy król. A gdyby wasza królewska mość stanął przed nim sam, nie uzbrojony... cóż, pewno by się nie wyparł swojej zależności od Narnii, ale po prostu by oznajmił, że nie ma powodu ci wierzyć. Życie waszej królewskiej mości byłoby w niebezpieczeństwie. A co właściwie sprowadza was na te wody?

- Tam, za przylądkiem, jest mój okręt - powiedział Kaspian. - Mam za sobą siłę około trzydziestu mieczy, gdyby przyszło walczyć. Czy nie powinniśmy dotrzeć do mojego okrętu, zaatakować Glina i uwolnić moich przyjaciół?

- Nie radzę tego czynić - odparł Bern. - Jak tylko zacznie się walka, z Narrownhaven wyruszą dwa lub trzy okręty, by wesprzeć Glina. Wasza królewska mość musi zrobić wrażenie, że ma ze sobą o wiele potężniejszą armię, i wykorzystać blask swego imienia i tytułu. Gumpas ma zajęte serce i może się przestraszyć.

Porozmawiali jeszcze chwilę, a potem zeszli na brzeg morza, nieco na zachód od wioski, i tutaj Kaspian wyjął mały róg i zagrał. (Nie był to, oczywiście, magiczny róg narnijski, Róg Królowej Zuzanny; ten król zostawił swojemu regentowi Zuchonowi, przykazując mu, by użył go tylko wtedy, gdy kraj znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.) Oczekujący sygnału Drinian rozpoznał od razu królewski róg i skierował „Wędrowca do Świt” ku brzegowi. Spuszczono szalupę i w ciągu kilku minut Kaspian i baron Bern byli już na pokładzie, zapoznając kapitana z rozwojem wydarzeń. Drinian, podobnie jak uprzednio Kaspian, chciał od razu ścigać statek z niewolnikami i dokonać abordażu, ale Bern powtórzył swoje argumenty.

- Steruj prosto na północny wschód, kapitanie, a potem wokół wyspy Awry, gdzie są moje posiadłości. Ale najpierw każ wciągnąć królewski proporzec, wywiesić za burty wszystkie tarcze i zappełnić pokład bitewny tyłoma ludźmi, ilu tam się zmieści. Gdy oddalimy się na jakieś pięć strzałów z łuku, już na otwartym morzu, wywieś flagi sygnałowe z rozkazem.

- Z rozkazem? Dla kogo? - zapytał Drinian.

- Dla kogo? Dla tych wszystkich pozostałych okrętów, których nie mamy. Dobrze by było, żeby Gumpas myślał, że czekają na nasz rozkaz.

- Och, teraz rozumiem - powiedział Drinian, zacierając ręce. - Oni odczytają nasze sygnały. Co nadamy? „Do całej floty: okrążyc Awrę od południa i zatrzymać się

w...”

- W Bernstead - podpowiedział mu baron Bern. - Tak będzie najlepiej. Cała droga tej floty - oczywiście, gdyby tam BYŁY jakieś okręty - jest poza polem obserwacji z Narrowhaven.

Kaspianowi żal było reszty towarzyszy uwięzionych marnie pod pokładem statku Glina, ale trudno mu było nie cieszyć się resztą dnia. Późnym popołudniem (musieli płynąć przy użyciu wiosła), zrobiwszy najpierw zwrot przez sterburtę i opłynawszy Dorn od północnego wschodu, a następnie, znowu sterując w lewo, wokół południowo-zachodniego przylądka Awry, wpłynęli do wygodnej przystani na południowym brzegu wyspy, gdzie włości Berna sięgały aż do morza. Wszyscy jego ludzie - wielu z nich zobaczyli przy pracy w polu - byli wolnymi obywatelami tego szczęśliwego i dobrze zagospodarowanego lenu.

Tutaj zeszli na ląd wraz z załogą i zostali podjęci królewską ucztą w niskim, podpartym kolumnami domu z widokiem na zatokę. Bern oraz jego pełna wdzięku żona i wesole córki podnieśli ich trochę na duchu. Kiedy zapadła ciemność, Bern wysłał swojego człowieka łodzią na Dorn, aby poczynił pewne przygotowania (nie powiedział jakie) na następny dzień.

ROZDZIAŁ 4 CO ZROBIŁ KASPIAN

NASTĘPNEGO RANKA baron Bern zbudził wcześniej swoich gości i po śniadaniu poradził Kaspianowi, by rozkazał swym ludziom nałożyć pełen rynsztunek bojowy.

- I pamiętajcie - dodał - niech wszystko będzie tak przygotowane i wyczyszczone, jakby to był poranek przed pierwszą bitwą w wielkiej wojnie między szlachetnymi monarchami na oczach całego świata.

Tak zrobiono, a potem popłynęli trzema barkami

- Kaspian ze swoimi ludźmi i Bern z częścią swoich

- do Narrowhaven. Na łodzi Kaspiana powiewała królewska chorągiew, a towarzyszył mu herold.

Kiedy dopłynęli do nabrzeży portu, Kaspian zobaczył, że zgromadził się tam spory tłum.

- Po to właśnie wysłałem swojego człowieka zeszłego wieczora - powiedział Bern. - To są wszystko moi przyjaciele, uczciwi ludzie.

Gdy tylko Kaspian postawił nogę na nabrzeżu, tłum zaczął wiwatować na jego cześć, skandując: „Nar-nia! Nar-nia! Niech żyje król!” W tej samej chwili - a i to było zasługą posłańców Berna - w całym mieście zaczęły bić dzwony. Kaspian rozkazał swemu chorążemu wznieść wysoko królewską chorągiew, a heroldowi grać na trąbce, a potem każdy z jego ludzi dobył miecza i przybrał najsroższą, choć wcale nie ponurą minę i w błyszczącym pochodzie, ze szczękiem oręża, wkroczyli do miasta. Ulica zadrżała, a w dobrze wyczyszczonym rynsztunku słońce zapłonęło tak, że trudno było na nich zbyt długo patrzeć.

Z początku jedynymi ludźmi, którzy ich witali, byli ci, których powiadomił posłaniec Berna - ci, którzy wiedzieli, co to wszystko oznacza i bardzo tego pragnęli. Ale potem na ulice wyległy wszystkie dzieci, jako że wszystkie dzieci lubią takie pochody, a te z Narrowhaven nie miały okazji widywać ich zbyt często. Wkrótce przyłączyli się do nich uczniowie, ponieważ również lubili pochody, a poza tym wiedzieli, że im więcej hałasu i zamieszania, tym większa szansa na to, że tego ranka nie będzie lekcji. A potem wszystkie stare kobiety wystawiły głowy z drzwi i okien i zaczęły trajkotać między sobą i wiwatować, bo przecież to był król, a czym jest gubernator w porównaniu z królem? I wszystkie młode kobiety przyłączyły się do nich z tej samej przyczyny, a także i dlatego, że Kaspian, Drinian i pozostali rycerze byli

tacy przystojni! A wszyscy młodzieńcy poszli zobaczyć, na co patrzą dziewczęta. I tak, zanim orszak Kaspiana dotarł do bram zamku, prawie całe miasto wyległo na ulice, wrzeszcząc i wiwatując, aż hałas usłyszał Gumpas, który miotał się w swym zamku, próbując tak pomieszać i pofalszować rachunki, formularze, przepisy i prawa, aby ukryć swoje matactwa i oszustwa.

Przed bramą zamku herold królewski zagrał na trąbce i zawołał:

- Otworzyć bramę przed królem Narnii, który przybywa w odwiedziny do swego zaufanego i umiłowanego sługi, gubernatora Samotnych Wysp!

W tamtych czasach na Wyspach wszystko robiono w wyjątkowo niechlujny i bałaganiarski sposób. Na dźwięk trąbki otworzyły się w bramie małe drzwiczki i wyszedł z nich rozczochrany człeczyna w starym, brudnym kapeluszu zamiast hełmu i z równie starą, zardzewiałą piką w ręku. Na widok połyskujących w słońcu postaci zamrugał i wybełkotał:

- Nie-żecie-aczyć-gotaczalności - (co miało oznaczać: „Nie możecie zobaczyć jego samowystarczalności”). - Nie ma widzeń bez aąroszenia rócz ędzy dzieątą i siatą w każdą ruga ootę siąca.

- Odkryj swą głowę przed Narnią, psie! - zagrmiał baron Bern i trzepnął go dłonią w rękawicy, zrzucając mu kapelusz z głowy.

- He... ee... O co tu ściwie chodzi?... - zaczął odźwierny, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Dwóch ludzi Kaspiana przecisnęło się przez drzwiczki i uporawszy się z ryglami i sztabami (wszystko było strasznie zardzewiałe) rozwarło szeroko oba skrzydła bramy. Król i jego orszak wkroczyli na dziedziniec. Tu zastali nieco ludzi ze straży gubernatora, którzy wałęsali się bez celu, podczas gdy inni wychodzili z różnych drzwi, najczęściej obcierając sobie usta rękami. Chociaż ich rynsztunek znajdował się w opłakanym stanie, wyglądali na żołnierzy, których stać na walkę, gdyby tylko ktoś ich poprowadził, albo gdyby wiedzieli, co się w ogóle dzieje - był to więc niebezpieczny moment. Ale Kaspian nie dał im czasu na myślenie.

- Gdzie jest kapitan? - zapytał.

- Ja nim jestem, w większym lub mniejszym stopniu, jeśli wiecie, co mam na myśli - odezwał się rozmamłany, dandysowaty młodzieniec, nie mający na sobie ani kawałka zbroi.

- Jest naszym życzeniem - rzekł Kaspian - by nasza królewska wizytacja naszych posiadłości na Samotnych Wyspach stała się dla naszych lojalnych poddanych, jeśli to możliwe, okazją do radości, a nie strachu. Gdyby tak nie było,

miałbym coś do powiedzenia na temat stanu rynsztunku i broni twoich ludzi. Ale ponieważ tak jest, przebaczam ci. Każ otworzyć beczułkę wina, aby twoi ludzie mogli wypić nasze zdrowie. Jutro w południe chcę widzieć ich tu, na dziedzińcu, i żeby mi wyglądali jak żołnierze pod bronią, a nie jak włóczędzy. Dopilnuj tego, jeśli nie chcesz się narazić na nasze najgłębsze niezadowolenie.

Kapitan gapił się na niego z rozdziawionymi ustami, gdy Bern zawołał:

- Trzy razy „hurra” na cześć króla! Żołnierze, do których dotarło tylko coś o beczulce wina, wrzasnęli ochoczo. Teraz Kaspian rozkazał większej części swoich ludzi pozostać na dziedzińcu, a sam, z Bernem, Drinianem i czterema rycerzami, wkroczył do wielkiej sali zamkowej.

W dalekim końcu sali, za stołem, otoczony sekretarzami, siedział Jego Samowystarczalność Gubernator Samotnych Wysp. Gumpas był stetryczalym, niezbyt miło wyglądającym mężczyzną, z włosami, które kiedyś były rude, a teraz przeważnie siwe. Rzucił krótkie spojrzenie na wchodzących i zaraz powrócił do swoich papierów, mówiąc automatycznie:

- Żadnych widzeń bez uzgodnienia prócz jednej godziny między dziewiątą a dziesiątą wieczorem w każdą drugą sobotę miesiąca.

Kaspian dał znak Bemowi, a sam stanął z boku. Bern i Drinian podeszli do stołu, schwycili go z dwóch stron, podnieśli do góry i cisnęli daleko, aż potoczył się pod ścianę, rozsypując deszcz listów, raportów, kałamarzy, piór, wosku do pieczęci i dokumentów. Potem - niezbyt brutalnie, ale z taką siłą, jakby ich dłonie były stalowymi obcęgami - wyciągnęli Gumpasa z fotela i opuścili na podłogę nieco dalej. Kaspian natychmiast zasiadł w fotelu i wsparł dłonie na nagim mieczu ustawionym między kolanami.

- Mój panie - powiedział z oczami utkwionymi w Gumpasie - nie przywitałeś nas tak, jak tego oczekiwaliśmy. Jestem królem Narnii.

- Nie było nic na ten temat w korespondencji - odrzekł gubernator. - Nic a nic w protokołach. Nie uzgadniano z nami takiej ewentualności. Wszystko to jest sprzeczne z przepisami. Chętnie jednak rozpatrzymy...

- I przybyliśmy tutaj, aby osobiście sprawdzić, jak wasza samowystarczalność pełni swój urząd - ciągnął Kaspian. - Są zwłaszcza dwa punkty, co do

których żądam wyjaśnień. Po pierwsze, już od stu pięćdziesięciu lat nie pojawiają się w naszych dokumentach adnotacje, że wpłynęła stosowna danina, jaką te Wyspy obowiązane są płacić Koronie Narnii.

- To będzie właśnie tematem najbliższego posiedzenia Rady w przyszłym miesiącu - powiedział Gumpas. - Jeżeli ktoś postawi wniosek, by powołać komisję do zbadania finansowej historii Wysp i opracować raport na pierwsze posiedzenie Rady w przyszłym roku, to...

- Stwierdziłem także, że nasze prawa dość jasno stanowią, co następuje - ciągnął Kaspian, nie zwracając uwagi na jego słowa. - Jeśli danina nie zostanie dostarczona, cały dług ma być pokryty przez gubernatora Samotnych Wysp z jego prywatnego skarbcza.

Dopiero teraz Gumpas zaczął okazywać objawy niepokoju.

- Och, to jest zupełnie niemożliwe - powiedział. - To ekonomiczny absurd... e-e-e... wasza królewska mość chyba żartuje...

Mówiąc to, Gumpas myślał gorączkowo, czy jest jakiś sposób uwolnienia się z rąk tych nieproszonych gości. Gdyby wiedział, że Kaspian ma tylko jeden okręt, a ze sobą tylko nieliczną załogę, dążyłby do zyskania na czasie, odpowiadając uprzejmie i pokornie, mając jednocześnie nadzieję otoczyć ich i wybić co do jednego po zapadnięciu nocy. Widział jednak poprzedniego dnia okręt wojenny żeglujący przez cieśninę i dający jakieś sygnały - zapewne innym okrętom z flotyli narnijskiej. Wówczas nie wiedział jeszcze, że to okręt króla, ponieważ nie było wiatru, który by rozwinął królewski proporzec i ukazał złotego lwa, czekał więc na rozwój wypadków. Teraz był przekonany, że Kaspian ma ze sobą całą flotę, czekającą w Bernstead. Gumpasowi po prostu nie przeszło nawet przez myśl, że ktoś mógłby wkroczyć do Narrowhaven z zamiarem podbicia wyspy, mając tylko pięćdziesięciu ludzi; z całą pewnością przekraczało to granice jego wyobraźni.

- Po drugie - mówił dalej Kaspian - pragnę wiedzieć, dlaczego zezwoliłeś, by ów ohydny i sprzeczny z naturą handel niewolnikami tak się tu rozplenił wbrew starożytnym obyczajom i prawom naszego państwa.

- To było konieczne, nie do uniknięcia - odpowiedział Gumpas. - To podstawa ekonomicznego rozwoju Wysp. Zapewniam waszą królewską mość, że nasz obecny, jakże imponujący dobrobyt właśnie od tego zależy.

- Jaką macie korzyść z niewolników?

- Towar na eksport, wasza królewska mość. Sprzedajemy ich głównie do Kalormenu, ale mamy także inne rynki zbytu. Jesteśmy poważnym ośrodkiem tego handlu.

- A więc wy sami ich nie potrzebujecie - zauważył Kaspian. - Czemu więc służą,

prócz nabijania pieniędzmi kieszeni takich ludzi jak Glino?

- Będąc jeszcze młodzieńcem - odpowiedział Gumpas z miną, która miała oznaczać ojcowską pobłażliwość - wasza królewska mość z całą pewnością nie potrzebuje i nie musi rozumieć wszystkich problemów ekonomicznych, które tu wchodzi w grę. Mam odpowiednie statystyki, mam wykresy, mam...

- Niezależnie od mojego młodego wieku - rzekł Kaspian - wydaje mi się, że potrafię zrozumieć sens handlu niewolnikami równie dobrze jak wasza samowystarczalność. I jakoś nie widzę, by handel ten dawał Wyspom więcej mięsa lub chleba, lub piwa, lub wina, lub drzewa, lub kapusty, lub książek, lub instrumentów muzycznych, lub koni, lub uzbrojenia, lub czegokolwiek jeszcze, co warto mieć. Ale bez względu na to, czy coś daje, czy nie, musi się skończyć.

- Ależ to próba cofania wskazówek zegara historii

- wykrztusił gubernator. - Czy wasza królewska mość nie wie, co to jest postęp, co to jest rozwój?

- Widziałem coś takiego w zwykłym jajku - powiedział Kaspian. - W Narnii mówimy po prostu, że jajko się zepsuło. Ten handel musi się skończyć.

- Nie mogę wziąć na siebie żadnej odpowiedzialności za takie metody - rzekł Gumpas.

- Świetnie się składa - przerwał mu Kaspian - bo oto zwalniamy cię z twoich obowiązków. Baronie Bernie, zbliż się tutaj.

I zanim do Gumpasa dotarło, co się dzieje, już Bern klęczał przed królem, przysięgając rządzić Samotnymi Wyspami zgodnie ze starymi obyczajami, ustawami, tradycjami i prawami Narnii. A potem Kaspian powiedział: „Myślę, że już dość mamy gubernatorów” i uczynił Berna księciem, Księciem Samotnych Wysp.

- Co do ciebie, mój panie - rzekł do Gumpasa - to daruję ci dług za nie dostarczoną daninę, ale do jutra w południe musisz się wynieść z tego zamku razem ze swoimi ludźmi. Zamek jest obecnie rezydencją księcia.

- Wszystko to pięknie - odezwał się jeden z sekretarzy Gumpasa - ale może by tak skończyć tę komedię i przejść do interesów? Nasz prawdziwy problem, to...

- Prawdziwy problem polega na tym - rzeki książę - czy ty i cała reszta tej hałastry opuścicie zamek bez chłosty, czy też z chłostą. Wybór należy do was.

Kiedy wreszcie wszystko zostało miło i spokojnie wyjaśnione, Kaspian zażądał koni, których kilka - choć bardzo zaniedbanych - pozostało jeszcze w zamku, i z Bernem, Drinianem i paroma rycerzami wyjechał do miasta, kierując się w stronę

targowiska niewolników. Był to długi, niski budynek w pobliżu przystani. To, co zobaczyli po wejściu do środka, przypominało każdą inną wyprzedaż: pełno było ludzi, ponad którymi wydierał się ochrypłym głosem Glino:

- A teraz, panowie, numer dwadzieścia trzy. Świetny parobek z Terebintu, doskonały do kopalni lub galer. Nie ma jeszcze dwudziestu pięciu lat. Niezłe zęby. Dobry, krzepki osilek. Ściągnij mu koszulę, Teks, niech panowie sami popatrzą. Oto muskuły, jakich wam potrzeba! Spójrzcie na ten tors. Dziesięć krescentów od pana w rogu. Pan chyba żartuje! Piętnaście! Osiemnaście! Osiemnaście po raz pierwszy za numer dwadzieścia trzy. Nikt nie podbija? Dwadzieścia jeden. Dzięki, panie. Dwadzieścia jeden po raz pierwszy...

Ale tu Glino urwał nagle i stał z otwartymi ustami, gapiąc się na okryte kolczugami postacie wspinające się na platformę.

- Na kolana, wszyscy co do jednego, przed królem Narnii! - zawołał książę. Wszyscy usłyszeli rzenie koni i stuk kopyt na zewnątrz, a do wielu dotarły już pogłoski o wylądowaniu obcych wojsk i o wydarzeniach na zamku. Większość natychmiast usłuchała. Ci, którzy się namyślali, zostali pociągnięci na podłogę przez swoich sąsiadów. Rozległy się słabe wiwaty.

- Za targnięcie się na nietykalność naszej królewskiej osoby - rzekł Kaspian do Glina - powinienem ci odebrać życie. Ale wybaczam ci z powodu twej ignorancji. Kwadrans temu handel niewolnikami został zakazany w całym państwie. Oświadczam, że każdy niewolnik na tym targu jest wolny!

Podniósł rękę, aby uciszyć wiwaty wyzwoleńców, i ciągnął dalej:

- Gdzie są nasi przyjaciele?

- Ta kochana dziewczynka i ten milutki młodzieniec? - zapytał Glino, uśmiechając się przymilnie. - No cóż, capnięto ich od razu i...

- Tu jesteśmy! Tu jesteśmy, Kaspianie! - rozległy się głosy Łucji i Edmunda, a z drugiego końca hali dobiegł cienki głos Rycypiska:

- Do usług, miłościwy panie!

Wszyscy troje zostali już sprzedani, ale na szczęście ich nowi właściciele nie opuścili jeszcze targu, pragnąc wziąć udział w dalszej licytacji. Tłum rozstał się, aby ich przepuścić, i za chwilę wszyscy byli świadkami serdecznych uścisków i powitań. W chwilę później zbliżyło się dwu kupców z Kalormenu. Kalormenowie mają ciemne twarze i długie brody, noszą obszerne, powiewne szaty i pomarańczowe turbany. Ten starożytny lud odznacza się mądrością, bogactwem, wyszukаныmi manierami i

okrucieństwem. Skłonili się uprzejmie przed Kaspianem i obsypali go swoimi zwykłymi pochlebstwami, w których była mowa o fontannie dobrobytu nawadniającej ogrody roztropności i męstwa oraz o wielu podobnych rzeczach, ale oczywiście chodziło im o pieniądze, które zapłacili.

- Należą się wam sprawiedliwie, mości panie - rzekł Kaspian. - Każdy, kto dziś kupił niewolnika, musi dostać swoje pieniądze z powrotem. Glino, oddaj to, co już wzięłeś, do ostatniego minima*.

- Wasza królewska mość! Czyżbyś chciał puścić mnie z torbami? - zaskamlał Glino.

- Przez całe życie zarabiałeś na złamanych sercach - powiedział Kaspian. - Jeżeli rzeczywiście będziesz musiał żebrać, to pociesz się, że na pewno lepiej być żebrakiem niż niewolnikiem. Ale gdzie jest jeszcze jeden z moich przyjaciół?

- Ach, TEN? - rzekł Glino. - Och, zabierz go czym prędzej, a będę ci wdzięczny do grobowej deski. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego bubla na tym targu! W końcu wyceniłem go na pięć krescentów, ale i to nie zachęciło żadnego z kupujących. Co mówię, chciałem go dołożyć za darmo do innych numerów, ale nikt go nie chciał. Nikt go nawet nie dotknął. Nikt na niego nie spojrzał. Teks, przyprowadź tu Dąsacza.

Ukazał się wreszcie Eustachy, rzeczywiście okropnie nadąsany, czemu zresztą trudno się dziwić. Ostatecznie nikt nie chce zostać sprzedany na targu niewolników, ale chyba jeszcze gorzej jest stać się czymś w rodzaju publicznej własności, której nikt nie chce kupić. Podszedł do Kaspiana i powiedział:

- No tak. Jak zwykle. Bawimy się w najlepsze, podczas gdy reszta marnieje w lochu. Jestem pewien, że nawet się nie starałeś znaleźć brytyjskiego konsula. Oczywiście.

Tego wieczora wyprawili wielką ucztę na zamku Narrowhaven. Zanim poszli spać, Rycypisk uklonił się każdemu z osobna na dobranoc i powiedział:

- Do jutra, do początku naszych prawdziwych przygód!

Ale tak naprawdę nie mogło to być ani jutro, ani pojutrze. Teraz bowiem musieli się dobrze przygotować do drogi, która miała ich zaprowadzić poza wszystkie znane kraje i morza. „Wędrowiec do Świt” został całkowicie opróżniony i wciągnięty na ląd po drewnianych rolkach przez osiem koni, a następnie każdy kawałek okrętu został poddany dokładnym oględzinom przez najbardziej wytrawnych szkutników i cieśli. Dopiero wtedy spuszczone statek na wodę i napełniono

*Jeden minim stanowi czterdziestą część krescenta (przyp. autora)

prowiątkiem - jedzeniem i wodą - tak, jak to było możliwe, czyli na dwadzieścia osiem dni podróży. Ale i te zapasy - jak zauważył Edmund z niezadowoleniem - pozwalały im na żeglowanie na wschód tylko przez dwa tygodnie: jeżeli do tego czasu nie osiągną celu wyprawy, będą musieli wracać do Samotnych Wysp.

Kiedy czyniono przygotowania do podróży, Kaspian nie marnował czasu i starał się wypytać najstarszych kapitanów, jakich mógł *znaleźć* w Narrowhaven, o wszystko, co widzieli sami lub o czym choćby słyszeli na temat wschodnich rejsów. Wiele gąsiorów piwa z zamkowych piwnic musiał przynieść, by rozwiązać języki tych ogorzałych wilków morskich z krótkimi, szarymi brodami i jasnymi, niebieskimi oczami. Usłyszał wiele opowieści. Lecz ci, którzy wyglądali na najbardziej prawdomównych, nie potrafili powiedzieć

nic o jakichkolwiek lądach poza Samotnymi Wyspami. Wielu sądziło, że kiedy się pożegluje zbyt daleko na wschód, dopływa się do strefy wiecznie skłębionego, wirującego morza bez lądu - do oceanu, który otacza całą ziemię. „I właśnie tam, jak amen w pacierzu, poszli na dno przyjaciele waszej królewskiej mości”, dodawali. Reszta wilków morskich opowiadała fantastyczne historie o wyspach zamieszkałych przez ludzi bez głów, o wyspach fruujących, o trąbach morskich i ogniu, co płonie na powierzchni wody. Tylko jeden, ku radości Rycypiska, powiedział: „A jeszcze dalej jest kraina Aslana. Ale to już jest poza krawędzią świata i nie można tam dopłynąć”. Kiedy jednak zapytali go o szczegóły, wyznał tylko, że słyszał to od swego ojca.

Bern potrafił im powiedzieć jedynie to, że widział, jak jego sześciu towarzyszy pożeglowało na wschód; od tej pory nikt o nich nie słyszał. Powiedział to, gdy wraz z Kaspianem stali na najwyższym wzgórzu Awry, patrząc na wschodni ocean.

- Często tu przychodziłem - rzekł książę - i patrzyłem na słońce wynurzające się z morza. Czasami wydawało mi się, że to zaledwie kilka mil stąd. I myślałem o moich towarzyszach, i zastanawiałem się, co też naprawdę jest poza widnokretem. Prawdopodobnie nie ma nic, ale zawsze trochę mi wstyd, że sam tam nie popłynąłem. Prawdę mówiąc, wcale mi się nie uśmiecha zamysł waszej królewskiej mości. Będziemy tutaj potrzebować twojej, panie, pomocy. Zakaz handlu niewolnikami może tu stworzyć zupełnie inny świat. Jedno, co już mogę przewidzieć, to wojna z Kalormenami. Panie mój, przemyśl to jeszcze raz!

- Złożyłem przysięgę, książę - odpowiedział Kaspian. - A zresztą, co bym powiedział Rycypiskowi?

ROZDZIAŁ 5

BURZA - I CO Z NIEJ WYNIKŁO

MINEŁY JEDNAK PRAWIE TRZY TYGODNIE od ich wylądowania na Samotnych Wyspach, zanim „Wędrowiec do Świtu” został wreszcie wyprowadzony z przystani Narrowhaven. Padły uroczyste słowa pożegnań i wielki tłum zebrał się na nabrzeżu, aby zobaczyć, jak odpływają. Były i wiwaty, i trochę łez, gdy Kaspian wygłosił swoje ostatnie przemówienie do mieszkańców Wysp i rozstał się z księciem i jego rodziną. Aż wreszcie, kiedy okręt odpłynął do brzegu, z purpurowymi żaglami łopoczącymi na słabym wietrze, a dźwięk królewskiej trąbki z pokładu rufowego stawał się coraz słabszy i słabszy, na nabrzeżu zaległa cisza. Potem okręt złapał wiatr. Żagle wybrzuszyły się, holująca ich barka zabrała cumy i skierowała się do brzegu, pierwsza prawdziwa fala uderzyła o dziób i „Wędrowiec do Świtu” rozpoczął swój nowy rejs. Marynarze, którzy nie mieli wachty, zeszli pod pokład, a Drinian zajął swe stanowisko na rufie i skierował okręt na wschód, wokół południowych brzegów Awry.

Teraz nadeszły cudowne dni. Łucja myślała, że jest najszcześniejszą dziewczynką na świecie, kiedy budząc

się rano widziała słoneczne odbicia tańczące po suficie kajuty, a naokoło siebie wszystkie wspaniałe nowe rzeczy, które dostała na Samotnych Wyspach: wysokie żeglarskie buty, chodaki, płaszcze, kurty i szale. A potem mogła wyjść na pokład, wdychać cudowne, z każdym dniem cieplejsze powietrze i patrzeć z pokładu dziobowego na morze, każdego ranka coraz bardziej niebieskie. Potem nadchodziła pora śniadania, które zjadała z apetytem, jaki można mieć tylko na morzu.

Wiele godzin spędzała na ławeczce w kajucie sterówki, grając z Rycypiskiem w szachy. Cóż to był za widok: Rycypisk podnoszący figury - z całą pewnością dla niego za duże - dwiema łapami i wspinający się na palce, gdy przychodziło mu zrobić ruch na środku szachownicy. Był dobrym graczem i jeśli tylko pamiętał, co robi - wygrywał. Ale rzadko to się zdarzało. Najczęściej wykonywał nagle jakiś zupełnie zwariowany ruch, jak postawienie konia w miejscu zagrożonym jednocześnie i przez królową, i przez wieżę. A działo się tak, ponieważ zbyt często zapominał, że to gra w szachy, a nie prawdziwa bitwa: jego rycerz na koniu musiał po prostu zrobić to, co sam Rycypisk uczyniłby bez wątpienia na jego miejscu, nie bacząc na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Serce Rycypiska bowiem wypełniały nadzieje, które nie miały szans spełnienia. Marzył o ostatnich redutach i szaleńczych szarżach, w których czeka śmierć lub chwała.

Te miłe dni nie trwały jednak długo. Pewnego wieczora, kiedy Łucja wpatrywała się beczynn timer w długą, pienistą bruzdę, jaką zostawiali za sobą, zobaczyła na zachodnim niebie kłębowisko chmur, rosnące w górę i wszere ze zdumiewającą szybkością. Potem w chmurach zrobiła się dziura i wylało się przez nią żółtawe światło zachodzącego słońca. Fale za rufą zaczęły rosnąć, a morze zrobiło się żółtobrazowe, jak przypalone płótno. Powiało chłodem. Okręt parł do przodu niespokojnie, jakby wyczuł za sobą niebezpieczeństwo. Żagle łopotały; raz po raz zwisały luźno, by w następnej chwili wypełnić się wiatrem do granic wytrzymałości. Łucja obserwowała to wszystko i gdy zastanawiała się nad złowieszczą zmianą w szumie wiatru, rozległ się okrzyk Driniana: „Wszyscy na pokład!” Wkrótce cała załoga miała pełne ręce roboty. Zakryto szczelnie luki, wygaszono ogień pod kuchnią, marynarze wspięli się na maszt, by zwinąć żagiel. Nim skończyli, burza uderzyła w okręt. Łucja zobaczyła, że nagle tuż przed dziobem otworzyła się w morzu wielka dolina, w którą pomknęli, spadając w dół głębiej, niż można było uwierzyć. Na spotkanie ruszyła im olbrzymia szara góra wody, o wiele wyższa niż maszt; zdawało się, że to już koniec, ale nie, okręt wzniósł się na jej szczyt i obrócił bokiem do fali. Runęła na niego kaskada wody, zalewając go całkowicie, tak że pokład dziobowy i rufowy wyglądały przez chwilę jak dwie wyspy rozdzielone dziko wzburzonym morzem. W górze marynarze przyłgnęli do rei, rozpaczliwie próbując opanować żagle. Zerwana lina naprężyła się na wietrze, sztywna i prosta jak kij.

- Na dół, pani! - zawołał Drinian.

Łucja, wiedząc, że szczury lądowe - a szczególnie kobiety - nie ułatwiają pracy załodze, chciała być posłuszna, choć nie było to łatwe. „Wędrowiec do Świtu” tak groźnie przechylił się na sterburtę, że pokład przypominał teraz stromy dach kamienicy. Trzymając się balustrady, wgramoliła się na szczyt do miejsca, gdzie opierała się drabina, przepuściła dwóch marynarzy wspinających się w górę i zaczęła ostrożnie schodzić na pokład główny. Dobrze, że mocno trzymała się drabiny! Gdy już była na samym dole, na pokład zwała się następna fala i zakryła ją aż do ramion. Łucja już przedtem była zupełnie mokra od deszczu i bryzgów fal. Dała susa do kabiny rufowej, wskoczyła do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nareszcie nie musiała patrzeć, jak okręt w straszliwym pędzie wali się w ciemność, choć nadal słyszała złowieszczą symfonię łoskotów, trzasków, ryków, świstów i wycia, które tu, we wnętrzu, brzmiały jeszcze bardziej przerażająco.

I tak było i nazajutrz, i jeszcze przez następne dni, aż w końcu już nikt nie mógł

sobie przypomnieć, jak było dawniej. Przez cały czas przy rumplu stało trzech ludzi, choć przecież i oni nie byli w stanie utrzymać właściwego kursu. I nie było nigdy odpoczynku dla reszty załogi, i nic nie można było ugotować ani wysuszyć. Jeden marynarz wypadł za burtę i zginął. Wydawało się, że już nigdy nie zobaczą słońca.

Kiedy już to wszystko minęło, Eustachy poczynił następujące zapisy w swoim dzienniku:

3 września. Pierwszy dzień od wieków, w którym jestem w stanie pisać. Huragan pędził nas przez trzynaście dni i nocy. Wiem to dobrze, bo prowadziłem dokładną rachubę czasu, choć inni twierdzą, że było tylko dwanaście dni. Bardzo to przyjemne - odbywać niebezpieczną podróż z ludźmi, którzy nie potrafią nawet liczyć! Upiorny czas, fale miotały nami w górę i w dół godzina po godzinie. Przemoczony do suchej nitki. Nawet nie próbowano podać nam właściwego posiłku. Nie warto wspominać, że na pokładzie nie ma radia, a nawet choćby rakiety, tak że nie ma żadnej szansy wysłania sygnałów o pomoc. Wszystko to potwierdza tylko to, co już powiedziałem: trzeba być wariatem, aby wyruszyć w morze w takiej spróchniałej balii. Byłoby to fatalne nawet wtedy, gdyby się miało do czynienia z przyzwoitymi ludźmi, a nie ze zwariowanymi maniakami jak ci tutaj.

Kaspian i Edmund są wobec mnie wprost brutalni. Tej nocy, kiedy straciliśmy maszt (został tylko obłamany kawałek), zmusili mnie, bym wyszedł na pokład i pracował z innymi jak niewolnik, chociaż czułem się naprawdę niedobrze. Oczywiście Łucja musiała wtrącić swoje trzy grosze mówiąc, że Ryczypisk strasznie chce wyjść na pokład z innymi, ale jest za mały. Dziwię się jej: jak można nie zauważyć, że to zwierzątko robi wszystko na pokaz! Nawet w jej wieku trzeba mieć tę odrobinę rozsądku. Dzisiaj ta przeklęta łajba nareszcie przestała się miotać i wyjrzało słońce. Wszyscy się głowią nad tym, co robić dalej. Mamy dosyć jedzenia, choć większość to straszne paskudztwo. (Wszystkie kury zostały zmiecione do morza, a nawet gdyby ich nie zmyło, podczas sztormu nie chciałyby składać jajek.) Prawdziwy kłopot to brak wody. Dwie beczki musiały zostać przedziurawione i są puste (jeszcze jeden przykład narnijskiej sprawności). Przy obciętych racjach (ćwierć kwarty dziennie dla każdego) wystarczy na dwanaście dni. (Jest wciąż mnóstwo rumu i wina, ale nawet oni zdają sobie sprawę, że trunki tylko wzmagają pragnienie.)

Gdyby to było możliwe, najrozsądniej byłoby zawrócić na zachód ku Samotnym Wyspom. Płyniemy już jednak osiemnaście dni, przy czym większość

podróży odbyliśmy w szaleńczym tempie, gnani szkwalem. Gdybyśmy nawet złapali wiatr wschodni, powrót zajęłby nam o wiele więcej dni. A na razie nie ma mowy o wschodnim wietrze - w ogóle nie ma wiatru. Jeśli chodzi o wiosłowanie, to według Kaspiana trwałoby to jeszcze dłużej i nikt by tego nie wytrzymał, dostając ćwierć kwarty wody dziennie. Jestem całkowicie pewien, że się myli. Próbowałem mu wyjaśnić, że obfite pocenie się naprawdę ochładza temperaturę ciała tak, że ludzie potrzebują mniej wody, gdy intensywnie pracują. Udawał, że w ogóle to do niego nie dociera, co jest jego zwykłą reakcją, kiedy nie wie, co odpowiedzieć. Wszyscy pozostali głosowali za płynięciem naprzód w nadziei znalezienia lądu. Uważałem za swój obowiązek zwrócić im uwagi na fakt, że przecież nie wiemy, czy jest jakikolwiek ląd przed nami, oraz próbowałem im ukazać niebezpieczeństwo kryjące się w pobożnych życzeniach. Zamiast zastanowić się nad jakimś lepszym planem, mieli czelność zapytać mnie, co wobec tego proponuję. Musiałem im spokojnie i chłodno wyjaśnić, że zostałem porwany i rzucony w tę idiotyczną wyprawę bez mojej zgody. To naprawdę nie mój interes, by ich wyciągać z tarapatów, w które sami wpadli.

4 września. Wciąż cisza. Bardzo małe racje na obiad; ja dostałem mniej niż inni. Kaspian jest bardzo sprytny przy nakładaniu porcji i myśli, że tego nie widzę! Lucja z jakiegoś powodu próbowała stanąć po mojej stronie, oferując mi część swojej porcji, ale ten wścibski pedant, Edmund, nie pozwolił jej na to. Wściekle gorąco. Przez cały wieczór jestem okropnie spragniony.

5 września. Wciąż cisza i bardzo gorąco. Od samego rana czuję się połamany i jestem pewien, że mam gorączkę. Oczywiście zabrakło im tej odrobiny rozsądku, by zabrać termometr.

6 września. Straszny dzień. Obudziłem się w nocy, wiedząc, że mam gorączkę i muszę się napić wody. Każdy doktor powiedziałby to samo. Bóg jeden wie, że jestem ostatnią osobą, która by próbowała uzyskać jakieś niesprawiedliwe przywileje, ale nigdy nawet mi się nie śniło, że te dzienne racje wody mogą być stosowane wobec człowieka chorego. Zresztą obudziłem innych, żeby mi dali trochę wody, gdybym nie uważał, że budzenie ich jest czynem egoistycznym. Wstałem więc, wziąłem kubek i wyszedłem na palcach z tej Czarnej Dziury, w której śpimy, uważając, by nie potrącić Kaspiana i Edmunda, bo źle śpią od czasu, gdy się zaczęły te upały i brak wody. Zawsze staram się zwracać uwagę na innych, niezależnie od tego, czy są dla mnie mili, czy nie. Dostałem się do tego wielkiego

pokoju, jeżeli to można nazwać pokojem, gdzie są ławki dla wioślarzy i wszystkie zapasy. Ta rzecz z wodą jest na samym końcu. Zanim jednak zdołałem nabrać wody, złapał mnie - któż by inny, jak nie ten mały szpicel Ryczyp. Próbowałem mu wyjaśnić, że idę na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza (w końcu nie musi go obchodzić, że chcę się napić wody), ale on zapytał mnie, po co wobec tego trzymam w ręku kubek. Narobił takiego hałasu, że obudził cały statek. Potraktowali mnie skandalicznie. Zapytałem (jak by to zrobił każdy na moim miejscu), dlaczego Ryczypisk kręci się koło beczki z wodą w samym środku nocy. Odpowiedział, że jest za mały, aby zrobić coś pożytecznego na pokładzie, trzyma więc straż przy wodzie i w ten sposób jeden marynarz więcej może spać. No i tu okazała się raz jeszcze ta ich zgniła niesprawiedliwość: wszyscy uwierzyli jemu. Moglibyście znieść coś takiego?

Musiałem przeprosić, bo ten mały, niebezpieczny zwierzak zagroził mi mieczem. I wtedy Kaspian ukazał swoje prawdziwe oblicze brutalnego tyrana. Wygłosił mowę, którą wszyscy słyszeli, że w przyszłości każdy, kto zostanie schwytany na „kradzieży” wody, „otrzyma dwa tuziny”. Nie wiedziałem, co to znaczy, dopóki mi Edmund nie wyjaśnił. To pochodzi z tego rodzaju ksiązek, które czytają te dzieciaki Pevensie.

Po tej tchórzliwej groźbie Kaspian zmienił styl i zaczął być bardzo protekcyjny. Powiedział, że bardzo mnie żałuje i że każdy czuje się tak źle jak ja, ale wszyscy musimy dać z siebie wszystko itd., itd. Odrażający, zadzierający nosa kołtun. Przez cały dzień nie wychodziłem z łóżka.

7 września. Pojawił się lekki wiatr, ale wciąż z zachodu. Zrobiliśmy parę mil na wschód pod kawałkiem żagla umocowanego na czymś, co Drinian nazywa „improvizowanym masztem” - to znaczy na bukszprycie ustawionym pionowo i przywiązany (marynarze mówią „przycumowany”) do tego kawałka drewna, który został z prawdziwego masztu. Wciąż strasznie chce mi się pić.

8 września. Wciąż żeglujemy na wschód. Siedzę w kot przez cały dzień i nie widuję nikogo prócz Łucji, dopóki tych dwóch maniaków nie przyjdzie spać. Łucja daje mi trochę wody ze swojej racji. Mówi, że dziewczynki nie potrzebują tyle pić, co chłopcy. Często przedtem też tak myślałem, ale ten fakt powinien być powszechniej znany na morzu.

9 września. Ziemia na horyzoncie! Jakaś bardzo wysoka góra, daleko od nas, w kierunku południowo-wschodnim.

10 września. Góra jest coraz większa i wyraźniejsza, ale wciąż jeszcze daleko.

Pierwsze mewy od nie wiem już jakiego czasu.

11 września. Złowiliśmy parę ryb i zjedliśmy je na obiad. Rzuciliśmy kotwicę około 7 wieczorem w zatoce owej górzystej wyspy, mając pod sobą 3 sążnie wody. Ten idiota Kaspian nie pozwolił nam zejść na ląd, ponieważ robiło się już ciemno, a on obawiał się tubylców i dzikich zwierząt. Wieczorem jedna racja wody więcej.

To, co czekało ich na wyspie, miało dotyczyć Eustachego bardziej niż kogokolwiek innego, ale nie mogę dłużej korzystać z jego własnego opisu, ponieważ po 11 września zapomniał całkowicie o prowadzeniu dziennika.

Kiedy nastał ranek, z ciężkim, szarym niebem, ale bardzo gorący, poszukiwacze przygód stwierdzili, że znajdują się w otoczonej urwiskami i skałami zatoce przypominającej norweski fiord. Przed nimi, w głębi zatoki, było nieco płaskiego lądu porośniętego gęsto drzewami podobnymi do cedrów. Wypływał stamtąd wartki potok. Za drzewami teren podnosił się aż do poszczerbionej grani. Poza nią czerniły się pasma gór, których szczyty ginęły w ciężkich, matowych chmurach. Bliżej skaliste urwiska po obu stronach zatoki poprzecinane były tu i ówdzie białymi pręgami, które musiały być wodospadami, choć z tej odległości nie widzieli ruchu wody ani nie słyszeli jej szumu. W ogóle cała ta okolica była niezwykle cicha, a gładka jak lustro woda w zatoce odbijała każdy szczegół stromych, skalistych brzegów. Scena byłaby piękna na obrazie, ale w rzeczywistości sprawiała raczej przygnębiające wrażenie. Nie był to kraj, który zdawał się mile witać przybyszów.

Wszyscy pasażerowie i cała załoga „Wędrowca do Świtu” przepawili się na brzeg w dwu kursach szalupy. Każdy napił się do woli i z rozkoszą obmył w rzeczce, a potem zjedli coś i odpoczywali, aż w końcu Kaspian posłał z powrotem czterech ludzi, aby pilnowali okrętu, i zaczął się pracowity dzień. A wiele było do zrobienia. Musieli przewieźć na ląd beczki, naprawić te, które przeciekały, i napełnić wszystkie wodą, ściąć jakieś wysokie drzewo - sosnę, jeśli tylko rosły tu sosny - i zrobić nowy maszt, naprawić żagle, zorganizować polowanie na jakąkolwiek zwierzynę żyjącą na wyspie, uprać i połatać ubrania oraz wyreperować mnóstwo mniejszych uszkodzeń na pokładzie. Bo też „Wędrowiec do Świtu” - a widać to było teraz wyraźnie - nie przypominał już tego wspaniałego okrętu, jaki opuścił Narrowhaven. Wyglądał jak okaleczony, spłowiały wrak. Nie lepiej też przedstawiała się jego załoga i dowódca: wychudli, bladzi, z oczami zaczerwienionymi z braku snu, odziani w łachmany.

Eustachy leżał pod drzewem i kiedy słyszał, jak mówiono, co trzeba zrobić, coraz bardziej tracił humor. Czy nie mają w ogóle zamiaru wypoczywać? Zanosilo się

na to, że ich pierwszy dzień na tak bardzo wytęsknionym lądzie będzie dniem ciężkiej pracy, jak wszystkie dni na morzu. Zastanawiał się nad tym przez chwilę i wspaniały pomysł wpadł mu do głowy. Nikt się nim nie interesował - wszyscy rozprawiali namiętnie o okręcie, jakby nagle polubili tę wstrętną krypę. Dlaczegoż by nie miał po prostu wymknąć się z tego grona nieprzyjemnych fanatyków? Mógłby sobie zrobić spacer po wyspie, znaleźć jakieś chłodne, przewiewne miejsce w górach, wypać się porządnie

i dołączyć do reszty dopiero pod koniec całodziennej roboty. Czuł, że coś takiego na pewno dobrze mu zrobi. Musi tylko uważać, by nie stracić z oczu zatoki i okrętu, tak aby móc w każdej chwili wrócić. Nie miał wielkiej ochoty zostać sam na tej wyspie.

Natychmiast zabrał się do wcielania swego planu w życie. Podniósł się i spokojnym krokiem odszedł między drzewa, starając się iść wolno, niby bez wyraźnego celu, i sprawiać wrażenie kogoś, kto ma po prostu ochotę rozprostować nogi. Zaskoczyło go, że tak szybko przestał słyszeć odgłosy rozmowy i że las był tak cichy, ciepły i ciemnozielony. Wkrótce doszedł do wniosku, że może już przyspieszyć i obrać bardziej określony kierunek marszu.

Po kilku minutach wyszedł na skraj lasu. Teren wznosił się coraz bardziej. Zbocze porastała wysoka trawa, sucha i śliska. Eustachy posuwał się jednak wciąż naprzód, sapiąc z wysiłku i raz po raz ocierając pot z czoła. Teraz okazało się - choć wcale się tego nie spodziewał - że jego nowe życie, rozpoczęte po drugiej stronie ramy starego obrazu, już go nieco zmieniło: dawny Eustachy - Eustachy Harolda i Alberty - przerwałby tę wspinaczkę po dziesięciu minutach.

Powoli, z kilkoma odpoczynkami po drodze, dotarł do szczytu. Myślał, że zobaczy stąd całą wyspę, ale chmury obniżyły się i na spotkanie bieгло mu skłębione morze mgły. Usiadł i spojrział za siebie. Był teraz tak wysoko, że zatoka wydawała się bardzo mała, a za nią widać było milę otwartego morza. A potem z gór napłynęła gęsta, ciepła mgła i wszystko zakryła. Eustachy położył się w trawie, kręcąc się i wiercąc, by znaleźć najwygodniejszą pozycję i cieszyć się miłą beczynnością.

A jednak nie cieszył się, a w każdym razie nie trwało to długo. Chyba po raz pierwszy w życiu poczuł się samotny. Z początku to uczucie rosło bardzo powoli. Potem ogarnął go niepokój. Było cicho, nie słyszał najlżejszego szmeru. Przyszło mu do głowy, że może leży tu już kilka godzin. A może oni już poszli? Może pozwolili mu odejść specjalnie, po prostu po to, by go tu zostawić? Zerwał się w panice i zaczął

schodzić w dół.

Najpierw chciał zrobić to zbyt szybko: poślizgnął się na mokrej trawie i osunął kilka metrów. Potem wydało mu się, że przez ten upadek zboczył w lewo, a podczas wspinaczki widział z tamtej strony przepaść. Znowu wdrapał się na szczyt, starając się znaleźć miejsce swego odpoczynku, i znowu zaczął schodzić, ale tym razem kierując się bardziej w prawo. Teraz poszło mu lepiej. Posuwał się w dół bardzo ostrożnie, prawie nic przed sobą nie widząc, otoczony gęstą mgłą i przejmującą ciszą. Nie jest wcale przyjemnie, gdy musi się iść ostrożnie, a jednocześnie słyszy się w sobie

głos powtarzający bezustannie: „Szybciej, szybciej, szybciej!” Bo teraz owa straszna myśl, że zostawiono go umyślnie, stawała się z każdą chwilą coraz bardziej i bardziej natarczywa. Gdyby choć trochę znał Kaspiana i rodzeństwo Pevensie, wiedziałby, rzecz jasna, że nigdy by czegoś takiego nie zrobili. Niestety, Eustachy zbyt długo wmawiał w siebie, że wszyscy oni są opętanymi przez diabła maniakami.

- Nareszcie! - powiedział do siebie, kiedy zsunął się po stromym usypisku luźno leżących kamieni (nazywają to PIARGAMI) i znalazł się na równym gruncie. - Dobra, a teraz, gdzie są te drzewa? Tam coś przede mną czernieje. Zdaje się, że mgła ustępuje.

Tak rzeczywiście było. Robiło się coraz jaśniej, aż wreszcie mgła znikła zupełnie. Eustachy stał, mrużąc oczy i rozglądając się dookoła. Znajdował się w zupełnie nieznanej mu dolinie i nigdzie nie było widać morza.

ROZDZIAŁ 6

PRZYGODY EUSTACHEGO

Dokładnie w tej samej chwili reszta poszukiwaczy przygód myła się w rzeczce, przygotowując się do obiadu i wypoczynku. Trzej najlepsi łucznicy poszli na wzgórze po północnej stronie zatoki, a kiedy wrócili, nieśli dwie dzikie kozy, które teraz piekły się nad ogniskiem. Kaspian kazał znieść na ląd beczułkę mocnego wina z Archenlandii, które przed wypiciem należało mieszać z wodą, tak że było go dosyć dla wszystkich. Pracowali ciężko i owocnie, więc przy posiłku byli w wesołym nastroju. Dopiero po drugiej porcji koziego mięsa Edmund zapytał:

- A gdzie jest ten nudziarz Eustachy?

W tym czasie Eustachy gapił się na nieznaną dolinę. Była tak wąska i głęboka, a jej zbocza tak strome, że przypominała wielką dziurę albo wykop. Dno porośnięte było trawą, z której wystawały skały, a tu i ówdzie Eustachy zauważył czarne, wypalone plamy, podobne do tych, jakie się widzi w suche lato na zboczach nasypów kolejowych. Kilkanaście metrów przed nim widniała niewielka sadzawka z czystą, gładką wodą. Na pierwszy rzut oka nie było tu nic więcej: ani zwierzęcia, ani ptaka, ani nawet owada. Słońce prażyło mocno, a szczyt i górskie granie jeżyły się groźnie nad skalistymi zboczami otaczającymi dolinę.

Oczywiście Eustachy zrozumiał, że we mgle zboczył z drogi i zszedł po złej stronie wzgórza, więc od razu odwrócił się, aby zobaczyć, jak wrócić do miejsca, z którego wyruszył. Ale gdy tylko spojrzał, zadrżał. Było teraz oczywiste, że miał przedtem zdumiewające szczęście: przypadkiem znalazł we mgle jedyną drogę prowadzącą na dno kotliny - długi, zielony garb, straszliwie wąski i stromy, z przepaściami po obu stronach. Nie było żadnej innej drogi z powrotem. Ale czy zdołałby wspiąć się tą drogą teraz, kiedy już wiedział, jak ona wygląda? Na samą myśl o tym zakreśliło mu się w głowie.

Odwrócił się w stronę doliny, bo pomyślał, że w każdym razie dobrze byłoby napić się przedtem wody z sadzawki. Zanim jednak zrobił krok w jej kierunku, usłyszał za sobą jakiś odgłos. Nie był to wcale wielki hałas, ale i tak rozległ się donośnie w przejmującej ciszy. Eustachy znieruchomiał. Potem powoli odwrócił głowę i spojrzał.

U podnóża skalnego urwiska widać było niską, ciemną dziurę - prawdopodobnie wejście do jaskini. A leżące tuż przed dziurą kamienie poruszały się (i to był właśnie ów dziwny hałas), jakby coś miało za chwilę wypełznąć z ciemności

poza nimi.

I rzeczywiście coś pełzło. Gorzej, coś wylazło. Edmund i Łucja czy wy sami rozpoznalibyście to coś od razu, ale Eustachy nie przeczytał nigdy ani jednej książki z tych, które należy przeczytać. To coś, co wylazło z jaskini, było czymś, czego nigdy nawet sobie nie wyobrażał: długi pysk koloru ołowiu, zmatowiałe, czerwone ślepia, naga skóra nie pokryta piórami czy futrem, długie, gibkie cielsko wlokące się po ziemi, łapy, których stawy łokciowe sterczały ponad grzbiet

jak u pająka, straszliwe szpony, zgrzytające po kamieniach skrzydła nietoperza, całe metry ogona i dwie strużki dymu wydobywające się z nozdrzy. Eustachy nawet w myślach nie wypowiedział nigdy słowa „smok”, ale gdyby je nawet znał, niewiele by mu to teraz pomogło.

Gdyby jednak wiedział coś o smokach, byłby nieco zdziwiony jego zachowaniem. Ten smok nie podnosił się na ogonie i nie machał skrzydłami, nie zionął też z pyska fontanną ognia. Dym wydobywający się z jego nozdrzy wyglądał jak dym z ogniska, które ma za chwilę zgasnąć. Nic nie wskazywało, by w ogóle zauważył Eustachego. Pełził powoli w kierunku sadzawki - powoli i często przystając. Pomimo strachu Eustachy poczuł, że ma przed sobą stare, osłabłe stworzenie. Zaczął się zastanawiać, czy mógłby zaryzykować szybki skok ku zielonemu garbowi, aby się ratować wspinaczką. Ale to stworzenie mogłoby odwrócić łeb, słysząc jakiś szmer. Mogłoby się nieco ożywić. A może ono tylko udaje? A zresztą, czy jest sens wspinać się na strome zbocze w ucieczce przed czymś, co ma skrzydła?

Smok dowlóknął się do sadzawki i zsunął po żwirze do wody swój straszny, pokryty łuską pysk. Zanim jednak zaczął pić, wydał z siebie donośny, kraczący rechot i po kilku straszliwych drgawkach przewalił się na bok i leżał bez ruchu, z jednym szponem sterczącym niezgrabnie do góry. Z szeroko otwartego pyska wysączyło się trochę ciemnej krwi. Dym z nozdrzy poczerniał, a potem nagle zniknął.

Przez długi czas Eustachy bał się poruszyć. A może to tylko podstęp dzikiej bestii, by porywać wędrowców i wciągać ich do swojej nory? Ale nie można przecież czekać w nieskończoność. Zrobił jeden krok, potem dwa - i znowu się zatrzymał. Smok nadal leżał bez ruchu; jego ślepia straciły też swój dawny czerwony blask. Wreszcie chłopiec zbliżył się do leżącego nad wodą cielska. Teraz był już pewien, że jest martwe. Pokonując strach i obrzydzenie, dotknął go - i nic się nie stało.

Eustachy poczuł taką ulgę, że wybuchnął głośnym śmiechem. Czuł się tak, jakby sam zabił smoka w walce, a nie zaledwie był świadkiem jego śmierci. Śmiało

przekroczył martwe cielsko i podszedł do sadzawki, by się napić, ponieważ upał był już teraz prawie nie do zniesienia. Nie zdziwił się, gdy usłyszał daleki łoskot grzmotu. Prawie natychmiast potem słońce znikło, a zanim skończył pić, spadły pierwsze krople deszczu.

Klimat wyspy nie należał do najprzyjemniejszych. Nie minęła minuta, gdy Eustachy był całkowicie przemoczony i na pół oślepiiony taką ulewą, jakiej się nigdy w Europie nie spotyka. Nie było mowy o próbie wydostania się z dolinki, dopóki padało. Czmychnął szybko do jedyne go schronienia, jakie było w pobliżu - do jaskini smoka. Tam położył się, próbując złapać oddech.

Większość z nas wie dobrze, co można znaleźć w legowisku smoka, ale - jak już mówiłem - Eustachy czytał nie te książki, które trzeba. Te, które czytał, zawierały mnóstwo informacji o eksporcie i imporcie, o rodzajach rządów i o wodociągach, natomiast nic nie mówiły o smokach. Dlatego też był tak zaskoczony tym, na czym leżał. Były to jakieś dziwne przedmioty: niektóre zbyt ostre i kanciaste jak na zwykłe kamienie i zbyt twarde jak na kolce, inne były okrągłe i płaskie, a wszystkie podzwaniały cicho przy każdym jego ruchu. Na progu jaskini było wystarczająco jasno, aby mógł sobie te rzeczy dobrze obejrzeć. I oczywiście stwierdził, że leżał na czymś, co każdy z nas mógł przewidzieć już dawno - na skarbach. Były tam korony (to właśnie tak kłuło), monety, pierścienie, bransolety, sztabki złota, puchary, talerze i klejnoty.

Eustachy (w przeciwieństwie do większości chłopców) nigdy nie myślał wiele o skarbach, ale kiedy jeden z nich zobaczył, od razu zdał sobie sprawę z pożytku, jaki można z niego mieć w tym nowym świecie, do którego tak głupio wpadł przez ramę obrazu w sypialni Łucji w swym własnym domu. „Nie mają tu żadnych podatków od wzbogacenia - pomyślał. - Nie trzeba też oddawać znalezione go skarbu rządowi. Wystarczy tylko część tego, co tu jest, aby się nieźle urządzić. Może w Kalormenie... ta nazwa brzmi najmniej dziwacznie. Ile by tego można wziąć? O, ta bransoletka... te rzeczy w niej wyglądają na diamenty... mogę ją wsunąć na rękę. Trochę za duża, ale mogę ją wsunąć za łokieć. Trzeba też napęłnić kieszenie brylantami... są chyba lżejsze niż złoto. Ciekaw jestem, kiedy ten piekielny deszcz się skończy”. Wybrał najwygodniejszą część skarbcza, gdzie złożone były głównie monety, i usiadł, aby przeczekać ulewę. Ale kiedy już mija głębokie przerażenie, a zwłaszcza przerażenie po górskiej wspinaczce, odczuwa się zwykle duże zmęczenie. I Eustachy zasnął.

W tym samym czasie, kiedy już zdrowo chrapał, reszta skończyła obiad i

zaczęła się o niego poważnie niepokoić. Nawoływali: „Eustachy! Eustachy! Hop-hop!”, aż zupełnie zachrypli i Kaspian zadał w swój róg.

- Gdyby był gdzieś blisko, musiałyby nas usłyszeć - powiedziała Łucja z twarzą białą jak papier.

- Niech diabli porwą tego gagatka! - zawołał Edmund. - Po jakie licho gdzieś polazł, nie mówiąc nic nikomu?

- Trzeba coś zrobić - powiedziała Łucja. - Musiał zablądzić albo wpaść w jakąś dziurę, albo schwytali go dzicy.

- Albo pożarły go dzikie zwierzęta - dodał Drinian.

- I wcale nie będę płakał, jeśli się to okaże prawdą - mruknął Rins.

- Panie Rinsie - rzekł Ryczypisk - nigdy jeszcze nie słyszałem z ust waszmości słów, które waszmość ponizają. Nie łączy mnie z tym stworzeniem przyjaźń, ale jest krewniakiem królowej i skoro jest członkiem naszej wyprawy, pozostaje sprawą naszego honoru odnalezienie go i pomszczenie, jeśli będzie martwy.

- To jasne, że musimy go znaleźć, jeśli to tylko MOŻLIWE - powiedział Kaspian zmęczonym głosem - choć nie jest to przyjemne i będziemy mieć sporo kłopotów. Trzeba zorganizować grupę poszukiwawczą. Przeklęty Eustachy!

Tymczasem Eustachy spał, i spał, i spał. Obudził go dopiero ból w ręku. Światło księżycy wlewało się do środka przez otwór jaskini, a posłanie ze skarbów wydawało się teraz o wiele bardziej wygodne: prawie go nie czuł. Z początku zdziwił go ból w ręku, ale szybko doszedł do wniosku, że to bransoleta, którą wsunął powyżej łokcia i która teraz zrobiła się dziwnie ciasna. Kiedy spał, ramię musiało spuchnąć (była to lewa ręka).

Poruszył prawą ręką, aby dotknąć lewej, lecz natychmiast zamarł z przerażenia. Bo oto tuż przed nim, troszeczkę na prawo, gdzie światło księżycy padało na wysłane skarbami dno pieczary, zobaczył poruszający się straszny kształt. W jasnym świetle od razu rozpoznał zakończoną szponami łapę smoka. Poruszyła się, gdy on zrobił ruch ręką, i znieruchomiała, gdy on zamarł w przerażeniu.

„Och, cóż za głupiec ze mnie - pomyślał Eustachy. - Przecież to jasne, że ta bestia miała towarzyszkę, która teraz leży sobie obok mnie!”

Przez kilka minut nie ośmielił się zrobić najmniejszego ruchu. Zobaczył przed sobą dwie strużki dymu, czarne na tle księżycowej poświaty, takie same, jak dym wydobywający się z nozdrzy pierwszego smoka przed jego śmiercią. Ogarnęło go takie przerażenie, że wstrzymał oddech. Dwie strużki dymu znikły. Kiedy już nie mógł

dłużej wytrzymać, wypuścił powoli powietrze z płuc, starając się robić to jak najciszej. Dwa pióropusze dymu znowu się przed nim pojawiły. Ale nawet wtedy Eustachy nie miał jeszcze pojęcia, co się naprawdę stało.

W końcu zdecydował, że musi się przesunąć bardzo ostrożnie w lewo i spróbować wyczołgać z jaskini.

Liczył na to, że smok śpi, zresztą była to jedyna szansa ratunku. Zanim jednak przesunął się w lewo, musiał tam, oczywiście, spojrzeć. Ku swemu przerażeniu i tam zobaczył ohydne szpony smoka.

Nikt nie ma prawa kpić sobie z Eustachego, że w tym momencie się rozplakał. Zdziwiły go rozmiary jego własnych łez, kapiących z lekkim pluskiem na leżące przed nim skarby. I były dziwnie gorące: parowały w półmroku.

Placz nie miał jednak żadnego sensu. Musi wypełznąć z jaskini między dwoma śpiącymi smokami. Wyciągnął powoli prawą rękę. Zakończona szponami łapa smoka po prawej stronie uczyniła dokładnie to samo. Wyciągnął lewą rękę. Łapa smoka z lewej strony powtórzyła jego ruch.

Dwa smoki, z jednej i z drugiej strony, przedrzeźniające każdy jego ruch! Nerwy odmówiły mu posłuszeństwa i, nie zastanawiając się już dłużej, po prostu uciekły.

Kiedy wyskoczył z jaskini, rozległo się takie dzwonięcie, zgrzytanie i loskotanie złota, taki chrzęst klejnotów, że był przekonany, iż obie bestie rzuciły się za nim, aby go złapać. Nawet nie spojrzął za siebie. Popędził do sadzawki. Poskręcane cielsko martwego smoka, leżące nieruchomo w świetle księżyca, przeraziłoby każdego, ale Eustachy nawet nie zwrócił na nie uwagi. Myślał tylko o tym, by wskoczyć do wody.

Ale w tej samej chwili, gdy był już na brzegu sadzawki, zdarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze dotarło nagle do niego, że biegnie na czworakach - i dlaczego, do licha, to robi?! A po drugie, kiedy już nachylił się nad wodą, myślał przez chwilę, że jeszcze jeden smok patrzy na niego z głębi sadzawki. I dopiero wtedy zrozumiał, co się stało. Straszliwy pysk smoka w sadzawce był jego własnym odbiciem. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Poruszał się, gdy poruszał się Eustachy, otwierał i zamykał paszczę, kiedy Eustachy otwierał i zamykał usta.

Teraz wiedział już wszystko. W jaskini nie było żadnych smoków. Szpony, które widział po swojej lewej i prawej stronie, były jego własnymi szponami. Dwie smugi dymu wydobywały się z jego własnych nozdrzy. Co się tyczy bólu w lewej ręce (albo w tym, co było kiedyś jego lewą ręką), to mógł teraz dostrzec jego przyczynę, zezując

lewym okiem. Bransoleta, która pasowała zupełnie dobrze do przedramienia chłopca, była oczywiście za mała na grubą, krępą przednią łapę smoka. Wcisnęła się głęboko w pokryte łuskami cielsko, aż po obu jej stronach wyrosły pulsujące obwarzanki opuchlizny. Sięgnął do niej swymi smoczymi zębami, ale nie dała się zdjąć.

Pomimo bólu pierwszą reakcją Eustachego na to wszystko było uczucie ulgi. Nie musiał się już niczego bać. On sam budził teraz przerażenie. Nikt na świecie (może prócz jakiegoś wyjątkowo odważnego rycerza) nie ośmieliłby się go zaatakować. Teraz mógłby sobie poradzić nawet z Kaspianem i Edmundem jednocześnie.

Ale kiedy o tym pomyślał, zdał sobie natychmiast sprawę, że wcale tego nie chce. Chce być ich przyjacielem. Chce wrócić do ludzi, rozmawiać, śmiać się, dzielić swoimi myślami. Nagle pojął, że jest potworem odciętym od całej ludzkiej rasy. Przeniknęło go dojmujące poczucie samotności. Teraz widział jasno, że inni wcale nie byli takimi złośliwymi maniakami. Zaczął się nawet zastanawiać, czy on sam był rzeczywiście tak miłą osobą, za jaką się zawsze uważał. Tęsknił za ich głosami. Byłby teraz wdzięczny za jedno miłe słówko - choćby i od Rycypiska.

I kiedy ten biedny smok, który był Eustachym, pomyślał o tym wszystkim, gorzko zaszlochał. Straszliwy smok wypłakujący sobie oczy w bezludnej dolinie zalanej światłem księżyca - to widok, który trudno sobie w ogóle wyobrazić.

W końcu doszedł do wniosku, że musi znaleźć drogę na wybrzeże. Teraz już zrozumiał, że Kaspian nigdy by bez niego nie odpłynął. Był pewien, że w taki czy inny sposób będzie umiał porozumieć się z ludźmi i powiedzieć im, kim naprawdę jest.

Wypił dużo wody, a potem (wiem, że brzmi to strasznie, ale jak się to przemyśli, wcale takie nie jest) zjadł prawie całego zdechłego smoka. Dopiero gdy był w połowie, zdał sobie sprawę z tego, co robi, bo chociaż jego umysł pozostał umysłem Eustachego, apetyt i upodobania smakowe miał już smocze. A nie ma rzeczy dla smoka smaczniejszej niż drugi smok. Właśnie dlatego trudno spotkać więcej niż jednego smoka w tym samym kraju.

Po jedzeniu podjął próbę opuszczenia dolinki. Zaczął wspinaczkę od potężnego skoku, ale gdy tylko podskoczył, stwierdził, że fruwa. Prawie zapomniał o swoich skrzydłach i była to wielka niespodzianka - pierwsza miła niespodzianka od dłuższego czasu. Wzbił się wysoko i zobaczył niezliczone szczyty gór jeżące się pod nim w świetle księżyca. Zobaczył zatokę, lśniąca jak srebrna taca, i „Wędrowca do Świt” stojącego na kotwicy, i ogniska obozowe migoczące między drzewami. I z tej zawrotnej

wysokości rzucił się ku nim w dół jednym potężnym ślizgiem.

Łucja pogrążona była w głębokim śnie, bo przedtem długo w nocy oczekiwała powrotu grupy poszukiwawczej, by się czegoś dowiedzieć o Eustachym. Grupę poprowadził Kaspian. Wrócili późno, zmęczeni

1 zniechęceni, a wieści, jakie przynieśli, nie były wesołe. Nie znaleźli nawet śladów Eustachego, za to widzieli martwego smoka w jednej z dolin. Pocieszali się nawzajem, że zwykle smoki żyją samotnie, a ten, którego cielsko widzieli o trzeciej po południu, nie wyglądał na takiego, co pożarł człowieka kilka godzin wcześniej.

- Chyba, że połknął tego małego nicponia i zdechł od tego, co nie byłoby w końcu niespodzianką - zauważył Rins. Ale zamruczał tak cicho, że nikt go nie usłyszał.

Późno w nocy Łucja obudziła się i zobaczyła, że wszyscy zebrali się w jednym miejscu i szepczą coś między sobą.

- Co się stało? - zapytała.

- Musimy trzymać się razem i uzbroić w wielką odwagę - odpowiedział szeptem Kaspian. - Dopiero co nad drzewami przeleciał smok i jest prawie pewne, że wylądował na plaży. Tak, obawiam się, że jest między nami a okrętem. Strzały są zupełnie bezużyteczne wobec smoków. Te gady nie boją się też ognia.

- Jeśli wasza królewska mość pozwoli... - zaczął Rycypisk.

- Nie, Rycypisku - powiedział król stanowczo - ty nie będziesz próbował walczyć ze smokiem. I jeżeli nie przyrzekniesz mi posłuszeństwa, będę cię musiał związać. Musimy teraz wszyscy bacznie czuwać, a jak tylko zrobi się jasno, pójsć na plażę i stoczyć z nim bitwę. Ja poprowadzę. Król Edmund będzie po mojej prawej ręce, lord Drinian po lewej. To wszystko, co można zaplanować. Świt będzie za parę godzin. Za godzinę zjemy coś i wypijemy resztę wina. I niech wszystko odbywa się w największej ciszy.

- Może sobie pójdzie - powiedziała Łucja.

- To by było jeszcze gorsze - odrzekł Edmund

-bo wówczas nie wiedzielibyśmy, gdzie się znajduje.

Jeżeli w pokoju jest osa, nie lubię tracić jej z oczu.

Pozostała część nocy nie należała do najprzyjemniejszych chwil w ich życiu. Kiedy przygotowano posiłek, wielu stwierdziło, że jakoś nie ma apetytu. Godziny wlokły się jedna za drugą, aż wreszcie zaczęło szarzeć, tu i ówdzie odezwały się ptaki, świat zrobił się jeszcze bardziej zimny i mokry niż w nocy, a Kaspian powiedział:

- Już czas, przyjaciele.

Wszyscy powstali, dobyli mieczy i uformowali się w zwarty szyk, z Łucją pośrodku i Rycypiskiem na jej ramieniu. Poczuli się nieco różnie i każdemu wydało się, że lubi drugiego bardziej niż zwykle. Kiedy doszli do brzegu lasu, zrobiło się jaśniej. I oto tam, na piasku, jak wielka jaszczurka lub krokodyl albo jak wąż z nogami, ogromny, straszny i przygarbiony - leżał smok.

Ale kiedy ich zobaczył, nie podniósł się i nie zionął dymem i ogniem. Kiedy ich zobaczył, natychmiast - z brzuchem przy ziemi - uciekł do zatoki.

- Dlaczego on tak kręci łbem? - zapytał Edmund.

- I coś mu leci z oczu - dodał Drinian.

- Och, czy nie widzicie? - zawołała Łucja. - Przecież to łzy. On płacze!

- Nie ufaj temu, pani - rzekł Drinian. - Tak właśnie robią krokodyle, aby wywieść swą ofiarę w pole.

- Pokręcił łbem, kiedy to powiedziałaś - zauważył Edmund. - Tak jakby chciał powiedzieć: „Nie”. Spójrzcie, znowu to robi.

- Myślisz, że on rozumie, co mówimy? - zapytała Łucja.

Smok kiwnął gwałtownie łbem. Rycypisk zsunął się z ramienia Łucji i wystąpił naprzód.

- Smoku - rozległ się jego piskliwy głos - czy rozumiesz naszą mowę?

Smok pokiwał głową.

- Czy potrafisz mówić? Smok potrząsnął głową.

- A więc byłoby bezużyteczne pytać cię o twoje sprawy. Ale jeśli chcesz się z nami zaprzyjaźnić, podnieś przednią lewą łapę nad głowę!

I smok to zrobił, choć bardzo niezręcznie, bo łapa była obolała i opuchnięta z powodu złotej bransolety.

- Och, popatrzcie - powiedziała Łucja - coś mu się stało w łapę. Biedaczek, na pewno dlatego płakał. Może przyszedł do nas właśnie po to, aby go wyleczyć, tak jak w powieści o Androklesie i lwie.

- Bądź ostrożna, Łusiu - rzekł Kaspian. - To bardzo mądry smok, ale może być kłamcą.

Ale Łucja już biegła do brzegu zatoki, a za nią Rycypisk, a za nimi oczywiście pobiegli chłopcy i Drinian.

- Pokaż mi swoją biedną łapę - powiedziała Łucja. - Może będę mogła ci pomóc.

Smok-który-był-Eustachym szybko wyciągnął obolałą łapę, pamiętając, jak to cudowny eliksir Łucji wyleczył go z choroby morskiej, kiedy jeszcze nie był smokiem.

Ale spotkało go rozczarowanie. Magiczny płyn zmniejszył opuchnięcie i ból, ale nie rozpuścił złota.

Wszyscy tłoczyli się teraz wokół niego, obserwując zabiegi Łucji, gdy nagle Kaspian zawołał:

- Patrzcie!

Jego spojrzenie utkwione było w złotej bransolecie.

ROZDZIAŁ 7

JAK SIĘ TA PRZYGODA ZAKOŃCZYŁA

- NA CO MAMY PATRZYĆ? - zapytał Edmund.

- Przyjrzyjcie się temu ornamentowi - powiedział Kaspian.

- Młotek, nad nim diament jak gwiazda - powiedział Drinian. - Ejże, ja już to chyba gdzieś widziałem.

- Gdzieś widziałeś? - powtórzył Kaspian. - Oczywiście, że musiałeś to widzieć. To herb wielkiego narnijskiego rodu. To jest bransoleta barona Oktezjana.

- Nikczemniku! - zawołał Rycypisk do smoka. - Czy pożarłeś narnijskiego barona? - Ale smok gwałtownie potrząsnął głową.

- A może - odezwała się Łucja - to JEST baron Oktezjan zamieniony w smoka... no wiecie, przez jakieś czary...

- Nie musi to być jedyne wyjaśnienie - powiedział Edmund. - Wiadomo, że wszystkie smoki lubią gromadzić złoto. W każdym razie wydaje się raczej pewne, że Oktezjan zakończył podróż na tej wyspie.

- Czy jesteś baronem Oktezjanem? - zapytała Łucja smoka, a widząc, że ponuro potrząsa głową,

dodała: - Czy jesteś kimś zaczarowanym w smoka, to znaczy jakimś człowiekiem?

Na to smok zaczął z werwą kiwać łbem.

I wtedy ktoś zapytał - dyskutowano później, czy to była Łucja, czy Edmund:

- Ale nie jesteś przypadkiem... nie jesteś chyba Eustachym?

I Eustachy pokiwał swoją straszną smoczą głową, machając ogonem zanurzonym w wodzie. Wszyscy odskoczyli (niektórzy marynarze z okrzykami, których tu nie mogę przytoczyć), uciekając przed ogromnymi, gotującymi się łzami, które zaczęły płynąć z jego oczu.

Łucja próbowała go pocieszyć, jak tylko potrafiła i nawet zebrała całą swą odwagę, by go pocałować w pokryty łuskami pysk, inni zaczęli powtarzać: „A to pech!”, wielu zapewniało Eustachego, że nigdy go nie opuszczą oraz że z całą pewnością znajdzie się jakiś sposób, by go odczarować - nim minie dzień, no, może dwa, odkryją to, jak amen w pacierzu. I wszyscy chcieli się dowiedzieć, jak do tego doszło, ale - oczywiście - Eustachy nie mógł im tego opowiedzieć. Wiele razy w ciągu następnych dni próbował im to napisać na piasku, ale nigdy mu się nie udało. Po pierwsze, Eustachy (który nigdy nie przeczytał żadnej z ksiązek, jakie powinien

przeczytać) nie miał pojęcia, jak opowiedzieć całą historię w sposób jasny i krótki zarazem. Po drugie, mięśnie i nerwy smoczych szponów nie były w ogóle przystosowane do pisania. W rezultacie nigdy nie mógł dojść do końca przed nadejściem przyływu niszczącego wszystko, co zdążył napisać, nie licząc tego, co już sam przedtem bezwiednie zniszczył ogonem lub łapami. Wszystko, co udało się kiedykolwiek odczytać, wyglądało mniej więcej tak:

OPSEDŁEM SIE PRZESPA... MOS... OMSOK ZNACZY SMONK ZJASKINI
ALEBYŁ MARTWY I BARDZO MECZ... BUDZIŁEM SIE I NIEMO... DJACCC Z MOI
RĘKA OH KŁOPOTY...

Wszyscy jednak zauważyli, że Eustachy bardzo się zmienił, odkąd został smokiem. Teraz sam rwał się do pomocy. Fruwał nad całą wyspą i odkrył, że pokryta była górami i że nikt na niej nie mieszkał prócz górskich kozic i dużych stad dzikich świń. Przyniósł do obozu kilkanaście sztuk, aby uzupełnić okrętowe zapasy. Był też bardzo humanitarnym myśliwym, ponieważ powalał zwierzę jednym uderzeniem ogona, tak że nawet nie wiedziało (i prawdopodobnie wciąż nie wie), że zostało zabite. Kilka świń zjadł sam, ale zawsze w samotności, bo teraz, kiedy był smokiem, lubił tylko świeże mięso i nie mógł znieść, by go widziano przy tych - niezbyt estetycznych - posiłkach. A jednego dnia, lecąc powoli i z wysiłkiem, ale i z dumą, przytransportował do obozu wielką, wysmukłą sosnę wydartą z korzeniami w jakiejś odległej dolinie. Był to znakomity materiał na nowy maszt główny. Wieczorami, gdy robiło się chłodno (jak to się czasem zdarzało po ulewnych deszczach), był wygodą dla wszystkich, ponieważ można było sobie usiąść z plecami opartymi o jego gorące boki i znakomicie się ogrzać i wysuszyć. Wystarczył jeden jego oddech, by zapalić najbardziej odporne ognisko. Od czasu do czasu zabierał wybraną grupę osób na powietrzną przejażdżkę na swoim grzbiecie, tak że mogli sobie obejrzeć z góry zielone zbocza, skaliste turnie, strome wąwozy, a daleko, daleko na morzu (patrzac na wschód) nieco ciemniejszą od linii horyzontu plamkę, która mogła być lądem.

Przed krańcową rozpaczą ratowała Eustachego przyjemność (całkiem dla niego nowa), jaką znajdował w tym, że był teraz lubiany, a jeszcze bardziej w tym, że sam polubił innych. W końcu jego przemiana w smoka była bardzo ponurą sprawą. Wzdrygał się ze wstrętem, gdy tylko zobaczył swoje odbicie, przelatując nad jakimś górskim jeziorkiem. Nienawidził swoich skrzydeł nietoperza, nienawidził podobnej do piły płetwy na grzbiecie i groźnych, zakrzywionych szponów. Niemal bał się samego siebie - zwłaszcza kiedy był sam - a jednocześnie wstydził się przebywać z innymi.

Wieczorami, jeśli tylko nie służył swoim towarzyszom podróży za termofor, opuszczał obozowisko i leżał, zwinięty w kłębek jak wąż, między lasem a zatoką. Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że tym, kto niestrudzenie starał się ulżyć jego doli, okazał się Ryczypisk. Szlachetna mysz wymykała się z kręgu biesiadującej przy ognisku wesołej kompanii i siadała przy głowie smoka, starając się tylko wybrać takie miejsce, by wiatr nie kierował w jej stronę dymiącego oddechu. Siedząc tak, Ryczypisk wyjaśniał drobiazgowo Eustachemu, że to, co się z nim stało, było jedynie uderzającym przykładem obrócenia się Koła Fortuny, oraz że gdyby Eustachy zamieszkał z nim w jego domu w Narnii (w rzeczywistości była to jama, w której nie zmieściłby się nawet łeb smoka, nie mówiąc o reszcie), mógłby mu opowiedzieć o setkach cesarzy, królów, książąt, rycerzy, poetów, kochanków, astronomów i czarodziejów, od których szczęście odwróciło się nagle w najczarniejszych okolicznościach, a z których wielu wydobyło się w końcu z nieszczęścia i żyło potem szczęśliwie. Prawdopodobnie nie było to zbyt pocieszające, ale intencje miał szlachetne i Eustachy nigdy mu tego nie zapomniał.

Ale oczywiście nad wszystkimi wisiał jak ciemna chmura problem, co zrobić ze smokiem, kiedy już będą gotowi do dalszej podróży. Starali się nie mówić o tym w jego obecności, ale i tak zdarzało się, że wpadały mu do ucha zdania: „A może zmieściłby się jakoś na pokładzie?” - „Musielibyśmy umieścić wszystkie zapasy pod pokładem po przeciwnej stronie, aby zrównoważyć jego ciężar” - albo: „A może dałoby się go holować?” - albo: „Może by nad nami leciał?” - i (najczęściej): „Ale jak go wykarmimy?” I biedny Eustachy zdawał sobie coraz bardziej i bardziej sprawę z tego, że od pierwszego dnia pobytu na okręcie był tylko niepoprawnym zawalidrogą, a teraz stał się jeszcze większym ciężarem dla wszystkich. Świadomość tego wżerała się w jego mózg jak owa bransoleta wrosnięta w przednią łapę. Wiedział już, że szarpanie jej wielkimi zębami tylko powiększa ból, ale nie mógł się powstrzymać, by tego raz po raz nie robić, zwłaszcza w gorące noce.

Minęło ponad sześć dni od ich wylądowania na Wyspie Smoka, kiedy pewnego ranka Edmund obudził się bardzo wcześnie. Dopiero szarzało, tak że widział pnie drzew tylko tam, gdzie jaśniała za nimi zatoka. Usłyszał jakiś szmer między drzewami, jakby się tam coś ruszało, więc podniósł się na łokciu i rozejrzał dookoła. Zobaczył ciemną postać poruszającą się za drzewami od strony morza. Natychmiast zrodziła mu się w głowie myśl: „Czy aby naprawdę nie ma na tej wyspie żadnych mieszkańców?” Potem pomyślał, że to Kaspian - postać była mniej więcej jego

wzrostu - ale przypomniał sobie, że Kaspian położył się obok niego. Spojrzał więc w tamtą stronę i stwierdził, że Kaspian nadal śpi. Upewnił się, że ma przy sobie miecz, i wstał, aby zbadać całą sprawę.

Skradając się, zaszedł aż do krawędzi lasu; ciemna postać wciąż tam była. Teraz już widział, że była za mała jak na Kaspiana i za duża jak na Łucję. I wcale nie uciekała. Edmund dobył miecza i już zamierzał wyzwać obcego przybysza, gdy ten odezwał się słabym głosem:

- Czy to ty, Edmundzie?

- Tak, to ja. Kim jesteś?

- Nie poznajesz mnie? To ja, Eustachy.

- O, holender! - zawołał Edmund. - A więc to ty. Mój kochany, stary...

- Sza! - uciszył go Eustachy i zachwiał się, jakby miał za chwilę upaść.

- Hej! - odezwał się Edmund ściszonego głosem i podtrzymał go. - Co z tobą?

Jesteś chory?

Eustachy milczał tak długo, aż Edmund zaczął się niepokoić, że naprawdę coś mu jest, ale w końcu powiedział:

- To było upiorne. Nawet nie wiesz jak... Ale już wszystko w porządku. Czy możemy gdzieś pójść i porozmawiać? Wolałbym jeszcze nie spotykać się z innymi.

- Tak, oczywiście, gdzie tylko chcesz - rzeki Edmund. - Możemy iść tam i usiąść sobie na tych skałach. No więc, naprawdę, cieszę się, że widzę cię... no... wyglądającego jak dawniej. Musiałeś przeżyć prawdziwe piekło.

Podeszli do skał i usiedli, patrząc na zatokę. Niebo stawało się coraz jaśniejsze i jaśniejsze, aż w końcu znikły wszystkie gwiazdy prócz jednej, bardzo jasnej, która wciąż płonęła nisko nad widnokretem.

- Nie będę ci teraz opowiadał, jak stałem się... tym... no, smokiem. Chcę to raz opowiedzieć wszystkim i więcej do tego nie wracać - powiedział Eustachy. - Nawiasem mówiąc, nawet nie wiedziałem, że to był SMOK, dopóki nie usłyszałem, jak używacie tego słowa po moim powrocie do was tamtego ranka. Chcę ci powiedzieć, jak przestałem nim być.

- Wal śmiało! - rzekł Edmund.

- No więc, ostatniej nocy było mi naprawdę gorzej niż kiedykolwiek. I ta piekielna bransoleta męczyła mnie tak strasznie, że...

- Czy już wszystko w porządku?

Eustachy roześmiał się - był to zupełnie inny śmiech niż ten, który Edmund

słyszał dotąd z jego ust - i z łatwością zsunął bransoletę z ramienia.

- Oto ona - powiedział. - I każdy, komu się podoba, może ją sobie wziąć. A więc, jak mówię, leżałem i rozmyślałem, co właściwie stało się ze mną, aż nagle... tylko że... no, nie wiem... to wszystko mogło mi się śnić...

- Mów dalej - wtrącił Edmund, siłąc się na cierpliwość.

- No więc, w każdym razie spojrzałem i zobaczyłem chyba ostatnią rzecz, jakiej się spodziewałem: zbliżającego się do mnie powoli ogromnego lwa. I dziwna sprawa: tej nocy nie było księżyca, a jednak wokół lwa jaśniała księżycowa poświata. Podchodził coraz bliżej i bliżej. Okropnie się go bałem. Pewnie myślisz, że będąc smokiem, mogłem z łatwością powalić każdego lwa. Ale to nie był ten rodzaj strachu. Nie bałem się tego, że mnie zje, po prostu bałem się JEGO, jeżeli potrafisz zrozumieć, o co mi chodzi. No więc podszedł zupełnie blisko i spojrzał mi prosto w oczy. Zacisnąłem powieki. Ale na nic to się nie zdało, bo powiedział mi, żebym za nim poszedł.

- Chcesz powiedzieć, że lew mówił?

- Nie wiem. Teraz, kiedy o to spytałeś, wydaje mi się, że chyba nie. Ale jednak jakoś mi to oznajmił. Wiedziałem, że muszę zrobić to, co mi mówi, więc podniosłem się i poszedłem za nim. Poprowadził mnie daleko w góry. Przez cały czas była wokół niego ta księżycowa poświata. W końcu znaleźliśmy się na szczycie jakiejś góry, której nigdy jeszcze nie widziałem. Był tam ogród... drzewa, owoce, wszystko. A pośrodku było źródło.

Wiedziałem, że to źródło, bo widać było wodę wypływającą z dna jakby studni, ale o wiele większej niż większość zwykłych studni... coś takiego, jak duża kolista wanna z marmurowymi brzegami i stopniami prowadzącymi w dół, do wody. Nigdy nie widziałem tak czystej wody. Pomyślałem sobie, że gdybym mógł się w niej zanurzyć, na pewno ulżyłoby to mojej bolącej łapie. Ale lew powiedział, że muszę się najpierw rozebrać. Tak, powiedział to, chociaż nie mam pojęcia, czy wymówił jakieś słowa, czy nie.

Właśnie zamierzałem mu odpowiedzieć, że nie mogę się rozebrać, bo przecież nie mam na sobie żadnego ubrania, gdy nagle przyszło mi do głowy, że smoki chyba należą do rodziny węzów, a węże mogą zrzucać skórę. No tak, pomyślałem, o to właśnie mu chodzi. Zacząłem się więc drapać, aż łuski się ze mnie sypały. Potem zacząłem się drapać jeszcze mocniej, jeszcze głębiej... i oto cała skóra złuszczyła się ze mnie cudownie, jak to się czasem dzieje po chorobie albo jakbym był bananem. Nie

minęła minuta, może dwie, gdy po prostu wylazłem sobie ze skóry... cały z niej wyszedłem, bo widziałem ją leżącą na ziemi obok... a nie był to najprzyjemniejszy widok. Ach, jak cudownie się poczułem! Potem zacząłem schodzić po stopniach do tej studni, żeby się wykąpać.

Już miałem włożyć nogę do wody, gdy spojrzałem w dół i zobaczyłem, że moje nogi są znowu stwardniałymi, szorstkimi, powykręcanyymi i pokrytymi łuską łapami smoka. Och, to nic, powiedziałem sobie, to tylko znaczy, że miałem drugą skórę pod pierwszą i ją też muszę zrzucić. Znowu zacząłem się drapać i czochrać i ta druga skóra zlaźła ze mnie równie pięknie jak pierwsza. Wystąpiłem z niej, zostawiłem ją obok pierwszej i zszedłem do marmurowej wanny.

No i stało się dokładnie to samo, co przedtem. Powiedziałem do siebie: och, ja biedny, ile jeszcze skór mam zrzucić? Bardzo, bardzo chciałem się drapać i po raz trzeci zrzuciłem skórę i wyszedłem z niej. I jak tylko spojrzałem na swoje odbicie w wodze, wiedziałem, że nic nie pomogło.

Wtedy lew powiedział... chociaż i tym razem nie wiem, czy przemówił głosem: „Musisz pozwolić, abym ja cię rozebrał”. Wyznam ci, że bardzo się bałem jego pazurów, ale teraz było mi już wszystko jedno. Więc przewaliłem się na grzbiet i czekałem, co będzie.

Już za pierwszym razem wbił pazury w moją skórę tak głęboko, że wydawało mi się, iż sięgnęły do samego serca. A kiedy zaczął ściągać ze mnie skórę, poczułem taki ból, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie czułem. Jediną rzeczą, jaka pozwalała mi ten ból wytrzymać, była ulga przy zsuwaniu się ze mnie tego paskudztwa. Wiesz, coś takiego, jak zdrapywanie sobie strupa ze zranionego miejsca. Boli, ale drapiesz dalej, bo cieszysz się, że to złazi.

- Bardzo dobrze cię rozumiem - wtrącił Edmund.

- No więc ściągnął ze mnie to okropne świństwo do końca, tak jak ja to zrobiłem trzy razy, tyle że przedtem tak nie bolało, i leżało teraz na trawie, o wiele bardziej grube, ciemne i guzowate niż tamte trzy. A tu byłem ja: gładki i świeży jak odarta z łyka gałązka, no i mniejszy niż przedtem. Potem złapał mnie w pazury... nie było to zbyt przyjemne, bo teraz, po zrzuceniu skóry, byłem bardzo wrażliwy... i wrzucił do wody. Przez chwilę strasznie mnie zapiekło, ale w chwilę później poczułem się cudownie, zacząłem pływać i chlapać się, a ból w ręku całkowicie ustąpił. I wtedy zobaczyłem dlaczego. Znowu byłem chłopcem. Pewnie pomyślisz, że udaję, kiedy ci powiem, co czułem wobec swoich własnych rąk. Wiem, że nie mam mięśni i że w

ogóle w porównaniu z rękami Kaspiana to są chude, żalosne patyki, ale naprawdę mi się podobały, gdy na nie patrzyłem. A po jakimś czasie lew wyciągnął mnie z wody i ubrał...

- Ubrał cię?! Pazurami?

- Wiesz, nie bardzo pamiętam, jak to było. Ale tak czy inaczej ubrał mnie w nowe ubranie, to, które mam na sobie. A potem nagle znalazłem się tutaj. To chyba musiał być sen.

- Nie, to nie był sen - powiedział Edmund.

- Dlaczego nie?

- Jak to, przecież widzę to ubranie. A poza tym, przecież zostałeś... no... jak by to powiedzieć... odsmoczony.

- Więc co to mogło być? - zapytał Eustachy.

- Myślę, że spotkałeś Aslana - odpowiedział Edmund.

- Aslana! - zawołał Eustachy. - Słyszałem to imię kilka razy na pokładzie „Wędrowca do Świt”. I czułem... nie wiem co... chyba go nienawidziłem. Ale wtedy nienawidziłem wszystkich. A w ogóle, chciałbym cię przeprosić. Obawiam się, że zachowywałem się okropnie.

- Nie ma o czym mówić - powiedział Edmund. - Między nami mogę ci wyznać, że nie byłeś tak zły, jak ja podczas naszej pierwszej wyprawy do Narnii. Zachowywałeś się po prostu jak osioł, a ja byłem zdrajcą.

- Więc w ogóle mi o tym nie opowiadaj. Opowiedz mi o Aslanie. Znasz go?

- No cóż, to raczej on zna mnie. Aslan to Wielki Lew, syn Władcy-Zza-Morza. Wybawił mnie i wybawił całą Narnię z wielkiego nieszczęścia. Wszyscy go widywaliśmy. Łucja najczęściej. A tam, gdzie płynie, może być Kraina Aslana.

Przez chwilę obaj milczeli. Ostatnia jasna gwiazda nad horyzontem znikła i chociaż góry po prawej stronie zasłaniały im widok wschodzącego słońca, wiedzieli, że już weszło, bo zatoka zrobiła się zupełnie różowa. Potem jakiś ptak zaskrzeczał jak papuga gdzieś w lesie, posłyszeli ruch między drzewami i dźwięk rogu Kaspiana. Obóz budził się do życia.

Wielka była radość, kiedy Edmund i odnowiony Eustachy wkroczyli w krąg towarzyszy podróży zebranych wokół porannego ogniska. Wszyscy chcieli oczywiście usłyszeć całą historię od początku. Dyskutowano, czy tamten smok zabił barona Oktezjana kilka lat temu, czy też to sam Oktezjan był owym starym smokiem. Klejnoty, którymi Eustachy napchał sobie kieszenie w jaskini, znikły wraz z jego

starym ubraniem, ale nikt - a już szczególnie sam Eustachy - nie miał najmniejszej ochoty, by wrócić do smoczej dolinki po resztę skarbu.

Po kilku dniach „Wędrowiec do Świtu” był gotów do drogi, z nowym masztem, wy reperowany i dobrze zaopatrzony w prowiant. Zanim odpłynęli, Kaspian kazał wykuć w gładkiej ścianie skalnego urwiska nad zatoką następujące słowa:

SMOCZA WYSPA ODKRYTA
PRZEZ KASPIANA X KRÓLA NARNII ETC.
W CZWARTYM ROKU JEGO PANOWANIA
TUTAJ, JAK PRZYPUSZCZAMY,
PANA BARONA OKTEZJANA
SPOTKAŁA ŚMIERĆ

Byłoby miło - i nie byłoby to dalekie od prawdy - powiedzieć wam, że „od tego czasu Eustachy stał się zupełnie innym chłopcem”. Zęby jednak być ścisłym, należałoby powiedzieć „zaczął być zupełnie innym chłopcem”. Miał swoje nawroty. Przyszło jeszcze wiele dni, w których był nieco męczący. Ale nie będę wspominał o większości z nich. Kuracja się rozpoczęła.

Dziwny był los bransolety barona Oktezjana. Eustachy nie chciał jej zatrzymać i ofiarował ją Kaspianowi, a Kaspian ofiarował ją Łucji. Ale Łucja też nie miała na nią wielkiej ochoty.

- No więc dobrze, będzie ją miał ten, kto ją złapie - powiedział Kaspian i rzucił ją wysoko w powietrze. Było to wtedy, gdy wszyscy przyglądali się świeżo wykutemu w skale napisowi. Bransoleta śmignęła w powietrze, błyskając w słońcu, i zaczęła się, jak dobrze rzucone na jarmarku kółko, na niewielkim występie skały. Nikomu nie udało się wspiąć na skałę z dołu ani też opuścić po niej z góry. I wisi tam, o ile wiem, aż do dzisiaj, i może tak wisieć aż do końca świata.

ROZDZIAŁ 8

DWA KROĆ O WŁOS OD ZGUBY

DOBRY NASTRÓJ OGARNAŁ WSZYSTKICH, kiedy „Wędrowiec do Świtu” odpływał wreszcie ze Smoczej Wyspy. Po opuszczeniu zatoki złapali pomyślny wiatr i następnego ranka dopłynęli do owego nieznanego lądu, który widzieli już z wysoka, gdy Eustachy był jeszcze smokiem i fruwał nad górami. Była to płaska, zielona wyspa zamieszкана teraz jedynie przez króliki i kilka kóz, ale - sądząc po ruinach kamiennych domostw i po czarnych śladach ognisk - musieli tu żyć ludzie, i to nie tak dawno.

- To mi wygląda na robotę piratów - zauważył Kaspian.

- Albo smoka - dodał Edmund.

Prócz tego znaleźli na plaży jedynie czółno ze skóry naciągniętej na wiklinowy szkielet. Było bardzo małe - niewiele ponad metr długości - a i wiosło, które leżało w środku, pasowało do tych rozmiarów. Pomyśleli, że łódkę zrobiono dla dziecka albo też, że wyspę zamieszkiwały kiedyś karły. Rycypisk był zdania, że warto ją zatrzymać, bo znakomicie pasowała do jego wzrostu. Zabrano ją więc na pokład. Nazwali tę ziemię Spaloną Wyspą i zanim nadeszło południe, pozęglowali dalej.

Płynęli prawie pięć dni, mając w żaglach silny południowo-wschodni wiatr, a wokół nich nie było nic prócz morza - ani lądu, ani ryb, ani mew. Potem nadszedł dzień, gdy od rana do wieczora lało jak z cebra. Eustachy przegrał z Rycypiskiem dwie partie szachów i zaczął się zachowywać jak dawny, nieznośny Eustachy, a Edmund wyraził ni stąd, ni zowąd żal, że nie pojechał do Ameryki z Zuzanną. A potem Łucja spojrzała przez okno w sterówce i zawołała:

- Hej! Naprawdę przestaje padać. A co TO takiego?

Wszyscy rzucili się na górę, na pokład rufowy. Deszcz rzeczywiście ustał. Drinian, który miał wachtę, wpatrywał się w coś - albo raczej w kilka rzeczy - za rufą. Wyglądało to na rząd gładkich, krągłych skal wynurzających się z wody co jakieś dwanaście metrów.

- Ale przecież to nie mogą być skały - stwierdził Dinian - bo jeszcze pięć minut temu ich nie było.

- A jedna właśnie znikła - zauważyła Łucja.

- Tak, a teraz pojawiła się nowa - powiedział Edmund.

- I bliżej nas - dodał Eustachy.

- A niech to licho porwie! - zawołał Kaspian.

- To coś przesuwa się w naszym kierunku!

- I porusza się o wiele szybciej niż nasz statek

- rzekł Drinian. - Za chwilę nas dosięgnie! Wszyscy wstrzymali oddech, bo wcale nie jest przyjemnie być ściganym przez coś nieznanego, niezależnie od tego, czy dzieje się to na lądzie, czy na morzu. Rzeczywistość była jednak groźniejsza, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Nagle, w odległości nie większej niż odstęp między bramkami w krykiecie, po lewej burcie wyłoniła się z morza straszliwa głowa. Była zielonocynobrowa, z purpurowymi plamami, oblepiona gdzieniegdzie skorupiakami. Przypominała łeb konia bez uszu. Miała wielkie ślepia zdolne do widzenia w głębinach oceanów i rozwartą paszczę, w której widać było dwa rzędy ostrych rybich zębów. Głowa osadzona była na czymś, co początkowo wzięli za długą szyję, ale kiedy wyłoniło się tego z wody więcej, zrozumieli, że to nie szyja, lecz całe cielsko potwora, i że wreszcie widzą na własne oczy to, co tak wielu ludzi chciałoby (a nie świadczy to wcale o ich mądrości) zobaczyć: wielkiego węża morskiego. Falujące sploty gigantycznego ogona wyłaniały się raz po raz daleko za statkiem, a potworny łeb unosił się teraz nad nimi, sięgając ponad maszt.

Każdy chwycił za broń, ale nie można było nic zrobić, bo potwór znajdował się poza zasięgiem ciosu.

- Strzelajcie! Strzelajcie! - zawołał mistrz łuczników i kilku posłuchało, lecz strzały odbiły się od skóry węża morskiego, jakby była okuta żelazem. Upiorny łeb zawisł nad okrętem i przez chwilę wszyscy zamarli w ciszy, wpatrując się w ohydne ślepia i zastanawiając się gorączkowo, gdzie łeb ugodzi.

Ale nie ugodził - zatrzymał się na wysokości marsa. Potem cielsko wyciągnęło się poziomo dalej i dalej, aż łeb sięgnął prawego nadburcia, a potem zaczął się powoli obniżać, by wreszcie opaść - nie na wypełniony ludźmi pokład, lecz do morza po prawej stronie. Okręt znajdował się teraz pod łukiem utworzonym z cielska węża. Nie trwało to jednak długo. Łuk zaczął się obniżać i zacieśniać; po chwili dotykał już prawie lewej burty „Wędrowca do Świt”. Eustachy (który za wszelką cenę chciał się zachować godnie, czując, że długotrwały deszcz i przegrane partie szachów cofnęły go nieco w stronę dawnego Eustachego) odważył się teraz na pierwszy dzielny czyn w swoim życiu. U boku miał miecz, który mu pożyczył Kaspian. Gdy tylko cielsko węża było już dostatecznie blisko lewej burty, wskoczył na nadburcie i zaczął walić klingą w potwora ze wszystkich sił. Co prawda, nie dało to nic poza połamaniem na kawałki jednego z najlepszych mieczy Kaspiana, ale był to na pewno wspaniały wyczyn jak na

kogoś, kto po raz pierwszy miał miecz w ręku.

Widząc to, reszta rzuciła się z orężem, by uczynić to samo, gdy rozległ się okrzyk Ryczypiska:

- Nie walczmy! Spychajmy!

Ryczypisk wzywający do zaniechania walki był zjawiskiem tak niezwykłym, że nawet w tak strasznej chwili wszyscy zatrzymali się i spojrzeli na niego. A kiedy wskoczył na nadburcie i wparł się swoimi szczupłymi, pokrytymi futerkiem plecami w łuskowate, śliskie cielsko węża, i zaczął pchać ze wszystkich sił, duża część załogi pojęła, o co mu chodzi, i podbiegła do obu burt, by uczynić to samo. W chwilę później łeb węża morskiego wynurzył się ponownie z lewej burty. Teraz już wszyscy zrozumieli, co się dzieje.

Potwór otoczył „Wędrowca do Świt” swym cielskiem jak wielką pętlą i właśnie tę pętlę zaciskał. Nie ulegało wątpliwości, że kiedy zaciśnie ją mocniej, cały okręt rozpadnie się z głośnym trzaskiem, a wówczas potwór bez trudu wyłowi każdego spomiędzy szczątków unoszonych przez fale. Mieli tylko jedną szansę: zepchnąć pętlę ze statku przez rufę lub też (aby to samo ująć innymi słowami) przesunąć statek do przodu, by uwolnić go z uścisku wężowej pętli.

Oczywiście Ryczypisk miał tyle samo szans na urzeczywistnienie swego pomysłu, co na podniesienie jakiejś katedry, ale napierał plecami z takim wysiłkiem, że kiedy przyłączyli się do niego inni, był już ledwo żywy. Wkrótce wszyscy pasażerowie i członkowie załogi - prócz Łucji i Ryczypiska, który w końcu zemdłał - stali w dwu ciasnych rzędach, napierając jeden na drugiego ze wszystkich sił, tak że wysiłek całego rzędu skupiał się na marynarzu wspartym na cielsku węża. Przez kilka strasznych, dłużących się w godziny chwil, kiedy każdy pchał i pchał, walcząc o życie, nic się nie zmieniło. Stawy trzeszczały, pot spływał kroplami na deski pokładu, słychać było sapanie i głucho postękiwanie. A potem poczuli, że okręt drgnął. Wężowa pętla przesunęła się z trudem w kierunku rufy, zrobiła się jednak również nieco mniejsza. Dopiero teraz dostrzegli całą groźbę sytuacji. Czy uda im się przepchać pętlę przez nadbudówkę rufową, czy jest już za ciasna? Tak! chyba przejdzie! Już leży na balustradzie rufówki. Już przesuwają się dalej. Z tuzin lub więcej marynarzy skoczyło na pokład rufowy. Teraz szło o wiele lepiej. Cielsko węża morskiego prawie przylegało do pokładu, mogli więc utworzyć szereg i napierać na nie ramię przy ramieniu. Już wstąpiła we wszystkich otucha, gdy przypomnieli sobie o wysokim zwieńczeniu rufy w kształcie smoczego ogona. To niemożliwe. Pętla nie przejdzie przez rufę.

- Dajcie siekiere! - zawołał Kaspian ochryplym głosem. - I pchać dalej!

Łucja, która zawsze wiedziała, gdzie co leży, stała akurat na pokładzie głównym, wpatrując się w rufówkę. W ciągu kilku sekund była już na dole, znalazła siekiere i wspinała się po drabinie wiodącej na pokład rufowy. Ale w tej chwili rozległ się głośny trzask, jakby drzewo upadło na ziemię, a potem okręt zakołysał się gwałtownie i wystrzelił do przodu. Bo w tym właśnie momencie - nie wiadomo dlaczego: czy spychano węża morskiego za gwałtownie, czy też on bezsensownie zacisnął swą pętlę zbyt mocno - całe rzeźbione zwieńczenie rufy oderwało się i okręt był wolny.

Pozostali byli zbyt wyczerpani, by dostrzec to, co zobaczyła Łucja. Zaledwie kilka metrów za rufą pętla utworzona z cielska węża morskiego zacisnęła się błyskawicznie i z głośnym pluskiem znikła w morzu. Łucja opowiadała później (choć oczywiście była w tamtym momencie bardzo podniecona i mogło się jej wydawać), że widziała, jak na pysku potwora pojawił się wyraz głupkowatego zadowolenia. Jedno było pewne: wąż nie grzeszył mądrością, bo zamiast ścigać okręt, obracał łbem naokoło, jakby spodziewał się znaleźć w morzu szczątki „Wędrowca do Świt”. Ale okręt był już daleko. Żagle znów wypełniły się wiatrem, a cała załoga siedziała lub leżała na pokładzie, sapiąc i pojękując, aż w końcu odzyskała siły na tyle, by zacząć rozprawiać o przygodzie, a potem nawet z niej żartować. A kiedy wydobyto trochę rumu, rozległy się wiwaty; wszyscy wychwalali męstwo Eustachego (choć nie na wiele się ono zdało) i Ryczypiska.

Po tym wydarzeniu żeglowali przez następne trzy dni, nie widząc nic prócz morza i nieba. Czwartego dnia wiatr zmienił się: dał teraz z północy i fale zaczęły rosnać. Pod wieczór był już prawie sztorm. Ale właśnie wtedy zobaczyli ląd z lewej burty.

- Jeżeli pozwolisz, miłościwy panie - rzekł Drinian - spróbujemy podejść do lądu od zawietrznej, wpłynąć za pomocą wiosel do jakiejś zatoki i przeczekać sztorm.

Kaspian zgodził się, ale siła wiatru była już tak duża, że wiosłując pod wiatr, nie zdołali dopłynąć do lądu przed wieczorem. Było już ciemno, gdy wpłynęli do jakiejś naturalnej przystani i rzucili kotwicę, nikt jednak nie zszedł na ląd tej nocy. Rankiem stwierdzili, że znajdują się w zielonej zatoce, u brzegów dzikiego, poprzecinanego wąwozami lądu, wznoszącego się ku skalistym szczytom. Spoza gór, z północy, dał silny wiatr i szybko napływały chmury. Spuścili szalupę i załadowali ją pustymi beczkami na wodę.

- Z którego strumienia zaczerpniemy wody, Drinianie? - zapytał Kaspian, siadając na rufie łodzi. - Wygląda na to, że są dwa, i oba wpływają do zatoki.

- Bez różnicy, panie - odparł Drinian. - Chyba jednak ten z prawej burty jest nieco bliżej.

- Oho, zaczyna padać - zauważyła Łucja.

- Nie zaczyna, ale już leje - powiedział Edmund, bo teraz rozpadało się na dobre. - Mówię wara, płynmy do tego drugiego strumienia. Jest tam trochę drzew i będziemy mieć jakieś schronienie.

- Tak, płynmy tam - dodał Eustachy. - Nie ma sensu zmoknąć bardziej, niż się musi.

Ale Drinian przez cały czas sterował w lewo, jak niektórzy męczący kierowcy, którzy jadą dalej sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, chociaż mówi im się, że zmylili drogę.

- Oni mają rację, kapitanie - zauważył Kaspian. - Czemu nie zrobisz zwrotu i nie skierujesz łodzi do tego zachodniego strumienia?

- Jak sobie wasza królewska mość życzy - odpowiedział Drinian trochę zbyt szorstko. Miał wczoraj niespokojny dzień z powodu sztormu i nie lubił rad udzielanych przez szczury ładowe. Zmienił jednak kurs; później się okazało, że dobrze zrobił.

Kiedy skończyli napełniać beczki wodą, deszcz ustał i Kaspian, Eustachy, rodzeństwo Pevensie i Rycypisk postanowili wspiać się na szczyt i zobaczyć, co stamtąd widać. Było to trudne podejście przez ostre trawy i wrzosi. Prócz mew nie zauważyli żadnych śladów życia. Na szczycie okazało się, że wyspa jest niewielka (nie więcej niż dwadzieścia akrów), a morze z tej wysokości wydaje się bardziej rozległe i odludne niż z pokładu lub nawet z marsa „Wędrowca do Świtu”.

- Wiesz, to chyba zupełne wariactwo - powiedział cicho Eustachy do Łucji, wpatrując się we wschodni horyzont. - Żeglować tak przed siebie, coraz dalej w TO, bez najmniejszego pojęcia o tym, co nas może spotkać! - Ale powiedział to tylko z przyzwyczajenia, bez prawdziwej złośliwości, jaka cechowała zwykle dawnego Eustachego. Dał silny północny wiatr i było zbyt zimno, by pozostawać dłużej na szczycie.

- Nie wracajmy tą samą drogą - powiedziała Łucja, kiedy ruszali z powrotem - Idźmy trochę dalej tym grzbietem i zejźmy wzdłuż tamtego drugiego strumienia, tego, do którego chciał płynąć Drinian.

Wszyscy chętnie na to przystali i po kwadransie znaleźli się u źródeł drugiego strumienia. Było to miejsce ciekawsze, niż się spodziewali: głębokie górskie jeziorko otoczone skałami ze wszystkich stron, prócz jednego wąskiego siodła od strony morza, przez które przelewała się woda, tworząc bystry potok. Tutaj znaleźli wreszcie osłonę od wiatru, usiedli więc wśród wrzosów nad urwiskiem, by nieco odpocząć.

Usiedli wszyscy, ale jedno z nich (był to Edmund) natychmiast podskoczyło z okrzykiem:

- Ależ ostre kamienie są na tej wyspie, nie ma co! Gdzie jest to przeklęte świństwo?... O, tutaj! - dodał, macając wśród wrzosów. - Hej! To wcale nie kamień, to rękojeść miecza. Nie, do pioruna! To cały miecz, w każdym razie to, czego jeszcze rdza nie zjadła. Musi tu leżeć od stuleci.

- Wygląda na narnijski - powiedział Kaspian, kiedy otoczyli Edmunda, oglądając znalezisko.

- Ja też na czymś siedzę - odezwała się Łucja. - Na czymś twardym.

Okazało się, że to żelazna tarcza. Teraz już wszyscy pełzali na czworakach i przeszukiwali gęste wrzosi. Znaleźli kolejno: hełm, sztylet i kilka monet. Nie były to kalormieńskie krescenty, ale prawdziwe narnijskie „lwy” i „drzewa”, takie, jakie można zobaczyć, kiedy się tylko zechce, na rynku w Bobertamie lub Berunie.

- Czy nie wydaje się wam, że to wszystko, co pozostało po jednym z naszych siedmiu baronów? - zapytał Edmund.

- O tym samym myślałem - powiedział Kaspian. - Ciekaw jestem, który z nich zawędrował aż tutaj. Na mieczu nie ma żadnych znaków. Ciekaw też jestem, jak zginął.

- I jak możemy go pomścić - dodał Rycypisk. W tym czasie Edmund, jedyny spośród nich, który

przeczytał wiele powieści kryminalnych, zajęty był swoimi myślami.

- Posłuchajcie - powiedział w końcu - w tym wszystkim jest coś podejrzanego. Ktokolwiek to był, nie mógł zginąć w walce.

- Po czym tak sądzisz? - zapytał Kaspian.

- Brakuje mi kości - odpowiedział Edmund. - Przeciwnik mógłby zabrać broń i pozostawić ciało. Ale czy ktoś z was słyszał o typie, który zwycięża w walce i pozostawia broń, zabierając ciało przeciwnika?

- A może zabiło go jakieś dzikie zwierzę? - podsunęła Łucja.

- Musiałoby to być niezwykle mądre zwierzę - zauważył Edmund - które by

potrafiło zdjąć z człowieka stalową kolczugę.

- A może to był smok? - zapytał Kaspian.

- Mowy nie ma - odezwał się Eustachy. - Smok by tego nie zrobił. Ostatecznie trochę się na tym znam, możecie mi wierzyć.

- No dobrze, ale tak czy owak chodźmy już stąd

- wtrąciła Łucja. Od czasu, gdy Edmund wspomniał o kościach, nie miała już ochoty siedzieć wśród wrzosów.

- Jak chcesz - rzekł Kaspian, podnosząc się.

- Chyba nie warto zabierać ze sobą tych rupieci? Zeszli nieco niżej i okrążyli jeziorko aż do miejsca,

z którego wypływał strumień. Tu przystanęli, by popatrzeć na głęboką wodę otoczoną skalnym urwiskiem. Gdyby dzień był gorący, na pewno ktoś miałby ochotę na kąpiel, a już wszyscy chcieliby się napić chłodnej wody. Ale i teraz, pomimo niepogody, Eustachy już się schylał, by zaczerpnąć ręką nieco wody, gdy nagle Rycypisk i Łucja krzyknęli jednocześnie: „Patrzcie!”, więc zrezygnował ze swego zamiaru i spojrzał przed siebie.

Dno jeziorka pokrywały duże, szare kamienie. Woda była idealnie czysta. I oto na dnie zobaczyli naturalnych rozmiarów figurę człowieka wykonaną najwyraźniej ze szczerego złota. Posąg leżał twarzą w dół, z rękami wyciągniętymi nad głową. Wszyscy wpatrywali się weń bez słowa. Nagle przez dziurę w chmurach wyjrzało słońce i złoty kształt rozjarzył się w jego promieniach. Łucja pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała tak wspaniałego posągu.

- No wiecie - odezwał się Kaspian - warto było tu przyjść, żeby to zobaczyć. Zastanawiam się, czy nie dałoby się tego wyciągnąć.

- Możemy nurkować - powiedział Rycypisk.

- To nic nie da - rzekł Edmund. - Jeśli to prawdziwe lite złoto, waży z pewnością tyle, że nie zdołamy tego podnieść. A to jeziorko może mieć ze cztery lub sześć metrów głębokości. Ale zaraz, poczekajcie. Dobrze zrobiłem, że zabrałem ze sobą myśliwski oszczep. Zaraz zobaczymy, jak tu głęboko. Trzymaj mnie za rękę, Kaspianie, a ja nachylę się trochę nad wodą.

Kaspian chwycił go za rękę, a Edmund, wychylony do przodu, zaczął zanurzać oszczep w wodę. Nim jeszcze drzewce zanurzyło się do połowy, Łucja powiedziała:

- Nie sądzę, by ten posąg był ze złota. To tylko takie oświetlenie. Twój oszczep ma teraz taki sam kolor.

- Co się stało?! - rozległo się jednocześnie kilka głosów, ponieważ Edmund nagle puścił oszczep.

- Po prostu nie mogłem go utrzymać - wysapał. - Jest za CIĘŻKI.

- A teraz leży na dnie - powiedział Kaspian - i Łucja ma rację: ma zupełnie taki sam kolor jak ta figura.

W tej samej chwili Edmund, który chyba miał jakieś kłopoty ze swoimi butami - w każdym razie nachylił się i oglądał je z bliska - wyprostował się gwałtownie i zawołał ostrym i donośnym głosem, jakiemu nie można się sprzeciwić:

- Cofnąć się! Z dala od tej wody! Wszyscy! Natychmiast!

Wszyscy cofnęli się i wlepili w niego oczy.

- Spójrzcie? - powiedział Edmund. - Spójrzcie na czubki moich butów.

- Trochę się zażółciły - zaczął Eustachy.

- Zażółciły! Są teraz ze złota, z litego złota - przerwał mu Edmund. - Popatrzcie tylko. Dotknijcie. Nie ma już nawet śladu skóry. A ciężkie są jak z ołowiu.

- Na Aslana! - zawołał Kaspian. - Czy chcesz powiedzieć, że...

- Tak, chcę - przerwał mu Edmund. - Ta woda wszystko przemienia w złoto. Zamieniła mój oszczep w złoto, dlatego stał się taki ciężki. Chlapnęła na moje buty... całe szczęście, że nie byłem boso... i zamieniła w złoto ich czubki. A ten biedak na dnie... no cóż, sami widzicie...

- Och, nie! - krzyknęła Łucja. - To straszne!

- I pomyśleć, że i MY byliśmy o włos od nieszczęścia - dodał Edmund.

- Zaiste, o włos - powiedział Rycypisk. - W każdej chwili czyjś palec, czyjaś stopa, czyjś wąs lub ogon mógł zanurzyć się w tej wodzie.

- Mimo wszystko - rzekł Kaspian - warto by to jednak sprawdzić.

Schylił się i zerwał pęk wrzosu, potem bardzo ostrożnie ukląkł na brzegu jeziora i zanurzył go w wodzie. To, co zanurzył, było z całą pewnością wrzosem; to, co wyjął z wody, było doskonałym modelem gałązek wrzosu wykonanym z najczystszej złota, ciężkiego i miękkiego jak ołów.

- Król tej wyspy - powiedział Kaspian powoli, a na jego twarzy pojawiły się rumieńce - będzie wkrótce najbogatszym ze wszystkich monarchów świata. Ogłaszam uroczystie, że od tej chwili i na zawsze ta wyspa należy do Królestwa Narnii. Nadaję jej nazwę Wyspa Złotej Wody. I zobowiązuję was wszystkich do zachowania tajemnicy. Nikt nie może dowiedzieć się o tym jeziorze. Nawet Drinian, pod groźbą śmierci, słyszycie?

- Do kogo ta mowa? - przerwał mu Edmund.

- Ja nie jestem twoim poddanym. Jeżeli już chcesz o tym mówić, to może być tylko odwrotnie. Jestem jednym z czterech starożytnych władców Narnii, a ty jesteś winien posłuszeństwo Wielkiemu Królowi, mojemu bratu.

- A więc tak stawiasz sprawę, królu Edmundzie? - rzekł Kaspian, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

- Och, przestańcie już, jeden i drugi - powiedziała Łucja. - To jest właśnie najgorsze, kiedy robi się coś z chłopcami. Wszyscy jesteście takimi nadętymi, kłótliwymi durniami... Ooooooch! - urwała nagle, a ostatnie słowo zmieniło się w zduszony okrzyk.

I wszyscy pozostali ujrzeni to, co zobaczyła Łucja.

Po szarym zboczu - szarym, bo wrzosa jeszcze nie zakwitły - bezszelestnie, nie patrząc na nich i jaśniejąc, jakby oblewało go pełne słońce, chociaż słońce ukryte było za chmurami, przeszedł największy lew, jakiego kiedykolwiek oglądały ludzkie oczy. Opisując później tę scenę, Łucja powiedziała: „Był wielkości słonia”, chociaż innym razem powiedziała: „Był wielkości dużego, wiejskiego konia”. Ale nie wielkość była tu najważniejsza. Nikt nawet nie śmiał zapytać, co to za lew. Wiedzieli, że zobaczyli Aslana.

I nikt nie zauważył, dokąd poszedł lub w jaki sposób zniknął. Popatrzyli po sobie jak ludzie, którzy obudzili się ze snu.

- O czym myśmy właściwie mówili? - odezwał się Kaspian. - Zdaje się, że robiłem z siebie osła?

- Panie - rzekł Rycypisk - to miejsce jest przeklęte. Natychmiast wracajmy na pokład. I jeśli to ja miałbym honor nadać nazwę tej wyspie, nazwałbym ją Wyspą Śmiertelnej Wody.

- To bardzo dobra nazwa, Rycypie - powiedział Kaspian. - Chociaż, gdy zaczynam się nad tym zastanawiać, nie wiem dlaczego. Ale pogoda chyba się ustaliła i jestem pewien, że Drinian chciałby ruszyć w drogę. Tyle mamy mu do opowiedzenia!

Ale w rzeczywistości niewiele mieli mu do opowiedzenia. Każdy zapamiętał nieco inaczej to, co wydarzyło się w ciągu ostatniej godziny.

- Kiedy ich wysokości wróciły na pokład, wyglądały, jakby były trochę... hm... zaczarowane - opowiadał Drinian Rinsowi w parę godzin później, gdy „Wędrowiec do Świtu” był już pod pełnym żaglem, a Wyspa Śmiertelnej Wody znikła na horyzoncie. - Coś im się tam przydarzyło. W każdym razie zrozumiałem tylko jedno, że znaleźli

ciało jednego z tych baronów, których poszukujemy. Tak przynajmniej sędzę.

- Jeśli to prawda, kapitanie - odpowiedział Rins - to już mamy trzech. Brakuje nam tylko czterech. W tym tempie możemy wrócić do domu po Nowym Roku. Ale dobre i to. Mój zapas tytoniu zaczyna się kurczyć. Dobrej nocy, kapitanie.

ROZDZIAŁ 9 WYSPA GŁOSÓW

WIATR, KTÓRY TAK DŁUGO WIAŁ od północnego zachodu, zmienił się teraz na zachodni. Odtąd każdego ranka, gdy słońce wynurzało się z morza, wygięty do tyłu dziób „Wędrowca do Świtu” wyznaczał dokładnie sam środek jego tarczy. Niektórzy twierdzili, że słońce jest teraz jakby większe niż w Narnii, ale inni uważali to za złudzenie. I tak żeglowali i żeglowali na wschód, gnani łagodnym, lecz stałym wiatrem, nie widząc ani ryb, ani mew, ani żadnego obcego okrętu, ani lądu. Zapasy zaczęły się kurczyć, a do ich serc wkradła się obawa, że być może znaleźli się na oceanie, który nie ma końca. Nadszedł wreszcie świt ostatniego dnia, po którym ryzyko dalszego żeglowania na wschód byłoby zbyt wielkie, tak mało już mieli żywności. I właśnie wtedy, dokładnie na linii wyznaczonej przez dziób okrętu i słońce, pojawił się niski ląd, majaczący na widnokręgu jak obłok.

Po południu rzucili kotwicę w szerokiej zatoce i przeprawili się łodzią na brzeg. Był to ląd zupełnie inny od tych, jakie dotychczas spotkali. Tuż za piaszczystą plażą rozpościerała się cicha i pusta równina, na której nie dostrzegali śladów życia. Hen, aż po horyzont rosła trawa tak gładka i krótka, jaką można zobaczyć tylko w jakimś wielkim angielskim parku, w którym zatrudnia się dziesięciu ogrodników. Były i drzewa, ale każde rosło osobno, jedno daleko od drugiego. Pod drzewami nie zauważyli połamanych gałązek ani opadłych liści. Panowała cisza, którą tylko od czasu do czasu przerywało gruchanie gołębia.

W końcu doszli do miejsca, w którym zaczynała się długa, prosta, wysypana piaskiem aleja, wysadzana po obu stronach drzewami. Z piasku nie wyrastała ani jedna trawka. Daleko, na drugim końcu alei, zobaczyli jakiś dom - długi i szary, pełen niezwykłego spokoju, skąpany w promieniach popołudniowego słońca. Kiedy weszli w aleję, Łucja poczuła, że jakiś kamyk wpadł jej do buta i uwiera w nogę. Na pewno byłoby mądrzej, gdyby w takim nieznanym miejscu poprosiła swych towarzyszy o poczekanie na nią, aż wyjmie kamyk. Ale Łucja tego nie zrobiła i nikt nie zauważył, że pozostała w tyle. Usiadła pod drzewem, by zdjąć but. Nie było to łatwe, bo sznurowadło zasupłało się.

Zanim rozplatała supeł, reszta już się oddaliła. Kiedy wreszcie wyjęła kamyk i wkładała pantofel, już ich nawet nie słyszała. Ale prawie w tej samej chwili usłyszała coś innego. A to, co usłyszała, wcale nie dochodziło od strony domu.

Było to głuche dudnienie. Brzmiało tak, jakby tuziny robotników waliły z całej

siły w ziemię wielkimi, drewnianymi młotami. Dźwięki szybko się przybliżały. Łucja siedziała oparta plecami o drzewo, ale nie było ono z rodzaju tych, na które można się wdrapać, więc nie pozostawało jej nic innego, jak tylko siedzieć bez ruchu, przyciskać się do drzewa i mieć nadzieję, że zostanie nie zauważona.

Bum - bum - bum - a cokolwiek to było, tak się już przybliżyło, że czuła drżenie ziemi. Nadal jednak niczego nie widziała. Przez chwilę była już pewna, że źródło dziwnego hałasu jest tuż za nią, lecz w chwilę później wiedziała, że jednak jest w alei: świadczył o tym nie tylko kierunek odgłosów, ale i piasek, który w paru miejscach wzbił się w powietrze, jakby go coś uderzyło z całej siły. Potem dudniące dźwięki złączyły się ze sobą jakies dobre kilka metrów dalej i nagle ucichły. Wtedy rozległ się Głos.

Było to naprawdę straszne, bo wciąż nikogo nie widziała. Parkowy krajobraz wyglądał nadal tak samo - opustoszały i spokojny - jak wówczas, gdy zobaczyli go po raz pierwszy. A jednak, zaledwie o dwa czy trzy kroki od niej, ktoś mówił:

- Bracia, teraz mamy szansę.

A potem chór innych głosów odpowiedział:

- Słuchajcie go. Słuchajcie go. Powiedział: Teraz mamy szansę. Dobra robota, szefie. Masz świętą rację.

- A oto mój plan - ciągnął pierwszy głos. - Zaczaimy się na nich przy brzegu, koło łodzi. Niech każdy bez wyjątku przygotuje broń. Złapiemy ich, kiedy będą chcieli wrócić na morze.

- Tak, to jest pomysł! - wrzasnęły inne głosy. - To twój najlepszy plan, szefie. Trzymaj się go, szefie. Trudno o lepszy plan.

- A więc żywo, bracia, żywo - powiedział pierwszy głos. - Ruszamy.

- Tak jest, szefie! - odpowiedziały głosy. - To najlepszy rozkaz, jaki mogłeś wydać. Właśnie to samo chcieliśmy powiedzieć. Ruszamy!

Po chwili znowu dało się słyszeć dudnienie - najpierw bardzo głośne i bliskie, a wkrótce coraz słabsze, oddalające się w stronę morza.

Łucja wiedziała, że nie ma czasu na siedzenie i łamanie sobie głowy nad tym, kim mogą być te niewidzialne istoty. Gdy tylko dudnienie ucichło w oddali, zerwała się i pobiegła ścieżką ile sił w nogach, aby dołączyć do innych i za wszelką cenę ich ostrzec.

Kiedy to wszystko się działo, pozostali doszli do tajemniczego domu. Był to niski budynek - zaledwie jednopiętrowy - z pięknego gładkiego kamienia, z wieloma oknami, częściowo porośnięty bluszczem. Było tu tak cicho, że Eustachy powiedział:

„Na pewno jest pusty”, ale Kaspian wskazał w milczeniu na słup dymu unoszący się z jednego z kominów.

Przez szeroką, otwartą na oścież bramę weszli na brukowany dziedziniec. I właśnie tutaj zdali sobie po raz pierwszy sprawę z tego, że w wyspie jest coś niesamowitego. Pośrodku dziedzińca zobaczyli studnię z pompą, a pod nią wiaderko. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie oczywisty fakt, że rączka pompy poruszała się do góry i na dół, chociaż nie było widać nikogo, kto by nią poruszał.

- To jakieś czary - odezwał się Kaspian.

- To na pewno jakiś mechanizm! - powiedział Eustachy. - Myślę, że w końcu trafiliśmy na cywilizowany kraj.

W tej samej chwili Łucja - zdyszana i spocona - wbiegła na dziedziniec. Przyciszonym głosem próbowała im przekazać to, co podsłuchała. Kiedy wreszcie przynajmniej częściowo zrozumieli, o czym mówi, nawet najdzielniejsi nie wyglądali na zachwyconych.

- Niewidzialny wróg - mruknął Kaspian. - I odcięcie nas od łodzi. To ciężka sprawa.

- Czy nic nie możesz powiedzieć na temat RODZAJU tych istot, Łusiu? - zapytał Edmund.

- Jak mogę coś wiedzieć, skoro ich nie widziałam?

- Czy sądząc po odgłosach kroków, mogli to być ludzie?

- Nie słyszałam żadnych kroków. Tylko głosy i to okropne dudnienie, jakby kto walił drewnianym młotem.

- Zastanawiam się - rzekł Rycypisk - czy nie staliby się widzialni, gdyby ich tak pomacać mieczem?

- Wygląda na to, że będziemy się musieli o tym przekonać - powiedział Kaspian. - Ale chodźmy stąd. Ktoś z tego towarzystwa jest przy pompie i słyszy wszystko, co mówimy.

Powrócili z dziedzińca w aleję, gdzie drzewa mogły ich nieco osłonić.

- Co prawda nie sądzę, by coś dało ukrywanie się przed istotami, których się nie widzi - zauważył Eustachy. - Mogą być wszędzie, nawet wokół nas.

- Drinianie - rzekł Kaspian - co myślisz o tym, by zrezygnować z łodzi, wyjść nad zatokę w innym miejscu i dać sygnał na „Wędrowca”, aby podeszli i zabrali nas na pokład?

- Za płytko, wasza królewska mość - odpowiedział Drinian.

- Możemy dopłynąć wpływ - odezwała się Łucja.

- Niech wasze wysokości zechcą mnie wysłuchać - rzekł Rycypisk. - To szaleństwo sądzić, że uniknie się spotkania z niewidzialnym przeciwnikiem ukrywając się, skradając i czołgając. Jeśli te istoty chcą z nami walczyć, to jest pewne, że do walki dojdzie. A bez względu na jej wynik, wolę zmierzyć się z nimi twarzą w twarz, niż być złapanym za ogon.

- Naprawdę myślę, że tym razem Rycypisk ma rację - powiedział Edmund.

- Jestem pewna - dodała Łucja - że kiedy Rins i załoga zobaczą, że walczymy na wybrzeżu, spróbują COŚ zrobić.

- Kłopot w tym, że do głowy im nie przyjdzie, że walczymy, jeśli nie będzie widać żadnego przeciwnika - zauważył posepnie Eustachy. - Pomyślą, że wymachujemy mieczami w powietrzu dla zabawy.

Zapanowało niezbyt przyjemne milczenie.

- No cóż - odezwał się w końcu Kaspian - nic innego nie wymyślimy. Musimy iść i zmierzyć się z nimi. Uściśnijmy sobie wszyscy dłonie. Łucjo, załóż strzałę na cięciwę, reszta niech dobędzie mieczy i niech się dzieje, co ma się dziać. Może będą chcieli rokować.

Poszli więc z powrotem ku brzegowi morza, spoglądając w milczeniu na zielone łąki i spokojne drzewa. Kiedy dotarli do plaży i zobaczyli swoją łódź leżącą na piasku tam, gdzie ją zostawili, niejednen pomyślał, że może to wszystko tylko się Łucji wydawało. Ale zanim postawili stopy na piasku, usłyszeli głos:

- Ani kroku dalej, mości panowie, ani kroku dalej. Chcemy z wami porozmawiać. Jest tu nas więcej niż pięćdziesięciu, a każdy trzyma broń w garści.

- Słuchajcie go, słuchajcie go - rozległ się chór głosów. - To nasz szef. Możecie mu wierzyć. Mówi wam samą prawdę, ot co.

- Jakoś nie widzę tych pięćdziesięciu rycerzy - powiedział Rycypisk.

- Masz rację, masz rację - rozległ się Głos Szefa. - Nie widzicie nas. A dlaczego? Bo jesteśmy niewidzialni.

- Mów tak dalej, szefie, mów tak dalej - zaszemrały Inne Głosy. - Mówisz, jak z książki. Nie mogli usłyszeć lepszej odpowiedzi.

- Uspokój się, Rycypisku - powiedział cicho Kaspian, a potem podniósł głos i zawołał: - O wy, niewidzialni, czego od nas chcecie? Cóż takiego zrobiliśmy, by zasłużyć na waszą nieprzychylność?

- Chcemy czegoś, co może dla nas zrobić ta dziewczynka - odpowiedział Głos

Szefa. Inne Głosy natychmiast wyjaśniły, że dokładnie to samo chciały powiedzieć.

- Dziewczynka! - warknął Rycypisk. - Ta dama jest królową.

- Nic nie wiemy o królowych - powiedział Głos Szefa. (- Ani my, ani my - zaszemrały zgodnie Inne Głosy.) - Chcemy tylko czegoś, co ona może zrobić.

- Co to takiego? - zapytała Łucja.

- Jeżeli to jest coś, co uwłaczałoby czci jej wysokości - dodał Rycypisk - to nie macie nawet zielonego pojęcia, ilu z was zabijemy przed naszą śmiercią.

- No cóż - zabrzmiał Głos Szefa - to długa opowieść. Może byśmy usiedli?

Propozycja została przyjęta ciepło przez Inne Głosy, ale Narnijczycy nadal stali.

- A więc - powiedział szef - rzecz ma się tak. Od dawien dawna, a trudno sobie nawet wyobrazić od jak dawna, ta wyspa jest własnością wielkiego Czarodzieja. A my wszyscy jesteśmy, albo raczej, że się tak wyrażę, byliśmy, jego sługami. Więc, by się skracać, ten Czarodziej, o którym mówię, on kazał zrobić nam coś takiego, co się nam nie podobało. A dlaczego nie? Bo tego nie chcieliśmy zrobić. No więc ten Czarodziej, on wpadł w straszny gniew, bo powinienem wam powiedzieć, że on władał tą wyspą i nie był przyzwyczajony do sprzeciwu. On był okropnie stanowczy, jeśli wiecie, co mam na myśli. Ale zaraz, o czym to ja mówiłem? Ach tak, a więc ten Czarodziej poszedł do siebie na górę... bo musicie wiedzieć, że tam na górze trzymał wszystkie rzeczy potrzebne do Czarów, a my mieszkaliśmy na dole... no więc, jak mówię, poszedł na górę i rzucił na nas urok. Szpecący urok. Gdybyście nas teraz zobaczyli, a jestem zdania, że możecie dziękować waszym gwiazdom, że nas nie widzicie, trudno byłoby wam uwierzyć, jak wyglądaliśmy przedtem, zanim nas zeszpecił. Naprawdę, nie dalibyście wiary. Więc byliśmy wszyscy tak strasznie brzydki, że nie mogliśmy znieść swego widoku. I co zrobiliśmy wtedy? No cóż, powiem wam, co zrobiliśmy. Zaczekaliśmy, aż ten Czarodziej, o którym mówiłem, pójdzie spać po południu, a wtedy zakradliśmy się po schodach na górę i zuchwale złapaliśmy za jego Księgę Czarów, żeby zobaczyć, czy nie dałoby się coś zrobić z tym zeszpeceniem. I wierzcie mi albo nie wierzcie, ale zapewniam was, że nie mogliśmy znaleźć niczego: mam na myśli jakieś zaklęcie, które by zdjęło z nas tę brzydotę. A tu czas mijał i wierzcie mi, stary mógł się w każdej chwili obudzić, a ja całutki śmierziałem potem, więc was nie oszukuję, no więc, żeby się streszczać, nie wiem, czy na szczęście, czy na nieszczęście natrafiliśmy w końcu na zaklęcie czyniące niewidzialnymi. I zdawało się nam, że lepiej być niewidzialnym niż tak okropnie brzydkim. A dlaczego lepiej? Bo to się nam bardziej podobało. Więc moja dziewczynka, która była w wieku tej dziewczynki, co

jest z wami, a było to słodkie dziecko, zanim ją zeszpecił, chociaż teraz... no, ale lepiej się nad tym nie rozwodzić... więc, jak mówię, moja mała dziewczynka, ona wypowiedziała zaklęcie, bo to właśnie musiała być mała dziewczynka, chyba że sam Czarodziej, żeby to działało, jeśli mnie dobrze rozumiecie, bo inaczej to by nie działało. A dlaczego nie? Bo nic by się nie działo. Więc ta moja Klipsia wypowiedziała zaklęcie, bo muszę wam powiedzieć, że czytała naprawdę pięknie, no i wszyscy staliśmy się tak niewidzialni, jak można sobie było tylko wymarzyć. I zapewniam was, że to była wielka ulga, kiedy się przestało widzieć swoje twarze. W każdym razie na początku. Ale, mówiąc krótko, szybko się nam to śmiertelnie znudziło. I jeszcze jedno. Nikt z nas nie zauważył, czy Czarodziej, ten, o którym wam przedtem opowiadałem, też stał się niewidzialny, czy nie. Ale z drugiej strony, od tego czasu go nie widzieliśmy. Tak więc nie wiemy, czy umarł, czy gdzieś odszedł, czy siedzi tam na górze, niewidzialny, a może schodzi sobie na dół i też jest niewidzialny. I wiercie mi, nic nie daje nadśłuchiwanie, bo on zawsze chodzi] bosko i nigdy nie robił więcej hałasu niż duży kocur. I powiem wam po prostu, szlachetni panowie, to wszystko staje się takie, że po prostu nie można już tego znieść.

Tak brzmiała opowieść Głosu Szefa, choć bardzo ją skróciłem, pomijając wszystko, co mówiły w trakcie opowieści Inne Głosy. W rzeczywistości bowiem nigdy nie udało mu się wypowiedzieć więcej niż sześć lub najwyżej siedem słów, by mu nie przerywały chóralne potwierdzenia i zachęty do kontynuowania opowieści. Sprawiało to, że cierpliwość Narnijczyków wystawiona była na ciężką próbę. Kiedy się to wszystko skończyło, zapanowała długa cisza.

- Ale co to ma wszystko wspólnego z nami? - odezwała się w końcu Łucja. - Nie rozumiem.

- Coś takiego! Czyżbym skończył i nie wyłożył wszystkiego jasno? - zdziwił się Głos Szefa.

- Wyłożyłeś to, wyłożyłeś to jasno, szefie - zagrzmiały z entuzjazmem Inne Głosy. - Nikt nie wyłożyłby tego jaśniej i lepiej. Mów dalej, szefie, mów dalej.

- Chyba nie muszę opowiadać całej historii od początku... - zaczął Głos Szefa.

- Nie. Z całą pewnością nie jest to konieczne - odpowiedzieli jednocześnie Kaspian i Edmund.

- No więc, żeby to wszystko streścić w paru słowach - odezwał się znowu Głos Szefa - już od dawna czekamy i czekamy na jakąś miłą dziewczynkę z dalekich krajów, taką jak ty, panienko, żeby poszła na górę, wzięła Księgę Czarów, znalazła w

niej zaklęcie odczarowujące z niewidzialności i wymówiła je. I wszyscy przysięgliśmy sobie, że gdy pojawią się na wyspie pierwsi cudzoziemcy, z milutką dziewczynką, ma się rozumieć, bo gdyby jej nie było, rzecz by się miała inaczej, więc przysięgliśmy, że nie pozwolimy im odjechać, dopóki nie zrobią dla nas tego, czego nam tak potrzeba! I właśnie dlatego, moi szlachetni panowie, jeżeli wasza dziewczynka sprawi nam zawód, będzie naszym bolesnym obowiązkiem poderżnąć wam wszystkim gardła. Tylko z poczucia obowiązku, że tak powiem, i bez żadnej obrazy, mam nadzieję.

- Nie widzę waszego oręza - powiedział Rycypisk. - Czy on także jest niewidzialny? - Zaledwie jednak wyrzekł te słowa, usłyszeli świst, a w jednym z drzew utkwiała włócznia.

- To jest włócznia - rozległ się Głos Szefa.

- Tak, to włócznia, szefie, to włócznia - przytaknął chór Innych Głosów. - Nie można było tego lepiej wyrazić.

- A tę włócznię miałem w ręku - ciągnął Głos Szefa. - Naszą broń można zobaczyć dopiero wtedy, gdy wypadnie nam z ręki.

- Ale dlaczego chcecie, żebym właśnie JA to zrobiła? - zapytała Łucja. - Dlaczego nie zrobi tego ktoś z was? Czy nie ma wśród was dziewczynek?

- Nie ośmielamy się, nie ośmielamy się - powiedziały Głosy. - Nigdy nie wejdziemy ponownie na górę.

- Innymi słowy - rzekł Kaspian - chcecie, żeby ta mała dama stawiała czoło jakiemuś niebezpieczeństwu, bo nie ośmielacie się o to prosić swoich własnych sióstr i córek!

- O to chodzi, o to właśnie chodzi - ryknęły ochoczo Głosy. - Nie mogłeś tego lepiej powiedzieć. Ech, jesteś na pewno wykształcony. Każdy to widzi.

- No więc, wy wszystkie odrażające... - zaczął Edmund, ale Łucja mu przerwała:

- Czy muszę iść na górę w nocy, czy może to być za dnia?

- Och, za dnia, za dnia, to jasne - odpowiedział Szef Głosów. - Nie w nocy. O to nikt cię nie prosi. Iść na górę w nocy? Brrrr...

- No więc dobrze, zrobię to - powiedziała Łucja. - Nie - dodała, odwracając się do swych towarzyszy - nie próbujcie mnie zatrzymywać. Czy nie widzicie, że to bezcelowe? Jest ich tu mnóstwo. Nie możemy ich zwyciężyć. A z drugiej strony... to JEST szansa!

- Ale ten Czarodziej! - zawołał Kaspian.

- Wiem - powiedziała Łucja. - Ale może nie jest taki zły, jak oni mówią. Nie

wydaje się wam, że ten ludek nie jest zbyt dzielny?

- Z całą pewnością nie należy do najmądrzejszych - zauważył Eustachy.

- Posłuchaj, Łusiu - rzekł Edmund - naprawdę nie możemy ci na to pozwolić.

Zapytaj Ryczypiska, jestem pewien, że powie to samo.

- Ale przecież chcę w ten sposób uratować i swoje własne życie, nie tylko wasze - powiedziała Łucja. - Wierzcie mi, że tak samo jak wy nie chcę być pocięta na kawałeczki niewidzialnymi mieczami.

- Jej królewska mość ma do tego prawo - odezwał się nagle Ryczypisk. - Gdybyśmy mieli choć najmniejszą szansę obronić JEJ życie w walce, nie byłoby o czym mówić. Nie mamy jednak żadnej szansy. A to, czego od niej żądają, nie jest w żadnej mierze sprzeczne z honorem jej królewskiej mości, przeciwnie, to czyn szlachetny i bohaterski. Jeśli serce królowej każe jej ponieść ryzyko spotkania z Czarodziejem, nie mogę być przeciw temu.

A nikt nigdy nie widział, by Ryczypisk bał się czegokolwiek, mógł więc to powiedzieć, nie czując się ani trochę tchórzem. Chłopcom, którzy bali się dość często, poczerwieniały twarze. W tym, co powiedział Ryczypisk, było jednak tyle oczywistego sensu, że musieli się zgodzić. Kiedy oznajmili o swojej decyzji, niewidzialny lud wzniósł głośne okrzyki zadowolenia. Szef Głosów (popierany gorąco przez Inne Głosy) zaprosił Narnijczyków na kolację. Eustachy nie chciał przyjąć zaproszenia, ale Łucja powiedziała: „Jestem pewna, że nie kryje się za tym żadna zdrada” i wszyscy się zgodzili. I tak, wśród straszego dudnienia (które stało się jeszcze donośniejsze, kiedy weszli na wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec), powrócili do tajemniczego domu.

ROZDZIAŁ 10

KSIĘGA CZARODZIEJA

Niewidzialny lud ugościł ich po królewsku. Zabawnie wyglądało, kiedy talerze i misy same pojawiały się na stole. Byłoby to zabawne nawet i wtedy, gdyby naczynia wędrowały w powietrzu poziomo, jak każdy by się tego spodziewał. Tymczasem talerze płynęły przez długą salę jadalną, wykonując serię susów lub skoków. W najwyższym punkcie każdego skoku naczynie znajdowało się jakieś cztery metry nad podłogą, po czym opadało, zatrzymując się nagle metr nad nią. Kiedy w takim talerzu znajdowała się zupa lub gulasz, rezultat był raczej katastrofalny.

- Te istoty zaczynają mnie coraz bardziej intrygować - szepnął Eustachy do Edmunda. - Myślisz, że mogą w ogóle przypominać ludzi? Chyba już prędzej jakieś olbrzymie pasikoniki lub żaby.

- Na to wygląda - odpowiedział mu Edmund. - Ale nie wspominaj o tym Łucji. Nie przepada za insektami, zwłaszcza dużymi.

Wieczera byłaby przyjemniejsza, gdyby jedzenie podawano choć trochę czyściej i porządniej oraz gdyby rozmowa nie ograniczała się do wyrażania zgody na wszystko. Większość uwag niewidzialnych gospodarzy należała do rodzaju tych, z którymi trudno się nie zgodzić, na przykład: „Zawsze mówię, że kiedy ktoś jest głodny, lubi coś zjeść” albo: „Robi się ciemno, zawsze jest tak wieczorem”, albo: „Ach, więc przyplłynęliście morzem - to bardzo mokra rzecz, nieprawdaż?” A Łucja nie potrafiła się przemóc, by raz po raz nie spoglądać na ziejące ciemnością wejście prowadzące ku schodom na górę - widziała je bardzo dobrze ze swojego miejsca - i nie zastanawiać się, co ją spotka, kiedy następnego ranka będzie musiała po nich wejść. Jedzenie było jednak dobre: zupa pieczarkowa, gotowane kurczaki, gorąca szynka, czerwone porzeczki, twaróg, śmietana, mleko i pitny miód. Narnijczykowi smakował miód i tylko Eustachy żałował później, że go pił.

Kiedy następnego ranka Łucja otworzyła oczy, poczuła się tak, jakby się obudziła w dniu egzaminu lub wizyty u dentysty. A poranek był cudowny. Bzyzące pszczoły wpadały i wylatywały przez otwarte okno jej pokoju, a rozległe łąki wyglądały bardzo po angielsku. Wstała, ubrała się i zjadła śniadanie, próbując rozmawiać z innymi, jakby nic nie miało się wydarzyć. Potem wysłuchała instrukcji Szefa Głosów, pożegnała się ze swoimi towarzyszami, bez słowa podeszła do schodów i zaczęła na nie wchodzić, nie oglądając się za siebie.

Z początku doznała ulgi, bo na schodach było całkiem jasno: wprost nad nią, na

szczycie pierwszej kondygnacji, widniało okno. Dopóki zbliżała się ku temu oknu, mogła jeszcze słyszeć tik-tak-tik-tak wielkiego starego zegara stojącego w dolnej sali. Potem doszła do półpiętra i musiała skręcić w lewo, by wejść na drugą kondygnację schodów. Teraz nie słyszeć już było zegara.

Kiedy znalazła się na szczycie schodów, zobaczyła długi, szeroki korytarz z dużym oknem na odległym końcu. Ściany ozdobione były płaskorzeźbami i niską boazerią, a na podłodze leżał dywan. Po obu stronach było wiele uchylonych drzwi. Łucja stała nieruchomo, nasłuchując, ale nie słyszała nic - ani pisku myszy, ani bzyku muchy, ani szelestu kotary - nic, prócz bicia własnego serca.

„Ostatnie drzwi na lewo”, powiedziała do siebie. To, że musiały to być właśnie ostatnie drzwi, nie było zbyt przyjemne, bo zdała sobie sprawę, że musi teraz przejść obok każdej z otwartych komnat. W każdej z nich mógł być Czarodziej - śpiący lub przebudzony, niewidzialny lub nawet martwy. Cóż jednak przyjdzie z takich rozważań? Zaczęła iść. Dywan był tak gruby, że całkowicie głużył jej kroki.

„Jak dotąd, nie widzę tu nic strasznego”, pomyślała Łucja. I na pewno był to spokojny, pełen słońca korytarz. Może nawet za spokojny. I byłby przyjemniejszy, gdyby na drzwiach wiodących do komnat nie widniały dziwne znaki namalowane szkarłatną farbą - dziwne, zawile i posplatane ornamenty, które z całą pewnością miały jakieś znaczenie, a znaczenie to wcale nie musiało być miłe. Byłby też przyjemniejszy, gdyby nie te maski wiszące na ścianach. Ściśle mówiąc, maski nie były brzydkie - albo może należałoby powiedzieć: nie bardzo brzydkie - ale ich puste oczodoły wyglądały niesamowicie i gdyby się przestało panować nad sobą, można by bardzo łatwo sobie wyobrazić, że robią różne grymasy za plecami.

Minęła chyba szóste z kolei drzwi, kiedy przestraszyła się po raz pierwszy. Przez chwilę była prawie pewna, że jakaś złośliwa brodata twarzyczka wyskoczyła ze ściany i wykrzywiła się w jej stronę. Łucja zmusiła się, by stanąć i spojrzeć na nią. Nie była to wcale twarz. Było to małe lustro, rozmiarów i kształtu jej własnej twarzy, z włosami na górze i brodą na dole, tak że kiedy się w nie patrzyło, twarz pasowała akurat do włosów i brody. „Po prostu, kiedy mijałam lustro, kątem oka zobaczyłam swoją własną twarz - powiedziała do siebie Łucja. - I to wszystko. Nie ma się czego bać”. Ale jej własna twarz z tymi włosami i brodą wcale się jej nie podobała, więc ruszyła dalej. (Nie wiem, do czego służyło to Brodate Lustro, ponieważ nie jestem czarodziejem.)

Zanim doszła wreszcie do ostatnich drzwi po lewej stronie, zaczęła się już

zastanawiać, czy korytarz nie wydłużył się od czasu, gdy stanęła u jego progu, i czy nie jest to część czarów tego domu. Ale w końcu doszła do tych drzwi. Były otwarte. Weszła do dużego pokoju z trzema wielkimi oknami. Na wszystkich ścianach były półki z książkami. Łucja nigdy jeszcze nie widziała tylu książek: cienkich i małych, grubych i pękatych. Były tu również księgi większe od największej z Biblii, jakie się widuje w kościołach. Wszystkie oprawione były w skórę i pachniały starością, uczonością i magią. Łucja pamiętała jednak o instrukcjach Szefa Głosów i wiedziała, że nie musi się zajmować żadną z nich. TA księga bowiem, Księga Czarów, leżała na pulpicie w samym środku pokoju. Łucja zdała sobie sprawę, że będzie ją musiała czytać na stojąco (zresztą w pokoju i tak nie było krzeseł) oraz że będzie przy tym zmuszona stać plecami do drzwi. Dlatego od razu odwróciła się, by zamknąć je za sobą.

Drzwi nie chciały się zamknąć.

Zapewne niektórzy z was nie zgodzą się z Łucją co do tego, ale ja myślę, że miała rację. Powiedziała później, że po prostu nie miałyby nic przeciwko temu, by drzwi dały się zamknąć, bo nie jest zbyt przyjemnie stać w miejscu takim jak to, mając otwarte drzwi za plecami. Sam czułbym to samo. Ale nie można było zrobić nic więcej.

Zaniepokoiły ją rozmiary Księgi. Szef Głosów nie był w stanie powiedzieć, gdzie w Księdze należy szukać zaklęcia czyniącego widzialnymi rzeczy niewidzialne. Wydawał się nawet zaskoczony jej pytaniem. Sądził, że trzeba po prostu czytać Księgę od początku aż do miejsca, w którym się to zaklęcie znajdzie, i było oczywiste, że nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, by można było znaleźć coś w książce w inny sposób. „Ale to przecież może trwać całe dni, a może i tygodnie - pomyślała Łucja, patrząc na potężny tom - a ja już teraz czuję się, jakbym była tu od wielu godzin”.

Podeszła do pulpitu i dotknęła Księgi. Poczowała mrowienie w palcach, jakby gruby tom naładowany był elektrycznością. Spróbowała go otworzyć, ale napotkała opór. Dopiero po chwili zauważyła dwie ciężkie klamry i kiedy je rozpięła, okładka dała się otworzyć dość łatwo. Ach, cóż to była za Księga!

Litery nie były drukowane, lecz pisane ręcznie czystym, pewnym charakterem. Te linie w literach, które się zwykle ciągnie od góry w dół, były grube, a te linie, które się ciągnie z dołu do góry, były cienkie. Litery były duże, o wiele wyraźniejsze niż druk, i tak piękne, że Łucja przyglądała się im przez dobrą minutę, zapomniawszy zupełnie o czytaniu. Papier był szeleszczący i gładki, i pachniał przyjemnie, a na marginesach oraz naokoło wielkich kolorowych liter na początku każdego zaklęcia

były obrazki.

Księga nie miała strony tytułowej (nie było też tytułu na okładce). Od razu zaczynała się zaklęciami. Z początku nie było w nich nic specjalnie ważnego. Były tam magiczne przepisy przeciw kurzajkom (zanurzenie rąk w poświęconej księżycowej schwywanej do srebrnej miednicy), przeciw bólowi zębów i skurczom, a także na złapanie wyrojonych pszczół. Obrazek przedstawiający człowieka z bolącym zębem był jak żywy, tak że po dłuższym oglądaniu go zęby zaczynały boleć, a złote pszczoły rojące się wokół czwartego zaklęcia wyglądały, jakby naprawdę fruwały w powietrzu.

Łucja z trudem oderwała się od pierwszej strony, ale kiedy ją wreszcie przewróciła, druga okazała się jeszcze bardziej interesująca. „Muszę się jednak pospieszyć”, powiedziała sobie i zaczęła szybciej przewracać karty Księgi, z których - gdyby tylko zapamiętała, co czytała - nauczyłaby się, jak znaleźć zakopany skarb, jak przypomnieć sobie to, co się zapomniało, jak zapomnieć o czymś, o czym się chce zapomnieć, jak poznać, czy ktoś mówi prawdę, jak wezwać (lub uciszyć) wiatr, mgłę, śnieg, śnieg z deszczem i sam deszcz, jak sprowadzić na kogoś zachwycające sny i jak zamienić głowę ludzką w łeb osła (jak się to przytrafiło biednemu Spodkowi*). A im dłużej czytała, tym bardziej cudowne i żywe były obrazki.

Po jakichś trzydziestu stronach natrafiła na kartę, z której zajaśniało tyle iluminacji, że trudno było w ogóle dostrzec pismo. Z trudem, ale jednak udało się Łucji zrozumieć sens pierwszych słów. A było tam napisane: *Nieźrównane zaklęcie, by uczynić ją piękną ponad wszystkie śmiertelne*. Łucja wpatrzyła się w obrazki z nosem tuż nad Księgą, a choć przedtem wydawały się jej zbyt małe i stłoczone, by cokolwiek na nich zobaczyć, teraz widziała je zupełnie dobrze. Pierwszy przedstawiał dziewczynkę stojącą przed pulpitem i czytającą wielką księgę. Dziewczynka ubrana była dokładnie tak jak Łucja. Na drugim obrazku Łucja (ponieważ dziewczynką z obrazków była właśnie ona) stała wyprostowana z otwartymi ustami i trochę niesamowitym wyrazem twarzy, śpiewając coś lub recytując. Na trzecim stała się „piękna ponad wszystkie śmiertelne”. I rzecz dziwna: najpierw obrazki były tak małe, że trudno było rozpoznać, co przedstawiają, a teraz Łucja z obrazka wydawała się tak duża jak Łucja prawdziwa; patrzyły sobie w oczy, aż po chwili prawdziwa Łucja odwróciła wzrok, bo tak ją olśniła piękność tej drugiej Łucji, choć oczywiście nadal w tej cudownej twarzy było jakieś podobieństwo do niej samej. A potem obrazki zaczęły szybko się tłoczyć przed jej oczami, jeden po drugim. Zobaczyła siebie samą siedzącą

*Postać z komedii W Szekspira *Sen nocy letniej* - przyp tłum.

na wysokim podium podczas wielkiego turnieju w Kalormenie, a wszyscy królowie świata walczyli w szrankach z powodu jej piękności. A potem turnieje zmieniły się w prawdziwe wojny. Cała Narnia i Archenlandia, Telmar i Kalormen, Galma i Terebint - wszystkie krainy zostały spustoszone przez wściekłość królów, książąt i baronów, a każdy walczył w obronie jej czci. Potem obraz się zmienił: Łucja - wciąż „piękna ponad wszystkie śmiertelne” - była teraz znowu w Anglii. I Zuzanna (którą cała rodzina zawsze uważała za najpiękniejszą) wróciła z Ameryki. Na obrazku Zuzanna przypominała do złudzenia prawdziwą Zuzannę, tyle że wyglądała trochę bardziej pospolicie i miała paskudną minę. Była zazdrosna o olśniewającą piękność Łucji. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, bo teraz nikt się w ogóle nią nie zajmował.

„Wypowiem to zaklęcie”, pomyślała Łucja. „Nic mnie nie obchodzi, zrobię to”. Pomyślała „nic mnie nie obchodzi”, bo wyraźnie czuła, że nie powinna tego robić.

Ale kiedy spojrzała na pierwsze słowa zaklęcia, tam, gdzie - jak była całkiem pewna - nie było żadnego obrazka, zobaczyła wielki łeb Lwa, TEGO Lwa, samego Aslana, patrzącego wprost na nią. Był namalowany złotą farbą, tak lśniąco, że wydawało się, iż wychodzi ku niej z karty Księgi. Łucja nigdy nie była całkiem pewna, czy w rzeczywistości Lew nie poruszył się lekko. W każdym razie dobrze знаła wyraz jego twarzy. Aslan ryczał, ryczał tak, że widziała prawie wszystkie jego zęby. Łucję ogarnęło takie przerażenie, że szybko przewróciła kartę.

Nieco dalej natrafiła na zaklęcie, dzięki któremu można poznać, co myślą o nas nasi przyjaciele. Łucja miała ogromną ochotę na wypróbowanie tamtego pierwszego zaklęcia, tego, które czyni „piękną ponad wszystkie śmiertelne”. Poczwała, że aby oderwać się od tej przemożnej ochoty, trzeba wypowiedzieć choćby to drugie zaklęcie, trzeba zrobić wszystko, by przestać myśleć o tamtym. I szybko, bojąc się, że zmieni zdanie, wyrecytowała słowa z Księgi (a nic nie skłoni mnie do tego, by wam powiedzieć, jak to zaklęcie brzmiało). Potem zaczęła czekać, aż coś się stanie.

Ponieważ jednak nic się nie działo, znowu spojrzała na obrazki. I wtedy zobaczyła ostatnią rzecz, jakiej mogła się spodziewać. Zobaczyła przedział wagonu drugiej klasy w jakimś pociągu, a w nim dwie dziewczynki, które poznała od razu. Były to Mariola Preston i Ania Featherstone, jej szkolne koleżanki. Ale teraz obrazek - tak piękny i naturalny - przestał już być tylko obrazkiem. Ożył. Widziała słupy telegraficzne migające za oknem. Widziała dwie dziewczynki śmiejące się i rozmawiające ze sobą. A potem stopniowo (tak jak w radiu, które się nagrzewa), zaczęła słyszeć, o czym one mówią.

- Czy będziemy się choć od czasu do czasu widywać w tym okresie - zapytała Ania - czy też nadal będziesz opanowana przez tę małą Pevensie!

- Nie wiem, o co ci chodzi - odpowiedziała Mariola.

- Dobrze wiesz, o czym mówię - powiedziała Ania. - W zeszłym roku zupełnie zwariowałaś na jej punkcie.

- Mylisz się - rzekła Mariola. - Nie jestem taka głupia, jak myślisz. Oczywiście nie twierdzę, że jest zła, przynajmniej na swój sposób, ale to jeszcze straszny dzieciuch. Pod koniec roku miałam już jej po dziurki w nosie.

- Ty obłudna zmijo! Możesz być pewna, że nie będziesz miała do tego okazji w jakimkolwiek roku! - wrzasnęła Łucja. Ale dźwięk jej własnego głosu natychmiast przypomniał jej, że mówi do obrazka i że prawdziwa Mariola jest daleko stąd, w innym świecie.

- No cóż - powiedziała Łucja do siebie - nie spodziewałam się tego po niej. A tyle dla niej zrobiłam w zeszłym roku! I przyjaźniłam się z nią, chociaż niewiele innych dziewczyn miałyby na to ochotę. A ona o tym wiedziała. I do tego z Anią! Długo musiała szukać. Ciekawa jestem, czy tak samo jest z innymi przyjaźniami. Tu jest jeszcze mnóstwo innych obrazków. Ale nie, nie spojrzę już na żaden z nich. Nie chcę, nie chcę! - Iz wielkim wysiłkiem odwróciła stronę, ale nim to się stało, zdążyła na nią kapnąć duża łza.

Na następnej stronie znalazła, zakłęcie *na odświeżenie ducha*. Obrazków było tu mniej, ale były przepiękne. A to, co czytała, przypominało bardziej opowieść niż zakłęcie. Ciągnęło się to przez trzy strony i zanim skończyła, zapomniała w ogóle, że czyta. Przeżywała czytaną opowieść tak, jakby w niej uczestniczyła, a wszystkie obrazki ożyły. Kiedy doszła do końca trzeciej strony, powiedziała sobie: „To najwspanialsza, najmiłsza opowieść, jaką kiedykolwiek czytałam czy będę czytać w całym swoim życiu. Och, jakbym chciała ją czytać i czytać, przez dziesięć lat! W każdym razie muszę ją przeczytać jeszcze raz”.

Ale w tej chwili zaczęły działać czary magicznej Księgi. Nie można było wrócić do tego, co się już raz przeczytało. W tej Księdze można było odwracać tylko prawe strony.

- To skandal! - zawołała Łucja. - Tak bardzo chciałam przeczytać to jeszcze raz! Trudno, chociaż sobie przypomnę, jak to było na początku. Zaraz... to było o... o... ojej! Wszystko zapomniałam! I nawet ta ostatnia strona robi się biała. To niesamowita książka. Jak mogłam wszystko zapomnieć! To było o kielichu, o mieczu,

o drzewie i o zielonym wzgórzu, na pewno. Ale nic więcej nie pamiętam. I co ja teraz zrobię?

I nigdy już sobie nie przypomniała. I od tej pory, kiedy Łucja mówi, że jakaś opowieść jest wspianiała, ma na myśli to, że przypomina jej opowieść, którą przeczytała w Księdze Czarów.

Odwróciła kartę i ku swemu zaskoczeniu znalazła stronę, na której nie było żadnych obrazków, za to pierwsze słowa brzmiały: *Zakłęcie czyniące widzialnymi rzeczy niewidzialne*. Przeczytała formułę dwa razy po cichu, aby się nie pomylić przy jakimś trudnym słowie, po czym wyrecytowała ją na głos. I od razu wiedziała, że czary działają, bo kiedy wypowiedziała ostatnie słowa zaklęcia, duże litery na górze strony zabarwiły się, a na marginesach pojawiły się obrazki. Było to tak, jakby się trzymało nad ogniem papier, na którym wypisano coś Niewidzialnym Atramentem, tylko że zamiast bladych liter koloru soku cytrynowego (a jak pewnie wiecie, sok cytrynowy jest najprostszym Niewidzialnym Atramentem) pojawiały się obrazki barwy złota, błękitu i szkarłatu. Były to bardzo osobliwe obrazki i trafiały się na nich postacie, którym Łucja nie bardzo chciała się przyglądać. A potem pomyślała: „Myślę, że to zakłęcie działa nie tylko na te olbrzymy, ale na wszystko, co niewidzialne. W takim miejscu jak to może być wiele innych rzeczy, których się normalnie nie widzi. I wcale nie jestem pewna, czy chciałabym je wszystkie zobaczyć”.

W tej samej chwili usłyszała miękkie, lecz ciężkie kroki na korytarzu za swoimi plecami i oczywiście natychmiast przypomniała sobie, jak mówiono o Czarodzieju, że chodzi boso, nie czyniąc więcej hałasu niż kot. A bez względu na to, kto to mógł być, zawsze lepiej jest odwrócić się, gdy ktoś skrada się za naszymi plecami. I Łucja odwróciła się.

Potem jej twarz rozjaśniła się tak, że przez chwilę wyglądała niemal tak pięknie jak owa druga Łucja z obrazka (choć, oczywiście, sama o tym nie wiedziała), i pobiegła naprzód z wyciągniętymi rękami, z krótkim okrzykiem zachwyty. Bo oto w otwartych drzwiach stał sam Aslan, Lew, największy z Wielkich Królów. Nie był żadną zjawą: był prawdziwy, ciepły, można go było dotknąć. Pozwolił się Łucji całować i wtulić twarz w swą jaśniejącą grzywę. A kiedy usłyszała niski, przywodzący na myśl małe trzęsienie ziemi dźwięk, który narodził się gdzieś w jego wnętrzu, ośmieliła się pomyśleć, że Aslan mruczy.

- Och, Aslanie! - powiedziała. - Kochany jesteś, że przyszedłeś.

- Byłem tu przez cały czas - odpowiedział - ale dopiero ty sprawiłaś, że stałem

się widzialny.

- Aslanie! - zawołała Łucja prawie z nutą wyrzutu. - Nie żartuj sobie ze mnie. Jakbym to JA mogła uczynić CIEBIE widzialnym!

- Tak było - rzekł Aslan. - Czy myślisz, że mógłbym nie być posłuszny swoim własnym prawom?

Po chwili milczenia przemówił znowu:

- Moje dziecko, myślę, że podsłuchiwałaś.

- Podsłuchiwałam?

- Słuchałaś tego, co mówiły o tobie twoje koleżanki.

- Ach, o to ci chodzi... Przez myśl mi nie przeszło, żeby to mogło być podsłuchiwanie. Przecież to były czary.

- Podsłuchiwanie innych za pomocą czarów jest takim samym podsłuchiowaniem jak każde inne. I źle osądziłaś swoją przyjaciółkę. Jest chwiejna, ale naprawdę cię lubi. Bała się tamtej starszej koleżanki i powiedziała coś, czego wcale nie chciała powiedzieć.

- Myślę, że już nigdy nie będę mogła zapomnieć o tym, co powiedziała.

- Nie, nie, zapomnisz o tym.

- Och, naprawdę! - zawołała Łucja. - Czy wszystko zepsułam? Czy chcesz powiedzieć, że byłybyśmy nadal przyjaciółkami, gdyby nie to, i to naprawdę bliskimi przyjaciółkami... może przez całe życie... a teraz wszystko stracone...

- Dziecko - powiedział Aslan - czy już kiedyś ci nie mówiłem, że nikt nigdy nie może powiedzieć, CO BY BYŁO GDYBY?

- Tak, Aslanie, mówiłeś mi to. Ale...

- Mów, moja maleńka.

- Czy kiedyś będę mogła przeczytać tę opowieść jeszcze raz, tę, której nie mogę sobie przypomnieć? Czy mi ją kiedyś opowiesz, Aslanie? Och, zrób to, zrób, zrób...

- Tak, opowiem ci ją. Będę ci ją opowiadał przez długie, długie lata. Ale teraz chodźmy. Musimy się spotkać z panem tego domu.

ROZDZIAŁ 11

ŁACHONOGOWIE SĄ SZCZĘŚLIWI

ŁUCJA WYSZŁA NA KORYTARZ za Wielkim Lwem i od razu zobaczyła idącego ku nim starca, bosego, w długiej, czerwonej szacie. Jego białe włosy ukoronowane były wieńcem z dębowych liści, broda spływała do pasa i podpierał się dziwną, rzeźbioną laską. Kiedy zobaczył Aslana, skłonił się nisko i powiedział:

- Witaj, panie, w ostatnim z twoich domów.

- Czy miałeś już dość, Koriakinie, rządzenia tak głupimi poddanymi?

- Nie - odpowiedział Czarodziej. - To nie to. Są rzeczywiście bardzo głupi, ale nie ma z nimi wielkich kłopotów. Zacząłem mieć dość wszelkich stworzeń. Czasem chyba tracę cierpliwość. Nie mogę się doczekać dnia, w którym zacznę rządzić nimi mądrość, a nie zwykła magia jak dotąd.

- Wszystko w swoim czasie, Koriakinie - powiedział Aslan.

- Tak, wszystko w swoim właściwym czasie, panie. Czy zamierzasz im się pokazać?

- Nie! - powiedział Lew w czymś w rodzaju półryku, który oznaczał (jak pomyślała Łucja) śmiech. - Myślę, że to by ich za bardzo przestraszyło. Wiele gwiazd zestarzeje się i znajdzie swój odpoczynek na wyspach, zanim twój lud do tego dojrzeje. A dzisiaj, przed zachodem słońca, muszę odwiedzić Karła Zuchona, który na zamku Ker-Paravel liczy dni do powrotu swego pana, Kaspiana. Opowiem mu tę historię, Łucjo. Nie miej takiej ponurej miny. Wkrótce spotkamy się znowu.

- Aslanie, proszę cię - powiedziała Łucja -. powiedz mi, co u ciebie znaczy „wkrótce”?

- „Wkrótce” może być dla mnie kiedykolwiek - odpowiedział Aslan i nagle zniknął. Łucja została sam na sam z Czarodziejem.

- Odszedł! - powiedział starzec. - Odszedł i czujemy żal, ty i ja. Tak jest zawsze. Nie można go zatrzymać, nie zachowuje się jak OSWOJONY lew. Ale jak ci się podobała moja Księża?

- Niektóre rzeczy bardzo mi się podobały - odpowiedziała Łucja. - Czy przez cały czas wiedziałeś, że tu jestem?

- No cóż, od samego początku, od chwili, kiedy pozwoliłem Patałachom uczynić się niewidzialnymi, wiedziałem, że pojawisz się tutaj, aby ich odczarować. Nie byłem tylko pewien, którego dnia to się stanie. I jakoś specjalnie tego ranka nie czuwałem. Rzecz w tym, że i mnie uczynili niewidzialnym, a kiedy jestem niewidzialny, zawsze

chce mi się spać. Łuuuuuaaaa! Znowu mi się ziewnęło! Nie jesteś głodna?

- Chyba trochę jestem - powiedziała Łucja. - Nie mam pojęcia, która może być godzina.

- Chodźmy - rzekł Czarodziej. - „Wkrótce” może oznaczać „kiedykolwiek” u Aslana, ale w moim domu wie się, że wkrótce wybije pierwsza, kiedy się czuje głód.

Poprowadził ją korytarzem i otworzył jedne z drzwi. Był tam miły, pełen słońca i kwiatów pokój. Na środku stał stół. Kiedy weszli, nie był nakryty, ale oczywiście należał do zaczarowanych stołów i na jedno słowo starca pojawił się na nim obrus, talerze, szklanki i jedzenie.

- Mam nadzieję, że to jest to, co lubisz - powiedział. - Spróbowałem poczęstować cię jedzeniem bardziej przypominającym to, do czego się przyzwyczaiłaś w swojej ojczyźnie niż to, co wam ostatnio podano.

- Och, co za wspaniałości! - zawołała Łucja. I rzeczywiście, był tam gorący, jeszcze skwierczący omlet z zielonym groszkiem, kawałek jagnięcia na zimno, truskawkowe lody, lemoniada do popijania i filiżanka czekolady na deser. Sam Czarodziej wypił tylko trochę wina i zjadł kawałek chleba. Łucja przekonała się, że wcale nie trzeba się go bać, i wkrótce gawędziła z nim jak ze starym przyjacielem.

- Kiedy zaklęcie zacznie działać? - zapytała. - Czy Patałachowie staną się widzialni od razu?

- Och tak, już są widzialni. Ale teraz prawdopodobnie wciąż jeszcze śpią. Zawsze koło południa ucinają sobie drzemkę.

- A czy teraz, kiedy już są widzialni, zechcesz zdjąć z nich czar brzydoty? Czy przywrócisz im ich dawny wygląd?

- Hm, to nieco delikatna sprawa - powiedział Czarodziej. - Widzisz, moja kochana, to tylko ONI myślą, że dawniej wyglądali całkiem ładnie. To oni mówią, że zostali zeszpeceni, ale ja bym tak nie powiedział. Wiele osób uznałoby to raczej za zmianę na lepsze.

- Czy są tak okropnie zrozumieli?

- Tak. A w każdym razie zrozumiąły jest szef Patałachów i to on zaraził całą resztę.

- Mielśmy okazję to zauważyć - powiedziała Łucja.

- Tak. I będziemy chyba musieli poradzić sobie w jakiś sposób bez niego. Oczywiście mógłbym zamienić go w coś innego albo nawet zaczarować, żeby reszta nie wierzyła w jego słowa. Ale nie chcę tego robić. Lepiej, żeby podziwiali

kogokolwiek, niż żeby nie podziwiali nikogo.

- Czy nie podziwiają CIEBIE? - zapytała Łucja.

- Och nie, MNIE nie - odpowiedział Czarodziej. - Nie sądzę, by mogli MNIE podziwiać.

- A dlaczego właściwie ich oszpecieś... to znaczy zrobiłeś z nimi to, co oni nazywają zeszceniem?

- Dlatego, że nie robili tego, co im powiedziano. Ich obowiązkiem jest troszczenie się o ogród i uprawa roślin jadalnych. Nie dla mnie, jak sobie wyobrażają, ale dla siebie. Gdybym ich do tego nie zmuszał, w ogóle by tego nie robili. A oczywiście, jeśli ma się ogród, trzeba mieć wodę. Jakies pół mili stąd, na zboczu wzgórza, jest wspaniałe źródło. I z tego źródła bierze początek strumień, który przepływa dokładnie przez środek ogrodu. Mówiłem im tylko, by brali wodę wprost ze strumienia, zamiast trzy lub cztery razy dziennie wspinać się na wzgórze z wiadrami, a potem wracać, wylewając po drodze połowę wody. Ale oni nie mogli tego zrozumieć. W końcu odmówili tego wprost.

- Czy naprawdę są tacy głupi? - zapytała Łucja.

Czarodziej westchnął ciężko.

- Trudno uwierzyć we wszystkie kłopoty, jakie z nimi miałem. Kilka miesięcy temu uparli się, aby myć talerze i noże przed obiadem: twierdzili, że to im oszczędza później czasu. Przyłapałem ich na tym, jak sadzili gotowane ziemniaki, aby nie trzeba było ich już gotować po wykopaniu. Pewnego dnia kot wpadł do mleczarni i wtedy ze dwudziestu tych osłów natrudziło się co niemiara, wynosząc wszystkie dzieże z mlekiem; nikomu nie przyszło do głowy, aby wyrzucić kota. Ale widzę, że skończyłaś już jeść. Chodźmy i popatrzmy na Patałachów, skoro już można ich zobaczyć.

Przeszli do innego pokoju, wypełnionego takimi lśniącymi, tajemniczymi instrumentami, jak astrolabia, planetaria, chronoskopy, wersometry, chorejobusy i teodolindy, i tutaj, kiedy podeszli do okna, Czarodziej powiedział:

- Oto twoje Patałachy.

- Nikogo nie widzę - powiedziała Łucja. - Ale co to takiego, te grzybowate rzeczy?

Tymi rzeczami, na które wskazywała Łucja, upstrzony był cały trawnik. Rzeczywiście przypominały do złudzenia grzyby, tyle że niezwyklej rozmiarów: trzonki mogły mieć z metr wysokości, tyle samo miały też średnice kapeluszy. Kiedy przyjrzała się im uważnie, zauważyła, że trzonki nie wyrastały ze środka kapeluszy, ale

jakoś z boku, co sprawiało wrażenie, jakby grzyby miały się za chwilę przewrócić. Przy każdej nóżce leżało też na trawie coś dziwnego, coś w rodzaju małego tobołka. Im dłużej wpatrywała się w te dziwne rzeczy, tym mniej przypominały grzyby. Kapelusze nie były wcale okrągłe, jak sądziła na początku: były wydłużone i rozszerzające się z jednego końca. I było tego dużo, z pięćdziesiąt sztuk albo i więcej.

Zegar wybił trzecią.

W tym momencie zdarzyło się coś zupełnie niezwykłego. Każdy z „grzybów” nagle stanął na głowie. Owe małe „tobołki” leżące przy samych trzonkach na trawie okazały się głowami i tułowiami. A same trzonki - nogami. A najdziwniejsze było to, że z każdego tułowia wyrastała tylko jedna noga zakończona jedną olbrzymią stopą z szerokimi, zakrzywionymi nieco do góry palcami, tak że cała stopa przypominała trochę małe czółno. Łucja natychmiast zrozumiała, dlaczego te istoty podobne były przedtem do grzybów. Po prostu każda leżała sobie na plecach z nogą sterczącą w powietrzu; to właśnie owe olbrzymie stopy, widziane z góry, przypominały kapelusze grzybów. Później dowiedziała się, że był to ich zwykły sposób odpoczynku, bo stopy chroniły je przed słońcem i deszczem. Jednonóg leżący pod swoją własną stopą czuje się po prostu jak w namiocie.

- Och, co za śmieszne cudaki! - zawołała Łucja i wybuchnęła śmiechem. - Czy to ty je takimi zrobiłeś?

- Tak, tak, to ja zamieniłem Patałachów w Jednonogi - powiedział Czarodziej. On również zanosił się od śmiechu, aż łzy zaczęły mu ściekać po policzkach. - Ale popatrz tylko!

Było to warte oglądania. Małe, jednonogie ludki nie mogły, oczywiście, chodzić lub biegać tak jak my. Poruszały się skokami, jak pchły lub żaby. I cóż to były za skoki! Jakby każda wielka stopa naszpikowana była sprężynami! A opadały na ziemię z przeraźliwym hałasem - to właśnie były te dudniące dźwięki, które tak zadziwiły Łucję poprzedniego dnia. A teraz skakały we wszystkie strony, wykrzykując do siebie:

- Hej, chłopcy! Znowu jesteśmy widzialni!

- Tak, jesteśmy widzialni - powiedział jeden z nich w czerwonej czapce z ozdobnym chwostem, najwidoczniej szef Jednonogów. - A powiem wam, że kiedy faceci są widzialni, to mogą się nawzajem widzieć.

- Ach, o to chodzi, o to właśnie chodzi, szefie!

- rozległy się krzyki. - W tym rzecz. Nikt nie mógłby tego lepiej ująć. Nie mogłeś tego jaśniej wyłożyć.

- Ta mała przyłapała starego na drzemce - odezwał się znowu szef Jednonogów.
- Tym razem zrobiliśmy go na szaro.

- O, to właśnie chcieliśmy powiedzieć! - zabrzmiał zgodny chór głosów. -
Dzisiaj jesteś jeszcze lepszy niż kiedykolwiek, szefie. I tak trzymaj, tak trzymaj.

- I oni mają czelność tak się o tobie wyrażać?

- zdziwiła się Łucja. - Przecież jeszcze wczoraj strasznie się ciebie bali. Czy nie przyjdzie im do głowy, że możesz to słyszeć?

- To właśnie jest jedna ze śmiesznych cech Patałachów - powiedział Czarodziej.

- W jednej chwili mówią tak, jakby dobrze wiedzieli, że zarządzam wszystkim, wszystko słyszę i jestem bardzo groźny. Ale już w następnej chwili są przekonani, że dam się nabrać na jedną z tych sztuczek, którą przejrzaloby nawet dziecko. Trudno w to uwierzyć, ale tak jest.

- Ale czy trzeba koniecznie zmieniać ich z powrotem w to, czym byli przedtem?

- zapytała Łucja. - Och, naprawdę, jestem przekonana, że nie byłoby wcale czymś złym pozostawienie ich takimi, jakimi teraz są. Czy sądzisz, że naprawdę im na tym zależy? Wyglądają na bardzo szczęśliwych. Patrz, co za skok! Jak oni właściwie wyglądali?

- Jak zwykle małe karły - odpowiedział. - I w dodatku nie tak miłe, jak ten rodzaj, jaki żyje u was w Narnii.

- Naprawdę, szkoda byłoby przywracać im dawną postać - powiedziała Łucja. - Są tacy śmieszni... i całkiem mili. A może ja spróbuję im to powiedzieć?

- Jestem pewien, że może to coś dać, pod warunkiem, że uda ci się wbić im to do głowy.

- Pójdiesz ze mną, żeby spróbować?

- Nie, nie. Beze mnie będziesz miała więcej szans.

- Bardzo dziękuję za obiad - powiedziała Łucja i wybiegła z pokoju. Zleciała pędem po schodach, po których z takim napięciem wspinała się tego ranka, i wpadła na Edmunda stojącego na dole. Byli tu wszyscy i Łucja poczuła wyrzuty sumienia, kiedy zobaczyła ich zaniepokojone twarze i zdała sobie sprawę, jak długo o nich nie pamiętała.

- Wszystko w porządku! - zawołała. - Wszystko w porządku. Czarodziej jest naszym przyjacielem. I widziałam JEGO... Aslana!

I popędziła zaraz do ogrodu, zostawiając wszystkich z rozdziawionymi ustami. Tu ziemia aż się trzęsła od skoków, a powietrze drżało od okrzyków Jednonogów. I skoki, i okrzyki wzmożyły się, kiedy zobaczyli Łucję.

- Idzie! Idzie! - rozległy się wrzaski. - Trzy razy hurra na cześć tej małej. Ach, ale wystrychnęła starego jegomościa na dudka, nie ma co! Ale mu dała szkołę!

- I jest nam niewymownie przykro - dodał szef Jednonogów - że nie możemy ucieszyć twoich oczu naszym prawdziwym wyglądem, tym, jaki mieliśmy przed oszpecceniem, bo nie dałabyś wiary, co za różnica, i taka jest prawda, bo nikt nie zaprzeczy, że jesteśmy teraz śmiertelnie brzydcy, więc nie będziemy ciebie oszukiwać.

- Ech, tacy już jesteśmy, szefie, tacy już jesteśmy

- powtórzyli jak echo inni, opadając na ziemię z głośnymi pacnięciami, jak sześć tuzinów dużych gumowych piłek. - Dobrze to powiedziałeś, dobrze to powiedziałeś.

- Ale ja wcale nie uważam, że jesteście brzydcy

- powiedziała Łucja, podnosząc głos, żeby być słyszaną. - Uważam, że wyglądacie bardzo ładnie!

- Słuchajcie, co ona mówi, słuchajcie, co ona mówi - wrzasnęli Jednonogowie. - Dobrze mówisz, panienko. Bardzo ładnie wyglądamy. Nie znajdziesz ładniejszych od nas. - W ich głosie nie było żadnego zaskoczenia i nic nie wskazywało, by zauważyli, że nagle zmienili zdanie.

- Ona mówi - stwierdził szef Jednonogów - że wyglądaliśmy bardzo ładnie, zanim nas oszpecono.

- Prawdę mówisz, szefie, prawdę mówisz! - zaśpiewali chórem pozostali. - Tak właśnie powiedziała. Sami słyszeliśmy.

- NIE powiedziałam tego! - zawołała Łucja.

- Powiedziałam, że TERAZ jesteście bardzo ładni.

- Tak powiedziała, tak powiedziała - przytaknął szef. - Powiedziała, że byliśmy bardzo ładni.

- Słuchajcie szefa i tej małej, słuchajcie ich! - rozległ się chór. - To ci dopiero para. Zawsze mają rację. Nie mogli tego lepiej ująć.

- Ale przecież każde z nas mówi zupełnie co innego! - zawołała Łucja, tupiąc nogą ze złości.

- Tak jest, tak jest! - zawołali Jednonogowie.

- Nie ma nic lepszego, jak coś innego. I tak mówcie, tak mówcie oboje!

- Naprawdę, można z wami zwariować - powiedziała Łucja i dała za wygraną. Ale Jednonogowie sprawiali wrażenie całkowicie zadowolonych i w końcu uznała, że - ogólnie rzecz biorąc - odniosła sukces.

Tego dnia, zanim wszyscy położyli się spać, wydarzyło się coś, co sprawiło, że Jednonogowie jeszcze bardziej polubili swoje obecne kształty. Kaspian i pozostali Narnijczycy wrócili na wybrzeże, aby powiadomić o wszystkim Rinsa i całą załogę. A Jednonogowie towarzyszyli im, skacząc i opadając na ziemię jak piłki futbolowe, a jednocześnie nieustannie głośno zgadzając się ze sobą, aż Eustachy powiedział:

- Wolałbym, żeby Czarodziej uczynił ich niesłyszalnymi zamiast niewidzialnymi.

Później żałował, że to powiedział, bo musiał długo wyjaśniać Jednonogom, że istota niesłyszalna to ktoś, kogo się nie słyszy, i chociaż kosztowało go to wiele trudu, nie był do końca przekonany, czy naprawdę zrozumieli, co miał na myśli, a już szczególnie zmartwiło go, kiedy w końcu powiedzieli:

- Eh, on nie potrafi tak wszystkiego wyłożyć, jak szef. Ale nauczysz się, młodzieńcze! Słuchaj uważnie JEGO. On ci pokaże, jak mówić. To jest dla ciebie wzór mówcy!

Kiedy dotarli nad zatokę, Rycypiskowi wpadł do głowy genialny pomysł. Spuścił na wodę swój kajak ze skóry i dał mały pokaz wiosłowania, czym Jednonogowie strasznie się przejęli i zainteresowali. Potem podniósł się, stanął w swojej łódce i powiedział:

- Zacni i roztropni Jednonogowie! Wy nie potrzebujecie żadnych łodzi. Każdy z was ma stopę, która doskonale łódź zastąpi. Po prostu skoczcie tak leciutko, jak potraficie, na wodę i zobaczycie, co się stanie.

Szef Jednonogów zaczął się ociągać i ostrzegać innych, że woda może się okazać bardzo mokra, ale jeden czy dwóch młodzików spróbowało od razu, a za nimi skoczyło kilku następnych i w końcu wszyscy zrobili to samo. Wspaniale to im wychodziło. Olbrzymia stopa Jednonoga działała jak naturalna tratwa lub kajak, a kiedy Rycypisk pokazał im, jak wyciąć prymitywne wiosła, za chwilę wszyscy wiosłowali po całej zatoce wokół „Wędrowca do Świt”. Wyglądali jak flotylla małych indiańskich łódek z grubym karłem stojącym na rufie każdej z nich. Urządzili sobie wyścigi, ze statku spuszczone kilka butli wina dla zwycięzców, a wszyscy marynarze stali wychyleni za burty okrętu, rycząc ze śmiechu, aż ich brzuchy zaczęły boleć.

Patałachowie byli również zachwyceni swoją nową nazwą - Jednonogów - chociaż nigdy nie udawało im się jej dobrze wymówić. „Oto, czym jesteśmy

- wrzeszczeli - Nogajdami, Minogajami, Mnogodajami. To właśnie mieliśmy już na końcu języka. Tak właśnie chcieliśmy o sobie mówić”. Ale wkrótce pomieszali

obie nazwy - starą i nową - i ostatecznie wyszło z tego „Łachonogowie” i prawdopodobnie tak już będą się nazywać przez całe wieki.

Tego wieczora wszyscy Narnijczycy byli podejmowani kolacją przez Czarodzieja. Łucja stwierdziła, że górne piętro domu wygląda teraz zupełnie inaczej niż wówczas, gdy z duszą na ramieniu szła po raz pierwszy długim korytarzem. Znaki na drzwiach wyglądały wciąż tajemniczo, ale teraz sprawiały wrażenie, jakby znaczyły coś przyjemnego i pogodnego, a nawet Brodate Lustro było teraz bardziej śmieszne niż przerażające. Na kolację każdy dostał - oczywiście dzięki czarom

- to, co lubił najbardziej, a po kolacji Czarodziej zademonstrował im swoje umiejętności w bardzo miły i pożyteczny sposób. Położył na stole dwa arkusze białego pergaminu i poprosił Driniana, by opisał mu dokładnie przebieg ich podróży aż do dziś; i kiedy Drinian mówił, wszystko to, co opisywał, pojawiała się na pergaminie w postaci dokładnych konturów, aż w końcu wyszły z tego dwie wspaniałe mapy Wschodniego Oceanu z Galmą, Terebintem, Siedmioma Wyspami, Samotnymi Wyspami, Wyspą Smoczą, Wyspą Spaloną, Wyspą Śmiertelnej Wody i samą Wyspą Patałachów - wszystko we właściwych proporcjach i na właściwym miejscu. Były to pierwsze w historii mapy tych okolic i żadna z tych, jakie wykonano później bez pomocy magii, nie dorównywała im w dokładności. Choć bowiem miasta i góry wyglądały na pierwszy rzut oka tak jak na zwykłej mapie, to kiedy Czarodziej pożyczył im szkło powiększające, zobaczyli przez nie wszystko tak jak w rzeczywistości, a więc na przykład zamek, targowisko niewolników i wąskie uliczki Narrowhaven, wszystko bardzo wyraźne, chociaż bardzo dalekie, tak jak obraz widziany przez lunetę trzymaną na odwrót. Jediną słabością tych map było to, że linia brzegowa nie była kompletna: mapa pokazywała tylko to, co Drinian widział na własne oczy. Kiedy obie mapy były gotowe, Czarodziej zatrzymał jedną dla siebie, a drugą podarował Kaspianowi (i do dziś wisi ona w Komnacie Instrumentów na Ker-Paravelu). Ale nawet Czarodziej nie potrafił im powiedzieć nic o morzach leżących dalej na wschód. Powiedział tylko, że około siedmiu lat temu przybił do wyspy narnijski okręt, a na jego pokładzie byli baronowie Revilian, Argoz, Mavramorn i Rup. Doszli więc do wniosku, że złote ciało, które widzieli na dnie Śmiertelnej Wody, musiało należeć do barona Restimata.

Następnego dnia Czarodziej naprawił za pomocą magii rufę „Wędrowca do Świt” i napełnił statek pożytecznymi darami. Pożegnali się jak bliscy przyjaciele i w końcu, jakieś dwie godziny po południu, odpłynęli. A naokoło statku wiosłowali Łachonogowie, towarzysząc im aż do krańca zatoki i wiwatując głośno aż do czasu,

kiedy „Wędrowiec do Świtu” znalazł się już poza zasięgiem ich głosu.

ROZDZIAŁ 12

CIEMNA WYSPA

PO TEJ PRZYGODZIE żeglowali przez dwanaście dni na południe z niewielkim odchyleniem wschodnim. Wiatr był łagodny, niebo przeważnie czyste, a powietrze ciepłe. Nie widzieli żadnych ptaków ani ryb, tylko raz, daleko z prawej burty, pojawiło się stadko wielorybów tryskające wysokimi pióropuszcami wody. Łucja i Ryczypisk grali całymi dniami w szachy. Wreszcie trzynastego dnia Edmund, który był akurat na marsie, zobaczył z lewej burty coś, co wyglądało na wielką, ciemną górę wyrastającą wprost z morza.

Wzięli kurs na ten ląd, ale zaraz musieli chwycić za wiosła, ponieważ kierunek wiatru nie pozwalał im płynąć pod żaglami na północny wschód. Kiedy zapadł wieczór, znajdowali się wciąż daleko od lądu. Wiosłowali całą noc, a poranek przyniósł pogodę słoneczną, ale i całkowitą ciszę morską. Przed nimi majaczył ciemny masyw, teraz o wiele bliższy i większy, choć wciąż jeszcze zamglony. Niektórzy sądzili, że wyspa jest jeszcze bardzo daleko, podczas gdy inni utrzymywali, że wpływają w strefę mgły.

Okolo godziny dziewiętej tego rana ciemny kształt ukazał się nagle wyraźnie. Z tej odległości mogli już stwierdzić, że nie był to wcale ląd albo nawet mgła - przynajmniej w zwykłym znaczeniu tych słów. Była to Ciemność. Nie jest to łatwe do opisanego, ale zrozumiecie, co to było, kiedy sobie wyobrazicie, że patrzycie w wylot kolejowego tunelu: tunelu tak długiego albo tak krętego, że nie widać nawet najmniejszego śladu światła z jego drugiego końca. Wiecie też, co się dzieje po wejściu do takiego tunelu. Przez kilka metrów widać dobrze w dziennym świetle szyny, podkłady i żwir, potem jest strefa półcienia, a potem, bardzo szybko, ale oczywiście bez wyraźnej granicy, człowiek zanurza się w gęstej, nieprzeniknionej ciemności. Tak właśnie było tutaj. Kilka metrów przed dziobem wyraźnie widzieli falującą, zielonogranatową wodę. Dalej woda zmieniała kolor na bladoszary jak morze o zmierzchu. A jeszcze dalej zaczynała się całkowita czerń jak bezksiężycowa i bezgwiazdna noc.

Kaspian zawołał do bosmana, aby wydał komendę „wstecz”, i wszyscy prócz wiosłarzy rzucili się do burt na dziobie, wlepiając oczy w ciemność. Ale nic tam nie było do zobaczenia. Za nimi było morze i słońce, przed nimi - Ciemność.

- Wchodzimy w to? - zapytał w końcu Kaspian.

- Nie radzę tego czynić - powiedział Drinian.

- Kapitan ma rację - odezwało się kilku marynarzy.

- Jestem bliski tego samego zdania - powiedział Edmund.

Łucja i Eustachy milczeli, ale w sercu ucieszyli się z takiego obrotu sprawy. Nagle donośny głos Rycypiska przerwał przedłużającą się ciszę:

- A dlaczego nie? Czy ktoś może mi wyjaśnić, dlaczego mamy w to nie wpływać?

Nikt nie palił się do wyjaśnień, więc Rycypisk mówił dalej:

- Gdybym miał do czynienia z wieśniakami lub niewolnikami, mógłbym przypuszczać, że ta rada wynika ze zwykłego tchórzostwa. Ale mam nadzieję, że nigdy nie będę w Narnii opowiadać, jak to dzielna kompania szlachetnie urodzonych królów, książąt, rycerzy i żeglarzy w kwiecie wieku powróciła z wyprawy, bo po prostu przestraszyła się ciemności.

- A jaki właściwie miałby być pożytek z przebijania się przez tę ciemność? - zapytał Drinian.

- Pożytek? - powtórzył Rycypisk. - Pożytek, kapitanie? Jeśli rozumiesz przez to napełnianie sobie brzucha lub kiesy, muszę wyznać, że nie widzę w tym żadnego pożytku. Do tej pory byłem jednak przekonany, że nie wyruszyliśmy na wyprawę w poszukiwaniu jakichś pożytecznych rzeczy. Mieliśmy na względzie nasz honor i umiłowanie przygód. A tu mamy przed sobą największą przygodę, o jakiej kiedykolwiek słyszałem; tam zaś, jeśli zawrócimy, czeka nas zwątpienie w nasz honor.

Kilku marynarzy zamruczało coś, co brzmiało jak: „Do diabła z honorem”, ale Kaspian powiedział:

- A niech cię wiedźma porwie, Rycypisku, zaczynam prawie żałować, że wzięliśmy cię ze sobą. Dobrze! Jeśli już patrzysz na to w ten sposób, myślę, że nie pozostaje nam nic innego do zrobienia, jak płynąć dalej. Chyba że Łucja jest innego zdania.

Łucja czuła, że jest bardzo innego zdania, ale na głos powiedziała tylko:

- Ja się nie boję.

- Czy wasza wysokość rozkaże przynajmniej zapalić światła? - zwrócił się Drinian do Kaspiana.

- Oczywiście! Zajmij się tym, kapitanie.

Tak więc zapalono trzy latarnie: jedną na rufie, drugą na dziobie, trzecią na topie masztu, a Drinian nakazał jeszcze umieścić dwie pochodnie na środkowym pokładzie. Wszystkim ludziom z wyjątkiem wioślarzy dano rozkaz zajęcia zwykłych

stanowisk bojowych na pokładzie, w pełnym rynsztunku i z obnażonymi mieczami. Łucję umieszczono wraz z dwoma łucznikami na marsie, nakazano im być w pełnej gotowości, ze strzałami opartymi na cięciwach. Rynelf stanął na dziobie z liną do sondowania dna. Ryczypisk, Edmund, Eustachy i Kaspian stanęli obok niego w lśniących kolczugach. Drinian ujął ster.

- A teraz, w imię Aslana, naprzód! - zawołał Kaspian. - Tempo wolne, lecz stałe. I niech każdy zachowa spokój i ma uszy otwarte na komendy.

Skrzypiąc i trzeszcząc „Wędrowiec do Świtu” ruszył powoli naprzód na wiosłach. Z zawieszonego u szczytu masztu marsa Łucja mogła doskonale uchwycić moment, w którym okręt wpełził w strefę ciemności. Dziób zniknął już w czerni, a rufa jeszcze jaśniała w słońcu. W jednej chwili pozłacana rufa, granatowe morze, niebo były w pełnym świetle - w następnej morze i niebo znikły, a latarnia rufowa (przedtem ledwo widoczna) była jedynym punktem wskazującym na miejsce, w którym okręt się kończył.

Przed latarnią majaczyła sylwetka Driniana wspartego na rumplu. W dole światła pochodni tworzyły na pokładzie dwie jasne plamy i pobłyskiwały na mieczach i hełmach; na przedzie widać było jeszcze jedną wyspę światła na pokładzie dziobowym. Łucji wydawało się, że gniazdo marsa, oświetlone lampą masztową wiszącą tuż nad nią, jest odrębnym małym światem unoszącym się w nieprzeniknionej ciemności. A same światła, jak to zwykle bywa ze światłami, kiedy trzeba je zapalić w dzień, wyglądały ponuro i nienaturalnie. Stwierdziła też, że zrobiło się bardzo zimno.

Jak długo trwała ta podróż przez Ciemność, trudno powiedzieć. Gdyby nie miarowe skrzypienie wiosł w dulkach i plusk, z jakim pióra wiosł zanurzały się w wodzie, nic nie wskazywałoby na to, że okręt się porusza. Edmund, wpatrujący się w ciemność z dziobu, nie widział nic prócz odbicia światła latarni w wodzie tuż przed statkiem. Było to jakieś nieprzyjemne, oleiste odbicie, a fala, jaką tworzył rozcinający wodę dziób, wydawała się ociężała, niska i martwa. Wkrótce wszyscy, prócz wioślarzy, zaczęli drżeć z zimna.

Nagle z którejś strony - a nikt teraz nie miał dobrego wyczucia kierunku - rozległ się krzyk. Był to krzyk straszny, musiał go wydać albo nie człowiek, albo ktoś tak śmiertelnie przerażony, że prawie utracił swe człowieczeństwo.

Kaspian wciąż jeszcze nie mógł przemówić - w ustach miał za sucho - gdy dał się słyszeć ostry głos Ryczypiska, rozlegający się w tej ciszy jeszcze donośniej niż

zwykle:

- Kto tam woła? Jeśli jesteś wrogiem, nie boimy się ciebie, a jeśli jesteś przyjacielem, twoi wrogowie wkrótce nauczą się nas bać.

- Litości! - zawył głos. - Litości! Nawet jeśli jesteście tylko jeszcze jednym snem, miejcie litość. Weźcie mnie na pokład. Zabierzcie mnie, choćbyście nawet mieli mnie zabić. W imię wszelkiego miłosierdzia, nie znikajcie i nie zostawiajcie mnie w tym strasznym kraju.

- Gdzie jesteście? - zawołał Kaspian. - Wejdź na pokład i witaj!

Rozległ się jeszcze jeden krzyk, nie wiadomo - radości czy grozy, i usłyszeli, że ktoś ku nim płynie.

- Przygotować się do przyjęcia człowieka zza burty! - zawołał Kaspian.

- Tak jest, wasza wysokość! - odpowiedzieli marynarze.

Kilku marynarzy z linami zgromadziło się przy lewym nadburciu, a jeden, wychylony za burtę, trzymał pochodnię. Z ciemności wyłoniła się dzika, biała twarz. Po kilku chwilach tuzin przyjaznych rąk wciągnął przybysza na pokład.

Edmund pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział równie dziko wyglądającego człowieka. Chociaż nie wydawał się zbyt stary, włosy miał siwe, splątane, twarz wychudłą i wykrzywioną, a za odzież służyły mu mokre łachmany. Ale tym, co przede wszystkim przyciągało wzrok, były jego oczy, otwarte tak szeroko, jakby w ogóle nie miały powiek, i wytrzeszczone jakby zastygłe w śmiertelnym przerażeniu. Gdy tylko postawił stopy na pokładzie, zawołał:

- Uciekajcie! Uciekajcie! Obróćcie wasz okręt i uciekajcie! Do wiosł, do wiosł, jeśli chcecie uratować życie! Byle dalej od tego przeklętego wybrzeża!

- Weź się w garść - powiedział Rycypisk - i powiedz nam, o jakim niebezpieczeństwie mówisz. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do uciekania.

Przybysz wzdrygnął się na dźwięk głosu myszy, której przedtem nie zauważył, po czym wykrztusił:

- Ale stąd uciekajcie. To wyspa, na której sny stają się prawdą.

- A więc to wyspa, o której marzyłem od dawna! - zawołał jeden z marynarzy. - Jeśli to prawda, to mam nadzieję być żonaty z Anulką, kiedy tam wylądujemy.

- A ja znowu spotkam żywego Toma - powiedział drugi.

- Głupcy! - zawołał przybysz, tupiąc ze złości nogą w pokład. - Właśnie takie brednie przywiodły mnie tutaj i byłoby lepiej, gdybym zatonął lub gdybym się nigdy nie narodził. Czy nie rozumiecie, co wam mówię? To jest miejsce, gdzie sny... sny, czy

rozumiecie?... ożywają, stają się rzeczywistością. Nie marzenia... ale sny!

Przez jakieś pół minuty trwało milczenie, a potem ze szczękiem ryszunka cała załoga rzuciła się do głównego luku, zbiegła pod pokład tak szybko, jak potrafiła, i natychmiast złapała za wiosła. Żadna załoga nigdy jeszcze nie wiosłowała tak równo. Drinian wparł się w rumpel, odwracając dziób statku, a żadne morze nie słyszało jeszcze, by bosman tak szybko podawał tempo wiosłarzom. Wystarczyło bowiem każdemu tylko pół minuty, aby przypomnieć sobie pewne sny - sny, po których człowiek boi się usnąć ponownie - i pojąć, co to znaczy wylądować w kraju, gdzie takie sny stają się rzeczywistością. Tylko Rycypisk nie ruszył się z miejsca.

- Wasza królewska mość! - zawołał. - Czy zamierzasz tolerować ten bunt, to tchórzostwo? To przecież panika, to sromotna klęska!

- Wiosłować! Wiosłować! - ryczał Kaspian. - Napierać zdrowo, jeśli wam życie miłe! Czy dziób już dobrze ustawiony, Drinianie? Możesz sobie mówić, co chcesz, Rycypisku, ale są pewne rzeczy, którym żaden człowiek nie stawia czoła.

- A więc mam to szczęście, że nie jestem człowiekiem - odpowiedział Rycypisk, kłaniając się sztywno.

Łucja słyszała to wszystko z góry. W jednej chwili ten sen, o którym zawsze najbardziej chciała zapomnieć, powrócił do niej tak żywo, jakby się z niego przed chwilą obudziła. A więc właśnie TO było poza nimi, na tej wyspie! Przez moment miała wielką ochotę zejść szybko po drabince na pokład, aby być blisko Edmunda i Kaspiana. Co by to jednak dało? Gdyby sny stały się rzeczywistością, Edmund i Kaspian mogliby zamienić się w coś okropnego, zaledwie by przed nimi stanęła. Ścisnęła mocno poręcz i starała się opanować. Okręt mknął chyżo na wiosłach ku światłu: powinno się już, już pojawić! Gdyby tylko wszystko działo się tak, jak powinno!

Chociaż szybkie wiosłowanie robiło dość dużo hałasu, nie zagłuszał on całkowicie przeraźliwej ciszy otaczającej okręt. Każdy wiedział, że lepiej nie nasłuchiwać, nie starać się łowić choćby najlżejszego dźwięku dochodzącego z ciemności. Nikt jednak nie mógł się temu oprzeć. I wkrótce każdy zaczął słyszeć. I każdy usłyszał coś innego.

- Czy słyszysz coś takiego, jak... jakby olbrzymie nożyce otwierały się i zamykały za nami? - zapytał Eustachy Rynelfa.

- Ciiiicho! - powiedział Rynelf.- Słyszę ICH! Słyszę, jak wdrapują się na burty.

- O, właśnie sadowią się na maszcie - odezwał się Kaspian.

- Uch! - zawołał nagle jeden z marynarzy. - Już huczą te gongi! Wiedziałem, że tak będzie!

Kaspian, starając się nie rozglądać naokoło (a zwłaszcza nie patrzeć za siebie), poszedł na pokład rufowy do Driniana.

- Kapitanie - powiedział, ściszywszy głos - jak długo wiosłowaliśmy w tej ciemności? To znaczy, do wyłowienia tego nieszczęśnika?

- Jakies pięć minut - szepnął Drinian. - Dlaczego wasza królewska mość o to pyta?

- Bo płyniemy już o wiele dłużej, starając się z niej wydostać.

Ręka Driniana drgnęła na rumplu, a na czole pojawiły się kropelki potu. Rozmawiali szeptem, ale ta sama myśl przyszła już do głowy wszystkim.

- Nigdy się z tego nie wydostaniemy - lamentowali wioślarze. - On źle steruje. Kręcimy się w kółko. Nigdy z tego nie wyjdziemy.

Rozbitek, który leżał na pokładzie zwinięty w kłębek, usiadł i wybuchnął strasznym, skowyczącym śmiechem.

- Nigdy z tego nie wyjdziemy - wył. - To jest właśnie to! Oczywiście! Nigdy się z tego nie wydostaniemy! Jaki byłem głupi, kiedy myślałem, że mnie wyratują. Nie, nie, nigdy z tego nie wyjdziemy!

Lucja oparła czoło o balustradę otaczającą pokład marsa i wyszeptowała:

- Aslanie, Aslanie, jeżeli nas w ogóle kiedykolwiek kochałeś, ześlij nam teraz pomoc!

Ciemności nie rozjaśniły się, ale poczuła się trochę - troszeczkę - lepiej. „Ostatecznie nic się nam jeszcze nie stało” - pomyślała.

- Spójrzcie! - rozległ się od dziobu ochryply głos Rynelfa.

Przed nimi pojawił się niewielki jasny punkt i kiedy się weń wpatrywali, wystrzelił z niego szeroki snop światła. Nie rozproszył otaczającej ich ciemności, lecz zalał światłem cały okręt, jakby tuż w pobliżu zapłonęła nagle latarnia morska. Kaspian zmrużył oczy, rozejrzał się dookoła i zobaczył twarze swoich towarzyszy - wszystkie jakby zastygłe w dzikim grymasie. Każdy spoglądał w tym samym kierunku, za każdym leżał jego czarny, ostro odcinający się od tła cień.

Lucja wpatrzyła się w płynące ku nim światło i nagle wydało się jej, że widzi w nim jakiś ciemny, ruchomy kształt. Z początku wyglądało to jak krzyż, potem jak samolot, potem pomyślała, że to latawiec, aż wreszcie z łopotem skrzydeł ciemny kształt zbliżył się, a gdy był tuż nad jej głową, poznała, że to albatros. Zatoczył

trzykrotnie koło nad masztem, a potem usiadł na grzbiecie połączanego smoka na rufie i zakrzyczał mocnym, pięknym głosem coś, co przypominało kilka słów, ale nikt ich nie zrozumiał. Wreszcie rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze, lecąc teraz powoli przed nimi, nieco z prawej burty. Drinian przesunął rumpel, kierując statek za białym ptakiem, nie wątpiąc ani przez chwilę, że to ich dobry przewodnik. Z wyjątkiem Łucji nikt jednak nie wiedział, że okrążając maszt, albatros szepnął do niej: „Odwagi, kochane serduszko!” A głos - była tego pewna - był głosem Aslana, a wraz z głosem cudowny zapach owionął jej twarz.

Po kilku minutach Ciemność przed nimi zamieniła się w szarość, a potem, zanim jeszcze ośmielili się uwierzyć w ratunek, okręt wystrzelił w pełny blask słońca. Byli znowu w ciepłym, błękitnym świetle. Są takie chwile, kiedy leży się po prostu w łóżku i widzi światło wczesnego poranka wlewające się przez okno, i słyszy wesół głos listonosza lub mleczarza dobiegający z ulicy, i człowiek już wie, że TO BYŁ TYLKO SEN, ŻE TO NIE BYŁO PRAWDZIWE. I wtedy wszystko jest tak niebiańsko cudowne, że człowiek gotów jest prawie polubić te nocne zjawy tylko dlatego, że po nich następuje owa radość przebudzenia. Tak też czuli się wszyscy na pokładzie „Wędrowca do Świt”, kiedy okręt wynurzył się z Ciemności. Jasność okrętu zdumiała ich: wydawało im się, że Ciemność powinna przyłgnąć do bieli, zieleni i złota jak jakiś plugawy brud lub piana.

Nie tracąc ani chwili, Łucja zeszła na pokład, gdzie wszyscy zgromadzili się wokół przybysza. Przez dłuższy czas był zbyt szczęśliwy, by przemówić, i tylko wpatrywał się w morze i słońce, i dotykał balustrad i lin, jakby się chciał upewnić, że nie śni, a wielkie łzy spływały mu po policzkach.

- Dziękuję - powiedział wreszcie. - Uratowaliście mnie z... ale nie chcę o tym mówić. A teraz powiedzcie mi, kim jesteście. Jestem Telmarem z Narnii, a kiedy byłem jeszcze coś wart, nazywano mnie baronem Rupem.

- A ja - powiedział Kaspian - jestem Kaspian, król Narnii. Żegluję, by odnaleźć ciebie i twoich towarzyszy, przyjaciół mojego ojca.

Baron Rup upadł na kolana i ucałował rękę swego króla.

- Panie mój - powiedział - nikogo na całym świecie tak bardzo nie pragnęłam zobaczyć jak ciebie. Wyświadczy mi łaskę.

- O jaką łaskę ci chodzi? - zapytał Kaspian.

- Nigdy nie pytaj mnie i nie pozwól nikomu pytać o to, co widziałem podczas lat spędzonych na Ciemnej Wyspie.

- Nie jest to prośba trudna do spełnienia, baronie - odpowiedział Kaspian, a po chwili dodał, wzdrygając się - PYTAĆ cię! Nawet by mi to do głowy nie przyszło! Oddałbym cały mój skarbiec, aby tego nie posłyszeć.

- Panie - rzekł Drinian - mamy dobry wiatr ku południowemu wschodowi. Czy mam poderwać naszą biedną załogę i postawić żagiel? A potem - każdy, kto nie ma wachty - do hamaku!

- Tak jest - powiedział Kaspian. - I niech podadzą wszystkim grogu. Hej-ho! Czuję, że mógłbym spać całą dobę.

I tak przez całą resztę dnia żeglowali na południowy wschód przy dobrym wietrze, a ponury garb Ciemności za rufą stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż znikł zupełnie. Nikt jednak nie zauważył, kiedy zniknął albatros*.

**Zakończenie tego rozdziału uwzględnia zmiany poczynione przez C.S. Lewisa w wydaniu amerykańskim - przyp. tłum.

ROZDZIAŁ 13

TRZEJ ŚPIĄCY

Choć wiatr nie ucichł zupełnie, z każdym dniem stawał się coraz bardziej łagodny, aż w końcu głębokie bruzdy fal ustąpiły lekkiemu pofałdowaniu powierzchni morza, po której okręt sunął powoli, godzina za godziną, jakby żeglowali po jeziorze. Każdej nocy widzieli coraz to nowe konstelacje gwiazd wyłaniające się spoza wschodniej części widnokregu, konstelacje, jakich nigdy nie widzieli w Narnii i których - jak pomyślała sobie Łucja z mieszaniną radości i lęku - chyba nikt jeszcze nie oglądał. Te nowe gwiazdy były wielkie i jasne, a noce bardzo ciepłe. Większość nocowała na pokładzie, prowadząc długie rozmowy lub wpatrując się znad balustrady wieńczącej obie burty w świetlisty taniec morskiej piany wytryskującej spod dziobu. Nadszedł wreszcie wieczór pełen wstrząsającego piękna, kiedy blask zachodzącego za rufą słońca był tak szkarłatny, tak purpurowy i tak rozległy, jakby samo niebo stało się jeszcze większe niż zawsze. Zobaczyli jakiś łódź z prawej burty, zbliżający się powoli w koronie światła płonącego za jego przylądkami i cyplami, tak że wydawało się, jakby cały stał w ogniu. Wkrótce płynęli już wzdłuż brzegu, a jego zachodni przylądek wznosił się za rufą, czarny i ostry na tle czerwonego nieba, jak wycięty z kartonu. Teraz mogli się już lepiej przyjrzeć nieznanemu lądowi. Nie było tu wysokich gór, lecz tylko wiele łagodnych, wełnistych wzgórz. Dochodził stamtąd miły zapach, który Łucja określiła jako „matowy i purpurowy”, co według Edmunda było nonsensem (podobnie myślał Rins, choć tego nie powiedział). Ale Kaspian rzekł tylko: „Wiem, o co jej chodzi”.

Płynęli jeszcze dość długo, mijając cypel za cyplem i wciąż mając nadzieję, że znajdą jakąś zaciszną, głęboką przystań, ale w końcu musieli się zadowolić szeroką i płytką zatoką. Chociaż na pełnym morzu było spokojnie, tutaj wielka fala przybojowa załamywała się z hukiem na piasku i nie udało im się podprowadzić statku tak blisko brzegu, jak tego chcieli. Rzucili kotwicę dość daleko od plaży i przeprawiali się łodzią, co okazało się wcale nie takie proste: nie obeszło się bez przemoczenia i siniaków. Na pokładzie „Wędrowca do Świt” pozostał tylko baron Rup, który nie miał już ochoty na zwiedzanie jakichkolwiek wysp. Przez cały czas pobytu na tej wyspie mieli w uszach huk załamujących się przy brzegu fal przyboju.

Postawiono dwu ludzi na straży przy łodzi i Kaspian poprowadził resztę w głąb lądu, nie zamierzając zresztą iść daleko, bo było już zbyt późno i wkrótce mogło się zrobić ciemno. Nie musieli jednak iść daleko, by spotkać przygodę. W otwierającej się

na zatokę płaskiej dolinie nie było widać śladu drogi, ścieżki lub innych oznak bytności ludzi. Szli po miękkim, uginającym się, lekko torfiastym gruncie porośniętym trawą i jakimiś niskimi krzaczkami, które Edmund i Łucja wzięli za wrzos. Eustachy, który w botanice był naprawdę dobry, sprzeciwił się tej opinii. Prawdopodobnie miał rację; było to jednak coś bardzo zbliżonego do wrzosu.

Kiedy odeszli już od łodzi na odległość strzału z łuku, Drinian zawołał nagle:

- Popatrzcie! Co to takiego? - I wszyscy się zatrzymali.

- Może to jakieś wielkie drzewa? - zauważył Kaspian.

- Myślę, że to jakieś wieże - rzekł Eustachy.

- To mogą być olbrzymy - dodał Edmund ściszym głosem.

- Jedyne sposoby, żeby się o tym przekonać, to podejść bliżej - powiedział Rycypisk, wyciągając rapier i wybiegając do przodu.

- To chyba jakieś ruiny - odezwała się Łucja, kiedy już podeszli nieco bliżej.

Jej przypuszczenie wydało się wszystkim najbliższe prawdy. Zobaczyli szeroką, podłużną przestrzeń wyłożoną kamiennymi płytami i otoczoną szarymi kolumnami, lecz bez dachu. Od jednego do drugiego końca ciągnął się pośrodku długi stół przykryty szkarłatną tkaniną, opadającą prawie do ziemi. Po obu stronach stołu stało wiele kamiennych krzeseł, bogato rzeźbionych i wyłożonych jedwabnymi poduszkami. A sam stół zastawiony był takimi wspaniałościami, jakich nikt nigdy nie oglądał, nawet na dworze Wielkiego Króla Piotra w Ker-Paravelu. Były tam indyki, gęsi i pawie, były całe głowy dzika i połcie sarniny, były pasztety w kształcie okrętów pod żaglami, smoków i słoni, były zimne galaretki, jasnoczerwone homary i połyskliwe łososie, były orzechy i winogrona, ananasy i brzoskwinie, granaty, melony i pomidory. Były tam też złote i srebrne dzbany i misternej roboty szkła, a woń owoców i wina uderzyła w ich nosy jak obietnica wszelkiej szczęśliwości.

- A to ci dopiero! - zawołała Łucja. Podchodzili bardzo ostrożnie coraz bliżej i bliżej.

- Ale gdzie są goście? - zapytał Eustachy.

- Możemy temu łatwo zaradzić, panie - powiedział Rins.

- Spójrzcie! - rzekł Edmund ostrym głosem.

Byli już teraz między kolumnami, na brzegu kamiennej posadzki. Wszyscy spojrzeli w kierunku, który wskazywał Edmund. Nie wszystkie krzesła okazały się puste. U szczytu stołu oraz na dwu sąsiednich miejscach coś siedziało - albo też ktoś siedział.

- A cóż to takiego? - zapytała Łucja szeptem.
- To wygląda jak trzy bobry siedzące na stole.
- Albo jak wielkie gniazdo ptaka - powiedział Edmund.
- Dla mnie to raczej coś takiego jak stóg siana
- powiedział Kaspian.

Rycypisk wyrwał się do przodu, wskoczył na jedno z krzeseł, a następnie na stół i pobiegł po nim, balansując zwinnie jak tancerz między drogocennymi kielichami, piramidami owoców i solniczkami z kości słoniowej. Dotarł w ten sposób aż do tajemniczej szarej masy na końcu stołu, obejrzał ją, dotknął i oznajmił:

- Myślę, że oni nie będą walczyć.

Teraz wszyscy podeszli bliżej i zobaczyli, że to, co siedziało na trzech krzesłach, było w istocie trzema mężczyznami, choć trudno było się tego domyślić, jeśli się ich nie obejrzało z bliska. Ich twarze były prawie zupełnie przykryte siwymi włosami wyrastającymi nad czołami, ich brody spływały na stół, przykrywając i oplatając talerze i czary, jak jeżyny oplatają płot, a potem, łącząc się w jedną wielką płataninę włosów, załamywały się na krawędzi stołu i spływały w dół,

aż na posadzkę. A włosy wyrastające z tyłu głów zwieszały się poprzez oparcia krzeseł, przykrywając je całkowicie. Można powiedzieć, że trzej nieznajomi składali się prawie wyłącznie z włosów.

- Umarli? - zapytał Kaspian.

- Chyba żyją, panie - odpowiedział Rycypisk, wydobywając czyjąś rękę z płataniny włosów. - Ta ręka jest ciepła i czuję puls.

- Więc oni tylko śpią? - zapytał Drinian.

- Musi to być jednak bardzo długi sen - zauważył Edmund - skoro wyrosły im takie włosy.

- Muszą być z czarowani - powiedziała Łucja. - Jak tylko wylądowaliśmy na tej wyspie, wydała mi się pełna czarów. Czy nie uważacie, że musieliśmy się tu znaleźć właśnie po to, aby ich obudzić?

- Trzeba spróbować - rzekł Kaspian i zaczął potrząsać najbliższym z trzech śpiących. Przez chwilę zdawało się, że to skutkuje, ponieważ śpiący odetchnął głęboko i wymamrotał: „Nie płynę dalej na wschód. Na wiosłach do Narnii”. Ale wypowiedziawszy te słowa, zapadł od razu w jeszcze głębszy sen niż przedtem: jego ciężka głowa opadła kilka centymetrów niżej i wszystkie próby podniesienia jej po raz drugi spełzły na niczym. Z drugim było to samo. „Nie narodziliśmy się po to, by żyć

jak zwierzęta. Płynmy na wschód, dopóki możemy... lądy poza słońcem..." - i ponownie zapadł w sen. Trzeci zamruczał tylko: „proszę o musztardę” i zasnął twardo.

- Na wiosłach do Narnii, co? - powiedział Drinian.

- Tak - rzekł Kaspian. - Masz rację, Drinianie. Sądzę, że osiągnęliśmy cel naszej podróży. Spójrzmy na ich pierścienie. Tak, to ich godła. To jest baron Revilian. To baron Argoz. A to baron Mavramorn.

- Ale nie możemy ich obudzić - powiedziała Łucja. - Co zrobimy?

- Upraszając łaski waszych wysokości - odezwał się Rins - pragnę tylko zapytać, dlaczego nie mielibyśmy usiąść, kiedy wasze królewskie mości będą nad tym dyskutować? Nie co dzień widzi się taki obiad.

- Nie czyń tego, jeśli ci życie miłe! - zawołał Kaspian.

- Racja, racja - odezwało się kilku marynarzy. - Za dużo tu czarów. Im szybciej wrócimy na pokład, tym lepiej.

- Trzeba się liczyć z tym - rzekł Rycypisk

- że właśnie po spożyciu tego jedzenia trzech baronowie zapadli w siedmioletni sen.

- Nie tknąłbym go, choćbym miał zdechnąć z głodu - rzekł Drinian.

- Robi się ciemno - zauważył Rynelf.

- Wracajmy na pokład, wracajmy na pokład - rozległy się głosy marynarzy.

- Myślę, że oni mają rację - powiedział Edmund.

- Możemy przecież jutro zastanowić się, co zrobimy z tymi trzema śpiącymi baronami. Nie mamy odwagi spróbować tego jedzenia, nie ma też sensu zostawać tu na noc. Pełno tu wszędzie czarów... i niebezpieczeństw.

- Zgadzam się całkowicie z królem Edmundem

- rzekł Rycypisk - jeśli to ma dotyczyć was wszystkich. Bo jeśli chodzi o mnie, to będę siedział przy tym stole aż do świtu.

- Ale dlaczego, na miłość boską? - zapytał Eustachy.

- A dlatego - odpowiedziała mysz - że to wielka przygoda. Żadne niebezpieczeństwo nie wydaje mi się tak groźne, żebym wracał do Narnii ze świadomością, że ze strachu pozostawiłem za sobą nie rozwiązana zagadkę.

- Zostaję z tobą, Rycypisku - powiedział Edmund.

- I ja też - powiedział Kaspian.

- I ja - powiedziała Łucja. A po niej zgłosił się na ochotnika i Eustachy. Myślę, że zachował się w tym momencie bardzo dzielnie, bo przecież nigdy ani nie czytał o

takich rzeczach, ani o nich nie słyszał, zanim znalazł się na pokładzie „Wędrowca do Świt”. Było mu więc trudniej podjąć tę decyzję niż innym.

- Zaklinam waszą królewską mość... - zaczął Drinian.

- Nie, kapitanie - przerwał mu Kaspian. - Twoje miejsce jest na okręcie, no i pracowałeś cały dzień, kiedy my próżnowaliśmy.

Kapitan długo jeszcze go przekonywał, ale w końcu Kaspian postawił na swoim. Kiedy załoga pomaszerowała w kierunku wybrzeża i znikła w gęstniejącym mroku, każdy z pozostałych - być może prócz jednego Ryczypiska - poczuł jakiś dziwny chłód w brzuchu.

Wybór miejsc przy stole zajął im sporo czasu. Prawdopodobnie każdy myślał o tym samym, lecz nikt tego głośno nie powiedział. Był to bowiem raczej niezbyt przyjemny wybór. Trudno było siedzieć przez całą noc tuż przy tych trzech strasznych postaciach, których - nawet jeśli nie były martwe - z całą pewnością nie można było uznać za żywe w zwykłym znaczeniu tego słowa. Z drugiej strony, siedzieć na drugim końcu stołu i widzieć te postacie coraz słabiej i słabiej w miarę zapadania ciemności, a być może przestać je widzieć zupełnie około drugiej w nocy - nie, strach o tym nawet pomyśleć. Tak więc przechadzali się raz po raz naokoło stołu, mówiąc: „Co myślicie o tych miejscach?” i „A może trochę dalej?” albo „Dlaczego by nie po tamtej stronie?”, aż w końcu usiedli gdzieś pośrodku, choć nieco bliżej śpiących niż drugiego końca stołu. Było już koło dziesiątej i zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Na wschodzie zapłonęły nowe, nie znane im konstelacje. Łucja czułaby się lepiej, gdyby widziała na niebie swoich starych przyjaciół z narnijskiego nieba - Leoparda i Okręt.

Otulili się żeglarskimi kurtami i czekali, siedząc w milczeniu. Z początku były jakieś próby rozmowy, ale szybko się skończyły. Siedzieli i siedzieli. A przez cały czas słyszeli łoskot fal uderzających o brzeg.

Mijała godzina za godziną, dłużąc się w nieskończoność. Wreszcie nadszedł moment, w którym wszyscy zdali sobie sprawę, że przez chwilę drzemali, a teraz nagle się rozbudzili. Gwiazdy zajmowały zupełnie inne pozycje. Niebo było czarne, z wyjątkiem nikłej szarości nad wschodnią częścią widnokregu. Było im zimno, chcieli im się pić i cali zeszywnieli. I nikt nic nie mówił, ponieważ teraz zaczęło się wreszcie coś dziać.

Przed nimi, poza kolumnami, rozciągało się zbocze niskiego wzgórza. I oto w zboczu otworzyły się drzwi, pojawiło się światło, ktoś wyszedł i drzwi zamknęły się za nim. Postać niosła światło i teraz to światło było wszystkim, co widzieli. Światło było

coraz bliżej i bliżej, aż w końcu zatrzymało się przed nimi, po drugiej stronie stołu. Teraz zobaczyli, że była to wysoka dziewczyna, ubrana w długą, niebieską suknię obnażającą ramiona. Dziewczyna była boso, a jej jasne włosy opadały swobodnie na plecy. A kiedy na nią patrzyli, pomyśleli sobie, że do tej pory w ogóle nie mieli pojęcia o tym, co to jest piękność.

Światło padało z długiej świecy osadzonej w srebrnym lichterzu, który dziewczyna postawiła na stole. Jeśli wcześniej w nocy wiatr wiał od morza, to musiał ucichnąć, bo płomień był tak wysoki i nieruchomy, jakby świeca stała w pokoju o zamkniętych oknach z zasuniętymi zasłonami. Złota i srebrna zastawa zaśniła w jego blasku.

Łucja dostrzegła teraz na stole coś, co przedtem umknęło jej uwagi. Był to kamienny nóż, ostry jak ze stali, o groźnym i starodawnym wyglądzie.

Nikt nie wyrzekł jeszcze ani jednego słowa. Potem - Rycypisk pierwszy, Kaspian drugi - wszyscy wstali, czując, że mają przed sobą jakąś wielką panią.

- Wędrowcy, którzyście przybyli z daleka do Stołu Aslana - powiedziała dziewczyna - dlaczego nie pijecie i nie jecie?

- Pani - rzekł Kaspian - lękaliśmy się tego jedzenia, ponieważ sądziliśmy, że to przez nie nasi przyjaciele zapadli w zaczarowany sen.

- Nawet go nie skosztowali.

- Powiedz nam - rzekła Łucja - co się z nimi stało?

- Siedem lat temu przybyli tu na okręcie, którego żagle zwiślały w strzępach, a drewniane wręgi ledwo się razem trzymały. Byli tam z nimi jeszcze inni, marynarze. Kiedy ci trzej zobaczyli ten stół, jeden z nich powiedział: „Oto jest dobre miejsce. Zwińmy żagle i porzućmy wreszcie wiosła, usiądźmy tutaj i doczekajmy końca naszych dni w spokoju”. A drugi powiedział: „Nie, uzupełnijmy tylko zapasy i płynmy na zachód, do Narnii, może ten Miraż już nie żyje”.

Ale trzeci, wyglądający na przywykłego do wydawania rozkazów, poderwał się i powiedział: „Nie, na nieba, nie! Jesteśmy mężczyznami i Telmarami, a nie zwierzętami. Cóż możemy robić innego, niż poszukiwać przygody za przygodą? Nie mamy już wiele życia przed sobą. Przeżyjmy to, co nam zostało, na poszukiwaniu bezludnego świata poza słońcem”. I kiedy tak spierali się między sobą, ten trzeci chwycił Kamienny Nóż, który leży tu, na tym stole, i był gotów walczyć ze swymi towarzyszami. Ale nie powinien dotykać tej rzeczy. Kiedy zacisnął palce na rękojeści, głęboki sen ogarnął wszystkich trzech. I nie obudzą się, dopóki nie minie czar

zaklęcia.

- Czym jest ten Kamienny Nóż? - zapytał Eustachy.

- Czyżby żadne z was go nie znało? - zdziwiła się dziewczyna.

- Ja... ja... wydaje mi się - odezwała się Łucja

- że widziałam już coś takiego. Podobny nóż miała w ręku Biała Czarownica, kiedy zabiła Aslana na Kamiennym Stole. To było dawno, dawno temu.

- To ten sam nóż - powiedziała dziewczyna.

- Przyniesiono go tu, by spoczywał w czci aż do końca świata.

Teraz odezwał się Edmund, który z każdą chwilą sprawiał wrażenie coraz bardziej niezadowolonego.

- Chciałbym coś powiedzieć. Mam nadzieję, że nie jestem tchórzem... to znaczy nie boję się tego jedzenia... i zapewniam też, że nie chcę okazać braku uprzejmości. W ciągu naszej długiej podróży mieliśmy jednak wiele dziwnych przygód, a wynika z nich, że rzeczy nie zawsze są tym, na co wyglądają. Kiedy patrzę na twoją twarz, trudno mi nie wierzyć w to, co mówisz, ale z drugiej strony byłoby tak samo, gdybyś była czarownicą. Skąd możemy wiedzieć, że naprawdę jesteś naszym przyjacielem?

- Nie możecie tego wiedzieć - odpowiedziała dziewczyna. - Możecie tylko wierzyć - lub nie wierzyć.

Zapadło milczenie, po czym rozległ się cienki głosik Rycypiska: - Panie mój - rzekł do Kaspiana - bądź tak uprzejmy i nalej mi do czary wina z tego dzbana. Jest za duży i nie mógłbym go sam podnieść. Chcę wypić toast na cześć tej oto pani.

Kaspian uczynił to i Rycypisk, stojąc na stole, pochwycił złotą czarę swoimi łapkami i powiedział:

- Pani, piję twoje zdrowie. - Wychyliwszy czarę, sięgnął łapczywie po bażanta na zimno i po chwili reszta poszła za jego przykładem. Wszyscy byli bardzo głodni i chociaż nie były to potrawy, które najchętniej jada się na śniadanie, jako późna kolacja smakowały znakomicie.

- Dlaczego to się nazywa Stołem Aslana? - zapytała wreszcie Łucja.

- Ustawiono go tutaj z jego rozkazu - odpowiedziała dziewczyna - dla tych, którzy zdołają dojść aż tak daleko. Niektórzy nazywają tę wyspę Końcem Świata, bo chociaż można żeglować jeszcze dalej, tutaj jest początek końca.

- Ale w jaki sposób to jedzenie jest zawsze świeże? - zapytał praktyczny Eustachy.

- Jest ono codziennie zjadane, a potem się odnawia - powiedziała dziewczyna. -

Sami zobaczycie.

- A co mamy począć z tymi śpiącymi? - zapytał Kaspian. - W świecie, z którego pochodzą moi przyjaciele - tu wskazał na Eustachego i rodzeństwo Pevensie - jest taka opowieść o księciu lub królu, który przybył do zamku, gdzie wszyscy spali zaczarowanym snem. W tej opowieści nie mógł on przełamać zaklęcia, dopóki nie pocałował Śpiącej Królowy.

- Tutaj jednak - powiedziała dziewczyna - rzeczy mają się na odwrót. Tutaj książę nie może pocałować królowy, dopóki nie przełamie zaklęcia.

- A więc - rzekł Kaspian - w imię Aslana, powiedz mi, co mam czynić.

- Mój ojciec nauczy cię tego.

- Twój ojciec? - rozległy się głosy wszystkich czworga. - Kim on jest? I gdzie on jest?

- Spójrzcie - odpowiedziała, odwracając się i wskazując na drzwi w zbrozu *wzgórza*. Teraz widzieli je o wiele lepiej, ponieważ kiedy rozmawiali, gwiazdy przybladły, a w szarości wschodniego nieba pojawiły się wielkie plamy bieli.

ROZDZIAŁ 14

POCZĄTEK KOŃCA ŚWIATA

POWOLI DRZWI ZNÓW SIĘ OTWORZYŁY i wyszła z nich jakaś postać, tak wysoka i wyprostowana jak dziewczyna, lecz nie tak szczupła. Postać nie niosła światła, lecz światło wydawało się promieniować z niej samej. Kiedy podeszła bliżej, Łucja zobaczyła dostojnego starca. Z przodu srebrna broda opadała mu do bosych stóp, z tyłu srebrne włosy spływały aż do pięt, a jego długa suknia musiała być zrobiona z runa srebrnej owcy. Wyglądał tak łagodnie i tak dostojnie zarazem, że po raz drugi wszyscy wędrowcy podnieśli się z krzeseł i stali w milczeniu.

Starzec podszedł do nich bez słowa i stanął po drugiej stronie stołu, naprzeciw swej córki. Potem oboje podnieśli ręce, odwrócili się ku wschodowi i zaczęli śpiewać. Chciałbym zapisać tutaj tę pieśń, lecz nikt z obecnych jej nie zapamiętał. Łucja mówiła później, że była to pieśń wzniosła, prawie przerażająca, lecz bardzo piękna. „Był to chłodny rodzaj pieśni, był to wczesnoporanny rodzaj pieśni”. I kiedy tych dwoje śpiewało, szare chmury na wschodnim niebie rozwiały się, białe smugi stawały się coraz większe i większe, aż całe niebo pobielało, a morze zaczęło lśnić jak srebro. A po dłuższym czasie (lecz tych dwoje nie przerwało swej pieśni) niebo na wschodzie poróżnowiało i w końcu wynurzyło się z morza nie przesłonięte chmurami słońce, a jego długi, poziomy promień przeszył całą długość stołu i zapłonął na złocie, na srebrze i na Kamiennym Nożu.

Już raz czy dwa razy przedtem Narnijczycy zastanawiali się, czy na tych morzach wschodzące słońce nie jest większe niż w ich ojczyźnie. Teraz byli tego pewni. Nie mogło to być złudzenie. A jasność jego promieni, załamujących się w kroplach rosy i w zastawie na stole, przewyższała dalece wszystkie poranne jasności, jakie kiedykolwiek widzieli. Jak wyraził to później Edmund, „choć wiele rzeczy wydarzyło się w czasie tej wyprawy, które BRZMIĄ bardziej przejmująco, ten moment był naprawdę najbardziej przejmujący”. Bo oto teraz byli już pewni, że naprawdę znaleźli się na początku Końca Świata.

A potem wydało się im, że coś wylatuje ku nim z samego środka wschodzącego słońca, ale oczywiście nikt nie był w stanie dłużej patrzeć w tym kierunku, aby się upewnić, czy tak jest w istocie. I nagle powietrze wypełniło się głosami - głosami, które podchwyciły tę samą pieśń, lecz w sposób o wiele bardziej dziki i w języku, którego nikt nie rozumiał. Wkrótce zobaczyli też, skąd te głosy pochodzą. Były to ptaki, wielkie i białe, nadlatujące całymi setkami i tysiącami i siadające na czym tylko

się dało: na trawie, na kamiennej posadzce, na stole, na ich ramionach, rękach, głowach, aż wszystko zaczęło wyglądać tak, jakby na ziemię spadł gruby śnieg. I tak jak wówczas, gdy śnieg wszystko przykryje, nie tylko zrobiło się białe, ale i wszystkie kształty zamazały się i wygładziły. Łucja, patrząca spomiędzy skrzydeł ptaków, które ją całkowicie przykryły, ujrzała, jak jeden z nich podfrunął do starca. W dziobie trzymał coś, co przypominało mały owoc lub żarzący się węgielek, bo tak lśniło i jaśniało. I ptak złożył to coś ostrożnie na wargach starca.

Potem ptaki przestały śpiewać i zajęły się czymś na stole. Kiedy się uniosły, ze stołu znikło wszystko, co nie było jeszcze zjedzone lub wypite. Setki, tysiące ptaków frunęło w górę, unosząc ze sobą także to, co nie dało się zjeść lub wypić - kości, skórki i skorupki - i poleciało z powrotem ku wschodzącemu słońcu. Teraz jednak już nie słyszeli śpiewu, lecz tylko łopot tysięcy skrzydeł, aż wszystkim się wydało, że całe powietrze drży i wibruje. Pozostał pusty, czysty stół, przy którym nadal siedzieli trzej narnijscy baronowie, pogrążeni w głębokim śnie.

Dopiero teraz starzec zwrócił się ku wędrowcom i powitał ich.

- Panie - rzekł do niego Kaspian - czy zechcesz nam powiedzieć, jak zdjąć z tych oto trzech narnijskich baronów czar, który sprawia, że nie mogą obudzić się ze snu?

- Chętnie ci to powiem, synu - rzekł starzec. - Aby złamać potęgę tego czaru, musisz popłynąć aż do Końca Świata albo tak blisko Końca Świata, jak tylko to możliwe, i pozostawić tam przynajmniej jednego ze swoich towarzyszy.

- A co się z nim stanie? - zapytał Ryczypisk.

- Będzie musiał wejść w Ostateczny Wschód i nigdy już nie powróci do tego świata.

- Tego właśnie pragnie gorąco moje serce - powiedział Ryczypisk.

- A czy jesteście już blisko Końca Świata, panie? - zapytał Kaspian. - Czy wiesz coś o morzach i lądach leżących dalej na wschód niż ta wyspa?

- Widziałem je dawno temu - odpowiedział starzec - ale z bardzo dużej wysokości. Nie mogę ci więc opowiedzieć o tych szczegółach, które interesują żeglarzy.

- Czy to znaczy, że latałeś w powietrzu? - wtrącił Eustachy.

- Byłem daleko, daleko ponad powietrzem, mój synu - odpowiedział starzec. - Jestem Ramandu.

Ale widzę, że patrzycie po sobie tak, jakbyście nigdy nie słyszeli tego imienia. I wcale się temu nie dziwię: czas, w którym byłem gwiazdą, przeminął dawno temu,

zanim ktokolwiek z was pojawił się na tym świecie. Od tego czasu zmieniły się wszystkie konstelacje.

- Ojej! - zawołał Edmund, wciągnąwszy głęboko powietrze. - On jest EMERYTOWANĄ gwiazdą!

- Czy już nie jesteś gwiazdą? - zapytała Łucja.

- Jestem gwiazdą w stanie spoczynku, moja córko - odpowiedział Ramandu. - Po moim ostatnim wejściu na niebo, zgrzybiałego i postarzałego ponad wszelkie wasze wyobrażenie, przeniesiono mnie na tę wyspę. Byłem wówczas starszy niż dzisiaj. Każdego ranka ptak przynosi mi żar-jagodę z dolin na Słońcu i każda taka żar-jagoda ujmuje mi nieco lat. A kiedy stanę się tak młody jak dziecko urodzone wczoraj, będę mógł znowu wejść na niebo - jesteśmy bowiem u wschodniego obrzeża Ziemi - i raz jeszcze znaleźć się w wielkim korowodzie.

- W naszym świecie - odezwał się Eustachy - gwiazda jest olbrzymią kulą płonącego gazu.

- Nawet w waszym świecie to, o czym mówisz, mój synu, nie jest gwiazdą, lecz jedynie tym, z czego jest zrobiona. A w tym świecie już raz spotkaliście gwiazdę, bo myślę, że poznaliście Koriakina?

- Czy on też jest gwiazdą w stanie spoczynku? - zapytała Łucja.

- No cóż, nie jest to ściśle określenie - odpowiedział Ramandu. - Trudno nazwać odpoczynkiem rządzenie Patałachami. Można to raczej nazwać karą. Koriakin mógł świecić jeszcze wiele tysięcy lat na południowym, zimowym niebie, gdyby wszystko szło tak, jak należy.

- Co on takiego uczynił? - zapytał Kaspian.

- Mój synu - rzekł Ramandu - wiedza o tym, jakie błędy może popełnić gwiazda, nie jest przeznaczona dla ciebie, Syna Adama. Ale dajmy temu spokój, nie traćmy czasu na takie rozmowy. Czy już coś postanowiliście? Czy pożeglujecie dalej na wschód i wrócicie, pozostawiając tam jednego z was na zawsze, aby złamać potęgę tego zaklęcia? Czy też może chcecie płynąć na zachód?

- Jestem pewien, panie - rzekł Rycypisk - że nie może być co do tego żadnych wątpliwości. Wiemy już, że całkiem oczywistą częścią celu naszej wyprawy jest zdjęcie czaru z tych trzech baronów.

- Ja też tak myślę, Rycypisku - powiedział Kaspian. - A nawet gdyby tak nie było, pękłoby mi serce, gdybyśmy nie znaleźli się tak blisko Końca Świata, jak to tylko będzie możliwe. Myślę jednak o załodze „Wędrowca do Świtu”. Zgodziliśmy ich na

poszukiwanie siedmiu baronów, a nie na dopłynięcie do widnokregu. Jeśli poześlujemy stąd na wschód, to po to, aby znaleźć krawędź świata, ostateczny Wschód. A nikt nie wie, jak daleka droga nas czeka. To dzielni ludzie, ale wydaje mi się, że niektórzy są już zmęczeni podróżą i wypatrują chwili, w której dziób okrętu zostanie zwrócony ku Narnii. Myślę, że nie powinienem zabierać ich w dalszą podróż bez ich wiedzy i zgody. No, i jest jeszcze ten biedny baron Rup. To człowiek całkowicie załamany.

- Mój synu - powiedziała gwiazda - nie byłoby żadnego sensu, nawet gdybyś tego chciał, w żeglowaniu do Końca Świata z ludźmi, którzy tego nie chcą albo którzy zostali oszukani. W ten sposób nie łamie się potęgi wielkich zaklęć. Oni muszą wiedzieć, dokąd i dlaczego płyną. Ale kim jest ten załamany człowiek, o którym mówisz?

Kaspian opowiedział mu historię barona Rupa.

- Mogę mu dać to, czego mu najbardziej potrzeba - rzekł Ramandu. - Na tej wyspie można zapaść w sen bez granic i miary, w sen, w którym nigdy nie usłyszy się nawet najcichszego stąpania sennych marzeń. Niech usiądzie obok tych trzech i pije z czary zapomnienia aż do waszego powrotu.

- Och, zróbmy tak, Kaspianie! - zawołała Łucja. - Jestem pewna, że to by mu się bardzo podobało.

W tym momencie przerwał im odgłos wielu kroków i głosy: to zbliżał się Drinian na czele załogi. Wszyscy stanęli jak wryci, zaskoczeni widokiem Ramandu i jego córki, a potem odkryli głowy, jako że byli bystrymi ludźmi, którym nie trzeba było wiele wyjaśniać. Ten i ów popatrzył z żalem na puste talerze i dzbany.

- Mój panie - rzekł król do Driniana - wyślij dwóch ludzi z powrotem na okręt z wieścią dla barona Rupa. Niech mu powiedzą, że są tutaj jego towarzysze pogrążeni we śnie - we śnie bez snów - i że on też się może do nich przyłączyć.

Kiedy to uczyniono, Kaspian kazał wszystkim usiąść i wyjaśnił im całą sytuację. Gdy skończył, zapadła długa cisza przerywana od czasu do czasu szeptami, a potem powstał dowódca łuczników i powiedział:

- Jest pewna sprawa, wasza królewska mość, o której część z nas już od dawna chciała pomówić. Chodzi nam o to, w jaki sposób w ogóle powrócimy do domu, kiedy już skierujemy nasz okręt ku Narnii, obojętnie, czy to zrobimy tutaj, czy w jakimś innym miejscu. Przez cały czas mieliśmy zachodni lub północno-zachodni wiatr, nie licząc rzadkich okresów ciszy. A jeśli się to nie zmieni, to chciałbym wiedzieć, jaką

możemy mieć nadzieję, że znowu zobaczymy Narnię. Nie można chyba liczyć na to, że starczy nam zapasów, gdybyśmy chcieli WIOSŁOWAĆ przez całą drogę.

- To jest mowa szczura lądowego - powiedział Drinian. - Na tych morzach zwykle przez całe lato wieją zachodnie wiatry, ale zawsze zmienia się to po Nowym Roku. Będziemy mieć dużo dobrego wiatru do żeglowania na zachód, obawiam się nawet, że będziemy go mieć więcej niż potrzeba, jeśli wierzyć wszystkim relacjom.

- To prawda, panie - odezwał się jeden ze starszych marynarzy, Galmijczyk z urodzenia. - W styczniu i w lutym parszywa pogoda zawsze przychodzi ze wschodu. I jeśli wolno mi coś rzec, panie, to gdybym ja był kapitanem tego statku, zarządziłbym przezimowanie tutaj i wyruszenie w drogę powrotną w marcu.

- Co się tu zwykle jada podczas zimy? - zapytał Eustachy.

- Ten oto stół - rzekł Ramandu - będzie codziennie o zachodzie słońca zastawiany królewską ucztą.

- O, teraz dobrze mówi! - rozległy się głosy kilku marynarzy.

- Wasze wysokości, szlachetni panowie i wszystkie panie! - odezwał się Rynelf.

- Chciałbym powiedzieć tylko jedno. Nie ma tu wśród nas nikogo, kogo by zmuszano do tej wyprawy. Jesteśmy ochotnikami. I są tu tacy, którzy wlepiają teraz gały w ten stół i marzą o królewskich ucztach, a którzy głośno rozprawiali o przygodach, kiedyśmy opuszczali Ker-Paravel, i którzy przysięgali, że nie wrócą do domu, dopóki nie znajdziemy Końca Świata. A byli też tacy, co stali na nabrzeżu i oddaliby wszystko, co mają, byleby tylko wyruszyć wraz z nami. Uważano wtedy, że lepiej dostać koję chłopca okrętowego na „Wędrowcu do Świt” niż pas rycerski. Nie wiem, czy już się połapaliście, o co mi chodzi? A chodzi mi o to, takie jest przynajmniej moje zdanie, że jeśli już wyruszyliśmy na tę wyprawę, to będziemy wyglądać tak głupio, jak... jak te Łachonogi, jeśli wrócimy do domu i powiemy, że dotarliśmy aż do początku Końca Świata i nie mieliśmy już serca, by płynąć dalej.

Część marynarzy zaczęła wiwatować, ale pozostali dali do zrozumienia, że nie widzą w tym nic głupiego.

- Robi się niewesoło - szepnął Edmund do Kaspiana. - Co zrobimy, jeśli połowa tych typów uprze się, by wracać?

- Poczekaj - odszepnął mu Kaspian. - Mam jeszcze jedną kartę w zanadru.

- A ty nie zamierzasz zabrać głosu, Rycypisku? - spytała cicho Łucja.

- Nie. Czemu wasza królewska mość oczekuje tego ode mnie? - odpowiedział Rycypisk tak głośno, że prawie wszyscy go usłyszeli. - Ja już postanowiłem. Jeśli

będę mógł, popłynę na wschód na pokładzie „Wędrowca do Świtu”. Jeśli sprawicie mi zawód, powiosłuję na wschód w moim czólnie. Jeśli czólno zatonie, popłynę na wschód za pomocą moich czterech łap. A kiedy nie będę już w stanie płynąć dalej, jeśli nie dotrę do krainy Aslana lub jeśli jakiś niezmierny wodospad wyrzuci mnie gdzieś poza krawędź świata, zatnę z nosem zwróconym tam, gdzie wschodzi słońce, i wówczas Pipisek stanie się głową mówiących myszy w Narnii.

- Słuchajcie go, słuchajcie - odezwał się jeden z marynarzy. - Powiedziałbym to samo, z wyjątkiem tego kawałka o czólnie, które jest dla mnie za małe. - I dodał, ścisząc głos: - Nie będę przecież gorszy od myszy.

W tym momencie Kaspian zerwał się na nogi.

- Przyjaciele! - powiedział. - Myślę, że nie zrozumieliście dobrze, o co nam chodzi. Mówicie tak, jakbyśmy przyszli do was z kapeluszem w rękę, błagając o pomoc w żeglarskim rzemiośle. Rzecz ma się zupełnie inaczej. My i nasz królewski brat oraz siostra, i ich krewniak, i pan Rycypisk, dzielny rycerz, i lord Drinian mamy do załatwienia pewną sprawę na krańcu świata. Jest naszym życzeniem wybrać tych spośród was, którzy tego pragną, takich, których uznamy za godnych tak wielkiego przedsięwzięcia. Nie powiedzieliśmy wcale, że może pójść każdy, kto się zgłosi! Dlatego właśnie nakazujemy lordowi Drinianowi i jego matowi Rinsowi, by rozważyli starannie, którzy spośród was są najtwardsi w boju, najzręczniejsi w żeglarskim kunszcie, najlepszego pochodzenia, najbardziej oddani naszej osobie, najszlachetniejsi i najbardziej obyczajni. Imiona tych wybranych chcemy mieć przedstawione na specjalnej liście.

Tu Kaspian zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej, teraz już nieco szybciej:

- Na grzywę Aslana! Czy naprawdę myślicie, że przywilej ujrzenia ostatecznych rzeczy można nabyć za cenę zaśpiewania piosenki? Powiadam wam, każdy mężczyzna, który pójdzie z nami, obdarzony zostanie tytułem Wędrowca do Świtu dożywotnio i z prawem dziedziczenia przez wszystkich jego potomków, a kiedy znajdziemy się w Ker-Paravelu, otrzyma tyle złota i ziemi, że starczy mu, by resztę swego życia spędzić w dostatku. A teraz możecie się wszyscy rozejść. Wszyscy! Za pół godziny chcę mieć listę z imionami tych, których wybierze spośród ochotników lord Drinian.

Wśród załogi zapanowała cisza, a potem wszyscy skłonili się i rozeszli w różne strony małymi grupkami, rozprawiając między sobą.

- A teraz zajmijmy się baronem Rupem - oznajmił Kaspian.

Ale kiedy zwrócił się ku szczytowi stołu, zobaczył, że Rup już tam jest. Przybył, milczący i nie zauważony, podczas gdy trwała dyskusja i został posadzony obok barona Argoza. Za jego krzesłem stała córka Ramandu, jakby właśnie pomogła mu usiąść, obok stał sam Ramandu, trzymając obie ręce na jego głowie. Nawet w pełnym świetle dnia widać było słabą srebrną poświatę otaczającą ręce gwiazdy. Na wychudłej twarzy barona pojawił się uśmiech. Wyciągnął jedną rękę do Łucji, drugą do Kaspiana. Przez chwilę zdawało się, że chce coś powiedzieć. Potem jego twarz rozjaśnił jeszcze większy uśmiech, jakby spotkało go coś cudownego, z jego ust wydobyło się długie westchnienie zadowolenia, głowa mu opadła do przodu i pogrążył się w głębokim śnie.

- Biedny Rup - powiedziała Łucja. - Cieszę się, że wreszcie odpocznie. Musiał przeżyć straszne rzeczy.

- Lepiej o tym nawet nie myśleć - rzekł Eustachy.

Tymczasem mowa Kaspiana, wspomagana być może czarami tej wyspy, zaczęła odnosić skutek, o jaki mu chodziło. Większość z tych, którzy byli tak bardzo przeciwni dalszej podróży, poczuła coś zupełnie odwrotnego, gdy okazało się, że mają być z niej WYKLUCZENI. No i, rzecz jasna, gdy tylko jakiś marynarz oświadczał, że postanowił prosić o pozwolenie na uczestnictwo w dalszej wyprawie, ci, którzy dotąd tego nie oświadczyli, widzieli, że jest ich coraz mniej i że ich sytuacja staje się coraz bardziej przykra. Tak więc, nim minęło pół godziny, spora liczba marynarzy „podlizywała się” Drinianowi i Rinsowi (tak przynajmniej mówiło się o podobnych zabiegach w mojej szkole), aby otrzymać dobrą ocenę. Wkrótce tylko trzech nie chcieli jechać dalej i stawali na głowie, aby namówić innych do pozostania z nimi na wyspie. Po paru minutach został już tylko jeden. A w końcu i on przestraszył się, że zostanie sam, gdy wszyscy odpłyną, i też zmienił zdanie.

Kiedy upłynął wyznaczony czas, wszyscy powrócili w jednej dużej grupie do Stołu Aslana i stanęli przy jego końcu, a Drinian i Rins usiedli obok Kaspiana i przedstawili mu swój raport. Kaspian przyjął wszystkich, prócz tego jednego, który zmienił zdanie w ostatniej chwili. Nazywał się Politowanes i pozostał na Wyspie Gwiazdy przez cały czas, gdy inni wyruszyli na poszukiwanie Końca Świata. Nie należał do ludzi, którzy potrafiliby cieszyć się okazją długich rozmów z Ramandu i jego córką (zresztą i oni nie widzieli w tym nic szczególnie pociągającego). Przez cały ten czas często padało, a chociaż co wieczór Stół był zastawiony wspaniałą ucztą, jakoś nie potrafił się nią rozkoszować. Opowiadał później, że skóra mu cierpła, gdy siedział

tak samotnie (bez względu na to, czy był deszcz, czy nie) z tymi czterema śpiącymi baronami przy końcu Stołu. A kiedy „Wędrowiec do Świtu” powrócił, Politowanes poczuł się tak kiepsko, że w czasie rejsu do Narnii opuścił okręt na Samotnych Wyspach, a potem osiadł w Kalormenie, gdzie opowiadał cuda o swoich przygodach na Końcu Świata, aż wreszcie sam w nie uwierzył. Można więc powiedzieć, w pewnym sensie, że żył później szczęśliwie. Nie mógł tylko znieść widoku myszy.

Tej nocy wszyscy jedli i pili przy wielkim Stole między kolumnami, na którym - dzięki czarom - znowu pojawiła się królewska uczta. Następnego ranka, gdy wielkie białe ptaki przyleciały do Stołu Aslana, „Wędrowiec do Świtu” rozwinął żagiel raz jeszcze.

- Pani - rzekł Kaspian - zabieram ze sobą nadzieję, że kiedy już przełamie czar tego zaklęcia, znowu cię spotkam.

A córka Ramandu popatrzyła na niego i słodko się uśmiechnęła.

ROZDZIAŁ 15

DZIWIY OSTATNIEGO MORZA

GDY TYLKO KRAINA RAMANDU zniknęła im z oczu, poczuli, że znajdują się już na samym krańcu świata. Wszystko tu było inne. Przede wszystkim każdy zauważył, że potrzebuje teraz mniej snu. Nikomu nie chciało się ani spać, ani jeść, ani nawet rozmawiać, a kiedy rozmawiali, mówili przyciszonym głosem. Coś dziwnego działo się też ze światłem. Było go zbyt wiele. Wschodzące słońce wyglądało na dwa, może nawet trzy razy większe niż zwykle. I każdego ranka (a w Łucji to właśnie wywoływało najbardziej przejmujące wrażenie) białe ptaki śpiewające ludzkimi głosami w języku, którego nikt nie rozumiał, przelewały się łopoczącym strumieniem nad ich głowami i nikły za rufą, lecąc na śniadanie do Stołu Aslana. Nieco później powracały i ginęły we wschodniej części nieboskłonu.

- Jaka tu cudownie czysta woda - powiedziała do siebie Łucja, wychylając się za prawą burtę. Było wczesne popołudnie drugiego dnia rejsu.

Woda była rzeczywiście nadzwyczaj czysta. Pierwszą rzeczą, jaką Łucja zauważyła, był nieduży, czarny przedmiot płynący przy statku z tą samą co on prędkością. Przez chwilę myślała, że to coś unosi się na powierzchni morza. Ale akurat kucharz wyrzucił przez okno kawałek suchego chleba, który wpadł do morza. Wydawało się że chleb już-już zderzy się z ową czarną rzeczą, gdy przepłynął sobie po prostu nad nią. Teraz Łucja zrozumiała, że dziwny przedmiot wcale nie unosi się na powierzchni. A potem nagle zrobił się bardzo duży, by po chwili skurczyć się do poprzednich rozmiarów.

Łucja miała wrażenie, że gdzieś już coś takiego widziała - gdyby tylko mogła sobie przypomnieć gdzie! Ścisnęła ręką czoło, wykrzywiła twarz, a nawet wysunęła język; i w końcu - udało się! Oczywiście! Coś podobnego widzi się z pociągu w jasny, słoneczny dzień. Widzi się czarny cień swojego wagonu biegnący przez pola z tą samą prędkością co pociąg. Potem pociąg wjeżdża w wykop i nagle ten sam cień pojawia się tuż przed nami, o wiele większy niż przedtem, biegnąc teraz po trawie porastającej strome zbocze wykopu. A potem wyjeżdża się z wykopu i - trzask-prask! - cień znowu powraca do swoich zwykłych wymiarów.

- To jest nasz cień! Cień „Wędrowca do Świt”! - powiedziała do siebie Łucja. - Nasz cień biegnący po dnie morza. Robi się większy, kiedy napotyka podwodne wzniesienie. Ale to przecież oznacza, że woda jest jeszcze bardziej czysta, niż

myślałam. Wielkie nieba, przecież ja widzę dno morza, wiele sążni* pod nami!

Gdy to powiedziała, uświadomiła sobie, że te wielkie srebrne obszary to w rzeczywistości piasek pokrywający morskie dno, a różne rodzaje ciemniejszych lub jaśniejszych plam to wcale nie cienie i odbłask słońca na powierzchni morza, lecz różne rzeczy na jego dnie. Teraz, na przykład, przepływali nad masą delikatnej purpury i zieleni, z szerokim wijącym się przez jej środek pasem bladej szarości. Ale teraz wiedziała już, że patrzy na morskie dno, i widziała wszystko o wiele dokładniej. Spozstrzegła, że ciemne plamy wznoszą się wysoko i łagodnie falują. „Jak drzewa na wietrze. I naprawdę, to jest właśnie to. Podmorskie lasy”.

A teraz bladoszara smuga połączyła się z inną bladoszarą smugą. „Gdybym znalazła się tam, w dole - pomyślała Łucja - ta smuga byłaby chyba leśną drogą. A to miejsce, w którym dwie smugi się łączą, byłoby skrzyżowaniem dróg. Och, jakbym chciała tam być! Hej! Las się kończy. Naprawdę, ta smuga to droga! Widzę, jak dalej biegnie po nagim piasku. Ma inny kolor. A na jej krawędziach widać coś... jakieś przerywane linie. Może to kamienie. A teraz robi się coraz szersza”.

Lecz w rzeczywistości droga wcale nie stawała się szersza - po prostu się przybliżała. Łucja zrozumiała to, gdy zobaczyła, jak przybliżyła się ku niej cień statku. A droga - teraz już była pewna, że to droga - zaczęła się wic serpentynami. Było jasne, że wspina się na strome zbocze. A kiedy Łucja odwróciła głowę i spojrzała wstecz, zobaczyła coś, co przypominało widok ze szczytu wzgórza na wijącą się w dole drogę. Widziała nawet smugi słonecznego światła przebijające się przez głęboką wodę aż do zalesionej doliny.

A dalej, dalej wszystko zlewało się w jedną zamazaną, zieloną masę. Tylko niektóre miejsca - tam, gdzie docierało słońce - miały barwę czystej ultramaryny.

Nie mogła jednak poświęcić zbyt dużo czasu na patrzenie wstecz; to, co pojawiło się z przodu, było również fascynujące. Podmorska droga wspięła się już na sam szczyt wzgórza i biegła dalej prosto. Poruszały się na niej małe plamki. A teraz, w pełnym świetle słońca - a w każdym razie na tyle pełnym, tak jak to jest możliwe po przebiciu się jego promieni przez całe sążnie wody - pojawiło się coś najbardziej cudownego. Było to coś guzowatego i poszczerbionego, koloru pereł lub może raczej kości słoniowej. Okręt znajdował się prawie dokładnie nad tym, tak że z początku Łucja nie mogła pojąć, co to właściwie jest. Ale słońce świeciło spoza jej pleców i po chwili dostrzegła cienie owych dziwnych rzeczy kładące się za nimi na piasku. I

*Sążeń - 182,9 cm, jednostka głębokości - przyp tłum.

kszałty tych cieni pomogły Łucji zrozumieć, na co patrzy. Były to cienie wieżyc i wieżyczek, minaretów i kopuł.

- Ależ to jest miasto albo jakiś olbrzymi zamek! - zawołała Łucja. - Ciekawa jestem, dlaczego zbudowano to na szczycie wysokiej góry.

Kiedy już powróciła do Anglii i rozmawiała o tych przygodach z Edmundem, zastanawiali się nad tym razem, i jestem przekonany, że to, co wymyślili, było całkiem do rzeczy. W morzu jest tym ciemniej i zimniej, im głębiej, a w najdalszych i najzimniejszych głębiach żyją groźne istoty - kałamarnica, wąż morski i Kraken. Podmorskie doliny to miejsca dzikie i niebezpieczne. Lud Morza myśli o swoich dolinach to, co my myślimy o górach, a o swoich górach to, co my myślimy o dolinach. Ciepło i spokój panują na wzniesieniach (lub, jak my byśmy powiedzieli, na płycznach). Nieustraszeni myśliwi i rycerze morza wyruszają w głębiny na wyprawy i poszukiwanie przygód, lecz wracają do domu na podwodne wzniesienia, znajdując tam odpoczynek i spokój, uprzejmość i radę, gry sportowe, tańce i pieśni.

Okręt przepłynął nad miastem, lecz dno morskie wciąż się podnosiło. Teraz było pod nimi zaledwie kilka stóp* wody. Droga gdzieś zniknęła. Płynęli nad czymś, co przypominało rozległy park z zagajnikami jaskrawokolorowych roślin. A potem - Łucja niemal krzyknęła z wrażenia - zobaczyła Morskich Ludzi.

Było ich z piętnastu lub dwudziestu i wszyscy dosiadali koni morskich - nie małych koników morskich, jakie można sobie obejrzeć w muzeach, lecz koni większych od nich samych. Musieli to być jacyś szlachetnie urodzeni panowie, pomyślała Łucja, ponieważ dostrzegła błysk złota na ich czołach oraz szmaragdowe i pomarańczowe festony tkaniny unoszonej z ich ramion przez prąd. A potem...

- A niechże ośmiornica pochłonie te ryby! - zawołała Łucja, ponieważ nagle cała ławica małych, tłustych rybek nadpłynęła tuż pod powierzchnię morza i przesłoniła jej Morskich Ludzi. Nagle zobaczyła coś jeszcze ciekawszego. Jakaś niewielka, groźnie wyglądająca ryba, jakiej nigdy jeszcze nie widziała, wystrzeliła od dna, miotając się błyskawicznie tu i tam i kłapiąc zębami, po czym powróciła w dół z jedną tłustą rybką w pyszczku. A Morscy Ludzie na koniach patrzyli w górę na to wszystko, śmiejąc się i rozmawiając. Zanim jeszcze ta myśliwska rybka powróciła do nich ze swoją zdobyczą, pojawiła się druga, podobna, i tak samo zaatakowała ławicę ryb. Łucja była teraz prawie zupełnie pewna, że wysłał ją - lub uwolnił - jeden z Morskich Ludzi, wysoki, siedzący na swym koniu pośrodku całej kompanii. Wyglądało na to, że wypuścił

*Stopa - 0,3 metra - miara używana jest do dziś na angielskich mapach morskich do określania niewielkich odległości i głębokości - przyp. tłum.

rybkę, którą przedtem trzymał w ręku lub na przedramieniu.

- Niech mnie gęś kopnie, jeśli to nie jest polowanie - powiedziała Łucja. - Albo raczej polowanie z sokołem. Tak, to jest to. Jadą sobie konno z tymi dzikimi rybkami na przedramieniu, tak jak my jeździliśmy konno z sokołami siedzącymi na przegubach rąk, kiedy byliśmy królami i królowymi na Ker-Paravelu... dawno, dawno temu. A potem wypuszczają je na inne ryby. Jak...

Lecz nagle urwała, bo scena się zmieniła, Morscy Ludzie dostrzegli „Wędrowca do Świtu”. Ławica ryb rozpiezchła się na wszystkie strony, bo teraz sami Morscy Ludzie ruszyli w górę, by zobaczyć, co to za wielka, czarna rzecz przesłoniła im słońce. Teraz byli już tak blisko powierzchni, że gdyby znajdowali się w powietrzu, a nie w wodzie, Łucja mogłaby do nich przemówić. W barwnej kawalkadzie byli mężczyźni i kobiety. Wszyscy nosili coś w rodzaju diademów, a wielu miało na sobie sznury pereł. Ich ciała miały kolor starej kości słoniowej, ich włosy - barwę ciemnej purpury. Król znajdujący się w środku kawalkady (nie można było mieć wątpliwości co do tego, że właśnie on jest królem) spojrział dumnie i wojowniczo w twarz Łucji i potrząsnął trzymaną w ręku włócznią. To samo uczynili jego rycerze. Łucja wyczuła, że ten morski ludek nigdy jeszcze nie widział okrętu i ludzi - jakże zresztą mógł ich widzieć tu, na tych morzach na Końcu Świata, dokąd nie dopłynął jeszcze żaden okręt?

- Czemu się tak przyglądasz Łusiu? - rozległ się głos tuż nad nią.

Łucja była tak zapatrzona w to, co się działo pod wodą, że aż podskoczyła na dźwięk głosu, a kiedy się odwróciła, poczuła, że jej wsparta na balustradzie ręka całkowicie zdrętwiała. Za nią stał Edmund i Drinian.

- Popatrzcie! - powiedziała.

Spojrzeli w wodę, lecz prawie natychmiast Drinian rzekł przyciszonym głosem:

- Niech wasze królewskie mości szybko się odwrócą - o tak, plecami do morza. I nie dajcie po sobie poznać, że rozmawiamy o czymś ważnym.

- Dlaczego? O co chodzi? - zapytała Łucja, odwróciwszy się twarzą do pokładu.

- Za żadną cenę nie można dopuścić do tego, by marynarze zobaczyli TO WSZYSTKO - odpowiedział Drinian. - Mieliśmy już takich, co zakochali się w jakiejś ruszałce lub też w całym tym podwodnym królestwie, i wyskoczyli za burtę. Słyszałem o takich rzeczach nie raz. Zobaczenie TYCH ludzi zawsze przynosi nieszczęście.

- Ale przecież my ich dobrze znaliśmy - powiedziała Łucja. - W dawnych czasach, na Ker-Paravelu, kiedy mój brat był Wielkim Królem. Wypływali na powierzchnię i śpiewali podczas naszej koronacji.

- Myślę, że musiał to być jakiś inny rodzaj Morskich Ludzi, Łusiu - odezwał się Edmund. - Tamci mogli przebywać nie tylko pod wodą, ale i na powietrzu. Wydaje mi się, że ci tutaj tego nie potrafią. Wystarczy tylko na nich popatrzeć: gdyby tylko mogli, już dawno wynurzyliby się z wody, aby nas zaatakować. Wyglądają bardzo wojowniczo.

- W każdym razie... - zaczął Drinian, lecz w tym samym momencie rozległy się dwa różne dźwięki. Jednym był plusk. Drugim okrzyk z pokładu marsa:

- Człowiek za burtą!

Za chwilę wszyscy mieli pełne ręce roboty. Część marynarzy wspięła się szybko na reję, by zwinąć żagiel, inni rzucili się na dół, by złapać za wiosła. Rins, który akurat trzymał wachtę przy sterze, wparł się w rumpel, by obrócić okręt i powrócić do miejsca, w którym człowiek wypadł za burtę. Ale teraz każdy już wiedział, że - mówiąc ściślej - nie był to człowiek. Był to Rycypisk.

- A niech zaraza pochłonie tę mysz! - zawołał Drinian. - Więcej z nią kłopotu niż z resztą załogi razem wziętą. Kiedy tylko grożą jakieś tarapaty, zawsze musi w nie wpaść. Powinno się ją zakuć w łańcuchy... przeciągnąć pod okrętem z jednej burty do drugiej... wysadzić na bezludnej wyspie... obciąć jej wąsy! Czy ktoś widzi tego nicponia?

Wszystko to nie oznaczało, rzecz jasna, że Drinian naprawdę nie lubi Rycypiska. Przeciwnie, lubił go bardzo i właśnie dlatego przestraszył się nie na żarty, a ten strach wprawił go w złość - tak jak mama jest o wiele bardziej zła na was, kiedy wbiegniecie na jezdnię, niż byłby ktoś nieznajomy. Nikt, oczywiście, nie bał się, że mysz pójdzie na dno, bo była świetnym pływakiem, ale Drinian, Łucja i Edmund, którzy wiedzieli, co się dzieje pod wodą, obawiali się długich, groźnych włóczy w rękach Morskich Ludzi.

Nie minęło pięć minut, gdy „Wędrowiec do Świtu” zatoczył koło i teraz już wszyscy wyraźnie widzieli na wodzie czarną plamkę, którą był Rycypisk. Przez cały czas wykrzykiwał coś w najwyższym podnieceniu, ale nikt nie mógł zrozumieć, o co mu chodzi, bo woda wciąż zalewała mu pyszczek.

- Wygada się ze wszystkim, jeśli mu nie zamkniemy jadaczki! - jęknął Drinian. Aby temu zapobiec, skoczył do burty i sam spuścił linę, wołając do marynarzy: - W porządku, w porządku! Wracajcie na swoje miejsca. Mam nadzieję, że jeszcze potrafię wyciągnąć MYSZ bez waszej pomocy.

Kiedy Rycypisk zaczął się już wspinać po linie (a nie robił tego zbyt szybko, bo

nasiąknięte wodą futerko było bardzo ciężkie), Drinian wychylił się przez burtę i szepnął:

- Nic nie mów. Ani słowa.

Ale gdy ociekający wodą Ryczypisk stanął na pokładzie, okazało się, że Morscy Ludzie wcale go nie obchodzą.

- Słodka! - pisał. - Słodka, słodka!

- O czym ty, do licha, mówisz? - przerwał mu Drinian. - I nie musisz się otrząsać akurat na MNIE.

- Mówię wam, że woda jest słodka - powiedziała mysz. - Słodka. Nie słona.

Przez chwilę nikt nie mógł pojąć, dlaczego ten szczegół wprawia Ryczypiska w takie podniecenie. I wtedy on sam powtórzył raz jeszcze starą przepowiednię:

Gdzie się niebo z wodą spotka, GDZIE SIĘ FALA ROBI SŁODKA,

Ryczypisku, bez wątpienia spełnisz wszystkie swe pragnienia; tam jest Ostateczny Wschód.

Dopiero teraz wszyscy zrozumieli.

- Daj mi wiadro, Rynelfie - powiedział Drinian.

Podano mu wiadro, które spuścił na linie, a potem wyciągnął z powrotem. Woda jaśniała w nim jak szkło.

- Może wasza królewska mość pragnie spróbować pierwszy? - rzekł do Kaspiana.

Król ujął wiadro w obie dłonie, zbliżył do ust, spróbował, a potem wypił kilka dużych łyków i podniósł głowę. Twarz miał zmienioną. Nie tylko oczy, ale wszystko w nim wydawało się jaśniejsze.

- Tak - powiedział. - Jest słodka. To chyba prawdziwa woda. Nie jestem pewien, czy to mnie

nie zabije, ale i tak wybrałbym śmierć, nawet gdybym wiedział o tym wcześniej.

- Co masz na myśli? - zapytał Edmund.

- To... to bardziej przypomina światło niż cokolwiek innego - odrzekł Kaspian.

- I tym właśnie jest - powiedział Ryczypisk. - To jest pitne światło. Musimy być już bardzo blisko Końca Świata.

Przez chwilę panowało milczenie, a potem Łucja uklękła na pokładzie i napiła się z wiadra.

- To najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek piłam - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Ale... och, to jest bardzo mocne! Teraz nie będziemy musieli nic

JEŚĆ.

I jeden po drugim napili się wszyscy. Przez długi czas nikt nic nie mówił. Czuli się tak dobrze i silnie, że prawie nie mogli tego znieść. A potem zauważyli jeszcze jeden skutek. Jak już mówiłem, od czasu gdy opuścili wyspę Ramandu, było wciąż za dużo światła - słońce było za wielkie (choć nie było za gorące), morze zbyt jaskrawe, powietrze zbyt jaśniejące. Teraz owa nadzwyczajna jasność nie zmniejszyła się - jeżeli nie stała się jeszcze większa - ale to już im nie przeszkadzało. Mogli patrzeć prosto w słońce bez mrużenia oczu. Widzieli więcej światła niż kiedykolwiek przedtem. Cały pokład, żagiel, ich własne twarze i ciała - wszystko jaśniało coraz bardziej i bardziej. Każda lina lśniła niespotykanym blaskiem. A następnego ranka, gdy słońce wstało - teraz już pięć lub sześć razy większe niż w Narnii - wpatrywali się w nie długo, a kiedy pojawiły się białe ptaki, mogli dostrzec ich pióra na tle słonecznej tarczy.

Nikt nic nie mówił przez cały dzień, aż gdzieś w porze kolacji (nikt już nie chciał kolacji, od kiedy był nasycony wodą) Drinian powiedział:

- Nie mogę tego zrozumieć. Nie ma ani krzty wiatru. *Żagiel* martwo opadł. Morze jest płaskie jak sadzawka. A jednak płyniemy tak szybko, jakby nas gnała nawałnica.

- Ja też się nad tym zastanawiałem - rzekł Kaspian. - Musiał nas pochwycić jakiś potężny prąd.

- Hm... - mruknął Edmund. - Jeżeli świat ma rzeczywiście jakąś krawędź, nie byłoby to najprzyjemniejsze...

- Masz na myśli - powiedział Kaspian - że możemy po prostu, hm... przelać się przez nią?

- Tak! Tak! - zawołał Rycypisk, klaszcząc w łapy. - Tak to sobie zawsze wyobrażałem... świat jak wielki okrągły stół i wody wszystkich oceanów przelewające się bez końca przez krawędź. Okręt spadnie dziobem w dół... przekreśli się do góry nogami... przez chwilę zobaczymy samą krawędź... a potem w dół, w dół... szybkość, pęd...

- A co, według ciebie, będzie nas czekać na samym dole, he? - przerwał mu Drinian.

- Może kraina Aslana - odpowiedziała mysz, a oczy jej płonęły. - Albo może nie ma tam żadnego dna. Może to idzie w dół bez końca. Ale cokolwiek tam jest, warto poświęcić wszystko, aby choć przez chwilę spojrzeć poza krawędź świata.

- Ależ dajcie spokój - powiedział Eustachy

- przecież to wszystko bzdury. Świat jest okrągły

- to znaczy kulisty jak piłka, a nie jak stół.

- NASZ świat taki jest - rzekł Edmund. - Ale czy TEN również?

- Czy mam przez to rozumieć - powiedział Kaspian - że wy troje pochodzicie z okrągłego świata... okrągłego jak piłka? I nigdy mi o tym nie powiedzieliście! To naprawdę bardzo nieładnie z waszej strony. Mamy w Narnii wiele bajek, w których mówi się o takich okrągłych światach i zawsze strasznie mi się to podobało. Nigdy nie wierzyłem, że one naprawdę istnieją, ale zawsze chciałem, aby tak było. I zawsze pragnąłem żyć na jednym z nich. Och, oddałbym wszystko... Zastanawiam się, dlaczego wy możecie dostać się do naszego świata, a my nie możemy wejść do waszego? Gdybym tylko miał szansę! To musi być niesamowite, żyć na takiej piłce. Czy byliście kiedykolwiek w tej jej części, gdzie ludzie chodzą głowami na dół?

Edmund potrząsnął głową.

- To wcale nie jest tak - powiedział. - Nie ma nic szczególnego w kulistym świecie, jeśli się tam jest.

ROZDZIAŁ 16

NA SAMYM KOŃCU ŚWIATA

RYCZYPIISK BYŁ JEDYNĄ OSOBĄ (poza Drinianem, Łucją i Edmundem), która zauważyła Morskich Ludzi. Skoczył do morza natychmiast, kiedy tylko zobaczył, jak morski król potrząsa swoją włócznią, ponieważ uznał to za rodzaj wyzwania lub zagrożenia i chciał rozstrzygnąć sprawę tu i zaraz. Gdy odkrył, że woda jest słodka, z wrażenia zapomniał, po co skakał, a zanim sobie przypomniał, Łucja i Drinian wzięli go na stronę i ostrzegli, by nie wspominał o tym, co widział.

I tak nie musieli się już niczego obawiać, bo „Wędrowiec do Świtu” płynął teraz po morzu, które wyglądało na bezludne. Tylko Łucja zobaczyła raz jeszcze Morskich Ludzi, ale i to trwało krótko. Następnego dnia przez cały ranek płynęli po płyciźnie; dno morza było zarośnięte. Tuż przed południem Łucja ujrzała wielką ławicę ryb żerujących na wodorostach. Wszystkie pożywiały się jednostajnie i wszystkie płynęły wolno w jednym kierunku. „Zupełnie jak stado owiec”, pomyślała. I nagle pośrodku tego stada ryb zobaczyła morską dziewczynkę mniej więcej w jej wieku - spokojną, nieco smutną, z czymś w rodzaju laski pasterskiej w ręku. Łucja była pewna, że dziewczynka jest pasterką, a ławica ryb jest stadem na pastwisku. Było tu bardzo płytko. I właśnie w tej chwili, gdy podmorska pasterka błądząca po płytkiej wodzie i Łucja przechylona przez burtę znalazły się naprzeciw siebie, dziewczynka podniosła głowę i spojrzała prosto w twarz Łucji. Żadna nie mogła wydobyć z siebie głosu, a morska dziewczynka natychmiast rzuciła się do tyłu, niknąc między wodorostami. Ale Łucja nigdy nie zapomniała jej twarzy. Pasterka nie wyglądała na przestraszoną lub rozgniewaną, jak król i jego orszak. Łucja polubiła ją i czuła, że ona polubiła ją także. W tej krótkiej chwili zostały w jakiś sposób przyjaciółkami. Nie wydaje się, by miały większą szansę na ponowne spotkanie - w tym świecie czy w jakimkolwiek innym. Ale jeśli się to kiedyś zdarzy, pobiegną ku sobie z otwartymi ramionami.

Po tym wydarzeniu „Wędrowiec do Świtu” płynął na wschód bez przeszkód przez wiele dni. Płynął przez wygładzone morze bez wiatru w żaglu i bez piany tryskającej spod dziobu. Z każdym dniem i z każdą godziną światło jaśniało coraz mocniej, lecz im to nie przeszkadzało. Nikt nic nie jadł, nikt nie spał i nikomu nie chciało się ani jeść, ani spać. Wyciągali z morza wiadra oślepiającej wody, mocniejszej niż wino i jakoś bardziej mokrej, bardziej płynnej niż zwykła woda, i w milczeniu przepijali do siebie wielkimi łykami. Jeden lub dwu marynarzy, którzy byli nieco starsi od innych, gdy podróż się zaczęła., teraz młodnieli z każdym dniem. Nie było na

pokładzie nikogo, kto nie czułby radości i podniecenia, ale owa radość i podniecenie nie czyniły ich wcale skłonnyymi do rozmów.

Im dalej płynęli, tym mniej mówili, a jeśli już mówili, to prawie szeptem. Cichość Ostatniego Morza przenikała wszystkich do głębi.

- Mości kapitanie - rzekł pewnego dnia Kaspian do Driniana - co widzisz przed nami?

- Wasza królewska mość - odparł Drinian - widzę jakąś dziwną białość. Wszędzie wzdłuż horyzontu, od północy do południa, tak daleko jak sięgam wzrokiem, wszędzie jest coś bardzo białego.

- Ja też to widzę - rzekł Kaspian - i nie mam pojęcia, co to może być.

- Gdybyśmy byli na innej szerokości, najjaśniejszy panie - rzekł Drinian - powiedziałbym, że to lód. Ale to nie może być lód. Nie tutaj. Tak czy owak, lepiej zrobimy, jeśli każemy ludziom chwycić za wiosła i zmniejszymy trochę szybkość okrętu. Czymkolwiek to jest, nie chciałbym, abyśmy uderzyli w to z całą siłą.

Zrobili, jak radził Drinian, i płynęli dalej, coraz wolniej i wolniej. W miarę, jak się do niej zbliżali, dziwna białość nie wydawała się ani trochę mniej tajemnicza. Jeśli to był ląd, musiał być bardzo dziwnym lądem, bo powierzchnię miał tak gładką jak woda i na tym samym co morze poziomie. Kiedy się doń przybliżyli, Drinian nacisnął mocno rumpel i skierował dziób „Wędrowca do Świtu” na południe, tak że prąd znosił teraz okręt lewą burtą ku tajemniczej bieli, a następnie powiosłowali wzdłuż jej krawędzi. Zrobili przy tym ważne odkrycie: prąd miał tylko około czterdziestu stóp szerokości - reszta morza była martwa, jak sadzawka. Była to pocieszająca nowina dla załogi, która coraz częściej myślała o powrotnej drodze do kraju Ramandu; wiosłowanie cały czas pod prąd nie byłoby najprzyjemniejszym zajęciem. (Wyjaśnia to też, w jaki sposób owa podmorska pasterka znikła tak szybko za rufą. Po prostu nie znajdowała się wewnątrz prądu; gdyby w nim była, poruszałaby się na wschód z tą samą szybkością co okręt.)

Wciąż jednak nikt nie miał pojęcia, czym jest ta biała pustynia, i w końcu spuszczone łódź, aby to zbadać. Ci, którzy zostali na pokładzie „Wędrowca do Świtu”, zobaczyli, jak łódź zanurza się w biel. Potem usłyszeli podniesione, pełne zdumienia głosy tych z łodzi, rozchodzące się daleko nad spokojną wodą. Po chwili zapanowała cisza. Stojący na dziobie łodzi Rynelf rzucał sondę. Za chwilę łódź zaczęła powracać. Wszyscy rzucili się do burty, by usłyszeć nowiny. Łódź pełna była czegoś białego.

- Lilie, wasza królewska mość! - zawołał Rynelf stojący na dziobie.

- CO takiego? - zapytał Kas pian.

- Kwitnące lilie wodne, wasza królewska mość

- powtórzył Rynelf. - Takie same, jakie rosną w sadzawkach w Narnii.

- Patrzcie! - zawołała Łucja, która siedziała na rufie łodzi. Podniosła mokre ręce pełne białych płatków i szerokich, płaskich liści.

- Jaka głębokość, Rynelfie? - zapytał Drinian.

- Zabawna rzecz, kapitanie - odpowiedział Rynelf. - Wciąż jest głęboko. Trzy i pół sążnia.

- To nie mogą być prawdziwe lilie, w każdym razie to nie te, które my nazywamy liliami wodnymi - powiedział Eustachy.

Być może miał rację, ale były bardzo podobne. A kiedy po małej naradzie „Wędrowiec do Świtu” powrócił do prądu, a potem zaczął płynąć przez Jezioro Lili albo Srebrne Morze (używali obu nazw, ale w końcu przyjęło się Srebrne Morze i ta nazwa widnieje na mapie Kaspiana), rozpoczęła się najdziwniejsza część ich podróży. Wkrótce otwarte morze było już tylko cienką granatową kreską na zachodniej części widnokregu. Mieniąca się delikatnym złotem biel otaczała ich ze wszystkich stron, z wyjątkiem lśniącego pasa ciemnozielonej wody za rufą, gdzie okręt rozgarnął liliowe pole. Wszystko to przypominało bardzo krajobraz arktyczny, a gdyby ich oczy nie stały się tak bystre i mocne jak oczy sokołów, blask słońca na tym oceanie bieli - zwłaszcza wczesnym rankiem, gdy słońce było największe - byłby nie do zniesienia. A każdego wieczoru ta sama biel sprawiała, że dzień się wydłużał. Wydawało się, że liliowe pola nie mają końca. Dzień po dniu z tych dziesiątek i setek mil kwiatów unosił się zapach, którego nawet Łucja nie potrafiła opisać: słodki - tak, ale wcale nie usypiający i oszalamiający - świeży, dziki, niesamowity zapach, który zdawał się przenikać do mózgu i sprawiał, że każdy czuł się dość silny, by wbiec na jakąś górę lub walczyć ze słońcem.

- Czuję, że jeszcze trochę i nie wytrzymam tego zapachu - powiedziała Łucja do Kaspiana - a jednak nie chcę, by się skończył.

I Kaspian czuł to samo.

Sondowali dno bardzo często, ale minęło wiele dni, zanim głębokość zmniejszyła się i od tego czasu malała z każdym dniem. Wreszcie nadszedł czas, w którym musieli opuścić prąd, by odtąd posuwać się ostrożnie naprzód na wiosłach. Wkrótce stało się jasne, że „Wędrowiec do Świtu” nie może już płynąć dalej na wschód. Tylko zręczności sternika i wiosłarzy zawdzięczali, że nie osiedli na mieliźnie.

- Opuścić szalupę! - zawołał Kaspian. - Zwołać wszystkich ludzi na pokład. Muszę do nich przemówić.

- Co on zamierza zrobić? - szepnęła Eustachy do Edmunda. - Jest coś dziwnego w jego spojrzeniu.

- Myślę, że wszyscy wyglądamy tak samo - odparł Edmund.

Stanęli obok Kaspiana na pokładzie rufowym i wkrótce cała załoga zgromadziła się u stóp drabiny, aby wysłuchać mowy króla.

- Przyjaciele! - zaczął Kaspian. - Oto osiągnęliśmy cel naszej wyprawy. Wyjaśniliśmy, co się stało z siedmioma baronami, a skoro pan Rycypisk przysiągł tu pozostać, to kiedy wrócicie na wyspę Ramandu, znajdziecie bez wątpienia baronów Reviliana, Argoza i Mavramorna przebudzonych z zaklętego snu. Tobie, lordzie Drinianie, powierzam ten okręt i nakazuję żeglować do Narnii tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. A nade wszystko zabraniam lądowania na Wyspie Śmiertelnej Wody. Przekaż też mojemu regentowi, karłowi Zuchonowi, by rozdał wszystkim członkom tej załogi nagrody, które im obiecałem. Dobrze sobie na nie zasłużyli. A jeśli nie wrócę, jest moją wolą, by regent Zuchon, mistrz Kornelius i borsuk Truflogon oraz lord Drinian wybrali króla Narnii za zgodą...

- Ależ wasza królewska mość - przerwał mu Drinian - czyżbyś zrzekał się tronu?

- Udaję się w dalszą drogę z Rycypiskiem, aby zobaczyć Koniec Świata - rzekł Kaspian.

Z pokładu głównego, na którym zgromadziła się cała załoga, rozległ się cichy pomruk przerażenia.

- Weźmiemy łódź - powiedział Kaspian. - Nie będzie wam potrzebna na tych spokojnych morzach, a na wyspie Ramandu zbudujecie sobie nową. A teraz...

- Kaspianie - odezwał się nagle Edmund stanowczo - nie możesz tego uczynić.

- Z całą pewnością - dodał Rycypisk - wasza królewska mość nie może.

- Zaprawdę, nie - rzekł Drinian.

- Nie mogę? - powiedział Kaspian ostro, wyglądając przez chwilę zupełnie jak jego wuj Miraż.

- Niech mi wasza królewska mość raczy wybaczyć - rzekł Rynelf z dolnego pokładu - ale gdyby jeden z nas to uczynił, powiedziano by, że zdezerterował.

- Nawet biorąc pod uwagę twoją długą służbę, pozwalasz sobie na zbyt wiele, Rynelfie - powiedział Kaspian.

- Nie, panie! Rynelf ma całkowitą rację! - rzekł Drinian.

- Na grzywę Aslana! - zagrział król. - Sądziłem, że jesteście moimi poddanymi, a nie wychowawcami.

- Ja nie jestem twoim poddanym - odezwał się Edmund - i mówię, że NIE MOŻESZ tego zrobić.

- Znowu to „nie możesz” - zachnął się Kaspian. - Czy zdajesz sobie sprawę, co chcesz przez to powiedzieć?

- Jeśli to zadowoli waszą królewską mość - powiedział Rycypisk, kłaniając się nisko - to chcemy przez to powiedzieć, że tego NIE ZROBISZ. Jesteś królem Narnii. Jeśli nie wrócisz, uczynisz wielki zawód wszystkim swoim poddanym, a zwłaszcza Zuchonowi. Nie wolno ci cieszyć się gonitwą za przygodami, jakbyś był prywatną osobą. A jeśli wasza królewska mość nie usłucha głosu rozsądku, każdy człowiek na pokładzie tego okrętu da wyraz swej najprawdziwszej lojalności wobec swego króla, pomagając mi rozbroić cię i związać, aż do czasu, gdy odzyskasz zmysły.

- Tak jest - powiedział Edmund. - Tak, jak uczyniono z Odyseuszem, kiedy chciał rzucić się do morza za syrenami.

Kaspian już kładł dłoń na rękojeści miecza, gdy odezwała się Łucja:

- I przecież prawie przyrzekłeś córce Ramandu, że wrócisz.

Kaspian na moment znieruchomiał, a potem wybąkał:

- Hm... no tak. Rzeczywiście, to jest... - Przez jakąś minutę stał niezdecydowany, po czym powiedział głośno, zwracając się do wszystkich: - No cóż, wasze na wierzchu. Wyprawa skończona. Wszyscy wracamy. Wciągnijcie łódź.

- Panie - odezwał się Rycypisk. - Nie WSZYSCY wracamy. Ja, jak już wyjaśniłem to wcześniej...

- Cisza! - zagrział Kaspian. - Daliście mi lekcję, lecz niech mnie nikt nie prowokuje! Czy nikt nie może uciszyć tej myszy?!

- Miłościwy królu - mówił dalej Rycypisk

- przyrzekłeś być dobrym panem dla mówiących zwierząt w Narnii.

- Tak, dla mówiących zwierząt - zgodził się Kaspian. - Ale nie przyrzekałem niczego zwierzętom, które mówią bez przerwy! - I kipiąc gniewem, zszedł szybko po drabinie, po czym zniknął w sterówce, trzaskając drzwiami.

Ale kiedy inni weszli tam po jakimś czasie, znaleźli go w zupełnie odmiennym nastroju; był bladym, a w oczach miał łzy.

- Na nic się zdało to wszystko! - powiedział.

- Równie dobrze mogłem zachować się skromniej. Skutek byłby ten sam, i to

bez mojego wzburzenia i zadzierania nosa. Aslan do mnie przemówił. Nie, to nie znaczy, że tu naprawdę był. I tak by się nie zmieścił w tej kajucie. Ale ta złota głowa Lwa na ścianie ożyła i przemówiła do mnie. To było straszne... te oczy. Nie mówię, że był srogi... tylko trochę surowy, na początku. Ale i tak to było okropne. Powiedział... powiedział... och, nie mogę tego znieść. Najgorsze, co mógł powiedzieć. Wy macie pójść dalej. Rycypisk, Edmund, Łucja i Eustachy. Ja mam wrócić. Sam. I to zaraz. I co z tego wszystkiego wyszło?

- Kaspianie, kochany mój - powiedziała Łucja. - Przecież wiedziałeś, że wcześniej czy później musimy wrócić do naszego świata.

- Tak - rzekł Kaspian, tłumiąc łkanie - ale to się dzieje wcześniej, niż myślałem.

- Kiedy wrócisz na wyspę Ramandu, poczujesz się lepiej - dodała Łucja.

Nieco później nabrał trochę otuchy, ale dla obu stron było to smutne rozstanie; nie będę się nad nim dłużej rozwodził. Około drugiej po południu napełniona prowiantem i wodą łódź (choć byli przekonani, że jedzenie i picie nie będą im potrzebne), z członem Rycypiska na pokładzie, odbiła od „Wędrowca do Świt”, aby powiosłować przez nie kończący się dywan z lilii. Na okręcie wywieszono wszystkie flagi i tarcze, aby im oddać honory. Stąd, z łodzi otoczonej ze wszystkich stron liliami, „Wędrowiec do Świt” wydał się im niezwykle wysoki, potężny i bardzo swojski. Zanim znikł im z oczu, zobaczyli, jak robi zwrot i zaczyna powoli sunąć na zachód. Ale chociaż Łucja uroniła kilka łez, nie czuła się wcale tak źle, jak można się było spodziewać. Niezwykła jasność, cisza, ostry, przenikliwy zapach Srebrnego Morza, nawet (w pewien niezwykle sposób) samo uczucie osamotnienia - wszystko to było również fascynujące.

Nie musieli wiosłować, bo prąd niósł ich nieustannie na wschód. Żadne z nich nie spało i nie jadło. Przez całą noc i przez cały następny dzień łódź sunęła równomiernie na wschód, a kiedy nastał świt trzeciego dnia - z taką jasnością, że ani wy, ani ja nie bylibyśmy w stanie jej znieść, nawet w ciemnych okularach - zobaczyli przed sobą dziw nad dziwy. Było tak, jakby między nimi a niebem wyrosła ściana - zielonoszara, migocząca ściana. A kiedy wzeszło słońce, ujrzeli je poprzez tę ścianę rozjarzone cudownie wszystkimi barwami tęczy. Teraz zobaczyli, że ściana była w rzeczywistości długą, wysoką falą - falą zatrzymaną w ruchu w jednym miejscu, jak to można często zaobserwować na krawędzi wodospadu. Wydawało się, że ma ze sto metrów wysokości. I właśnie ku tej fali niósł ich wartki prąd. Można było oczekiwać, że pomyślą o grożącym im niebezpieczeństwie. Ale nie. Nie sądzę, by w ich sytuacji

ktokolwiek o tym pomyślał. Bo oto teraz zobaczyli coś nie tylko poza ową falą, ale i POZA słońcem. Gdyby ich wzrok nie został tak cudownie wzmocniony wodą Ostatniego Morza, nie zobaczyliby nawet samego słońca. Ale teraz mogli patrzeć na wschodzące słońce i widzieć je wyraźnie, i widzieć także to, co było za nim. A tam - na wschodzie, poza słońcem - ujrzeli pasmo gór. Były tak wysokie, że albo nigdy nie zobaczyli ich szczytów, albo o tym zapomnieli. Żadne z nich nie zapamiętało, czy po tamtej stronie widać było niebo. A góry musiały być naprawdę poza światem. Jakikolwiek inne góry, nawet gdyby miały choćby tylko jedną piątą ich wysokości, pokrywałyby lód i śniegi. Te jednak były zielone i ciepłe, pokryte lasami i poznaczone wodospadami tak wysoko, jak tylko można było sięgnąć wzrokiem. I nagle ze wschodu uderzył powiew wiatru, strzępiąc szczyt wielkiej fali w pienne jęzory i wichrząc gładką dotąd wodę wokół łodzi. Trwało to zaledwie sekundę, ale tego, co ów podmuch wiatru przyniósł ze sobą, żadne z trojga dzieci nigdy już nie zapomniało. Przyniósł zapach i dźwięk - dźwięk muzyki. Edmund i Eustachy nigdy o tym później nie chcieli mówić. Łucja potrafiła tylko powiedzieć: „To było takie, jakby mi miało za chwilę pęknąć serce!” Zapytałem ją wtedy: „To było takie smutne?” „Smutne? O nie!” - odpowiedziała Łucja.

Nikt w łodzi nie miał wątpliwości, że tam, poza Końcem Świata, widzieli wówczas Krainę Aslana.

W tym momencie rozległ się zgrzyt i łódź oparła się dnem o piasek. Było za płytko, aby płynąć dalej.

- To jest miejsce - powiedział Rycypisk - z którego popłynę dalej już sam.

Nie próbowali go zatrzymać, bo teraz wszystko zdawało się nieuchronne lub - jakby już raz się zdarzyło. Pomogli mu spuścić na wodę jego małe czółno. Potem zdjął rapier („Nie będzie mi już więcej potrzebny”, oświadczył) i rzucił go daleko, w liliowe morze. Rapier wbił się ostrzem w dno, a jego rękojeść widać było pośród kwiatów. Wreszcie pożegnał się z nimi, starając się mieć przy tym smutną minę, ale tak naprawdę, to cały aż dygotał ze szczęścia. Łucja - po raz pierwszy i ostatni w życiu - zrobiła to, co chciała zrobić zawsze: wzięła go w ramiona i mocno przytuliła. Potem chwycił wiosło i szybko wskoczył do czółna, a prąd pochwycił je natychmiast i uniósł ze sobą - czarną plamkę na tle białych lilii. Ale na wodnej ścianie nie było już lilii: wyglądała jak gładkie, zielone zbocze. Czółno nabierało coraz większej szybkości, aż wreszcie wspięło się z łatwością na zbocze gigantycznej fali. Przez ułamek sekundy widzieli jego zarys z Rycypiskiem na samym szczycie. A potem znikło i od tego czasu

nikt nie może powiedzieć, że właśnie widział gdzieś Ryczypiska, waleczną mysz, jeśli nie chce mijać się z prawdą. Co do mnie, to wierzę, że dotarł szczęśliwie do Krainy Aslana i żyje tam do dziś.

Kiedy słońce się podniosło, widok górskiego pasma po tamtej stronie zbladł i w końcu znikł zupełnie. Wielka fala pozostała, lecz poza nią widać było tylko błękitne niebo.

Dzieci wyszły z łodzi i zaczęły brodzić w wodzie - nie w kierunku fali, lecz na południe, z wodną ścianą po lewej ręce. Nie potrafiłyby powiedzieć, dlaczego tak zrobiły: było to ich przeznaczeniem. A chociaż na pokładzie „Wędrowca do Świt” czuły się - i były - bardzo dorosłe, teraz coś się zmieniło. Schwyciły się za ręce, brnąc przez liliowe pola. Zapomniały o zmęczeniu. Woda była ciepła i z każdym krokiem stawała się płytsza. Wreszcie stanęły na suchym piasku, potem na trawie - na rozległej równinie wspaniałej, krótkiej trawy, rosnącej prawie na poziomie Srebrnego Morza i rozciągającej się idealnie gładko w każdym kierunku.

Kiedy się jest na takiej idealnie płaskiej równinie, zawsze WYDAJE SIĘ, że niebo przed nami opada, by połączyć się z trawą. Tak było i teraz. A jednak, kiedy tak szli i szli zieloną równiną, odnieśli dziwne wrażenie, że tutaj niebo naprawdę opada i łączy się z ziemią. Przed nimi wznosiła się błękitna ściana, bardzo jasna, lecz prawdziwa i masywna, bardziej przypominająca szkło niż cokolwiek innego. Wkrótce byli już tego pewni.

Ale między nimi a podnóżem nieba na zielonej trawie jarzyło się coś tak białego, że nawet ich sokole oczy z trudem na to patrzyły. Podeszli bliżej i zobaczyli białe jagnię.

- Chodźcie, śniadanie czeka - powiedziało jagnię swoim słodkim, mlecznym głosem.

Teraz dopiero dostrzegli ognisko płonące na trawie i piekące się na nim ryby. Usiedli i jedli te ryby, odczuwając głód po raz pierwszy od wielu dni. A było to najwspanialsze jedzenie, jakim kiedykolwiek się sycili.

- Powiedz nam, jagniątko - zapytała Łucja - czy tędy wiedzie droga do Krainy Aslana?

- Nie dla was - odpowiedziało jagnię. - Dla was drzwi do Krainy Aslana są w waszym własnym świecie.

- Co?! - zawołał Edmund. - To z naszego świata też jest droga do Krainy Aslana?

- Do mojego kraju można się dostać z każdego świata - powiedziało jagnię, a kiedy to powiedziało, jego śnieżna biel rozkwitła w ciemne złoto, jego rozmiary zmieniły się nagle i stało się samym Aslanem, wznoszącym się nad nimi i rozsiewającym światło z płomienistej grzywy.

- Och, Aslanie - powiedziała Łucja - czy powiesz nam, jak dostać się do twojego kraju z naszego świata?

- Będę wam o tym mówił przez cały czas - rzekł Aslan. - Ale nie powiem wam, jak długa czy jak krótka będzie to droga. Powiem wam tylko, że biegnie przez rzekę. Ale nie lękajcie się tego, bo ja jestem Wielkim Budowniczym Mostów. A teraz chodźcie, otworzę bramę w niebie i pošlę was do waszego kraju.

- Aslanie, mam prośbę - powiedziała Łucja. - Zanim pójdziemy, powiedz nam, kiedy znowu wrócimy do Narnii? Proszę cię, Aslanie. I... och, zrób tak, żebyśmy na to długo nie czekali.

- Moja najmilsza - powiedział Aslan łagodnie - ty i twój brat już nigdy nie wrócicie do Narnii.

- Och, ASLANIE! - zawołali równocześnie Edmund i Łucja głosami pełnymi rozpaczą.

- Jesteście już za dorośli - rzekł Aslan - i musicie teraz zacząć przybliżać się bardziej do waszego świata.

- Tu nie chodzi o Narnię, wiesz przecież - łkała Łucja. - Tu chodzi o CIEBIE. Nie spotkamy CIEBIE. A jak mamy żyć, nigdy już ciebie nie spotykając?

- Ależ spotkasz mnie jeszcze, kochanie - powiedział Aslan.

- Czy ty... czy tam jesteś również, panie? - zapytał Edmund.

- Jestem - rzekł Aslan. - Ale tam noszę inne imię. Musicie mnie rozpoznać pod tym imieniem. Właśnie dlatego zaprowadzono was do Narnii. Przez to, że poznaliście mnie trochę tutaj, będziecie mogli poznać mnie lepiej tam.

- A czy Eustachy też nigdy tutaj nie wróci? - zapytała Łucja.

- Moje dziecko - powiedział Aslan - czy naprawdę musisz to wiedzieć? Chodźcie, otwieram wam bramę w niebie.

A potem wszystko wydarzyło się w jednym momencie: rozwarcie się niebieskiej ściany (jak kurtyna), straszliwe białe światło spoza nieba, muśnięcie grzywy Aslana i jego pocałunek na czole, a potem - powrót do sypialni w domu ciotki Alberty w Cambridge.

Trzeba jeszcze tylko powiedzieć o dwu sprawach. Jedna dotyczy dalszych losów

„Wędrowca do Świtu”. Kaspian i jego ludzie dotarli bezpiecznie na wyspę Ramandu, a trzech baronowie przebudzili się z zaczarowanego snu. Kaspian poślubił córkę Ramandu, z którą powrócił w końcu do Narnii, gdzie została wielką królową, matką i babką wielkich królów. Druga sprawa dotyczy Eustachego. Wkrótce wszyscy zaczęli podziwiać, jak bardzo zmienił się na lepsze, jak „trudno jest poznać, że to ten sam chłopiec”. Wszyscy - prócz ciotki Alberty, która stwierdziła, że zrobił się okropnie pospolity i nudny i że to na pewno skutek przebywania z rodzeństwem Pevensie.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział 1 OBRAZ W SYPIALNI.....
Rozdział 2 NA POKŁADZIE „WĘDROWCA DO ŚWITU”.....
Rozdział 3 SAMOTNE WYSPY.....
Rozdział 4 CO ZROBIŁ KASPIAN.....
Rozdział 5 BURZA - I CO Z NIEJ WYNIKŁO.....
Rozdział 6 PRZYGODY EUSTACHEGO.....
Rozdział 7 JAK SIĘ TA PRZYGODA ZAKOŃCZYŁA.....
Rozdział 8 DWAKROĆ O WŁOS OD ZGUBY.....
Rozdział 9 WYSPA GŁOSÓW.....
Rozdział 10 KSIĘGA CZARODZIEJA.....
Rozdział 11 ŁACHONOGOWIE SĄ SZCZĘŚLIWI.....
Rozdział 12 CIEMNA WYSPA.....
Rozdział 13 TRZEJ ŚPIĄCY.....
Rozdział 14 POCZĄTEK KOŃCA ŚWIATA.....
Rozdział 15 DZIWIY OSTATNIEGO MORZA.....
Rozdział 16 NA SAMYM KOŃCU ŚWIATA.....

C.S. LEWIS

SREBRNE KRZESŁO

Przełożył Andrzej Polkowski

DLA NICHOLASA HARDIE

ROZDZIAŁ 1

POZA MURAMI GIMNAZJUM

BYŁ PONURY JESIENNY DZIEŃ i Julia Pole płakała za budynkiem gimnazjum.

Julia płakała, ponieważ była jedną z ofiar szkolnego gangu znęcającego się nad słabszymi. Nie będzie to szkolna opowieść, więc o szkole, do której chodziła Julia, powiem wam tylko tyle, byście zrozumieli sytuację, zwłaszcza że nie jest to wcale przyjemny temat. Była to szkoła „koedukacyjna”, szkoła dla dziewcząt i chłopców. Dawniej nazywano te szkoły „mieszanymi” i niektórzy byli zdania, że właśnie ta była prawie tak mieszana, jak pomieszane mieli w głowach ci, którzy nią kierowali. Wyznawali oni zasadę, że należy pozwolić dziewczętom i chłopcom na wszystko, na co tylko mają ochotę. A niestety, dziesięcioro czy piętnascioro najsilniejszych chłopców i dziewcząt największą ochotę miało na znęcanie się nad innymi. Różne okropne rzeczy, które w normalnej szkole szybko by wykryto, a ich sprawców przykładowo ukarano, tu działy się spokojnie dzień po dniu i nikt się tym specjalnie nie przejmował. A nawet wówczas, gdy wychowawcy dowiadawali się o tym czy owym, sprawców ani nie wyrzucano ze szkoły, ani nawet nie karano. Dyrektorka uważała, że są oni interesującymi przypadkami psychologicznymi, i bardzo lubiła rozmawiać z nimi całymi godzinami. A jeśli się wiedziało, co trzeba Dyrektorce powiedzieć, można się było nie obawiać żadnej kary - przeciwnie, łatwo zostawało się jej ulubieńcem.

Właśnie dlatego Julia Pole płakała w ten ponury jesienny dzień, spacerując samotnie po mokrej ścieżce na tyłach gimnazjum. I prawie już się wyplakała, gdy nagle zza rogu budynku wyszedł jakiś chłopiec. Pogwizdywał wesoło, ręce trzymał w kieszeniach i omal na nią nie wpadł.

- Nie możesz uważać, jak idziesz? - zapytała Julia Pole.

- No dobrze już, dobrze - powiedział chłopiec. - Nie musisz od razu... - urwał i spojrzał na jej twarz. - Słuchaj, Pole, co ci jest?

Julia nic nie odpowiedziała, a po jej minie poznać było, że gdyby spróbowała mówić, znowu zaczęłaby płakać.

- No tak, a więc to znowu ONI - westchnął chłopiec ponuro, jeszcze głębiej wciskając ręce w kieszenie.

Julia pokiwała głową. Gdyby nawet była w stanie coś powiedzieć, nie było to potrzebne. Oboje wiedzieli.

- A więc posłuchaj - rzekł chłopiec. - Nic nam nie przyjdzie z tego, że...

Miał dobre intencje, ale, niestety, przemawiał jak ktoś, kto zaczyna wykład. Julia nagle wpadła w złość (co jest chyba pierwszą rzeczą, jaka się może zdarzyć, gdy nam nagle przerwą płacz).

- Och, idź już sobie i zajmij się swoimi sprawami - powiedziała. - Nikt cię nie prosił, żebyś się wtrącał. Myślisz, że z ciebie taki mądrała, który nagle oświeci wszystkich, co mają robić? Pewnie chcesz powiedzieć, że powinniśmy IM nadskakiwać od rana do wieczora, liczyć na ICH łaskę i tańczyć, jak zagrają? Założę się, że sam nic innego nie robisz!

- O rany! - zawołał chłopiec, który usiadł na trawie, lecz szybko się poderwał, bo trawa była mokra. Nazywał się, niestety, Eustachy Klarencjusz Scrubb, ale wcale nie był taki zły.

- Pole! - powiedział z wyrzutem. - Czy to uczciwe? Czy zrobiłem coś takiego w tym semestrze? Czy nie postawiłem się Carterowi, gdy chodziło o tego królika? I czy nie dotrzymałem tajemnicy o Spiwinsach, nawet wtedy gdy mnie torturowali? I czy nie...

- Nic o tym nie wiem i wcale mnie to nie obchodzi - powiedziała Julia już przez łzy.

Scrubb zauważył, że jeszcze się nie uspokoiła, i bardzo rozsądnie poczęstował ją gumą do żucia. Po chwili Julia zaczęła widzieć świat w nieco jaśniejszych barwach.

- Przepraszam cię, Scrubb - powiedziała. - Rzeczywiście, niezbyt ładnie się zachowałam. Wiem, że to wszystko robiłeś. W tym semestrze.

- Więc nie mówmy o poprzednim, jeśli ci to nie sprawi różnicy - wtrącił szybko Eustachy. - Byłem wtedy kimś zupełnie innym. Byłem... ech, co tu dużo mówić, byłem ohydną małą pluskwą.

- No cóż, prawdę mówiąc, tak było - powiedziała Julia.

- A więc uważasz, że się zmieniłem?

- Nie tylko ja. Każdy to widzi. ONI też to zauważyli. Eleonora Blakiston słyszała, jak w szatni mówiła o tym Adela Pennyfather. Powiedziała: „Ktoś ma wpływ na tego małego Scrubba. W tym semestrze w ogóle nas nie słucha. Będziemy się musieli nim zająć”.

Eustachy wzdrygnął się. Każdy w szkole widział zbyt dobrze, co oznacza „zajęcie się” kimś przez NICH.

Oboje chwilę milczeli. Krople deszczu spadały z liści wawrzynów.

- Dlaczego tak się zmieniłeś w tym semestrze? - zapytała w końcu Julia.

- Wiele dziwnych rzeczy spotkało mnie podczas wakacji - odrzekł tajemniczo Eustachy.

- Jakich rzeczy?

Eustachy długo nie odpowiadał, aż wreszcie się zdecydował:

- Posłuchaj, Pole. I ty, i ja nienawidzimy tego miejsca tak, jak tylko można czegoś nienawidzić. Zgadzasz się ze mną?

- Jeśli chodzi o mnie, to jestem tego pewna.

- A więc myślę, że mogę ci zaufać.

- Och, Scrubb, wystękał wreszcie, o co ci chodzi!

- Widzisz, to naprawdę straszliwa tajemnica. Słuchaj, Pole, czy potrafisz wierzyć? Chodzi mi o to, czy potrafisz wierzyć w takie rzeczy, które tutaj każdy by wyśmiał?

- Nigdy nie miałam sposobności - odparła Julia - ale myślę, że potrafię.

- Czy uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział, że podczas tych wakacji byłem poza światem... poza TYM światem?

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

- No więc dobrze, nie mówmy o światach. Załóżmy, że ci powiem, że byłem w takim miejscu, w którym zwierzęta mówią i gdzie są, no... czary i smoki, i... no wiesz, różne rzeczy, o których się czyta w bajkach.

Gdy to powiedział, poczuł się bardzo głupio i aż się zaczerwienił.

- Ale jak się tam dostałeś? - zapytała Julia. I ona czuła się dziwnie zakłopotana.

- W jedyny możliwy sposób: dzięki magii - odpowiedział Eustachy prawie szeptem. - Byłem tam z moimi kuzynami. Zostaliśmy po prostu porwani. Oni tam już przedtem byli.

To, że mówili szeptem, w jakiś sposób pomagało Julii uwierzyć. Ale nagle zrodziło się w niej okropne podejrzenie i krzyknęła (tak dziko, że przez chwilę wyglądała jak tygrysica):

- Jeżeli się okaże, że mnie nabierasz, to już nigdy nie będę z tobą rozmawiać. Nigdy! Nigdy! Nigdy!

- Nie nabieram cię - powiedział Eustachy. - Przysięgam, że to prawda. Przysięgam na... na wszystko.

(Kiedy ja chodziłem do szkoły, mówiło się: „Przysięgam na Biblię”. Ale Biblia nie była mile widziana w Eksperymentalnej Szkole Koedukacyjnej.)

- No dobra - zgodziła się Julia. - Wierzę ci.

- I nikomu nie powiesz?

- Za kogo mnie masz?

Po tej wymianie zdań oboje byli bardzo podekscytowani. Ale kiedy Julia rozejrzała się naokoło i zobaczyła ponure jesienne niebo, i usłyszała kapanie deszczu z liści, i pomyślała o całej beznadziejności Eksperymentalnej Szkoły (semestr trwał trzynastę tygodni, a zostało ich jeszcze jedenaście), powiedziała:

- Tylko co to da? Nie jesteśmy tam, jesteśmy tutaj. I nie ma sposobu, żeby TAM się dostać. A może jest?

- O tym właśnie wciąż myślę - odrzekł Eustachy. - Kiedy mieliśmy już wrócić z Tamtego Miejsca, Ktoś powiedział, że rodzeństwo Pevensie (to moi kuzyni, o których ci wspominałem) nigdy już tam nie wróci. Widzisz, oni byli już tam trzy razy. Przypuszczam, że wykorzystali swój przydział. Ale On nigdy nie powiedział, że ja tam nie wrócę. Przecież na pewno by to powiedział, gdybym nie miał tam wrócić, no nie? I wciąż łamię sobie nad tym głowę. Możemy... moglibyśmy...

- Myślisz, że można coś zrobić, aby to się stało? Eustachy pokiwał głową.

- Myślisz, że moglibyśmy nakreślić koło na ziemi... i napisać coś tajemnymi literami w kole... i stanąć w nim... i recytować zaklęcia?

- Cóż... - powiedział Eustachy po dłuższej chwili milczenia, w ciągu której próbował jeszcze raz wszystko przemyśleć - chyba coś takiego chodziło mi po głowie, chociaż nigdy tego nie próbowałem. Ale teraz, jak się nad tym konkretnie zastanawiam, zdaje mi się, że te wszystkie kręgi, zaklęcia i tak dalej to chyba bzdury. Nie sądzę, żeby Jemu się podobały.

Widzisz, wychodziłoby na to, że, według nas, można Go zmusić, aby coś zrobił. A tak naprawdę, to możemy Go tylko prosić.

- O kim ty wciąż mówisz?

- W Tamtym Miejscu nazywają go Aslanem - powiedział Eustachy.

- Co za dziwne imię!

- On sam jest sto razy bardziej dziwny - rzekł Eustachy uroczyście. - Ale do rzeczy. Nie zaszkodzi poprosić. Stań obok mnie, o tak. Wyciągnijmy ręce przed siebie, dłońmi w dół, tak jak to robili na wyspie Ramandu...

- Jakiej wyspie?!

- Opowiem ci o tym innym razem. Trzeba chyba stanąć twarzą na wschód. Zaraz, gdzie jest wschód?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparła Julia.

- To jest właśnie u dziewczyn najdziwniejsze: nigdy nie potrafią określić stron świata.

- Sam ich nie potrafisz wskazać - oburzyła się Julia.

- Potrafię, jeśli tylko nie będziesz mi przeszkadzała. Już wiem. Tam jest wschód, w stronę tych wawrzynów. A teraz, czy powtórzysz za mną?

- Ale co?

- Słowa, jakie zamierzam wypowiedzieć, rzecz jasna - zniecierpliwił się Eustachy. - Teraz!

I zaczął:

- Aslanie! Aslanie! Aslanie!

- Aslanie! Aslanie! Aslanie! - powtórzyła Julia. W tym momencie usłyszeli głos dobiegający zza rogu budynku:

- Pole? Tak, wiem, gdzie jest. Beczy za budą, przy krzakach. Mam ją stamtąd wyciągnąć?

Julia i Eustachy spojrzeli na siebie, dali nurka w krzaki i zaczęli się wspinać po rozmokłym zboczu z szybkością, która dawała im dużą szansę ucieczki. (Dziwne metody nauczania w Eksperymentalnej Szkole powodowały, że większość uczniów nie czyniła

widocznych postępów we francuskim, matematyce, łacinie i innych takich sprawach, za to potrafiła uciekać szybko i cicho, gdy tylko ONI kogoś szukali.)

Po kilku minutach czołgania zatrzymali się, by posłuchać, co się dzieje, i z przerażeniem stwierdzili, że pogoń ruszyła we właściwym kierunku.

- Och, gdyby te drzwi były otwarte! - wyszeptał Eustachy, gdy wspinali się dalej między wawrzynami. Julia tylko pokiwała głową. Na szczycie porośniętego krzakami zbocza wznosił się bowiem mur, a w tym murze były niewielkie drzwi, przez które można było wydostać się na wrzosowisko. Drzwi były zawsze zamknięte. Zdarzało się jednak w przeszłości, że niektórzy zostawiali je otwarte. A może zdarzyło się tak tylko raz - w każdym razie pamięć nawet tego jednego razu podtrzymywała nadzieję wielu uczniów i kazała im co jakiś czas próbować. Łatwo sobie wyobrazić, jak wspaniała byłaby to droga nie zauważonej przez nikogo ucieczki poza teren gimnazjum.

Julia i Eustachy, porządnie już spoceni i zeszywniali, bo musieli się przedzierać między krzakami zgięci w pół, dopadli wreszcie muru. Drzwi były, jak zawsze, zamknięte.

- Można się było tego spodziewać - powiedział Eustachy, szarpiąc zardzewiałą

klamkę, gdy wtem wykrzyknął: - Och! Coś takiego! - bo klamka ustąpiła i drzwi się otworzyły.

Jeszcze przed chwilą marzyli tylko o tym, że gdyby drzwi przypadkiem okazały się otwarte, wyskoczyliby przez nie tak szybko, jak to możliwe, poza mur otaczający szkołę. Ale teraz oboje zamarli, gapiąc się przez otwór i nie mogąc ruszyć się z miejsca. Zobaczyli bowiem coś zupełnie innego niż to, czego oczekiwali.

Spodziewali się zobaczyć szare, porośnięte wrzosem zbocze, zlewające się na horyzoncie z ponurym jesiennym niebem. Zamiast tego oślepił ich blask słońca, wlewający się przez otwarte drzwi, tak jak światło czerwcowego dnia wlewa się do garażu po otwarciu bramy. Na trawie lśniły jak diamentowe paciorki krople deszczu, a na pobrudzonej błotem twarzy Julii błyszczały strumyczki pozostawione przez łyż. Blask słońca płynął ze świata, który z całą pewnością nie wyglądał jak ten świat - nawet jeśli sądzić tylko po tym, co mogli dotąd zobaczyć. A zobaczyli gładką murawę, gładszą i świeższą niż najwspanialszy trawnik, jaki Julia kiedykolwiek widziała, i błękitne niebo, i - polatujące tu i tam - jakieś stworzenia tak jaśniejące i barwne, że mogły być klejnotami lub wielkimi motylami.

Julia od dawna tęskniła za czymś takim, a jednak teraz poczuła lęk. Spojrzała na twarz Scrubba i zobaczyła, że on też się boi.

- No, dalej, Pole, idziemy - powiedział zmienionym głosem.

- A czy będziemy mogli wrócić? Czy to bezpieczne? W tym momencie usłyszeli za plecami cienki, mściwy głos:

- Posłuchaj no, Pole. Każdy wie, że tu jesteś. Złaż z powrotem.

Był to głos Edyty Jackle. Nie należała do gangu, ale była jedną z jego sług i donosicieli.

- Szybko! - krzyknął Scrubb. - Tędy! Daj mi rękę. Nie możemy się rozdzielić. - I zanim Julia zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, złapał ją za rękę i pociągnął za sobą przez drzwi w murze. Poza teren szkoły, poza Anglię, poza cały nasz świat - do Tamtego Miejsca.

Głos Edyty Jackle urwał się tak nagle jak głos w radiu, kiedy się je wyłączy. W tej samej chwili usłyszeli zupełnie inne dźwięki. Wydawały je owe dziwne stworzenia w powietrzu, które teraz okazały się ptakami. Było to bardziej podobne do muzyki - dość hałaśliwej i niezbyt melodyjnej - niż do ptasiego śpiewu w naszym świecie. A tłem tej muzyki była przejmująca cisza. Właśnie ta cisza, w połączeniu ze świeżością powietrza, kazała Julii pomyśleć, że znajdują się na szczycie jakiegoś bardzo wysokiej

góry.

Eustachy trzymał ją wciąż za rękę i szli tak przed siebie, rozglądając się dookoła. Rosły tu wysokie, rozłożyste drzewa przypominające cedry, lecz jeszcze od nich wyższe. Rosły w pewnym oddaleniu od siebie, a ponieważ nie było tu leśnego podszycia, można było widzieć wszystko daleko na lewo i na prawo. I dokąd tylko Julia mogła sięgnąć wzrokiem, wszędzie widziała to samo: gładką murawę, śmigające w powietrzu ptaki o żółtym, błękitnosrebrnym lub tęczowym upierzeniu, granatowe cienie i pustkę. W chłodnym, jaśniejącym powietrzu nie czuło się najłżejszego powiewu wiatru. Był to bardzo dziwny las.

Tylko przed nimi nie było drzew - nie było nic oprócz trawy i błękitnego nieba. Szli przed siebie w milczeniu, aż nagle Eustachy wrzasnął: - Uwaga!! - i pociągnął ją gwałtownie do tyłu. Stali na krawędzi skalnego urwiska.

Julia należała do tych szczęśliwców, którzy nie boją się wysokości. Stanie na skraju przepaści nie robiło na niej żadnego wrażenia. Zła była na Eustachego, że pociągnął ją do tyłu - „jakbym była dzieckiem” - i wyrwała rękę. Zauważyła, że zbladł, i popatrzyła na niego z pogardą.

- O co chodzi? - spytała. I chcąc pokazać, że wcale się nie boi, stanęła zupełnie blisko krawędzi, prawdę mówiąc nieco bliżej, niż miała na to ochotę. Potem spojrzała w dół.

Teraz zrozumiała, że Scrubb miał pewne powody, by zmienić się na twarzy. Żadne urwisko świata nie mogło się równać z tym, co zobaczyła. Wyobraźcie sobie, że patrzycie w dół, na dno przepaści. A potem wyobraźcie sobie, że dno przepaści jest jeszcze dalej: dwa razy dalej, dziesięć razy dalej, dwadzieścia razy dalej. A kiedy już patrzycie w dół, w tę niewiarygodną przepaść, wyobraźcie sobie tam małe, białe plamki, które można na pierwszy rzut oka wziąć za owce, ale w rzeczywistości są chmurami - nie jakimiś strzępami białej mgły, lecz olbrzymimi, białymi, wzdętymi chmurami, wielkimi jak góry. I w końcu, między tymi chmurami, dostrzecie prawdziwe dno przepaści, tak dalekie, że trudno powiedzieć, czy to pola czy las, ziemia czy woda; o wiele niżej POD chmurami, niż wy jesteście NAD nimi.

A Julia na to patrzyła. Pomyślała, że - mimo wszystko - może jednak powinna odsunąć się nieco od krawędzi, ale zawahała się ze strachu i ze wstydu. Nie trwało to jednak długo. Prędko doszła do wniosku, że ma w nosie, co teraz pomyśli o niej Scrubb, i że musi natychmiast cofnąć się od tej straszliwej krawędzi, i że już nigdy nie będzie się śmiać z kogoś, kto ma lęk przestrzeni. Kiedy jednak spróbowała się

poruszyć, stwierdziła, że nie może: nogi jakby jej przyrosły do ziemi. Zakręciło się jej w głowie.

- Co ty robisz, Pole?! Cofnij się, ty... skończona wariatko! - wrzasnął Eustachy, ale jego głos dobiegł ją jakby z daleka. Poczula, że chłopiec próbuje ją złapać, lecz teraz nie panowała już nad swoimi rękami i nogami. Przez chwilę szamotali się na krawędzi przepaści. Julia była zbyt przerażona i zbyt kręciło się jej

w głowie, żeby wiedzieć, co robi, ale dwie rzeczy zapamiętała na całe życie (często do niej powracały w snach). Jedną było to, że wyrwała się z uchwytu Scrubba, upadając przy tym na ziemię. Drugą - że w tym samym momencie Scrubb stracił równowagę i z przeraźliwym krzykiem runął w przepaść.

Na szczęście nie miała czasu, aby zastanowić się nad tym, co zrobiła. Jakieś wielkie białe zwierzę podbiegło do brzegu urwiska i położyło się, wychylając łeb poza krawędź. Najdziwniejsze było to, że zwierzę nie ryczało, nie warczało, tylko DMUCHAŁO - dmuchało szeroko otwartym pyskiem, dmuchało równomiernie i spokojnie, jak odkurzacz z tego drugiego końca. Julia leżała tak blisko, że czuła, jak od tego tchnienia ciało zwierzęcia równomiernie wibruje. Leżała nieruchomo, bo i tak nie mogła wstać. Była bliska omdlenia. Prawdę mówiąc, bardzo chciała zemdleć, ale, niestety, nie mdleje się na zawołanie. Nagle daleko w dole zobaczyła jakiś ciemny punkcik unoszący się powoli w górę, a jednocześnie oddalający się od urwiska. Kiedy już wzniósł się na wysokość szczytu, był tak daleko, że wkrótce zniknął jej z oczu. Julia była prawie pewna, że ów ciemny punkcik zdmuchnęło właśnie to leżące obok stworzenie.

Odwróciła więc powoli głowę i spojrzała na nie. Był to lew.

ROZDZIAŁ 2

JULIA OTRZYMUJE ZADANIE

LEW WSTAŁ, nawet nie spojrzawszy na Julię, i dmuchnął ostatni raz. Potem, jakby zadowolony ze swego dzieła, odwrócił się i powoli odszedł w stronę drzew.

- To musi być sen, to musi być sen, to musi być sen - powtarzała sobie Julia na głos. - Zaraz się obudzę.

Ale to nie był sen i nie obudziła się.

- O Boże, co bym dała za to, żeby być z powrotem w szkole! Co za okropne miejsce! Nie wierzę, żeby Scrubb wiedział o nim więcej niż ja w tej chwili. A jeżeli wiedział, to naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego mu zależało na tym, żeby mnie tu ściągnąć, nie uprzedzając jak tu jest. To nie moja wina, że spadł z urwiska. Gdyby mnie zostawił w spokoju, oboje bylibyśmy cali i zdrowi.

Lecz teraz przypomniała sobie przeraźliwy krzyk Scrubba spadającego w przepaść i wybuchnęła płaczem.

Płacz trochę pomaga - dopóki się płacze. Ale w końcu, wcześniej czy później, trzeba przestać płakać, a wtedy trzeba się zdecydować, co robić dalej. Kiedy Julia wylała już wszystkie łzy, zachciało się jej okropnie pić. Ptaki przestały muzykować i w przejmującej, doskonałej ciszy usłyszała dochodzący z oddali słaby, nieprzerwany dźwięk. Nasłuchiwała uważnie przez chwilę i teraz była już pewna, że to plusk wody.

Wstała i rozejrzała się ostrożnie dookoła. Lew zniknął, ale było tu tyle drzew, że przecież mógł się schować za którymś z nich i obserwować ją z ukrycia. Z tego, co wiedziała o lwach, wynikało, że może ich być kilka. Ale plusk wody jeszcze bardziej wzmógł jej pragnienie. W końcu zebrała całą odwagę i poszła jej

szukać. Szła na palcach, od drzewa do drzewa, przystając co chwila, by rozejrzeć się dookoła.

Las był tak cichy, że nie miała wątpliwości, skąd dochodzi plusk wody. Z każdym krokiem stawał się coraz głośniejszy. Wkrótce - wcześniej niż się spodziewała - doszła do otwartej polany i zobaczyła strumień, czysty jak kryształ, biegnący wśród trawy na odległość rzutu kamieniem. Ale chociaż widok wody sprawił, że poczuła pragnienie dziesięć razy większe, nie podbiegła do niej, aby się napić. Stała, wstrzymując oddech, z otwartymi ustami. A miała do tego powód: po tej stronie strumienia leżał lew.

Leżał z podniesioną głową i wyciągniętymi przed siebie przednimi łapami jak kamienne lwy na Trafalgar Square. Julia wiedziała, że ją zauważył, bo jego oczy

patrzyły przez chwilę w jej oczy, a potem odwrócił głowę, jakby znał Julię dobrze i przestał się nią interesować.

„Jeżeli zacznę uciekać, złapie mnie w mgnieniu oka - pomyślała Julia. - A jeśli pójdę dalej, wpadnę mu prosto w łapy.” Ale i tak nie mogła się ruszyć, gdyby nawet chciała, i nie mogła oderwać od niego oczu. Jak długo to trwało, nie wiedziała, mogło trwać całe godziny. Pragnienie stawało się tak męczące, że była już bliska pozwolenia lwu, by ją pożarł, gdyby tylko miała pewność, że przedtem zdąży przełknąć porządny łyk wody.

- Jeśli jesteś spragniona, możesz się napić. Były to pierwsze słowa, jakie usłyszała od czasu

kłótni ze Scrubbem na skraju przepaści. Przez chwilę rozglądała się tu i tam, szukając tego, kto je wypowiedział. Głos powtórzył:

- Jeśli jesteś spragniona, przyjdź i napij się.

Teraz przypomniała sobie, co Scrubb mówił o zwierzętach w tym innym świecie, i zrozumiała, że słyszy głos lwa. W każdym razie dostrzegła ruch jego warg, a głos na pewno nie był głosem człowieka. Był głęboki, trochę dziki, mocny, przywodzący na myśl ciężkie złoto. Julia nie przestraszyła się, bo nic nie mogło już jej bardziej przestraszyć, ale głos napełnił ją innym rodzajem lęku.

- Czy chce ci się pić? - zapytał Lew.

- UMIERAM z pragnienia - powiedziała Julia.

- A więc pij.

- Czy mogłabym... czy byłoby... czy mógłbyś odejść, kiedy będę pić? - wyjąkała Julia.

Lew tylko na nią popatrzył, a w jego gardle odezwało się coś, co mogło być początkiem straszliwego ryku. Patrząc na jego cielsko, Julia pojęła, że równie dobrze mogłaby prosić górę, aby się przesunęła.

Cudowny, pluszczący śpiew strumienia doprowadzał ją do szału.

- Czy przyrzekniesz, że nie... że nic mi nie zrobisz, jeśli się zbliżę?

- Ja nie przyrzekam - powiedział Lew. Julia była już tak spragniona, że zrobiła krok do przodu, nawet o tym nie wiedząc.

- Czy ty zjadasz dziewczynki?

- Połykałem już dziewczynki i chłopców, kobiety i mężczyzn, królów i cesarzy, miasta i państwa - powiedział Lew. Nie powiedział tego tak, jakby się chwalił albo jakby tego żałował, albo jakby był zły. Po prostu to powiedział.

- Nie mam odwagi, aby podejść i pić - odezwała się Julia.

- A więc umrzesz z pragnienia - rzekł Lew.

- Och, nie! - zawołała Julia, robiąc jeszcze jeden krok w jego stronę. - Czy nie mogłabym pójść i poszukać sobie innego strumienia?

- Nie ma innego strumienia - odpowiedział Lew. Nie przyszło jej do głowy, żeby mu nie uwierzyć; jestem zresztą pewny, że nie przyszłoby to do głowy nikomu, kto widział to spojrzenie. Nagle podjęła decyzję. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką zdarzyło jej się zrobić. Podeszła do strumienia, uklękła i nabrała w dłonie wody - najchłodniejszej i najbardziej orzeźwiającej wody, jaką kiedykolwiek piła. Nie trzeba było pić jej dużo, od razu gasiła pragnienie. Zanim nachyliła się nad strumieniem, przyrzekła sobie uciec od Lwa natychmiast, gdy tylko się napije. Teraz zrozumiała, że byłoby to najgorsze, co mogłaby zrobić. Wyprostowała się i stała bez ruchu z mokrymi ustami.

- Podejź do mnie - powiedział Lew. I Julia musiała to zrobić. Znalazła się prawie między jego przednimi łapami i spojrzała mu w oczy. Ale nie mogła patrzeć długo. Spuściła głowę.

- Ludzkie Dziecię - rzekł Lew - gdzie jest chłopiec?

- Spadł z krawędzi urwiska... - odpowiedziała Julia i dodała szybko: - ...Panie. - Nic innego nie przyszło jej do głowy, a wydawało się zuchwalstwem nie nazwać go w jakiś sposób.

- Jak do tego doszło, Ludzkie Dziecię?

- Próbował mnie uratować. Gdyby nie on, spadłabym w przepaść.

- Dlaczego znalazłaś się tak blisko krawędzi?

- Chciałam pokazać, jaka jestem dzielna.

- To bardzo dobra odpowiedź, Ludzkie Dziecię. Nie rób tego więcej. A teraz - i tu po raz pierwszy głos Lwa zabrzmiał mniej surowo - teraz dowiedz się, że chłopiec czuje się dobrze. Zdmuchnąłem go do Narnii. Twoje zadanie będzie jednak trudniejsze ze względu na to, co zrobiłaś.

- Co to za zadanie? - spytała Julia.

- Jest to zadanie, z powodu którego wezwałem ciebie i jego z waszego świata.

To, co usłyszała, bardzo ją zaskoczyło. „Chyba myli mnie z kimś innym”, pomyślała. Nie śmiała jednak powiedzieć tego na głos, chociaż czuła, że jeśli będzie milczeć, wszystko się jeszcze bardziej pogmatwa.

- Powiedz mi, o czym myślisz, Ludzkie Dziecię? - zapytał Lew.

- Zastanawiam się... to znaczy... czy nie zaszła jakaś pomyłka? Bo przecież nikt mnie i Scrubba nie wzywał. To my sami bardzo chcieliśmy się tu dostać. Scrubb mówił, że musi o to poprosić... tego Kogoś... nigdy nie słyszałam tego imienia... i może wtedy ten Ktoś nam pozwoli. I poprosiliśmy, a potem okazało się, że drzwi są otwarte.

- Nie wzywalibyście mnie, gdybym ja sam was nie wezwał - powiedział Lew.

- A więc to ty jesteś owym Kimś?

- Tak, to ja. A teraz posłuchaj, jakie masz zadanie. Daleko stąd, w krainie Narnii, żyje sędziwy król, bardzo zasmucony, bo nie ma syna, który miał po nim panować. Nie ma dziedzica, ponieważ jego jedyny syn zaginął wiele lat temu i nikt w Narnii nie wie, gdzie on jest i czy jeszcze żyje. Oto moje polecenie: macie szukać tego królewicza dotąd, dopóki go nie znajdziecie i nie przyprowadzicie do jego ojca, chyba że spotka was śmierć... albo też powrócicie do swojego świata.

- Ale jak?... Powiedz mi, Panie, jak mamy tego dokonać?

- Powiem ci, dziecko. Oto są Znaki, którymi będę was prowadził. Pierwszy: gdy tylko chłopiec Eustachy znajdzie się w Narnii, spotka swojego starego, dobrego przyjaciela. Musi go zaraz powitać, a on wam bardzo pomoże. Drugi: musicie opuścić Narnię i udać się na północ, aż znajdziecie ruiny miasta starożytnych olbrzymów. Trzeci: w tych ruinach znajdziecie napis na kamieniu i musicie zrobić to, co napis mówi. Czwarty: poznacie zaginionego królewicza (jeśli go znajdziecie) po tym, że będzie pierwszą osobą w waszej wędrówce, która poprosi was o coś w moje imię, w imię As lana.

Wszystko wskazywało na to, że Lew skończył, i Julia pomyślała, że powinna coś powiedzieć. Powiedziała więc:

- Aha, rozumiem. Bardzo dziękuję.

- Moje dziecko - rzekł Lew łagodnie - być może nie rozumiesz wszystkiego tak, jak ci się wydaje. Ale pierwszy krok to zapamiętanie tego, co ci powiedziałem. Powtórz po kolei wszystkie cztery Znaki.

Julia spróbowała powtórzyć cztery Znaki, ale nie bardzo jej to wyszło. Lew poprawił ją i kazał powtarzać Znaki kilka razy, aż mogła je wyrecytować poprawnie. Wykazywał przy tym wiele cierpliwości, tak że wreszcie Julia nabrała odwagi, by go zapytać:

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, jak się dostanę do Narnii?

- Polecisz tam na moim oddechu - odrzekł Lew. - Zdmuchnę cię na zachód świata, jak to uczyniłem z Eustachym.

- Myślę, że powinnam go złapać we właściwym czasie, żeby mu zdążyć powiedzieć, jaki jest pierwszy *Znak*. Chociaż... to chyba nie ma znaczenia. Jeśli zobaczy swojego starego przyjaciela, to na pewno go pozdrowi, prawda?

- Nie ma czasu do stracenia - powiedział Lew. - Muszę cię tam wysiać natychmiast. Idź przede mną do krawędzi urwiska.

Julia wiedziała zbyt dobrze, że jeśli czas nagli, to tylko z jej winy. „Gdybym się tak nie wygłupiała, bylibyśmy teraz razem, Eustachy i ja. A wtedy on sam usłyszałby wszystkie wskazówki.” Zrobiła więc szybko to, czego Lew żądał. Powrót do krawędzi przepaści nie był przyjemny, zwłaszcza że Lew nie kroczył obok niej, lecz za nią, nie czyniąc przy tym najmniejszego hałasu.

Ale zanim zbliżyła się do krawędzi, usłyszała za sobą głos:

- Zatrzymaj się i stój spokojnie. Za chwilę zacznę dmuchać. Ale przede wszystkim: pamiętaj, pamiętaj, pamiętaj o Znakach. Powtarzaj je sobie, kiedy obudzisz się rano i kiedy będziesz wieczorem kładła się spać, i kiedy przebudzisz się w środku nocy. I cokolwiek dziwnego się wydarzy, niech nic nie wymaże z twojej pamięci Znaków. A po drugie: ostrzegam cię. Tu, na górze, mówiłem do ciebie jasno, ale w Narnii tak nie będzie. Tu, na tej górze, powietrze jest czyste, a twój umysł jasny, kiedy jednak znajdziesz się w Narnii, powietrze będzie gęstsze. Dbaj o to, by nie zaciemniło twojego umysłu. A Znaki, których cię tu nauczyłem, wcale nie będą wyglądały tak, jak się tego spodziewasz. Właśnie dlatego jest tak ważne, aby je dobrze pamiętać i nie sądzić po pozorach. Pamiętaj o Znakach i ufaj Znakom. Wszystko inne nie ma znaczenia. A teraz, Córko Ewy, żegnaj...

W miarę jak kończył mówić, jego głos cichł coraz bardziej, aż ucichł zupełnie. Julia odwróciła głowę i ku swemu zdumieniu zobaczyła skalne urwisko jakieś dwieście metrów za sobą. Na jego krawędzi jaśniała złota plamka, która musiała być Lwem. Słuchając tego, co mówił, Julia zaciskała już zęby i pięści, szykując się na straszliwe uderzenie jego potężnego tchnienia, a tymczasem okazało się tak łagodne, że nawet nie zauważyła, kiedy *znalazła*, się w powietrzu. A teraz - wokół niej, nad nią i tysiące, tysiące metrów pod nią - nie było już nic prócz powietrza.

Jej przerażenie trwało tylko sekundę. Świat był tak daleko, tak nieskończenie daleko, że wydawał się nie mieć z nią nic wspólnego, a unoszenie się w powietrzu na tchnieniu Lwa było łagodne i przyjemne. Odkryła, że może leżeć na plecach albo na brzuchu, albo obracać się w różne strony zupełnie tak jak w wodzie (jeśli się umie naprawdę dobrze pływać). A ponieważ leciała z tą samą prędkością co tchnienie, nie

czuła najłżejszego powiewu. Nie przypominało to również lotu samolotem, bo nie było żadnego hałasu ani wibracji. Gdyby Julia leciała kiedyś balonem, mogłaby pomyśleć, że to wrażenie jest najbliższe, tyle że jej lot był o wiele przyjemniejszy.

Kiedy teraz spojrzała za siebie, mogła po raz pierwszy ocenić prawdziwe rozmiary góry, którą opuściła w tak niecodzienny sposób. Dziwiła się, że tak wielka góra nie była pokryta śniegiem i lodem. „Przypuszczam, że w tym świecie po prostu wszystko dzieje się inaczej”, pomyślała. Potem spojrzała w dół, ale szybowiała tak wysoko, że trudno było wywnioskować, czy leci nad ziemią, czy nad morzem; trudno też było określić szybkość lotu.

- O Boże! Znaki! - zawołała nagle. - Lepiej je powtórzę. - Przez chwilę ogarnęła ją panika, ale okazało się, że wciąż potrafi je wyrecytować we właściwej kolejności. - A więc wszystko w porządku.

- Po czym ułożyła się wygodnie na plecach, jakby była na kanapie, i westchnęła z rozkoszy.

- Hej, niech mnie gęś kopnie, jeśli nie spałam!

- powiedziała do siebie Julia w kilka godzin później.

- Ot, po prostu spałam sobie w powietrzu. Chyba nikt jeszcze tego nie robił przede mną. Nie! Nie bądź głupia, panno Pole! Przecież nieco wcześniej na pewno Scrubb drzemał sobie podczas takiej samej podróży. Ale popatrzmy, co to takiego, tam w dole. Wygląda jak mech...

W dole majaczyła rozległa, ciemnogrnatowa równina. Nie było widać żadnych wzgórz, tylko jakieś duże, białe plamy, przesuwające się powoli po równinie. „To przecież chmury! - pomyślała. - Tylko o wiele większe niż te, które widziałam ze szczytu góry. Chyba dlatego są większe, że są bliżej. Czyżbym się zniżala? Ojej, żeby można było coś zrobić z tym słońcem!”

Słońce, które na początku powietrznej podróży Julii było wysoko nad głową, teraz świeciło prosto w oczy. Eustachy miał zupełną rację, że Julia (nie wiem, jak to jest ze wszystkimi dziewczynkami) nie bardzo się orientuje w stronach świata. Bo gdyby się orientowała, wiedziałyby, że leci prawie dokładnie na zachód.

Przypatrując się granatowej równinie, zauważyła na niej małe, nieco jaśniejsze plamki. „To jest morze! - pomyślała. - I naprawdę, głowę bym dała, że to wyspy.” I miała rację. Bardzo możliwe, że byłaby trochę zazdrosna, gdyby wiedziała, że są to wyspy, które Scrubb widział już kiedyś z pokładu statku (a nawet po niektórych chodził), ale nie miała o tym pojęcia. Nieco później zaczęła dostrzegać zmarszczki na

gładkiej dotąd niebieskiej płaszczyźnie: małe zmarszczki, które musiały być wielkimi morskimi falami dla tych, którzy płynęli pośród nich okrętem. A potem na horyzoncie pojawiła się gruba, ciemna kreska, która tak szybko robiła się coraz grubsza i coraz ciemniejsza, że dosłownie rosła w oczach. Teraz dopiero uświadomiła sobie, jak szybko leciała. I była pewna, że rosnąca w oczach linia jest lądem.

Naraz z lewej strony (ponieważ wiatr dął od południa) pojawiła się wielka, biała chmura, pędząca ku niej na tej samej wysokości. Zanim Julia zrozumiała, co się dzieje, dała nurka prosto w zimną, mokną mglistość. Wstrzymała oddech, lecz na szczęście po kilku sekundach wystrzeliła w pełne słońce, oślepiona jego blaskiem. Ubranie zrobiło się wilgotne. (Miała na sobie żakiet, sweter, krótką spódnicę, pończochy i dość ciężkie buty - w Anglii był to mglisty, chłodny dzień.) Wynurzyła się z chmury o wiele niżej i natychmiast dotarło do niej coś, czego, jak sędzę, powinna się była spodziewać, a jednak było dla niej dużym wstrząsem.

Usłyszała dźwięki. Aż dotąd leciała w całkowitej ciszy. Teraz dobiegł ją po raz pierwszy szum fal i krzyk mew. A potem poczuła zapach morza. Z jaką szybkością leciała! Zobaczyła dwie wielkie fale zderzające się z łoskotem, ale zanim zdążyła się przyjrzeć grzywie piany, która pojawiła się w wyniku tego zderzenia, była już ze sto metrów za nią. Ląd zbliżał się coraz szybciej. W głębi dostrzegła góry, a potem inne pasmo, nieco bliżej brzegu, na lewo od siebie. Widziała zatoki i przylądki, lasy i pola, łąchy piaszczystej plaży. Huk załamujących się na brzegu fal narastał z każdą chwilą i wkrótce zagłuszył wszystkie inne dźwięki.

Nagle wprost przed nią ukazał się ląd. Leciała ku ujściu jakiejś wielkiej rzeki. Była teraz tak nisko, że w pewnej chwili wielki jezior bałwana dosięgnął jej stóp, a bryzgi piany zmoczyły ją aż do pasa. Wyraźnie traciła szybkość. Łagodne tchnienie niesło ją ku lewemu brzegowi rzeki. Było tu tyle niespodziewanych i ciekawych rzeczy, że Julia nie nadążała wszystkiemu dobrze się przyjrzeć: gładka zielona łąka, okręt, tak cudownie pomalowany, że wyglądał jak wielki drogocenny klejnot, wieże i blanki, proporce powiewające na wietrze, tłum, kolorowe stroje, kolczugi, złote ozdoby, miecze, dźwięk muzyki. W każdym razie wiedziała jedno: że ląduje pod drzewami nad brzegiem rzeki, a kilka metrów od niej stoi Eustachy Scrubb.

Kiedy na niego spojrzała, wydał się jej okropnie brudny, niechlujny i bardzo niepozorny. A potem pomyślała: „O Boże, jaka jestem mokra!”

ROZDZIAŁ 3

MORSKA WYPRAWA KRÓLA

TYM, CO SPRAWIAŁO, że Eustachy wydał się jej tak bardzo niepozorny i brudny (sama zresztą nie wyglądała ani trochę lepiej), była wspaniałość tego, co ich otaczało. Lepiej będzie, jak to zaraz opiszę.

Przez przełęcz w górach, które Julia widziała z wysoka w głębi łądu, wlewało się na zielone błonie światło zachodzącego słońca. Na skraju łąki, z chorągiewkami mieniącymi się na szczytach baszt i wieżyczek, wznosił się najwspanialszy zamek, jaki kiedykolwiek widziała. Na brzegu zaś - przystań z wykładanymi marmurem nabrzeżami, a w niej okręt: strzelisty, złotopurpurowy okręt z wysoką dziobówką i jeszcze wyższą sterówką, z wielką flagą na szczycie masztu, z proporcami powiewającymi z pokładów i rzędem jaśniejących srebrem tarcz wywieszonych wzdłuż burt. Z nabrzeża przerzucony był na statek pomost, a przed nim, gotów do wejścia na pokład, stał sędziwy mężczyzna. Ubrany był w królewski szkarłatny płaszcz, który rozchyłał się, ukazując srebrną kolczugę. Na głowie miał złoty diadem. Biała, wełnista broda opadała mu prawie do pasa. Stał wyprostowany, wspierając się jedną ręką na ramieniu bogato ubranego barona, nieco młodszego od siebie, choć również sędziwego i wątlego. Zdawało się, że silniejszy podmuch wiatru może go unieść w powietrze. W oczach miał łzy.

Tuż przed królem - który odwrócił się teraz, aby przemówić do swego ludu przed wejściem na pokład okrętu - stało coś w rodzaju fotela na kółkach, do którego był zaprzężony osiołek niewiele większy od dużego psa. W fotelu siedział gruby karzeł. Ubrany był równie bogato jak król, ale jego tusza i stos poduszek, którymi był obłożony, sprawiały, że efekt był zupełnie różny: wyglądał jak bezkształtny worek z jedwabiu i aksamitu. Był tak stary jak król, lecz bardziej żwawy i krzepki, a oczy miał uderzająco bystre i przenikliwe. Jego łysa, niezwykle duża głowa lśniła w blasku zachodzącego słońca jak olbrzymia kula bilardowa.

Nieco dalej stała półkolem grupa osób, w których nietrudno było się domyślić królewskich dworzan. Już na same ich szaty i zbroje warto było popatrzeć. Prawdę mówiąc, bardziej przypominali kwitnący klomb niż tłum. Ale nie stroje tych ludzi sprawiły, że Julia otworzyła szeroko oczy i usta. Jeśli tylko „ludzie” jest odpowiednim słowem... Przynajmniej czterech na pięciu dworzan wcale nie było ludźmi! Były to istoty, jakich się nie widuje w naszym świecie: fauny, satyry, centaury - Julia potrafiła je nazwać, bo widziała je kiedyś na obrazkach. Były też karły. I mnóstwo zwierząt,

które dobrze znała: niedźwiedzie, borsuki, krety, leopardy, myszy i rozmaite ptaki. Jednak wszystkie te zwierzęta bardzo się różniły od tych, jakie można zobaczyć w Anglii. Niektóre były o wiele większe, na przykład myszy stojące na tylnych łapach miały chyba metr wysokości. A niezależnie od rozmiarów wszystkie zwierzęta wyglądały zupełnie inaczej. Już z samego wyrazu twarzy widać było, że potrafią mówić i myśleć tak jak my.

„Ojej, a więc to wszystko prawda! - pomyślała Julia. - Tylko czy aby na pewno są przyjazne?” Na skraju tłumu zauważyła właśnie dwa lub trzy olbrzymy i jakieś istoty, których w ogóle nie potrafiła nazwać.

W tym momencie przypomniała sobie o Aslanie i Znakach.

- Eustachy! - szepnęła, chwytając go za ramię. - Eustachy, szybko! Czy widzisz kogoś znajomego?

- A więc znowu MIAŁAŚ szczęście? - przywitał ją Scrubb niezbyt miłym tonem (i trzeba przyznać, że miał ku temu powody). - Ale może byś zechciała siedzieć cicho? Chcę posłuchać.

- Nie bądź głupi. Musimy się spieszyć. Czy widzisz tu jakiegoś swojego dawnego przyjaciela? Bo musisz iść i natychmiast do niego przemówić.

- O czym ty właściwie mówisz?

- To Aslan, ten Lew, każe ci to zrobić - odparła Julia z rozpaczą w głosie. - Widziałam go.

- Ach tak? I co on takiego powiedział?

- Powiedział, że pierwszą osobą, którą zobaczysz w Narnii, będzie pewien stary przyjaciel i musisz natychmiast do niego przemówić.

- No cóż, nie ma tu nikogo, kogo bym już widział w swym życiu, a w ogóle to wcale nie mam pewności, czy jesteśmy w Narnii.

- Wydawało mi się, że byłeś tu kiedyś - zauważyła Julia.

- A więc źle ci się wydawało.

- A to dopiero! Mówiłeś, że...

- Na miłość boską, zamknij się wreszcie i pozwól mi posłuchać, co oni tam mówią!

Król powiedział teraz coś do króla, ale Julia nie dosłyszała co. Król nie odpowiedział, tylko pokiwał głową, a potem potrząsnął nią kilka razy. Potem król podniósł głos, zwracając się do całego dworu, ale był to głos tak łamiący się i słaby, że niewiele zrozumiała z tej mowy, zwłaszcza że pełno w niej było imion ludzi i nazw

miejsc, o których nigdy przedtem nie słyszała. Skończywszy swą mowę, król nachylił się i ucałował karła w oba policzki, wyprostował się, podniósł prawą rękę jakby w geście błogosławieństwa i powoli, niepewnym krokiem wszedł na pomost, a potem na pokład okrętu. Dworzanie wyglądali na bardzo wzruszonych jego odjazdem. Pojawiły się chusteczki, a ze wszystkich stron rozległo się pochlipywanie i łkanie. Podniesiono trap, z pokładu sterówki zagrzmiały trąby i okręt odbił od nabrzeża. (Poruszał się na wiosłach, ale tego Julia nie zauważyła.)

- No, a teraz... - zaczął Eustachy, ale nie skończył, ponieważ w tym samym momencie coś wielkiego i białego - Julia myślała przez chwilę, że to latawiec - poszybowało w powietrzu i wylądowało u ich stóp. Był to biały puchacz, tak duży jak sporego wzrostu karzeł. Na przemian mrużył i wytrzeszczał oczy, jakby miał bardzo krótki wzrok, a potem nieco przekrzywił głowę i przemówił matowym, huczącym głosem:

- Tu-huuuu, tu-huuu! Kim jesteście?

- Nazywam się Scrubb, a to jest Pole - powiedział Eustachy. - Czy mógłbyś nam powiedzieć, gdzie jesteśmy?

- W krainie Narnii, przy królewskim zamku Ker-Paravel.

- Czy to król właśnie odpływa?

- Niestety, Niestety - odpowiedział puchacz ponuro, trzęsąc wielką głową. - Ale kim wy jesteście? Otacza was jakaś magia. Widziałem wasze przybycie: PRZYLECIELIŚCIE. Wszyscy byli tak zajęci żegnaniem króla, że nikt o tym jeszcze nie wie. Oprócz mnie. Miałem szczęście was zauważyć. Wasz przylot.

- Zostaliśmy tu przysłani przez Aslana - powiedział Eustachy przyciszonym głosem.

- Tu-huuuu! Tu-huuuu! - zahuczał puchacz, strosząc pióra. - To dla mnie trochę za wiele tak wcześnie wieczorem. Nie czuję się zbyt dobrze przed zachodem słońca.

- Zostaliśmy tu przysłani, aby odnaleźć zaginionego królewicza - wtrąciła Julia, która od pewnego czasu wierciła się niecierpliwie, pragnąc włączyć się do rozmowy.

- Pierwsze słyszę - rzekł Eustachy. - Jakiego znowu królewicza?

- Powinniście od razu iść i porozmawiać z Lordem Regentem - powiedział puchacz. - To ten w wózku zaprzężonym w osła. Karzeł Zuchon. - Odwrócił się i zaczął ich prowadzić, mrucząc do siebie: - Huuuu! Tu-huuuu! Co robić tu-uuu! Trudno mi zebrać myśli. Jest za wcześnie.

- Jak się król nazywa? - zapytał Eustachy.

- Kaspian Dziesiąty - odrzekł puchacz, a Julia ze zdziwieniem spostrzegła, że Scrubb nagle stanął jak wryty, a potem zaczął iść dalej z wypiekami na twarzy. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie. Ale nie miała czasu, by zadać mu jakieś pytanie, bo już stanęli przed karłem, który właśnie ściągał lejce, zamierzając zapewne wrócić do zamku. Tłum dworzan też już się rozszedł, opuszczając nabrzeże jak ludzie powracający z meczu lub wyścigów.

- Tu-huuuu! Lordzie Regencie! - zahuczał puchacz, zbliżając haczykowaty dziób do jego ucha.

- He? Co znowu? - zapytał karzeł.

- Dwoje cudzoziemców, panie - powiedział puchacz.

- Rozjemców? Co masz na myśli? - zdziwił się karzeł. - Widzę dwoje małych, niezwykle brudnych ludzików. Czego chcą?

- Nazywam się Julia - powiedziała Julia, zrobiwszy krok naprzód, chcąc jak najszybciej ukazać wagę sprawy, z jaką przybywają.

- Dziewczynka nazywa się Julia! - huknął puchacz tak głośno, jak potrafił.

- Co? - zawołał karzeł. - Dziewczynka nieżywa się turla? Jest martwa? Nie mogę w to uwierzyć. Co za dziewczynka? Kto ją zabił?

- To jest żywa dziewczynka - powiedział puchacz. - Ma na imię Julia.

- Powiedz wreszcie, o co chodzi - zniecierpliwiał się karzeł - i przestań mi brzęczeć i ćwierkać do ucha. Kto został zabity?

- Nikt nie został zabity - huknął puchacz.

- Kto?

- NIKT!

- W porządku, w porządku. Nie musisz wrzeszczeć. Nie jestem w końcu tak głuchy. Ale dlaczego właściwie przychodzisz tu i mówisz mi, że nikt nie został zabity? Dlaczego ktoś miałby być zabity?

- Powiedz mu lepiej, że ja nazywam się Eustachy

- wtrącił się Scrubb.

- Chłopiec nazywa się Eustachy - zahuczał puchacz ze wszystkich sił.

- Strachy? - spytał karzeł lekko poirytowany.

- Trudno zaprzeczyć, że wyglądają jak strachy. Czy jest jakiś powód, dla którego mieliby być przyjęci na dworze? He?!

- Nie strachy - wyjaśnił puchacz. - EUSTACHY!

- Nosy w piachy? To po nich widać. Nie wiem tylko, o czym ty właściwie mówisz. Ale coś ci powiem, panie Świecopuchu. Kiedy byłem młodym karłem, w tym kraju BYŁY mówiące zwierzęta, które rzeczywiście potrafiły mówić. Nie mamlać, mamrotać i szeptać, ale mówić. I mam już tego naprawdę dość. Nie będziemy tego dłużej tolerować, mój panie. Urnusie, moja trąbka...

Mały faun, który przez cały czas stał spokojnie przy wózku, podał mu srebrną trąbkę. Przypominała instrument muzyczny zwany serpentem. Karzeł założył ją na szyję, wtykając cienki koniec do ucha. Wykorzystując chwilę przerwy w rozmowie, puchacz szepnął do dzieci:

- Mój mózg pracuje już nieco lepiej. Nie mówcie nic o zaginionym królewiczu. Później wam to wyjaśnię. To nic nie da tu, tu-huuu! Och, co za awantu-uura!

- No, a teraz - rzekł karzeł - jeśli MASZ coś do powiedzenia, mistrzu Świecopuchu, spróbuj to wreszcie zrobić. Weź głęboki oddech i staraj się nie mówić zbyt szybko.

Przy pomocy dzieci i pomimo ataku kaszlu, jaki złapał karła w trakcie rozmowy, Świecopuch wyjaśnił, że cudzoziemcy zostali wysłani przez Aslana, aby złożyć wizytę na dworze króla Narnii. Karzeł popatrzył na nich bystro z zupełnie innym wyrazem twarzy.

- Przysłani przez samego Lwa, he? - powiedział. - Z tego... hm... z tego Innego Miejsca... za końcem świata, he?

- Tak, mój panie! - wrzasnął Eustachy do wylotu trąbki.

- Syn Adama i Córka Ewy, he? - zapytał karzeł. Ale w Eksperymentalnej Szkole nie uczono o Adamie i Ewie, więc Julia i Eustachy nie mogli tego potwierdzić. Na szczęście karzeł nie zwrócił na to uwagi.

- Cóż, moi kochani - przemówił, biorąc każde za rękę i przechylając lekko głowę. - Jesteście tu bardzo miłymi gośćmi. Gdyby król, mój biedny pan, nie pozeğłował dopiero co ku Siedmiu Wyspom, na pewno bardzo by się ucieszył z waszego przybycia. Na pewno choć na chwilę... ach na chwilę... przywróciłoby mu to jego młodość. No, ale już najwyższy czas na kolację. Jutro rano opowiecie mi dokładnie, co za sprawa was tu sprowadza. Mistrzu Świecopuchu, dopilnuj, aby goście otrzymali wszystko, co trzeba, kwatery, stroje, wszystko, jak przystało na najbardziej honorowych gości. I, Świecopuchu, nachyl ucha...

Tu karzeł zbliżył usta do ucha puchacza, mając bez wątpienia zamiar powiedzieć coś szeptem, ale, jak to bywa z głuchymi, nie potrafił najlepiej ocenić siły

swojego głosu i dzieci usłyszały wyraźnie, jak dodał:

- I przypilnuj, żeby się dobrze umyły!

Potem lekko potrząsnął lejcami i osiołek ruszył w stronę zamku czymś pomiędzy truchtem konia i chodem kaczki (był to bardzo mały i gruby osioł), podczas gdy faun, puchacz i dzieci podążali za nim nieco wolniej. Słońce już zaszło i robiło się coraz chłodniej.

Przeszli przez błonie, a potem przez sad do Północnej Bramy Ker-Paravelu. Brama była otwarta. Wewnątrz zobaczyli porośniętą trawą dziedziniec. Okna w wielkiej sali tronowej (po prawej stronie) i w wielu różnych budynkach przed nimi jarzyły się już światłem. Właśnie tam poprowadził ich puchacz, a kiedy już byli w środku, zabrał gdzieś Eustachego, zostawiając Julię z wezwaną wcześniej cudowną istotą. Była to młoda dziewczyna, niewiele wyższa od Julii, ale o wiele bardziej smukła i z pewnością starsza, pełna wdzięku młodej wierzby. Prawdę mówiąc, jej włosy były naprawdę bardzo wierzbowate i wydawało się, że jest w nich mech. Dziewczyna zaprowadziła Julię do okrągłej komnaty w jednej z wieżyczek, gdzie w podłogę wpuszczona była balia, na palenisku płonęły polana słodko pachnącego drewna, a ze sklepionego sufitu zwieszała się na srebrnym łańcuchu lampa. Okno wychodziło na zachód i Julia ujrzała przez nie czerwone, szybko ciemniejące niebo poza dalekimi szczytami gór. Na ten widok zatęskniła za nowymi przygodami i poczuła, że to dopiero początek.

Kiedy się wykąpała, wyszczotkowała włosy i włożyła szaty, które jej przygotowano - a były to takie szaty, że nie tylko miło ich było dotykać, ale wyglądały miło, pachniały miło i szeleściły miło przy poruszaniu - miała właśnie zamiar wrócić, aby jeszcze raz popatrzeć przez okno w łaźni na ten wspaniały, ekscytujący widok, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę wejść - powiedziała Julia. Wszedł Eustachy, też już wykąpany i ubrany we wspaniałe narnijskie szaty. Ale nie wyglądał na bardzo zadowolonego.

- Więc wreszcie jesteś - powiedział sucho, opadając na krzesło. - Dość długo cię szukałem.

- No i znalazłeś. Słuchaj, Eustachy, czy to wszystko nie jest zbyt szalone i niesamowite, by dało się wyrazić słowami? - Na chwilę zupełnie zapomniała o Znakach i zaginionym królewiczu.

- Tak myślisz? - zapytał Eustachy, a po chwili dodał: - Wiele bym dał za to, żebyśmy się tu nie znaleźli.

- Co ci przyszło do głowy?

- Nie mogę tego znieść. Widok króla Kaspiana... trzęsącego się starca... to... to... okropne.

- Ale dlaczego? Dlaczego ci to przeszkadza?

- Ach, nie możesz tego zrozumieć. Teraz dopiero do mnie dotarło, że nie możesz. Nie powiedziałem ci, że w tym świecie czas biegnie zupełnie inaczej niż w naszym.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czas, który tu spędzamy, nie zabiera nic z naszego czasu na ziemi. Rozumiesz już? Możemy tu być nie wiem jak długo, a jednak wrócimy do Eksperymentalnej Szkoły w tym samym momencie, w którym ją opuściliśmy.

- To wcale nie jest zabawne...

- Och, cicho bądź! Przestań wreszcie przerywać. A kiedy się jest z powrotem w Anglii - w naszym świecie - nigdy się nie wie, ile czasu upływa tutaj. U nas mija rok, a tu, w Narnii, może upłynąć każda liczba lat. To rodzeństwo Pevensie, o którym ci już mówiłem, wszystko mi wyjaśniało, ale ja, głupi, zupełnie o tym zapomniałem. A teraz najwyraźniej upłynęło z siedemdziesiąt lat, narnijskich lat, od czasu, kiedy byłem tu ostatnim razem. Czy teraz rozumiesz? I wracam tu, i widzę Kaspiana starcem.

- A więc król BYŁ twoim dawnym przyjacielem? - wykrzyknęła Julia. Przeraził ją sens tego zdania.

- Pewno, że był - powiedział Eustachy ze smutkiem. - Był tak dobrym przyjacielem, że trudno to sobie w ogóle wyobrazić. I ostatnim razem miał zaledwie parę lat więcej ode mnie. I kiedy teraz widzę tego starca z białą brodą, i kiedy przypominam sobie Kaspiana, jakim był tego ranka, gdy wzięliśmy szturmem Samotne Wyspy, albo w walce z wężem morskim... Nie, to straszne! To gorsze, niż gdybym zastał go martwym.

- Och, przestań wreszcie gadać! - zdenerwowała się Julia. - Jest gorzej, niż myślisz. Nawaliliśmy przy pierwszym Znaku.

Oczywiście Eustachy nic z tego nie rozumiał. Julia opowiedziała mu więc o swojej rozmowie z Aslanem, o czterech Znakach i o postawionym przed nimi zadaniu odnalezienia zaginionego królewicza.

- No więc teraz rozumiesz, co się stało - zakończyła. - Zobaczyłeś swojego starego przyjaciela, tak jak Aslan powiedział, i powinieneś od razu do niego podejść i przemówić. Ale nie zrobiłeś tego i od samego początku poszło nam bardzo źle.

- Ale skąd mogłem o tym wiedzieć?! - zapytał Scrubb.

- Wystarczyłoby, żebyś mnie wysłuchał, kiedy ci to próbowałam powiedzieć, a wszystko byłoby w porządku.

- Tak, i gdybyś się nie wygłupiała na krawędzi przepaści i prawie mnie tam nie zamordowała... Tak, powiedziałem ZAMORDOWAŁA i będę to powtarzał tak często, jak mi się będzie podobało. Przestań się gorączkować. To jasne, że byłoby inaczej, gdybyśmy tu przybyli razem i gdybyśmy oboje wiedzieli, co robić.

- Czy na pewno to ON był pierwszą osobą, którą zobaczyłeś? Musiałeś tu przecież wylądować parę godzin przede mną. Jesteś pewien, że przedtem nikogo innego nie widziałeś?

- Przyleciałem zaledwie minutę przed tobą. Aslan musiał cię tu zdmuchnąć trochę szybciej niż mnie. Pewnie ze względu na stracony czas, stracony przez CIEBIE.

- Nie bądź świnia, Eustachy - zezłościła się Julia. - Hej! A co to takiego?

Był to dźwięk dzwonu wzywający na kolację i w ten sposób ich rozmowa, która zanosila się na ostrą sprzeczkę, została szczęśliwie przerwana.

Podana w wielkiej sali królewskiej kolacja była najwspanialszą ucztą, jaką każde z nich kiedykolwiek widziało. Chociaż bowiem Eustachy był już kiedyś w tym świecie, spędził cały czas na morzu i nie miał pojęcia o gościnności i dworskości Narnijczyków w ich własnym kraju. Z sufitu spływały barwne chorągwie, a wniesienie każdego dania poprzedzały fanfary i bębny. Były tam zupy, na których samo wspomnienie ślinka napływa do ust, były wyborne ryby zwane pawenderami, dziczyzna, pawie i pasztety, lody, galaretki, owoce i orzechy oraz najrozmaitsze gatunki win i soków owocowych. Nawet Eustachy rozochocił się i zauważył, że „to jest naprawdę coś”. A kiedy już zaspokojono głód i pragnienie, wystąpił niewidomy bard i opowiedział starą, słynną sagę o Księciu Korze, o Arawis i o koniu Bri, znaną pod tytułem *Koń i jego chłopiec*. Jest to opowieść o przygodach, jakie działy się w Narnii, w Kalormenie i w krajach leżących między nimi w Złotym Wieku, kiedy Wielkim Królem na Ker-Paravelu był Piotr. (Nie mam czasu, aby ją teraz opowiedzieć, ale muszę to kiedyś zrobić, bo warto.)

Kiedy śmiertelnie znużeni wlekli się po schodach do swoich sypialni, Julia ziewnęła i powiedziała:

- Założę się, że tej nocy będziemy dobrze spać.

Jak mało się niekiedy wie, co ma się stać w najbliższej przyszłości!

ROZDZIAŁ 4

SOWI SEJM

ŚMIESZNE TO, ALE PRAWDZIWE: im bardziej jest się śpiącym, tym więcej czasu upływa, zanim się położy do łóżka, zwłaszcza gdy się ma to szczęście, że w pokoju jest kominek. Julia stwierdziła, że za nic nie zacznie się rozbierać, dopóki nie posiedzi choć trochę przed płonącym kominkiem. A kiedy już usiadła, nie chciało się jej wstać. Chyba po raz piąty mówiła sobie: „Muszę iść do łóżka”, gdy nagle usłyszała bębnienie w okno.

Poderwała się, rozchyliła zasłonę i przez chwilę nie widziała nic prócz ciemności. Potem wzdrygnęła się i gwałtownie odskoczyła, ponieważ coś wielkiego przycisnęło się do szyby, robiąc straszny hałas. Bardzo nieprzyjemna myśl wpadła jej do głowy: „A może są tutaj jakieś olbrzymie ćmy?” Wstrząsnęła się z odrazy. Ale za chwilę to coś pojawiło się znowu i tym razem była pewna, że zobaczyła zakrzywiony dziób i że to ten dziób bębnił w grube szkło z alarmującym hałasem. „To jakiś wielki ptak - pomyślała Julia. - Czyżby orzeł?” Nie miała zbytnej ochoty na czyjeś odwiedziny, nawet jeśli to miał być orzeł, ale otworzyła okno i wyjrzała. Naraz coś wylądowało na parapecie z głośnym łopotem i stało tam, wypełniając sobą całe okno, tak że Julia musiała się szybko cofnąć, aby zrobić mu miejsce. Był to puchacz.

- Sza! Ciiiiicho! Tu-huuu, tu-huuu! - powiedział. - Nie rób hałasu. Słuchajcie, czy wy dwoje naprawdę chcecie zrobić to, co macie zrobić?

- Chodzi ci o zaginionego królewicza? - zapytała Julia. - Tak, chcemy. - Przypomniała sobie głos i twarz Lwa, o czym prawie zupełnie zapomniała podczas uczty i bajecznych opowieści w wielkiej sali.

- Świetnie! - rzekł puchacz. - A więc nie traćmy czasu. Muszę was natychmiast stąd zabrać. Polecę i obudzę tego drugiego człowieka. A potem wrócę po ciebie. Lepiej zostaw te dworskie szaty i włóż coś, w czym można podróżować. Będę tu za dwa okamgnienia. Tu-huuuu!

Gdyby Julia była bardziej oswojona z przygodami, mogłoby się w niej zrodzić jakieś podejrzenie, ale nawet jej to nie przyszło do głowy. Na samą myśl o nocnej wyprawie zapomniała, że jest śpiąca. Przebrała się w sweter i spódnicę - na pasku spódnicy wisiał harcerski nóż, który mógł się przydać - i dodała do tego kilka rzeczy pozostawionych w sypialni przez dziewczynę o wierzbowych włosach. Wybrała krótką, sięgającą kolan pelerynę z kapturem („Będzie jak znalazł, gdyby zaczęło padać”,

pomyślała), kilka chusteczek i grzebień. Potem usiadła i czekała.

Już prawie znowu zasypiała, gdy puchacz wrócił.

- Jesteś gotowa? - zapytał.

- Lepiej będzie, jak ty poprowadzisz - zauważyła Julia. - Nie orientuję się jeszcze zbyt dobrze w tych wszystkich korytarzach.

- Tu-huuuu! - zahuczał puchacz. - Nie będziemy szli przez zamek. Nic by z tego nie wyszło. Musisz wsiąść na mnie. Polecimy.

- Och! - krzyknęła Julia i stała z otwartymi ustami, niemile zaskoczona. - Czy nie jestem dla ciebie za ciężka?

- Tu-huuu! Tu-huuu! Nie bądź głupia. Już przewiozłem na swoim grzbiecie tego drugiego. Dalej! Ale przedtem lepiej zgaś lampę.

Gdy tylko zgasła lampę, kawałek nocy, jaki widać było w oknie, nieco pojaśniał: nie był już czarny, lecz szary. Puchacz stanął na parapecie tyłem do komnaty i podniósł skrzydła. Julia musiała się wdrapać na jego gruby, krótki tułów, umieścić kolana pod skrzydłami i mocno je ścisnąć. Pierze ptaka było cudownie miękkie i ciepłe, ale nie bardzo miała się czego trzymać. „Ciekawa jestem, jak czuł się Scrubb podczas swojej przejażdżki”, pomyślała. I w tym samym momencie ptak dał strasznego nurka z parapetu. Jego skrzydła musnęły uszy Julii, a nocne powietrze, nieco chłodne i wilgotne, uderzyło ją w twarz.

Było o wiele jaśniej, niż oczekiwała, a chociaż niebo pokrywały chmury, bladobrzysta plama wskazywała na położenie księżyca. W dole pola miały szarawy odcień, a drzewa były czarne. Wiał wiatr, szumiący i porywisty, co wróżyło deszcz.

Puchacz zatoczył koło i zamek był teraz przed nimi. Tylko w kilku oknach paliło się światło. Przelecieli nad nim, kierując się na północ, ponad rzeką. Zrobiło się chłodniej. Julii wydawało się, że widzi białe odbicie puchacza w wodzie. Ale wkrótce znaleźli się nad północnym brzegiem rzeki. Lecieli teraz ponad lasem.

Puchacz rzucił się gwałtownie w bok, kłapiąc dziobem.

- Och nie, błagam! - zawołała Julia. - Nie rób takich sztuczek. O mało mnie nie zrzuciłeś.

- Wybacz - rzekł puchacz. - Właśnie trafił mi się nietoperz. Nie ma nic bardziej pożywnego niż mały, pulchny nietoperz. Złapać ci jednego?

- Nie, dziękuję - odpowiedziała Julia. Lecieli teraz trochę niżej i przed nimi pojawił się wielki, czarny kształt. Julia miała akurat tyle czasu, aby zauważyć, że to jakaś wieża - częściowo zrujnowana i obrośnięta bluszczem - i musiała szybko

pochylić głowę, aby nie uderzyć w kamienny łuk, gdy puchacz wleciał do środka przez obrośnięty i zasnuty pajęczyną otwór w szczycie wieży. Po szarości nocy było tu zupełnie ciemno, a powietrze pachniało stęchlizną. Gdy tylko zsunęła się z grzbietu ptaka, wyczuła (jak to się zwykle czuje nawet w ciemnościach), że wewnątrz jest zatłoczone żywymi istotami. A kiedy ze wszystkich stron rozległo się „Tu-huuu! Tu-huu-u-u!”, wiedziała, że zatłoczone jest sowami i puchaczami. Odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała zupełnie inny głos:

- Czy to ty, Pole?

- A to ty, Scrubb? - odpowiedziała pytaniem Julia.

- A więc do dzieła - odezwał się Świecopuch.

- Myślę, że są już wszyscy. Zaczynamy posiedzenie sejm.

- Tu-huuuu, tu-huuuu. Wierzmy mu. Tu się zgadzamy, tu szkoda słów - odezwało się kilkanaście głosów.

- Chwileczkę - rozległ się głos Eustachego. - Muszę jednak najpierw powiedzieć kilka słów.

- Mów, mów - powiedziały sowy, a Julia dodała: - Wal śmiało!

- Przypuszczam, że wy wszyscy, przyjaciele, znaczy się sowy i puchacze, a więc sądzę, że wszyscy wiecie, że król Kaspian Dziesiąty za swych młodych lat pożegłował na wschodni kraniec świata. Podróżowałem razem z nim, z nim i z Rycypiskiem, wodzem myszy, i z kapitanem Drinianem, i z innymi, którzy byli na pokładzie. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale w naszym świecie ludzie nie starzeją się tak szybko jak tu, w Narnii. A to, co chcę wam powiedzieć, brzmi następująco: jestem człowiekiem króla i jeśli ten sowi sejm jest jakimś spiskiem przeciw królowi, nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Tu-huuuu, tu-huuuu, przecież jesteś wśród królewskich puchaczy i sów! - oburzyły się głosy.

- O co więc właściwie chodzi? - zapytał Eustachy.

- Chodzi tylko o to - rzekł Świecopuch - że gdyby Lord Regent, karzeł Zuchon, usłyszał, że zamierzacie szukać zaginionego królewicza, nie pozwoliłby wam na to. Prędzej by was kazał trzymać pod kluczem.

- Na wielkiego smoka! - zawołał Scrubb. - Czy chcecie mi wmówić, że Zuchon jest zdrajcą? Wiele o nim słyszałem w tamtych dniach, na morzu. Kaspian, to jest król, miał do niego pełne zaufanie.

- Och, nie, nie! - rozległy się głosy. - Zuchon nie jest zdrajcą. Ale już ponad

trzydziestu śmiałków, rycerzy, centaurów, dobrych olbrzymów i innych wyruszyło na poszukiwanie królewicza i żaden z nich dotąd nie wrócił. I w końcu król oznajmił, że nie chce, aby wszyscy najdzielniejsi Narnijczycy zginęli z powodu jego syna. I teraz nikomu nie wolno wyruszać na jego poszukiwanie.

- Ale jestem pewien, że NAM pozwoli - powiedział Eustachy - kiedy pozna, kim jestem i kto mnie przysłał.

- Kto przysłał nas oboje - wtrąciła Julia.

- Tak - odezwał się Świecopuch. - Myślę, że to bardzo prawdopodobne. Ale król jest daleko. A Zuchon będzie się trzymał zasad. On jest nieugięty jak stal, ale głuchy jak pień, a do tego bardzo porywczy. Możecie go nie przekonać, że tym razem powinien odstąpić od prawa.

- Może wam się wydawać, że powinien posłuchać NAS, bo jesteście sowami, a każdy wie, jak mądre są sowy - odezwał się inny głos. - Ale Zuchon jest bardzo stary i powie tylko: „Dla mnie jesteście tylko pisklakami. Pamiętam was, jak byliście w jajkach. Nie próbujcie mnie uczyć, mości panowie. Na raki i robaki!”

Sowa nieźle naśladowała głos Zuchona i w ciemności rozległy się zewsząd sowie śmiechy. Dzieci zaczęły rozumieć, że Narnijczycy traktują Zuchona jak uczniowie jakiegoś gderliwego nauczyciela, którego wszyscy trochę się boją, ale z którego za plecami się śmieją, choć w zasadzie nie ma takiego, kto by go naprawdę nie lubił.

- Jak długo nie będzie króla? - zapytał Eustachy.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli! - westchnął Świecopuch. - Trzeba wam wiedzieć, że rozeszły się ostatnio pogłoski, jakoby na Wyspach widziano samego Aslana, zdaje się, że to było w Terebincie. I król oznajmił, że musi jeszcze raz spróbować zobaczyć Aslana twarzą w twarz, i zapytał swoich doradców, kto ma być po nim królem. Ale wszyscy się obawiamy, że jeśli nie spotka Aslana w Terebincie, popłynie dalej na wschód, do Siedmiu Wysp i do Samotnych Wysp, i jeszcze dalej i dalej. Nigdy o tym nie mówił, ale wszyscy wiemy, że nie może zapomnieć swojej podróży na koniec świata. Jestem pewien, że w najgłębszym zakątku swego serca pragnie tam pożeglować raz jeszcze.

- A więc czekanie na jego powrót nic nie da - stwierdziła Julia.

- Nic nie da, nic nie da - zgodził się puchacz. - Och, tu-huuu, co można zrobić tuuu! Byłoby inaczej, gdybyście to wcześniej wiedzieli i od razu do króla podeszli. Wszystko by odpowiednio zorganizował. Na pewno dałby wam armię, abyście na jej

cele wyruszyli na poszukiwanie zaginionego królewicza.

Julia słuchała tego w milczeniu i miała nadzieję, że Scrubb będzie na tyle wspaniałomyślny, że nie wyjaśni sówom, dlaczego tak się nie stało. I rzeczywiście był, a w każdym razie prawie był. Mruknął bowiem pod nosem: „No cóż, nie MOJA to wina” i dopiero potem podniósł głos:

- A więc dobrze. Będziemy musieli poradzić sobie bez króla. Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym wyjaśnić. Jeżeli ten sowi sejm, jak to nazywacie, jest całkowicie legalny, uczciwy i nie kryje żadnych złych zamiarów, to dlaczego musi się odbywać w takiej tajemnicy? Dlaczego spotykacie się w jakichś ruinach, w środku nocy?

- Tu-huuu! Tu-huuu! - zahuczało kilkanaście głosów. - A gdzie, według ciebie, mielibyśmy się spotkać? I kiedy można się spotkać, jeżeli nie w nocy?

- Wszystkim wiadomo - rozległ się znowu głos Świecopucha - że większość mieszkańców Narnii rzeczywiście ma takie nienaturalne zwyczaje. Robią to, co mają do zrobienia, w dzień, w pełnym, oślepiającym słońcu (uch!), kiedy powinno się spać. I skutek jest taki, że w nocy są tak nieprzytomni i ślepi, że nie można z nich wydusić nawet jednego słowa. Dlatego my, sowy i puchacze, jeśli chcemy coś omówić, mamy w zwyczaju spotykać się o rozsądnej porze, o naszej własnej porze.

- Rozumiem - rzekł Scrubb. - No cóż, myślę, że nie będziemy dyskutowali na ten temat. Opowiedzcie nam wszystko, co wiecie o zaginionym królewiczu.

I jakiś stary puchacz, już nie Świecopuch, opowiedział całą historię.

Jakieś dziesięć lat temu, kiedy Rilian, syn Kaspiana, był jeszcze bardzo młodym rycerzem, pewnego majowego ranka wybrał się wraz z królową, swoją matką, na konną przejażdżkę po północnej marchii. Towarzyszyło im wielu giermków i dworek, a wszyscy mieli na głowach wieńce ze świeżych liści i rogi myśliwskie u boku, choć nie zabrali psów, ponieważ nie miało to być polowanie, lecz majówka. Około południa dojechali do jakiegoś miłego zakątka, gdzie wśród miękkiej trawy tryskało z ziemi źródelko. Rozsiedłali konie, jedli i pili, i bardzo się weselili. Po jakimś czasie

królowej zachciało się spać, rozłożyli więc dla niej płaszcze na murawie, a królewicz Rilian z resztą dworzan odeszli nieco dalej, aby ich głosy i śmiechy nie przeszkadzały królowej w drzemce. I zdarzyło się, że z lasu wynurzył się ogromny wąż i ukąsił ją w rękę. Wszyscy usłyszeli jej krzyk i pobiegli zobaczyć, co się stało, a Rilian był pierwszy u jej boku. Zobaczył gada pełzającego w trawie i pobiegł za nim z obnażonym mieczem. Wąż był olbrzymi, lśniący i zielony jak trucizna, a ślizgał się po

trawie tak szybko, że wkrótce zniknął mu z oczu w gęstych zaroślach. Królewicz wrócił więc do matki, lecz wystarczyło mu jedno spojrzenie, by zrozumieć, że wszystkie wysiłki dworek i paziów są daremne: naprawdę, nie pomógłby jej już żaden lek. Umierająca królowa próbowała mu coś powiedzieć, ale siły już ją opuściły i Rilian nie mógł zrozumieć ani słowa. Nie minęło nawet dziesięć minut od chwili, gdy usłyszeli jej krzyk, i zmarła, nie przekazawszy synowi tego, co tak bardzo chciała mu powiedzieć.

Zanieśli ciało królowej do Ker-Paravelu, gdzie opłakiwał ją gorzko Rilian, król i cała Narnia. Była naprawdę wielką panią, pełną wdzięku i szczęścia. Król Kaspian przywiózł ją ze swojej wyprawy na wschodni kraniec świata, a ludzie twierdzili, że w jej żyłach płynie krew gwiazd. Królewicz ciężko przeżył śmierć matki. Odtąd często wyjeżdżał konno w północne marchie, polując na owego olbrzymiego jadowitego gada, pragnąc go uśmiercić i pomścić śmierć królowej. Nikt nie poświęcał temu zbytnej uwagi, chociaż królewicz wracał z tych wypraw zmęczony i jakby oszołomiony, aż minął miesiąc i niektórzy zauważyli, że zaszła w nim dziwna zmiana. Miał oczy człowieka nawiedzanego przez jakieś wizje, a chociaż całymi dniami przebywał poza zamkiem, jego koń nie wyglądał na zmęczonego. Najbliższym przyjacielem królewicza stał się baron Drinian, który był kapitanem króla Kaspiana podczas jego wielkiej podróży na wschód.

Pewnego wieczoru Drinian rzekł do królewicza:

- Wasza wysokość powinien już porzucić myśl o schwytaniu tego gada. Trudno mówić o prawdziwej zemście, gdy chodzi o nierozumne zwierzę. Wyczerpujesz swoje siły na próżno.

Królewicz odpowiedział mu w dość zagadkowy sposób.

- Drogi baronie - powiedział - już od siedmiu dni prawie zapomniałem o wężu.
- A kiedy Drinian zapytał go, czemu wobec tego błąka się wciąż po lasach północy, królewicz odrzekł: - Wiedź, baronie, że ujrzałem tam coś tak cudownego, że trudno to porównać z czymkolwiek, co w życiu widziałem. - Miły książę - powiedział na to Drinian - wyświadcź mi tę łaskę i pozwól mi towarzyszyć ci jutro, abym i ja ujrzał ten cud. - Niech tak się stanie - odrzekł Rilian.

Tak więc następnego dnia o stosownej porze osiodłali konie, pomknęli chyżo ku północnym lasom i dojechali do tego samego źródła, przy którym królową spotkała śmierć. Drinian uznał za dziwne, że królewicz akurat to miejsce wybrał na postój, ale nic nie powiedział. Odpoczywali tam aż do południa i wówczas Drinian zobaczył nagle

najpiękniejszą panią, jaką kiedykolwiek oglądały jego oczy. Stała po północnej stronie źródła i ręką czyniła takie znaki, jakby chciała przywołać królewicza do siebie. Była wysoka i smukła, jaśniejąca niezwykłym blaskiem, ubrana w zwiewną suknię, zieloną jak trucizna. A królewicz patrzył na nią jak człowiek, którego opuścił rozsądek. Lecz nagle piękna pani zniknęła, a Drinian nie zdołał nawet zauważyć, w którą stronę odeszła. Powrócili do Ker-Paravelu, nie mówiąc do siebie ani słowa, a Drinian nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w tej jaśniejącej, zielonej piękności czai się zło.

Drinian zastanawiał się, czy nie powinien powiedzieć królowi o tej przygodzie, ale uznał, że jest związany tajemnicą, i w końcu nie powiedział nic. Nie minęło wiele czasu, gdy bardzo tego pożałował. Następnego dnia królewicz Rilian osiodłał konia i sam pojechał na północ. Tego wieczora nie powrócił do zamku i odtąd zaginął po nim wszelki ślad. Nie znaleziono ani jego, ani jego konia, ani nawet jego płaszcza - ani w Narnii, ani w krajach sąsiednich. Przepelniony żalem Drinian stanął przed królem i rzekł:

- Panie mój i królu, zabij mnie natychmiast jak najpodlejszego zdrajcę, bo oto przez swoje milczenie zgubiłem twego syna. - I opowiedział mu o wszystkim. Wtedy król Kaspian pochwycił topór bojowy i rzucił się na niego, by go zabić, a baron stał nieruchomo jak posąg, czekając na śmiertelny cios. Lecz gdy topór wisiał już nad jego głową, król odrzucił nagle broń i zawołał:

- Straciłem już moją królową i mojego syna, czy mam stracić i przyjaciela? - I oparł się ciężko na ramieniu barona, i ucałował go, i obaj zaszlochali gorzko, a ich przyjaźń okazała się większa niż gniew i żal.

Taka była opowieść o królewiczu Rilianie. A kiedy się skończyła, Julia powiedziała:

- Założę się, że ten wąż i ta kobieta to jedna osoba.

- Tak, tak, myślimy tak samo jak ty - zahuczały sowy.

- Nie sądzimy jednak, by zabiła królewicza - rzekł Świecopuch - bo żadne kości...

- Wiemy, że go nie zabiła - przerwał mu Eustachy. - Aslan powiedział Julii, że królewicz wciąż gdzieś żyje.

- Trudno powiedzieć, czy to nie jest jeszcze gorsze - odezwała się najstarsza z sów. - Bo to oznacza, że ona go w jakiś sposób wykorzystuje i że to wszystko jest częścią spisku przeciw całej Narnii. Dawno, dawno temu, na samym początku, z północy przysłała tu Biała Czarownica, która na sto lat zakuła cały nasz kraj w okowy

śniegu i lodu. I podejrzewamy, że to może być ktoś z tej samej bandy.

- No cóż - odezwał się Eustachy - tak czy inaczej Julia i ja mamy odnaleźć królewicza. Czy możecie nam pomóc?

- Czy znacie jakiś trop, wy dwoje? - zapytał Świecopuch.

- Tak - odpowiedział Scrubb. - Wiemy, że musimy udać się na północ. I wiemy, że musimy tam odnaleźć ruiny miasta olbrzymów.

Teraz rozległo się jeszcze głośniejsze niż przedtem tu-hukanie, szuranie pazurami po posadzce i łopotanie skrzydeł, a potem wszystkie sowy i puchacze zaczęły mówić jednocześnie, wyjaśniając dzieciom, jak bardzo im przykro, że nie mogą wraz z nimi wyruszyć na poszukiwanie zaginionego królewicza.

- Będziecie chcieli wędrować dniem, a my wolimy wędrować nocą. Nic z tego nie wyjdzie, nic z tego nie wyjdzie. Tu-huuu!

Dwie czy trzy sowy dodały, że nawet teraz, w ruinach tej wieży, nie jest już tak ciemno jak na początku i że sejm trwa już dość długo. Prawdę mówiąc, wszystko wskazywało na to, że już sama wzmianka o podróży do ruin miasta olbrzymów całkowicie ostudziła ich zapał. Ale Świecopuch oświadczył:

- Jeśli chcą wyruszyć w tę drogę, do Ettinsmoor, musimy ich zaprowadzić do jednego z błotowijów. Tylko one potrafią im pomóc.

- Tak, tak, tylko one mogą pomóc tu, tu-huuu - zgodziły się sowy.

- A więc ruszajmy - rzekł Świecopuch. - Ja wezmę dziewczynkę. Kto weźmie chłopca? Trzeba to zrobić tej nocy.

- Ja go zabiorę, ale tylko do błotowijów - odezwał się inny puchacz.

- Jesteście gotowi? - zwrócił się Świecopuch do Julii.

- Wydaje mi się, że Julia Pole śpi - rzekł Eustachy.

ROZDZIAŁ 5

BŁOTOSMĘTEK

JULIA SPAŁA. Już od samego początku swojego sejmku okropnie ziewała, a teraz po prostu zapadła w zdrowy sen. I trudno powiedzieć, by była bardzo zadowolona, gdy ją obudzono i gdy stwierdziła, że leży na gołej posadzce w jakiejś zatęchłej dzwonnicy, kompletnie ciemnej i pełnej sów. Była jeszcze mniej zadowolona, gdy usłyszała, że muszą udać się gdzie indziej - a wszystko wskazywało, że nie do łóżka - i to na grzbietach ptaków.

- Dalej, Pole, weź się w garść - usłyszała głos Eustachego. - Ostatecznie to JEST przygoda.

- Niedobrze mi się robi od tych przygód - burknęła Julia.

Zgodziła się jednak wsiąść na grzbiet Świecopucha i za chwilę rozbudził ją całkowicie (przynajmniej na chwilę) nieoczekiwany chłód powietrza, gdy ptak wyleciał w noc. Księżyc zniknął i nie widać było gwiazd. W oddali migotało jakieś światełko i Julia doszła do wniosku, że musi to być oświetlone okno w jednej z wież Ker-Paravelu. Zateśniła za cudowną łaźnią i ciepłym łóżkiem w zacisznej sypialni, z tańczącym na ścianie odbłaskiem ognia płonącego na kominku.

Gdzieś niedaleko słyszała dwa głosy; sprawiało to wrażenie tak niesamowite, że aż trudno było w to uwierzyć, wiedziała jednak, że to Eustachy i jego puchacz rozmawiają sobie w powietrzu. „Wcale nie wygląda na zmęczonego”, pomyślała z zazdrością. Nie zdawała sobie sprawy, że po prostu Eustachy był już kiedyś w tym świecie i że narnijskie powietrze przywróciło mu siły, jakich nabral podczas żeglugi po Wschodnich Morzach z królem Kaspianem.

Musiała się szczytać, aby nie zasnąć, bo wiedziała, że sen na grzbiecie Świecopucha grozi upadkiem na ziemię. Wreszcie oba ptaki wylądowały cicho na jakiejś równinie i Julia ześliznęła się niezgrabnie na ziemię. Nogi jej zupełnie zdrętwiały. Wiał chłodny wiatr i wyglądało na to, że w pobliżu nie ma żadnych drzew.

- Tu-huuuu! Tu-huuu! - rozległo się pohukiwanie Świecopucha. - Obudź się, Błotosmętku! Obudź się! Mamy sprawę związaną z Lwem!

Przez długi czas nie było żadnej odpowiedzi. Potem gdzieś w oddali pojawiło się blade światełko, które zaczęło się ku nim zbliżać.

- Sowy, ahój! - usłyszeli głos. - Co się stało? Czy król umarł? Czy jakiś wróg najechał Narnię? Czy to może potop? Albo smoki?

Światło okazało się dużą latarnią. W ciemności Julia nie bardzo mogła

rozpoznać, kto ją niesie, w każdym razie ten ktoś wydawał się składać wyłącznie z rąk i nóg. Ptaki porozmawiały z nim przez chwilę, ale Julia była zbyt zmęczona, by tego słuchać. Nagle dotarło do niej, że się z nią żegnają, a potem znowu zapadła w półsen. Pamiętała tylko, że w pewnym momencie musiała się schylić, by przejść przez niskie drzwi, a potem (och, dzięki niebu!) leżała na czymś miękkim i ciepłym, a jakiś głos mówił:

- No więc tak tu jest. Nic lepszego nie mamy. Będzie wam zimno i twardo. I wilgotno, wcale bym się nie dziwił. Pewnie nie zmrużycie oka, gdyby nawet nie przyszła burza z piorunami lub powódź lub

gdyby ten wigwam nie zawalił się na nas, jak się to często zdarza. Musicie się tym zadowolić... - Ale Julia spała już mocno, zanim głos skończył mówić. Kiedy dzieci obudziły się późnym rankiem następnego dnia, zobaczyły, że leżą w jakimś ciemnym miejscu na suchych i ciepłych posłaniach wymoszczonych słomą. Przez trójkątny otwór sączyło się słoneczne światło.

- Gdzie, u licha, jesteśmy? - zapytała Julia.

- W wigwamie jakiegoś błotowija - odpowiedział Eustachy.

- Kogo?

- Błotowija. Nie pytaj mnie, co to jest. W nocy nic nie mogłem zobaczyć. No, trzeba wstawać. Chodźmy i poszukajmy go.

- Okropnie się czuję po spaniu w ubraniu - stwierdziła Julia, siadając na słomie.

- Właśnie sobie pomyślałem, jak to miło, że nie trzeba się ubierać - rzekł Eustachy.

- I myć, jak sędzę - zauważyła pogardliwie Julia. Ale Eustachy już wstał, ziewnął, otrząsnął się i wyczołgał z wigwamu. Julia zrobiła to samo.

To, co zobaczyli, zupełnie nie przypominało tego kawałka Narnii, jaki widzieli poprzedniego dnia. Znajdowali się na rozległej równinie, pociętej przez wodne kanały na niezliczoną liczbę wysepek. Wysepki porośnięte były grubą, ostrą trawą i obrzeżone trzcinami i sitowiem. Tu i tam jaśniały większe kępy sitowia, znad których wlatywały raz po raz chmury ptaków: kaczek, słonek, bąków i czapli. Wszędzie było wiele wigwamów podobnych do tego, w jakim spędzili noc, każdy jednak w dość dużej odległości od innych, bo błotowije cenią sobie życie w domowym zaciszu. Nie było tu żadnych drzew, dopiero daleko, wiele mil na południe i na zachód, czerniała linia puszczy. Na wschód, aż do piaszczystych wzgórz na horyzoncie, rozpościerały się

płaskie moczary, a słony zapach przynoszony przez wiatr pozwalał sądzić, że za wzgórzami jest morze. Na północy widniały niskie, blade wzgórza gdzieniegdzie obramowane bastionami skał. W deszczowy wieczór byłoby to zapewne przygnębiające miejsce. Teraz jednak, w porannym słońcu, z rześkim wiatrem i krzykiem ptaków rozbrzmiewającym ze wszystkich stron, to wodne pustkowie miało w sobie coś pięknego i świeżego. Dzieci poczuły się nieco różniej.

- Ciekawa jestem, gdzie ten jak-mu-tam polazł?

- odezwała się Julia.

- Błotowij - odpowiedział Eustachy głosem człowieka dumnego z tego, że zna właściwe słowo.

- Myślę, że... hej, to musi być on! - I wtedy oboje go dostrzegli. Siedział odwrócony do nich plecami i łowił ryby jakieś trzydzieści metrów dalej. Trudno było go z początku zauważyć, ponieważ był prawie tego samego koloru co bagno i nie poruszał się.

- Chyba powinniśmy do niego podejść i porozmawiać - powiedziała Julia, a Eustachy kiwnął głową. Oboje czuli się trochę nieswojo.

Kiedy podeszli bliżej, siedząca nad wodą postać odwróciła głowę. Zobaczyli długą, chudą twarz z nieco zapadniętymi policzkami, wąskimi, zaciśniętymi ustami, ostrym nosem i długim, nie zarośniętym podbródkiem. Głowę przykrywał strzelisty jak dach wieży kapelusz z bardzo szerokim, płaskim rondem. Wystające spod kapelusza włosy - jeśli można to nazwać włosami - były zielonoszare i proste jak trzciny. Jej skóra była brudnoziemista, twarz pełna powagi i od razu się wiedziało, że jest to istota, która życie traktuje poważnie.

- Dzień dobry, moi goście - powiedział błotowij. - Chociaż, jeśli mówię DOBRY, nie oznacza to wcale, że nie będzie deszczu, śniegu, mgły lub burzy z piorunami, co jest zresztą bardzo prawdopodobne. Ośmielę się mniemać, że nie zmrzyliście oka przez całą noc.

- Ależ skąd, spaliśmy - powiedziała Julia. - To była cudowna noc.

- Ach, ach - rzekł błotowij, kręcąc głową. - Widzę, że masz zwyczaj śmiać się wtedy, gdy trzeba płakać. Bardzo słusznie. Dobrze cię wychowano, bardzo dobrze. Nauczono cię trzymać fason.

- Przepraszam, ale nie wiemy, jak się nazywasz - odezwał się Eustachy.

- Nazywam się Błotosmętek. Ale nie przejmujcie się, jeśli o tym zapomnicie. Zawsze mogę wam powtórzyć.

Dzieci usiadły przy nim nad wodą. Teraz zobaczyły, że ma bardzo długie nogi i ręce, tak że stojąc, byłby na pewno wyższy od większości ludzi. Palce jego rąk i nóg połączone były błonami. Ubrany był w jakiś dziwny luźny strój ziemistego koloru, który wisiał na nim jak na wieszaku.

- Próbuję złapać kilka węgorzy, aby zrobić gulasz na obiad - rzekł Błotosmętek - chociaż wcale bym się nie zdziwił, gdybym żadnego nie złapał. A jeśli nawet coś złapię, to i tak nie będzie wam zbyt smacznie.

- Dlaczego? - zapytał Eustachy.

- Cóż, nie byłoby rozsądnie mniemać, że lubicie nasz rodzaj pożywienia, choć z pewnością będziecie robić dobrą minę do złej gry. W każdym razie, gdybyście tak spróbowali rozpaść ogień, gdy będę łowił... nic nie szkodzi spróbować! Drewno jest za wigwamem. Pewno będzie wilgotne. Możecie je zapalić wewnątrz wigwamu i wówczas dym będzie wam gryźć w oczy. Możecie też zapalić je na dworze, wówczas z pewnością nadejdzie deszcz i zagasi je. Oto hubka i krzesiwo. Obawiam się, że nie wiecie, jak się tego używa.

Ale Scrubb nauczył się takich rzeczy podczas swojej poprzedniej bytności w Narnii. Dzieci pobiegły do wigwamu, znalazły drewno (które było zupełnie suche) i zapaliły ognisko z mniejszymi niż zwykle trudnościami. Potem Eustachy usiadł, aby doglądać ognia, a Julia poszła się umyć - nie był to zbyt przyjemny rodzaj mycia - w najbliższym kanale. Potem zmieniła Eustachego przy ognisku, by i on mógł się umyć. Oboje poczuli się teraz odświeżeni, ale i bardzo głodni.

Po jakimś czasie wrócił znad brzegu Błotosmętek. Wbrew swym przepowiedniom złowił co najmniej tuzin węgorzy, które już obdarł ze skóry i oczyścił. Włożył je do dużego kociołka, postawił go na ogniu i zapalił fajkę. Błotowije palą bardzo dziwny, ciężki gatunek tytoniu (niektórzy twierdzą, że mieszają go ze szlamem) i dzieci zauważyły, że dym z fajki Błotosmętka

prawie w ogóle nie unosił się do góry, lecz spęzał ciężko po brzuścu ku ziemi jak gęsta mgła. Eustachy krztusił się, gdy czarny dym podpełzał od czasu do czasu w jego stronę.

- No cóż - powiedział Błotosmętek, pociągając z cybucha - te węgorze będą się gotowały aż do śmierci i każde z nas może zasłabnąć z głodu, zanim się ugotują. Znałem jedną małą dziewczynkę... ale chyba lepiej nie będę wam opowiadał tej historii.

Mógłbym wam zepsuć humor, a to jest rzecz, jakiej nigdy nie robię. A więc, aby

zapomnieć o głodzie, moglibyśmy równie dobrze porozmawiać o waszych planach.

- Tak, pomówmy o tym - powiedziała Julia. - Czy możesz nam pomóc w odnalezieniu królewicza Riliana?

Błotosmętek zaciągnął się fajką tak, że zamiast policzków miał teraz dwie podłużne, głębokie dziury.

- No cóż, nie wiem, czy można to nazwać POMOCĄ - odrzekł w końcu. - Nie wiem, czy ktokolwiek może wam w ogóle POMÓC. Rozsądek nakazywałby nie wyruszać w tak daleką drogę na północ teraz, o tej porze roku, z zimą za pasem i wszystkim innym na karku. A zima będzie wczesna, wszystko na to wskazuje. Ale nie powinniście upadać na duchu. Bardzo prawdopodobne, że w kraju pełnym wrogów, wspinając się na strome góry, przeprawiając przez rwące rzeki, gubiąc często drogę, nie mając nic do jedzenia, a za to pęcherze na nogach, w ogóle nie zwrócimy uwagi na pogodę. Ale jeśli nawet nie uda się nam zawędrować tak daleko, aby to coś dało, może to nie będzie aż tak daleko, żeby wracać w zbytnim pośpiechu.

Oboje zauważyli, że powiedział „nam”, a nie „wam”, i oboje jednocześnie wykrzyknęli:

- Więc pójdziesz z nami?

- O tak, oczywiście, pójdę z wami. Tak się składa, że mogę iść. Nie sędzę, byśmy kiedykolwiek jeszcze zobaczyli króla w Narnii, jako że pozęgłował nie bardzo wiadomo dokąd, a kiedy wyruszał w morze, miał nieprzyjemny kaszel, bardzo nieprzyjemny. Zuchon, cóż... szybko robi się niedołączny. I zobaczycie, że będą bardzo złe zbiory po tym okropnym, suchym lecie. I nie będę się dziwił, jeśli nas zaatakuje jakiś wróg. Zapamiętajcie moje słowa.

- A od czego zaczniemy? - zapytał Eustachy.

- No cóż - rzekł Błotosmętek po dłuższej chwili milczenia - wszyscy, którzy wyruszali na poszukiwanie królewicza Riliana, zaczynali od źródła, przy którym baron Drinian widział ową panią. Przeważnie szli stamtąd na północ. A ponieważ żaden z nich nigdy nie wrócił, trudno dokładnie ocenić, co w ten sposób osiągnęli.

- Musimy zacząć od znalezienia ruin miasta olbrzymów - przerwała mu Julia. - Tak powiedział Aslan.

- Zacząć od ZNALEZIENIA ich, czy dobrze słyszę? - zapytał Błotosmętek. - A czy nie lepiej byłoby zacząć od POSZUKANIA tych ruin?

- To właśnie, rzecz jasna, miałam na myśli - powiedziała szybko Julia. - A kiedy już je znajdziemy...

- No właśnie, kiedy? - wtrącił Błotosmętek.

- Czy nikt nie wie, gdzie to jest? - spytał Eustachy.

- Nic nie wiem o NIKIM - rzekł Błotosmętek. - I muszę przyznać, że nigdy nawet nie słyszałem o ruinach tego miasta. Ale nie sądzę, by można było zaczynać od źródła. Trzeba iść przez Ettinsmoor. Jeżeli gdziekolwiek jest to zrujnowane miasto, to musi być właśnie tam. Nie chcę was jednak oszukiwać. Nigdy nie zawędrowałem w tamtą stronę dalej niż większość innych mieszkańców Narnii i nigdy nie widziałem tam żadnych ruin.

- Gdzie leży Ettinsmoor? - dopytywał się Eustachy.

- Spójrzcie tam, na północ - powiedział Błotosmętek, pokazując fajkę. - Widzicie te wzgórza i krawędzie skał? Tam zaczyna się Ettinsmoor. Ale między krainą Ettinsmoor a nami jest rzeka, zwana Suchą Wodą. Oczywiście nie ma na niej żadnych mostów.

- Ale chyba można jakoś ją przebyć?

- Już tego próbowano - odpowiedział Błotosmętek.

- Może w Ettinsmoor spotkamy kogoś, kto wskaże nam drogę - wtrąciła Julia.

- Ze kogoś spotkamy, to pewne - rzekł nieco tajemniczo Błotosmętek.

- Jakiego rodzaju istoty tam żyją?

- Nie przeczę bynajmniej, że są to istoty przyzwoite, na swój sposób, oczywiście - odpowiedział Błotosmętek. - Jeśli się tylko lubi ten ich sposób.

- Rozumiem, ale jacy ONI są? - dopytywała się Julia. - W tym kraju jest tyle dziwnych stworzeń. Czy to są zwierzęta, ptaki, karły, czy coś innego?

Błotosmętek gwizdnął przeciągle.

- Czyżbyście naprawdę nie wiedzieli? Myślałem, że sowy wam powiedziały. To są olbrzymy.

Dreszcz przebiegł Julii po plecach. Nawet w książkach nigdy nie darzyła olbrzymów sympatią, a raz spotkała jednego we śnie. Zauważyła jednak, że Eustachy zrobił się lekko zielony na twarzy, i pomyślała:

„Założę się, że on ma jeszcze większego stracha”. To sprawiło, że poczuła się trochę lepiej.

- Król powiedział mi niegdyś, kiedy byłem z nim na morzu, że po wielkiej wojnie nauczył te olbrzymy rozsądku i zmusił je do płacenia daniny - powiedział Eustachy.

- To by się zgadzało - rzekł Błotosmętek. - Nie jesteśmy z nimi w stanie wojny.

Jeśli tylko siedzimy spokojnie po naszej stronie rzeki, nie sprawiają nam żadnego kłopotu. Ale tam, po ich stronie, w Ettinsmoor, cóż... tam wszystko może się zdarzyć. Zawsze jednak jest jakaś szansa. Jeśli nie będziemy się do nich za bardzo zbliżać, jeżeli żaden z nich się nie zapomni i jeżeli nie zostaniemy zauważeni, to bardzo możliwe, że znajdziemy dość daleko.

- Słuchaj no! - podniósł głos Eustachy, tracąc nagle cierpliwość, jak to się często zdarza ludziom, którzy czegoś się wystraszyli. - Nie wierzę, aby to wszystko wyglądało nawet w połowie tak źle, jak nam przedstawiasz. Myślę, że nie będzie źle w takiej samej mierze, w jakiej nie były twarde nasze posłania w wigwamie i w jakiej nie było mokre drewno na ognisko. Nie sądzę, aby Aslan wysłał nas na poszukiwanie królewicza, gdybyśmy mieli tak mało szans na jego odnalezienie.

Był pewien, że błotowij się pogniewa, ale ten tylko powiedział:

- Oto prawdziwy duch w człowieku. Eustachy, tak właśnie należy mówić. Trzeba patrzeć na wszystko z uśmiechem. Ale mając przed sobą tyle ciężkich dni, powinniśmy bardzo uważać na nasze nerwy. Nie powinniśmy się klócić. A w każdym razie nie warto tego robić za wcześnie. Wiem dobrze, że te wszystkie wyprawy zwykle KOŃCZĄ się właśnie w ten sposób: jedni drugich WYKAŃCZAJĄ, zanim osiągną cel. Im dłużej zdołamy się tego ustrzec...

- Cóż, jeśli uważasz to za tak beznadziejne - przerwał mu Eustachy - lepiej będzie, jak tu zostaniesz. Pole i ja możemy pójść sami. Prawda, Pole?

- Zamknij się i nie bądź osłem, Eustachy Scrubbie - powiedziała ze złością Julia, bojąc się, że błotowij weźmie to na serio.

- Nie trać serca, Pole - rzekł Błotosmętek. - To, że z wami idę, jest pewne jak słońce. Nie zamierzam tracić takiej okazji. To mi dobrze robi. Wszyscy mówią, mam na myśli wszystkich innych wijów, że jestem zbyt płochy, że nie traktuję życia zbyt poważnie. Jak się coś takiego raz powie, to potem się powtarza tysiąc razy. „Błotosmętku - mówią - wciąż tylko podskakujesz, przechwalasz się i masz zwariowane pomysły. Musisz się wreszcie nauczyć, że życie nie składa się z samych żabich udek w potrawce i pasztetu z wątróbki węgorza. Jeśli chcesz coś osiągnąć, musisz się trochę ustatkować. Mówimy to tylko dla twojego dobra, Błotosmętku.” Tak właśnie mówią. No, a taka sprawa jak podróż na północ tuż przed początkiem zimy, w poszukiwaniu królewicza, którego prawdopodobnie tam nie ma, przez ruiny miasta, których nikt nie widział, to jest chyba właściwy sposób. Jeśli to nie ustatkuje kogoś takiego jak ja, to nie wiem, co mogłoby go ustatkować. - Tu zatarł swoje wielkie żabie

łapy, jakby rozmowa dotyczyła pójścia na przyjęcie lub na pantomimę. - A teraz - dodał - zobaczymy, co się dzieje z tymi węgorzami.

Jedzenie było wspaniałe i każde z dzieci wzięło po dwie solidne dokładki. Z początku błotowij nie mógł uwierzyć, że naprawdę im to smakuje, a kiedy zjadły już tak dużo, że musiał w to uwierzyć, zaczął ich ostrzegać przed strasznymi skutkami.

- To, co jest dobre dla wijów, może być trucizną dla ludzi, i wcale bym się nie dziwił.

Po jedzeniu napili się herbaty z cynowych kubków, a Błotosmętek pociągnął dobre kilka razy z płaskiej, czarnej butelki. Poczęstował i dzieci, ale uznały to za straszne paskudztwo.

Reszta dnia upłynęła im na przygotowaniach do podróży. Błotosmętek orzekł, że jako najwyższy będzie niósł trzy koce, a w nich ciasno zwinięty poleć bekonu. Julia miała nieść resztę potrawy z węgorza, trochę biszkoptów, hubkę i krzesiwo. Eustachy miał nieść płaszcz, gdy nie będą ich potrzebowali, otrzymał też drugi, nieco gorszy, łuk Błotosmętka. Ten zaś wziął swój najlepszy łuk, chociaż mruknął przy tym, że zważywszy na wiatry, mokre cięciwy, złe oświetlenie i zmarznięte palce szansa trafienia w cokolwiek równa się jednej do stu. I on, i Scrubb mieli miecze, bo chłopiec przezornie zabrał ze sobą ten, który mu pozostawiono wraz z narnijskimi szatami w jego sypialni na zamku. Julia musiała się zadowolić swoim harcerskim nożem. Z tego powodu zanosilo się na małą kłótnię, ale gdy tylko zaczęli sobie dogadywać, błotowij zatarł ręce i powiedział:

- Ach, tu was mam! Tak to sobie właśnie wyobrażałem. Tak właśnie dzieje się na wszystkich wyprawach po przygody.

To ich od razu uspokoiło.

Wszyscy troje poszli tego wieczora wcześniej spać. Tym razem dzieci miały naprawdę przykrą noc, a to z powodu Błotosmętka, który oznajmił: „Spróbujcie lepiej trochę pospać, choć prawdę mówiąc, nie sądzę, by ktokolwiek z nas zmrużył oko tej nocy” i natychmiast zaczął chrapać tak potwornie i bez najmniejszej przerwy, że kiedy w końcu Julia zasnęła, śniły się jej przez całą noc młoty pneumatyczne, wodospady i pociągi pospieszne w długich tunelach.

ROZDZIAŁ 6

DZIKIE PUSTKOWIA PÓLNOCY

RANKIEM NASTĘPNEGO DNIA, około dziewiątej, można było zobaczyć trzy samotne postacie, przepływające się przez Suchą Wodę po płycznach i wystających z wody kamieniach. Był to płytki, hałaśliwy strumień i nawet Julia przemoczyła się tylko do kolan. Przed nimi leżało strome, poprzecinane urwiskami zbocze, sięgające do granic rozległego płaskowyżu.

- Myślę, że TO jest nasza droga - powiedział Eustachy, wskazując na zachód, gdzie dnem dość płytkiego wąwozu spływał z góry bystry potok. Ale błotowij potrząsnął głową.

- Olbrzymy mieszkają głównie nad brzegami tego wąwozu. Można powiedzieć, że wąwóz jest dla nich czymś w rodzaju ulicy. Lepiej pójdźmy prosto przed siebie, choć będzie trochę bardziej stromo.

Znaleźli miejsce, w którym najłatwiej było wspiąć się po zboczu, i po jakichś dziesięciu minutach stanęli zdyszani na szczycie. Rzucili tęskne spojrzenie za siebie, na zielone doliny Narnii, a potem odwrócili głowy ku północy. Gdziekolwiek spojrzeli, rozciągało się dzikie, rozległe wrzosowisko. Po lewej stronie widniały jakieś skały. Julia pomyślała, że to zapewne brzeg wąwozu olbrzymów, i nie bardzo miała ochotę na patrzenie w tym kierunku. Ruszyli w drogę.

Torfiaasty grunt uginał się przyjemnie pod nogami, a z góry świeciło blade zimowe słońce. W miarę jak zagłębiali się we wrzosowisko, uczucie samotności i pustki rosło; tylko od czasu do czasu słyszeli krzyk czajki lub widzieli samotnego jastrzębia. Kiedy się zatrzymali w niewielkiej kotlinie, aby odpocząć i napić się wody, Julia pomyślała, że mimo wszystko chyba polubi przygody, i wypowiedziała to na głos.

- Jeszcze żadnej nie mieliśmy - zauważył błotowij.

Marsz po pierwszym odpoczynku - tak jak poranki w szkole po pierwszej przerwie lub podróż pociągiem po przesiadce - nigdy nie jest już taki jak przedtem. Kiedy znowu ruszyli w drogę, Julia spostrzegła, że skalista krawędź wąwozu bardzo się do nich przybliżyła, a same skały były teraz o wiele bardziej strome i o wiele wyższe niż na początku. Prawdę mówiąc, przypominały skalne wieżyczki o bardzo dziwacznych kształtach.

„Naprawdę, jestem pewna, że te wszystkie opowieści o olbrzymach mogą się brać z takich śmiesznych skał - pomyślała Julia. - Gdyby się przechodziło tędy późnym wieczorem, kiedy się ściemnia, można by łatwo pomyśleć, że te skaliste słupy

to olbrzymy. Na przykład ten jeden, o tam! Można sobie wyobrażać, że ta bryła skały na szczycie to głowa. Może trochę za duża w stosunku do reszty ciała, ale do jakiegoś brzydkiego olbrzyma mogłaby pasować. A te jakieś krzaczaste rzeczy... sędzę, że to wrzos i gniazda ptaków... mogłyby być włosami i brodami. A te sterzące po obu stronach płaskie głązy... zupełnie jak uszy! Okropnie wielkie, ale ośmielałam się twierdzić, że olbrzymy na pewno mają uszy jak słonie. A... ooooooch!" Krew zastygła jej w żyłach. Skalisty słup poruszył się. To rzeczywiście był olbrzym! Nie mogła się mylić, zobaczyła, jak odwraca głowę. Zdołała nawet spostrzec wielką, głupawą, pucułowatą twarz. Wszystkie te „skały” były po prostu olbrzymami! Stało ich tam ze czterdziestu lub pięćdziesięciu w jednym rzędzie. Nie ulegało wątpliwości, że stoją na dnie wąwozu i rozglądają się po wrzosowisku z łokciami opartymi na jego krawędzi, jak ludzie oparci o niski murek - jak leniwi parobcy w jakiś piękny poranek po śniadaniu.

- Idziemy dalej prosto - wyszeptał Błotosmętek, który także je dostrzegł. - Nie patrzcie w ich kierunku. I COKOLWIEK się stanie, nie uciekajcie. Złapią nas w ciągu jednej sekundy.

Tak więc szli dalej, udając, że wcale olbrzymów nie zauważyli. Przypominało to przechodzenie przez bramę domu, w którym jest zły pies, tyle że było jeszcze gorsze. Olbrzymów było mnóstwo. Nie wyglądały ani na zagniewane, ani na uprzejme; nie wydawały się w ogóle nimi interesować. Nic nie wskazywało na to, że widzą trójkę wędrowców.

I wtedy - uiiiizzz - uiiiizzzz - uiii! - jakieś ciężkie przedmioty zaświstały w powietrzu i ze dwadzieścia kroków od nich wylądował z łoskotem wielki głaz. A potem - łup! - inny upadł kilka metrów za nimi.

- Celują w nas? - wyjąkał Eustachy.

- Nie - odrzekł Błotosmętek. - Bylibyśmy o wiele bardziej bezpieczni, gdyby w nas celowali. Próbuja trafić w TO: ten kopiec, tam, nieco w prawo. Nigdy w NIEGO nie trafiają. KOPIEC jest bezpieczny, mają bardzo liche oko. Bawia się w rzucanie do celu w większość pogodnych poranków. To chyba jedyna gra, której zasady są w stanie pojąć.

Nastaly straszne chwile. Długi rząd olbrzymów zdawał się nie mieć końca, a wielkie głązy nieustannie fruwały w powietrzu; niektóre padały naprawdę bardzo blisko. A zupełnie niezależnie od tego prawdziwego zagrożenia już same ich twarze i głosy mogły śmiertelnie przerazić każdego. Julia starała się na nich nie patrzeć.

Po jakichś dwudziestu pięciu minutach wśród olbrzymów najwidoczniej wybuchła kłótnia. Przerwała ona złowrogie rzucanie do celu, ale i tak trudno było uznać za bezpieczną sytuację, w której trójka wędrowców znalazła się o milę od kłócących się między sobą olbrzymów. Wrzeszczały i drwiły jeden z drugiego długimi, bezsensownymi słowami, z których każde liczyło ze dwadzieścia sylab. Szwargotały do siebie, aż piana toczyła się im z ust, podskakiwały z wściekłości, a każdy podskok wstrząsał ziemią jak bomba. Tłukły się po głowach wielkimi, kamiennymi młotami, lecz ich czaszki były tak twarde, że młoty odskakiwały, raniąc boleśnie nie głowy ofiar, ale palce zadających ciosy, którzy ze skowytem odrzucali owe prymitywne narzędzia. Były jednak tak głupie, że za chwilę powtarzały dokładnie to samo. Dla małych wędrowców okazało się to zbawienne, bowiem nie minęła godzina, gdy wszystkie olbrzymy miały tak poranione ręce, że usiadły i zaczęły płakać z bólu. A kiedy siedziały na dnie wąwozu, ich głowy nie wystawały już ponad jego najeżoną skałami krawędź. Słyszeć było tylko skowyty, szlochy i buczenie, jakby w wąwozie porzucono gromadę wielkich, zdziczałych dzieciaków. Te głosy dźwięczały w uszach Julii jeszcze wówczas, gdy odeszli już ponad milę od tego miejsca.

Tej nocy obozowali na odsłoniętym wrzosowisku i Błotosmętek pokazał dzieciom, jak najlepiej wykorzystać koce, śpiąc do siebie plecami. (Śpiący grzeją się nawzajem, a jednocześnie można się przykryć dwoma kocami naraz.) Ale i tak było dość chłodno, a grunt był twardy i nierówny. Błotowij powiedział, że poczują się lepiej, kiedy pomyślą, jak zimno będzie później, na dalekiej północy, ale nie bardzo to poskutkowało.

Wędrowali przez Ettinsmoor przez wiele dni, oszczędzając bekon i żywiąc się głównie mięsem błotnych ptaków (oczywiście nie były to MÓWIĄCE ptaki), które udało się ustrzelić Eustachemu i błotowijowi. Julia trochę zazdrościła Eustachemu umiejętności strzelania z łuku, którą nabył podczas podróży z królem Kaspianem. Płaskowyz przecinały liczne strumienie, tak że nigdy nie cierpieli na brak wody. Julia myślała, jak niewiele mówią książki, w których podróżnicy żywią się tym, co upolują. Zwykle brak tam informacji, jak mozolnym, śmierdzącym i brudnym zajęciem jest skubanie i patroszenie martwych ptaków i jak marzną przy tym palce. Ale najważniejsze było to, że prawie nie spotykali olbrzymów. Raz znaleźli się w zasięgu wzroku jednego z nich, ale na ich widok tylko zaryczał ze śmiechu i poszedł swoją drogą.

Dziesiątego dnia doszli do miejsca, w którym krajobraz się zmienił. Osiągnęli

już północną krawędź torfowego płaskowyzu Ettinsmoor, i za długim, stromym zboczem otworzył się przed nimi widok na zupełnie inny, bardziej złowrogi kraj. U stóp wzgórza jaśniały skalne urwiska, a za nimi rozpoczynała się kraina wysokich gór, ciemnych przepaści, kamienistych dolin, żlebów tak głębokich, że trudno było dojrzeć ich dno, potoków przelewających się przez krawędzie wąwozów, by z rykiem spaść w czarną głębię, budząc ponure echo. Nie muszę chyba dodawać, że to Błotosmętek pierwszy dostrzegł cienką warstwę śniegu na bardziej oddalonych zboczach gór.

- Ale nie zdziwiłbym się wcale, gdyby było go o wiele więcej na północnych stokach - dodał.

Zeszli po zboczu i stanęli na skraju skalnego urwiska. Teraz zobaczyli przed sobą rzekę, płynącą bystro z zachodu na wschód dnem głębokiej doliny. Zielony nurt, ocieniony skalnymi ścianami, załamywał się na licznych progach i ostrych skałach, a ryk wody wstrząsał ziemią nawet tu, gdzie stali.

- Jasną stroną tej sytuacji jest nadzieja - rzekł Błotosmętek - że jeśli połamiemy karki, próbując zejść po tym urwisku, nie będzie nam już groziło zatonięcie w rzece.

- A co powiecie o TYM? - zawołał nagle Eustachy, wskazując w lewo, w górę rzeki.

Wszyscy spojrzeli i zobaczyli ostatnią rzecz, jakiej mogli się tu spodziewać - most. I do tego co za most! Był to potężny, nie wsparty na żadnych filarach most, spinający wąwóz rzeki kamiennym łukiem. Jego szczyt wznosił się tak wysoko ponad wierzchołki urwisk po obu stronach jak Katedra Świętego Pawła w Londynie nad poziom ulic.

- Ojej, to musi być most olbrzymów! - powiedziała Julia.

- Prędeż jakichś czarowników - rzekł Błotosmętek. - W takim miejscu jak to trzeba się wystrzegać złych czarów. Nie zdziwiłbym się, gdyby to była pułapka. Na pewno rozwieje się jak mgła, kiedy będziemy na samym środku.

- Och, na miłość boską, przestań być takim czarnowidzem i jęczycuszą! - rozżościł się Scrubb. - Dlaczegoż by, u licha, nie miał to być prawdziwy most?

- A czy ty naprawdę uważasz, że którykolwiek z tych olbrzymów, jakie widzieliśmy, potrafiłby zbudować coś takiego? - zapytał Błotosmętek.

- Ale przecież most mogły zbudować inne olbrzymy - powiedziała Julia. - Na przykład te, które żyły setki lat temu i były o wiele mądrzejsze od współczesnych. Może jest dziełem tych samych, co zbudowały miasto, którego szukamy. A to by znaczyło, że jesteśmy na dobrej drodze. Starożytny most wiodący do ruin

starożytnego miasta!

- To naprawdę genialna myśl, Pole! - zawołał Eustachy. - Tak na pewno jest. Idziemy.

Skręcili więc w lewo i poszli w stronę mostu. Gdy podeszli bliżej, nie mieli już żadnych wątpliwości, że jest to rzeczywista, solidna budowla. Poszczególne głazy - wielkie jak słupy z kamiennego kręgu w Stonehenge - musiały być dopasowane i połączone przez świetnych kamieniarzy, choć teraz były popękane i pokruszone. Balustradę pokrywały zmurszałe resztki bogatych płaskorzeźb: olbrzymów, minotaurów, ośmiornic, krocionogów i strasznych bóstw. Błotosmętek wciąż miał wątpliwości, lecz w końcu zgodził się wejść na most wraz z dziećmi.

Wspinaczka na szczyt kamiennego łuku była długa i męcząca. W wielu miejscach olbrzymie kamienie powypadały, tworząc okropne dziury, przez które widać było spienioną rzekę setki metrów pod nimi. Raz zobaczyli orła lecącego pod ich stopami. Im wyżej się wspinali, tym robiło się zimniej, a wiatr dął tak silnie, że trudno było posuwać się do przodu. Wydawało się, że cały most dygoce od jego wściekłych uderzeń.

Kiedy dotarli do szczytu, zobaczyli po drugiej stronie coś, co przypominało resztki jakiejś gigantycznej, starożytnej drogi wiodącej prosto do serca gór. I tutaj brakowało wielu kamiennych płyt tworzących niegdyś gościniec, a między tymi, które zostały, rosły rozległe kępy traw. A po tej starożytnej drodze jechało ku nim dwu jeźdźców wzrostu, dorosłych ludzi.

- Nie zatrzymujcie się. Idziemy ku nim - powiedział półgłosem Błotosmętek. - Każdy, kogo się spotka w takim miejscu, może być wrogiem, ale nie powinniśmy okazywać, że się boimy.

Kiedy zeszli z mostu na zarośniętą drogę, znaleźli się już bardzo blisko jeźdźców. Jeden był rycerzem w pełnej zbroi, z opuszczoną przyłbicą. Zbroja i koń były czarne, na tarczy nie jaśniało żadne godło, a na kopii nie powiewał żaden proporzec. Drugim jeźdźcem okazała się piękna pani na białym koniu, tak uroczym, że chciało się natychmiast pocałować go w nos i dać mu kawałek cukru. Ale sama pani, siedząca w damskim siodle i ubrana w obszerny, powiewający na wietrze strój oślepiająco zielonego koloru, była jeszcze bardziej urocza.

- Dzień dobr-r-ry, mili wędr-r-rowcy - powiedziała głosem tak słodkim jak najśłodszy ptasi trel, cudownie przedłużając wszystkie „r”. - Widzę, że niektórzy z was są bar-r-rdzo młodzi, a mimo to wędr-r-ują po tak dzikich pustkowiach...

- Tak się jakoś złożyło - odpowiedział sucho Błotosmętek, nie tracąc czujności.

- Szukamy ruin starożytnego miasta olbrzymów - powiedziała Julia.

- R-r-ruin miasta? - powtórzyła pani. - To dziwne miejsce jak na cel poszukiwania. A co zr-r-robicie, jak je znajdziecie?

- Musimy... - zaczęła Julia, ale Błotosmętek szybko jej przerwał: - Racz wybaczyć, pani. Nie znamy ani ciebie, ani twojego towarzysza... jakiś taki cichy jegomość... a ty nie znasz nas. I na razie nie będziemy rozmawiać z obcymi o naszych sprawach, jeśli łaska. Nie sądzisz, że zanosi się na mały deszczyk?

Pani roześmiała się: był to najbogatszy, najbardziej melodyjny śmiech, jaki sobie można wyobrazić.

- No cóż, moje dzieci. Macie mądrego, poważnie myślącego przewodnika. Nie mam mu wcale za złe, że strzeże własnego zdania, ale i ja mogę mieć swoje. Często słyszałam o Zrujnowanym Mieście, ale nigdy nie spotkałam kogoś, kto by znał do niego drogę. Ta zaś wiezie do miasta i zamku Harfang, gdzie mieszkają Łagodne Olbrzymy. Są one równie łagodne, uprzejme, roztropne i dobrze wychowane, jak głupie, dzikie, nieobliczalne i zdolne do każdego bestialstwa są olbrzymy z Ettinsmooru. Być może w Harfangu usłyszycie coś o Zrujnowanym Mieście, a być może nie, ale z całą pewnością znajdziecie tam dobrą gościnę u wesołych gospodarzy. Byłoby mądrze tam przezimować, a w każdym razie spędzić choć kilka dni, aby odpocząć i nabrać sił. Czeka tam na was gorąca kąpiel, miękkie łóżka i płonące kominki, a cztery razy dziennie podadzą wam pieczone, domowe wypieki, słodczyce i rozgrzewające krew napoje.

- Coś takiego! - ucieszył się Eustachy. - Tego mi właśnie trzeba! Spanie w prawdziwym łóżku!

- Tak, i gorąca kąpiel - dodała Julia. - Ale czy nas zaproszą? Ostatecznie nie jesteśmy ich znajomymi.

- Powiedźcie im tylko - rzekła pani - że Pani w Zielonej Szacie pozdrawia ich i posyła im na Święto Jesieni dwoje pięknych dzieci z południa.

- Och, dziękujemy, dziękujemy ci bardzo! - zawołały dzieci.

- Pamiętajcie tylko o jednym - dodała pani. - Niezależnie od tego, w jakim dniu przybędziecie do Harfangu, nie powinniście stanąć u bram zamku zbyt późno. Bramy są zamykane parę godzin po południu, a jest taki zwyczaj w tym zamku, że kiedy rygle opadną, nie podnosi się już ich tego samego dnia, choćbyście nie wiem jak głośno stukali.

Dzieci znów jej podziękowały, a pani pożegnała ich skinieniem dłoni. Błotowij zdjął swój dziwaczny, wysoki kapelusz i sztywno się skłonił. Potem milczący rycerz i piękna pani popędzili swe rumaki, które z łoskotem podków wbiegły na kamienny most.

- No i co wy na to? - odezwał się Błotosmętek. - Wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, skąd ona jedzie i dokąd się udaje. Zauważyliście, że zupełnie nie pasowała do tego rodzaju istot, jakich się można spodziewać w dzikiej krainie olbrzymów?

- Och, co za bzdury! - zawołał Eustachy. - Jeśli o mnie chodzi, uważam, że była po prostu ekstra. Pomyślcie o gorącym jedzeniu i ciepłych pokojach. Mam nadzieję, że ten Harfang nie jest zbyt daleko.

- Z ust mi to wyjąłeś - powiedziała Julia. - A jej suknia była wprost szalowa. I ten koń!

- Niemniej - upierał się Błotosmętek - bardzo bym chciał wiedzieć o niej troszeczkę więcej.

- Zamierzałam ją prosić, aby nam o sobie opowiedziała - rzekła Julia - ale jak mogłam to zrobić, skoro nie chciałeś jej nic powiedzieć o nas?

- Właśnie - dodał Eustachy. - Dlaczego byłeś taki sztywny i nieuprzejmy? Czyżby ci się nie podobali?

- Nie podobali? - powtórzył błotowij. - A kim są ci „oni”, o których mówisz? Ja widziałem tylko jedną osobę.

- Jak to? Nie widziałeś rycerza?

- Widziałem zbroję - rzekł Błotosmętek. - Dlaczego nic nie mówił?

- Może był nieśmiały - zauważyła Julia. - A może po prostu pragnął tylko patrzeć na nią i słuchać jej cudownego głosu. Na jego miejscu też bym tylko tego pragnęła.

- Tak sobie myślę - powiedział Błotosmętek - co by się naprawdę stało, gdyby tak podnieść przyłbicę tej zbroi i zajrzeć do środka.

- A dajże nam spokój z tym wszystkim! - zdenerwował się Eustachy. - Pomyśl o kształcie zbroi. Co by tam MOGŁO być prócz człowieka?

- A gdyby tak był tylko szkielet? - wycodził Błotosmętek zimno, przeciągając sylaby. - Albo na przykład - dodał po chwili - po prostu NIC. To znaczy nic, co można zobaczyć. Ktoś niewidzialny.

- Naprawdę, Błotosmętku - powiedziała Julia, czując, jak dreszcz przebiegł jej po plecach - ty zawsze musisz mieć jakieś straszne pomysły. Jak to się dzieje, że ci

przychodzą do głowy?

- Och, daj sobie spokój z jego pomysłami! - zawołał Eustachy. - Zawsze spodziewa się najgorszego i zawsze się myli. Zajmijmy się lepiej tymi Łagodnymi Olbrzymami i ruszajmy zaraz do Harfangu. Chciałbym wiedzieć, jak to daleko.

I teraz właśnie nadszedł moment, w którym byli już blisko pierwszej z tych kłótni, przed którymi ostrzegał Błotosmętek. Co prawda już raz Julia i Eustachy trochę się posprzeczali, ale dopiero teraz doszło do pierwszej poważnej różnicy zdań. Błotosmętek był w ogóle przeciwny wędrowce do Harfangu. Trudno powiedzieć, twierdził, co u olbrzymów oznacza słowo „łagodny”, a w każdym razie Znaki Aslana nic nie mówią o pobycie wśród olbrzymów, łagodnych czy wręcz przeciwnie. Natomiast dzieci, które miały już dość wiatru i deszczu, pieczonego nad ogniskiem włóknistego mięsa dzikich ptaków i spania na zmarzniętej ziemi, dostały kompletnego bzika na punkcie odwiedzin u Łagodnych Olbrzymów. W końcu Błotosmętek zgodził się na to, ale pod jednym warunkiem. Dzieci muszą uroczyście przyrzec, że nie powiedzą olbrzymom ani skąd przychodzą, ani po co idą. Złożyli przyrzeczenie i ruszyli w drogę.

Od spotkania z piękną panią pogorszyły się dwie sprawy. Po pierwsze, okolica zrobiła się bardziej dzika i niedostępna. Droga wiodła przez nie kończące się wąskie doliny, wzdłuż których lodowaty, ostry wiatr wiał im zawsze w twarz. Nie było drewna na rozpalenie ogniska, brakowało też zacisznych kotlinek do obozowania, w jakie obfitowała torfowa równina Ettinsmooru. Kamienisty grunt sprawiał, że pod koniec dnia mieli rany i odciski na nogach, a o świcie wstawali niewyspani, z obolałymi ciałami.

Po drugie, niezależnie od tego, jakie były naprawdę intencje pięknej pani, kiedy zachwalała im Harfang, na razie nie miało to dobrego wpływu na dzieci. Nie potrafiły już myśleć o niczym innym oprócz łóżek, kąpieli, gorących posiłków i wymarzonego słodkiego odpoczynku w prawdziwym domu. Przestały zupełnie rozmawiać o Aslanie i o zaginionym królewiczu. Julia porzuciła swój zwyczaj powtarzania Znaków każdego wieczoru i ranka. Najpierw mówiła sobie, że jest na to zbyt zmęczona, później w ogóle przestała o tym myśleć. I chociaż można by oczekiwać, że myśl o wspaniałościach Harfangu podniesie je na duchu, w rzeczywistości były jeszcze bardziej rozżalone swoim losem. Stały się też bardziej kłótlive i skłonne do drwin z siebie i z Błotosmętka.

Pewnego popołudnia znaleźli się wreszcie w miejscu, gdzie wąwóz, którym

wędrowali, rozszerzył się, a po obu jego stronach pojawił się sosnowy las. Spojrzeli przed siebie i zrozumieli, że przeszli już pierwsze pasmo gór. Przed nimi leżała pusta, skalista równina, za nią nowe góry ze szczytami pokrytymi śniegiem. A między nimi i tymi dalekimi szczytami wznosiło się niskie wzgórze z nieregularnym, płaskim wierzchołkiem.

- Spójrzcie! Spójrzcie! - zawołała Julia i wskazała przed siebie na drugi kraniec równiny, a tam, w zapadającym zmierzchu, poza płaskim wzgórzem zapaliły się światła. Nie światło księżyca, nie ogniska, lecz wołające o zaciśniętym domu rzędy oświetlonych okien. Jeśli nigdy nie byliście w dzikich pustkowiach - w dzień i w noc, tydzień po tygodniu - nie będziecie w stanie zrozumieć, co w tej chwili czuły dzieci.

- Harfang! - wykrzyknęli oboje rozradowanymi, podnieconymi głosami.

- Harfang! - powtórzył Błotosmętek matowym, ponurym głosem. Ale natychmiast dodał: - Hej! Dzikie gęsi! - i błyskawicznie ściągnął łuk z ramienia. Udało mu się zestrzelić dużą, tłustą gęś. Było o wiele za późno, by myśleć o dotarciu do bram Harfangu za dnia. Mieli jednak drewno na ogień i dobrą, gorącą kolację. Tego wieczoru, gdy kładli się na spoczynek, było im cieplej niż przez ostatnie siedem nocy. Kiedy jednak ognisko wygasło, noc stała się lodowato zimna, a następnego ranka koce były sztywne od mrozu.

- Tonie - powiedziała Julia, przytupując, aby się rozgrzać. - Wieczorem czeka nas gorąca kąpiel!

ROZDZIAŁ 7

WZGÓRZE DZIWNEGO LABIRYNTU

NIE MA WĄTPLIWOŚCI, że był to najgorszy dzień ich wędrówki. Nad nimi wisiało ciemne niebo, nabrzmiałe ciężkimi od śniegu chmurami, pod nogami czuli zamrożony skalisty grunt, a prosto w twarz dął wiatr, którego smaganie przypominało obdzieranie ze skóry. Kiedy zeszli na równinę, stwierdzili, że ta część starożytnego traktu jest jeszcze bardziej zniszczona. Musieli szukać go wśród olbrzymich głazów, otoczków i ostrego gruzu. Była to ciężka droga dla poranionych nóg. Lecz choć odczuwali wielkie zmęczenie, przejmujące zimno nie pozwalało im zatrzymać się na odpoczynek.

Około dziesiątej rano pojawiły się pierwsze drobne płatki śniegu, wirujące w powietrzu i osiadające na ubraniach. Dziesięć minut później padały już dość gęsto. W ciągu dwudziestu minut wszystko pokryło się bielą. A nie minęło pół godziny, gdy oślepiła ich straszliwa burza śnieżna. Zanosilo się na to, że będzie trwała cały dzień.

Aby zrozumieć, co stało się później, musicie pamiętać, że prawie nic nie widzieli. Kiedy zbliżali się do niskiego wzgórza oddzielającego ich od miejsca, w którym poprzedniego wieczora pojawiły się oświetlone okna, nie byli w stanie ogarnąć go spojrzeniem. Prawdę mówiąc, nie widzieli przed sobą nic prócz śniegu, a w dodatku musieli mrużyć oczy przed zamiecią. Nie trzeba chyba dodawać, że nic do siebie nie mówili.

Kiedy wreszcie doszli do wzgórza, po obu stronach zamajaczyło im coś, co mogło być skałami - niskimi i dziwnie równymi, jeśliby dobrze im się przyjrzeć, ale nikt nie był w stanie tego uczynić. Wszyscy wpatrywali się w półtorametrowy występ skalny, który nagle wyłonił się z zamieci. Długie nogi Błotosmętka pozwoliły mu bez trudu wdrapać się na szczyt kamiennej półki. Dla dzieci było to o wiele trudniejsze (choć Błotosmętek im pomagał), zwłaszcza że na szczycie leżała gruba warstwa śniegu. Teraz czekała ich ostrożna wędrówka po bardzo nierównej, śliskiej powierzchni - Julia przynajmniej raz się przewróciła - a potem doszli do drugiego występu. W sumie były cztery takie kamienne półki w nierównych odstępach od siebie.

Po wdrapaniu się na czwartą półkę nie mieli wątpliwości, że są już na szczycie wzgórza. Aż dotąd jego dziwnie ukształtowane zbocze dawało im jakąś osłonę przed wiatrem. Teraz uderzył w nich z całą wściekłością. Wzgórze - co było nieco zaskakujące - okazało się na szczycie zupełnie płaskie: wielka, gładka jak stół

powierzchnia, po której bez przeszkód przewalała się śnieżna zamieć. Tylko w nielicznych zagłębieniach utrzymywał się śnieg, bo wiatr porywał go wciąż do góry, ciskając im w twarz lodowate kłęby i smugi kłującego pyłu i tworząc małe śnieżne wiry wokół stóp, jak się to czasami dzieje na lodowisku. W wielu miejscach powierzchnia wzgórza była zresztą gładka jak lód, a w dodatku poprzecinana jak labirynt jakimiś dziwnymi przegrodami i groblami, dzielącymi ją na kwadraty lub długie prostokąty. Na każdą taką przegrodę trzeba się było, rzecz jasna, wspinać, a miały od połowy do półtora metra wysokości i kilka metrów szerokości. Po północnej stronie każdej przegrody nagromadziły się grube warstwy śniegu, co oznaczało, że każde zejście połączone było z zapadaniem się po pas w mokrą zaspę.

Julia brnęła przed siebie z nisko pochyloną głową otuloną kapturem, a skostniałe z zimna ręce schowała pod pelerynę. Poprzez śnieg dostrzegała różne dziwne rzeczy. Po prawej stronie zamajaczyły jakieś kształty, przypominające fabryczne kominy, a po lewej - wysokie urwisko, bardziej równe i prostopadłe, niżby to pasowało do najbardziej stromego urwiska. Nie poświęciła jednak tym kształtom ani jednej myśli. Potrafiła teraz myśleć jedynie o zimnych rękach (i nosie, i policzkach, i uszach) oraz o gorącej kąpieli i wygodnym łóżku w Harfangu.

Nagle przewróciła się, poślizgnęła do przodu i zaczęła zjeżdżać w ciemną, wąską czeluść. W chwilę później zatrzymała się. Wyglądało na to, że wpadła do jakiegoś wąskiego okopu lub sztolni. I chociaż nagły upadek porządnie ją wystraszył, pierwszym odczuciem była ulga: wiatr już jej nie smagał, bo ściany okopu wznosiły się wysoko ponad nią. A w chwilę później zobaczyła przerażone twarze Scrubba i Błotosmętka, którzy patrzyli na nią znad krawędzi.

- Czy jesteś ranna, Pole? - zawołał Scrubb.

- OBIE nogi złamane, wcale bym się nie zdziwił - powiedział Błotosmętek.

Julia wstała i wyjaśniła, że jest cała i zdrowa, ale że nie wydostanie się bez ich pomocy.

- Co to jest, w co wpadłaś? - zapytał Scrubb.

- To coś w rodzaju okopu albo może jakaś zapadnięta ulica, albo coś innego.

Biegnie zupełnie prosto.

- Tak, i niech to licho porwie, biegnie prosto na północ! - zawołał Scrubb. - Może to jakiś rodzaj drogi? Moglibyśmy nią iść osłonięci od wiatru. Czy dużo tam śniegu na dnie?

- Prawie wcale. Chyba wiatr przenosi go nad krawędziami.

- A co jest dalej?

- Chwileczkę, zaraz pójde i zobaczę - odpowiedziała Julia. Nie uszła jednak daleko, gdy rów skręcił nagle w prawo. Przekazała tę informację pozostałym.

- A co jest za zakrętem? - spytał Eustachy.

Tak się akurat złożyło, że Julia miała ten sam stosunek do wijących się korytarzy i ciemnych przejść pod ziemią, a nawet prawie pod ziemią, co Eustachy do krawędzi stromych urwisk. Wcale nie miała ochoty pójść dalej, za róg ciemnego okopu, zwłaszcza gdy usłyszała Błotosmętka wrzeszczącego gdzieś w górze:

- Bądź ostrożna, Pole! Takie korytarze mogą prowadzić do jaskini smoka. W krainie olbrzymów mogą też żyć olbrzymie ziemne glisty lub wielkie robaki.

- Wydaje mi się, że to nigdzie dalej nie prowadzi - powiedziała Julia, wracając szybko z powrotem.

- Muszę to sam obejrzeć - rzekł Eustachy. - Chciałbym wiedzieć, co masz na myśli, mówiąc „nigdzie dalej”. - Usiadł na skraju rowu (każde z nich było już zbyt mokre, by przejmować się tym, że będzie mokrzejsze) i zjechał na dno. Przecisnął się obok Julii, która - choć nic nie mówił - była pewna, że Eustachy wie o jej oszustwie. Poszła więc za nim, starając się trzymać trochę w tyle.

Okazało się jednak, że zwiad Eustachego nie przyniósł żadnego pożytecznego rezultatu. Za rogiem korytarz skręcał w prawo, a po kilku krokach znaleźli rozgałęzienie: jeden korytarz wiódł dalej prosto, drugi ponownie skręcał w prawo.

- To nic nie da - rzekł Eustachy, patrząc w prawe odgałęzienie - to prowadzi z powrotem, na południe. - Ruszył więc dalej prosto, ale po paru krokach znowu napotkali zakręt w prawo. Tym razem jednak nie było wyboru, bo korytarz kończył się gładką ścianą.

- Nic z tego - mruknął Scrubb. Julia, nie tracąc czasu, odwróciła się i popędziła z powrotem. Błotowij wyciągnął ich bez trudu swoimi długimi rękami.

Straszne było znaleźć się znowu na szczycie wzgórza. Tam, w dole, na dnie głębokiego rowu, uszy im prawie odtajały, mogli też widzieć wyraźnie, oddychać bez trudu i porozumiewać się ze sobą bez krzyku. Tu, na górze, smagający śniegiem, lodowaty wiatr doprowadzał ich do krańcowej rozpacz. A jeszcze na dodatek Błotosmętek wybrał akurat ten moment, aby zawołać:

- Czy wciąż dobrze pamiętasz te Znaki, Pole? Jakiego teraz powinniśmy szukać?

- Och, daj mi SPOKÓJ! Do licha ze Znakami! - burknęła Julia. - Zdaje mi się, że

to było coś takiego o kimś, kto wypowie imię Aslana. Ale niech mnie dunder świnię, jeżeli będą ci tutaj recytowała Znaki!

Jak na pewno zauważyliście, pomyliła kolejność. A to dlatego, że przestała powtarzać Znaki każdego wieczora przed zaśnięciem. Gdyby się wysiliła, wciąż jeszcze mogłaby je sobie przypomnieć, ale nie potrafiła już ich wyrecytować bez zastanowienia, z poczuciem pewności, że niczego nie opuściła i wszystko jest w dobrej kolejności. Pytanie Błotosmętka rozzłościło ją, ponieważ głęboko w sercu było jej wstyd, że nie pamięta już pouczeń Lwa tak dobrze, jak powinna. To właśnie ten wstyd, w połączeniu z całym utrapieniem przemęczenia i zziębnięcia, kazał jej powiedzieć: „Do licha ze Znakami!”. Prawdopodobnie wcale tak nie myślała.

- Ach, więc to ma być następny Znak? Jesteś pewna? - dopytywał się Błotosmętek. - Zastanawiam się, czy masz rację. Chyba je pomyliłaś, i wcale bym się nie dziwił. Coś mi się wydaje, że to wzgórze, to płaskie miejsce, na którym jesteśmy, warte jest tego, by mu się dobrze przyjrzeć. Czy nie zauważyliście, że...

- Na wielkiego smoka! - przerwał mu Scrubb. - Czy to właściwy czas na podziwianie widoków? Na miłość boską, idźmy dalej!

- Hej, patrzcie, patrzcie! - zawołała Julia i wskazała przed siebie. Wszyscy spojrzeli w tym kierunku. A tam, na północy, o wiele wyżej od płaskiego szczytu wzgórza, na którym stali, pojawił się rząd światła. Tym razem było jeszcze bardziej oczywiste, że są to okna: małe okienka, pozwalające rozkoszować się myślą o łaźniach, i wielkie okna, pozwalające marzyć o przestronnych salach z trzaskającym wesoło ogniem na kominku i o gorącej zupie lub dymiących polędwicach na stole.

- Harfang! - zawołał Eustachy.

- Bardzo pięknie - rzekł Błotosmętek - ale mówiłem właśnie...

- Och, przestań już gadać! - przerwała mu Julia ze złością. - Nie mamy ani chwili do stracenia. Pamiętajcie, co mówiła pani o tym ich zwyczaju wczesnego zamykania bram? Musimy tam zdążyć o właściwej porze, musimy, musimy! UMRZEMY wszyscy, jeśli zostaniemy za murami w taką noc.

- Ściśle mówiąc, to jeszcze nie jest noc - zaczął znowu Błotosmętek ponuro, ale dwoje dzieci zawołało - Idziemy! - i zaczęło się ślizgać po gładkiej powierzchni wzgórza tak szybko, jak im na to pozwalały obolałe nogi. Błotowij ruszył za nimi, wciąż coś mówiąc, ale teraz, w szalejącej wściekle zadymce, nie usłyszeliby nic, choćby nawet chcieli. A jest pewne, że nie chcieli. Marzyli tylko o kąpieli, łózkach i o czymś gorącym do picia, a myśl o tym, że mogą nie zdążyć i zastać bramę zamkniętą aż do

jutra, trudna była do zniesienia.

Pomimo tego pośpiechu przejście całego płaskiego szczytu dziwnego wzgórza zajęło im wiele czasu. A kiedy już je przeszli, napotkali znowu kamienne półki, po których tym razem musieli zejść w dół. W końcu jednak stanęli u stóp wzgórza i mogli zobaczyć, jak naprawdę wygląda Harfang.

Stał na wysokiej skale i pomimo wielu wieżyc bardziej przypominał jakiś gigantyczny dom niż zamek. Było oczywiste, że Łagodne Olbrzymy nie obawiają się *żadnego* ataku. W zewnętrznych murach okna widniały zupełnie nisko - rzecz nie do pomyślenia w prawdziwej twierdzy. Było też wiele dziwnych drzwiczek tu i tam, umożliwiających wyjście i wejście do zamku bez potrzeby przechodzenia przez dziedziniec. Podniosło to na duchu Julię i Eustachego. Wielki dom wydawał się przez to bardziej przyjazny i mniej niedostępny.

Z początku przeraziła ich wysokość i stromość skały, ale wkrótce spostrzegli łatwiejszą drogę wiodącą ku bramie. Ale i tak, biorąc pod uwagę to, co dzisiaj przeszli, była to mozolna wspinaczka. Julia prawie opadła z sił. Ostatnie pięćdziesiąt metrów przeszła dzięki pomocy Eustachego i Błotosmętka. Wreszcie stanęli przed bramą zamku. Krata była podniesiona, a wrota stały otworem.

Można być nie wiem jak zmęczonym, lecz przejście przez bramę domostwa olbrzymów kosztuje jednak zawsze trochę nerwów. I mimo swego braku zaufania do Harfangu to właśnie Błotosmętek wykazał największą odwagę.

- Idziemy spokojnie - powiedział. - Nie sprawiajcie wrażenia przestraszonych, cokolwiek by się działo. Przychodząc tu, zrobiliśmy najgłupszą rzecz na świecie, ale jeśli już tu JESTEŚMY, powinniśmy zachować twarz.

Po tych słowach wkroczył w bramę, zatrzymał się pod jej sklepieniem, gdzie echo mogło wzmocnić jego głos, i zawołał tak głośno, jak potrafił:

- Hej, ho! Odźwierny! Goście szukają noclegu!

I czekając na to, aby *coś* się wydarzyło, zdjął kapelusz i strącił z szerokiego ronda grubą warstwę śniegu.

- No wiesz - szepnął Eustachy do Julii - może on i jest strasznym jęczyduszą, ale odwagi i tupetu mu nie brak.

Otworzyły się jakieś drzwi, z których popłynął cudowny blask płonącego kominka, i wyszedł odźwierny. Julia zagryzła mocno wargi, aby nie zapiszczeć ze strachu. Nie był to największy z olbrzymów, to znaczy był zapewne wyższy od sporej jabłonki, ale jednak nie tak wysoki jak słup telegraficzny. Miał rudą, szczeciniastą brodę, skórzany

kaftan nabijany metalowymi płytkami, tworzącymi coś w rodzaju kolczugi, gołe nogi (bardzo owłosione) i jakieś owijacze na stopach. Pochylił się i wytrzeszczył oczy na Błotosmętka.

- Jak się nazywają stworzenia takie jak *ty*? - zapytał.

Julia zdobyła się na odwagę i zawołała:

- Hej, posłuchaj! Pani w Zielonej Sukni pozdrawia króla szlachetnych olbrzymów i przysłała nas dwoje, dzieci z południa, oraz błotowija, ma na imię Błotosmętek, na wasze Święto Jesieni. Jeśli nie macie nic przeciwko temu - dodała.

- Ho, ho! - wykrzyknął odźwierny. - To całkiem inna historia. Wejdźcie, mali ludkowie, wejdźcie. Najlepiej będzie, jak wejdziecie do stróżówki, a ja pošlę słówko jego królewskiej mości. - Przyglądał się dzieciom z ciekawością. - Niebieskie twarze - powiedział. - Nigdy nie sądziłem, że mają takie twarze.

Jeśli chodzi o mnie, wcale mi to nie przeszkadza. Na pewno wy sami nie widzicie w tym nic dziwnego. Robaczki mają upodobanie w drugich robaczkach, jak to mówią.

- Nasze twarze są niebieskie z zimna! - wyjaśniła Julia. - NAPRAWDĘ nie jesteśmy takiego koloru.

- A więc wejdźcie i ogrzejcie się. Wchodźcie, ludziki.

Weszli do stróżówki. Straszliwy łoskot zamykanych za nimi drzwi nie należał do przyjemnych odgłosów, ale zapomnieli o nim od razu, kiedy zobaczyli to, o czym marzyli od czasu ostatniej kolacji - kominek! I co za kominek! Płonęło na nim chyba z pięć całych drzew, a żar bił taki, że trudno było się zbliżyć. Ale i tak wszyscy troje opadli na ceglana podłogę tak blisko ognia, jak można było wytrzymać, i wydali z siebie westchnienie ulgi.

- Słuchaj no, młodziku - rzekł odźwierny do innego olbrzyma, który siedział w głębi izby, gapiąc się na przybyszów, jakby mu oczy miały wyskoczyć z głowy - skocz mi zaraz z wiadomością do Domu. - I powtórzył, co mu powiedziała Julia. Młodszy olbrzym spojrział na nich jeszcze raz, wybuchnął rubasznym śmiechem i wyszedł z izby.

- Hej, ty, Zabowaty - zwrócił się odźwierny do Błotosmętka. - Wyglądasz mi na takiego, co chciałby sobie czymś poprawić humor. - I wyciągnął czarną butlę, bardzo podobną do tej, jaką miał Błotosmętek, tyle że dwadzieścia razy większą. - Zaraz, zaraz, niech no pomyślę. Nie mogę ci dać kubka, bobyś się utopił. Pomyślmy. Ta solniczka będzie w sam raz. Nie musisz o tym wspominać w Domu. Nie moja to wina,

że srebro zawsze jakoś tu się przyplątuje.

Solniczka była nieco inna niż nasze, bardziej wąska i wysoka, tak że mogła rzeczywiście służyć Błotosmętkowi za kubek. Dzieci spodziewały się, że blotowij odmówi, nie mając przecież za grosz zaufania do Łagodnych Olbrzymów. Ale zamruczał tylko:

- Teraz, jak już jesteśmy w środku, a drzwi się zatrzasnęły, trochę za późno na ostrożność - i powąchał zawartość solniczki. - Zapach ma całkiem niezły - zauważył - ale to jeszcze nic nie znaczy. Lepiej się upewnić - i pociągnął spory łyk. - Smakuje też niezłe. Ale może tylko PIERWSZY łyk? Jaki będzie drugi? - Łyknął znowu, tym razem o wiele więcej. - Ach! Ale czy takie samo jest do końca? - i pociągnął znowu. - Założę się, że na samym dnie będzie coś paskudnego. - Tym razem wypił wszystko. Oblizął wargi i odezwał się do dzieci: - To jest próba, rozumiecie? Jeżeli mnie pokręci albo rozsadzi, albo zamieni w jaszczurkę, albo coś innego, będziecie wiedzieć, że nie wolno brać niczego, co wam tu zaproponują.

Tymczasem olbrzym, który był za wysoki, aby słyszeć, co mamrocze Błotosmętek, ryknął śmiechem i powiedział:

- Widzę, Zabowaty, że z ciebie chłop na schwał! Aleś sobie z tym poradził!

- Jestem blotowijem - odrzekł Błotosmętek niezbyt uprzejmym tonem. - I nie jestem żadną żabą. Jestem blotowijem.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wrócił młodszy olbrzym, mówiąc:

- Mają iść od razu do sali tronowej.

Dzieci wstały, ale Błotosmętek nie ruszył się z miejsca i tylko powtarzał:

- Błotowijem. Błotowijem. Bardzo zacnym blotowijem. Zacnowijem.

- Pokaż im drogę, młodziku - rzekł odźwierny.

- Chyba będziesz musiał zanieść Zabowatego. Wypił kropelkę za dużo i trochę mu zaszkodziło.

- Nic mi nie jest - powiedział Błotosmętek.

- I tylko nie żaba. Nic mi do żaby. Jestem zacnobijem.

Ale młody olbrzym schwycił go wpół i dał znać dzieciom, aby szły za nim. W taki niezbyt godny sposób przeszli przez dziedziniec. Błotosmętek, trzymany przez olbrzymia w dłoni i wymachujący rękami i nogami, rzeczywiście bardzo przypominał żabę. Ale nie mieli czasu, aby to zauważyć, bo wkrótce przeszli przez wielką bramę - a obojgu serca zaczęły bić mocniej - i po kluczeniu korytarzami (truchtem, żeby nadążyć za krokami olbrzymia) szli już, mrużąc oczy, przez olbrzymią salę zalaną światłem

wielu lamp i blaskiem ognia płonącego na wielkim kominku, odbijającym się w złoceniach sufitu i gzymsów. Po lewej i po prawej stronie stało tyle olbrzymów, że trudno było je zliczyć. Wszystkie ubrane były we wspaniałe szaty, a na dwu tronach w dalekim końcu sali siedziały dwie wielkie postacie, wyglądające na króla i królową.

Jakieś pięć metrów przed tronami olbrzym zatrzymał się. Julia wykonała okropną karykaturę ukłonu (w Eksperymentalnej Szkole nie uczono dziewcząt dworskich manier). Młody olbrzym ostrożnie postawił Błotosmętka na posadzce, lecz ten opadł natychmiast do pozycji najbardziej przypominającej siedzącą. Prawdę powiedziawszy, ze swymi długimi członkami błotowij zupełnie przypominał wielkiego pająka.

ROZDZIAŁ 8

HARFANG

NO, DALEJ, POLE. Rób, co do ciebie należy - szepnął Eustachy.

Julii tak zaschło w ustach, że nie mogła wykrztusić ani słowa. Rozpaczliwie kiwnęła głową do Scrubba.

Pomyślawszy sobie, że nigdy jej (i Błotosmętkowi) tego nie zapomni, Eustachy oblizał wyschnięte wargi i powiedział głośno do króla olbrzymów:

- Racz mnie wysłuchać, wasza królewska mość! Pani w Zielonej Sukni pozdrawia cię naszymi ustami i sądzi, że będziesz rad, mając nas na Święto Jesieni w swym zamku.

Król i królowa popatrzyli po sobie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się w sposób, który Julii nie bardzo przypadł do gustu. Król podobał się jej bardziej niż królowa. Miał piękną, falistą brodę, orli nos i, jak na olbrzym, wyglądał zupełnie przyzwoicie. Natomiast królowa była okropnie gruba. Miała dwa podbródki i tłustą, upudrowaną twarz, co nigdy nie jest specjalnie ładne, a z pewnością wygląda jeszcze gorzej, jeśli twarz jest dziesięć razy większa od normalnej. Potem król wysunął język i oblizał wargi. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego i każdy mógłby to zrobić, ale jego język był tak wielki i czerwony, a wysunął się tak niespodziewanie, że dla Julii było to wstrząsem.

- Och, jakie DOBRE dzieci! - powiedziała królowa.

(„Ostatecznie może nie jest taka zła”, pomyślała Julia.)

- Tak, w *rzeczy* samej - rzekł król - wspaniałe dzieciaki. Witamy was na naszym dworze. Podajcie mi ręce.

Wyciągnął do nich swą wielką prawą dłoń - bardzo czystą, z wieloma pierścieniami na palcach, ale z okropnie ostrymi paznokciami. Okazało się jednak, że była o wiele za duża, aby ucisnąć wyciągnięte ku niemu ręce dzieci, więc tylko potrząsnął ich ramionami.

- A co to takiego? - zapytał, wskazując na Błotosmętka.

- Zacnobij - rzekł Błotosmętek.

- Och! - zapiszczała królowa, zbierając ciasno spódnicę przy kostkach. - To jest paskudne! To żyje!

- On jest całkiem w porządku, wasza królewska mość, naprawdę - powiedział szybko Eustachy. - Będzie się wam podobał o wiele bardziej, kiedy go poznacie.

Jestem tego pewien.

Mam nadzieję, że od tego miejsca aż do końca książki nie stracie serca dla Julii, jeśli wam powiem, że w tym momencie zaczęła płakać. Naprawdę, miała wiele na swoje usprawiedliwienie. Jej stopy, ręce, uszy i nos dopiero zaczynały tajać, roztopiony śnieg spływał z jej płaszcza, przez cały dzień nic nie miała w ustach, a nogi drżały tak, że czuła, iż za chwilę się przewróci.

W każdym razie okazało się to w tej chwili bardziej korzystne, niż gdyby zrobiła cokolwiek innego, bo królowa powiedziała:

- Ach, biedne dziecko! Panie mój i małżonku to nieładnie z naszej strony, że pozwalamy naszym gościom stać tak długo. Hej, kilku z was! Zabierzcie stąd szybko te dzieci! Dajcie im coś do zjedzenia i picia, przygotujcie kąpiel. Pocieszcie tę małą dziewczynkę. Dajcie jej lizaka, dajcie jej lalki i zabawki, dajcie jej lekarstwa, dajcie jej wszystko, co można wymyślić, grzanego mleka z winem i korzeniami, kandyzowanych owoców, herbatki z kminku. Zaśpiewajcie jej kołysankę. Nie płacz, malutka, nie płacz, bo będziesz do niczego, kiedy nadejdzie święto.

Każde z was oburzyłoby się na wzmiankę o zabawkach i lalkach, nie więc dziwnego, że i Julię ogarnęła złość. Lizaki i mleko z korzeniami nie były w końcu najgorsze, ale w tej chwili marzyła raczej o czymś bardziej konkretnym do jedzenia. Głupia przemowa królowej przyniosła jednak wspaniały skutek, ponieważ Błotosmętek i Eustachy zostali natychmiast porwani przez olbrzymich paziów, a Julia przez olbrzymią dworękę, i odniesieni do komnat gościnnych.

Pokój Julii był rozmiarów kościoła i mógłby się wydawać ponury, gdyby nie huczący na kominku ogień i bardzo gruby, szkarłatny dywan na podłodze. Tutaj zaczęto z nią wyprawiać cudowne rzeczy. Przekazano ją starej niani królowej, która z punktu widzenia olbrzymów była niską staruszką, prawie zgiętą we dwoje ze starości, ale z ludzkiego punktu widzenia olbrzymką na tyle małą, że mogłaby chodzić po normalnym pokoju, nie uderzając bez przerwy głową w sufit. Była bardzo zręczna, choć Julia marzyła o tym, by przestała wciąż mlaskać i mówić takie rzeczy, jak: „Hopla” i „Dobrze, moja perełko?” i „No, teraz będzie cacy, moja laleczko”. Napełniła balię gorącą wodą i pomogła Julii do niej wejść. Jeśli się potrafi pływać (a Julia potrafiła), kąpiel w balii olbrzymów jest cudowną sprawą. Wspaniałe też są ręczniki olbrzymów (choć nieco szorstkie i pospolite), bo są ich całe metry. W ogóle nie trzeba się wycierać, wystarczy owinąć się w nie przed kominkiem i jest rozkosznie. A potem przyniesiono czyste, świeże, ciepłe suknie, naprawdę cudowne suknie, i choć

troszeczkę na nią za duże, wyraźnie uszyte dla normalnej kobiety, nie dla olbrzymki. „Przypuszczam, że jeśli ta Pani w Zielonej Sukni ich odwiedza, to muszą być przyzwyczajeni do gości naszego wzrostu”, pomyślała Julia.

Za chwilę przekonała się, że miała rację, bo zastawiono dla niej stół przystosowany do wzrostu normalnego dorosłego człowieka, a noże, widelce i łyżki też były zwykłej wielkości. Cudownie było usiąść sobie wygodnie przy stole, czując się wreszcie ogrzaną i czystą. Nogi wciąż miała bose i z rozkoszą zanurzała je po kostki w puszystym dywanie; było to najlepsze, co można sobie wymarzyć dla poranionych i obolałych stóp. Jedzenie - które, jak sędzę, trzeba by nazwać obiadem, choć była już pora podwieczorku - składało się z rosółu z kury, pieczonego indyka, jarzynowego budyniu gotowanego na parze, pieczonych kasztanów i tyłu owoców, ile tylko można było zjeść.

Drażniło ją tylko to, że niania wciąż wychodziła i wchodziła, i za każdym razem przynosiła jakąś gigantyczną zabawkę: olbrzymią lalkę większą od Julii, drewnianego konia na kółkach rozmiarów małego słonia, bęben wyglądający jak mały zbiornik na wodę, i jagniątko z wełny. Były to proste, niezdarnie wykonane zabawki, jaskrawo pomalowane, i Julii niedobrze się robiło na ich widok. Za każdym razem powtarzała, że wcale ich nie potrzebuje, a niania odpowiadała:

- Tiu-tiu-tiu! Na pewno będziesz ich potrzebowała, kiedy już troszkę odpoczniesz. Tak, tak! Hi-hi-hi! A teraz do łóżeczka. Co za rozkoszna lalunia!

Łóżko też było normalnych rozmiarów, choć i tak wielkie, z rodzaju tych, jakie się czasami spotyka w staroświeckich hotelach. Jak małe się wydawało w tym olbrzymim pokoju i z jaką rozkoszą Julia do niego wskoczyła!

- Czy wciąż jeszcze pada śnieg, nianiu? - zapytała sennym głosem.

- Nie. Teraz pada deszcz, mój pieścioszku - odpowiedziała olbrzymka. - Deszcz spłucze ten brzydki śnieg. Moja rozkoszna laleczka będzie mogła jutro wyjść i pobawić się na dworze. - Otuliła Julię kołdrą i pocałowała ją na dobranoc.

Nie wyobrażam sobie nic bardziej przykrego od pocałunku olbrzymki. Julia pomyślała to samo, ale po pięciu minutach już spała.

Deszcz padał nieprzerwanie przez całe popołudnie i całą noc, bębniąc w okna zamku, ale Julia nic nie słyszała, śpiąc mocno aż do północy. A kiedy nadeszła owa martwa godzina, gdy w całym domu olbrzymów wszyscy już spali (prócz myszy), miała sen. Wydawało się jej, że budzi się w tym samym wielkim pokoju i widzi ogień na kominku, już niski i czerwony, a w jego świetle wielkiego drewnianego konia. Koń

poruszył się nagle i na swych kółkach podjechał po dywanie aż do jej łóżka. Ale teraz nie był to już koń, lecz lew, tak duży jak koń. I nie była to już zabawka, lecz prawdziwy lew, TEN prawdziwy Lew, tak jak go widziała na górze poza krańcem świata. Słodki zapach wypełnił pokój. Ale Julia odczuwała w sercu jakiś niepokój i lęk, chociaż nie mogła sobie przypomnieć, z jakiego powodu, i łzy popłynęły jej z oczu, mocząc poduszkę. Lew kazał jej powtórzyć Znaki, a ona stwierdziła, że wszystko zapomniała. Wtedy ogarnęła ją straszliwa groza. I Aslan wziął ją w paszczę (czuła jego wargi i oddech, ale nie czuła zębów) i zaniósł do okna, aby przez nie popatrzyła. Księżyc świecił jasno, a przez cały świat albo przez całe niebo (trudno to było określić) biegly wielkie litery, układające się w słowa PODE MNA. Potem sen się skończył, a kiedy się obudziła późnym rankiem, nie pamiętała, że w ogóle coś jej się śniło.

Wstała, ubrała się i zjadła śniadanie przed kominkiem, kiedy niania otworzyła drzwi i powiedziała:

- Tutaj są mali przyjaciele mojej cudownej laleczki. Będzie miała się z kim bawić.

Wszedł Eustachy i błotowij.

- Hej! Dzień dobry! - powitała ich Julia. - Czy to nie śmieszne? Spałam prawie piętnaście godzin. No, ale naprawdę czuję się lepiej, a wy?

- JA tak - odrzekł Eustachy. - Ale Błotosmętek twierdzi, że boli go głowa. Spójrz! Twoje okno jest w wykuszu! Można stamtąd wyrzeć na świat. - I od razu wszyscy troje to zrobili, i wystarczył jeden rzut oka, aby Julia zawołała:

- Och! To przecież straszne?

Słońce jasno świeciło, a nocny deszcz niemal całkowicie spłukał śnieg. Gdziekolwiek tylko zostały niewielkie białe plamy. Poniżej, jak rozłożona mapa, rozciągało się przed nimi płaskie wzgórze, które wczoraj pokonali z tak wielkim trudem. Teraz, z wysokości zamku, nie mogło być żadnych wątpliwości: patrzyli na ruiny gigantycznego miasta. Było płaskie, bo - jak teraz Julia widziała wyraźnie - pokrywały je kamienne płyty, chociaż w niektórych miejscach chodnik wykruszył się lub popękał. Przecinające wzgórze rowy czy sztolnie były pozostałościami murów wielkich budowli, które mogły być pałacami i świątyniami olbrzymów. Część murów, wysokich na jakieś sto pięćdziesiąt metrów, zachowała się do dziś i ją właśnie pomyliła podczas zamieci ze skalnym urwiskiem. Kształty przypominające kominy fabryczne okazały się potężnymi kolumnami, połamanymi na różnych wysokościach; ich szczątki leżały opodal jak monstrualne pnie kamiennych drzew. Półki, z których z

takim trudem schodzili po północnej stronie - a także bez wątpienia te, na które musieli wspiąć się po stronie południowej - były szczątkami stopni olbrzymich schodów. Aby dopowiedzieć wszystko do końca, przez środek kamiennego placu biegły wielkie czarne litery, układające się w słowa PODE MNA.

Trzej wędrowcy popatrzyli po sobie z przerażeniem, a Eustachy gwizdnął i wypowiedział to, o czym wszyscy myśleli:

- Drugi i trzeci Znak mamy z głowy.

I w tym momencie Julia przypomniała sobie swój sen.

- To moja wina - powiedziała zrozpaczonym głosem. - Ja... ja przestałam powtarzać Znaki codziennie przed zaśnięciem. Gdybym o nich myślała, nawet w tej śnieżycy poznałabym, że to zrujnowane miasto.

- Moja wina jest większa - odezwał się Błotosmętek. - Ja to POZNAŁEM lub prawie poznałem. Pomyślałem sobie, że to wygląda zupełnie jak ruiny miasta.

- Tylko tobie nie można niczego zarzucić - powiedział Eustachy. - Przecież PRÓBOWAŁEŚ nas zatrzymać.

- Ale nie próbowałem skutecznie - rzekł błotowij. - I prawdę mówiąc, nie miałem do tego za wiele serca. A przecież powinienem to zrobić. Jakbym nie mógł was zatrzymać jedną ręką!

- Wszyscy znamy prawdę - powiedział Eustachy. - Tak okropnie chciało nam się wypaść w ciepłym łóżku, że przestaliśmy troszczyć się o cokolwiek innego. W każdym razie mogę to powiedzieć o sobie. Od czasu spotkania tej kobiety z milczącym rycerzem nie myśleliśmy o niczym innym. Prawie już zapomnieliśmy o królewiczu Rilianie.

- Wcale bym się nie zdziwił - zauważył Błotosmętek - gdyby jej o to właśnie chodziło.

- Nie rozumiem tylko jednego - powiedziała Julia. - Jak to się stało, że nie widzieliśmy tych liter? A może ich jeszcze wczoraj nie było? Może on, Aslan, wypisał je ostatniej nocy? Miałam taki dziwny sen. - I opowiedziała go.

- Ale ty jesteś głupia! - zawołał Eustachy. - Widzieliśmy je. Weszliśmy w te litery. Nie rozumiesz? Wpadłaś w literę E w słowach PODE MNA. Szliśmy wzdłuż dolnej poziomej kreski E, prosto na północ, skręciliśmy prostopadle w prawo, na wschód, wzdłuż pionowej pałki, doszliśmy do drugiego skrzyżowania w prawo, w środku pałki, ale nie weszliśmy w środkową poziomą kreskę, tylko szliśmy dalej na wschód, do góry litery, aż do trzeciego skrzyżowania w prawo. I tu już nie było wyboru, skręciliśmy na

południe i w ten sposób doszliśmy do końca litery. Ale z nas durnie! - Kopnął ze złością w ławeczkę pod oknem i mówił dalej: - Tak, Pole, nie jest dobrze. Wiem, o czym myślisz, bo i ja myślę o tym samym. Myślisz, jak by to było dobrze, gdyby to Aslan umieścił dla nas wskazówkę na kamiennych płytach ruin miasta i to dopiero wtedy, jak przez nie przeszliśmy. Byłaby to wówczas jego wina, nie nasza. Jak to byłoby miło, no nie? Ale nie ma tak dobrze. Musimy się po prostu przyznać. Mieliliśmy tylko cztery Znaki, które miały nas prowadzić, a nie rozpozналиśmy pierwszych trzech.

- Chcesz powiedzieć, że to ja je miałam - powiedziała Julia. - I masz całkowitą rację. To ja psułam wszystko od samego początku. Ale niezależnie od tego... jest mi bardzo przykro i w ogóle... ale co to za wskazówka? PODE MNA. To chyba bez sensu.

- Nie, to ma sens - rzekł Błotosmętek. - To oznacza, że mamy szukać królewicza pod tym miastem.

- Ale jak? - zapytała Julia.

- To jest pytanie - rzekł błotowij, zacierając swoje wielkie żabie dłonie. - Jak możemy to zrobić TERAZ? Nie ulega wątpliwości, że gdybyśmy pamiętali o naszym zadaniu tam, w Zrujnowanym Mieście, znaleźlibyśmy jakąś wskazówkę, jakieś drzwiczki, wejście do podziemia, tunel, może spotkalibyśmy kogoś, kto by nam pomógł. Mógłby się pojawić (nigdy się tego nie wie) sam Aslan. W taki czy inny sposób dostalibyśmy się pod te kamienne płyty. Instrukcje Aslana zawsze działają, nie ma tu wyjątków. Ale jak to zrobić TERAZ to już zupełnie inna sprawa.

- No cóż, po prostu musimy tam wrócić - westchnęła Julia.

- Po prostu? - powtórzył Błotosmętek drwiąco. - Na początek może po prostu otworzymy te drzwi. - I wszyscy popatrzyli na drzwi komnaty, i zrozumieli, że żadne z nich nawet nie dosięgnie klamki, a już na pewno nie zdoła jej nacisnąć.

- Myślicie, że nie pozwolą nam, kiedy o to poprosimy? - zapytała Julia. Nikt na to nie odpowiedział, ale każdy pomyślał: „Przypuścimy, że nie”.

Nie był to w ogóle dobry pomysł. Błotosmętek kategorycznie sprzeciwiał się ujawnieniu olbrzymom prawdziwego celu ich wyprawy i proszeniu, by ich wypuszczono z zamku. Oczywiście dzieci nie mogły tego zrobić bez jego zgody, bo złożyły mu przecież przyrzeczenie. Wszyscy troje byli pewni, że ucieczka z zamku w nocy nie ma szans powodzenia. Gdy wieczorem znajdą się w swoich sypialniach, będą więźniami aż do rana. Mogliby, co prawda, poprosić o pozostawienie drzwi otwartych, ale zapewne wzbudziłyby to niebezpieczne podejrzenia.

- Naszą jedyną szansą - rzekł Eustachy - jest próba wymknięcia się z zamku za

dnia. Czy nie byłoby najlepiej spróbować po południu, kiedy większość olbrzymów śpi po obiedzie? Można by przekraść się do kuchni i zobaczyć, czy tylne drzwi są otwarte.

- Nie jest to coś, co zwykle nazywam szansą - powiedział Błotosmętek - ale to chyba jedyna szansa, na jaką możemy liczyć.

W istocie plan Scrubba nie był tak zupełnie beznadziejny, jak może się wam wydawać. Jeśli się chce opuścić niepostrzeżenie czyjś dom, środek popołudnia jest z wielu powodów lepszą do tego porą niż środek nocy. Jest bardziej prawdopodobne, że drzwi i okna będą otwarte, a jeśli już nas złapią, zawsze można udawać, że nie zamierzało się iść daleko i nie miało się określonych planów. (Bardzo trudno byłoby przekonać o tym zarówno olbrzymy, jak i dorosłych, gdyby nas przyłapano na spuszczeniu się po linie z okna sypialni o pierwszej w nocy.)

- Musimy jednak uśpić ich czujność - rzekł Eustachy. - Musimy udawać, że bardzo nam się tu podoba i że jedyne, czego nam brak, to Święto Jesieni.

- To już jutro wieczorem - zauważył Błotosmętek. - Słyszałem, jak mówił to jeden z nich.

- Ach, tak - powiedziała Julia. - Więc musimy udawać, że jesteśmy tego okropnie ciekawi. Trzeba zadawać mnóstwo pytań. I tak już myślą, że jesteśmy kompletnymi oseskami, więc nie będzie to takie trudne.

- Beztroscy i uśmiechnięci - westchnął Błotosmętek głęboko. - Tacy właśnie musimy być: beztroscy i uśmiechnięci. Tak jakby nic nas nie obchodziło. Zauważyłem, że wy, młodzi, nie zawsze jesteście w dobrym nastroju. Musicie mnie obserwować i zachowywać się tak jak ja. Będę wesoły i beztroski. O tak - i zrobił upiorną minę. - I swawolny - tu dał beznadziejnie ponurego susa. - Prędko się wprawicie, jeśli tylko będziecie mnie uważnie obserwować. Oni już i tak mają mnie za wesołka. Ośmielę się powiedzieć, że wy dwoje na pewno myślicie, że wczoraj wieczorem byłem niezłe wstawiony, ale zapewniam was, że było to... no cóż, prawie w całości... zwykle udawanie. Już wtedy wpadło mi do głowy, że może to być w jakiś sposób pożyteczne.

Kiedy dzieci rozmawiały później ze sobą o tych przygodach, nigdy nie miały pewności, czy to ostatnie zdanie było całkiem prawdziwe, nie wątpiły jednak, że Błotosmętek święcie wierzył w to, co mówił.

- W porządku. Naszym hasłem jest beztroska - zgodził się Eustachy. - Gdybyśmy tylko znaleźli kogoś, kto by nam otworzył drzwi! Kiedy będziemy się wygłupiać i odgrywać beztroskich, musimy jak najwięcej dowiedzieć się o zamku.

Tak się szczęśliwie złożyło, że w tym momencie drzwi się otworzyły i wielka

niania wpadła do środka, wołając:

- No, moje laleczki, chcecie pójść i zobaczyć króla z całym dworem, jak wyruszają na polowanie? To tak ładnie wygląda!

Nie tracąc czasu, wybiegli za nią i z trudem opuścili się po schodach. Szczekanie psów, granie rogów i głosy olbrzymów wskazywały im drogę. Olbrzymy wybierały się na polowanie pieszo, bo w tej części świata brakuje olbrzymich koni; miało to więc być coś takiego jak angielskie polowanie z psami gończymi na smyczy. Psy również były normalnych rozmiarów. Kiedy Julia zobaczyła, że nie ma koni, była z początku bardzo zawiedziona, ponieważ nie wyobrażała sobie, by gruba królowa mogła nadążyć za psami na piechotę. A to znaczyło, że przez cały dzień pozostanie w zamku. Ale potem zobaczyła królową w lektyce, którą niosło na ramionach sześciu młodych olbrzymów. To wielkie tłuste stworzenie całe ubrane było na zielono i miało róg myśliwski u boku. Na dziedzińcu zebrało się ze dwudziestu lub trzydziestu olbrzymów, włączając w to króla; wszyscy byli podnieceni zbliżającym się polowaniem, wszyscy rozmawiali i śmiali się tak, że można było ogłuchnąć, a u ich stóp, prawie na poziomie Julii, rozbrzmiewało szczekanie i skomlenie, kłębiło się od machających ogonów, obwisłych, oślinionych mord i od nosów wypychających się dzieciom w dłonie. Błotosmętek zaczynał właśnie mieć beztroski wygląd (co mogło zepsuć wszystko, gdyby ktoś zwrócił na to uwagę), kiedy Julia z najbardziej uroczym dziecięcym uśmiechem podbiegła do lektyki królowej i zawołała:

- Och, pani! Nie odjeżdżasz daleko, prawda? Wrócisz?

- Tak, moje kochanie - odpowiedziała królowa. - Wrócę wieczorem.

- Och, to DOBRZE. Cudownie! - zaszczebotała Julia. - A będziemy mogli przyjść na świąteczną zabawę jutro wieczorem? Tak czekamy na ten wieczór! I tak nam się tu podoba! A kiedy ciebie nie będzie, możemy sobie pooglądać cały zamek? Och, pozwól nam, powiedz „tak”...

Królowa powiedziała „tak”, lecz gromki śmiech wszystkich dworzan prawie zagłuszył jej głos.

ROZDZIAŁ 9

JAK ODKRYLI COŚ, O CZYM WARTO BYŁO WIEDZIEĆ

Eustachy i Błotosmętek przyznawali później, że Julia była tego dnia wspaniała. Gdy tylko król ze swym orszakiem wyruszyli na polowanie, zaczęła zwiedzać cały zamek i zadawać wszystkim różne pytania, czyniąc to tak niewinnie i dziecinnie, że nikt nie mógł jej posądzać o jakieś ukryte zamiary. Usta się jej nie zamykały, ale właściwie trudno powiedzieć, by mówiła: SZCZEBIOTAŁA i chichotała. Była naprawdę urocza i podbijała serca wszystkich: parobków, odźwiernych, pokojówek, dworek i starych baronów, olbrzymów, dla których dni polowań już bezpowrotnie minęły. Pozwalała się całować i ścisnąć każdemu, kto miał na to ochotę, a miało wielu, litując się nad nią i nazywając „biedną dzieciaczną”, choć nikt nie wyjaśniał, z jakiego właściwie powodu. Zaprzyjaźniła się zwłaszcza z kucharzem i odkryła rzecz najważniejszą: niewielkie drzwi dla służby kuchennej pozwalające na wyjście poza zewnętrzne mury bez potrzeby przechodzenia przez dziedziniec i wielką bramę zamkową. W kuchni udawała strasznego łakomczucha i zjadała każdy kęs, jakim ją z upodobaniem częstowano. Natomiast na górze, wśród dam dworu, dopytywała się, w co powinna być ubrana podczas świątecznej uczy, jak długo pozwolą jej siedzieć i czy będzie mogła zatańczyć z jakimś małym, bardzo małym olbrzymem. A potem (kiedy później sobie to przypominała, robiło się jej gorąco) przekrzywiała głowę w idiotyczny sposób, co dorośli - zarówno olbrzymy, jak i normalni ludzie - zawsze uważali za urocze, potrząsała lokami, wierciła się rozkosznie i paplała: „Och, jakbym chciała, żeby już był jutrzejszy wieczór! Czy myślicie, że ten czas szybko upłynie?” I wszystkie olbrzymki mówiły, że jest naprawdę cudownym maleństwem, a niektóre muskały oczy wielkimi chusteczkami, jakby miały ochotę się rozplakać.

- One są takie rozkoszne w tym wieku - powiedziała jedna olbrzymka do drugiej. - Czy nie uważasz, że prawie ich szkoda...

Eustachy i Błotosmętek też robili, co mogli, ale w takich sprawach dziewczynki zawsze są lepsze od chłopców. Jednak nawet chłopcy robią to lepiej niż błotowije.

W porze obiadu zdarzyło się coś, co kazało im jeszcze gorliwiej niż przedtem myśleć o ucieczce z zamku Łagodnych Olbrzymów. Obiad jedli w sali tronowej, przy małym, osobnym stole przy kominku, a przy wielkim stole obiadowało z pół tuzina starszych olbrzymów. Rozmawiali tak hałaśliwie, że dzieci wkrótce przestały zwracać na nich uwagę, tak jak przestaje się słyszeć hałas na ulicy. Jedli zimną dziczyznę, danie, którego Julia nigdy przedtem nie próbowała, a które bardzo jej smakowało.

Nagle Błotosmętek odwrócił się do nich z tak pobladłą twarzą, że widać to było wyraźnie nawet pod naturalną szarością jego cery.

- Nie jedzcie już ani kęska - szepnął.

- Co się stało? - zapytały dzieci.

- Nie słyszeliście, co powiedziały te olbrzymy? Jeden powiedział: „Ten comber jest całkiem niezły, taki kruchy i delikatny”. „A więc koziołek kłamał”, rzekł drugi. „Dlaczego?”, zdziwił się pierwszy. „Och, mówią, że kiedy go złapano, powiedział: Nie zabijajcie mnie, jestem bardzo żylasty. Nie będę wam smakować.”

W pierwszej chwili Julia niezupełnie pojęła sens tego, co Błotosmętek powiedział. Ale zrozumiała natychmiast, gdy Eustachy wytrzeszczył oczy ze zgrozą i rzekł cicho:

- A więc jemy MÓWIĄCEGO jelenia!

To odkrycie nie zrobiło na nich jednakowego wrażenia. Julii, która nie знаła jeszcze dobrze tego świata, żal było biednego jelonka i uważała, że zabicie go było wstrętne. Eustachy, który w tym świecie był już przedtem i wśród mówiących zwierząt miał przynajmniej jednego dobrego przyjaciela, odczuwał po prostu zgrozę, jaką można czuć w obliczu morderstwa. Ale Błotosmętkowi, który był urodzonym Narnijczykiem, zrobiło się po prostu niedobrze; przeżył taki wstrząs, jakby wam powiedziano, że jecie małe dziecko.

- Ściągnęliśmy na siebie gniew Aslana - powiedział. - Taki jest skutek zapomnienia o jego Znakach. Na pewno ciąży na nas przekleństwo. Gdyby tylko było to dozwolone, najlepiej byłoby teraz wziąć nóż i wbić sobie w serce.

Stopniowo i Julia zaczęła patrzeć na to z jego punktu widzenia. W każdym razie żadne z nich nie miało już ochoty na jedzenie. Posiedzieli jeszcze trochę, aby nie wzbudzić podejrzeń, i wymknęli się po cichu z sali.

Byli coraz bardziej niespokojni, zwłaszcza że zbliżała się pora, z którą wiązali swoje nadzieje na ucieczkę. Nasłuchiwali w korytarzach i czekali, aż wszystko się uspokoi. Olbrzymy w sali tronowej strasznie długo siedziały przy stole, choć obiad dawno się skończył. Jeden z nich, całkiem łysy, opowiadał jakąś długą historię. Kiedy się to wreszcie skończyło, trójka wędrowców odwiedziła kuchnię. Tutaj jednak wciąż pełno było służby zmywającej i sprzątającej po obiedzie. Wyczekiwanie na koniec całej tej krzątania dłużyło im się nieznośnie. Wreszcie pozostała tylko jedna stara olbrzymka. Szwendała się i szwendała po kuchennej izbie, aż zrozumieli ze zgrozą, że w ogóle nie ma zamiaru jej opuścić.

- No, moje kochaneczki - powiedziała do nich - już prawie wszystko zrobione. Jeszcze postawimy ten czajnik i zrobimy sobie filiżankę dobrej herbaty. Teraz mogę trochę odsapnąć. Bądźcie tak dobre, moje lalczki, zajrzyjcie do zmywalni i powiedzcie mi, czy tylne drzwi są otwarte.

- Tak, są otwarte - potwierdził Eustachy.

- To dobrze, to dobrze. Zawsze je zostawiam otwarte, żeby kotek, biedaczysko, mógł wejść i wyjść, kiedy ma ochotę.

Potem usiadła na jednym krześle, a na drugim położyła nogi.

- Chyba mogę sobie pozwolić na małą drzemkę - powiedziała. - Żeby tylko te diabły nie wróciły za wcześnie z polowania.

Serca im zabiły żywiej, gdy wspomniała o drzemce, i przestały bić, gdy wspomniała o powrocie z polowania.

- Kiedy zwykle wracają? - zapytała Julia.

- Nigdy się tego nie wie - odpowiedziała olbrzymka. - No, ale idźcie sobie gdzieś, moje kochaneczki i nie przeszkadzajcie mi przez kwadransik, dobrze?

Przeszli szybko w najdalszy koniec kuchni i po minucie już chcieli wymknąć się do zmywalni, gdy olbrzymka podniosła głowę, otworzyła oczy i machnęła ręką, opędzając się od muchy.

- Wstrzymajmy się, aż będziemy pewni, że zasnęła na dobre - szepnął Eustachy - bo wszystko popsujemy. - Przycupnęli więc cicho w kącie kuchni, czekając i uważnie obserwując. Najgorsza była obawa przed niespodziewanym powrotem myśliwych. Ale i olbrzymka wciąż płatała im figle. Za każdym razem, gdy myśleli, że już naprawdę zasnęła, poruszała się gwałtownie.

„Nie zniosę tego dłużej”, myślała Julia. Żeby się jakoś odprężyć, rozejrzała się dookoła. Tuż przed nią stał czysty, szeroki stół, a na nim dwie puste dzieże do ciasta i otwarta książka. Były to, oczywiście, olbrzymie dzieże i Julia mogłaby się wygodnie położyć na dnie każdej z nich. Potem wspięła się na ławę przy stole, aby obejrzeć książkę. Przeczytała:

CZERNINA. Krew prosięcia, gęsi lub kaczki, może być przyrządzana na wiele różnych sposobów.

„To zwykła książka kucharska”, pomyślała Julia bez specjalnego zainteresowania i spojrzała przez ramię na olbrzymkę. Ta oczy miała zamknięte, ale wcale nie wyglądała na mocno śpiącą. Julia wróciła do książki. Hasła ułożone były alfabetycznie i kiedy popatrzyła na następne po CZERNINIE, serce jej zamarło. Bo

oto napisane tam było:

CZŁOWIEK. Ten wspaniały, mały dwunóg jest od dawna ceniony ze względu na delikatność mięsa. Jest tradycyjną potrawą na Święto Jesieni, podawaną między rybą a pieczystym. Każdy człowiek...

Ale Julia nie była w stanie przeczytać więcej. Odwróciła się. Olbrzymka przerwała drzemkę, bo złapał ją atak kaszlu. Julia kiwnęła na pozostałych i pokazała im książkę. Wdrapali się na ławę i nachylili nad olbrzymią kartą. Eustachy jeszcze czytał o sposobach przyrządzania człowieka, gdy Błotosmętek wskazał w milczeniu na jedno z poprzednich haseł na tej samej stronie. A było tam napisane:

BŁOTOWIJ. Niektóre autorytety kulinarne wykluczają to zwierze z kuchni olbrzymów ze względu na włóknistość i bagienny zapach jego masa. Zapachu tego można jednak w dużej mierze się pozbyć, jeśli...

Julia trąciła ich lekko. Wszyscy troje popatrzyli na olbrzymkę. Usta miała szeroko otwarte, a wydobywający się z nich dźwięk brzmiał w ich uszach jak najpiękniejsza muzyka - było to chrapanie. Teraz musieli tylko zachować zimną krew: nie iść za szybko, wstrzymać oddech, wśliznąć się do zmywalni (zmywalnie olbrzymów okropnie śmierdzą) i w końcu wyjść ostrożnie na zewnątrz w blade słońce zimowego popołudnia.

Tuż za drzwiami zaczynała się wyboista ścieżka biegnąca stromo w dół. Znajdowali się, dzięki Bogu, po właściwej stronie: widać było Zrujnowane Miasto. Po kilku minutach szli już szeroką, stromą drogą, prowadzącą od głównej bramy. Teraz byli widoczni z każdego okna po tej stronie zamku. Gdyby okien było dwa lub pięć, można by liczyć na to, że akurat nikt nie będzie przez nie wyglądać, ale było ich chyba z pięćdziesiąt! Zrozumieli też, że na drodze - i w ogóle na całym terenie między bramą a Zrujnowanym Miastem - nawet lis by się nie schował; wszędzie była tylko rzadka, sztywna trawa, otoczaki i płaskie kamienne płyty. Sytuację pogarszało i to, że teraz mieli na sobie stroje z zamku olbrzymów. Tylko na Błotosmętka nic nie pasowało, więc pozostał w swoim ubraniu. Julia była ubrana w trawiastozieloną suknię, raczej na nią za długą, i szkarłatny płaszcz oblamowany białym futrem. Scrubb miał szkarłatne rajtuzy, błękitną tunikę i płaszcz, miecz z pozłacaną rękojeścią i beret z piórami.

- Kolorów to wam nie brakuje, nie ma co - mruknął błotowij. - Nieźle to musi być widoczne w zimowy dzień, nawet z daleka. Najgorszy łucznik nie mógłby chybić, gdybyście byli w zasięgu strzału. A jeśli już mowa o łucznicach, szybko pożałujemy, że

nie mamy swoich łuków, i wcale nie będę się dziwił. Założę się, że te fatalaszki są raczej cienkie, nie mam racji?

- Tak, już zmarłam - przytaknęła Julia. Zaledwie kilka minut temu, gdy byli w kuchni, sądziła, że wystarczy wydostać się z zamku, a już ucieczkę będzie można uznać za udaną. Teraz zrozumiała, że najgorsze jest jeszcze przed nimi.

- Spokojnie, spokojnie - powtarzał Błotosmętek. - Nie oglądajmy się. Nie idźmy za szybko. Cokolwiek się stanie, nie biegnijmy. Udawajmy, że spacerujemy, a wtedy jeśli nas ktoś zobaczy, prawdopodobnie nie będzie się tym przejmował. W chwili, w której zaczniemy wyglądać na uciekinierów, będzie już po nas.

Odległość dzieląca ich od Zrujnowanego Miasta wydawała się większa, niż można było w to uwierzyć. Krok po kroku zbliżali się jednak do celu. Wtem usłyszeli jakiś dźwięk. Błotowij i Eustachy wydali z siebie zduszone okrzyki. Julia, która nigdy czegoś takiego nie słyszała, zapytała:

- Co to było?

- Myśliwski róg - odparł Eustachy.

- Ale nie biegnijcie nawet teraz - dodał Błotosmętek. - Czekajcie na mój sygnał.

- Tym razem Julia nie mogła się powstrzymać, aby nie spojrzeć przez ramię. A tam, o jakąś milę od nich, widać już było orszak królewski powracający z polowania.

Szli dalej. Nagle usłyszeli wielką wrzawę, potem pojedyncze okrzyki i nawoływania.

- Zobaczyli nas! Biegiem! - krzyknął Błotosmętek.

Julia zebrała w ręce fałdy sukni - okropny strój do biegu - i puściła się pędem przed siebie. Teraz nie było już wątpliwości. Usłyszała ujadanie psów. Usłyszała też ryk króla:

- Za nimi! Za nimi, bo nie będziemy mieli jutro pasztetu!

Biegła ostatnia, zaplątując się w suknię, ślizgając na luźnych kamieniach, wypływając włosy wpadające jej do ust i czując klucie w piersiach. Psy były coraz bliżej. Teraz musiała pokonać zbocze wzgórza, aż na kamienisty szczyt, na którym wznosił się najniższy stopień schodów. Nie miała pojęcia, co zrobią, gdy już będą na szczycie, i czy w ogóle coś to pomoże. Ale nie zastanawiała się nad tym. Była teraz ściganym zwierzęciem. Jak długo słyszy za sobą sforę, tak długo musi biec, aż opadnie z sił.

Błotowij był na czele. Dobiegł do pierwszego stopnia, zatrzymał się, popatrzył w prawo i niespodziewanie wcisnął się w jakąś małą dziurę czy szczelinę. Jego długie

nogi znikające między kamieniami wyglądały zupełnie jak nogi pająka. Eustachy zawahał się, a potem zniknął za nim. Julia, bez oddechu i na chwiejących się nogach, dobiegła do tego miejsca w minutę później. Nie była to zachęcająca dziura - po prostu szeroka szpara między ziemią a ścianą kamiennego stopnia, ledwie na metr długa i niewiele ponad trzydzieści centymetrów szeroka. Trzeba było położyć się płasko twarzą do ziemi i wcisnąć do środka. Takiej rzeczy nie można, niestety, zrobić szybko. Była pewna, że zęby psa zacisną się na jej nodze, zanim zdoła się ukryć.

- Szybko! Szybko! Kamienie. Zawalić tę dziurę! - usłyszała głos Błotosmętka dochodzący z ciemności gdzieś przed nią. W środku było zupełnie czarno, tylko z otworu, przez który tu się wcisnęli, sączyło się szare światło. Jej towarzysze już ciężko pracowali. Na tle szarego światła widziała małe dłonie Eustachego i wielkie, żabie łapy błotowija poruszające się szybko, aby zasypać otwór kamieniami. Teraz i ona zrozumiała, jakie to ważne. Zaczęła zbierać wielkie kamienie i podawać je Scrubbowi. Zanim psy dobiegły do schodów, ujadając i skamląc u wejścia do dziury, otwór był już szczelnie zasypyany kamieniami. Zrobiło się zupełnie ciemno.

- Włóżmy głębiej! - rozległ się głos Błotosmętka.

- Złapmy się za ręce! - powiedziała Julia.

- To dobry pomysł - zgodził się Scrubb. Dość długo jednak trwało, zanim odnaleźli w ciemności swoje ręce. Po drugiej stronie kamiennej barykady słychać było głośnie węszenie i skrobanie pazurami.

- Spróbujmy się wyprostować - zaproponował Eustachy. Zrobili tak i stwierdzili, że można tu stać. A potem - błotowij z ręką wyciągniętą do Scrubba i Scrubb z ręką wyciągniętą do Julii (która wiele by dała, żeby być w środku, a nie na końcu) - zaczęli iść po omacku w ciemność, unosząc wysoko nogi i sztywno je stawiając. Pod stopami czuli kamienie. Po chwili Błotosmętek natrafił na kamienną ścianę, skręcili więc w prawo i szli dalej. Takich zakrętów było odtąd sporo. Po jakimś czasie Julia zupełnie straciła orientację i nie miała pojęcia, w jakim kierunku jest wejście do podziemia.

- Zastanawiam się - dobiegł ją z ciemności głos Błotosmętka - czy składając to wszystko do kupy, nie byłoby lepiej wrócić... jeżeli to w ogóle MOŻLIWE... i uraczyć olbrzymów podczas ich świątecznej uczty, zamiast błąkać się po wnętrznościach jakiegoś wzgórze, gdzie... stawiam dziesięć do jednego... są smoki, głębokie rozpadliny, gazy, woda i... Auuu! Lecę! Ratujcie się! Ja...

Teraz wszystko potoczyło się bardzo szybko. Rozległ się dziki wrzask, suchy,

grobowy grzechot kamieni i Julia poczuła, że zjeżdża, zjeżdża, beznadziejnie zjeżdża, i to zjeżdża z każdą chwilą coraz szybciej, po zboczach, które robi się coraz bardziej strome. Jego powierzchnia nie była gładka i twarda, lecz pokryta żwirem i małymi kamieniami, tak że gdyby nawet można się było podnieść, nic by to nie dało. Każdy kawałeczek tego zbocza, na którym by się postawiło nogę, usunąłby się spod niej i pociągnął w dół. Ale Julia bardziej leżała, niż stała. I im dłużej tak zjeżdżali, tym więcej strącali kamieni i ziemi, tak że ogólne zjeżdżanie wszystkiego (włączając ich samych) stawało się coraz szybsze i głośniejsze, a towarzyszyła mu coraz gęstsza i wyższa chmura pyłu. Po dzikich wrzaskach i przekleństwach Błotosmętka i Eustachego Julia poznała, że trafia w nich wiele z kamieni, które strącała swoim ciałem. Ale i tak bliska już była obłędu, nabierając pewności, że za chwilę roztrzaska się w kawałeczki na samym dnie.

A jednak tak się nie stało. Kiedy wszystko się skończyło, jej ciało przypominało jeden wielki siniak, a mokra, lepka substancja na twarzy wydawała się być krwią. Obsypana była (a częściowo i zasypana) taką masą ziemi, żwiru i większych kamieni, że nie mogła się podnieść. Ciemność była całkowita: nie robiło żadnej różnicy, czy miała oczy zamknięte, czy otwarte. Nic nie słyszała. Była to najstraszniejsza chwila w jej dotychczasowym życiu. A może jest sama, może inni... Usłyszała jednak obok siebie chrzęst poruszanych kamieni i za chwilę wszyscy troje wyjaśniali sobie drżącymi głosami, że nikt nie ma połamanych kości.

- Nigdy się nie wdrapiemy po tym świństwie z powrotem - rozległ się głos Scrubba.

- A czujecie, jak tu ciepło? - usłyszeli głos Błotosmętka. - To oznacza, że zjechaliśmy porządny kawałek. Może milę.

Zapadło milczenie. Po jakimś czasie Błotosmętek oznajmił:

- Zgubiłem hubkę z krzesiwem.

A po dłuższej przerwie Julia powiedziała:

- Okropnie zaschło mi w gardle.

Nikt nie próbował się zastanawiać, co można teraz zrobić, bo wydawało się oczywiste, że sytuacja jest zupełnie beznadziejna. I nawet nie odczuwali tego tak strasznie, jak można by się spodziewać. Byli po prostu za bardzo zmęczeni.

Siedzieli tak długo w ciszy i ciemności, aż nagle, bez najmniejszej zapowiedzi, rozległ się bardzo dziwny głos. Od razu wiedzieli, że to nie jest TEN głos, ten jedyny na całym świecie głos, o którym każde z nich w sercu marzyło: głos Aslana. Był to

mroczny, płaski głos, wprost - jeśli wiecie, co chcę przez to powiedzieć - czarny jak smoła. Usłyszeli pytanie:

- Co tutaj robicie, istoty z Nadziemia?

ROZDZIAŁ 10

PODRÓŻ BEZ SŁOŃCA

KTO TU JEST? - wykrzyknęło troje wędrowców.

- Jestem Strażnikiem Marchii Podziemia i mam ze sobą stu Ziemistych pod bronią - nadeszła odpowiedź. - Powiedzcie mi natychmiast, kim jesteście i z czym przychodzicie do Królestwa Otchłani.

- Wpadliśmy tu przypadkiem... - rzekł Błotosmętek, nie bardzo mijając się z prawdą.

- Wielu wpada, lecz tylko nieliczni wracają do krajów oświetlonych słońcem - powiedział głos. - Bądźcie teraz gotowi pójść za mną do królowej Otchłani.

- Czego ona od nas chce? - zapytał Eustachy ostrożnie.

- Nie wiem - odrzekł głos. - Jeżeli taka jest jej wola, nie ma co się pytać. Trzeba ją wykonać.

Kiedy ucichły te słowa, rozległ się trzask przypominający mały wybuch i nagle zimne, szaroniebieskie światło zalało podziemie. Wszelkie nadzieje na to, że głos chełpił się bezpodstawnie, wspominając o swoich stu towarzyszach, rozwiały się natychmiast.

Byli najróżniejszych rozmiarów i kształtów, od małych gnomów, ledwo sięgających dzieciom do kolan, po okazałe postacie, wyższe od dorosłych ludzi. Wszyscy byli uzbrojeni w trójzęby, wszyscy byli upiornie bladzi i wszyscy stali nieruchomo jak posągi. Niektórzy mieli ogony, inni nie, niektórzy mieli wielkie brody, inni zaś okrągłe, gładkie twarze, wielkie jak dynie. Były tam nosy długie i spiczaste, nosy długie, lecz okrągłe jak małe trąby słonia, i nosy wielkie i mięsiste. Niektórzy mieli pojedyncze rogi wyrastające ze środka czoła. Tylko pod jednym względem wszyscy byli do siebie podobni: każdy miał twarz tak smutną, jak tylko to jest w ogóle możliwe. Byli tak smutni, że po chwili Julia prawie zapomniała, że się ich boi. Poczowała wielką potrzebę rozchmurzenia tych ponuraków.

- Pięknie - odezwał się Błotosmętek, zacierając dłonie. - Tego właśnie potrzebowałem. Jeżeli te typy nie nauczą mnie poważnego stosunku do życia, to nie mam pojęcia, kto by to mógł zrobić. Spójrzcie na tego gościa z wąsami morsa albo na tego z...

- Wstawać - przerwał mu przywódca Ziemistych.

Nic innego nie można było zrobić. Trójka wędrowców wygramoliła się spod zwałów kamieni i ziemi i schwyciła za ręce. W takich chwilach dobrze jest czuć dotyk

ręki przyjaciela. Ziemiści otoczyli ich ze wszystkich stron, krocząc cicho na wielkich, miękkich stopach. Niektóre z tych stóp miały po pięć palców, inne po sześć, a jeszcze inne w ogóle ich nie miały.

- Maszerować - rozkazał Strażnik.

Zimne światło pochodziło z wielkiej kuli na końcu żerdzi, którą niósł na czele pochodu najwyższy z gnomów. W ponurym blasku zobaczyli teraz, że są w naturalnej pieczarze; ściany i sklepienie były powybrzuszane, poskręcane i ponacinane w tysiące fantastycznych kształtów, a kamienna posadzka stopniowo się obniżała. Dla Julii było to o wiele gorsze niż dla pozostałych, ponieważ nie znosiła ciemnych miejsc pod ziemią. Po jakimś czasie pieczara znacznie się obniżyła i zwężyła, Ziemisty z latarnią stanął z boku, a gnomy pochyliły się nisko (nie wszystkie musiały to zresztą zrobić) i jeden po drugim zaczęły się wciskać w jakąś małą, czarną szczelinę. W tym momencie Julia poczuła, że dłużej tego nie wytrzyma.

- Nie mogę tam wejść, nie mogę, nie mogę! - wyrzuciła z siebie.

Ziemiści nic nie powiedzieli, tylko opuścili trójzęby i wycelowali w Julię.

- Spokojnie, Pole - rzekł Błotosmętek. - Te wielkie typy nie włączyłyby tam, gdyby w środku nie było szerzej i wyżej. No i jest jedna dobra rzecz w całym tym podziemnym interesie: nie będzie nigdy padało.

- Och, ty tego nie zrozumiesz. Ja nie mogę - zawodziła Julia.

- Pomyśl, jak JA czułem się tam, na skraju urwiska - powiedział Eustachy. - Idź pierwszy, Błotosmętku, ja włączę na końcu.

- Słusznie - rzekł błotowij, klękając na skalistym podłożu. - Złap mnie za piętę, Pole, a Scrubb niech złapie za twoją. Będzie doskonale!

- Doskonale! - wykrztusiła Julia. Ale i ona uklękła, i za chwilę wszyscy wcisnęli się na czworakach w ciemną dziurę. Było to okropne miejsce. Trzeba było się czołgać w ciemności z nosem przy ziemi, a wydawało się, że trwa to z pół godziny, choć w rzeczywistości mogło trwać pięć minut. Było gorąco. Julia czuła, że się dusi. Ale w końcu zobaczyli przed sobą słabe światło, tunel powiększył się i wyleźli z niego, zgrzani, brudni i dygocący ze strachu, do jaskini tak wielkiej, że trudno było w ogóle nazwać ją jaskinią.

Była pełna mglistej, sennej poświaty, tak że dziwna latarnia Ziemistych przestała być potrzebna. Miękki grunt pokrywało coś w rodzaju mchu, z którego wyrastały dziwne kształty, wysokie i rozgałęzione jak drzewa, lecz blade i zwiotczałe jak grzyby. Rosły zbyt daleko od siebie, by tworzyć las - przypominało to raczej park.

To właśnie z nich - i z mchu - wydawało się sączyć owo zielonkawoszare światło, nie dość jednak silne, aby oświetlić sklepienie jaskini, zapewne bardzo wysokiej. Było to bardzo smutne miejsce, lecz ów smutek przesycał dziwny spokój, jak cicha muzyka.

Czekała ich teraz wędrówka przez ten łagodny i uśpiony podziemny kraj. Mijali całe tuziny dziwnych zwierząt nieruchomo leżących na mchu; trudno było powiedzieć, czy są martwe, czy tylko uśpione. Większość przypominała smoki lub nietoperze. Nawet Błotosmętek nie potrafił ich nazwać.

- Czy one tu żyją? - zapytał Eustachy Strażnika. Gnom wydawał się zaskoczony, że ktoś do niego mówi, ale odpowiedział:

- Nie. Wszystkie znalazły tu drogę przez rozpadliny i jaskinie. Z Nadziemia w Królestwo Otchłani. Wielu przychodzi, lecz tylko nieliczni powracają do krajów oświetlonych słońcem. Mówią, że wszystkie obudzą się na koniec świata.

Kiedy to powiedział, zacisnął usta jak wieko kufra. Dzieci szły dalej w przejmującej ciszy wielkiej jaskini i czuły, że nie ośmielią się już wypowiedzieć ani słowa.. Bose stopy gnomów, stąpające po głębokim mchu, nie czyniły najłżejszego hałasu. Nie było wiatru, nie było ptaków, nie było szmeru wody. Nie słychać było nawet oddechów Ziemistych.

Po przejściu dobrych kilku mil dotarli do skalnej ściany, przez którą nisko sklepiony korytarz prowadził do innej jaskini. Nie był jednak tak niski i ciasny jak poprzedni i Julia przeszła go bez schylania głowy. Znaleźli się teraz w mniejszej jaskini, dłuższej i wąskiej, kształtu i rozmiarów katedry. Prawie całą jej przestrzeń zajmowało ciało olbrzymiego śpiącego mężczyzny. Był o wiele większy niż jakikolwiek olbrzym, a jego twarz była naprawdę szlachetna i piękna. Jego pierś wznosiła się i opadała łagodnie pod śnieżną brodą sięgającą pasa. Skąpany był w czystym, srebrnym świetle (nikt nie zauważył, skąd ono pochodziło).

- Kto to jest? - zapytał Błotosmętek. Już tak długo nikt nic nie mówił, że Julię zdumiała jego odwaga i opanowanie.

- To stary Ojciec Czas, który był kiedyś królem w Nadziemiu - odrzekł Strażnik.
- A teraz zapadł się w Królestwo Otchłani i leży tutaj, śniąc o wszystkim, co dzieje się w górnym świecie. Wielu się zapada, lecz tylko nieliczni wracają do krajów oświetlonych słońcem. Mówią, że obudzi się na koniec świata.

Z tej jaskini przeszli do innej, a potem do jeszcze innej, znowu do następnej, i tak to trwało, aż Julia pogubiła się w ich liczeniu, a oni wciąż szli coraz głębiej, a każda jaskinia była niższa od poprzedniej. Na samą myśl o ciężarze i grubości ziemi nad

głową robiło się duszno. W końcu doszli do miejsca, w którym Strażnik rozkazał znowu zapalić ową ponurą latarnię. Znaleźli się teraz w jaskini tak szerokiej i ciemnej, że nie widzieli w niej nic, prócz wąskiego pasma bladego piasku biegnącego wzdłuż nieruchomej wody. A tam, przy niewielkim nabrzeżu, stała barka bez masztu i żagli, lecz z wieloma wiosłami. Wprowadzono ich na pokład i kazano usiąść na ławeczce biegnącej wzdłuż wysokiej burty na dziobie.

- Chciałbym wiedzieć tylko jedno - odezwał się Błotosmętek - czy kiedykolwiek ktoś z naszego świata, znaczy się z góry, odbywał już przed nami taką podróż?

- Wielu wsiadało na barkę z bladego wybrzeża - zaczął Strażnik - lecz...

- Tak, wiem - przerwał mu Błotosmętek - „lecz tylko nieliczni powrócili do krajów oświetlonych słońcem.” Nie musisz tego wciąż powtarzać. Czy należysz do takich, co mają w głowie tylko jedną myśl?

Dzieci przytuliły się do Błotosmętka. Tam, na powierzchni ziemi, uważały go za czarownika i jęczyduszę, lecz tutaj okazał się jedyną ostoją i pociechą. Teraz zawieszono pośrodku bladą latarnię, Ziemiści chwycili za wiosła i barka ruszyła. Światło latarni nie padało daleko. Patrząc przed siebie, nie widzieli nic prócz gładkiej, ciemnej wody, rozplywającej się w absolutną czerń.

- Och, co się z nami stanie? - powiedziała Julia z rozpaczą.

- Nie trać ducha, Pole - rzekł Błotosmętek. - Musisz pamiętać o jednym. Znowu jesteśmy na dobrej drodze. Mieliliśmy się dostać pod Zrujnowane Miasto i **JESTEŚMY** pod nim. Znowu postępujemy zgodnie ze wskazówkami.

Dano im teraz coś do jedzenia: jakieś płaskie, sflaczałe ciastka, bez żadnego konkretnego smaku. Potem zapadli powoli w sen, lecz kiedy się obudzili, wszystko było wciąż takie samo: wiosłujące miarowo gnomy, sunąca cicho barka, nieprzenikniona ciemność przed nimi. Ile razy tak zasypiali i budzili się, jedli i znowu spali, nikt już nie wiedział. A najgorsze było to, że zaczęli czuć się tak, jakby zawsze żyli na tej barce, w ponurej ciemności, zastanawiając się, czy słońce, błękitne niebo, wiatr i ptaki nie były tylko snem.

Zamarły już w nich wszelkie nadzieje, a nawet lęk przed czymkolwiek, gdy w końcu zobaczyli przed sobą światła, ponure światła podobne do latarni na środku pokładu. Wtem, zupełnie niespodzianie, jedno z tych światel przybliżyło się i ujrzeli inną barkę, a potem spotkali jeszcze kilka podobnych. A później, wypatrując oczy aż do bólu, zobaczyli, że światła przed nimi płoną w czymś, co wygląda jak nabrzeże, mury, wieże, poruszające się tłumy. Wciąż jednak nic nie było słychać.

- O holender! - zawołał Scrubb. - To jakieś miasto!

I wkrótce zorientowali się, że miał rację.

Było to jednak bardzo dziwne miasto. Światła były tak nieliczne i tak rozproszone, że w naszym świecie mogłyby z trudem oznaczać wiejskie domki. A jednak małe kręgi światła pozwalały dostrzec blade fragmenty jakiegoś wielkiego morskiego portu. W jednym miejscu zobaczyli zbiorowisko wyładowywanych i załadowywanych statków, w innym bele jakiegoś materiału i magazyny, w trzecim mury i kolumny, pozwalające domyślać się wielkich pałaców i świątyń, a wszędzie, gdzie tylko padało światło, widać było niezliczone tłumy Ziemistych, przepychających się między sobą i spieszących za swoimi sprawami po wąskich uliczkach, szerokich bulwarach lub wielkich kondygnacjach schodów. W miarę jak barka przybliżała się do miasta, napływał stamtąd cichy, mruczący szmer owego ruchliwego tłumu, jednostajny szmer, z którego nie wybijał się żaden pojedynczy krzyk, żadna piosenka, odgłos dzwonu lub turkot kół. Miasto było tak ciche i prawie tak ciemne jak wnętrze mrowiska.

W końcu barka przybiła do nabrzeża. Rzucono cumy. Troje wędrowców wyprowadzono na brzeg, a potem powiedziano w głąb miasta. Zanurzyli się w tłum Ziemistych, wśród których trudno było dostrzec dwie podobne do siebie istoty. Ponure światło od czasu do czasu wydobywało z ciemności ich smutne, groteskowe twarze, gdy na zatłoczonych ulicach ocierali się o nich ramionami. Ale żadna z tych istot nie okazywała najmniejszego zainteresowania przybyszami. Każdy z tych ponurych gnomów wydawał się zajęty wyłącznie swoimi sprawami, choć Julii ani razu nie udało się zauważyć, co to były za sprawy. Ruch, przepychanie się, pośpiech i miękkie pad-pad-pad bosych łap nie miały końca.

Doszli w końcu do budowli, która wyglądała na olbrzymi zamek. Tylko w niewielu oknach paliło się światło. Poprowadzono ich przez bramę i dziedziniec, a potem przez wiele schodów, aż znaleźli się w jakiejś wielkiej, mrocznej komnacie. W jednym rogu było zwieńczone łukiem wejście, z którego - cóż za radość! - sączyło się zupełnie inne światło: swojskie, żółtawe, ciepłe światło przyzwoitej ludzkiej lampy. Oświetlało ono początek schodów, pnących się stromo do góry między kamiennymi ścianami. Lampa była umieszczona na ich szczycie. Dwóch Ziemistych stało nieruchomo przy wejściu - po jednym z każdej strony - pełniąc najwyraźniej funkcję wartowników.

Strażnik podszedł do nich i wypowiedział zdanie, które zabrzmiało jak hasło:

- Wielu spada do Podziemia.

- Lecz tylko nieliczni wracają do krajów oświetlonych słońcem - padła odpowiedź, jak odzew. Potem wszyscy trzej nachylili się do siebie i rozmawiali po cichu. W końcu jeden z wartowników podniósł głos:

- Mówię ci, że jej królewska mość opuściła zamek w jakiejś ważnej sprawie. Najlepiej będzie zamknąć tych obcych w ścisłym areszcie do jej powrotu. Tylko nieliczni wracają do krajów oświetlonych słońcem.

W tym momencie wymiana zdań została przerwana przez coś, co Julii wydało się najmilszym dźwiękiem na świecie. Rozległ się on ze szczytu schodów, a był to czysty, dźwięczny, najprawdziwszy ludzki głos, głos młodzieńca:

- Co za hałasy tam wyprawiacie, Mallugutherum? Ejże, widzę jakichś Nadziemian! Przyprawdź ich do mnie, i to natychmiast!

- Jeżeli wasza wysokość raczy sobie przypomnieć... - zaczął Mallugutherum, ale głos przerwał mu ostro:

- Moja wysokość raczy przypomnieć tobie, że masz mi być posłuszny, stary gdero. Przyprawdź ich na górę.

Mallugutherum potrząsnął głową, skinął na troje wędrowców i zaczął się wspinać po schodach.

Z każdym stopniem robiło się coraz jaśniej. Na ścianach wisiały bogate tkaniny. Lampa płonęła złotym blaskiem, przenikającym przez cienkie zasłony na szczycie schodów. Ziemisty rozchylił zasłony i stanął z boku. Troje wędrowców weszło do środka. *Znajdowali* się w pięknej komnacie, obwieszonej gobelinami, z kominkiem, w którym na dobrze wyczyszczonym palenisku płonął ogień, ze stołem, na którym połyskiwały kryształowe kielichy i czerwienilo się wino. Na ich widok zza stołu podniósł się przystojny młodzieniec o jasnych włosach. Twarz miał śmiałą i uprzejmą zarazem, a jednak było w niej coś niezdrowego. Ubrany był na czarno i w ogóle trochę przypominał Hamleta.

- Witajcie, Nadziemianie! - powiedział. - Lecz cóż widzę? Pozwólcie, że chwilę pomyślę. Och, błagam o litość! Już was kiedyś widziałem, was, szlachetne dzieci, i jego, waszego dziwnego opiekuna. Czy to nie wy troje spotkaliście mnie przy moście na granicy Ettinsmooru, gdy jechałem konno u boku mojej pani?

- Ach... więc to ty byłeś owym czarnym rycerzem, który nie odezwał się ani jednym słowem? - zawołała Julia.

- A ta dama była królową Podziemia? - zapytał Błotosmętek nie bardzo

przyjaznym głosem. A Eustachy, który myślał o tym samym, wybuchnął:

- Bo jeśli tak, to myślę, że postąpiła nikczemnie, posyłając nas do zamku olbrzymów, którzy mieli zamiar nas zjeść. Chciałbym wiedzieć, co takiego jej zrobiliśmy, aby zasłużyć na tak podłe traktowanie?

- Ze niby co? - powiedział Czarny Rycerz, marszcząc brwi. - Gdybyś, chłopcze, nie był tak młody, musielibyśmy natychmiast walczyć na śmierć i życie po tym, co powiedziałaś. Nie zniosę słów obrażających honor mojej pani. Jednego możesz być pewien: cokolwiek wam powiedziała, zrobiła to w dobrej intencji. Nie znasz jej. Ona jest bukietem wszelkich cnót, takich jak prawda, litość, stałość, szlachetność, odwaga i cała reszta. Mówię, bo wiem. Jej szlachetność wobec mnie, który nie jestem w stanie jej się odwdziaczyć, zasługuje na osobną opowieść. Ale i wy ją poznacie i zobaczycie, że godna jest uwielbienia. Tymczasem powiedzcie mi, co was sprowadza do Królestwa Otchłani?

I zanim Błotosmętek był w stanie ją powstrzymać, Julia zaszczębiotała:

- Próbujemy odnaleźć królewicza Riliana z Narnii. - Dopiero kiedy to powiedziała, zdała sobie sprawę ze strasznego ryzyka, na jakie ich naraziła: mogą przecież być wśród wrogów. Ale Rycerz nie okazał większego zainteresowania.

- Rilian? Narnia? - powtórzył lekceważąco. - Narnia? Gdzie leży ten kraj? Nigdy o nim nie słyszałem. Musi leżeć tysiące mil od tych części Nadziemia, które znam. Dziwna to jednak fantazja zawiiodła was do królestwa mojej pani na poszukiwanie tego... jak go nazywacie? Bilian? Trilian?... Zaprawdę,

według mojego rozeznania, a wierzcie mi, jest niemałe, nie ma tu takiego człowieka.

I roześmiał się bardzo głośno, a Julia pomyślała: „Czyż przypadkiem nie TO właśnie widać na jego twarzy? Czy on nie jest trochę szalony?”

- Kazano nam szukać wskazówki w Zrujnowanym Mieście - rzekł Eustachy - i zobaczyliśmy słowa PODE MNA.

Rycerz wybuchnął jeszcze większym śmiechem.

- Oszukaliście się jeszcze bardziej - powiedział. - Te słowa nie mają nic wspólnego z waszym poszukiwaniem. Gdybyście zapytali moją panią, udzieliłaby wam lepszej rady. To wszystko, co pozostało z dłuższego napisu, który w starożytnych czasach, jak moja pani dobrze pamięta, głosił:

Chociaż teraz bez tronu i pod ziemią ciemną, Gdy żyłem, całą Ziemię miałem PODE MNA.

- Wynika z tego jasno - ciągnął Rycerz - że jakiś wielki król starożytnych olbrzymów, który leży tam pochowany, kazał wyciosać te słowa w kamieniu nad swym grobowcem, jednakże od tego czasu niektóre kamienie się wykruszyły, inne zabrano na nowe budowle, a część liter wypełniła się piaskiem i gruzem, aż zostały widoczne tylko te dwa słowa. Czy to nie najlepszy dowcip na świecie pomyśleć, że te słowa są zostawioną dla was wskazówką?

Eustachy i Julia poczuli się, jakby wylano na nich kubel zimnej wody, ponieważ wszystko wskazywało, że rzeczywiście te słowa nie miały nic wspólnego z ich zadaniem i że znaleźli się pod ziemią zupełnie przypadkowo.

- Nie zwracajcie na to uwagi - rzekł Błotosmętek. - NIE MA takich przypadków. Naszym przewodnikiem jest Aslan. On był tutaj, gdy król olbrzymów kazał wyciosać te słowa, i już wtedy wiedział wszystko, co może z tego wyniknąć, włączając TO.

- Ten wasz przewodnik musi być wiekowym staruszkiem, moi przyjaciele - powiedział Rycerz, ponownie wybuchając nienaturalnym śmiechem.

Julię zaczęło to trochę denerwować.

- A mnie się wydaje - powiedział Błotosmętek - że ta twoja pani musi być równie długowieczna, skoro pamięta treść całego napisu.

- Bardzo trafna uwaga, Żabia Buzio - rzekł Rycerz, klepiąc Błotosmętka po ramieniu i śmiejąc się znowu. - Trafiłeś w samo sedno. Pochodzi z boskiej rasy i nie zna starości ani śmierci. Jestem tym bardziej wdzięczny za jej nieskończoną szczodroblivość, jaką okazała takiemu biednemu, śmiertelnemu nieszczęśnikowi jak ja. Bo musicie wiedzieć, szlachetna panienko i wy, panowie, że cierpię na najdziwniejsze schorzenie i nikt prócz królowej nie miałby dla mnie tyle wyrozumiałości. Powiedziałem „wyrozumiałości”? O, trzeba by rzec o wiele więcej. Ona obiecała mi wielkie królestwa w Nadziemiu i swoją najłaskawszą rękę, gdy już będę królem. Ale to zbyt długa opowieść, podczas gdy wy stoicie tu głodni i zmęczeni. Hej, jest tam który? Przynieście wina i nadziemne jedzenie dla moich gości. Racście usiąść, szlachetni panowie. Ty, piękna dziewczeczko, usiądź na tym krześle. Wszystko wam opowiem.

ROZDZIAŁ 11

W CIEMNYM ZAMKU

KIEDY WNIESIONO KOLACJĘ (składającą się z gołębi w cieście, zimnej szynki, sałaty i ciastek), a wszyscy przysunęli krzesła do stołu i zaczęli jeść, Rycerz mówił dalej.

- Musicie zrozumieć, drodzy przyjaciele, że nie wiem o sobie nic, nie wiem, kim jestem i skąd przybyłem do Ciemnego Świata. Nie pamiętam czasów, w których nie mieszkałem na dworze tej niebiańskiej królowej, ale myślę, że to ona wyzwoliła mnie spod mocy jakiegoś złego czaru i w swojej wielkiej szczodroblewości przywiodła tutaj. (Szlachetny żabonogu, twoja czara jest pusta. Pozwól, że ją napełnię.) A wydaje mi się to tym bardziej prawdopodobne, że nawet teraz ciąży na mnie jakieś zaklęcie, z którego tylko moja pani może mnie uwolnić. Każdej nocy nadchodzi godzina, w której moja świadomość zmienia się straszliwie, a wraz z nią zmienia się też moje ciało. Najpierw ogarnia mnie tak dzika, nieokiełznana wściekłość, że mógłbym rzucić się na swoich najlepszych przyjaciół, by ich zabić, gdybym nie był związany. A wkrótce potem zamieniam się w wielkiego węża, głodnego, zdiczałego i jadowitego. (Panie, racz wziąć jeszcze jeden kawałek piersi gołębia.) A więc powiedziano mi o tym i nie mam powodu, by w to nie wierzyć, bo i moja pani to potwierdziła. Sam nie dowiedziałbym się o tym nigdy, bo kiedy moja godzina mija, budzę się, nie pamiętając niczego, w swoim zwykłym ciele i przy zdrowych zmysłach, jestem tylko nieco osłabiony. (Szlachetna panienko, zjedz jedno z tych miodowych ciasteczek przywiezionych dla mnie z jakiegoś barbarzyńskiego kraju na dalekim południu.) Dzięki swym niezwykłym zdolnościom jej królewska mość wie, że to zaklęcie straci swą moc, jak tylko uczyni mnie królem jakiegoś kraju w Nadziemni i włoży jego koronę na moją głowę. Ten kraj został już wybrany, podobnie jak miejsce, w którym wyjdziemy na powierzchnię ziemi. Dzień i noc jej Ziemiści kopią tunel prowadzący do tego miejsca, a dotarli już tak daleko, że obecnie zaledwie kilka metrów dzieli ich od trawy, po której spacerują sobie mieszkańcy tego kraju. Wkrótce spełni się ich przeznaczenie. Dziś w nocy sama królowa jest wśród kopiących, a ja oczekuję od niej wezwania. Wówczas cienka warstwa dzieląca mnie od mojego królestwa zostanie przełamana, a ja sam, z moją panią jako przewodnikiem i tysiącami Ziemistych za mną, wyjadę na koniu w pełnej zbroi, spadnę jak jastrząb na nie spodziewających się niczego wrogów, zabiję ich wodzów, zrównam z ziemią ich warownie i w dwadzieścia cztery godziny zostanę koronowany.

- ICH los nie będzie zbyt przyjemny - zauważył Scrubb.

- Podziwiam twój bystry umysł, młodzieńcze!

- zawołał Rycerz. - Na honor, ja sam nigdy o tym przedtem nie pomyślałem. Rozumiem, o co ci chodzi.

- Przez chwilę sprawiał wrażenie lekko, bardzo lekko zaniepokojonego, ale wkrótce twarz mu się rozjaśniła i wybuchnął swoim przeraźliwym śmiechem.

- Ale wstydz się swojej powagi! Czyż to nie najbardziej komiczna rzecz pod słońcem, wyobrazić sobie, jak spokojnie zajmują się swoimi sprawami i nawet im się nie śni, że tuż pod ich spokojnymi polami i podłogami znajduje się wielka armia gotowa do wyskoczenia z ziemi i spadnięcia na nich jak fontanna? A oni niczego nie podejrzewają! Założę się, że jak już im minie gorzka porażka, będą śmiać się do łez, gdy o tym pomyślą.

- Nie sądzę, aby to w ogóle było zabawne - powiedziała Julia. - Uważam, że będziesz przeklętym tyranem.

- Co? - zawołał Rycerz, wciąż śmiejąc się i klepiąc wściekle po głowie. - Czyżby nasza śliczna dziewczeczka była politykiem? Nie lękaj się, kochanie. Rządząc tym krajem, będę się we wszystkim radził mojej pani, która i wówczas pozostanie moją królową. Jej słowo będzie moim prawem, tak jak moje słowo będzie prawem dla ludu tego kraju, który podbijemy.

- Tam, skąd pochodzę - powiedziała Julia, której szalony Rycerz coraz mniej się podobał - nie poważa się mężczyzn wdzonych za nos przez swoje żony.

- Będziesz myślała inaczej, kiedy sama wyjdiesz za mąż, zapewniam cię - rzekł Rycerz, najwidoczniej ubawiony tą wymianą zdań. - A jeśli chodzi o moją panią, rzecz się ma zupełnie inaczej. Rad jestem, że mogę być posłuszny każdemu jej słowu, jej, która już uratowała mnie od tylu niebezpieczeństw. Żadna matka nie opiekuje się swym dzieckiem tak czule, jak czyni to królowa w swej wielkiej wobec mnie łaskawości. Pomyśl tylko, ma na głowie tyle spraw i obowiązków, a jednak zabiera mnie wciąż i wciąż na konne wyprawy po Nadziemiu tylko po to, aby moje oczy przyzwyczyły się do blasku słońca. Jadę wtedy w pełnej zbroi, z opuszczoną przyłbicą i nie wolno mi do nikogo mówić, aby nikt nie zobaczył mojej twarzy i nie usłyszał mojego głosu. Dzięki sztuce magii dowiedziała się bowiem, że mogłoby to przeszkodzić uwolnieniu mnie spod bolesnego ciężaru owego zaklęcia. Czyż nie jest to pani godna największej czci?

- Wygląda na bardzo miłą damę, nie ma co - rzekł Błotosmętek tonem, który

świadczył, że jest zupełnie odmiennego zdania.

Zanim skończyli kolację, mieli już zupełnie dosyć obłudnej gadaniny Rycerza. Błotosmętek myślał: „Zastanawiam się, co za grę prowadzi ta wiedźma z tym młodym głupcem”. Eustachy myślał: „On jest wielkim dzieckiem, naprawdę; trzyma się spódnicy tej kobiety; to jakiś okropny lizus”. A Julia myślała: „To najgłupszy, najbardziej zarozumiały i najbardziej samolubny prosiak, jakiego spotkałam od bardzo długiego czasu”. Ale kiedy skończyli się posilać, nastrój Rycerza uległ zmianie. Już więcej się nie śmiał.

- Przyjaciele - rzekł - zbliża się moja godzina. Wstydzilibym się wam pokazać w tym stanie, a jednocześnie lękam się zostać sam. Zaraz przyjdą i przywiążą mi ręce i nogi do tego krzesła. Tak, niestety, musi być, bo w mojej furii, jak mówią, zniszczyłbym wszystko, czego bym dosięgnął.

- Chwileczkę - powiedział Eustachy. - Okropnie mi przykro z powodu tego przekleństwa, które ciąży nad tobą, ale co zrobią z NAMI, kiedy przyjdą cię związać? Mówili o wsadzeniu nas do więzienia. A tak się składa, że my bardzo nie lubimy tych wszystkich ciemnych miejsc. Wolelibyśmy zostać tutaj, aż... poczujesz się... lepiej... jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- To dobra myśl - zgodził się Rycerz. - Co prawda jest taki zwyczaj, że nikt prócz królowej nie zostaje ze mną w mej złej godzinie. Tak czule dba o mój honor, że nie chce dopuścić, aby inne uszy prócz jej usłyszały słowa, jakie wypowiadam w szaleństwie.. Trudno byłoby mi wytłumaczyć moim służącym, że macie ze mną zostać. Chyba już słyszę ich ciche kroki na schodach. Przejdźcie przez te drzwi, prowadzą do moich komnat. Czekać tam na moje przyjście, kiedy mnie już rozwiążą, albo też wróćcie tu za jakiś czas i bądźcie przy mnie, gdy owładnie mną szal.

Usłuchali jego rady i wyszli z komnaty przez drzwi, które aż do tej chwili pozostawały zamknięte. Ku ich radości za drzwiami nie było ciemności, lecz oświetlony korytarz. Uchylali różne drzwi i znaleźli (a bardzo tego potrzebowali) wodę do mycia, a nawet jakieś lustro.

- Nawet mu nie przyszło do głowy, żeby nam zaproponować umycie się przed kolacją - zauważyła Julia, wycierając twarz. - Samolubny, zapatrzony w siebie prosiak.

- Wracamy tam, żeby zobaczyć działanie zaklęcia, czy zostajemy tutaj? - zapytał Eustachy.

- Głosuję za tym, aby tu pozostać - powiedziała Julia. - Wcale nie mam ochoty tego oglądać. - Ale w głębi duszy była trochę ciekawa.

- Nie, wracajmy - rzekł Błotosmętek. - Możemy się czegoś dowiedzieć, a każda nowa informacja jest dla nas cenna. Jestem pewien, że ta królowa jest czarownicą i naszym wrogiem. A Ziemiści mogą się na nas rzucić, jak nas tu zastaną. W tym kraju pachnie zagrożeniem, kłamstwem, czarną magią i zdradą. Nigdy jeszcze nie czułem czegoś takiego tak mocno. Musimy mieć oczy i uszy otwarte.

Poszli więc z powrotem korytarzem i powoli otworzyli drzwi.

- Wszystko w porządku - oznajmił Scrubb, mając na myśli brak Ziemistych. Weszli więc do komnaty, w której jedli kolację.

Główne drzwi były teraz zamknięte, zakrywając kotary, między którymi przeszli za pierwszym razem. Rycerz siedział w dziwnym, srebrnym krześle, do którego był przywiązany w kostkach u nóg, w kolanach, łokciach, przegubach rąk i w pasie. Czoło miał spocone, a twarz pełną udręki.

- Wejdźcie, wejdźcie, przyjaciele - powiedział, rzucając im szybkie spojrzenie. - Atak jeszcze się nie zaczął. Zachowujcie się cicho, bo powiedziałem temu wścibskiemu szambelanowi, że poszłicie już spać. Teraz... teraz czuję, że nadchodzi. Szybko! Słuchajcie mnie, póki jeszcze władam sobą. Może się zdarzyć, że będę próbował prośbami i groźbami wymóc na was, abyście mnie rozwiązali. Mówią, że tak się dzieje. Będę was wzywał do tego w imię wszystkiego, co najdroższe i najstraszniejsze. Niech wasze serca będą nieczułe, a uszy zamknięte. Dopóki krępują mnie więzy, jesteście bezpieczni. Wystarczy jednak, że raz powstanę z krzesła, a wówczas najpierw nadejdzie atak furii, a potem - tu wzdrygnął się - potem zamienię się w obmierzłego węża.

- Nie ma obawy, abyśmy cię rozwiązali - rzekł Błotosmętek. - Nie mamy wcale ochoty na spotkanie ani z dzikimi ludźmi, ani z węzami.

- Na pewno - powiedzieli jednocześnie Eustachy i Julia.

- Niemniej - szepnął do nich Błotosmętek - nie bądźmy zbyt pewni siebie. Bądźmy czujni. Wiecie przecież, że jak dotąd nie mamy się czym pochwalić. A on na pewno będzie bardzo chytry, jak to się zacznie, i wcale bym się nie dziwił. Czy możemy na sobie polegać? Czy przyrzekamy wszyscy, że cokolwiek powie, nie dotkniemy tych więzów? COKOLWIEK powie, rozumiecie?

- No chyba! - odpowiedział Eustachy.

- Za nic na świecie nie zmienię zdania - powiedziała Julia.

- Sza! Coś się dzieje - szepnął Błotosmętek. Rycerz jęczał. Jego twarz była szara jak popiół.

Może z litości dla niego, a może z jakiejś innej przyczyny Julia pomyślała, że teraz wygląda o wiele mniej odrażająco niż przedtem.

- Ach! - zawodził. - Czary, czary... ciężka, splątana, zimna, lepka pajęczyna Czarnej Magii. Pogrzebany żywcem. Wciągnięty pod ziemię, w tę lepka ciemność... Ile to już lat?... Czy żyję w tej dziurze dziesięć, czy tysiąc lat? Wszędzie wokół mnie ludzie-larwy. Och, zmiłujcie się! Pozwólcie mi odejść, pozwólcie mi wrócić. Chciałbym poczuć wiatr i zobaczyć niebo. Jest tu gdzieś mała sadzawka. Kiedy się w nią spojrzę, widać wszystkie drzewa rosnące do góry nogami w wodzie, wszystkie zielone, a pod nimi, głęboko, głęboko... błękitne niebo.

Powiedział to bardzo cichym, rwącym się głosem, lecz nagle otworzył szeroko oczy, utkwiał w nich spojrzenie i wyrzekł głośno i wyraźnie następujące słowa:

- Prędko! Teraz jestem zdrowy. Co noc jestem zdrowy. Gdybym tylko mógł opuścić to zakłete krzesło, byłbym już zdrowy na zawsze. Byłbym zdrowym człowiekiem. Ale co noc przywiązują mnie do niego i co noc moja szansa mija. Lecz wy nie jesteście moimi wrogami! Nie jestem WASZYM więźniem. Prędko! Przetnijcie te więzy!

- Nie ruszać się! Spokojnie! - ostrzegł Błotosmętek dzieci.

- Błagam was, wysłuchajcie mnie - prosił Rycerz, starając się zachować spokój.

- Czy powiedziano wam, że jeśli zostaną uwolniony z tego krzesła, to zabiję was i zamienię się w węża? Widzę po waszych twarzach, że tak wam powiedziano. To wszystko kłamstwa. Właśnie w tej godzinie, i tylko w tej, powracają mi wszystkie zmysły, a w ciągu reszty nocy i dnia jestem zaczarowany. Przecież nie jesteście Ziemistymi czy czarownicami. Dlaczego mielibyście stać po ich stronie? Zaklinam was, na wasz honor, przetnijcie te więzy!

- Spokojnie! Spokojnie! Spokojnie! - ostrzegło się nawzajem troje wędrowców.

- Och, macie serca z kamienia! - zawołał Rycerz. - Wierście mi, patrzycie na nieszczęśnika, który przecierpiał więcej, niż mogłoby wytrzymać serce śmiertelnika. Cóż złego wam uczyniłem, że stajecie po stronie moich wrogów, aby mnie więzić w takim utrapieniu? A minuty tak szybko mijają! TERAZ możecie mnie uratować. Kiedy minie ta godzina, będę znowu bez rozumu, będę zabawką i pieskiem salonowym, nie, raczej pionkiem i narzędziem w rękach najbardziej złej, diabelskiej czarownicy, jaka kiedykolwiek pragnęła zguby ludzi. I to w tę noc, w tę jedyną noc, kiedy jej nie ma! Niszczycie szansę, która może już nigdy nie wrócić!

- To okropne - powiedziała Julia. - Po cośmy tu wracali. Trzeba było tam

czekać, aż to się wszystko skończy.

- Spokojnie! - zawołał Błotosmętek.

Jęk więźnia przeszedł teraz w rozpaczliwy krzyk.

- Pozwólcie mi iść! Dajcie mi mój miecz! Mój miecz! Gdy tylko będę wolny, wezmę taką pomstę na Ziemistych, że Podziemie będzie o tym opowiadało przez tysiąc lat!

- Teraz zaczyna się szal - powiedział Eustachy. - Mam nadzieję, że te sznury wytrzymają.

- Tak - dodał Błotosmętek. - Gdyby się teraz uwolnił, miałby dwukrotnie więcej siły niż zwykle. Nie jestem zbyt dobry w walce na miecze. Poradziłby sobie z nami dwoma szybko, i wcale bym się nie dziwił. A wówczas Pole zostałaby sam na sam z tym gadem.

Więzień napierał teraz tak mocno na swe więzy, że przecięły mu skórę na przegubach rąk i na nogach.

- Strzeżcie się! - krzyczał - Strzeżcie się! Pewnej nocy rozerwałem je. Ale wtedy była tu Czarownica. Tej nocy wam nie pomoże. Uwolnijcie mnie zaraz, a będę waszym przyjacielem. Bo jeśli nie... stanę się waszym śmiertelnym wrogiem.

- Chce nas przechytrzyć - powiedział Błotosmętek,

- Po raz ostatni - zawył Rycerz - zaklinam was, uwolnijcie mnie! Na wszystko, czego się lękacie, na wszystko, co kochacie, na jasne niebo Nadziemia, na Wielkiego Lwa, na samego Asłana, rozkazuję wam...

- Och! - zawołało jednocześnie troje wędrowców, jakby ich coś ugodziło.

- To jest Znaki - zawołał Błotosmętek.

- To są SŁOWA Znaku - rzekł Eustachy niepewnym głosem.

- Och, co mamy robić? - zapytała Julia z rozpaczą.

Była to straszna chwila. Cóż warte byłyby dane sobie przyrzeczenia, że pod żadnym pozorem nie uwolnią Rycerza, gdyby zrobili to za pierwszym razem, gdy zdarzyło mu się wezwać ich do tego w imię kogoś, kto był im naprawdę drogi? Z drugiej strony, po co uczyli się tych Znaków, jeśli nie mieliby im być posłuszni? Czy jednak Asianowi naprawdę mogło chodzić o to, aby rozwiązali każdego - nawet szaleńca - jeśli tylko poprosi o to w jego imię? Czy nie mógł to być jedynie przypadek? A jeśli królowa Podziemia wiedziała o Znakach i nauczyła Rycerza tego imienia tylko po to, by zwabić ich w pułapkę? Ale znowu - jeśli to jest prawdziwy Znak? Nie spełnili już trzech; nie wolno im pozostać głuchymi i ślepymi na czwarty.

- Och, gdybyśmy tylko wiedzieli! - powiedziała Julia.

- Myślę, że wiemy - rzekł Błotosmętek.

- Myślisz, że nic złego się nie stanie, jak go rozwiążemy? - zapytał Eustachy.

- Tego nie wiem - odparł Błotosmętek. - Widzisz, Aslan nie powiedział Julii, co się potem stanie. Powiedział jej tylko, co robić. Ten typ załatwi nas, jak tylko będzie wolny, i wcale bym się nie dziwił. Ale *to* nie powinno nas wstrzymywać przed wypełnieniem Znak.

Wszyscy troje stali, patrząc na siebie płonącymi oczami. Była to obezwładniająca chwila.

- Dobrze! - zdecydowała się nagle Julia. - Skończmy z tym. Zegnajcie!

Uścisnęli sobie dłonie. Rycerz teraz wył, a na ustach miał pianę.

- Naprzód, Eustachy! - rzekł Błotosmętek. Wyciągnęli miecze i podeszli do srebrnego krzesła.

- W imię Aslana! - zawołali i zaczęli spokojnie przecinać sznur po sznurze. Gdy tylko więzień poczuł się wolny, jednym susem dopadł stołu, chwycił leżący na nim miecz i wy dobył go z pochwy.

- Najpierw ty! - ryknął i rzucił się na srebrne krzesło.

Musiał to być naprawdę dobry miecz. Przecinał srebro jak postronki i po chwili bezładnie leżały na podłodze połyskujące, poskręcane kawałki. Lecz gdy tylko krzesło się rozpadło, nad jego szczątkami zajaśniało białe światło, rozległ się przeraźliwy trzask i (przez moment) rozszedł się ohydny smród.

- Leż tutaj, wstrętna machino złych czarów - rzekł Rycerz - dopóki twoja pani nie będzie cię potrzebowała dla nowej ofiary. - Potem odwrócił się i popatrzył na swoich wybawicieli, a to coś niedobrego, cokolwiek to było, znikło z jego twarzy.

- Co? - zawołał, zwracając się do Błotosmętka.

- Czyżbym miał przed sobą błotowija? Prawdziwego, żywego, narnijskiego błotowija?

- A więc jednak SŁYSZAŁEŚ o Narnii! - odezwała się Julia.

- Czyżbym o niej nie pamiętał, gdy byłem w mocy zaklęcia? No cóż to, i wszystkie inne złe uroki są już poza mną. Możecie mi naprawdę wierzyć, że znam Narnię, bo jam jest Rilian, narnijski królewicz, a Wielki Król Kaspian jest moim ojcem.

- Wasza książęca mość - rzekł Błotosmętek, klękając na jedno kolano (a dzieci zrobiły to samo)

- przyszedliśmy tu tylko po to, aby cię odnaleźć.

- A kim wy jesteście, moi pozostali oswoobodziciele? - zwrócił się królewicz do dzieci.

- Zostaliśmy przysłani spoza krańca świata przez samego Aslana, aby odnaleźć waszą wysokość - rzekł Scrubb. - Ja jestem tym Eustachym, który żeglował z twoim ojcem do wyspy Ramandu.

- Mam wobec was tak wielki dług, że wątpię, abym go mógł kiedykolwiek spłacić - powiedział królewicz Rilian. - Lecz co z moim ojcem? Czy jeszcze żyje?

- Popłynął znowu na wschód, zanim opuściliśmy Narnię, panie mój - odpowiedział Błotosmętek. - Ale wasza wysokość musi zważyć, że król jest bardzo stary. Nie ma dużej nadziei, by wrócił żywy z tej wyprawy.

- Jest stary, mówisz. Jak długo więc byłem w mocy tej wiedzy?

- Minęło już dziesięć lat, odkąd wasza wysokość zaginął w północnych lasach Narnii.

- Dziesięć lat! - zawołał królewicz, pocierając twarz ręką, jakby chciał zetrzeć z niej przeszłość. - Tak, wierzę wam. Albowiem teraz, kiedy znowu jestem sobą, pamiętam to zaczarowane życie, choć wówczas, gdy byłem zaczarowany, nie pamiętałem, kim naprawdę byłem. A teraz, przyjaciele... lecz zaczekajcie! Słyszę na schodach ich kroki (czy człowiekowi nie robi się niedobrze, jak słyszy te wilgotne, miękkie kroki? Tfu!). Zamknij drzwi na rygiel, chłopcze. Albo nie. Mam lepszy pomysł. Oszukam tych Ziemistych, jeśli tylko Aslan ześle mi natchnienie. Obserwujcie mnie uważnie.

Podszedł zdecydowanym krokiem do drzwi i otworzył je gwałtownym ruchem.

ROZDZIAŁ 12

KRÓLOWA PODZIEMIA

W DRZWIACH UKAZAŁO SIĘ DWÓCH ZIEMISTYCH, lecz zamiast wejść do środka, stanęli po obu stronach drzwi i skłonili się nisko, a zaraz po nich weszła ostatnia osoba, jaką chcieliby zobaczyć, a tym bardziej jakiej się spodziewali: Pani w Zielonej Sukni, królowa Podziemia! Stała tuż przy drzwiach, nieruchoma jak posąg, a jej oczy rejestrowały szybko najważniejsze fragmenty sytuacji: troje przybyszów, szczątki srebrnego krzesła i uwolniony królewicz z mieczem w dłoni.

Twarz jej pobladła, a Julia pomyślała, że jest to ten rodzaj bladości, jaki pokrywa twarze niektórych ludzi nie wtedy, gdy są przestraszeni, lecz wtedy, gdy ogarnia ich wściekłość. Na chwilę Czarownica utkwiała spojrzenie w królewiczu i wówczas w jej oczach zapłonęła żądza mordy. Potem jakby się rozmyśliła.

- Zostawcie nas samych - rozkazała Ziemistym.

- I niech nikt nie śmie nam przeszkadzać, dopóki sama was nie wezwę, pod groźbą tortur i śmierci. - Gnomy opuściły posłusznie komnatę, a królowa zamknęła i zaryglowała drzwi.

- Jakże to, mój panie królewiczu? - *zapytała*.

- Czy twój nocny napad jeszcze nie nadszedł, czy też tak szybko się skończył? Dlaczego stoisz tu rozwiązany? Kim są twoi sprzymierzeńcy? I czy to oni zniszczyli krzesło, które było twoim jedynym ratunkiem?

Królewicz Rilian zadrżał, gdy usłyszał jej głos. I trudno się temu dziwić; nie jest łatwo otrząsnąć się w ciągu pół godziny z uroku, który czynił kogoś niewolnikiem przez dziesięć lat. Potem powiedział z wysiłkiem:

- Pani, to krzesło nie będzie już więcej potrzebne. A ty, która powtarzałaś mi setki razy, jak głęboko litujesz się nad moim żalonym stanem, bez wątpienia uradujesz się, że zły czar nie ma już władzy nade mną. Sądzę, że w swoich próbach ulżenia memu losowi popełniłaś, pani, jakiś błąd. To oni, moi prawdziwi przyjaciele, uwolnili mnie od złego czaru. Jestem znowu sobą i pragnę ci powiedzieć dwie rzeczy. A oto pierwsza. Teraz, gdy już jestem w pełni sobą, całkowicie odrzucam i uznaję za nikczemny zamiar waszej królewskiej mości ofiarowania mi dowództwa armii Ziemistych, abym na ich czele wtargnął do Nadziemia; odrzucam plan uczynienia mnie przemocą królem jakiegoś ludu, który mi nigdy nic złego nie uczynił, królem mordującym jego naturalnych władców i zasiadającym na obcym tronie jako krwawy tyran. I druga rzecz: jestem synem króla Narnii, Rilianem, jedynym potomkiem

Kaspiana, dziesiątego tego imienia, którego nazywają też Kaspianem Żeglarzem. Dlatego też, pani, jest mym zamiarem, a również i moim obowiązkiem, opuścić natychmiast dwór waszej królewskiej mości i udać się do mojej ojczyzny. Racz zapewnić mnie i moim przyjaciółom bezpieczny przejazd przez twoje ciemne królestwo.

Czarownica nic nie odpowiedziała na te słowa, lecz przeszła spokojnym, wolnym krokiem przez komnatę, z oczami przez cały czas utkwionymi w królewiczu. Kiedy znalazła się przy kominku, włożyła rękę do niewielkiej niszy i wyciągnęła stamtąd pełną garść jakiegoś zielonego proszku, który natychmiast rzuciła w ogień. Rozszedł się słodki, oszałamiający zapach. W ciągu rozmowy, jaka wkrótce nastąpiła, zapach ten stawał się coraz mocniejszy, aż nappełnił cały pokój, przeszkadzając zebrać myśli. Potem wyjęła z tej samej niszy jakiś instrument podobny do mandoliny i zaczęła lekko szarpać palcami jego struny, wydobywając z nich monotonne dźwięki, których po kilku minutach nikt już nie słyszał. Im mniej się jednak je słyszało, tym głębiej przenikały mózg i krew. To również utrudniało myślenie. Po jakimś czasie (a słodki zapach był już teraz bardzo silny) przemówiła czarującym, łagodnym głosem:

- Narnia? Narnia? Często słyszałam, jak powtarzasz to słowo w ataku szału. Miły książę, jesteś naprawdę bardzo chory. Nie ma takiego kraju, który nazywa się Narnia.

- A jednak on istnieje, pani - odezwał się Błotosmętek. - Tak się składa, że spędziłem w nim całe swoje życie.

- Czyżby? - zdziwiła się Czarownica. - Powiedz mi łaskawie, gdzie leży ten kraj?

- Tam, w górze - odpowiedział Błotosmętek śmiało, wskazując na sufit. - Właściwie to... nie wiem dokładnie gdzie.

- Jak to? - powiedziała królowa, śmiejąc się cicho i melodyjnie. - Czyżby jakiś kraj leżał wśród kamieni i zaprawy murarskiej składających się na sklepienie tej komnaty?

- Nie - rzekł Błotosmętek, z pewnym trudem łapiąc powietrze ustami. - On leży w Nadziemiu.

- A gdzie jest lub czym jest to... jak to nazwałś?... NADZIEMIE?

- Och, przestań udawać głupią! - zawołał Scrubb, dzielnie walcząc przez cały czas z czarem słodkiego zapachu i muzyki. - Tak jakbyś nie wiedziała! Ten kraj jest nad nami, tam, w górze, skąd widać niebo, słońce, gwiazdy. Przecież sama tam byłaś. Tam cię spotkaliśmy.

- Błagam cię o wybaczenie, mój mały bracie - zaśmiała się Czarownica (trudno sobie wyobrazić bardziej rozkoszny śmiech). - Nie pamiętam tego spotkania. Ale często spotyka się przyjaciół w dziwnych miejscach podczas marzeń sennych. Lecz dopóki wszyscy nie będą śnić tego samego, nie możesz od nich wymagać, aby to pamiętali.

- Pani - rzekł królewicz surowo - już ci powiedziałem, że jestem synem króla Narnii.

- I będziesz nim nadal, miły przyjacielu - powiedziała Czarownica przesadnie przymilnym tonem, jakby uspokajała dąsające się dziecko. - Będziesz królem wielu nie istniejących krajów w swoich snach i fantazjach.

- My też tam byliśmy - warknęła Julia, wściekła, bo czuła, że z każdą chwilą czar obezwładnia ją coraz bardziej. Ale, oczywiście, już samo to, iż wciąż to jeszcze odczuwała, najlepiej świadczyło, że jeszcze nie całkiem poddała się czarowi.

- A ty jesteś bez wątpienia królową Narnii, moja ślicznotko? - w głosie Czarownicy zabrzmiała kpina.

- Nie jestem żadną królową! - oburzyła się Julia, tupiąc nogą. - MY przychodzimy z innego świata.

- No wiecie, to naprawdę świetna zabawa! - zawołała Czarownica. - Powiedz mi, panienko, gdzie jest ten inny świat? Jakie okręty i rydwany przenoszą ludzi stamtąd do owego świata?

Mnóstwo rzeczy wtargnęło do głowy Julii jednocześnie: Szkoła Eksperymentalna, Adela Pennyfather, jej własny dom, radioodbiorniki, kina, samochody, samoloty, kartki żywnościowe, kolejki w sklepach. Wszystkie jednak wydawały się bardzo odległe i mgliste. (Brzdęk - brzdęk - brzdęk - dźwięczały struny dziwnego instrumentu pod palcami Czarownicy.) Julia nie mogła sobie przypomnieć nazw wielu rzeczy z naszego świata, lecz tym razem nie pomyślała już, że to działają na nią jakieś czary, bo osiągnęły już pełną moc, a jest oczywiste, że im bardziej jest się zaczarowanym, tym bardziej jest się pewnym, że wcale tak nie jest. Nagle stwierdziła, że mówi (a w tym momencie powiedzenie tego przyniosło jej ulgę):

- Nie. Myślę, że ten inny świat jest po prostu snem.

- Tak. To wszystko jest tylko snem - powiedziała Czarownica, nie przestając trącać strun.

- Tak, to wszystko jest snem - powtórzyła Julia.

- Nigdy nie istniał taki świat - powiedziała Czarownica.

- Tak - powtórzyli razem Julia i Eustachy. - Nigdy nie istniał taki świat.

- Nigdy nie było żadnego innego świata prócz mojego - powiedziała Czarownica.

- Nigdy nie było żadnego innego świata prócz twojego - powtórzyły dzieci.

Lecz Błotosmętek wciąż się nie poddawał.

- Nie wiem dokładnie, co masz na myśli mówiąc „świat” - powiedział jak człowiek, któremu brakuje powietrza - ale możesz sobie rzępolić na tych skrzypcach, dopóki ci palce nie odpadną, a ja i tak nigdy nie zapomnę Narnii, a także całego Nadziemia. Pewno go już nigdy nie zobaczymy, i wcale bym się nie dziwił. Możesz to wszystko zamazywać, plątać i zaciemniać, jak to robisz w tej chwili, bez dwóch zdań. Ale ja wiem, że tam byłem. Widziałem niebo pełne gwiazd. Widziałem słońce wynurzające się rankiem z oceanu i zachodzące za góry wieczorem. I widziałem je w samym środku dnia, choć nie mogłem na nie patrzeć z powodu jego blasku.

Słowa Błotosmętka były dla dzieci tym, czym źródłana woda dla ginących z pragnienia. Odetchnęły głęboko i popatrzyły na siebie jak ludzie budzący się ze snu.

- Ależ tak, tam jest słońce! - zawołał królewicz. - Oczywiście! Niech Aslan błogosławi tego szlachetnego błotowija! Przez ostatnie kilka minut wszyscy byliśmy pogrążeni we śnie. Jak mogliśmy o tym wszystkim zapomnieć? Przecież wszyscy widzieliśmy słońce.

- Wielkie nieba! Tak, widzieliśmy! - powiedział Eustachy. - Chwała ci, Błotosmętku, tylko ty jeden z nas wszystkich masz olej w głowie.

Głos Czarownicy zabrzmiał teraz jak ciche gruchanie turkawki ukrytej w wysokich wiązach w jakimś starym ogrodzie o trzeciej godzinie sennego letniego popołudnia:

- A cóż to takiego to SŁONCE, o którym mówicie? Czy to słowo naprawdę coś oznacza?

- Tak, dla nas *oznacza*., i to wiele - rzekł Scrubb.

- Czy możecie mi powiedzieć, jakie ono jest? - zapytała Czarownica. (Brzdęk - brzdęk - brzdęk, śpiewały cicho struny.)

- Racz posłuchać, wasza królewska mość - rzekł królewicz bardzo chłodno, lecz uprzejmie. - Widzisz tę lampę? Jest okrągła i żółta i oświetla cały pokój; jest też zawieszona u sufitu. Ta rzecz, którą nazywamy słońcem, jest podobna do tej lampy, tyle że jest daleko większa i jaśniejsza. Oświetla ona całe Nadziemie i wisi na niebie.

- A na czym jest zawieszona, mój panie? - zapytała Czarownica, a potem, kiedy

wszyscy wciąż jeszcze zastanawiali się, jak jej odpowiedzieć, wybuchnęła swym cichym, srebrzystym śmiechem i dodała: - Widzisz? Kiedy próbujesz wyobrazić sobie dokładnie, czym jest to SŁONCE, nie potrafisz mi tego powiedzieć. Możesz tylko powiedzieć, że jest podobne do lampy. Wasze SŁOŃCE jest tylko snem, a w tym śnie nie ma niczego, co nie byłoby odzwierciedleniem lampy. Lampa istnieje naprawdę, a SŁONCE jest tylko marzeniem, dziecienną bajką.

- Tak, teraz to rozumiem - powiedziała Julia ciężkim, bezbarwnym głosem. - Tak musi być. - I to, co mówiła, wydawało się jej bardzo rozsądne.

Powoli i uroczyście Czarownica powtórzyła:

- Nie ma żadnego SŁOŃCA. - Wszyscy milczeli, a ona jeszcze raz powtórzyła, tym razem bardziej cicho i głęboko: - Nie ma żadnego SŁOŃCA.

Po chwili ciszy, po wewnętrznej walce, jaką stoczyli ze sobą, wszyscy czworo powiedzieli jednocześnie z wyraźną ulgą:

- Tak, to prawda. Nie ma żadnego słońca.

- Nigdy nie było żadnego SŁOŃCA - powiedziała Czarownica.

- Tak, nigdy nie było słońca - powtórzył królewicz, a potem Błotosmętek i dzieci.

Przez ostatnie kilka minut Julii nie opuszczało przeświadczenie, że jest coś, o czym powinna sobie przypomnieć za wszelką cenę. I teraz sobie przypomniwała. Jednakże wypowiedzieć to coś było okropnie trudno, jakby na wargach położono jej jakiś ciężar. W końcu powiedziała z wysiłkiem, który zdawał się wyczerpywać wszystkie jej siły:

- Jest Aslan.

- Aslan? - powtórzyła Czarownica, a dźwięki, jakie wydobywała ze strun dziwnego instrumentu, popłynęły nieco szybciej. - Cóż za piękne imię! Co ono oznacza?

- To imię Wielkiego Lwa, który wezwał nas z naszego świata - rzekł Eustachy - i przysłał nas tu, abyśmy znaleźli królewicza Riliana.

- A co to jest LEW? - zapytała Czarownica.

- A niech to wszyscy diabli - nie wytrzymał Scrubb. - Nie wiesz? Jak jej to opisać... Czy widziałaś kiedyś kota?

- Oczywiście - odpowiedziała królowa. - Bardzo lubię koty.

- No więc lew jest trochę... pamiętaj, tylko trochę... podobny do olbrzymiego kota... z grzywą. To nie jest taka grzywa, jaką ma koń, raczej coś takiego jak peruka

sędziogo. I jest żółty. I straszliwie silny.

Czarownica potrząsnęła głową.

- Widzę, że nie porozumiemy się co do tego, jak go nazywacie, LWA lepiej niż co do waszego SŁOŃCA. Widzieliście lampy, no i wyobraziliście sobie jakąś większą, lepszą lampę i nazwaliście ją SŁOŃCEM. Widzieliście koty, a teraz chcecie, żeby istniał jakiś większy, lepszy kot, który będzie się nazywał LWEM. No cóż, to są piękne fantazje, ale mówiąc szczerze, pasowałyby do was lepiej, gdybyście byli trochę młodszy. Sami pomyślcie: nie potraficie wyobrazić sobie niczego nowego, wszystko jest zaczerpnięte z rzeczywistego świata, z MOJEGO świata, który jest jedynym istniejącym światem. Ale nawet wy, dzieci, jesteście już za duże na takie zabawy. A ty, mój królewiczu, będąc dojrzałym młodzieńcem, powinieneś się naprawdę wstydzić! Nie przystoją ci już takie zabawy. No, ale dość już tego. Dajmy spokój dzieciennym fantazjom. Mam dla was wszystkich wiele zajęć tutaj, w prawdziwym świecie. Nie ma żadnej Narnii, żadnego Nadziemia, żadnego nieba, żadnego słońca, żadnego Aslana. A teraz do łóżka, spać, głęboko spać na miękkich poduszkach, bez żadnych ogłupiających snów.

Królewicz i dwoje dzieci stali z pochyłymi nisko głowami, z półprzymkniętymi powiekami i czerwonymi policzkami. Nie mieli już sił, byli prawie całkowicie zaczarowani. Ale Błotosmętek zebrał w sobie rozpaczliwie wszystkie siły i podszedł do kominka. I wówczas uczynił coś niesłychanie dzielnego. Wiedział, że nie będzie go to tak bolało jak człowieka, ponieważ miał stopy płetwowate, twarde i zimne, jak u kaczki. Ale wiedział też, że zaboli go dość mocno, więc zrobił to. Włożył bosą nogę do kominka, aż prawie cała stopa zanurzyła się w czerwonym żarze paleniska. I wówczas trzy rzeczy wydarzyły się jednocześnie.

Po pierwsze, słodkawy, ciężki zapach nagle bardzo osłabł. Chociaż bowiem ogień nie wygasł zupełnie, większość drewna już się wypaliła, a to, co pozostało, zapachniało przede wszystkim przypiekanym błotowijem, a nie jest to zapach, którym można kogoś zaczarować. Wszyscy zaczęli myśleć jaśniej; królewicz i dzieci podnieśli głowy i otworzyli oczy.

Po drugie, Czarownica wrzasnęła ostrym, strasznym głosem, całkiem różnym od słodkiego głosiku, którym dotychczas przemawiała:

- Co robisz? Jeżeli się ośmielisz raz jeszcze dotknąć mojego ognia, szlamowaty plugawcu, zamienię ci w ogień krew w żyłach!

Po trzecie, ból otrzeźwił Błotosmętka tak, że przez chwilę wiedział dokładnie,

co naprawdę myśli. Nie ma nic lepszego od mocnego wstrząsu spowodowanego bólem, jeśli się chce wyzwolić z mocy pewnego rodzaju czarów.

- Jedno słówko, pani - rzekł, wracając od kominka i kulejąc przy tym z bólu. - Jedno słówko. Wszystko, co powiedziałaś, jest prawdziwe, i wcale bym się nie dziwił. Taki już jestem, że lubię wiedzieć najgorsze, a wtedy staram się zachować twarz, jak potrafię. Nie będę więc zaprzeczał temu, co powiedziałaś. Ale mimo to trzeba jeszcze powiedzieć jedno. Przypuśćmy, że my naprawdę tylko wyśniliśmy albo wymyśliliśmy sobie te wszystkie rzeczy: drzewa i trawę, słońce i księżyc, gwiazdy i samego Asłana. Przypuśćmy, że tak jest. Ale jeśli tak, to mogę tylko powiedzieć, że te wymyślone rzeczy wydają mi się o wiele bardziej ważne niż tamte prawdziwe. Przypuśćmy, że ta wielka czarna dziura, twoje królestwo, JEST prawdziwym światem. No cóż, muszę wyznać, że to bardzo żalony świat. To bardzo zabawne, kiedy się o tym pomyśli. Jeśli masz rację, to jesteśmy tylko dziećmi, które sobie wymyśliły zabawę. Ale czworo bawiących się dzieci może stworzyć fantastyczny świat, który sprawia, że twój prawdziwy świat staje się pusty. Dlatego zamierzam pozostać przy tym świecie z zabawy. Jestem po stronie Asłana, nawet jeśli nie ma żadnego Asłana. Chcę żyć jak Narnijczyk, tak jak potrafię, nawet jeśli nie ma żadnej Narnii. Tak więc dziękujemy pięknie za kolację i, jeśli tych dwu młodzieńców i ta młoda dama są już gotowi, opuszczamy twój dwór natychmiast, ruszamy w ciemność, aby spędzić resztę swego życia na poszukiwaniu Nadziemia. Nie sądzę, abyśmy żyli bardzo długo, i wcale bym się nie dziwił, ale to niewielka strata, jeśli prawdziwy świat jest tak ponurym miejscem, jak mówisz.

- Hurra! Niech żyje Błotosmętek! - zawołały dzieci. Lecz królewicz krzyknął nagle: - Uwaga! Spójrzcie na Czarownicę!

Kiedy spojrzeli, włosy stanęły im dęba.

Odrzuciła instrument. Jej ręce zdawały się przyrastać do boków. Jej nogi splątały się ze sobą, a stopy znikły. Długi, zielony tren sukni zgrubiał i jakby się wypełnił, zrastając w jedno z poskręcaną, zieloną kolumną jej nóg. I ta poskręcana kolumna zaczęła się krzywić i falować, jakby nogi nie miały stawów albo przeciwnie - jakby się składały z samych stawów. Odrzuciła głowę do tyłu i podczas gdy nos wydłużał się i wydłużał, reszta twarzy zdawała się znikać. Pozostały tylko oczy: olbrzymie, jarzące się oczy bez brwi i rzęs. Wszystko to trwało tyle, ile potrzeba czasu, aby to opisać - tyle, ile potrzeba czasu, aby to zobaczyć, ponieważ już za chwilę zmiana się dokonała i wielki wąż, w którego przeobraziła się Czarownica, zielony jak trucizna i

gruby jak kibić Julii, owinał dwa lub trzy sploty swego ohydneho cielska wokół nóg królewicza. Inny splot wyskoczył jak błyskawica w górę, aby przycisnąć jego uzbrojone ramię do boku. Ale Rilian był szybszy. Podniósł ramiona i żywy węzeł otoczył tylko jego piersi, gotów zmiażdżyć mu żebra, tak jak zaciśnięty mocno powróż miażdży wiązkę gałązek.

Królewicz schwycił bestię lewą ręką za kark, próbując ją zadusić. Jej twarz (jeśli można to nazwać twarzą) znalazła się kilka cali od jego twarzy. Rozwidlony język wynurzał się błyskawicznie raz po raz, chcąc go ugodzić, lecz odległość była jeszcze za duża. Rilian cofnął prawą rękę daleko do tyłu, by zadać silniejszy cios. Tymczasem Scrubb i Błotosmętek również dobyli mieczy i skoczyli, aby mu pomóc. Trzy ciosy spadły jednocześnie. Eustachy uderzył poniżej ręki królewicza (i nawet nie zdołał przeciąć łusek), lecz Rilian i Błotosmętek trafili w kark węża. Ale nawet to go nie zabiło, choć zaciśnięte na nogach i piersi Riliana sploty nieco się rozluźniły. Następne ciosy odrębały gadowi głowę. Ohydne cielsko opadło i miotało się jeszcze przez jakiś czas, skręcając i zwijając się jak sprężyna, a posadzka, jak sobie można wyobrazić, nie wyglądała potem pięknie.

- Panowie, dziękuję wam - rzekł królewicz, oddychając głęboko. Trzej zwycięzcy stali przez dłuższą chwilę w milczeniu, patrząc na siebie. Julia bardzo rozsądnie usiadła i też nic nie mówiła, powtarzając tylko w myśli: „Mam nadzieję, że nie zemdleję... albo nie zacznę beczeć... albo nie zrobię nic głupiego”.

- Moja matka została pomszczona - rzekł wreszcie Rilian. - To bez wątpienia ten sam gad, którego ścigałem wiele lat temu przy źródle w narnijskiej puszczy. Przez te wszystkie lata byłem niewolnikiem zabójczynie mojej matki. Ale rad jestem, szlachetni panowie, że ta obmierzła wiedźma przybrała w końcu postać węża. Ani moje serce, ani mój honor nie czułyby się dobrze, gdybym musiał zabić kobietę. Lecz spójrzcie na tę młodą damę... - Miał na myśli Julię.

- Nic mi nie jest - wyjąkała.

- Pani - rzekł królewicz - jesteś bardzo odważna, co każe mi mieć pewność, że pochodzisz ze szlachetnego rodu w twym świecie. Ale podejdźcie tu, przyjaciele. Zostało trochę wina. Warto się orzeźwić i wypić nasze zdrowie. A potem pomyślimy, co robić dalej.

- Wyśmienity pomysł, mości księżę - powiedział Eustachy.

ROZDZIAŁ 13

PODZIEMIE BEZ KRÓLOWEJ

DLA WSZYSTKICH STAŁO SIĘ JASNE, że zyskali teraz to, co Scrubb nazwał „chwilą wytchnienia”. Czarownica zamknęła uprzednio pokój i zapowiedziała Ziemistym, aby jej nie przeszkadzano, tak więc na razie mogli się nie obawiać czyjegoś wejścia. Przede wszystkim należało zająć się nogą Błotosmętka. Z przyniesionych z sypialni królewicza kilku czystych koszul - podartych na pasy i posmarowanych masłem i oliwą, jakie zostały na stole po kolacji - zrobili zupełnie niezły opatrunek. Potem usiedli, aby trochę odetchnąć i omówić plany ucieczki z Podziemia.

Rilian powiedział im, że jest dość dużo wyjść na powierzchnię ziemi; z większości już kiedyś korzystał. Nigdy jednak nie wychodził przez nie sam, zawsze towarzyszyła mu Czarownica i za każdym razem trzeba było najpierw przepłynąć barką Bezsłoneczne Morze. Trudno przewidzieć, jak zachowaliby się Ziemiści, gdyby pojawił się na przystani bez niej, ale za to z trzema obcymi, i po prostu zażądał łodzi. Bardzo prawdopodobne, że spotkałby się z pytaniami, na które niełatwo byłoby odpowiedzieć. Natomiast najnowsze wyjście, to, przez które miał ruszyć atak na Nadziemie, znajdowało się po tej stronie morza, zaledwie kilka mil od pałacu. Królewicz wiedział, że tunel prawie już ukończono: tylko kilka stóp ziemi dzieliło kopiących od powierzchni. Możliwe nawet, że już jest gotowy, a Czarownica wróciła właśnie po to, aby mu o tym powiedzieć i dać sygnał do ataku. A gdyby nawet tak nie było, mogliby sami dokopać się do powierzchni w ciągu kilku godzin - gdyby tylko udało im się dostać do tunelu i gdyby nie okazał się zbyt silnie strzeżony. Ale tego, rzecz jasna, nie wiedzieli.

- Gdybym ja miał decydować... - zaczął Błotosmętek, lecz Eustachy przerwał mu:

- Posłuchajcie! Co to za hałas?

- Właśnie zastanawiam się nad tym od pewnego czasu - powiedziała Julia.

Prawdę mówiąc, wszyscy słyszeli już owe dziwne dźwięki, ale narastały one tak powoli i stopniowo, że trudno byłoby im określić, kiedy usłyszeli je po raz pierwszy. Najpierw był to tylko jakiś nieuchwytny niepokój, jak szum łagodnego wiatru lub odgłos bardzo dalekiej ulicy. Później ów szum nabrzmiał do pomruku, jaki wydaje morze. Potem przyszyły gwałtowne dudnienia i łoskoty. A teraz słyszeli już czyjeś głosy na tle nieustannego, monotonnego ryku, który głosem nie był.

- Na Wielkiego Lwa! - zawołał królewicz Rilian. - Wygląda na to, że ten

milczący lud odnalazł w końcu swój język. - Wstał, podszedł do okna i rozsunął zasłony. Pozostali stłoczyli się wokół niego, aby zobaczyć, co się dzieje.

Od razu spostrzegli wielką czerwoną lunę. Jej odbłask znaczył się krwawą plamą na sklepieniu Podziemia, setki metrów nad nimi, tak że zobaczyli teraz po raz pierwszy skalisty strop, który być może od początku świata aż do tej chwili pozostawał ukryty w ciemnościach. Czerwona luna miała swe źródło gdzieś na dalekim krańcu miasta, bo widać było czarne, posępne kontury budynków na jej tle. Część światła wlewała się w ulice biegnące prostopadle do zamku. A na tych ulicach działo się coś niezwykłego. Gęsty, cichy tłum Ziemistych znikł. Zamiast niego miotaly się - pojedynczo, po dwie, po trzy - jakieś postacie. Zachowywały się tak, jakby chciały pozostać nie zauważone: ukrywały się w cieniu rzucanym przez odrzwia i kamienne przypory domów, aby potem szybko przebiec przez oświetloną przestrzeń w poszukiwaniu nowej kryjówki. Najdziwniejszą rzeczą dla każdego, kto znał gnomy, był ów hałas. Wrzaski i zawołania rozlegały się ze wszystkich stron. A od przystani nadciągał niski, dudniący ryk, coraz głośniejszy i głośniejszy, aż w końcu drżało od niego całe miasto.

- Co się stało z Ziemistymi? - zapytał Scrubb. - Czy to ONI tak krzyczą?

- Trudno w to uwierzyć - rzekł królewicz. - Przez te wszystkie pełne udręki lata mej niewoli nigdy nie słyszałem, by którykolwiek z tych szubrawców podniósł głos. Jestem pewien, że to jakieś nowe diabelstwo.

- A co to za czerwone światło? - zapytała Julia. - Czy coś się pali?

- Gdyby mnie ktoś pytał - odparł Błotosmętek - powiedziałbym, że to z trzewi ziemi wylewa się ogień, aby utworzyć jakiś nowy wulkan. A my znajdujemy się w samym jego środku, i wcale bym się nie dziwił.

- Popatrzcie na ten statek! - Eustachy wskazał ręką. - Jakim cudem płynie tak szybko? Nikt nie wiosłuje.

- Patrzcie! Patrzcie! - zawołał królewicz. - Statek jest po tej stronie przystani, on jest na ulicy! Patrzcie! Wszystkie statki wpływają do miasta. Niech padnę trupem, jeśli to nie potop. Morze powstało. Dzięki niech będą Aslanowi: ten zamek stoi na wysokim wzgórzu. Ale woda szybko przybiera!

- Och, co MOŻE się stać? - zapytała Julia.

- Ogień, woda i te wszystkie dziwne stwory kręcące się po ulicach.

- Powiem wam, co to jest - rzekł Błotosmętek. - To wiedźma oplotła swoje królestwo całym łańcuchem zaklęć, tak że rozpadło się natychmiast po jej śmierci. Należała do takich, co to pogodzą się nawet ze swoją śmiercią, jeśli tylko mają

pewność, że ten, kto ich zabił, będzie spalony, zasypyany lub utopiony w pięć minut później.

- Trafiłeś w samo sedno, przyjacielu błotowiju - zgodził się królewicz. - Kiedy nasze miecze odrąbały głowę Czarownicy, te ciosy położyły kres wszystkim jej czarom i teraz Kraje Otchłani rozpadają się na kawałki. To, na co patrzymy, to koniec Podziemia.

- Tak jest, panie - rzekł Błotosmętek. - Tak to jest, chyba że to coś więcej, że to koniec całego świata.

- Ale czy mamy tutaj zostać i po prostu... czekać? - zapytała Julia zduszonym głosem.

- Nie, jeśli nam życie miłe - powiedział królewicz. - Pójdę i uratuję mojego konia Węgielka i Śnieżkę Czarownicy... to szlachetne zwierzę zasługuje na lepszą panią. Potem spróbujemy wydostać się stąd i odszukać to ostatnie wyjście. Na każdego konia mogą wsiąść dwie osoby, a jeśli się wie, jak je zachęcić do biegu, można wyprzedzić potop.

- Czy wasza wysokość nie włoży zbroi? - zapytał Błotosmętek. - Nie podoba mi się ICH wygląd - tu wskazał na ulicę.

Wszyscy spojrzeli. Od strony przystani nadchodziły dziesiątki postaci (były już tak blisko, że rozpoznali Ziemistych). Ale teraz nie poruszali się już jak spieszący za swoimi sprawami przechodnie ludnego miasta. Teraz zachowywali się jak żołnierze nowoczesnej, dobrze wyszkolonej armii w natarciu, przebiegając szybko odkryte przestrzenie i natychmiast szukając ukrycia przed obserwatorami z okien zamku.

- Nie zdobędę się na to, by ponownie zobaczyć tę zbroję od środka - rzekł Rilian. -Jeździłem w niej konno jak w ruchomym lochu. Cała cuchnie złymi czarami i niewolą. Wezmę tylko tarczę.

Wyszedł z komnaty i po chwili wrócił, a jego oczy płonęły dziwnym blaskiem.

- Spójrzcie, przyjaciele - rzekł wyciągając do nich tarczę. -Jeszcze godzinę temu była cała czarna, bez żadnego godła, a teraz... spójrzcie! - Tarcza lśniła srebrem, a na jej powierzchni, czerwiejszy niż krew lub wiśnie, widniał Lew wspinający się na tylne łapy.

- A to oznacza bez wątpienia - dodał królewicz - że Aslan będzie zawsze naszym dobrym panem, bez względu na to, czy mamy umrzeć, czy żyć. Jest nam więc wszystko jedno. Oto moja rada. Uklęknijmy i ucałujmy jego podobiznę, uściśnijmy sobie wszyscy dłonie, jak prawdziwi przyjaciele, którzy mają się rychło rozstać. A

potem zejdźmy do miasta i stawmy czoło przygodzie, jaka nas czeka.

I wszyscy zrobili tak, jak radził królewicz. A kiedy Eustachy podał rękę Julii, powiedział:

- Do zobaczenia, Julio. Wybacz mi, że miałem takiego stracha, a potem wściekałem się jeszcze jak głupi. Na pewno bezpiecznie wrócisz do domu.

A Julia powiedziała:

- Bywaj, Eustachy! I mnie jest przykro, że byłam taką świnią.

Po raz pierwszy mówili sobie po imieniu; w szkole wszyscy używali tylko nazwisk.

Królewicz odryglował drzwi, dobyli mieczy (Julia trzymała w ręku swój harcerski nóż) i zeszli po schodach. Wartownicy gdzieś znikli, a wielka komnata na dole była pusta. Szare, smutne lampy wciąż płonęły i w ich świetle bez trudu przeszli przez wszystkie schody i krużganki. Odgłosy z miasta, tak niepokojące i natarczywe na górze, tutaj ledwo dochodziły. Cały zamek sprawiał wrażenie cichego i opuszczonego. Dopiero gdy weszli do wielkiej sali na parterze, spotkali pierwszego Ziemistego - tłuste, białawe stworzenie z niezwykle prosiakowatą twarzą - który zbierał pospiesznie resztki jedzenia ze stołów. Na ich widok zakwiczał (kwik był również bardzo prosiakowaty) i dał nura pod ławę, wciągając swój długi ogon, zanim Błotosmętek zdołał go schwycić. Potem wynurzył się w odległym końcu sali i wybiegł przez drzwi tak szybko, że nie warto było go ścigać.

Z wielkiej sali wyszli na dziedziniec. Julia, która chodziła do wakacyjnej szkółki jeździeckiej, poczuła właśnie zapach stajni (bardzo prawdziwy, swojski i kochany zapach, mile rozpoznany w miejscu takim jak Podziemie), kiedy Eustachy zawołał:

- O, holender! Popatrzcie na to! - Wspaniała rasa wystrzeliła gdzieś spoza murów zamku i rozprysnęła się na zielone gwiazdy.

- Fajerwerki? - zdumiała się Julia.

- Tak - rzekł Eustachy - ale nie wyobrażaj sobie, że ten lud ziemi puszcza je dla zabawy. Jo musi być sygnał.

- I założę się, że nie wróży nam nic dobrego - mruknął Błotosmętek.

- Przyjaciele - odezwał się królewicz - kiedy człowiek zostanie pochwycony przez wir przygody takiej jak ta, musi porzucić zarówno nadzieje, jak i lęki, gdyż w przeciwnym razie śmierć lub ratunek nadejdą za późno, by ocalić jego honor i cel, jaki mu przyświecał. Hoo! Moje piękności! - otwierał teraz bramę stajni. - Hej, kuzyni! Spokojnie, Węgielek. Bądź miła, Śnieżko! Pamiętałem o was.

Konie były wyraźnie zaniepokojone dziwnym światłem i hałasem. Julia, która tak bała się przejścia przez czarną dziurę między jedną jaskinią a drugą, teraz odważnie weszła między bijące kopytami i rżące zwierzęta, aby pomóc Rilianowi założyć im uprząż i siodła. Były to piękne rumaki i przyjemnie było na nie patrzeć, kiedy, wstrząsając łbami, wyszły na dziedziniec.

Julia dosiadła Śnieżki, zabierając na siodło Błotosmętka, a królewicz wskoczył na Węgielka, pomagając usiąść za sobą Eustachemu. Potem z łoskotem podków, odbijającym się głośnym echem po dziedzińcu, wyjechali przez główną bramę na ulicę.

- Nie musimy się obawiać spalenia żywcem. Oto jaśniejsza strona sytuacji - zauważył Błotosmętek, wskazując w prawo. A tam, mniej niż sto metrów od nich, bulgotała czarna woda, napierając na ściany domów.

- Odwagi! - zawołał królewicz. - Droga opada tu bardzo stromo. Woda podniosła się dopiero do połowy najwyższego wzgórza w mieście. Być może podeszła tak blisko przez pierwsze pół godziny i nie sięgnie dalej w ciągu następnych dwu godzin. Bardziej obawiam się tego... - i wskazał mieczem na wielkiego Ziemistego z kłami jak u dzika, wiodącego sześciu innych (różnego wzrostu i kształtu). Grupa przebiegła szybko przez ulicę i skryła się w cieniu domów.

Rilian prowadził ich nieco w lewo od źródła czerwonej łuny. Jego plan polegał na obejściu pożaru (jeśli to był pożar) i dostaniu się w wyższe rejony Podziemia w nadziei odnalezienia drogi do nowego tunelu. W przeciwieństwie do pozostałej trójki zachowywał się tak, jakby przygoda go cieszyła. Pogwizdywał beztrąsko, a od czasu do czasu śpiewał urywki starej pieśni o Korinie Piorunorękim z Archenlandii. Prawdę mówiąc, tak cieszył się wyzwoleniem z długiej niewoli złego czaru, że wszystkie inne niebezpieczeństwa wydawały mu się teraz zabawą. Dla pozostałych była to jednak wędrówka pełna grozy.

Gdzieś z tyłu dochodził łoskot uderzających o siebie statków i walących się domów. Nad głowami majaczyła ponura plama odbłasku na sklepieniu Podziemia. Przed nimi drgała tajemnicza łuna, której jasność ani nie malała, ani nie rosła. Napływał do nich stamtąd nieustanny zgiełk okrzyków, pisków, miauków, śmiechów, skomleń i ryków, a w ciemność wzbijały się różne rodzaje sztucznych ogni. Nikt nie miał pojęcia, co to wszystko oznacza. Bliżej nich miasto było oświetlone częściowo przez ową łunę, a częściowo przez tak bardzo odmienne światło ponurych lamp gnomów. Było jednak wiele i takich miejsc, do których nie dochodziło ani jedno, ani

drugie, i miejsca te ziały nieprzeniknioną czernią. Przez cały czas wynurzały się z nich i wślizgiwały szybko z powrotem postacie Ziemistych, zawsze z oczami utkwionymi w czwórce uciekinierów i zawsze starające się ukryć przed ich wzrokiem. Były tam twarze wielkie i małe, były oczy okrągłe i wypukłe jak u ryb, i małe oczka jak u niedźwiedzi. Były pióra i szczeciny, rogi i kły, były nosy zwisające jak grube harapy i podbródki tak długie, że wyglądały jak brody. I raz po raz jakaś grupa powiększała się i zbliżała niebezpiecznie, a wówczas królewicz groźnie potrząsał mieczem i udawał, że rusza do ataku, co powodowało odwrót grupy: z tupotem, piskiem i pełnym strachu cmokaniem rozpełzała się szybko w ciemności.

Ale kiedy po przebyciu wielu stromych uliczek wydostali się już prawie z miasta, sytuacja stała się jeszcze groźniejsza. Byli już blisko źródła czerwonej luny, lecz wciąż jeszcze nie wiedzieli, co to takiego jest. Setki - może nawet tysiące - gnomów posuwały się w tym samym co i oni kierunku krótkimi skokami, odwracając się za każdym razem ku nim po przebiegnięciu otwartej przestrzeni.

- Gdyby mnie kto pytał - zauważył Błotosmętek - to powiedziałbym, że te typy zamierzają odciąć nam drogę.

- I ja tak myślę, Błotosmętku - rzekł królewicz. - Nie przedrzemy się przez taki tłum. Posłuchaj. Podejdźmy do rogu tego domu, a jak tylko tam będziemy, skacz z konia i schowaj się w cieniu. My odjedziemy nieco dalej i jestem pewien, że część tych diabłów pociągniemy za sobą. Masz długie ręce, spróbuj złapać jednego, jak będzie przebiegał obok twojej kryjówki. Może w ten sposób dowiemy się wreszcie, co mają przeciw nam.

- Ale czy reszta nie rzuci się na nas, aby uwolnić swego towarzysza? - zapytała Julia głosem mniej pewnym, niż tego chciała.

- Wówczas, pani - odrzekł królewicz - ujrzysz, jak giniemy, walcząc wokół ciebie, a ty będziesz musiała polecieć się Lwu. Teraz, Błotosmętku!

Błotowij ześliznął się z konia i zniknął w ciemnościach jak kot. Przejechali kilkadziesiąt metrów, nasłuchując z rosnącym niepokojem, aż wreszcie z tyłu rozległa się seria mrozących krew w żyłach pisków zmieszanych ze znajomym głosem błotowija:

- Co z tobą? Nie wrzeszcz, póki ci nic nie zrobiłem, bo będę musiał coś ci zrobić, jasne? Ktoś mógłby pomyśleć, że tu się zarzyna prosię.

- Polowanie udane! - zawołał królewicz, zawracając Węgielka i galopując do rogu domu. - Eustachy - dodał - bądź tak łaskaw i potrzyмай uzdę. - Potem zeskoczył

na ziemię i wszyscy troje patrzyli w ciszy na Błotosmętka, który wyciągnął swą zdobycz na światło. Był to bardzo nędzny, mały - zaledwie metrowy - gnom. Na czubku głowy sterczało mu coś w rodzaju płetwy przypominającej grzebień koguta (tyle że twardszy), miał małe, różowe oczka, a usta i podbródek tak wielkie i okrągłe, że jego twarz kojarzyła się z pyskiem jakiegoś karłowatego hipopotama. Gdyby sytuacja nie była tak groźna, na jego widok wszyscy wybuchnęliby śmiechem.

- A teraz posłuchaj no, Ziemisty - rzekł królewicz, stając nad nim i przykładając mu koniec miecza do karku. - Bądź grzecznym gnomem i mów, to puścimy cię wolno. A spróbuj tylko się stawiać lub oszukiwać, a będziesz martwy. Drogi Błotosmętku, jak on może mówić, skoro zaciskasz mu usta?

- Mówić nie może, ale też i nie może ugryźć - odpowiedział błotowij. - Gdybym miał takie głupie, miękkie ręce jak wy, ludzie (niech mi wasza wysokość wybaczy), to byłoby tu trochę krwi. Ale nawet błotowije mogą mieć w końcu dosyć, gdy ktoś je żuje.

- Psie! - zawołał Rilian do gнома. - Ugryź jeszcze raz, a zginiesz. Pozwól mu otworzyć usta, Błotosmętku.

- Ou-ii-ii! - zakwicział Ziemisty. - Puśćcie mnie, puśćcie mnie. To nie ja. Ja tego nie zrobiłem.

- Czego nie zrobiłeś? - zapytał Błotosmętek.

- Tego, co wasza czcigodność myśli, że zrobiłem.

- Powiedz mi, jak się nazywasz - rzekł królewicz - i w *ogóle* co wy, Ziemiści, wyprawiacie?

- Och, błagam waszą czcigodność, proszę, szlachetni panowie - zaskomlał gnom. - Przynajmniej mi, że nie powiecie tego jej królewskiej *mości*

- Jej królewska *mość*, jak ją nazywasz - powiedział królewicz surowo - nie żyje. Właśnie ją zabiłem.

- Co?! - wykrzyknął gnom, otwierając swoje śmieszne usta coraz szerzej. - Nie żyje? Czarownica zabita? I to ręką waszej czcigodności? - Odetchnął z ulgą i dodał: - A więc wasza czcigodność jest przyjacielem!

Rilian cofnął nieco miecz, a Błotosmętek pozwolił gnomowi wyprostować plecy. Gnom popatrzył na przybyszy mrugającymi, czerwonymi oczkami, cmoknął parę razy i zaczął mówić.

ROZDZIAŁ 14

DNO ŚWIATA

NAZYWAM SIĘ GOLG - rzekł gnom. - Opowiem waszym czcigodnościom wszystko, co wiem. Jakaś godzinę temu wszyscy byliśmy przy naszej robocie... JEJ robocie, powinienem powiedzieć. Smutek i cisza, tak jak co dzień, od tylu lat. Nagle straszny huk i trzask. Jak to usłyszeliśmy, każdy sobie mówi: nie śpiewałem, nie tańczyłem, od tak dawna nie puszczałem sobie żadnego sztucznego ognia. Dlaczego tak? I każdy sobie myśli: będę rad, jak mi kto powie, dlaczego ja muszę nosić te ciężary; nie chcę ich więcej nosić, ot co. I porzucaliśmy nasze worki, tobołki i narzędzia. No i każdy się odwraca i patrzy, a tu wielka, czerwona luna. I każdy sobie mówi: a co to takiego? I każdy sobie odpowiada: nic, tylko się zrobiła dziura lub szczelina, a przez nią leci to kochane, ciepłe światło z Prawdziwej Otchłani, tysiące sążni pod nami.

- O, holender! - zawołał Eustachy. - Czy to znaczy, że niżej są jeszcze jakieś kraje?

- O tak, czcigodny panie - odpowiedział Golg. - Piękne miejsca, my na to mówimy: Kraina Bizm. Ten kraj, gdzie teraz jesteśmy, państwo Czarownicy, MY nazywamy Płytkim Krajem. Trochę tu dla nas za blisko powierzchni, nie pasuje nam. Uch! To prawie to samo, co żyć na zewnątrz, na samej powierzchni. Widzicie, my jesteśmy biedne gnomy z Bizmu. To ta wiedźma nas sprowadziła czarami na górę i kazała dla siebie robić. Wszystko zapomnieliśmy, aż tu nagle trzask!... i czar prysnął. Nie wiedzieliśmy, kim jesteśmy, skąd przyszliśmy. Potrafiliśmy robić i myśleć tylko to, co ona nam powkładała do głowy, a wkładała same ponurości i posepności. Prawie już zapomniałem, że można sobie pożartować albo zatańczyć

skoczną gigę. Ale jak tylko huknęło i otworzyła się ta dziura, i morze zaczęło się podnosić... wszystko wróciło. No i oczywiście my wszyscy lecimy do tej dziury, żeby się nią dostać do domu. Widzicie przecież naokoło! Puszczają rakiety i stają na głowach z radości. I będę wam wielce zobowiązany, czcigodni, jeśli pozwolicie mi odejść i dołączyć do innych.

- No przecież to jest po prostu wspaniałe! - ucieszyła się Julia. - Jak to dobrze, że uwolniliśmy nie tylko siebie, ale i te gnomy, kiedy odcięliśmy Czarownicy głowę! I tak się cieszę, że one naprawdę nie są takie straszne i ponure. W każdym razie nie bardziej ponure od królewicza... no, wiecie, gdy był zaczarowany.

- Wszystko to pięknie, Pole - rzekł Błotosmętek ostrożnie - ale te gnomy wcale mi nie wyglądają na takie, co po prostu uciekają. Bardziej mi przypominają wojskowe formacje, jeśli by mnie kto pytał. Popatrz no mi w oczy, panie Golgu, i powiedz: nie przygotowywaliście się do bitwy?

- Jasne że tak, wasza czcigodność - odrzekł Golg. - Musicie zrozumieć, że nie nie wiedzieliśmy o śmierci Czarownicy. Myśleliśmy, że patrzy na nas z zamku. Próbowaliśmy uciec tak, żeby nas nie zobaczyła. No, a kiedy wy się pojawiliście, na koniach, z mieczami, każdy sobie powiedział: oho, zaczęło się, nie wiedząc, że wasze czcigodności wcale nie są po stronie Czarownicy. I byliśmy gotowi walczyć aż do śmierci, byle tylko nie porzucać nadziei na powrót do Bizmu.

- Mogę przysiąc, że to całkiem zacny i uczciwy gnom - rzekł królewicz. - Puść go, Błotosmętku. Co do mnie, dobry Golgu, byłem z czarowany tak samo jak ty i twoi towarzysze. Dopiero niedawno przypomniałem sobie, kim jestem. Ale mam jeszcze jedno pytanie. Czy znasz może drogę do tego nowego tunelu, przez który Czarownica chciała wyprowadzić armię na podbój Nadziemia?

- Ui-ii-ii! - zakwiczał Golg. - Tak, znam tę straszną drogę. Pokażę wam, gdzie się zaczyna. Ale nawet nie próbujcie, czcigodni, żądać ode mnie, żebym z wami tam poszedł. Wolę umrzeć.

- Dlaczego? - zaniepokoił się Eustachy. - Co jest w tym tak strasznego?

- Za blisko góry, za bardzo na zewnątrz - odpowiedział Golg, wstrząsając się ze wstrętem. - To najgorsza rzecz, jaką nam chciała zgotować ta wiedźma. Miała nas wyprowadzić na otwartą przestrzeń, na tamtą stronę świata. Mówią, że tam nigdzie nie ma sklepienia, tylko straszliwa wielka pustka, zwana niebem. A tunel jest już prawie gotów, wystarczy parę uderzeń kilofem i będziecie na zewnątrz. Nie chciałbym wtedy znaleźć się za blisko.

- Hurr! Teraz dopiero dobrze mówisz! - zawołał Eustachy, a Julia dodała: - Ale tam w górze wcale nie jest tak strasznie. Bardzo nam się tam podoba. My tam mieszkamy.

- Wiem, że wy, Nadziemianie, tam mieszkacie - powiedział Golg. - Zawsze jednak myślałem, że po prostu nie potraficie znaleźć drogi pod ziemię. Przecież nie możecie naprawdę tego LUBIĆ: *pełzać* jak muchy po wierzchu świata!

- A może byś od razu pokazał nam drogę? - przerwał mu Błotosmętek.

- Niech nam szczęście sprzyja! - zawołał królewicz. Skoczył na swojego rumaka. Błotosmętek usiadł za Julią i ruszyli stępą za Golgiem. Prowadząc ich, wykrzykiwał

przez cały czas dobre nowiny: że czarownica nie żyje i że czworo Nadziemian to przyjaciele. A ci, którzy to usłyszeli, powtarzali to natychmiast innym, i tak w ciągu kilku minut całe Podziemie dzwoniło od radosnych krzyków i wiewatów, a setki, tysiące gnomów cisnęły się wokół Węgielka i Śnieżki, podskakując, wywijając koziółki, stając na głowach, przeskakując sobie przez plecy i rzucając pękające z hukiem petardy. A Rilian musiał opowiedzieć historię swego zaczarowania i odczarowania przynajmniej dziesięć razy.

W ten sposób dotarli do krawędzi szczeliny. Miała około trzystu metrów długości i z sześćdziesiąt metrów szerokości. Zsiadli z koni i podeszli do samej krawędzi, zaglądając w czerwoną przepaść. W twarze uderzył ich silny żar pomieszany z zapachem, który trudno było porównać z jakimkolwiek innym. Był to zapach bogaty, ostry, podniecający, drażniący nosy. Blask bijący z dna rozpadliny był tak silny, że w pierwszej chwili zupełnie ich oślepił. Kiedy się trochę przyzwyczaili, ujrzeli na dnie jakby rzekę ognia, a na jej brzegach coś jak pola i zagajniki z trudnej do opisania, rozżarzonej jasności, chociaż w porównaniu z rzeką była blada i przyćmiona. Były tam pomieszane ze sobą błękity, czerwienie, zielenie, biele, jak wspaniały, misterny witraż, przez który w samo południe prześwieca tropikalne słońce. Po urwistych stokach rozpadliny schodziły setki Ziemistych, jak mrowie czarnych much po jakimś rozjarzonym, kryształowym kloszu.

- Wasze czcigodności - odezwał się Golg, a kiedy się odwrócili ku niemu, przez kilka dobrych chwil nie widzieli nic prócz czarnych plam. - Wasze czcigodności, dlaczego nie mielibyście zejść w dół, do Bizmu? Będziecie tam szczęśliwi, bardziej szczęśliwi niż w tym zimnym, nie osłoniętym, nagim kraju na wierzchu świata. A w każdym razie złóżcie nam krótką wizytę.

Julia była pewna, że żaden z jej towarzyszy ani przez chwilę nie potraktuje poważnie tego zaproszenia. Ku swemu przerażeniu usłyszała, jak Rilian powiedział:

- Zaprawdę, przyjacielu Golgu, jestem już prawie gotów zejść tam w dół wraz z tobą. Jest to bowiem zadziwiająca przygoda, a myślę, że żaden ze śmiertelnych nigdy jeszcze nie oglądał Bizmu przed nami i zapewne nikt z nas nie będzie już miał więcej ku temu sposobności. Nie wiem też, jak mógłbym w latach, które nadejdą, znieść pamięć tego, że dana mi była raz w życiu możliwość odwiedzenia najgłębszych otchłani Ziemi, a ja z niej nie skorzystałem. Ale czy człowiek może tam żyć? Chyba nie pływacie w tej ognistej rzece?

- Och, nie, czcigodny. My nie. Tylko salamandry żyją w samym ogniu.

- Co to za rodzaj stworzeń, te salamandry? - zapytał królewicz.

- Trudno to bliżej określić - odrzekł Glog - ponieważ są tak białe i rozżarzone, że nie można na nie patrzeć. Najbardziej przypominają małe smoki. One mówią do nas z wnętrza ognia. Są niebywale mądre, bardzo dowcipne i wygadane.

Julia popatrzyła szybko na Eustachego. Była pewna, że jemu myśl zejścia na dno szczeliny po jej stromych ścianach jeszcze mniej przypadnie do gustu. Serce w niej zamarło, gdy zobaczyła, jak bardzo zmienioną ma twarz. Teraz bardziej był podobny do królewicza Riliana niż do dawnego Scrubba z Eksperymentalnej Szkoły. Powróciły do niego wszystkie przygody i dni żeglugi z królewiczem Kaspianem.

- Wasza wysokość - rzekł do Riliana. - Gdyby tu był mój dawny przyjaciel Ryczypisk, wódz myszy, powiedziałaby, że nie można się cofnąć przed przygodą zwiedzenia Bizmu, nie narażając poważnie na szwank naszego honoru.

- A więc na dół! - ucieszył się Glog. - Pokażę wam prawdziwe złoto, prawdziwe srebro, prawdziwe diamenty.

- Koszałki-opałki! - powiedziała Julia. - Tak jakbyśmy nie wiedzieli, że nawet tu znajdujemy się poniżej najgłębszych kopalni.

- Tak, słyszałem o tych zadrapaniach na skorupie Ziemi, które wy, Szczytowcy, nazywacie kopalniami. Ale możecie w nich wykopać tylko martwe złoto, martwe srebro, martwe diamenty. Tam, w dole, w Bizmie, są żywe i rosną. Tam zerwę ci gałązkę rubinów, które możesz zjeść, i wycisnę ci pełną filiżankę diamentowego soku. Machniesz ręką na wszystkie zimne, martwe skarby waszych płytkich kopalni, jak spróbujesz żywych skarbów Bizmu.

- Mój ojciec był na krańcu świata - rzekł Rilian w zamyśleniu. - Czy nie byłoby wspaniale, gdyby jego syn odwiedził najgłębsze dno świata?

- Jeżeli wasza wysokość chce zobaczyć swego ojca żywego, a myślę, że i on by tego chciał - wtrącił się Błotosmętek - to czas już w drogę do tunelu.

- I możecie sobie mówić, co chcecie, a ja i tak nie zejść do tej dziury - dodała Julia.

- No cóż, jeśli wasze czcigodności naprawdę chcą wracać do Nadziemia - rzekł Glog - to rzeczywiście JEST kawałek drogi do przebycia, trochę niżej. Tylko jeśli morze będzie się wciąż podnosić...

- Och, naprawdę, chodźmy JUŻ! - zawołała błagalnie Julia.

- Obawiam się, że tak musi być - powiedział królewicz z głębokim westchnieniem. - Zostawiam jednak połowę mego serca w krainie Bizmu.

- Och, błagam! - powtórzyła Julia.

- Gdzie jest ta droga? - zapytał Błotosmętek.

- Są tam lampy - odrzekł Golg. - Wasza czcigodność może dostrzec początek drogi, o tam, po drugiej stronie szczeliny.

- Jak długo będą palić się te lampy? - zapytał jeszcze Błotosmętek.

W tym momencie z otchłani Bizmu dobiegł ich nagle jakiś głos, świszczący i spieczony, jakby to był głos samego Ognia (później zastanawiali się często, czy był to głos salamandry):

- Sz-sz-szybko! Sz-sz-szybko! Do urwissska! Do urwissska! Rrrryssssa zamyka się! Zamyka się! Zamyka się! Szszszybko! - I w tej samej chwili z ogłuszającym trzaskiem i łoskotem skały drgnęły i szczelina zaczęła się zwężać. Ze wszystkich stron skakały do niej głowami w dół spóźnione gnomy, rezygnując z próby opuszczenia się po skalistych zboczach. Czy to z powodu podmuchu powietrza bijącego żarem ku górze, czy też z jakiejś innej, nieznannej przyczyny, widać było, jak gnomy opadają łagodnie, niby liście z drzew. Im niżej, tym robiło się gęściej od wirujących postaci, aż czarna chmara zaćmiła ognistą rzekę i pola żywych klejnotów.

- Zegnaj, czcigodna pani, i wy, szlachetni panowie! - zawołał Golg i skoczył, a za nim garstka tych ostatnich Ziemistych, którzy jeszcze tego nie uczynili. Rozpadlina nie była teraz szersza od strumienia, potem zwężyła się do rozmiarów szczeliny w skrzynce pocztowej, a po chwili w skale widniała tylko jaśniejsza rysa. A potem, z takim wstrząsem, jakby tysiąc pociągów towarowych uderzyło w tysiąc buforów na

końcu toru, rozchylone przedtem usta ziemi zamknęły się na dobre. Gorąca, oszałamiająca woń szybko się ulotniła. Czwooro wędrowców stało samotnie w Podziemiu, które wydawało się teraz o wiele ciemniejsze niż kiedykolwiek. Przed nimi majaczyły blade i ponure lampy, wyznaczające kierunek ich dalszej wędrówki.

- Stawiam dziesięć do jednego - odezwał się Błotosmętek - że jesteśmy tu już za długo. Ale można spróbować. Te latarnie zgasną za pięć minut, i wcale bym się nie dziwił.

Zmusili konie do galopu i pomknęli mroczną drogą, a huk kopyt odbijał się głośnie echem po Podziemiu. Wkrótce droga zaczęła, gwałtownie opadać. Pomyśleli nawet, że Golg wskazał im zły kierunek, ale zobaczyli, że przed nimi, po drugiej stronie doliny, rząd latarni podnosi się znowu, jak daleko można było sięgnąć wzrokiem. Jednak na dnie doliny mdłe światło lamp odbijało się już w bystro płynącej wodzie.

- Szybko! - zawołał królewicz.

Zjechali pędem po zboczu. Gdyby się spóźnili choć o parę minut, znaleźliby się w potrzasku, ponieważ fala powodzi napływała teraz z szybkością strumienia napędzającego młyńskie koło. Gdyby przyszło im pokonywać zalew wpraw, prąd mógłby się okazać silniejszy od koni. Jak dotąd woda sięgała im zaledwie do brzuchów i chociaż chłostała groźnie jeźdźców po nogach, dotarli bezpiecznie na drugą stronę.

Teraz zaczęła się powolna, nużąca wędrówka w górę zbocza. Nie widzieli przed sobą nic prócz bladych lamp prowadzących w górę. Kiedy spojrzeli za siebie, zobaczyli wodę podnoszącą się za nimi z wściekłym bulgotem. Wszystkie wzgórza Podziemia były już wyspami i tylko na ich szczytach płonęły jeszcze lampy. Co chwila gasła któraś w ciemnej oddali, z wyjątkiem drogi, po której jechali, lecz nawet tu światła lamp odbijały się już w wodzie.

- Ciekawa jestem, czy ten... jak on się nazywał... aha, Ojciec Czas, wypłynie teraz - powiedziała Julia. - I te wszystkie dziwaczne, śpiące zwierzęta.

- Chyba nie jesteśmy jeszcze tak wysoko - powiedział Eustachy. - Nie pamiętasz, że musieliśmy długo schodzić po zboczu, zanim doszliśmy do podziemnego morza? Nie sądzę, by woda dotarła już do jaskini Ojca Czasu.

- Może tak, a może nie - rzekł Błotosmętek. - Bardziej mnie teraz interesują te lampy przy drodze. Trochę mi blado wyglądają.

- Zawsze tak wyglądały - zauważyła Julia, n

- Tak, ale teraz są bardziej zielone.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że wygasają?! - zawołał Eustachy.

- No cóż, nie wiem nawet, na jakiej zasadzie się palą - odrzekł błotowij - trudno jednak oczekiwać, by paliły się wiecznie. Ale nie upadaj na duchu, Scrubb. Mam również oko na wodę i myślę, że nie przybiera już tak szybko jak przedtem.

- Niewielka to pociecha, przyjacielu - powiedział królewicz - jeśli nie będziemy mogli znaleźć drogi. Błagam was wszystkich o przebaczenie. Możecie mnie teraz przeklinać, bo to moja duma i fantazja zatrzymały nas u wrót Bizmu. Cóż, jedźmy dalej.

W ciągu następnej godziny Julia raz przyznawała rację Błotosmętkowi, kiedy mówił o gasnących lampach, a raz była pewna, że tak jej się tylko wydaje. Tymczasem otoczenie zmieniło się. Sklepienie Podziemia było już tak nisko, że nawet w mdłym świetle lamp widzieli je dość wyraźnie. Przybliżyły się też poszarpane skalne ściany po

obu stronach. Droga prowadziła w górę stromym, zwężającym się tunelem. Mijali porzucone kilofy, łopaty, taczki i inne ślady przerwanej niedawno górniczej pracy. Gdyby tylko byli pewni, że tunel wyprowadzi ich z Podziemia, wszystkie te znaki byłyby na pewno wielką pociechą. Ale sama myśl o zagłębieniu się w czarną dziurę, zwężającą się coraz bardziej i bardziej - co kazało się obawiać, że za chwilę trudno się będzie w niej odwrócić - wcale nie była przyjemna.

Wreszcie strop obniżył się tak, że Błotosmętek i Rilian musieli pochylić głowy. Zsiedli z koni i szli dalej pieszo, prowadząc je za uzdy. Grunt był nierówny i trzeba było ostrożnie stawiać nogi, co pomogło Julii zauważyć, że robi się naprawdę ciemno. Nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości. Twarze pozostałych wyglądały dziwnie i strasznie w zielonej poświacie. A potem nagle Julia pisnęła cicho, bo oto światło przed nimi zgasło zupełnie i to samo stało się ze światłem za nimi. Znaleźli się w absolutnej ciemności.

- Odwagi, przyjaciele - rozległ się głos królewicza Riliana. - Czy przeżyjemy, czy pomrzemy, Aslan będzie zawsze naszym dobrym panem.

- Masz zupełną rację, panie - odezwał się głos Błotosmętka. - I warto pamiętać, że jest jedna dobra strona ugrzęźnięcia na dobre w tej pułapce: zaoszczędzi się na pogrzebie.

Julia zmusiła się do milczenia. (To zwykle najmądrzejsza rzecz, jeśli się nie chce, aby inni poznali, że jesteśmy przerażeni; już samo brzmienie głosu może nas zdradzić.)

- Właściwie równie dobrze możemy stać tutaj, jak iść dalej - odezwał się Eustachy i kiedy Julia usłyszała drżenie jego głosu, przekonała się, jak mądrze zrobiła, nie ufając swojemu.

Błotosmętek i Eustachy ruszyli pierwsi z wyciągniętymi przed siebie rękami, aby nie trafić głową w jakąś niewidzialną przeszkodę. Julia i królewicz poszli za nimi, prowadząc konie.

- Słuchajcie - rozległ się głos Eustachego - czy coś dzieje się z moimi oczami, czy może i wy widzicie plamę światła, tam, w górze?

Zanim ktokolwiek zdołał mu odpowiedzieć, błotowij zawołał:

- Stop! Natrafiłem na koniec. I to jest ziemia, nie skała. Co ty mówiłeś, Scrubb?

- Na Wielkiego Lwa! - odezwał się królewicz.

- Eustachy ma rację, tam jest coś takiego jak...

- Ale to nie jest światło dzienne - powiedziała Julia. - To jakieś zimne,

niebieskie światło.

- Lepsze takie niż żadne - zauważył Eustachy.

- Można się tam jakoś dostać?

- Ono nie jest całkiem nad nami - rzekł Błotosmętek. - Ono jest w górze, na tej ścianie, którą wymacałem. Może spróbujesz, Pole, wleźć mi na ramiona i zobaczyć, jak to wysoko?

ROZDZIAŁ 15

ZNIKNIĘCIE JULII

MAŁA PLAMKA ŚWIATŁA nie pozwalała im zobaczyć czegokolwiek tu, na dole. Mogli tylko słyszeć odgłosy towarzyszące próbom Julii wdrapania się na plecy błotowija. Słyszeli więc jego zduszone uwagi: „Nie musisz wsadzać mi palca do oka” i „Nogi mi też nie pchaj w usta”, i „Teraz już lepiej”, i „Będę cię teraz trzymał za nogi. Możesz się spokojnie wyprostować i oprzeć o ziemię”.

Popatrzyli w górę i zobaczyli ciemny kształt głowy Julii na tle plamy.

- No i co? - zawołali razem z niepokojem.

- Tu jest dziura - dobiegł ich głos Julii. - Mogłabym przez nią przeleźć, gdybym była troszkę wyżej.

- Co przez nią widzisz? - zapytał Eustachy.

- Na razie niewiele - odpowiedziała Julia. - Błotosmętku, puść mi nogi, to stanę ci na ramionach. Mogę się oprzeć o krawędź.

Usłyszeli jej ruchy, a potem zobaczyli zarys całej górnej połowy jej ciała na tle szarości sączącej się z otworu.

- Słuchajcie... - zaczęła Julia, lecz nagle urwała z krzykiem. Nie był to ostry okrzyk; brzmiał tak, jakby jej zatkało czymś usta. Potem odzyskała głos i zaczęła krzyczeć tak głośno, jak potrafiła, ale nikt nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi. A w chwilę potem dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie. Przez moment plamka światła została całkowicie przysłonięta, usłyszeli odgłos jakiejś szamotaniny i zduszony krzyk Błotosmętka: - Szybko! Pomóżcie! Trzymajcie ją za nogi! Ktoś ją ciągnie. Tu! Nie, tutaj! Za późno.

Otwór był już znowu całkowicie odsłonięty. Julia zniknęła.

- Julio! Julio! - zawołali wszyscy trzej z rozpaczą. Ale odpowiedzi nie było.

- Dlaczego, u licha, puściłeś jej nogi? - zapytał Eustachy.

- Nie pytaj mnie, Scrubb - jęknął Błotosmętek. - Jestem urodzonym pechowcem i nie będę się dziwił, jak mi to ktoś powie. Taki już mój los. Gdzieś jest zapisane, że stanę się przyczyną śmierci Julii, tak jak zapisane było, że zjem kawałek Mówiącego Jelenia w Harfangu. Nie znaczy to, oczywiście, że nie było w tym i mojej własnej winy...

- To największa hańba i klęska, jakie mogły nas spotkać - rzekł królewicz. - Posłaliśmy dzielną młodą damę w ręce wrogów, a sami zostaliśmy bezpiecznie w tyle.

- Chyba widzisz to w ZBYT czarnych barwach, panie - powiedział Błotosmętek.

- Trudno powiedzieć, byśmy byli tu bardzo bezpieczni, skoro jedyne, na co się zanosi, to śmierć głodowa w tej jamie.

- Zastanawiam się, czy JA zmieściłbym się w tej dziurze, przez którą wyciągnięto Julię - odezwał się Eustachy.

A oto, co naprawdę stało się z Julią. Jak tylko wystawiła głowę przez dziurę, stwierdziła ku swemu zdumieniu, że spogląda w dół, jakby przez okno na piętrze wyglądała na ulicę. Tak długo przebywała w ciemności, że w pierwszej chwili nie mogła niczego rozpoznać. Wiedziała tylko, że nie jest to słoneczny świat, który tak bardzo chciała zobaczyć. Powietrze było tu bardzo zimne, a światło blade i niebieskawe. Słyszała też mnóstwo dziwnych odgłosów, a w powietrzu fruwały jakieś białe rzeczy. Właśnie w tym momencie zawołała do Błotosmętka, aby jej pozwolił stanąć na ramionach.

Kiedy to zrobiła, mogła już nieco lepiej widzieć i słyszeć. Odgłosy, które słyszała, można było podzielić na dwa rodzaje: rytmiczny tupot wielu stóp oraz muzyka skrzypiec, fletów i bębna. Wyglądała przez dziurę w stromym zboczu; od dziury do podnóża zbocza mogły być jakieś cztery metry. Wszystko było bardzo białe. Kręciło się tu wiele postaci. I nagle aż jej dech zaparło: to były małe, schludne fauny i driady z włosami uwieńczonymi gałązkami! Przez chwilę wydawało się Julii, że fauny i driady krążą tu i tam bez celu, lecz wkrótce zrozumiała, że w rzeczywistości wykonują jakiś taniec - taniec z tyloma skomplikowanymi krokami i figurami, że zrozumienie tego wymagało pewnego czasu. A potem olśniło ją nagle, że blade, niebieskawe światło to w rzeczywistości światło księżyca, a biel pokrywająca wszystko - to śnieg... Ależ tak! Teraz zobaczyła gwiazdy jaśniejące na czarnym, zimnym niebie. A te wysokie, ciemne kształty za tancerzami - to drzewa! Zrozumiała, że dotarli wreszcie do nadziemnego świata i - co więcej - wyszli z ziemi w samym środku Narnii. Ze wzruszenia zrobiło się jej słabo, a muzyka - dzika, bardzo melodyjna i piękna, lecz równocześnie trochę straszna i tajemnicza, przesycona Dobrą Magią w takim stopniu, w jakim przesycona była Złą Magią gra Czarownicy - ta muzyka sprawiała, że Julia była bliska omdlenia. Wszystko to opowiada się dość długo, ale w rzeczywistości trwało bardzo krótko. Prawie natychmiast Julia odwróciła się, by zawołać do pozostałych: „Słuchajcie! Tu jest cudownie. Wychodzimy! Jesteśmy w domu! Wszystko to chciała im powiedzieć, ale w rzeczywistości zdążyła tylko zawołać: „Słuchajcie!” oto, co się wydarzyło. Wokół tancerzy krążył korowód karłów ubranych w swoje najlepsze stroje: oblamowane futrem szkarłatne kubraki z kapturami

zakończonymi złotymi chwostami i wysokie futrzane buty. Wszystkie karły bez przerwy rzucały śnieżne kule (to właśnie były owe białe rzeczy fruujące w powietrzu). I nie rzucały ich w tancerzy, jak by może robili jacyś głupi chłopcy w Anglii. Rzucali je między tańczących w rytmie tak doskonale zgranym z muzyką i krokami tancerzy, że jeśli tylko każdy z nich był w odpowiedniej chwili na swoim miejscu, żaden nie mógł zostać trafiony. Nazywają to Wielkim Tańcem Śnieżnym, a wykonuje się go w Narnii co roku, w pierwszą księżycową noc po pierwszym śniegu. Jest to nie tylko taniec, ale i rodzaj gry, ponieważ co jakiś czas któryś z tańczących nieco się opóźniał lub przyspieszał i śnieżna kula trafiała go w nos lub czoło, co wywoływało powszechny śmiech. Przy dobrym zespole tancerzy, karłów i muzyków taki taniec może jednak trwać całymi godzinami bez żadnego trafienia. W bezchmurne zimowe noce, gdy chłód, rytmiczny głos bębnów, pohukiwanie sów i światło księżyca wzbudzają w nich dziką, leśną krew, potrafią tak tańczyć aż do świtu. Mogę wam tylko życzyć z całego serca, żebyście to kiedyś sami zobaczyli.

Tym, co przerwało Julii zdanie tuż po wypowiedzeniu słowa „Słuchajcie!”, była oczywiście i po prostu piękna, wielka kula śniegu. Rzucona ręką karła po przeciwległej stronie korowodu, przeleciała gładko pomiędzy tańczącymi i trafiła ją prosto w otwarte usta. Prawdę mówiąc, Julia specjalnie się tym nie przejęła; w tej chwili nawet dwadzieścia śnieżnych pigułek nie popsułoby jej nastroju. Można być jednak nie wiem jak szczęśliwą, lecz mimo to trudno mówić z ustami pełnymi śniegu. A kiedy wreszcie mogła znowu mówić, w wielkim podnieceniu zapomniała na chwilę o tym, że jej towarzysze nie wiedzą jeszcze o wszystkim. Wychyliła się z dziury tak, jak tylko mogła, i zawołała do tańczących:

- Na pomoc! Na pomoc! Jesteśmy zakopani w tym wzgórzu. Chodźcie tu i odkopcie nas.

Narnijczycy, którzy aż dotąd nawet nie zauważyli małej dziury w zboczu, byli oczywiście zaskoczeni i rozglądali się przez dłuższą chwilę na wszystkie strony, zanim dostrzegli, skąd wydobywa się głos. Kiedy zobaczyli Julię, podbiegli do zbocza, wielu wspięło się nań bez większego trudu i wkrótce wyciągnął się z tuzin rąk, aby jej pomóc. A Julia schwyciła te ręce, pozwoliła się wyciągnąć z dziury i zjechała po zboczu głową w dół. W końcu pozbierała się i powiedziała:

- Och, błagam, idźcie tam i odkopcie innych. Tam jest jeszcze trzech, oprócz koni. A jednym z nich jest królewicz Rilian.

Zanim skończyła mówić, zobaczyła, że otacza ją gęsty tłum, jako że prócz

tancerzy nadbiegło wiele różnych istot, które - czego przedtem nie zauważyła - przyglądały się tańcowi. Z drzew pozeskakiwały wiewiórki, strącając za sobą śnieżne kaskady, zerwały się też z gałęzi sowy. Nadbiegły jeże, kołysząc się na swoich krótkich nóżkach. Niedźwiedzie i borsuki nadeszły bardziej statecznym krokiem. Ostatnia przysła wielka pantera, poruszając szybko końcem ogona z podniecenia.

Lecz gdy tylko zrozumieli, o co chodzi Julii, wszyscy zabrali się do roboty. „Kilof i łopata, chłopcy, kilof i łopata! Wracamy po narzędzia!”, wołały karły i błyskawicznie zniknęły w lesie. „Obudźcie parę kretów, one są dobre w kopaniu. Są tak dobre jak karły”, powiedział jakiś głos. „A co ona mówiła o królewiczu Rilianie?”, dopytywał się inny. „Spokój! - odezwała się pantera. - Biedne dziecko postradało rozum i trudno się temu dziwić - po zagubieniu się w tych wzgórzach. Nie wie, co mówi.” „Racja - powiedział stary niedźwiedź - przecież mówiła, że królewicz jest koniem!” „Nie, wcale tego nie mówiła”, odezwała się zaperzonym głosem wiewiórka. „Tak, mówiła”, powiedziała druga, jeszcze bardziej zaperzona.

- To wszyst-t-t-k-ko prawd-d-da. Nie bądź-dź-cie głupi - przerwała im Julia, szczękając z zimna zębami.

Jedna z driad zarzuciła jej na ramiona futro, zostawione w pośpiechu przez kogoś z karłów, a jakiś bardzo miły faun pobiegł między drzewa, skąd przeświecało rozpalone u wylotu jaskini ognisko, aby przynieść jej coś do picia. Zanim wrócił, pojawiły się znowu karły z łopatami i kilofami i natarły na zbocze wzgórza.

Potem Julia usłyszała okrzyki: „Hej, co ty wyprawiasz, odłóż ten miecz!” i „Nie, młodzieńcze, bez takich głupich sztuczek!”, i „Ale to złośliwy typ, nie ma co!” Julia popędziła do stóp zbocza i za chwilę nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać, kiedy zobaczyła bardzo bladą i brudną twarz Eustachego wyzierającą z ciemnej dziury oraz prawą rękę Eustachego uzbrojoną w miecz, którym wymachiwał groźnie w stronę każdego, kto się zbliżył. Bo, oczywiście, Eustachy przeżył ostatnie minuty w zupełnie inny sposób niż Julia. Słyszał jej krzyk i widział, jak zniknęła. Podobnie jak królewicz i Błotosmętek był pewien, że porwali ją jacyś wrogowie. Stojąc w ciemnym tunelu, nie mógł dostrzec, że blade niebieskie światło to blask księżyca. Myślał, że dziura prowadzi do jakiejś innej podziemnej jaskini, oświetlonej przez upiorny fosforyzujący blask i wypełnionej Bóg-wie-jakimi złymi mieszkańcami Podziemia. Kiedy więc przekonał Błotosmętka, by pozwolił mu wejść na swoje plecy, kiedy wyciągnął miecz i wystawił głowę przez dziurę, wykazał naprawdę wiele odwagi. Dwaj pozostali też by to na pewno zrobili, ale dziura była dla nich za mała. Eustachy był trochę większy i mniej

zwinny od Julii, tak że wystawiając głowę, stracił niewielką lawinę śniegu, która zasypała mu twarz. Kiedy w końcu odzyskał wzrok, zobaczył dziesiątki postaci wdrapujących się ku niemu po zboczu. Nic więc dziwnego, że postanowił trzymać domniemanych wrogów z daleka od siebie.

- Przestań, Eustachy, przestań! - krzyknęła Julia. - To są nasi przyjaciele. Nie widzisz? Jesteśmy w Narnii! Wszystko w porządku!

I Eustachy zobaczył, i zaczął przeproszać karły (a karły odpowiedziały, że nie ma o czym mówić), i kilka par grubych, owłosionych rąk pomagało mu przedostać się przez otwór, jak pomogło Julii kilka minut temu. Potem Julia wspięła się na zbocze i wykrzyczała dobre nowiny w czarny otwór. Kiedy się odwróciła, usłyszała ciche mamrotanie Błotosmętka: „Ach, biedna Pole. Za dużo tego wszystkiego na nią, za dużo o ten ostatni kawałek. Pomieszało jej się w głowie, i wcale bym się nie dziwił. Zaczyna widzieć zjawy”.

Julia i Eustachy uścisnęli sobie ręce i nabrali w płuca po dużym haucie świeżego, północnego powietrza.

Przyniesiono Eustachemu ciepły płaszcz i gorący napój dla obojga. Kiedy go sączyli, karły usunęły śnieg i darń z dużej części zbocza wokół dziury, a następnie zaczęły wywijać kilofami i szpadlami tak żwawo, jak żwawo wywijały nogami fauny i driady w tańcu dziesięć minut temu. Tak, zaledwie dziesięć minut temu, a już Julia i Eustachy czuli się, jakby wszystkie niebezpieczeństwa czyhające na nich w ciemnych, gorących i przytłaczających wnętrznościach ziemi były tylko snem. Tu, na zewnątrz, w chłodzie, pod niebem rozjaśnionym blaskiem księżyca i olbrzymich gwiazd (w Narnii gwiazdy są bliżej niż w naszym świecie), w otoczeniu miłych, wesołych twarzy, trudno było uwierzyć w istnienie Podziemia.

Zanim wypili gorący napój, przybyło z tuzin kretów, dopiero co obudzonych z głębokiego snu i niezbyt tym zachwyconych, ale gdy tylko wyjaśniono im, o co chodzi, z ochotą przyłączyły się do akcji ratowniczej. Nawet fauny starały się być pożyteczne, wywożąc taczkami wykopaną ziemię, a wiewiórki miały się gorączkowo tu i tam w wielkim podnieceniu, chociaż Julii nigdy nie udało się dostrzec, co właściwie w tym zamieszaniu robią. Niedźwiedzie i sowy zadowalały się udzielaniem dobrych rad i zapraszaniem dzieci raz po raz do jaskini (tam właśnie, gdzie Julia widziała ognisko), aby się ogrzały i zjadły kolację. Ale, oczywiście, dzieci nie mogły odejść, nie zobaczywszy swoich przyjaciół.

Żaden z ludzi nie potrafiłby pracować przy tego rodzaju robocie tak, jak

potrafią narnijskie karły i mówiące krety, ale też krety i karły nie uważały tego w ogóle za pracę. Uwielbiały wszelkie kopanie. Dlatego też nie trwało długo i wykopały wielką jamę w zboczu wzgórza. A wówczas prosto z ciemności w pełne światło księżyca - mogło to nawet trochę przestraszyć kogoś, kto nie wiedział, kim oni są - wyszła najpierw długa, patykowata, zakończona spiczastym kapeluszem postać błotowija, a potem pojawił się sam królewicz Rilian prowadzący dwa konie.

Kiedy zobaczono Błotosmętka, rozległy się ze wszystkich stron gromkie okrzyki: „Hej, przecież to jest błotowij!”, „Przecież to stary Błotosmętek!”, „Stary

Błotosmętek ze wschodniego Pogranicza!”, „Co, u licha, tutaj robisz, Błotosmętku?”, „Ile grup już cię szukało!”, „Lord Zuchon wywiesił odezwy!”, „Jest nagroda za znalezienie ciebie!” Ale wszystko to ucichło w jednej chwili i zapanowała głucha cisza tak szybko, jak cichną hałasy w sypialni szkolnego internatu, gdy w drzwiach pojawia się sam dyrektor. Teraz bowiem ujrzeli królewicza Riliana.

Nikt nie wątpił w to nawet przez chwilę. Wiele zwierząt, driad, karłów i faunów pamiętało go jeszcze z okresu przed zaczarowaniem. Byli i starsi, którzy pamiętali nawet, jak wyglądał jego ojciec, król Kaspian, kiedy był młodzieńcem, i od razu dostrzegli podobieństwo. Ale myślę, że poznaliby go i bez tych wspomnień. Choć był bladej i słaby po długiej niewoli w Otchłani, choć był ubrany na czarno, pokryty kurzem, z włosami w nieładzie, było coś w jego twarzy i postawie, co nikogo nie mogło zmylić. To coś jest zawsze w twarzach wszystkich prawdziwych królów Narnii, zasiadających z woli Aslana na tronie Piotra Wielkiego na zamku Ker-Paravel. W jednym momencie odkryły się wszystkie głowy i zgięły wszystkie kolana, a w chwilę potem rozległy się takie wiwaty i rozpoczęły się takie skoki i tańce, takie ściskanie rąk, całowanie, padanie sobie w ramiona, że Julii łzy stanęły w oczach ze wzruszenia. Ich wyprawa warta była trudów i całej grozy, przez jaką przeszli.

- Niech wasza królewska mość raczy pozwolić - rzekł najstarszy z karłów. - Mamy tu, w tamtej jaskini, coś w rodzaju kolacji, przygotowanej na zakończenie Śnieżnego Tańca...

- Z największą chęcią, ojczulku - odpowiedział królewicz. - Nigdy jeszcze żaden królewicz, rycerz, szlachcic czy niedźwiedź nie miał takiej ochoty na kolację jak my czworo tej nocy.

Wszyscy ruszyli między drzewami ku jaskini. Julia usłyszała Błotosmętka mówiącego do tych, którzy się cisnęli wokół niego:

- Nie, nie, moja opowieść może poczekać. Nie przydarzyło mi się nic takiego, o

czym warto mówić. Ale powiedzcie mi, jakie są nowiny? I nie starajcie się mnie oszczędzać, wolę wszystko usłyszeć od razu. Czy okręt króla rozbił się i zatonął? Były jakieś pożary lasów? Jakieś wojny na granicy z Kalormenem? Albo kilka smoków, i wcale bym się nie dziwił? I wszyscy śmiali się głośno powtarzając:

- No i czy to nie jest cały Błotosmętek? Dzieci były bliskie omdlenia ze zmęczenia i głodu, ale ciepło jaskini, a i sam jej wygląd, z odblaskami ognia tańczącymi na ścianach, kredensach, kubkach, spodeczkach, talerzach i na gładkiej kamiennej posadzce - tak jak to jest w czystej, wiejskiej kuchni - nieco je ożywiły. Ale i tak zasnęły mocno w czasie przygotowywania kolacji. A kiedy spały, królewicz Rilian opowiedział całą historię najstarszym i najmądrzejszym zwierzętom i karłom. I nie trzeba było im długo tłumaczyć, od razu wiedzieli, jak ją należy zrozumieć: jak przekłeta Czarownica (bez wątpienia z tego samego rodu co Biała Czarownica, która dawno, dawno temu sprowadziła na Narnię Wielką Zimę) chytrze wszystko zaplanowała, najpierw zabijając matkę Riliana i rzucając na niego samego zły czar. I zrozumieli, jak kopała pod samą Narnią, zamierzając wydostać się na powierzchnię, podbić ją i rządzić przy pomocy Riliana; i jak jemu samemu nawet się nie śniło, że kraj, którego królem miałby zostać (królem z tytułu, ale w rzeczywistości jej niewolnikiem), był jego własną ojczyzną. A z tej części opowieści, w której pojawiły się już dzieci, zrozumieli, że Czarownica była w zмовie z olbrzymami z Harfangu.

- A nauka z tego wszystkiego jest taka, wasza wysokość - rzekł najstarszy z karłów - że tym czarownicom z północy zawsze chodzi o to samo, tyle że w każdej epoce mają inny pomysł, aby to osiągnąć.

ROZDZIAŁ 16

KRZYWDY ZOSTAJĄ WYNAGRODZONE

KIEDY NASTĘPNEGO RANKA Julia otworzyła oczy i stwierdziła, że znajduje się w jakiejś jaskini, przez chwilę myślała ze zgrozą, że znowu jest w Podziemiu. Ale gdy zobaczyła, że leży na posłaniu z wrzosu przykryta futrzanym płaszczem, że na kamiennym palenisku płonie z wesołym trzaskiem ogień (jakby go dopiero co rozpalono), a przez otwór wpada blask porannego słońca, dotarła do niej wreszcie szczęśliwa prawda. Przypomniała sobie, jak stłoczeni w oświetlonej ogniskiem jaskini zjedli wspaniałą kolację i jak bardzo była śpiąca, zanim się kolacja skończyła. Miała nieco mgliste wspomnienie karłów nachylających się nad paleniskiem z patelniami chyba większymi od nich samych, cudownego zapachu skwierczących kielbasek i wielu, wielu tych kielbasek. I nie były to jakieś ohydne parówki składające się ze zmielonej soi z bułką, lecz pachnące kielbaski z prawdziwego mięsa, pikantne, grube i jeszcze skwierczące, z popękana i przypalona na brązowo chrupiącą skórką. I wielkie kubki pianistej czekolady, i pieczone ziemniaki, i pieczone kasztany, i pieczone jabłka nadziewane rodzynkami, i jeszcze lody, bosko orzeźwiające po tylu gorących potrawach.

Julia usiadła i rozejrzała się dookoła. Błotosmętek i Eustachy leżeli niedaleko niej, wciąż jeszcze pogrążeni w głębokim śnie.

- Hej, wy dwaj! - wrzasnęła Julia. - Nie zamierzacie nigdy wstać?

- Cicho tu! - rozległ się senny głos gdzieś ponad nią. - Pora snu-u-u. Odpoczywaj, tu-huuuu. Nie rób hałasu-uuuu. Tu-huuuu!

- Nie do wiary - powiedziała Julia, wpatrując się w biały stos napuszonych piór, ułożony na szczycie zegara pradziadka w rogu pieczary - przecież to jest Świecopuch!

- Tu-huuuu! - zahuczał puchacz, wyjmując głowę spod skrzydła i otwierając jedno oko. - Przybyłem tu około drugiej z wiadomością dla królewicza. Wiewiórki przyniosły nam dobre nowiny. Wiadomość dla królewicza. Już wyruszył w drogę. Wy macie pójść za nim. Dzień dobry! - i głowa zniknęła ponownie.

Ponieważ trudno było liczyć na uzyskanie jakichś dalszych informacji od puchacza, Julia wstała i zaczęła się rozglądać, gdzie by tu się umyć i co by tu zjeść na śniadanie. Prawie natychmiast wbiegł truchtem do pieczary mały faun, stukając głośno kozimi kopytkami po kamiennej posadzce.

- Ach! Obudziłaś się wreszcie, Córko Ewy. Chyba byłoby dobrze, żebyś obudziła Syna Adama. Macie zaraz wyruszyć w drogę, a dwa centaury zaproponowały

uprzejmie, że przewiozą was do Ker-Paravelu. - A po chwili dodał przyciszonym głosem: - Oczywiście, zdajesz sobie sprawę, że jazda na centaurze jest szczególnym i niesłychanym zaszczytem. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek słyszał o kimś, kogo by taki zaszczyt spotkał. Nie wypada pozwolić im czekać.

- Gdzie jest królewicz? - brzmiało pierwsze pytanie Eustachego i Błotosmętka, gdy tylko zostali obudzeni.

- Pojechał do Ker-Paravelu spotkać się z królem, swym ojcem - odrzekł faun, który miał na imię Orruns. - Okręt jego królewskiej mości oczekiwany jest w przystani w każdej chwili. Podobno król, zanim wyruszył w tę podróż, spotkał Aslana; nie wiem, czy miał wizję, czy było to spotkanie twarzą w twarz. A później Aslan kazał mu wracać i powiedział mu, że jego wytęskniony, zaginiony od dawna syn będzie go oczekiwał w Narnii.

Eustachy zerwał się z posłania, a Julia pomogła Orrunsowi zrobić śniadanie. Błotosmętkowi powiedziano, że ma zostać w łóżku. Centaur o imieniu Chmurosyn, słynny uzdrowiciel (czyli, jak go nazwał Orruns, „pijawka”) miał przyjść, aby obejrzeć jego poparzoną nogę.

- Ach! - westchnął Błotosmętek, a potem dodał głosem, w którym pobrzmiwała nuta satysfakcji: - Na pewno zechce mi uciąć nogę przy kolanie, i wcale bym się nie dziwił. Zobaczycie, że mam rację. - Ale był rad, że może zostać w łóżku.

Na śniadanie była jajecznicza na grzankach i Eustachy rzucił się na nią tak, jakby w połowie nocy nie zjadł obfitej kolacji.

- Słuchaj, Synu Adama - rzekł faun, wpatrując się z lekkim przerażeniem w jego usta - nie trzeba się AŻ TAK spieszyć. Nie sądzę, by centaury skończyły już SWOJE śniadanie.

- A więc musiały wstać bardzo późno - zauważył Eustachy. - Założę się, że jest już po dziesiątej.

- Och, nie - odpowiedział Orruns. - Wstały jeszcze przed świtem.

- No, to chyba musiały piekielnie długo czekać na śniadanie.

- Ależ skąd! - zdziwił się Orruns. - Nawet nie minęła minuta od przebudzenia, gdy zaczęły jeść.

- Do licha! - zawołał Eustachy. - To musi być niezłe śniadanie!

- Jak to, Synu Adama, czyżbyś nie wiedział? Centaur ma dwa żołądki, ludzki i koński. Rzecz jasna, każdy domaga się śniadania. Więc centaur najpierw zjada owsiankę, kilka pawenderów, cynaderki, bekon, omlet, zimną szynkę, grzankę i

marmoladę. Popija to kawą i piwem. A potem przechodzi do zaspokojenia swojej końskiej części i pasie się z godzinę na trawie, kończąc posiłek ciepłą mieszanką ziemniaków z otrębami, porcją owsa i torbą cukru. Dlatego też zaproszenie centaury na sobotę i niedzielę wymaga bardzo wielkiego namysłu. Naprawdę, to bardzo poważna sprawa.

W tym momencie od strony wejścia do pieczary dał się słyszeć stukot kopyt. Dzieci wyjrzały na zewnątrz. Stały tam dwa centaury, jeden z czarną, drugi ze złotą brodą, i pochylały nieco głowy, by zajrzeć do środka. Teraz dzieci zrobiły się bardzo grzeczne i błyskawicznie skończyły śniadanie. Nikomu, kto widział centaury, nawet nie przyjdzie do głowy, aby go uważać za istotę zabawną! Są to poważne, majestatyczne stworzenia, pełne prastarej wiedzy, którą czerpią z gwiazd. Niezbyt łatwo je rozweselić i niezbyt łatwo je rozgniewać, lecz ich gniew jest straszny jak olbrzymia fala przyboju.

- Do widzenia, kochany Błotosmętku - powiedziała Julia, nachylając się nad jego posłaniem. - Wybacz mi, że nazwałam cię czarnowidzem.

- I mnie też wybacz - rzekł Eustachy. - Byłeś najlepszym na świecie towarzyszem.

- I mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy - dodała Julia.

- Małe są na to szansę - odpowiedział Błotosmętek. - Oswajam się też z myślą, że nie zobaczę już mojego wigwamu. A ten królewicz, bardzo równy gość, ale czy naprawdę nie uważacie, że jest okropnie wyczerpany? Cały organizm zniszczony przez życie w Podziemiu. Wygląda mi na takiego, co może odejść z tego świata każdego dnia, i wcale bym się nie dziwił.

- Błotosmętku! - zgaśniła go Julia. - Jesteś normalnym starym nabieraczem. Sprawiasz wrażenie ponurego jak pogrzeb, a założę się, że jesteś bardzo szczęśliwy. I wciąż mówisz tak, jakbyś się wszystkiego bał, a tak naprawdę to jesteś dzielny jak... jak lew.

- Jeżeli już mówimy o pogrzebach... - zaczął Błotosmętek, lecz Julia, która słyszała już za sobą niecierpliwie przebieranie kopytami, zaskoczyła go całkowicie: zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała jego błotnistą twarz, podczas gdy Eustachy ścisnął mu dłoń. Potem oboje wybiegli z pieczary, a błotowij opadł z powrotem na swe posłanie i zamruczał:

- Naprawdę, nigdy mi się nawet nie śniło, że ona to zrobi. Nigdy, chociaż przecież JESTEM całkiem przystojny.

Jazda na centaury jest bez wątpienia wielkim zaszczytem (i bardzo prawdopodobne, że prócz Julii i Eustachego nikt na świecie go nie dostąpił), ale na pewno nie jest wygodna. Nikt, komu drogie jest życie, nie odważyłby się nawet pomyśleć o osiedlaniu centaury, a jazda na oklep nie jest wcale zabawna, zwłaszcza gdy - tak jak Eustachy - nigdy się na koniu nie jeździło. Centaury okazywały wiele zrozumienia, cwałując przez narnijskie lasy w sposób, który można opisać jako poważny, wdzięczny i dojrzały. W czasie jazdy opowiadały dzieciom różne ciekawe rzeczy o właściwościach ziół i korzeni, o wpływie planet, o dziewięciu imionach Aslana i ich znaczeniach. Po tej podróży dzieci długo jeszcze czuły ją we wszystkich częściach ciała, lecz oddałyby wszystko, by odbyć ją jeszcze raz, widzieć te polany i zbocza błyszczące od świeżego śniegu, spotykać króliki i wiewiórki pozdrawiające ich wesoło, oddychać znowu cudownym powietrzem Narnii i słyszeć głosy narnijskich drzew.

Dotarli do rzeki, połyskującej bielą i błękitem w zimowym słońcu, daleko poniżej ostatniego mostu (który łączy dwa brzegi w Berunie, zacisznym, pokrytym czerwonymi dachami miasteczku) i zostali przewiezieni na drugi brzeg promem przez przewoźnika albo raczej przewozowija, ponieważ to właśnie błotowije wykonują w Narnii większość prac związanych z wodą i rybami.

Potem popędzili wzdłuż południowego brzegu rzeki, aż dotarli do Ker-Paravelu. I w tym samym momencie, gdy stanęli przed zamkiem, zobaczyli ten sam jaśniejący okręt, który widzieli w czasie swego pierwszego powitania z Narnią. Sunął powoli w górę rzeki, jak wielki wodny ptak. I teraz - jak przedtem - cały dwór zebrał się na błoni między przystanią a zamkiem, by powitać króla Kaspiana powracającego do domu. Rilian, który zmienił już swój czarny strój na srebrną kolczugę przykrytą szkarłatnym płaszczem, stał tuż przy nadbrzeżu z obnażoną głową, a karzeł Zuchon siedział obok niego w swoim wózku. Dzieci stwierdziły, że nie ma mowy o przedarciu się przez cały ten tłum do królewicza, a zresztą czuły się teraz trochę onieśmielone. Poprosiły więc centaury, by pozwoliły im posiedzieć jeszcze trochę na swych grzbietach i przypatrzeć się wszystkiemu ponad głowami dworzan. A centaury nie miały nic przeciwko temu.

Fanfara srebrnych trąb rozbrzmiała z pokładu okrętu, marynarze rzucili cumy, szczury (mówiące szczury, rzecz jasna) przywiązały je do słupów i okręt został przyciągnięty do nabrzeża. Ukryci w tłumie muzykanci zaczęli grać uroczystą, triumfalną melodię. Szczury przerzuciły trap.

Julia wypatrywała postaci starego króla, ale spotkało ją rozczarowanie. Coś

musiało się stać. Na łódź zszedł jakiś baron z bladą twarzą i ukląkł przed królewiczem i Zuchonem. Przez kilka minut tych trzech rozmawiało o czymś, pochylając ku sobie głowy, tak że nikt nie słyszał, o czym mówili. Muzykanci wciąż grali, lecz można było wyczuć, że wszyscy są poruszeni i zaniepokojeni. Potem na pokładzie okrętu pojawiło się czterech rycerzy, którzy coś nieśli, a kiedy zeszli na nabrzeże, można było dostrzec, co to było: łożo ze starym królem, bardzo bladym i nieruchomym. Postawiono je na ziemi, a królewicz ukląkł przy nim i ucałował rękę swego ojca. Zobaczyli, jak król Kaspian podniósł rękę, by pobłogosławić syna. Zabrzmiały wiwaty, ale nie tak ohoce i radosne, jak można by oczekiwać, bo wszyscy czuli, że dzieje się coś niedobrego. I wówczas głowa króla nagle opadła bezwładnie na poduszki, muzyka urwała się i zapanowała głucha cisza. Królewicz, klęczący wciąż przy łożu, oparł na nim głowę i zasłochał.

Rozległy się szepty i kilka postaci gdzieś pobiegło. Potem wszyscy, którzy nosili kapelusze, berety, hełmy lub kaptury, obnażyli głowy - nie wyłączając Eustachego. Potem Julia usłyszała jakieś skrzywienie i turkotanie ponad zamkiem, a kiedy tam spojrzała, zobaczyła, jak wielka flaga ze złotym Lwem opuszcza się do połowy masztu. A potem powoli i bezlitośnie, z zawodzeniem strun i zrozpaczonym wyciem rogów muzykanci zaczęli grać znowu, lecz tym razem melodię rozdzierającą serce.

Oboje ześliznęli się ze swoich centaurów (które tego nawet nie zauważyły).

- Chciałabym być w domu - szepnęła Julia. Eustachy tylko pokiwał głową, przygryzając wargi.

- Przyszedłem - rozległ się głęboki głos za nimi. Odwrócili się i zobaczyli samego Lwa, tak jaśniejącego, prawdziwego i mocnego, że wszystko inne stało się nagle blade i szare. I natychmiast Julia zapomniała o martwym królu Narnii i pamiętała już tylko o tym, jak spowodowała upadek Eustachego z urwiska i jak przyczyniła się walnie do nierozpoznania prawie wszystkich Znaków, i jak często odgryzała się i kłóciła. I chciała powiedzieć: „Przebacz mi”, ale nie mogła wymówić ani słowa. A potem Lew przyciągnął ich do siebie spojrzeniem, pochylił łeb, dotknął językiem ich pobladłych twarzy i powiedział:

- Już więcej o tym nie myślcie. Nie będę was wciąż beształ. Wykonaliście zadanie, dla którego posłałem was do Narnii.

- Aslanie - odezwała się Julia - czy możemy teraz wrócić do domu?

- Tak. Przyszedłem, aby was zabrać do Domu - rzekł Aslan.

A potem otworzył szeroko usta i tchnął. Lecz tym razem nie odczuli, że lecą w

powietrzu; zamiast tego wydawało im się, że dziki oddech Aslana zdmuchnął i okręt, i martwego króla, i zamek, i śnieg, i zimowe niebo. Wszystkie te rzeczy bowiem uleciały w powietrze jak strzępy dymu i nagle stali już w wielkiej jasności letniego słońca na gładkim mchu, pośród potężnych drzew, nad pięknym, orzeźwiającym strumykiem. Zrozumieli, że raz jeszcze znaleźli się na Górze Aslana, wysoko ponad i poza końcem tego świata, w którym leży Narnia. Dziwne było tylko, że pogrzebowa muzyka na śmierć króla Kaspiana wciąż brzmiała, choć żadne z nich nie wiedziało skąd. Szli wolno wzdłuż strumienia, a Lew ich nieco wyprzedzał. I był tak cudowny, a muzyka tak pełna żalu, że Julia nie potrafiła powiedzieć, czy jedno, czy drugie nappełniło jej oczy łzami.

Potem Aslan zatrzymał się, a dzieci popatrzyły na strumień. A tam, na złotym żwirze wyścielającym jego dno leżał martwy król Kaspian, a woda obmywała go jak płynne szkło. Jego długa, biała broda falowała w nurcie jak wodorosty. I wszyscy troje stali i płakali. Nawet Lew płakał, płakał wielkimi łzami, bardziej drogocennymi niż cała Ziemia, choćby zamieniła się w jeden wielki diament. A Julia spostrzegła, że Eustachy wcale nie wyglądał ani jak płaczące dziecko, ani jak chłopiec płaczący i próbujący to ukryć, lecz jak płaczący dorosły. W każdym razie było to najbliższe tego, co odczuła, bo tak naprawdę - jak później mówiła - na tej Górze nie wygląda się ani staro, ani młodo, ani dziecinnie: tak jakby się wcale nie miało wieku.

- Synu Adama - rzekł Aslan - wejdź w te zarośla i zerwij cierń, który tam znajdziesz, i przynieś go tutaj.

Eustachy uczynił, jak mu Lew powiedział. Kolec był długi i ostry jak rapier.

- Wbij go w moją łapę, Synu Adama - powiedział Aslan, podnosząc przednią prawą łapę i wyciągając jej wielką poduszkę ku Eustachemu.

- Czy muszę to zrobić? - zapytał Eustachy.

- Tak - odrzekł Lew.

Więc Eustachy zacisnął zęby i wbił kolec w łapę Lwa. Spłynęła z niej wielka kropla krwi, czerwieńsza niż wszystkie czerwienie, jakie kiedykolwiek widzieliście w życiu. Kropla wpadła do strumienia nad martwym ciałem króla. W tej samej chwili żalosna muzyka urwała się. Zmarły król zaczął się zmieniać. Jego siwa broda poszarzała, a potem zrobiła się złota, a potem zaczęła się kurczyć, aż znikła zupełnie; jego zapadłe policzki wypełniły się i nabrały świeżości, zmarszczki poznikały, powieki podniosły się, oczy i usta roześmiały i nagle poderwał się i stanął przed nimi - młodzieniec, a może nawet chłopiec. (Julia nie potrafiła tego określić, bo w kraju

Aslana nie ma się określonego wieku. Nawet w naszym świecie, rzecz jasna, te najgłupsze dzieci wyglądają najbardziej dziecinnie, a najgłupszy dorośli najbardziej dorośle.) A Kaspian podbiegł do Aslana i objął ramionami jego potężną szyję i wycisnął na jego twarzy mocny pocałunek króla, a Aslan odpowiedział na to dzikim pocałunkiem Lwa.

W końcu Kaspian odwrócił się do dzieci i wybuchnął śmiechem pełnej zdziwienia radości:

- Ależ to Eustachy! - zawołał. - Eustachy! A więc w końcu dotarłeś na koniec świata. Czy pamiętasz, jak połamałeś jeden z moich najlepszych mieczy na wężu morskim?

Eustachy wyciągnął ramiona i zrobił krok w jego stronę, lecz nagle cofnął się z nieco przestraszoną miną.

- Posłuchaj - wyjąkał. - Wszystko w porządku. Ale czy ty nie jesteś... to znaczy, czy ty...

- Och, nie bądź takim osłem - rzekł Kaspian.

- Ale... - powiedział Eustachy, patrząc na Aslana. - Czy on... no, czy on nie umarł?

- Tak - odpowiedział Lew bardzo cichym głosem, prawie (tak pomyślała Julia) jakby się śmiał. - On umarł. Jak wiesz, zdarza się to większości ludzi. Nawet mnie. Tylko niewielu nie umarło.

- Och, już rozumiem, co cię niepokoi - rzekł Kaspian. - Myślisz, że jestem duchem albo czymś w tym rodzaju. Ale czy nic nie rozumiesz? Byłbym zjawą, gdybym się teraz pojawił w Narnii, ponieważ nie należę już do tamtego świata. Ale nie można być zjawą w swoim własnym świecie. Mógłbym być zjawą w twoim świecie, nie wiem. Ale ten wasz dawny świat też już nie jest wasz, skoro tu jesteście.

Wielka nadzieja wypełniła serca dzieci. Ale Aslan potrząsnął swoją zmierzwioną grzywą.

- Nie, moi kochani - powiedział. - Kiedy spotkacie mnie tu następnym razem, już tu pozostaniecie. Ale nie teraz. Musicie na jakiś czas wrócić do waszego świata.

- Panie - rzekł Kaspian, - od dawna marzyłem o tym, żeby chociaż rzucić okiem na ICH świat. Czy jest w tym coś złego?

- Nie możesz już chcieć niczego złego, skoro umarłeś, mój synu - odpowiedział Aslan. - Zobaczysz ich świat. Spędzisz w nim pięć minut ICH czasu. Tyle ci wystarczy, aby uporządkować tam pewne sprawy.

I wyjaśnił Kaspianowi, do jakiego miejsca mają powrócić Julia i Eustachy; opowiedział mu wszystko o Eksperymentalnej Szkole, a wyglądało na to, że zna ją tak dobrze jak oni sami.

- Córeczko - zwrócił się do Julii - urwij witkę z tamtego krzaka. - Zrobiła to i natychmiast witka zmieniła się w jej ręku w nowy jeździecki bat.

- A teraz, Synowie Adama, wyciągnijcie swe miecze - rzekł Aslan. - Ale używajcie tylko płazów, bo wysłałam was nie przeciwko rycerzom, lecz przeciw dzieciom i tchórzom.

- Czy pójdziesz z nami, Aslanie? - zapytała Julia.

- Zobaczą tylko moje plecy - odpowiedział. Poprowadził ich pospiesznie przez las i niewiele usieli zrobić kroków, gdy pojawił się przed nimi mur Eksperymentalnej Szkoły. Aslan zaryczał tak, że słońce zadrżało na niebie, a jakieś dziesięć metrów muru rozpadło się przed nimi. Spojrzeli przez wyrwę, ponad szkolną kolekcją krzewów, aż na dach gimnazjum. Widniał na tle tego samego ponurego jesiennego nieba, jakie widzieli, gdy zaczęły się ich przygody. Aslan odwrócił się do Julii i Eustachego, tchnął na nich i dotknął językiem ich czół. Potem położył się pośrodku wyrwy w murze, złotymi plecami do Anglii, a swym królewskim obliczem ku swojej krainie. W tej samej chwili Julia zobaczyła postacie, które знаła aż nazbyt dobrze, jak biegły ku nim wśród wawrzynowych krzaków. Był tam prawie cały gang: Adela Pennyfather, Cholmondely Większy, Edyta Winterblott, Cętkowany Sorner, duży Bannister i dwóch obmierzłych Garretów, bliźniaków. Nagle zatrzymali się. Ich twarze zmieniły się w jednej chwili; cała bezmyślność, próżność, okrucieństwo i donosicielska przymilność znikły, ustępując miejsca przerażeniu. Zobaczyli bowiem rozwalony mur, lwa rozmiarów młodego słonia leżącego w wyrwie i trzy postacie w lśniących strojach rzucające się na nich z bronią w ręku. Julia młóciła batem dziewczynki, a Kaspian i Eustachy okładali płazami mieczy chłopców, a wszyscy troje czynili to - napełnieni mocą Aslana - tak sprawnie, że nie minęły dwie minuty, gdy wszystkie małe potwory, tak lubiące znęcać się ad słabszymi, uciekały już jak szalone, wykrzykując: „Mordercy!”, „Faszyści!”, „Lwy!”, „To NIEUCZCIWE!” A potem nadbiegła Dyrektorka, żeby zobaczyć, co się dzieje, i kiedy ujrzała Lwa, rozwalony mur, Kaspiana, Julię i Eustachego (a tych dwoje ostatnich wcale nie rozpoznała), dostała ataku hysterii, wróciła do szkoły i zaczęła wydzwaniać na policję, opowiadając w popłochu o lwie, który uciekł z cyrku, i zbiegach z więzienia, którzy rozwalili mur i byli uzbrojeni w miecze. W całym zamieszaniu Julia i Eustachy wśliznęli się

niepostrzeżenie do środka, zmienili szybko swe błyszczące stroje na zwykłe mundurki, a Kaspian wrócił do swego świata. Kiedy przyjechała policja i nie znalazła ani lwa, ani rozwalonego muru, ani zbiegłych skazańców, a za to Dyrektorkę zachowującą się jak lunatyczka, zaczęło się żmudne dochodzenie. A w tym dochodzeniu wyszły na jaw najróżniejsze rzeczy dziejące się w Eksperymentalnej Szkole i w rezultacie wyrzucono dziesięć osób. Nieco później przyjaciele Dyrektorki uznali, że nie nadaje się już na to stanowisko i wobec tego zrobili ją Inspektorem, wtrącającym się w działalność innych dyrektorów. A gdy stwierdzili, że i tu nie ma z niej wielkiego pożytku, wkręcili ją do Parlamentu, gdzie działa spokojnie po dziś dzień. Którejś nocy Eustachy zakopał potajemnie swój wspaniały strój na boisku szkolnym, lecz Julii udało się przesmugłować swój do domu i w następne wakacje włożyła go na bal kostiumowy. I od całej tej przygody sytuacja w Eksperymentalnej Szkole bardzo się poprawiła. A Julia i Eustachy pozostali przyjaciółmi na zawsze.

Daleko stamtąd, w Narnii, król Rilian pochował swojego ojca, Kaspiana Żeglarza, dziesiątego tego imienia, i gorzko go opłakiwał. Rządził Narnią sprawiedliwie i wszyscy jego poddani byli szczęśliwi, choć Błotosmętek (którego noga wyleczyła się zupełnie w ciągu trzech tygodni) często zwracał uwagę na to, że po jasnym poranku przychodzi mokre popołudnie oraz że nie można oczekiwać, by dobre czasy trwały wiecznie. Dziura w zboczu wzgórza nie została zasypana i odtąd często w gorące letnie dni Narnijczycy wchodzą do środka z łodziami i latarniami, aby sobie popływać po chłodnym, ciemnym, podziemnym morzu, śpiewając i opowiadając dziwne dzieje miast leżących głęboko na jego dnie. Jeśli kiedyś będziecie mieć szczęście i traficie do Narnii, nie zapomnijcie zwiedzić tych jaskiń.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział 1 POZA MURAMI GIMNAZJUM.....
Rozdział 2 JULIA OTRZYMUJE ZADANIE.....
Rozdział 3 MORSKA WYPRAWA KRÓLA.....
Rozdział 4 SOWI SEJM.....
Rozdział 5 BŁOTOSMĘTEK.....
Rozdział 6 DZIKIE PUSTKOWIA PÓŁNOCY.....
Rozdział 7 WZGÓRZE DZIWNEGO LABIRYNTU.....
Rozdział 8 HARFANG.....
Rozdział 9 JAK ODKRYLI COŚ, O CZYM WARTO BYŁO WIEDZIEĆ.....
Rozdział 10 PODRÓŻ BEZ SŁOŃCA.....
Rozdział 11 W CIEMNYM ZAMKU.....
Rozdział 12 KRÓLOWA PODZIEMIA.....
Rozdział 13 PODZIEMIE BEZ KRÓLOWEJ.....
Rozdział 14 DNO ŚWIATA.....
Rozdział 15 ZNIKNIĘCIE JULII.....
ROZDZIAŁ 16 KRZYWDY ZOSTAJĄ WYNAGRODZONE.....

C.S. LEWIS

KOŃ I JEGO CHŁOPIEC

Przełożył Andrzej Polkowski

DLA DAVIDA I DOUGLASA GRESHAMOW

ROZDZIAŁ 1

JAK SZASTA WYRUSZYŁ W PODRÓŻ

BĘDZIE TO OPOWIEŚĆ O PRZYGODACH, jakie wydarzyły się w Narnii, Kalormenie oraz krajach leżących pomiędzy nimi w Złotym Wieku, gdy Wielkim Królem Narnii był Piotr, a wraz z nim panowali sprawiedliwie jego brat i dwie siostry.

W owych to czasach na dalekim południu Kalormenu, nad małą zatoką oceanu żył sobie pewien ubogi rybak Arszisz, a z nim chłopiec, który nazywał go ojcem. Chłopiec miał na imię Szasta. Przez większość dni w roku Arszisz wypływał o świcie w morze, aby nałowić ryb, a po południu zaprzęgał osiołka do wózka naładowanego rybami i jechał na targ do położonej o milę na południe wioski. Jeśli udało mu się sprzedać ryby z zyskiem, wracał do domu w dość dobrym humorze, lecz jeśli zysk był lichej lub trochę ryb zostało, wyładowywał swą złość na Szaście, z byle powodu sprawiając mu tęgie lanie. O powód nie było trudno, bo Szasta miał wiele zajęć: naprawiał i płukał sieci, gotował obiad i sprzątał domek, w którym mieszkali.

To wszystko, co leżało na południe od ich chatki, nie budziło w chłopcu większego zainteresowania. Raz czy dwa był z Arsziszem w wiosce i już wiedział, że nie ma tam nic ciekawego. Spotkał tam jedynie brodatych, bardzo podobnych do jego ojca mężczyzn, noszących turbany, długie, brudne szaty i drewniane chodaki z wywiniętymi do góry czubkami, którzy rozmawiali ze sobą bardzo powoli o bardzo nudnych sprawach. Ciekawiło go natomiast wszystko, co leżało na północy, ponieważ nikt nie wędrował w tamtą stronę, a i jemu nigdy na to nie pozwalano. Kiedy siedział samotnie przed domkiem, naprawiając sieci, często patrzył z tęsknotą na północ. Nic tam zresztą nie było widać prócz porośniętego trawą zbocza płaskiego wzgórza i nieba, na którego tle fruwało niekiedy kilka ptaków.

Czasami, kiedy Arszisz był w domu, Szasta pytał: „O mój ojcze, co jest za tym wzgórzem?” Jeśli rybak był w złym nastroju, dawał mu w ucho, radząc, by zajął się swoją robotą. Jeśli miał lepszy humor, odpowiadał: „O mój synu, nie pozwalaj, by w twojej głowie leżały się takie jałowe myśli. Jeden z poetów powiedział bowiem: «Przykładanie się do swojego zajęcia jest korzeniem wszelkiego powodzenia, a ci, którzy zadają pytania nie mające z tym nic wspólnego, kierują okręt głupoty ku skale wielkiej biedy»„.

Szasta był przekonany, że za tym wzgórzem musi się kryć jakaś cudowna tajemnica, której ojciec nie chce mu zdradzić. W rzeczywistości rybak sam nie wiedział, co tam jest. I wcale go to nie obchodziło. Był po prostu bardzo praktycznie

myślącym człowiekiem.

Pewnego dnia nadjechał z południa przybysz zupełnie niepodobny do ludzi, których Szasta dotychczas spotykał. Przyjechał na wielkim, nakrapianym koniu z długą grzywą. Uzda i strzemiona wykładane były srebrem, a jeździec miał na sobie żelazną kolczugę i spiczasty hełm owinięty jedwabnym turbanem. U jego boku wisiała krzywa szabla w bogato zdobionej pochwie, na plecach połyskiwała tarcza nabijana ćwiekami, w prawej ręce trzymał lancę. Miał ciemną twarz, co nie było dla Szasty zaskoczeniem, bo wszyscy mieszkańcy Kalormenu są ciemnoskórzy. Zdumiała go natomiast broda mężczyzny, ufarbowana na purpurowo, ufryzowana i namaszczona pachnącym olejkiem. Arszisz poznał od razu po złotym pierścieniu, że był to jeden z Tarkaanów, kalormeńskich wielmożów. Padł przed nim na kolana, zamiatając brodą ziemię. Chłopcu dał znak, by uczynił to samo.

Przybysz zażądał noclegu, czego oczywiście rybak nie śmiał mu odmówić. Postawił na stole wszystko, co miał najlepszego (i nie sędzę, by gość się nad tym zastanawiał), a Szasta dostał kawałek chleba i musiał się wynosić z domu. Tak było zawsze, gdy rybak miał gości; chłopiec spał wówczas razem z osiołkiem na sianie, w małej, pokrytej strzechą stajence. Było jednak o wiele za wcześnie, aby iść spać, i Szasta, który nie miał dotąd okazji, by dowiedzieć się, że bardzo nieładnie jest podsłuchiwać, przyłożył ucho do szpary w drewnianej ścianie domku, aby posłuchać, o czym rozmawiają dorośli. I oto, co usłyszał:

- A teraz, mój gospodarzu - rozległ się głos Tarkaana - wyjawię ci swoje życzenie: mam ochotę kupić twojego chłopca.

- O mój panie! - odpowiedział rybak (Szasta poznał po przymilnym, służalczym tonie jego głosu, że w tej chwili chciwość zmieniła mu twarz) - jakąż cenę mógłby zaproponować twój sługa, choć jest tylko biednym rybakim, by sprzedać w niewolę swoje jedyne dziecko, krew ze swojej krwi? Czyż jeden z poetów nie powiedział: „Naturalne więzy są silniejsze niż głód, a potomstwo bardziej drogocenne niż rubiny”?

- I miał skądinąd rację - odparł sucho gość. - Ale inny poeta powiedział coś w tym rodzaju: „Ten, kto próbuje oszukać sądzących, już obnaża plecy przed chłostą”. Jest całkowicie oczywiste, że chłopiec wcale nie jest twoim synem, bo twoje policzki są tak ciemne jak moje, a ten jasnowłosy chłopak jest tak biały jak ci przekłęci, choć piękni barbarzyńcy, którzy mieszkają na dalekiej północy.

- Ach, słusznie powiedziano - odezwał się rybak - że przed mieczem można się zasłonić tarczą, lecz na nic się zda obrona przed spojrzeniem oka mądrości! Wiedz

zatem, o mój potężny gościu, że z powodu wielkiego ubóstwa nigdy nie poślubiłem kobiety i nie mam dzieci. Lecz w tym samym roku, w którym Tisrok (oby żył wiecznie!) rozpoczął swe dostojne i dobroczynne panowanie, pewnej nocy, gdy księżyc był w pełni, spodobało się bogom spędzić mi sen z powiek. Powstałem więc ze swego posłania w tej nędznej norze i poszedłem na brzeg, by odświeżyć się widokiem morza i księżycą oraz by odetchnąć chłodnym powietrzem. I nagle usłyszałem jakby plusk wioseł dochodzący z oddali, a potem, w rzeczy samej, słaby krzyk. Niebawem fala przypływu wyrzuciła na brzeg łódkę, w której znalazłem straszliwie wychudzonego mężczyznę, pusty bukłak i niemowlę, wciąż jeszcze żywe. Mężczyzna nie dawał już znaków życia, choć musiał wyzionąć ducha zaledwie kilka chwil wcześniej, bo ciało było jeszcze ciepłe. „Nie ulega wątpliwości - pomyślałem sobie - że ci nieszczęśnicy uratowali się z katastrofy, która spotkała jakiś wielki statek. Lecz niezbadane i chwalebne wyroki bogów chciały, by ów człowiek zagłodził się, ratując dziecko, i wyzionął ducha, widząc już upragniony ład.” Tak więc, pamiętając, że bogowie zawsze wynagradzają tych, którzy wspomagają będących w potrzebie, i napełniony wzruszeniem (jako że twój sługa jest człowiekiem czułego serca)...

- Zachowaj dla siebie te wszystkie puste słowa

- przerwał mu Tarkaan. - Powiedziałeś dość, bym wiedział, że przygarnąłeś to dziecko, a kiedy podrosło, swą pracą dziesięciokrotnie zwraca ci chleb, jaki mu dajesz. A teraz podaj mi swą cenę, bo zmęczyło mnie już twoje gadulstwo.

- Sam raczyłeś zauważyć, panie - rzekł Arszisz - że praca tego chłopca ma dla mnie nieoszacowaną wartość. Musimy to wziąć pod uwagę, ustalając cenę. Jeśli go sprzedam, z całą pewnością będę musiał kupić lub wynająć kogoś innego do pomocy.

- Dam ci za niego piętnaście krescentów - powiedział Tarkaan.

- Piętnaście! - zawołał Arszisz głosem, który przypominał coś pośredniego między skomleniem a wrzaskiem. - Piętnaście krescentów za podporę mego starego wieku i radość moich oczu! Jesteś Tarkaanem, ale nawet ty nie powinienesz szydzić z siwej brody. Siedemdziesiąt - oto moja cena.

W tym momencie Szasta wyprostował się i odszedł na palcach od domku. Usłyszał już wszystko, co warto było usłyszeć. Nieraz był świadkiem targowania się ludzi z wioski i wiedział, na czym to polega. Nie miał wątpliwości, że Arszisz sprzeda go w końcu za sumę o wiele wyższą od piętnastu krescentów i o wiele niższą od siedemdziesięciu, choć upłynie wiele czasu, zanim on i Tarkaan dojdą do porozumienia.

Nie powinniście sobie wyobrażać, że Szasta czuł się tak jak wy i ja, gdybyśmy się nagle dowiedzieli, że nasi rodzice właśnie targują się z kimś o cenę, by nas sprzedać w niewolę. Po pierwsze, jego dotychczasowe życie było niewiele lepsze od życia niewolnika, a to, co wiedział, pozwalało mu mieć nadzieję, że ów możny pan będzie go traktować lepiej niż Arszysz. Po drugie, to, co usłyszał o swoim pochodzeniu, napełniło go z jednej strony podnieceniem, a z drugiej - ulgą. Nieraz martwiło go, że - choć starał się, jak mógł - nie potrafił pokochać starego rybaka, a wiedział, że syn powinien kochać ojca. Teraz okazało się, że w ogóle nie był z Arszyszem spokrewniony. Ciężar spadł mu z serca. „Przecież mogę być nie wiadomo kim! - pomyślał. - Mogę być synem jakiegoś Tarkaana albo samego Tisroka, albo nawet synem jakiegoś boga!”

Tak rozmyślał, stojąc na łące przed domkiem. Zmierzch szybko zapadał i już pojawiło się kilka gwiazd, lecz na zachodzie wciąż czerwieniały smugi wieczornej zorzy. Nieopodal pasł się spokojnie koń przybysza, przywiązany do żelaznego kółka w ścianie stajni. Szasta podszedł do niego i poklepał po szyi. Koń nie zwrócił na to uwagi i dalej szczypał trawę.

Potem inna myśl przysła Szaście do głowy.

- Ciekaw jestem, co to za człowiek, ten Tarkaan - powiedział na głos do siebie. - Byłoby wspaniale, gdyby się okazał miły i szlachetny. Niektórzy niewolnicy w domach wielkich panów prawie nic nie robią. Noszą piękne stroje i codziennie jedzą mięso.

Może weźmie mnie na jakąś wojnę, a ja uratuję mu życie w bitwie, a potem on mnie wyzwoli i uczyni swoim synem, i da mi pałac, i rydwan, i herb. No tak, ale może też być strasznym, okrutnym człowiekiem. Może posłać mnie w łańcuchach do pracy w polu. Dobrze byłoby wiedzieć, co mnie czeka. Ale kto mi to powie? Założę się, że ten koń wie dużo - gdyby tylko potrafił mówić!

Koń podniósł łeb. Szasta pogłaskał go po gładkim jak jedwab nosie i powiedział:

- Och, jak bym chciał, żebyś potrafił mówić, mój stary.

I wówczas przez chwilę myślał, że śni, ponieważ zupełnie wyraźnie, choć bardzo cichym głosem, koń powiedział:

- Ależ potrafię.

Szasta wpatrzył się w wielkie oczy konia, a jego własne zrobiły się prawie tak samo wielkie.

- Ale w jaki sposób zdołałeś nauczyć się mówić?!

- zapytał ze zdumieniem.

- Sza! Nie tak głośno - odpowiedział Koń.

- Tam, skąd pochodzę, wszystkie zwierzęta potrafią mówić.

- Co to za kraj?

- Narnia - odrzekł Koń. - Szczęśliwa Narnia. Narnia porośniętych wrzosem wzgórz i tymiankowych dolin, Narnia wielu rzek, wilgotnych górskich polan, omszałych jaskiń i przepastnych puszczy, rozbrzmiewających odgłosem młotów i siekier karłów. Och, słodkie powietrze Narnii! Lepsza jest jedna godzina życia w Narnii niż tysiąc lat w Kalormenie.

I zarżał bardzo cicho, a zabrzmiało to jak westchnienie.

- Jak się tu znalazłeś? - zapytał Szasta.

- Porwano mnie - odrzekł Koń - albo skradziono, albo uprowadzono, jak wolisz. Byłem wtedy małym źrebakiem. Matka ostrzegала mnie, żebym się nie zapędzał na południowe zbocza, do Archenlandii i dalej, ale nie zwracałem na to uwagi. I... na grzywę Lwa!... zapłaciłem za swoją głupotę. Od tyłu już lat jestem niewolnikiem ludzi i muszę ukrywać swoją prawdziwą naturę, udając, że jestem niemy i tępy jak ICH konie.

- Dlaczego im nie powiedziałaś, kim naprawdę jesteś?

- Bo nie jestem skończonym głupcem. Gdyby się tylko dowiedzieli, że potrafię mówić, pokazywaliby mnie na jarmarkach i strzegli o wiele bardziej niż teraz. Mógłbym się pożegnać z myślą o ucieczce.

- Ale dlaczego... - zaczął Szasta, lecz Koń mu przerwał:

- Posłuchaj. Nie powinniśmy teraz marnować czasu na jałowe dysputy. Chciałeś się dowiedzieć, jaki jest mój pan, Tarkaan Anradin. No cóż, muszę ci powiedzieć, że to bardzo zły człowiek. Ze mną obchodzi się jeszcze nie najgorzej, bo koń bojowy zbyt wiele kosztuje, aby go można było źle traktować. Ale na twoim miejscu wolałbym paść trupem tej nocy, niż jutro zostać niewolnikiem w jego domu.

- A więc ucieknę - rzekł Szasta bardzo blady.

- Tak, musisz to zrobić - zgodził się Koń. - Dlaczego jednak nie miałbyś uciec ze mną?

- Ty też chcesz uciekać?

- Tak, jeśli ty uciekniesz ze mną. To szansa dla mnie i dla ciebie. Widzisz, gdybym uciekł sam, bez jeźdźca, każdy, kto mnie zobaczy, powie: „O, jakiś zabłąkany koń” i złapie mnie tak szybko, jak tylko zdoła. Z jeźdźcem na grzbiecie mam jakąś szansę. W ten sposób ty możesz pomóc mnie. Z drugiej strony na tych głupich dwu

nogach (cóż za absurdalne nogi mają ludzie!) nie zdołasz oddalić się tak szybko, aby cię nie schwytano. A na moim grzbiecie możesz wyprzedzić najszybszego konia w tym kraju. I tutaj ja mogę pomóc tobie. Mam nadzieję, że potrafisz jeździć konno?

- O tak, potrafię - odparł Szasta. - W każdym razie jeździłem na osie.

- Na CZYM? - zapytał Koń z najwyższą pogardą. (W każdym razie o to mu chodziło, bo w rzeczywistości było to coś w rodzaju rżenia „Na-a-a-a-a-y-y-y-m?” Mówiące konie zawsze mają bardziej końską wymowę, gdy ktoś je zdenerwuje.) - Innymi słowy - ciągnął dalej - NIE potrafisz jeździć konno. To poważna wada. Będę cię musiał uczyć w trakcie ucieczki. Jeśli nie umiesz jeździć konno, to czy potrafisz przynajmniej upadać?

- Chyba każdy potrafi upadać - zdziwił się Szasta.

- Chodzi mi o to, czy potrafisz upaść i podnieść się bez krzyku i płaczu, a potem dosiąść konia ponownie i znowu spaść, nie bojąc się tego spadania?

- S-s-s-próbuję...

- Biedne stworzenie - powiedział Koń łagodniejszym tonem. - Zapomniałem, że jesteś dopiero źrebakiem. Zrobimy z ciebie wspaniałego jeźdźca. No cóż, nie możemy ruszyć, dopóki ci dwaj nie zasną, mamy więc trochę czasu, aby wszystko dobrze zaplanować. Mój Tarkaan udaje się na północ, do wielkiego miasta. Jedzie na dwór Tisroka do Taszbaanu...

- Ej! - przerwał mu Szasta z przerażeniem. - Powinieneś chyba dodać „oby żył wiecznie”?

- A niby dlaczego? Jestem wolnym Narnijczykiem. Dlaczegoż bym miał mówić językiem niewolników i głupców? Wcale nie chcę, aby żył wiecznie, i dobrze wiem, że nie będzie żył wiecznie, czy tego chcę, czy nie. Jak zdążyłem zauważyć, ty też pochodzisz z wolnej północy. Darujmy sobie ten południowy żargon! Ale wróćmy do naszych planów. Jak powiedziałem, ten człowiek jest w drodze na północ, do Taszbaanu.

- Czy to oznacza, że powinniśmy uciekać na południe?

- Wcale nie - rzekł Koń. - Pamiętaj, że dla niego jestem tylko niemym i tępym koniem, jak inne. A gdybym naprawdę taki był, to co bym zrobił? Natychmiast po zerwaniu postronka pobiegłbym do domu, do stajni. Za dwa dni byłbym z powrotem w jego pałacu na południu Kalormenu. I właśnie tam będzie mnie szukał. Nigdy mu nie wpadnie do głowy, że mogłem sam uciec na północ. Co najwyżej pomyśli, że ukradł mnie ktoś, kto widział nas w ostatniej wiosce i śledził aż tutaj.

- Hurra! - zawołał Szasta. - A więc jedziemy na północ. Tęskniłem za tym przez całe życie.

- To oczywiste. Wzywa cię tam twoja krew. Dałbym głowę, że jesteś czystej krwi Narnijczykiem. Ale nie tak głośno. Chyba już zasnęli.

- Może będzie lepiej, jeśli podkradnę się tam i sprawdzę? - zapytał szeptem chłopiec.

- To dobry pomysł. Ale uważaj, żeby cię nie nakryli.

Było już o wiele ciemniej i zupełnie cicho, jeśli nie liczyć miarowego szumu fal przy brzegu, ale tego Szasta nie słyszał, bo dźwięk ten towarzyszył mu w dzień i w nocy, odkąd tylko pamiętał. W domku było ciemno. Nadsluchiwał chwilę pod drzwiami, ale wewnątrz panowała cisza. Dopiero kiedy zbliżył się do jedyne okienka, usłyszał znajomy, świszczący dźwięk: chrapanie starego rybaka. Dziwnie było pomyśleć, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie usłyszy już tego dźwięku nigdy. Wstrzymując oddech i czując lekkie wyrzuty sumienia (ale to uczucie ginęło w przepelniającym go szczęściu), Szasta oddalił się na palcach od okienka i podszedł do stajni. Wymacał ręką klucz tam, gdzie zawsze był schowany, otworzył drzwi i znalazł siodło i uprząż. Potem pocałował osła w nos.

- Przykro mi, że nie możemy zabrać i CIEBIE - powiedział.

- Jesteś wreszcie - rzekł Koń, gdy chłopiec wrócił. - Zaczynałem się już niepokoić.

- Poszedłem do stajni po twoje rzeczy. Musisz mi teraz powiedzieć, jak się to wszystko zakłada.

Przez następne kilka minut Szasta miał pełne ręce roboty. Starał się przy tym unikać hałasu, a Koń pouczał go szeptem: „Zaciągnij trochę mocniej popręg” albo: „Będziesz musiał porządnie skrócić te strzemiona”, albo: „Tam, niżej, znajdziesz sprzączkę”. Kiedy wszystko było już na swoim miejscu, powiedział:

- Musimy zachować cugle, tak żeby wszystko wyglądało jak powinno, ale nie będziesz ich używał. Przywiąż je do łęku siodła, bardzo luźno, żebyś mógł robić z głową co zechcę. I pamiętaj: masz ich nie ruszać!

- To po co w ogóle są? - zapytał Szasta.

- Normalnie po to, aby mną kierować. Ale ponieważ mam zamiar sam się tym zająć, trzymaj ręce przy sobie. I jeszcze jedno: wołałbym, żebyś nie wpijał się kurczowo w moją grzywę.

- Jeżeli nie mogę się trzymać ani cugli, ani twojej grzywy, to może byś mi

wyjaśnił, CZEGO mam się trzymać?

- Trzymaj się mnie kolanami - odrzekł Koń. - To jest sekret dobrej jazdy na koniu. Ściśnij mnie kolanami tak mocno, jak potrafisz, siedź prosto, jakbyś kij połknął, łokcie przyciśnięte do boków. Aha, przy okazji, czy możesz mi powiedzieć, co zrobiłeś z ostrogami?

- Założyłem je na pięty, ma się rozumieć - odpowiedział Szasta. - Nie bój się, wiem, do czego służą.

- To bądź tak dobry i zdejmij je. Włóż do torby przy siodle. Może uda się nam je sprzedać w Taszbaanie. Jesteś gotów? A więc możesz na mnie włożyć.

- Och! Jesteś strasznie wysoki - wysapał chłopiec po pierwszej nieudanej próbie.

- Jestem po prostu koniem - padła odpowiedź. - Chociaż, sądząc po sposobie, w jaki próbujesz mnie dosiąść, można by pomyśleć, że jestem stogiem siana. O tak, teraz lepiej. Siedź prosto i pamiętaj, co ci mówiłem o kolanach. To zabawne pomyśleć, że nieraz prowadziłem szarżę konnicy i zwyciężałem w gonitwach, a teraz niosę w siodle taki worek kartofli. No, ale w drogę! - I zachichotał, bynajmniej nie złośliwie.

Koń rozpoczął nocną podróż bardzo rozważnie. Najpierw powędrował na południe, do małej rzeczki wpadającej do morza, i upewnił się, czy zostawił na mokrym piasku wyraźne ślady podków, wskazujące, że uciekł na południe. Potem wszedł do wody i brodząc udał się w górę rzeczki, aż znaleźli się kilkaset metrów dalej w głąb łądu niż chatka rybaka. Potem zaś, wciąż idąc stępą, skierował się na północ i wkrótce chatka rybaka, drzewa, stajnia osiołka i ujście rzeczki - wszystko, co Szasta dotąd znał - znikły w szarej ciemności letniej nocy.

Wspięli się po łagodnym stoku na krawędź wzniesienia - tę krawędź, która zawsze była dla Szasty granicą znanego mu świata. W ciemności chłopiec nie widział wyraźnie, co było przed nimi, wiedział tylko, że jest to otwarta, trawiasta przestrzeń, wydająca się nie mieć końca: dzika, pusta i wolna.

- Hej! - zawołał Koń. - Czyż to nie wymarzona okolica do galopu, co?

- Och, nie! - odpowiedział szybko Szasta. - Jeszcze nie! Nie wiem, jak... Wybacz mi, Koniu, nie znam twojego imienia...

- Brihy-hinny-brinny-huhy-haaah - odpowiedział Koń.

- Nigdy się tego nie nauczę - westchnął Szasta. - Czy mogę cię nazywać Bri?

- No cóż, jeśli to wszystko, na co cię stać, to niech będzie. A jak mam nazywać ciebie?

- Mam na imię Szasta.

- Hm... dopiero teraz mamy do czynienia z imieniem, które trudno wymówić. Ale wróćmy do sprawy galopu. To jest naprawdę o wiele łatwiejsze niż trucht, bo nie musisz się podnosić i opadać. Ściśnij mnie mocno kolanami, a wzrok utkwij przed sobą. Nie patrz na ziemię. Jeśli będzie ci się zdawało, że za chwilę spadniesz, po prostu ściśnij mocniej kolana i bardziej się wyprostuj. Jesteś gotów? A więc w drogę! Narnia i Północ!

ROZDZIAŁ 2

PRZYGODA W DRODZE

Zbliżało się już południe następnego dnia, gdy Szastę obudziło coś ciepłego i miękkiego, co głaskało go po twarzy. Otworzył oczy i tuż nad sobą zobaczył długi łeb Konia. Przypomniawszy sobie niesamowite wydarzenia ostatniej nocy i usiadł. Ale jak tylko to zrobił, jęknął.

- Och, Bri! - wystękał. - Wszystko mnie boli. Wszędzie! Nie mogę się ruszyć.

- Dzień dobry, mój mały - powiedział Bri. - Nie wątpię, że możesz być trochę obolały. Ale to nie z powodu upadków. Nie było ich więcej niż tuzin lub coś koło tego, za to wszędzie była cudowna, miękka, sprężysta darni, na którą tak pysznie się spada. Tylko jeden wydawał się dość przykry, ale na szczęście wpadłeś w krzaki janowca. Nie, to nie upadki, to sama jazda bywa nieco ciężka dla początkującego. Co byś powiedział o śniadaniu? Ja już swoje zjadłem.

- Och, niech licha porwie śniadanie! Mam dosyć wszystkiego. Mówię ci, że nie mogę się ruszyć.

Ale Koń zaczął go trącać nosem, a potem delikatnie popychać kopytem i w końcu chłopiec musiał wstać. Rozejrzał się dookoła, by zobaczyć, dokąd zawędrowali. Za nimi rósł niewielki zagajnik. Przed nimi rozciągała się zielona, upstrzona białymi kwiatkami równina, lekko opadająca ku krawędzi skalnego urwiska. A za urwiskiem, bardzo daleko i bardzo nisko, tak że szum fal ledwo do nich docierał, było morze. Szasta nigdy nie widział morza z takiej wysokości i nigdy nie podejrzewał, że jest tak wielkie i tak bajecznie kolorowe. Na lewo i na prawo biegło wybrzeże, przylądek za przylądkiem: miejscami białe grzywy bałwanów rozbijających się o skały - tak daleko, że nie słychać było ich łoskotu. W górze szybowały mewy, a tuż nad ziemią powietrze drgało; był upalny dzień. Najbardziej jednak uderzyła Szastę jakaś zmiana w powietrzu - czegoś mu brakowało. Dopiero po dłuższym czasie zdał sobie sprawę czego: brakowało zapachu ryb, tego zapachu, który towarzyszył mu dotąd wszędzie: w domku, nad brzegiem morza, gdy naprawiał sieci, w stajni, gdzie stał wózek - zawsze i wszędzie. Tutaj zaś powietrze było cudownie czyste i orzeźwiające. Całe jego dotychczasowe życie wydało mu się tak odległe, że na chwilę zapomniał o siniakach i zeszywniałych mięśniach.

- Słuchaj, Bri - powiedział - zdaje się, że mówiłeś coś o śniadaniu?

- Nie mylisz się - odparł Koń. - Chyba znajdziesz coś dla siebie w torbach przy siodle. Są tam, na drzewie, gdzie je powiesiłeś w nocy... a raczej o świcie.

Zbadali zawartość toreb i znaleźli sporo pożytecznych rzeczy: pasztet w cieście, tylko trochę zestarzały, bryłę suszonych fig i kawał zielonego sera, małą utelkę wina i nieco pieniędzy, około czterdziestu krescentów, co było sumą, jakiej Szasta nigdy dotąd nie widział.

Szasta usiadł pod drzewem - ostrożnie i wciąż postępując z bólu - i zabrał się do pasztetu, a Bri do świeżej trawy, by dotrzymać mu towarzystwa.

- Czy użycie tych pieniędzy nie będzie kradzieżą? - zapytał po chwili Szasta.

- Hm... - mruknął Koń, podniósłszy łeb znad trawy - nie zastanawiałem się nad tym. Wolny koń, i do tego mówiący koń, nie powinien kraść, to jasne. Ale myślę, że wszystko jest w porządku. Właściwie jesteśmy jeńcami uciekającymi z kraju wroga. Te pieniądze są naszym wojennym łupem. A zresztą, jak sobie bez nich wyobrażasz zdobycie dla siebie jakiegoś jedzenia? Przypuszczam, że tak jak wszyscy ludzie nie jadasz normalnego pożywienia, to znaczy trawy i owsa?

- No nie, nie jadam. - A próbowałeś?

- Tak, próbowałem. Niestety, nie mogę tego przełknąć. Gdybyś był mną, też byś nie mógł.

- Dziwne z was stworzenia - mruknął Bri. Kiedy Szasta skończył śniadanie (a było to najlepsze śniadanie, jakie jadł w życiu), Bri powiedział:

- Chyba się trochę wytarzam w trawie, zanim mi nałożysz siodło. - I natychmiast przewrócił się na grzbiet i zaczął tarzać w miękkiej darni, wymachując wszystkimi czterema nogami w powietrzu i powtarzając:

- O tak! To jest to. To bardzo dobre. Ty też powinieneś spróbować, Szasto. Nic tak nie odświeża.

Ale Szasta wybuchnął śmiechem:

- Naprawdę, wyglądasz bardzo śmiesznie, leżąc na grzbiecie!

- Nic podobnego - odpowiedział Bri, lecz nagle przewrócił się na bok, podniósł łeb i popatrzył uważnie na chłopca, lekko dysząc. - Czy to naprawdę wygląda śmiesznie? - spytał zaniepokojony.

- Tak, to bardzo śmieszne - odparł Szasta. - Ale jakie to ma znaczenie?

- A czy nie przypuszczasz, że to może być coś, czego mówiące konie nigdy nie robią, i że jest to po prostu jakaś głupota, błazeńska sztuczka, której nauczyłem się od niemych koni? To okropne, gdyby w Narnii się okazało, że nabrałem jakichś złych, nieokrzesanych manier. Co o tym myślisz, Szasto? Czy sądzisz, że prawdziwe wolne konie - mówiące konie - tarzają się w trawie?

- A skąd mam o tym wiedzieć? W każdym razie ja bym się tym nie przejmował, gdybym był tobą. Najpierw musimy się tam dostać. Czy znasz drogę?

- Znam dobrze drogę do Taszbaanu. Potem jest pustynia. Och, nie martw się, jakoś przez nią przejdziemy. A potem, pomyśl tylko, zobaczymy północne góry. Tylko pomyśl! Narnia i Północ! Nic nas wówczas nie zatrzyma. Ale będę się czuł pewniej, gdy już minimy Taszbaan. I dla mnie, i dla ciebie byłoby bezpieczniej trzymać się z dala od miast.

- A nie możemy go ominąć?

- Musielibyśmy wówczas zapuścić się w głąb lądu, a to oznacza gęsto zaludnione ziemie uprawne i wiele uczęszczanych dróg. Nietrudno też zmylić kierunek. Nie, będziemy się trzymać brzegu morza. Tu, na wyżynie, możemy spotkać tylko króliki, mewy i najwyżej kilku pasterzy. No to co, ruszamy?

Kiedy Szasta zakładał uprząż, a potem wspinał się na siodło, nogi okropnie mu drżały, ale Bri okazał wyrozumiałość i przez całe popołudnie szedł stępa. Był już zmierzch, gdy zjechali jakąś stromą drogą w dolinę i znaleźli tam wioskę. Szasta zsiadł z Konia i poszedł kupić trochę chleba i rzodkwi, a Bri ominął wioskę polami. Spotkali się po drugiej stronie. Tak odtąd robili co drugą noc.

Były to dla chłopca cudowne dni, a każdy wydawał mu się lepszy od poprzedniego, bo z każdym mięśnie bolały go coraz mniej i coraz rzadziej spadał. Ale nawet pod koniec nauki jazdy Bri twierdził, że Szasta siedzi w siodle jak worek mąki. „Nawet gdyby to było bezpieczne, wstydziłbym się pokazać z tobą na głównej drodze, młody człowieku.” Ale pomimo tych surowych słów Bri był bardzo cierpliwym nauczycielem. Nikt nie może lepiej uczyć jazdy niż koń. Szasta nauczył się jeździć truchtem i cwałem, nauczył się skakać przez przeszkody i trzymać w siodle nawet wtedy, gdy Bri zatrzymywał się raptownie bez ostrzeżenia lub skręcał nagle w lewo lub w prawo, co - jak mu Bri powiedział - może się w każdej chwili zdarzyć podczas bitwy. Szasta błagał go, by opowiedział mu o bitwach i wojnach, w których niósł na sobie Tarkaana. I Bri opowiadał o forsownych marszach, o przeprawach przez rwące rzeki, o szarżach i dzikich walkach między konnicami, kiedy to konie bojowe walczą razem z ludźmi, nauczone gryźć, kopać i stawać dęba w odpowiednim momencie, tak aby ciężar konia i jeźdźca, spadał na wroga jednocześnie z uderzeniem miecza lub bojowego topora. Ale nie chciał opowiadać o tych bojach tak często, jak by tego pragnął Szasta. „Nie ma o czym mówić, młodzieńcze. To były wojny Tisroka, a ja walczyłem w nich jako zniewolone, nieme zwierzę. Co innego narnijskie wojny, gdzie

będę walczyć jako wolny koń razem z moim ludem. To dopiero będą wojny warte opowieści! Narnia i Północ! Braa-ha-ha! Bruu-hu-hu!”

Wkrótce Szasta już wiedział, że kiedy Bri mówi coś takiego, trzeba się przygotować do galopu.

Wędrowali tak całe tygodnie, mijając coraz to nowe zatoki, przylądki, rzeki i wioski, aż nadeszła pewna księżycowa noc, kiedy ruszyli w drogę wieczorem, po dniu spędzonym na wypoczynku. Pozostawili już za sobą torfiasty płaskowyż i teraz przecinali szeroką równinę, mając o jakieś pół mili na lewo las, a na prawo - w podobnej odległości - morze, ukryte za piaszczystymi pagórkami. Posuwali się niezbyt szybko prawie godzinę, raz truchtem, raz stępą, gdy nagle Bri stanął.

- Co się stało? - zapytał Szasta.

- Cicho! - powiedział Bri, kręcąc wokoło łbem i strzygąc uszami. - Czy nic nie słyszysz? Posłuchaj.

- Słyszę. Tak jakby tam był inny koń, pomiędzy nami a lasem - odparł Szasta po dłuższej chwili.

- To JEST inny koń - stwierdził Bri. - I wcale mi się to nie podoba.

- Może to jakiś gospodarz wraca późno do domu. - Szasta stłumił ziewanie.

- Nie opowiadaj głupstw. To NIE JEST żaden gospodarz. To NIE JEST koń wiejski. Nie słyszysz tego? To koń z klasą. I siedzi na nim prawdziwy jeździec. Powiem ci, co to jest, Szasto. Tam, pod lasem, jedzie na koniu prawdziwy Tarkaan. Nie na koniu bojowym: jest na to za lekki. To mi wygląda na klacz pełnej krwi, ot co.

- O, teraz się zatrzymało, cokolwiek to jest - zauważył Szasta.

- Masz rację. Ale dlaczego zatrzymało się wtedy, kiedy i my się zatrzymaliśmy? Szasto, mój chłopcze, obawiam się, że ktoś nas śledzi.

- Co zrobimy? - zapytał Szasta szeptem. - Czy myślisz, że nas widzi i słyszy?

- W tym oświetleniu chyba nie, póki stoimy i jesteśmy cicho. Ale zobacz, nadciąga chmura. Poczekamy, aż zakryje księżyc. Wtedy ruszymy cichutko w prawo, w stronę wybrzeża. W razie czego możemy się ukryć między tymi pagórkami.

Poczekali, aż chmura zakryła księżyc, i ruszyli w stronę morza, najpierw ostrożnym, wolnym krokiem, potem łagodnym truchtem.

Obłok był grubszy i większy, niż się z początku wydawało, i wkrótce zrobiło się bardzo ciemno. I właśnie wtedy, gdy Szasta pomyślał: „Musimy już być blisko tych pagórków”, serce podskoczyło mu do gardła, ponieważ w ciemności przed nimi rozległ się nagle długi, chrapliwy ryk, pełen melancholii i zarazem strasznej dzikości. Bri

zawrócił w miejscu i zaczął galopować z powrotem w głąb łądu tak szybko, jak potrafił.

- Co to było? - wydusił z siebie Szasta.

- Lew! - odpowiedział Koń, nie zwalniając biegu i nie odwracając głowy.

Szalony galop trwał przez dłuższy czas. W końcu przecięli jakiś szeroki, lecz płytki strumień i Bri zatrzymał się na drugim brzegu. Szasta zauważył, że Koń drży i cały pokryty jest potem.

- Może ta bestia zgubi nasz ślad w wodzie - szepnął Bri, gdy odzyskał oddech. - Możemy teraz trochę zwolnić.

I ruszył dalej stępa, a po chwili powiedział:

- Wstyd mi, Szasto. Jestem tak przerażony jak zwykły, niemy koń z Kalormenu. Naprawdę, boję się. Wcale się nie czuję jak mówiący koń. Nie boję się mieczów, lanc i strzał... ale te bestie! Chyba przejdziemy w trucht.

Po minucie przeszedł jednak znowu do galopu - i trudno się było temu dziwić. Ryk odezwał się ponownie, tym razem z lewej strony, od lasu.

- Są dwa! - jęknął Bri.

Galopowali przez kilka minut w ciszy, aż Szasta powiedział:

- Posłuchaj! Ten drugi koń galopuje teraz razem z nami. Zaledwie o rzut kamieniem od nas.

- Tym lep-p-piej! - odpowiedział Koń, dysząc ciężko. - Tarkaan na koniu... na pewno ma miecz... może nas obroni.

- Ależ Bri! - zawołał Szasta. - Możemy być równie dobrze zabici przez lwy, jak złapani. Przynajmniej DLA MNIE nie ma różnicy: powieszą mnie za kradzież konia. - Mniej bał się lwów niż Bri, ponieważ nigdy jeszcze żadnego nie spotkał; Bri miał już z nimi do czynienia.

Koń tylko zarżał w odpowiedzi, ale skręcił nieco w prawo. I rzecz dziwna: drugi koń również zmienił kierunek, wyraźnie oddalając się w lewo, tak że w ciągu kilku sekund przestrzeń między nimi znacznie się poszerzyła. Ale natychmiast rozległy się znowu ryki lwów, jeden po prawej, drugi po lewej stronie, i wkrótce oba konie zbliżyły się do siebie. Wszystko wskazywało na to, że lwy uczyniły to samo. Ich ryk przybliżał się coraz bardziej; bestie z łatwością dotrzymywały kroku galopującym dziko koniom. Potem księżyc wyszedł zza chmury. W jego świetle zrobiło się jasno jak w dzień. Dwa konie i dwaj jeźdźcy mknęli obok siebie łeb w łeb i kolano w kolano, jakby to był wyścig. I zaprawdę, jak powiedział później Bri, nie widziano jeszcze w Kalormenie tak wspaniałej gonitwy. Szasta stracił już nadzieję i zaczął się zastanawiać, czy lwy

zabijają szybko, czy też bawią się przedtem swoją zdobyczą jak koty złapaną myszą, i czy to bardzo boli. Jednocześnie (jak to czasami bywa w najbardziej przerażających momentach) widział wszystko wokół siebie bardzo dokładnie. Zobaczył, że drugi jeździec jest niski i szczupły, odziany w zbroję (odbijało się w niej światło księżyca) i świetnie trzyma się w siodle.

Nagle pojawiło się przed nimi coś jaśniejszego i płaskiego. Zanim Szasta zdążył pomyśleć, co to jest, rozległ się głośny plusk... i poczuł, że ma w ustach pełno słonej wody. Jaśniejsza rzecz okazała się długą morską zatoką lub ujściem rzeki. Oba konie płynęły teraz obok siebie; woda sięgała chłopcu do pasa. Za nimi rozległ się rozdrażniony, wściekły ryk. Szasta odwrócił się i zobaczył wielki, kosmaty, przerażający kształt przyczajony na brzegu - ale tylko jeden. „Drugi musiał odpaść w tej gonitwie”, pomyślał.

Lew najwyraźniej nie uważał, by łup wart był zamoczenia futra, w każdym razie nawet nie próbował wejść do wody. Dwa konie znajdowały się teraz pośrodku zatoki; widać już było przeciwległy brzeg. Tarkaan nie odezwał się jeszcze ani słowem. „Ale się odezwie - pomyślał Szasta. - Jak tylko będziemy na tamtym brzegu, zacznę mnie wypytywać. Co mam mu powiedzieć? Muszę szybko coś wymyślić.”

Wtem usłyszał tuż obok siebie dwa głosy.

- Och, jestem już tak zmęczona - powiedział pierwszy.

- Trzymaj język za zębami, Hwin, i nie bądź głupia - rzekł drugi.

„Chyba śnię - pomyślał Szasta. - Mogę przysiąc, że ten drugi koń przemówił.”

Teraz konie przestały płynąć i wkrótce wyszły na brzeg zatoki z głośnym pluskiem wody ściekającej z ich boków i ogonów oraz z hałasem ośmiu podków miażdżących wygładzone przez fale kamienie. Ku zaskoczeniu chłopca Tarkaan nie sprawiał wrażenia, by miał ochotę go wypytywać. Nawet na Szastę nie spojrzął. Wyglądało na to, że myśli tylko o tym, by ruszyć w dalszą podróż. Lecz Bri natychmiast zabiegł drogę drugiemu koniowi.

- Bruuu-huu-ha! - zarżał. - Tylko spokojnie! SŁYSZAŁEM CIĘ, tak, słyszałem. Nie ma co udawać, pani. Słyszałem ciebie. Jesteś mówiącym koniem, narnijskim koniem, tak jak ja.

- I co z tego? - przerwał mu dziwny jeździec ostrym głosem, kładąc dłoń na rękojeści miecza. Lecz głos, którym wypowiedziano te słowa, zdradził chłopcu coś zupełnie nowego i zaskakującego.

- Hej, to tylko dziewczyna! - wykrzyknął.

- A co ci do tego, że jestem TYLKO dziewczyną? - warknął jeździec. - A ty jesteś tylko chłopakiem: zwykłym, nieokrzesanym małym chłopcem, prawdopodobnie niewolnikiem, który ukradł konia swojemu panu.

- Czy to już wszystko, co o mnie wiesz? - zapytał Szasta.

- On nie jest złodziejem, mała Tarkiino - wtrącił się Bri. - Jeżeli już była jakaś kradzież, to można raczej powiedzieć, że to JA ukradłem JEGO. A jeśli chodzi o to, co nam do tego wszystkiego, to nie sądzisz chyba, że spotkawszy w tak dziwnym miejscu damę pochodzącą z mojej rasy, pozwolę jej odejść, nie próbując z nią porozmawiać. To chyba naturalny odruch, nie uważasz?

- Ja też uważam, że to bardzo naturalne - odezwała się klacz.

- Wszystko przez to, że nie potrafisz trzymać języka za zębami, Hwin - powiedziała dziewczyna.

- W ładne kłopoty nas wpakowałaś.

- Nie widzę żadnych kłopotów - rzekł Szasta.

- Możesz sobie odjechać, kiedy tylko zechcesz. Nie będziemy cię zatrzymywać.

- Z pewnością nie będziecie - powiedziała dziewczyna.

- Cóż to za kłótnie stworzenia, ci ludzie - zwrócił się Bri do klaczy. - Zupełnie jak muły. Spróbujmy porozmawiać rozsądnie. Założę się, pani, że twoja historia jest podobna do mojej: porwana za młodu, całe lata niewoli w Kalormenie?

- Nie mylisz się, panie - odpowiedziała klacz z melancholijnym rzeniem.

- A teraz zapewne uciekasz?

- Powiedz mu, żeby się zajął swoimi sprawami, Hwin - wtrąciła dziewczyna.

- Nie zrobię tego, Arawis - powiedziała klacz, kładąc uszy po sobie. - To jest tak samo moja ucieczka jak twoja. I jestem pewna, że tak szlachetny rumak nie zamierza nas zdradzić. Owszem, próbujemy stąd uciec. Chcemy dotrzeć do Narnii.

- Robimy dokładnie to samo - rzekł Bri. - Oczywiście odgadłaś to na samym początku. Cóż innego może znaczyć mały chłopiec w łachmanach, jadący (albo próbujący jechać) na bojowym koniu pośród nocy, jeśli nie jakąś ucieczkę? Ale, jeśli wolno mi powiedzieć coś więcej, cóż innego może oznaczać wysoko urodzona Tarkiina, jadąca konno w nocy, ubrana w zbroję swego brata i bardzo dbająca o to, aby każdy zajmował się swoimi sprawami i nie zadawał jej żadnych pytań? Jeśli to nie jest podejrzane, to możesz mnie nazywać kucykiem.

- A więc dobrze - odezwała się Arawis. - Zgadłeś. Hwin i ja uciekamy stąd. Chcemy się dostać do Narnii. I co z tego?

- No cóż, jeśli tak, to co stoi na przeszkodzie, abyśmy to robili razem? - zapytał Bri. - Mam nadzieję, pani Hwin, że zgodzisz się na takie towarzystwo, no i ochronę, jaką mogę ci zapewnić podczas tej wędrówki?

- Dlaczego, do licha, mówisz wciąż do mojego konia, a nie do mnie? - zdenerwowała się dziewczyna.

- Wybacz mi, Tarkiino - rzekł Bri, nieznacznie tuląc uszy - ale to kalormeńska mowa. Jesteśmy wolnymi Narnijczykami, Hwin i ja, i przypuszczam, że jeśli uciekasz do Narnii, to i ty chcesz być wolną Narnijką. A jeśli tak, to Hwin nie jest już TWOIM koniem. Można równie dobrze powiedzieć, że ty jesteś JEJ człowiekiem.

Dziewczyna otworzyła usta, aby coś powiedzieć, lecz zaraz zamknęła je bez słowa. Dopiero po chwili przemówiła:

- Wciąż nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy uciekać razem. Czyż nie będziemy zwracać na siebie większej uwagi?

- Wręcz przeciwnie - rzekł Bri, a klacz dodała:

- Och, zrobmy tak! Będę się czuła o wiele bezpieczniej. Nie wiemy nawet, czy zmierzamy w dobrym kierunku. Jestem pewna, że tak potężny rumak wie o wiele więcej od nas.

- Daj spokój, Bri - odezwał się Szasta. - Niech sobie idą swoją drogą. Czy nie widzisz, że nie odpowiada im nasze towarzystwo?

- Ależ odpowiada - rzekła Hwin.

- Posłuchaj - zwróciła się dziewczyna do Konia - nie mam nic przeciwko temu, by uciekać z tobą, panie koniu bojowy, ale mam wątpliwości co do tego chłopca. Skąd mam wiedzieć, że nie jest szpiegiem?

- Dlaczego nie powiesz od razu, że nie jestem cię wart? - wtrącił Szasta.

- Uspokój się, Szasto - powiedział Bri. - Pytanie Tarkiiny jest całkiem do rzeczy. Ja ręczę za tego chłopca, Tarkiino. Był wobec mnie szczerzy, a teraz jest moim przyjacielem. I z całą pewnością pochodzi z Narnii albo z Archenlandii.

- A więc dobrze. Jedźmy razem. - Ale nie powiedziała tego do Szasty i było oczywiste, że liczy się tylko z Koniem.

- Wspaniale! - zawołał Bri. - A teraz, skoro już od tych okropnych bestii dzieli nas kawał morza, co byście wy, ludzie, powiedzieli na to, żeby nas rozsiadłać? Wszyscy potrzebujemy odpoczynku i wszyscy chcemy posłuchać swoich historii.

Dzieci rozsiadły konie, które znalazły sobie od razu trawę, a Arawis wyjęła z torby przy siodle całkiem smakowite rzeczy. Szasta nadąsał się i odmówił, udając, że

nie jest głodny. Próbował zachowywać się w bardzo wyszukany sposób, ale ponieważ chatka rybaka nie jest zwykle najlepszym miejscem do nauczenia się wykwinnych manier, rezultat był opłakany. Wyczuł jednak szybko, że nie odnosi sukcesu, co spowodowało, iż stawał się coraz bardziej niezręczny i nadąsany. Koniom poszło o wiele lepiej. Wspominały znajome miejsca w Narnii („trawiaste łąki powyżej Bobrowej Tamy”) i nawet odkryły, że są dalekimi kuzynami. Jeśli chodzi o ludzi, to sytuacja stawała się coraz bardziej i bardziej kłopotliwa, aż w końcu Bri powiedział:

- A teraz, Tarkiino, opowiedz nam coś o sobie. I nie musisz się spieszyć. Czuję się tu znakomicie.

Arawis zaczęła opowiadać, siedząc nieruchomo ze skrzyżowanymi nogami i używając przy tym zupełnie innego tonu i stylu niż dotychczas. W Kalormenie bowiem uczy się opowiadania różnych historii (niezależnie od tego, czy są prawdziwe, czy zmyślane), tak jak w Anglii uczy się dziewczęta i chłopców pisania wypracowań. Różnica polega na tym, że wszyscy lubią słuchać opowieści, natomiast nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by lubił czytać wypracowania.

ROZDZIAŁ 3

U BRAM TASZBAANU

- Nazywam się Arawis Tarkiina i jestem jedyną córką Kidrasza Tarkaana, syna Riszkiego Tarkaana, syna Kidrasza Tarkaana, syna Ilsombreha Tisroka, syna Ardiba Tisroka, który pochodził w prostej linii od boga Tasza. Mój ojciec jest panem prowincji Kalawar i należy do tych, którzy mają przywilej stania w obuwiu przed obliczem samego Tisroka (oby żył wiecznie!). Moja matka (niech pokój bogów zawsze z nią będzie!) umarła, a mój ojciec poślubił drugą żonę. Jeden z moich braci padł w bitwie z powstańcami na dalekim zachodzie, drugi jest jeszcze małym dzieckiem. Tak się złożyło, że moja macocha znienawidziła mnie od samego początku i słońce traciło blask w jej oczach, dopóki żyłam w domu mego ojca. Tak więc wymusiła na moim ojcu, aby mnie obiecał za żonę Ahoszcie Tarkaanowi. Ten Ahoszta jest niskiego pochodzenia, ale w ostatnich latach, dzięki pochlebstwom i przewrotnym radom, wkradł się w łaski samego Tisroka (oby żył wiecznie!), tak że uczyniono go Tarkaanem i panem wielu miast i prawdopodobnie zostanie wybrany wielkim wezyrem, gdy obecny wezyr umrze. Co więcej, ma z sześćdziesiąt lat i garb na plecach, a jego twarz przypomina do złudzenia twarz małpy. Jednakże ojciec mój, ze względu na wielkie wpływy i bogactwo tego Ahoszty, a także namówiony przez moją macochę, posłał do niego, ofiarowując mu moją rękę. Propozycja została łaskawie przyjęta i Ahoszta przysłał wiadomość, że zamierza poślubić mnie jeszcze w tym roku, w pełni lata.

Kiedy mi to oznajmiono, słońce straciło blask w moich oczach, zamknęłam się w sypialni i płakałam na łóżku przez cały dzień. Ale następnego dnia wstałam, umyłam twarz i kazałam osiodłać moją klacz, Hwin. Wzięłam ostry sztylet, który mój brat miał ze sobą podczas wojny na zachodzie, i opuściłam samotnie dom mego ojca. A kiedy zniknął mi już z oczu i przybyłam na zieloną polanę w pewnym lesie, z dala od ludzkich osiedli, zsiadłam z konia i wyjęłam sztylet. Rozchyliłam szaty tam, gdzie najłatwiej trafić ostrzem w serce, i pomodliłam się do wszystkich bogów, abym spotkała swego brata, gdy tylko rozstanę się z życiem. Potem zamknęłam oczy, zacisnęłam zęby i podniosłam sztylet, by go sobie wbić w serce. Ale zanim to uczyniłam, ta oto klacz przemówiła do mnie głosem jednej z cór ludzkich i powiedziała: „O moja pani, za nic w świecie nie niszczy swego młodego życia! Rozważ w swoim sercu, że będąc żywą, możesz jednak znaleźć w końcu szczęście, natomiast będąc martwą, podzielisz smutny los wszystkich zmarłych”.

- Nie powiedziałam tego nawet w połowie tak pięknie - mruknęła klacz.

- Sza, pani, sza! - uciszył ją Bri, wyraźnie rozkoszując się opowieścią. - Ta młoda dama opowiada w świetnym kałormeńskim stylu i żaden z opowiadaczy na dworze Tisroka nie zrobiłby tego lepiej. Mów dalej, Tarkiino.

- Kiedy usłyszałam ludzką mowę płynącą z ust mojej klaczy, powiedziałam sobie, że oto lęk przed śmiercią pomieszał mi zmysły i zaczynają mnie nawiedzać sny na jawie. Serce moje przepełnił głęboki wstyd, gdyż nikt z mojego rodu nie powinien lękać się śmierci bardziej niż ukąszenia komara. Wzniosłam więc sztylet po raz drugi, gdy Hwin zbliżyła się do mnie, wsadziła łeb między mnie a ostrze i zaczęła mi przedstawiać wszystkie powody, dla których nie powinnam tego czynić, i upominała mnie tak, jak matka upomina córkę. Ogarnęło mnie takie zdumienie, że zupełnie zapomniałam o Ahoszcie i o zamiarze odebrania sobie życia, i zapytałam: „O moja Hwin, w jaki sposób zdołałaś nauczyć się mówić tak jak jedna z cór ludzkich?” A ona powiedziała mi to, o czym już wszyscy wiecie, że w Narnii są zwierzęta, które potrafią mówić, i o tym, jak została stamtąd porwana, gdy była małym źrebiątkiem. Opowiadała mi też o puszcach i wodach Narnii, o zamkach i wielkich okrętach, aż przerwałam jej, mówiąc: „Na wielkiego Tasza i na Azaroth, na Zardiinah, Panią Nocy, bardzo pragnę znaleźć się w krainie Narnii!” A Hwin odpowiedziała: „O moja pani, gdybyś znalazła się w krainie Narnii, byłabyś szczęśliwa, bo w tej krainie żadna dziewczyna nie może być zmuszona do poślubienia kogoś wbrew swej woli”.

Rozmawialiśmy jeszcze długo i nadzieja ponownie rozkwitła w moim sercu, i cieszyłam się już, że nie odebrałam sobie życia. Co więcej, uzgodniłyśmy między sobą, że razem uciekniemy z Kalormenu, i przygotowaliśmy plan ucieczki. Wróciłam do domu mojego ojca, włożyłam najlepszą suknię i śpiewałam, i tańczyłam przed moim ojcem, udając, jak bardzo się cieszę z tego małżeństwa. I powiedziałam mu: „O mój ojcze, o radości mych oczu, pozwól mi wziąć jedną z moich służek i udać się na trzy dni do puszczy, abym mogła tam spełnić tajemny obrządek ku czci Zardiinah, Pani Nocy i Dziewcząt, jak to jest w zwyczaju dziewic, gdy muszą pożegnać się ze słodką służbą Pani Zardiinah i gotować się do zamążpójścia”. A on odpowiedział: „O moja córko, o radości mych oczu, niech tak się stanie”.

Kiedy oddaliłam się sprzed jego oblicza, poszłam zaraz do jego sekretarza, najstarszego z niewolników, który brał mnie na kolana, gdy byłam dzieckiem, i kochał mnie bardziej niż powietrze i światło. I kazałam mu przysiąc, że dochowa tajemnicy, a potem poprosiłam, by napisał dla mnie pewien list. Kiedy usłyszał, o co chodzi, płakał, błagał, bym zmieniła decyzję, lecz w końcu rzekł: „Usłyszeć znaczy wykonać” i zrobił

to, co chciałam. A ja zapieczętowałam list i ukryłam go na piersiach.

- Ale co było w tym liście? - przerwał jej Szasta.

- Bądź cierpliwy, młodzieńcze - rzekł Bri. - Psujesz całą opowieść. Dowiesz się wszystkiego o tym liście w odpowiednim czasie. Mów dalej, Tarkiino.

- Wezwałam służkę, która miała udać się ze mną do lasu i towarzyszyć mi w obrzędach ku czci Zardiinah, i powiedziałam jej, że wyruszymy o świcie.

Potem zaczęłam z nią plotkować i żartować, i poczęstowałam ją winem; do jej czarki dosypałam jednak pewnego ziela, po którym śpi się przez noc i dzień. I gdy tylko cały dom pogrążył się we śnie, wstałam i włożyłam zbroję mojego brata, którą zawsze przechowywałam w swej komnacie jako drogą po nim pamiątkę. Zabrałam też wszystkie pieniądze, jakie miałam, swoje najlepsze klejnoty i trochę jedzenia, sama osiodłałam klacz i opuściłam dom po drugiej straży nocnej. Udałam się jednak nie w stronę lasu, jak powiedziałam ojcu, lecz na północ, a potem na wschód - do Taszbaanu.

Wiedziałam, że przez trzy dni, a może nieco dłużej, ojciec nie będzie mnie szukać, sądząc, że spełniam starodawny obrządek i żegnam się samotnie ze służbą Pani Nocy. A czwartego dnia przybyłam do miasta Azim-Balda. W Azim-Baldzie krzyżuje się wiele dróg i szlaków. Stamtąd posłańcy Tisroka (oby żył wiecznie!) pędzą na koniach do wszystkich zakątków cesarstwa, a jest jednym z praw i przywilejów możniejszych Tarkaanów używać tej poczty również i do swoich potrzeb. Udałam się więc do zarządcy posłańców w Domu Cesarskiej Poczty w Azim-Baldzie i powiedziałam: „O zarządcu, oto jest list mojego wuja Ahoszty Tarkaana do Kidrasza Tarkaana, pana Kalawaru. Weź te oto pięć krescentów i każ wysłać do niego ten list”. A zarządca posłańców odpowiedział: „Usłyszeć znaczy wykonać”.

List ten napisany był w imieniu Ahoszty Tarkaana, a treść jego brzmiała mniej więcej tak: „Ahoszta Tarkaan Kidraszowi Tarkaanowi śle pozdrowienia. W imię Tasza niezwycięzonego i nieubłaganego. Niech ci będzie wiadome, że kiedy podróżowałam do twego domu, by zawrzeć umowę małżeńską między mną a twoją córką Arawis Tarkiiną, spodobało się bogom i fortunie, bym spotkał ją w lesie, gdzie kończyła właśnie obrządki i ofiary ku czci Zardiinah, jak każe obyczaj dziewic. A kiedy dowiedziałem się, kim jest, przepelniony zachwytem nad jej pięknością i skromnością zapłonąłem ku niej uczuciem i wydało mi się, że słońce straci blask w moich oczach, jeśli natychmiast jej nie poślubię. Przygotowałem więc odpowiednie ofiary i poślubiłem twoją córkę tej samej godziny, której ją spotkałem, a potem powróciłem z

nią do mego domu. A teraz prosimy cię, ale i polecamy, byś przybył do mnie tak szybko, jak zdołasz, abyśmy mogli oboje cieszyć się twą obecnością, a także byś przywiózł ze sobą wiano mej żony, które jest mi potrzebne bez zwłoki ze względu na powagę moich obowiązków i wysokość moich wydatków. A ponieważ ty i ja jesteśmy sobie jako bracia, żywię nadzieję, iż nie pogniewasz się z powodu pośpiechu, w jakim odbył się ten ślub, pośpiechu spowodowanego wyłącznie wielką miłością, jaką darzę twoją córkę. Polecam cię opiece wszystkich bogów”.

Gdy tylko oddałam list, opuściłam jak najszybciej Azim-Baldę, upewniwszy się, że nikt mnie nie śledzi. Byłam przekonana, że otrzymawszy ten list, ojciec mój pośle kogoś do Ahoszty lub sam do niego pojedzie i że zanim wszystko się wyda, będę już daleko za Taszbaanem. Taka jest istota opowieści o moich losach aż do tej nocy, w której napadły mnie lwy, a nasze drogi zbiegły się w nurcie słonej wody.

- A co stało się z dziewczyną, tą, którą uśpiłaś? - zapytał Szasta.

- Bez wątpienia otrzymała chłostę za to, że zasnęła - odrzekła Arawis chłodno. - Była narzędziem i szpiegiem mojej macochy. Bardzo się z tego cieszę.

- Nie powiem, żeby to było zbyt szlachetne - zauważył Szasta.

- Bądź pewien, że ani jednej z rzeczy, o których opowiadałam, nie zrobiłam po to, aby się tobie przypodobać - odcięła się Arawis.

- I jest jeszcze coś, czego nie rozumiem w twojej opowieści - rzekł Szasta. - Nie jesteś dorosła, nie sądzę, żebyś była starsza ode mnie, a nawet chyba jesteś młodsza, sądząc po twoim zachowaniu. Jak mogłabyś zostać poślubiona w tym wieku?

Arawis nie raczyła odpowiedzieć, lecz odezwał się pospiesznie Bri:

- Nie popisuj się ignorancją, Szasto. W wielkich tarkaańskich rodach małżeństwa zawsze są zawierane w tym wieku.

Szasta zarumienił się (choć nie sądzę, by w tym świetle ktoś to zauważył), czując, że utarło mu nosa. Arawis poprosiła Briego, aby opowiedział swoje przygody. Koń zrobił to, a Szasta odniósł wrażenie, że zupełnie niepotrzebnie rozwodził się nad jego upadkami i kiepską jazdą. Bri wyraźnie uważał to za bardzo zabawne, ale Arawis nie śmiała się. Kiedy skończył, ułożyli się do snu.

Następnego dnia wszyscy czworo - dwa konie i dwoje dzieci - wyruszyli dalej w drogę. Szasta nie potrafił już cieszyć się wędrówką tak jak poprzednio. Teraz Bri i Arawis rozmawiali przez cały czas tylko ze sobą, jakby znali się od dawna. Bri żył dość długo w Kalormenie, zawsze wśród Tarkaanów i tarkaańskich koni, nic więc dziwnego, że znał wiele osób i miejsc, które znała również Arawis. Dziewczynka

mówiła na przykład: „Ale jeśli brałeś udział w bitwie pod Zalindrehem, to na pewno spotkałeś tam mojego kuzyna Alimasza”, a Bri odpowiadał: „Ach tak, Alimasz; ale on był tylko dowódcą rydwanów. Nie zajmowałem się specjalnie rydwanami, w końcu to nie jest prawdziwa kawaleria. Alimasz, tak, to wartościowy i dzielny rycerz. Po zdobyciu Tiibithu wsypał mi cukru do torby z sianem”. Albo znów Bri mówił: „Tego lata byłem nad jeziorem Mezriil”, a Arawis mu przerywała: „Och, Mezriil! Mam tam przyjaciółkę, Lasaraliinę Tarkiinę. Cóż to za cudowne miejsce! Te ogrody, no i Dolina Tysiąca Wonności!” Prawdę mówiąc, Bri wcale nie miał zamiaru wykluczać Szasty z rozmowy, a tego wniosku chłopiec był bliski. Ludzie, którzy znają wiele tych samych rzeczy, nie mogą się powstrzymać, by o nich nie rozmawiać, a jeśli jest przy tym ktoś trzeci, to ma wrażenie, że się go lekceważy.

Hwin była nieco onieśmielona towarzystwem tak wspaniałego rumaka bojowego jak Bri i mówiła niewiele. A Arawis w ogóle się do Szasty nie odzywała.

Wkrótce jednak musieli zająć się ważniejszymi sprawami. Zbliżali się do Taszbaanu. Coraz częściej spotykali duże osady, coraz więcej było ludzi na drogach. Teraz wędrowali prawie wyłącznie nocą, zaś w ciągu dnia kryli się gdzieś i odpoczywali. A podczas każdego odpoczynku rozprawiali wciąż o tym, co zrobią, kiedy już dojdą do miasta. Przedtem każdy starał się o tym nie myśleć - teraz trudno było nie myśleć wyłącznie o tym. W czasie tych rozmów Arawis zaczęła być wobec Szasty jakby troszeczkę mniej chłodna; tak już jest, że ludzie bardziej zbliżają się do siebie, gdy robią wspólne plany, niż wówczas, gdy nie mają sobie wiele do powiedzenia.

Bri stwierdził, że przede wszystkim trzeba na wszelki wypadek ustalić miejsce poza Taszbaanem, gdzie wszyscy czworo mają się spotkać, gdyby w mieście rozdzieliły ich jakieś nieprzewidziane wydarzenia. Według niego najlepszym miejscem byłyby Grobowce Starożytnych Królów, położone na samym skraju pustyni. „To są takie budowle przypominające wielkie kamienne ule. Trudno ich nie zauważyć. A co najważniejsze, żaden Kalormeńczyk nie zbliży się do nich, bo wszyscy wierzą, że to miejsce jest nawiedzane przez upiory, których się panicznie boją.” Arawis zapytała, czy te upiory przychodzą tam naprawdę, na co Bri odpowiedział, że jest wolnym narnijskim koniem i nie wierzy w takie kalormeńskie bajeczki. A na to Szasta rzekł, że on też nie jest Kalormeńczykiem i że te wszystkie opowieści

o upiorach warte są tyle co pierze na wietrze. Nie było to całkiem zgodne z prawdą, ale zrobiło na Arawis wrażenie (choć w pierwszej chwili trochę ją zdenerwowało). W końcu i ona oświadczyła, że guzik ją obchodzą upiory, niezależnie

od ich liczby. Tak więc ustalono, że miejscem zbiórki będą Grobowce, położone po przeciwległej stronie Taszbaanu, i każdy poczuł, że zrobili już poważny krok w planowaniu, gdy nagle Hwin nieśmiało zwróciła im uwagę, że prawdziwym problemem nie jest wcale to, GDZIE mają się spotkać po przejściu przez Taszbaan, tylko JAK mają przez miasto przejść.

- Ustalimy to jutro, pani - rzekł Bri. - Trzeba się trochę przespać.

Ale nie było to wcale łatwe do ustalenia. Najpierw Arawis zaproponowała, by przepłynęli rzekę pod Taszbaanem i w ten sposób ominęli miasto. Bri sprzeciwił się, wysuwając dwa argumenty. Po pierwsze, dowodził, ujście rzeki w tym miejscu jest bardzo szerokie i Hwin mogłaby nie dać sobie rady z taką odległością z jeźdźcem na grzbiecie. (Tak naprawdę miał na myśli również i siebie, ale nie chciał się do tego przyznać.) Po drugie, na rzece będzie z pewnością duży ruch łodzi i statków; łatwo sobie wyobrazić, że każdy, kto zobaczy z pokładu dwóch jeźdźców płynących przez rzekę, zwróci baczną uwagę na to zjawisko.

Szasta uważał, że wobec tego powinni pójść nieco w górę rzeki i przepłynąć ją w węższym miejscu. Bri jednak zaraz wyjaśnił, że po obu stronach rzeki jest wiele ogrodów i letnich rezydencji i że będzie tam mnóstwo Tarkaanów i Tarkiin kręcących się konno po drogach i łąkach oraz spędzających wesoło czas na łodziach. W rzeczy samej trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce do spotkania kogoś, kto rozpoznałby Arawis lub nawet jego samego.

- Moglibyśmy się przebrać - zauważył Szasta. Hwin oświadczyła, że według niej najbezpieczniej

byłoby po prostu przejść przez miasto od bramy do bramy, bo w tłumie zawsze najmniej zwraca się na siebie uwagę. Poparła również pomysł przebrania się. „Dzieci niech się przebiorą w łachmany, tak aby wyglądały na wieśniaków lub niewolników. Rynsztunek Arawis i siodła ukryjemy w workach na naszych grzbietach, a dzieci będą nas prowadziły za uzdy; w ten sposób wszyscy pomyślą, że jesteśmy tylko zwykłymi zwierzętami jucznymi.”

- Moja kochana Hwin! - przerwała jej Arawis z nutą kpiny. - Tak jakby ktoś mógł nie rozpoznać w Brim konia bojowego, choćbyśmy go nie wiem jak przebierali!

- W istocie, trudno się z tym nie zgodzić - rzekł Bri, parskając i pozwalając swoim uszom odchylić się nieco do tyłu.

- Wiem, że nie jest to BARDZO dobry pomysł - zgodziła się Hwin. - Myślę jednak, że to nasza jedyna szansa. Poza tym już od dawna nikt nas nie czyścił i nie

czeszał, więc nie sędzę, żebyśmy byli do siebie podobni; w każdym razie jestem pewna, że ja nie jestem. Naprawdę, jeśli jeszcze wytarzamy się trochę w błocie i zwiesimy łby, jakbyśmy byli zmęczeni i leniwi, i jeśli będziemy człapać, prawie wcale nie podnosząc kopyt, to nikt nie zwróci na nas specjalnej uwagi. Trzeba też trochę skrócić nam ogony, i to niezbyt umiejętnie, aby były nierówne i postrzępione.

- Moja droga pani - rzekł Bri - czy pomyślałaś o tym, jak okropnie będzie wyglądał nasz powrót do Narnii w TAKIM stanie?

- No cóż - odparła Hwin z pokorą (była bardzo wrażliwą klaczą) - ale najpierw trzeba się tam dostać.

Pomysł Hwin miał swoje słabe strony i każdy to widział, ale w końcu został przez wszystkich przyjęty. Wprowadzenie go w życie było kłopotliwe i wymagało czegoś, co Szasta nazywał kradzieżą, a Bri „braniem łupu”. Tej nocy z jednego gospodarstwa zginęło kilka worków, z innego kawał powroza; musieli jednak kupić w wiosce jakieś podniszczone ubranie chłopięce dla Arawis. Szasta wrócił z nim pełen dumy, gdy zapadała już noc. Reszta czekała na niego wśród drzew u stóp długiego pasma zalesionych wzgórz, które zagradzało im drogę. Każdy czuł niepokój, bo było to ostatnie wzgórze: ze szczytu zobaczą już Taszbaan.

- Jakbym chciał, żeby już było po wszystkim - szepnął Szasta do Hwin.

- Och, i ja też! - odpowiedziała szybko klacz. Tej nocy przebyli las porastający wzgórze, posuwając

się szlakiem drwali. A kiedy na szczycie wynurzyli się z osłony drzew, zobaczyli w dolinie tysiące świateł. Szasta nie przypuszczał, że miasto może być tak ogromne, i ten widok napełnił go lękiem. Zjedli coś i dzieci poszły spać. Ale już wkrótce konie obudziły je: zaczynało świtać. Gwiazdy jeszcze świeciły na niebie, a trawa była okropnie zimna i mokra, lecz już daleko, po prawej stronie, nad morzem pojawiły się pierwsze blaski wschodzącego słońca. Arawis odeszła nieco w las. Gdy powróciła, wyglądała dziwnie w brudnych, postrzępionych łachmanach. Swój dawny strój niosła w tobołku. Tobołek ten, jej zbroję, tarczę i krzywą szablę oraz dwa siodła i resztę bogatej uprzęży ukryli w workach. Konie były już pokryte błotem, pozostawało tylko skrócić im ogony. Okazało się, że jedynym narzędziem, którym można to zrobić, jest szabla Arawis, trzeba więc było znowu rozwiązać jeden z worków. Samo skracanie ogonów nie było przyjemne dla obu stron.

- Daję słowo - rzekł Bri - że gdybym nie był mówiącym koniem, to dałbym ci takiego kopniaka, że długo byś mnie pamiętał. Sądziłem, że będziesz mi obcinał ogon,

a nie wrywał po dziesięć włosów. Przykro mi, ale czuję właśnie coś takiego.

Mimo półmroku i zgrabiących palców wszystko zostało w końcu zrobione - worki umieszczone na końskich grzbietach, postronki (zamiast dawnych uzd) w rękach dzieci - i ruszyli w drogę.

- Pamiętajcie - rzekł Bri - trzymamy się razem. Jeśli się nie uda, spotkamy się przy Grobowcach Starożytnych Królów. Kto przyjdzie pierwszy, niech czeka na resztę.

- A wy, konie - odezwał się Szasta - nie zapomnijcie się i nie zaczynajcie MÓWIĆ, cokolwiek by się działo.

ROZDZIAŁ 4

SZASTA SPOTYKA NARNIJCZYKÓW

Kiedy Szasta spojrział po raz pierwszy tego ranka na rozpościerającą się przed nimi dolinę, zobaczył tylko morze mgły, z którego wyłaniało się kilka najwyższych budowli i wież. W miarę jak robiło się jaśniej i mgła ustępowała, dostrzegał coraz więcej. Szeroka rzeka rozdzielała się tu na dwie odnogi, a na wyspie pomiędzy nimi leżało miasto Taszbaan, jeden z cudów świata. Wzdłuż krawędzi wyspy woda obmywała kamienie muru wzmocnionego tyłoma basztami, że wkrótce chłopiec zaprzestał ich liczenia. Wewnątrz murów wyspa była w istocie wzgórzem i każdy skrawek jego zboczy, aż po pałac Tisroka i wielką świątynię Tasza na szczycie, pokryty był budowlami - taras nad tarasem, ulica nad ulicą, serpentyny ulic, wyniosłe, szerokie schody obramowane pomarańczowymi i cytrynowymi drzewami, wiszące ogrody, galerie, cieniste krużganki, gęste kolumnady, strzeliste dachy, blanki i barbakany, minarety, wieżyczki. A kiedy wreszcie słońce wynurzyło się z oceanu i wykładane srebrem ściany wielkiej świątyni zapłonęły blaskiem, widok był oszałamiający.

- Dalej, dalej - popędzał go co jakiś czas głos Konia.

Brzegi rzeki po obu stronach doliny pokryte były ogrodami, tak że z początku wydawało się, że porasta je bujny las; dopiero gdy się nieco zbliżyli, ujrzeli tu i tam bielejące wśród drzew ściany licznych pałacyków i domów. Wkrótce potem Szasta poczuł rozkoszny zapach kwiatów i owoców. Około kwadransa później szli już wśród ogrodów, drogą biegnącą pomiędzy białymi murami, spoza których zwieszały się gałęzie owocowych drzew.

- No wiecie, to naprawdę cudowne miejsce! - odezwał się Szasta zmienionym z wrażenia głosem.

- Nie wątpię - rzekł Bri. - Ale wolałbym już być po drugiej stronie miasta. Narnia i Północ!

W tym momencie zabrzmiał niski dźwięk, najpierw cichy i drżący, później coraz głośniejszy i głośniejszy, aż w końcu zdawało się, że wibruje od niego cała dolina. Był to melodyjny dźwięk, tak jednak potężny i uroczysty, że budził niepokój.

- To grają rogi obwieszczające otwarcie bram Taszbaanu - wyjaśnił Bri. - Będziemy tam za parę minut. Arawis, pochyl nieco ramiona, stąpaj trochę ciężiej i spróbuj zapomnieć, że jesteś księżniczką. Spróbuj sobie wyobrazić, że przez całe życie spotykały cię tylko szturchańce, kopniaki i wyzwiska.

- Jeśli już o to chodzi - odparła Arawis - to może być tak zwiesił trochę łeb, wygiął grzbiet i spróbował zapomnieć, że jesteś rumakiem bojowym?

- Cicho! Zbliżamy się do celu - przerwał jej Bri.

I rzeczywiście tak było. Doszli do brzegu rzeki. Droga wbiegała na długi, wsparty na wielu łukach most. Woda migotała w porannym słońcu; daleko, po prawej stronie, bliżej ujścia rzeki majaczył las okrętowych masztów. Na moście było już sporo ludzi, głównie wieśniaków prowadzących objuczone tobołami osły i muły lub dźwigających kosze na głowach. Dzieci i konie włączyły się w tłum zdążający ku miastu.

- Czy coś jest nie tak? - szepnął Szasta do Arawis, widząc jej zmienioną twarz.

- Och, wszystko w porządku, przynajmniej dla CIEBIE - odszepnęła Arawis. - Co CIEBIE obchodzi Taszbaan? Ale ja powinnam wjeżdżać do miasta w lektyce, poprzedzana żołnierzami, z orszakiem niewolników, udając się na wielką ucztę do pałacu Tisroka (oby żył wiecznie!), a nie wślizgiwać się jak złodziej. Ciebie to nie dotyczy.

Szasta pomyślał, że zabrzmiało to bardzo głupio.

Na dalekim krańcu mostu spiżowe wrota były otwarte. Po obu stronach bramy stały grupy żołnierzy wspierających się na długich włóczniach. Arawis nie mogła się oprzeć myśli, że gdyby wiedzieli, kim jest, poderwaliby się na baczność, pozdrawiając ją z szacunkiem. Ale pozostała trójka pochłonięta była rozmyślaniami nad tym, czy uda im się przejść przez bramę bez większych kłopotów. Na szczęście żołnierze nie zadawali im żadnych pytań. Tylko jeden wyjął marchewkę z kosza jakiego wieśniaka, rzucił nią w Szastę z ochryplym śmiechem i zawołał:

- Hej, poganiaczu! Będziesz to jeść przez tydzień, kiedy twój pan dowie się, że używasz jego wierzchowca jak juczne zwierzę.

Chłopiec przeraził się, bo oznaczało to, że każdy, kto jako tako zna się na koniach, bez trudu rozpozna w Brim prawdziwego rumaka.

- Mój pan dobrze o tym wie - powiedział szybko - bo taka była jego wola.

Ale lepiej by zrobił, trzymając język za zębami, bo strażnik uderzył go pięścią w twarz, prawie zwalając z nóg, i dorzucił:

- A to jest moja wola! To cię powinno nauczyć, jak zwracać się do wolnego człowieka.

Nie zatrzymano ich jednak, a Szasta, który był przyzwyczajony do tęgich ciosów, wkrótce przestał płakać.

Za murami Taszbaan nie wyglądał już tak okazale jak z daleka. Pierwsza uliczka była wąska, zaś domy po obu jej stronach nie miały okien. Panował tu jeszcze większy tłok niż na moście. Prócz wieśniaków udających się na targ pełno było sprzedawców wody i słodczy, tragarzy, żołnierzy, żebraków, obszarpanych dzieci, kogutów, bezdomnych psów i bosych niewolników. Ale przede wszystkim uderzyła ich mieszanina okropnych zapachów: smród nie umytych ciał, brudnych psów, tanich pachnidła, czosnku, cebuli i piętrzących się wszędzie stosów śmieci.

Szasta szedł pierwszy, udając, że prowadzi, ale w rzeczywistości to Bri znał drogę i kierował, trącając go nosem w ramię w odpowiednich momentach. Wkrótce skręcili w lewo i zaczęli się wspinać wysadzaną drzewami ulicą. Powietrze było tu świeższe, a domy wznosiły się tylko po prawej stronie; po lewej widniały w dole dachy gęstych zabudowań dolnego miasta, opadającego aż do rzeki. Potem skręcili w prawo, na drogę wijącą się serpentynami w górę i doszli nią do centrum Taszbaanu. Ulice były tu szersze i czystsze, a po obu stronach napotykali raz po raz wielkie posągi bóstw i bohaterów Kalormenu, wznoszące się na wypolerowanych, błyszczących postumentach. Posągi robiły duże wrażenie, ale niezbyt przyjemne. Palmy i wysmukłe arkady rzucały ostre cienie na rozpalone od słońca płyty chodników, a poprzez zwieńczone wymyślnymi łukami bramy wielu mijanych pałaców Szasta dostrzegał zieleni drzew, chłodne fontanny i gładkie trawniki. „Tam się musi cudownie mieszkać!”, pomyślał.

Miał nadzieję, że wydostaną się wreszcie z tłumu, lecz za każdym zakrętem spotykał go zawód. Posuwali się bardzo powoli i raz po raz musieli się zatrzymywać. Co parę minut donośny głos wykrzykiwał: „Droga, droga, droga dla Tarkaana!” albo: „Droga dla Tarkiiny!”, albo: „Droga dla piętnastego wezyra!”, albo: „Droga dla ambasadora!” i tłum rozstępował się, przyciskając ich do murów, a Szaście udawało się czasem zobaczyć ponad głowami ludzi jakiegoś wielkiego pana lub wielką panią, dla których robiono całe to zamieszanie, rozpierających się w lektykach niesionych przez czterech lub nawet sześciu półnagich niewolników. W Taszbaanie obowiązuje bowiem tylko jedna zasada ruchu ulicznego: każdy, kto jest mniej ważny, musi ustąpić temu, kto jest bardziej ważny, jeśli nie chce zapoznać się bliżej z rzemieniem bicia lub tępym końcem włóczni.

Znajdowali się właśnie na wspaniałej ulicy biegnącej pod samym szczytem wzgórza (jedyną budowlą górującą nad nią był zamek Tisroka), gdy tuż przed nimi rozległ się donośny głos:

- Droga! Droga! Droga! Droga dla białego króla barbarzyńców, gościa Tisroka (oby żył wiecznie!) Droga dla narnijskich posłów!

Szasta chciał szybko zejść z drogi, lecz by to uczynić, musiał cofnąć Konia. Niestety, żaden koń, nawet mówiący koń z Narnii, nie potrafi szybko się cofnąć. Jakaś kobieta, trzymająca przed sobą bardzo kanciasty kosz, przycisnęła go do pleców Szasty, gderając: „Czego się tak rozpychasz!” Jednocześnie ktoś inny uderzył go boleśnie łokciem w bok i powstało małe zamieszanie, w trakcie którego Szasta wypuścił postronek z ręki. A potem zrobiło się za nim tak ciasno, że nie było mowy, aby się precyzyjnie do ściany. I w ten sposób, chcąc nie chcąc, znalazł się w pierwszym rzędzie, co pozwoliło mu widzieć dokładnie wszystko, co działo się na ogołocym z ludzi środku ulicy.

A było na co popatrzeć. Zbliżająca się do niego grupa ludzi niczym nie przypominała orszaków kalormeńskich wielmożów. Jedynym Kalormeńczykiem był idący na przodzie herold, natarczywie domagający się wolnej drogi. Nie było też lektyk, wszyscy szli pieszo. Szasta nigdy jeszcze nie widział takich ludzi. Wszyscy - a w grupie było z pół tuzina mężczyzn - mieli jasną skórę, taką jak on, większość miała również jasne włosy. Ubrani byli inaczej niż Kalormeńczycy. Nie nosili spodni, lecz krótkie, sięgające kolan tuniki o pięknych, soczystych barwach: leśnozielonych, wesołozłoty lub świeżoniebieskich. Zamiast turbanów mieli stalowe lub srebrne kołpaki wysadzone drogimi kamieniami, zaś jeden - hełm z niewielkimi srebrnymi skrzydełkami po obu stronach. Każdy miał miecz u boku, długi i prosty. A zamiast ponurych i tajemniczych kalormeńskich twarzy Szasta widział jasne i pogodne twarze ludzi cieszących się z życia, swobodnych, roześmianych i dowcipkujących. Szli lekko i sprężysto, kołysząc ramionami, jeden pogwizdywał wesoło. Od razu było widać, że są to ludzie gotowi zaprzyjaźnić się z każdym, kto okaże im swoją przyjaźń, i nie ustępujący z drogi nikomu, kto okazałby im swoją wrogość. Byli to po prostu wspaniali ludzie i Szasta poczuł dziwne wzruszenie.

Nie miał jednak czasu, by nacieszyć się tym widokiem, bo oto zdarzyło się coś strasznego. Przywódca jasnowłosych mężów wskazał nagle na Szastę i zawołał:

- Patrzcie, jest tutaj! Jest nasz uciekinier! - Złapał go jedną ręką za ramię, a drugą dał mu kuksańca: nie tak brutalnego, by trzeba się było po nim rozplakać, lecz wystarczająco mocnego, by wiedzieć, że to nie żart, tylko gniew. - Wstydź się, mój panie! - dodał, potrząsając chłopcem mocno. - Wstyd! Królowa Zuzanna wypłakuje sobie oczy przez ciebie.

Słyszane rzeczy: nieobecny przez całą noc! Gdzie się podziewałeś?

Szasta chciał dać nurka pod brzuch Konia i zniknąć w tłumie, ale było za późno. Jasnowłosi mężowie otaczali go już ze wszystkich stron.

Oczywiście najpierw przyszło mu do głowy, by powiedzieć, że jest tylko synem biednego rybaka Arszisza i że ten cudzoziemski pan musiał go z kimś pomylić. Później zdał sobie sprawę, że wdawanie się w tłumaczenie, kim jest i co robi, byłoby zbyt ryzykowne, biorąc pod uwagę miejsce. Zapytają go od razu, skąd ma tego konia i kim jest Arawis - a wszystko to będzie się działo wobec zaciekawionego tłumu Kalormeńczyków - i przyjdzie się pożegnać z nadzieją na rychłe opuszczenie Tazsbaanu. Zrozpaczony spojrział na Konia, oczekując jakiejś pomocy, ale rumak nie zdradzał najmniejszej ochoty do pokazania całemu tłumowi, że potrafi mówić, i stał, wyglądając tak głupio, jak tylko koń może wyglądać. Co do Arawis, to Szasta nawet nie śmiał spojrzeć w jej stronę, by nie zwrócić na nią czyjejś uwagi. Nie było zresztą wiele czasu do namysłu, bo przywódca Narnijczyków powiedział:

- Weź jego wysokość za jedną rękę, Peridanie, a ja wezmę za drugą. No, idziemy. Nasza królewska siostra dozna wielkiej ulgi, kiedy zobaczy tego małego urwisa całego i zdrowego.

I w ten sposób wszystkie ich plany runęły, zanim zdołali przejść połowę Tazsbaanu. Szasta nie pożegnał się nawet ze swoimi towarzyszami, a już szedł, prowadzony gdzieś przez dziwnych przybyszów, nie mając zielonego pojęcia, co go czeka. Narnijski król - bo po sposobie, w jaki zwracali się do niego towarzysze, Szasta zaczął się domyślać, że musi być królem - wypytywał go wciąż, gdzie był, w jaki sposób się wymknął, gdzie podział swój strój i czy nie rozumie, że zachował się bardzo niegrzecznie.

Szasta nie odpowiedział na żadne pytanie, bo każda odpowiedź, jaka mu przychodziła do głowy, wydawała się zbyt niebezpieczna.

- Cóż to? Nie masz mi nic do powiedzenia? - zapytał król. - Muszę ci szczerze powiedzieć, mój książę, że to milczenie winowajcy jeszcze mniej przystoi twemu pochodzeniu niż sama ucieczka. Wymknąć się w nocy w poszukiwaniu przygody - to można jeszcze uznać za młodzieńczy wybryk, nawet za przejaw pewnej fantazji. Ale syn króla Archenlandii powinien mieć odwagę wyznać, co uczynił, a nie zwieszać głowę jak kalormeński niewolnik.

Nie było to przyjemne, bo Szasta od samego początku czuł, że ten młody król jest jednym z najmilszych dorosłych, jakich dotąd spotkał, i bardzo chciał zrobić na

nim jak najlepsze wrażenie.

Przybysze poprowadzili go - trzymając przez cały czas za obie ręce - wąską uliczką, potem jakimiś schodami w dół, i znowu w górę, aż doszli do szerokiej bramy w białym murze. Po obu jej stronach rosły wysokie, ciemne cyprysy. Kiedy przeszli przez bramę, Szasta znalazł się na dziedzińcu, który był jednocześnie ogrodem. Pośrodku lśniła w słońcu marmurowa sadzawka pełna kryształowej wody tryskającej z fontanny. Cały dziedziniec pokrywała gładko wystrzyżona trawa, z której wyrastały drzewka pomarańczy, a po białych murach pięły się róże. Hałas i kurz wypełniający zatłoczone ulice miasta zdawały się tu nie docierać. Poprowadzono go przez ogród, a następnie przez cienisty korytarz. Kamienne płyty cudownie chłodziły obolałe stopy chłopca. Weszli po schodach i nagle Szasta znalazł się w jasnej, przestronnej i przewiewnej komnacie. Wszystkie okna były otwarte i wszystkie wybiegały na północ, tak że nie docierał tu żar letniego dnia. Na posadzce leżał dywan o barwach tak pięknych, że trudno było je do czegokolwiek przyrównać, a kiedy szedł po nim, wydawało mu się, że stąpa po grubej warstwie delikatnego mchu. Pod ścianami stały niskie sofy zarzucone bogato haftowanymi poduszkami. Komnata pełna była ludzi; niektórzy - pomyślał Szasta - wyglądali bardzo dziwnie. Nie miał jednak czasu zastanowić się, co w nich dziwnego, gdyż na jego widok podniosła się z sofy najpiękniejsza pani, jaką kiedykolwiek widział, podeszła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję, pocałowała i powiedziała:

- Och, Korinie, Korinie, jak mogłeś! Przecież jesteśmy tak bliskimi przyjaciółmi od czasu śmierci twojej matki! A co powiedziałabym twojemu ojcu, gdybym wróciła bez ciebie? Przecież mogłoby z tego powodu dojść do otwartej wojny między Archenlandią i Narnią, a od niepamiętnych czasów żyjemy w przyjaźni. Bardzo nieładnie postąpiłeś, mój przyjacielu, bardzo nieładnie.

„Najwyraźniej myślę mnie z jakimś królewiczem z Archenlandii, gdziekolwiek to jest - pomyślał Szasta. - To muszą być Narnijczycy. Ale gdzie jest ten prawdziwy Korin?”

- Gdzie byłeś, Korinie? - zapytała pani, wciąż trzymając ręce na ramionach chłopca.

- Ja... ja nie wiem - wyjąkał.

- O to właśnie chodzi, Zuzanno - rzekł król.

- Nie mogłem z niego nic wyciągnąć: ani prawdy, ani zmyślenia.

- Wasze wysokości! Królowo Zuzanno! Królu Edmundzie! - rozległ się jakiś głos

i kiedy Szasta odwrócił głowę, by zobaczyć, kto mówi, aż go zatkało z wrażenia. Głos należał bowiem do jednej z owych niezwykłych istot, które spostrzegł kątem oka, gdy wchodził do komnaty. Był to młodzieniec tego samego wzrostu co Szasta, lecz chociaż od pasa w górę przypominał człowieka, to nogi miał gęsto owłosione jak koza i tego samego kształtu co koza, a na domiar wszystkiego miał kozie kopytka i ogon, czerwoną twarz, spiczastą bródkę i dwa małe różki. Był to po prostu faun, istota, jakiej Szasta nigdy jeszcze nie widział - ani w życiu, ani na obrazku. Nie sądzę, by nawet o niej kiedykolwiek słyszał. A jeśli czytaliście opowieść pod tytułem *Lew, Czarownica i stara szafa*, miło wam będzie, gdy się dowiedziecie, że był to ten sam faun, pan Tumnus, którego spotkała siostra królowej Zuzanny, Łucja, kiedy znalazła się w Narnii po raz pierwszy. Teraz był jednak o wiele starszy, ponieważ w tym czasie Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja rządzą już Narnią od wielu lat.

- Wasze wysokości! - powtórzył faun. - Jego mała wysokość dostał porażenia słonecznego. Spójrzcie tylko na niego! Przecież jest zupełnie oszołomiony. On w ogóle nie wie, gdzie się znajduje!

I wówczas, oczywiście, wszyscy przestali Szastę besztać i zadawać mu pytania, ułożono go troskliwie na sofie, pod głowę podłożono mu poduszki, podano mrożony sorbet w złotym pucharze i powiedziano, aby sobie spokojnie odpoczywał.

Nic podobnego nie zdarzyło się dotąd Szaście w ciągu całego życia. Nigdy sobie nawet nie wyobrażał, że można leżeć na czymś tak wygodnym jak ta sofa,

i pić coś tak pysznego jak ten sorbet. Leżał więc cicho i nadal rozmyślał, co stało się z pozostałymi towarzyszami wędrówki, jak tu uciec i spotkać się z nimi przy Grobowcach, i co się stanie, gdy pojawi się prawdziwy Korin. Ale teraz, gdy było mu tak wygodnie i miło, nie przejmował się już zbytnio żadnym z tych kłopotliwych problemów. A może nieco później będzie też coś dobrego do jedzenia?

Zgromadzeni w przewiewnej komnacie członkowie narnijskiego poselstwa bardzo go zaciekawili. Oprócz fauna były tam dwa karły (takich istot też nigdy jeszcze nie widział) i olbrzymi kruk. Pozostali byli ludźmi - dorosłymi, ale młodymi - i wszyscy mieli o wiele przyjemniejsze twarze i głosy niż większość Kalormeńczyków. Wkrótce zainteresowała go też rozmowa, jaką prowadzili.

- A więc, pani - król zwracał się do królowej Zuzanny, owej damy, która pocałowała Szastę na powitanie - co o tym wszystkim sądzisz? Przebywamy w tym mieście pełne trzy tygodnie. Czy zdecydowałaś się już na poślubienie tego ciemnoskórego księcia Rabadasza, czy też nie?

Pani potrząsnęła głową. - Nie, mój bracie - odpowiedziała - nie poślubię go, choćby mi dawali wszystkie klejnoty Taszbaanu. - („To ciekawe - pomyślał Szasta - są królem i królową, a jednocześnie bratem i siostrą.”)

- Będę całkowicie szczery, siostró - rzekł król. - Chyba kochałbym cię mniej, gdybyś za niego wyszła. I powiem ci, że kiedy po raz pierwszy poselstwo Tisroka przybyło do Narnii, aby rozpocząć pertraktacje na temat małżeństwa, i później, gdy książę gościł u nas na Ker-Paravelu, dziwiłem się niezmiernie, że okazywałaś mu tyle łaskowości.

- To był mój okropny błąd, Edmundzie - powiedziała królowa Zuzanna - i błagam teraz o twą wyrozumiałość. Ale czyż książę nie zachowywał się zupełnie inaczej u nas, w Narnii, niż tu, w Taszbaanie? Czyż wszyscy tu obecni nie byli świadkami, jakich zadziwiających czynów dokonywał na wielkich turniejach i gonitwach, urządzanych na jego cześć przez naszego brata, Wielkiego Króla, i jaki był potulny i pełen dworskich manier przez te siedem dni, gdy przebywał w naszym towarzystwie? Dopiero tutaj, w swoim mieście, pokazał inne oblicze.

- Ach! - odezwał się kruk. - Jest takie stare powiedzenie: obejrzyj sobie niedźwiedzia w jego legowisku, zanim wypowiesz się na temat jego charakteru.

- Święta racja, Złotonogu - rzekł jeden z karłów. - A jest też inne porzekadło: poznasz mnie, kiedy ze mną zamieszkas.

- Tak - rzekł król - teraz zobaczyliśmy, jaki on jest naprawdę; a jest najbardziej pyszałkowatym, krwawym, okrutnym, samolubnym i rozpasanym tyranem.

- A więc, w imię Aslana - powiedziała Zuzanna - jeszcze dziś wyjedźmy z Taszbaanu.

- Nie jest to takie proste, moja siostró - rzekł Edmund. - Nadeszła chwila, w której muszę wam wyznać, co dręczy mnie już od dwu dni. Peridanie, wyjrzyj z łaski swojej za drzwi, czy nie ma tam jakiegoś szpiega. Wszystko w porządku? To dobrze. Musimy być bardzo ostrożni.

Wszyscy spoważniali. Królowa Zuzanna zeskoczyła z sofy i podbiegła do swego brata.

- Och, Edmundzie! - zawołała. - O co właściwie chodzi? Jest coś strasznego w twojej twarzy.

ROZDZIAŁ 5

KSIĄŻĘ KORIN

- MOJA UKOCHANA SIOSTRO i szlachetna pani - rzekł król Edmund - musisz teraz zebrać całą swą odwagę. Powiem bez ogródek: jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie.

- O czym ty mówisz, Edmundzie? - zdziwiła się królowa.

- Zaraz wam wszystko wyjaśnię - odrzekł Edmund. - Nie sądzę, żebyśmy mogli opuścić Taszbaan bez kłopotów. Dopóki książę miał nadzieję, że za niego wyjdiesz, byliśmy jego honorowymi gośćmi. Ale, na grzywę Lwa, jestem pewien, że gdy tylko otrzyma twoją odmowę, nie będziemy traktowani lepiej niż więźniowie.

Jeden z karłów cicho gwizdnął.

- Ostrzegałem wasze wysokości, ostrzegałem - odezwał się kruk Złotonóg. - Łatwo wejść, ale trudno wyjść, jak powiedział homar, siedząc w pułapce na homary.

- Widziałem się z księciem dzisiaj rano - ciągnął Edmund. - Nie jest to człowiek przyzwyczajony do tego, by się sprzeciwiano jego woli. Tym gorzej dla nas. Wcale nie ukrywa, że ma już dosyć twojego zwlekania z decyzją i wymijających odpowiedzi. Dziś rano nastawał bardzo ostro, bym zdradził mu twoje prawdziwe zamiary. Nie potraktowałem tego poważnie, licząc, że już samo to rozwieje jego nadzieje, i pozwoliłem sobie na parę znanych żartów na temat kobiecych fanaberii, napomknąłem też, że być może i jego zapal do ożenku nieco wygaś. Wtedy wyraźnie się wściekł i zaczął być groźny. Mówił wciąż z pełnym szacunkiem, z zachowaniem dworskich manier, lecz za każdym słowem czaiła się groźba.

- No tak - powiedział Tumnus. - Kiedy biesiadowałem wczoraj wieczorem z wielkim wezyrem, zachowywał się podobnie. Zapytał, jak mi się podoba Taszbaan. Odpowiedziałem (bo nie mogłem wyznać, że nienawidzę każdego kamienia w tym mieście, a nie chciałem kłamać), że teraz, w pełni lata, moje serce tęskni do chłodnych lasów i zielonych pagórków Narnii. Uśmiechnął się w sposób, który nie przypadł mi do gustu, i powiedział: „Nic nie stoi na przeszkodzie, byś sobie tam znowu hasał, mały kozionogu, o ile tylko nasz książę otrzyma rękę swojej narnijskiej wybranki”.

- Czy to oznacza, że mógłby mnie uczynić swą żoną wbrew mojej woli? - zawołała Zuzanna.

- Tego się właśnie obawiam, sioostro. Żoną lub niewolnicą, co gorsza.

- I myślisz, że naprawdę ośmieliliby się to uczynić? Czy Tisrok nie wie, że nasz brat, Wielki Król, nie ścierpiałby takiej zniewagi?

- Panie - rzekł Peridan do króla - przecież chyba nie są szaleni. Czyżby sądzili, że w Narnii brakuje mieczy i włóczni?

- Niestety - odpowiedział Edmund - podejrzewam, że Tisrok wcale się nie boi odwetu Narnii. Jesteśmy małym krajem, a małe kraje na granicach wielkiego mocarstwa zawsze są solą w oku jego władców. Tisrok aż się pali, by zagarnąć sąsiadujące z Kalormenem kraje i wymazać je z powierzchni mapy. Wcale bym się nie dziwił, gdyby wysłał księcia do Ker-Paravelu w roli starającego się o rękę Zuzanny tylko po to, aby znaleźć sobie jakiś pretekst do zagarnięcia naszych ziem. A najprawdopodobniej chce połączyć naraz i Narnię, i Archenlandię.

- Niech tylko spróbuje - odezwał się drugi karzeł. - Na morzu nasze siły są równe, a jeśli zaatakuje nas od strony lądu, będzie musiał najpierw przejść pustynię.

- Zgoda, mój przyjacielu - rzekł Edmund. - Ale czy ta pustynia naprawdę może nas uchronić przed niebezpieczeństwem? Co na to powie Złotonóg?

- Znam dobrze tę pustynię - powiedział kruk.

- Latałem nad nią nie jeden raz, wzdłuż i wszerz, gdy byłem młodszy. - (Możecie być pewni, że w tym momencie Szasta nadstawił uszu.) - Jedno jest pewne: gdyby Tisrok poszedł szlakiem wiodącym przez wielką oazę, nigdy by nie przeprowadził swej armii do Archenlandii. Bo chociaż Taszbaan dzieli od oazy najwyżej dzień marszu, to źródła są tam za mało wydajne, by napoić tylu żołnierzy i ich konie. Ale jest inna droga.

Szasta zaczął nadśłuchiwać z jeszcze większą uwagą.

- Ten, kto chce iść tą drogą - ciągnął kruk

- musi rozpocząć marsz przy Grobowcach Starożytnych Królów i posuwać się na północny zachód, mając zawsze przed sobą podwójny szczyt góry Pir. O jakiś dzień jazdy konno, a może trochę dalej, znajduje się wejście do wąwozu: wejście tak wąskie, że można być od niego z tysiąc razy w odległości ćwierci mili i nie wiedzieć, że coś takiego istnieje. Patrząc z tej skalnej bramy w dół wąwozu, nie zobaczy się zresztą ani trawy, ani wody, ani w ogóle niczego, co by zachęcało do dalszej drogi. Ale jeśli się pójdzie tym wąwozem, można dotrzeć do rzeki, a ta prowadzi już prosto do Archenlandii.

- Czy Kalormenńczycy znają ten zachodni szlak? - zapytała królowa.

- Przyjaciele, przyjaciele - przerwał im Edmund - cóż nam przyjdzie z takich rozważań? Nie zastanawiamy się przecież nad tym, czy Kalormen może zwyciężyć Narnię, gdyby wybuchła między nimi wojna. Zastanawiamy się, jak uratować honor

królowej i nasze własne gardła, czyli, mówiąc inaczej, jak wydostać się z tego piekielnego miasta. Bo gdyby nawet mój brat, Wielki Król Piotr, dziesięciokrotnie pobił Tisroka na głowę, to na długo przedtem poderzną nam tutaj gardła, a królowa zostanie żoną lub, co bardziej prawdopodobne, niewolnicą księcia Rabadasza.

- Mamy broń, królu - rzekł pierwszy karzeł - a ten dom całkiem nieźle nadaje się do obrony.

- Jeśli już o to chodzi - powiedział król - to nie wątpię, że każdy z nas drogo sprzeda swe życie, broniąc bramy tego domu oraz że mogą dostać królową, tylko przechodząc po naszych trupach. Ale nie łudźmy się: byłaby to walka szczurów złapanych w śmiertelną pułapkę. Nie mamy żadnych szans.

- Święta prawda - zakrakał kruk. - Te wszystkie opowieści o bohaterskiej walce do ostatka w jakimś domu są bardzo piękne, ale na tym się wszystko kończy. Po kilku nieudanych atakach wróg po prostu podpala dom.

- To ja jestem przyczyną tego wszystkiego! - zawołała Zuzanna, wybuchając płaczem. - Och, po co ja w ogóle opuszczałam Ker-Paravel! A tak cudownie było tego dnia, zanim przybyli posłowie z Kalormenu. Krety przygotowywały glebę pod nowy sad... i... och... och! - I ukryła twarz w dłoniach, głośno łkając.

- Odwagi, Zuziu, odwagi - rzekł Edmund. - Pamiętaj... ale co się z tobą dzieje, mistrzu Tumnusie?

- Bo oto faun złapał się za rogi, jakby próbował podnieść głowę swoimi własnymi rękami, wijąc się przy tym rozpaczliwie, jakby go coś okropnie bolało.

- Nie mówcie do mnie, nic nie mówcie - powiedział. - Ja MYŚLĘ. Myślę tak, że aż mnie zatyka. Poczekajcie, poczekajcie, błagam was, poczekajcie.

Zapadła pełna napięcia cisza, a po chwili faun popatrzył na nich, zrobił głęboki wdech, zmarszczył czoło i powiedział:

- Właściwie jedyna trudność polega na tym, jak dostać się do naszego okrętu... z jakimś prowiantem, rzecz jasna... tak aby nas nie zauważono i nie zatrzymano.

- Słusznie - odezwał się sucho jeden z karłów.

- To tak, jak z żebrakiem i jazdą konno: jedyna trudność polega na tym, że żebrak nie ma konia.

- Poczekajcie, poczekajcie - przerwał mu pan Tumnus niecierpliwie. - Brakuje nam tylko jakiegoś pretekstu, aby jeszcze dziś dostać się do portu i wejść na pokład naszego okrętu.

- W rzeczy samej - potwierdził król Edmund bez szczególnego zainteresowania.

- A więc - mówił dalej faun - co by było, gdyby tak wasze wysokości zaprosiły księcia na wielkie przyjęcie wydane na jego cześć NA POKŁADZIE naszego galeonu... powiedzmy jutro wieczorem? I niech to zaproszenie będzie wyrażone w tak uniżonych i wyszukanych słowach, jak to jest tylko możliwe bez narażania honoru królowej, tak aby dać księciu nadzieję, że może się spodziewać pomyślnej odpowiedzi...

- To bardzo dobra rada, miłościwy panie - zakrakał kruk.

- A jeśli tak - ciągnął Tumnus coraz bardziej podniecony - to nikt nie będzie się dziwił, że dzisiaj przez cały dzień wszyscy będziemy krzątać się przy galeonie i na jego pokładzie, bo przecież musimy poczynić przygotowania do przyjęcia. I niech część z nas uda się zaraz na targ i wyda wszystkie posiadane przez nas minimy u handlarzy owocami, słodyczami i winami, tak jakbyśmy rzeczywiście mieli wyprawić wielką ucztę. Można też nająć magików, żonglerów, tancerzy i grajków, mówiąc im, że mają się stawić na pokładzie jutro wieczorem...

- Ależ tak, rozumiem! - wykrzyknął król Edmund, zacierając dłonie.

- I w ten sposób - mówił faun - dziś wieczorem wszyscy będziemy na pokładzie okrętu. A jak tylko zrobi się ciemno...

- Wciągamy żagle i podnosimy wiosła! - dokończył król.

- I na pełne morze! - zawołał Tumnus, po czym podskoczył i zaczął tańczyć.

- Dziób skierowany na północ! - dodał pierwszy karzeł.

- I do domu! Niech żyje Narnia i Północ! - dorzucił drugi karzeł.

- Księżę budzi się następnego ranka, a tu jego ptaszki wyfrunęły! - wołał Peridan, klaszcząc głośnie.

- Och, mistrzu Tumnusie, kochany mistrzu Tumnusie! - powtarzała królowa, chwytając go za ręce i tańcząc z nim naokoło sali. - Uratowałeś nas wszystkich!

- Rabadasz będzie nas ścigał - odezwał się jeden z baronów, którego imienia Szasta jeszcze nie poznał.

- To najmniejszy powód do zmartwienia - rzekł Edmund. - Widziałem wszystkie ich statki na rzece: nie ma tam ani jednego okrętu wojennego z wysokim kasztelem i ani jednej szybkiej galery. Niech nas ściga! „Blask Szmaragdu” może zatopić każdą jednostkę, jaką Tisrok za nami wyśle - jeśli nas w ogóle doścignie.

- Królu - powiedział kruk - nie usłyszymy lepszego pomysłu, choćbyśmy tu radzili przez siedem dni. A teraz, jak to się u nas, ptaków, powiada: zanim zniesiesz jajko, zbuduj gniazdo. Co oznacza ni mniej, ni więcej, że trzeba coś zjeść i natychmiast zabrać się do roboty.

Wszyscy powstali z miejsc, a baronowie, karły, faun i kruk stanęli z boku, czekając, aż król i królowa pierwsi wyjdą z komnaty. Szasta zastanawiał się, co powinien teraz zrobić, gdy pan Tumnus powiedział do niego:

- Niech wasza książęca mość leży sobie spokojnie. Zaraz przyniosę coś do zjedzenia. Nie ma potrzeby ruszać się stąd do czasu, gdy będziemy gotowi do wymarszu.

Więc Szasta znów położył głowę na poduszkach, a za chwilę był już sam w komnacie.

„To wszystko jest okropne”, pomyślał. Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, by powiedzieć Narnijczykom całą prawdę i prosić ich o pomoc. Wychowany przez twardego, skąpego człowieka, jakim był Arszisz, Szasta miał mocno ugruntowany zwyczaj, by nigdy - jeśli to tylko możliwe - nie mówić nic dorosłym, bo zawsze można spotkać się albo z drwiną, albo z udaremieniem każdego zamiaru. Myślał też, że choć narnijski król może być dobry i uprzejmy dla koni, jako że należą do mówiących zwierząt z Narnii, mógłby się okazać niezbyt miły dla Arawis, która była Kalormenką; dla Szasty oznaczało to po prostu sprzedanie jej w niewolę lub odesłanie do ojca. Jeśli chodzi o niego samego, to „po prostu TERAZ nie mam odwagi powiedzieć im, że nie jestem księciem Korinem - myślał. - Słyszałem wszystkie ich plany. Kiedy się dowiedzą, że wcale nie jestem jednym z nich, nigdy mnie nie wypuszczą stąd żywego. Będą się obawiali, że zdradzę ich przed Tisrokiem. Mogą mnie zabić. A jeśli pojawi się prawdziwy Korin, wszystko się wyda i wtedy NA PEWNO mnie zabiją”. Jak sami widzicie, Szasta nie miał zielonego pojęcia, jak postępują szlachetni, wolno urodzeni ludzie.

- Co mam zrobić? Co mam zrobić? - powtarzał sam do siebie szeptem. - Co mam... uwaga, znowu tu idzie ten kozi stwór.

Faun wbiegł do komnaty krokiem bardziej przypominającym taniec niż zwykły trucht, trzymając w rękach tacę prawie tak dużą jak on sam. Postawił ją na inkrustowanym stoliku obok sofy, na której leżał Szasta, a sam usiadł ze skrzyżowanymi kozimi nogami.

- Bardzo proszę, moje książętko - powiedział.

- Radzę ci dobrze się najeść. Może to być twój ostatni posiłek w Taszbaanie.

Było to znakomite jedzenie, przyrządzone po kalormeńsku. Nie wiem, czy wam by odpowiadało, ale Szasta był zachwycony. Były tam homary, sałata, bekasy nadziewane migdałami i truflami, jakieś wyrefinowane danie złożone z kurzych

wątróbek, ryżu, rodzynek i orzechów, były mrożone melony, krem agrestowy i morwowy oraz wiele innych smakołyków zmieszanych z lodami. Była też mała karafka wina, które nazywają tutaj „białym”, choć naprawdę jest złote.

Gdy Szasta jadł, mały faun, przekonany, że chłopiec wciąż jest oszołomiony na skutek udaru słonecznego, opowiadał mu o cudownych chwilach, jakie go czekają po powrocie do domu; o jego dobrym, starym ojcu, archenlandzkim królu Lunie, i o zameczku na południowych stokach gór, w którym mieszka.

- I nie zapominaj - mówił Tumnus - że na przyszłe urodziny masz dostać swoją pierwszą zbroję i pierwszego bojowego konia. A wtedy wasza księżęca mość zacznie się uczyć, jak szarżować w bitwie i potykać się na turniejach. A król Piotr obiecał twemu ojcu, że za kilka lat, jeśli wszystko dobrze pójdzie, sam pasuje cię na rycerza w wielkiej sali tronowej Ker-Paravelu. Ale zanim się to stanie, będziemy się nieraz odwiedzać; droga z Narnii do Archenlandii lub z Archenlandii do Narnii nie jest daleka. Byle przejść przez góry! Pamiętasz, rzecz jasna, że obiecałeś spędzić ze mną cały tydzień na Święto Lata. Będą ognie sztuczne, będą całonocne tańce faunów i driad w sercu lasu, będzie... kto wie, może zobaczymy samego Aslana?!

Po jedzeniu faun poradził Szaście, aby o nic się nie martwił i leżał sobie spokojnie tam, gdzie leży.

- I nie zaszkodziłoby ci wcale, gdybyś się trochę przespał - dodał. - Kiedy będziemy wyruszać do portu, obudzę cię. A potem - do DOMU! Narnia i Północ!

Szaście tak smakował obiad i tak mu się podobało to, o czym mówił Tumnus, że po jego wyjściu zaczął myśleć o swojej sytuacji nieco inaczej. Teraz marzył tylko o tym, aby prawdziwy książę Korin nie pojawił się za wcześnie, tak aby on sam mógł popłynąć do Archenlandii na pokładzie narnijskiego galeonu. Obawiam się, że w ogóle nie myślał o tym, co się stanie z prawdziwym Korinem, jeśli zostanie sam w Taszbaanie. Jego nadzieje mąciła co prawda myśl o księżniczce Arawis i Koniu Brim, oczekujących na niego przy Grobowcach. Ale po chwili powiedział sobie: „Cóż, nie mam na to żadnego wpływu”, a potem: „A swoją drogą, ta Arawis uważa się za zbyt wielką panią, by podróżować ze mną, będzie więc miała okazję robić to sama”. Jednocześnie czuł, że o wiele przyjemniej jest podróżować do Narnii przez morze niż przez pustynię.

Kiedy już to wszystko przemyślał, zrobił to, co - jestem o tym przekonany - zrobilibyście i wy, gdyby was zbudzono bardzo wczesnym rankiem, kazano maszerować przez pół dnia, wplątano w niesłychanie groźną przygodę, a potem

poczęstowano wspaniałym obiadem i położono na miękkiej sofie w chłodnym pokoju, w głębokiej ciszy, przerywanej jedynie od czasu do czasu brzęczeniem pszczoły wlatującej lub wylatującej przez szeroko otwarte okno. Zasnął.

Obudził go hałas. Podskoczył na sofie i rozejrzał się wokół, a serce waliło mu jak młotem. Szybko zdał sobie sprawę, że spał kilka dobrych godzin; światło i cienie w komnacie były teraz zupełnie inne. Zobaczył też, co spowodowało hałas: kosztowna porcelanowa waza, która stała uprzednio na parapecie, leżała teraz na podłodze rozbita na jakieś trzydzieści kawałków. Natychmiast jednak co innego przykuło całkowicie jego uwagę. Ujrzał dwie ręce, które uchwyciły parapet, podczas gdy ich właściciel musiał wisieć po drugiej stronie. Widać było, że uchwyt staje się coraz mocniejszy, bo końce palców zbieleły, aż wreszcie w oknie pojawiła się głowa i ramiona. W chwilę później jakiś chłopiec w wieku Szasty siedział okrakiem na parapecie, z jedną nogą wiszącą wewnątrz, a drugą na zewnątrz.

Szasta nigdy jeszcze nie widział swojej twarzy w zwierciadle, a nawet gdyby widział, miałby święte prawo nie spostrzec, że ów chłopiec był podobny do niego jak jedna kropla wody do drugiej. W tej chwili chłopiec nie przypominał specjalnie nikogo, ponieważ jedno oko miał otoczone najczarniejszym w świecie siniakiem, brakowało mu zęba na samym przodzie, a jego strój (który kiedyś musiał być piękny i kosztowny) był brudny i poszarpany. W dodatku całą twarz miał powalaną błotem i krwią.

- Kim jesteś? - zapytał chłopiec szeptem.

- Czy to ty jesteś księciem-Korinem? - odpowiedział pytaniem Szasta. 'Ł.

- Oczywiście - zdziwił się tamten. - Ale kim ty jesteś?

- Jestem nikiem, to znaczy nikiem specjalnym - odparł Szasta. - Król Edmund złapał mnie na ulicy i pomylił z tobą. Chyba jesteśmy bardzo podobni do siebie. Czy uda mi się wydostać stąd tą samą drogą, jaką tu przyszedłeś?

- Tak, jeśli potrafisz się wspinać - odrzekł Korin. - Ale dokąd się tak spieszysz? Wiesz co, moglibyśmy zrobić parę niezłych kawałów, wykorzystując nasze podobieństwo!

- Nie, nie - powiedział szybko Szasta. - Musimy natychmiast zamienić się miejscami. Pan Tumnus okropnie by się przeraził, gdyby wrócił i zobaczył nas obu razem. Udawałem, że jestem tobą. A ty uciekłeś potajemnie w nocy. Gdzie się podziewałeś przez cały czas?

- Jakiś chłopak na ulicy zażartował sobie grubiańsko z królowej Zuzanny - rzekł

Korin - więc rąbnąłem go tak, że się przewrócił. Ale szybko się podniósł i wleciał z wrzaskiem do jakiegoś domu, a potem z tego domu wyszedł jego brat. Rąbnąłem więc jego brata i zacząłem uciekać, a potem wszyscy wpadliśmy na trzech ludzi z włóczyniami, których nazywa się tu Strażą. No, i tym razem nie dałem im rady. Zrobiło się już ciemno. Powiedzieli, że mnie gdzieś zamkną. Wobec tego zapytałem, czy nie mieliby przedtem ochoty na szklaneczkę wina, a oni, rzecz jasna, nie mieli nic przeciw temu. Weszliśmy do jakiejś winiarni, postawiłem im wino, usiedli, zaczęli pić, a ja dolewałem im tak szczerze, że wkrótce posnęli przy stole. Wtedy wyniosłem się po cichutku z winiarni, ale na ulicy znowu spotkałem tego chłopaka - tego, od którego wszystko się zaczęło. Musiałem więc przyłożyć mu jeszcze raz, po czym wdrapałem się po rynnie na dach jakiegoś domu i przeleżałem tam aż do świtu. Od tego czasu błąkałem się po mieście, usiłując odnaleźć naszą kwaterę. Słuchaj no, jest tu coś do picia?

- Niestety, wszystko wypilem - powiedział Szasta. - Pokaż mi teraz, jak się tu dostałeś. Nie ma ani chwili do stracenia. Radzę ci położyć się na tej sofie i udawać... aha, zapomniałem o twoich siniakach i podbitym oku. Będziesz musiał po prostu powiedzieć im prawdę, kiedy będę już daleko stąd.

- A co innego miałbym im powiedzieć, u licha? - zdziwił się książę. - Ale kim TY jesteś?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia - odpowiedział Szasta gorączkowym szeptem. - Wierzę, że jestem Narnijczykiem, w każdym razie pochodzę z Północy. Ale wychowałem się w Kalormenie. Uciekam stąd, przez pustynię, z mówiącym koniem, który nazywa się Bri. A teraz... szybko! Jak się stąd wydostać?

- Popatrz, musisz zeskoczyć z okna na dach tej werandy. Tylko zrób to umiejętnie, skacz na palce, bo ktoś cię usłyszy. Potem idź na lewo, do tamtego muru. Jeśli jesteś rzeczywiście dobry we wspinaczce, to wdrapiasz się na górę, a później pójdziesz po murze aż do rogu, a tam zobaczysz w dole wielką kupę śmieci. Wystarczy na nią zeskoczyć - i jesteś wolny.

- Dzięki - powiedział Szasta, siedząc już na parapecie. Chłopcy popatrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu i nagle poczuli, że są przyjaciółmi.

- Do zobaczenia - rzekł Korin. - Niech ci się poszczęści. Jestem pewien, że ci się uda.

- Do zobaczenia. Wiesz co, chyba czekają cię nie lada przygody.

- To nic w porównaniu z tobą - odpowiedział Korin. - Teraz skacz. Lekko,

mówiłem ci! - dodał, gdy Szasta skoczył. - Na pewno spotkamy się w Archenlandii. Idź do mojego ojca, króla Luny, i powiedz mu, że jesteś moim przyjacielem. Uważaj! Chyba ktoś idzie.

ROZDZIAŁ 6

SZASTA WSROD GROBOWCÓW

SZASTA POBIEGŁ NA PALCACH. Rozgrzany dach parzył go w bose stopy. W ciągu paru sekund wspiął się na mur, a kiedy dotarł do jego rogu, zobaczył w dole wąską, cuchnącą uliczkę. Tuż pod murem piętrzyła się wielka kupa śmieci. Zanim zeskoczył, rozejrzał się wokoło, aby ustalić, gdzie się znajduje. Nie ulegało wątpliwości, że kwatery Narnijczyków leży już poza szczytem wzgórza, na którym zbudowany był Taszbaan. Przed nim rozpościerało się zbocze, pokryte szczelnie płaskimi dachami domów opadających tarasowato aż do obwarowań i baszt północnego muru miasta. Za murem widać było rzekę, a za rzeką wąski pas ogrodów na łagodnym zboczu doliny. Ale poza zielenią nadbrzeżnych ogrodów rozpoczynało się coś, czego nigdy jeszcze nie widział: rozległa, żółtoszara równina, płaska jak spokojne morze. A na jej dalekim krańcu, już na widnokręgu, majaczyły błękitne, poszczerbione kształty; na najwyższych białeły śnieżne czapy. „Pustynia! Góry!”, pomyślał.

Zeskoczył na kupę śmieci i zaczął biec wąską uliczką tak szybko, jak potrafił. Wkrótce dobiegł do szerokiej ulicy pełnej ludzi. Nikt nie zwracał uwagi na bosego chłopca w łachmanach. Odetchnął jednak z ulgą, gdy minął róg ulicy i zobaczył przed sobą bramę miejską. Tutaj wchłonął go gęsty, rozpychający się tłum ludzi opuszczających miasto. Na wąskim moście za bramą posuwał się wolno w długim rzędzie, bardziej przypominającym kolejkę do sklepu niż uliczny tłum. Ale tu, w świeżym powiewie znad czystej rzeki, oddychało się zupełnie inaczej niż w gorących, dusznych i hałaśliwych uliczkach Taszbaanu.

Kiedy dotarł do końca mostu, zobaczył, że tłum rozchodzi się na lewo i na prawo, wzdłuż biegu rzeki. Szasta poszedł prosto i znalazł się na mało uczęszczanej drodze wiodącej przez ogrody; po kilkunastu krokach ludzie znikli w ogóle. Droga zaprowadziła go na szczyt zbocza. Tu stanął i patrzył przed siebie z otwartymi szeroko ustami, bo to, co zobaczył, wyglądało jak koniec świata. Kilka metrów przed nim trawa urywała się nagle i zaczynał piasek - nie kończąca się płaszczyna piasku jak na jakiejś rozległej plaży, tyle tylko, że tu powierzchnia była bardziej pofałdowana, bo nigdy nie zmywała jej woda. Daleko, na widnokręgu, majaczyły góry. A nieco w lewo, w odległości zaledwie kilku minut marszu, zobaczył ku swej radości Grobowce, takie, jak je opisał Bri: wielkie stosy kamieni, przypominające olbrzymie ule, bardzo ponure i czarne, bo słońce znajdowało się już nisko, dokładnie za nimi.

Szasta bez wahania pobiegł w ich kierunku. Wypatrywał śladów swoich przyjaciół, lecz padające mu prosto w oczy promienie słońca prawie go oślepiły. „Zresztą i tak na pewno czekają po drugiej stronie najdalszego Grobowca, a nie tu, gdzie mógłby ich dostrzec ktoś z miasta”, pomyślał.

Grobowców było ze dwanaście, każdy z nisko sklepionym wejściem, z którego ziała absolutna ciemność. Rozrzucone były dość bezładnie, w różnych odległościach, tak że sporo czasu zabrało mu obejście każdego ze wszystkich stron. W końcu uzyskał pewność, że żadnego nie ominął. Niestety, nikt tu na niego nie czekał.

Słońce zaczęło zachodzić. Na skraju rozległej, martwej pustyni panowała całkowita cisza.

Nagle, gdzieś poza nim, rozległ się straszny dźwięk. Serce podskoczyło mu do gardła i musiał ugryźć się w język, aby nie wrzasnąć ze strachu. W następnej chwili przypomniał sobie, co to za dźwięk: to zagrzmiwały rogi Taszbaanu oznajmiające zamknięcie bram. „Nie bądź głupcem, mały tchórze - rzekł do siebie. - Przecież słyszałeś to już dziś rano.” Jest jednak duża różnica między dźwiękiem oznajmianym, że można rano wejść do miasta wraz z przyjaciółmi, a tym, który oznacza, że przez całą noc nie będzie można do miasta powrócić. Co więcej, oznaczało to również, że po zamknięciu bram nie może już liczyć na to, iż pozostali dotrą do Grobowców tego wieczoru. „Albo nie zdążyli i są zamknięci w mieście aż do rana - pomyślał Szasta - albo też byli już tutaj i poszli dalej beze mnie. Bardzo by to pasowało do tej całej księżniczki Arawis. Ale Bri... nie, on by mnie nie zostawił. Tylko, czy na pewno? A może się jednak mylę?”

Pewne jest, że Szasta mylił się całkowicie co do księżniczki Arawis. Była dumna i potrafiła być niemiła, ale była też uczciwa i nieugięta jak stal i nigdy by nie zostawiła towarzysza podróży samego, obojętne, czy go lubiła, czy też nie.

Teraz, gdy Szasta już wiedział, że będzie musiał spędzić samotnie noc (z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej), całe to miejsce zaczynało mu się coraz mniej podobać. Było coś nieprzyjemnego w tych wielkich, milczących kształtach z kamieni. Przez dłuższy czas udawało mu się nie myśleć o upiorach, ale w końcu musiał się poddać.

- Auuuu! Ratunku! - wrzasnął nagle rozpaczliwie, bo poczuł, że coś otarło się o jego nogi. Myślę, że nikogo nie można potępić za wrzaśnięcie, gdy coś wyłazi mu zza pleców i niespodziewanie dotyka, zwłaszcza gdy dzieje się to w takim miejscu i w takim czasie. W każdym razie Szasta tak się przeraził, że nie potrafiłby nawet uciec.

Byłoby to zresztą najgorsze: być ściganym wokół Grobowców Starożytnych Królów przez coś, na co nie ma się odwagi nawet spojrzeć. Zamiast uciekać, zrobił to, co było naprawdę najrozsądniejszą rzeczą, jaką mógł zrobić. Po prostu spojrzął za siebie i natychmiast odczuł wielką ulgę. Tym czymś, co go zniemacka dotknęło, był po prostu kot.

Zrobiło się już zbyt ciemno, aby Szasta mógł dostrzec coś więcej ponad to, że kot jest duży i bardzo dostojny. Wyglądał tak, jakby żył sam jeden wśród tych Grobowców przez wiele, wiele lat. W jego oczach kryło się coś, co kazało przypuszczać, że zna tajemnice, których nie chce zdradzić byle komu.

- Kici, kici - przywitał go Szasta. - Chyba nie jesteś MÓWIĄCYM kotem?

Kot popatrzył na niego uważnie, po czym odwrócił się i zaczął odchodzić w sposób tak znaczący, że Szasta bez wahania poszedł za nim. Kot poprowadził go między Grobowcami, a potem poza nie, w stronę pustyni. Tam usiadł, wyprostowany, z ogonem owiniętym wokół łap i pyskiem skierowanym ku pustyni, ku Narnii i Północy, jakby się stamtąd spodziewał jakiegoś wroga. Szasta położył się na piasku tuż przy nim, twarzą do Grobowców, bo kiedy ktoś się czegoś boi, nie ma nic lepszego, jak mieć na oku niepokojące miejsce, a za plecami coś ciepłego i w miarę stałego. Nie sądzę, by dla was piasek był wygodnym posłaniem, ale Szasta sypiał na ziemi bardzo często, więc wcale się tym nie przejął. Wkrótce zasnął, choć nawet we śnie nie przestawał się martwić, co mogło się stać z Brim, księżniczką Arawis i kłaczą Hwin.

Przebudził go dźwięk, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie słyszał. „Może mi się to tylko przyśniło”, pomyślał. W tej samej chwili uświadomił sobie, że kota już nie ma, a w chwilę potem, że na pewno wolałby, żeby był. Leżał jednak wciąż bez ruchu i nie otwierał oczu, bo wiedział, że będzie się bał jeszcze bardziej, gdy usiadzie i zobaczy Grobowce, ciemność i to, że jest zupełnie sam. Mam nadzieję, że rozumiecie, co czuł, i na pewno sami leżelibyście z koszulą na głowie, gdyby nagle w nocy obudził was jakiś okropny dźwięk. Sądzę, że i ja zrobiłbym to samo. A dźwięk rozległ się ponownie: ostry, przenikliwy krzyk dochodzący wyraźnie spoza jego pleców, z pustyni. Teraz Szasta otworzył oczy i szybko usiadł.

Księżyc świecił jasno. Grobowce - o wiele większe i bliższe, niż się spodziewał - szarzały opodal w jego świetle. Wyglądały niesamowicie i strasznie, jak olbrzymy w szarych habitach zakrywających im głowy i twarze. W każdym razie nie było to najprzyjemniejsze sąsiedztwo dla kogoś, kto miał spędzić samotnie noc w dziwnym i obcym miejscu. Ale straszny krzyk rozległ się wyraźnie z przeciwnej strony, z pustyni.

Szasta odwrócił się plecami do Grobowców (choć nie bardzo mu się to podobało) i wpatrzył się w pustynię. Dziki krzyk zabrzmiał ponownie.

„Mam nadzieję, że nie są to znowu lwy”, pomyślał. I rzeczywiście, głos nie przypominał zbyt ryku lwa, jaki słyszał tej nocy, gdy spotkał Hwin i Arawis. Był to bowiem krzyk szakala, ale Szasta o tym nie wiedział. A nawet gdyby wiedział, to nie sądzę, by miał wielką ochotę na spotkanie z szakalem.

Krzyki rozlegały się raz po raz. „Cokolwiek to jest, musi być tego kilka sztuk - pomyślał chłopiec. - I chyba są coraz bliżej.”

Przypuszczam, że gdyby był naprawdę rozsądnym chłopcem, uciekłby gdzieś w kierunku rzeki, gdzie były domy i gdzie dzikie zwierzęta nie odważyłyby się podejść. Ale oprócz dzikich zwierząt są na świecie upiory (a przynajmniej Szasta w to wierzył). Ucieczka w stronę rzeki oznaczałaby wejście między Grobowce z ich ziejącymi ciemnością otworami. Co mogło z nich wyleźć? Może i było to nierozsądne, ale Szasta czuł, że z dwojga złego woli już dzikie zwierzęta. Dopiero wówczas, gdy krzyki stały się bardzo bliskie, zaczął zmieniać zdanie.

Właśnie zamierzał uciec w kierunku Grobowców, gdy nagle od strony pustyni pojawiło się jakieś olbrzymie zwierzę. Księżyc był poza nim, widać więc było jedynie czarny kształt. Szasta dostrzegł tylko, że zwierzę ma wielką, kudłatą głowę i chodzi na czterech łapach. Nic nie wskazywało na to, by zauważyło chłopca. Przystanęło, odwróciło łeb w kierunku pustyni i wydało z siebie ryk, który odbił się echem o Grobowce, a Szasta poczuł, że piasek zdrzął pod jego stopami. Krzyki owych innych stworzeń nagle ucichły i wydawało mu się, że słyszy oddalające się kroki. A potem wielkie zwierzę odwróciło łeb i popatrzyło na Szastę.

„To jest lew, tak, wiem, że to lew - poraziła Szastę przerażająca myśl. - Już po mnie. Ciekaw jestem, czy to będzie bardzo bolało. Och, żeby już było po wszystkim. Oooooch! Podchodzi!” Zamknął oczy i zacisnął mocno zęby.

Ale zamiast klów i pazurów poczuł na stopach coś ciepłego. „Ojej, przecież ono wcale nie jest takie duże, jak mi się wydawało! Jest chyba o połowę mniejsze. Ale nie, jeszcze mniejsze. Przecież to tylko kot! Musiało mi się chyba przyśnić, że był wielki jak koń.”

I czy naprawdę śnił przed chwilą, czy też nie, to, co leżało teraz u jego stóp i patrzyło na niego wielkimi, nieruchomymi, zielonymi oczami, było naprawdę kotem, choć z całą pewnością był to kot dużo większy od tych, jakie dotychczas widywał.

- Och, kiciu - wysapał Szasta - jakże się cieszę, że znowu jesteś. Miałem

okropne sny. - I położył się ponownie na piasku, przytulając plecami do grzbietu kota, tak jak przedtem, na początku nocy. Przeniknęło go miłe ciepło.

- Nigdy, do końca życia, nie zrobię już nic złego żadnemu kotu - powiedział trochę do siebie, a trochę do kota. - Bo, widzisz, raz coś takiego zrobiłem. Rzuciłem kamieniami w jednego takiego przybłądę, wygłodniałego i zabiedzonego. Hej! Przestań! - zawołał, bo kot odwrócił się i drapnął go lekko pazurem. - Coś podobnego! Zupełnie, jakby rozumiał, co mówię.

Gdy obudził się następnego ranka, kot zniknął. Słońce już wstało i piasek zaczynał parzyć. Usiadł, trąc oczy i czując dotkliwe pragnienie. Pustynia była oślepiająco biała i chociaż od strony miasta dobiegał cichy gwar, tu panowała całkowita cisza. Popatrzył w lewo, na zachód, by słońce nie świeciło mu prosto w oczy, i zobaczył góry na dalekim krańcu pustyni, teraz tak ostre i wyraźne, że wydawało się, jakby leżały o rzut kamieniem stąd. Na jeden zwłaszcza wierzchołek zwrócił szczególną uwagę, bo jego podwójny szczyt wskazywał, że musi to być góra Pir. „Zgodnie z tym, co mówił kruk, to jest nasz kierunek. Warto go zaznaczyć, żeby nie marnować czasu, kiedy nadejdą inni.” Wyłobił więc stopą w piasku głęboką, prostą strzałę, wskazującą na górę Pir.

Teraz trzeba było zdobyć coś do jedzenia i picia. Szasta pobiegł między Grobowcami - w dzień wyglądały zupełnie zwyczajnie i dziwiło go, że można się było ich kiedykolwiek bać - ku ogrodom na brzegu rzeki. Bramy miejskie otwarto już kilka godzin temu i poranne tłumy zdążyły wejść do miasta. Nie miał więc trudności w dokonaniu niewielkiego „wypadu” (jak by nazwał to Bri). Polegał on na pokonaniu muru otaczającego jeden z ogrodów i zarekwirowaniu trzech pomarańczy, melona oraz kilku fig i granatów. Potem zszedł nad rzekę w bezpiecznej odległości od mostu, żeby się napić. Woda była tak przyjemna, że zdjął brudne, nagrzane ubranie i wskoczył do rzeki; mieszkając przez całe życie nad morzem, od dziecka potrafił świetnie pływać. Po kąpieli położył się na trawie, patrząc przez rzekę na Taszbaan w całej jego świetności, potędze i chwale. Ale widok ten przypominał mu o zagrożeniu. Zdał sobie sprawę, że jego towarzysze mogli dojść do Grobowców, podczas gdy on pływał w rzece („i pójść sobie dalej beze mnie, jak amen w pacierzu”), więc ubrał się w popłochu i pobiegł z powrotem tak szybko, że gdy dotarł do skraju pustyni, znowu był zgrzany i spragniony.

Tak jak większość dni, w których jest się samotnym i czeka na coś, tak i ten dzień zdawał się liczyć ze sto godzin. Szasta miał nad czym rozmyślać, ale takie

samotne siedzenie i rozmyślanie okropnie się dłuży. Myślał o Narnijczykach, a zwłaszcza o Korinie. Ciekaw był, co się stało, gdy odkryli, że chłopiec, który leżał na sofie i poznał ich skryte plany, nie był wcale Korinem. Myślał o tych wszystkich miłych ludziach, a pewność, że uważają go teraz za szpiega i zdrajcę, nie była wcale przyjemna.

Kiedy jednak słońce powoli, powoli wspięło się na szczyt swojej niebieskiej drogi, a potem powoli, powoli zaczęło zniżać się ku zachodowi i nikt nie przychodził, i w ogóle nic się nie działo, Szasta czuł narastający niepokój. Teraz sobie uświadomił, że kiedy się umawiali przy Grobowcach, nikt nie powiedział, JAK DŁUGO mają na siebie czekać. Przecież nie może tu siedzieć i czekać na nich bez końca! A niedługo znowu zrobi się ciemno i znowu będzie musiał spędzić samotnie noc. Przez głowę przechodziły mu coraz to nowe pomysły - jedne gorsze od drugich - aż wreszcie zdecydował się na najgorszy ze wszystkich. Postanowił poczekać, aż się ściemni, wrócić nad rzekę, ukraść tyle melonów, ile zdoła unieść, i wyruszyć samotnie ku górze Pir. Był to zwariowany pomysł i gdyby Szasta przeczytał tyle książek podróżniczych, ile wy, nigdy by mu nie przyszło do głowy, żeby coś takiego zrobić. Ale Szasta w ogóle nie czytał książek.

Zanim słońce zaszło, coś jednak się wydarzyło. Siedział w cieniu jednego z grobowców, kiedy zobaczył zbliżające się ku niemu dwa konie. Serce podskoczyło mu z radości, rozpoznał bowiem Briego i Hwin. Ale nie cieszył się długo... Nie było śladu po księżniczce Arawis. Konie prowadził jakiś nie znany mu mężczyzna, uzbrojony i bogato ubrany, jak wyższy rangą niewolnik z jakiegoś znacznego domu. Konie nie udawały już zwierząt jucznych, lecz były wyczyszczone i osiodłane. Co to wszystko miało znaczyć? „To pułapka”, pomyślał Szasta. „Ktoś uwięził Arawis i torturami wszystko z niej wyciągnął. Teraz czekają tylko, aż wyskoczę, żeby przywitać się z Brim, a wtedy mnie złapią! Ale jeśli tego nie zrobię, mogę stracić ostatnią szansę, aby się z nimi spotkać. Och, jak bym chciał wiedzieć, co mam zrobić!” I przycupnął za Grobowcem, wyglądając zza niego ostrożnie co jakiś czas i łamiąc sobie głowę nad tym, co będzie najmniej niebezpieczne.

ROZDZIAŁ 7

KSIĘŻNICZKA ARAWIS W TASZBAANIE

A OTO, CO SIĘ NAPRAWDĘ WYDARZYŁO. Kiedy Arawis zobaczyła, jak Narnijczycy zabierają ze sobą Szastę, nie straciła głowy, lecz szybko złapała uzdę Briego. Choć serce waliło jej jak młotem, stała cicho, trzymając oba konie, które również (bardzo rozsądnie) nie zdradzały się z umiejętnością mówienia ludzkim głosem. Gdy tylko narnijscy baronowie odeszli, chciała pójść dalej. Ale nie zdołała zrobić nawet jednego kroku, gdy inny herold („Och, niech piekło pochłonie tych wszystkich ludzi”, pomyślała) zaczął wykrzykiwać tuż przed nią: „Droga! Droga! Droga dla Tarkiiny Lasaraliiny!” i nagle pojawiło się czterech tragarzy niosących lektykę uskrzydloną zwiewnymi jedwabnymi zasłonami i rozdzwonioną srebrnymi dzwoneczkami. Ulicę wypełnił zapach perfum i kwiatów. Za lektyką szły niewolnice w pięknych strojach, a za nimi grupa szambelanów, gońców, paziów i innych sług. I wtedy Arawis popełniła pierwszy błąd.

Znała Lasaraliinę bardzo dobrze - prawie tak, jakby chodziły razem do szkoły - ponieważ obie często bywały w tych samych domach i na tych samych przyjęciach. I niestety, Arawis nie mogła wytrzymać, żeby nie podnieść głowy i nie popatrzeć, jak Lasaraliina teraz wygląda - teraz, kiedy wyszła za mąż i była naprawdę ważną osobą.

Był to fatalny błąd. Spojrzenia obu dziewcząt spotkały się. Lasaraliina natychmiast usiadła w lektyce i zapiszczała podnieconym głosem:

- Arawis!! Co ty tu robisz? Twój ojciec...

Nie było chwili do stracenia. Arawis bez namysłu puściła oba konie, złapała za brzeg lektyki i wskoczyła do środka, szepcząc do ucha zdumionej przyjaciółki:

- Cicho bądź, słyszysz! Nic nie mów. Musisz mnie ukryć. Każ swoim ludziom...

- Ależ moja kochana... - zaczęła Lasaraliina

tym samym donośnym piskiem (nie miała nic przeciwko temu, by się na nią gapiono, wręcz przeciwnie).

- Rób, co ci mówię, albo już nigdy się do ciebie nie odezwę - syknęła Arawis. - Błagam cię, zrób to szybko, Liino. To okropnie ważne. Każ swoim ludziom zabrać te dwa konie. Opuść zasłony i zaprowadź mnie gdzieś, gdzie mnie nie znajdą. I POSPIESZ się!

- Dobrze już, dobrze, moja kochana - powiedziała Lasaraliina swoim leniwym głosem. - Hej, niech dwu z was weźmie konie Tarkiiny. A teraz - do domu. Słuchaj, złotko, czy ty myślisz, że naprawdę chcemy mieć opuszczone zasłony w taki dzień?

Chodzi mi o to, że...

Ale Arawis już opuściła zasłony, zamykając siebie i przyjaciółkę w czymś, co przypominało bogaty i pachnący, lecz raczej nieco duszny namiot.

- Nie chcę, by mnie widziano. Mój ojciec nie wie, że tutaj jestem. Uciekłam.

- To wszystko jest strasznie podniecające - powiedziała Lasaraliina. - Umieram z ciekawości. Kochanie, siedzisz na mojej sukni. O, teraz lepiej. To zupełnie nowa suknia. Podoba ci się? Dostałam ją w...

- Och, Liino, bądź poważna - przerwała jej Arawis. - Gdzie jest mój ojciec?

- To ty nic nie wiesz? Jest tu, w Taszbaanie. Przybył wczoraj i wszędzie o ciebie rozpytuje. Och, pomyśleć, że jesteśmy tu we dwie, w mojej lektyce, a on nic o tym nie wie! To najzabawniejsza rzecz, o jakiej słyszałam. - I zaczęła chichotać. Arawis przypomniała sobie, że Lasaraliina zawsze była okropną chichotką.

- To wcale nie jest zabawne - powiedziała. -. To bardzo poważna sprawa. Gdzie możesz mnie ukryć?

- Z tym nie będzie żadnych trudności, moja droga. Zabiorę cię do siebie. Mojego męża akurat nie ma i nikt cię nie zobaczy. Uff! To żadna przyjemność, z tymi zasłonami. Chcę widzieć ludzi. Przecież to bez sensu mieć nową suknię i siedzieć w lektyce z opuszczonymi zasłonami.

- Mam nadzieję, że nikt nie słyszy, jak do mnie wrzeszczysz - przerwała jej ze złością Arawis.

- Ależ nie, oczywiście, moja kochana - odrzekła Lasaraliina bezmyślnym tonem.

- Ale nawet mi jeszcze nie powiedziałaś, co myślisz o tej sukni.

- I jeszcze jedno - powiedziała Arawis. - Musisz powiedzieć swoim ludziom, żeby traktowali te konie z szacunkiem. To jest część mojej tajemnicy. To są naprawdę mówiące konie z Narnii.

- Niemożliwe! - krzyknęła Lasaraliina. - Och, jakie to podniecające! Kochana, czy widziałaś tę barbarzyńską królową z Narnii? Właśnie jest w Taszbaanie. Mówią, że książę Rabadasz zupełnie zwariował na jej punkcie. Przez całe ostatnie dwa tygodnie było tu mnóstwo cudownych przyjęć, polowań i różnych innych zabaw. Dla mnie ona wcale nie jest taka piękna. Za to niektórzy Narnijczycy z tego poselstwa są naprawdę wspaniali! Przedwczoraj było przyjęcie na rzece, miałam na sobie swoją...

- Co zrobimy, żeby twoja służba nie rozpowiedziała wszystkim, że masz w domu gościa, ubranego jak dziecko żebraka? Mogłoby to szybko dojść do mojego ojca.

- Przestań się wreszcie tym wszystkim zamartwiać, moja kochana. Zaraz

dostaniesz coś odpowiedniego. O, jesteśmy na miejscu!

Tragarze zatrzymali się, postawili lektykę i podnieśli zasłony. Arawis zobaczyła, że są w pałacowym ogrodzie, bardzo zresztą podobnym do tego, w jakim znalazł się Szasta kilka minut wcześniej. Lasaraliina już pędziła do środka, gdy Arawis przypomniała jej wściekłym szeptem, że miała zakazać niewolnikom mówienia komukolwiek o dziwnym gościu swej pani.

- Och, wybacz mi, kochanie, zupełnie mi to wyleciało z głowy - powiedziała Lasaraliina. - Hej, wy wszyscy, i odźwierny, do mnie! Niech nikt z was nie śmie dziś opuszczać domu. A jeśli przyłapię kogoś na tym, że rozpowiada o tej młodej damie, to najpierw każę go zachłostać na śmierć, potem spalić żywcem, a potem będzie trzymany o chlebie i wodzie przez sześć tygodni. To wszystko.

Chociaż Lasaraliina zapewniała uprzednio, że wprost umiera z ciekawości, by poznać historię Arawis, teraz nie sprawiała wrażenia, żeby naprawdę chciała jej wysłuchać. Prawdę mówiąc, czuła się o wiele lepiej, gdy sama mówiła, niż gdy kogoś słuchała. zaproponowała Arawis długą, luksusową kąpiel (kalormeńskie łaźnie są słynne na całym świecie), a potem zaczęła ją stroić, robią przy tym tyle zamieszania, że Arawis była u granic wytrzymałości. Przypomniała sobie, że jej przyjaciółka zawsze taka była: zajmowały ją tylko stroje, przyjęcia i plotki. Arawis natomiast interesowała się bardziej lukami, strzałami, końmi i pływaniem. Nietrudno się domyślić, że każda uważała drugą za głupią gęś. Ale kiedy po posiłku (składającym się głównie z bitej śmietany, galaretek, owoców i lodów) usiadły w końcu w uroczej, otoczonej kolumnami komnacie (która podobałaby się Arawis bardziej, gdyby rozpieszczona małpka Lasaraliiny nie grasowała po niej przez cały czas), pani domu zapytała ją w końcu rozleniwionym głosem, dlaczego uciekła z domu.

Kiedy Arawis skończyła swą opowieść, Lasaraliina spytała:

- Ależ, moja kochana, dlaczego właściwie nie chcesz poślubić Ahoszty Tarkaana? Wszyscy wariują na jego punkcie. Mój mąż mówi, że Ahoszta zaczyna być jednym z najpotężniejszych ludzi w Kalormenie. Właśnie został wielkim wezyrem po śmierci starego Aksarty. Nie wiedziałaś o tym?

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie mogę znieść jego widoku - odpowiedziała Arawis.

- Ależ, kochana, pomyśl tylko! Trzy pałace, w tym ten cudowny, na jeziorze Ilkeen. Mówiono mi, że ma też całe sznury pereł, możesz być tego pewna. Kąpiele w oślim mleku... No, i będziesz mogła często widywać MNIE.

- Jeśli chodzi o mnie, to może sobie zatrzymać te pałace i perły.

- Wiesz, ty zawsze byłaś trochę dziwna. Czego można jeszcze więcej chcieć?

W końcu Arawis zdołała jednak przekonać przyjaciółkę, że naprawdę chce uciec, a nawet omówić z nią konkretny plan. Nie będzie trudności z przeprowadzeniem dwu koni przez Północną Bramę, a później z dotarciem do Grobowców. Nikt nie ośmielił się zatrzymać lub wypytywać dobrze ubranego szambelana, prowadzącego nad rzekę bojowego rumaka i osiodłaną klacz, a Lasaraliina miała wielu szambelanów. Nieco trudniej było postanowić, co zrobić z samą Arawis.

Księżniczka proponowała, by ją wyniesiono w lektyce z opuszczonymi zasłonami, ale Lasaraliina powiedziała, że lektyk używa się tylko w mieście i mogłoby to wzbudzić podejrzenia.

Rozmowa ciągnęła się i ciągnęła, bo Arawis tylko z najwyższym trudem udawało się utrzymać uwagę przyjaciółki na jednym temacie. W końcu Lasaraliina klasnęła w dłonie i zawołała:

- Och, mam pomysł! Jest JEDEN sposób wymknięcia się z miasta bez przechodzenia przez bramy. Ogrody Tisroka (oby żył wiecznie!) ciągną się aż do rzeki i tam, nad samym brzegiem, jest w murze furtka. Używana jest tylko przez ludzi z pałacu, ale wiesz przecież, moja kochana - tu zachichotała - że my właściwie NALEŻYMY do dworu, och tak, to jest pomysł, masz szczęście, że spotkałaś właśnie MNIE. Kochany Tisrok (oby żył wiecznie!) jest taki uroczy! Jesteśmy zapraszani do pałacu prawie codziennie, to właściwie nasz drugi dom. Strasznie lubię te wszystkie księżniczki i tych książąt i naprawdę UWIELBIAM księcia Rabadasza. Mówię ci, mogę w każdej chwili wpaść do pałacu, żeby zobaczyć się z tą czy tamtą damą dworu. No więc, pomysł tylko, przecież możemy obie wśliznąć się do środka po zapadnięciu zmroku, doprowadzę cię do tej furtki, a tam, na brzegu, zawsze są przywiązane jakieś łódki. A gdyby nas złapano...

- To wszystko byłoby stracone - przerwała jej Arawis.

- Och, kochana, nie denerwuj się tak - powiedziała Lasaraliina. - Chciałam powiedzieć, że gdyby nawet nas złapano, każdy pomyśli, że to tylko jeden z moich zwariowanych pomysłów. Wszyscy mnie z tego znają. Kilka dni temu, och, posłuchaj, to było okropnie zabawne...

- Chodzi mi o to, że wszystko byłoby stracone DLA MNIE - przerwała jej ponownie Arawis dość ostrym tonem.

- Och... ach... tak... teraz rozumiem, o co ci chodzi, kochana... Tak... A masz jakiś lepszy pomysł?

Ale oczywiście Arawis nie potrafiła nic lepszego wymyślić i odpowiedziała:

- No cóż, będziemy musiały zaryzykować. Kiedy to zrobimy?

- Och, nie dziś. To wykluczone. Dziś wieczorem jest wielka zabawa (za kilka minut muszę zacząć przygotowywać fryzurę!) i będzie tam wszędzie mnóstwo światła. I będą tam tłumy! Musimy to zrobić jutro.

Nie była to dla Arawis przyjemna wiadomość, ale musiała się z tym pogodzić. Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność i odetchnęła z ulgą, gdy Lasaraliina poszła wreszcie na bankiet, bo miała już naprawdę dość jej chichotów i ustawicznego paplania o sukniach, przyjęciach, ślubach, zaręczynach i skandalach. Poszła wcześniej spać, stwierdzając, że mimo wszystko miło jest znowu leżeć w gładkiej pościeli i na miękkich poduszkach.

Następny dzień znowu dłużył się niemiłosiernie. Lasaraliina wracała raz po raz do planu ucieczki i zamęczała Arawis opowieściami o Narnii. Według niej był to kraj wiecznie pokryty śniegiem i lodem, zamieszkanym przez demony i czarnoksiężników. „Uciekać właśnie tam... to czyste szaleństwo! Kochana, przemyśl to sobie jeszcze raz. I w dodatku z jakimś wiejskim parobkiem. To naprawdę nie będzie miłe.” Arawis sama często się nad tym zastanawiała, ale teraz była tak zmęczona głupotą przyjaciółki, że po raz pierwszy zaczęła myśleć o ucieczce do Narnii z Szasta trochę inaczej. Była już prawie pewna, że będzie to o wiele bardziej przyjemne niż całe tak wystawne i modne życie w Taszbaanie. Odpowiedziała więc tylko:

- Zapominasz, że kiedy już dotrzemy do Narnii, stanę się nikim, tak jak on. A w ogóle, to przyrzekłam i nie ma o czym mówić.

- I pomyśleć - Lasaraliina właściwie już nie mówiła, ale krzyczała - że gdybyś tylko miała więcej rozumu, to mogłabyś zostać żoną wielkiego wezyra!

Arawis wyszła, by porozmawiać ze zwierzętami.

- Tuż przed zachodem słońca - powiedziała im

- pójdziecie z jakimś dworakiem do Grobowców. Te wszystkie toboły muszą tu zostać, bo znowu wam założą siodła i uprzęż. Ale w torbach przy siodle Hwin będzie prowiant, a za siodłem Briego bukłak z wodą. Ten człowiek pozwoli wam napić się do syta po drugiej stronie rzeki.

- A potem: Narnia i Północ! - szepnął Bri.

- A jeśli Szasty tam nie będzie?

- Musicie na niego czekać. Mam nadzieję, że niczego wam tu nie brakuje?

- Najlepsza stajnia, jaką w życiu widziałem - rzekł Bri. - Ale jeśli małżonek tej rozchichotanej Tarkiiny daje swemu szambelanowi pieniądze na najlepszy owies, to myślę, że ktoś tu kogoś oszukuje.

Arawis i Lasaraliina zjadły kolację w komnacie z kolumnami i w dwie godziny później były gotowe do drogi. Arawis ubrana była jak wyższa rangą niewolnica z bogatego domu, twarz miała zasłoniętą woalem. Gdyby spotkały się z jakimiś pytaniami, Lasaraliina miała powiedzieć, że prowadzi niewolnicę, którą chce podarować jednej z dam dworu.

Poszły na piechotę i po kilku minutach były już przed bramą pałacu. Dowódca straży natychmiast poznał Lasaraliinę i rozkazał swym żołnierzom oddać jej honory. Weszły do wielkiej Sali Marmurowej i wmieszały się w barwny tłum dam dworu, dworzan i niewolników. Nikt nie zwracał na nie szczególnej uwagi. Przeszły przez Salę Kolumnową, potem przez Salę Posągów, a potem przez wspaniałe krużganek, mijając wykute z miedzi drzwi Sali Tronowej. Arawis niewiele mogła zobaczyć w bladym świetle lamp, ale nawet tylko to, co widziała, trudno byłoby opisać, tak było dostojne i wspaniałe.

Wyszły na ogrodowy dziedziniec schodzący tarasami po zboczu wzgórza. Zapadła już noc i kiedy doszły do starego Pałacu położonego w dole, nad rzeką, znalazły się w labiryncie ciemnych korytarzy, z rzadka tylko oświetlonych pochodniami wetkniętymi w żelazne uchwyty na ścianach. Lasaraliina zatrzymała się w miejscu, z którego można było pójść albo w lewo, albo w prawo.

- Idźmy, idźmy - szepnęła Arawis, której serce biło mocno i która wciąż bała się, że za jakimś zakrętem mogą wpaść na jej ojca.

- Właśnie się zastanawiam... - powiedziała Lasaraliina. - Nie jestem całkiem pewna, w którą stronę powinniśmy skręcić. Myślę, że w lewo. Tak, prawie na pewno w lewo. Ach, jakie to wszystko zabawne!

Skręciły więc w lewo i zaczęły iść prawie zupełnie ciemnym korytarzem, który wkrótce zakończył się opadającymi w dół schodami.

- Wszystko w porządku - odezwała się Lasaraliina. - Teraz jestem pewna, że idziemy dobrze. Pamiętam te schody.

Ale w tym samym momencie zobaczyły przed sobą jakieś ruchome światło. Nie zdążyły się nawet zastanowić, co robić, gdy zza odległego rogu wyszło tyłem dwóch mężczyzn niosących długie świece. A przed kim idzie się tyłem, jeśli nie przed samym

królem?! Arawis poczuła, jak Lasaraliina wpiła się kurczowo w jej ramię; nie ulegało wątpliwości, że jest śmiertelnie przerażona. Wydało się jej dziwne, że przyjaciółka mogła się przestraszyć Tisroka, skoro - jak mówiła - byli tak zażyłymi przyjaciółmi, ale nie było czasu na rozmyślanie. Szybko wycofały się na palcach do szczytu schodów, a potem zaczęły uciekać po omacku wzdłuż ściany.

- Tu są jakieś drzwi - rozległ się szept Lasaraliiny. - Szybko!

Wpadły do środka i cicho zamknęły drzwi za sobą. Wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność. Po przyspieszonym oddechu Lasaraliiny Arawis poznała, że jej przyjaciółka jest ledwo żywa ze strachu.

- Niech nas Tasz ratuje! - rozległ się jej szept. - Co zrobimy, jak on tu wejdzie? Może się gdzieś schowamy?

Pod nogami czuły gruby, miękki dywan. Przeszły kilka kroków i natknęły się na sofę.

- Włazimy za nią! - wysapała Lasaraliina. - Och, po co ja tu w ogóle przychodziłam!

Między sofą a obwieszoną tkaninami ścianą było akurat tyle miejsca, że dziewczęta z trudem się tam zmieściły. Lasaraliinie udało się zająć lepszą pozycję i była zupełnie niewidoczna, natomiast część głowy Arawis wystawała zza końca sofy, tak że gdyby ktoś wszedł ze światłem i spojrzał w tamtą stronę, mógłby ją zobaczyć. Nie zapominajmy jednak, że miała woal na twarzy i to, co wystawało zza sofy, wcale nie przypominało włosów, czoła i pary oczu. Wierciła się rozpaczliwie, chcąc dać przyjaciółce do zrozumienia, że ma za mało miejsca, lecz ta - myśląc już teraz tylko o sobie - uszczypnęła ją mocno w nogę. Przez jakiś czas leżały spokojnie, dysząc ciężko. Odgłos oddechów wydawał się im przeraźliwie hałaśliwy.

- Myślisz, że tu jest bezpiecznie? - zapytała w końcu Arawis cichym szeptem.

- Myślę... że... że... t-t-tak. Ale moje biedne nerwy... - Nie skończyła jednak, bo nagle rozległ się najokropniejszy dźwięk, jaki mogły w tym momencie usłyszeć: odgłos otwieranych drzwi. Potem pojawiło się światło. A ponieważ Arawis naprawdę nie mogła nic więcej zrobić ze swoją wystającą zza sofy głową, zobaczyła wszystko.

Najpierw weszli tyłem dwaj niewolnicy (głusi i niemi, jak słusznie podejrzewała, i dlatego używani przy najbardziej tajnych naradach), którzy stanęli po obu stronach sofy z zapalonymi świecami. Dla Arawis okazało się to zbawienne, bo teraz trudniej ją było zobaczyć, skoro przed jej wystającą zza sofy głową stanął niewolnik, tak że mogła patrzeć tylko przez szparę między jego piętami. Potem wszedł

do komnaty stary, bardzo gruby mężczyzna w dziwacznej tiarze owiniętej turbanem, po której natychmiast poznała samego Tisroka. Najmniejszy z klejnotów, którymi był obwieszony, kosztował więcej niż wszystkie stroje i oręż narnijskich baronów. Był jednak tak gruby, a przy tym pokryty taką masą falbanek, plisek, wisiorków, guzików, frędzli i talizmanów, że Arawis nie potrafiła się oprzeć niezbyt może stosownej w takim momencie myśli, iż moda narnijska (a w każdym razie moda męska) podoba się jej bardziej niż kalormeńska. Za królem wszedł wysoki młodzieniec w turbanie przystrojonym pawimi piórami i klejnotami; u boku miał szeroką, krzywą szablę w pochwie z kości słoniowej. Wydawał się bardzo podniecony, a jego oczy i zęby połyskiwały dziko w świetle świec. Na samym końcu wszedł niski, garbaty i pomarszczony staruszek, w którym z przerażeniem rozpoznała swego niedoszłego małżonka, wielkiego wezyra Ahosztę Tarkaana we własnej osobie.

Gdy cała trójka znalazła się w komnacie i zamknięto drzwi, Tisrok rozsiadł się na sofie z westchnieniem ulgi, młodzieniec stanął przed nim, a wielki wezyr padł na kolana i uderzył czołem w dywan.

ROZDZIAŁ 8

TAJNA NARADA

OCH-MÓJ-OJCZE-I-OCH-ROZKOSZY-MOICH-OCZU - wymamrotał młodzieniec tak obrażonym tonem, że widać było od razu, iż Tisrok wcale NIE JEST rozkoszą jego oczu. - Obyś żył wiecznie, choć zniszczyłeś mnie całkowicie. Gdybyś mi dał najszybszą z naszych galer o świcie, kiedy spostrzegłem, że okręt tych przeklętych barbarzyńców zniknął ze swego miejsca w zatoce, to być może udałoby mi się ich doścignąć. Ale nie, ty kazałeś mi najpierw sprawdzić, czy oni nie opłynęli tylko przylądka, szukając lepszej przystani. W ten sposób straciliśmy cały dzień. A oni po prostu uciekli... uciekli... i nie mogę ich dosięgnąć! To fałszywe babsko, ta... - i tu dodał z tuzin określeń królowej Zuzanny, które z całą pewnością nie wyglądałyby ładnie w druku. Młodzieńcem tym był bowiem, rzecz jasna, książę Rabadasz, a „fałszywe babsko” to oczywiście Zuzanna z Narnii.

- Weź się w garść, o mój synu - rzekł Tisrok. - Nie bywa bowiem głęboką raną, jaką pozostawia w sercu rozumnego gospodarza niespodziewany odjazd gości.

- Ale ja CHCĘ ją mieć! - wrzasnął Rabadasz.

- Muszę ją mieć. Umrę, jeśli nie dostanę tej... tej fałszywej, dumnej, podstępnej suki! Nie mogę spać, jedzenie straciło dla mnie smak i w oczach mi ciemnieje z powodu jej piękności. Muszę mieć tę królową barbarzyńców!

- Jakże mądrze powiedział pewien utalentowany poeta - zauważył wezyr, podnosząc z dywanu twarz (nieco zakurzoną) - mówiąc, jak wielce pożądane są duże hausty z fontanny rozsądku, by przygasić ogień młodzieńczej miłości.

To doprowadziło księcia do nowego wybuchu wściekłości.

- Ty psie! - zawołał, kierując serię dobrze wymierzonych kopniaków w tylne części ciała wielkiego wezyra. - Nie będziesz mi tu cytować poetów! Przez cały dzień słyszę tylko maksymy i wersety i... przysięgam... dłużej tego nie zniosę! - (Obawiam się, że Arawis wcale nie było żal wezyra.)

Tisrok najwyraźniej zagłębił się w swoich myślach, a kiedy po dłuższej przerwie zauważył wreszcie, co się dzieje, powiedział spokojnie:

- O mój synu, zaprzestań kopania tego czcigodnego i światłego wezyra. Jak bowiem drogocenny klejnot nie traci swej wartości nawet wówczas, gdy go ukryjemy w kupie gnoju, tak podeszły wiek i roztropność powinny być szanowane nawet we wstrętnych osobach naszych podwładnych. Przestań więc i powiedz nam, czego pragniesz i co proponujesz.

- Pragnę i proponuję, o mój ojczy - rzekł Rabadasz - byś natychmiast zwołał swoją niezwyciężoną armię i najechał po trzykroć przeklętą krainę Narnii, abyś zniszczył ją ogniem i mieczem i włączył do swego bezgranicznego cesarstwa, zabijając ich Wielkiego Króla i wszystkich z jego krwi, prócz królowej Zuzanny. Muszę bowiem mieć ją za żonę, choć przedtem otrzyma gorzką nauczkę.

- Zrozum, o mój synu - powiedział Tisrok - że nie ma takich słów, którymi mógłbyś mnie skłonić do otwartej wojny z Narnią.

- Gdybyś nie był moim ojcem, o wiecznie żyjący Tisroku - wybuchnął królewicz, zgrzytając zębami

- powiedziałbym, że są to słowa tchórza.

- A gdybyś ty nie był moim synem, o najbardziej zapalczywy Rabadaszu - odpowiedział chłodno jego ojciec - to godziny twego życia byłyby policzone, a śmierć powolna po tym, co właśnie rzekłeś.

- Zimny, płaski głos, jakim to zostało powiedziane, zmroził krew w żyłach Arawis.

- Ale dlaczego, o mój ojczy - spytał królewicz, tym razem z o wiele większym szacunkiem - dlaczego mamy dłużej zastanawiać się nad tym, czy ukarać Narnię, niż nad tym, czy powiesić leniwego niewolnika lub zamienić zajeżdżonego konia w mięso dla psów? Cały ten kraik mniejszy jest niż jedna czwarta najmniejszej z twoich prowincji. Za ledwie tysiąc włóczy wystarczy, by podbić go w ciągu pięciu tygodni. To po prostu niewidoczny pyłek na kresach twojego imperium.

- Co do tego nie ma żadnej wątpliwości - rzekł Tisrok. - Te barbarzyńskie państewka, które zowią się WOLNYMI (co w rzeczywistości oznacza, że panoszy się tam próżniactwo i bałagan), nie są na pewno miłe bogom i wszystkim rozsądnym ludziom.

- A więc, jak długo możemy ścierpieć, by taki kraj jak Narnia mienił się wolnym?

- Wiedz, o świątły królewiczu - odezwał się wielki wezyr - że aż do owego roku, w którym twój wzniosły ojciec rozpoczął swoje zbawcze i nie kończące się panowanie, cała kraina Narnii pokryta była lodem i śniegiem, a co więcej, władała nią najpotężniejsza Czarodziejka.

- Wiem o tym dobrze, o wielomówny wezyrze - odparł królewicz. - Ale wiem też, że owa Czarodziejka umarła, a lód i śnieg stopniały, tak że Narnia jest dziś krajem zdrowym, żyznym i miłym dla oka.

- A zmiana ta, o najbardziej uczony królewiczu, dokonała się bez wątpienia za przyczyną potężnych zakłęb owych nikkzemnych osobników, którzy dziś zowią się królami i królowymi Narnii.

- Przychyłam się raczej do opinii - rzekł Rabadasz - że przyczyną były zmiany w ruchu gwiazd i działanie wielu innych czynników naturalnych.

- Wszystko to - odezwał się Tisrok - jest przedmiotem dyskusji wśród uczonych mężów. Nigdy nie uwierzę, że tak wielkie zmiany w ruchu gwiazd, a także śmierć tej starej Czarodziejki mogły się wydarzyć bez pomocy jakichś bardzo silnych czarów. I tego właśnie trzeba się spodziewać w tym kraju, zamieszkanym głównie przez demony w postaci mówiących zwierząt oraz przez potwory wyglądające w połowie jak ludzie, a w połowie jak dzikie bestie. Mówi się też powszechnie, że Wielkiego Króla Narnii wspiera straszliwy, niezwykczony demon, który objawia się w postaci lwa. Dlatego też atakowanie Narnii jest przedsięwzięciem wątpliwym, którego skutki trudno przewidzieć. Nie zamierzam wyciągać ręki tak daleko, aby nie móc jej potem cofnąć.

- O, jak błogosławiony jest nasz Kalormen - powiedział wezyr, ponownie unosząc twarz z dywanu - którego władcę spodobalo się bogom obdarzyć taką rozwąą i ostrożnością! Jak jednak raczył zauważyć nieomylny i mądry Tisrok, bolesna to sprawa, kiedy się jest zmuszonym odmówić sobie tak wykwintnego dania jak Narnia. Zaprawdę, natchniony był ów poeta, który powiedział... - lecz w tym momencie Ahoszta dostrzegł, że czubek buta Rabadasza zaczyna się niecierpliwie cofać, więc nagle umilkł.

- Tak, to bardzo bolesne - rzekł Tisrok swoim niskim, spokojnym głosem. - Każdego ranka słońce ciemnieje w moich oczach i każdej nocy sen nie daje mi odpoczynku, ponieważ wciąż pamiętam, że Narnia jest wolnym krajem.

- O mój ojcie - powiedział królewicz - a jeśli wskażę ci sposób, w jaki możesz wyciągnąć rękę po Narnię i cofnąć ją bez szkody, gdy próba nie wypadnie pomyślnie?

- Gdybyś zdołał to uczynić, o Rabadaszu - rzekł Tisrok - to okazałbyś się najlepszym z synów.

- Posłuchaj więc, o mój ojcie. Jeszcze tej nocy i tej godziny wezmę tylko dwustu jeźdźców i przeprawię się przez pustynię. I niech wszyscy będą przekonani, że ty sam nic nie wiesz o mojej wyprawie. Zanim drugi ranek zaświta, będę u bram Anwardu, zamku władcy Archenlandii, króla Luni. Nie jesteśmy z nim w stanie wojny, więc zaskoczę ich i zdobędę zamek, zanim ktokolwiek zrozumie, o co chodzi. Potem ruszę przez przełęcz nad Anwardem, a potem w dół, przez Narnię, aż do Ker-Paravelu.

Wielkiego Króla tam nie będzie: kiedy go zęgnalem, gotował się do wyprawy przeciw olbrzymom z północnej granicy. Najprawdopodobniej zastanę bramy Ker-Paravelu otwarte. Okażę rozwagę i szlachetność i przeleję tyle tylko krwi narnijskiej, ile będzie konieczne. A wówczas pozostanie mi tylko spokojnie czekać, aż przyplynie „Blask Szmaragdu” z królową Zuzanną na pokładzie, by schwytać mojego zbłąkanego ptaszka, gdy tylko postawi stopę na lądzie, porwać ją na konia, a potem pędzić, pędzić, pędzić z powrotem do Anwardu.

- Ale czy nie jest prawdopodobne, o mój synu - powiedział Tisrok - że próba porwania tej kobiety zakończy się czyjąś śmiercią? A mam tu na myśli albo króla Edmunda, albo ciebie.

- Nie będzie ich tam na pokładzie wielu - odpowiedział Rabadasz - a ja każę dziesięciu moim ludziom rozbroić go i związać. Powstrzymam swą gwałtowną żądzę jego krwi, aby nie zaistniał powód do wojny między tobą i Wielkim Królem.

- A jeśli „Blask Szmaragdu” przybędzie do Ker-Paravelu wcześniej niż ty?

- Przy tych wiatrach jest to niemożliwe.

- Pozostaje jeszcze jedna rzecz, o mój wielce pomysłowy synu - rzekł Tisrok po chwili milczenia. - Wyjaśniłeś nam, w jaki sposób możesz porwać tę barbarzyńską dziewczkę. Czy mógłbyś nas teraz oświecić, w jaki sposób mam zdobyć Narnię i co ma wspólnego jedno z drugim?

- O mój ojcie, czyżby uszło twojej uwagi, że chociaż ja i moi jeźdźcy przemkniemy przez Narnię jak wypuszczona z łuku strzała, to po drodze zdobędziemy Anward, który zatrzymamy na zawsze? A mając Anward, będziemy panować nad bramą do Narnii. Twój garnizon w Anwardzie można będzie pomału zwiększać, aż zrobi się z tego cała armia.

- W tym, co mówisz, dostrzegam roztropność i przewidywanie. W jaki jednak sposób cofnę rękę, jeśli wszystko nie powiedzie się tak, jak zamýślasz?

- Powiesz, że zrobiłem to nie tylko bez twojej wiedzy i błogosławieństwa, ale wyraźnie wbrew twojej woli, popchnięty do tego gwałtownością uczucia i niecierpliwością młodzieńczego wieku.

- A jeśli Wielki Król zażąda wówczas, byśmy odesłali mu tę kobietę, jego siostrę?

- O mój ojcie, zapewniam cię, że tego nie uczyni. Bo chociaż ona sama odrzuciła to małżeństwo, powodując się kaprysem kobiecym, to Wielki Piotr jest człowiekiem rozsądnym i przewidującym: w żadnym razie nie będzie chciał utracić

owego wielkiego zaszczytu i korzyści, jakie mu już teraz daje sojusz z naszą dynastią, nie mówiąc już o przyszłości, gdy na tronie Kalormenu zasiądzie jego siostrzeniec.

- A nie zobaczy tego, jeśli będę żył wiecznie, czego mi bez wątpienia życzysz - powiedział nagle Tisrok głosem jeszcze bardziej chłodnym niż zwykle.

- Napiszemy też, o mój ojczy i o rozkoszy moich oczu - rzekł królewicz po dłuższej chwili krępującego milczenia - listy niby od królowej Zuzanny, w których oznajmi bratu, że pokochała mnie i wcale nie chce wracać do Narnii. Wszyscy wiedzą, że kobiety są zmienne jak blaszane koguty na dachu. A jeśli nawet w Ker-Paravelu nie dadzą wiary tym listom, to i tak nie ośmielą się przybyć do Taszbaanu, by ją odebrać.

- O oświecony wezyrze - zwrócił się Tisrok do Ahoszty - podziel się swą mądrością z nami, którzy rozważamy ten dość niezwykły pomysł.

- Odwieczny Tisroku - odpowiedział Ahoszta - siła ojcowskiego uczucia nie jest mi obca, często też słyszałem, że synowie są dla swych ojców warty więcej niż rubiny. Jakże więc śmiałym otworzyć przed tobą swe serce w sprawie, od której może zależeć życie tego oto królewicza?

- Jestem pewien, że się ośmielisz - rzekł Tisrok - bo bardzo szybko zrozumiesz, że to, co ci grozi, jeśli tego nie zrobisz, jest przynajmniej równie nieprzyjemne jak to, co cię czeka, gdy to zrobisz.

- Wysłuchać znaczy wykonać - jęknął nieszczęsny wezyr. - Racz więc przede wszystkim zwrócić uwagę, o najmądrzejszy z Tisroków, że niebezpieczeństwo, jakie grozi królewiczowi, wcale nie jest tak wielkie, jak się to może wydawać. Albowiem bogowie poskąpili tym barbarzyńcom światła roztropności, jak to widać choćby z tego, że ich poezja nie jest, tak jak nasza, pełna rzadkich sentencji i pożytecznych maksym, lecz opiewa tylko miłość i wojnę. Dlatego też nic nie będzie się im wydawało bardziej szlachetne i godne podziwu niż tak szalone przedsięwzięcie... Auu!

- tu przerwał, bo po słowie „szalone” królewicz wymierzył mu tęgiego kopniaka.

- Powstrzymaj się, o mój synu - rzekł Tisrok.

- A ty, godny szacunku wezyrze, pod żadnym pozorem nie pozwól, by strumień twej elokwencji został zatamowany, niezależnie od tego, czy książę się powstrzyma, czy nie. Nic bowiem tak nie przystoi osobom odznaczającym się powagą i dobrymi obyczajami, jak znoszenie drobnych uciążliwości z godnością.

- Wysłuchać znaczy wykonać - rzekł wezyr, wykręcając się nieznacznie w taki sposób, by tylna część jego ciała znalazła się nieco dalej od czubka buta Rabadasza. - Tak więc, powiadam, nic nie będzie w ich oczach tak wybaczone, jeśli nie godne

pochwały, jak taka sza... e... ryzykowna próba, szczególnie zaś dlatego, że podjęta z miłości do kobiety. Dlatego też, nawet jeśli królewicz w wyniku splotu niekorzystnych okoliczności dostanie się w ich ręce, z całą pewnością jego życiu nic nie będzie zagrażało. O nie, może nawet być i tak, że choć sam nie zdoła porwać królowej Zuzanny, to jednak jego wielka odwaga i skrajność jego namiętności skłonią ku niemu jej serce.

- Całkiem niezły punkt widzenia, stary gaduło - powiedział Rabadasz. - Całkiem niezły, choć nie mam pojęcia, skąd ci to wpadło do tego szpetnego łba.

- Pochwała moich władców jest światłem dla moich oczu - rzekł skromnie Ahoszta. - Uważam też za bardzo prawdopodobne, o Tisroku, którego panowanie musi być i będzie nieskończone, że z pomocą bogów Anward wpadnie w ręce królewicza. A kiedy się to stanie, trzymamy Narnię za gardło.

Zapadło długie milczenie i w komnacie zrobiło się tak cicho, że dziewczęta wstrzymały oddech. W końcu przemówił Tisrok:

- Jedź, mój synu. Jedź i zrób, jak powiedziałeś. Nie oczekuj jednak ode mnie ani pomocy, ani poparcia. Nie będę szukał pomsty, jeśli cię zabiją, i nie będę cię wyciągał z niewoli, jeśli cię schwytają. Pamiętaj też, że niezależnie od tego, czy twoja wyprawa uda się, czy nie, jeśli przelejesz o jedną kroplę krwi narnijskich wielmożów więcej, niż to będzie konieczne, i jeśli z tego powodu wybuchnie otwarta wojna, to moja łaskawość zostanie ci odebrana raz na zawsze, a twoje miejsce w Kalormenie zajmie mój następny co do starszeństwa syn. A teraz jedź. Działaj szybko i bez rozgłosu, a przede wszystkim skutecznie. Niech moc nieubłaganego i niezwykniętego Tasa będzie w twoim mieczu i twojej włóczni.

- Wysłuchać znaczy wykonać - zawołał Rabadasz, przykleknął, by ucałować ojcowską dłoń, i wypadł z komnaty. Ku rozpaczy Arawis, która była okropnie ściśnięta, Tisrok i wezyr pozostali na swoich miejscach.

- O wezyrze - rzekł król - czy jest absolutnie pewne, że prócz nas trzech żadna żywa dusza nie wie o tej naradzie?

- O mój panie - odpowiedział Ahoszta - jest całkowicie niemożliwe, by ktoś o tym wiedział. Właśnie dlatego zaproponowałem (a ty w swej mądrości raczyłeś wyrazić na to zgodę), abyśmy się spotkali tu, w Starym Pałacu, gdzie nie odbywają się żadne narady. Nikt ze służby czy dworzan nie ma najmniejszego powodu, by tu przychodzić.

- To bardzo dobrze. Gdyby się ktokolwiek o tym dowiedział, musiałby umrzeć

natychmiast. I ty także, roztropny wezyrze, zapomnij o tym, co tu powiedziano. Wymazuję z mojej i twojej pamięci całą wiedzę o planach królewicza. Wyjechał bez mojej wiedzy i zgody. Nie wiem, dokąd się udał. Uczynił tak z powodu gwałtowności, zuchwałości i skłonności do nieposłuszeństwa, które tak często towarzyszą głupiej młodości. Nikt nie może być bardziej od nas zaskoczony, kiedy się dowiemy, że Anward jest w jego rękach.

- Wysłuchać znaczy wykonać - rzekł Ahoszta.

- I dlatego właśnie nie będziesz nigdy myślał, nawet w najskrytszych zakamarkach swego mózgu, że jestem najokrutniejszym z ojców, który wysłał swego pierworodnego syna na wyprawę oznaczającą prawdopodobnie jego śmierć, choć ciebie samego z pewnością by to uradowało. Z łatwością bowiem sięgam aż do dna twojego serca i wiem, że nie darzysz królewicza zbyt wielką miłością.

- O nieskazitelny Tisroku - odezwał się przymilnie wezyr - jeśli za miarę weźmiemy moją miłość do ciebie, to nie kocham ani królewicza, ani swego życia, ani chleba, ani wody, ani światła słońca.

- Twoje uczucia są wzniosłe i godne pochwały. Ja także nie miłuję żadnej z tych rzeczy, jeśli za miarę przyjmujemy uwielbienie, jakim darzę chwałę i potęgę mojego tronu. Jeśli królewiczowi się powiedzie, będziemy mieć Archenlandię, a być może i samą Narnię po pewnym czasie. Jeśli mu się nie powiedzie... cóż, mam jeszcze osiemnastu synów, a Rabadasz, jak to zwykle bywa z najstarszymi synami królów, zaczyna być niebezpieczny. Ponad pięciu Tisroków zmarło w Taszbaanie przed czasem tylko dlatego, że ich najstarsi synowie, jaśnie oświeceni książęta, zmęczeni oczekiwaniem na tron. Niech lepiej Rabadasz ochłodzi swą krew za granicami cesarstwa, niż miałaby wrzeć w beczynności. A teraz, o prześwietny wezyrze, to nocne nieumiarkowanie w ojcowskiej trosce domaga się zadośćuczynienia w postaci dobrego snu. Każ muzykantom przyjść do mojej komnaty. Zanim jednak sam się położysz, zniszcz akt łaski dla trzeciego kucharza, jaki dziś podpisaliśmy. Odczuwam wyraźne objawy niestrawności.

- Wysłuchać znaczy wykonać - rzekł wielki wezyr. Podczołgał się tyłem do drzwi, wstał, skłonił się i wyszedł. Tisrok nie ruszył się z miejsca i siedział długo w głębokiej ciszy, aż Arawis zaczęła się lękać, że zasnął. Lecz w końcu podniósł swoje olbrzymie ciało, czemu towarzyszyły dziwne trzaski i westchnienia, skinął na niewolników, by go poprzedzali ze światłem, i opuścił komnatę. Drzwi zamknęły się za nimi i znowu zapanowała ciemność. Dziewczęta odetchnęły głęboko.

ROZDZIAŁ 9 PRZEZ PUSTYNIĘ

- JAKIE TO STRASZNE! Jakie to okropne! - jęknęła Lasaraliina. - Och, kochana, tak się boję! Cała się trzęsę. Dotknij mnie.

- Pospiesz się - przerwała jej Arawis, która sama dygotała ze strachu. - Oni poszli do Nowego Pałacu. Im szybciej wyjdziemy z tego pokoju, tym prędzej będziemy bezpieczne. Och, ile czasu to trwało! Zaprowadź mnie zaraz do tej furtki nad rzeką. Szybko!

- Ależ, kochana, JAK MOŻESZ? - zapiszczała Lasaraliina. - Nie jestem teraz w stanie nic zrobić, nie teraz. Moje biedne nerwy! Nie, musimy trochę poleżeć w spokoju, a potem wrócić.

- Wrócić? Co ci przyszło do głowy?

- Och, ty niczego nie rozumiesz. Jesteś taka niemila - powiedziała Lasaraliina i wybuchnęła płaczem. Arawis doszła do wniosku, że nie ma czasu na okazywanie współczucia.

- Posłuchaj! - syknęła, chwytając przyjaciółkę za ramiona i porządnie nią potrząsając. - Jeżeli powiesz jeszcze słowo o powrocie i jeśli natychmiast nie ruszysz się stąd, żeby mnie zaprowadzić do tej furtki, to wiesz, co zrobię? Wybiegnę na korytarz i zacznę wrzeszczeć. A wtedy obie nas złapią.

- Ale wtedy nas z... z... zabiją! Nie słyszałaś, co powiedział Tisrok (oby żył wiecznie!)?

- Tak, słyszałam. Wolę być trupem niż żoną Ahoszty. Rusz się więc, dobrze ci radzę.

- Och, jakaś ty nieuprzejma. I to wobec mnie, w takim stanie...

Ale w końcu musiała ulec. Poprowadziła Arawis w dół tymi samymi schodami, którymi już raz schodziły, a potem jeszcze jednym korytarzem i w końcu znalazły się na zewnątrz. Księżyc świecił jasno. Przed nimi rozciągały się pałacowe ogrody, opadające tarasami aż do murów miejskich. Jedną z ujemnych stron przygód jest to, że kiedy znajdziemy się w jakimś cudownym miejscu, to najczęściej nerwy i brak czasu nie pozwalają nim się nacieszyć, tak więc i Arawis zapamiętała tylko (ale zapamiętała na wiele lat) mglisty obraz szarych w świetle księżyca trawników, spokojnie szemrzących fontann i długich, czarnych cieni cyprysowych drzew.

Kiedy zeszły do podnóża zbocza i wyrósł przed nimi złowrogi mur, Lasaraliina trzęsła się tak, że Arawis musiała ją wyręczyć w otworzeniu furtki. Po drugiej stronie

murów jaśniała rzeka, pełna księżycowych migotań. Była tu mała przystań, a w niej kilka spacerowych łodzi.

- Żegnaj, Lasaraliino - powiedziała Arawis. - I dziękuję ci. Wybacz mi, jeśli okazałam się świnią. Ale pomyśl, od czego uciekam!

- Och, moja kochana - odpowiedziała Lasaraliina - czy naprawdę nie zmienisz zdania? Teraz, kiedy sama widziałas, jak potężnym człowiekiem jest Ahoszta?

- Potężny człowiek! - prychnęła Arawis z pogardą. - Ohydny, pełzający w kurzu niewolnik, który płaszczy się, kiedy go ktoś kopie, ale zachowuje wszystkie urazy na dnie serca, aby się zemścić. I to jak: podbechtując tego okropnego Tisroka, by wysłał syna na pewną śmierć. Tfu! Wolałbym poślubić jakiegoś pomywacza z kuchni mojego ojca niż takiego potwora jak on!

- Och, Arawis, Arawis! Jak możesz mówić takie okropne rzeczy, i to o Tisroku (oby żył wiecznie!)? Przecież jeśli ON zamierza to zrobić, to musi mieć rację!

- Żegnaj - przerwała jej Arawis. - Uważam, że twoje suknie są naprawdę cudowne. I twój dom jest taki piękny! Jestem pewna, że całe twoje życie będzie cudowne, chociaż mnie by ono nie odpowiadało. Zamknij za sobą po cichu furtkę.

Wyrwała się z uścisku przyjaciółki, wskoczyła do łódki, odepchnęła ją od nadbrzeża i w chwilę potem płynęła już przez rzekę, z olbrzymim prawdziwym księżycem nad głową i olbrzymim odbitym księżycem w wodzie. Powietrze było chłodne i orzeźwiające, a kiedy zbliżyła się do drugiego brzegu, usłyszała pohukiwanie sowy. „Ach, teraz jest lepiej!”, pomyślała. Zawsze mieszkała na wsi i miała już absolutnie dosyć wspaniałości Taszbaanu.

Kiedy wyszła na brzeg, znalazła się w ciemnościach, bo zbocze doliny i drzewa zasłoniły jej księżyc. Natrafiła jednak na tę samą drogę, którą wracał Szasta, i doszła nią, tak jak on, aż do końca trawy i początku piasku. I dopiero teraz, choć była tak dzielną dziewczyną, zabrakło jej odwagi. A jeśli nikt na nią nie czeka? A jeśli są tam upiory? Ale wysunęła brodę do przodu (i koniuszek języka) i ruszyła ku Grobowcom. Zanim do nich doszła, zobaczyła konie i szambelana.

- Możesz już wracać do swojej pani - powiedziała (zupełnie zapominając, że po zamknięciu bram miejskich to niemożliwe). - Masz tu trochę pieniędzy za twoje trudy.

- Wysłuchać znaczy wykonać - rzekł szambelan i natychmiast pobiegł z godną uwagi szybkością w kierunku miasta. Nie trzeba go było poganiać: on też myślał przez cały czas o upiorach.

Przez następne kilka chwil Arawis była bardzo zajęta, całując nosy i ściskając

szyje Hwin i Briego, jakby to były zupełnie zwykłe konie.

- A oto i Szasta! Dzięki niech będą Lwu! - powiedział Bri.

Arawis rozejrzała się i zobaczyła Szastę, który wyszedł ze swojej kryjówki, gdy tylko służący pognął w kierunku miasta.

- A teraz posłuchajcie - powiedziała Arawis. - Nie mamy ani chwili do stracenia. - I jak mogła najkrócej, opowiedziała im o wyprawie Rabadasza.

- Zdradzieckie psy! - zawołał Bri, potrząsając grzywą i tupiąc kopytem. - Atak w czasie pokoju, bez wypowiedzenia wojny! Ale już my im przygotowujemy pyszną owsiankę! Będziemy tam przed nimi.

- Myślisz, że zdołamy? - zapytała Arawis, wskakując lekko na siodło. Szasta mógł tylko marzyć, by kiedyś dosiadać konia tak jak ona.

- Bri-i-i-i-i-hi-i-i! - zarzął Bri. - Wskakuj, Szasto! Czy zdołamy? Ważne jest, kto pierwszy wyruszy w drogę.

- Mówił, że zamierza wyruszyć od razu - zauważyła Arawis.

- Ludzie zawsze tak mówią - powiedział Bri. - Ale nikt nie jest w stanie zebrać w ciągu minuty dwustu koni i dwustu jeźdźców, zaopatrzyć ich w wodę i prowiant, osiodłać konie i wyruszyć w drogę. W jakim kierunku jedziemy? Prosto na północ?

- Nie - odezwał się Szasta. - Znam właściwy kierunek. Zaznaczyłem go na piasku. Później wam to wyjaśnię. Musimy pójść trochę w lewo. O, tu!

- A teraz posłuchajcie - rzekł Bri. - Wszystkie te opowieści o galopowaniu przez dzień i noc bez przerwy to czysta fantazja. W rzeczywistości będzie to na przemian trucht i wolny krok, tyle że trucht powinien być żywy, a wolny krok krótki. A kiedy my, konie, idziemy wolnym krokiem, wtedy wy, ludzie, złazicie na ziemię i także idziecie. Rozumiemy się? Jesteś gotowa, Hwin? No, to w drogę! Narnia i Północ!

Na początku było cudownie. W ciągu kilku godzin nocy piasek oddał już prawie cały żar, jaki słońce nagromadziło w nim w ciągu dnia, i powietrze zrobiło się chłodne i czyste. Dokąd tylko można było sięgnąć wzrokiem, jaśniała wokół nich zalana księżycowym blaskiem pustynia jak powierzchnia spokojnego morza lub wielka, srebrna taca. Nie słyhać było nic prócz chrzęstu piasku pod kopytami koni. Szasta z pewnością zasnąłby w siodle, gdyby nie musieli raz po raz zsiadać z koni i iść obok nich, pozwalając im nieco odpocząć.

Tak było przez długie godziny, aż nastał czas, gdy księżyc zniknął i posuwali się naprzód w zupełnej ciemności. A potem nadeszła taka chwila, w której Szasta

zauważył, że widzi szyję i łeb Briego nieco wyraźniej niż dotąd - i powoli, bardzo powoli, zaczął dostrzegać bezbrzeżną szarą płaszczyznę otaczającą ich ze wszystkich stron. Wyglądała na zupełnie martwą, jak część jakiegoś zmarłego świata. Szasta był już okropnie zmęczony, poczuł też, że robi mu się zimno i ma sucho w ustach. I przez cały czas wciąż to samo: monotonne skrzywienie skóry, podzwanianie wędzideł i głuchy odgłos kopyt - nie propatty-propatty, jak na twardej skale, lecz zabaddy-zabaddy kopyt na suchym piasku.

W końcu, po długich godzinach jazdy, z prawej strony pojawiła się nad widnokretem wąska i długa bruzda bladej szarości. Później - pas czerwieni. Wreszcie nadszedł poranek, tyle że nie było tu ani jednego ptaka, który by o tym oznajmił. Zrobiło się jeszcze zimniej niż w nocy i Szasta cieszył się, gdy konie zaczynały iść stępa, bo mógł się rozgrzać w czasie krótkiego marszu.

A potem nagle słońce wzeszło i wszystko zmieniło się w jednej chwili. Szary dotąd piasek zrobił się żółty i połyskiwał jak zmieszany z diamentami. Po lewej stronie wydłużały się niesamowicie ich własne cienie. Daleko przed nimi lśnił w słońcu podwójny szczyt góry Pir. Szasta zauważył, że zeszli nieco z właściwego kierunku. „Trochę w le-e-e-wo! Trochę w le-e-e-e-wo!” - zawołał śpiewnie. Ale najlepsze było to, że kiedy się spojrzęło za siebie, Taszbaan wydawał się już tylko małą, nieskończenie daleką plamką na horyzoncie. Grobowców już w ogóle nie widzieli: zniknęły na tle owego pojedynczego, postrzępionego garbu, którym było miasto Tisroka. Wszystkim zrobiło się raźniej.

Ale nie na długo. Taszbaan, bardzo odległy, kiedy na niego spojrzeli po raz pierwszy, jakoś nie oddalał się bardziej w miarę dalszej wędrówki. Szasta przestał w końcu odwracać się w siodle, bo za każdym razem odnosił wrażenie, że stoją w miejscu. Potem zaczęło mu dokuczać światło. Blask bijący od piasku sprawiał, że bolały go oczy, wiedział jednak, że nie powinien ich zamykać. Musi patrzeć przed siebie, musi wpijać wzrok w górę Pir i wykrzykiwać kierunek. Potem nadeszło gorąco. Zauważył to, gdy musiał po raz któryś zejść z Konia, by przejść kawałek pieszo: kiedy ześliznął się na piasek, bijący z niego żar uderzył go w twarz jak z otwartego piekarnika. Następnym razem było jeszcze gorzej. Ale za trzecim razem, gdy tylko dotknął bosymi stopami piasku, wrzasnął z bólu i czym prędzej wskoczył z powrotem na grzbiet Briego.

- Wybacz, Bri - wy stękał. - Nie mogę iść pieszo. Spali mi stopy.

- Ależ oczywiście! - powiedział Bri, dysząc ciężko. - Powiniennem sam o tym

pomyśleć. Zostań. Nic na to nie poradzimy.

- TOBIE to nie przeszkadza - rzekł Szasta do Arawis, która szła u boku Hwin. - Masz dobre buty.

Arawis nic nie odpowiedziała, ale minę miała wyraźnie napuszoną. Miejmy nadzieję, że nie robiła tego świadomie.

I znowu w drodze, kłusem i stępą, i znowu kłusem, i dzyń-dzyń-dzyń, skuiik-skuiik-skuiik, zapach rozgrzanego konia, zapach własnego potu, oślepiający blask, ból głowy. I nic się nie zmienia, mila za milą. Taszbaan wydaje się wciąż w tej samej odległości. Góry nie przybliżają się ani o krok. Zupełnie, jakby to miało trwać wiecznie: dzyń-dzyń-dzyń, skuiik-skuiik-skuiik, zapach rozgrzanego konia, zapach własnego potu.

Oczywiście próbuje się różnego rodzaju gier z samym sobą, aby tylko czas nie dłużył się tak niemiłosiernie - i oczywiście nie daje to żadnego skutku. Próbuje się też za wszelką cenę nie myśleć o napojach: o zmieszanym z lodem sorbecie w taszbańskim pałacu, o czystej źródlanej wodzie ściekającej z cichym, matowym pluskiem, o chłodnym, jedwabistym mleku, dostatecznie gęstym, a jednak nie nazbyt gęstym. I im bardziej próbuje się o tym wszystkim nie myśleć, tym bardziej się, rzecz jasna, myśli.

Wreszcie pojawiło się coś odmiennego: mnóstwo skał wyrastających z piasku na jakieś dziesięć metrów w górę i pięćdziesiąt metrów w szerz. Skały nie dawały zbyt wiele cienia, bo słońce było już bardzo wysoko, ale zadowolili się i tym, zatrzymując na krótki odpoczynek. Zjedli trochę i napili się wody. Napojenie konia ze skórzanego bukłaka nie jest wcale takie proste, ale zwierzęta doskonale potrafiły wykorzystać swoje długie, ruchliwe wargi. Wszyscy mieli już wszystkiego dosyć. Konie pokryte były pianą i oddychały chrapliwie. Dzieci poblady.

Po krótkim odpoczynku ruszyli ponownie w drogę. Znowu te same dźwięki, te same zapachy, ten sam oślepiający blask, aż w końcu, w końcu po prawej stronie zobaczyli swoje cienie, wydłużające się w miarę upływu czasu, aż wyciągnęły się tak, że sięgały wschodniego krańca świata. Powoli słońce zbliżało się do zachodniej części widnokregu. I oto było już zupełnie nisko; blask stracił swoją bezlitosną moc, choć wciąż jeszcze żar bijący od piasku był równie dokuczliwy jak w ciągu dnia. Cztery pary oczu wypatrywały tęsknie jakiegokolwiek śladu doliny, o której mówił kruk Złotonóg. Ale choć posuwali się wciąż naprzód, mila za milą, nie było widać nic, prócz płaskiej jak stół piaszczystej równiny. Zapadł zmrok, na niebie pojawiła się już większość

gwiazd, i wciąż głucho dźwięczały kopyta koni, i wciąż dzieci podnosiły się i opadały w siodłach, ledwo żywe z pragnienia i zmęczenia. I dopiero gdy wzeszedł księżyc, rozległ się obcy, chropowaty, przypominający szczekanie psa głos, wydobywający się z popękanych ust Szasty:

- Jest! Wreszcie jest!

Nie mylił się. Przed nimi, nieco na prawo, płaska pustynia zaczynała opadać w dół głębokim jarem, a po obu jego brzegach piętrzyły się skalne garby. Konie, zbyt zmęczone, by coś powiedzieć, natychmiast skręciły w tym kierunku i za minutę lub dwie znaleźli się w ciasnym wąwozie. Z początku poczuli się jeszcze gorzej niż na otwartej pustyni, bo między skalnymi ścianami wisiał zaduch, w którym trudno było oddychać; zrobiło się też ciemniej, bo nie dochodziło tu światło księżyca. Wąwóz opadał dość łagodnie w dół i wkrótce skały po obu stronach stały się urwistymi zboczami. Potem zaczęła się pojawiać skąpa roślinność: jakieś kolczaste krzaki przypominające kaktusy i twarda, ostra trawa, o którą można było pokaleczyć palce. Wkrótce skończył się piasek, a kopyta koni zachrzęściły na otoczakach. Za każdym zakrętem wąwozu - a zakrętów było wiele - wypatrywali z utęsknieniem jakiejś wody. Konie były już u kresu sił i Hwin, potykając się i dysząc ciężko, wlokła się za Brim. Ogarniała ich już rozpacz, gdy w końcu dotarli do niewielkiej, błotnistej rozpadliny, a po chwili zobaczyli nikłą strużkę wody płynącą leniwie wśród kamieni. Wkrótce trawa zrobiła się miększa i bujniejsza, strużka zamieniła się w strumyk, strumyk w potok z zaroślami po obu brzegach, potok stał się rzeką, i wreszcie nadszedł moment, gdy Szasta, który popadł w coś w rodzaju drzemki, nagle uświadomił sobie, że Bri zatrzymał się, a on sam ześlizguje się na trawę. Przed nimi szumiał niewielki wodospad, tworząc szerokie rozlewisko; oba konie stały już w wodzie z opuszczonymi łbami i piły, i piły, i piły...

- Och! - zdołał tylko zawołać Szasta i wskoczył do wody (sięgała mu do kolan), wsadzając głowę prosto pod wodospad. Była to najcudowniejsza chwila w jego życiu.

Minęło z dziesięć minut, zanim wszyscy czworo (dzieci prawie zupełnie przemoczone) wyszli z wody i zaczęli się rozglądać wokół siebie. Księżyc był już tak wysoko, że oświetlał wnętrze doliny. Oba brzegi rzeki porastała bujna, puszysta trawa, a poza nią na zbocza wspinały się gęste zarośla i drzewa. Wśród tego cienistego poszycia na pewno rosły jakieś wspaniałe, kwitnące krzewy, bo całą polankę przepelniała mieszanina chłodnych, cudownych zapachów. A z najciemniejszych zaciszy drzew rozległ się dźwięk, jakiego Szasta nigdy dotąd nie słyszał - śpiew

słowika.

Wszyscy byli zbyt zmęczeni, by mówić lub jeść. Konie nie czekały nawet na zdjęcie upręży i położyły się w trawie. Arawis i Szasta zrobili to samo.

Około dziesięciu minut później rozległ się cichy głos Hwin:

- Ale nie wolno nam zasnąć. Musimy utrzymać przewagę nad tym Rabadaszem.

- Tak - powiedział bardzo wolno Bri. - Nie wolno nam zasnąć. Tylko trochę odpoczniemy.

Szasta wiedział dobrze (przynajmniej przez chwilę), że wszyscy zasną, jeśli natychmiast nie wstanie i nie spróbuje czegoś zrobić. Czuł, że powinien to uczynić. Nawet już postanowił, że wstanie i nakłoni resztę do ruszenia w dalszą drogę. Ale jeszcze nie teraz... jeszcze nie w tej chwili... za minutę...

Wkrótce księżyc świecił i słowik śpiewał nad dwoma śpiącymi końmi i dwojgiem śpiących dzieci.

Pierwsza obudziła się Arawis. Słońce stało wysoko na niebie i minął już chłód poranka. „To moja wina”, pomyślała z rozpaczą, skoczyła na nogi i zaczęła budzić pozostałych. „Trudno oczekiwać, by konie nie zmrużyły oka po całodziennej wędrówce przez pustynię, nawet jeśli potrafią mówić. Ten chłopiec też nie jest niczemu winien; nie otrzymał przecież właściwego wychowania. Ale JA powinnam wiedzieć, że zaśniemy na dobre.” Pozostali rozglądali się dookoła nieprzytomnym wzrokiem.

- Hej-ho! Bri-ho! - zawołał Bri. - Co, spałem z siodłem na grzbiecie? Nigdy więcej. Okropnie niewygodnie...

- Słuchajcie! Weźcie się w garść! - powiedziała Arawis. - Straciliśmy już połowę poranka. Nie możemy czekać ani chwili dłużej.

- Uczciwy koń musi rano dostać porcyjkę trawy

- zauważył Bri.

- Obawiam się, że nie ma na to czasu - przerwała mu Arawis.

- Skąd ten piekielny pośpiech? - spytał Bri.

- Przebyliśmy przecież pustynię, czy nie?

- Ale nie jesteśmy jeszcze w Archenlandii. A musimy tam być przed Rabadaszem.

- Och, wyprzedzamy go o całe mile. Czyż nie wybraliśmy krótszej drogi? Szasto, czy ten kruk nie mówił, że to najkrótsza droga?

- Wcale nie mówił, że jest KRÓTSZA - odpowiedział Szasta. - Powiedział tylko,

że jest LEPSZA, bo dochodzi się nią do rzeki. Jeżeli tamta oaza leży prosto na północ od Taszbaanu, to obawiam się, że nasza droga musi być dłuższa.

- No cóż, ja nie jestem w stanie wędrować dalej bez przekąski - stwierdził Bri. - Zdejmij mi wędzidło, Szasto.

- P-posłuchajcie - odezwała się nieśmiało Hwin.

- Podobnie jak Bri czuję, że NIE MOGĘ iść dalej bez jedzenia. Ale kiedy konie mają na grzbiecie ludzi (z ostrogami i tymi innymi rzeczami), to czy nie są często zmuszane iść dalej, chociaż czują się tak jak my teraz? I często okazuje się w końcu, że mogą. Chodzi m-mi o to, że... czy teraz nie powinniśmy dać z siebie nawet więcej, teraz, kiedy jesteśmy wolnymi końmi? To wszystko dla Narnii.

- Myślę, pani - rzekł Bri miazdzącym tonem - że wiem trochę więcej niż ty o wyprawach i forsownych marszach, i o tym, co może, a czego nie może wytrzymać koń.

Hwin nic na to nie odpowiedziała, będąc, jak większość pełnokrwistych kłaczy, istotą bardzo wrażliwą i potulną, której łatwo jest zamknąć usta. W rzeczywistości miała całkowitą rację i gdyby Briego dosiadał w tym momencie jakiś Tarkaan, to rumak rychło by się przekonał, że jest zdolny do wielu jeszcze godzin ciężkiego marszu. Ale jednym ze złych skutków zniewolenia jest to, że kiedy nie ma już nikogo, kto by nas do czegoś zmuszał, często okazuje się, że prawie całkowicie utraciliśmy zdolność do zmuszenia samych siebie do czegoś.

Tak więc musieli poczekać, aż Bri „coś przekąsi”, a potem napije się wody, i oczywiście Hwin i dzieci nie przypatrywały się temu beczynnemu, lecz zrobiły to samo. Dochodziła jedenasta, kiedy w końcu ruszyli w drogę, a i wówczas Bri nie wysiłał się zbyt. Utrzymywanie zdrowego tempa przejęła na siebie Hwin, mimo że była słabsza i bardziej zmęczona.

Trzeba przyznać, że dolina, którą jechali, z brązową chłodną rzeką, z trawą, mchem, dzikimi kwiatami i rododendronami wprost zapraszała do powolnej jazdy.

ROZDZIAŁ 10

PUSTELNIK POŁUDNIOWYCH KRESÓW

PO KILKU GODZINACH JAZDY dolina rozszerzyła się i otworzyła. Mogli teraz zobaczyć, co jest daleko przed nimi. Rzeka, wzdłuż której jechali, wpadała tu do drugiej, szerszej i bardziej rwącej, płynącej z lewa na prawo, czyli z zachodu na wschód. Za tą nową rzeką rozpościerała się czarowna kraina niskich zielonych wzgórz, wznosząca się łagodnie aż do samych Północnych Gór. Na prawo piętrzyły się skaliste szczyty, niektóre z plamami śniegu w żlebach; na lewo, tak daleko, jak sięgał wzrok, ciągnęły się porośnięte sosnami zbocza, posępne granie, głębokie wąwozy i błękitne turnie. Szasta nie mógł już odnaleźć góry Pir wśród tych szczytów. Natomiast wprost przed nimi w łańcuchu gór widniała zalesiona przełęcz, która bez wątpienia musiała być owym przejściem wiodącym z Archenlandii do Narnii.

- Briiii-huuuu! Północ, zielona Północ! - zarżał Bri. I z całą pewnością wznoszące się przed nimi wzgórza były bardziej zielone niż cokolwiek Arawis i Szasta - wychowani na dalekim południu - mogli sobie dotąd wyobrazić. Serca im rosły, gdy kłusowali w dół, ku zbiegowi rzek, grząc kopytami po kamieniach.

Płynąca na wschód rzeka, której źródła kryły się w owych wyższych górach zachodniej części łańcucha, była wyraźnie zbyt wartka i gęsto poprzecinana skalnymi porohami, by marzyć o jej przepłynięciu w tym miejscu. Zaniepokojeni ruszyli wzdłuż jej brzegu w poszukiwaniu przeprawy i po jakimś czasie znaleźli miejsce wystarczająco płytkie, by przejść rzekę w bród. Huk bystrego nurtu, pienne wiry wokół pęcin koni, chłodne, orzeźwiające powietrze i polatujące błyskawicznymi skokami ważki napęłniły Szastę dziwnym podnieceniem.

- Przyjaciele! Jesteśmy w Archenlandii! - zawołał Bri, gdy wśród głośnego plusku i zimnych bryzgów wyszli wreszcie na północny brzeg rzeki. - O ile się nie mylę, rzekę, którą właśnie przeszliśmy, nazywają Krętą Strzałą.

- Mam nadzieję, że mieścimy się w czasie - mruknęła Hwin.

Teraz zaczęli się wspinać powoli na zbocze najbliższego wzgórza, które okazało się tak strome, że musieli iść zakosami. Kraina, w którą się zagłębili, przypominała rozległy, dziki park: wszędzie porośnięty trawą i kępami drzew, nigdy nie dość gęstymi i dużymi, by nazwać je lasem. Szasta, który przez całe życie mieszkał w bezleśnej, stepowej okolicy, nigdy nie widział tylu gatunków drzew. Gdybyście tam byli, rozpoznalibyście na pewno (czego Szasta nie potrafił) dęby, buki, srebrne brzozy, jarzębinę i kasztany. W trawie buszowały króliki, czmychające we wszystkie strony na

ich widok, a w pewnym momencie zobaczyli całe stado danieli, pierzchające przed nimi do najbliższej kępy drzew. I nigdzie nie było ani śladu drogi czy jakiegoś domostwa.

- Czy to wszystko nie jest po prostu wspaniałe? - powiedziała Arawis.

Na szczycie pierwszego wzgórza dosiedli koni i Szasta odwrócił się w siodle, by popatrzeć za siebie. Nie było już widać Taszbaanu; aż do widnokregu rozpościerała się płaska pustynia, przzerwana tylko wąską, zieloną rozpadliną, którą dostali się do zbiegu rzek.

- Hej! - zawołał. - A co to takiego?!

- A co? - zapytał Bri i szybko się odwrócił. To samo zrobiła Hwin.

- To - rzekł Szasta, wskazując ręką. - Wygląda jak jakiś dym. Może to pożar?

- To mi przypomina burzę piaskową - powiedział Bri.

- Przecież nie ma wiatru - zauważyła Arawis.

- Och! - zawołała Hwin. - Spójrzcie! Tam się coś błyszczy. Patrzcie! Przecież to hełmy... i zbroje. I to się porusza... to pędzi w naszą stronę!

- Na wielkiego Tazsa!... - odezwała się Arawis zduszonym głosem. - To wojsko. To konnica Rabadasza!

- Oczywiście, to oni - powiedziała Hwin. - Tego się właśnie cały czas obawiałam. Szybko! Musimy być pierwsi w Anwardzie. - I bez zastanowienia okręciła się w miejscu na tylnych nogach, a potem ruszyła od razu ostrym galopem prosto na północ. Bri podrzucił gwałtownie łbem i uczynił to samo.

- Prędej, Bri, prędzej! - wołała Arawis przez ramię.

Był to naprawdę wyczerpujący galop. Gdy tylko osiągnęli szczyt kolejnego łańcucha wzgórz, otwierała się przed nimi następna dolina, a za nią następny grzbiet, a chociaż byli nieomal pewni, że pędzą w dobrym kierunku, nikt nie miał pojęcia, jak daleko jest Anward. Na szczycie kolejnego grzbietu Szasta jeszcze raz spojrzął za siebie. Połyskująca orężem chmura na pustyni znikła. Zamiast tego zobaczył ruchliwą, czarną masę, przypominającą wielką kolumnę mrówek, spływającą szybko ku brzegowi Krętej Strzały.

- Są już nad rzeką! - wrzasnął dziko.

- Prędej! Prędej! - zawołała Arawis. - Jeśli nie będziemy w Anwardzie pierwsi, wszystko stracone. Galopem, Bri, galopem! Przypomnij sobie, że jesteś koniem bojowym!

„Biedne zwierzę, przecież na pewno robi wszystko, na co je stać”, powtarzał

sobie w duchu Szasta, powstrzymując się w ten sposób od podobnych okrzyków. I z całą pewnością biedne konie dawały z siebie wszystko, a w każdym razie były o tym przekonane, co nie zawsze oznacza to samo. Bri zrównał się z Hwin i galopowali teraz bok w bok z głuchym tętentem kopyt po murawie. Wszystko wskazywało na to, że Hwin nie wytrzyma długo takiego tempa.

Nagle rozległ się za nimi dźwięk, który kazał im zapomnieć o pościgu konnicy Rabadasza. Nie był to bowiem dźwięk, którego się spodziewali, nie było to dudnienie kopyt i dzwonienie rynsztunku zmieszane z kalormeńskimi okrzykami bojowymi. Szasta rozpoznał ten dźwięk od razu. Był to ten sam gardłowy ryk, który usłyszał w ową księżycową noc, gdy po raz pierwszy spotkali Arawis i Hwin. Bri również go poznał. Jego oczy połyskiwały czerwienią, a uszy przylegały płasko do czaszki. I właśnie teraz Bri odkrył, że w rzeczywistości nie biegł dotąd tak szybko - nie w pełni tak szybko - jak potrafił. Szasta odczuł tę zmianę natychmiast. Teraz naprawdę galopowali ze wszystkich sił. W ciągu kilku sekund wyprzedzili Hwin o dobre kilka metrów.

„To nieuczciwe - pomyślał Szasta. - Przecież chyba miałem prawo być pewny, że TU nie spotkamy żadnych lwów!” Spojrzał za siebie. Wszystko było aż nazbyt jasne. Za nimi - a odległość zmniejszała się z każdą sekundą - pędziło olbrzymie płowe zwierzę, przylegając ciałem do trawy jak kot uciekający prosto do drzewa, gdy do ogrodu wpadnie obcy pies.

Szasta spojrzął przed siebie i zobaczył coś, w co nie potrafił uwierzyć - w tej chwili nie był nawet w stanie o tym dobrze pomyśleć. Pędzili prosto ku gładkiej, zielonej ścianie, wysokiej na jakieś trzy metry. W środku tej ściany znajdowała się otwarta brama. A w bramie stał wysoki starzec, ubrany w lnianą szatę koloru jesiennych liści, opadającą aż do bosych stóp. Wspierał się na długiej, prostej lasce, a jego broda sięgała kolan.

Szasta uchwycił tę scenę kątem oka i ponownie odwrócił głowę. Lew już prawie doścignął Hwin, raz po raz próbując schwytać zębami jej tylne nogi. Pysk klaczy pokrywała piana, a z jej szeroko otwartych oczu znikła wszelka nadzieja.

- Stój! - wrzasnął Szasta w ucho rumaka. - Musimy wrócić! Musimy im pomóc!

Bri zawsze później utrzymywał, że tego nie usłyszał, w każdym razie - nie zrozumiał, a ponieważ był na ogół bardzo prawdomównym koniem, musimy się z tym zgodzić.

Szasta wyłuskał stopy ze strzemion, zwiesił obie nogi z jednego boku Konia,

zawahał się przez jeden straszny ułamek sekundy - i skoczył. Poczł silne, bolesne uderzenie i poturlał się po ziemi, ale zanim zdał sobie sprawę, jak bardzo jest potłuczony, już biegł chwiejnym krokiem na pomoc Arawis. Jeszcze nigdy w życiu nie zrobił czegoś podobnego i nie zastanawiał się, dlaczego to uczynił.

Jeden z najokropniejszych dźwięków na świecie - kwik śmiertelnie przerażonego konia - rozdarł powietrze. Arawis zawisła nisko nad karkiem Hwin i próbowała wydobyć swój miecz z pochwy. I nagle wszyscy - Arawis, Hwin i lew - znaleźli się tuż nad Szasta. Lew stanął na tylnych łapach, większy teraz ponad wszelkie wyobrażenie, i zamachnął się na Arawis prawą przednią łapą. Arawis krzyknęła i zachwiała się w siodle. Lew rozerwał jej suknię na ramionach. Szasta, na wpół oszalała z przerażenia, zatoczył się ku bestii. Nie miał broni, nie miał nawet kija czy kamienia. Bez zastanowienia krzyknął głupio do lwa tak, jak się odpędza psa:

- Uciekaj! Do domu!

Przez ułamek sekundy patrzył prosto w rozdziawioną, wściekłą paszczę. A potem, ku jego największemu zdumieniu, lew - wciąż uniesiony na tylnych łapach - otrząsnął się nagle, skręcił łeb ku ogonowi, opadł na cztery łapy i uciekł.

Szasta nawet przez chwilę nie wierzył, że bestia uciekła na dobre. Odwrócił się i popędził ku bramie w zielonym murze, której istnienie dopiero teraz uświadomił sobie naprawdę. Hwin, potykając się, bliska omdlenia, już do niej dotarła; Arawis utrzymywała się wciąż w siodle, lecz jej plecy broczyły krwią.

- Wejdz, wejdz, moja córko - powiedział starzec w dziwnej szacie. - Wejdz i ty, mój synu. - Szasta usłyszał odgłos zamykanej bramy. Po chwili brodaty nieznajomy pomagał Arawis zejść z konia.

Znajdowali się na obszernym, idealnie okrągłym dziedzińcu otoczonym wysoką ścianą z zielonego torfu. Pośrodku była sadzawka tak pełna nieruchomej wody, że jej poziom prawie sięgał murawy. Tuż nad sadzawką, ocieniając ją całkowicie, rosło największe i najpiękniejsze drzewo, jakie Szasta kiedykolwiek widział. Nieco dalej widać było niski domek z kamienia pokryty grubą, omszałą strzechą. Usłyszał beczenie, a potem dostrzegł pod zieloną ścianą kilka kóz. Całą kolistą przestrzeń wewnątrz ogrodzenia pokrywała bujna, wspaniała trawa.

- Czy jesteś... czy... ty... - wystękał Szasta, dysząc ciężko - czy jesteś władcą Archenlandii, królem Luną?

Starzec potrząsnął przecząco głową.

- Nie - odpowiedział spokojnie. - Jestem Pustelnikiem Południowych Kresów. A

teraz, mój synu, nie trać czasu na pytania, lecz bądź posłuszny. Ta dziewczeczka jest ranna. Wasze konie są całkowicie wyczerpane. W tej chwili Rabadasz znalazł już bród przez Krętą Strzałę. Jeśli wyruszysz w dalszą drogę natychmiast, bez chwili wytchnienia, zdążysz jeszcze ostrzec króla Lunę.

Serce Szasty zamarło na te słowa, bo czuł, że nie ma już sił. Zabolało go dotkliwie okrucieństwo i niesprawiedliwość tego żądania. Jeszcze się nie nauczył, że kiedy się dokona czegoś dobrego, nagrodą jest zwykle inne zadanie - jeszcze większe i jeszcze cięższe. Ale głośno powiedział tylko:

- Gdzie jest król?

Pustelnik odwrócił się i wskazał swą laską.

- Spójrz. Tam jest druga brama, dokładnie naprzeciw tej, którą tu weszliście. Otwórz ją i idź prosto przed siebie, zawsze prosto przed siebie, przez to, co płaskie, i przez to, co strome, przez to, co równe, i przez to, co wyboiste, przez to, co suche, i przez to, co mokre. Wiem, że spotkasz króla Lunę, gdy pójdziesz prosto przed siebie, nie zbaczając nigdy z raz obranego kierunku. Lecz spiesz się, biegnij, biegnij, przez cały czas biegnij.

Szasta skinął głową, pobiegł ku północnej bramie i wkrótce za nią zniknął. Wtedy Pustelnik, który przez cały czas podtrzymywał Arawis lewą ręką, zaprowadził ją do kamiennego domu. Po dłuższej chwili wyszedł z niego sam.

- Teraz kolej na was, bracie i siostrze - zwrócił się do koni.

Nie czekając na odpowiedź - biedne zwierzęta były zresztą zbyt wyczerpane, by mówić - rozkulbaczył je, a potem wyczyścił tak dokładnie i umiejętnie, że żaden z królewskich koniuszych nie zrobiłby tego lepiej.

- A teraz zapomnijcie o wszystkim i odpoczywajcie. Tu jest woda, a tu trawa. Kiedy wydoje moje siostry kozy, dostaniecie ciepłą karmę.

- Szlachetny panie - odezwała się Hwin słabym głosem - czy Tarkiina przeżyje? Czy lew jej nie zabił?

- Dzięki mej sztuce wiem naprawdę wiele o rzeczach terażniejszych - powiedział Pustelnik z uśmiechem - ale nawet ja nie wiem zbyt wiele o rzeczach przyszłych. Dlatego też nie mogę powiedzieć, czy jakikolwiek człowiek - mężczyzna czy kobieta - lub zwierzę będzie żyć, kiedy zajdzie dziś słońce. Ale bądźcie dobrej myśli. Wszystko wskazuje na to, że ta dziewczeczka będzie żyć tak długo, jak każda inna w jej wieku.

Kiedy Arawis przysła do siebie, stwierdziła, że leży na niskim, niezwykle

miękkim łożu w chłodnym, pustym pokoju o ścianach z kamienia. Nie mogła zrozumieć, dlaczego leży twarzą w dół, ale kiedy spróbowała się przewrócić na plecy i poczuła w nich ostry, piekący ból, przypomniała sobie wszystko. Nie wiedziała natomiast, czym wymoszczone jest to cudowne posłanie, tak miękkie i jednocześnie sprężyste - bo było ono zrobione z wrzosu (który jest najlepszym posłaniem na świecie), a wrzos był czymś, czego jeszcze nigdy nie widziała i o czym nigdy nawet nie słyszała.

Drzwi otworzyły się i wszedł Pustelnik niosący dużą drewnianą misę. Postawił ją ostrożnie na podłodze, podszedł do łoża i zagadnął:

- Jak się czujesz, córko?

- Bardzo mnie bołą plecy, ojciec - odpowiedziała Arawis. - Ale poza tym nic mi nie jest.

Ukląkł przy niej, położył rękę na jej czole i wyczuł puls.

- Nie masz gorączki - rzekł. - Szybko wyzdrowiejesz. Myślę nawet, że nie ma powodu, byś nie miała wstać już jutro. Ale teraz musisz to wypić.

Podniósł drewnianą misę i ostrożnie nachylił do jej ust. Arawis nie mogła się powstrzymać przed grymasem, kiedy przełknęła pierwszy łyk, bo kozie mleko wywołuje pewien wstrząs u tych, którzy nie są do niego przyzwyczajeni. Ale była bardzo spragniona i udało się jej wypić wszystko, a kiedy skończyła, poczuła się lepiej.

- A teraz, moja córko, możesz spać, jeśli masz ochotę - powiedział Pustelnik. - Twoje rany są przemyte i opatrzone. Jeszcze bołą, ale nie są bardziej groźne niż rozcięcia po uderzeniu batem. Musiał to być bardzo dziwny lew: zamiast ściągnąć cię z konia i chwycić zębami, tylko przejechał pazurami po twoich plecach. Dziesięć krwawych śladów: bolesne, ale niezbyt głębokie i zupełnie niegroźne.

- Ach tak! - zawołała Arawis. - A to MIAŁAM szczęście!

- Córko - rzekł Pustelnik - żyję już na tym świecie sto i dziewięć zim, lecz nigdy jeszcze nie spotkałem czegoś takiego jak szczęście. Jest w tym wszystkim coś, czego nie rozumiem, ale jeśli tylko kiedyś będzie trzeba, byśmy to zrozumieli, to możesz być pewna, że tak się stanie.

- A co z Rabadaszem i jego dwustu jeźdźcami? - zapytała.

- Myślę, że pojedą inną drogą. Muszą znaleźć bród, a to dobry kawałek na wschód od nas. Stamtąd wyruszą prosto do Anwardu.

- Biedny Szasta! Czy to daleko? Czy dotrze tam przed nimi?

- Jest nadzieja, że tak będzie - odpowiedział starzec.

Arawis położyła się, tym razem na boku, i zapytała:

- Czy spałam długo? Chyba się już ściemnia?

Pustelnik popatrzył przez jedyne okno, które wychodziło na północ.

- To nie jest ciemność nocy - powiedział po chwili. - To chmury toczą się ze szczytu Burzystego Wierchu. W tych okolicach paskudna pogoda zawsze stamtąd przychodzi. W nocy będzie gęsta mgła.

Następnego dnia Arawis czuła się tak dobrze, że - choć plecy jeszcze ją bolały - Pustelnik pozwolił jej wstać. Oczywiście wyszła natychmiast, by porozmawiać z końmi. Pogoda poprawiła się i teraz cały krąg wewnątrz ogrodzenia z darni - jak wielka zielona misa - napełnił się słońcem. Było to bardzo spokojne i samotne miejsce.

Hwin podbiegła truchtem do Arawis i obdarzyła ją czułym końskim pocałunkiem.

- A gdzie jest Bri? - zapytała Arawis, kiedy już wypytały się o swoje zdrowie i sen.

- Tam - odpowiedziała klacz, wskazując nosem. - Bardzo cię proszę, idź do niego i spróbuj porozmawiać. Dzieje się z nim coś niedobrego. Nie mogłam z niego wyciągnąć ani jednego słowa.

Bri leżał w trawie z łbem zwróconym ku zielonej ścianie i chociaż musiał usłyszeć, że nadchodzą, nie odwrócił głowy i milczał.

- Dzień dobry, Bri - zaczęła Arawis. - Jak się czujesz?

Bri mruknął coś, czego nikt nie zrozumiał.

- Pustelnik mówi, że Szasta chyba zdąży do Anwardu przed nimi - ciągnęła Arawis - a więc wygląda na to, że nasze kłopoty się kończą. Narnia, w końcu Narnia, pomyśl tylko, Bri!

- Nigdy nie zobaczę Narnii - rzekł cicho rumak.

- Czy źle się czujesz, kochany Bri? - zapytała Arawis.

Bri odwrócił w końcu głowę, a minę miał tak żalospną, jak tylko może mieć koń.

- Wracam do Kalormenu - powiedział.

- Co?! Wracasz do niewoli?

- Tak. Jestem stworzony, by być niewolnikiem. Jak mógłbym się pokazać wśród wolnych koni narnijskich? Ja, który porzuciłem klacz, dziewczynę i chłopca na pastwę lwu, a sam pogalopowałem jak szalony, żeby uratować własną skórę?

- Wszyscy pędziliśmy jak szaleni - zauważyła Hwin.

- Ale nie Szasta! - warknął Bri. - On w każdym razie pobiegł we właściwym kierunku: Z POWROTEM. I to właśnie zawstydza mnie najbardziej: ja, mieniący się bojowym koniem, zahartowany w setkach bojów, ja... zawstydzony przez chłopca, przez dziecko, po prostu źrebie, które nigdy nie miało miecza w dłoni, które nigdy nie przeszło porządnego przeszkolenia wojskowego, które nawet nie miało dobrego przykładu!

- Wiem, Bri, co czujesz - powiedziała Arawis. - Ja czuję to samo. Szasta był naprawdę zdumiewający, był wspaniały. Jestem równie godna pożałowania jak ty. Ucierałam mu nosa, patrzyłam na niego z góry przez cały czas, odkąd się spotkaliśmy, a teraz się okazało, że jest najbardziej wart podziwu z nas wszystkich. Ale myślę, że lepiej zostać i przeprosić go, niż wracać do Kalormenu.

- Łatwo ci mówić. Ty nie zhańbiłaś się tak jak ja. Ja utraciłem wszystko.

- Mój dobry koniu - odezwał się Pustelnik, który zbliżył się nie zauważony, bo jego bosa stopy bezszelestnie stąpały po bujnej, pokrytej rosą trawie. - Mój dobry koniu, nie straciłeś niczego poza swoją próżnością. Nie, nie, mój bracie, nie strzyż uszami i nie wstrząsaj tak grzywą. Jeśli naprawdę czujesz się tak upokorzony, to musisz się nauczyć słuchać głosu rozsądku. Musisz zrozumieć, że wcale nie jesteś tym Wielkim Koniem, jakim się wydawałeś samemu sobie, gdy żyłeś wśród tych biednych, niemych stworzeń. Oczywiście, byłeś dzielniejszy i mądrzejszy OD NICH. Ale to wcale nie twoja zasługa. To wcale nie oznacza, że musisz być kimś niezwykłym również w Narnii. Dopóki będziesz o tym pamiętał, będziesz bardzo przyzwoitym koniem, tak w ogóle, jak i w porównaniu z innymi. A teraz, jeśli ty, mój bracie, i ty, moja czworonożna siostrze, pójdziecie ze mną do kuchni, to zobaczymy, co się dzieje z drugą połową tej mieszanki, którą wam wczoraj przygotowałem.

ROZDZIAŁ 11

NIEPROSZONY TOWARZYSZ WĘDRÓWKI

Kiedy Szasta przeszedł przez północną bramę, zobaczył przed sobą porośniętą trawą i wrzosem zbocze, którego wierzchołek ginął wśród drzew. Nie musiał teraz o niczym myśleć, nie musiał niczego planować: musiał tylko biec, a to i tak było niemało. Nogi i ręce mu dygotały, w boku czuł okropny, kłujący ból, oczy zalewały krople piekącego potu. Stawiał stopy niepewnie i kilka razy na luźnych kamieniach o mało nie skręcił nogi w kostce.

Drzewa rosły tu gęściej, a na rozległych polanach pojawiły się wysokie paprocie. Słońce znikło, lecz mimo to nie zrobiło się wcale chłodniej. Był to jeden z owych gorących, szarych dni, kiedy wydaje się, że much jest dwa razy więcej niż zazwyczaj. Twarz Szasty była nimi dosłownie oblepiona, jednakże nawet nie próbował ich odganiać. Pochłaniała go tylko jedna myśl: jak najszybciej dotrzeć do Anwardu.

Nagle usłyszał dźwięk rogu. Nie był to grzmiący, ponury ryk rogów w Taszbaanie, lecz wesołe zawołanie: ti-ro-to-to-ho! W następnej chwili wbiegł na szeroką polanę i znalazł się wśród tłumu ludzi.

Tak mu się w każdym razie wydawało. W rzeczywistości było tam piętnastu, może dwudziestu ludzi w zielonych, myśliwskich strojach. Niektórzy siedzieli na koniach, inni stali, trzymając swoje wierzchowce za uzdy. W samym środku ktoś przytrzymał strzemień konia, na którego miał właśnie wskoczyć wesoły, tęgi, z policzkami jak czerwone jabłka i z roziskrzonymi oczami - król.

Gdy tylko Szasta wybiegł z zarośli na polanę, król zapomniał o swoim koniu. Wyciągnął ku chłopcu ramiona i z rozpromienionym obliczem zawołał donośnym, głębokim głosem, który zdawał się wydobywać z samego dna jego piersi:

- Korinie! Mój synu! To ty! Pieszo i w łachmanach! Co...

- Nie - wyrzucił z siebie Szasta, dysząc ciężko i potrząsając gwałtownie głową. - Nie księżę Korin. Ja... ja... wiem, że jestem podobny... widziałem jego wysokość w Taszbaanie... przesyła pozdrowienia...

Król wpatrywał się w Szastę w osłupieniu.

- Czy t-ty jesteś k-królem Luną? - wyjąkał Szasta. I nie czekając na odpowiedź, mówił szybko dalej: - O panie, królu... pędź... Anward... zamknąć bramy... wróg blisko... Rabadasz i dwustu jeźdźców!

- Czy jesteś tego pewien, chłopcze? - zapytał jeden z myśliwych.

- Widziałem ich... na własne oczy - rzekł Szasta. - Ścigam się z nimi przez całą

drogę z Taszbaanu.

- Pieszko? - spytał myśliwy, unosząc brwi.

- Konie... z Pustelnikiem...

- Przestań go wypytywać, Darinie - odezwał się król. - Widzę prawdę w jego twarzy. Panowie, musimy natychmiast wracać. Dajcie temu chłopcu zapasowego konia. Przyjacielu, czy potrafisz szybko jeździć?

Zamiast odpowiedzi Szasta włożył nogę w strzemień konia, którego mu przyprowadzono, i błyskawicznie wskoczył na jego grzbiet. Robił to już setki razy z Brim w ciągu ostatnich kilku tygodni, z całą pewnością zupełnie inaczej niż owej pierwszej nocy, kiedy Bri powiedział, że wspina się na konia jak na stóg siana.

Przyjemnie mu się zrobiło, gdy usłyszał, jak Darin powiedział do króla:

- Ten chłopiec dosiada konia jak prawdziwy jeździec. Dam głowę, że płynie w nim szlachetna krew.

- Tak, jego krew, oto jest problem - odpowiedział król. I znowu wpatrzył się badawczo w chłopca, a w jego nieruchomych, szarych oczach było coś dziwnego, coś, co przywodziło na myśl głód.

Grupa jeźdźców ruszyła cwałem w drogę. Siodło Szasty było bardzo wygodne, nie wiedział jednak zupełnie, co począć z cuglami, ponieważ nigdy ich nie dotykał, gdy siedział na grzbiecie Briego. Kątem oka obserwował uważnie, jak radzą sobie z cuglami inni (podobnie jak robią to niektórzy z nas na przyjęciach, kiedy nie są całkiem pewni, którego noża czy widelca użyć do danej potrawy), i próbował naśladować ruchy ich rąk. Nie śmiał jednak naprawdę kierować koniem; ufał, że ten będzie biegł tam, gdzie reszta. Wierzchowiec, którego dosiadł, był zwykłym, niemym koniem, lecz miał tyle sprytu, by wyczuć, że ten dziwny chłopiec na jego grzbiecie nie ma bata ani ostróg i nie panuje nad sytuacją. Wkrótce znaleźli się w ogniu kawalkady.

Ale i tak była to szybka jazda. Pęd konia uwolnił chłopca od dokuczliwych much. Wdychał głęboko orzeźwiające powietrze i czuł zadowolenie, że wykonał polecone mu zadanie. Po raz pierwszy od przybycia do Taszbaanu (jak się to wydawało odległe!) zaczął znowu cieszyć się życiem.

Podniósł głowę, żeby zobaczyć, jak blisko są już szczyty gór. Ku swemu zaskoczeniu nie zobaczył ich w ogóle: zamiast nich toczyła się z góry jakaś niewyraźna szarość. Nigdy jeszcze nie był w wysokich górach i nie był pewien, co to właściwie jest. „To chyba chmura - pomyślał - chmura, która opada. Rozumiem. Tu, w górach, jest

się naprawdę w niebie. Zaraz zobaczę, jak to jest: znaleźć się w środku chmury. Ależ to zabawne! Często o tym marzyłem.” Daleko, po lewej stronie, słońce już zachodziło.

Teraz wjechali na coś w rodzaju drogi i konie pobięły jeszcze szybciej. Szasta zaczął zostawać w tyle. Parę razy, gdy droga zakręcała (po obu stronach była teraz gęsta ściana puszczy), stracił z oczu pozostałych jeźdźców na sekundę lub dwie.

Potem zanurzyli się w mgłę albo raczej mgła stoczyła się na nich. Świat poszarzał. Szasta nie spodziewał się, że w środku chmury będzie tak zimno, mokro i ciemno. Szarość przechodziła w czerń z zastraszającą szybkością.

Na czele kolumny co chwila odzywał się róg i za każdym razem ten dźwięk wydawał się coraz odleglejszy. Teraz Szasta stracił już z oczu innych jeźdźców, lecz był przekonany, że zobaczy ich za najbliższym zakrętem. Ale kiedy minął zakręt, nie zobaczył nikogo. Właściwie nie widział już nic. Jego koń szedł stępa.

- Kłusem, koniu, kłusem! - zawołał. Z oddali dobiegł go słaby dźwięk rogu. Bri zawsze mu tłumaczył, że powinien trzymać pięty z dala od jego boków, więc wyobraził sobie, że stanie się coś okropnego, gdy uderzy konia piętami. Teraz była okazja, by to wypróbować.

- Posłuchaj, koniu - powiedział. - Jeśli nie ruszysz żwawiej, to wiesz, co zrobię? Wbiję ci obie pięty w boki. Naprawdę to zrobię.

Koń nie zwrócił najmniejszej uwagi na tę groźbę. Szasta usadowił się mocniej w siodle, przywarł udami do boków, zacisnął zęby i uderzył konia bosymi piętami tak mocno, jak potrafił. Jedynym efektem było to, że koń pobięł pięć lub sześć kroków czymś, co zapewne miało być truchtem, po czym powrócił znowu do powolnego człapania. Zrobiło się zupełnie ciemno. „Dlaczego przestali grać na tym rogu?”, zaniepokoił się Szasta. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, było jednostajne kapanie wody z gałęzi drzew.

„No cóż, myślę, że nawet tym krokiem w końcu gdzieś dojedziemy - pocieszał się w duchu. - Mam tylko nadzieję, że nie natrafimy na Rabadasza i jego ludzi”. Wydawało mu się, że ta powolna wędrówka trwa już bardzo długo. Zaczął nienawidzić swego konia; poczuł też głód.

Wreszcie dotarł do miejsca, w którym droga wyraźnie się rozwidlała. Zastanawiał się właśnie, która z nich prowadzi do Anwardu, gdy usłyszał za sobą hałas. Dreszcz przebiegł mu po plecach: był to tętent wielu koni. „Rabadasz!”, pomyślał z rozpaczą. Nie było czasu na zgadywanie, którą drogę wybierze kalormeński królewicz. „Ale jeśli ja wybiorę jedną z nich - powiedział do siebie - on MOŻE wybrać

drugą: natomiast jeśli zostanę na miejscu, NA PEWNO mnie złapią”. Zeskoczył z konia i poprowadził go tak szybko, jak mógł, prawą drogą.

Odgłos pędzącej konnicy zbliżał się szybko i po minucie lub dwóch Szasta był pewien, że są już na rozstaju dróg. Wstrzymał oddech, oczekując na to, co się stanie.

Padła cicha komenda „Stać!”, a potem rozległa się mieszanina typowo końskich odgłosów: chrapliwe parskanie, przebieranie kopytami, gryzienie wędzideł, poklepywanie po szyjach. Wreszcie dobiegł go czyjś głos:

- Uważać mi na to, co powiem. Od zamku dzieli nas ze dwieście metrów. Pamiętajcie o rozkazach. Kiedy znajdziemy się w Narnii, a powinniśmy tam być o wschodzie słońca, macie zabijać tylko wtedy, gdy będzie to naprawdę konieczne. W tej wyprawie każda kropla narnijskiej krwi ma być dla was droższa niż galon waszej własnej. W TEJ wyprawie, powtarzam. Bogowie ześlą nam jeszcze szczęśliwą godzinę i wówczas nie zostawimy ani jednej żywej istoty między Ker-Paravelem a Latarnianym Pustkowiem. Ale nie jesteśmy jeszcze w Narnii. Jesteśmy w Archenlandii. Przy ataku na zamek króla Luny liczy się przede wszystkim zaskoczenie. Pokażcie, na co was stać. W ciągu godziny zamek musi być mój. A kiedy już będzie, daję wara wszystko, co tam znajdziecie. Rezygnuję z mojej części łupu. Pozabijajcie wszystkich barbarzyńców wewnątrz murów, od starca po dziecko urodzone wczoraj. Wszystko pozostałe jest wasze, do podziału: kobiety, złoto, klejnoty, broń, wino. Jeśli zobaczę, że ktoś zawaha się u wrót zamku, zostanie spalony żywcem. W imię Tasa, niezwycięzonego i nieubłaganego - naprzód!

Z głośnym chrzęstem i tętentem kolumna ruszyła w drogę, a Szasta odetchnął głęboko. Nie ulegało wątpliwości, że wybrali lewą drogę. Długo czekał, by ostatni dźwięk zamarł w oddali, bo chociaż przez cały dzień powtarzał sobie „dwieście koni”, to tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że to jest aż tak dużo. W końcu zapanowała cisza, przerywana tylko odgłosem kropli spadających z drzew.

Teraz wiedział już, która droga prowadzi do Anwardu, ale oczywiście nie mógł z niej skorzystać; oznaczałoby to wpadnięcie w ręce żołnierzy Rabadasza. „Cóż mam począć”, powtarzał w duchu. W końcu zdecydował się wsiąść na konia i pojechać dalej drogą, którą wybrał, w słabej nadziei znalezienia jakiegoś domostwa, gdzie będzie mógł poprosić o schronienie i posiłek. Pomyślał też, rzecz jasna, o powrocie do Arawis, Briego i Hwin, ale teraz nie miał już najmniejszego pojęcia, w jakim kierunku jest pustelnia.

- Ostatecznie - powiedział na głos - ta droga musi dokądś prowadzić.

Zapewne miał rację, wszystko jednak zależy od tego, co się rozumie przez słowo „dokądś”. Na razie droga prowadziła dokądś w tym znaczeniu, że naokoło było coraz więcej i więcej drzew, czarnych i ociekających wodą, i robiło się coraz zimniej. Dziwny, lodowaty wiatr pędził wokół niego mgłę, choć nigdy jej nie rozpędzał. Gdyby Szasta bywał już w górach, wiedziałby po tych oznakach, że jest coraz wyżej - być może już na samej przełęczy. Ale, niestety, nie miał o górach zielonego pojęcia.

„Naprawdę, jestem najniezwyklejszym chłopcem, jaki kiedykolwiek żył na świecie. Wszystkim jakoś wszystko się udaje, tylko mnie spotykają same nieszczęścia. Ci narnijscy panowie i ich piękna królowa wydostali się bezpiecznie z Taszbaanu - ja zostałem. Arawis, Hwin i Bri siedzą sobie w zacisznym domu tego starego Pustelnika - mnie oczywiście wysłano w drogę. Król Luna i jego towarzysze na pewno dotarli bezpiecznie do zamku i zamknęli bramy na długo przed przybyciem wojska Rabadasza - ja zostałem na zewnątrz.

Zmęczony i głodny tak się rozszalał nad swoim losem, że łzy popłynęły mu po policzkach.

Zapewne płakałby długo, brnąc na otępiałym koniu w nieznane, w zimnie i ciemności, gdyby nie zdarzyło się coś, co go przeraziło. Nagle poczuł, że ktoś lub coś idzie obok niego. Było już tak ciemno, że nic nie widział. A to coś (lub ktoś) szło tak cicho, że nawet nie słyszał odgłosu kroków. Słyszał tylko oddech. Jego niewidzialny towarzysz zdawał się oddychać naprawdę potężnie i Szasta odniósł wrażenie, że musi to być jakieś naprawdę wielkie stworzenie. A zaczął słyszeć ten oddech stopniowo, tak że nie potrafił teraz powiedzieć, jak długo ma tego straszego towarzysza. Bardzo go to przeraziło.

Przypomniał sobie, jak dawno temu słyszał, że w północnych krajach są olbrzymy. Zagryzł wargi w panicznym strachu. Ale przestał już płakać, choć właściwie dopiero teraz miał do tego prawdziwy powód.

To coś (jeśli to nie była osoba) szło wciąż obok niego tak spokojnie, że Szasta zaczął już mieć nadzieję, że to tylko wytwór jego wyobraźni. Ale właśnie wtedy, gdy był już tego zupełnie pewien, usłyszał wyraźnie tuż obok siebie głębokie westchnienie. Nie, to nie mogło mu się wydawać! Wyraźnie poczuł ciepło, jakie owionęło jego zmarznąętą lewą rękę.

Gdyby ten koń nadawał się do czegoś - albo gdyby Szasta wiedział, co zrobić, żeby się do czegoś nadawał - chłopiec postawiłby wszystko na jedną kartę i spróbował uciec od tego niechcianego towarzysza dzikim galopem. Wiedział jednak, że nie

potrafi zmusić konia do galopu. Nie pozostawało mu nic innego, jak wlec się nadal noga za nogą z owym niewidzialnym towarzyszem kroczącym i oddychającym miarowo u jego boku. W końcu nie mógł już dłużej tego znieść.

- Kim jesteś? - zapytał prawie szeptem.

- Kimś, kto długo czekał na to, aż przemówisz - odpowiedziało to coś. Głos nie był donośny, ale bardzo dźwięczny i głęboki.

- Czy jesteś... czy jesteś olbrzymem?

- Możesz mnie nazwać olbrzymem - rzekł Głos - ale nie jestem podobny do tych stworzeń, które nazywacie olbrzymami.

- Nie mogę cię w ogóle zobaczyć - powiedział Szasta, wpatrując się uważnie w ciemność. A potem przyszła mu do głowy jeszcze bardziej przerażająca myśl i dodał głosem przechodzącym w pisk: - Ale przecież nie jesteś chyba... nie jesteś czymś UMARŁYM, prawda? Och, błagam cię, odejdz, zostaw mnie w spokoju! Co złego ci zrobiłem? Jestem tylko najnieszczęśliwszą osobą na całym świecie.

Ponownie poczuł ciepło oddechu na ręce i twarzy.

- Czy to jest oddech ducha? - usłyszał. - Opowiedz mi o swoich zmartwieniach.

Ten oddech wzbudził w chłopcu pewne zaufanie, opowiedział więc, że nigdy nie znał swoich prawdziwych rodziców, a wychowywał go surowo stary rybak. A potem opowiedział historię swojej ucieczki i o tym, jak ścigały ich lwy, i wszystko o tym, co się zdarzyło w Taszbaanie, i o nocy spędzonej wśród Grobowców, i o tym, jak bardzo bał się dzikich zwierząt warczących na niego na pustyni. I opowiedział o skwarze i pragnieniu, jakie towarzyszyły ich wędrówce przez pustynię, i o tym, jak prawie już byli u celu, gdy inny lew napadł ich i zranił Arawis. I także o tym, jak dawno nie miał nic w ustach.

- Wcale nie nazwałbym cię pechowcem - rzekł Głos.

- Czy nie uważasz, że tylko pechowiec może spotkać tyle lwów na swojej drodze?

- Lwów? Był tylko jeden lew - powiedział Głos.

- Jeden? O czym ty mówisz! Powiedziałem ci przecież, że już pierwszej nocy były przynajmniej dwa i...

- Był tylko jeden, za to bardzo szybki.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

- Bo ja byłem tym lwem. - A kiedy Szasta zaczerpnął głęboko powietrza i pozostał tak, z otwartymi ustami, Głos mówił dalej: - To ja byłem tym lwem, który

zmusił cię do spotkania Arawis. Ja byłem tym kotem, który dotrzymywał ci towarzystwa między domami zmarłych. Ja byłem tym lwem, który odpędzał szakale, kiedy spałeś. Ja byłem tym lwem, który dodał koniom nowej siły płynącej z lęku, tak że ostatecznie zdołałeś dotrzeć do króla Luny we właściwym czasie. I chociaż tego zupełnie nie pamiętasz, ja byłem lwem, który popychał łódkę, w której leżałeś

- bliskie śmierci niemowlę - by dopłynęła do brzegu, gdzie był człowiek obudzony o północy, aby cię zabrać.

- A więc to ty zraniłeś Arawis?

- Tak, to ja.

- Ale dlaczego?

- Dziecko - powiedział Głos - opowiadam ci twoją historię, nie jej. Nikomu nie opowiadam cudzych historii.

- Kim TY jesteś? - zapytał Szasta.

- Sobą - odpowiedział Głos, tak głęboko i nisko, że ziemia zadrżała, i znowu: - Sobą - głośno, wyraźnie i pogodnie; i potem po raz trzeci: - Sobą

- szeptem tak cichym, że prawie go nie było słychać, a jednak zdawał się napływać ze wszystkich stron, jakby zaszumiały nim liście na wszystkich drzewach.

Szasta już się nie bał, że Głos należy do czegoś, co może go zjeść, albo że jest to głos jakiegoś upióra. Zadrżał, ale był to zupełnie nowy, inny rodzaj drżenia. Poczul dziwną radość.

Czerń mgły ustąpiła szarości, a szarość zamieniła się w biel. Musiało się to zacząć jakiś czas temu, ale podczas rozmowy z tym Kimś wcale tego nie zauważył. A teraz biel wokół niego stała się jasnością, która go oślepiła. Gdzieś przed sobą usłyszał śpiew ptaków. Widział już wyraźnie grzywę, uszy i łeb swego konia, oświetlone złotym blaskiem padającym z lewej strony. Szasta był pewien, że to wzeszło słońce.

Spojrzał w tamtą stronę i ujrzał kroczącego obok siebie Lwa wyższego od konia. Koń wcale się go nie bał albo go w ogóle nie widział. A światło promieniowało z Lwa. Nikt nigdy nie widział czegoś bardziej straszniejszego i wspanialszego zarazem.

Na szczęście Szasta spędził całe życie zbyt daleko na południu Kalormenu, by słyszeć opowieści szeptane sobie w Taszbaanie o straszliwym narnijskim demonie pojawiającym się w postaci lwa. I oczywiście nie znał też żadnej z prawdziwych opowieści o Aslanie, Wielkim Lwie, synu Władcy-zza-Morza, Królu nad wszystkimi wielkimi królami Narnii. Ale wystarczyło tylko raz spojrzeć w twarz Lwa, by ześliznąć się z konia i upaść Królowi do stóp. Nie był w stanie wypowiedzieć słowa, ale też nie

chciał niczego mówić i czuł, że może milczeć.

Wielki Król nad wszystkimi królami nachylił się ku niemu. Szastę otoczyła złota grzywa i płynący z niej dziwny, uroczysty zapach. Lew dotknął jego czoła językiem. Szasta podniósł głowę i ich spojrzenia spotkały się. A potem nagle blada jasność mgły i dzika jasność Lwa splotły się w jeden wirujący krąg, który skurczył się i zniknął. Był znowu sam z koniem na porośniętym trawą zboczach, pod błękitnym niebem. I śpiewały ptaki.

ROZDZIAŁ 12

SZASTA W NARNII

„CZYŻBY TO WSZYSTKO BYŁO TYLKO SNEM?”, zastanawiał się Szasta. Ale nie mógł to być sen, ponieważ na trawie zobaczył głęboki, wielki ślad przedniej łapy Lwa. Ile musiał ważyć, jeśli zostawił taki ślad! Jednak w odcisku łapy było jeszcze coś innego godnego uwagi. Na dnie zgromadziło się trochę wody. A kiedy Szasta podziwiał jego rozmiary i głębokość, wody wyraźnie przybyło. Wkrótce przelewała się przez krawędzie zagłębienia, aż w końcu po zboczu płynął już wśród trawy mały strumyk.

Szasta nachylił się i napił do syta, a potem zanurzył twarz i opryskał włosy. Woda była nadzwyczaj zimna, przejrzysta jak szkło i bardzo orzeźwiająca. Wytrząsając wodę z uszu i odgarniając mokre włosy z czoła, zaczął rozglądać się po okolicy.

Był wczesny poranek. Słońce dopiero co wzeszło znad lasu, który ciągnął się w dole zbocza i daleko po prawej stronie. Kraina, na którą patrzył, bardzo go zaskoczyła. Była to rozległa, zielona dolina, porośnięta gdzieś drzewami, spoza których błysnęła ku niemu rzeka płynąca na północny zachód. Na dalekim krańcu doliny widniały jakieś wysokie, skaliste szczyty, choć niższe od tych, jakie widział wczoraj. Po chwili zaczął się domyślać, gdzie jest. Odwrócił się i spojrzął za siebie. Zbocze, na którym stał, należało do łańcucha o wiele wyższych gór.

- Rozumiem - powiedział do siebie. - To są owe wysokie góry między Archenlandią a Narnią. Wczoraj byłem po tamtej stronie, a więc nocą musiałem przejść przez przełęcz. Co za szczęście, że na nią trafiłem! A zresztą nie, to nie było żadne szczęście... to ON! A teraz jestem w Narnii.

Rozsiodłał konia i zdjął mu uzdę. - Jesteś naprawdę okropnym koniem - powiedział. Ale koń nie zwrócił na to żadnej uwagi i natychmiast zaczął się paść. To, co myślał o Szaście, nie było zbyt pochlebne.

„Och, żebym tak i ja mógł jeść trawę!”, pomyślał Szasta. - „Do Anwardu nie ma co wracać, na pewno jest oblężony ze wszystkich stron. Lepiej zejść w dolinę i poszukam czegoś do zjedzenia”.

Zszedł więc po zboczu (a bose stopy zdrętwiały mu z zimna od rosy pokrywającej trawę), aż dotarł do lasu. Wiodła weń jakby ścieżka. Poszedł nią i nie minęło wiele minut, gdy usłyszał gruby, nieco zaspany głos:

- Dzień dobry, sąsiedzie.

Szasta zaczął się rozglądać na wszystkie strony w poszukiwaniu właściciela głosu i wreszcie zobaczył małą, kolczastą istotę o czarnej twarzy, która wyszła ku niemu pomiędzy drzew. Był to jeż, zapewne mały w porównaniu z człowiekiem, ale nadzwyczaj duży jak na jeża.

- Dzień dobry - powiedział Szasta. - Ale ja nie jestem żadnym sąsiadem. Muszę wyznać, że w tych stronach jestem po raz pierwszy.

- Ach, tak? - rzekł jeż, wyraźnie oczekując dalszych wyjaśnień.

- Przyszedłem z za gór, z Archenlandii.

- Ach, z Archenlandii - zdziwił się jeż. - To strasznie daleko. Nigdy tam nie byłem.

- I myślę - dodał Szasta - że ktoś tu powinien się dowiedzieć, że w tej właśnie chwili cała armia dzikich Kalormeńczyków atakuje Anward.

- Niemożliwe! - zawołał jeż. - Pomyśleć tylko! A mówią, że Kalormen leży setki, tysiące mil stąd, gdzieś na samym końcu świata, za wielkim morzem z piasku.

- Nie jest to aż tak daleko, jak myślisz - rzekł Szasta. - Ale czy nie powinno się coś zrobić z tym atakiem na Anward? Czy nie powinno się zawiadomić Wielkiego Króla?

- Z pewnością, coś trzeba z tym zrobić - zgodził się jeż. - Tylko że ja właśnie idę do łóżka na dłuższą dzienną drzemkę. Cześć, sąsiedzie!

Ostatnie słowa skierowane były do jasnobrażowego królika, którego głowa wynurzyła się właśnie z trawy opodal ścieżki. Jeż powtórzył natychmiast królikowi, co usłyszał od Szasty. Królik zgodził się, że są to bardzo ważne wiadomości i że ktoś powinien je przekazać komuś, żeby można było coś z tym zrobić.

I tak się zaczęło. Co kilka minut przyłączały się do nich różne stworzenia, jedne z gałęzi drzew nad ich głowami, inne z podziemnych domostw pod ich stopami, aż zebrało się pięć królików, wiewiórka, dwie sroki, kozionogi faun i mysz, a wszyscy mówili jednocześnie i wszyscy zgadzali się z jeżem. Prawda zaś była taka, że w owym Złotym Wieku, kiedy już Czarownica i Zima ustąpiły z Narnii, a Wielki Król Piotr panował na Ker-Paravelu, mniejsi mieszkańcy narnijskich lasów czuli się tak szczęśliwi i bezpieczni, że zaczęli być trochę niefrasobliwi.

W końcu pojawiły się jednak dwie bardziej rozsądnie myślące istoty. Jedną był Czerwony Karzeł, który - jak się okazało - miał na imię Bajon. Drugą był jelen, cudowne, arystokratyczne stworzenie z wielkimi, wilgotnymi oczami, z nakrapianymi bokami i nogami tak pełnymi wdzięku i cienkimi, że wyglądały, jakby można je było

złamać dwoma palcami.

- Lew ożył! - zagrział karzeł, gdy tylko usłyszał opowieść Szasty. - Jeśli tak, to co my tu jeszcze robimy?

Wróg w Anwardzie! Te wieści muszą być natychmiast przesłane do Ker-Paravelu. Trzeba będzie zwołać armię. Narnia musi wyruszyć na pomoc królowi Lunie.

- Ach! - zawołał jeź. - Ale przecież Wielkiego Króla nie ma w Ker. Jest na północy, ściga tych olbrzymów. A jeśli już mówimy o olbrzymach, to przyszło mi do głowy...

- Kto zanieś wiadomość? - przerwał mu karzeł. - Czy ktoś tutaj jest szybszy ode mnie?

- Chyba ja - odezwał się jelen. - Co mam powiedzieć? Ilu jest Kalormeńczyków?

- Dwustu, a przewodzi im Rabadasz. I... - ale jelen już skoczył w drogę: wszystkie cztery nogi oderwały się jednocześnie od ziemi i w tej samej chwili jego biały zad zniknął wśród drzew.

- Ciekaw jestem, dokąd on właściwie poleciał - rzekł królik. - Przecież nie zastanie Wielkiego Króla w Ker-Paravelu.

- Zastanie królową Łucję - powiedział Bajon. - A wtedy... Hej! Co się dzieje z tym człowiekiem? Zrobił się zupełnie zielony. Patrzcie, przecież on jest bliski omdlenia. Może jest wyczerpany z głodu? Młodzińcze, kiedy jadłeś ostatni raz?

- Wczoraj rano - odpowiedział Szasta słabym głosem.

- A więc chodź - rzekł karzeł, obejmując chłopca w pasie swoim grubym, krótkim ramieniem. - No, sąsiedzi, powinniśmy się wstydzić. Pójdiesz ze mną, chłopcze. Najpierw śniadanie, potem gadanie.

Mrucząc wciąż wymówki, karzeł poprowadził Szastę w las tak szybko, jak tylko mógł. Szli dłużej, niżby

sobie w tej chwili Szasta życzył, i mimo że droga wiodła w dół, nogi się pod nim ugiwały, gdy wyszli z lasu na gołe zbocze. Stał tam niewielki domek z dymiącym kominem i otwartymi drzwiami. Kiedy podeszli bliżej, Bajon zawołał:

- Hej! Braciszku! Mamy gościa na śniadaniu.

I natychmiast wraz z głośnym skwierczeniem doszedł do Szasty cudowny zapach. Taki zapach czuł pierwszy raz w życiu, choć mam nadzieję, że wy znacie go dobrze. Był to bowiem zapach bekonu, jajecznicy i grzybów smażących się razem w jednym rondlu.

- Uważaj na głowę - powiedział Bajon o pół sekundy za późno, bo Szasta już wyrznął czołem w niskie odrzwia. - A teraz - ciągnął karzeł - usiądź sobie wygodnie. Stół jest trochę dla ciebie za niski, no tak, więc i stołek też. O, tak będzie dobrze. Tu jest owsianka, a tu garnek ze śmietaną, a tu łyżka.

Kiedy Szasta skończył owsiankę, dwaj bracia Bajona (Figlin i Kruchopaluch) postawili na stole misę jajecznicy z bekonem i grzybami, dzbanek kawy, dzbanek gorącego mleka i grzanki.

Wszystko to było dla Szasty wspaniałe i nowe, bo jedzenie kalormieńskie jest zupełnie inne. Nawet nie wiedział, czym są te plasterki czegoś brązowego, bo nigdy przedtem nie widział grzanek. Nie wiedział, czym była owa złota, miękka rzecz rozsmarowana na ich wierzchu, bo w Kalormenie używa się oliwy zamiast masła. Zresztą sam dom też różnił się bardzo zarówno od ciemnej, zatechłej, śmierdzącej rybą chatki Arszisza, jak i od przeładowanych ozdobami, kolumnami i dywanami sal pałacowych w Taszbaanie. Izba była niska, a wszystko w niej zrobiono z drewna. Na ścianie wisiał zegar z kukułką, zaś na stole leżał obrus w czerwono-białą kratkę; była też głęboka misa z polnymi kwiatami i białe firanki w oknach.

Posługiwanie się kubkami, talerzami, nożami i widelcami sprawiało Szaście trochę kłopotu, i to nie tylko dlatego, że były bardzo małe, ale i dlatego, że było ich tak wiele. Nie mógł też przyzwyczać się do tego, że jego talerze i kubki były wciąż czymś napełniane, a sami bracia raz po raz mówili do siebie: „Poproszę masło” albo: „Jeszcze jeden kubek kawy”, albo: „Zjadłbym jeszcze trochę tych grzybków”, albo: „A może by tak usmażyć jeszcze po jajku?” A kiedy wreszcie zjedli tyle, ile mogą zjeść trzy karły, pociągnęli losy, kto będzie zmywał, i wypadło na Figlina. Bajon i Kruchopaluch wyszli z Szasta na zewnątrz i wskazali na długą ławkę, która biegła wzdłuż ściany domku. Wszyscy usiedli, rozprostowali nogi, westchnęli głęboko z zadowolenia, a karły napełniły fajki. Słońce przygrzewało już mocno i rosa znikła z trawy: gdyby nie lekki wiaterek, byłoby za gorąco.

- A teraz, przybyszu - rzekł Bajon - pokażę ci nasz kraj. Z tego miejsca widać prawie całą południową Narnię. Jesteśmy dumni z tego widoku. Tam, na lewo, między tymi bliższymi wzgórzami, widzisz Zachodnie Góry. A to okrągłe wzgórze na prawo zwane jest Wzgórzem Kamiennego Stołu. Tuż za...

Ale w tym momencie przerwało mu chrapanie Szasty, który zasnął, mając za sobą nocną wędrówkę i dobre śniadanie. Karły zaczęły sobie dawać znaki, że nie trzeba go budzić, a było przy tym tyle szeptania, kiwania głowami, wstawania i

chodzenia na palcach, że z pewnością by go obudziły, gdyby nie był tak zmęczony.

Spał zdrowo cały dzień i obudził się dopiero na kolację. Wszystkie łóżka w tym domu były dla niego za krótkie, ale karły zrobiły mu na podłodze posłanie z wrzosu. Spał kamiennym snem przez całą noc, nie śniąc i nie zmieniając pozycji.

Następnego ranka, gdy kończyli śniadanie, usłyszeli ostry, natarczywy dźwięk, dochodzący gdzieś z daleka.

- Trąbki! - zawołał Bajon i wszyscy czterej wybiegli na dwór.

Trąbki zabrzmiały ponownie. Był to dla Szasty zupełnie nowy dźwięk, nie tak potężny i uroczysty jak dźwięk rogów Tazbaanu ani tak wesoły i żywy jak myśliwski róg króla Luny, lecz jasny, ostry i dzielny. Dźwięk dobiegał wyraźnie z lasów na wschodzie i wkrótce usłyszeli tętent koni. W chwilę później z lasu wyłoniło się czoło kolumny.

Pierwszy jechał na gniadym koniu baron Peridan z wielkim sztandarem Narnii - czerwonym lwem na zielonym polu. Szasta poznał go od razu. Potem jechało ramię w ramię trzech jeźdźców: dwu na wielkich koniach bojowych i jeden na kucyku. W jednym z jeźdźców Szasta rozpoznał króla Edmunda, natomiast drugim była pani o jasnych włosach i miłej, pogodnej twarzy, ubrana w zbroję i hełm, uzbrojona w łuk i kołczan pełen strzał. („To królowa Łucja”, szepnął Bajon.) A trzecim, na kucyku, był Korin! Za nimi wynurzyła się z lasu cała armia: jeźdźcy na zwykłych koniach, jeźdźcy na mówiących koniach (które pozwalają się

dosiadać tylko przy bardzo szczególnych okazjach, na przykład kiedy Narnia wyrusza na wojnę), centaury, srogie, zawzięte w boju niedźwiedzie, potężne mówiące psy, a na samym końcu sześć olbrzymów. Bo w Narnii mieszkają też dobre olbrzymy. I chociaż Szasta wiedział już, że walczą po słusznej stronie, z początku nie mógł na nie patrzeć bez lęku: są takie rzeczy na świecie, do których trzeba się długo przyzwyczajać. Kiedy król i królowa dojechali do domku, a karły zaczęły się nisko kłaniać, król zawołał:

- Ahoj, przyjaciele! Czas na odpoczynek! - I od razu wybuchła wrzawa i zrobił się wielki ruch: jeźdźcy zsiadali z koni, otwierano sakwy z prowiantem, zabrzmiały okrzyki i rozmowy. Korin podbiegł do Szasty, schwycił go za obie dłonie i krzyknął:

- Co?! TY tutaj? A więc ci się udało! Jakże się cieszę! No, czeka nas nie lada zabawa. To się nazywa mieć prawdziwe szczęście. Dopłynęliśmy do portu w Ker-Paravelu wczoraj rano i pierwszą osobą, którą spotkaliśmy, był jelen Chervus z tymi wszystkimi wiadomościami o ataku na Anward. Czy nie sądzisz...

- Kim jest przyjaciel waszej książęcej mości? - zapytał król Edmund, który właśnie zsiadł z konia.

- Czy nie widzisz sam, panie? - rzekł Korin. - To mój sobowtór, ten chłopiec, którego wzięliście za mnie w Taszbaanie.

- Ach, więc to jest twój sobowtór! - wykrzyknęła królowa Łucja. - Rzeczywiście, podobni do siebie jak bliźniacy. To niesamowite!

- Niech mi wasza królewska mość wybaczy - rzekł Szasta do króla Edmunda. - Nie byłem zdrajcą, naprawdę. I nic nie mogłem poradzić na to, że usłyszałem wasze plany. Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, by zdradzić je waszym wrogom.

- Wiem, że nie byłeś zdrajcą, chłopcze - rzekł król, kładąc dłoń na głowie Szasty. - Ale jeśli nie chcesz być wzięty za zdrajcę, następnym razem staraj się nie słuchać tego, co nie jest przeznaczone dla twoich uszu. No, nie ma już o czym mówić.

Potem było takie zamieszanie, wymiana zdań, krzątania, że Szasta na kilka minut stracił z oczu Korina, Edmunda i Łucję. Ale Korin należał do tych chłopców, o których z całą pewnością nie można na długo zapomnieć. Nie minęło wiele czasu, gdy Szasta usłyszał donośny głos króla Edmunda:

- Na grzywę Lwa, mój książę, tego już za wiele! Czy wasza książęca mość nigdy się nie poprawi? Bardziej jesteś krewki niż cała nasza armia razem wzięta! Wolałbym już mieć pod swoimi rozkazami pułk szerszeni niż ciebie.

Szasta przecisnął się przez tłum i zobaczył króla Edmunda, rzeczywiście bardzo rozgniewanego, Korina, nieco zawstydzonego, i dziwnego karła siedzącego na ziemi i krzywiącego się z bólu. Paru faunów stało w pobliżu, najwidoczniej dopiero co rozdzieliwszy walczących.

- Gdybym tylko miała przy sobie mój kordiał - powiedziała królowa Łucja - nie byłoby już po tym nawet śladu. Ale Wielki Król zabronił mi kategorycznie brać go ze sobą na zwykłe wyprawy wojenne. Mam go zachować na zupełnie nadzwyczajne wypadki.

A oto, co się stało. Zaraz po pierwszej rozmowie z Szasta ktoś pociągnął Korina za łokieć. Był to karzeł zwany Głoginem.

- Co takiego, Głoginie? - zapytał Korin.

- Wasza wysokość - rzekł karzeł, odciągając go na stronę - dziś przejdziemy przez przełęcz, a stamtąd już blisko do zamku twojego ojca. Bitwa może się zacząć jeszcze przed nocą.

- Wiem - powiedział Korin. - Czy to nie wspaniałe?

- Wspaniałe czy nie, otrzymałem ścisły rozkaz od króla Edmunda: mam pilnować, by wasza wysokość nie znalazł się wśród walczących. Pozwolono ci popatrzeć na bitwę z daleka, a to i tak jest już wystarczające zagrożenie, biorąc pod uwagę miody wiek waszej wysokości.

- Cóż za bzdury! - wybuchnął Korin. - To jasne, że będę walczył. Przecież królowa Łucja też będzie wśród łuczników.

- Jej królewska mość zrobi, jak zechce - powiedział Głogin - ale ty jesteś pod moją opieką. Albo dasz mi zaraz uroczyste książęce słowo, że będziesz trzymał swego kucyka obok mojego (ani na pół szyi w przodzie), aż dam waszej wysokości znak do odwrotu, albo - to są słowa jego królewskiej mości

- pojedziemy związani ze sobą mocnym sznurem, jak więźniowie.

- Zwałę cię z nóg, jeśli spróbujesz mnie związać

- rzekł Korin.

- Chciałbym to zobaczyć - warknął karzeł.

Tego było już za wiele dla takiego chłopca jak Korin. W ciągu sekundy obaj toczyli ze sobą zażartą walkę. Byłaby to walka wyrównana, bo chociaż Korin miał dłuższe ręce i był wyższy, to karzeł był starszy i silniejszy. Nie została jednak rozstrzygnięta (jak to często bywa, gdy walczy się na nierównym zboczu wzgórza), ponieważ Głogin miał nieszczęście poślizgnąć się na kamieniu i upaść na nos, a gdy próbował się podnieść, stwierdził, że ma skrzywoną nogę w kostce. Było to naprawdę dokuczliwe zwichnięcie, uniemożliwiające jazdę konną przez okrągłe dwa tygodnie.

- Pomyśl tylko, książę, co zrobiłeś - rzekł król Edmund. - Pozbawiłeś nas doświadczonego żołnierza tuż przed bitwą.

- Chętnie zajmę jego miejsce - odpowiedział Korin.

- Dość! - przerwał mu Edmund. - Nikt nie wątpi w twoją odwagę. Ale chłopiec w bitwie jest niebezpieczny jedynie dla swoich.

W tym momencie król musiał się zająć jakąś inną sprawą, a Korin przeprosił uprzejmie karła, podbiegł do Szasty i szepnął:

- Szybko. Mamy teraz wolnego kucyka i rynsztunek karła. Bierz to i zmykaj, zanim ktoś zauważy.

- Ale po co? - zdziwił się Szasta.

- Jak to po co? Po to, żebyśmy mogli razem walczyć w bitwie. Nie masz ochoty?

- Och... eee... tak, oczywiście - powiedział Szasta. Ale w rzeczywistości nie miał na to najmniejszej ochoty i zaczął odczuwać niezbyt przyjemne mrowienie w

kręgosłupie.

- O, znakomicie - szepnął Korin. - To załóż przez głowę. Teraz pas do miecza. Musimy tylko trzymać się w ogonie kolumny i siedzieć cicho. Kiedy już bitwa się zacznie, wszyscy będą zbyt zajęci, aby zwracać na nas uwagę.

ROZDZIAŁ 13

OBŁĘŻENIE ANWARDU

Okolo jedenastej cała kawalkada była już w drodze na zachód, mając góry po lewej stronie. Korin i Szasta jechali na samym końcu, tuż za olbrzymami. Łucja i Edmund zajęci byli omawianiem planu bitwy i chociaż Łucja zapytała w pewnej chwili: „A gdzie jest jego durnowata wysokość?”, Edmund odpowiedział tylko: „Nie na przedzie kolumny, a to już jest pomyślna wiadomość. Nie przejmuj się nim”.

Szasta opowiedział Korinowi swoje przygody i wyznał, że uczył się jazdy konno od Briego, więc nie bardzo wie, co robić z cugłami. Korin wyjaśnił, jak się nimi posługiwać, a prócz tego opowiedział o potajemnej ucieczce z taszbańskiego portu.

- A gdzie jest królowa Zuzanna?

- W Ker-Paravelu. Wiesz, ona jest trochę inna niż Łucja. O, Łucja jest tak dobra jak mężczyzna, a w każdym razie jak chłopak. Królowa Zuzanna bardziej przypomina normalną, dorosłą kobietę. Nie jeździ na wojenne wyprawy, choć trzeba przyznać, że świetnie strzela z łuku.

Wijąca się wokół wzniesienia droga stawała się coraz węższa, a urwisko po prawej stronie coraz bardziej strome. W końcu jechali już wszyscy jeden za drugim nad krawędzią prawdziwej przepaści i Szastę ciarki przeszły na myśl, że jechał już tą drogą w nocy, nic nie wiedząc o przepaści. „Ale przecież byłem bezpieczny - uspokoił się w duchu. - Przecież to właśnie dlatego Lew szedł z mojej lewej strony. Przez cały czas był pomiędzy mną a krawędzią urwiska”.

Potem ścieżka skręciła w lewo, na południe, oddalając się od urwiska. Po obu stronach pojawił się gęsty las. Wspinali się teraz w górę, ku przełęczy. Gdyby nie drzewa, widok byłby wspaniały, ale las ciągnął się nieprzerwanie i nie widzieli nic, prócz szczytów potężnych turni, wynurzających się co jakiś czas znad koron drzew. Raz czy dwa zobaczyli orła szybującego wysoko na tle błękitnego nieba.

- Czują bitwę - rzekł Korin, wskazując na ptaka. - Wiedzą, że przygotowujemy im ucztę.

Szaście wcale się to nie podobało.

Kiedy przeszli przez siodło przełęczy, las rozstał się i Szasta zobaczył z góry całą Archenlandię, błękitną i nieco zamgloną, a nawet (tak mu się przynajmniej wydawało) skrawek pustyni poza nią. Ale słońce, które miało się już ku zachodowi, świeciło mu prosto w oczy, nie widział więc niczego wyraźnie.

Tutaj armia narnijska zatrzymała się i rozwinęła, a potem nastąpiła seria

przegrupowań. Oddział bardzo groźnie wyglądających mówiących zwierząt, którego Szasta wcześniej nie zauważył i który składał się głównie z różnego rodzaju drapieżników (leopardów, panter i innych wielkich kotów), zajął pozycję po lewej stronie. Olbrzymy otrzymały rozkaz zajęcia prawego skrzydła, ale zanim wyruszyły, zdjęły coś, co niosły na plecach, i na chwilę usiadły. Wówczas Szasta zobaczył, co to było: każdy miał parę butów - strasznych, ciężkich, nabijanych gwoździami buciorów do kolan - które dopiero teraz wkładał na nogi. Potem każdy oparł na ramieniu potężną maczugę i wszyscy pomaszerowali, by zająć swoje pozycje. Łucznicy, a z nimi królowa Łucja, usadowili się z tyłu. Szasta przyglądał się z zaciekawieniem, jak zakładają cięciwy na łuki; potem rozległy się krótkie, dźwięczne stęknięcia, kiedy je wypróbowywali. I gdziekolwiek się spojrzano, widać było ludzi zaciskających pasy, zakładających hełmy, dobywających mieczy i rzucających płaszcze na ziemię. Nikt już nic nie mówił. Wszystko to było bardzo uroczyste i bardzo groźne. „I ja biorę w tym udział... naprawdę biorę w tym udział”, myślał Szasta.

Potem z daleka dobiegł ich hałas i wrzawa: wrzask wielu ludzi i miarowe dudnienie.

- To taran - szepnął Korin. - Próbują rozwalić bramę.

Nawet Korin wyglądał teraz dosyć poważnie.

- Dlaczego król Edmund nie rusza? - niecierpliwiał się. - Nie mogę wytrzymać tego oczekiwania. Robi się zimno.

Szasta kiwnął głową, mając nadzieję, że nie wygląda na tak przerażonego, jak się czuł.

Wreszcie - trąbka! Narnijczycy ruszyli - najpierw wolno, potem lekkim biegiem - a sztandar rozwinął się na wietrze. Przeszli przez niewielki grzbiet i nagle otworzyła się przed nimi cała scena: mały, najeżony basztemi zameczek z bramą po ich stronie. Niestety - bez fosy, ale oczywiście z zamkniętymi wrotami i opuszczoną kratą. Na murach widać było jasne plamki twarzy obrońców. A poniżej około pięćdziesięciu pieszych Kalormeńczyków kołysało olbrzymim pniem, co jakiś czas uderzając jego końcem w bramę. Lecz teraz scena nagle się zmieniła. Główny trzon armii Rabadasza, gotowy do wtargnięcia do zamku po wyważeniu bramy, zauważył Narnijczyków spadających jak burza po zboczu. Nie ulegało wątpliwości, że ci Kalormeńczycy znali dobrze żołnierskie rzemiosło. Wydawało się, że nie minęła sekunda, a wszyscy byli już na koniach, w bojowym szyku, zataczając krąg, aby stawić im czoło - już pędząc prosto na nich.

Przestrzeń między dwoma wojskami błyskawicznie malała. Szybciej, szybciej. Wszystkie miecze dobyte, wszystkie tarcze przy nosach, wszystkie modlitwy wypowiedziane, wszystkie zęby zaciśnięte. Szasta był śmiertelnie przerażony, lecz nagle pomyślał: „Jeżeli stchórzę w tej bitwie, będę tchórzem w każdej następnej bitwie w moim życiu. Teraz... albo nigdy”.

Kiedy jednak obie linie starły się wreszcie ze sobą, prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, co się właściwie dzieje. Wybuchło okropne zamieszanie, tumult, wrzawa. Bardzo szybko wytracono mu miecz z ręki, a cugle jakoś się poplątały. Wkrótce stwierdził, że zsuwa się powoli z konia. Potem zobaczył przed sobą włócznię, zrobił unik i stoczył się na ziemię, uderzając boleśnie wierzchem lewej dłoni w czyjąś zbroję, a potem...

Ale nie ma sensu opisywać bitwy tak, jak widział ją Szasta: zbyt mało wiedział, o co chodzi w tej walce w ogóle, a nawet jaki jest w niej udział jego samego. Aby wam opisać, co się naprawdę działo, najlepiej będzie, gdy zabiorę was kilka mil dalej, tam gdzie Pustelnik Południowych Kresów siedział pod rozłożystym drzewem, wpatrzony w gładką powierzchnię sadzawki, razem z Brim, Arawis i Hwin.

Bo właśnie w tę sadzawkę patrzył zawsze Pustelnik, kiedy chciał wiedzieć, co się dzieje na świecie, poza zielonymi murami jego pustelni. Tam, jak w zwierciadle,

mógł oglądać to, co się dzieje na ulicach miast leżących o wiele dalej niż Tazbaan albo jakie okręty wpływają właśnie do portu Redhaven na dalekich Siedmiu Wyspach, albo co to za rabusie lub dzikie zwierzęta grasują w wielkiej Zachodniej Puszczy między Latarnianym Pustkowiec a Telmarem. A tego dnia w ogóle nie odchodził od sadzawki, nawet po to, aby coś zjeść czy wypić, ponieważ wiedział, że w Archenlandii dzieją się bardzo ważne rzeczy. Arawis, Hwin i Bri towarzyszyli mu przez cały czas. Wiedzieli już, że jest to magiczna sadzawka: w lustrze wody nie odbijały się nieruchome drzewo i niebo, ale w głębi migały jakieś mgliste, kolorowe i ruchome kształty, przesuwane się bez przerwy w dziwnym korowodzie. Nie mogli jednak niczego zobaczyć wyraźnie. Tylko Pustelnik widział wszystko dokładnie i od czasu do czasu mówił im, co się właśnie dzieje. Na krótko przedtem, nim Szasta ruszył do swojej pierwszej w życiu bitwy, Pustelnik mówił:

- Widzę jednego... dwa... trzy., orły szybujące wokół Burzystego Wierchu. Jeden z nich to najstarszy ze wszystkich orłów. Wylatuje tylko wtedy, gdy zanoszą się na jakąś bitwę. Widzę, jak polatuje tu i tam, wpatrując się w dół... czasem patrzy na Anward, a czasem na wschód, poza Burzysty. Ach... widzę teraz, czym Rabadasz i jego

ludzie byli tak zajęci przez cały dzień. Ścięli i oczyścili z gałęzi olbrzymie drzewo, a teraz wychodzą z lasu, niosąc je jak taran. Czegoś się nauczyli po nieudanym nocnym ataku. Rabadasz mądrzej by postąpił, każąc swym ludziom sporządzić drabiny, ale to zajęłoby mu więcej czasu, a on jest niecierpliwy. Co za głupiec! Powinien wycofać się do Taszbaanu zaraz po pierwszym nieudanym ataku, bo cały jego plan opierał się na szybkości i na zaskoczeniu. Teraz ustawiają taran przed bramą. Ludzie króla Luny ostrzeliwują ich zawzięcie z murów. Pięciu Kalormeńczyków dosięgły strzały, ale reszta już jest bezpieczna. Trzymają tarcze nad głowami. Teraz Rabadasz wydaje rozkazy. Są z nim jego najbardziej zaufani wasale, dzicy Tarkaanowie ze wschodnich prowincji. Widzę ich twarze. Jest tam Korradin z zamku Tormunt, i Azrooh, i Chlomasz, i Ilgamut z krzywą wargą, i jakiś wysoki Tarkaan z purpurową brodą.

- Na grzywę Lwa, to mój dawny pan, Anradin! - zawołał Bri.

- Ciiiiicho! - syknęła Arawis.

- Teraz walą już taranem w bramę. Gdybym mógł nie tylko widzieć, lecz i słyszeć, byłby to straszliwy hałas! Uderzenie za uderzeniem... żadna brama nie wytrzyma tego przez dłuższy czas. Ale zaraz, poczekajcie! Pod Burzystym Wierchem coś spłoszyło ptaki. Wychodzą całe tłumy. Poczekajcie... jeszcze nie widzę... Ach! Teraz! Teraz widzę. Cała grań na wschodzie poczerniała od jeźdźców. Gdyby tylko wiatr rozwinął chorągiew... Teraz spadają w dół. Aha! Widzę sztandar. Narnia! Narnia! To czerwony lew. Pędzą w dół zboczem. Widzę króla Edmunda. Jest tam też jakaś kobieta, z tyłu z łucznikami. Och!

- Co się stało? - zapytała Hwin, wstrzymując oddech.

- Jego wszystkie koty okrążyły wroga z lewej strony.

- Koty? - zdumiała się Arawis.

- Wielkie koty, leopardy, pantery - wyjaśnił Pustelnik niecierpliwie. - Ach tak, rozumiem. Koty zatoczyły krąg i atakują teraz tych, co są pieszo. Dobre posunięcie. Teraz kalormeńskie konie szaleją ze strachu. Teraz koty są już między nimi. Ale Rabadasz zdołał przegrupować szyk i ma ze sobą stu ludzi w siodłach. Szarżują na Narnijczyków. Dzieli ich sto metrów. Pięćdziesiąt. Widzę króla Edmunda. Widzę barona Peridana. Ale cóż to? Widzę dwoje dzieci w narnijskim szyku. Cóż to za pomysł, by je wysłać do walki! Dziesięć metrów. Spotkali się. Olbrzymy na prawym skrzydle dokonują prawdziwych cudów... ale jeden upada... zdaje się strzała ugodziła go w oko. W środku... straszliwe zamieszanie. Lepiej widać to, co się dzieje po lewej stronie. Tam są ci dwaj chłopcy. Na żywego Lwa, jeden z nich... to królewicz Korin!

Drugi, podobny do niego jak dwa ziarenka grochu do siebie... ależ tak, to wasz mały przyjaciel, Szasta! Korin walczy jak mężczyzna. Powalił Kalormeńczyka. Widzę teraz lepiej, co się dzieje w środku. Rabadasz i Edmund byli już blisko siebie, ale teraz tłum walczących znowu ich rozdzielił.

- Ale co z Szasta? - zapytała Arawis.

- Och, co za głupiec! - zawołał Pustelnik. - Biedny, dzielny głupiec. Nie ma pojęcia o walce. W ogóle nie posługuje się tarczą. Odkrywa cały bok, zupełnie nie wie, co robić z mieczem. O, teraz sobie przypomniał. Wymachuje nim dziko... o mały włos uciąłby głowę swemu kucykowi. Naprawdę, obetnie mu ją, jeśli nie będzie uważał. Teraz miecz wyleciał mu z ręki. To po prostu morderstwo, wysłać dziecko do bitwy, przecież za chwilę będzie już po nim. Zrób unik, głupcze... och, spadł...

- Zabity?! - wykrzyknęły jednocześnie trzy głosy.

- Skąd mam wiedzieć? Koty już wykonały swoje zadanie. Wszystkie konie bez jeźdźców leżą martwe albo się rozpięchły: na nich już Kalormeńczycy nie uciekną. Teraz koty wracają na główne pole bitwy. Rzucają się na tych ludzi z taranem. Taran porzucony. O tak, wspaniale! Brama otwiera się od wewnątrz, na pewno załoga Anwardu robi wypad. Tak! Już widzę pierwszych trzech. Król Luna w środku, bracia Dar i Darin po jego bokach. Za nimi Tran i Szar, a potem Koi ze swoim bratem Kolinem. Jest ich tam dziesięciu... dwudziestu... prawie trzydziestu. Linia Kalormeńczyków pęka. Król Edmund zadaje wspaniałe ciosy. Właśnie ugodził śmiertelnie Korradina. Wielu Kalormeńczyków rzuciło broń i ucieka do lasu. Ci, co zostali, bronią się rozpaczliwie. Olbrzymy zamykają krąg od prawego skrzydła... koty od lewego... król Luna z tyłu. Została już tylko mała garstka wrogów, walczą wsparci o siebie plecami. Twój Tarkaan upada, Bri, Luna i Azrooh walczą ze sobą... król chyba jest górą... król dzielnie się trzyma - król zwyciężył. Azrooh już leży, król Edmund upada... nie, podniósł się... walczy z Rabadaszem w samej bramie zamku. Znowu poddało się kilku Kalormeńczyków. Darin zwyciężył Ilgamuta. Nie widzę, co się stało z Rabadaszem. Chyba martwy, osunął się na mur zamku, ale nie jestem pewien. Chlamasz i król Edmund wciąż jeszcze walczą, ale to już koniec bitwy. Chlamasz się poddał. Całkowita klęska Kalormeńczyków.

Kiedy Szasta spadł z konia, był pewien, że już po nim. Ale konie, nawet w bitwie, o wiele rzadziej tratuja ludzi, niż wam się wydaje. Po długich dziesięciu minutach grozy Szasta zdał sobie nagle sprawę, że w najbliższym sąsiedztwie nie ma już żadnych końskich nóg oraz że wrzawa (a wciąż jeszcze rozbrzmiewały różne głosy i

dźwięki) nie jest już wrzawą bitewną. Usiadł i rozejrzał się dokoła. Nawet on, niewiele wiedzący o bitwach, zrozumiał, że Archenlandczycy i Narnijczycy zwyciężyli. Wszyscy żywi Kalormeńczycy byli jeńcami, brama zamku stała otworem, a król Luna i król Edmund ściskali sobie dłonie ponad taranem oblężniczym. Z otaczającego ich kręgu baronów i rycerzy dobiegały odgłosy bezładnych i podnieconych, lecz wyraźnie rozradowanych rozmów. I nagle wszystkie głosy zlały się i podniosły w jednym wielkim wybuchu śmiechu.

Szasta dźwignął się z ziemi zupełnie odrętwiały i pobiegł w ich kierunku, żeby zobaczyć, z czego się śmieją. A zobaczył naprawdę bardzo komiczną scenę. Nieszczęsny Rabadasz wisiał na zamkowym murze, wymachując rozpaczliwie nogami jakieś pół metra od ziemi. Jego kolczuga ze stalowych kółek była dziwnie podciągnięta, tak że zacisnęła się pod ramionami i zakryła mu pół twarzy. Wyglądał zupełnie jak człowiek usiłujący zdjąć bardzo sztywną koszulę, która jest na niego za mała. W opowieściach, które później krążyły (a możecie być pewni, że opowiadano o tym często jeszcze przez wiele dni), to, co się wydarzyło, wyglądało mniej więcej tak:

Na początku bitwy jeden z olbrzymów zamachnął się na Rabadasza nogą w nabijanym gwoździami bucie. But wprawdzie nie trafił w Rabadasza, co uratowało mu życie, lecz kopnięcie nie okazało się zupełnie bezużyteczne, bowiem jeden z gwoździ rozerwał stalową kolczugę księcia tak łatwo, jak wy czy ja moglibyśmy komuś rozerwać zwykłą koszulę. W ten sposób, kiedy Rabadasz spotkał się oko w oko z Edmundem, miał na plecach w kolczudze dziurę. A kiedy Edmund zaczął go coraz bardziej przyciskać do muru, wskoczył na kamienny występ w murze i stamtąd zasypywał króla ciosami miecza. Szybko jednak doszedł do wniosku, że ta pozycja czyni z niego znakomity cel dla wszystkich narnijskich łuczników, więc zdecydował się zeskoczyć ponownie na ziemię. Chciał przy tym wyglądać bardzo groźnie i bardzo imponująco - i bez wątpienia przez moment tak wyglądał, gdy skoczył z okrzykiem: „Piorun Tasza spada z wysoka!” Musiał jednak skoczyć w bok, ponieważ przed nim tak było gęsto od ludzi, że nie miałby gdzie wylądować. A wówczas, zupełnie jakby sobie to ktoś wymarzył, dziura w kolczudze trafiła dokładnie na hak wystający z muru. (Dawno temu było tam kółko do przywiązywania koni). I w ten sposób został już tam, na murze, jak sztuka wypranej bielizny powieszona do wysuszenia, wystawiony na pośmiewisko.

- Pozwól mi zejść, Edmundzie - wył. - Pozwól mi zejść i walcz ze mną jak król i mężczyzna albo zabij mnie, jeśli jesteś zbyt wielkim tchórzem.

- Z pewnością... - zaczął Edmund, lecz król Luna przerwał mu:

- Za pozwoleniem, wasza królewska mość. Nie tak. - Po czym zwrócił się do Rabadasza: - Wasza książęca wysokość, gdybyś rzucił nam to wyzwanie tydzień temu, to nie byłoby nikogo w całym państwie króla Edmunda - od Wielkiego Króla po najmniejszą mówiącą mysz - kto by ci nie odpowiedział. Lecz atakując nasz zamek Anward w czasie pokoju, bez wypowiedzenia wojny, udowodniłeś, że nie jesteś rycerzem, lecz zdrajcą... kimś, kto bardziej zasługuje na chłostę niż na zaszczyt skrzyżowania miecza z kimkolwiek obdarzonym honorem. Zdejmijcie go, zwiążcie i zaprowadźcie do zamku, później pomyślimy, co zechcemy z nim uczynić.

Kilka par silnych rąk odebrało Rabadaszowi miecz i ściągnęło na ziemię. Poprowadzono go do zamku, a on krzyczał, groził, przeklinał, a nawet płakał. Bo chociaż zniósłby tortury, nie potrafił znieść ośmieszenia. W Taszbaanie każdy traktował go zawsze bardzo poważnie.

W tym momencie Korin podbiegł do Szasty, chwycił go za rękę i zaczął ciągnąć do króla Luni wołając:

- On tu jest! Ojczy, on tu jest!

- Tak, a tu jesteś wreszcie TY! - rzekł król burkliwym głosem. - I brałeś udział w bitwie, nie słuchając moich zakazów. Przecież ty możesz złamać ojcu serce! W twoim wieku bardziej by pasowała różga do twoich majtek niż miecz do twojej dłoni.

Ale każdy, nie wyłączając Korina, widział, że król był z niego bardzo dumny.

- Panie, nie besztań go już więcej - rzekł baron Darin. - Jego książęca wysokość nie byłby twoim synem, gdyby nie odziedziczył twoich skłonności. *Załóżę się, że bardziej by cię zasmuciło, gdyby się zachował zupełnie inaczej.*

- Dobrze już, dobrze - mruknął król. - Tym razem zapomnijmy o tym. A teraz...

To, co teraz nastąpiło, zaskoczyło Szastę bardziej niż jakiegokolwiek z dotychczasowych wydarzeń. Nagle znalazł się w objęciach króla Luni, przypominających trochę uścisk niedźwiedzia. Król ucałował go w oba policzki, postawił z powrotem na ziemi i powiedział:

- Stańcie obok siebie, chłopcy, i niech cały dwór was zobaczy. Podnieście głowy. A teraz, panowie, popatrzcie na tych dwóch. Czy ktoś ma jeszcze jakieś wątpliwości?

A Szasta wciąż jeszcze nie mógł zrozumieć, dlaczego wszyscy gapili się na niego i Korina ze zdumieniem ani dlaczego wybuchła potem radosna wrzawa i wiwaty.

ROZDZIAŁ 14

JAK BRI STAŁ SIĘ MĄDRZEJSZYM KONIEM

POWRÓĆMY TERAZ DO ARAWISI KONI. Patrząc w swoją magiczną sadzawkę, Pustelnik był w stanie powiedzieć im, że Szasta żyje i nawet nie odniósł poważniejszych ran, bo widział, jak chłopiec powstał z pola bitwy i jak został serdecznie powitany przez króla Lunę. Ale ponieważ Pustelnik mógł tylko widzieć, a nie słyszeć, i nie wiedział, co kto mówi, to teraz, gdy skończyła się bitwa, a zaczęły rozmowy, nie warto było już dłużej wpatrywać się w taflę wody.

Następnego ranka cała trójka zaczęła się zastanawiać, co robić dalej.

- Mam już tego dosyć - powiedziała Hwin. - Pustelnik jest dla nas bardzo dobry i jestem mu bardzo wdzięczna za wszystko, to pewne. Ale coś mi się zdaje, że jedząc bez przerwy i nie zażywając ruchu, utylam jak czyjś ulubiony kucyk. Musimy wyruszyć w drogę. Do Narnii!

- Och, nie dzisiaj, pani - rzekł Bri. - Po co się tak spieszyć? Może za parę dni, nie uważacie?

- Musimy najpierw zobaczyć się z Szasta. Przecież trzeba go pożegnać... i... i przeprosić... - powiedziała Arawis.

- O to, właśnie to - zawołał Bri z wielkim zapalem. - Właśnie to chciałem powiedzieć.

- Ależ oczywiście - zgodziła się Hwin. - Na pewno jest w Anwardzie. To jasne, że musimy się z nim i zobaczyć, i pożegnać. Ale Anward leży przecież po drodze do Narnii. Dlaczego nie mielibyśmy wyruszyć w drogę od razu? Ostatecznie wszyscy chcieliśmy dostać się do Narnii, czyż nie?

- Chyba tak - powiedziała Arawis, którą coraz bardziej dręczyło pytanie, co właściwie powinna zrobić teraz, kiedy już tu się znalazła. Czula się nieco osamotniona.

- Oczywiście, oczywiście - rzekł Bri pospiesznie. - Ale przecież chyba nie ma potrzeby popędzania życia. Mam nadzieję, że wiecie, co chcę przez to powiedzieć?

- Nie, ja nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć - przerwała mu Hwin. - Dlaczego właściwie nie chcesz wyruszyć w drogę natychmiast?

- Mmmm... Briii-huuu... - mruknął Bri. - No cóż, czy nie rozumiesz, pani... to bardzo ważne wydarzenie... powrócić do swojej ojczyzny... mmm... wrócić do społeczności... najlepszej społeczności... jest sprawą zasadniczą, by sprawić dobre wrażenie... być podobnym do siebie...

Hwin wybuchnęła soczystym końskim śmiechem.

- Ach, chodzi o twój ogon! Teraz wszystko rozumiem. Chcesz poczekać, aż ci ogon odrośnie! Nawet nie wiemy, czy w Narnii nosi się teraz długie ogony. Naprawdę, Bri, jesteś tak próżny jak ta Tarkiina w Tazbaanie!

- Jesteś po prostu głupi, Bri - dodała Arawis.

- Na grzywę Lwa, Tarkiino, naprawdę taki nie jestem - oburzył się Bri. - Żywię tylko właściwy szacunek do siebie i do innych koni, to wszystko.

- Bri, już od dawna chciałam cię o coś zapytać - powiedziała Arawis, którą w ogóle niewiele obchodził jego obcięty ogon. - Dlaczego wciąż mówisz: „Na grzywę Lwa” i „Na Lwa”? Myślałam, że nienawidzisz lwów.

- Masz całkowitą rację - odpowiedział Bri. - Ale kiedy mówię o „Lwie”, mam na myśli Aslana, wielkiego wybawcę Narnii, który przepędził Czarownicę i Zimę. Wszyscy Narnijczycy przysięgają na niego.

- Ale czy on jest lwem?

- Nie, nie, oczywiście nie - zaprzeczył gwałtownie Bri.

- We wszystkich kalormeńskich opowieściach mówi się, że jest lwem - powiedziała Arawis. - Ale jeśli nie jest, to dlaczego go tak nazywasz?

- No cóż, w twoim wieku chyba trudno byłoby ci to zrozumieć - odrzekł Bri. - Ja zaś byłem małym źrebakiem, kiedy mnie stąd porwano, więc sam tego dobrze nie rozumiem.

(Mówiąc to, Bri był odwrócony tyłem do zielonej ściany otaczającej pustelnię, a Arawis i Hwin stały do niego przodem. Mówił nieco przemądrzałym tonem i oczy miały na wpół przymknięte, więc nie zauważył, że twarze jego towarzyszek bardzo się zmieniły. Wytrzeszczyły oczy i otworzyły usta, a miały święte prawo to uczynić, bo kiedy Bri mówił, na szczyt zielonego ogrodzenia z darni wskoczył olbrzymi Lew. Był o wiele jaśniejszy, większy, wspanialszy i bardziej przerażający niż jakikolwiek lew, jakiego w życiu widziały. Po chwili zeskoczył do środka i zaczął się zbliżać do Briego. Stał bezszelestnie, a Hwin i Arawis nie były w stanie wydobyć z siebie głosu.)

- Bez wątpienia - ciągnął Bri - kiedy mówią o nim jako o lwie, mają tylko na myśli, że jest silny i dziki jak lew... dla naszych wrogów, rzecz jasna. Nawet tak mała dziewczynka jak ty, Arawis, powinna zrozumieć, że byłoby zupełnym absurdem przypuszczać, że on jest PRAWDZIWYM lwem. Oznaczałoby to nawet pewien brak szacunku. Gdyby był lwem, to byłby zwierzęciem, tak jak my. Przecież... - i tu Bri zaczął się śmiać - przecież gdyby był lwem, miałby cztery łapy, ogon i... WĄSY!... Aj! Ooooooch! HUUUUUU! Ratunku!

Bo właśnie gdy wypowiedział słowo „WĄSY”, jeden z wąsów Aslana ukłuł go w ucho. Bri pobiegł jak strzała do przeciwległej strony ogrodzenia i tam zawrócił, bo ściana była za wysoka, by ją przeskoczyć. Arawis i Hwin cofnęły się. Przez chwilę zrobiło się zupełnie cicho.

Potem Hwin, trzęsąc się cała, wydała z siebie dziwne rzenie i podbiegła truchtem do Lwa.

- Zechciej mi wybaczyć, ale jesteś taki cudowny - powiedziała. - Możesz mnie zjeść, jeśli masz ochotę. Wolałabym być zjedzona przez ciebie niż przez kogokolwiek na świecie.

- Moja najdroższa córko - powiedział Aslan, składając lwi pocałunek na jej rozedrganym, aksamitnym nosie. - Wiedziałem, że nie będziesz się wahała do mnie podejść. Radość będzie twoja.

Potem podniósł głowę i przemówił mocniejszym głosem:

- A teraz ty, Bri, ty biedny, dumny, przestraszony koniu. Zbliź się. Jeszcze bliżej, mój synu. Nie wąż się nie mieć odwagi. Dotknij mnie. Oto są moje łapy, oto mój ogon, oto moje wąsy. Jestem prawdziwym zwierzęciem.

- Aslanie - powiedział Bri trzęsącym się głosem - obawiam się, że muszę być strasznym głupcem.

- Szczęśliwy koń, który o tym wie, dopóki jeszcze jest młody. Dotyczy to również człowieka. Podejdz bliżej, Arawis, moja córko. Spójrz! Moje łapy są miękkie. Tym razem nic ci nie grozi.

- Tym razem, panie? - zapytała Arawis.

- To ja ciebie zraniłem. Byłem jedynym lwem w całej twojej wędrówce. Czy wiesz, dlaczego cię zraniłem?

- Nie, panie.

- Rany na twoich plecach - łza za łzę, ból za ból, krew za krew - odpowiadały ranom, jakie pozostawił bat na plecach niewolnicy twojej macochy, tej niewolnicy, którą uśpiłaś przed swoją ucieczką. Trzeba było, abyś poznała, co się wówczas czuje.

- Tak, panie. Pozwól, że...

- Pytaj, moja córko.

- Czy spotkała ją jeszcze jakaś inna krzywda za to, co zrobiłam?

- Moje dziecko - odpowiedział Lew - opowiadam ci twoją historię, nie jej. Każdemu opowiadam tylko o nim samym. - Potrząsnął grzywą i przemówił łagodniejszym głosem: - Weselcie się, moi mili. Niedługo znowu się spotkamy.

Przedtem jednak będziecie mieć jeszcze jednego gościa. - Po tych słowach jednym susem wskoczył na ogrodzenie i zniknął im z oczu.

Może to dziwne, ale nie mieli ochoty rozmawiać o nim, gdy zniknął. Każde odeszło powoli w inną stronę i spacerowało samotnie, rozmyślając.

Około pół godziny później oba konie zostały zawołane na tył domu, gdzie Pustelnik przygotował dla nich coś smacznego do jedzenia. Arawis wciąż spacerowała samotnie, pogrążona w myślach, gdy nagle usłyszała ostry dźwięk trąbki za bramą.

- Kto tam? - zawołała.

- Jego wysokość książę Kor z Archenlandii - brzmiała odpowiedź.

Arawis otworzyła bramę i cofnęła się nieco, aby przepuścić przybyszów.

Najpierw weszli dwaj żołnierze z halabardami i stanęli po obu stronach bramy. Potem wszedł herold, a za nim trębacz.

- Jego królewska wysokość książę Kor z Archenlandii prosi o posłuchanie u pani Arawis! - zawołał herold. Potem on i trębacz rozstąpili się, żołnierze sprezentowali halabardy i wszedł sam książę. Cała jego świta wyszła, zamykając za sobą bramę.

Książę skłonił się i był to bardzo niezdarny ukłon jak na księcia. Arawis dygnęła po kalormeńsku (co w ogóle nie przypomina naszego dygania), a uczyniła to bezbłędnie i z wdziękiem, bo oczywiście uczono ją, jak to robić. Potem podniosła głowę, aby przyjrzeć się księciu.

Zobaczyła chłopca. Miał gołą głowę, a jego włosy otaczał wąski diadem ze złota. Jego wierzchnia tunika zrobiona była z białego, delikatnego batystu, tak że prześwitywała przez nią jaskrawa czerwień spodniej tuniki. Lewa dłoń, wsparta na emaliowanej rękojeści miecza, owinięta była bandażem.

Arawis spojrzała dwa razy na jego twarz, zanim wciągnęła głęboko powietrze i zawołała:

- Przecież to jest Szasta!

Szasta zaczerwienił się gwałtownie i zaczął mówić bardzo szybko:

- Posłuchaj, Arawis, mam nadzieję, że nie pomyślisz, iż przychodzę tu w taki sposób... ten trębacz i w ogóle... żeby zrobić na tobie wrażenie albo żeby pokazać, że się zmieniłem, albo coś podobnie bzdurnego. Naprawdę, wołałbym przyjść tu w swoim dawnym ubraniu, ale je spalono, a mój ojciec powiedział...

- Twój ojciec? - przerwała mu Arawis.

- Moim ojcem jest król Luna. Właściwie to mogłem sam się tego domyślić,

skoro Korin jest tak do mnie podobny. Jesteśmy bliźniakami. No, i nie nazywam się Szasta, lecz Kor.

- Kor to ładniejsze imię niż Szasta - powiedziała Arawis.

- W Archenlandii tak się zwykle nazywa braci - wyjaśnił Szasta (albo raczej księżę Kor) - Dar i Darin, Koi i Kolin, Kor i Korin.

- Szasto... to znaczy Korze - zaczęła Arawis i urwała, a po chwili ciągnęła dalej: - Nie, nic nie mów. Muszę ci od razu coś powiedzieć. Wybacz mi, że byłam taką świnią. Ale, uwierz mi, zmieniłam się już przedtem, zanim się dowiedziałam, że jesteś królewiczem. To się stało wtedy, gdy zawróciłeś, aby stawić czoło Lwu.

- On nie miał zamiaru cię zabijać.

- Wiem - powiedziała Arawis, kiwając głową. Oboje milczeli uroczyście przez chwilę, gdy poznali, że każde z nich spotkało już Aslana.

Nagle Arawis przypomniała sobie o zabandażowanej ręce Kora.

- Słuchaj! - zawołała. - Zapomniałam! Byłeś przecież w bitwie. Czy to rana?

- Ech, tylko zadraśnięcie - odpowiedział Kor, używając po raz pierwszy tonu, który można by nazwać „książęcym”. Ale w chwilę później wybuchnął śmiechem i dodał: - Jeśli chcesz znać prawdę, to nie jest żadna rana. Zdarłem sobie skórę z kostek, co mogło się przydarzyć każdemu takiemu niezdarze nawet bez zbliżania się do bitewnego pola.

- W każdym razie wziąłeś udział w bitwie. To musiało być wspaniałe.

- Było zupełnie inaczej, niż myślałem - rzekł Kor.

- Ale Sza... Korze, nie opowiedziałeś mi jeszcze o królu Lunie i o tym, jak cię poznał.

- A może byśmy usiedli? Bo to jest trochę dłuższa opowieść. Wiesz, ojciec jest zupełnie fantastyczny. Cieszyłbym się tak samo... albo prawie tak samo... gdybym się dowiedział, że jest moim ojcem, a nie jest królem. Chociaż czeka mnie Wychowanie i Nauka, i różne inne okropne rzeczy. Ale chciałaś wiedzieć, jak do tego wszystkiego doszło. Otóż Korin i ja byliśmy bliźniętami. I w jakiś tydzień, może dwa, po naszym narodzeniu zabrano nas do jednego starego, mądrego centaura w Narnii, żeby nas pobłogosławił czy coś w tym rodzaju. Ten centaur był prorokiem, jak to bywa z wieloma centaurami. Może jeszcze nigdy nie widziałaś centaura? Wczoraj w bitwie było ich kilku. Zupełnie niesamowite istoty, chociaż nie mogę powiedzieć, że bym się przy nich czuł najlepiej. Wiesz co, Arawis, myślę, że w tych północnych krajach jest wiele rzeczy, do których trzeba się będzie przyzwyczaić.

- Na pewno, ale opowiedz mi wreszcie wszystko.

- No więc, gdy tylko centaur zobaczył Korina i mnie, popatrzył na mnie i powiedział: „Nadejdzie dzień, gdy ten chłopiec uratuje Archenlandię od największego zagrożenia, jakie ją kiedykolwiek spotkało”. Oczywiście mój ojciec i moja matka bardzo się ucieszyli. Ale był tam ktoś, kto wcale się nie ucieszył.

Nazywał się Bar... był przedtem wielkim kanclerzem mojego ojca. Najwidoczniej zrobił coś złego... ZANIEWIERZYŁ coś czy coś w tym rodzaju, nie zapamiętałem dobrze tego słowa i niezbyt dobrze zrozumiałem ten kawałek opowieści... i ojciec musiał pozbawić go urzędu. Ale na tym się skończyło, pozwolono mu odejść z zamku i zamieszkać gdzieś w Archenlandii. A on musiał być naprawdę zły do szpiku kości, bo później wyszło na jaw, że już dawno brał pieniądze od Tisroka i przysyłał mu za to do Taszbaanu wiele tajnych informacji. Więc jak tylko usłyszał, że ja mam kiedyś uratować Archenlandię od wielkiego niebezpieczeństwa, postanowił usunąć mnie z drogi. No, i udało mu się porwać mnie (nie wiem dokładnie jak) i wywieźć konno wzdłuż Krętej Strzały nad morze. Przedtem wszystko sobie przygotował i tam czekał na niego okręt z jego zwolennikami. Wypłynęli w morze, ale mojemu ojcu bardzo szybko o tym doniesiono i puścił się w pościg. Kiedy dojechał na wybrzeże, Bar wypłynął już w morze, tylko żagiel było jeszcze widać. Ojciec wsiadł na jeden ze swoich okrętów wojennych i... pomyśl tylko... w ciągu dwudziestu minut odbił od brzegu. Musiał to być wspaniały pościg. Przez sześć dni ścigali galeon Bara i w końcu zmusili go do bitwy. Była to wielka bitwa morska... opowiadano mi o niej wczoraj wieczorem... od dziesiątej rano aż do zachodu słońca. Baron Bar został zabity. Ale jeden z jego ludzi wziętych do niewoli wyznał, że wczesnym rankiem tego samego dnia, kiedy Bar już wiedział, że go dogonimy, wsadził mnie z jednym tylko rycerzem do łodzi ratunkowej i wysłał w morze. Nigdy już jej nie znaleziono. A była to, rzecz jasna, ta sama łódź, którą Aslan... on chyba kryje się za wszystkimi opowieściami!... zepchnął na brzeg we właściwym miejscu, tak aby Arszisz mnie uratował. Chciałbym znać imię tego rycerza, bo wszystko wskazuje na to, że uratował mi życie, zagładzając się sam na śmierć.

- Aslan powiedziałaby, że to już należy do historii życia kogoś innego - wtrąciła Arawis.

- No tak, zapomniałem o tym - przyznał Kor.

- Bardzo jestem ciekawa, jak się to proroctwo spełni - powiedziała Arawis - i co to będzie za niebezpieczeństwo, przed którym uchronisz Archenlandię.

- No cóż - rzekł Kor nieco zakłopotany - oni uważają, że ja już to zrobiłem.

Arawis klasnęła w dłonie.

- No tak, to jasne! Jaka jestem głupia. I jakie to cudowne! Archenlandia nigdy nie mogła być bardziej zagrożona niż wówczas, gdy Rabadasz przeszedł przez Strzałę ze swoimi jeźdźcami. A ty zdołałeś przedrzeć się do króla, by go ostrzec. Czy nie czujesz się dumny?

- Wydaje mi się, że jestem raczej trochę przerażony tym wszystkim - rzekł Kor.

- I będziesz mieszkał w Archenlandii - powiedziała Arawis nieco melancholijnie.

- Ach! Mało brakowało, a zapomniałbym, po co tu przybyłem. Ojciec pragnie, abyś z nami zamieszkała. Mówi, że brakuje mu damy na dworze (nie wiem, dlaczego to nazywają dworem), odkąd zmarła moja matka. Och, zgódź się, Arawis! Polubisz mojego ojca... i Korina. Nie są tacy jak ja, zostali właściwie wychowani. Nie musisz się obawiać, że...

- Och, przestań - przerwała mu Arawis - bo się naprawdę pobijemy. Oczywiście, że się zgadzam.

- No, to chodźmy zobaczyć się z końmi. Odbyło się wzruszające i radosne powitanie. Bri,

wciąż usposobiony bardzo potulnie, zgodził się, by od razu iść do Anwardu: on i Hwin wyruszą do Narnii... następnego dnia. Wszyscy czworo pożegnali się serdecznie z Pustelnikiem i obiecali, że wkrótce znowu go odwiedzą. Zanim nadeszło południe, byli już w drodze. Konie spodziewały się, że Arawis i Kor ich dosiądą, ale Kor wyjaśnił im, że z wyjątkiem wojny, kiedy każdy musi robić wszystko, co trzeba i co potrafi, nikomu w Narnii czy w Archenlandii nigdy nawet się nie śniło, by dosiąść mówiącego konia.

To przypomniało biednemu Briemu o tym, jak mało wie o narnijskich zwyczajach i jak okropne błędy może popełnić. Tak więc, gdy Hwin pogrążona była w szczęśliwych marzeniach, Bri robił się z każdym krokiem coraz bardziej nerwowy.

- Nie przejmuj się, Bri - powiedział Kor. - Mnie czekają o wiele gorsze rzeczy niż ciebie. Ty nie będziesz WYCHOWYWANY. Ja będę się uczył czytania, pisania, heraldyki, tańca, historii i muzyki, podczas gdy ty będziesz sobie galopował po wzgórzach Narnii i tarzał się w trawie, ile tylko dusza zapragnie.

- W tym właśnie rzecz - rzekł Bri. - Czy mówiące konie tarzają się? A jeśli nie? Tego bym nie zniósł. Co o tym myślisz, Hwin?

- W każdym razie ja mam zamiar się tarzać - odpowiedziała klacz. - Nie sądzę, żeby kogoś obchodziło, czy będziesz się *tarzać*, czy nie.

- Czy jesteśmy już blisko zamku? - zapytał Bri.

- Jeszcze jeden zakręt - odparł księżę.

- No, to zaraz się wytarzam. Może to ostatni raz. Zaczekajcie na mnie minutkę.

Minęło pięć minut, zanim podniósł się wreszcie, parszcząc głośno, cały oblepiony źdźbłami paproci.

- Teraz jestem gotowy - powiedział ponurym głosem. - Prowadź, księżę. Narnia i Północ.

Ale wyglądał bardziej jak koń idący na pogrzeb niż porwany za młodu i wracający po latach do domu i wolności.

ROZDZIAŁ 15

RABADASZ ŚMIESZNY

ZA NASTĘPNYM ZAKRĘTEM droga wyprowadziła ich z lasu i tam, za zielonymi łąkami, zobaczyli zamek Anward osłonięty przed północnym wiatrem wysoką, zalesioną granią. Był to bardzo stary zamek, zbudowany z czerwono-brązowego kamienia.

Zanim dotarli do bramy, wyszedł im na spotkanie król Luna. Wyglądał zupełnie inaczej, niż Arawis wyobrażała sobie króla. Ubrany był w najstarszy ze swoich starych strojów, bo właśnie robił obchód psiarni i zatrzymał się tylko na moment, aby umyć ręce. Za to ukłon, jakim przywitał Arawis, godny był cesarza.

- Młoda damo - rzekł - witamy cię serdecznie. Gdyby żyła moja ukochana żona, na pewno spotkałyby cię większe owacje i honory, ale i tak nie moglibyśmy tego zrobić z gorętszym sercem. Bardzo mi przykro, że spotkały cię takie niepowodzenia i że byłaś zmuszona do opuszczenia domu swego ojca, co na pewno nie jest miłe. Mój syn Kor opowiedział mi już o waszych przygodach i o twojej dzielności.

- To on sam tego wszystkiego dokonał - powiedziała Arawis. - Rzucił się na lwa, aby mnie ratować.

- Co takiego? - zdziwił się król, a twarz mu pojaśniała z dumy. - Nigdy nie słyszałem tej części waszej historii.

Więc Arawis opowiedziała ją. A Korowi, który bardzo chciał, aby wszyscy ją poznali (lecz czuł, że nie powinien jej sam opowiadać), nie podobała się tak, jak tego oczekiwał; prawdę mówiąc, było mu trochę głupio. Za to jego ojcu podobała się bardzo i w ciągu kilku następnych tygodni opowiedział ją tylu osobom, że Kor zaczął już pragnąć, aby nigdy się nie wydarzyła.

Potem król zwrócił się do Hwin i Briego i był wobec nich tak uprzejmy jak wobec Arawis, i zadał mnóstwo pytań dotyczących ich rodzin i miejsc, w których żyli, zanim zostali porwani. Konie były trochę skrupowane, bo jeszcze się nie przyzwyczyły do tego, że ludzie mogą z nimi rozmawiać jak z równymi (oczywiście dorośli ludzie, bo Arawis i Kor się nie liczyli).

Po jakimś czasie z zamku wyszła królowa Łucja, a król Luna powiedział do Arawis:

- Moja droga, oto jest umiłowana przyjaciółka naszego domu. Chciała osobiście dogłębnie, by twoje komnaty zostały przygotowane jak należy, a z pewnością uczyniła to lepiej, niż ja mógłbym to zrobić.

- Czy nie chciałabyś pójść ze mną i zobaczyć, jak to wygląda? - zapytała Łucja, całując Arawis. Polubiły się od razu i po chwili odeszły do zamku, aby pomówić o przygotowanym dla Arawis saloniku i o jej sypialni, i o strojach dla niej, i o wszystkich podobnych sprawach, o jakich zwykle rozmawiają dziewczęta w takich sytuacjach.

Po drugim śniadaniu zjedzonym na tarasie (były tam pieczone ptaki na zimno, pasztet myśliwski, wino, chleb i ser) król Luna zmarszczył brwi, westchnął ciężko i powiedział:

- Hej-ho! Moi przyjaciele, niestety mamy jeszcze jedną rzecz na głowie. Mamy tę żalostną kreaturę, Rabadasza. Trzeba się zastanowić, co z nim zrobić.

Łucja siedziała po prawej ręce króla, a Arawis po lewej. Król Edmund i baron Darin siedzieli naprzeciw siebie u dwu szczytów stołu, a Dar, Peridan, Kor i Korin po tej samej stronie co król Luna.

- Wasza królewska mość ma święte prawo ściąć mu głowę - rzekł Peridan. - Napaść, jakiej się dopuścił, stawia go w jednym rzędzie z mordercami.

- To bezsporna prawda - powiedział Edmund. - Ale nawet zdrajca może się poprawić. Znam jednego, któremu się to udało. - I zamyślił się głęboko.

- Zabijając tego Rabadasza, musielibyśmy się liczyć z wypowiedzeniem wojny przez Tisroka - zauważył Darin.

- Nic nam nie może zrobić - rzekł król. - Jego siła polega na liczebności armii, a liczna armia nigdy nie będzie w stanie przekroczyć pustyni. Ale nie mam serca do zabijania z zimną krwią (nawet zdrajców). Złamać mu kark w bitwie... o, to co innego, tu by się moje serce bynajmniej nie buntowało, ale to całkiem inna sprawa.

- Jeśli o mnie chodzi - powiedziała Łucja - to radziłabym waszej królewskiej mości dać mu jeszcze jedną szansę. Niech wraca do Kalormenu, jeśli tylko przyrzeknie, że już nigdy nie będzie próbował takich sztuczek w przyszłości. Może dotrzyma słowa.

- Może. Może małpy zaczną być uczciwe - powiedział Edmund. - Ale, na grzywę Lwa, jeśli złamie słowo, to z pewnością stanie się to w takim czasie i w takim miejscu, że każdy z nas będzie mógł rozplatać mu głowę w uczciwej, otwartej walce.

- Możemy spróbować - zdecydował król i od razu zwrócił się do jednego z usługujących im dworzan: - Poślij po więźnia, przyjacielu.

Przyprowadzono przed nich Rabadasza skutego w łańcuchy. Spojrzawszy na niego, można było pomyśleć, że spędził noc w jakiejś zatęchłej norze bez jedzenia i picia. W rzeczywistości był zamknięty w całkiem wygodnym pokoju, do którego

dostarczono mu wyśmienitą kolację. Był jednak zbyt rozwścieczony, by tknąć jadła, i całą noc spędził, tłukąc się po komnacie, rycząc ze złości i przeklinając. Nic więc dziwnego, że nie wyglądał najlepiej.

- Nie trzeba chyba wyjaśniać waszej książęcej mości - powiedział król Luna - że zarówno na mocy umów między państwami, jak i mając na uwadze roztropną politykę, mamy tak oczywiste prawo do twojej głowy, jak tylko śmiertelnik może mieć wobec innego śmiertelnika. Niemniej, biorąc pod uwagę twoją młodość i wychowanie w kraju niewolników i tyranów, w trakcie którego z pewnością nie wpojono ci dobrych manier i dworskich obyczajów, postanowiliśmy puścić cię wolno na następujących warunkach: po pierwsze...

- Idź do diabła, barbarzyński psie! - zaklął Rabadasz. - Nie zamierzam nawet wysłuchać twoich warunków. Tfu! Pleciesz coś górnolotnie o wychowaniu i nie wiem o czym jeszcze. To bardzo łatwe pouczać człowieka w łańcuchach, ha! Każ zdjąć ze mnie te plugawe więzy, daj mi miecz i dopiero wtedy niech któryś z was spróbuje ze mną rozmawiać!

Prawie wszyscy zerwali się ze swoich miejsc, a Korin zawołał:

- Ojczy! Czy mogę go TRZASNAĆ? Błagam!

- Spokój! Wasze wysokości! Moi panowie! -zagrzmiał król. - Czyżby brakowało nam powagi, by zwracać uwagę na błazeńskie wyczyny jakiegoś pajaca! Usiądź, Korinie, albo opuścisz komnatę. Zwracam się raz jeszcze do waszej książęcej mości: proszę wysłuchać naszych warunków.

- Nie słucham żadnych warunków stawianych przez barbarzyńców i czarnoksiężników - odpowiedział hardo Rabadasz. - Żaden z was nie ośmieli się tknąć choćby jednego włosa z mojej głowy. Każda zniewaga mojej osoby będzie kosztowała morze narnijskiej i archenlandzkiej krwi. Straszna będzie pomsta Tisroka, a już teraz na nią zasłużyliście. Ale spróbujcie mnie zabić, a opowieści o stosach i torturach w tych północnych krajach jeszcze za tysiąc lat będą budziły zgrozę na całym świecie. Strzeżcie się! Strzeżcie! Strzeżcie! Piorun Tasza spada z wysoka!

- A czy nigdy nie zawadził o hak w połowie drogi? - zapytał Korin.

- Wstydź się, Korinie - rzekł król. - Nigdy nie szydź z człowieka, chyba że jest od ciebie silniejszy. Wtedy - wolna droga!

- Och, ty głupi Rabadaszu... - westchnęła Łucja.

W następnej chwili Kor zdumiał się, nie wiedząc, dlaczego wszyscy nagle powstali i zamarli w głębokiej ciszy. Na wszelki wypadek zrobił to samo. I wtedy

zobaczył dlaczego. Aslan był pośród nich, choć nikt nie widział, kiedy wszedł. Rabadasz wzdrygnął się, gdy olbrzymie cielsko Lwa stanęło między nim a jego oskarżycielami.

- Rabadaszu - powiedział Aslan - bądź ostrożny. Twoja zguba jest blisko, ale wciąż jeszcze możesz jej uniknąć. Zapomnij o swojej dumie (z czego właściwie jesteś dumny?) i o swoim gniewie (kto cię skrzywdził?) i przyjmij łaskę tych szlachetnych królów.

Rabadasz wytrzeszczył oczy, wyszczerzył zęby w strasznym, złowrogim grymasie rekina i poruszył kilka razy uszami w górę i w dół (każdy może się tego nauczyć, jeśli tylko jest uparty). To zawsze odnosiło skutek w Kalormenie. Najdzielniejsi z dzielnych trzęśli się jak osiki, gdy zaczynał robić te miny, zwykli ludzie padali na ziemię, a bardziej wrażliwi często mdleli. Ale Rabadasz nie zdawał sobie sprawy, że bardzo łatwo było przestraszyć ludzi, którzy wiedzieli, że może kazać ich natychmiast ugotować żywcem. W Archenlandii jego grymasy nie robiły na nikim wrażenia. Tylko Łucja pomyślała, że zrobiło mu się po prostu niedobrze.

- Demon! Demon! Demon! - wrzasnął książę. - Wiem, kim jesteś. Jesteś tym odrażającym narnijskim diabłem. Jesteś wrogiem bogów. Dowiedz się, kim JA jestem, okropna zjawo. Jestem potomkiem Tasza... Tasza niezwykłego i nieubłaganego. Niech cię dosięgnie jego przekleństwo! Pioruny w postaci skorpionów spadną na ciebie jak deszcz. Góry Narnii zostaną zrównane z ziemią. Wszystkie...

- Miej się na baczności, Rabadaszu - powiedział spokojnie Aslan. - Twoja zguba jest coraz bliżej, już jest u drzwi, już naciska kłamkę.

- Niech niebo runie! - wrzeszczał Rabadasz. - Niech się ziemia rozstąpi! Niech krew i ogień pochłoną świat! Bądź jednak pewien, że nigdy, nigdy nie ustąpię, dopóki nie zaciągnę za włosy do mojego pałacu tej barbarzyńskiej królowej, tej córki psów, tej...

- Godzina wybiła - rzekł Aslan. I Rabadasz ku swojemu zdumieniu spostrzegł, że wszyscy zaczęli się śmiać.

Nie mogli się powstrzymać. Rabadasz poruszał przez cały czas uszami i gdy tylko Aslan powiedział „Godzina wybiła”, z jego uszami zaczęło się robić coś dziwnego. Wydłużyły się, aż urosły wysoko ponad głowę, a na dodatek pokryły się gęstym, szarym puszkim. I kiedy wszyscy zastanawiali się, gdzie już widzieli takie uszy, zaczęła się zmieniać również i twarz Rabadasza. Wydłużyła się, rozszerzyła u góry, oczy zrobiły się większe, nos zapadł się (albo raczej twarz stała się jednym

wielkim nosem), a wszystko pokryły szare włoski.

A potem zaczęły mu rosnać ręce, a kiedy oparły się o podłogę, dłonie zmieniły się w kopyta. Stał teraz na czterech nogach, ubranie gdzieś znikło i wszyscy śmiali się coraz głośniej i głośniej (nikt nie mógł się powstrzymać): nie ulegało wątpliwości, że to, co jeszcze przed chwilą było Rabadaszem, zamieniło się po prostu w osła. A okropne było również i to, że ludzką mowę pozostawiono mu nieco dłużej niż ludzkie kształty, kiedy więc pojął, w co go zamieniono, zaskomlał:

- Och, tylko nie osioł! Łaski! Choćby to był nawet koń... nawet koń... na-a-ae-e-k-o-o-o-u-u-i-uuuu! - Słowa utonęły w oślim ryku.

- A teraz posłuchaj mnie, Rabadaszu - powiedział Aslan. - Sprawiedliwość zostanie połączona z łaską. Nie będziesz osłem na zawsze.

Na te słowa osioł postawił uszy, a to także było śmieszne, więc wszyscy ryknęli jeszcze większym śmiechem, na próżno starając się powstrzymać.

- Wzywaleś Tasza - rzekł Aslan - i w świątyni Tasza zostaniesz uzdrowiony. Musisz stanąć przed ołtarzem Tasza w Taszbaanie podczas wielkiego Święta Jesieni tego roku i wówczas, wobec całego miasta, ośle kształty z ciebie opadną i wszyscy poznają w tobie księcia Rabadasza. Lecz dopóki będziesz żył, pamiętaj: gdy tylko oddalisz się więcej niż dwadzieścia mil od wielkiej świątyni w Taszbaanie, natychmiast zamienisz się z powrotem w osła. Lecz z tej drugiej zmiany nie będzie już więcej powrotu do ludzkich kształtów.

Zapanowała krótka cisza, a potem wszyscy otrząsnęli się i spojrzeli po sobie, jakby się obudzili ze snu. Aslan zniknął. Była jednak jakaś dziwna jasność w powietrzu i na trawie, a ich serca przepełniała taka radość, że wszyscy mieli pewność, że nie mógł to być sen. A zresztą - stał przed nimi osioł. Król Luna miał miękkie serce i widząc swego wroga w tak żalonym stanie, zapomniał o gniewie.

- Wasza książęca mość - powiedział - jest mi naprawdę bardzo przykro, że doszło do takiej ostateczności. Wasza Wysokość może zaświadczyć, że nikt z nas nie jest za to odpowiedzialny. Jest oczywiste, że będzie nam przyjemnie wyprawić waszą wysokość statkiem do Taszbaanu na... eee... kurację, którą Aslan zalecił. Stworzymy najlepsze warunki, na jakie pozwala sytuacja waszej wysokości: wybierzemy najlepszy statek do przewożenia bydła, postaramy się o świeżutkie marchewki i wyborny oset...

Ale ogłuszający ryk osła i dobrze wycelowane kopnięcia, jakim poczęstował jednego ze strażników, były oczywistym sygnałem, że uprzejme słowa króla nie zostały mile przyjęte.

I na tym zakończę już historię Rabadasza. We właściwym czasie odesłano go statkiem do Taszbaanu i zaprowadzono do świątyni Tasza podczas Święta Jesieni; w ten sposób stał się znowu człowiekiem. Widziało to cztery lub pięć tysięcy ludzi i owa przemiana, a także wszystkie okoliczności całej sprawy nie dały się wyciszyć. Kiedy po śmierci starego władcy Kalormenu Rabadasz został nowym Tisrokiem, stał się najbardziej pokojowym królem w dziejach Kalormenu. Przyczyna była dość prosta: nie ośmielając się oddalić od Taszbaanu dalej niż na dziesięć mil, nigdy nie mógł sam pójść na wojnę, a nie chciał, by Tarkaanowie zdobyli sławę jego kosztem, gdyż w ten właśnie sposób Tisrokowie już nieraz tracili tron. Tak czy owak, choć powodem było jego samolubstwo i żądza władzy, odtąd wszystkie mniejsze kraje wokół Kalormenu odetchnęły i rozwijały się w spokoju. Podczas jego panowania nazywano go oficjalnie Rabadaszem Spokojnym, ale po jego śmierci - a i przedtem za jego plecami - nazywano go Rabadaszem Śmiesznym i jeśli chcecie go znaleźć w jakiejś dobrej historii Kalormenu, musicie go szukać pod tym ostatnim przydomkiem. I po dziś dzień, kiedy w kalormeńskiej szkole ktoś zrobi coś wyjątkowo głupiego, przezywany jest „drugim Rabadaszem”.

Tymczasem w Anwardzie wszyscy byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy, zwłaszcza że tego wieczoru na łące przed zamkiem odbyła się wielka uczta z okazji zwycięstwa. Zapalono mnóstwo lampionów i ognisko, wino płynęło z beczek strumieniami, snuto przedziwne opowieści, strzelano dowcipami, aż w końcu zapadła cisza i na środek kręgu wyszedł królewski poeta z dwoma skrzypkami. Arawis i Kor westchnęli, oczekując okropnych nudów, bo jedyną poezją, jaką dotąd znali, były poematy kalormeńskie, a teraz już sami możecie je sobie wyobrazić. Ale gdy tylko rozległy się pierwsze dźwięki skrzypiec, poczuli, jakby ognie sztuczne wybuchły w ich głowach, a poeta zaśpiewał starą pieśń o Pięknym Olwinie: o tym, jak zwyciężył olbrzyma Pira i przemienił go w kamień (skąd właśnie wzięła się góra Pir - olbrzym miał dwie głowy), a potem zdobył rękę pani Liln. A kiedy pieśń się skończyła, pragnęli, by zaczęła się raz jeszcze. I chociaż Bri nie potrafił śpiewać, opowiedział za to o bitwie pod Zalindrehem. A Łucja opowiedziała jeszcze raz o starej szafie i o tym, jak ona, król Edmund, królowa Zuzanna i Wielki Król Piotr po raz pierwszy przybyli do Narnii. Wszyscy, oprócz Arawis i Kora, słyszeli już tę opowieść wiele razy, ale zawsze chcieli wysłuchać jej raz jeszcze.

Aż nadszedł czas, a przecież musiał on nadejść wcześniej czy później, kiedy król Luna oznajmił, że o tej porze młodzi ludzie powinni już leżeć w łóżkach.

- A jutro, Korze - dodał - oprowadzę cię po całym zamku, pokażę wszystkie umocnienia, wszystkie jego mocne i słabe miejsca, bo tobie przypadnie czuwać nad wszystkim, gdy mnie zabraknie.

- Ale przecież to Korin będzie wówczas królem, ojciec - rzekł Kor.

- Nie, młodzieńcze - powiedział król Luna. - Ty jesteś moim dziedzicem. Korona przypadnie tobie.

- Ale ja nie chcę... Wolałbym raczej...

- Nie jest ważne, czy tego chcesz, czy nie. Takie jest prawo.

- Ale przecież jako bliźniacy jesteśmy w tym samym wieku!

- Nie! - odparł król ze śmiechem. - Ktoś musi zawsze przyjść pierwszy na świat. Jesteś starszy od Korina o całe dwadzieścia minut. No, mam nadzieję, że jesteś od niego mądrzejszy, a nie jest to w końcu takie trudne. - I spojrzał na Korina z błyskiem w oczach.

- Ależ ojciec, czy nie możesz uczynić swym następcą tego, kogo zechcesz?

- Nie. Król podlega prawu, bo to prawo czyni go królem. Tak jak wartownikowi nie wolno opuścić wyznaczonego mu posterunku, tak i ty nie możesz wyrzec się korony.

- Och, Korinie - zwrócił się Kor do swego brata - naprawdę wcale tego nie chcę. I posłuchaj... jest mi naprawdę strasznie przykro. Nigdy nawet mi się nie śniło, że moim przeznaczeniem będzie odebranie ci królestwa.

- Hurra! Hurra! - zawołał Korin. - Nie będę musiał być królem! Nie będę musiał być królem! Zawsze będę księciem! Książę zawsze ma najlepiej.

- I jest to prawdziwsze, niż twemu bratu się wydaje, Korze - powiedział król Luna. - Bo oto, co znaczy być królem: trzeba być pierwszym w każdym rozpaczliwym ataku i ostatnim w każdym rozpaczliwym odwrocie; a kiedy w kraju nastanie głód (jak to się raz po raz zdarza w złych latach), trzeba nosić piękniejsze stroje i śmiać się głośniej, ale jeść mniej niż jakikolwiek z twoich poddanych.

Kiedy obaj chłopcy poszli na górę do sypialni, Kor jeszcze raz zapytał Korina, czy nie można na to nic poradzić. A Korin powiedział:

- Jeżeli jeszcze raz o tym wspomnisz, to... to znajdziesz się na podłodze.

Byłoby miło zakończyć tę opowieść, mówiąc, że od tego czasu dwaj bracia nigdy już o nic się nie spierali, ale obawiam się, że nie byłoby to zgodne z prawdą. W rzeczywistości kłócili się i bili ze sobą tak często, jak wszyscy inni bracia w ich wieku, a większość tych bójek kończyła się (jeśli nie zaczynała) tym, że Kor leżał na ziemi. Bo

choć później, kiedy obaj dorośli i zostali pasowani na rycerzy, Kor stał się najgroźniejszym przeciwnikiem w bitwie, to ani on, ani nikt inny w Północnych Krajach nie mógł się równać z Korinem w walce na pięści. Dlatego właśnie zdobył przydomek „Korin Piorunoręki”, zwłaszcza gdy udało mu się poskromić niedźwiedzia Odstępcę z Burzystego Wierchu, który był mówiącym niedźwiedziem, ale z nieznanых powodów powrócił do zwyczajów dzikich, niemych niedźwiedzi. Pewnego zimowego dnia, kiedy śnieg leżał już na stokach gór, Korin wspinał się do jego legowiska na narnijskim zboczu Burzystego i walczył z nim na pięści przez trzydzieści trzy rundy bez gongu i bez mierzenia czasu. W końcu niedźwiedź poddał się, bo przestał już cokolwiek widzieć, i zgodził się naprawić swój spaczony charakter. Arawis też dość często kłóciła się (i chyba nawet biła) z Korem, ale zawsze w końcu się godzili, tak że po latach, kiedy oboje dorośli, tak byli przyzwyczajeni do swoich sprzeczek i pogodzeń, że wzięli ślub, aby było wygodniej. Po śmierci króla Luny Kor został królem, a Arawis królową Archenlandii. Wszyscy poddani darzyli ich szacunkiem i miłością. Ich syn, Ram Wielki, był najśłynniejszym ze wszystkich królów Archenlandii. Bri i Hwin dożyli szczęśliwie długich lat w Narnii, każde znalazło sobie towarzysza życia. I nie było wiele takich miesięcy, w których jedno lub drugie, albo oboje razem, nie przebiegaliby truchtem przez przełęcz, aby odwiedzić swych przyjaciół w Anwardzie.

SPIS ROZDZIAŁÓW

<u>Rozdział 1</u>	<u>JAK SZASTA WYRUSZYŁ W PODRÓŻ.....</u>
<u>Rozdział 2</u>	<u>PRZYGODA W DRODZE.....</u>
<u>Rozdział 3</u>	<u>U BRAM TASZBAANU.....</u>
<u>Rozdział 4</u>	<u>SZASTA SPOTYKA NARNIJCZYKÓW.....</u>
<u>Rozdział 5</u>	<u>KSIĄŻĘ KORIN.....</u>
<u>Rozdział 6</u>	<u>SZASTA WSROD GROBOWCÓW.....</u>
<u>Rozdział 7</u>	<u>KSIEŻNICZKA ARAWIS W TASZBAANIE.....</u>
<u>Rozdział 8</u>	<u>TAJNA NARADA.....</u>
<u>Rozdział 9</u>	<u>PRZEZ PUSTYNIĘ.....</u>
<u>Rozdział 10</u>	<u>PUSTELNIK POŁUDNIOWYCH KRESÓW.....</u>
<u>Rozdział 11</u>	<u>NIEPROSZONY TOWARZYSZ WĘDRÓWKI.....</u>
<u>Rozdział 12</u>	<u>SZASTA W NARNII.....</u>
<u>Rozdział 13</u>	<u>OBŁĘŻENIE ANWARDU.....</u>
<u>Rozdział 14</u>	<u>JAK BRI STAŁ SIĘ MĄDRZEJSZYM KONIEM.....</u>
ROZDZIAŁ 15	RABADASZ ŚMIESZNY.....

C.S. LEWIS

SIOSTRZENIEC CZARODZIEJA

Przełożył Andrzej Polkowski

RODZINIE KILMERÓW

ROZDZIAŁ 1

ZŁE DRZWI

TO, O CZYM WAM OPOWIEM W TEJ KSIĄŻCE, zdarzyło się dawno temu, kiedy wasz dziadek był jeszcze dzieckiem. Jest to bardzo ważna historia, ponieważ znajdziecie tu wyjaśnienie, w jaki sposób zaczęły się wszystkie przejścia z naszego świata do Narnii.

W owym czasie Sherlock Holmes mieszkał wciąż na Baker Street, a Bastable'owie poszukiwali skarbu na Lewisham Road. Każdy chłopiec musiał codziennie nosić sztywny kołnierzyk (jak do dziś w Eton), a uczył się w szkole przeważnie jeszcze bardziej nieznośnej niż dzisiaj. Za to jedzenie było lepsze, a co do słodczy, to nie będę wam opowiadał, jak mało kosztowały i jak smakowały, żeby wam ślina na próżno nie napływała do ust. W tych to czasach żyła sobie w Londynie dziewczynka, która się nazywała Pola Plummer.

Mieszkała w jednym z owych połączonych ze sobą domów, które ciągnęły się długim rzędem wzdłuż całej ulicy. Pewnego ranka bawiła się w ogrodzie na tyłach swojego domu, gdy znad muru sąsiedniego ogrodu wyjrzała twarz jakiegoś chłopca. Zaskoczyło to Polę, bo w tamtym domu nigdy nie było dzieci; mieszkał w nim tylko pan Ketterley, stary kawaler, ze swoją siostrą, starą panną. Patrzyła więc ze zdumieniem na twarz chłopca, która w dodatku była niezwykle brudna, tak brudna, że nie byłaby wcale brudniejsza, gdyby ów chłopiec umazał sobie ręce w ziemi, potem się rozplakał, a potem długo wycierał łzy rękami. Prawdę mówiąc, to właśnie przed chwilą robił.

- Cześć! - powiedziała Pola.

- Cześć! - odpowiedział chłopiec. - Jak masz na imię?

- Pola. A ty?

- Digory - odrzekł chłopiec.

- Ojej! Jakie śmieszne imię! - zawołała Pola. - Twoje jest jeszcze bardziej śmieszne.

- O, na pewno nie! - zaperzyła się Pola. - A właśnie że tak - upierał się Digory.

- W każdym razie JA na pewno MYJĘ twarz - powiedziała Pola. - Bardzo by ci się to przydało, zwłaszcza że... - i urwała. Chciała powiedzieć „że na pewno przedtem ryczałeś”, ale w porę pomyślała, że nie byłoby to ładnie z jej strony.

- No dobra, więc płakałem - powiedział Digory podniesionym głosem jak ktoś

tak nieszczęśliwy, że jest mu już wszystko jedno. - Mogę się założyć, że ty byś też ryczała, gdybyś mieszkała na wsi, miała kucyka i ogród nad rzeką i gdyby ci potem kazano żyć w takiej ohydnej dziurze...

- Londyn nie jest żadną dziurą - oburzyła się Pola. Ale chłopiec, zbyt przejęty swoimi nieszczęściami, nie zwrócił na to uwagi i ciągnął dalej:

- ...i gdyby twój ojciec był daleko, w Indiach... i gdybyś musiała mieszkać z ciotką i wujem, który jest stuknięty... a wszystko dlatego, że twoja matka wymaga stałej opieki, bo jest chora i chyba... chyba umrze... - Wyrzucił to z siebie i wykrzywił się jak ktoś, kto próbuje powstrzymać łzy.

- Przepraszam cię, nie wiedziałam. Okropnie mi przykro - powiedziała cicho Pola. A ponieważ zapadło milczenie i nie wiedziała, co powiedzieć, a także by zwrócić uwagę Digory'ego na coś mniej ponurego, zapytała: - Czy pan Ketterley naprawdę zwariował?

- Albo zwariował, albo jest w tym wszystkim jakaś tajemnica. Na najwyższym piętrze ma swój gabinet i ciotka Letycja wciąż mi przypomina, żebym się nie ważył tam chodzić. Już to wydaje się trochę podejrzane, no nie? Ale na tym nie koniec. Gdy tylko wuj próbuje coś do mnie powiedzieć przy stole - nigdy nawet nie próbuje odezwać się do NIEJ - ona zawsze go ucisza. „Nie zwracaj chłopcu głowy, Andrzej”, mówi, albo: „Jestem pewna, że Digory wcale nie ma ochoty TEGO słuchać”, albo: „Digory, może byś tak wyszedł i pobawił się w ogrodzie?”

- Ale o czym właściwie chce ci powiedzieć?

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie zdąży powiedzieć tyle, żebym się zorientował, o co mu chodzi. Ale jest jeszcze coś. Pewnej nocy, a prawdę mówiąc, zeszłej nocy, szedłem do swojej sypialni i właśnie mijalem schody na poddasze, gdy usłyszałem stamtąd jakieś wycie. Jestem tego pewny.

- Może on tam trzyma pod kluczem swoją żonę, która też jest szalona?

- No właśnie, też o tym pomyślałem.

- Albo może fałszuje pieniądze?

- Albo może był kiedyś piratem, jak ten tajemniczy gość z początku *Wyspy Skarbów*, i ukrywa się przed swoimi kompanami...

- No wiesz, to okropnie ciekawe! - zawołała Pola. - Nie wiedziałam, że twój dom jest tak ciekawym miejscem.

- Możesz uważać, że to ciekawe, ale nie bardzo by ci się podobało, gdybyś musiała tam sypiać. Na przykład budzisz się w nocy i słyszysz kroki wuja Andrzeja,

skradającego się korytarzem do twojej sypialni. Niezbyt przyjemne, prawda? On ma takie straszne oczy.

W ten właśnie sposób Pola i Digory poznali się i zaprzyjaźnili, a ponieważ letnie wakacje akurat się zaczynały i żadne z nich nie wyjeżdżało w tym roku nad morze, spotykali się odtąd prawie codziennie.

Początek ich wspólnych przygód wiąże się ściśle z tym, że to lato było jednym z najbardziej mokrych i chłodnych, jakie pamiętali. Taka pogoda zmusza do siedzenia w domu, a siedzenie w domu sprzyja odkrywaniu i poznawaniu jego zakamarków. Ileż odkryć można zrobić, wędrując z kawałkiem świecy po wielkim, starym domu, a właściwie - po domach. Pola odkryła bowiem już wcześniej w klatce schodowej na strychu swego domu małe drzwi, za nimi zbiornik na wodę, a za nim ciemne miejsce, do którego można było się wcisnąć. To ciemne miejsce przypominało długi tunel z prostopadłą, ceglana ścianą po jednej stronie i ukośnie opadającym dachem domu po drugiej. Między dachówkami były od czasu do czasu szczeliny, przez które sączyło się dzienne światło. Tunel nie miał podłogi z desek; chodziło się po drewnianych krokwiach, rozdzielonych tylko cienką warstwą tynku. Gdyby się na niej przypadkiem stało, można by wpaść przez sufit do pokoju położonego niżej. Na początku tunelu, tuż za zbiornikiem, Pola urządziła sobie Jaskinię Przemysłników. Z kawałków starych skrzyń i połamanych kuchennych taboretów zrobiła coś w rodzaju podłogi. Trzymała tutaj żelazną kasetkę z różnymi skarbami i powieść, którą pisała, miała tam też zwykle kilka jabłek. Było to wymarzone miejsce, by w spokoju wypić sobie butelkę imbirowego piwa. Puste butelki jeszcze bardziej upodabniały je do prawdziwej jaskini przemysłników.

Digory'emu Jaskinia bardzo się podobała. Pola nie pokazała mu swojej powieści, ale chłopca i tak bardziej zainteresowały dalsze odkrycia.

- Słuchaj, Polu, jak daleko biegnie ten tunel? Chodzi mi o to, czy kończy się tam, gdzie twój dom?

- Nie. Ta ściana nie wychodzi na dach. Ciągnie się dalej. Nie mam pojęcia dokąd.

- A więc może się ciągnąć przez cały rząd domów.

- Na pewno. Ale... słuchaj, Digory, coś mi wpadło do głowy.

- Co?

- Przecież w ten sposób możemy dostać się do innych domów!

- Tak, żeby nas złapali i wzięli za złodziei. Dziękuję, to nie dla mnie.

- Nie bądź taki przemądrzały. Myślałam o tym domu za waszym.

- No i co myślałaś?

- Och, głupiś, przecież to pusty dom. Tata mówi, że zawsze stał pusty, odkąd tu mieszkamy.

- Chyba powinniśmy go zwiedzić - rzekł Digory. Był o wiele bardziej podniecony, niż na to wskazywał ton jego głosu. Bo oczywiście myślał - tak jak i wy byście pomyśleli - o wszystkich możliwych przyczynach, dla których dom mógł stać pusty przez tak długi czas. O tym samym myślała Pola. Żadne z nich nie wypowiedziało słowa „duchy”. Oboje jednak czuli, że jeśli już się raz coś zaproponowało, to byłoby głupio tego nie zrobić.

- No to co, idziemy tam zaraz? - zapytał Digory.

- Dobrze - zgodziła się Pola.

- Nie musisz, jeśli nie masz ochoty - dodał Digory.

- Jeśli ty się nie boisz, to i ja nie.

- Musimy tylko się zastanowić, po czym poznamy, że jesteśmy już w tamtym domu.

Postanowili wyjść na klatkę schodową poddasza i zmierzyć ją krokami tak długimi, jak odległość między jedną krokwią a drugą. To dałoby im pojęcie, ile krokwi przypada na jedno pomieszczenie poddasza. Do tego trzeba dodać ze cztery krokwie na korytarz między dwoma poddaszami w domu Poli i tę samą liczbę na drugie pomieszczenie, w którym była sypialnia służącej. W ten sposób mieliby długość całego domu. Podwojenie tej odległości doprowadzi ich do końca domu Digory'ego. Jeśli będą tam jakieś drzwi, to znaczy, że prowadzą na poddasze pustego domu.

- Chociaż wcale nie byłbym taki pewien, że jest naprawdę pusty - powiedział Digory.

- Dlaczego?

- Założę się, że ktoś tam potajemnie mieszka, ktoś, kto wychodzi tylko w nocy, z latarnią. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy odkryli bandę gotowych na wszystko złoczyńców i dostali za to nagrodę. Przecież to niemożliwe, by dom stał pusty przez te wszystkie lata i żeby nie było w tym jakiejś tajemnicy.

- Ojciec mówił, że tam nawala kanalizacja - powiedziała Pola.

- Aha! Dorośli zawsze wyjaśniają wszystkie zagadki w bardzo nudny sposób.

Rozmawiali teraz w świetle dziennym, wpadającym przez okienko w klatce schodowej poddasza, a nie przy świetle migocącej świecy w Jaskini Przemytników,

więc wydawało im się o wiele mniej prawdopodobne, by w pustym domu straszło.

Kiedy wymierzili klatkę poddasza, musieli wziąć ołówek i dokonać obliczeń. Liczyli kilka razy, bo wyniki z początku wychodziły różne, a kiedy się wreszcie zgodziły, nie mieli wcale pewności, że uzyskali właściwą odległość. Spieszno im było rozpocząć odkrywczą wyprawę.

- Musimy być cicho - powiedziała Pola, gdy wcisnęli się w czarną dziurę za zbiornikiem na wodę. W Jaskini miała spory zapas świec, więc uznali, że podczas tak ważnej wyprawy każde powinno mieć swoją.

Tunel był ciemny i pełen kurzu unoszonego raz po raz powiewami przeciągu. Stąpali ostrożnie po krokwiach, odzywając się do siebie szeptem tylko wtedy, gdy któreś zauważało: „Jesteśmy teraz naprzeciw WASZEGO poddasza” albo: „Musimy być w połowie NASZEGO domu”. Płomyki świec migotały, ale nie zgasły ani razu; udało im się więc przejść sporą odległość bez potknięcia. W końcu doszli do niewielkich drzwi w ceglanej ścianie po prawej stronie. W drzwiach nie było, oczywiście, żadnej klamki, bo zostały zrobione po to, aby przez nie wchodzić do tunelu, a nie wychodzić. Na zewnątrz wystawał jednak język zasuwki (jakie bywają od wewnątrz w drzwiach starych szaf), którą na pewno dałoby się otworzyć, gdyby się bardzo chciało.

- Mam otworzyć? - zapytał Digory.

- Jeśli ty się nie boisz, to i ja nie - odpowiedziała Pola, używając tych samych słów co poprzednio. Oboje czuli, że sytuacja staje się coraz bardziej poważna, ale żadne nie miało zamiaru się wycofać. Digory przesunął z pewnym trudem język zasuwki. Drzwi się otworzyły i oślepił ich blask dziennego światła. Ku ich zaskoczeniu pomieszczenie, na które patrzyli, nie było wcale opuszczonym poddaszem, lecz umeblowanym pokojem. Na szczęście nikogo w nim nie było. Panowała głęboka cisza. Ciekawość Poli wzięła górę nad strachem. Zdmuchnęła świecę i weszła na palcach do dziwnego pokoju.

Wnętrze miało kształt poddasza (z pochyłym sufitem i nierównymi ścianami). Zawalone książkami półki zajmowały całe ściany. Na kominku płonął ogień (jak pamiętacie, było to bardzo deszczowe i chłodne lato), a przed kominkiem stał wysoki fotel zwrócony do Poli tyłem. Między fotelem a nią stał wielki stół, zajmujący cały środek pokoju, a na nim mnóstwo najróżniejszych przedmiotów: stopy zwykłych, drukowanych książek, grube księgi do pisania w twardych oprawkach, kałamarze, pióra, kawałki wosku do pieczętowania, a nawet mikroskop. Ale uwagę Poli zwróciła

przede wszystkim drewniana, jasnoczerwona tacka, na której leżało kilka błyszczących obrączek. Leżały parami: żółta i zielona razem, potem wolna przestrzeń i znowu obrączka żółta i zielona. Miały rozmiar zwykłych obrączek, ale tak błyszczały, że od razu przyciągały wzrok. Były to najcudowniejsze błyszczące małe rzeczy, jakie można sobie wyobrazić. Gdyby Pola miała o kilka lat mniej, na pewno z chęcią wsadziłaby sobie jedną do ust.

W pokoju panowała taka cisza, że Pola od samego początku słyszała tykanie zegara. A jednak, gdy stała chwilę nieruchomo, odkryła, że cisza nie jest całkowita, usłyszała słaby - bardzo, bardzo słaby - dźwięk przypominający buczenie. Gdyby w tych czasach wynaleziono już odkurzacze, Pola pomyślałaby, że gdzieś daleko pracuje odkurzacz, gdzieś bardzo daleko, kilka pięter niżej. Prawdę mówiąc, ten dźwięk był nieco przyjemniejszy niż buczenie odkurzacza - bardziej melodyjny - lecz tak słaby, że ledwo się go słyszało.

- W porządku, nikogo tu nie ma - powiedziała przez ramię do Digory'ego. Chłopiec wszedł do środka i stanął obok niej, mrugając oczami. Był okropnie brudny. Zresztą Pola nie wyglądała teraz wcale lepiej.

- To mi się nie podoba - powiedział. - To wcale nie jest ten pusty dom. Lepiej zwiewajmy, zanim ktoś przyjdzie.

- Co to może być? - zapytała Pola, wskazując na kolorowe obrączki.

- Och, daj spokój! Im wcześniej...

Ale nie wypowiedział swej myśli do końca, bo naraz coś się wydarzyło. Stojący przed kominkiem fotel z wysokim oparciem nagle się poruszył i powstał z niego - jak w pantomimie demon z dziury w podłodze sceny - przerażający kształt dorosłego mężczyzny. Był to wuj Andrzej we własnej osobie. Digory miał rację: nie znajdowali się wcale w opuszczonym domu, lecz w jego domu, w zakazanym gabinecie wuja! Dzieci krzyknęły „O-o-och!” i zrozumiały straszną pomyłkę. Dopiero teraz do nich dotarło, że nie przeszły jeszcze obliczonej liczby kroków.

Wuj Andrzej był bardzo wysoki i bardzo chudy. Miał gładko ogoloną twarz z ostro zakończonym nosem i jasnymi, błyszczącymi oczami. Na głowie kłębiła mu się wielka czupryna siwych włosów.

Digory zaniemówił, bo wuj Andrzej wyglądał tysiąc razy bardziej niepokojąco niż kiedykolwiek przedtem. Pola nie była jeszcze tak przestraszona, ale trwało to krótko. Bo oto wuj Andrzej bez wahania podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku. Potem odwrócił się i popatrzył na dzieci płonącymi niezdrowo oczami, i

uśmiechnął się, pokazując wszystkie zęby.

- Wspaniale! - powiedział. - Wreszcie moja głupia siostra nie będzie nam mogła przeszkadzać!

Takiego zachowania trudno się było spodziewać po dorosłym. Pola poczuła, że serce podchodzi jej do gardła, i razem z Digorym zaczęła się powoli cofać ku małym drzwiom, przez które tutaj weszli. Ale wuj Andrzej był szybszy. Pobiegł do drzwiczek, zamknął je i stanął przed nimi, zacierając ręce, a potem wyciągał sobie każdy palec z głośnym trzaskiem. A miał bardzo długie i bardzo białe palce.

- Jestem zachwycony, widząc was tutaj - powiedział. - Dwoje dzieci? To jest właśnie to, czego mi brakowało.

- Niech pan będzie tak dobry i wypuści nas, panie Ketterley - odezwała się Pola.
- Zbliża się pora obiadu i muszę wrócić do domu.

- Jeszcze nie teraz, moja droga - odpowiedział wuj Andrzej. - To za wielka okazja, by z niej nie skorzystać. Potrzebnych mi było dwoje dzieci. Przeprowadzam właśnie niezwykle doniosły eksperyment. Próbowałem już na śwince morskiej i wszystko wskazuje, że to działa. Ale świnka morska nie potrafi mówić. Nie można też jej wytłumaczyć, jak się stamtąd wraca.

- Posłuchaj, wuju - rzekł Digory - naprawdę jest pora obiadu i będą nas za chwilę szukać. Musisz nas wypuścić.

- Muszę? - zapytał wuj Andrzej.

Digory i Pola popatrzyli na siebie. Bali się odezwać, ale ich spojrzenia wyrażały: „Czy to nie okropne?” i „Musimy go jakoś udobruchać”.

- Jeżeli pan nas teraz wypuści - powiedziała wreszcie Pola - to możemy wrócić po obiedzie.

- Tak? A skąd mogę mieć pewność, że wróćcie? - spytał wuj Andrzej z chytrym uśmiechem. Ale po chwili jakby zmienił zdanie. - No cóż, skoro naprawdę musicie iść, to chyba nie będę was zatrzymywał. Trudno oczekiwać, by takim młodym ludziom jak wy sprawiała przyjemność rozmowa z takim starym niedołęgą jak ja. - Westchnął i ciągnął dalej: - Nie macie pojęcia, jak bardzo czuję się czasami samotny. Ale nie ma o czym mówić. Idźcie na obiad. Chciałbym wam tylko coś dać, zanim pójdziecie. Nie co dzień zdarza mi się widzieć dziewczynki w tej mojej zatęchłej dziurze, a zwłaszcza, jeśli wolno mi tak powiedzieć, takie urocze młode damy jak ty.

Pola pomyślała, że może wuj Andrzej nie jest tak zwariowany, jak im się wydawało.

- Czy chciałabyś mieć pierścionek, moja kochana? - zapytał wuj.

- Ma pan na myśli jeden z tych żółtych lub zielonych? Są cudowne!

- Nie, zielonego ci dać nie mogę. Ale będę zachwycony, jeśli przyjmiesz żółty.

Ze szczerego serca. Możesz sobie jeden przymierzyć.

Pola przestała się już zupełnie bać i nabrała pewności, że ten miły starszy pan wcale nie jest szaleńcem, zresztą w błyszczących obrączkach było coś naprawdę dziwnie pociągającego. Podskoczyła do stołu i nachyliła się nad tacką.

- Ojej! - zawołała. - To dziwne buczenie jest tutaj głośniejsze! Zupełnie jakby się wydobywało z tych obrączek.

- Cóż za zabawny pomysł! - zaśmiał się wuj Andrzej. Zabrzmiało to bardzo naturalnie, ale Digory zdążył dostrzec niecierpliwy, pożądlivy wyraz jego twarzy.

- Pola! Nie bądź głupia! - zawołał. - Nie dotykaj tego!

Ale było już za późno. Zanim skończył, ręka Poli sięgnęła do tacki, by dotknąć jednej z obrączek. I w tej samej chwili, bez żadnego błysku, hałasu lub jakiegokolwiek innego ostrzeżenia, Pola znikła. Digory i jego wuj byli sami w pokoju.

ROZDZIAŁ 2

DIGORY I JEGO WUJ

BYŁO TO TAK NIESPODZIEWANE i tak straszliwie niepodobne do niczego - nawet do najbardziej koszmarnych snów - że Digory nie mógł się powstrzymać od wrzaśnięcia. Ale był to krótki wrzask, bo ręka wuja Andrzeja błyskawicznie zatkała mu usta.

- Tylko nie krzycz! - syknął chłopcu do ucha. - Jeżeli narobisz hałasu, usłyszysz to twoja matka. A chyba wiesz, co może się stać, gdy się przestraszy.

Digory później mówił, że okropna podłość takiego postępowania przyprawiała go o mdłości. Ale, rzecz jasna, nie próbował już wrzasnąć po raz drugi.

- No, już lepiej - powiedział wuj Andrzej. - Zapewne nie mogłeś się powstrzymać. To naprawdę wielki wstrząs, kiedy się po raz pierwszy widzi, jak ktoś znika. Nawet ja poczułem się dziwnie, kiedy znikła moja świnka morska.

- I też wtedy wrzasnąłeś, prawda? - zapytał Digory.

- Och, słyszałeś to! Mam nadzieję, że mnie nie szpiegowaleś.

- Nie, ja nikogo nie szpieguję - oburzył się Digory. - Ale co się stało z Połą?

- Możesz mi pogratulować, chłopcze - odrzekł wuj Andrzej, zacierając ręce. - Mój eksperyment się powiódł. Ta mała odeszła... znikła... z tego świata.

- Co jej zrobiłeś?

- Posłałem ją do... hm... do innego miejsca.

- Co takiego?! Co masz na myśli? Wuj Andrzej usiadł i powiedział:

- No dobrze, zaraz ci wszystko wyjaśnię. Czy słyszałeś kiedyś o starej pani Lefay?

- Masz na myśli tę cioteczną babkę?

- Niezupełnie. Pani Lefay była moją matką chrzestną. To ta, na tej ścianie.

Digory spojrzał i zobaczył wyblakłą fotografię starej kobiety w czepku. Przypomniał sobie, że już kiedyś widział tę twarz w starym albumie, w rodzinnym domu na wsi. Zapytał wówczas matkę, kto to jest, ale ona nie chciała jakoś rozmawiać na ten temat. Digory pomyślał, że nie jest to wcale przyjemna twarz, wiedział jednak, iż dawne fotografie nie zawsze oddawały wiernie czyjeś rysy.

- Czy coś... czy czasem... z nią było coś nie w porządku, wuju?

- No cóż... - wuj Andrzej zachichotał - to *zależy* od tego, co się rozumie przez wyrażenie NIE W PORZĄDKU. Ludzie mają tak ciasne pojęcia. Z pewnością, gdy była stara, zachowywała się bardzo dziwnie. Robiła różne niemądre rzeczy. Dlatego

musiano ją zamknąć.

- W takim specjalnym domu?

- Och, nie, nie - odpowiedział wuj Andrzej szybko. - To całkiem inna sprawa.

Zamknięto ją w więzieniu.

- Ach, tak! - zawołał Digory. - A co takiego zrobiła?

- Ach, biedna kobieta! Była naprawdę niemądra. Chodziło o wiele różnych rzeczy. Ale nie musimy się w to zagłębiać. W każdym razie dla mnie była zawsze dobra.

- Ale, wuju, co to wszystko ma wspólnego z Połą? Naprawdę, chciałbym, żebyś...

- Wszystko w swoim czasie, mój chłopcze - przerwał wuj. - W każdym razie przed śmiercią wypuszczono panią Lefay na wolność, a ja byłem jednym z niewielu ludzi, z którymi chciała się widywać w ciągu swojej ostatniej choroby. Widzisz, ona nie lubiła zwykłych, ciemnych ludzi. Nietrudno mi to zrozumieć. Jeśli chodzi o mnie, to interesowałem się tymi samymi sprawami co ona. Na kilka dni przed śmiercią kazała mi podejść do takiego starego sekretarzyka, otworzyć tajemną szufladę i przynieść sobie małą kasetkę. Gdy tylko wziąłem kasetkę, poczułem w palcach dziwne, bolesne mrowienie; nie ulegało wątpliwości, że mam w rękach jakąś wielką tajemnicę. A ona kazała mi przysiąc, że gdy tylko umrze, spalę tę kasetkę z pewnymi ceremoniami, nie zaglądając do środka. Złożyłem przysięgę, ale jej nie dotrzymałem.

- No wiesz, wuju, postąpiłeś bardzo paskudnie - powiedział Digory.

- Paskudnie? - zdziwił się wuj Andrzej. - Ach, rozumiem, o co chodzi. Uważasz, że mali chłopcy powinni dotrzymywać przyrzeczeń. Święta racja, nie ulega wątpliwości, że tak właśnie powinno być i cieszę się, że tego cię nauczono. Ale musisz zrozumieć, że tego rodzaju zasady, choć są naprawdę najbardziej właściwe i słuszne dla małych chłopców... i służby... i kobiet... a nawet dla wszystkich ludzi w ogólności... przestają obowiązywać, gdy chodzi o prawdziwych uczonych, wielkich myślicieli i mędrców. Nie, mój chłopcze. Ludzie tacy jak ja, którzy posiadli tajemną wiedzę, nie podlegają tym pospolitym zasadom, podobnie jak nie korzystają z pospolitych przyjemności. Przeznaczeniem nas, wielkich samotników, są o wiele wyższe sprawy.

Gdy to powiedział, westchnął głęboko, a minę miał tak poważną, szlachetną i tajemniczą, że Digory przez chwilę myślał, iż usłyszał coś naprawdę wzniosłego. Ale zaraz przypomniał sobie zły wyraz jego twarzy w chwilę przed zniknięciem Poli. Wielkie słowa, jakie dopiero co usłyszał, przestały być wielkie. „Wszystko to oznacza -

powiedział sobie w duchu - że on jest po prostu nieodpowiedzialny: myśli, że może robić, co mu się podoba, aby mieć to, co chce.”

- Przez długi czas - mówił dalej wuj Andrzej po chwili milczenia - nie ośmielałem się otworzyć tej kasetki, ponieważ wiedziałem, że może tam być coś bardzo niebezpiecznego. Moja matka chrzestna była BARDZO osobliwą kobietą. Zresztą powiem ci prawdę: ona była ostatnią spośród żyjących... przynajmniej w tym kraju... w której żyłach płynęła krew najprawdziwszych czarodziejek. Powiedziała mi, że za jej czasów były jeszcze dwie: jedna była księżną, druga posługaczką. Tak, mój chłopcze, rozmawiasz teraz z ostatnim... prawdopodobnie... człowiekiem, który ma za matkę chrzestną czarodziejkę! Tak, mój Digory. To jest coś, co będziesz wspominał, gdy sam będziesz już stary!

„Założę się, że była wiedźmą” - pomyślał Digory, a na głos zapytał:

- Ale co będzie z Połą?

- Ależ się do tego przyczepiłeś! - zawołał wuj Andrzej. - Tak jakby to było najważniejsze! Przede wszystkim postanowiłem zbadać samą szkatułkę. Była bardzo, bardzo stara. Już wtedy wiedziałem dostatecznie dużo, aby mieć pewność, że nie pochodzi ani z Grecji, ani ze starożytnego Egiptu, ani z Babilonu, ani z kraju Hetytów czy z Chin. Nie, musiała być starsza niż wszystkie te cywilizacje. Ach, to był naprawdę wielki dzień, gdy wreszcie odkryłem prawdę: szkatułka pochodziła z zaginionej wyspy Atlantydy. A wiesz, co to znaczy? To znaczy, że była o całe wieki starsza od tych wszystkich zabytków z epoki kamiennej, które się wykopuje w Europie. I wcale nie była prymitywnym, niezdarnie wykonanym przedmiotem jak tamte. Wiedz bowiem, że u samych początków dziejów Atlantyda była już wielkim miastem z pałacami, świątyniami i uczonymi.

Przerwał na chwilę, jakby oczekiwał, że Digory coś powie. Ale Digory'mu jego wuj coraz mniej się podobał, więc nie powiedział nic.

- W tym czasie - ciągnął wuj Andrzej - poczyniłem znaczne postępy w zgłębianiu nauk tajemnych. Nie będę ci tego dokładnie opisywał, bo jesteś jeszcze dzieckiem. W każdym razie doszedłem do takiej wiedzy, że mogłem z dużą dozą prawdopodobieństwa domyślać się, co może być w tej szkatułce. Różne próby i doświadczenia pozwoliły mi coraz bardziej zawęzić możliwości. Poznałem wówczas pewnych... hm... pewnych diabelskich, dziwnych osobników i przeszedłem przez różne niezbyt przyjemne doświadczenia. Właśnie wtedy posiwiąłem. Tak, nie zostaje się magiem za darmo. Zapłaciłem za to ciężką utratą zdrowia. Ale to już minęło. I w

końcu, w końcu POZNAŁEM prawdę.

Byli sami w pracowni na poddaszu, do której nikt nie miał wstępu, i trudno było przypuścić, by ktoś mógł ich podsłuchiwać, lecz w tym momencie wuj Andrzej nachylił się nad chłopcem i wyszeptał mu do ucha:

- Szkatułka z Atlantydy zawierała coś, co zostało przyniesione z innego świata, i to w czasach, gdy nasz świat dopiero się zaczynał.

- Ale co? - zapytał Digory, który wbrew sobie zaczął się już bardzo interesować tą niesamowitą opowieścią.

- Tylko pył - odrzekł wuj Andrzej. - Wspaniały, suchy pył. Nic szczególnego, na pierwszy rzut oka. Nic takiego, z pozoru, co warte byłoby trudów całego życia. Ale kiedy popatrzyłem na ten pył... a możesz być pewien, że bardzo uważałem, aby go przypadkiem nie dotknąć... i kiedy pomyślałem, że każde jego ziarenko było kiedyś w INNYM świecie... nie mam na myśli innej planety: te ciała niebieskie są częścią NASZEGO świata i można się tam w końcu dostać, jeśli się bardzo chce... a więc w prawdziwym Innym Świecie... w innej naturze... w innym wszechświecie... gdzieś, dokąd byś nie dotarł, choćbyś podróżował bez końca w przestrzeni kosmicznej... w świecie, do którego można się dostać tylko za pomocą magii, ach! - i urwał, zacierając ręce tak mocno, że stawy strzelały mu jak fajerwerki.

- Wiedziałem - ciągnął po chwili - że gdybym tylko potrafił znaleźć właściwą FORMĘ, ten pył przeniósłby mnie do miejsca, z którego pochodzi. To była największa trudność: uzyskać odpowiednią formę. Pierwsze eksperymenty nie dały oczekiwanego rezultatu. Próbowałem na świnkach morskich. Niektóre po prostu zdechły. Inne wybuchły jak małe bomby...

- To straszne okrucieństwo! - zawołał Digory, który miał kiedyś świnkę morską.

- Ależ ty masz zdolność do mijania się z sednem sprawy! - powiedział wuj Andrzej. - Przecież te stworzenia do tego właśnie służą. Sam je kupiłem. Zaraz... na czym skończyłem? Ach, tak. I w końcu udało mi się zrobić te obrączki: żółte obrączki. Tak, ale wówczas pojawiła się nowa trudność. Miałem już pewność, że taka żółta obrączka może wysłać do Innego Świata każde stworzenie, które jej dotknie. Jaki był jednak z tego pożytek, skoro wciąż nie potrafiłem ściągnąć ich z powrotem, żeby się dowiedzieć, co tam jest?

- A co z NIMI? - zapytał Digory. - Czy nie pomyślałeś, w co je pakujesz, wysyłając je gdzieś, skąd nie ma powrotu?

- Wciąż patrzysz na to wszystko z zupełnie niewłaściwego punktu widzenia -

odpowiedział wuj Andrzej wyraźnie zniecierpliwiony. - Czy nie potrafisz zrozumieć, o co tu właściwie chodzi? O jak doniosły eksperyment? Przecież po to wysyłam kogoś do Innego Świata, żeby się dowiedzieć, jaki ten Świat jest.

- Więc dlaczego sam się nie wyślesz?

Digory nigdy jeszcze nie widział kogoś z tak zaskoczonym i urażonym wyrazem twarzy jak wuj Andrzej po usłyszeniu tego pytania.

- Ja?! Ja?! - zawołał. - Ten chłopiec zwariował! Chciałbyś, żeby człowiek w moim wieku i w moim stanie zdrowia narażał się na ryzyko strasznego wstrząsu i wszystkich innych niebezpieczeństw związanych z nagłym przeniesieniem do zupełnie innego wszechświata? Nigdy jeszcze nie słyszałem czegoś równie niedorzecznego! Czy zdajesz sobie sprawę, co powiedziałaś? Pomyśl, co oznacza INNY świat: można tam spotkać... wszystko! Wszystko... rozumiesz?

- I tam właśnie, jak sądzę, wysłałeś Połę? - zapytał Digory z policzkami czerwonymi od gniewu. - Więc powiem ci - dodał - powiem ci, co myślę, mimo że jesteś moim wujem. Zachowałeś się jak tchórz, wysyłając małą dziewczynkę tam, dokąd sam boisz się udać.

- Dostyc, mój panie! - zawołał wuj Andrzej, uderzając dłonią w stół. - Nie będę wysłuchiwał takich rzeczy z ust małego, brudnego uczniaka. Niczego nie rozumiesz. Jestem wielkim uczonym, magiem, wtajemniczonym, który PRZEPROWADZA EKSPERYMENT. To oczywiste, że potrzebne mi są stworzenia, NA KTÓRYCH mogę eksperymentować. Coś takiego! Za chwilę powiesz, że powinienem był poprosić o pozwolenie świnki morskie! Nie osiąga się wielkiej mądrości bez ofiar. Ale pomyśl, żebym to ja sam był

przedmiotem mojego eksperymentu, jest naprawdę śmieszny! To tak, jakbyś żądał od generała, by walczył jak prosty żołnierz. A przypuścmy, żebym zginął, co wówczas stałoby się z dziełem całego mojego życia? - Och, mam już dość tego kazania! - przerwał mu Digory.

- Czy zamierzasz sprowadzić Połę z powrotem?

- Miałem ci właśnie powiedzieć, kiedy tak grubiańsko mi przerwałeś, że znalazłem w końcu

sposób na drogę powrotną.

Te zielone obrączki pozwalają wrócić do naszego świata.

- Ale przecież nie dałeś Poli zielonej obrączki!

- Nie - zgodził się wuj Andrzej, wybuchając okrutnym śmiechem.

- A więc ona nie może wrócić! - zawołał Digory. - To przecież tak, jakbyś ją zamordował!

- Ona może wrócić - powiedział wuj Andrzej spokojnie - jeśli ktoś drugi przeniesie się do Innego Świata za pomocą żółtej obrączki, zabierając ze sobą dwie zielone: jedną dla siebie, drugą dla niej.

Dopiero teraz Digory zrozumiał, że został schwytany w pułapkę, i wpatrywał się w wuja Andrzeja bez słowa z szeroko otwartymi ustami i pobladłymi policzkami.

- Mam nadzieję - rzekł w końcu wuj Andrzej dobitnym i nieco namaszczonym głosem, jakby był wspaniałym wujem, który właśnie dał komuś solidny napiwek i jakąś dobrą radę - MAM NADZIEJĘ, Digory, że nie okażesz się tchórzem. Byłbym naprawdę niepokieszony, gdyby się okazało, że jeden z członków naszej rodziny nie znajdzie w sobie dość honoru i rycerskości, by przyjść z pomocą... eeee... damie w niebezpieczeństwie.

- Och, przestań! - krzyknął Digory. - Gdybyś w ogóle miał jakiś honor i to wszystko, sam byś się tam udał. Ale wiem dobrze, że na to cię nie stać. Dobra. Widzę, że muszę to zrobić. Powiem ci tylko, że jesteś prawdziwym potworem. Podejrzewam, że wszystko to dobrze zaplanowałaś, tak aby ona przeniosła się tam, nie wiedząc, co czyni, i abym ja udał się w ślad za nią.

- Ależ oczywiście! - przyznał wuj Andrzej z jadowitym uśmiechem.

- Pięknie. Zrobię to. Ale jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę ci przedtem powiedzieć. Aż do dzisiaj nie wierzyłem w żadne czary. Teraz widzę, że się myliłem. Jeśli tak się rzeczy mają, to te wszystkie starodawne opowieści o wrózkach i czarach mogą być mniej lub bardziej prawdziwe. A ty jesteś po prostu przeklętym, okrutnym czarodziejem, o jakich się mówi w tych opowieściach. I powiem ci, nigdy jeszcze nie czytałem takiej, w której osobnicy twego pokroju nie dostaliby w końcu za swoje. Założę się, że i ciebie to spotka. I będzie to, mam nadzieję, sowita zapłata.

Ze wszystkich słów, jakie Digory wypowiedział w pracowni wuja, dopiero te ostatnie zrobiły na nim wrażenie. Poderwał się, a na jego twarzy odmalowała się taka zgroza, że choć był prawdziwym potworem, budził jednak współczucie. Lecz trwało to bardzo krótko. W chwilę później zdobył się na nieco wymuszony uśmiech i powiedział:

- Tak, tak, to chyba zupełnie naturalne dla chłopca wychowanego wśród kobiet. Opowieści starej babci, co?... Nie sądzę, abyś musiał teraz martwić się o MNIE, Digory. Czy nie powinienes raczej niepokoić się o losy swojej małej przyjaciółki? Jest

już tam od dłuższego czasu. Jeśli czyhają na nią TAM jakieś niebezpieczeństwa... no cóż, byłoby ci chyba przykro, gdybyś przybył o sekundę za późno.

- CIEBIE to guzik obchodzi! - zawołał Digory ze złością. - Niedobrze mi się robi od tego gadania. Co mam zrobić?

- Naprawdę musisz się nauczyć panować nad sobą, mój chłopcze - rzekł chłodno wuj Andrzej - bo wyrośniesz na człowieka podobnego do ciotki Letycji. No, ale dość tego. Teraz posłuchaj uważnie.

Wstał, włożył parę rękawic i podszedł do stołu, na którym leżała tacka z obrączkami.

- Zaczynają działać dopiero wtedy - powiedział

- gdy dotkną skóry. W rękawiczkach mogę je podnieść... o, tak jak teraz... i nic się nie dzieje. Jeśli będziesz je miał w kieszeni, nic się nie stanie, chyba że włożysz tam rękę i dotkniesz żółtej obrączki, znikniesz z tego świata. Kiedy już będziesz w Innym Świecie, to ZAKŁADAM... oczywiście nie zostało to jeszcze sprawdzone, ale ZAKŁADAM... że w chwili, gdy dotkniesz zielonej obrączki, znikniesz z tamtego świata i... ZAKŁADAM... pojawisz się znowu w tym. Teraz posłuchaj. Biorę te dwie zielone i wkładam ci do prawej kieszeni. Zapamiętaj to dobrze. PRosto na ZIE-mię! PR to początek słowa „prawa”, a ZIE to początek słowa „zielona”. PRosto na ZIEmię! - i sięgasz do PRawej kieszeni po ZIEloną obrączkę. Jedna jest dla ciebie, druga dla tej dziewczynki. A teraz weź tę żółtą. Na twoim miejscu założyłbym ją sobie na palec. W ten sposób na pewno jej nie zgubisz.

Digory już miał dotknąć żółtej obrączki, gdy nagle powstrzymał się.

- Zaraz - powiedział. - A co z moją matką? Co będzie, jak zapyta, gdzie jestem?

- Im wcześniej wyruszysz, tym szybciej wrócisz

- odrzekł wuj Andrzej beztrosko.

- Ale tak naprawdę, to nie wiadomo, czy w ogóle wrócę - zauważył Digory ponuro.

Wuj Andrzej wzruszył ramionami, podszedł do drzwi, przekręcił klucz, otworzył je i powiedział:

- Proszę bardzo. Jak sobie życzysz. Idź na dół i zjedz obiad. Zostaw swoją przyjaciółkę w Tamtym Świecie. Jeśli w tym czasie zostanie pożarta przez dzikie zwierzęta, jeśli się utopi lub umrze z głodu albo jeśli się zgubi i zostanie tam na zawsze - pamiętaj, że to będzie twój wybór. Mnie jest wszystko jedno. Tylko dobrze by było, żebyś przed podwieczorkiem wpadł do pani Plummer i wyjaśnił jej, że już nigdy nie

zobaczy swojej córeczki, bo bałeś się dotknąć tej obrączki.

- A niech cię diabli porwą! - zawołał Digory. - Chciałbym być teraz tak duży, żeby cię rąbnąć w łeb!

Potem zapiął kurtkę, wziął głęboki oddech i podniósł obrączkę. I pomyślał wówczas, a i później zawsze myślał tak samo, że po prostu nie mógł postąpić inaczej.

ROZDZIAŁ 3

LAS MIĘDZY ŚWIATAMI

Pracownia wuja Andrzeja nagle znikła. Na moment wszystko się zamazało, poplątało i zawirowało. A potem Digory zobaczył zielone, mgliste światło padające na niego z góry i ciemność przed sobą. Wyglądało na to, że jest zawieszony w jakiejś przestrzeni; trudno było powiedzieć, czy stoi, czy leży, czy siedzi. Nic go nie dotykało. „Chyba jestem w wodzie - pomyślał Digory. - Albo raczej POD wodą.” Ta myśl go przeraziła, ale prawie natychmiast poczuł, że unosi się szybko do góry. A potem jego głowa wynurzyła się nagle na powietrze i po chwili wczłgiwał się już na gładki, porośnięty trawą brzeg sadzawki.

Kiedy się podniósł, zauważył, że ani nie jest mokry, ani też nie łapie z trudem powietrza, jak należałoby oczekiwać po kimś, kto przed chwilą wynurzył się spod wody. Stał na brzegu niewielkiej sadzawki - ze trzy metry średnicy - w jakimś lesie. Drzewa rosły dość blisko siebie i były tak gęsto pokryte liśćmi, że nie prześwitywał przez nie ani kawałek nieba. Przez liście sączyło się tylko zielone światło, ale gdzieś wyżej musiało świecić mocne słońce, bo zielona poświata była jasna i ciepła. Trudno sobie wyobrazić bardziej cichy las. Nie widział tu ani ptaków, ani owadów, ani zwierząt, ani wiatru. Czuł prawie, jak rosną drzewa. Prócz sadzawki, z której właśnie wyszedł, było tam mnóstwo innych - sadzawka obok sadzawki, co parę metrów, jak daleko mógł sięgnąć wzrokiem. Czuł prawie, jak drzewa piją korzeniami wodę. Pomimo ciszy i bezruchu był to bardzo ŻYWY las. Kiedy Digory próbował później go opisać, mówił: „Było to bardzo BOGATE miejsce, tak bogate, jak świąteczne ciasto ze śliwkami”.

Najdziwniejsze, że Digory prawie zupełnie zapomniał, w jaki sposób tu się znalazł. W każdym razie nie myślał wcale o Poli, o wuju Andrzeju, a nawet o matce. Nie czuł też w ogóle strachu, podniecenia lub zdziwienia. Gdyby go ktoś zapytał: „Skąd przybyłeś?”, odpowiedziałby chyba: „Zawsze tu byłem”. Tak właśnie się czuł: jak ktoś, kto zawsze tu był i nigdy się nie nudził, chociaż tutaj nigdy nic się nie zdarzało. Wiele lat później opisywał to tak: „To nie jest taki rodzaj miejsca, w którym się coś dzieje. Drzewa wciąż rosną... to wszystko”.

Digory patrzył i patrzył na ten dziwny las i dopiero po długim czasie spostrzegł pod jednym z drzew jakąś dziewczynkę leżącą na plecach. Powieki miała przymknięte, ale nie do końca, jakby znajdowała się między snem a przebudzeniem. Aż w końcu otworzyła szeroko oczy, popatrzyła na niego długo - i nic nie powiedziała. A później,

po długiej chwili milczenia, przemówiła sennym, pełnym zadowolenia głosem:

- Myślę, że gdzieś już ciebie widziałam.

- I ja myślę podobnie o tobie - rzekł Digory. - Długo tu jesteś?

- Och, chyba byłam tu zawsze... Zresztą... nie wiem. W każdym razie od dawna.

- I ja też - powiedział Digory.

- Nie, ty nie. Widziałam, jak przed chwilą wyszedłeś z sadzawki.

- Tak, chyba tak... - zgodził się Digory nieco zaskoczony. - Musiałem zapomnieć.

Milczeli oboje przez dłuższy czas.

- Posłuchaj - odezwała się wreszcie dziewczynka - czy my naprawdę nie spotkaliśmy się już przedtem? Mam jakieś takie wspomnienie... jakiś obraz w głowie... chłopiec i dziewczynka, tacy jak my, żyjący zupełnie gdzie indziej, robiący różne rzeczy. Może to był tylko sen.

- Mnie się śniło to samo - rzekł Digory. - O chłopcu i dziewczynce mieszkających obok siebie... I coś o chodzeniu po krokwiach. Pamiętam, że dziewczynka miała bardzo brudną twarz.

- Czy coś ci się nie pomieszało? W moim śnie to właśnie chłopiec miał bardzo brudną twarz.

- Nie pamiętam twarzy tego chłopca - powiedział Digory, a w chwilę później dodał: - Hej! A co to takiego?

- Ojej! Przecież to świnka morska! - zawołała dziewczynka. I rzeczywiście, w trawie myszkowała

zwykłą, tłustą świnką morską. Dziwiło tylko to, że tułów miała przewiązany tasiemką, a na tasiemce kołysała się błyszcząca, żółta obrączka.

- Patrz! Patrz! - zawołał Digory. - Obrączka! I zobacz! Ty też masz taką na palcu. I ja też.

Teraz dziewczynka usiadła, po raz pierwszy czymś naprawdę zaciekawiona. Wpatrywali się w siebie z uporem, chcąc sobie wszystko przypomnieć. Aż wreszcie, dokładnie w tym samym momencie, dziewczynka krzyknęła: „Pan Ketterley!”, a chłopiec krzyknął: „Wuj Andrzej!” - i wiedzieli już, kim są, i zaczęli sobie przypominać całą historię. Po kilku minutach ożywionej rozmowy przypomnieli sobie wszystko. Digory opowiedział o nikczemności wuja Andrzeja.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Pola. - Bierzemy tę świnkę morską i wracamy?

- Nie ma się co spieszyć - odrzekł Digory, ziewając.

- A ja myślę, że jest - powiedziała Pola. - Tu jest trochę za cicho i za spokojnie. Jest tak... tak sennie. Ty już prawie śpisz. Boję się, że jeśli zaśniemy, to będziemy tu po prostu leżeć i spać do końca świata.

- To bardzo przyjemne miejsce.

- Tak, bardzo przyjemne. Ale musimy wrócić.

- Pola wstała i zaczęła się skradać do świnki morskiej. Ale po chwili zmieniła zamiar.

- Przecież możemy ją tu zostawić - powiedziała. - Tu jest szczęśliwa, a jeśli ją zabierzemy do domu, twój wuj może z nią zrobić coś okropnego.

- Za to mogę dać głowę - zgodził się Digory.

- Pomyśl tylko, jak NAS potraktował. Ale właściwie, jak się dostaniemy z powrotem do domu?

- Myślę, że musimy wleźć do tej sadzawki. Podeszli bliżej i stanęli na brzegu, wpatrując się

w gładką powierzchnię, odbijającą zielone, gęsto pokryte liśćmi gałęzie. Sadzawka wyglądała na bardzo głęboką.

- Nie mamy kostiumów kąpielowych - zauważyła Pola.

- A po co nam kostiumy, głupia - roześmiał się Digory. - Przecież wejdziemy do środka w ubraniach. Nie pamiętasz, że były suche, jak z niej wychodziliśmy?

- Umiesz pływać?

- Trochę. A ty?

- No... Nie bardzo.

- Nie sądzę, by nam to było potrzebne - stwierdził Digory. - Przecież chcemy zanurzyć się jak najgłębiej, prawda?

Żadne z nich nie było zachwycone myślą o wskoczeniu do sadzawki, ale też żadne nie wypowiedziało tego na głos. Wzięli się za ręce i na „raz - dwa - trzy!” skoczyli, zamykając oczy. Rozległ się głośny plusk. Ale kiedy otworzyli oczy, stwierdzili, że wciąż stoją, trzymając się za ręce, w zielonym lesie - po kostki w wodzie. Sadzawka miała wyraźnie zaledwie kilka cali głębokości. Wyszli z pluskiem na suchy brzeg.

- Co się stało, do licha? - zapytała Pola trochę zaniepokojona, ale nie tak przerażona, jak moglibyście się spodziewać, bo w tym lesie trudno się było naprawdę czegoś bać. Był zbyt spokojny i ciepły.

- Och! Już wiem! - zawołał Digory. - No jasne, to nie może działać. Mamy wciąż

na palcach te żółte obrączki. Pamiętasz, mówiłem ci, że one służą do podróży w tę stronę. Żeby wrócić, trzeba użyć zielonych. Musimy je zamienić. Masz kieszenie? Dobrze. Włóż swoją obrączkę do lewej kieszeni. Mam tu w prawej kieszeni dwie zielone. O, jedna jest dla ciebie.

Włożyli na palce zielone obrączki i znowu stanęli na krawędzi sadzawki. Ale zanim skoczyli, Digory krzyknął.

- Co się stało? - zapytała Pola.

- Wpadła mi do głowy wspaniała myśl. Czym, według ciebie, są te wszystkie sadzawki? \

- Nie rozumiem...

- No, przecież pomyśl, jeśli możemy wrócić do naszego świata, skacząc do TEJ sadzawki, to czy nie możemy znaleźć się zupełnie gdzie indziej, skacząc do innej? Załóżmy, że na dnie każdej jest jakiś świat.

- Ale ja myślałam, że my już jesteśmy w tym Innym Świecie czy Innym Miejscu, jak to nazywał wuj Andrzej. Przecież sam powiedziałeś, że...

- Ach, guzik mnie obchodzi wuj Andrzej - przerwał jej Digory. - Nie wierzę, żeby w ogóle o tym wiedział. Nigdy nie miał tyle odwagi, by samemu użyć pierścieni. Potrafił tylko mówić o JEDNYM Innym Świecie. A jeśli jest ich mnóstwo?

- To znaczy, że ten las byłby tylko jednym z nich?

- Nie, nie sądzę, żeby był w ogóle jakimś światem. Myślę, że to jest coś w rodzaju międzyświata.

Pola miała nieco głupią minę.

- Nie rozumiesz? - zapytał Digory. - No więc posłuchaj. Pomyśl o naszym ciemnym tunelu pod dachem. To nie jest po prostu jeden z pokojów na poddaszu, należących do któregoś z domów. Ten tunel w pewien sposób w ogóle nie należy do żadnego z domów. Ale gdy do niego wejdiesz, możesz nim iść i wyjść w którymkolwiek domu z całego rzędu. A może ten las jest właśnie czymś takim? Może to jest miejsce, które nie należy do żadnego ze światów, ale gdy się już je znalazło, można z niego przejść do wszystkich?

- No tak... ale nawet jeśli można... - zaczęła Pola, lecz Digory ciągnął dalej, jakby jej nie słyszał:

- I oczywiście to by wszystko wyjaśniało. Właśnie dlatego jest tu tak cicho i sennie. Nic tu się nigdy nie dzieje. Tak jak na Ziemi. To w swoich domach ludzie rozmawiają, robią różne rzeczy, jedzą. A w takich międzymiejskach, za ścianami i nad

sufitami, i pod podłogą czy w naszym tunelu, możesz się znaleźć w którymkolwiek z domów. Myślę, że z tego miejsca można się dostać naprawdę wszędzie! Przecież nie musimy skakać z powrotem do tej samej sadzawki, przez którą się tu dostaliśmy. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Las Między Światami - powiedziała Pola rozmarzonym głosem. - To brzmi bardzo ładnie.

- Dalej! - zawołał Digory. - Którą sadzawkę próbujemy?

- Posłuchaj - powiedziała Pola - nie mam zamiaru wypróbować żadnej nowej sadzawki, dopóki nie będę miała pewności, że MOGĘ wrócić przez tę starą. Nawet nie wiemy, czy to działa.

- Tak. Wrócić i zostać złapanym przez wuja Andrzeja, który nam zabierze pierścienie, zanim zdołamy ich użyć. Nie, dziękuję.

- A czy nie możemy wskoczyć do naszej sadzawki i przebyć tylko część drogi w dół? Po prostu, żeby zobaczyć, czy to działa. Jeśli będzie działało, możemy zamienić obrączki i wrócić tu, zanim znajdziemy się na dobre w pracowni pana Ketterleya.

- Przebyć tylko CZEŚĆ drogi?!

- No przecież wynurzanie się trochę trwało. Myślę, że zanurzenie też trochę potrwa.

Digory'emu pomysł nie bardzo przypadł do gustu, ale w końcu dał za wygraną, bo Pola stanowczo odmówiła udziału w odkrywaniu nowych światów, dopóki nie będzie pewna, że może wrócić do starego. Była dzielną dziewczynką i nie bała się różnych niebezpiecznych rzeczy (na przykład os), ale nie interesowało jej aż tak bardzo odkrywanie czegoś, o czym nikt dotąd nie słyszał. Digory natomiast chciał poznać wszystko. Kiedy dorósł, stał się owym słynnym profesorem Kirke, o którym możecie przeczytać w innych moich książkach.

W końcu po długiej dyskusji uzgodnili, że włożą na palce zielone obrączki, chwycą się za ręce i skoczą. Gdy tylko zaczną się zbliżać do pracowni wuja Andrzeja albo tylko do ich starego świata, Pola ma zawołać „Zamiana!”, a wówczas oboje natychmiast zamienią zielone obrączki na żółte. („Teraz już rozumiesz, po co są dwa kolory - powiedział Digory - żeby się nie pomylić.”) Digory upierał się, że to on powinien zawołać „Zamiana!”, ale Pola postawiła na swoim.

Włożyli zielone obrączki, wzięli się za ręce i na „raz - dwa - trzy!” skoczyli do sadzawki. Tym razem podziałało. Bardzo mi jest trudno opowiedzieć, co czuli, bo wszystko stało się niezwykle szybko. Najpierw zobaczyli jaskrawe światła na tle

czarnego nieba. Digory był później przekonany, że widzieli planety i gwiazdy, i przysięgał, że widział z bliska Jowisza, dość blisko, by rozpoznać jego księżycy. Ale prawie w tej samej chwili pojawiły się rzędy dachów i kominów, zobaczyli Katedrę Świętego Pawła i zrozumieli, że patrzą na Londyn, tyle że mogli widzieć przez ściany wszystkich domów. Zobaczyli postać wuja Andrzeja, najpierw bardzo zamgloną i jakby przezroczystą, lecz gęstniejącą i z każdą sekundą coraz bardziej wyraźną, tak jak w soczewce lunety dostrajanej do odległości. Lecz tuż przedtem, zanim stała się prawdziwym, żywym człowiekiem, Pola zdążyła zawołać: „Zamiana!”. Szybko zamienili obrączki i nasz świat rozwiął się jak sen, a zielone światło w górze robiło się coraz mocniejsze i mocniejsze, aż w końcu głowy dzieci wynurzyły się nad powierzchnię sadzawki. Wdrapali się na brzeg. A naokoło rósł gęsty las, tak zielony, rozświetlony i cichy jak zawsze. Próbną wyprawa nie trwała dłużej niż minutę.

- No i co? - zawołał Digory. - Wszystko działa. A teraz: na poszukiwanie przygód! Każda sadzawka jest ich pełna. Wypróbujmy tę.

- Poczekaj! - Pola złapała go za rękaw. - Czy nie powinniśmy zaznaczyć TEJ sadzawki?

Spojrzeni na siebie i twarze im pobladły, gdy zrozumieli, co chciał przed chwilą zrobić Digory. Bo przecież w lesie były tysiące sadzawek, a wszystkie jednakowe, podobnie jak drzewa, więc gdyby tylko raz opuścili sadzawkę prowadzącą do naszego świata bez zrobienia przy niej jakiegoś znaku, to szansa ponownego jej odnalezienia równałaby się w najlepszym razie jednej do stu.

Digory'emu ręce się trochę trzęsły, gdy otwierał scyzoryk i wycinał długi pas darni na brzegu sadzawki. Gleba pachniała przyjemnie, a jej kolor - czerwono-brązowy - wyraźnie się odcinał od zieleni trawy.

- To dobrze, że przynajmniej JEDNO z nas ma trochę oleju w głowie - powiedziała Pola.

- Nie musisz się tym wciąż chwalić - burknął Digory. - A w ogóle nie marudź, okropnie jestem ciekawy, co nas czeka w jednej z tych sadzawek.

Pola odpowiedziała mu coś niezbyt miłego, a on odpowiedział jej jeszcze bardziej ostro. Sprzeczka trwała kilka minut, ale nie sędzę, by warto było dokładnie ją opisywać. Przejdźmy od razu do chwili, w której oboje stali już - z bijącymi sercami i nieco przerażonymi twarzami - na krawędzi nie znanej sadzawki, z żółtymi obrączkami na palcach. Raz jeszcze chwycili się za ręce i raz jeszcze zawołali: „Raz - dwa

- trzy!”

Plusk! I raz jeszcze okazało się, że wskoczyli do kałuży. Zamiast znaleźć się w nowym świecie, stali znowu po kostki w wodzie, już drugi raz tego ranka (jeżeli to był ranek; w Lesie Między Światami pora dnia wydawała się nigdy nie zmieniać).

- Niech to piorun trzaśnie! - zawołał Digory.

- Co się tym razem stało? Przecież włożyliśmy żółte obrączki. Wuj mówił, że żółte służą do podróży na zewnątrz.

Prawda była taka, że wuj Andrzej, który nie miał zielonego pojęcia o istnieniu Lasu Między Światami, mylił się też co do właściwości pierścieni. Żółte nie oznaczały wcale „na zewnątrz”, a zielone nie oznaczały „z powrotem”, w każdym razie nie w ten sposób, jak myślał. Wszystkie pierścienie zrobione były z pyłu, który pochodził z tego właśnie Lasu. Ale jedynie materiał, z którego zrobiono żółte pierścienie, miał moc przenoszenia każdego do Lasu: był to pył, który chciał wrócić na swoje miejsce, czyli do Międzyświata. Natomiast materiał, z którego były zrobione zielone pierścienie - przeciwnie: chciał opuścić swoje dawne miejsce, dlatego też zielony pierścień przenosił właściciela z Lasu do jakiegoś świata. Jak widzicie, wuj Andrzej zajmował się rzeczami, których do końca nie rozumiał, jak zresztą bywa z większością czarodziejów. Oczywiście Digory też nie znał dobrze właściwości pierścieni, ale kiedy przedyskutował z Połą wszystkie możliwości, postanowili wypróbować zielone z nową sadzawką, po prostu po to, żeby zobaczyć, co się stanie.

- Jeśli ty się nie boisz, to i ja nie - powiedziała Pola. Nie oznacza to, że była taka odważna. Tak naprawdę, w głębi serca, była teraz pewna, że w nowej sadzawce nie działają ani żółte, ani zielone pierścienie, więc nie ma się czego bać. Nie jestem całkiem pewien, czy Digory nie myślał podobnie. W każdym razie, kiedy włożyli zielone obrączki na palce, stanęli na krawędzi sadzawki i wzięli się za ręce, z całą pewnością czuli się o wiele lepiej i o wiele mniej uroczyście niż za drugim razem.

- Raz - dwa - trzy! Naprzód! - zawołał Digory. I skoczyli.

ROZDZIAŁ 4

DZWON I MŁOTEK

Tym razem nie mieli żadnych wątpliwości. Czary działały. Opadali z wielką szybkością w dół, najpierw przez ciemność, potem przez jakąś płataninę mglistych i wirujących kształtów, które mogły być prawie wszystkim. Robiło się coraz jaśniej. A potem nagle poczuli, że stoją na czymś stałym i twardym. W chwilę później wszystko wyostrzyło się jak w soczewce i mogli zobaczyć, gdzie są.

- Co to za dziwne miejsce! - powiedział Digory.

- Nie bardzo mi się tu podoba - wyznała Pola, lekko się wzdygając.

Pierwszą rzeczą, na jaką zwrócili uwagę, było oświetlenie. Nie przypominało ani światła słonecznego, ani światła elektrycznego, ani gazowej latarni, ani świec, ani żadnego innego światła, jakie znali. Dziwnie nieruchome, czerwonawe światło sprawiało raczej przygnębiające wrażenie. Stali na wielkim, wyłożonym kamiennymi płytami placu, otoczonym wyniosłymi budowlami. Niebo było niezwykle ciemne: tak granatowe, prawie czarne, że aż można było się dziwić, skąd w ogóle bierze się tu światło.

- Tu jest jakaś dziwna pogoda - zauważył Digory. - Może wylądowaliśmy w czasie burzy albo podczas zaćmienia słońca?

- Nie podoba mi się tu - powtórzyła Pola. Oboje mówili szeptem, choć nie bardzo wiedzieli dlaczego. Nie było już powodu, by trzymać się za ręce, ale nie puszczali swych dłoni.

Ten kamienny plac czy dziedziniec otaczały ze wszystkich stron wysokie ściany. Z wielu ogromnych okien bez szyb ziało nieprzeniknioną ciemnością. Na dole otwierały się pod półkolistymi łukami czarne czeluście, podobne do wylotów kolejowych tuneli. Było chłodno.

Wszystko tu zbudowano z kamienia, który wyglądał na czerwony, ale może tak się zdawało z powodu owego dziwnego oświetlenia. Budowle były z pewnością bardzo stare. Wiele kamiennych płyt, jakimi wyłożono dziedziniec, popękało, a żadna nie przylegała ciasno do drugiej, rogi miały przeważnie zniszczone. Jeden ze sklepionych otworów wypełniał do połowy gruz. Dzieci obracały się wokół, przyglądając się uważnie wszystkim bokom dziedzińca. Nietrudno zgadnąć dlaczego: po prostu bały się, że ktoś - lub coś - obserwuje je z owych czarnych okien, kiedy są odwrócone tyłem.

- Myślisz, że ktoś tutaj mieszka? - zapytał w końcu szeptem Digory.

- Nie - odpowiedziała Pola. - To wszystko ruiny. Odkąd tu jesteśmy, nie rozległ się żaden dźwięk.

- Nie ruszajmy się przez chwilę i posłuchajmy - zaproponował Digory.

Zamarli bez ruchu, ale usłyszeli jedynie bicie własnych serc. Panował tu taki spokój jak w Lesie Między Światami. Tylko że był to zupełnie inny rodzaj spokoju. W bogatej, ciepłej i pełnej życia ciszy Lasu prawie się słyszało, jak rosną drzewa, natomiast tu, w ciszy martwej, zimnej i pustej, trudno było sobie wyobrazić, że coś rośnie.

- Lepiej wracajmy - powiedziała Pola.

- Przecież niczego jeszcze nie zobaczyliśmy. Skoro już tu jesteśmy, powinniśmy chociaż trochę się rozejrzeć.

- Jestem pewna, że nie ma tu nic ciekawego.

- Co za korzyść ze znalezienia magicznego pierścienia, pozwalającego podróżować do innych światów, skoro nie masz odwagi na nie patrzeć?

- Kto tu mówi o braku odwagi? - zapytała Pola, puszczając rękę Digorego.

- Miałem na myśli to, że jakoś nie wykazujesz ochoty do zbadania tego miejsca.

- Pójdę tam, gdzie ty.

- Możemy przecież w każdej chwili wrócić. Zdejmijmy zielone obrączki i włożmy je do prawych kieszeni. Wystarczy tylko pamiętać, że żółte są w lewych. Możesz trzymać rękę tak blisko lewej kieszeni, jak chcesz, tylko nie wkładaj jej do środka, bo możesz dotknąć żółtej obrączki i zniknąć.

Zrobili tak i podeszli wolno do jednego z owych wielkich, sklepionych otworów, prowadzących do wnętrza budowli. A kiedy stanęli na progu i zajrzeli do środka, stwierdzili, że nie jest tam tak ciemno, jak się wydawało. Wejście prowadziło do olbrzymiej, mrocznej i pustej sali. Na samym końcu majaczył rząd kolumn połączonych łukami, a spoza nich padało nieco więcej owego dziwnego, jakby dogasającego światła. Przeszli przez salę, stąpając ostrożnie w obawie przed dziurami w posadzce lub jakimiś niewidocznymi przeszkodami. Po długim marszu minęli wreszcie kolumny i znaleźli się na innym, jeszcze większym dziedzińcu.

- To nie wygląda zbyt bezpiecznie - powiedziała Pola, wskazując na miejsce, w którym ściana wybrzuszyła się, jakby miała za chwilę runąć na dziedziniec. W innym miejscu między kamiennymi łukami brakowało jednej kolumny, a płyta, która kiedyś na niej spoczywała, groźnie się obniżyła. Nie ulegało wątpliwości, że miejsce to opuszczono przed setkami, a może i tysiącami lat.

- Jeśli utrzymało się dotąd, to myślę, że jeszcze trochę wytrzyma - rzekł Digory.
- Ale musimy być bardzo cicho. Chyba wiesz, że hałas może czasem wywołać nieobliczalne skutki. Tak właśnie spadają w Alpach lawiny.

Z tego dziedzińca weszli znowu do wnętrza jakiegoś budynku, potem wspięli się po monumentalnych schodach, a potem szli i szli przez wielkie pokoje otwierające się jeden po drugim, aż w końcu oszołomiła ich wielkość tej budowli. Raz po raz spodziewali się jej końca, pragnąc wyjść wreszcie na otwartą przestrzeń i zobaczyć, w jakim właściwie miejscu położony jest ten gigantyczny pałac. Ale za każdym razem wychodzili tylko na jeszcze jeden wielki dziedziniec. Na jednym z nich musiała być kiedyś fontanna. Stał tam olbrzymi kamienny potwór z szeroko rozpostartymi skrzydłami i z otwartą paszczą, a w niej wciąż widniały końce rurek, którymi kiedyś tryskała woda. Pod posągami znajdował się kamienny basen na wodę - teraz zupełnie suchy. W innym miejscu napotkali zeschnięte łodygi jakiejś pnącej rośliny, która kiedyś oplatała kolumny i zapewne przyspieszyła ich ruinę. Ale roślina ta zamarała dawno, dawno temu. Nie spostrzegli też nawet śladu mrówek czy pajaków, czy innych owadów, jakich można się spodziewać w ruinach, a tam, gdzie między pokruszonymi głazami pokazała się sucha ziemia, nie wyrastała ani trawa, ani mech. Wszystko to wyglądało tak ponuro i monotennie, że nawet Digory zaczął już myśleć, że dobrze byłoby włożyć żółte obrączki i wrócić do ciepłego, zielonego, żywego Lasu Między Światami, kiedy doszli do olbrzymich wrót z metalu, który wyglądał na złoto. Jedno skrzydło było nieco uchylone, więc oczywiście zajrzeli do środka. Natychmiast jednak odskoczyli wstrzymując oddech, bo oto wreszcie napotkali coś godnego zobaczenia.

Przez chwilę sądzili, że sala jest pełna ludzi - setek ludzi siedzących nieruchomo na wysokich tronach. Nietrudno się domyślić, że oboje stali w milczeniu, nie mając odwagi się poruszyć. Wkrótce doszli jednak do przekonania, że nie mogą to być żywi ludzie. W każdym razie nie dostrzegli najmniejszego ruchu i nie usłyszeli najlżejszego westchnienia. Siedzące postacie sprawiały wrażenie najdoskonalszych figur woskowych, jakie sobie można wyobrazić.

Tym razem Pola pierwsza weszła do środka. W tej sali znajdowało się coś, co interesowało ją bardziej niż Digory'ego: wszystkie postacie ubrane były w cudowne szaty. Jeśli się tylko lubiło stroje, po prostu nie można było się powstrzymać, by nie podejść i nie obejrzeć ich z bliska. Blask ich barw czynił wnętrze tej sali - no, może nie radosnym, ale w każdym razie bogatym i dostojnym po tych wszystkich zakurzonych i pustych wnętrzach, jakie dotychczas mijali.

Trudno mi nawet opisać te stroje. Wszystkie postacie miały na sobie długie szaty i korony na głowach. Szaty były szkarłatne i srebrzyste, ciemnopurpurowe i soczystozielone, wyhaftowane we wspinałe ornamenty, kwiaty i dziwne zwierzęta. W koronach, broszach i zapinkach, w łańcuchach i naszyjnikach połyskiwały drogie kamienie o zadziwiających rozmiarach i kolorach.

- Jak się to dzieje, że te stroje już dawno nie zbutwiały? - zapytała Pola.

- To czary - szepnął Digory. - Nie czujesz tego? Założę się, że w tej sali jest aż gęsto od magicznych zaklęć. Czuję to od pierwszej chwili.

- Każda z tych sukni warta jest setki funtów - powiedziała Pola.

Ale Digory'ego bardziej ciekawiły twarze, a trzeba przyznać, że warte były obejrzenia. Postacie siedziały na kamiennych tronach ustawionych szeregiem pod każdą ścianą. Środek sali był pusty, mogli więc obejść ją dookoła i przyjrzeć się wszystkim twarzom.

- Myślę, że to byli całkiem MILI ludzie - zauważył Digory.

Pola kiwnęła głową. Wszystkie twarze, na jakie teraz patrzyli, były z pewnością miłe. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni mieli uprzejmy i mądry wyraz twarzy, widać też było, że pochodzą z rasy pięknych ludzi. Ale kiedy dzieci zrobiły kilkanaście kroków wzdłuż szeregu tronów, zauważyły, że tu twarze są już nieco inne. Czuły, że gdyby spotkały żywych ludzi o podobnych obliczach, musiałyby uważać na to, co mówią. Pola i Digory przeszli jeszcze dalej i tu, prawie w połowie sali, zobaczyli twarze, które już im się zupełnie nie podobały: twarze ludzi silnych, dumnych i zadowolonych, lecz okrutnych. A im dalej szli, tym więcej widzieli w twarzach okrucieństwa i mniej zadowolenia, aż doszli do miejsca, w którym na skamieniałych obliczach malowała się prawdziwa rozpacz, jakby ci ludzie popełnili straszliwe zbrodnie i ponieśli za nie równie straszne kary. Ostatnia postać okazała się najbardziej interesująca: kobieta ubrana z największym przepychem, bardzo wysoka (zresztą wszystkie postacie były wyższe od ludzi w naszym świecie), a twarz miała tak srogą i dumną, że aż dech zapierało. A jednak była również piękna. Po wielu, wielu latach Digory, już jako stary człowiek, powiedział, że nigdy, w całym swoim życiu, nie widział równie pięknej kobiety. Tak mówił Digory, ale uczciwie trzeba dodać, że Pola nie podzielała jego zdania.

Ta kobieta, jak już powiedziałem, była ostatnia: za nią ciągnął się szereg pustych kamiennych tronów, jakby sala pomyślana została dla o wiele większej kolekcji posągów.

- Bardzo bym chciał poznać historię, która kryje się za tym wszystkim - rzekł Digory. - Ale wróćmy i obejrzyjmy ten dziwny stół pośrodku sali.

Właściwie nie był to stół, ale raczej niski, mający nieco ponad metr kamienny postument o kwadratowym przekroju. Z jego szczytu wyrastał niewielki złoty ostrołuk, na którym wisiał złoty dzwon. Obok leżał złoty młotek. Nietrudno było się domyślić, do czego służy.

- Myślę... myślę... i bardzo jestem ciekaw, co by... - zaczął mówić Digory, lecz Pola przerwała mu, pochylając się i przyglądając uważnie jednemu z boków postumentu.

- Tu jest chyba coś napisane.

- O holender! Rzeczywiście! Tylko że, niestety, i tak nic z tego nie zrozumiemy.

- Nic? Nie jestem taka pewna...

Wlepili oczy w dziwaczne litery wykute w kamieniu i oto stało się coś dziwnego: kształt liter wcale się nie zmienił, ale oni czytali je teraz zupełnie swobodnie. Gdyby Digory pamiętał, co sam powiedział kilka minut temu, łatwo by wywnioskował, że zaczyna działać jedno z magicznych zaklęć, jakie wyczuł, wchodząc do tej sali. Tak był jednak podniecony i przejęty, że w ogóle o tym nie pomyślał. Teraz pochłaniała go tylko jedna myśl: poznać treść tajemniczego napisu. I wkrótce oboje ją poznali. A było tam napisane mniej więcej coś takiego (w każdym razie, jeśli chodzi o sens, bo jakoś rymów była na pewno o wiele lepsza):

Wybieraj, śmiałku z obcych stron:

Uderz w ten dzwon

I czekaj na niebezpieczeństwa

Lub do szaleństwa

Łam sobie głowę, co byś przeżył,

Gdybyś uderzył.

- Nigdy w życiu! - zawołała Pola. - Nie chcemy żadnych niebezpieczeństw!

- Och, czy nie rozumiesz, że tak nie można? Teraz po prostu nie możemy tego tak zostawić. Przez całe życie łamalibyśmy sobie głowę, co by się stało, gdybym uderzył w dzwon. Nie mam zamiaru wrócić do domu i zwariować, myśląc wciąż o tej tajemnicy. Nigdy w życiu!

- Nie bądź głupi. Dlaczego ci tak zależy, żeby wiedzieć, co się stanie?

- Myślę, że każdy, kto zaszedł tak daleko jak my, po prostu musi się tego dowiedzieć, jeżeli nie chce dostać bzika. Na tym polegają czary tego miejsca. Czuję, że

zaczynają na mnie działać.

- A na mnie nie - oświadczyła chłodno Pola. - I wcale nie wierzę, że działają na ciebie. Tylko tak udajesz.

- Tak, jedynie to ci przychodzi do głowy. Nic dziwnego, jesteś dziewczynką. Nic was nigdy nie interesuje, prócz plotek i bzdur o ludziach, którzy się zaręczają.

- Kiedy tak mówisz, przypominasz do złudzenia wuja Andrzeja.

- Dlaczego ty zawsze zaczynasz mówić o czymś innym? - zdenerwował się Digory. - Przecież rozmawiamy o...

- Mówisz jak każdy mężczyzna! - zawołała Pola bardzo dorosłym tonem, ale zaraz dodała swoim prawdziwym głosem: - I nie mów mi teraz, że jestem jak wszystkie kobiety, bo... bo będziesz po prostu ohydną małpą!

- Nigdy by mi do głowy nie przyszło, żeby nazywać takiego dzieciaka jak ty kobietą - powiedział Digory wyniosłym tonem.

- Ach, tak, więc jestem dzieciakiem, tak? - warknęła Pola i wyglądała na naprawdę wściekłą. - No więc nie musisz sobie więcej tym dzieciakiem zawracać głowy. Zegnam. Mam dosyć tego miejsca. I mam dosyć ciebie - ty wstrętna, zarozumiała, uparta świni!

- Ani się waż! - wrzasnął Digory głosem jeszcze bardziej wściekłym, niż chciał, bo oto ręka Poli zbliżała się już do lewej kieszeni. Nie będą mu robił zarzutu z tego, co uczynił w następnej chwili, powiem tylko, że później sam tego bardzo żałował (zresztą, niestety, nie on jeden!) Zanim ręka Poli dotknęła kieszeni, schwycił ją mocno za przegub i przywarł plecami do jej piersi. Odpychając łokciem jej drugą rękę, wychylił się do przodu, chwycił młotek i uderzył nim lekko w złoty dzwon. Dopiero wtedy ją puścił i odsunął się na bok. Patrzyli na siebie w milczeniu, dysząc ciężko. Pola była bliska płaczu, bynajmniej nie ze strachu ani nawet z powodu silnego bólu w przegubie lewej ręki, ale z dzikiej złości. Nie minęły jednak nawet dwie sekundy, gdy oboje byli już tak zajęci czymś innym, że kłótnia zupełnie wyleciała im z głowy.

Uderzony młotkiem dzwon wydał niezbyt głośny, ale bardzo czysty dźwięk. Na razie nie było w tym nic nadzwyczajnego: takiego właśnie dźwięku należało się spodziewać. Ale ów dźwięk nie zamarł po chwili, wciąż trwał w powietrzu, a gdy tak trwał, stawał się coraz głośniejszy. Zanim minęła minuta, był już dwukrotnie silniejszy niż na samym początku. Wkrótce brzmiał tak głośno, że gdyby dzieci próbowały teraz ze sobą rozmawiać (choć wcale nie myślały o rozmowie, po prostu stały z szeroko otwartymi ustami), to nie słyszałyby się nawzajem. A potem dźwięk stał się tak

dochońny, że jedno nie usłyszałoby drugiego, nawet gdyby krzyczeli. Ale na tym nie koniec: dźwięk potężniał z każdą chwilą, wciąż na tej samej nucie, wciąż bardzo czysty i melodyjny - choć ta czystość i melodyjność miała teraz w sobie coś strasznego - aż w końcu powietrze w wielkiej sali zaczęło od niego wibrować, a dzieci czuły, jak pod ich stopami drży posadzka. A potem dołączył się do niego inny dźwięk, odległy i ponury, który z początku przypominał huk dalekiego pociągu, a później łoskot padających na ziemię drzew. Aż w końcu, z nagłym podmuchem i grzmotem, ze wstrząsem, który prawie zwałił ich z nóg, bez mała ćwierć sklepienia runęło do środka, kamienie i olbrzymie bryły zaprawy potoczyły się dokoła, a ściany popękały z głośnym trzaskiem. Dźwięk dzwonu urwał się. Chmury pyłu opadły. Zapanowała martwa cisza.

Nigdy się nie dowiedzieli, czy sklepienie runęło na skutek działania czarów, czy też ów nieznośny dźwięk złotego dzwonu osiągnął taką moc, jakiej nadgryzione zębem czasu ściany nie mogły wytrzymać.

- No i masz! Mam nadzieję, że jesteś zadowolony - wysapała Pola.

- W każdym razie już po wszystkim - powiedział Digory.

I oboje byli o tym święcie przekonani, choć nigdy jeszcze tak się nie pomylili.

ROZDZIAŁ 5

ŻAŁOSNE SŁOWO

DZIECI PATRZYŁY NA SIEBIE ponad kamiennym postumentem. Dzwon wciąż jeszcze drżał, choć nie wydawał już żadnego dźwięku. Nagle usłyszały jakiś szelest, dochodzący z drugiego, nie zniszczonego końca sali. Odwrócili się błyskawicznie. Jedna z postaci, ostatnia ze wszystkich, owa kobieta, która wydała się Digory'emu tak piękna, podniosła się ze swego tronu. Kiedy powstała, okazała się jeszcze wyższa, niż przedtem sądzili. I od razu można było poznać, nie tylko po koronie i wspaniałych szatach, ale i po błysku jej oczu i dumnym kształcie warg, że jest wielką królową. Popatrzyła po sali, zobaczyła ruinę i zobaczyła dzieci, ale wyraz jej twarzy nie pozwalał odgadnąć, co o tym pomyślała lub nawet czy była tym zaskoczona. Potem podeszła do nich szybkimi, długimi krokami.

- Kto mnie obudził? Kto złamał zaklęcie? - zapytała.

- To chyba ja - odpowiedział Digory.

- Ty? - rzekła królowa, kładąc rękę na jego ramieniu. Była to piękna, biała ręka, ale jej palce zacisnęły się jak stalowe szczytce. - Ty? - powtórzyła. - Jesteś przecież dzieckiem, pospolitym dzieckiem. Już na pierwszy rzut oka można poznać, że w twoich żyłach nie płynie ani jedna kropla królewskiej lub choćby tylko szlacheckiej krwi. Jak ktoś taki jak ty ośmielił się wejść do tego domu?

- Przybyliśmy tu z innego świata, dzięki czarom - powiedziała Pola, która doszła do wniosku, że już najwyższy czas, by królowa zwróciła na nią uwagę.

- Czy to prawda? - zapytała królowa, wciąż patrząc na Digory'ego i zdając się nie zauważać obecności Poli.

- Tak, to prawda - wyjąkał.

Królowa schwyła go za podbródek i uniosła jego twarz, wpatrując się w nią uważnie. Digory próbował odwzajemnić spojrzenie, ale bardzo szybko spuścił oczy. Coś w niej onieśmielało go i przytłaczało. Po chwili puściła jego brodę i powiedziała:

- Ty nie jesteś czarodziejem. Nie masz znaków. Możesz być najwyżej sługą czarodzieja. Ktoś inny musiał was tutaj przysłać.

- To mój wuj Andrzej - rzekł Digory.

W tym momencie gdzieś blisko, ale poza salą, rozległo się najpierw dudnienie, potem trzask, a potem huk walących się murów. Posadzka zadrżała.

- Tu nie jest bezpiecznie - powiedziała królowa. - Cały pałac się wali. Jeżeli nie wyjdziemy stąd w ciągu kilku minut, zostaniemy pogrzebani pod ruinami. - Mówiła z

takim spokojem, jakby oznajmiała, która jest godzina. - Chodźcie - dodała i wyciągnęła obie ręce do dzieci. Pola, której królowa wcale się nie podobała, nie pozwoliłaby się wziąć za rękę, gdyby tylko mogła. Ale chociaż królowa przemawiała z takim spokojem, jej ruchy były szybkie jak myśl. Zanim Pola spostrzegła, co się dzieje, jej lewa ręka została pochwycona przez dłoń o wiele większą i silniejszą od jej własnej.

„To okropna kobieta - pomyślała. - Jest tak silna, że na pewno wyłamałaby mi ramię jednym ruchem. I trzyma mnie za lewą rękę, tak że nie mogę sięgnąć po złotą obrączkę. Jeśli sięgnę prawą ręką do lewej kieszeni, mogę nie zdążyć jej wyciągnąć, zanim ta wiedźma zapyta mnie, co robię. A w żadnym razie nie możemy jej zdradzić, że mamy te pierścienie. Mam nadzieję, że Digory ma chociaż tyle oleju w głowie, żeby trzymać język za zębami. Dobrze by było zamienić z nim parę słów bez świadków.”

Królowa poprowadziła ich z Sali Posągów do długiego korytarza, a potem przez labirynt sal, schodów i dziedzińców. Co jakiś czas słyszeli huk walących się ścian i sufitów, niekiedy zupełnie blisko. Raz jakiś olbrzymi łuk runął na ziemię w chwilę potem, jak pod nim przeszli. Królowa szła szybko - dzieci prawie biegły, aby dotrzymać jej kroku - ale nie okazywała najmniejszego lęku. „Ależ ona jest odważna - myślał Digory. - I silna. To jest dopiero prawdziwa królowa! Mam nadzieję, że opowie nam historię tego dziwnego miejsca.”

Piękna pani rzeczywiście opowiedziała im trochę o pałacu, ale były to tylko zdania wypowiedziane po drodze: „To są drzwi do lochów” albo: „To była stara sala rycerska, gdzie mój dziad zabił siedmiuset baronów podczas uczty. Buntownicze myśli chodziły im po głowie”.

Doszli w końcu do sali największej i najbardziej dostojnej ze wszystkich, jakie dotąd zobaczyli. Sądząc po jej rozmiarach i po olbrzymich drzwiach na dalekim końcu, musieli wreszcie dojść do głównego wejścia do pałacu. Drzwi były matowoczarne, jakby z hebanu lub jakiegoś czarnego metalu, nie znanego w naszym świecie. Zamykały je potężne sztaby umocowane zbyt wysoko, by ich dosięgnąć, i z całą pewnością zbyt ciężkie, by je można było podnieść. Digory zastanawiał się, w jaki sposób stąd wyjdą.

Królowa puściła jego dłoń i podniosła rękę. Wyprostowała się i stała przez chwilę bez ruchu. Potem wypowiedziała kilka słów, których nie zrozumieli (ale brzmiały strasznie), i wykonała gest, jakby rzucała czymś w czarne drzwi. I oto na ich oczach te olbrzymie, ciężkie wrota rozpadły się i znikły, pozostawiając po sobie jedynie trochę pyłu na progu. Digory gwizdnął z podziwu.

- Czy ten mistrz magii, twój wuj, ma taką moc jak ja? - zapytała królowa, chwytając go ponownie za rękę. - Ale dowiem się tego później. A tymczasem zapamiętaj sobie to, co widziałeś. Taki jest los wszystkich rzeczy i ludzi, jeśli staną na mojej drodze.

Przez otwór po unicestwionych wrotach wlewało się światło tak jasne, że nie byli zaskoczeni, gdy po wyjściu z pałacu znaleźli się na otwartej przestrzeni. W twarze wionął im wiatr, chłodny, lecz jakby nieco stęchły. Stali na wielkim tarasie, a przed nimi rozciągał się ponury, rozległy krajobraz.

Tuż nad horyzontem wisiało olbrzymie, czerwone słońce, o wiele większe niż nasze. Digory pomyślał od razu, że jest również starsze od naszego: słońce u schyłku swego życia, zmęczone spoglądaniem na ten świat. Nieco powyżej słońca, na lewo od jego tarczy, płonęła samotna gwiazda, wielka i jasna. Te dwa obiekty, tworzące dziwnie posępną konstelację, były jedynymi światłami na czarnym niebie. A na ziemi, aż do widnokregu, rozciągało się potworne, martwe miasto. Świątynie, wieże, pałace, piramidy i mosty - nie kończący się labirynt ostrych kształtów rzucających długie, złowrogie cienie w świetle obumierającego słońca. Kiedyś przez miasto musiała płynąć wielka rzeka, ale woda dawno wyschła, pozostawiając tylko szeroki rów pełen szarego pyłu. -

- Przypatrzcie się dobrze temu, czego żadne oko nigdy już nie zobaczy - powiedziała królowa. - Takie było Cham, wielkie miasto, miasto króla królów, jeden z cudów tego świata, a może i wszystkich światów. Czy twój wuj panuje nad miastem tak wielkim jak to, chłopcze?

- Nie - odrzekł Digory. Zamierzał wyjaśnić, że wuj Andrzej nie włada żadnym miastem, ale królowa mówiła dalej:

- Teraz jest tu cicho. Ale stałam w tym samym miejscu, gdy powietrze pełne było odgłosów miasta Charn: stukotu obcasów i turkotu kół, trzaskania batów i jęku niewolników, łoskotu rydwanów i dudnienia ofiarnych bębnów w świątyniach. Stałam tutaj... lecz wtedy koniec był już bliski... gdy ryk bitewny unosi się w każdej ulicy, a rzeka spływała krwią. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - I w jednym momencie jedna kobieta wykreśliła je z historii na zawsze.

- Kto to był? - zapytał Digory słabym głosem, choć przeczuwał już, jaka będzie odpowiedź.

- Ja - powiedziała królowa. - Ja, Jadis, ostatnia królowa, Królowa Świata.

Dwoje dzieci stało w milczeniu, drżąc na zimnym wietrze.

- To z winy mojej siostry - mówiła dalej królowa. - To ona przywiodła mnie do tego. Niech przekleństwo wszystkich Potęg ściga ją na wieki! W każdej chwili byłam gotowa do zawarcia pokoju, tak, do pokoju i do oszczędzenia jej życia, pod warunkiem, że odda mi tron. Ale ona nie chciała. To jej duma zniszczyła ten świat. Nawet wówczas, gdy zaczęła się wojna, obie strony przyrzekły uroczyście, że nie będą używały magii. Lecz gdy ona złamała przyrzeczenie, cóż mi pozostało? Głupia! Jak gdyby nie wiedziała, że moja potęga magiczna jest większa! Wiedziała nawet to, że znam tajemnicę Żalosego Słowa. Czyżby się spodziewała., sama zawsze miała słabą wolę... że go nie użyję?

- Co to było? - zapytał Digory.

- To była największa ze wszystkich tajemnic. Od dawien dawna wszyscy wielcy królowie naszej rasy wiedzieli, że istnieje pewne słowo, które, wypowiedziane z odpowiednimi obrzędami, zniszczy cały świat prócz osoby, która je wypowie. Ale nasi starożytni królowie byli słabi i lękliwi. Zobowiązali siebie i wszystkich, którzy po nich przyjdą, do złożenia przysięgi, że nigdy nie będą poszukiwać tego słowa. A ja poznałam to słowo w tajemnym miejscu, choć zapłaciłam za to straszliwą cenę. Nigdy bym go nie wypowiedziała, gdyby ona mnie do tego nie zmusiła. Walczyłam i walczyłam, aby pokonać ją w inny sposób. Przełamam morze krwi moich wojowników...

- Potwór! - mruknęła Pola.

- ...a ostatnia wielka bitwa trwała przez trzy dni, tutaj, w Chamie. Przez trzy dni patrzyłam na to z tego oto miejsca. I nie użyłam swojej potęgi dopóty, dopóki nie padł ostatni z moich żołnierzy, a ta przeklęta kobieta, moja siostra, była już w połowie schodów wiodących na taras, na czele swoich buntowników. Czekałam, aż będzie tak blisko, że zobaczymy swoje twarze. Utkwiła we mnie swoje okropne, niktzemne oczy i powiedziała: „Zwycięstwo!” „Tak - odpowiedziałam - zwycięstwo, tylko że nie twoje”. I wtedy wypowiedziałam Żalose Słowo. W chwilę później byłam jedyną żywą istotą pod słońcem.

- A ludzie? - zapytał Digory, dysząc ciężko.

- Jacy ludzie, chłopcze?

- Wszyscy zwykli ludzie - powiedziała Pola - którzy nigdy nie zrobili ci nic złego. Mężczyźni i kobiety, dzieci i zwierzęta.

- Czy ty nie rozumiesz? - Królowa wciąż zwracała się do Digory'ego. - Ja byłam królową.

Oni byli MOIMI ludźmi. PO CÓŻ innego w ogóle istnieli, jeśli nie po to, by spełniać moją wolę?

- W każdym razie ich los był straszny - zauważył Digory.

- Zapomniałam, że jesteś tylko małym, pospolitym chłopcem. Nie możesz zrozumieć Racji Stanu. Musisz się nauczyć, moje dziecko, że to, co może być złem dla ciebie lub dla kóregokolwiek ze zwykłych ludzi, nie musi być złem dla tak wielkiej królowej jak ja. Ciężar całego świata spoczywa na naszych ramionach. Nas nie mogą dotyczyć wszystkie te prawa i zasady. Przeznaczeniem nas, wielkich samotników, są wyższe sprawy.

Digory przypomniał sobie nagle, że wuj Andrzej użył dokładnie tych samych słów. Gdy wypowiadała je królowa Jadis, brzmiały jednak jeszcze bardziej wzniosie i uroczyście, może dlatego, że wuj Andrzej nie miał dwu metrów wzrostu i nie był oszałamiająco piękny.

- I co później zrobiłaś? - zapytał.

- Już dawniej rzuciłam czar na salę, w której siedzą posągi moich przodków. Dzięki wiedzy tajemnej mogłam zasnąć wśród nich, podobna do jednej z tych figur, nie potrzebując ani jedzenia, ani ciepła. I minęło tysiąc lat, zanim ktoś przyszedł, uderzył w dzwon i obudził mnie.

- Czy to Żalodne Słowo sprawiło, że słońce jest takie?

- Jakie? - zapytała Jadis.

- Takie wielkie, czerwone i zimne.

- Zawsze takie było. W każdym razie w ciągu ostatnich setek tysięcy lat. Czy w waszym świecie słońce jest inne?

- Tak, jest mniejsze i złociste. I daje o wiele więcej ciepła.

Królowa wydała z siebie długie „a-a-a-ach!” i Digory zauważył, że na jej twarzy pojawił się ten sam pożądlivy, zły wyraz, jaki widział już na twarzy wuja Andrzeja.

- Ach, tak - powtórzyła. - A więc wasz świat jest młodszy.

Popatrzyła jeszcze raz na martwe miasto u jej stóp - a jeśli żałowała w tej chwili zniszczenia, jakiego dokonała, to nie dała tego po sobie poznać - i powiedziała:

- Czas wyruszyć w drogę. Ten świat stygnie. U schyłku dziejów robi się tu coraz zimniej.

- W drogę? Ale dokąd? - zapytały dzieci.

- Dokąd? - powtórzyła Jadis z lekkim zdziwieniem. - Oczywiście do waszego świata.

Digory i Pola spojrzeli po sobie z przerażeniem. Poli królowa nie podobała się od samego początku, a i Digory po wysłuchaniu tej opowieści czuł, że ma już dosyć. Z całą pewnością nie był to ten rodzaj osoby, którą chciałoby się zaprosić do swojego domu. A nawet gdyby chcieli, nie mieli pojęcia jak. Jednego pragnęli na pewno: opuszczenia jak najszybciej tego świata. Niestety, Pola wciąż nie mogła sięgnąć po swoją obrączkę, a Digory nie mógł, rzecz jasna, wrócić bez niej. Zaczerwienił się i wyjąkał:

- D-d-do n-n-aszego ś-ś-świata... Nie w-w-wie-działem, że chcesz się tam udać.

- A po cóż innego zostaliście tu przysłani, jeśli nie po to, aby mnie stąd zabrać?

- Jestem pewien, że nasz świat zupełnie by ci się nie spodobał - powiedział Digory. - To nie jest miejsce dla niej, prawda, Polu? Tam jest okropnie nudno, naprawdę, nie warto go nawet oglądać.

- Wkrótce będzie tam co oglądać, kiedy zacznę nim rządzić - odpowiedziała królowa.

- Och, to niemożliwe - rzekł Digory. - Tam jest zupełnie inaczej. Nie pozwolą ci, rozumiesz?

Królowa uśmiechnęła się z pogardą.

- Wielu królów sądziło, że mogą się oprzeć potędze Domu Charn. Ale wszyscy upadli, a ich imiona zostały zapomniane. Głupi chłopcze! Czy naprawdę myślisz, że ja, z moją pięknnością i magią, nie będę miała całego waszego świata u stóp, zanim minie rok? Wymówcie swoje zaklęcia i zabierzcie mnie tam natychmiast!

- To jest po prostu straszne - powiedział Digory do Poli.

- Może boisz się o swego wuja? - zapytała Jadis. - Nie obawiaj się. Jeśli odda mi należyte honory, zachowa swoje życie i tron. Nie udaję się tam, by walczyć przeciw NIEMU. Musi być naprawdę wielkim czarodziejem, jeśli odkrył, w jaki sposób was tutaj wysłać. Czy on jest królem całego waszego świata, czy tylko jego części?

- On w ogóle nie jest królem - wyjaśnił Digory.

- Kłamiesz! - zawołała królowa. - Czyż magowie nie pochodzą zawsze z królewskich rodów?

Któż słyszał o czarodzieju pospolitego pochodzenia? Znam prawdę, więc nie sil się na kłamstwa. Twój wuj jest Wielkim Królem i Wielkim Magiem waszego świata. Dzięki wiedzy tajemnej ujrzał odbicie mojej twarzy w jakimś magicznym zwierciadle albo sadzawce i porażony moją pięknnością wypowiedział potężne zaklęcie, które wstrząsnęło waszym światem aż do jego podstaw, i wysłał was poprzez przepaść

między światami, aby prosić o moje względy i przywieść mnie do niego. Odpowiedz mi: czy nie tak było?

- No... NIEZUPEŁNIE - wyjąkał Digory.

- Niezupełnie! - zawołała Pola. - Przecież to są absolutne brednie od początku do końca.

- Sługo! - wrzasnęła królowa, odwracając się z wściekłością do Poli i łapiąc ją za włosy na samym czubku głowy, tam gdzie najbardziej boli. Czyniąc to, puściła ręce obojga dzieci.

- Teraz! - zawołał Digory.

- Szybko! - zawołała Pola.

Każde wsadziło natychmiast lewą rękę do lewej kieszeni. Nie musieli zakładać obrączek na palce. Gdy tylko ich dotknęli, cały ten posępny, martwy świat zniknął im z oczu. Już unosili się w górę, a ciepłe, zielone światło nad ich głowami zbliżało się coraz szybciej.

ROZDZIAŁ 6

WUJ ANDRZEJ ZACZYNA MIEĆ KŁOPOTY

- PUŚĆ MNIE! Puść mnie! - krzyczała Pola.

- Przecież nawet cię nie dotykam! - odkrzyknął Digory.

A potem ich głowy wystrzeliły nad powierzchnię sadzawki. Ogarnął ich słoneczny spokój Lasu Między Światami, a po stęchliźnie, chłodzie i martwocie miejsca, które dopiero co opuścili, wydawał im się jeszcze bardziej bogaty, jeszcze bardziej ciepły i bardziej kojący. Myślę, że gdyby tylko im na to pozwolono, chętnie by znowu zapomnieli, kim są i skąd tutaj przybyli, i znowu leżeliby, odprężeni i szczęśliwi, półśniąc, wsłuchując się, jak rosną drzewa. Ale tym razem coś nie pozwalało im nawet o tym pomyśleć, bo gdy tylko wyszli na trawiasty brzeg, stwierdzili, że nie są sami. Królowa - albo Czarownica, bo i tak można ją nazywać - wynurzyła się z sadzawki razem z nimi, trzymając Połę mocno za włosy. Właśnie dlatego Pola krzyczała: „Puść mnie!”

Nawiasem mówiąc, ukazało to jeszcze jedną właściwość magicznych pierścieni, o której wuj Andrzej nie powiedział Digory'emu, bo sam o niej nie wiedział. Aby przeskoczyć do Innego Świata za pomocą jednego z pierścieni, wcale nie trzeba było mieć go na palcu: wystarczyło dotykać kogoś, kto dotykał pierścienia. W ten sposób działały one podobnie jak magnes, a każdy wie, że jeśli się złapie magnesem szpilkę, to przyciąga ona następne, które jej dotykają.

Lecz teraz, w Lesie, królowa Jadis wyglądała zupełnie inaczej. Była o wiele bardziej blada niż w Charnie: tak blada, że jej piękność przygasła. Przygarbiła się i z trudem oddychała; widać było, że ciepłe i bogate powietrze Lasu po prostu ją dusi. Żadne z dzieci już się jej nie bało.

- Puść mnie! Puść moje włosy! - zawołała Pola. - O co ci właściwie chodzi?

- Hej! Puść jej włosy. Natychmiast! - powiedział Digory.

Nie usłuchała od razu, ale teraz dzieci były silniejsze od niej i po krótkiej walce Pola oswobodziła się. Królowa zatoczyła się do tyłu, dysząc ciężko, a w oczach miała zgrozę.

- Szybko, Digory! - krzyknęła Pola. - Zamieniamy pierścienie i skaczemy do domowej sadzawki.

- Pomóżcie mi! Litości! - jęczała Czarownica, wlokąc się za nimi. - Zabierzcie mnie ze sobą. Nie możecie mnie zostawić w tym okropnym miejscu. To powietrze mnie zabija.

- Zapomniałaś o Racji Stanu? - zapytała Pola mściwie. - To tak jak wtedy, gdy zabiłaś tych wszystkich nieszczęśników w twoim świecie. Pospiesz się, Digory.

Włożyli już zielone obrączki na palce, ale Digory jakoś się ociągał.

- A niech to piorun strzeli! - zawołał w końcu. - Co z nią zrobić? - Żał mu było królowej i nic na to nie mógł poradzić.

- Och, nie bądź takim okropnym osłem! - odpowiedziała Pola. - Założę się, że ona tylko udaje. Choć już! Naprzód!

I schwyciwszy go za rękę, skoczyła do „domowej” sadzawki. „Jak to dobrze, że zrobiliśmy ten znak”, przemknęło jej przez głowę. Ale gdy tylko skoczyli, Digory poczuł, że jakieś mocne i zimne kleszcze złapały go za ucho. I kiedy opadali w ciemność, a wokół nich zawirowały mgliste kształty naszego świata, zrozumiał, że Czarownica trzyma go dwoma palcami za ucho, a uścisk tych palców staje się coraz mocniejszy. Na próżno Digory odpychał ją i kopał. W następnej chwili byli już w pracowni na poddaszu, a wuj Andrzej we własnej osobie stał przed nimi, osłupiały, wpatrując się w zadziwiającą istotę, którą Digory ściągnął ze sobą z Innego Świata.

I trudno mu się dziwić. Digory i Pola również wlepiali w nią spojrzenia. Nie ulegało wątpliwości, że Czarownica odzyskała swe siły, a teraz, kiedy się na nią patrzyło w naszym świecie, pośród zwykłych przedmiotów i ludzi, jej widok wprost zapierał dech w piersiach. W Chamie budziła lęk; tu, w Londynie, budziła grozę. Przede wszystkim nie zdawali sobie dotąd sprawy, jak jest naprawdę wysoka. „Po prostu aż trudno nazwać ją człowiekiem”, myślał Digory i mógł mieć rację, bo są tacy, co twierdzą, że w żyłach potomków królewskiej dynastii Charnu płynie krew olbrzymów. Ale nawet ten niezwykły wzrost nie rzucał się w oczy tak jak promieniująca z niej piękność, bezwzględność i żywotność. Mam nadzieję, że mnie zrozumiecie, jeśli powiem, że sprawiała wrażenie osoby dziesięć razy bardziej żywej niż ludzie, jakich się zwykle spotyka w Londynie. Wuj Andrzej bez przerwy kłaniał się i zacierał ręce, lecz nietrudno było zauważyć, jak bardzo jest przerażony. Przy Czarownicy wydawał się drobnym człowiekiem. A jednak - jak później mówiła Pola - w ich twarzach kryło się jakieś nieuchwytnie podobieństwo, bardziej zresztą w wyrazie niż w rysach. To coś można odnaleźć w twarzach wszystkich czarodziejów, pewne „znamie”, którego królowa Jadis nie znalazła w twarzy Digory'ego. Patrząc na te dwie niesamowite postacie, stojące naprzeciw siebie, dzieci odczuły jednak pewną ulgę: stwierdziły, że nie boją się już wuja Andrzeja. I nietrudno to zrozumieć. Łatwo bowiem przestać się bać glisty, kiedy się zobaczyło grzechotnika, lub krowy, kiedy się

spotkało oszalałego byka.

„Phi! ON... czarodziejem! - pomyślał Digory. - Wcale na takiego nie wygląda. ONA... to co innego!”

A wuj Andrzej wciąż kłaniał się i zacierał ręce. Chciał powiedzieć coś bardzo uprzejmego, ale w ustach tak mu zaschło, że nie mógł wykrztusić ani jednego słowa. Powodzenie „eksperymentu z pierścieniami”, jak to określał, przewyższyło jego oczekiwania do tego stopnia, że poczuł się co najmniej nieswojo. Bo chociaż zajmował się magią od lat, zawsze starał się (o ile to tylko możliwe) pozostawiać innym wszystkie niebezpieczne strony tych eksperymentów. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się coś takiego jak to.

W końcu przemówiła Jadis. Nie podniosła głosu, ale coś w nim sprawiło, że cały pokój zadrżał.

- Gdzie jest ten czarodziej, który wezwał mnie tu z Innego Świata?

- Och... och... pani... - zaczął się jąkać wuj Andrzej. - Jestem wielce zaszczycony... niesłychanie zadowolony... to naprawdę zupełnie nieoczekiwane szczęście... gdybym tylko miał sposobność dokonać uprzednio jakichś przygotowań... ja...

- Gdzie jest czarodziej, głupcze? - powtórzyła Jadis.

- To ja... ja nim jestem, pani. Mam nadzieję, że wybaczysz wszystkie... e-e-e... nieuprzejmości, na jakie te dzieci mogły sobie pozwolić. Zapewniam cię, pani, że nie było moją intencją...

- Ty?! - przerwała mu królowa jeszcze bardziej strasznym głosem. A potem jednym szybkim krokiem zbliżyła się do niego, schwyciła go za siwe włosy i odchyliła mu głowę do tyłu, badając spojrzeniem jego twarz, tak jak to zrobiła z Digorym w Chamie. Przez cały czas wuj Andrzej mrugał oczami i nerwowo oblizywał sobie wargi. W końcu puściła go tak gwałtownie, że zatoczył się na ścianę i upadł.

- Ach, tak - powiedziała pogardliwie. - Rzeczywiście jesteś swojego rodzaju czarodziejem. Wstań, psie, i nie rozwalaj się tak, jakbyś rozmawiał z równym sobie. W jaki sposób poznałeś magię? Nie pochodzisz z królewskiego rodu - to mogę przysiąc.

- No więc... aha... tak, to znaczy nie w ścisłym sensie - wyjąkał wuj Andrzej. - Z niezupełnie królewskiego. Ketterleyowie są jednak bardzo starym rodem. To stary ród z Dorsetshire, pani.

- Dosyć! - uciszyła go Czarownica. - Widzę przecież, kim jesteś. Jesteś małym, domorosłym czarodziejem, który poznał magię z ksiąg i zajmuje się odnajdywaniem

pewnych jej praw. W twojej krwi i w twoim sercu nie ma żadnej magii. W moim świecie z tym rodzajem magów skończyliśmy jakieś tysiąc lat temu. Ale tutaj pozwolę ci być moim sługą.

- Byłbym niezmiernie szczęśliwy... wprost zachwycony, gdybym mógł się na coś przydać... t-t-to naprawdę w-w-wielkie szczęście, zapewniam...

- Dosyć! Mówisz o wiele za dużo. Wysłuchaj swego pierwszego zadania. Widzę, że jesteśmy w dużym mieście. Postaraj się natychmiast o rydwan lub latający dywan albo o dobrze wytresowanego smoka czy coś innego, czym zwykle poruszają się osoby krwi królewskiej w waszym kraju. A potem zaprowadź mnie do miejsc, w których mogę dostać suknie, klejnoty i niewolników. I żeby wszystko było godne mojej osoby. Jutro rozpocznę podbój tego świata.

- Ja... ja... ja zaraz pójdę i sprowadzę dorożkę

- powiedział wuj Andrzej prawie szeptem, dysząc ciężko.

- Stój - rzekła Czarownica, gdy był już u drzwi.

- Niech ci się nie marzy jakaś zdrada. Widzę przez ściany i bez trudu odczytuję czyjeś myśli. Będę cię śledzić, gdziekolwiek będziesz. Przy pierwszym objawie nieposłuszeństwa rzucę na ciebie takie zaklęcie, że na czymkolwiek usiądziesz, będziesz się czuł tak, jakbyś siedział na rozpalonym do czerwoności żelazie, a za każdym razem, gdy się położysz do łóżka, będziesz czuł niewidzialne bryły lodu u swych stóp. A teraz idź.

Stary wuj wyszedł, a wyglądał jak zbity pies z podwiniętym ogonem.

Dzieci zaczęły się bać, że Jadis zechce pomówić z nimi o tym, co się wydarzyło w Lesie. A jednak ani teraz, ani później o tym nie wspomniała. Myślę (a Digory sądzi podobnie), że jej pamięć w ogóle nie była w stanie zanotować tego spokojnego miejsca, i niezależnie od tego, ile razy i jak długo by tam przebywała, nic by o tym nie wiedziała. A zresztą teraz, gdy została sama z dziećmi, nie zwracała na żadne z nich najmniejszej uwagi. To też było bardzo w jej stylu. W Chamie nie zwracała uwagi na Połę, bo tam Digory'ego chciała użyć do swoich celów. Teraz rolę tę przejął wuj Andrzej, więc Digory przestał dla niej istnieć. Sądzę, że większość czarownic zachowuje się w podobny sposób. Nie interesują się rzeczami i ludźmi, jeśli nie chcą lub nie mogą ich użyć. Można powiedzieć, że są okropnie praktyczne. Tak więc w pokoju zapanowała cisza, trwająca minutę lub dwie. Jedyne po sposobie, w jaki Czarownica stukała obcasem w podłogę, można było wywnioskować, że zaczyna się niecierpliwić.

Nagle odezwała się, jakby do siebie:

- Co ten stary głupiec robi? Powinnam zabrać ze sobą bat. - I wyszła dumnym krokiem z pracowni na poszukiwanie wuja Andrzej.

- Uff! - Pola odetchnęła z ulgą. - No, a teraz muszę lecieć do domu. Jest strasznie późno.

- Ale wróć, jak tylko będziesz mogła - rzekł Digory. - To wszystko jest po prostu upiorne. Musimy się zastanowić, co z nią zrobić.

- Teraz to niech już twój wuj się o to martwi. To on zaczął całą tę głupią zabawę z magią.

- W każdym razie wrócisz, prawda? Przecież nie możesz mnie zostawić samego w takich tarapatach!

- Pójdę do domu tunelem - powiedziała Pola nieco chłodnym tonem. - Tak będzie najszybciej. A jeśli chcesz, żebym wróciła, to może byś mnie najpierw przeprosił?

- Przeprosił? - zdziwił się Digory. - Och, te dziewczyny! Co takiego znowu zrobiłem?

- Och, nic, oczywiście, oprócz tego, że prawie wykręciłeś mi rękę w tamtej sali z woskowymi figurami, jak mały, tchórzliwy tyran. Nic oprócz tego, że uderzyłeś w ten dzwon młotkiem, jak głupi wariat. Nic oprócz tego, że odwróciłeś się plecami w Lesie, tak że miała czas złapać cię za ucho, zanim skoczyliśmy do sadzawki. To wszystko.

- Och! - Digory był wyraźnie zaskoczony. - No dobrze, przepraszam cię. I naprawdę przykro mi za to, co się stało w sali z figurami woskowymi. No, przecież powiedziałem „przepraszam”. A teraz zachowaj się po ludzku i wróć. Jeśli nie wrócisz, będę w okropnej sytuacji.

- Nie rozumiem, co ci się może stać? To przecież pan Ketterley ma siedzieć na rozpalonym do czerwoności żelazie i spać z bryłą lodu w łóżku, czy nie?

- Nie o to chodzi. Po prostu martwię się o matkę. Przypuśćmy, że ta wiedźma wejdzie do jej pokoju. Może ją naprawdę śmiertelnie przestraszyć. Mama jest bardzo chora.

- Och, rozumiem - powiedziała Pola nieco innym tonem. - W porządku. Nazwijmy to zawarciem pokoju. Wróć, jeśli tylko będę mogła. Ale teraz muszę lecieć.

I weszła przez małe drzwiczki do tunelu, a to ciemne miejsce pomiędzy krokwiemi, które wydawało się tak niepokojące i pełne przygód jeszcze kilka godzin temu, stało się bardziej swojskie i spokojne.

Musimy teraz wrócić do wuja Andrzeja. Biedne, stare serce podchodziło mu do gardła, gdy schodził chwiejnie po schodach z poddasza, wycierając wciąż czoło chusteczką. Kiedy doszedł do swojej sypialni, zamknął się w niej na klucz. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było wyłowienie z szafy butelki i szklanki, które schował tam przed ciotką Letycją. Nalał sobie do pełna jakiegoś ohydny płynu dla dorosłych i wypił go jednym haustem. Potem głęboko odetchnął.

- Daję słowo! - powiedział do siebie. - Jestem straszliwie wstrząśnięty. Jestem całkowicie rozstrojony. I to w moim wieku!

Nalał drugą szklankę, wypił i zaczął się przebierać. Nigdy nie widzieliście takiego stroju, ale ja go po prostu pamiętam. Założył na szyję bardzo wysoki, błyszczący i sztywny kołnierzyk z rodzaju tych, które zmuszają do trzymania brody cały czas wysoko. Włożył białą kamizelkę w delikatny deseń i zawiesił z przodu złoty łańcuszek od zegarka. Włożył swój najlepszy surdut, którego używał tylko z okazji ślubów i pogrzebów. Wyjął swój najlepszy cylinder i wyczyścił go starannie. Na stole stał wazon z kwiatami (przyniesiony tu przez ciotkę Letycję); wziął jeden kwiatek i włożył go do butonierki. Z szuflady w komodzie wyciągnął czystą chusteczkę do nosa (cudowną, jakiej dziś się już nie dostanie) i skropił ją lekko wodą kolońską. Wydobył monokl z grubą, czarną tasiemką i wetknął go sobie w oczodół. A potem spojrzął na swoje odbicie w lustrze.

Jak dobrze wiecie, dzieci bywają głupie na swój sposób, a dorośli na swój sposób. W tym momencie wuj Andrzej zaczął być głupi w bardzo dorosły sposób. Ponieważ w pokoju, w którym obecnie przebywał, nie było Czarownicy, szybko zapomniał, jak potwornie się jej bał, za to cały był pochłonięty jej oszałamiającą pięknnością. Powtarzał sobie: „Piekielnie ładna kobieta, mój panie, piekielnie ładna kobieta. Nieziemskie stworzenie!” Zdołał też jakoś zapomnieć, że to dzieci sprowadziły owo „nieziemskie stworzenie” do jego domu; wydawało mu się, że to on sam, mocą swojej magii, wezwał ją z jakiegoś nieznanego świata.

- Andrzeju, stary chłopie - powiedział do swego odbicia w lustrze - jesteś diabelnie dobrze trzymającym się gościem, jak na swój wiek. Jesteś po prostu dystyngowanym dżentelmenem, mój panie, ot co.

Jak widzicie, stary głupiec zaczynał sobie wyobrażać, że Czarownica się w nim zakocha. Prawdopodobnie miały z tym coś wspólnego owe dwie szklaneczki, a także jego najlepsze ubranie. A poza tym wuj Andrzej był próżny jak paw; właśnie dlatego został czarodziejem.

Otworzył drzwi, zeszedł na dół, kazał służącej (w tych czasach ludzie często mieli służących) przywołać dwukólkę i *zajrzał* do saloniku. Tu, jak się spodziewał, zastał ciotkę Letycję, naprawiającą na klęczkach stary materac leżący na podłodze przy oknie.

- Ach, moja droga Letycjo - powiedział - muszę... e-e-e... wyjść. Jeśli chcesz być dobrą dziewczynką, to pożycz mi z pięć funtów.

- Nie, mój drogi Andrzeju - odparła ciotka Letycja swoim mocnym, spokojnym głosem, nie odrywając się od naprawy materaca. - Mówiłam ci już niezliczoną ilość razy, że NIE BĘDĘ ci pożyczać pieniędzy.

- Bardzo cię proszę, moja kochana dziewczynko, tylko nie bądź przykra. To bardzo ważna sprawa. Postawisz mnie w piekielnie ciężkiej sytuacji, jeśli mi nie pożyczysz.

- Andrzeju - powiedziała ciotka Letycja, tym razem patrząc mu prosto w oczy - dziwię się, że nie wstyd ci prosić MNIE o pieniądze.

Za tymi słowami kryła się długa, nudna historia ze świata dorosłych. Wystarczy, jeśli będziecie wiedzieć, że wuj Andrzej, „zajmując się sprawami finansowymi drogiej Letycji” i nigdy nic nie robiąc, a w dodatku zamawiając wielkie ilości trunków i cygar (za co rachunki musiała oczywiście płacić ciotka), w ciągu trzydziestu lat doprowadził jej majątek do oplakanego stanu.

- Moja kochana dziewczynko - rzekł wuj Andrzej - nie rozumiesz, o co tu chodzi. Będę miał dzisiaj pewne nieoczekiwane wydatki. Muszę urządzać małe przyjęcie. No, proszę cię, nie bądź przykra.

- A kogóż to, jeśli wolno wiedzieć, zamierzasz przyjmować, Andrzeju? - zapytała ciotka.

- W-w-właśnie odwiedziła mnie niesłychanie wybitna osobowość.

- Niesłychane bzdury! - zawołała ciotka Letycja. - W ciągu ostatniej godziny nikt nie dzwonił do drzwi.

W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie. Ciotka Letycja spojrzała i ku swemu zdumieniu zobaczyła na progu niezwykle wysoką kobietę we wspaniałej szacie, z nagimi ramionami i płonącymi oczami. Była to Czarownica.

ROZDZIAŁ 7

CO SIĘ WYDARZYŁO PRZED DOMEM

- Niewolniku, jak długo mam czekać na rydwan? - zagrział głos Czarownicy. Wuj Andrzej bez słowa czmychnął do najdalszego kąta pokoju. Teraz, gdy ją ponownie zobaczył, wszystkie głupie myśli, jakie mu przychodziły do głowy przed lustrem, wywietrzały w jednej chwili jak kamfora. Natomiast ciotka Letycja wstała z materaca i stanęła na środku salonu.

- Czy możesz mi wyjaśnić, Andrzeju, kim jest ta młoda osoba? - zapytała lodowatym tonem.

- To wybitny gość z zagranicy... b-b-bardzo ważna osobistość - wyjąkał wuj.

- Bzdury! - krzyknęła ciotka i zwróciła się do Czarownicy: - Wynoś się natychmiast z mojego domu, bezwstydnico, albo wezwę policję! - Była przekonana, że Jadis pracuje w cyrku i nie mogła zaakceptować jej nagich ramion.

- Kim jest ta kobieta? - zapytała Jadis. - Na kolana, służko, zanim cię unicestwię!

- Tylko nie radzę używać w tym domu takich mocnych słów, młoda osobo - odpowiedziała ciotka.

Królowa odchyliła się nieco do tyłu, a jej oczy miały błyskawice. Wujowi Andrzejowi wydawało się, że jest teraz jeszcze wyższa niż przedtem. Wyciągnęła rękę w tym samym geście i wyrzekła te same strasznie brzmiące słowa, które zamieniły w pył pałacowe wrota w Chamie. Ale nic się nie wydarzyło prócz tego, że ciotka Letycja powiedziała:

- Tak właśnie myślałam. Ta kobieta jest pijana. Kompletnie pijana! Po prostu nie może już wyraźnie mówić.

Musiała to być straszna chwila dla Czarownicy, gdy nagle zrozumiała, że jej moc zamieniania ludzi w pył tak rzeczywista w jej świecie, w tym po prostu przestała działać. Ani na chwilę nie straciła jednak opanowania. Nie marnując czasu na zastanawianie się nad swoim niepowodzeniem, skoczyła do przodu, schwyciła ciotkę Letycję za szyję i kolana, uniosła wysoko, jakby nieszczęsna kobieta była zwykłą lalką, i rzuciła przez pokój. Kiedy ciotka Letycja jeszcze leciała w powietrzu, służąca (dla której to przedpołudnie zaczynało być cudownie intrygujące) wsadziła głowę przez uchylone drzwi i powiedziała:

- Powóz już przyjechał, proszę pana.

- Prowadź, niewolniku - zwróciła się Czarownica do wuja Andrzeja. Ten zaczął

mruczeć coś o „godnej pożałowania przemocy” i o „stanowczych protestach”, lecz jedno spojrzenie Jadis uciszyło go natychmiast. Wyszli razem z pokoju, a potem z domu; Digory zbiegał właśnie ze schodów, gdy zamykały się za nimi drzwi.

- O rety! - zawołał. - Wyrwała się do Londynu. I to z wujem Andrzejem! Nie mam zielonego pojęcia, co się teraz stanie.

- Och, paniczku Digory - powiedziała służąca (dla której ten dzień był naprawdę cudowny) - myślę, że panna Ketterley coś sobie zrobiła. - Oboje weszli do salonu, zęby zobaczyć, co się stało.

Gdyby ciotka Letycja upadła na gołą podłogę albo nawet na dywan, jestem pewien, że połamałaby sobie wszystkie kości, ale szczęśliwym trafem spadła na materac. Jak wiele starych ciotek w owych czasach, była bardzo gruba i pulchna. Po kilku minutach, gdy podano jej sole trzeźwiące, oznajmiła, że prócz kilku siniaków jest zdrowa i cała. I od razu zapanowała nad sytuacją.

- Saro - zwróciła się do służącej (która nigdy jeszcze nie przeżyła tak cudownego dnia) - idź zaraz na posterunek policji i powiedz im, że jest tutaj jakaś wielka, niebezpieczna lunatyczka. Sama zaniosę obiad pani Kirke. - Pani Kirke była, rzecz jasna, matką Digory'ego.

Kiedy matka została nakarmiona, Digory i ciotka Letycja sami zjedli obiad. A później chłopiec zaczął się gorączkowo zastanawiać, co robić dalej.

Główny problem polegał na tym, w jaki sposób - i to jak najprędzej - przenieść Czarownicę z powrotem do jej świata lub w każdym razie wysłać gdzieś z naszego. Na razie za wszelką cenę nie można jej pozwolić na miotanie się po całym domu. Matka nie może jej zobaczyć. Jeśli to możliwe, trzeba też coś zrobić, aby nie szalała po Londynie. Digory'ego nie było przy nieudanej próbie unicestwienia ciotki Letycji, natomiast widział, jak zniknęły wrota pałacu w Chamie. Znał więc jej straszliwą moc, ale nie wiedział, że utraciła ją, przybywając do naszego świata. Wiedział też, że zamierza podbić nasz świat. Wyobrażał sobie, że właśnie w tej chwili mogła unicestwić Pałac Buckingham lub Parlament, a uprzednio zamienić sporą liczbę policjantów w małe kupki prochu. Nie miał pojęcia, co z tym wszystkim począć. „Ale przecież te pierścienie działają tak jak magnes - pomyślał. - Jeżeli tylko zdołam jej dotknąć i szybko włożę ten żółty, oboje przeniesiemy się do Lasu Między Światami. Ciekawe, czy znowu tak osłabnie? Czy samo to miejsce tak na nią *działa*, czy może był to skutek wstrząsu po wyrwaniu się z tamtego świata? W każdym razie chyba będę musiał zaryzykować. Ale jak tu teraz odnaleźć potwora? Ciotka na pewno nie wypuści

mnie z domu, dopóki jej nie powiem, dokąd idę. Mam tylko dwa pensy. Potrzebuję mnóstwo pieniędzy na autobusy i tramwaje, jeżeli mam jej szukać po całym Londynie. I w ogóle nie mam zielonego pojęcia, gdzie jej szukać. Czy wuj Andrzej wciąż jej towarzyszy?”

W końcu doszedł do wniosku, że jedyne, co mu pozostało, to czekać, w nadziei, iż wuj Andrzej i Czarownica sami wrócą do domu. Jeśli wrócą, musi szybko wybiec na ulicę, złapać Czarownicę i włożyć złoty pierścień, zanim ta wiedźma zdoła wejść do domu. Oznaczało to, że musi pilnować drzwi wejściowych jak kot mysiej dziury: nawet na chwilę nie wolno mu zejść z posterunku. Poszedł więc do jadalni i przykleił nos do szyby w oknie w owalnym wykuszu, z którego mógł widzieć schodki przed wejściem i ulicę w obie strony: nikt nie mógł więc podejść do drzwi wejściowych nie zauważony przez Digory'ego. „Ciekaw jestem, co robi Pola” - pomyślał.

Zastanawiał się nad tym prawie pół godziny. Czas włókł się niemiłosiernie. Ale wy nie musicie się zastanawiać tak długo, bo zaraz wam o tym powiem. Pola spóźniła się na obiad i w dodatku miała przemoczone buty i skarpetki. Kiedy ją zapytano, gdzie była i co - „na miłość boską” - robiła, odpowiedziała, że była na dworze z Digorym. Wypytywana dalej wyznała, że zamoczyła nogi w sadzawce, a ta sadzawka znajduje się w lesie. Na pytanie, gdzie jest ten las, nie potrafiła odpowiedzieć. Gdy ją zapytano, czy jest w którymś z parków, odrzekła - nie bardzo mijając się z prawdą - że można to nazwać parkiem. Jej matka wywnioskowała z tego wszystkiego, że Pola wyszła z domu, nie mówiąc o tym nikomu, udała się do nie znanej jej dzielnicy Londynu i w jakimś dziwnym parku zabawiała się wskakiwaniem do kałuży. W rezultacie Pola dowiedziała się, że jest nieznośną dziewczyną i że nie będzie jej wolno bawić się z „tym chłopakiem od Ketterleyów”, jeśli podobne rzeczy jeszcze raz się powtórzą. Potem dostała obiad, ale bez jego najlepszych części, i wysłano ją do łóżka na dwie bite godziny. W owych czasach takie rzeczy zdarzały się dzieciom dość często.

Tak więc, podczas gdy Digory wyglądał przez okno w jadalni, Pola leżała w łóżku, a oboje rozmyślali nad tym, jak okropnie wolno wlecze się niekiedy czas. Jeśli o mnie chodzi, to wolałbym raczej być na miejscu Poli. W końcu musiała jedynie czekać, aż miną te dwie godziny, natomiast Digory co chwila słyszał turkot dorożki czy wozu piekarza za rogiem i myślał: „O, już jedzie!” i za każdym razem okazywało się, że to nie Czarownica. A pomiędzy tymi fałszywymi alarmami zegar tykał i tykał, a jakaś wielka mucha objęła się z głośnym bzykaniem o szybę, zbyt jednak wysoko, by można jej było dosięgnąć. Był to jeden z tych domów, które po południu robią się bardzo

senne i nudne, a zawsze pełne są zapachu baraniny.

Podczas tego długiego wyczekiwania i wyglądania zdarzyła się pewna drobna rzecz, o której wspomnę, bo później nabierze dużego znaczenia. Przyszła jakaś kobieta z winogronami dla jego matki, a ponieważ drzwi do jadalni były otwarte, Digory słyszał rozmowę, jaką prowadziła z nią ciotka Letycja.

- Co za piękne winogrona! - rozległ się głos ciotki. - Jestem pewna, że gdyby cokolwiek mogło jej pomóc, to właśnie te winogrona. Biedna, kochana mała Mabel! Niestety, obawiam się, że tylko owoce z Kraju Młodości mogłyby jej pomóc. W TYM świecie niewiele już jej pomoże.

Gdyby Digory usłyszał to zdanie o Kraju Młodości kilka dni wcześniej, pomyślałby, że ciotka Letycja nie ma nic szczególnego na myśli, jak to często bywa z dorosłymi, i wcale by go to nie zainteresowało. Nawet teraz w pierwszej chwili nie zwrócił na to większej uwagi. Lecz nagle błysnęła mu w głowie myśl, że przecież wie już (nawet jeśli ciotka Letycja o tym nie wiedziała), iż naprawdę istnieją inne światy - sam przecież był w jednym z nich. A jeśli tak, to gdzieś może istnieć prawdziwy Kraj Wiecznej Młodości. Może istnieć prawie wszystko! W jakimś innym świecie mogą rosnać owoce, które naprawdę mogłyby uleczyć jego matkę! Sami wiecie, co człowiek czuje, gdy zacznie mieć nadzieję na coś, czego naprawdę rozpaczliwie pragnie; nieomal walczy z tą nadzieją, bo jest zbyt piękna, by mogła być prawdziwa - nadzieje tyle razy już go zawiodły! Tak właśnie czuł teraz Digory. Ale nie chciał bynajmniej pozbywać się swej niespodziewanej nadziei. Przecież to może być... naprawdę, naprawdę, to może być prawda! Tyle niezwykłych rzeczy już się wydarzyło. Ma przecież magiczne pierścienie.

Przez każdą z tych sadzawek w lesie na pewno można dostać się do jakiegoś innego świata. Można je zwiedzać po kolei. Aż wreszcie, wreszcie to się stanie: MAMA ZNOWU BĘDZIE ZDROWA. Znowu wszystko będzie dobrze. Zupełnie zapomniał o pilnowaniu powrotu Czarownicy. Jego ręka już wędrowała ku kieszeni, w której spoczywała żółta obrączka, gdy nagle usłyszał stukot kopyt galopującego konia. „Ojej! Co to takiego? - pomyślał. - Wóz straży ogniowej? Ciekaw jestem, gdzie się pali. O holender! Jadą tutaj! Nie, to przecież ONA!”

Nie muszę wam chyba mówić, kogo miał na myśli. Najpierw pojawił się dwukołowy powóz. Na koźle nie było nikogo. A na dachu - wyprostowana, wygięta w niesamowity sposób, gdy powóz w pełnym pędzie zakręcał na rogu - stała królowa Jadis, postrach Charnu. Rozchylone wargi ukazywały lśniące zęby, oczy płonęły

dzikim ogniem, długie włosy powiewały za nią jak ogon komety. W ręku trzymała bat, którym okładała biedne zwierzę bez litości. Nozdrza konia były czerwone i szeroko rozdęte, a boki pokrywała piana. W szalonym galopie dobiegł do ich domu, mijając latarnię zaledwie o cal, i zatrzymał się gwałtownie prawie w miejscu, ściągnięty morderczym szarpnięciem lejców. Powóz uderzył w latarnię i rozleciał się na kawałki. W ostatniej chwili Czarownica skoczyła w niewiarygodny sposób i wylądowała zręcznie na grzbiecie konia. W mgnieniu oka dosiadła go okrakiem, nachyliła się i szepnęła coś prosto do jego ucha. Nie mam pojęcia, co mu powiedziała, ale z całą pewnością nic, co by go uspokoiło. Stał dęba, wstrząsając grzywą, i zarżał głośno, a przypominało to bardziej wycie niż rzenie konia. Tylko naprawdę doskonały jeździec mógł się teraz utrzymać na jego grzbiecie.

Zanim Digory odzyskał oddech, zaczęło się dzieć wiele innych rzeczy. Tuż za szczątkami dwukółki zatrzymała się druga, z której wyskoczył jakiś tęgi jegomość w surducie oraz policjant. Potem nadjechała trzecia, a wyskoczyło z niej znowu trzech policjantów. Za nią nadjechało na rowerach około dwudziestu ludzi (w większości chłopców na posyłki), wrzeszcząc i gwizdząc. Na samym końcu pojawił się tłum pieszych; wszyscy byli zgrzani długim biegiem, ale najwyraźniej bardzo uradowani. We wszystkich domach pootwierały się z trzaskiem okna, a w każdych drzwiach pojawiły się służące, kucharki i pokojówki.

Tymczasem ze szczątków pierwszej dorożki zaczął się wygrzebywać jakiś starszy pan. Kilkunastu ludzi rzuciło się, aby mu pomóc, ale każdy ciągnął go w inną stronę, więc prawdopodobnie szybciej by stanął na

nogach o własnych siłach. Digory podejrzewał, że to wuj Andrzej, lecz nie mógł dostrzec jego twarzy, bo przykrywał ją całkowicie cylinder wbity na głowę po samą szyję.

Digory wypadł z domu i wmieszał się w tłum.

- To ta kobieta! To ta kobieta! - wrzeszczał gruby jegomość, wskazując na Jadis.
- Czyńcie swoją powinność, konstablu. Wyniosła z mojego sklepu towarów za tysiące funtów. Spójrzcie na ten sznur pereł na jej szyi. Jest mój. I podbiła mi oko.

- Tak jest, panie starszy, nie da się ukryć! - zawołał ktoś z tłumu. - To najpiękniej podbite oko, jakie widziałem w życiu! Dobra robota, nie ma co! Ale ta baba ma krzepę!

- Powinien pan od razu przyłożyć na to kawał surowego befsztyka, to najlepsze, co może być - radził chłopiec od rzeźnika.

- Cisza! - zawołał najważniejszy z policjantów. - Co tu się właściwie dzieje?

- Właśnie mówię, że ona... - zaczął grubas, gdy ktoś krzyknął:

- Nie pozwólcie uciec temu gościowi z dorożki! To on ją przywiózł!

Starszemu panu, który bez wątpienia był wujem Andrzejem, właśnie udało się stanąć na nogach.

- A więc - policjant zwrócił się teraz do niego

- co to wszystko znaczy?

- Omfly - pomfly - szomf - odpowiedział głos wuja spod cylindra.

- Tylko bez żartów - rzekł policjant surowo.

- Zaraz się pan przekona, że to wcale nie jest takie śmieszne. Proszę zdjąć ten kapelusz. Jasne?

Łatwiej było powiedzieć, niż wykonać. Przez jakiś czas wuj Andrzej mocował się bezskutecznie ze swoim cylindrem, aż w końcu dwóch policjantów schwyciło za rondo i pomogło mu się od niego uwolnić.

- Dziękuję, dziękuję - wyjąkał wuj słabym głosem. - Dziękuję. Och, jestem zupełnie rozbity. Gdyby ktoś mógł podać mi szklaneczkę brandy...

- Teraz posłuchajcie, co ja mówię, jasne? - przerwał mu policjant, wyjmując bardzo duży notes i bardzo mały ołówek. - Czy ta młoda dama jest pod pańską opieką?

- Uwaga! - rozległo się jednocześnie kilka głosów. Policjant w ostatniej chwili uratował sobie życie, uskakując spod kopyt konia, który ponownie stanął dęba. Czarownica zawróciła go w miejscu pyskiem w stronę tłumu. W ręku miała długi, błyszczący nóż, którym odcinała uprząż łączącą konia z resztkami powozu.

Przez cały czas Digory usiłował znaleźć odpowiednią pozycję, umożliwiającą mu dotknięcie Czarownicy. Nie było to wcale proste, bo z tej strony cisnęło się zbyt wielu ludzi. Aby znaleźć się po drugiej stronie, musiałby przejść między kopytami konia a żelaznymi sztachetami przed domem (dom państwa Ketterleyów miał suterene). Jeżeli znało się choć trochę na koniach, a zwłaszcza kiedy się widziało, w jakim stanie był ten koń, wykonanie takiego manewru stawało się dość nieprzyjemną sprawą. Digory wiedział wiele o koniach, ale zacisnął zęby, gotów rzucić się naprzód w odpowiednim momencie.

Jakiś mężczyzna o czerwonej twarzy, w meloniku na głowie, przecisnął się przez tłum i stanął przed policjantem.

- Szacunek, panie posterunkowy - powiedział. - Ten koń, na którym ona siedzi,

należy do mnie, także samo jak ta drynda, którą rozwaliła w drzazgi.

- W swoim czasie, w swoim czasie - odpowiedział mu policjant.

- Ale tu nie ma na co czekać, panie konstablu. Znam tego konia jak swoją starą. To nie jest zwykła szkapa. Jej ojciec był normalnym oficerskim rumakiem w kawalerii Jej Królewskiej Mości. I jeśli ta paniusia będzie go wciąż denerwowała, to będą trupy. Zaraz po niego pójde.

Policjant uznał to za dobrą okazję, by cofnąć się trochę dalej od konia. Dorożkarz zrobił krok naprzód, spojrział na Jadis i powiedział dość uprzejmym tonem:

- No, panienko, teraz go złapię u pyska, a ty złaź. Jesteś damą i chyba nie chcesz mieć przykrości, nie? Dobrze ci zrobi, jak pójdziesz do domu, wypijesz kubek herbaty i trochę się położysz. Od razu poczujesz się lepiej. - I wyciągnął rękę ku pyskowi konia, mruczając: - Spokojnie, Truskawku, spokojnie, stary.

- Psie! - rozległ się zimny, czysty głos, dźwięczący jak stal ponad wrzawą tłumu.

- Psie, zabierz rękę z naszego królewskiego rumaka! Jestem cesarzową Jadis.

ROZDZIAŁ 8

WALKA POD LATARNIĄ

- HO-HO! Cysarzowa! To się zobaczy! - odezwał się jakiś głos z tłumu, a potem inny głos zawołał:

- Niech żyje cesarzowa Colney Hatch!*¹ Duża część tłumu ryknęła ochoczo:

- Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

Na twarzy Czarownicy pojawił się rumieniec. Lekko skinęła głową. Ale wiwaty utonęły w głośnym śmiechu i wkrótce zrozumiała, że robią sobie z niej pośmiewisko. Wyraz jej twarzy raptownie się zmienił. Przełożyła nóż do lewej ręki, a potem, bez żadnego ostrzeżenia, zrobiła coś, co uciszyło tłum w jednej chwili. Swobodnie, bez wysiłku, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem, wciągnęła rękę i wyłamała jedną z żelaznych sztab, wspierających latarnię na słupie. Jeśli w tym świecie utraciła część swoich czarnoksiężskich zdolności, to z pewnością nie straciła swej siły: mogła złamać żelazną sztabę, jakby to była pałeczka z cukru. Podrzuciła swoją nową broń wysoko w górę, złapała ją i ściągnęła wodze tak, że koń znowu stanął dęba.

„Teraz albo nigdy”, pomyślał Digory i błyskawicznie prześliznął się między koniem a żelaznym ogrodzeniem. Gdyby tylko koń uspokoił się na chwilę, mógłby złapać Czarownicę za nogę. Nagle rozległ się straszny trzask i głuchy odgłos upadku. Czarownica uderzyła sztabą w hełm policjanta, który padł na ziemię jak kręgiel trafiony kulą.

- Szybko, Digory! Trzeba z tym skończyć! - odezwał się jakiś głos tuż obok niego. To była Pola. Przybiegła, gdy tylko pozwolono jej wstać z łóżka.

- Nie zawiodłaś! - odpowiedział Digory stłumionym głosem. - Trzymaj się mnie. Zaraz będziesz musiała użyć pierścienia. Pamiętaj - żółty! I nie dotykaj go, dopóki nie krzyknę.

Rozległ się drugi trzask i jeszcze jeden policjant upadł na ziemię. Z tłumu zabrzmiały gniewne okrzyki:

- Ściągnijcie ją z konia! Wyrwijcie parę brukowców! Wezwijcie wojsko!

Ale większość gapiów starała się znaleźć jak najdalej konia. Tylko dorożkarz okazał odwagę i trzymał się wciąż blisko, uskakując i uchylając się przed sztabą, lecz wciąż próbując złapać Truskawka za uzdę przy pysku.

Z tłumu znowu odezwały się wrzaski i gwizdy. Nad głową Digory'ego przeleciał

¹* Colney Hatch to nazwa zakładu dla umysłowo chorych, który istniał w Londynie pod koniec XIX wieku (przyp. tłum)

ze świstem kamień. A potem rozległ się głos Czarownicy, czysty i donośny jak dzwon:

- Nędzny motłoch! Drogo mi za to zapłacicie, kiedy podbiję wasz świat. Z tego miasta nie zostanie kamień na kamieniu. Uczynię z nim to, co uczyniłam z Chamem, z Felindą, z Sorlojem, z Bramandinem.

Digoremu udało się wreszcie schwycić ją za kostkę, lecz potężne kopnięcie prawie zważyło go z nóg. Puścił jej nogę, czując krew w ustach. Gdzieś z pobliza dobiegł go drżący pisk wuja Andrzeja:

- Pani! Moja droga młoda damo! Na miłość boską, opamiętaj się!

Digory znów schwycił ją za nogę i znowu został odtrącony na ziemię. Żelazna sztaba świstała w powietrzu, powalając coraz to nowe ofiary. Skoczył po raz trzeci i schwycił ją za piętę, zaciskając kuczowo palce aż do bólu.

- Naprzód! - wrzasnął do Poli.

Nareszcie! Rozgniewane i przerażone twarze znikły. Rozgniewane i przerażone głosy ucichły. Wszystkie - prócz głosu wuja Andrzeja. Tuż obok Digory'ego rozlegał się w ciemności jego żalony lament:

- Och! Och! Czy to delirium? Czy to już koniec? Dłużej tego nie zniosę. To nieuczciwe. Nigdy nie zamierzałem być czarodziejem. To jakieś nieporozumienie. To wszystko wina mojej matki chrzestnej. Protestuję. W moim stanie zdrowia. Bardzo stara rodzina z Dorsetshire.

„A niech to dunder świśnie! - pomyślał Digory. - Wcale nie mieliśmy zamiaru zabierać JEGO. Ojej, ale cyrk!”

- Czy jesteś tu, Polu?

- Tak, jestem. Nie rozpychaj się tak.

- Przecież nie... - zaczął Digory, ale nie skończył, bo ich głowy wynurzyły się w ciepłej, zielonej poświacie Lasu. A kiedy wygramolili się z sadzawki, Pola zawołała:

- Och, zobacz! Ściągnęliśmy tu również tego starego konia! I pana Ketterleya. I dorożkarza. A to ci heca!

Gdy tylko Czarownica zobaczyła, że znowu jest w Lesie Między Światami, pobladła i pochyliła się, aż jej twarz dotknęła grzywy konia. Nietrudno było zauważyć, że śmiertelnie osłabła. Wuj Andrzej dygotał na całym ciele. Natomiast koń potrząsnął grzywą, zarżał radośnie i poczuł się o wiele lepiej. Po raz pierwszy, odkąd go Digory zobaczył, odzyskał spokój. Przytulone dotychczas do łba uszy wyprostowały się, a płonące przerażeniem oczy przygasły.

- O tak, mój staruszkę - powiedział dorożkarz, klepiąc konia po szyi. - Tak jest

lepiej. Uspokój się i odsapnij.

Koń zrobił najbardziej naturalną w świecie rzecz. Był bardzo spragniony (i trudno się dziwić), więc poczłapał powoli do najbliższej sadzawki i wszedł do niej, żeby się napić. A z nim - zupełnie bezwiednie - w sadzawce znalazła się reszta podróżników między światami. Digory wciąż ścisnął kurczowo piętę Czarownicy, a Pola trzymała Digorego za rękę. Jedna ręka dorożkarza spoczywała na szyi konia, a drugą złapał właśnie wuj Andrzej, wciąż dygocący ze strachu.

- Szybko! - powiedziała Pola, patrząc Digoremu w oczy - Zielone!

I w ten sposób koń nie zdążył zaspokoić swego pragnienia. Wszyscy zaczęli nagle spadać w ciemność. Koń zarżał, wuj Andrzej zaszlochał.

- No, mieliśmy trochę szczęścia - zauważył Digory.

Zapanowała cisza, a potem rozległ się głos Poli:

- Czy nie powinniśmy już gdzieś być?

- Chyba już gdzieś jesteśmy - odrzekł Digory. - W każdym razie ja stoję na czymś twardym.

- Aha, ja też dopiero teraz poczułam. Ale dlaczego wciąż jest tak ciemno? Słuchaj, czy nie weszliśmy do jakiejś złej sadzawki?

- Może to jest Charn - rzekł Digory - tylko że wróciliśmy w środku nocy.

- To nie jest Charn - rozległ się głos Czarownicy. - To jest pusty świat. To jest NIC.

I w rzeczy samej, było to najbliższe tego, co czuli. Otaczała ich taka ciemność, że nie widzieli się nawzajem i nie robiło to żadnej różnicy, czy miało się oczy otwarte czy zamknięte. Stopami dotykali czegoś zimnego i płaskiego, co mogło być ziemią, ale na pewno nie trawą czy mchem. Powietrze było chłodne, suche i nieruchome.

- Mój los się dopełnił - powiedziała Czarownica przeraźliwie martwym tonem.

- Och, nie mów takich rzeczy, pani - wybełkotał wuj Andrzej. - Moja droga młoda damo, błagam cię, nie mów takich rzeczy. Nie może być tak źle, jak mówisz. Ach, woźnico, mój dobry człowieku, czy nie masz czasem przy sobie buteleczki? Przydałaby mi się kropelka czegoś mocnego.

- Spokojnie, spokojnie - odezwał się mocny, śmiały, dobry głos dorożkarza. - Bez nerwów, dobrze radzę. Nikt nie połamał kości? Dobra. Jest więc chyba za co okazać komuś trochę wdzięczności, nie? To grubo więcej, niż można by się spodziewać po takim spadaniu na łeb na szyję. Jeśli wpadliśmy do jakiejś dziury, co całkiem możebne, bo wciąż kopią nowe stacje metra, to prędzej czy później ktoś się

tutaj zjawi i nas wciągnie, nie ma strachu. Jeśli jesteśmy nieboszczykami, a nie będę się z nikim kłócił, że tak nie jest, to cóż, ci, co mają olej w głowie, pamiętają, że kupa gorszych rzeczy zdarza się na morzu; tak czy owak każdy jeden musi w końcu umrzeć. Nie ma się czego bać, jeśli się żyło przyzwoicie. Jakby się mnie kto pytał, to powiem, że najlepsze, co można zrobić w tej chwili, to zaśpiewać jakąś pobożną pieśń.

I zrobił to. Bez żadnych ceregieli zaśpiewał hymn dziękczynienia za dobre zbiory. Słowa hymnu nie bardzo pasowały do tego miejsca, które sprawiało wrażenie, jakby w nim jeszcze nic nie wyrosło od początku czasu, ale była to jedyna pobożna pieśń, jaką dobrze pamiętał. Miał piękny, mocny głos i dzieci przyłączyły się do niego; bardzo je to podniosło na duchu. Wuj Andrzej i Czarownica nie śpiewali.

Pod koniec pieśni Digory poczuł, że ktoś ciągnie go za łokieć, a po zapachu brandy, cygar i wody kolońskiej poznał wuja Andrzeja. Wuj odciągnął go ostrożnie na bok. Kiedy już odeszli na pewną odległość, zbliżył usta do ucha Digory'ego i wyszeptał:

- Teraz, chłopcze. Włóż swój pierścień. Wracamy.

Ale Czarownica miała bardzo dobry słuch.

- Głupcze! - rozległ się jej głos, a potem dźwięki, po których poznali, że zeskoczyła z konia. - Zapomniałeś, że mogę czytać w cudzych myślach? Puść tego chłopca! Jeżeli spróbujesz zdrady, moja zemsta będzie tak straszna, że nigdy jeszcze w żadnym ze światów nie słyszano o podobnej od początku czasu.

- I jeśli myślisz - dodał Digory - że jestem taką świnią, by uciec i zostawić Połę - i dorożkarza - i konia - w takim miejscu jak to, to się piekielnie mylisz.

- Jesteś nieznośnym, aroganckim chłopcem - powiedział wuj Andrzej.

- Ciiiicho! - odezwał się dorożkarz. Wszyscy zamilkli i nadśluchiwali z uwagą.

W otaczającej ich ciemności wreszcie coś się działo. Z tak daleka, że Digory nie mógł nawet rozpoznać kierunku, zaczął dochodzić jakiś śpiew. Niekiedy wydawało mu się, że głos dobiega ze wszystkich stron jednocześnie, a niekiedy, że wydobywa się spod ziemi. Jego niskie, głębokie tony mogły być głosem samej ziemi. Ta pieśń nie miała słów, trudno nawet powiedzieć, że miała jakąś melodię. Był to jednak najcudowniejszy dźwięk, jaki Digory kiedykolwiek słyszał, poza wszelkimi porównaniami, tak cudowny, że aż wprost trudny do zniesienia. Nawet koń zdawał się nim cieszyć: wydał z siebie tak radosne rzenie, jakie tylko może wydać z siebie koń, który po latach ciągnięcia dorożki znalazł się z powrotem na starym pastwisku, gdzie niegdyś biegał jako źrebię, i zobaczył kogoś, kogo pamiętał i lubił, jak idzie ku niemu

przez łąkę z kawałkiem cukru w ręku.

- Mój Boże! - szepnął dorożkarz. - Czy to nie piękne?

A potem wydarzyły się, w tym samym momencie, dwie nowe, cudowne rzeczy. Do głosu dołączyły się inne, chłodne, dzwoniące, srebrzyste głosy, a było ich niezliczenie wiele. Wyśpiewywały wysoko, o wiele wyżej niż pierwszy głos, lecz w doskonałej z nim harmonii. I nagle ciemności nad ich głowami rozjarzyły się od gwiazd. Nie pojawiały się stopniowo, jedna po drugiej, jak to bywa w letnie wieczory. W jednej chwili nie było nic prócz ciemności, w następnej - tysiące świetlistych punktów. Były tam gwiazdy samotne. Były gwiazdozbiory, były planety - wszystkie o wiele większe i jaśniejsze niż w naszym świecie. A pojawiły się dokładnie w tej samej chwili, w której rozbrzmiały nowe głosy. Gdybyście je widzieli i słyszeli tak jak Digory, bylibyście prawie pewni, że to śpiewają same gwiazdy i że to właśnie ów Pierwszy Głos, ten głęboki, sprawił, iż pojawiły się i zaczęły śpiewać. - Bogu niech będzie chwała! - zawołał dorożkarz. - Chyba bym przez całe życie był lepszym człowiekiem, gdybym wiedział, że są na świecie takie rzeczy!

Pierwszy Głos zabrzmiał teraz głośniej i bardziej triumfalnie, a głosy w niebie zaczęły cichnąć. I zaczęło się dziać jeszcze coś innego.

Daleko, nad samym horyzontem, niebo poszarzało. Powiał lekki, orzeźwiający wiatr. Powoli, lecz nieustannie, w tym jednym miejscu niebo stawało się coraz jaśniejsze. Na jego tle pojawiły się ciemne zarysy wzgórz. A Głos wciąż śpiewał. Wkrótce zrobiło się tak jasno, że widzieli swoje twarze. Dorożkarz i dzieci mieli usta otwarte i płonące oczy; chłonęli ów cudowny śpiew całą swą istotą i wyglądali tak, jakby im coś przypominał. Wuj Andrzej też miał usta otwarte, ale bynajmniej nie ze szczęścia. Zdawało się raczej, że za chwilę podbródek odpadnie mu od reszty twarzy. Opuścił ramiona, a kolana wyraźnie mu dygotały. Było oczywiste, że Głos jest dla niego prawdziwą torturą i że najchętniej schowałby się przed nim do mysiej dziury. Natomiast Czarownica sprawiała wrażenie osoby, która w pewien sposób rozumie tę pieśń lepiej niż inni. Zaciśnęła wargi i pięści, a z całej jej postaci biła nienawiść. Od samego początku czuła, że ten świat przepelniony jest magią zupełnie różną i potężniejszą od tej, jaką władała. Gdyby tylko mogła, zniszczyłaby ów świat lub nawet wszystkie światy, byleby tylko przerwać tę zniechęcającą pieśń. Koń stał, strzygąc uszami, parskając od czasu do czasu i bijąc kopytami o ziemię. Zupełnie nie przypominał starej, zmęczonej dorożkarskiej szkapy: naprawdę wyglądał jak potomek bojowego rumaka.

Niebo na wschodzie poróżnowiało, a potem pokryło się złotem. Głos wciąż potężniał i potężniał, aż wibrowało nim powietrze. I kiedy zabrzmiał najpotężniejszym i najbardziej triumfalnym tonem, wzeszło słońce.

Digory nigdy jeszcze nie widział takiego słońca. Słońce nad ruinami Charnu zdawało się starsze od naszego - to wyglądało wyraźnie młodziej. Można sobie było wyobrazić, że wschodząc, śmieje się z radości. A kiedy jego promienie wystrzeliły znad horyzontu, przybysze z Ziemi wreszcie zobaczyli, jak wygląda miejsce, w którym się znaleźli. Była to dolina, przez którą płynęła ku słońcu szeroka i bystra rzeka. Na południu widniały góry, na północy wzgórze. Ale wszędzie była tylko ziemia, skały i woda, bez jednego drzewa czy krzewu, jednego skrawka trawy. Ziemia mieniła się świeżymi, soczystymi barwami, które wprost oszałamiały i podniecały, w każdym razie do chwili, w której zobaczyło się Śpiewającego. Bo jego widok kazał zapomnieć o wszystkim innym.

Był to Lew. Olbrzymi, jaśniejący, z bujną, nastroszoną grzywą stał zwrócony łbem ku wschodzącemu słońcu. I śpiewał. Nikt nie miał najmniejszej wątpliwości, że właśnie z jego szeroko otwartych ust wydobywał się ów Głos.

- To jakiś okropny świat - powiedziała Czarownica. - Musimy natychmiast przenieść się stąd gdzie indziej. Przygotujcie swoje czary!

- W zupełności się z tobą zgadzam, pani - rzekł wuj Andrzej. - To miejsce jest wprost nie do przyjęcia. Całkowity brak cywilizacji. Gdybym był tylko młodszy i gdybym miał strzelbę...

- Do kroćset piorunów! - zawołał dorożkarz. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że mógłbyś strzelić do NIEGO?!

- A czy W OGÓLE KTOŚ BY MÓGŁ? - dodała Poła.

- Przygotuj swe czary, stary głupcze - powtórzyła Jadis.

- Oczywiście, pani - odpowiedział wuj Andrzej z chytrą miną. - Dzieci muszą mnie dotykać. Włóż natychmiast swój pierścień, Digory! - Najwyraźniej chciał wrócić do Londynu bez Czarownicy.

- Ach, więc to są pierścienie?! - krzyknęła Jadis. Zanim jednak zdążyła sięgnąć do kieszeni Digory'ego, ten schwycił Połę za rękę i zawołał:

- Uważajcie! Jeśli któreś z was zbliży się choćby o cal, my dwoje znikniemy i zostawimy was tu na zawsze. Tak, mam w kieszeni pierścień, który może przenieść mnie i Połę do Londynu. Patrzcie, moja ręka jest blisko kieszeni. Trzymajcie się od nas z daleka. Przykro mi ze względu na pana - tu zwrócił się do dorożkarza - i konia,

ale nic na to nie poradzę. A jeśli chodzi o was - tu spojrzął na wuja Andrzeja i królową - oboje jesteście czarodziejami, więc powinniście się cieszyć, że będziecie tutaj razem.

- Uciszyć mi się wszyscy, ale już! - przerwał mu dorożkarz. - Chcę posłuchać tej muzyki.

Bo oto pieśń wyraźnie się zmieniła.

ROZDZIAŁ 9

STWORZENIE NARNII

LEW CHODZIŁ TU I TAM PO PUSTEJ, nagiej okolicy i śpiewał nową pieśń, bardziej melodyjną i rytmiczną, bardziej delikatną i falującą niż ta, którą wezwał na niebo gwiazdy i słońce. I kiedy tak chodził i śpiewał, dolina zazieleniła się trawą. Zieleń rozlewała się wokół niego jak woda z potężnego źródła, a potem płynęła po zboczach wzgórz jak fala. W ciągu kilku minut wspinała się już po niższych stokach odległych gór. Z każdą chwilą młody świat stawał się cieplejszy i żywszy. Lekki wiaterek mierzwił bujną trawę. Wyższe stoki gór pociemniały od wrzosów, dolina pokryła się jakimiś dziwnymi, brązowozielonymi cętkami. Digory nie mógł się zorientować, co to jest, dopóki jedna z tych dziwnych rzeczy nie pojawiła się tuż obok niego. Zobaczył początkowo niewielki, wyrastający z ziemi pęd, który rosnąc szybko, wypuścił z siebie mnóstwo innych pędów, pokrywających się natychmiast zielenią. Teraz naokoło nich było już wiele takich żywych pędów, lecz dopiero gdy urosły do wysokości człowieka, Digory zrozumiał, że widzi, jak rosną drzewa.

Był to naprawdę wspaniały widok. Trudno się dziwić Poli, która powiedziała później, że jedną z najbardziej nieznośnych rzeczy w jej życiu było to, że nie pozwolono im tego w spokoju oglądać. Bo w tej samej chwili, gdy Digory zawołał: „Drzewa!”, musiał odskoczyć w bok, gdyż wuj Andrzej niepostrzeżenie przybliżył się do niego i już wsuwał mu rękę do kieszeni. Nie na wiele by się to zdało, bo w błędnym przekonaniu, że to zielone pierścienie przenoszą z powrotem na Ziemię, sięgnął do prawej kieszeni chłopca. Ale łatwo zrozumieć, że Digory nie chciał utracić żadnego z pierścieni.

- Cofnij się! - ryknęła Czarownica. - Jeszcze dalej! Jeśli ktoś spróbuje zbliżyć się do któregoś z tych dzieci choćby na dziesięć kroków, to rozwalę mu łeb! - Mówiąc to, wymachiwała groźnie żelazną sztabą, którą wyrwała z latarni. Nikt nie miał jakoś wątpliwości, że jeśli nią rzuci, to nie chybi.

- A więc to tak! - dodała po chwili. - Zamierzałeś uciec z tym chłopcem do swojego świata, a mnie tutaj zostawić!

Wuj Andrzej zdobył się wreszcie na odwagę.

- Tak, pani, zrobiłbym to - powiedział najbardziej stanowczym tonem, na jaki było go stać. - Bez wątpienia uczyniłbym to w każdej chwili. I miałbym do tego święte prawo. Zostałem przez ciebie potraktowany w sposób obrzydliwy i haniebnny. Staralem się okazać ci tyle uprzejmości, ile tylko było w mojej mocy. I jaka mnie

spotkała nagroda? Obrabowałaś - tak, muszę powtórzyć to słowo - OBRABOWAŁAŚ ogólnie szanowanego jubilera. Wymusiłaś na mnie, bym ci zafundował niezwykle drogi, żeby nie powiedzieć wystawny, obiad. Aby to uczynić, zmuszony byłem zastawić zegarek z dewizką, a wiedz, pani, że w mojej rodzinie nikt nie miał w zwyczaju odwiedzania lombardów, z wyjątkiem kuzyna Edwarda, ale on należał do ochotniczej kawalerii. Podczas tego ciężko strawnego posiłku - jeszcze teraz odczuwam jego fatalne skutki - twoje godne pożałowania zachowanie i słowa wzbudziły nieprzychylnie zainteresowanie całej sali. Czuję się, jakbym został publicznie znieważony. Już nigdy nie będę mógł pokazać się w tej restauracji. Naruszyłaś nietykalność cielesną policjantów. Ukradłaś...

- Dość tych bzdur, panie starszy! - przerwał mu dorożkarz. - Tutaj się ogląda i słucha, a nie gada!

A rzeczywiście mieli co oglądać i czego słuchać. Drzewko, które Digory obserwował, wyrosło na dojrzały buk, a jego gałęzie kołysały się łagodnie nad głową chłopca. Stali na wilgotnej, zielonej łące, nakrapianej stokrotkami i jaskrami. Nieco dalej, nad brzegiem rzeki, rosły wierzby. Z drugiej strony pyszniły się w słońcu krzewy porzeczek, bżów, dzikich róż i rododendronów. Koń szczypał spokojnie soczystą świeżą trawę.

Przez cały czas Lew krążył po okolicy, nie przestając śpiewać. Trochę niepokoiło to, że zataczając kręgi, zawracając nagle i klucząc, za każdym razem nieco się do nich przybliżał. Połę coraz bardziej i bardziej zachwycał jego śpiew, bo wydawało się jej, że zaczyna dostrzegać związek między melodią a tym, co działo się w krajobrazie. Kiedy na krawędzi doliny pojawił się rząd ciemnych jodeł, poczuła, że ma to związek z serią głębokich, przedłużających się dźwięków, jakie Lew wydał z siebie chwilę przedtem. A kiedy wybuchnął kaskadą lekkich, wysokich tonów, nie była zaskoczona, że wszędzie naokoło zakwitły zawilce. Pola nabrała teraz prawie całkowitej pewności - a przekonanie to przejęło ją trudnym do opisanego dreszczem - że wszystkie te rzeczy „wychodzą z głowy Lwa”. Kiedy się słuchało jego śpiewu, SŁYSZAŁO się w nim te rzeczy, które stwarzał; kiedy się rozejrzało wokoło, już tam były. Budziło to w niej takie wzruszenie i zachwyt, że nie miała czasu, by się bać. Natomiast Digory i dorożkarz nie mogli się oprzeć pewnemu zaniepokojeniu, które narastało, w miarę jak Lew się do nich przybliżał. Jeśli chodzi o wuja Andrzeja, to zęby mu dzwoniły ze strachu, ale nie mógł uciec, bo za bardzo trzęsły mu się kolana.

Nagle Czarownica ruszyła dumnym krokiem na spotkanie Lwa, który zbliżał się

powoli, nie przerywając śpiewu. Był już zaledwie o dziesięć, nie, o pięć metrów od niej, gdy szybkim ruchem podniosła ramię i cisnęła żelazną sztabę prosto w jego głowę. Z tej odległości nikt by nie chybił, a już na pewno nie Jadis. Sztaba uderzyła Lwa dokładnie między oczy, odbiła się i upadła na trawę z głuchym dźwiękiem. Lew kroczył dalej. Jego krok nie był ani wolniejszy, ani szybszy niż przedtem; sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie zauważył, że został ugodzony ciężkim żelastwem. Stąpał bezszelestnie, lecz wszyscy czuli, jak ziemia lekko drży pod jego krokami.

Czarownica wydała z siebie gardłowy okrzyk i rzuciła się do ucieczki. W ciągu kilku sekund zniknęła wśród drzew. Wuj Andrzej odwrócił się, by uczynić to samo, ale potknął się o jakiś korzeń i upadł twarzą prosto w mały strumyk, który biegł przez łąkę ku rzece. Dzieci zamarły, bojąc się poruszyć. Ale Lew nie zwracał na nie uwagi. Pysk miał otwarty, ale to, co się z niego wydobywało, nie było rykiem dzikiej bestii, tylko cudownym śpiewem. Ogarnął je lęk, że odwróci łeb i spojrzy na nie, a jednocześnie w jakiś dziwny sposób tego pragnęły. Lecz Lew zachowywał się tak, jakby byli niewidzialni i niewyczuwalni. Po kilku krokach zawrócił, przeszedł obok nich raz jeszcze i podążył dalej, ku wschodowi.

Wuj Andrzej podniósł się, plując i kaszląc.

- Posłuchaj, Digory - rzekł z wysiłkiem. - Pozbyliśmy się tej kobiety, a i ta dzika bestia już sobie poszła. Podaj mi rękę i natychmiast włóż swój pierścień.

- Trzymaj się z daleka! - odpowiedział Digory, odskakując od niego. - Uważaj na niego, Polu. Obejdz go i stań obok mnie. Ostrzegam cię, wuju, że jeśli zrobisz choć jeden krok w naszą stronę, po prostu znikniemy.

- Zrobisz to, co ci powiedziałem, i to zaraz! - krzyknął wuj Andrzej. - Jesteś najbardziej nieposłusznym i źle wychowanym chłopcem, jakiego spotkałem.

- Spokojnie - odpowiedział Digory. - Chcemy tu zostać i zobaczyć, co się stanie. Myślałem, że zawsze pragnąłeś się czegoś dowiedzieć o innych światach. Już cię to przestało interesować?

- Interesować?! - powtórzył wuj Andrzej. - Spójrz tylko, w jakim jestem stanie. To był mój najlepszy surdut. O, i kamizelka! - Rzeczywiście wyglądał teraz okropnie, bo tak już jest, że im więcej się ma na sobie ubrania (zwłaszcza eleganckiego), tym gorzej się wygląda, gdy się wyczołgało ze szczątków dorożki i wpadło do mulistego strumyka. - Nie chcę przez to powiedzieć - dodał - że nie jest to interesujące miejsce. Gdybym tylko był nieco młodszy... No, i ściągnąłbym tu jakiegoś odważnego, młodszego towarzysza, jednego z tych wielkich myśliwych. Można by coś zrobić z tego

kraju. Klimat jest tu wyborny. Nigdy nie oddychałem takim powietrzem. Jestem przekonany, że zrobiłoby mi dobrze, gdyby... gdyby okoliczności były bardziej sprzyjające. Żebym tylko miał strzelbę...

- Niech diabli porwą wszystkie strzelby! - przerwał mu dorożkarz. - Pójdę i zobaczę, czy nie dałoby się jakoś wyczesać mojego Truskawka. Ten koń ma więcej oleju w głowie niż pewni ludzie, których nie będę wymieniać po imieniu. - Poszedł w kierunku konia, wydając z siebie dziwne dźwięki, jakimi porozumiewają się z końmi stajenni.

- Czy ty naprawdę uważasz, że TEGO Lwa można zabić kulą ze strzelby? - zapytał Digory. - Ta żelazna sztaba jakoś nie zrobiła na nim wrażenia.

- Niezależnie od wszystkich jej błędów - rzekł wuj Andrzej - to bardzo dzielna kobieta, mój chłopcze. To nie byle co, dokonać tego, co ona. - Zatarł ręce, a potem wyciągnął sobie z trzaskiem kilka palców, jakby znowu zapomniał o panicznym przerażeniu, jakie go ogarniało przy Czarownicy.

- To było strasznie podłe i nikczemne - powiedziała Pola. - Cóż złego jej zrobił?

- Hej! A co to takiego? - zawołał Digory i rzucił się do przodu, aby dokładniej zbadać coś, co znajdowało się kilka metrów od nich. - Polu! Mówię ci, choć tutaj i sama zobacz!

Wuj Andrzej też zbliżył się z Połą, nie po to jednak, by popatrzeć, ale by trzymać się blisko dzieci w nadziei jakiejś nowej sposobności do kradzieży pierścienia. Alę kiedy zobaczył to, na co patrzył Digory, nawet i on wykazał zainteresowanie. Z trawy wyrastał doskonały model gazowej latarni ulicznej, wysokości około metra. I latarnia ta ROSŁA, tak jak kilka minut temu rosły drzewa!

- I jest żywa... to znaczy PALI SIĘ! - wysapał Digory. I tak rzeczywiście było, choć w blasku słońca z trudem dostrzegali płomień wewnątrz latarni, dopóki nie padł na nią czyjś cień.

- Godne uwagi, godne najwyższej uwagi - mruknął wuj Andrzej. - Nawet mnie nie śniły się takie czary. Znajdujemy się w świecie, w którym wszystko, nawet latarnia, ożywa i rośnie. Zastanawiam się tylko, z jakiego ziarna wyrasta latarnia?

- Nie rozumiesz, wuju? - zapytał Digory. - Tutaj właśnie upadła sztaba, ta, którą ona wyrwała z latarni w Londynie. Wbiła się w ziemię i wyrosła z niej mała latarenka. - (Prawdę mówiąc, latarnia nie była już teraz taka mała: sięgała głowy Digorego).

- Ależ tak! - zgodził się wuj Andrzej, zacierając ręce jeszcze mocniej niż zwykle. - Zdumiewające! Niesłychane! Ha! Wyśmiewali się z mojej magii. Ta głupia kobieta,

moja siostra, myślała, że jestem obłąkany. Ciekawe, co by na to powiedzieli? Odkryłem świat, w którym wszystko tryska życiem i rozwojem. Kolumb, hmm, wciąż mówią o Kolumbie... Ale czym jest Ameryka w porównaniu z tym? Z punktu widzenia ekonomii i handlu możliwości tego kraju są wprost niewyczerpane. Wystarczy przenieść tu parę kawałków starego żelastwa, zakopać je w ziemi i czekać spokojnie, aż wyrośnie nowa lokomotywa, krążownik - wszystko, czego się zapragnie. I to bez żadnych nakładów finansowych, a można je sprzedać w Anglii za pełną cenę. Będę milionerem. I ten klimat! Już teraz czuję się o dwadzieścia lat młodziej. Mogę tu założyć uzdrowisko. Dobre sanatorium w tym kraju przyniosłoby ze dwadzieścia tysięcy funtów rocznie. Oczywiście będę musiał dopuścić do tajemnicy kilka osób. Przede wszystkim trzeba zastrzelić tę dziką bestię.

- Jest pan taki sam jak Czarownica - powiedziała Pola. - Myśli pan tylko o zabijaniu.

- A teraz, jeżeli chodzi o mnie - ciągnął wuj Andrzej rozmarzonym głosem. - Ciekawe, jak długo mógłbym żyć, gdybym tu zamieszkał. A to nie taka błaahostka, gdy się przekroczyło sześćdziesiątkę. Nie zdziwiłbym się wcale, gdybym w tym kraju nigdy się nie starzał! Niesłychane! Kraj młodości!

- Och! - krzyknął Digory. - Kraj młodości! Myślisz, że to właśnie tutaj? - Bo, oczywiście, przypomniał sobie natychmiast, co ciotka Letycja powiedziała do owej kobiety, która przyniosła winogrona, i odżyła w nim nadzieja. - Wuju Andrzeju! Czy myślisz, że można tu znaleźć coś, co by uleczyło mamę?

- O czym ty mówisz? - rzekł wuj niecierpliwie. - To nie apteka. Mówiłem...

- Moja matka obchodzi cię tyle co zeszłoroczny śnieg! - przerwał mu Digory z wypiekami na twarzy. - Myślałem, że powinna cię obchodzić, w końcu jest twoją siostrą. No cóż, nie było rozmowy. Pójdę i poproszę o pomoc samego Lwa.

Odwrócił się i odszedł szybkim krokiem. Pola stała przez chwilę oniemiała, a potem pobięła za nim.

- Hola! Zatrzymajcie się! Wróćcie! Ten chłopak zwariował! - wołał wuj Andrzej. Poszedł za dziećmi w bezpiecznej odległości, nie chciał bowiem ani oddalać się zbyt od zielonych pierścieni, ani zbliżać się za bardzo do Lwa.

W kilka minut Digory doszedł do skraju lasu i zatrzymał się. Lew wciąż śpiewał, lecz jego pieśń znowu się zmieniła. Tym razem jeszcze bardziej przypominała to, co nazywamy melodią, ale jednocześnie brzmiała o wiele bardziej dziko. Śpiew sprawiał, że chciało się biec, skakać, wspinać na drzewa i góry; sprawiał, że chciało się krzyczeć,

pędzić ku innym ludziom i albo ich uściskać, albo z nimi walczyć. Digory'emu zrobiło się gorąco, a na twarzy zakwitły mu rumieńce. Nawet wuj Andrzej ożywił się i Digory słyszał, jak mruczy do siebie: „Dzielna dziewczyna, mój panie, ot co. Szkoda, że nie potrafi nad sobą panować, ale jest diabelnie piękną kobietą, naprawdę wspaniałą kobietą”. Jednakże to, co nowa pieśń Lwa czyniła z ludźmi, było niczym w porównaniu z tym, co sprawiała w otoczeniu.

Czy możecie sobie wyobrazić porośniętą gęstą trawą łąkę, gotującą się jak owsianka w garnku? Właśnie takie porównanie najlepiej oddaje to, co się działo. Gdziekolwiek się spojrzano, powierzchnia łąki wybrzuszała się w dziwaczne garby. Przybierały najróżniejsze rozmiary: jedne nie większe od pagórków, jakie robią krety, inne wielkie jak taczki, dwie wielkości sporych chałup. Garby te poruszały się, falowały i marszczyły, a potem gwałtownie pękały, pokruszona ziemia opadała i z każdego wychodziło jakieś zwierzę, a czasami nawet kilka tego samego gatunku. Krety wychodziły z małych krecich pagórków, jak to się dzieje w Anglii. Psy wyskakiwały z radosnym szczekaniem, gdy tylko ziemia opadła im z łbów, i walczyły, kto wyskoczy pierwszy, jak to się nieraz widzi na wsi przy dziurze w płocie lub ścianie stodoły. Jelenie pojawiały się w najdziwaczniejszy chyba sposób, bo oczywiście najpierw wyrastały z pagórka rogi, a dopiero po dłuższym czasie wychodziło całe zwierzę, tak że w pierwszej chwili Digory myślał, że to znowu rosną drzewa. Żaby wyskakiwały z małych garbów tuż nad rzeką i od razu wpadały do wody z głośnym skrzekiem. Pantery, leopardy i inne dzikie koty natychmiast siadały, aby wylizać futra z resztek ziemi, a potem ostrzyły sobie pazury o pnie drzew. Całe chmary ptaków wylatywały spomiędzy gałęzi drzew. Motyle trzepotały skrzydełkami. Pszczoły rzucały się do pracy, obsiadając kwiaty, jakby nie miały ani chwili do stracenia. Ale największym wydarzeniem był moment, w którym olbrzymie wybrzuszenie rozmiarów małego domku pękło, jakby się zaczęło trzęsienie ziemi, i wynurzyły się z niego po kolei: najpierw spadzisty grzbiet, potem wielka, mądra głowa, a na końcu cztery nogi, jakby przykryte modnymi, bufiastymi spodniami - i oto stał przed nimi najprawdziwszy słoń! Teraz nie słysząc już było śpiewu Lwa, bo wszędzie rozlegało się głośne krakanie, gruchanie, pianie, rżenie, ujadanie, porykiwanie, beczenie i trąbienie.

Ale chociaż Digory nie słyszał już Lwa, wciąż go widział. Był tak wielki i promienny, że chłopiec nie mógł oderwać od niego oczu. Nic nie wskazywało na to, aby inne zwierzęta się go bały. Nagle usłyszał za sobą tętent kopyt i zanim zdążył się odwrócić, minął go cwałem stary dorożkarski koń i przyłączył się do reszty zwierząt.

(Powietrze najwyraźniej służyło mu tak dobrze jak wujowi Andrzejowi, bo nie wyglądał już jak biedna, zniewolona szkapa, jaką był w Londynie; stąpał z gracją, wysoko unosząc kopyta, a szyję miał dumnie wyprostowaną.) Teraz Lew przestał śpiewać. Krążył wśród zwierząt tu i tam, pozornie bez żadnego celu, ale kiedy Digory obserwował go uważnie, spostrzegł, że od czasu do czasu podchodzi do pary zwierząt i dotyka ich nosów swoim nosem. Dotykał w ten sposób tylko jednej pary z każdego gatunku; dwa bobry spośród wszystkich bobrów, dwa leopardy spośród wszystkich leopardów, jednego jelenia i jedną łanię spośród wszystkich jeleni. Niektóre gatunki zwierząt w ogóle pomiął. Pary, które wybierał, natychmiast zostawiały swoich towarzyszy i szły za nim. I wreszcie przyszedł czas, kiedy Lew stanął nieruchomo, a naokoło niego w wielkim kręgu zebrały się wszystkie wybrane przez niego stworzenia. Reszta zaczęła się rozchodzić i wkrótce poznikwała w trawie, zaroślach i pomiędzy wzgórzami. Wybrane zwierzęta umilkły i utkwily spojrzenia w Lwie. Wszystkie zastygły w bezruchu, tylko końce ogonów dzikich kotów drgały od czasu do czasu, jakby żyły swoim własnym życiem. Po raz pierwszy w tym dniu zapanowała całkowita cisza, jeśli nie liczyć szemrania wody w rzece. Digory'emu serce biło mocno: czuł, że ma nastąpić coś bardzo uroczystego. Nie zapomniał o swojej matce, ale wiedział dobrze, że nawet dla niej nie powinien zakłócić tego, co się działo.

Lew wpatrywał się w zwierzęta tak, jakby chciał je spalić swoim spojrzeniem. I stopniowo dokonywała się w nich dziwna zmiana. Małe stworzenia - takie jak króliki czy krety - nieco urosły. Wielkie - a można to było zauważyć, patrząc zwłaszcza na słonie - nieco zmaląły. Wiele zwierząt przysiadło na tylnych łapach, wiele przekrzywiło głowy w dziwaczny sposób, jakby próbowały za wszelką cenę Lwa zrozumieć. Lew otworzył pysk, ale tym razem nie wydobył się z niego żaden dźwięk, lecz długie, ciepłe tchnienie, które ogarnęło zwierzęta i zakołysało nimi, jak podmuch wiatru kołysze rzędem drzew. Wysoko, spoza woalu błękitu, zaśpiewały ponownie gwiazdy, napelniając przestrzeń czystą, chłodną, trudną muzyką. A potem zabłysło coś jak ogień lub błyskawica, nie wiadomo, czy z nieba, czy z samego Lwa. Niesamowity dreszcz przeniknął dzieci aż do szpiku kości. Najgłębszy, najdzikszy głos, jaki kiedykolwiek słyszały, mówił:

- Narnio, Narnio, Narnio, przebudź się! Kochaj. Myśl. Mów. Bądź chodzącymi drzewami. Bądź mówiącymi zwierzętami. Bądź uduchowionymi wodami.

ROZDZIAŁ 10

PIERWSZY ŻART I INNE SPRAWY

BYŁ TO, OCZYWIŚCIE, GŁOS LWA. Dzieci przeczuwały już od dawna, że Lew potrafi mówić, a jednak gdy wreszcie przemówił, doznały wstrząsu, jednocześnie cudownego i straszego.

Z drzew powychodziły dziwne, dzikie istoty - duchy i boginki lasu, wraz z nimi pojawiły się fauny, satyry i karły. Z rzeki powstał duch rzeki ze swymi córkami, najadami. A wszystkie te istoty, a z nimi wszystkie zwierzęta i ptaki, odpowiedziały chórem najróżniejszych głosów, niskich i wysokich, grubych i cienkich:

- Bądź pozdrowiony, Aslanie! Słuchamy cię i jesteśmy posłuszni. Jesteśmy przebudzeni. Kochamy. Myślimy. Mówimy. Wiemy.

- Wybacz nam, panie, ale my jeszcze za dobrze nie wiemy - odezwał się jakiś nosowy i chrapliwy głos. Dzieci aż podskoczyły z wrażenia, bo w ten sposób przemówił ni mniej, ni więcej, tylko koń dorożkarza.

- Kochany, dobry Truskawek - powiedziała cicho Pola. - Jakże się cieszę, że i on został wybrany, by zostać jednym z mówiących zwierząt.

A dorożkarz, który stał teraz obok dzieci, rzekł:

- Niemożliwe! Ale ja zawsze mówiłem, że ten koń ma sporo oleju w głowie.

- Wolne stworzenia, daję wam siebie nawzajem! - rozległ się mocny, radosny głos Aslana. - Daję wam na zawsze tę krainę, Narnię. Daję wara lasy, owoce, rzeki. Daję wam gwiazdy i daję wam siebie. Nieme zwierzęta, te, których nie wybrałem, również do was należą. Traktujcie je dobrze, opiekujcie się nimi, lecz nie wracajcie do ich sposobu życia, jeśli nie chcecie przestać być mówiącymi zwierzętami. Bo z nich was wywiodłem i do nich możecie powrócić. Pamiętajcie, nie róbcie tego.

- Nie, Aslanie, nie zrobimy tego - odpowiedzieli wszyscy chórem. Ale jedna zadzierzysta kawka dodała: - Nie ma obawy! - A ponieważ wszyscy akurat umilkli chwilę przedtem, jej słowa zabrzmiały wyraźnie w całkowitej ciszy. Być może przekonaliście się już kiedyś na własnej skórze, jakie to może być okropne, na przykład na przyjęciu. Kawka tak się zawstydzila, że schowała głowę pod skrzydło, jakby miała zamiar spać. Wszystkie pozostałe zwierzęta zaczęły się śmiać, każde na swój sposób, co sprawiało, że cała polana rozbrzmiewała dziwnymi odgłosami, jakich, rzecz jasna, jeszcze nikt nigdy nie słyszał w naszym świecie. Z początku zwierzęta próbowały tłumić śmiech, ale Aslan powiedział:

- ŚmieJCie się do woli i nie lękaJCie się! Teraz, kiedy już nie jesteście niemi i

tępi, nie musicie być zawsze poważni. Bo żarty, tak jak i sprawiedliwość, zaczynają się wraz z mową.

Śmiano się więc do woli. I zapanowała taka wesołość, że kawka zdobyła się na odwagę, podfrunęła, usiadła na głowie konia i machając skrzydłami zawołała:

- Aslanie! Aslanie! A więc to ja wynalazłam żarty? Czy odtąd wszyscy będą mówili, że to ja byłam twórczynią pierwszego żartu?

- Nie, moja mała przyjaciółko - odrzekł Lew. - Nie STWORZYŁAŚ żartu. Sama JESTEŚ pierwszym żartem. - I wszyscy śmiali się jeszcze bardziej, a kawka nie zrozumiała dokładnie, o co chodzi, lecz sama śmiała się tak głośno, że koń potrząsnął głową, ptak spadł i dopiero tuż nad ziemią przypomniał sobie, że ma skrzydła.

- A więc Narnia została założona - powiedział Aslan. - Teraz musimy uczynić ją bezpiecznym krajem. Kilku z was powołam do swojej rady. Podejdź do mnie, ty, karle, i ty, duchu rzeki, i ty, dębie, i ty, sowo, i wy, oba kruki, i ty, słoni. Musimy się naradzić. Bo chociaż ten świat nie ma jeszcze pięciu godzin, już wkroczyło weń zło.

I na czele wymienionych przez siebie stworzeń oddalił się na wschód. Wśród pozostałych rozległy się po chwili rozmowy i można było słyszeć takie mniej więcej zdania: „Co wkroczyło, co on powiedział?” - „Jakieś ZEZŁO.” - „A co to jest ZEZŁO?” - „Nie, on nie powiedział ZEZŁO, powiedział WLEZŁO.” - „No dobrze, ale co to jest?”

- Posłuchaj - rzekł Digory do Poli - musimy pójść za nim, za Aslanem, to znaczy Lwem. Muszę z nim pomówić.

- Myślisz, że możemy? Jakoś nie mam odwagi.

- Ja po prostu muszę. Chodzi o moją matkę. Jeżeli jest ktoś na świecie, kto może mi dać coś, co ją uleczy, to jest nim tylko on.

- Pójdę z tobą, chłopcze - odezwał się dorożkarz. - Okropnie lubię na niego patrzeć. Przecież nas nie zjedzą. I chcę zamienić słówko ze starym Truskawkim.

Tak więc we trójkę podeszli krokiem tak śmiałym, na jaki ich było stać, ku zgromadzeniu na łące. Zwierzęta, bardzo zajęte rozmowami i zawieraniem przyjaźni, nie zauważyły ich, dopóki nie podeszli blisko. Nie słyszały też wuja Andrzeja, który zatrzymał się dość daleko i trzęsąc się ze strachu wołał piskliwym, załamującym się głosem:

- Digory! Wracaj! Wracaj natychmiast, kiedy ci każę. Zabraniam ci uczynić choćby jeden krok więcej!

Kiedy zwierzęta wreszcie ich dostrzegły, na polanie zrobiło się nagle bardzo cicho.

- A to ci dopiero! - zabrzmiał wreszcie głos bobra. - A cóż to takiego jest, na Aslana!

- Zechciejcie... - zaczął Digory słabym głosem, ale królik przerwał mu, mówiąc:

- To jest chyba jakiś rodzaj wielkiej sałaty.

- O nie, nic podobnego! - oburzyła się Pola.

- W ogóle nie jesteśmy jadalni.

- O, słyszycie? - zawołał kret. - A więc to mówi. Czy ktoś słyszał o mówiącej sałacie?

- A może oni są drugim żartem? - podsunęła kawka.

Pantera, która myślała sobie bardzo dokładnie pysk, przerwała na chwilę i powiedziała:

- Cóż, jeśli tak, to pierwszy był o wiele lepszy. Przynajmniej ja nie widzę w nich nic śmiesznego. - I ziewnęła, a potem powróciła do swojego zajęcia.

- Och, błagam was, posłuchajcie - rzekł Digory. - Bardzo mi się spieszy. Chcę się zobaczyć z Lwem.

Przez cały czas dorożkarz starał się zwrócić na siebie uwagę Truskawka. W końcu ich spojrzenia spotkały się.

- Truskawku, mój staruszkule - powiedział - przecież mnie znasz. Chyba nie zamierzasz stać sobie spokojnie, jakbyś mnie zobaczył pierwszy raz w życiu?

- O czym ta rzecz mówi, koniu? - zapytało kilka głosów.

- Mówiąc szczerze - odpowiedział Truskawek

- sam nie bardzo wiem. Myślę, że większość z nas w ogóle niewiele jeszcze wie. Ale mam takie wrażenie, jakbym już gdzieś widział coś podobnego. Mam takie uczucie, jakbym już kiedyś żył gdzie indziej albo był kimś innym, zanim Aslan obudził nas kilkanaście minut temu. To wszystko jest bardzo niejasne. Ale takie rzeczy, jak te trzy tutaj, na pewno pojawiają się w snach.

- Co? - oburzył się dorożkarz. - Nie znasz mnie? Mnie, który ci przynosiłem wieczorem ciepłą breję z owsem, kiedy byłeś do niczego? Mnie, który ci narzucałem na grzbiet kawał porządnej derki, gdy musiałeś spać na zimnie? Niech skonam, jeśli mi kiedykolwiek przyszło do głowy, że możesz się tak zachować, Truskawku.

- Tak, teraz ZACZYNAM coś sobie przypominać - powiedział koń. - Tak. Niech no pomyślę. Tak, teraz sobie przypominam, że to ty przywiązywałeś mi z tyłu jakiś okropny, ciężki, czarny przedmiot, a potem zacinałeś mnie batem, żebym biegł truchtem i zawsze, zawsze ta czarna rzecz toczyła się za mną ze wstrętnym

grzechotem.

- Zrozum, braciszku, musieliśmy jakoś zarabiać na życie - rzekł dorożkarz. - Nie tylko na moje, ale i na twoje. Gdyby nie było harówki i bata, nie byłoby stajni, siana, ciepłej brei i owsa. A bardzo lubiłeś „owies, jeśli tylko mogliśmy sobie na to pozwolić. Chyba temu nie zaprzeczysz?

- Owies? - zapytał Truskawek, podnosząc uszy. - Tak, coś sobie przypominam. Tak, coraz lepiej wszystko pamiętam. Ty zawsze siedziałeś gdzieś wysoko, z tyłu, a ja zawsze musiałem biec truchtem z przodu, ciągnąc ciebie i tę czarną rzecz. Tak, teraz wiem, że to na mnie spadała cała praca.

- W lecie, zgoda - przyznał dorożkarz. - Harowałeś w pocie czoła, a ja siedziałem sobie w chłodzie. Ale pomyśl o zimie, braciszku, kiedy ty rozgrzewałeś się w biegu, a ja siedziałem z nogami jak sople lodu, nos mi odpadał z zimna na wietrze, a ręce sztywniały jak nieboszczykowi, tak że z trudem utrzymywałem lejce...

- To był twardy, okrutny świat - powiedział koń. - Tam w ogóle nie było trawy. Same twarde kamienie.

- Święta racja, braciszku, święta racja! - przyznał dorożkarz. - To było piekielnie twarde życie. Zawsze mówiłem, że bruk nie jest dobry dla konia. Taki już jest ten nasz parszywy Londyn. A myślisz, że mnie się to podobało? Ty jesteś koniem ze wsi i ja też jestem ze wsi. Aż mnie coś w środku ściska, kiedy pomyślę, że zawsze śpiewałem w kościelnym chórze. Ale tam nie było dla mnie życia, ot co.

- Och, błagam was, dajcie już spokój - odezwał się Digory. - Możemy iść? Lew oddała się od nas z każdą chwilą. A ja naprawdę muszę z nim porozmawiać. To dla mnie strasznie ważne.

- Rozumiesz teraz, Truskawku? - zapytał dorożkarz. - Ten młody pan ma na głowie jakąś ważną sprawę, o której chce porozmawiać z tym Lwem, co go nazywacie Aslanem. A może byś się zgodził, żeby pojechał na tobie... nie bój się, zrobi to z czuciem... tam, gdzie jest Lew? Truchtem. A ja z tą panią pójdziemy za wami.

- Zęby pojechał na mnie? Och, teraz pamiętam. To znaczy, że musiałby wleźć na mój grzbiet. Pamiętam, że kiedyś, dawno temu, był taki jeden z was, dwunogów, który to robił. Tylko że on zawsze miał w kieszeni małe, kwadratowe kawałki czegoś takiego białego i twardego. Zawsze mnie przedtem tym częstował. Ach, to smakowało cudownie, to było słodsze od trawy!

- Pewnie ci chodzi o kostkę cukru - rzekł dorożkarz.

- Bardzo cię proszę, Truskawku - przerwał im znowu Digory - pozwól mi usiąść

na twoim grzbiecie i zawieź mnie do Aslana.

- No cóż, nie będę się sprzeciwiać, przynajmniej tym razem. Włóż.

- Dobry, stary Truskawek - rzekł dorożkarz. - Chodź, młodzieńcze, podsadzę cię.

Wkrótce Digory siedział już na koniu, zresztą całkiem pewnie, bo już nieraz jeździł na oklep na swoim kucyku na wsi.

- A teraz w drogę, Truskawku! Wioooo!

- A nie masz przypadkiem przy sobie tej białej, twardej rzeczy?

- Niestety, nie mam - odrzekł Digory.

- Cóż, nic na to nie poradzimy - westchnął koń i ruszył w drogę.

W tym momencie wielki buldog, który od pewnego czasu węszył niespokojnie i wypatrywał czegoś w oddali, rzekł:

- Spójrzcie. Czy to nie jest jeszcze jedno takie dziwne stworzenie na dwóch nogach, tam, nad rzeką, między krzewami?

Wszystkie zwierzęta popatrzyły w tamtym kierunku i zobaczyły wuja Andrzeja stojącego nieruchomo wśród rododendronów i mającego nadzieję, że nikt go nie widzi.

- Chodźcie! Zobaczymy, kto to taki - odezwało się kilka głosów. I tak, podczas gdy Truskawek oddalał się szybkim truchtem z Digorym na grzbiecie (a Pola i dorożkarz próbowali za nimi nadążyć pieszo), większość Narnijczyków ruszyła ku wujowi Andrzejowi z porykiwaniem, ujadaniem, chrząkaniem i innymi odgłosami pogodnego zainteresowania.

Musimy teraz cofnąć się nieco w czasie, żeby wyjaśnić, jak cała ta scena wyglądała z punktu widzenia wuja Andrzeja. A możecie być pewni, że wszystko to, co się tam działo, robiło na nim zupełnie inne wrażenie niż na dorożkarzu i dzieciach. Bo tak już jest, że to, co się widzi i słyszy, zależy w dużej mierze od tego, gdzie się stoi i kim się jest.

Od samego początku, gdy tylko zaczęły się pojawiać różne zwierzęta, wuj Andrzej włąził coraz głębiej w zarośla. Przez cały czas obserwował je uważnie, ale nie tyle z ciekawości, co z obawy, czy nie zamierzają się na niego rzucić. Podobnie jak Czarownica był osobą bardzo praktyczną. Nie zauważył, że Aslan wybrał po jednej parze z większości gatunków zwierząt, widział tylko mnóstwo niebezpiecznych, dzikich bestii, krążących bez celu tu i tam. Dziwiło go jedno: dlaczego wszystkie inne zwierzęta nie uciekają przed Lwem.

Kiedy nadeszła owa wielka chwila, w której zwierzęta przemówiły, wuj Andrzej w ogóle tego nie zauważył, a stało się tak z dość interesującego powodu. Od samego początku, gdy Lew zaczął śpiewać w ciemnościach, wuj Andrzej zdał sobie sprawę, że to, co słyszy, jest jakąś pieśnią. Ale pieśń bardzo mu się nie podobała. Sprawiała, że czuł się tak, jak wcale nie chciał się czuć, a do głowy przychodziły mu takie myśli, które wcale nie sprawiały mu przyjemności. Potem, kiedy wzeszło słońce i zobaczył, kto tak śpiewa („To tylko jakiś lew” - pomyślał wtedy z ulgą), uparcie wmawiał w siebie, że Lew nie śpiewa i nigdy nie śpiewał - tylko ryczy, tak jak każdy lew w naszym świecie, zamknięty w ogrodzie zoologicznym. „Przecież to oczywiste, że lew nie może naprawdę śpiewać - myślał. - Musiało mi się tylko zdawać. W końcu trudno się dziwić, nerwy mam zupełnie rozstrojone. Czy ktoś kiedykolwiek słyszał o śpiewającym lwie?” A im dłużej i piękniej Lew śpiewał, tym usilniej wuj Andrzej próbował w siebie wmówić, że przecież nie może słyszeć żadnego śpiewu, tylko zwykły ryk. A tak już, niestety, bywa, że kiedy ktoś próbuje być głupszym, niż jest, bardzo często staje się głupszy naprawdę. W każdym razie wujowi Andrzejowi to się udało. Wkrótce zamiast cudownego śpiewu Aslana słyszał tylko ryk lwa. Wkrótce też po prostu nie mógł już słyszeć niczego prócz ryku, nawet gdyby chciał. I kiedy w końcu Aslan przemówił i powiedział: „Narnio, przebudź się!”, wuj Andrzej nie słyszał żadnych słów, tylko jakieś warczenie. A kiedy zwierzęta w odpowiedzi przemówiły, słyszał tylko szczekanie, pomrukiwanie, porykiwanie i wycie. A kiedy wybuchnęły śmiechem - no cóż, sami możecie sobie to wyobrazić. I było to dla niego, oczywiście, gorsze niż wszystko, co się do tej pory wydarzyło: straszliwy, mrozący krew w żyłach, ogłuszający ryk głodnych i wściekłych bestii, jakiego nie słyszał nawet w najbardziej koszmarnych snach. A potem ku swemu największemu przerażeniu zobaczył, że trójka pozostałych ludzi wychodzi na środek łąki, by spotkać się ze zwierzętami.

„Głupcy! - powiedział sobie w duchu. - Teraz te bestie połkną pierścienie razem z dziećmi i nigdy już nie wrócę do domu. Cóż to za samolubny potwór, ten Digory! Reszta też nie jest lepsza. Jeśli chcą pożegnać się z życiem, to ich sprawa. Ale co będzie ze MNA? Wcale o tym nie myślą. Nikt o MNIE nie myśli”.

Kiedy cała chmara zwierząt ruszyła biegiem ku niemu, wuj Andrzej zrobił to, co niewątpliwie musiało być dla niego jedynym mądrym wyjściem: odwrócił się i zaczął uciekać, przekonany, że ratuje w ten sposób życie. Teraz każdy miał sposobność zobaczyć, co ze starszym panem zrobiło magiczne powietrze tego młodego świata. W Londynie byłby za stary, aby w ogóle biec: tutaj pędził z szybkością, która dałaby mu

na pewno zwycięstwo w biegu na sto metrów w każdej angielskiej szkole. Wspaniale wyglądały przy tym powiewające za nim poły surduta. Nie ulegało jednak wątpliwości, że nie ma żadnych szans. Wśród zwierząt wiele było szybkich z natury, a biegły po raz pierwszy w życiu; wszystkie chciały wypróbować swoje nowe mięśnie.

- Za nim! Za nim! - rozległy się okrzyki. - Może to jest właśnie WLAZŁO, o którym mówił Lew? Chyżo! Ho-ooo! Odciąć mu drogę! Okrążyć go! Hurrra!

W ciągu kilku minut najszybsze zwierzęta wyprzedziły go i zabiegły mu drogę. Krąg zamknął się i zacieśnił. Wuj Andrzej zatrzymał się, otoczony zewsząd tak straszными dla niego istotami, że był już pewien swego końca. Nad nim piętrzyły się rogi dwóch łosi i szary masyw głowy słonia. Za sobą słyszał chrapliwe, groźne pomrukiwanie niedźwiedzi i stłumiony ryk dzików. Przed nim zamarły leopardy i pantery z pełnymi wściekłości (jak mu się wydawało) pyskami, kołysząc miarowo ogonami. Tym, co przerażało go najbardziej, było mnóstwo otwartych pysków. Oczywiście zwierzęta oddychały w ten sposób po szybkim biegu, ale wuj Andrzej był przekonany, że po prostu zamierzają go zjeść. Stał więc, słaniając się na nogach i drżąc jak osika. Nigdy, nawet w młodości, nie lubił zwierząt: zwykle raczej się ich bał, a lata okrutnych doświadczeń na zwierzętach sprawiły, że znienawidził je i odczuwał przed nimi jeszcze większy lęk.

- A teraz, mój panie - rzekł buldog tonem dość oficjalnym - powiedz: jesteś zwierzęciem, rośliną czy minerałem?

Tak wyraźnie zapytał, lecz wuj Andrzej usłyszał tylko: „Trrrr-zrrrrr-mrrrrr?”

ROZDZIAŁ 11

DIGORY I JEGO WUJ MAJĄ KŁOPOTY

MOŻE SIĘ WAM WYDAWAĆ, że zwierzęta nie okazały wielkiej mądrości, skoro nie potrafiły od razu stwierdzić przynależności wuja Andrzeja do tego samego gatunku stworzeń co dwoje dzieci i dorożkarz. Musicie jednak pamiętać, że nie miały pojęcia o czymś takim jak ubranie. Dla nich sukienka Poli i typowy strój z Norfolku, jaki nosił Digory, czy melonik dorożkarza były takimi samymi częściami ciała jak ich własne futra czy pióra. Jestem pewien, iż nigdy by nie zgadły, że nawet tych troje należy do tego samego gatunku, gdyby z nimi nie porozmawiały i gdyby Truskawek nie wydawał się tego pewien. A wuj Andrzej był o wiele wyższy od dzieci i o wiele cieńszy od dorożkarza. Ubrany był cały na czarno z wyjątkiem białej kamizelki i koszuli (zresztą teraz już nie bardzo białych), a jeśli się do tego doda jego bujną czuprynę siwych włosów (teraz dziko potarganych), to trudno się dziwić, że w niczym nie przypominał im trzech pozostałych przedstawicieli rodzaju ludzkiego. Na domiar wszystkiego nie miały dotąd sposobności przekonania się, że wuj Andrzej w ogóle potrafi mówić.

Nie znaczy to, by nie próbował. Kiedy buldog zadał mu pytanie (czyli, jak myślał wuj, najpierw na niego szczeknął, a potem warknął), starszy pan wyciągnął do niego trzęsącą się rękę i wysapał coś takiego jak: „Dobra psinka, dobra”. Ale zwierzęta nie rozumiały jego mowy, podobnie jak on nie rozumiał ich. Nie słyszały żadnych słów, tylko jakieś bezładne, skwierczące dźwięki. Może zresztą dobrze, że nie rozumiały, bo jeszcze nie słyszałem, by jakikolwiek pies - a tym bardziej mówiący pies z Narnii - lubił, gdy się go nazywa „dobrą psinką”, podobnie jak żadne z was nie lubi, gdy się go nazywa „moim małym brzdącem”.

A potem wuj Andrzej zemdlął ze strachu i padł jak kłoda na ziemię.

- Popatrzcie! - odezwał się guziec*. - Teraz widać, że to tylko jakieś drzewo. Od początku tak myślałem. - (Pamiętajcie, że te zwierzęta nigdy jeszcze nie widziały, jak ktoś mdleje.)

Buldog obwąchał dokładnie całego wuja Andrzeja, podniósł łeb i oznajmił:

- To jest zwierzę. Z całą pewnością. I bardzo możliwe, że tego samego gatunku co tamtych troje.

- Nie wydaje mi się, by tak było - rzekł jeden z niedźwiedzi. - Zwierzę nie

*Guziec to afrykańskie zwierzę z rodziny świń, które ma na głowie rogowate wyrostki przypominające guzy (przyp tłum)

przewróciłoby się tak nagle na ziemię. My jesteśmy zwierzętami i jakoś się nie przewracamy. Stoimy. O, tak. - Stał na tylnych łapach, zrobił krok do tyłu, potknął się o nisko rosnącą gałąź i padł jak długi na ziemię.

- Trzeci żart, trzeci żart, trzeci żart! - zaczęła wrzeszczeć kawka.

- A ja wciąż uważam, że to rodzaj drzewa - upierał się guziec.

- Jeśli to jest drzewo, to może w nim być gniazdo pszczół - zauważył inny niedźwiedź.

- Jestem pewien, że to nie drzewo - rzekł bóbr. - Wydawało mi się, że próbowało coś powiedzieć, zanim się przewróciło.

- To tylko wiatr szumiał w jego gałęziach - odpowiedział guziec.

- Ale chyba nie sądzisz - powiedziała kawka do bobra - że to jest MÓWIĄCE zwierzę. Nie powiedziało jeszcze ani jednego słowa.

- A jednak, moi drodzy - odezwała się słonica (jak pamiętacie, jej małżonek został odwołany przez Aslana na naradę) - a jednak to może być jakiś gatunek zwierzęcia. Czy ta biaława bryłka na jednym końcu nie może być czymś w rodzaju twarzy? A te dziury, czy nie wyglądają jak oczy i usta? Nosa co prawda nie ma, ale... hm... nie trzeba mieć ciasnych poglądów. W końcu i wśród nas tylko niewielu ma coś, co naprawdę można nazwać NOSEM. I ze zrozumiałą dumą wyciągnęła na całą długość swoją trąbę.

- Sprzeciwiam się stanowczo takim uwagom - powiedział buldog.

- Słoń ma całkowitą rację - rzekł tapir.

- Powiem wam, co to jest! - odezwał się nagle osioł. - To jest zwierzę, które nie potrafi mówić, ale myśli, że potrafi.

- Czy nie dałoby się go postawić? - zapytała słonica. Wyciągnęła trąbę, otoczyła nią delikatnie ciało wuja Andrzeja i postawiła je... niestety, do góry nogami, tak że z kieszeni wysypały się monety: dwie dziesięcioszylingówki, trzy półkoronówki i jedna sześciopensówka. Ale nic z tego nie wyszło. Wuj Andrzej po prostu padł na ziemię po raz drugi.

- No proszę! Popatrzcie! - odezwały się głosy. - To nie jest żadne zwierzę. To w ogóle nie jest żywe.

- Mówię wam, że to JEST zwierzę - rzekł buldog. - Sami powąchajcie.

- Zapach to jeszcze nie wszystko - zauważyła słonica.

- Co?! - zdenerwował się buldog. - Jeśli nie można zawierzyć swojemu węchowi, to niby czemu

można zawierzyć?

- A może by tak zawierzyć swojemu mózgowi.” - odpowiedziała pytaniem słonica.

- Stanowczo sprzeciwiam się takim uwagom - warknął buldog.

- No cóż, w każdym razie coś z tym trzeba zrobić - powiedziała słonica. - Być może to jest właśnie WLAZŁO, więc trzeba je pokazać Aslanowi. Co o tym myśli większość z nas? Czy to jest zwierzę, czy coś w rodzaju drzewa?

- Drzewo! Drzewo! - rozległo się z tuzin głosów.

- A więc dobrze. Jeśli jest drzewem, to trzeba je zasadzić. Musimy wykopać dziurę.

Dwa krety natychmiast wykonały to zadanie. Teraz zaczęto się spierać, którym końcem należy wuja Andrzeja zasadzić i niewiele brakowało, by go wsadzono głową do ziemi. Sporo zwierząt utrzymywało, że jego nogi są gałęziami, a owa szara, puszysta rzecz z drugiego końca to po prostu splątane korzonki. Ale na szczęście większość była zdania, że jego rozwidlone zakończenie jest bardziej ubłocone i mocniejsze, a tak właśnie powinny wyglądać korzenie drzewa; szare zakończenie jest po prostu za wiotkie, by mogło utrzymać całość. Tak więc ostatecznie wsadzono go do dziury nogami. Kiedy uklepano pozostałą ziemię, sięgała mu ponad kolana.

- Wygląda na okropnie zwiędłe - zauważył osioł.

- Oczywiście, potrzebuje trochę wody - zgodziła się słonica. - Nie chciałabym urazić nikogo z obecnych, ale chyba WOLNO mi powiedzieć, że do TEGO rodzaju czynności taki nos jak mój...

- Stanowczo sprzeciwiam się tego rodzaju uwagom! - warknął buldog. Ale słonica podeszła spokojnie do brzegu rzeki, napełniła trąbę wodą i wróciła, by zająć się wujem Andrzejem.

Mądre zwierzę wylało na niego troskliwie całą zawartość trąby, tak że woda spływała po jego surducie, jakby się wykąpał w ubraniu. Trudno się dziwić, że ten zabieg rzeczywiście go ożywił. Cóż to było za przebudzenie! Ale musimy go teraz zostawić w spokoju, by przemyślał swoje nieczne uczynki (jeśli w ogóle był w stanie zrobić coś tak rozsądnego), i zająć się o wiele ważniejszymi sprawami.

Truskawek pokłusował z Digorym na grzbiecie w kierunku, w którym odeszła z Aslanem grupa wybrańców. Wkrótce głosy pozostałych zwierząt ucichły i ukazała się mała grupka skupiona wokół Lwa. Digory nie śmiałyby chyba przerwać tak poważnej narady, ale nie musiał się nad tym zastanawiać. Na dany przez Aslana znak słoń, kruk

i reszta otaczających go stworzeń rozstąpiły się na boki. Digory ześlizgnął się z konia i stanął twarzą w twarz z Aslanem. Z bliska Lew był jeszcze większy, jeszcze wspanialszy, jeszcze bardziej promiennie złocisty i jeszcze groźniejszy, niż mu się przedtem wydawało. Chłopiec nie miał odwagi spojrzeć w te wielkie oczy.

- Panie Lwie... Aslanie... - wyjąkał - czy mógłbyś... czy mógłbym... och, proszę cię, czy możesz mi dać jakiś zaczarowany owoc z tego kraju, który uleczy moją mamę?

Miał rozpaczliwą nadzieję, że Lew odpowie „Tak”, a jednocześnie bał się straszliwie, że może powiedzieć „Nie”. Ku jego zaskoczeniu Lew powiedział zupełnie co innego.

- To jest ten chłopiec - rzekł, patrząc nie na Digory'ego, lecz na członków swojej rady. - To jest chłopiec, który to zrobił.

„Och, cóż to znaczy? - myślał Digory. - Co ja takiego znowu zrobiłem?”

- Synu Adama - powiedział Lew. - W moim nowym kraju, w Narnii, jest zła Czarownica. Powiedz tym dobrym stworzeniom, w jaki sposób się tu znalazła.

Tuzin różnych odpowiedzi przemknęło Digory'emu przez głowę, lecz miał na szczęście tyle rozsądku, by powiedzieć, jak było naprawdę.

- Ja ją tu sprowadziłem, Aslanie - odpowiedział cicho.

- W jakim celu?

- Chciałem ją przenieść z mojego własnego świata do jej królestwa. Myślałem, że właśnie tam się znajdziemy.

- W jaki sposób znalazła się w twoim świecie, Synu Adama?

- Za pomocą... magii.

Lew milczał i Digory zrozumiał, że nie jest to wystarczająca odpowiedź.

- To przez mojego wuja, Aslanie. To on wysłał nas z naszego świata dzięki magicznym pierścieniom, a w każdym razie ja musiałem się na to zgodzić, bo najpierw wysłał Połę, a potem spotkaliśmy Czarownicę w miejscu zwanym Charn i ona złapała nas, kiedy...

- SPOTKALIŚCIE Czarownicę? - przerwał mu Aslan cichym głosem, w którym czaiła się zapowiedź ryku.

- Ona się obudziła - odpowiedział Digory z rozpaczą w głosie, a potem zrobił się biały jak papier i wyrzucił z siebie: - To znaczy, ja ją obudziłem. Obudziłem ją, bo chciałem zobaczyć, co się stanie, jak uderzę w ten dzwon. Pola tego nie chciała. To nie jej wina. Ja... ja wykręciłem jej rękę. Wiem, że nie powinienem tego robić. Myślę, że byłem trochę zaczarowany tym napisem pod dzwonem.

- Tak? Byłeś zaczarowany? - zapytał Aslan, wciąż bardzo cichym i bardzo głębokim głosem.

- Nie - odrzekł Digory. - Teraz już wiem, że nie. Ja tylko udawałem.

Zapanowała długa cisza, w czasie której Digory powtarzał sobie w duchu: „Wszystko zepsułem. Teraz już nic nie dostanę dla mamy”.

Kiedy Lew znowu przemówił, nie zwracał się już do Digory'ego.

- Tak więc widzicie, przyjaciele, że zanim minęło siedem godzin od narodzin tego nowego, czystego świata, siły zła już znalazły do niego drogę, obudzone i przywleczone tu przez tego oto Syna Adama.

Wszystkie zwierzęta, z Truskawkim włącznie, zwróciły oczy na nieszczęsnego chłopca, który gorąco pragnął zapaść się pod ziemię.

- Ale nie upadajcie na duchu - rzekł Aslan, wciąż zwracając się do zwierząt. - To zło przyniesie zło, ale na razie jest jeszcze daleko, a najgorsze spadnie na mnie, nie na was. Tymczasem zaprowadźmy tu taki ład, by jeszcze przez setki lat był tutaj szczęśliwy, radosny kraj w szczęśliwym, radosnym świecie. I jak rasa Adama spowodowała to zło, tak i rasa Adama pomoże je przewyciężyć. Podejdźcie bliżej, ty, chłopcze, i wy dwoje.

Ostatnie słowa odnosiły się do Poli i dorożkarza, którzy właśnie przybyli. Pola wpatrywała się w Aslana z otwartymi ustami, mocno ściskając dłoń dorożkarza. Ten spojrział na Lwa i zdjął swój melonik. Nikt jeszcze nie widział go bez melonika. A wyglądał bez niego młodziej i ładniej, bardziej jak wieśniak niż jak londyński dorożkarz.

- Synu - rzekł Aslan do niego - znam cię od dawna. A ty mnie znasz?

- Chyba nie, panie - odpowiedział dorożkarz. - W każdym razie nie tak, jak to się zwykle rozumie. Ale jeśli już mam być szczerzy, to jednak coś takiego czuję, jakbyśmy się już kiedyś spotkali.

- To dobrze - rzekł Lew. - Znasz mnie lepiej, niż ci się wydaje, a będziesz żył, by poznać mnie jeszcze lepiej. Jak ci się podoba ten kraj?

- To piękne miejsce, panie.

- Czy chciałbyś tu zostać na zawsze?

- No cóż, panie, jestem człek żonaty... - zaczął dorożkarz i urwał na chwilę, po czym zebrał odwagę i dodał: - Gdyby tu była moja żona, Helenka, żadne z nas nie chciałoby za nic w świecie wracać do Londynu. To pewne jak amen w pacierzu. Oboje jesteśmy ze wsi.

Aslan podniósł swą kudłatą głowę, otworzył usta i wydał z siebie jakiś dźwięk, niezbyt głośny, ale pełen mocy. Serce Poli drgnęło gwałtownie. Była pewna, że jest to wezwanie i że każdy, kto je usłyszy, będzie mu posłuszny, a co więcej - że będzie mógł być posłuszny, choćby nie wiem ile światów i wieków dzieliło go od Aslana. Dlatego nie była bardzo zaskoczona ani wstrząśnięta, kiedy nagle zjawiała się znikąd młoda kobieta o miłej, szczerej twarzy i stanęła obok niej. Nikt nie musiał Poli tłumaczyć, że to żona dorożkarza, przeniesiona tu z naszego świata nie za pomocą jakichś okropnych, magicznych pierścieni - z konieczną przesiadką w Lesie - lecz szybko, lekko i przyjemnie, tak jak ptak siadający na swoim gnieździe. Młoda kobieta musiała akurat robić pranie, bo ubrana była w fartuch, rękawy miała podwinięte do łokci, a obie ręce pokryte mydlaną pianą. Gdyby miała czas, aby przebrać się w swój najlepszy strój (jej najlepszy kapelusz zdobiła cała masa sztucznych czereśni), wyglądałaby okropnie, a tak sprawiała bardzo miłe wrażenie.

Oczywiście była pewna, że śni. Dlatego nie podbiegła od razu do swojego męża i nie zapytała, co się, na miłość boską, z nimi dzieje. Ale kiedy spojrzała na Lwa, nie była już tak bardzo pewna, że to sen; z jakiegoś powodu nie sprawiała jednak wrażenia osoby, która się boi. Dygnęła z wdziękiem, jak to wciąż jeszcze w naszych czasach potrafią robić niektóre wiejskie dziewczęta, a potem podeszła do dorożkarza, wsunęła dłoń do jego dłoni i stała, rozglądając się dokoła z pewnym onieśmieniem.

- Moje dzieci - rzekł Aslan, wpatrując się w nich oboje - to wy macie być pierwszym królem i pierwszą królową Narnii.

Dorożkarz otworzył usta ze zdumienia, a jego żona poczerwieniała.

- Będziecie rządzić tymi wszystkimi stworzeniami. Będziecie czuwać, by panowała sprawiedliwość. Będziecie je ochraniać przed wrogami. A wrogowie się pojawiają, bo w tym świecie jest zła Czarownica.

Dorożkarz przełknął z trudem ślinę dwa lub trzy razy, a potem odchrząknął.

- Racz mi wybaczyć, panie - rzekł. - Dzięki ci stokrotne za ten zaszczyt, w imieniu moim i mojej połowicy, ale nie jestem z tych gości, co pasują do takiej roboty. Prawdę mówiąc, nie mam nawet odpowiedniej szkoły, ot co.

- Szkoły - powtórzył Aslan. - A czy potrafisz posługiwać się łopatą i pługiem? Czy potrafisz uprawiać ziemię?

- O tak, panie, na tym to się trochę znam, w końcu wychowałem się na wsi.

- Czy potrafisz rządzić tymi stworzeniami sprawiedliwie i łagodnie, pamiętając, że nie są niewolnikami, jak nieme istoty w świecie, w którym się urodziłeś, lecz

mówiącymi zwierzętami i wolnymi poddanymi?

- Rozumiem, o co ci chodzi, panie. Mógłbym spróbować, a zrobię to rzetelnie.

- Czy tak wychowasz swoje dzieci i wnuki, by czyniły to samo?

- Będę się starał jak najlepiej, panie. No co, poprobujemy, Helenko?

- I czy nie będziesz obdarzał szczególnymi względami jakichś wybrańców spośród swoich dzieci lub spośród innych stworzeń? Czy nie będziesz pozwalając, by inni nadużywali swojej władzy i wykorzystywali słabszych?

- O, co to, to nie, nigdy nie znośłem czegoś takiego, mówię szczerze. I nikomu na to nie pozwolę, taki już jestem. - (W ciągu całej tej rozmowy jego głos stopniowo się zmieniał: teraz mówił wolniej, a intonację miał bogatszą. Jego wymowa bardziej przypominała łagodny głos wiejskiego chłopaka niż ostrą, szybką mowę woźnicy z przedmieścia).

- A jeśli powstaną przeciw twemu państwu wrogowie i będzie wojna, czy będziesz pierwszy w ataku i ostatni w odwrocie?

- No cóż, panie - odparł dorożkarz - nigdy się tego do końca nie wie, dopóki się nie popróbuje. Nie śmiałybym przysiąc, że nigdy mnie strach nie obleci. Nigdy nie walczyłem, chyba że na pięści. Mógłbym spróbować... to znaczy żywię nadzieję, że chybabym się starał jak najlepiej.

- A więc - rzekł Aslan - uczynisz to wszystko, co do króla należy. Koronacja odbędzie się niebawem. A ty, i twoje dzieci, i twoje wnuki będziecie błogosławieni: niektóre będą królami Narnii, inne królami Archenlandii, która leży tam, za Południowymi Górami. A teraz ty, córeczko - zwrócił się do Poli. - Witaj w Narnii! Czy przebaczyłaś już chłopcu to, co ci zrobił w Sali Posągów, w opuszczonym pałacu przeklętego Charnu?

- Tak, Aslanie, już się pogodziliśmy.

- To dobrze. A teraz zajmijmy się samym chłopcem.

ROZDZIAŁ 12

PRZYGODA TRUSKAWKA

DIGORY STAŁ NIERUCHOMO z mocno zaciśniętymi ustami i z każdą chwilą czuł się coraz gorzej. Miał tylko nadzieję, że bez względu na to, co się stanie, nie rozplacze się ani się nie ośmieszy.

- Synu Adama - rzekł Aslan. - Czy jesteś gotów naprawić zło, jakie uczyniłeś mojej umiłowanej Narnii w samym dniu jej narodzin?

- Nie bardzo wiem, co mógłbym teraz zrobić - odpowiedział Digory. - Przecież królowa uciekła i...

- Zapytałem, czy jesteś gotowy - przerwał mu Lew.

- Tak - odrzekł Digory. Przez chwilę miał dziki pomysł, aby powiedzieć: „Spróbuję ci pomóc, jeśli obiecasz pomóc mojej mamie”, ale w porę zdał sobie sprawę, że Lew z całą pewnością nie należy do osób, z którymi można próbować targów. Ale kiedy powiedział „tak”, pomyślał o matce, o tym, że jego wielkie nadzieje rozwiewają się oto jak sen. Poczuł, że coś przeszkadza mu w gardle, a potem łyzy stanęły mu w oczach i nagle wyrzucił z siebie:

- Ale... błagam cię... czy nie mógłbyś... czy nie możesz dać mi czegoś, co uzdrowiłoby moją mamę? - Do tej chwili wpatrywał się w jedną z wielkich przednich łap Lwa, zakończoną potężnymi pazurami; teraz, w rozpacz, podniósł głowę i spojrzał mu prosto w twarz. To, co zobaczył, zaskoczyło go tak, jak chyba jeszcze nie w całym jego życiu. Bo oto złotobrazowa twarz nachyliła się ku niemu i (dziw nad dziwy) w wielkich oczach pojawiły się błyszczące łyzy. Te łyzy były tak duże i tak błyszczące, że nie mógł się oprzeć myśli, iż Lew jeszcze bardziej żałuje jego matki niż on sam.

- Mój synu, mój synu - powiedział Aslan. - Wiem. Zawiedzione nadzieje rodzą wielki ból. W tym kraju tylko ty i ja o tym wiemy. Bądźmy dla siebie dobrzy. Ale ja muszę myśleć o całych stuleciach przyszłych dziejów Narnii. Czarownica, którą przeniosłeś do tego świata, kiedyś tu powróci. Ale jeszcze nie teraz. Jest moim życzeniem, by zasadzono w Narnii drzewo, którego ona nie ośmieli się dotknąć. To drzewo będzie ochraniać przed nią Narnię przez wiele, wiele lat. Tak więc ten kraj czeka długi, jasny poranek, zanim chmury ponownie przesłonią słońce. Musisz dostarczyć mi ziarno, z którego wyrośnie to drzewo.

- Tak, panie - odpowiedział Digory. Nie miał pojęcia, w jaki sposób tego dokona, ale wiedział z całą pewnością, że będzie gotów na wszystko. Lew westchnął głęboko, pochylił głowę jeszcze niżej i obdarzył go lwim pocałunkiem. I natychmiast

Digory poczuł w sobie nową siłę i odwagę.

- Mój umiłowany synu - rzekł Aslan. - Powiem ci, co masz zrobić. Odwróć się i popatrz na zachód, a potem powiedz, co widzisz.

- Widzę straszliwie wysokie góry, Aslanie. Widzę rzekę, która spada białą kaskadą z krawędzi jakiegoś płaskowyżu. A za tym płaskowyżem są wysokie, zielone wzgórza porośnięte puszcza. Za nimi są jeszcze wyższe grzbiety, prawie czarne. A jeszcze dalej, bardzo, bardzo daleko, są ośnieżone szczyty gór, jak na pocztówce z Alp. A za nimi nie ma już nic prócz nieba.

- Masz dobry wzrok - powiedział Aslan. - Wiedz zatem, że granice Narnii sięgają do owego wodospadu. Kiedy wejdiesz na krawędź płaskowyżu, znajdziesz się już na Zachodnim Pustkowi. Musisz przejść przez góry, aż znajdziesz zieloną dolinę z granatowym jeziorem pośrodku, otoczoną ze wszystkich stron szczytami pokrytymi lodem. Nad brzegiem tego jeziora jest strome, zielone wzgórze. Na szczycie wzgórza jest ogród. A w samym środku ogrodu rośnie drzewo. Przynieś mi jabłko z tego drzewa.

- Tak, panie - odrzekł znowu Digory. Zupełnie nie wiedział, jak wspiąć się na krawędź płaskowyżu i jak znaleźć drogę do jeziora przez te wszystkie puszcze i góry, ale nie chciał tego powiedzieć na głos w obawie, że zabrzmiałoby jak wymówka. Powiedział tylko: - Mam nadzieję, Aslanie, że ci się tak bardzo nie spieszy. Chyba nie zdołam dotrzeć tam i wrócić bardzo szybko.

- Mały Synu Adama, będziesz miał pomocnika. - Po tych słowach Aslan odwrócił się do konia, który stał spokojnie w pobliżu, machając co jakiś czas ogonem, żeby odpędzić muchy, i przysłuchiwał się rozmowie z lekko przechylnym łbem, jakby to, co usłyszał, nie było zbyt zrozumiałe.

- Mój kochany - rzekł Aslan - czy nie chciałbyś być skrzydlatym koniem?

Warto było zobaczyć, jak koń wstrząsnął grzywą, jak rozchyliły mu się chrapy i jak tupnął kopytem w ziemię. Bez wątplenia bardzo chciał mieć skrzydła. Ale powiedział tylko:

- Jeżeli chcesz, Aslanie... jeżeli naprawdę uważasz... nie wiem, dlaczego akurat ja... nie jestem zbyt mądrym koniem...

- Bądź uskrzydłony!

Bądź ojcem wszystkich latających koni! - ryknął Aslan głosem, od którego zatrzęsała się ziemia. - Odtąd będziesz się nazywał Pegazem!

Koń otrząsnął się, tak jak mógłby się otrząsnąć za dawnych, smutnych dni,

kiedy ciągnął dorożkę. Potem stanął dęba. Wygiął łeb do tyłu, jakby chciał dosięgnąć zębami muchy, która go ugryzła w kark. A potem, zupełnie tak samo jak z ziemi wyrastały zwierzęta, u nasady jego długiej szyi wystrzeliły i rozwinęły się skrzydła, większe niż skrzydła orła, większe niż skrzydła łabędzia, większe zaiste niż skrzydła anioła z kościelnego witrażu. Pióra zalśniły barwą miedzi i kasztanów. Machnął nimi parę razy i nagle wzniósł się w powietrze na jakieś pięć metrów, parszcząc i wykonując szaleńcze skręty i podskoki. Potem zrobił duże koło nad głowami dzieci i opadł zgrabnie na ziemię wszystkimi czterema kopytami naraz, nieco zaskoczony, zakłopotany, ale i bardzo zadowolony.

- Jak ci się to podoba, Pegazie? - zapytał Aslan.

- To wspaniałe, Aslanie - odrzekł Pegaz.

- Czy polecisz z tym małym Synem Adama do górskiej doliny, o której mówiłem?

- Co?! Teraz? Tak od razu? - zawołał Truskawek (a raczej Pegaz, jak go odtąd musimy nazywać).

- Hurra! Chodź tutaj, mój mały. Miałem już takich jak ty na grzbiecie. Dawno, dawno temu, tam, gdzie były zielone łąki... I cukier...

- O czym tak szepczą dwie Córki Ewy? - zapytał Aslan, odwracając się raptownie ku Poli i żonie dorożkarza, które właśnie się ze sobą zaprzyjaźniły.

- Niech mi wolno będzie coś powiedzieć, panie

- rzekła królowa Helena (bo tak powinniśmy teraz nazywać żonę dorożkarza). - Myślę, że dziewczynka bardzo by chciała polecieć razem z chłopcem, jeśli to nie sprawi zbyt wiele kłopotu.

- Co na to powiesz, Pegazie? - zapytał Aslan.

- Och, nie mam nic przeciwko drugiemu małemu dwunogowi na moim grzbiecie. Ale mam nadzieję, że słoń nie zamierza z nami lecieć?

Słoń nie wyrażał takiego życzenia i nowy król Narnii pomógł dzieciom wspiąć się na grzbiet Pegaza, to znaczy podrzucił szorstko Digory'ego, a Połę posadził tak delikatnie i zgrabnie, jakby była z porcelany i mogła się potłuc.

- No, już siedzą, Truskawku, znaczy się, Pegazie. Ale to będzie kurs!

- Nie wznos się zbyt wysoko - rzekł Aslan.

- Nie próbuj przelatywać nad szczytami wysokich, pokrytych lodem gór. Wypatruj dolin, zielonych miejsc i leć nad nimi. Zawsze znajdziesz jakieś przejście. A teraz - w drogę, z moim błogosławieństwem!

- Och, Pegazie! - powiedział Digory, wychylając się do przodu, by poklepać lśniąca szyję konia.

- Jest cudownie. Trzymaj się mnie mocno, Polu. W następnej chwili łąka uciekła chyżo spod ich stóp i zawirowała, gdy Pegaz, jak olbrzymi gołąb, zatoczył dwa koła, zanim skierował się na zachód. Kiedy Pola spojrzała w dół, nie mogła już dostrzec króla i królowej, a nawet sam Aslan był tylko jasną plamką na zielonej płaszczyźnie. Wiatr wionął im w twarze, a skrzydła Pegaza zaczęły bić miarowo powietrze, nie wznosząc się już ponad jego grzbiet.

Pod nimi rozciągała się różnobarwna Narnia: łąki i skały, wrzosey i różne rodzaje drzew, a wśród nich rzeka jak wstęga z żywego srebra. Teraz zobaczyli, co jest za wzgórzami po prawej stronie, na północy: rozległa torfowa wyżyna podnosząca się łagodnie aż do widnokregu. Po lewej stronie były wysokie góry, ale tu i tam, między stromymi, porośniętymi sosną zboczami, mogli spostrzec dalekie, południowe krainy, leżące poza nimi.

- To tam musi być ta Archenlandia - powiedziała Pola.

- Tak, ale spójrz przed siebie! - zawołał Digory.

Przed nimi wyrósł nagle skalisty próg i oślepił ich blask słońca odbijającego się w potężnym wodospadzie, którym spieniona, rycząca rzeka wlewała się do Narnii z zachodniej wyżyny, gdzie miała swe źródło. Lecieli teraz tak wysoko, że grzmot wodospadu dobiegał tu jak słaby szum, jednakże szczyt skalnego uskoku był jeszcze wyżej, ponad nimi.

- Będziemy musieli trochę POZYGZAKOWAĆ - powiedział Pegaz. - Trzymajcie się mocno.

Wkrótce zrozumieli, co znaczy to dziwne słowo. Pegaz zaczął wykonywać szybkie zwroty, za każdym razem wznosząc się nieco wyżej. Powietrze zrobiło się zimniejsze. Pod sobą usłyszeli krzyki orłów.

- Ojej! Popatrz! Popatrz do tyłu! - zawołała Pola.

Bo oto za nimi rozciągała się teraz cała dolina Narnii, aż do wschodniego horyzontu, gdzie połyskiwało morze. Byli tak wysoko, że na północy ujrzeli poszarpane szczyty skalistych gór poza torfową wyżyną, a na południu jasną plamę czegoś, co wyglądało jak pustynia.

- Chciałbym, żeby tu był ktoś, kto by nam powiedział, co to za kraje, góry i rzeki - powiedział Digory.

- Ale co by nam mógł powiedzieć? Pomyśl, Digory, przecież tam jeszcze nikogo

nie ma i nic się jeszcze nie wydarzyło. Przecież ten świat dopiero dziś się narodził.

- No tak, ale te krainy na pewno zostaną zaludnione. I wtedy zaczną się ich dzieje i będzie co opowiadać.

- Ale na razie nic, ale to nic nie ma do opowiadania. I bardzo się z tego cieszę. Nikt nie musi się niczego uczyć. Żadnych bitew, dat i tych wszystkich innych okropieństw.

Przelatywali już nad krawędzią skalnego urwiska, a wkrótce, kiedy się obejrzeliby do tyłu, nie zobaczyli rozległej doliny Narnii. Pod nimi był dziki kraj stromych wzgórz i ciemnych lasów przecięty krętą wstęgą rzeki. Przed nimi majaczyły białe, wyniosłe szczyty gór. Ale teraz słońce świeciło im prosto w oczy i nie widzieli już wszystkiego tak wyraźnie. Zachodnie niebo oblało się złotem, słońce zniżyło się, aż w końcu skryło za wielkim, czarnym szczytem o poszarpanych krawędziach, rysującym się ostro na tle złotej jasności, jakby był wcięty z kartonu.

- Wcale nie jest za ciepło - zauważyła Pola.

- I skrzydła zaczynają mnie boleć - powiedział Pegaz. - Nie widać ani śladu tej doliny z jeziorem, o której mówił Aslan. A może by tak zniżyć się i poszukać jakiegoś przyzwoitego miejsca na nocleg? Kiedy się zrobi ciemno, trudno będzie coś znaleźć.

- Tak, i chyba już czas na kolację - zgodził się Digory.

Między zalesionymi wzgórzami było o wiele cieplej. Po tylu godzinach lotu w ciszy, przerywanej jedynie miarowym poszumem skrzydeł Pegaza, z przyjemnością słuchali swojskich, ziemskich odgłosów: plusku rzeki w jej kamiennym korycie i skrzypienia drzew w lekkim wietrze. Poczuli ciepły, dobry zapach nagrzanego od słońca ziemi, trawy i dzikich kwiatów. W końcu Pegaz wylądował. Digory ześliznął się na ziemię i pomógł zejść Poli. Oboje z przyjemnością prostowali nieco zdrętwiałe nogi.

Stroma dolinka, w której wylądowali, leżała wśród gór. Dookoła wznosiły się pokryte śniegiem szczyty; jeden był zaróżowiony od wieczornej zorzy.

- Ale jestem głodny - powiedział Digory.

- No to wsuwaj - rzekł Pegaz i zebrał zębami sporą porcję trawy. Potem podniósł łeb, żując smakowicie źdźbła, których końce wystawały mu z obu stron pyska jak wąsy, i dodał: - No, dalej, dwunogi. Nie krępujcie się. Jest tu tego dużo.

- Ale my nie jadamy trawy - powiedział Digory.

- Hm-hm-hm - Pegaz z lubością żuł trawę. - No, cóż, hm-hm, w takim razie nie mam pojęcia, co możecie zrobić. Ale to naprawdę wspaniała trawa.

Pola i Digory popatrzyli na siebie z niemiłym zaskoczeniem.

- Ktoś chyba powinien pomyśleć o jedzeniu dla nas - rzekł Digory po chwili milczenia.

- Jestem pewien, że Aslan by to zrobił, gdyby go ktoś poprosił - zauważył Pegaz.

- Czyżby sam o tym nie wiedział? - zapytała Pola.

- Nie wątpię, że wiedział - rzekł koń, wciąż z pełnym pyskiem. - Ale tak mi się coś widzi, że on lubi, jak go się prosi o to, czego potrzebujemy.

- No i co teraz zrobimy? - zapytał Digory z rozpaczą.

- Tego to ja naprawdę nie wiem - odparł Pegaz. - Chyba że spróbujecie trawy. Może się okazać, że jest lepsza, niż się wam wydaje.

- Och, nie bądź głupi! - zdenerwowała się Pola, tupiąc nogą. - Przecież każdy wie, że ludzie nie jedzą trawy, tak jak konie nie jedzą baranich kotletów.

- Na miłość boską, Polu, czy musisz wspominać o kotletach? - przerwał jej Digory. - To tylko pogarsza sytuację.

Potem Digory zaproponował, żeby Pola przeniosła się na chwilę do domu za pomocą magicznego pierścienia i zabrała stamtąd coś do jedzenia. Sam nie mógł tego zrobić, bo przecież przyrzekł Aslanowi zmierzać najprostszą drogą do zaczarowanego drzewa i przynieść z niego owoc. Obawiał się też, że gdyby się pokazał w domu, coś nieoczekiwanego mogłoby mu przeszkodzić w powrocie. Ale Pola oświadczyła, że nie zamierza go tu samego zostawiać, a Digory powiedział, że to bardzo przyzwoicie z jej strony.

- Ach, coś mi się przypomniało! - odezwała się nagle Pola po dłuższym milczeniu. - Mam wciąż w kieszeni torebkę z resztką toffi. W każdym razie to lepsze niż nic.

- O wiele lepsze - ożywił się Digory. - Tylko ostrożnie, żebyś przypadkiem nie dotknęła swojego pierścienia.

Nie było to łatwe zadanie, ale w końcu udało się jej wyjąć delikatnie torebkę, brudną, pozlepianą i sztywną, tak że kolejny problem polegał nie tyle na tym, jak wyjąć z niej cukierki, tylko jak poodlepić z nich torebkę. Niektórzy dorośli (sami wiecie, jak potrafią grymasić w takich wypadkach) woleliby raczej pójść spać bez kolacji, niż zjeść te cukierki. Było ich w sumie dziewięć. Digory wpadł na pomysł, by zjeść po cztery, a dziewiąty zasadzić, bo, jak powiedział, „jeśli z pręta wyrosło latarniane drzewko, to dlaczego z cukierka nie mogłoby wyrosnąć drzewko toffi?” Wydlubali więc małą dziurkę w torfiastej ziemi i włożyli do niej cukierki. Potem zjedli pozostałe, starając się żuć je jak najdłużej. Trudno było się tym najeść, nawet jeśli się

uwzględni wszystkie resztki papieru, których nie zdołali zdrapać.

Wreszcie Pegaz skończył swoją smakowitą kolację i położył się w trawie, a dzieci przytuliły się do jego ciepłych boków. Kiedy przykrył każde jednym skrzydłem, zrobiło się bardzo przytulnie. Na niebie pojawiły się jasne, młode gwiazdy tego nowego świata. Nadszedł czas, aby spokojnie wszystko omówić: jak to Digory miał nadzieję dostać jakiś lek dla swojej matki i jak zamiast tego został wysłany w drogę po zaczarowane jabłko. Powtarzali sobie wszystkie znaki, po jakich mieli poznać miejsce, którego szukali: granatowe jezioro i wzgórze z ogrodem na szczycie. Rozmowa zaczęła właśnie wygasać i poczuli senność, gdy nagle Pola usiadła, całkowicie rozbudzona, i szepnęła:

- Ciiicho! Słyszycie?

Nasłuchiwali przez chwilę z bijącym sercem.

- Może to tylko wiatr w drzewach - odezwał się Digory.

- Nie jestem tego taki pewien - powiedział Pegaz. - W każdym razie... Ciiicho! Znowu coś słyhać. Na Aslana, tam coś JEST!

Podniósł się na nogi z okropnym hałasem i zaczął biegać truchtem wokoło, węsząc i parskając. Dzieci też zbadały najbliższą okolicę, idąc na palcach i zagłędając z duszą na ramieniu za każde drzewo i krzak. Kilka razy wydawało im się, że coś się porusza, a raz Pola była zupełnie pewna, że zobaczyła wysoką, ciemną postać przesuającą się bezszelestnie w kierunku zachodnim. Ale nie spotkały nikogo i w końcu Pegaz położył się znowu w trawie, przykrywając dzieci swoimi skrzydłami. Tym razem usnęły bardzo szybko. Koń czuwał jeszcze jakiś czas, strzygąc uszami i marszcząc gwałtownie skórę, jakby chciał opędzić się od much, ale w końcu i on zasnął.

ROZDZIAŁ 13

NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE

- OBUDŹ SIĘ, DIGORY! Obudź się, Pegazie! - zabrzmiał głos Poli. - Zobaczcie, rzeczywiście wyrosło z tego drzewko toffi! I mamy cudowny poranek.

Niskie, wczesne słońce przedzierało się smugami przez drzewa, trawa poszarzała od rosy, a pajęczyny lśniły srebrem. Nieopodal rosnęło niewielkie drzewko rozmiarów młodej jabłunki, z ciemnym pniem i białawymi, sztywnymi liśćmi, przypominającymi ziele nazywane miesięcznicą. I całe obsypane było małymi, brązowymi owocami bardzo podobnymi do daktyli.

- Hurra! - zawołał Digory. - Ale najpierw muszę się wykąpać.

I pobiegł ku rzece, przeskakując po drodze przez kwitnące krzaki. Czy kąpał się kiedy w górskiej rzece pieniącej się wesoło w słońcu i rwącej bystro korytem wykładanym czerwonymi, błękitnymi i żółtymi kamieniami? To równie dobre jak kąpiel w morzu, a pod pewnymi względami nawet lepsze. Oczywiście Digory musiał się po kąpeli ubrać bez wycierania, ale warto było. Kiedy wrócił, poszła nad rzekę Pola, mówiąc, że też się chce wykąpać, ale, jak wiadomo, nie umiała dobrze pływać, nie będziemy więc dociekać, czy zrobiła to naprawdę. Pegaz również wszedł do wody, ale tylko po to, aby stanąć w głównym nurcie i napić się do syta, wstrząsając od czasu do czasu grzywą i rżąc radośnie.

Dzieci zabrały się do śniadania. Owoce z drzewa toffi okazały się wyśmienite; nie były to zresztą dosłownie cukierki, lecz miękkie i soczyste owoce przypominające w smaku toffi. Pegaz też zjadł śniadanie i nawet spróbował jeden z owoców, ale chociaż mu smakował, stwierdził, że o tej porze woli raczej trawę. Potem nie bez pewnych trudności dzieci wdrapały się na jego grzbiet i zaczął się drugi dzień wędrówki.

Czuli się jeszcze lepiej niż poprzedniego dnia, bo każdy był odświeżony i słońce mieli teraz za sobą, a wiadomo, iż wszystko wygląda o wiele przyjemniej, kiedy słońce pada z tyłu. Była to cudowna podróż. Ze wszystkich stron otaczały ich wysokie, ośnieżone szczyty. Doliny, nad którymi przelatywali, były tak zielone, a strumienie spadające z lodowców do rzeki tak niebieskie, że lecieli jakby nad gigantycznymi klejnotami. Cała trójka nie miałaby nic przeciwko temu, by ta część wyprawy trwała o wiele dłużej. Lecz bardzo szybko wszyscy zaczęli głośno węszyć i zadawać sobie pytania: „Co to jest?” i „Czy to czujecie?”, i „Skąd to się bierze?”, bo oto w nozdrza uderzył ich niebiański zapach, ciepły i złoty, jakby gdzieś pod nimi rosły

najwspanialsze kwiaty i owoce świata.

- To tak pachnie z tamtej doliny z jeziorem - powiedział Pegaz.

- Tak, to stamtąd - zgodził się Digory. - I patrzcie! Na końcu jeziora jest zielone wzgórze. I jak niebieska jest woda!

- To musi być to MIEJSCE - stwierdziła Pola.

Pegaz zniżał lot, zataczając szerokie koła. Oblodzone granie wyrastały coraz wyżej i wyżej nad ich głowami. Z każdą chwilą powietrze robiło się coraz cieplejsze i gęstsze od zapachu tak słodkiego, że łyż stanęły im w oczach. Pegaz szybował teraz z szeroko rozpostartymi, nieruchomymi skrzydłami, przebierając kopytami w oczekiwaniu na zetknięcie z ziemią.

W chwilę później wylądował dość gwałtownie na stromym zboczu zielonego wzgórza. Dzieci stoczyły się z jego grzbietu w nagrzaną od słońca, bujną trawę, a po chwili już stały, lekko zadyszane, rozglądając się ciekawie dookoła.

Wylądowali na jakiejś jednej trzeciej wysokości wzgórza, mierząc od podnóża. Szczyt otoczony był murem zbudowanym z zielonej darni. Wewnątrz rosły drzewa, których gałęzie zwieszały się nad murem; kiedy powiał wiatr, okazało się, że prócz zielonych liści są tam również liście niebieskie i srebrne. Zaczęli się wspinać pod górę. (Koń pewno nie dałby temu rady, gdyby nie skrzydła, dzięki którym utrzymywał równowagę, a nawet podfruwował lekko od czasu do czasu.) Kiedy dotarli do zielonego muru, musieli obejść sporą jego część, zanim znaleźli bramę: złote wrota, zamknięte, skierowane dokładnie na wschód.

Aż do tej chwili Pegaz i Pola sądzili, że będą towarzyszyli Digory'emu do końca. Teraz przestali tak myśleć. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się im widzieć miejsca, które by miało tak OSOBISTY wygląd. Wystarczyło spojrzeć, by wiedzieć, że to miejsce do kogoś należy. Tylko głupiec mógł marzyć o wejściu do środka, nie będąc wysłanym w bardzo specjalnej misji. W każdym razie Digory zrozumiał od razu, że jego towarzysze po prostu nie mogą wejść razem z nim. Podszedł więc sam do bramy.

Kiedy był już blisko, na złotych wrotach zobaczył rzędy srebrnych liter układających się w mniej więcej takie słowa:

Wejdz przez złote wrota albo nie wchodź wcale, Weź mój owoc dla innych albo nie bierz wcale. Bo ci, co kradną dla siebie lub przez mur mój skaczą, Znajdą to, czego pragną, lecz razem z rozpaczą.

- „Weź mój owoc dla innych” - powtórzył na głos Digory. - No, ja właśnie zamierzam to zrobić. To chyba oznacza, że nie wolno mi zjeść ani jednego samemu.

Ale reszta, a zwłaszcza ta ostatnia linijka, to jakaś chińszczyzna, nic z tego nie rozumiem. „Wejdz przez złote wrota”. A komu by się chciało przełazić przez mur, skoro można przejść przez bramę?

Dotknął wrót ręką i nagle, bez najmniejszego dźwięku, otworzyły się same do wewnątrz. Wszedł ostrożnie, rozglądając się wokoło. Panował tu niczym nie zmacony spokój. Pośrodku ogrodu tryskała fontanna, lecz dopiero po chwili Digory usłyszał cichutki, delikatny plusk opadającej wody. Powietrze przesycił cudowny zapach. Było to szczęśliwe, lecz równocześnie bardzo uroczyste miejsce.

Bez trudu rozpoznał zaczarowane drzewo: rosło w samym środku ogrodu, obsypane wielkimi srebrzystymi jabłkami. Jabłka promieniowały swoim własnym światłem, które spływało tam, gdzie nie mogły dotrzeć promienie słońca. Podszedł do drzewa, zerwał jedno jabłko, lecz nie mógł się powstrzymać, by go nie obejrzeć i nie powąchać przed schowaniem do kieszeni.

Byłoby lepiej, gdyby tego nie zrobił. Natychmiast poczuł straszliwe pragnienie, głód i przemożną chęć skosztowania owocu. Szybko włożył go do kieszeni, ale tuż nad głową wisiało tyle innych! Czy skosztowanie jednego jabłka byłoby naprawdę czymś złym? Ostatecznie, myślał Digory, napis na bramie wcale nie musiał być nakazem, ale tylko pewną radą - a kto by się przejmował radami? A nawet gdyby to był nakaz, to wcale nie powiedziano w nim wyraźnie, że nie wolno spróbować jednego jabłka. Przecież spełnił już to, czego żądała pierwsza część napisu: wszedł przez złote wrota i wziął owoc „dla innych”.

Kiedy się nad tym zastanawiał, spojrzął przypadkowo w górę, poprzez gałęzie prześwietlone blaskiem bijącym od jabłek. I nagle dostrzegł tam cudownego ptaka siedzącego na jednej z gałęzi jak na grzędzie. Mówię „jak na grzędzie”, bo pióra miał nastroszone i na pierwszy rzut oka wydawał się pogrążony w drzemce. Dopiero po chwili Digory spostrzegł, że jedną powiekę ptak miał lekko uchyloną. Był to wspaniały ptak, większy od orła, z żółtą piersią, szkarłatnym czubem i długim, purpurowym ogonem.

- A to dowodzi - mówił później Digory, kiedy opowiadał o swojej przygodzie innym - że w takich zaczarowanych miejscach nigdy nie można przesadzać z ostrożnością. Nigdy się nie wie, czy ktoś nas nie obserwuje. - Myślę jednak, że Digory i tak nie zerwałby jabłka dla siebie. Takie zasady, jak „Nie kradnij”, były w tamtych czasach wbijane chłopcom do głowy o wiele mocniej i skuteczniej niż dzisiaj. Choć - nigdy nie można mieć pewności do końca...

Digory odwrócił się, by pójść z powrotem do bramy, lecz przed odejściem rozejrzał się wokoło po raz ostatni. I nagle przeżył straszliwy wstrząs. Nie był sam. Zaledwie o kilka metrów od niego stała Czarownica. Gdy na nią spojrział, odrzuciła ogryzek jabłka, które dopiero co zjadła. Sok owocu, o wiele ciemniejszy, niż się Digory spodziewał, pozostawił złowrogie, krwawe ślady wokół jej ust. Digory poczuł od razu, że Czarownica nie dostała się do ogrodu przez bramę, tylko przez mur. Zaczął też dostrzegać pewien sens w ostatniej linijce napisu na wrotach, mówiącej, że zaspokojenie żądz zjedzenia z czarowanego jabłka wiąże się w jakiś sposób z rozpaczą. Z Czarownicy promieniowała bowiem jeszcze większa niż dotąd siła i duma, a nawet pewien triumf, lecz twarz miała upiornie bladą.

Wszystko to przemknęło mu przez głowę w ciągu sekundy, a potem odwrócił się i pobiegł ile sił w nogach ku bramie. Czarownica rzuciła się za nim w pościg. Gdy tylko przebiegł przez bramę, jej skrzydła same się za nim zamknęły. Dało mu to pewną przewagę, ale nie na długo. Właśnie dobiegł do czekających na niego przyjaciół, wołając: „Szybko! Uciekajcie! Pola, wskakuj! Szybko!”, gdy Czarownica pojawiła się na szczycie muru, zeskoczyła z niego bez trudu i pędziła ku nim długimi susami.

- Stój! - zawołał Digory odwracając się ku niej.

- Jeżeli nie zatrzymasz się tam, gdzie jesteś, wszyscy za chwilę znikniemy. Spróbuj się zbliżyć choćby o centymetr!

- Och, głuptasku - powiedziała Czarownica.

- Dlaczego ode mnie uciekasz? Nie zamierzam wyrządzić ci krzywdy. Zatrzymaj się i posłuchaj tego, co ci chcę powiedzieć, bo inaczej nie dowiesz się czegoś, co może cię uczynić szczęśliwym na zawsze.

- Wcale mi na tym nie zależy - odpowiedział Digory, ale zatrzymał się i słuchał.

- Wiem, po co tu przybyłeś - ciągnęła Czarownica. - To ja byłam blisko was w lesie zeszłej nocy i słyszałam waszą naradę. Zerwałeś już jabłko, po które cię wysłano. Masz je w kieszeni. A ty, mały głuptasie, zamierzasz zanieść je Lwu, nawet go przedtem nie spróbowałeś. To ON je zje, to ON będzie miał z tego korzyść. Ty naiwny prostaku! Czy w ogóle wiesz, co to za owoc? Powiem ci, co to jest. To jabłko młodości, jabłko życia. Wiem o tym, ponieważ sama jedno zjadłam i już czuję, że nigdy się nie zestarzeję i nigdy nie umrę. Czuję to, czuję, jak wszystko się we mnie zmienia. Zjedz je, chłopcze, zjedz to cudowne jabłko, a i ty będziesz żył wiecznie. Będziemy razem królować nad całym tym światem - albo nad twoim światem, jeśli

zechcemy tam powrócić.

- Dziękuję, ale nie skorzystam - odpowiedział Digory. - Wcale nie jestem pewien, czy chciałbym żyć i żyć bez końca. Wszyscy, których znam, umrą, a ja miałbym żyć sam? To bez sensu. Wolę przeżyć tyle co inni, umrzeć i pójść do nieba.

- A czy pomyślałeś o swojej matce, którą niby kochasz?

- A co ona ma z tym wspólnego?

- Czy nie rozumiesz, głupcze, że jeden kęs tego jabłka wystarczy, by ją uzdrowić? Masz je teraz w kieszeni. Jesteśmy tu sami, a Lew jest daleko. Po prostu dotknij pierścienia i wróć do swojego świata. Za minutę będziesz stał przy łóżku matki, podając jej zaczarowany owoc. Za pięć minut ujrzysz, jak rumieńce powracają na jej bladą twarz. Powie, że ból ustąpił. Potem powie ci, że czuje się o wiele lepiej. A potem zaśnie. Pomyśl, całe godziny zdrowego, normalnego snu bez leków. A jutro wszyscy będą podziwiali cud jej ozdrowienia. Wkrótce będzie zupełnie zdrowa i silna. Wszystko będzie tak jak kiedyś. W twoim domu znowu zagości szczęście. Nie będziesz już smutny, nie będziesz zazdrościł innym chłopcom.

- Och! - jęknął Digory, jakby go coś ugodziło, i złapał się za głowę. Bo teraz zrozumiał, że stoi przed strasznym wyborem.

- A cóż takiego zrobił dla ciebie ten Lew, że chcesz być jego niewolnikiem? - zapytała Czarownica. - I co może ci zrobić, gdy znajdziesz się z powrotem w swoim świecie? Co by pomyślała twoja matka, gdyby się dowiedziała, że MOGŁEŚ uśmierzyć jej ból, przywrócić jej normalne życie i nie dopuścić, by pękło serce twojemu ojcu, a ty... ty NIE ZROBIŁEŚ tego, woląc spełniać polecenia jakiejś dzikiej bestii w dziwnym obcym świecie, z którym nie masz nic wspólnego?

- Ja... ja wcale nie uważam, że on jest dziką bestią. - Digory mówił z trudem, bo w ustach zupełnie mu zaschło. - On jest... no, nie wiem... ale...

- A więc jest czymś jeszcze gorszym od dzikiej bestii - powiedziała Czarownica. - Czy nie widzisz, co już z tobą zrobił? Czy nie zdajesz sobie sprawy, że uczynił z ciebie istotę bez serca? Tak, to jego wypróbowana metoda, zawsze tak zmienia tych, którzy są mu posłuszni. Okrutny, bezlitosny chłopcze! Wolisz skazać swoją matkę na śmierć niż...

- Och, przestań już! - jęknął nieszczęsny Digory. - Czy myślisz, że sam tego nie widzę? Ale... ale przecież przyrzekłem...

- Tak, ale nie wiedziałeś, co przyrzekasz. I nikt cię nie uprzedził.

- Mamie by się to nie podobało - powiedział Digory, z trudem dobierając słowa

- bardzo dbała o dotrzymywanie obietnic... i żeby nie kraść... i w ogóle. ONA sama by mi powiedziała, żebym tego nie robił... na pewno, bez namysłu... gdyby tu była...

- Wcale nie musi się o tym dowiedzieć - powiedziała Czarownica głosem tak słodkim, że trudno było wprost uwierzyć, jak może mówić tak ktoś o jej twarzy. - Nie powiesz jej, w jaki sposób zdobyłeś to jabłko. Twój ojciec też nie musi o tym wiedzieć. Nikt w twoim świecie nie dowie się o całej tej historii. Nie musisz też zabierać ze sobą z powrotem tej dziewczynki. Rozumiesz mnie?

I tutaj Czarownica popełniła okropny błąd. Digory wiedział, rzecz jasna, że Pola może się łatwo wydostać z tego świata bez jego pomocy. A Czarownica najwyraźniej nie wiedziała. Nikczemność jej rady, by zostawił swoją przyjaciółkę, sprawiła, że nagle wszystko, co Czarownica powiedziała, wydało mu się nieszczerze i podstępne. I mimo że sam był jeszcze rozdarty wewnątrz, odzyskał jasność myśli i powiedział (zmienionym, o wiele mocniejszym głosem):

- A czy TY możesz mi powiedzieć, skąd ci to wszystko przyszło do głowy? Dlaczego TY nagle tak troszczysz się o MOJĄ matkę? Co to ma wspólnego z TOBĄ? A tak naprawdę, to o co ci chodzi?

- Brawo, Digory! - usłyszał tuż przy uchu szept Poli. - Szybko! Teraz zwiewajmy stąd! - Rozumiecie chyba, że Pola nie śmiała odezwać się wcześniej, bo w końcu to nie JEJ matka była śmiertelnie chora.

- Lećmy! - zawołał Digory, podsadzając Połę na grzbiet Pegaza i sam wdrapując się tak szybko, jak potrafił. Koń rozwinął już skrzydła.

- A więc lećcie, głupcy! - usłyszeli za sobą głos Czarownicy. - Pomyśl o mnie, chłopcze, gdy będziesz leżał stary, słaby i umierający. Przypomnisz sobie wówczas, jak odrzuciłeś nie kończącą się młodość. Taka szansa nie spotka cię po raz drugi.

Ale byli już wysoko i jej słowa przestały Digory'emu zagrażać. Czarownica również nie traciła czasu, by patrzeć, jak znikają w oddali, lecz zaczęła schodzić ze wzgórze, kierując się na północ.

Tego ranka rozpoczęli wędrówkę wcześniej, a to, co się stało w zaczarowanym ogrodzie, nie trwało długo, więc Pegaz i Pola przypuszczali, że zdążą wrócić do Narnii przed zmrokiem. Digory milczał przez całą drogę, a pozostała dwójka nie śmiała się do niego odzywać. Był bardzo przygnębiony i co jakiś czas tracił pewność, czy postąpił dobrze; miał ją tylko wtedy, gdy przypominał sobie łyzy lśniące w oczach Aslana.

Skrzydła Pegaza poruszały się miarowo i niestrudzenie przez cały dzień. Lecieli na wschód, z rzeką jako przewodniczką, ponad górami i dzikimi, porośniętymi lasem

wzgórzami ku puszczyom Narnii, czerniejącym w cieniu potężnego urwiska, aż w końcu, gdy niebo poza nimi zapłonęło czerwienią, zobaczyli polanę nad rzeką, a na niej tłum oczekujących na nich mieszkańców Narnii. Pegaz zatoczył koło, poszybował miękko w dół z wyciągniętymi nogami, złożył skrzydła i wylądował na trawie niemal w pełnym biegu. Potem zatrzymał się, a dzieci zeskoczyły z jego grzbietu. Zwierzęta, karły, satyry, nimfy i inne istoty rozstąpiły się na prawo i lewo, otwierając drogę do Aslana. Digory podszedł do niego, podał mu jabłko i powiedział: - Przyniosłem owoc, który pragnąłeś mieć, panie.

ROZDZIAŁ 14

ZASADZENIE DRZEWA

- DOBRZE SIĘ SPISAŁEŚ - rzekł Aslan głosem, od którego zadrżała ziemia. Później Digory zrozumiał, że te słowa usłyszeli wszyscy Narnijczycy i że w tym nowym świecie opowieść o jego wyprawie będzie przekazywana z ojca na syna przez setki lat, a może nawet przez wieczność. Ale teraz nie groziła mu zarozumiałość, bo kiedy stał twarzą w twarz z Aslanem, wcale o tym nie myślał. Tym razem stwierdził, że może patrzeć Lwu prosto w oczy. Zapomniał o swoich kłopotach, a jego serce wypełniał spokój.

- Dobrze się spisałeś, Synu Adama - powtórzył Lew. - Aby przynieść nam ten owoc, przewyciężyłeś głód, pragnienie i rozpacz. Dlatego też twoja ręka jest najbardziej godna, by zasiać ziarno drzewa, które ma wyrosnąć dla ochrony Narnii przed złem. Rzuć to jabłko w stronę brzegu rzeki, tam gdzie ziemia jest miękka.

Digory uczynił to. Było tak cicho, że wszyscy usłyszeli miękkie pacnięcie jabłka spadającego w przybrzeżny muł.

- Dobry rzut - powiedział Aslan. - A teraz przystąpimy do koronacji pierwszych władców Narnii: króla Franka i królowej Heleny.

Dopiero w tej chwili dzieci dostrzegły dorożkarza i jego żonę. Mieli na sobie nowe, piękne stroje, a z ich ramion spływały wspaniałe płaszcze. Tren króla trzymały cztery karły, a tren królowej cztery rzeczne nimfy. Oboje mieli obnażone głowy. Królowa rozplotła włosy i pozwoliła im swobodnie opadać na ramiona; wyglądała teraz o wiele ładniej. Prawdę mówiąc, trudno było ich poznać, tak się zmienili, ale nie spowodowały tego ani nowe szaty, ani uczesanie. Zadziwiającej przemianie uległy ich twarze, a zwłaszcza twarz króla. Cała szorstkość, spryt i zادیorność, znaczące kiedyś jego twarz typowego londyńskiego dorożkarza, ustąpiły miejsca odwadze i dobroci, które zresztą zawsze miał w sercu. Być może sprawiło to powietrze owego młodego świata, a może rozmowa z Aslanem albo jedno i drugie.

- Daję słowo - szepnął Pegaz do Poli - mój stary pan zmienił się prawie tak bardzo jak ja! Teraz jest prawdziwym panem!

- Masz rację, ale nie bręcz mi tak do ucha, bo to okropnie łaskocze - odpowiedziała Pola.

- A teraz - rzekł Aslan - rozwiążcie splot, jaki zrobiliście z tych drzew, i zobaczymy, co tam znajdziemy.

Dopiero w tym momencie Digory spostrzegł, że gałęzie czterech drzew

rosnących w pobliżu zostały tak splątane i powiązane cienkimi wtkami, że utworzyły coś w rodzaju klatki. Dwa słonie użyły swych trąb, a kilku karłów siekier. Otworzyli niby klatkę, ukazując wszystkim trzy rzeczy: młode drzewko, jakby ze złota; drzewko jakby ze srebra; jakąś żalostną, strasznie ubłoconą postać siedzącą między drzewkami z pochyloną nisko głową.

- O rety! - szepnął Digory. - Wuj Andrzej!

Aby wyjaśnić tę scenę, musimy się trochę cofnąć w czasie. Jak pamiętacie, zwierzęta próbowały wuja Andrzeja zasadzić i podlać. Kiedy podlewanie przywróciło mu przytomność, stwierdził, że jest kompletnie przemoczony, wkopany aż po uda w ziemię (która szybko zamieniała się w błoto) i otoczony przez dzikie zwierzęta, których było więcej, niż mogło mu się przyśnić w całym dotychczasowym życiu. Trudno się dziwić, że zaczął na przemian wrzeszczeć i skomleć. Nie było to takie złe, bo w końcu przekonało wszystkich (nawet guźca), że jest istotą żywą. Wykopano go więc szybko (spodnie miał teraz naprawdę w oplakany stan). Gdy tylko poczuł, że ma swobodne nogi, próbował uciec, ale wystarczył jeden szybki ruch trąby słonia owijającej się wokół jego pasa, aby to udaremnić. Teraz wszyscy pomyśleli, że trzeba go gdzieś unieruchomić do czasu, gdy wróci Aslan i powie, co należy z nim zrobić. Otoczyli więc biednego wuja czymś w rodzaju klatki lub kojca. A potem zaczęli mu znosić wszystko, co było - według nich - jadalne.

Osiół zebrał wielki pęk ostu i wrzucił go do klatki, ale wuj Andrzej nawet na niego nie spojrzał. Wiewiórki bombardowały go orzechami, ale tylko zakrył głowę rękami i próbował się schować w najdalszym kącie. Kilka ptaków latało tu i tam, starając się pracowicie wrzucić mu przez szczeliny między gałęziami trochę dżdżownic. Szczególnie miły okazał się niedźwiedź. W ciągu popołudnia znalazł gniazdo leśnych pszczół i wyciągnął z niego plaster miodu. Zamiast go zjeść (na co miał wielką ochotę), przyniósł go wujowi Andrzejowi. Niestety, ten podarunek okazał się największą pomyłką. Niedźwiedź wrzucił plaster do środka przez szczelinę w szczycie klatki, a ten trafił w głowę wuja (po powierzchni miękkiego plastra łąziło jeszcze sporo żywych pszczół). Miś, który sam nie miałby nic przeciwko temu, by mu wrzucano plastry miodu na głowę, nie mógł zrozumieć, dlaczego wuj Andrzej zachwiał się gwałtownie do tyłu i usiadł na ziemi. A prześladujący go okropny pech sprawił, że usiadł na pęku ostu. „W każdym razie - jak powiedział guziec - sporo miodu dostało się do ust tej biednej istoty, więc nie będzie chociaż głodna i słaba”. Wszyscy zdążyli już polubić to dziwne stworzenie i mieli nadzieję, że Aslan pozwoli im je zatrzymać.

Najmądrzejsi byli już teraz prawie pewni, że przynajmniej niektóre dźwięki, jakie dobywały się z jego ust, mają jakieś znaczenie. Nazwali go Koniakiem, bo to słowo wydobywało się z niego najczęściej i było najbardziej zrozumiałe.

W końcu musieli go jednak zostawić samego na noc. Aslan był zajęty przez cały dzień pouczaniem nowego króla i nowej królowej oraz różnymi innymi ważnymi sprawami, nie mogli więc zawracać mu głowy „starym, biednym Koniakiem”. Ostatecznie wuj zjadł na kolację sporo orzechów, gruszek, jabłek i bananów, jakie wrzucono mu do klatki, trudno byłoby jednak powiedzieć, że spędził przyjemną noc.

- Przeprowadźcie do mnie to stworzenie - rzekł Aslan.

Słoń pochwycił wuja Andrzeja w swą trąbę i postawił go delikatnie u stóp Lwa. Wuj był zbyt przerażony, by się poruszyć.

- Aslanie - poprosiła Pola - czy nie mógłbyś powiedzieć czegoś, żeby... żeby przestał się bać? A potem może byś mu powiedział coś takiego, po czym już nigdy nie chciałby tu wrócić...

- A myślisz, że on tego CHCE? - zapytał Aslan.

- No... w każdym razie może przysłać tu kogoś innego. Bardzo go zafrapowało to, że z żelaznej sztaby wyrosła latarnia, i myśli...

- To, co on myśli, jest czystą fantazją, moje dziecko. Ten świat wytryska życiem w ciągu tych pierwszych dni, ponieważ pieśń, jaką powołałem go do istnienia, wciąż jeszcze drży w powietrzu i dudni w ziemi. Ale nie będzie to trwało długo. Nie mogę jednak tego powiedzieć temu staremu grzesznikowi i nie mogę też powiedzieć mu czegoś, co by go podniosło na duchu, bo sam uczynił się niezdolnym do usłyszenia moich słów. Jeśli do niego przemówię, usłyszy tylko warczenie i ryki. Och, Synowie Adama, jak przemyślnie potraficie się bronić przed wszystkim, co może być dla was dobre! Ale jest jeden dar, który wciąż jest w stanie przyjąć.

Z pewnym smutkiem nachylił swój wielki łeb i tchnął w przerażoną twarz czarodzieja.

- Śpij - powiedział. - Śpij i przez kilka godzin bądź wolny od wszystkich nieszczęść, jakie sam na siebie ściągnąłeś.

Wuj Andrzej natychmiast przewrócił się na ziemię, zamknął oczy i zaczął oddychać spokojnie.

- Weźcie go stąd i połóżcie w jakimś zacisznym miejscu. No, a teraz wy, karły, pokażcie, co potraficie! Pokażcie mi, jak się robi korony dla waszego króla i królowej.

Wokół Złotego Drzewa natychmiast zaroilo się od karłów. Zanim

doliczylibyście do dziesięciu, już zostało ogołoczone z liści i kilku gałązek. Teraz dzieci mogły z całą pewnością stwierdzić, że Drzewo nie tylko wyglądało na złote, ale naprawdę było z czystego, miękkiego kruszcu. Oczywiście, wyrosło ze złotych dwuszylingówek, które wypadły z kieszeni wuja Andrzeja, gdy go próbowano posadzić do góry nogami; w taki sam sposób z półkoronówek wyrosło Srebrne Drzewo. Nie wiadomo skąd pojawił się stos suchego drewna, niewielkie kowadło, młoty, obcęgi, a nawet miechy. W następnej chwili (jak te karły kochały swoją pracę!) płonął już ogień, huczały miechy, złoto topiło się w tyglu, wesoło dźwięczały młoty. Dwa krety, którym Aslan polecił już wcześniej pokopać trochę w ziemi (a to, rzecz jasna, lubiły robić najbardziej), wysypały karłom pod stopy stos drogich kamieni. Spod zręcznych palców tych małych kowali wyszły wkrótce dwie korony. Nie były to brzydkie, ciężkie insygnia, jakie noszą do dziś nieliczni europejscy monarchowie, lecz lekkie, cudownie ukształtowane diademy, których noszenie na pewno nie sprawiało przykrości. Korona króla wysadzana była rubinami, a korona królowej szmaragdami. Kiedy korony ochłodzono w rzece, Aslan kazał Frankowi i Helenie uklęknąć przed sobą, a następnie włożył im je na głowy. A potem powiedział:

- Powstańcie, królu i królowo Narnii, ojczyźnie i matko wielu królów, jacy będą panować nad Narnią, Wyspami i Archenlandią. Bądźcie sprawiedliwi, miłosierni i dzielni. Udzielam wam swojego błogosławieństwa.

A naokoło rozległy się huczne okrzyki, ujadanie, rzenie, trąbienie i łopotanie skrzydłami. Para królewska stała z bardzo poważnymi i nieco onieśmiałymi twarzami, a to lekkie zażenowanie tylko przydało im szlachetności. Digory wciąż wiwatował ochoczo wraz z innymi, gdy usłyszał obok siebie niski głos Aslana:

- Spójrzcie!

Wszyscy odwrócili głowy i w następnej chwili i wszystkie usta zaczerpnęły głęboko powietrza, wydając jednocześnie okrzyki zdumienia i zachwytu. Opodal, piętrząc się wspaniale ponad ich głowami, rosło potężne Drzewo, którego z całą pewnością jeszcze przed chwilą w tym miejscu nie było. Musiało wyrosnąć cicho, lecz tak szybko jak flaga wciągana na maszt, podczas gdy wszyscy byli zajęci koronacją. Jego rozłożyste gałęzie nie rzucały cienia, lecz zdawały się promieniować własnym światłem, a wszędzie jarzyły się jak gwiazdy srebrne jabłka. Ale od tego widoku jeszcze bardziej zapierał dech w piersiach zapach, jaki Drzewo roztaczało wokół siebie. Przez długą chwilę nikt nie był w stanie myśleć o czymś innym.

- Synu Adama - rzekł Aslan - dobrze posiałeś. A wy, Narnijczycy, pamiętajcie:

niech waszą pierwszą i najważniejszą troską będzie zawsze strzeżenie tego Drzewa. Ono jest waszą tarczą. Czarownica, o której wam mówiłem, uciekła daleko na północ tego świata, gdzie będzie żyć, nabierając sił dzięki swej czarnej magii. Lecz nie wróci do Narnii, dopóki będzie kwitnąć to Drzewo. Nie ośmieli się zbliżyć choćby na sto mil do Drzewa, ponieważ jego zapach, który dla was jest samą radością, życiem i zdrowiem, dla niej jest grozą, rozpaczą i śmiercią.

Wszyscy spoglądali z wielką powagą na Drzewo, a Aslan odwrócił głowę gwałtownym ruchem (jego grzywa rozsiewała przy tym złote błyski) i popatrzył na dzieci, które szeptały i tręcały się nawzajem.

- O co chodzi, moje dzieci? - zapytał.

- Och... Aslanie... - powiedział Digory i zrobił się czerwony jak rak. - Zapomniałem ci powiedzieć... Czarownica już zjadła jedno z tych jabłek, takie samo jak to, z którego wyrosło Drzewo.

Nie powiedział wszystkiego, co chciał powiedzieć, lecz Pola szybko dokończyła za niego (Digory zawsze bardziej od niej lękał się ośmieszenia):

- Więc pomyśleliśmy, Aslanie, że coś tu się nie zgadza, że zapach tego Drzewa nie może jej szkodzić...

- Dlaczego tak myślisz, Córko Ewy?

- No, bo przecież zjadła jedno jabłko.

- Moje dziecko, właśnie dlatego wszystkie pozostałe są dla niej czymś tak strasznym. To właśnie dzieje się ze wszystkimi, którzy zerwą i zjedzą te owoce w złym czasie i w zły sposób. Owoce są dobre, lecz ich napełniają odtąd wstrętem.

- Aha, teraz rozumiem - powiedziała Pola. - To znaczy, że skoro ona zjadła jabłko w zły sposób, to nie będzie na nią działało? Nie stanie się wiecznie młoda i w ogóle?

- Niestety - rzekł Aslan, wstrząsając grzywą. - Niestety, będzie działało. Wszystkie rzeczy zawsze działają zgodnie ze swoją naturą. Zaspokoila pragnienie swego serca; zdobyła nadzwyczajną moc i nieśmiertelność jak bogini. Ale wieczne życie ze złym sercem jest wieczną niedolą i ona zaczyna już to rozumieć. Wszyscy otrzymują to, czego bardzo pragną, lecz nie zawsze przynosi im to radość i szczęście.

- Ja... ja byłem już bliski zjedzenia jednego jabłka, Aslanie - powiedział cicho Digory. - Czy gdybym...

- Tak, moje dziecko. Owoc zawsze działa - musi działać - lecz nie przynosi szczęścia temu, kto zerwie go z własnej woli. Gdyby jakikolwiek Narnijczyk nie

proszony ukradł jabłko i posadził je tutaj dla ochrony Narnii, tak samo wyrosłoby drzewo chroniące Narnię. Lecz Narnia stałaby się w końcu jeszcze jednym potężnym i okrutnym imperium, jak Charn, a nie tym szczęśliwym, spokojnym krajem, jakim chcę ją uczynić. Ale Czarownica kusiła cię do jeszcze jednej rzeczy, mój synu, czyż nie?

- Tak, Aslanie. Namawiała mnie, żebym zabrał jedno jabłko do domu, dla mamy.

- Musisz więc zrozumieć, że to jabłko by ją uzdrowiło, lecz nie przyniosłoby to szczęścia ani tobie, ani jej. Nadszedłby taki dzień, w którym oboje chcielibyście cofnąć czas, gdyż stałoby się jasne, że lepiej byłoby umrzeć w tej chorobie.

Digory nic na to nie odpowiedział, bo poczuł, że go coś dławi w gardle, i starał się nie rozplakać na głos. Pozbył się nadziei na uzdrowienie matki, lecz równocześnie zrozumiał, że Lew dobrze wie, co by się stało, i że mogą być *rzeczy* straszniejsze niż utrata kogoś, kogo się bardzo kocha. A Aslan znowu przemówił, tym razem bardzo cicho, prawie szeptem:

- To, o czym ci powiedziałem, moje dziecko, STAŁOBY SIĘ, gdyby jabłko zostało skradzione. Ale nie stanie się. To, które dam ci teraz, przyniesie szczęście. Tam, w twoim świecie, nie obdarzy nikogo nieśmiertelnością, ale uleczy. A więc idź. Idź i zerwij dla swojej matki jabłko z Drzewa.

Przez chwilę Digory nie rozumiał, o czym Lew mówi. Było tak, jakby cały świat stanął na głowie i na dodatek został wywrócony na lewą stronę. A potem szedł już, jak we śnie, ku Drzewu, a król i królowa oraz wszyscy Narnijczycy wiwatowali na jego cześć. Zerwał jabłko, schował je do kieszeni i wrócił do Aslana.

- Aslanie, czy możemy teraz wrócić do domu? - Zapomniał powiedzieć „dziękuję”, ale był naprawdę głęboko wdzięczny i Aslan wiedział o tym.

ROZDZIAŁ 15

KONIEC TEJ HISTORII I POCZĄTEK WSZYSTKICH INNYCH

- NIE MUSICIE UŻYWAĆ PIERŚCIENI, kiedy jestem z wami - rozległ się głos Aslana.

Dzieci rozglądały się dookoła, mrugając oczami. Bo oto znowu były w Lesie Między Światami. Wuj Andrzej leżał na trawie, wciąż pogrążony w głębokim śnie. Aslan stał między nimi.

- Chodźcie - powiedział Aslan. - Czas, byście powrócili do domu. Ale przedtem musicie zobaczyć dwie rzeczy. Jedna jest ostrzeżeniem, druga - poleceniem. Spójrzcie tutaj.

Popatrzyli i ujrzeli niewielkie zagłębienie w ziemi, porośnięte na dnie trawą, suche i nagrzane słońcem.

- Kiedy byliście tu ostatnim razem, w tym miejscu znajdowała się sadzawka, a gdy do niej wskoczyliście, znaleźliście się w świecie, w którym gasnące słońce oświetlało ruiny Charnu. Nie ma już tej sadzawki. Ten świat skończył się, przestał istnieć, tak jakby go nigdy nie było. Niech plemię Adama i Ewy potraktuje to jako ostrzeżenie.

- Tak, Aslanie - powiedziały cicho dzieci, a Pola dodała: - Ale my nie jesteśmy aż tak źli jak ten świat, prawda, Aslanie?

- Jeszcze nie, Córko Ewy. Jeszcze nie. Lecz jesteście na drodze do tego, by się stać jeszcze gorsi. Być może pewni nikczemni przedstawiciele waszej rasy odkryją tajemnicę tak straszną jak Żalodne Słowo i użyją jej, by zniszczyć wszystko, co żyje. A wkrótce, być może zanim jeszcze wy, moje dzieci, zestarzejecie się, nad wielkimi narodami w waszym świecie mogą zapanować tyrani, którzy nie będą się troszczyć o szczęście i sprawiedliwość dla swoich poddanych, podobnie jak Czarownica Jadis. Niech wasz świat strzeże się. To jest ostrzeżenie. A teraz - polecenie. Gdy tylko znajdziecie się w domu, zabierzcie wujowi magiczne pierścienie i zakopcie je gdzieś tak, żeby nikt już więcej nie mógł ich użyć.

Gdy Lew mówił te słowa, oboje patrzyli w jego twarz. I nagle (nigdy nie potrafili sobie przypomnieć dokładnie, jak to się stało) ta twarz zdała się jakimś bezbrzeżnym oceanem płynnego złota, w którym się unosili, a wokół nich, nad nimi i wewnątrz nich tryskała taka słodycz i moc, że czuli się tak, jakby nigdy przedtem nie byli naprawdę szczęśliwi, mądrzy, dobrzy, a nawet żywi i przebudzeni. Pamięć tej chwili pozostała w nich na zawsze. Odtąd kiedykolwiek poczuli smutek, lęk czy złość,

wspomnienie tego niewysłowionego oceanu złotej dobroci i pewność, że wciąż jest tak blisko, jakby za rogiem lub za sąsiednimi drzwiami, przywracały im nadzieję.

W następnej chwili wszyscy troje (wuj Andrzej już przebudzony) wpadli na łeb na szyję w hałas, gorąco i zaduch Londynu. Znajdowali się przed domem państwa Ketterleyów. Nie było Czarownicy, konia i dorożkarza, ale prócz tego cała scena nie zmieniła się, wszystko wyglądało tak jak w chwili, gdy ten świat opuścili. Opodal stała latarnia, której brakowało jednego wspornika, pod nią leżał wrak dwukołowej dorożki, a naokoło wciąż kłębił się tłum. Wszyscy rozmawiali o tym, co się stało, a kilkoro ludzi klęczało przy rannym policjancie, mówiąc: „Przychodzi do siebie” lub „Jak się teraz czujesz, stary?” i „Za chwilę przyjedzie ambulans”.

„O holender! - pomyślał Digory. - Wygląda na to, że cała nasza przygoda wydarzyła się w ogóle poza czasem!”

Większość ludzi rozglądała się żywo za królową Jadis i koniem. Nikt nie zwracał uwagi na dzieci, bo jakoś nikt nie zauważył ich zniknięcia i powrotu. Co do wuja Andrzeja, to ze względu na stan jego odzienia i warstwę miodu na twarzy nikt nie mógł go rozpoznać. Na szczęście drzwi domu były otwarte, bo stała w nich służąca, gapiąc się na widowisko (cóż to był dla niej za dzień!), więc dzieci szybko wepchnęły wuja do środka, tak że nikt nie zdążył się nim zainteresować.

Wuj natychmiast popędził schodami na górę i dzieci przestraszyły się na dobre, że biegnie na poddasze, by ukryć pozostałe magiczne pierścienie. Ale wcale nie o to mu chodziło. W tej chwili myślał tylko o butelce schowanej w szafie. W mgnieniu oka wpadł do swojej sypialni i zamknął za sobą drzwi na klucz. Po niedługim czasie wyszedł, ubrany w szlafrok, i udał się do łazienki.

- Czy możesz wykraść pozostałe pierścienie, Polu? - zapytał Digory. - Chciałbym od razu iść do mamy.

- Oczywiście. Zobaczymy się później - odpowiedziała Pola i zaraz pobiegła na poddasze.

Potem Digory odczekał chwilę, aby uspokoić oddech, i wszedł cicho do pokoju mamy. Leżała spokojnie, jak zawsze, wsparta na poduszkach, z wychudłą, bladą twarzą, na widok której chciało się od razu płakać. Digory wyjął Jabłko Życia z kieszeni.

I tak jak Czarownica Jadis wyglądała w naszym świecie inaczej niż w swoim, tak i owoc z zaczarowanego ogrodu wyglądał teraz inaczej. W sypialni było sporo różnych kolorowych rzeczy, takich jak wzorzysta kapa na łóżku, tapety, złote światło

słońca, bladoniebieski kaftanik matki. Ale gdy tylko Digory wyjął Jabłko z kieszeni, wszystkie te rzeczy jakby w ogóle straciły barwę. Nawet światło słoneczne przygasło i wyblakło. Na suficie tańczyły dziwne odbłaski. Tylko ono - tylko to promienne, cudowne Jabłko Młodości przyciągało spojrzenie: po prostu nie można było patrzeć na coś innego. A pachniało tak, jakby w pokoju otworzono okno wychodzące na Niebo.

- Och, jakie to cudowne - powiedziała matka.

- Zjesz je, mamusiu, dobrze?

- Nie wiem, co by na to powiedział doktor... Ale naprawdę, czuję, że mi nie zaszkodzi.

Digory obrał owoc, pokroił i dał jej po kawałku. Gdy tylko zjadła ostatni, uśmiechnęła się, po czym głowa opadła jej bezwładnie na poduszkę. Zasnęła! Bez żadnej z tych okropnych pigułek zapadła w prawdziwy, naturalny, łagodny sen, którego tak bardzo potrzebowała. Digory mógłby przysiąc, że jej twarz nieco się zmieniła. Nachylił się i pocałował ją delikatnie, a potem zabrał ogryzek Jabłka i z bijącym sercem wyslizgnął się z pokoju. Przez resztę dnia raz po raz tracił nadzieję, widząc, jak bardzo zwykły i zupełnie „niezaczarowany” jest ten świat. Lecz gdy przypomniał sobie twarz Aslana, nadzieja powracała.

Tego wieczoru zakopał ogryzek Jabłka w ogrodzie na tyłach domu.

Następnego ranka, gdy doktor przyszedł odwiedzić matkę, Digory przechylił się przez balustradę na piętrze, żeby posłuchać, co będzie mówił. Doktor wyszedł z pokoju mamy i powiedział do ciotki Letycji:

- Pani Ketterley, to najbardziej niezwykły przypadek w całej mojej karierze medycznej. To jest... to graniczy z cudem! Nie chcę jeszcze niczego mówić temu małemu chłopcu: nie wolno nam rozbudzać fałszywej nadziei. Ale według mojej opinii... - i tu ściszył głos, tak że nic nie można było usłyszeć.

Po południu Digory wyszedł do ogrodu i zagwizdał w umówiony sposób, aby wyciągnąć Połę (poprzedniego dnia nie mogła wyjść).

- No i co? - zapytała, patrząc na niego ponad murem. - Chodzi mi, rzecz jasna, o twoją mamę.

- Myślę... myślę, że coś zaczyna się dziać. Ale wiesz, nie chcę jeszcze o tym mówić. A co z pierścieniami?

- Mam je wszystkie. Zobacz. Nie bój się, włożyłam rękawiczki, zakopiemy je.

- Tak, i to zaraz. Zrobiłem znak w miejscu, gdzie zakopałem wczoraj ogryzek

Jabłka.

Pola przelazła przez mur i poszli razem do tego miejsca. Okazało się, że Digory nie musiał robić żadnego znaku. Coś już tutaj wyrosło. Nie rosło tak szybko jak w Narnii, gdzie się to po prostu widziało, ale i tak po upływie jednej doby wystawało już dobrze z ziemi. Przynieśli motykę i zakopali wszystkie magiczne pierścienie wokół tej nowej rośliny.

W tydzień później było już pewne, że mama powraca do zdrowia. Po dwu tygodniach mogła już siedzieć w ogrodzie. A po miesiącu cały dom stał się zupełnie innym domem. Ciotka Letycja zrobiła wszystko, czego chciała matka: ściągnięto zakurzone zasłony i otworzono okna, na stole pojawiły się świeże kwiaty i lepsze potrawy, nastrojono stare pianino i matka znów zaczęła śpiewać, a z dziećmi bawiła się z takim zapalem, że ciotka Letycja raz po raz mówiła:

„Naprawdę, Mabel, jesteś największym dzieciakiem z całej waszej trójki!”

Kiedy rzeczy źle się mają, to zwykle mają się coraz gorzej przez jakiś czas, ale kiedy wreszcie zdarzy się coś dobrego, można się spodziewać, że sytuacja będzie się coraz bardziej poprawiać. Po blisko sześciu miesiącach tego cudownego życia nadszedł list z Indii od ojca, a w nim niezwykle wiadomości. Zmarł stary dziadek stryjeczny, Kirke, co oznaczało, że ojciec stał się nagle bardzo bogaty. Zamierza przejść na emeryturę i wrócić na stałe do Anglii. A wielki, wspaniały dom na wsi, o którym Digory nieraz słyszał, lecz którego jeszcze nigdy nie widział, będzie teraz ich domem: wielki, stary dom ze zbrojami, stajniami, psiarniami, rzeką, parkiem, oranżeriami, cieplarniami do uprawy winorośli, lasem i górami. Tak więc Digory mógł być pewny, że odtąd będą żyli szczęśliwie. Ale myślę, że warto jeszcze powiedzieć o kilku sprawach.

Pola i Digory pozostali wielkimi przyjaciółmi na zawsze. Prawie co roku Pola przyjeżdżała do owego domu na wsi, aby spędzić z Digorym wakacje. Nauczyła się tu jeździć konno, pływać, doić krowy, piec ciasto i wspinać po górach.

Mieszkańcy Narnii cieszyli się spokojnym i radosnym życiem, którego nie zakłócała ani Czarownica, ani żaden inny wróg przez wiele stuleci. Król Frank i królowa Helena żyli sobie szczęśliwie ze swoimi dziećmi, a ich drugi syn został królem Archenlandii. Synowie pożenili się z nimfami, a córki powychodziły za leśnych i rzecznych bożków. Latarnia, którą zasadziła Czarownica (nie zdając sobie z tego sprawy), świeciła w dzień i w noc w narnijskiej puszczy, tak że to miejsce nazwano z czasem Latarnianym Pustkowiec. I kiedy wiele, wiele lat później inne dziecko z

naszego świata dostało się do Narnii pewnej śnieżnej nocy, latarnia ta wciąż jeszcze się paliła. A przygoda ta miała pewien związek z tym, o czym wam właśnie opowiedziałem.

A było tak. Drzewo, które wyrosło z Jabłka w ogrodzie na tyłach londyńskiego domu, po latach stało się wielką jabłonią. Czerpiąc soki z gleby naszego świata, z dala od dźwięku głosu Aslana i od młodego powietrza Narnii, nie rodziło już owoców, które mogłyby przywrócić komuś zdrowie, tak jak to się stało z matką Digory'ego. Dawało jednak jabłka piękniejsze niż jakikolwiek gatunek jabłoni w całej Anglii i z całą pewnością po ich zjedzeniu człowiek czuł się o wiele lepiej. Ale wewnątrz, w swoich żywotnych sokach, drzewo nigdy nie zapomniało (jeśli tak można powiedzieć) tego innego Drzewa z Narnii, z którego się narodziło. Czasami poruszało się w tajemniczy sposób, choć nie było wiatru; myślę, że w takich chwilach Narnię nawiedzały wichury, i angielskie drzewo drżało, gdyż w tym samym czasie narnijska zaczarowana Jabłoń kołysała się pod naporem silnej, południowo-zachodniej burzy.

A jednak, jak się później okazało, w angielskim drzewie wciąż drzemały jakieś czary. Kiedy Digory był już dojrzałym mężczyzną (a stał się w tym czasie słynnym uczonym, profesorem i wielkim podróżnikiem), stary dom państwa Ketterleyów należał do niego. Przez całą południową Anglię przeszła wówczas wielka burza, która zwała ową jabłoni. Digory nie mógł znieść, by drzewo po prostu porąbano na opał, kazał więc pociąć je na deski i zrobić z niego szafę, którą zawiózł do swojego wielkiego domu na wsi. I chociaż on sam nie odkrył magicznych właściwości tej szafy, uczynił to ktoś inny. Tak się zaczęły wszystkie przejścia z naszego świata do Narnii i z powrotem, o których mogliście już przeczytać w innych moich książkach.

Kiedy Digory przeniósł się ze swoją rodziną do tego wielkiego domu na wsi, zabrał ze sobą wuja Andrzeja, ponieważ ojciec powiedział: „Musimy go pilnować, żeby mu znowu nie przyszły do głowy jakieś diabelskie figle; nie byłoby też sprawiedliwe, by biedna Letycja miała go wciąż na swojej głowie”. Wuj Andrzej nie próbował zresztą już nigdy bawić się magią. Dostał nauczkę, a przy końcu życia stał się nawet milszy i mniej samolubny. Zawsze jednak lubił zebrać gości w pokoju bilardowym i opowiadać im o tajemniczej damie, królowej z dalekiego kraju, z którą jeździł po Londynie dorozką. „Miała szatański charakter - mówił. - Ale była diabelnie piękną kobietą, mój panie, diabelnie piękną kobietą, ot co.”

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział 1 ZŁE DRZWI.....	
Rozdział 2 DIGORY I JEGO WUJ.....	
Rozdział 3 LAS MIĘDZY ŚWIATAMI.....	
Rozdział 4 DZWON I MŁOTEK.....	
Rozdział 5 ŻAŁOSNE SŁOWO.....	
Rozdział 6 WUJ ANDRZEJ ZACZYNA MIEĆ KŁOPOTY.....	
Rozdział 7 CO SIĘ WYDARZYŁO PRZED DOMEM.....	
Rozdział 8 WALKA POD LATARNIĄ.....	
Rozdział 9 STWORZENIE NARNII.....	
Rozdział 10 PIERWSZY ŻART I INNE SPRAWY.....	
Rozdział 11 DIGORY I JEGO WUJ MAJĄ KŁOPOTY.....	
Rozdział 12 PRZYGODA TRUSKAWKA.....	
Rozdział 13 NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE.....	
Rozdział 14 ZASADZENIE DRZEWA.....	
ROZDZIAŁ 15 KONIEC TEJ HISTORII I POCZĄTEK WSZYSTKICH INNYCH.....	

C.S. LEWIS

OSTATNIA BITWA

Przełożył Andrzej Polkowski

ROZDZIAŁ 1 NAD KOTŁEM

DALEKO NA ZACHODZIE, za Latarnianym Pustkowiec, opodal Wielkiego Wodospadu, żył u schyłku dziejów Narnii pewien szympans. Był tak stary, że nikt już nie pamiętał, kiedy po raz pierwszy pojawił się w tych okolicach. Trudno wyobrazić sobie małpę sprytniejszą, brzydszą i bardziej pomarszczoną. Mieszkał w drewnianym, wmoszczonym liśćmi domku, zawieszonym w rozwidleniu wielkiego drzewa. Nazywano go Krętaczem.

W tej części puszczy rzadko spotyka się mówiące zwierzęta, ludzi czy karły, lecz Krętacz miał sąsiada i przyjaciela - osła zwanego Łamigłówkiem. W każdym razie obaj utrzymywali, że są przyjaciółmi, choć wiele wskazywało raczej na to, iż Łamigłówek wcale nie jest przyjacielem Krętacza, tylko jego sługą. To osioł wykonywał każdą cięższą pracę. Kiedy szli razem nad rzekę, Krętacz napełniał wodą wielkie skórzane bukłaki, ale to Łamigłówek dźwigał je z powrotem. Kiedy potrzebowali czegoś z miasta, to Łamigłówek wędrował w dół rzeki z pustymi koszami na grzbiecie i wracał z koszami pełnymi i ciężkimi. Natomiast Krętacz zjadał wszystkie najlepsze smakołyki, co uzasadniał w ten sposób: „Jak dobrze wiesz, Łamigłówku, nie mogę jeść trawy i ostu jak ty, więc chyba rozumiesz, że muszę to sobie czymś wynagrodzić”. A osioł zawsze odpowiadał: „Ależ oczywiście, Krętaczu, oczywiście. Doskonale to rozumiem”. Łamigłówek nigdy się nie żalił, ponieważ wiedział, że Krętacz jest od niego o wiele mądrzejszy; i tak już nadzwyczaj miło z jego strony, że przyjaźni się z osłem. Kiedy Łamigłówek próbował wyrazić swoje zdanie na jakiś temat, Krętacz zawsze mu przerywał: „Posłuchaj, Łamigłówku, wiem lepiej od ciebie, co trzeba zrobić. Wiesz przecież, że nie jesteś mądry”. A osioł odpowiadał: „Tak, tak, Krętaczu, masz świętą rację. Nie jestem zbyt mądry”. Potem wzdychał i robił to, co mu szympans powiedział.

Pewnego wiosennego ranka przechadzali się obaj nad brzegiem Kotła. Kotłem nazywano wielki staw położony u stóp gór na zachodnich kresach Narnii. Z gór, z hukiem podobnym do nigdy nie przemijającego grzmotu burzy, spadał do Kotła Wielki Wodospad, a z drugiej strony wypływała Wielka Rzeka biegnąca przez całą Narnię. Wodospad sprawiał, że woda w Kotle wciąż wirowała, pienila się i bulgotała, jakby ją ktoś gotował, i stąd właśnie pochodziła jego nazwa. A najbardziej woda kipiała wczesną wiosną, gdy w dalekich górach poza Narnią, na Zachodnim Odludziu, tam gdzie rzeka bierze swój początek, topniały śniegi.

Kiedy tak przyglądali się wściekłym igraszkom wody w Kotle, Krętacz wskazał na coś ciemnym, nie owłosionym palcem i powiedział:

- Patrz! Co to jest?

- Co jest co? - zapytał Łamigłówek.

- To coś żółtego, co właśnie spadło z wodospadu. O! Znowu się pokazało. Unosi się na powierzchni wody. Musimy zobaczyć, co to jest.

- Musimy? - zapytał Łamigłówek.

- Ależ oczywiście - odrzekł Krętacz. - To może być coś bardzo pożytecznego. Bądź dzielnym osłem, Łamigłóweku, wskocz do Kotła i wyłów to, żebyśmy mogli zobaczyć, co to jest.

- Wskoczyć do Kotła? - zapytał osioł, strzygąc długimi uszami.

- A może znasz jakiś inny sposób, aby to wyciągnąć? - zdziwił się szympans.

- Ale... ale... czy nie lepiej, żebyś ty to zrobił? Bo, widzisz, to ty chcesz się dowiedzieć, co to jest. Ja wcale nie jestem tego ciekaw. No, i masz ręce. Jeśli chodzi o łapanie różnych rzeczy, jesteś tak dobry jak człowiek albo karzeł. Ja mam tylko kopyta.

- No wiesz, Łamigłóweku, nie sądziłem, że może ci coś takiego wpaść do głowy. Naprawdę, nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał.

- O co ci chodzi, co ja takiego znowu powiedziałem? - zapytał osioł pokornym tonem, widząc, że Krętacz poczuł się naprawdę bardzo urażony. - Ja tylko mówiłem, że...

- Żebym to ja wskoczył do wody - przerwał mu szympans. - Tak jakbyś nie wiedział, jak delikatne płuca mają wszystkie małpy i jak łatwo się zaziębiają! Dobrze. Zrobię to. I tak już przemarzłem na tym okropnym wietrze. Ale zrobię to. Prawdopodobnie umrę. Dopiero wtedy będziesz mnie żałował. - Szympans mówił tak, jakby za chwilę miał się rozplakać.

- Och, nie, nie! Błagam cię, nieee! - zaryczał Łamigłówek. - Wcale nie miałem tego na myśli, naprawdę, uwierz mi. Przecież wiesz, jaki jestem głupi, wiesz, że nie potrafię myśleć o dwu rzeczach naraz. Zupełnie zapomniałem o twoich słabych płucach. Ależ oczywiście, że tam wskoczę. Nie wolno ci nawet o tym myśleć. Przynieś mi, Krętaczu, że tego nie zrobisz!

Więc szympans przyrzekł, a osioł powłókł się, stukając kopytami po skalistej krawędzi Kotła, aby znaleźć jakieś miejsce, w którym dałoby się do niego ostrożnie wejść. Woda była z pewnością lodowata, ale o wiele bardziej przerażało go to, że

pieniła się i bulgotała jak w prawdziwym kotle. Zatrzymał się, dygocąc z zimna i ze strachu. Upłynęła cała minuta i wciąż nie mógł się odważyć, gdy usłyszał za sobą głos Krętacza:

- Może jednak ja powinienem to zrobić, Łamigłówek?

Kiedy osioł to usłyszał, odpowiedział szybko:

- Nie, nie! Przecież mi przyrzekłeś. Już wchodzę! - I skoczył.

Najpierw wielka masa spienionej wody oślepiła go i wdarła mu się do pyska. Potem przykryła go całkowicie na kilka sekund, a gdy za moment wynurzył się już w innym, odległym miejscu, od razu porwał go wir i poniósł, obracając wokoło, coraz szybciej i szybciej, aż do samego wodospadu. Spadająca z wysoka woda wtłoczyła go pod powierzchnię tak głęboko, iż zdawało mu się, że już dłużej nie wytrzyma bez oddechu. A kiedy wynurzył głowę i znalazł się wreszcie niedaleko owej żółtej rzeczy, którą miał wyłowić - ta dostała się pod wodospad i zniknęła pod wodą. Gdy znowu ją zobaczył, pływała dalej niż przedtem. W końcu, śmiertelnie wyczerpany, potłuczony i odrętwiały z zimna, złapał ją zębami i powoli dopłynął do brzegu. Wygramolił się z trudem, niosąc to coś w pysku i potykając się o to kopytami, bo było ciężkie, zimne i obślizgłe, jak nasiąknięty wodą dywanik sprzed kominka.

Rzucił to przed Krętaczem i stał, ociekając wodą, dygocąc z zimna i próbując złapać oddech. Ale szympans nawet na niego nie spojrział i nie zapytał, jak się czuje. Krążył wokół tego czegoś, całkowicie pochłonięty rozwijaniem tego, macaniem i obwąchiwaniem. W końcu w oczach pojawił mu się jakiś niedobry błysk i powiedział:

- To jest skóra lwa.

- Eu... ou... au... och, naprawdę? - wysapał Łamigłówek.

- I zastanawiam się... zastanawiam... zastanawiam - mówił Krętacz do siebie, bo rzeczywiście myślał nad czymś bardzo intensywnie.

- A ja zastanawiam się, kto zabił tego biednego lwa - rzekł Łamigłówek. - Trzeba to pochować. Musimy urządzić pogrzeb.

- Och, nie przejmuj się tak, przecież to nie był mówiący lew - powiedział Krętacz. - Za Wodospadem, na Zachodnim Odludziu, nie ma mówiących zwierząt. Ta skóra musiała należeć do jakiegoś niemego, dzikiego lwa.

(Nawiasem mówiąc, szympans miał rację. Kilka miesięcy temu pewien myśliwy - człowiek - zabił i odarł ze skóry lwa w dalekich ostępach Zachodniego Odludzia. Ale to wydarzenie nie jest częścią naszej opowieści.)

- Ale pomyśl, Krętaczu - odezwał się Łamigłówek - nawet jeśli ta skóra należała

jedynie do niemego, dzikiego lwa, to czy nie powinniśmy jednak sprawić jej przyzwoitego pogrzebu? Chodzi mi o to, że wszystkie lwy są... są trochę... no, uroczyście... Chyba rozumiesz, co mam na myśli. Ze względu na... wiesz kogo. Rozumiesz?

- Nie dręcz swojej biednej łepetyny jakimiś pomysłami, Łamigłówek. Wiesz dobrze, że myślenie nie jest twoją najsilniejszą stroną. Zrobimy ci z tej skóry bardzo przyzwoity płaszcz na zimę.

- Oj, to chyba nie jest dobry pomysł - skrzywił się osioł. -To by wyglądało... to znaczy, inne zwierzęta mogłyby pomyśleć... Chcę powiedzieć, że nie czułbym się...

- O czym ty właściwie mówisz? - zapytał Krętacz, drapiąc się z dołu do góry, jak to zwykle robią małpy.

- Myślę, że byłoby brakiem szacunku wobec Wielkiego Lwa, samego Aslana, gdyby taki osioł jak ja chodził sobie w lwiej skórze - powiedział Łamigłówek z niesłychaną jak na niego stanowczością.

- Tylko bardzo cię proszę, nie zaczynaj się upierać - rzekł Krętacz. - Co taki osioł jak ty może wiedzieć o tego rodzaju sprawach? Wiesz przecież, że myślenie nie jest twoją specjalnością, Łamigłówek, więc pozwól mi myśleć za siebie. Dlaczego nie traktujesz mnie tak jak ja ciebie? JA nie uważam, że potrafię wszystko. Wiem, że w pewnych sprawach jesteś ode mnie lepszy. Właśnie dlatego pozwoliłem ci wskoczyć do Kotła: wiedziałem, że zrobisz to lepiej niż ja. Teraz moja kolej. Akurat nadarza się coś, co ja mogę zrobić, a czego ty nie potrafisz. Czy mnie nigdy nie będzie wolno czegoś zrobić? Naprawdę, bądź trochę bardziej sprawiedliwy. I nie upieraj się.

- No, jeśli tak to ujmujesz...

- Powiem ci coś. Dobrze by było, gdybyś pobiegł zwawym truchtem w dół rzeki, do Targobrodu, i zobaczył, czy nie mają tam pomarańczy lub bananów.

- Jestem taki zmęczony, Krętaczu - poskarżył się osioł.

- Tak, ale jesteś też przemoczony i przemarznięty. Musisz się rozgrzać. Ostry trucht dobrze ci robi. A prócz tego dzisiaj w Targobrodzie jest jarmark.

No i oczywiście Łamigłówek poszedł. Gdy tylko Krętacz został sam, ruszył powłócząc kończynami - czasem na dwu, a czasem na czterech nogach - do swojego drzewa. Skacząc z gałęzi na gałąź, a przy tym robiąc miny i skrzecząc coś do siebie, dotarł do swego domku. Wśliznął się do środka i znalazł igłę, nici i wielkie nożyce, był bowiem mądrym szympansem i karły nauczyły go szycia. Wziął do ust kłębek nici (grubych, bardziej przypominających sznurek), tak że policzki wydeły mu się, jakby

ssał ogromny cukierek toffi. Igłę wetknął między wargi, a nożyce chwycił lewą ręką. Potem zszedł z drzewa i powłócząc nogami, pobiegł do lwiej skóry. Ukucnął przy niej i od razu zabrał się do roboty.

Szybko zorientował się, że cała skóra jest dla Łamigłówka za długa, natomiast szyja - za krótka. Wyciął więc spory kawał skóry i uszył z niej wysoki kołnierz na długą szyję osła. Potem odciął łeb i wstawił kołnierz pomiędzy łeb i ramiona. Po obu stronach rozcięcia skóry umocował sznurek, tak by ją można było związywać na piersiach i brzuchu. Za każdym razem, gdy przelatywał jakiś ptak, Krętacz przestawał szyc i spoglądał niespokojnie w górę, ponieważ nie chciał, by ktokolwiek widział, co robi. Ale żaden z dostrzeżonych ptaków nie należał do mówiących ptaków, więc szympans nie musiał się lękać.

Łamigłówek wrócił późnym popołudniem. Nie biegł truchtem, lecz - zwyczajem osłów - człapał spokojnie brzegiem rzeki.

- Nie było żadnych pomarańczy - powiedział - ani żadnych bananów. Jestem okropnie zmęczony. - I położył się.

- Chodź tu i przymierz swój nowy płaszcz z lwiej skóry - rzekł Krętacz.

- Och, daj mi spokój z tą starą skórą - jęknął osioł. - Przymierzę ją jutro rano. Jestem za bardzo zmęczony.

- Jesteś przede wszystkim bardzo niemiły, Łamigłówku. Jeśli TY jesteś zmęczony, to co JA mam powiedzieć? Gdy ty zażywałeś cudownego, odświeżającego spaceru wzdłuż rzeki, ja harowałem ciężko przez cały dzień, aby ci uszyć płaszcz. Palce tak mi zeszywniały, że ledwo trzymam nożyce. A ty nawet nie podziękujesz... nawet nie spojrzysz na ten płaszcz... i w ogóle nie obchodzi cię... i... i...

- Mój kochany Krętaczu! - zawołał Łamigłówek, zrywając się na cztery nogi. - Tak mi przykro. Zachowałem się okropnie. Oczywiście, bardzo chcę przymierzyć ten płaszcz. Ach, jak on wspaniale wygląda! Może od razu go przymierzę? Błagam cię, pozwól mi!

- No więc stań spokojnie - powiedział szympans.

Skóra była dla niego trochę za ciężka, ale w końcu, ciągnąc, pchając, dysząc i sapiąc, udało mu się nałożyć ją na osła. Zawiązał mu ją pod brzuchem i na piersiach, przymocował lwie łapy do osłych nóg i lwi ogon do osłego ogona. Z otwartej paszczy lwa wystawał duży kawał szarego, osłego pyska, a zwłaszcza jego długi nos. Nikt, kto choć raz widział prawdziwego lwa, nie dałby się nabrać na tę maskaradę. Ale gdyby spojrział teraz na Łamigłówka ktoś, kto nigdy lwa nie widział, mógłby go wziąć za lwa,

jeśli tylko nie podchodził za blisko i gdyby nie było za jasno, i gdyby Łamigłówek nie rżał rozpaczliwie po oślemu i nie stukał kopytami.

- Wyglądasz wspaniale, wspaniale - rzekł szympans. - Gdyby cię teraz ktoś zobaczył, pomyślałby, że to sam Aslan, Wielki Lew.

- To by było straszne - powiedział Łamigłówek.

- Wcale nie. Każdy by robił to, co byś mu kazał.

- Ale ja wcale nie chcę nikomu rozkazywać!

- Pomyśl tylko, ile dobrego mógłbyś zrobić! - zapalił się Krętacz. - Nie bój się, ja ci będę doradzać. Będę ci wymyślał rozsądne zarządzenia. I każdy będzie musiał je wykonać, nawet sam król. Moglibyśmy w ten sposób uporządkować wszystko w całej Narnii.

- A czy teraz wszystko nie jest w porządku? - zapytał Łamigłówek.

- Co?! - krzyknął Krętacz. - Wszystko w porządku? A gdzie są pomarańcze i banany?

- No wiesz, chyba nie ma zbyt wiele takich stworzeń... prawdę mówiąc, chyba nie ma nikogo prócz ciebie, kto by chciał mieć pomarańcze i banany.

- A cukier? Może jest go za wiele? - zapytał Krętacz.

- No... tak... Na pewno świat byłby przyjemniejszy, gdyby było więcej cukru.

- Więc załatwione - rzekł szympans. - Ty będziesz udawał, że jesteś Aslanem, a ja ci będę mówił, co masz powiedzieć.

- Nie, nie, nie! - zaryczał Łamigłówek. - Nie mów takich okropnych rzeczy! To by było bardzo złe, Krętaczu. Może nie jestem zbyt mądry, ale tego jestem zupełnie pewny. A co będzie, gdy zjawi się prawdziwy Aslan?

- Myślę, że będzie bardzo zadowolony - rzekł Krętacz. - Bardzo możliwe, że to on podrzucił nam tę lwią skórę właśnie po to, abyśmy wszystko uporządkowali. A w ogóle, to wiesz dobrze, że się nie zjawi. Nie w tych czasach.

W tym momencie tuż nad ich głowami huknął przerażający grom. Ziemia zatrzęsała się i obaj upadli.

- A widzisz! - wysapał Łamigłówek, gdy tylko odzyskali oddech. - To był znak, ostrzeżenie. Wiedziałem, że rozmawiamy o czymś okropnie niegodziwym. Natychmiast zdejmij ze mnie tę przeklętą skórę!

- Mylisz się - powiedział spokojnie szympans (którego umysł pracował niesłychanie szybko). - To zupełnie inny znak. Właśnie chciałem powiedzieć, że jeśli prawdziwy Aslan, jak go nazywasz, chce, abyśmy uporządkowali wszystko w Narnii,

posługując się tą skórą, to z pewnością da nam znak w postaci gromu i trzęsienia ziemi. Właśnie miałem to na końcu języka, tylko że znak nadszedł, zanim zdołałem to wypowiedzieć. Teraz MUSISZ to zrobić, Łamigłótku. I bardzo cię proszę, przestańmy już na ten temat dyskutować. Wiesz przecież, że nie rozumiesz tych spraw. Co osioł może wiedzieć o znakach?

ROZDZIAŁ 2

LEKKOMYŚLNOŚĆ KRÓLA

Około trzech tygodni później ostatni z królów Narnii siedział pod wielkim dębem rosnącym obok jego domku myśliwskiego, w którym często zatrzymywał się na jakieś dziesięć dni, ciesząc się piękną, wiosenną pogodą. Była to właściwie niska, pokryta strzechą chata, zbudowana na wschodnich krańcach Latarnianego Pustkowie, nieco powyżej połączenia dwóch rzek. Król lubił takie proste i beztrudne życie, z dala od spraw państwowych i całej dworskiej pompy Ker-Paravelu, królewskiej stolicy. Nazywał się Tirian i miał nieco ponad dwadzieścia lat. W ramionach był mocny i szeroki, mięśnie miał twarde, lecz broda zaledwie mu się sypała. Miał niebieskie oczy i śmiałą, szczerą twarz.

Tego wiosennego ranka towarzyszył mu tylko jego najlepszy przyjaciel, jednorożec Klejnot. Kochali się jak bracia i obaj wielokrotnie ratowali sobie życie na polach bitew. Szlachetne zwierzę stało tuż przy fotelu króla, wdzięcznie wygiąwszy szyję, polerując sobie błękitny róg o kremowobiały bok.

- Nie mogę dzisiaj iść na polowanie lub wziąć się do jakiejś roboty - rzekł król. - Nie potrafię myśleć o niczym innym, jak tylko o tej cudownej nowinie. Myślisz, że jeszcze dzisiaj dowiemy się czegoś więcej?

- To z pewnością najwspanialsza nowina, jaką usłyszano w tym kraju za życia naszego, naszych ojców i dziadów, panie - odpowiedział Klejnot. - Jeżeli jest prawdziwa.

- Jak mogłaby być nieprawdziwa? - zdziwił się król. - Już ponad tydzień temu przyleciały do nas pierwsze ptaki, oznajmiając, że Aslan jest wśród nas, że Aslan znowu przybył do Narnii! A potem przybiegły wiewiórki. Same go nie widziały, ale nie miały najmniejszej wątpliwości, że jest w puszczy. Później zjawił się jelen. Mówił, że widział go na własne oczy, z daleka, w świetle księżyca, na Latarnianym Pustkowie. Potem przybył ten ciemny człowiek z brodą, kupiec kalormeński. Wiesz, że Kalormeńczycy nie przejmują się Aslanem tak jak my, ale ten człowiek mówił o jego pojawieniu się w Narnii jak o rzeczy zupełnie pewnej. A tej nocy przyszedł bóbr; on też widział Aslana.

- Zaprawdę, wierzę w to wszystko, panie mój - rzekł Klejnot. - Jeżeli wyrażam pewne powątpiewanie, to tylko dlatego, że moja radość jest zbyt wielka. To prawie za piękne, aby było prawdziwe.

- Tak - król westchnął, jakby go przeszył dreszcz szczęścia. - To przerasta

wszelkie moje marzenia.

- Posłuchaj! - powiedział Klejnot, przechylając głowę i wystawiając uszy.

- Co to takiego? - zapytał król.

- To tętent kopyt, panie. Galopujący koń. Bardzo ciężki koń. To na pewno jeden z centaurów. Spójrz, już go widać.

Wielki, złotobrody centaur, z ludzkim potem na czole i końskim potem na bokach, podbiegł do króla, zatrzymał się w miejscu i pochylił głowę w ukłonie.

- Witaj, królu! - zawołał głębokim, byczym głosem.

- Hej! - krzyknął król i zaklaskał, rzucając spojrzenie ku drzwiom myśliwskiej chaty. - Czara wina dla szlachetnego centaury! Witaj, Runwidzie! Odsapnij trochę i powiedz nam, z czym przybywasz.

Z chaty wypadł giermek z wielką drewnianą czarą, pokrytą niezwykłym ornamentem. Wręczył ją centaurowi, a ten podniósł ją i rzekł:

- Piję najpierw za Aslana i prawdę, a potem za waszą królewską mość.

Wypił wino (starczyłoby dla sześciu zdrowych mężczyzn) nie odrywając ust od czary i oddał ją paziowi.

- A teraz, Runwidzie - rzekł król - powiedz mi, czy masz jakieś nowe wieści o Aslanie?

Centaur spoważniał i zmarszczył brwi.

- Królu - rzekł - wiesz, jak długo już żyję, badając gwiazdy. My, centaury, żyjemy dłużej niż wy, ludzie, dłużej nawet niż wy, jednorożce. Nigdy, w całym moim życiu, nie widziałem wypisanych na niebie tak strasznych rzeczy jak od początku tego roku. Gwiazdy nie mówią ani o przyjściu Aslana, ani o pokoju, ani o radości. Wiem dość o gwiazdach, aby mieć pewność, że jeszcze nie było tak groźnych koniunkcji planet w ciągu ostatnich pięciuset lat. Właśnie zamierzałem przyjść i ostrzec waszą królewską mość, że nad Narnią zawisło jakieś wielkie nieszczęście, gdy tej nocy doszły mnie wieści o powrocie Aslana. Panie, nie wierz tym pogłoskom. To niemożliwe. Gwiazdy nigdy nie kłamią - kłamią tylko ludzie i zwierzęta. Gdyby Aslan miał naprawdę przybyć, wszystkie najlaskawsze gwiazdy spotkałyby się na jego cześć. To wszystko kłamstwa.

- Kłamstwa! - zawołał król z gniewem. - Czy jest takie stworzenie w Narnii albo i na całym świecie, które ośmieliłoby się kłamać w takiej sprawie? - I bezwiednie położył dłoń na rękojeści miecza.

- Tego nie wiem, panie mój i królu - rzekł Runwid. - Wiem jednak, że na ziemi

są kłamcy, natomiast nie ma ich wśród gwiazd.

- Zastanawiam się - powiedział Klejnot - czy Aslan nie mógłby przybyć, mimo iż gwiazdy tego nie

zapowiadają. On nie jest niewolnikiem gwiazd: jest ich stwórcą. Czyż wszystkie pradawne opowieści nie mówią, że on nie jest oswojonym lwem?

- Dobrze powiedziane, dobrze powiedziane, Klejnocie! - zawołał król. - To są właśnie te słowa: Aslan to nieoswojony lew. Powtarzają się we wszystkich opowieściach.

Runwid podniósł rękę i wychylił się do przodu, chcąc powiedzieć coś ważnego, gdy nagle wszyscy trzej odwrócili głowy na dźwięk zawodzącego głosu, który szybko się do nich przybliżał. Na zachodzie las był tak gęsty, że wciąż nie widzieli, kto tak woła, choć mogli już rozróżnić słowa.

- Biada! Biada! Biada! - zawodził głos. - Biada moim braciom i siostram! Biada świętym drzewom! Pustoszą lasy! Wychodzą na nas z siekierami! Wyrąbują nas! Wielkie drzewa padają, padają, padają!

Jeszcze nie przebrzmiało ostatnie słowo, gdy zobaczyli, kto tak lamentuje. Z lasu wyszła postać tak wysoka, że jej głowa sięgała głowy centaury. Przypominała kobietę, lecz miała w sobie również coś drzewiastego. Bardzo trudno wyjaśnić to komuś, kto nigdy nie widział driady, ale nikt, kto widział jedną z nich choć raz, nie mógłby się pomylić: miała coś specjalnego w barwach, w głosie, we włosach. Król Tirian, jednorożec i centaur od razu poznali nimfę buku.

- Sprawiedliwości, królu! - zawołała. - Stań w naszej obronie! Ratuj swój lud! Wyrąbują nas w całym Latarnianym Pustkowiu. Już czterdzieści wielkich pni moich braci i siostr spoczywa na ziemi.

- Co mówisz, pani? Wyrąbują Latarniane Pustkowie? Mordują mówiące drzewa? - zawołał król wielkim głosem, zrywając się na nogi i dobywając miecza. - Jak śmia?! I kto się ośmielił? Na grzywę Aslana...

- A-a-a-a-a-ach! - ciało driady wzdrygnęło się raz, drugi, trzeci, czwarty, jakby w nie godziły powtarzające się ciosy. A potem upadła, jakby jej ktoś podciął obie nogi. Przez chwilę widzieli ją leżącą martwą na trawie, a potem znikła. Zrozumieli, co się stało. Gdzieś, wiele mil stąd, właśnie ścięto jej drzewo.

Przez jakiś czas, z wielkiego bólu i gniewu, król nie mógł dobyć z siebie głosu. Potem powiedział:

- Chodźmy, przyjaciele. Musimy udać się w górę rzeki i odnaleźć

nikczemników, którzy to uczynili. Idźmy tam tak szybko, jak potrafimy. Żaden z nich nie może ujść z życiem.

- Z największą ochotą, panie! - rzekł Klejnot. Lecz Runwid znów zmarszczył czoło.

- Panie, bądź rozważny w swym słusznym gniewie. Dzieją się dziwne rzeczy. Jeśli w górze rzeki są jacyś uzbrojeni buntownicy, nas trzech nie wystarczy, aby im stawić czoło. Gdybyś zechciał zaczekać, aż...

- Nie będę czekał nawet jednej dziesiątej części sekundy! - zagrział król. - Ja i Klejnot natychmiast wyruszymy w górę rzeki, ale ty pędź co tchu do Ker-Paravelu. Oto mój pierścień. Zbierz mi dwudziestu ludzi pod bronią, samych dobrych jeźdźców. Zbierz dwudziestkę mówiących psów, z dziesięciu karłów, samych dobrych łuczników, ze dwa leopardy i olbrzyma Głazonoga. Poprowadź ich za jeźdźcami tak szybko, jak to możliwe.

- Z największą ochotą, panie! - odpowiedział Runwid i od razu pogalopował doliną na wschód.

Król ruszył w drogę wielkimi krokami, mamrocząc coś do siebie i co chwila zaciskając pięści. Klejnot kroczył obok niego, milcząc, tak że ich pospiesznej wędrówce towarzyszyło tylko lekkie podzwanianie złotego łańcucha na szyi jednoroźca i odgłos dwu stóp i czterech kopyt.

Szybko dotarli do rzeki i po zarośniętej trawą drodze skierowali się w górę jej biegu, mając wodę po lewej stronie, a puszcę po prawej. Wkrótce znaleźli się w okolicy, gdzie teren stawał się bardziej nierówny, a gęsty bór podchodził aż do samej wody. Stąd droga wiodła wzdłuż południowego brzegu i musieli się przeprawić przez rzekę. Woda sięgała Tirianowi do ramion, ale Klejnot (który jako czworonóg pewniej trzymał się piaszczystego gruntu) osłaniał go przed prądem swoim ciałem. Objąwszy go jedną ręką za szyję, król zdołał szczęśliwie przebyć wartką rzekę. Wciąż przepełniał go taki gniew, że nie zwracał uwagi na zimno wiosennych wód, nie zapomniał jednak o pieczołowitym wytarciu miecza kołnierzem płaszcza - jedyną suchą częścią stroju po wyjściu na drugi brzeg.

Wędrowali teraz na zachód, mając rzekę po prawej ręce, a Latarniane Pustkowie przed sobą. Nie uszli nawet mili, gdy obaj jednocześnie stanęli i przemówili.

Król powiedział: „Co to takiego?”, a Klejnot: „Popatrz!”

- To tratwa - rzekł król Tirian.

Rzeczywiście. Po rzece szybko płynęła tratwa z połową tuzina wspaniałych pni, najwyraźniej świeżo ściętych i odartych z kory. Na przedzie siedział szczur wodny z długą tyczką do sterowania tratwą.

- Hej! Wodny szczurze! Co ty tam robisz? - zawołał król.

- Spławiam te drzewa do Kalormenu, panie! - odpowiedział szczur, przykładając rękę do ucha tak, jak gdyby miał na głowie kapelusz.

- Do Kalormenu! - zagrział Tirian. - Co to znaczy? Kto wydał rozkaz, by ścinać drzewa?

O tej porze roku prąd był tak silny, że tratwa minęła już króla i jednoroźca. Szczur wodny obejrzał się jednak i krzyknął:

- To rozkaz Lwa, panie, samego Aslana! Dodał coś jeszcze, ale tego już nie zrozumieli. Król i Klejnot spojrzeli po sobie. Jeszcze przed żadną bitwą nie czuli takiego niepokoju jak w tej chwili.

- Aslan - powiedział w końcu Tirian cichym głosem. - Aslan. Czy to możliwe? Czy Aslan mógłby rozkazać wyrąbywać las i mordować driady?

- Chyba że driady zrobiły coś straszliwie złego...

- mruknął Klejnot.

- Ale sprzedawać drewno Kalormeńczykom? Czy to możliwe?

- Nie wiem - odparł jednorożec zrezygnowany.

- On nie jest oswojonym lwem.

- No cóż - powiedział król po chwili - musimy iść i stawić czoło tej przygodzie.

- Tylko to nam pozostało, panie - zgodził się jednorożec.

Żaden z nich nie zdawał sobie w tym momencie sprawy z lekkomyślności, jaką okazywali, idąc tylko we dwóch. Niestety, wiele zła miało wyniknąć z tego braku roztropności.

Nagle król objął ramieniem szyję przyjaciela i pochylił głowę.

- Klejnocie - powiedział cicho - co nas czeka? Straszne myśli przychodzą mi do głowy. Zaprawdę, byłoby lepiej, gdybyśmy wczoraj umarli.

- Tak - rzekł Klejnot. - Żyjemy za długo. Nie ma rzeczy gorszej od tego, co nam się przydarzyło.

Stali tak przez chwilę, po czym ruszyli w dalszą drogę.

Teren przed nimi podnosił się i na długo, zanim coś zobaczyli, usłyszeli posępne hak-hak-hak siekier rąbiących drzewa. Kiedy dotarli na szczyt wzniesienia, roztoczył się przed nimi widok na Latarniane Pustkowie. A kiedy król ogarnął je

spojrzeniem, jego twarz zrobiła się biała jak papier.

Przez sam środek prastarej puszczy - tej puszczy, w której niegdyś rosły złote i srebrne drzewa, gdzie pewne dziecię z naszego świata zasadziło kiedyś Drzewo Opieki - otwierała się szeroka droga: ohydny, przypominający świeżą bliznę szlak zniszczenia, pełen błotnistych bruzd znaczących drogę, którą ciągnięto wyrąbane drzewa do Wielkiej Rzeki. Mnóstwo osób uwijało się przy robocie, strzelały bicze, rżały żałośnie konie, ciągnące zbyt ciężkie dla nich pnie. Króla i jednoroźca uderzyło przede wszystkim to, że ponad połowę pracujących stanowili ludzie, a nie mówiące zwierzęta. A poza tym - ci ludzie nie mieli jasnych włosów jak wszyscy Narnijczycy: byli to ciemnoskórzy, brodaci mężczyźni z Kalormenu, wielkiego i znanego z okrucieństwa kraju leżącego daleko na południu - za Archenlandią i za pustynią. Widok jednego czy dwóch Kalormeńczyków - kupca lub posła - nie był w owych czasach w Narnii czymś niezwykłym, ponieważ oba państwa żyły wówczas ze sobą w zgodzie. Tirian nie mógł jednak pojąć, dlaczego jest ich aż tylu i dlaczego wycinają narnijską puszcę. Uchwycił mocno rękojeść miecza i odwinął lewą połą płaszcza. Szybkim krokiem zeszli ku wyrębowi.

Dwóch Kalormeńczyków uwijało się przy koniu zaprzężonym do olbrzymiej kłody. Właśnie w tym momencie, gdy zbliżył się do nich król, kłoda utknęła w grząskim gruncie.

- Dalej, synu leniwca! Ciągnij, ty gnuśna świnió! - wrzeszczeli Kalormeńczycy, strzelając z batów. Koń napierał do przodu z całej siły; oczy nabiegły mu krwią, a boki pokryła piana.

- Ciągnij, ty leniwy bydlaku! - zawołał jeden z ciemnoskórych mężczyzn i z rozmachem uderzył zwierzę batem. I wtedy stało się coś naprawdę okropnego.

Aż do tego momentu Tirian był przekonany, że konie używane przez Kalormeńczyków przy wyrębie są ich własnymi końmi, niemymi, otępiałymi zwierzętami, jak konie w naszym świecie. I chociaż skóra mu cierpła na widok bezmyślnego dręczenia przeciążonego zwierzęcia, w tej chwili myślał przede wszystkim o tym, że giną mówiące drzewa. Nawet mu na myśl nie przyszło, by ktokolwiek śmiał zaprząć jednego z narnijskich mówiących koni, a tym bardziej uderzyć go batem. Ale gdy okrutny cios spadł, koń zarżał dziko i zawołał, prawie wyjąc z bólu:

- Głupcze i tyranie! Czy nie widzisz, że robię wszystko, na co mnie stać?

Kiedy Tirian zrozumiał, że koń jest jednym z jego umiłowanych poddanych,

opanovała go taka wściekłość, że nie wiedział już, co czyni. Miecz króla uniósł się w górę, róg jednorożca pochylił się w dół. Uderzyli jednocześnie. W następnej chwili obaj Kalormeńczycy leżeli martwi: jeden bez głowy, drugi z dziurą w piersiach.

ROZDZIAŁ 3

MAŁPA W PEŁNI CHWAŁY

PANIE KONIU! PANIE KONIU! - zawołał Tirian, gdy tylko przeciął uprząż. - Jak to się stało, że ci cudzoziemcy cię zniewolili? Czy Narnia została zaatakowana? Czy była jakaś bitwa?

- Nie, panie - odparł koń, dysząc ciężko. - Aslan powrócił. To wszystko dzieje się z jego polecenia. Aslan rozkazał...

- Strzeżmy się, panie! - powiedział Klejnot. Tirian spojrzał i zobaczył, że ze wszystkich stron pędzą ku nim Kalormeńczycy, a wraz z nimi trochę mówiących zwierząt. Dwaj mężczyźni zginęli nie zdążywszy wydać okrzyku, tak że reszta zorientowała się w sytuacji dopiero po chwili. Ale teraz wiedzieli już dobrze, co się stało. Większość wymachiwała krzywymi szablami.

- Szybko! Na mój grzbiet - powiedział Klejnot.

Król wskoczył na grzbiet swego przyjaciela, który zwrócił w miejscu i ruszył galopem. Gdy tylko stracili z oczu pogoń, jednorożec zmienił kilka razy kierunek, przebył jakiś strumień i zawołał, nie zwalniając biegu:

- Dokąd, panie? Do Ker-Paravelu?

- Zatrzymaj się, przyjacielu - rzekł król. Ześliznął się z białego grzbietu jednorożca i stanął przed nim.

- Klejnocie - rzekł - uczyniliśmy rzecz straszną.

- Zostaliśmy brutalnie sprowokowani - odpowiedział Klejnot.

- Ale tak skoczyć na nich, nie spodziewających się niczego... bez ostrzeżenia... gdy nie mieli broni w ręku... tfu! Jesteśmy mordercami, Klejnocie. Pozbawiłem się honoru na zawsze.

Klejnot spuścił głowę. On też odczuwał głęboki wstyd.

- I w dodatku - powiedział król - ten koń mówił, że to z rozkazu Aslana. Szczur mówił to samo. Wszyscy twierdzą, że Aslan powrócił. A jeśli to prawda?

- Ależ, panie mój, jak Aslan mógłby rozkazać coś tak okropnego?

- On nie jest OSWOJONYM lwem. Skąd możemy wiedzieć, co jest według niego słuszne, a co nie? My, mordercy. Klejnocie, mój przyjacielu, ja wracam. Złożę swój miecz, oddam się w ręce tych Kalormeńczyków i poproszę, aby mnie zaprowadzili przed oblicze Aslana. Niech od razu wymierzy mi sprawiedliwość.

- A więc pójdiesz na spotkanie śmierci - rzekł ze smutkiem jednorożec.

- Czy sądzisz, że dbam o to, jeśli taki będzie wyrok Aslana? Przecież taka śmierć

nie ma żadnego znaczenia. Czyż nie lepiej umrzeć niż czuć straszliwy

lęk, że oto Aslan powrócił, lecz wcale nie jest podobny do Aslana, w którego wierzyliśmy i za którym tak długo tęskniliśmy? To tak, jakby pewnego dnia wzeszło słońce i okazało się słońcem czarnym.

- Tak - powiedział cicho Klejnot. - Albo jakby się chciało napić wody, a ona okazała się sucha. Masz rację, panie. To już koniec. Pójdźmy tam i oddajmy się w ich ręce.

- Nie ma potrzeby, byśmy szli obaj.

- Jeżeli naprawdę łączy nas miłość - rzekł jednorożec - to pozwól mi iść z tobą. Jeśli zginiesz, a Aslan nie okaże się Aslanem, cóż warte będzie moje życie?

Zawrócili i poszli ramię przy ramieniu, roniąc gorzkie łzy.

Gdy tylko pojawili się na skraju wyrębu, Kalormeńczycy zawyli dziko i rzucili się na nich z bronią w rękach. Ale król wyciągnął ku nim rękojeść swego miecza i rzekł:

- Ja, który byłem królem Narnii, a teraz jestem tylko zhańbionym rycerzem, oddaję się pod sąd Aslana. Zaprowadźcie mnie do niego.

- I ja poddam się również - dodał Klejnot. Posępni mężczyźni otoczyli ich zwartym tłumem.

Cuchnęli czosnkiem i cebulą, a białka ich oczu połyskiwały groźnie w brązowych twarzach. Założyli jednorożcowi sznur na szyję, a królowi odebrali miecz i związali ręce na plecach. Jeden z nich, w hełmie zamiast turbanu, sprawiający wrażenie dowódcy, zerwał z głowy Tiriana złoty diadem i pospiesznie ukrył w swoich szatach. Poprowadzili więźniów na ogołoczone z drzew wzgórze. A oto, co tam ujrzeli.

W środku wyrębu, na szczycie wzgórza, stała niewielka, przypominająca stajnię chatka ze słomianym dachem i z zamkniętymi drzwiami. Przed chatą na trawie siedziała mała. Tirian i Klejnot, którzy spodziewali się zobaczyć Aslana i nie słyszeli jeszcze o małej, zdumieni się na jej widok. Małą był, oczywiście, Krętacz we własnej osobie, tyle że wyglądał teraz dziesięć razy brzydziej niż wówczas, gdy mieszkał nad Kotłem, bo ubrano go w szkarłatny surdut, niezbyt dopasowany, jako że szyty na karła. Na nogach miał ozdobione drogimi kamieniami pantofle, nie leżące zbyt dobrze, bo - jak wiecie - stopy mały bardziej przypominają ręce. Na głowie tkwiło mu coś w rodzaju korony z papieru. Obok piętrzył się stos orzechów, z którego co jakiś czas brał do ust jeden, rozgryzał z trzaskiem i wypluwał łupiny gdzie popadnie. W dodatku raz po raz zadzierał poły szkarłatnego surduta, żeby się podrapać. Przed

szympansem stała spora grupa mówiących zwierząt, na każdej twarzy malował się strach i oszołomienie. Kiedy ujrzano, kim są jeńcy, rozległy się piski i skowyty.

- O wielki Krętaczu, Rzeczniku Aslana - powiedział dowódca Kalormeńczyków - przyprowadziliśmy ci jeńców. Dzięki naszej zręczności i odwadze, a także z woli wielkiego Tasza, wzięliśmy żywcem tych morderców.

- Dajcie mi miecz tego człowieka - rzekł Krętacz.

Podali mu więc miecz króla wraz z pochwą i pasem, a szympanś zawiesił go sobie na szyi, co sprawiło, że wyglądał jeszcze głupiej niż przedtem.

- Później postanowimy, co z nimi zrobić - powiedział, wypluwając łupinę w stronę więźniów. - Mam teraz co innego na głowie. Oni mogą poczekać. A wy wszyscy słuchajcie mnie. Najpierw chcę powiedzieć coś na temat orzechów. Gdzie się podział wódz wiewiórek?

- Tu jestem, panie - odezwała się czerwona wiewiórka, występując z tłumu i składając nerwowy ukłon.

- Ach, więc to ty, tak? - Szympanś rzucił na nią nieprzyjemne spojrzenie. - A więc słuchaj uważnie. Chcę... to znaczy Aslan chce... więcej orzechów. To, co mi przyniesiono, zakrawa na kpinę. Musicie przynieść więcej, rozumiesz? Dwa razy tyle. Mają tu leżeć przed jutrzejszym zachodem słońca i żeby mi nie było wśród nich małych i pustych.

W gromadzie wiewiórek rozległ się pomruk przerażenia. Wódz zebrał całą swą odwagę i powiedział:

- Czy możemy usłyszeć to polecenie z ust samego Aslana? Gdyby zechciał nas przyjąć...

- Ale nie zechce - uciął Krętacz. - Okaże wam wielką łaskę, choć i tak większość z was wcale na to nie zasługuje, i wyjdzie na kilka minut wieczorem. Wtedy wszyscy go zobaczycie. Nie będzie jednak żadnego tłoczenia się wokół niego i męczenia waszymi przyziemnymi sprawami. Jeśli ktoś chce coś mu powiedzieć, może to uczynić za moim pośrednictwem. Ja zdecyduję, czy sprawa zasługuje na to, by zaprzętać jego uwagę. A tymczasem lepiej będzie, jeśli wszystkie wiewiórki natychmiast pójną po orzechy. I radzę wam, żeby leżały tu do jutrzejszego wieczora, bo, daję słowo, gorzko tego pożałujecie.

Biedne wiewiórki rozbiegały się w popłochu, jakby je gonił pies. Nowy rozkaz był dla nich ciężkim ciosem. Zjadły już prawie wszystkie orzechy, jakie zdołały zebrać na zimę, a z tego, co im pozostało, dały szympanśowi o wiele więcej, niż mogły, by

przeżyć do lata.

Wtem z tłumu rozległ się głęboki, niski głos należący do włochatego dzika z wielkimi kłami:

- Ale DLACZEGO nie możemy zwyczajnie zobaczyć Aslana i porozmawiać z nim? Kiedy pojawiał się w Narnii za dawnych czasów, każdy mógł z nim mówić twarzą w twarz.

- Nie wiercie w to - odparł szympans. - A nawet jeśli kiedyś tak było, to teraz czasy są inne. Aslan mówi, że okazywał wam zbyt wiele łagodności i że zamierza to zmienić. Tym razem chce was trochę okrzesać. Tym razem nauczy was wreszcie, że nie jest oswojonym lwem!

Tłum zwierząt wybuchnął długimi zawodzeniami, piskami i skomleniami, a potem zaległa głęboka cisza, bardziej ponura od lamentów.

- Jest jeszcze coś, co musicie sobie wbić do głów

- ciągnął szympans. - Jak słyszałem, niektórzy z was mówią, że jestem małpą. Otóż nie jestem żadną małpą. Jestem człowiekiem. Jeśli wyglądam jak małpa, to tylko dlatego, że jestem bardzo stary. Żyję już na tym świecie setki lat. I właśnie dlatego, że jestem taki stary, jestem bardzo mądry. A ponieważ jestem taki mądry, Aslan chce rozmawiać tylko ze mną i z nikim więcej. Tłum głupich zwierzaków nie będzie zawracać mu głowy. Jeśli zajdzie taka potrzeba, powie mi, co macie robić, a ja wam to przekażę. A wtedy, radzę wam po dobroci, róbcie to szybko, bo Aslan nie zamierza dłużej znosić żadnych bzdur!

Głuchą ciszę przerywał tylko płacz małego borsuka i głos jego matki próbującej go uspokoić.

- Na tym nie koniec. Jeszcze o jednej sprawie chcę wam powiedzieć kilka słów - mówił dalej szympans, wsadzając sobie nowy orzech do ust. - Słyszałem, jak niektóre konie mówią: pospieszmy się i skończmy tę robotę przy wycinaniu drzew jak najszybciej, bo wówczas znowu będziemy wolne. Otóż możecie od razu wybić to sobie z łbów. I dotyczy to nie tylko koni. Każdy, kto jest zdolny do pracy, będzie pracować

- teraz i w przyszłości. Aslan uzgodnił to z królem Kalormenu, Tisrokiem, jak nazywają go nasi ciemnoskórzy przyjaciele. Wszystkie konie, byki i osły zostaną posłane do Kalormenu, aby na siebie pracować, ciągnąc i nosząc na grzbiecie ciężary, jak to robią konie i im podobne zwierzęta w innych krajach. A wszystkie zwierzęta kopiące i ryjące, jak krety, króliki czy karły, pójdą do pracy w kopalniach Tisroka. A...

- Nie, nie - zaskowyczały zwierzęta. - To nie może być prawda. Aslan nigdy by

nas nie sprzedał w niewolę królowi Kalormenu.

- Co za bzdury! Przestańcie wrzeszczeć! - zawołał szympans opryskliwie. - Kto tu mówi o niewoli? Wcale nie będziecie niewolnikami. Dostaniecie zapłatę, i to bardzo dobrą. Wasze zarobki będą wpłacane do skarbu Aslana, a on użyje ich dla dobra wszystkich.

Tu spojrział wymownie, prawie puszcżając oko, na wodza Kalormeńczyków. Ten skłonił się i przemówił w kwiecistym kalormeńskim stylu:

- Wasza czcigodna przemądrzałość, Rzeczniku Aslana! Tisrok, oby żył wiecznie, całkowicie i jednomyślnie popiera waszą czcigodność w tym rozsądnym planie.

- No proszę! Widzicie? - powiedział szympans z zadowoleniem. - Wszystko jest uzgodnione. I wszystko to dla waszego dobra. Dzięki pieniądżom, jakie zarobicie, będziemy mogli uczynić Narnię krajem naprawdę wartym tego, by w nim żyć. Będziemy mieli mnóstwo pomarańczy i bananów. Będziemy mieli drogi, wielkie miasta, szkoły, urzędy, baty, wędzidła, siodła, klatki, psie budy, więzienia, och, będziemy mieli wszystko, czego dusza zapagnie.

- Ale my wcale nie chcemy tego wszystkiego - odezwał się stary niedźwiedź. - Chcemy być wolni. I chcemy usłyszeć samego Aslana.

- Nie zaczynaj zbędnych dyskusji - uciał szympans - bo to jest coś, czego nie znoszę. Jestem człowiekiem, a ty jesteś tylko tłustym, głupim niedźwiedziem. Co ty w ogóle wiesz o wolności? Myślisz, że wolność to robienie tego, co ci się podoba? Dowiedz się, że jesteś w błędzie. To wcale nie jest prawdziwa wolność. Prawdziwa wolność polega na tym, że będziesz robić to, co ja ci powiem.

- H-n-n-h - chrząknął niedźwiedź i podrapał się po głowie, ponieważ w żaden sposób nie mógł pojąć tego, co usłyszał.

- Proszę o głos! - zabeczało nagle cienkim głosem wełniste jagnię, tak młode, że wszystkich zdumiała jego śmiałość.

- Co tam znowu? - zapytał szympans. - Mów, tylko szybko.

- Proszę mi darować, ale nie mogę zrozumieć. Co my mamy wspólnego z Kalormeńczykami? My należymy do Aslana - oni do Tasza. Mówią, że Tasz ma cztery ręce i głowę szakala. Na jego ołtarzu zabijają ludzi. Nie wierzę, żeby istniał ktoś taki jak Tasz, ale gdyby nawet istniał, jak Aslan mógłby być jego przyjacielem?

Wszystkie zwierzęta odwróciły głowy i spojrzały bacznie na szympansa, bo było to najlepsze z pytań, jakie dotychczas zadano. Krętacz podskoczył i splunął w stronę jagnięcia.

- Głupi, zarozumiały brzdącu! - wrzasnął piskliwie. - Idź do mamy i napij się mleka. Co ty możesz pojąć z takich spraw? Ale wy wszyscy - posłuchajcie! Tasz to tylko inne imię Aslana. Te wszystkie stare bajdy, że niby to my mamy rację, a Kalormeńczycy się mylą, to najczystsza głupota. Teraz wiemy już lepiej, jak się to wszystko przedstawia. Kalormeńczycy używają tylko innych słów, ale i nam, i im chodzi o to samo. Tasz i Aslan to tylko dwa imiona - wiecie dobrze Kogo. Dlatego między nimi a nami nigdy nie może być żadnej różnicy zdań. Wbijcie sobie to do głów, tępe zwierzaki. Tasz jest Aslanem. Aslan jest Taszem.

Wiecie, jak ponurą minę może mieć czasem wasz pies. Pomyślcie o tym, a potem wyobraźcie sobie twarze mówiących zwierząt: wszystkich tych uczciwych, pokornych, oszołomionych ptaków, niedźwiedzi, dzików, borsuków, królików, kretów i myszy. Wszystkie miały miny o wiele bardziej ponure niż wasz pies. Wszystkie ogony opadły, wszystkie wąsy zwieszały się smutno. Gdybyście zobaczyli te twarze, pękłoby wam serce z żalu. A wśród tego ponurego tłumu tylko jedno zwierzę wcale nie wyglądało na zmartwione.

Był to rudy kot, wielki kocur w kwiecie wieku, siedzący w pierwszym rzędzie z dumnie podniesioną głową, z ogonem zwiniętym schludnie wokół łap. Wpatrywał się uparcie w szympansa i wodza Kalormeńczyków, nie mrugnąwszy ani razu powieką.

- Proszę mi wybaczyć - odezwał się teraz z wyszukaną uprzejmością - ale to mnie bardzo interesuje. Czy twój przyjaciel z Kalormenu myśli tak samo?

- Nie ulega najmniejszej wątpliwości - rzekł Kalormeńczyk - że ten oświecony szympans... to znaczy człowiek... ma całkowitą rację. ASLAN to ni mniej, ni więcej, tylko to samo co TASZ.

- A więc Aslan nie znaczy WIĘCEJ niż Tasz? - zapytał kot z naciskiem.

- W żadnej mierze - odpowiedział Kalormeńczyk, patrząc kotu prosto w twarz.

- Czy to ci wystarczy, Imbirze - zapytał Krętacz.

- Och, z pewnością - odrzekł chłodno kot. - Bardzo dziękuję za odpowiedź. Chciałem się tylko upewnić. Myślę, że zaczynam wszystko rozumieć.

Aż do tej chwili król i Klejnot milczeli, czekając, aż szympans sam każe im mówić, ponieważ uważali, że nie ma sensu mu przerywać. Ale teraz, gdy Tirian spojrział na nieszczęśliwe twarze swoich poddanych i zrozumiał, że skłonni są już uwierzyć we wszystko, nawet w to, iż Aslan i Tasz to jedna osoba, nie mógł dłużej wytrzymać.

- Małpo! - zawołał wielkim głosem. - Kłamiesz! To wszystko przekłete

kłamstwa. Kłamiesz jak Kalormeńczyk. Kłamiesz jak każda małpa!

Zamierzał mówić dalej i zapytać, w jaki sposób okrutny bóg Tasz, żywiący się krwią swego ludu, może być tą samą osobą co dobry Lew, którego krew wybawiła całą Narnię. Gdyby mu pozwolono mówić, panowanie szympansa skończyłoby się jeszcze tego samego dnia, zwierzęta dostrzegłyby prawdę i powstały przeciw kłamcy. Ale zanim wypowiedział następne słowo, dwóch Kalormeńczyków uderzyło go pięściami w usta, a trzeci podciął mu z tyłu nogi. Gdy upadł, Krętacz zaskrzeczał wściekłym i przerażonym głosem:

- Zabrać go! Zabrać go! Zabierzcie go gdzieś, gdzie nie będzie mógł słyszeć nas, a my jego. Przywiążcie go do drzewa. Osądzę go... to znaczy Aslan go osądzi... w innym czasie.

ROZDZIAŁ 4

CO STAŁO SIĘ TEJ NOCY

KRÓL, OSZOŁOMIONY CIOSAMI i powaleniem na ziemię, nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Odzyskał świadomość dopiero wówczas, gdy Kalormeńczycy rozwiązali mu ręce, przycisnęli brutalnie plecami do pnia jesionu i owinęli mocno grubym sznurem. Sznur wpijał mu się boleśnie w kostki u nóg, w kolana, pas i pierś, ale najbardziej przeszkadzało mu w tej chwili co innego: nieznośnie swędząca strużka krwi z rozciętej wargi. Tak już często bywa, że najtrudniej znieść drobne przykrości.

Ze swojego miejsca wciąż widział stajnię na szczycie wzgórza i siedzącego przed nią szympansa. Słyszał nawet jego głos i od czasu do czasu odpowiedzi z tłumu Narnijczyków, ale nie mógł zrozumieć słów.

„Bardzo bym chciał wiedzieć, co zrobili z Klejnotem”, myślał król.

W końcu w tłumie zapanowało ogólne poruszenie i po chwili wszyscy zaczęli się rozchodzić w różnych kierunkach. Część zwierząt przeszła obok przywiązanego do drzewa Tiriana. Patrzyły na niego z przerażeniem i współczuciem, ale żadne nie odezwało się ani słowem. Wkrótce wszyscy zniknęli i w lesie zapanowała cisza. A potem godzina za godziną mijały i Tirian poczuł najpierw okropne pragnienie, później dotkliwy głód, a gdy nadszedł zmierzch - dojmujący chłód. Rozboląły go plecy. Słońce zaszło i zapadł wieczór.

Kiedy było już prawie zupełnie ciemno, Tirian usłyszał delikatny odgłos miękkich łapek i ujrzał zbliżającą się ku niemu grupkę małych stworzeń. Po lewej stronie kroczyły trzy myszy, w środku królik, po prawej dwa krety. Te ostatnie niosły na plecach niewielkie worki, tak że w pierwszej chwili król nie mógł się zorientować, co to za stworzenia. Zwierzęta otoczyły króla, oparły swoje chłodne łapki na jego kolanach i złożyły na nich sapiące, zwierzęce pocałunki. (Mogły bez trudu dosięgnąć kolan króla, bo narnijskie mówiące zwierzęta są większe od niemych zwierząt tych samych gatunków w Anglii.)

- Królu, panie nasz! Miłościwy panie! - przemówiły cienkimi głosikami. - Bardzo nam ciebie żal. Nie śmiemy cię rozwiązać, bo Aslan bardzo by się gniewał. Ale przyniosłyśmy ci kolację.

I natychmiast jedna mysz wspięła się zwinnie po ubraniu Tiriana, usadowiła na sznurze, który oplatał jego pierś, i zmarszczyła swój tępy nos tuż przed jego twarzą. Potem druga mysz wspięła się i zawisła pod pierwszą. Reszta zwierząt zaczęła im

podawać różne rzeczy.

- Najpierw się napij, wasza królewska mość, a zobaczysz, że odzyskasz apetyt - powiedziała pierwsza mysz i Tirian spostrzegł, że przystawiono mu do ust maleńką drewnianą czarę, nie większą niż skorupka od jajka, tak że prawie nie poczuł smaku wina. Ale gdy ją opróżnił, mysz przesłała czarę z powrotem na ziemię, gdzie ją ponownie napełniono i podano w górę. W ten sposób po jakimś czasie zupełnie nieźle zaspokoił pragnienie, zwłaszcza że zwykle lepiej się to robi, gdy pije się małymi porcjami, niż wypijając wszystko duszkiem.

- Tu jest trochę sera, najjaśniejszy panie - powiedziała pierwsza mysz - ale nie za dużo, bo później chciałoby ci się pić.

Po serze nakarmiono go owsianymi ciasteczkami ze świeżym masłem, a na zakończenie znowu podano mu trochę wina.

- A teraz dajcie mi tu wody - powiedziała pierwsza mysz. - Umyję królowi twarz. Widzę na niej krew.

Po chwili Tirian poczuł na twarzy chłodną gąbkę. Bardzo go to orzeźwiło.

- Moi mali przyjaciele - rzekł - jakże mam wam dziękować za to wszystko?

- Wcale nie musisz dziękować, panie - odpowiedziały ciche głosiki. - Przecież nie mogłyśmy postąpić inaczej. MY nie chcemy żadnego innego króla. Jesteśmy twoimi poddanymi. To tylko szympans i Kalormeńczycy nastają na twe życie i honor. Walczyłybyśmy z nimi do ostatniej kropli krwi i prędzej dałybyśmy się posiekać na kawałki, niż pozwoliłybyśmy im ciebie związać. Ale nie możemy przecież walczyć przeciw Aslanowi.

- Myślicie, że to naprawdę Aslan? - zapytał król.

- Ależ tak, oczywiście - odrzekł królik. - Zeszłej nocy wyszedł z szopy. Wszyscy go widzieliśmy.

- Jak on wygląda?

- Jak straszny, wielki lew - odpowiedziała jedna z myszy.

- I myślicie, że to naprawdę Aslan zabija leśne nimfy i sprzedaje was w niewolę królowi Kalormenu?

- Tak, to jest straszne - powiedziała druga mysz. - Lepiej byłoby umrzeć, zanim to wszystko się zaczęło. Ale nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Wszyscy mówią, że to są rozkazy Aslana. I widzieliśmy go. Nie sądziliśmy, że Aslan taki będzie. Przecież... przecież my tak za nim tęskniliśmy!

- Zdaje się, że tym razem wrócił bardzo rozgniewany - dodała pierwsza mysz. -

Musieliśmy wszyscy zrobić coś bardzo złego. Aslan na pewno przyszedł, żeby nas za to ukarać. Ale mógłby nam chociaż powiedzieć za co!

- Zdaje mi się, że to, co teraz robimy, też może być złe - odezwał się królik.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedział zapalczywie jeden z kretów. - Zrobiłbym to jeszcze raz.

- Cicho! Bądź ostrożny! - uciszyły go głosy innych. - Bardzo nam, miłościwy panie, przykro, ale musimy już wracać. Co by to było, gdyby nas tu przyłapano.

- Idźcie zaraz, moje kochane zwierzęta - rzekł Tirian. - Za całą Narnię nie chciałbym sprowadzić nieszczęścia na żadne z was.

- Dobranoc, dobranoc - zapiszczały, pocierając nosami jego kolana. - Wrócimy tu, jak będziemy mogły.

A potem wszystkie czmychnęły cicho w ciemność i las zrobił się jeszcze bardziej pusty i zimny niż przedtem.

Zapłonęły gwiazdy i czas mijał wolno - wyobraźcie sobie tylko jak wolno! - podczas gdy król stał w ciasnych więzach pod drzewem, zeszywniały i obolały. Lecz w końcu coś się wydarzyło.

W oddali pojawiło się czerwone światełko. Potem znikło na chwilę i znowu zapłonęło, tym razem większe i silniejsze. Później król ujrział ciemne sylwetki uwijające się tu i tam w czerwonym blasku: przynosiły jakieś ciężary i zrzucały je na ziemię. Po chwili zrozumiał, na co patrzy. Było to ognisko, do którego znoszono wielkie wiązki drzewa. Teraz rozgorzało wielkim płomieniem; rozpalono je na samym szczycie wzgórza. Tirian widział oblaną czerwonym blaskiem Stajnię, a pomiędzy sobą i ogniskiem - tłum zwierząt i ludzi. Tuż przy ogniu garbił się dziwacznie szympans. Mówił coś do tłumu, lecz Tirian nie słyszał słów. Potem szympans podszedł do drzwi i wówczas ze Stajni wyszło coś czworonożnego - coś, co kroczyło dość sztywno - i stanęło przed tłumem.

Rozległ się ryk, skowyt i zawodzenie tak głośne, że król zrozumiał tylko parę słów.

- Aslan! Aslan! - wołały zwierzęta. - Przemów do nas! Pociesz nas! Przestań się na nas gniewać!

Z tej odległości Tirian nie mógł przyjrzeć się dokładnie temu stworzeniu, widział tylko, że jest żółte

i włochate. Nigdy nie widział Wielkiego Lwa. Prawdę mówiąc, nigdy nie widział

nawet zwykłego lwa. Nie miał pewności, czy to, co widzi, nie jest rzeczywiście prawdziwym Aslanem. Nie spodziewał się też, że Aslan może wyglądać tak jak to niezgrabne stworzenie, stojące bez słowa przed tłumem. Skąd jednak mógł wiedzieć na pewno? Przemknęły mu przez głowę straszne myśli, ale zaraz przypomniał sobie tę bzdurę, że Tasz i Aslan to jedna osoba. Nie, to wszystko musi być oszustwem.

Szympanś zbliżył teraz ucho do głowy żółtego stworzenia, jakby słuchał tego, co ono mu szeptem. Potem odwrócił się do tłumu i przemówił, a tłum znów wybuchnął żalonym lamentem. Żółte stworzenie odwróciło się niezgrabnie i powróciło - można by prawie powiedzieć: pokuśtykało - do Stajni, a szympanś zamknął za nim drzwi. Zgaszono ognisko, bo czerwony blask nagle zniknął, i Tirian został sam w chłodzie i ciemności.

Myślał o innych królach, którzy żyli i zmarli w Narnii w dawnych czasach, i doszedł do wniosku, że żaden z nich nie był tak nieszczęśliwy jak on. Wspominał pradziada swego pradziada, króla Riliana, porwanego przez Czarownicę, gdy był jeszcze młodym królewiczem, i więzionego przez nią w mrocznych jaskiniach pod krainą Północnych Olbrzymów. Ale wszystko dobrze się skończyło, bo gdzieś z zaświatów przybyło nagle dwoje tajemniczych dzieci i uwolniło go, tak że mógł wrócić do Narnii i panować w niej długo i szczęśliwie. „Tak, ale ze mną jest inaczej”, westchnął z żalem. Potem sięgnął myślami jeszcze wcześniej i przypomniał sobie dzieje ojca Riliana, Kaspiana Żeglarza, którego chciał zamordować niegodziwy wuj, król Miraż, i jak Kaspian uciekł do lasu i żył pośród karłów. Ale i ta historia zakończyła się szczęśliwie, bo i jemu pomogły dzieci - tym razem czworo - które przybyły z innego świata, zwyciężyły w wielkiej bitwie i osadziły go na tronie jego ojca. „Tak, ale to było dawno, dawno temu”, pomyślał z żalem. „Takie rzeczy dziś już się nie zdarzają”. A potem wspominał (bo od najmłodszych lat zawsze interesował się historią), jak ta sama czwórka dzieci, która pomogła Kaspianowi, przebywała w Narnii ponad tysiąc lat temu i dokonała wówczas najbardziej zadziwiających, wielkich czynów. Te dzieci zwyciężyły straszną Białą Czarownicę i zakończyły erę Stuletniej Zimy, a potem panowały długo (wszyscy czworo razem) w Ker-Paravelu i nie były już dziećmi, lecz mężnymi królami i umiłowanymi królowymi, a ich panowanie nazwano później Złotym Wiekiem Narnii. I Aslan często pojawiał się w tej i we wszystkich innych starych opowieściach, jakie Tirian pamiętał. „Aslan i dzieci z innego świata”, pomyślał. „Zawsze pojawiali się w najgorszych, najbardziej beznadziejnych chwilach. Och, gdyby tak się stało i teraz!”

I zawołał:

- Aslanie! Aslanie! Aslanie! Przybądź i udziel nam pomocy!

Ale odpowiedziała mu tylko cisza, niezmienna ciemność i chłód.- Nie proszę o swoje życie! - zawołał król. - Niech zginę! Przyjdź i wybaw całą Narnię!

Ale noc i las wciąż były takie same, natomiast coś zmieniło się w samym Tirianie. Nawet sobie tego w pełni nie uświadamiał, lecz zaczął odczuwać słabą nadzieję i jakby przyływ siły. „Och, Aslanie, Aslanie”, szeptał do siebie, „jeśli nie przyjdiesz sam, ześlij nam chociaż pomoc z zaświatów”. A potem, nie wiedząc prawie, co czyni, zawołał wielkim głosem:

- Dzieci! Dzieci! Przyjaciele Narnii! Prędko! Przybywajcie! Wzywam was poprzez wszystkie światy, wzywam was, ja, Tirian, Król Narnii, Pan na Ker-Paravelu, Cesarz Samotnych Wysp!

I natychmiast zapadł w sen (jeśli to był sen), najbardziej żywy ze wszystkich, jakie dotąd miał. Wydało mu się, że stoi w jasno oświetlonej komnacie, w której wokół okrągłego stołu siedzi siedmioro ludzi. Dwoje z nich - mężczyzna z białą brodą i kobieta z mądrymi, wesołymi oczami - było bardzo wiekowych. Miejsce po prawej stronie starca zajmował chłopiec, z pewnością młodszy od Tiriana, ale z twarzą króla i rycerza. Podobnie wyglądał inny młodzieniec, po prawej ręce starej kobiety. Twarzą do Tiriana siedziała jasnowłosa dziewczyna, młodsza od dwóch młodzieńców, a po obu jej rękach - chłopiec i dziewczynka jeszcze młodszy niż ona. Ich stroje wydały się Tirianowi bardzo dziwaczne.

Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad takimi szczegółami, bo nagle najmłodszy chłopiec i obie dziewczynki zerwali się z miejsc, a jedno z nich wydało z siebie cichy jęk. Stara kobieta wzdrygnęła się i wstrzymała oddech. Starzec musiał również zrobić jakiś gwałtowny ruch, bo kielich z winem, który stał tuż przy jego prawej ręce, spadł na podłogę. Tirian usłyszał brzęk tłuczonego szkła.

Wówczas zdał sobie sprawę, że ci ludzie go widzą: wpatrują się w niego, jakby zobaczyli ducha. Zauważył jednak, że młodzieniec o królewskiej twarzy, siedzący po prawej ręce starca, nawet nie drgnął (choć poblekł bardzo), tylko zacisnął mocno pięść, a po chwili rzekł:

- Jeśli nie jesteś zjawą lub snem, przemów! Wyglądasz na Narnijczyka, a my wszyscy jesteśmy przyjaciółmi Narnii.

Tirian bardzo chciał przemówić. Próbował wykrzyknąć, że jest królem Narnii, który znalazł się w wielkiej potrzebie. Stwierdził jednak (jak to zdarza się w snach), że

nie może wydobyć z siebie głosu.

Ten, który odezwał się do niego, powstał.

- Cieniu lub duchu, lub kimkolwiek jesteś - rzekł, wpatrując się w Tiriana - jeśli przychodzisz z Narnii, w imię Aslana, wzywam cię, przemów! Jestem Wielki Król Piotr.

Komnata zaczęła się kołysać w oczach Tiriana. Słyszał głosy siedmiorga ludzi, mówiących coś jednocześnie, ale wszyscy stawali się coraz bardziej bladzi i niewyraźni. Doszły do niego okrzyki: „Patrzcie! Blednie!”, „Rozpływa się!”, „Znika!” W następnej chwili, już zupełnie rozbudzony, wciąż stał przywiązany do drzewa, zziębnięty i odrętwiały. Las napełniało blade, posępne światło, zapowiadające wschód słońca. Ubranie miał mokre od rosy. Zbliżał się świt.

To przebudzenie należało chyba do najgorszych w jego życiu.

ROZDZIAŁ 5

POMOC DLA KRÓLA

Żalosa chwila nie trwała jednak długo. Prawie natychmiast ziemia zatrzęsła się raz, potem drugi - i oto stało przed nim dwoje dzieci. Jeszcze sekundę wcześniej widział przed sobą zupełnie pusty las, wiedział też, że nie mogły nadejść zza drzewa, boby je usłyszał. Po prostu pojawiły się znikąd. Od razu spostrzegł, że mają na sobie takie same dziwaczne i brzydkie stroje jak ludzie z jego snu, a gdy popatrzył dłużej, zrozumiał, że stoi przed nim najmłodszy chłopiec i najmłodsza dziewczynka spośród siedmiorga ludzi przy okrągłym stole.

- Ojej! - zawołał chłopiec. - Aż dech zapiera! Myślałem, że...

- Szybko, rozwiążmy go! - przerwała mu dziewczynka. - O tym pomówimy później. - A potem zwróciła się do Tiriana: - Wybacz nam, że trwało to tak długo. Przybyliśmy, jak tylko stało się to możliwe.

Gdy mówiła, chłopiec wyjął z kieszeni nóż i szybko rozcinał więzy króla; prawdę mówiąc, trochę za szybko, bo Tirian tak zeszywniał i zdrętwiał, że kiedy puścił ostatni sznur - upadł na ręce i kolana. Dopiero gdy roztarł mocno nogi, poczuł, że krew znów zaczyna w nich krążyć.

- Hej! - zawołała dziewczynka. - Czy to nie ty pojawiłeś się tego wieczoru, kiedy siedzieliśmy wszyscy razem przy kolacji? Jakiś tydzień temu...

- Tydzień, piękna panienko? - zdumiał się Tirian. - Mój sen zawiódł mnie do waszego świata zaledwie dziesięć minut temu.

- To ten zwykły zamęt z czasem, Julio - powiedział chłopiec.

- Teraz sobie przypominam - rzekł król. - Mówią o tym wszystkie dawne opowieści. W waszym dziwnym świecie czas biegnie inaczej niż w naszym. Ale jeśli już mówimy o czasie, to mamy go naprawdę niewiele. Moi wrogowie są blisko. Czy pójdziecie ze mną?

- Oczywiście - odpowiedziała dziewczynka. - Przecież przybyliśmy tu po to, by ci pomóc.

Tirian podniósł się i poprowadził ich szybko w dół, po zboczu wzgórza, kierując się na południe, jak najdalej od Stajni. Wiedział dobrze, dokąd powinien iść, ale najpierw chciał znaleźć jakiś skalisty teren, gdzie przestaliby zostawiać ślady, a potem przejść przez jakąś wodę, aby psy straciły ich trop. Zajęło im to około godziny, podczas której kluczyli, wspinali się na skały i brodzili po wodzie. Nie było sposobności do rozmowy, lecz Tirian przyglądał się bacznie swoim towarzyszom,

kiedy tylko mógł. Wędrówka przez mroczny las z istotami z innego świata wprawiała go w lekkie oszołomienie, ale czyniła też bardziej realnymi opowieści z dawnych czasów. Wszystko mogło się teraz wydarzyć...

- No, jesteśmy już dość daleko od tych łotrów - rzekł Tirian, gdy znaleźli się w brzozywym zagajniku, u wejścia do niewielkiej doliny. - Możemy nieco zwolnić.

Słońce już wstało, krople rosy migotały na każdej gałązce, śpiewały ptaki.

- Warto pomyśleć o jakimś żarciu - odezwał się chłopiec. - Oczywiście chodzi mi o ciebie, panie, my już jesteśmy po śniadaniu.

Tirian zastanawiał się gorączkowo, co też może znaczyć „żarcie”, ale kiedy chłopiec otworzył wypchany tornister i wyjął z niego wytłuszczoną i pogniecioną paczkę, zrozumiał. Dopiero teraz poczuł okropny głód. W paczce znajdowały się dwie kanapki z jajkiem na twardo, dwie z serem i dwie z mięsną pastą. Gdyby nie wielki głód, zastanowiłby się głęboko przed zjedzeniem tej pasty, bo czegoś takiego nikt w Narnii nie jada.

Zanim skończył ostatnią kanapkę, dotarli już do dna doliny, a tam znaleźli porośniętą mchem skalną ścianę, z której biło źródło. Wszyscy napili się orzeźwiającej wody i opłukali rozgrzane twarze.

- A teraz - powiedziała dziewczynka, odgarniając mokre włosy z czoła - czy mógłbyś nam powiedzieć, kim jesteś i dlaczego przywiązano cię do drzewa, i co tu się w ogóle dzieje?

- Z najwyższą ochotą, panienko - odrzekł Tirian - ale nie możemy się zatrzymać.

Ruszyli więc w dalszą drogę, a król opowiedział im, kim jest i co mu się przydarzyło.

- Zamierzam teraz - zakończył swą opowieść - udać się do pewnej wieży, jednej z trzech zbudowanych przez mojego przodka dla strzeżenia Latarnianego Pustkowiec przed wyjętymi spod prawa złoczyńcami, którzy mieszkali tam za jego dni. Dzięki niech będą Aslanowi, że nie obrabowali mnie z kluczy. W tej wieży znajdziemy broń i rynsztunek, a także trochę żywności, chociaż nie obiecuję nic lepszego niż suchary. Możemy się tam bezpiecznie zatrzymać dla omówienia dalszych planów. A teraz wyświadczyć mi łaskę i powiedzcie, kim wy jesteście i w jaki sposób przybyliście do Narnii, aby mi pomóc.

- Ja nazywam się Eustachy Scrubb, a to jest Julia Pole - powiedział chłopiec. - Dawno, dawno temu już tutaj byliśmy; według naszego czasu minął zaledwie rok, ale

według narnijskiego całe stulecia. Żył tu wówczas pewien gość, który nazywał się księżę Rilian, i trzymano go w podziemiu, i Błotosmętek włożył stopę w...

- Ha! - wykrzyknął Tirian. - A więc to wy! Eustachy i Julia, którzy uwolnili króla Riliana ze złego czaru, jakim na wiele lat spętała go Czarownica!

- Tak, to my - powiedziała Julia. - A więc Rilian jest teraz królem, czy dobrze usłyszałam? Ach, tak, oczywiście... Zapomniałam, że...

- Nie - przerwał jej Tirian. - Nie jest już królem. Ja jestem jego potomkiem w siódmym pokoleniu. Król Rilian zmarł ponad dwieście lat temu.

Julia skrzywiła się.

- Och! To jest ta jedyna okropna rzecz, gdy się wraca do Narnii.

- A więc wiesz już, kim jesteśmy, panie - Eustachy wrócił do swojej opowieści. - A więc tak: Profesor i ciotka Pola zebrali wszystkich przyjaciół Narnii razem...

- Nie znam ich imion, Eustachy - wtrącił Tirian.

- Tych dwoje dorosłych to ci, którzy byli w Narnii na samym początku jej istnienia, w dniu, w którym wszystkie zwierzęta nauczyły się mówić.

- Na grzywę Lwa! - zawołał Tirian. - Tych dwoje! Lord Digory i pani Pola z prapoczątków świata! Wciąż jeszcze żyją! Cóż za dziwy! Chwała niech będzie Aslanowi! Ale mów, mów.

- Wiesz, ona naprawdę nie jest naszą ciotką - rzekł Eustachy. - To pani Plummer, ale nazywamy ją ciocią Połą. A więc tych dwoje zebrało nas wszystkich, częściowo po to, by mile spędzić razem czas i porozmawiać swobodnie o Narnii, bo oczywiście tylko między sobą możemy mówić o takich rzeczach,

a częściowo dlatego, że Profesor miał przeczucie, że będziemy tu znowu potrzebni. No i wtedy ty pojawiłeś się jak duch albo jak Bóg-wie-co, i okropnie nas przestraszyłeś, a potem zniknąłeś bez słowa. Ale już wiedzieliśmy, że dzieje się coś niedobrego i powstał problem, jak tu się dostać. Nie wystarczy tylko chcieć. Roztrząsaliśmy to na wszystkie strony i w końcu Profesor powiedział, że jedynym sposobem jest użycie magicznych pierścieni. Właśnie dzięki nim on i ciocia Pola przenieśli się tu dawno, dawno temu, jako dzieci. Nas nie było jeszcze wtedy na świecie. Ale pierścienie zostały zakopane w ogrodzie przy pewnym domu w Londynie - to takie wielkie miasto w naszym świecie - a ten dom sprzedano. Powstał więc problem, jak je stamtąd wydostać. Nigdy byś nie zgadł, co w końcu zrobiliśmy! Edmund i Piotr - Wielki Król Piotr, ten, który do ciebie przemówił - pojechali do Londynu, aby zakraść się do tego ogrodu o świecie, gdy wszyscy jeszcze śpią. Przebrali

się za robotników, tak że gdyby ich ktoś zobaczył, pomyślałby, że przyszli naprawiać kanalizację. Szkoda, że z nimi nie pojechałem, to musiała być wspaniała zabawa! Chyba im się udało, bo następnego dnia Piotr przysłał nam telegram - to taki rodzaj szybkiej wiadomości, kiedy indziej ci to wyjaśnię, panie - zawiadamiając nas, że ma pierścienie. W dzień później Julia i ja wracaliśmy ze szkoły - tylko my dwoje chodzimy jeszcze do szkoły, i to do tej samej. Piotr i Edmund mieli się z nami spotkać w umówionym miejscu w drodze do szkoły, na stacji, i przekazać nam pierścienie, bo to my mieliśmy przejść do Narnii; oni są starsi i nie

mogą tu już wrócić. Więc wsiedliśmy do pociągu - to taka rzecz, którą się w naszym świecie podróżuje: mnóstwo zamkniętych wozów szepionych razem - a Profesor, ciotka Pola i Łucja towarzyszyli nam, bo chcieliśmy być jak najdłużej razem. No więc byliśmy razem w pociągu. I właśnie dojeżdżaliśmy do stacji, na której mieliśmy się spotkać z Piotrem i Edmundem, ja wyglądałem przez okno, żeby ich zobaczyć, gdy nagle nami okropnie szarpnęło, coś zahuczało i w tej samej chwili znaleźliśmy się w Narnii, a ty stałeś przed nami przywiązany do drzewa.

- A więc w ogóle nie użyliście pierścieni? - zapytał Tirian.

- Nie, nawet ich nie zobaczyliśmy. Aslan uczynił to w swój własny sposób, bez pierścieni, jak już nieraz bywało.

- Ale Wielki Król Piotr wciąż je ma?

- Tak - powiedziała Julia - ale nie sądzimy, by ich użył. Kiedy Pevensie... to znaczy król Edmund i królowa Łucja, byli tu ostatnim razem, Aslan im powiedział, że już nigdy nie wrócą do Narnii. Coś podobnego powiedział Wielkiemu Królowi, tylko o wiele dawniej. Możesz być pewien, że już by tu był, gdyby mu pozwolono.

- Ojej! Ale się robi gorąco w tym słońcu - jęknął Eustachy. - Czy jesteśmy już blisko, panie?

- Spójrzcie! - rzekł Tirian i wyciągnął rękę. Ponad wierzchołkami drzew pojawiły się szare blanki

murów, a po minucie marszu wyszli z lasu na otwartą, zieloną przestrzeń. Biegł przez nią strumień, a na dalszym krańcu wznosiła się płasko zakończona, kwadratowa wieża z kilkoma bardzo wąskimi oknami i ciężkimi drzwiami, osadzonymi z tej strony, z której nadchodzili.

Tirian rozejrzał się uważnie dookoła, sprawdzając, czy gdzieś nie czai się wróg. Potem podszedł do wieży i wydobył pęk pięknych kluczy, który nosił na srebrnym łańcuszku pod myśliwską kurtką; dwa były ze szczerzego złota, a wiele zadziwiało

misterną robotą. Już na pierwszy rzut oka można było poznać, że to klucze do sekretnych, ważnych komnat w pałacu lub do skrzyń i szkatulek ze słodko pachnącego drewna, pełnych królewskich skarbów. Ale klucz, który Tirian włożył do zamka drzwi, był zwyczajny: duży i dość prymitywnie wykonany. Zamek zardzewiał i przez chwilę król lękał się, czy będzie go w stanie otworzyć, w końcu jednak drzwi ustąpiły z ponurym jękiem.

- Zapraszam do środka, przyjaciele - rzekł. - Niestety, to obecnie najwspanialszy z pałaców, w jakich król Narnii może zaoferować wam gościnę.

Z zadowoleniem spostrzegł, że dwoje przybyszów z innego świata znało dobre maniery. Oboje zaraz go zapewnili, że nie są przyzwyczajeni do przepychu i że na pewno będzie tu bardzo przyjemnie.

Prawdę mówiąc, miejsce nie należało do zbyt przyjemnych. W środku panowała ciemność i zalatywało stęchlizną. Całe wnętrze wieży zajmowało jedno duże pomieszczenie. W rogu wznosiły się ku kamiennemu sklepieniu drewniane schodki wiodące do otworu, którym można się było wydostać na płaski dach otoczony blankami. W murze czerniło się też kilka nisz z prymitywnymi pryzkami do spania. Pod ścianami leżało sporo skrzyń i worków, a w drugim rogu dzieci dostrzegły wielki kominek, sprawiający wrażenie, jakby w nim nie palono od wielu lat.

- Może najpierw wyjdziemy i nazbieramy trochę drewna - zaproponowała Julia.

- Jeszcze nie, moi druhowie - odrzekł Tirian. Nie zamierzał po raz drugi spotkać wroga nie uzbrojony. Natychmiast zaczął otwierać skrzynie, błogosławiąc w duchu własną przezorność, która nakazywała mu dokonywać raz w roku inspekcji owych wież strażniczych, aby się upewnić, że jest w nich wszystko, co może się przydać w razie zagrożenia. Ciężki łuków leżały zawinięte w przesycony oliwą jedwab, miecze i ostrza włóczni natłuszczono, by nie zardzewiały, zbroje jaśniały, gdy odwinął ich pokrowce. Znalazł też coś, co go szczególnie uradowało.

- Spójrzcie! - zawołał, wyjmując długą, niezwykle kolczugę i błyskając nią przed oczami dzieci.

- To dość dziwna kolczuga, panie - rzekł Eustachy.

- Zgadza się, chłopcze - powiedział Tirian. - Bo też nie wykuł jej narnijski karzeł. To kalormeńska robota, wystarczy spojrzeć na łączenia pierścieni. Zawsze trzymam w pogotowiu kilka takich rzeczy, bo nigdy nie wiadomo, kiedy zajdzie potrzeba poruszania się po kraju Tisroka bez zwracania na siebie uwagi. Przyjrzyjcie

się teraz temu kamiennemu flakonowi. Jest w nim sok, który można wetrzeć w ręce i twarze, a zrobią się brązowe jak u Kalormeńczyków.

- Hurra! - zawołała Julia. - Przebieranka! Uwielbiam przebieranie!

Tirian pokazał im, jak wylać nieco soku na dłonie, a potem wetrzeć go dobrze w twarz, szyję i ramiona, a także w ręce, aż do łokci. Sam też to uczynił.

- Kiedy wyschnie - dodał - żadna woda tego nie zmyje. Tylko oliwa i popiół uczynią nas z powrotem Narnijczykami. A teraz, miła Julio, zobaczmy, jak wyglądasz w tej stalowej koszulce. Trochę za długa, ale nie tak bardzo, jak się obawiałem. Na pewno należała do jakiegoś pazia z orszaku jednego z Tarkaanów.

Wszyscy przywdziali stalowe kolczugi i kalormeńskie hełmy: okrągłe, ściśle przylegające do głowy, a na szczycie zakończone ostrym szpicem. Tirian wyjął ze skrzyni zwój białej tkaniny i owinął nią każdy hełm, tak że stały się podobne do turbanów: wystawały z nich tylko spiczaste końce. On i Eustachy uzbroili się w krzywe kalormeńskie szable i małe, okrągłe tarcze. Wszystkie miecze i szable okazały się dla Julii za ciężkie, ale w końcu król znalazł dla niej długi, prosty myśliwski nóż, mogący w razie potrzeby zastąpić miecz.

- Czy umiesz posługiwać się łukiem, panienko? - zapytał.

- Och, nie warto nawet o tym mówić - odparła Julia, czerwieniąc się. - Za to Scrubb jest w tym nie najgorszy.

- Nie wierz jej słowom, panie - rzekł Eustachy. - Oboje ćwiczyliśmy się w strzelaniu z łuku od czasu, gdy wróciliśmy z Narnii ostatnim razem. Julia jest prawie tak dobra jak ja. Ale, mówiąc szczerze, żadne z nas nie jest mistrzem.

Tirian dał więc Julii łuk i kołczan pełen strzał. Teraz musieli rozpalić ogień, bo wewnątrz wieży bardziej przypominało jaskinię niż siedzibę ludzką i wszyscy od czasu do czasu mieli dreszcze. Ale szybko rozgrzali się, zbierając drewno - słońce stało już w zenicie - a kiedy ogień zahuczał w kominie, od razu zrobiło się przytulniej. Obiad nie był zbyt wyszukany; jedyne, co znaleźli do jedzenia, to twarde suchary. Rozgotowali je w wodzie, dodali soli i powstało coś w rodzaju owsianki. No i, oczywiście, do picia mieli tylko wodę.

- Och, czemu nie zabraliśmy ze sobą paczki herbaty - westchnęła Julia.

- Albo puszki kakao - dodał Eustachy.

- W każdej wieży powinna być przynajmniej jedna baryłka wina - rzekł Tirian.

ROZDZIAŁ 6

NOCNY WYPAD

JAKIEŚ CZTERY GODZINY PÓŹNIEJ Tirian rzucił się na jedną z prycz, żeby się trochę przespać. Dzieci już zdrowo chrapały: wysłał je spać o wiele wcześniej, bo większość nocy mieli spędzić na nogach. Młody król wiedział, że w ich wieku trudno się obyć bez normalnej porcji snu, a w dodatku przez całe popołudnie też nie było sposobności do odpoczynku. Najpierw ćwiczył z Julią strzelanie z łuku i stwierdził, że chociaż nie dorównuje w tej sztuce przeciętnemu narnijskiemu łucznikowi, radzi sobie zupełnie nieźle. Udało jej się nawet ustrzelić dzikiego królika (oczywiście nie MÓWIĄCEGO królika; w zachodniej Narnii jest wiele zwykłych), który wisiał już, oprawiony i oczyszczony. Tirian odkrył też, że dzieci znały się dobrze na tym brudnym i cuchnącym zajęciu, jakim jest oprawianie zwierzyny; nauczyły się tego podczas długiej wędrówki przez Krainę Olbrzymów, za czasów księcia Riliana. Potem próbował nauczyć Eustachego posługiwania się szablą i tarczą. Eustachy miał niezłą praktykę z czasów swych wcześniejszych przygód, ale wówczas walczył zawsze prostym narnijskim mieczem. Nigdy dotąd nie miał w ręku krzywej kałormeńskiej szabli i sprawiało mu to dużą trudność. Musiał poznać wiele zupełnie nowych uderzeń, odczytać się wielu dawnych, do jakich zdążył się przyzwyczaić, walcząc prostym mieczem. Tirian spostrzegł jednak, że chłopiec ma bystre oko i jest bardzo szybki w nogach. Zdumiała go siła dzieci; wydawały się zresztą o wiele silniejsze, bardziej wyrośnięte i dojrzałe niż jeszcze kilkanaście godzin temu, gdy zobaczył je po raz pierwszy. Tak właśnie działa narnijskie powietrze na przybyszy z naszego świata.

Wszyscy troje zgodzili się, że przede wszystkim muszą wrócić na Wzgórze Stajni i spróbować uwolnić jednoroźca Klejnota. Potem, jeśli im się powiedzie, powinni wyruszyć na wschód, aby spotkać się z posiłkami, które prowadzi z Ker-Paravelu centaur Runwid.

Doświadczony żołnierz i myśliwy zawsze może się obudzić o tej godzinie, o której chce. Tirian „nastawił się” na dziewiątą wieczorem, zapomniał o wszystkich zmartwieniach i natychmiast zasnął. Po przebudzeniu czuł się tak, jakby spał zaledwie kilka minut, ale nie miał wątpliwości, że nadeszła właściwa pora. Wstał, włożył hełm z turbanem (kolczugi do snu nie zdejmował) i potrząsał dziećmi tak długo, aż się przebudziły. Gdy wreszcie wygrzebały się ze swoich koi, miny miały niezbyt wesołe, a twarze nieco szare, było też wiele głośnego ziewania.

- Tym razem - rzekł Tirian - kierujemy się prosto na północ. Na szczęście noc

jest gwiazdzista. Droga będzie o wiele krótsza, bo poprzedniego ranka musieliśmy kluczyć i krążyć. Jeśli napotkamy wroga, zachowajcie zimną krew, a ja spróbuję przemówić jak przekłety, okrutny i dumny kalormeński pan. Jeśli dobędę szabli, ty, Eustachy, musisz zrobić to samo, a Julia niech się cofnie i nałoży strzałę na cięciwę. Ale kiedy zawołam: „Dom!”, uciekajcie oboje do wieży. I niech nikt nie próbuje walczyć - ani jednego uderzenia! - gdy dam sygnał do odwrotu. Takie fałszywe męstwo zepsuło już wiele najlepszych planów wojennych. A teraz, przyjaciele, w imię Aslana - naprzód!

Zagłębili się w zimną i ciemną noc. Ponad szczytami drzew płonęły wszystkie gwiazdy północnego nieba. Gwiazda Północna tego świata nazywana jest Ostrzem Włóczni, jest ona jaśniejsza od naszej Gwiazdy Polarnej.

Przez pewien czas szli prosto na nią, ale później natrafili na las tak gęsty, że musieli zmienić kierunek, aby go obejść. A potem określenie położenia stało się bardzo trudne, bo gałęzie przesłaniały niebo. Właściwy kierunek odnaleźli dzięki bystrości Julii, która była w Anglii doświadczonym przewodnikiem. Wędrując po pustkowiach Północnych Krain w czasie swego pierwszego pobytu w tym świecie, poznała też dobrze narnijskie gwiazdy i potrafiła określić kierunek nawet wówczas, gdy nie widzieli Ostrza Włóczni. Kiedy Tirian odkrył, że dziewczynka jest lepszym przewodnikiem od niego, ustąpił jej miejsca na przedzie i podziwiał ją, gdy bezszelestnie i zwinnie przemykała przez ciemny las, bez wahania odnajdując właściwą drogę.

- Na grzywę Lwa! - szepnął do Eustachego. - Ta dziewczyna chyba urodziła się w lesie! Nawet gdyby płynęła w niej krew driad, nie radziłyby sobie lepiej.

- Jest mała i to jej pomaga - odpowiedział Eustachy, ale Julia syknęła na nich, żeby nie hałasowali.

W lesie panowała niezmacona cisza. Prawdę mówiąc, było trochę za cicho. W zwykłą narnijską noc las powinien rozbrzmiewać różnymi odgłosami: od czasu do czasu wesołym pozdrowieniem jeża, pohukiwaniem sowy, zawodzeniem fletu z oddali, mówiącym, że gdzieś na polanie tańczą fauny, głuchymi uderzeniami młotów spod ziemi, przypominającymi, że karły lubią pracować nocną porą. Ale tej nocy tylko cisza dzwoniła w uszach, jakby w całej Narnii zapanował smutek i lęk.

Po pewnym czasie zaczęli się wspinać na dość strome zbocze. Drzewa rosły tu coraz rzadziej. Tirian czuł, że jest to dobrze mu znane Wzgórze Stajni. Julia szła coraz ostrożniej i dawała rękami znaki, aby ją naśladowali. W pewnej chwili stanęła bez

ruchu, powoli schyliła się i nagle bezszelestnie znikła w wysokiej trawie. Po minucie wstała, zbliżyła, usta do ucha Tiriana i szepnęła najciszej jak potrafiła:

- Na jemię! Am popat.

Powiedziała „jemię”, a nie „ziemię”, „am” zamiast „sam” i „popat” zamiast „popatrz” nie dlatego, że ze strachu zaczęła kaleczyć wymowę, ale dlatego, że wymawianie takich spółgłosek jak „ż”, „s” czy „rz” nie jest bezpieczne w lesie pełnym wrogów. Tirian natychmiast zapadł w trawę, choć nie tak cicho jak Julia, bo był cięższy i starszy. Rzeczywiście, z tej pozycji wyraźnie dostrzegł grzbiet wzgórza na tle rozgwieżdżonego nieba, a na nim dwa ciemne kształty: w jednym rozpoznał Stajnię, w drugim, mniejszym, sylwetkę kalormeńskiego wartownika. Z pewnością nie był to dobrze wyszkolony żołnierz, bo ani nie chodził wokół posterunku, ani nawet nie stał, lecz siedział z włócznią opartą o ramię i głową zwieszoną na piersi.

- Dobra robota - szepnął Tirian do Julii. Pokazała mu dokładnie to, co chciał zobaczyć.

Podnieśli się i teraz król objął prowadzenie. Powoli, wstrzymując oddech, podkradli się do kępy drzew, rosnącej nie dalej niż jakieś dziesięć metrów od wartownika.

- Poczekajcie tu na mnie - szepnął. - Jeśli mi się nie powiedzie, uciekajcie.

Potem wyszedł na polanę i wolnym, niedbałym krokiem zbliżył się do wartownika. Ten podniósł głowę i już zamierzał zerwać się na nogi, sądząc, że to jeden z oficerów sprawdza warty, gdy Tirian ukląkł przy nim na jedno kolano i powiedział:

- Czy jesteś żołnierzem Tisroka, oby żył wiecznie? Serce moje napętnia radość, że spotykam cię pośród tych narnijskich bestii i diabłów. Pozwól, że ci uściskę dłoń, przyjacielu.

Zanim do Kalormeńczyka dotarło, co się właściwie dzieje, jego prawa ręka znalazła się w mocnym uścisku. W następnej chwili leżał twarzą do ziemi, ktoś klęczał mu na nogach, a na karku czuł ostrze sztyletu.

- Jeden dźwięk i będziesz martwy - szepnął mu Tirian prosto w ucho. - Powiedz mi, gdzie jest jednorożec, a daruję ci życie.

- Z-z-za tą szopą, potężny panie - wymamrotał nieszczęsny żołnierz.

- Dobrze. Wstań i zaprowadź mnie do niego.

Kiedy wartownik wstał, koniec sztyletu nadal dotykał jego szyi. Przesunął się tylko (co przyprawiło go o zimne dreszcze) z karku na wygodne miejsce pod uchem. Trzęsąc się ze strachu, Kalormeńczyk zaprowadził króla na tyły Stajni.

Mimo ciemności Tirian rozpoznał od razu białą sylwetkę swego przyjaciela.

- Ciiiiicho! - szepnął. - Nie! Nie rzyj! Tak, mój Klejnocie, to ja. Jak cię związali?

- Mam spętane wszystkie cztery nogi i uzdę, której koniec przywiązali do żelaznego kółka w ścianie Stajni.

- Stań tam, człowieku, i oprzyj się plecami o ścianę - rzekł Tirian do wartownika. - O, tak. Klejnocie, czy mógłbyś przyłożyć koniec swojego rogu do tej kalormieńskiej piersi?

- Z najwyższą ochotą, panie.

- Jeśli się ruszy, przebij go.

W ciągu kilku sekund Tirian przeciął sznury, a następnie związał nimi ręce i nogi wartownika. Kazał mu otworzyć usta, wepchnął mu do środka duży

pęk trawy, obwiązał twarz sznurem i umieścił go w pozycji siedzącej, opierając plecami o ścianę Stajni. ,

- Pozwoliłem sobie na pewną nieuprzejmość wobec ciebie, żołnierzu - powiedział - ale wymagała tego konieczność. Jeśli się jeszcze spotkamy, obejdę się z tobą lepiej. A teraz, drogi Klejnocie, zmykajmy.

Objął szyję zwierzęcia lewą ręką, pocałował go w nos i obaj poczuli w sercu wielką radość. Potem poprowadził go spieszenie do miejsca, gdzie zostawił dzieci. Pod drzewami było o wiele ciemniej i omal nie wpadł na Eustachego.

- Wszystko poszło dobrze - szepnął Tirian. - Udany nocny wypad. Wracamy.

Po kilku krokach Eustachy zapytał:

- Gdzie jesteś, Julio? - Odpowiedziała mu cisza. - Czy Julia idzie obok ciebie, panie?

- Co? A nie ma jej obok CIEBIE?

Była to straszna chwila. Nie ośmielili się nawoływać, ale powtarzali jej imię głośnym szeptem. Niestety, bez skutku.

- Czy odeszła od ciebie, kiedy mnie nie było? - zapytał Tirian.

- Nie widziałem ani nie słyszałem, aby odchodziła, ale mogła to zrobić. Potrafi się poruszać cicho jak kot, zresztą sam widziałeś, panie.

W tym momencie usłyszeli daleki odgłos bębna. Klejnot nadstawił uszu.

- Karły - powiedział.

- I dam głowę, że to karły-zdrajcy, nasi wrogowie - mruknął Tirian.

- A teraz zbliża się coś na kopytach... i jest już niedaleko... - szepnął Klejnot.

Zamarli bez ruchu, nasłuchując. Obawiali się tylu rzeczy, że nie wiedzieli, co

robić. Odgłos kopyt zbliżał się powoli. Nagle, zupełnie blisko, rozległ się szept:

- Hej! Jesteście tu wszyscy?

- Dzięki Bogu, to głos Julii!

- Gdzie byłaś, DO DIABŁA? - zapytał Eustachy podnieconym szeptem, bo naprawdę się przestraszył.

- W Stajni - wydyszała Julia, a jej głos zdradzał, że ledwo się powstrzymuje od śmiechu.

- Głupia! - warknął Eustachy. - Naprawdę uważasz, że to śmieszne? Więc powiem ci...

- Czy uwolniłeś Klejnota, panie? - zapytała Julia Tiriana.

- Tak. Jest tutaj. A co to za zwierzę jest z tobą?

- To ON. Ale lepiej oddalmy się stąd jak najszybciej, zanim się ktoś obudzi. - I znowu rozległy się tłumione wybuchy jej śmiechu.

Posłuchali natychmiast, bo czuli, że już za długo przebywają w niebezpiecznym miejscu, a bęben karłów jakby się nieco przybliżył. Dopiero po kilkunastu minutach szybkiego marszu na południe Eustachy zwrócił się do Julii.

- Co za ON? Kogo masz na myśli?

- Fałszywy Aslan - odparła Julia.

- CO?! - prawie krzyknął Tirian. - Gdzie ty właściwie byłaś? Co zrobiłaś?

- Panie, jak tylko usunąłeś tego wartownika, myślałam, że to najlepsza okazja, by zajrzeć do Stajni i zobaczyć, kto tam właściwie jest. Podczołgałam się i z łatwością podniosłam rygiel. W środku było oczywiście ciemno jak w grobie i pachniało jak w każdej zwykłej stajni. Więc zapaliłam zapałkę i - czy mi uwierzycie? - stał tam tylko ten stary osioł z lwią skórą przywiązaną do grzbietu. Wyciągnęłam nóż i powiedziałam, że ma ze mną wyjść. Prawdę mówiąc, wcale nie musiałam grozić mu nożem. Miał już zupełnie dosyć tej Stajni i z radością ją opuścił. Czy nie tak, mój kochany Łamigłówek?

- O holender! - zawołał Eustachy. - No wiesz... jestem... niech skonam! Przed chwilą zezłościłem się na ciebie i nadal uważam, że takie samowolne wybryki są godne pożałowania, ale muszę przyznać... no, rzeczywiście... to, co zrobiłaś, jest zupełnie fantastyczne. Gdyby była chłopcem, dostałaby za to rycerski pas, prawda, panie?

- Gdyby była chłopcem - odrzekł Tirian - dostałaby chłostę za złamanie rozkazu. - W ciemności nikt nie mógł zobaczyć, jaką minę miał król, gdy to mówił. W następnej chwili dał się słyszeć zgrzyt metalu o metal.

- Co czynisz, panie? - zapytał Klejnot ostrym tonem.

- Wyciągam miecz, by odciąć głowę temu przekłętemu osłu! - odpowiedział Tirian strasznym głosem. - Odsuń się, dziewczyno.

- Och! Nie rób tego! - zawołała Julia. - Naprawdę, nie możesz tego zrobić. To nie jego wina. To wszystko wymyśliła ta małpa. On nie wiedział. I bardzo żałuje. I to taki miły osiołek. Nazywa się Łamigłówek. - I objęła mu szyję ramionami.

- Julio - rzekł Tirian - jesteś najdzielniejszą i najlepiej znającą się na lesie osobą, jaką znam, ale jesteś też najbardziej nieposłuszna i zuchwała. Dobrze. Niech ten osioł żyje. Co masz do opowiedzenia na swoją obronę, osle?

- Ja, panie? - rozległ się cichy głos Łamigłówka. - Naprawdę, bardzo żałuję, jeśli zrobiłem coś złego. Szympanś powiedział, że Aslan CHCE, abym się tak przebrał. Myślałem, że wie, co mówi. Nie jestem taki mądry jak on. Ja tylko robiłem to, co mi kazano. Wcale mi się nie podobało siedzenie w zamkniętej Stajni. Nigdy mnie z niej nie wypuszczał, z wyjątkiem jednej lub dwu minut w nocy. Czasem przez cały dzień nie dostawałem wody.

- Panie - rzekł Klejnot - karły są coraz bliżej. Czy chcemy się z nimi spotkać

Tirian pomyślał przez chwilę i nagle wybuchnął głośnym śmiechem. A potem przemówił, ale tym razem nie szeptem, lecz pełnym głosem:

- Na grzywę Lwa! Zaczynam już myśleć jak borsuk wyrwany z zimowego snu. Spotkać ich? Oczywiście, spotkamy się z nimi. Niech zobaczą to, czego się tak bali i czemu się kłaniali. Ukażemy im cały podstępny plan szympansa. Wszystko się wydało. Sprawy przyjęły nowy obrót. Jutro powiesimy małpę na najwyższym drzewie w Narnii. Koniec z szeptami, ukrywaniem się i przebieraniem. Gdzie są te szlachetne karły? Mamy dla nich dobre nowiny.

Kiedy przez całe godziny porozumiewa się tylko

szeptem, dźwięk normalnego głosu ma cudowne, ożywcze działanie. Wszyscy zaczęli głośno rozmawiać i śmiać się, nawet Łamigłówek podniósł łeb i wydał z siebie donośne „Houuuu-hiiii-houuuu-hiiii-hiiii”, czego Krętacz zabraniał mu od wielu dni. Potem ruszyli śmiało tam, skąd dochodziło coraz głośniejsze bębnienie. Wkrótce zobaczyli światło pochodni. Doszli do jednej z owych prymitywnych dróg (w Anglii w ogóle nie nazywano by ich drogami), jakie biegną przez Latarniane Pustkowia. Tam ujrzeli około trzydziestu karłów maszerujących zdecydowanym krokiem, z łopatami i kilofami na ramionach. Na czele kolumny szło dwóch uzbrojonych Kalormeńczyków, dwu innych ją zamykało. - Stać - zagrzemiał Tirian, wychodząc na środek drogi. -

Zatrzymać się, żołnierze! Dokąd to prowadzicie tych narnijskich karłów i z czyjego rozkazu?

ROZDZIAŁ 7

GŁÓWNIE O KARŁACH

IDĄCY NA PRZEDZIE dwaj kalormeńscy żołnierze, zatrzymali się i wzniesli włącznie w pozdrowieniu, sądząc, że stoi przed nimi jakiś wielki Tarkaan z dwoma uzbrojonymi giermkami.

- O wielki panie - odezwał się jeden z nich - prowadzimy te karzełki do Kalormenu, do pracy w kopalniach Tisroka, oby żył wiecznie.

- Na wielkiego Tasza, są bardzo posłuszni - rzekł Tirian. Potem zwrócił się do karłów (co szósty niósł zapaloną pochodnię i w migocącym świetle brodate twarze patrzyły na niego ponuro i z jakąś zawziętością). - Czyżby Tisrok zwyciężył w jakiejś wielkiej bitwie, szlachetne karły, i podbił wasz kraj - zapytał - że widzę was, jak posłusznie idziecie na śmierć w solnych jamach Pugrahamu?

Dwaj żołnierze popatrzyli na niego zaskoczeni, a karły odpowiedziały:

- Rozkazy Aslana. Rozkazy Aslana. To ON nas sprzedał. Co możemy zrobić? Sprzeciwić się JEGO woli?

- Tisrok i bitwa - dodał jeden i splunął. - Chciałbym to zobaczyć!

- Zamknij się, psie! - warknął dowódca straży.

- Spójrzcie! - zawołał Tirian, wyciągając Łamigłówa na światło. - To wszystko było kłamstwo. Aslan w ogóle nie przybył do Narnii. Zostaliście oszukani przez szympana. Oto, co wyprowadzał co noc ze Stajni. Spójrzcie!

To, co karły zobaczyły z bliska, wystarczyło w zupełności, by wprawić je w osłupienie, jak mogły dać się tak oszukać. Długi okres uwięzienia Łamigłówa

w Stajni sprawił, że lwia skóra była w oplakany stan, a podczas wędrówki przez gęsty las przekrzywiła się i zwisała teraz jak niechlujny tobołek. Głowa zsunęła się do tyłu i każdy mógł zobaczyć niezbyt mądry ośli łeb. Z pyska wystawało mu trochę trawy, ponieważ przed chwilą skorzystał z tego, że nikt się nim nie zajmuje, i ukradkiem pasł się przy drodze.

- To nie moja wina - wymamrotał cicho. - Ja nie jestem mądry. Nigdy nie twierdziłem, że jestem mądry.

Przez chwilę wszystkie karły wpatrywały się w Łamigłówa z otwartymi ustami, a potem jeden z żołnierzy przemówił ostrym tonem:

- Czyś rozum postradał, panie? Co ty wyprawiasz z tymi niewolnikami? - A drugi dodał: - I kim ty właściwie jesteś?

Ich włącznie, jeszcze przed chwilą uniesione w pozdrowieniu, teraz pochyliły,

się gotowe do pchnięcia.

- Podaj hasło! - powiedział dowódca.

- Oto moje hasło! - zawołał król i dobył miecza. - „Światło wschodzi, kłamstwo pierzcha”. A teraz strzeżcie się, łotry, bo ja jestem Tirian, król Narnii!

I rzucił się jak błyskawica na dowódcę straży. Eustachy, który wyciągnął szablę, gdy tylko zobaczył, że król to uczynił, natarł na drugiego Kalormeńczyka. Twarz miał bladą jak kreda, ale myślę, że trudno go za to winić. Jak to się czasem zdarza początkującym, miał szczęście. Zapomniał o wszystkim, czego go Tirian próbował nauczyć tego popołudnia, tylko uderzył dziko na odlew (nie jestem nawet pewien, czy nie zamknął przy tym oczu) i ku swemu zaskoczeniu ujrzał, że Kalormeńczyk leży martwy u jego stóp. I chociaż przyniosło mu to wielką ulgę, w tej chwili czuł się raczej przerażony. Pojedynek króla trwał sekundę lub dwie dłużej, lecz i on powalił swego przeciwnika i krzyknął:

- Uważaj na tamtych dwóch! Ale karły już się nimi zajęły.

- Dobrze uderzenie, Eustachy - rzekł Tirian, klepiąc chłopca po ramieniu. - Hej, karły, jesteście wolne! Jutro poprowadzę was, by wyzwolić całą Narnię. Niech żyje Aslan!

Lecz reakcja na jego słowa była dość żałosna. Zaledwie kilku karłów (najwyżej pięciu) próbowało powtórzyć okrzyk, ale zamarł im w gardłach, zdławiony gniewnymi pomrukami towarzyszy. Większość milczała.

- Czy oni nic nie rozumieją? - zapytała niecierpliwie Julia. - Co się z wami stało, karły? Czy nie słyszeliście słów króla? Już po wszystkim. Szympanś nie będzie dłużej rządził w Narnii. Każdy może powrócić do swojego zwykłego życia. Znowu możecie się nim cieszyć. Czy nie jesteście zadowoleni?

Po trwającym prawie minutę milczeniu odezwał się wreszcie jeden z nich, z czarną jak sadza brodą i niezbyt przyjemną twarzą.

- A ty, panienko, kim właściwie jesteś?

- Jestem Julia. Ta sama Julia, która uwolniła króla Riliana ze złego czaru, a to jest Eustachy, który uczynił to wraz ze mną. Wróciliśmy tu z innego świata po całych stuleciach. Przysłał nas Aslan.

Karły popatrzyły po sobie, szczerząc zęby, ale nie były to uśmiechy wesołe, lecz szydercze.

- Cóż - powiedział w końcu Czarny Karzeł (nazywał się Gryfel) - nie wiem, co wy na to, braciszku, ale co do mnie, to usłyszałem już o Aslanie tyle, że wystarczy

mi do samej śmierci.

- Racja, racja - odezwały się inne karły. - To wszystko oszustwo. Diabelskie sztuczki.

- Co wy wygadujecie? - zawołał Tirian. Kiedy walczył, nie był błąd, lecz teraz twarz mu zbieleła. Jeszcze przed chwilą nie miał wątpliwości, że nadeszła wspaniała, wielka chwila, a teraz wszystko zmieniło się w jakiś koszmarny sen.

- Ty chyba myślisz, że my wszyscy mamy źle w głowie - rzekł Gryfel. - Raz już nas nędznie oszukano, a tobie się wydaje, że można nas nabrać po raz drugi, i to po paru minutach. Już nie potrzebujemy tych historyjek o Aslanie! Spójrzcie tylko na niego. Stary osioł z długimi uszami.

- Wielkie nieba, ja chyba oszaleję - powiedział Tirian. - A któż każe wam wierzyć, że to jest Aslan? To jest tylko mała imitacja prawdziwego Aslana. Czy nie możecie tego pojąć?

- A ty chcesz nam pokazać jakąś lepszą imitację, tak? - zapytał drwiąco Gryfel. - Stokrotne dzięki. Raz już zrobiono z nas głupców i nie pozwolimy, aby się to powtórzyło.

- Nie ma żadnej imitacji - rzekł Tirian ze złością. - Służę prawdziwemu Aslanowi.

- A gdzie on jest? Kto to taki? Pokaż go nam! - rozległy się głosy.

- Czy myślicie, że trzymam go w worku, głupcy? - odpowiedział Tirian. - A kim ja jestem, żebym go mógł sprowadzić na zawołanie? On nie jest oswojonym lwem.

Gdy tylko wypowiedział ostatnie słowo, zrozumiał, że zrobił fatalny błąd. Karły zaczęły natychmiast skrzeczeć, wyraźnie przedrzeźniając głos szympansa:

- Nie-oswojony-lew! Nie-oswojony-lew! - a jeden z nich dodał: - To właśnie powtarzał nam wciąż tamten Krętacz.

- Czy chcecie powiedzieć, że nie wierzycie w prawdziwego Aslana? - odezwała się Julia. - Ale ja go widziałam na własne oczy! To on przysłał nas tutaj z innego świata.

- Ach, tak! - zaśmiał się Gryfel szyderczo. - To TY tak mówisz. Dobrze cię wyuczono roli. Gadasz, jakbyś to powtarzała setki razy.

- Ty prostaku! - zawołał Tirian. - Ośmielasz się zarzucać kłamstwo damie?

- Zachowaj te gładkie słówka dla swoich dworzan, panie - odpowiedział karzeł.

- Jeśli chodzi o nas, to nie chcemy już żadnych królów, jeśli rzeczywiście JESTEŚ Tirianem, bo wcale na to nie wyglądasz. Nie chcemy żadnych królów i żadnych

Aslanów. Od dzisiaj zamierzamy sami zajmować się swoimi sprawami. Nie będziemy się kłaniać nikomu. Jasne?

- Tak, tak, dobrze mówisz, Gryflu - odezwały się inne karły. - Jesteśmy samorządni, nie należymy już do nikogo. Koniec z Aslanami, królami i bzdurami o innych światach. Karły są dla karłów!

I zaczęli się ustawiać z powrotem w równą kolumnę, gotowe do pomaszerowania tam, skąd przyszły.

- Nędzne kreatury! - zawołał Eustachy. - I nie zamierzacie nawet podziękować nam za to, że wybawiliśmy was od niechybnej śmierci w kopalniach soli?

- Dobrze wiemy, dlaczego to zrobiliście - rzucił Gryfel przez ramię. - Chcieliście nas wykorzystać do swoich celów, ot co. Macie jakieś swoje porachunki i byliśmy wam potrzebni. Szkoda słów, braciszku, idziemy stąd.

Tirian i jego przyjaciele patrzyli, jak odchodzą. Potem król rzucił tylko jedno słowo: „Chodźmy” i ruszyli w drogę.

Szli w całkowitym milczeniu. Łamigłówek czuł się wciąż ogromnie zawstydzony, a poza tym nie bardzo rozumiał, co się właściwie stało. Julię przepełniała odraza do karłów, a prócz tego była wciąż pod tak wielkim wrażeniem zwycięstwa Eustachego nad Kalormeńczykiem, że czuła się trochę onieśmielona. Jeśli chodzi o Eustachego, to serce biło mu wciąż bardzo szybko. Tirian i Klejnot szli na samym końcu, z ponuro zwieszonymi głowami. Król trzymał rękę na szyi jednoroźca, a szlachetne zwierzę od czasu do czasu dotykało nosem jego policzka. Nawet nie próbowali pocieszać się wzajemnie słowami. Prawdę mówiąc, nawet nie umieli znaleźć jakiegoś pocieszenia. Tirianowi nigdy nie przyszło do głowy, że jednym ze skutków ustanowienia przez szympana fałszywego Aslana może być odrzucenie wiary w prawdziwego. Jeszcze kwadrans temu był całkowicie pewien, że karły natychmiast przejdą na jego stronę, gdy tylko pokaże im, jak zostały podstępnie oszukane. Wierzył, że następnej nocy poprowadzi ich na Wzgórze Stajni i ukaże Łamigłówka wszystkim stworzeniom, i wszyscy odwrócą się od Krętacza, i wkrótce - być może po małej utarczce z Kalormeńczykami - będzie już po wszystkim. A teraz okazało się, że nie może być pewien niczego. Ilu innych Narnijczyków zachowa się tak jak te karły?

- Chyba ktoś za nami idzie - odezwał się nagle Łamigłówek.

Wszyscy przystanęli i nasłuchiwali. Rzeczywiście, w ciemności usłyszeli odgłos czyichś małych stóp.

- Kto idzie? - zapytał król.

- To tylko ja, panie - zabrzmiała odpowiedź. - Ja, karzeł Pogin. Dopiero co udało mi się po cichu odłączyć od reszty. Jestem po twojej stronie, panie,

i wierzę w Aslana. Jeśli tylko dostanę do ręki karli miecz, z przyjemnością wymierzę cios we właściwym kierunku, zanim to wszystko się skończy. Powitali go serdecznie, chwając jego odwagę i poklepując po plecach. Oczywiście jeden karzeł nie zmieniał całej sytuacji, ale podniosło to ich na duchu. Wszyscy się ożywili. Jeśli chodzi o Julię i Eustachego, nie

trwało to jednak długo: zmęczenie nie pozwalało im myśleć o czymkolwiek innym poza łóżkiem.

Kiedy dotarli do wieży, nadeszła najchłodniejsza godzina nocy, tuż przed świtem. Gdyby wewnątrz oczekiwał ich posiłek, chętnie by coś zjedli, ale myśl o przygotowaniu jedzenia i opóźnianiu snu zniechęcała wszystkich. Napili się wody ze strumienia, obmyli twarze i wgramolili do cuchnących stęchlizną nisz. Tylko Łamigłówek i Klejnot stwierdzili, że będzie im wygodniej na łące. Nikt się temu nie sprzeciwiał, bo w końcu gdy w jednej izbie znajdzie się jednorozec i gruby, dorosły osioł, zawsze robi się trochę ciasno. Narnijskie karły należą do najbardziej wytrzymałych i silnych stworzeń w tym kraju, nic więc dziwnego, że pomimo ciężkiego dnia i krótkiej nocy Pogin obudził się w pełni wypoczęty i przed wszystkimi. Wziął luk Julii, wyszedł na polanę i ustrzelił parę dzikich gołębi. Potem usiadł na progu, aby je oskubać i oczyścić, gawędząc z Klejnotem i Łamigłówkiem. Osioł czuł się i wyglądał o wiele lepiej niż w nocy. Klejnot, jako jednorozec, był jednym z najszlachetniejszych i najwrażliwszych zwierząt, toteż traktował go z wielką uprzejmością, rozmawiając o rzeczach, które mogły ich obu interesować, takich jak trawa, cukier czy pielęgnowanie kopyt. Kiedy około wpół do jedenastej Julia i Eustachy wyszli z wieży, ziewając i przecierając oczy, karzeł pokazał im, gdzie mogą narwać sporo narnijskiego ziele zwanego dziką fresnią, które przypomina nasz leśny szczaw, ale po ugotowaniu smakuje o wiele lepiej. (Powinno się dodać do niego nieco masła i pieprzu, wtedy jest wyśmienite!) Tak więc mieli już coś, z czego mogli przygotować śniadanie lub - jak kto woli - obiad. Tirian wziął siekierę, poszedł do lasu i przyniósł kilka grubych gałęzi na ogień. Podczas gdy strawa się gotowała - a gotowała się bardzo długo, zwłaszcza że pachniała coraz milej - król wyszukał karli rynsztunek dla Pogina: kolczugę, hełm, tarczę, miecz, pas i sztylet. Potem obejrzał szablę Eustachego i stwierdził, że chłopiec włożył ją do pochwy nie oczyściwszy z krwi

pokonanego Kalormeńczyka.

Skarcił go i kazał mu broń dobrze oczyścić i wypolerować.

W tym czasie Julia chodziła tu i tam, czasem mieszając w garnku, czasem spoglądając zazdrośnie na osła i jednorozca, pasących się na łące z wyraźnym zadowoleniem. Ile razy tego ranka żałowała, że nie może jeść trawy!

Ale gdy w końcu potrawa była gotowa, wszyscy orzekli, że warto było tak długo czekać. Nikt nie odmawiał dokładki. Po posiłku ludzie i karzeł usiedli na progu, czworonogi położyły się przed nimi na trawie, Pogin zapalił fajkę (zapytawszy najpierw o pozwolenie Julię i Tiriana), a król powiedział:

- A teraz, przyjacielu Poginie, opowiedz nam wszystko, co wiesz. Na pewno masz więcej wiadomości o wrogu niż my. Powiedz najpierw, co mówiono o mojej ucieczce.

- To najbardziej chytra opowieść, jaką kiedykolwiek wymyślono, panie - rzekł karzeł. - Opowiadał ją ten kot, Imbir, i dam głowę, że to on ją wymyślił. Ten Imbir, panie... o, to największy cwaniak spośród wszystkich kotów... a więc on mówił, że przechodził koło drzewa, do którego te łotry przywiązały waszą królewską mość. Powiedział, racz mi wybaczyć, że ty, panie, wyłeś ze strachu i wściekłości, przeklinając Aslana słowami, które nawet trudno powtórzyć. Tak powiedział tonem pełnym wyniosłości i świętego oburzenia, jak to koty potrafią, kiedy chcą. A potem, opowiadał dalej Imbir, sam Aslan pojawił się nagle w blasku pioruna i połknął waszą królewską mość za jednym zamachem. Gdy to mówił, wszystkie zwierzęta dygotały ze strachu, a kilka nawet zemdlało. Oczywiście szympans natychmiast to podchwycił. „Sami widzicie - mówił - co Aslan czyni z takimi, którzy nie darzą go szacunkiem. Niech to będzie dla was przestrogą”. A te biedne stworzenia lamentowały, piszczwały i rżały ze strachu, i powtarzały, że nigdy o tym nie zapomną. Tak więc wyszło na to, że ucieczka waszej królewskiej mości wcale nie natchnęła ich otuchą: nie przyszło im do głowy, że masz jeszcze, panie, przyjaciół, którzy mogą ci pomóc. Wszyscy są jeszcze bardziej wystraszeni i posłuszni tej małpie niż przedtem.

- Cóż za diabelska polityka! - zachnął się Tirian. - A więc ten Imbir jest teraz najbliższym doradcą szympansa?

- Ho-ho, trzeba się raczej zapytać, czy przypadkiem szympans nie jest JEGO doradcą. Małpa za często sobie popija. Według mnie, spiskiem kierują teraz Imbir i Riszda, wódz Kalormeńczyków. I myślę, że właśnie podszepty kota sprawiły, że karły odplącały ci taką podłością za to, co dla nich zrobiłeś. Zaraz wytłumaczę, dlaczego tak

myślę. Dwie noce temu, po jednym z tych okropnych małych wieców o północy, wracałem do domu, gdy stwierdziłem, że zostawiłem na wzgórzu fajkę, bardzo dobrą fajkę, moją ulubioną. Więc wróciłem, aby jej poszukać. Ale zanim doszedłem do miejsca, w którym uprzednio siedziałem, a ciemno było jak w grobie, usłyszałem miauknięcie kota, a potem głos Kalormeńczyka: „Tutaj... Mów cicho”. Zamarłem jak posąg i wstrzymałem oddech. To był ten Imbir i Riszda Tarkaan, jak go nazywają. „Szlachetny Tarkaanie - mówi kot swoim jedwabistym głosem - chciałem się upewnić, czy my dwaj rozumiemy to samo przez powiedzenie, że Aslan NIE ZNACZY WIĘCEJ niż Tasz”. A na to tamtem: „Nie ulega wątpliwości, o najmądrzejszy z kotów, że dobrze wiesz, co mam na myśli”. „To znaczy - mówi Imbir - że w ogóle nie istnieje ani żaden Aslan, ani żaden Tasz”. „Wie o tym każdy oświecony człowiek” - odpowiada na to ten czarny diabeł. „A więc możemy się porozumieć - mruczy kot. - Czy i ty, tak jak ja, nie zaczynasz już mieć trochę dosyć tego szympansa?” A tamten mówi: „To tylko głupie, łakome zwierzę, ale jeszcze się przyda. Ty i ja powinniśmy trzymać wszystko w tajemnicy, byleby szympans robił to, co chcemy”. I wiecie, co ten kot wymyślił? „Czy nie można by - mówi - dopuścić do tajemnicy co bardziej oświeconych Narnijczyków, wybierając ich ostrożnie po należytej obserwacji? Bo te zwierzęta, które naprawdę wierzą w Aslana, mogą się w każdej chwili zbuntować. I zrobią to, jeśli głupota szympansa go zdradzi. Natomiast te, których nie obchodzi ani Tasz, ani Aslan, lecz tylko własna korzyść, a więc i nagroda, jaką im może dać Tisrok, gdy Narnia stanie się prowincją Kalormenu, te będą nam wierne”. Kalormeńczykowi bardzo się to spodobało, bo odpowiedział: „Doskonały plan, czcigodny kocie, tylko zachowaj ostrożność, jak je będziesz wybierać”.

Podczas gdy karzeł mówił, pogoda jakby się zmieniła. Kiedy usiedli na progu, świeciło słońce. Teraz Łamigłówek drżał z zimna. Klejnot kręcił niespokojnie głową. Julia popatrzyła na niebo.

- Chmurzy się - powiedziała.

- I zrobiło się tak zimno - dodał Łamigłówek.

- Rzeczywiście zimno, na grzywę Lwa! - rzekł Tirian zacierając ręce. - Tfu! Co za okropny smród!

- Cuchnie jak ściervo - Eustachy skrzywił się z obrzydzenia. - Może jakiś zdechły ptak leży w pobliżu. Ale dlaczego przedtem tego nie czuliśmy?

Nagle Klejnot poderwał się na cztery nogi i wskazał na coś rogiem.

- Spójrzcie! - zawołał. - Patrzcie na to! Patrzcie! Patrzcie!

I wtedy wszyscy to zobaczyli. Na każdej twarzy pojawiła się zgroza.

ROZDZIAŁ 8

JAKIE NOWINY PRZYNIÓSŁ ORZEŁ

NA DALEKIM KRAŃCU POLANY, w cieniu drzew, coś się poruszało. Coś sunęło wolno na północ. Na pierwszy rzut oka można by to wziąć za wielki kłęb dymu, bo było szare i trochę przejrzyste. Ale nie pachniało jak dym, tylko ohydnie cuchnęło, a także zachowywało swój kształt, a nie rozwiewało się i kłębiło jak dym. Przypominało człowieka, ale z głową ptaka: jakiegoś drapieżnego ptaka ze strasznym, zakrzywionym dziobem. Potwór miał cztery ramiona, uniesione w górę, jakby chciał zagarnąć w swój uścisk całą Narnię, a każdy z dwudziestu zakrzywionych jak dziób palców kończył się ostrymi, ptasimi szponami. Postać nie tyle kroczyła, co unosiła się nad trawą, która natychmiast żółkła.

Łamigłówek wydał z siebie krótki, żalospny ryk i umknął do wieży. Julia (która, jak wiecie, nie należała do tchórzy) ukryła twarz w dłoniach, by na to nie patrzeć. Pozostali wlepiali oczy w przerażającego potwora przez dobrą minutę, aż zagłębił się w gęsty las po prawej stronie i zniknął. Nagle znowu pojawiło się słońce, a ptaki zaczęły śpiewać.

Minęła jeszcze długa chwila, zanim wszyscy odetchnęli głęboko, poruszyli się i spojrzeli po sobie.

- Co to było? - zapytał Eustachy ochryłym szeptem.

- Już to kiedyś widziałem - rzekł Tirian - ale wówczas było wyrzeźbione z kamienia i pokryte złotem, a zamiast oczu miało wielkie diamenty. Miałem wtedy tyle lat co ty teraz, i gościłem na dworze Tisroka w Taszbaanie. Zaprowadził mnie do wielkiej świątyni Tasza. Tam właśnie to ujrzałem, nad ołtarzem.

- Więc... to coś... to był Tasz?! - wyjąkał Eustachy.

Ale Tirian nie odpowiedział, tylko otoczył ramieniem Julię i zapytał:

- Jak się czujesz, pani?

- W-w-w porządku - odparła Julia, odejmując ręce od bladej twarzy i próbując się uśmiechnąć.

- Nic mi nie jest. Zrobiło mi się tylko trochę niedobrze.

- A więc wygląda na to - rzekł jednorożec - że Tasz naprawdę istnieje.

- Tak - zgodził się Pogin. - A ten głupiec, szympan, który nie wierzył w Tasza, dostanie teraz więcej, niż sam chciał. Wzywał Tasza i Tasz go wysłuchał.

- Gdzie to... to... gdzie on poszedł? - zapytała Julia.

- Na północ, do serca Narnii - odrzekł ponuro król. - Przybył, aby zamieszkać

wśród nas. Wezwali go, a on ich wysłuchał.

- Ho-ho-ho! - odezwał się Pogin, zacierając owłosione dłonie. - Ale zrobi małą niespodziankę! Nie powinno się wzywać demonów, jeśli się dobrze nie wie, co to oznacza.

- Nie wiadomo, czy Tasz w ogóle pokaże się szympansowi - zauważył Klejnot.

- Gdzie się podział Łamigłówek? - zaniepokoił się Eustachy.

Wszyscy zaczęli go nawoływać, a Julia obesła wieżę. Na próżno.

Zmęczeni się już porządnie poszukiwaniami, gdy wreszcie wielki szary łeb wyjrzał ostrożnie przez uchylone drzwi wieży i powiedział:

- Czy już sobie poszło?

A kiedy w końcu zdołali go przekonać, by wyszedł, drżał cały, jak pies przed burzą z piorunami.

- Teraz widzę - rzekł słabym głosem - że naprawdę byłem bardzo złym osłem. Po co ja słuchałem tego Krętacza? Nigdy nie myślałem, że mogą się zacząć dziać takie rzeczy.

- Gdybyś nie marnował tyle czasu na powtarzanie, że nie jesteś mądry, a poświęcił więcej czasu na to, by starać się zmądrzeć... - zaczął Eustachy, ale Julia mu przerwała:

- Och, zostaw w spokoju biednego, starego Łamigłówka! Przecież to wszystko polegało na nieporozumieniu, prawda, kochany Łamigłówek? - I pocałowała go w nos.

Wstrząśnięci tym, co zobaczyli, znowu usiedli na progu, aby wrócić do przerwanej narady.

Klejnot niewiele miał do opowiedzenia. Jako więzień przez cały czas był uwiązany na tyłach Stajni i nie miał okazji do podsłuchania czegoś, co dostarczyłoby im informacji o planach wroga. Został zbity, skopany (udało mu się oddać kilka kopnięć) i zagrożono mu śmiercią, jeśli nie wyzna publicznie wiary w to, że sam Aslan ukazuje się co noc przy ognisku. W rezultacie miał być uśmiercony jeszcze tego ranka i tylko śmiały wypad przyjaciół uratował mu życie. Nic nie wiedział o dalszym losie jagnięcia.

Teraz musieli postanowić, czy mają wrócić jeszcze tej nocy na Wzgórze Stajni, pokazać Łamigłówek Narnijczykom i próbować ich przekonać, jak nędznie zostali oszukani, czy też wymknąć się stąd dalej na wschód, aby spotkać posiłki prowadzone przez centaury Runwida z Ker-Paravelu i dopiero wtedy stawić czoło szympansowi i

Kalormeńczykom. Tirianowi bardzo odpowiadał pierwszy plan, nie mógł znieść myśli, że szympans będzie terroryzował jego poddanych jeszcze choćby

przez godzinę dłużej. Z drugiej strony zachowanie się karłów - to poważne ostrzeżenie. Nie wiadomo, jak postąpią zastraszone zwierzęta nawet wówczas, gdy zobaczą Łamigłówa. Należało też liczyć się z siłą kalormeńskich żołnierzy. Według Pogina było ich około trzydziestu. Tirian twierdził, że jeśli Narnijczycy opowiedzą się po jego stronie, on sam, Klejnot, dzieci i karzeł (na Łamigłówa nie mogli liczyć) mają szansę na zwycięstwo. Ale co będzie, gdy przynajmniej połowa Narnijczyków - włączając w to karły - po prostu siądzie, aby się beczynnie przyglądać, albo nawet zacznie walczyć po stronie Kalormeńczyków? Ryzyko było zbyt duże. W dodatku pojawił się przecież ten straszny, chmurzasty Tasz.

Pogin dowodził, że nie zaszkodzi zostawić szympansa z jego własnymi kłopotami przez dzień lub dwa. Teraz już nie miał do pokazania w nocy Łamigłówa w lwiej skórze. Trudno zgadnąć, co on lub Imbir wymyślą, aby to wytłumaczyć Narnijczykom. Nawet najbardziej prostoduszne zwierzęta mogą zacząć coś podejrzewać, jeśli noc po nocy będą się bezskutecznie domagać zobaczenia Aslana.

W końcu wszyscy zgodzili się, że jednak najlepiej wyruszyć na spotkanie Runwida. Gdy tylko to postanowili, poczuli się raźniej na duchu. Jestem przekonany, że żadne z nich (no, może z wyjątkiem Julii i Eustachego) nie lękało się walki. Przypuszczam jednak, iż w głębi serca każdy odczuł ulgę z powodu wyboru drogi oddalającej ich - przynajmniej w najbliższym czasie - od tej potwornej, ptasiogłowej istoty, która - widzialna czy niewidzialna - najprawdopodobniej nawiedziła już Wzgórze Stajni. Tak czy inaczej, każdy zawsze czuje się lepiej, gdy w końcu podejmie jakąś decyzję.

Zgodzono się też chętnie z Tirianem, że trzeba pozbyć się kalormeńskich przebrań, narażających ich na przypadkowy atak ze strony jakiejś grupy lojalnych Narnijczyków. Karzeł sporządził okropnie wyglądające mazidło z popiołu zmieszanego z tłuszczem używanym do smarowania mieczy i włóczni. Zdjęli kalormeńskie kolczugi i poszli nad strumień. Mazidło Pogina dawało pianę jak płynne mydło i wkrótce można było zobaczyć na łące miłą, rodzinną scenę: Tirian i dzieci kłęczeli nad wodą, szorując sobie twarze i szyje, prychając i opryskując się wodą. Wrócili do wieży z czerwonymi, jaśniejącymi twarzami, jak ludzie po nadzwyczajnej kąpieli przed odświeżnym przyjęciem. Uzbroili się po narnijsku w długie, proste miecze i trójkątne tarcze.

- No, tak jest lepiej - westchnął z ulgą Tirian. - Znowu czuję się jak prawdziwy człowiek.

Łamiąłówek błagał, by mu zdjęto lwią skórę. Twierdził, że mu za gorąco i niewygodnie z tym ciężkim tobołem na karku i że w ogóle wygląda bardzo głupio. Powiedziano mu jednak, że chociaż najpierw mają się spotkać z Runwidem, musi ją jeszcze trochę ponosić, żeby pokazać się w tym przebraniu wszystkim Narnijczykom.

Z mięsa dzikich gołębi i królika zostało niewiele, ale zabrali na drogę trochę sucharów. Potem Tirian zamknął drzwi wieży na klucz i tak zakończył się ich pobyt w zachodniej strażnicy.

Po drugiej po południu wyruszyli w drogę. Był pierwszy naprawdę ciepły dzień tej wiosny. Młode liście wyglądały na o wiele większe niż wczoraj, znikły plamy śniegu, gdzieniegdzie pojawiły się pierwiosnki. Słońce przedzierało się przez gałęzie drzew, ptaki śpiewały, a zewsząd (choć nie wiadomo dokładnie skąd) dobiegał wesoły plusk spływającej wody. Trudno było myśleć o czymś tak strasznym jak Tasz. Dzieci poczuły, że wreszcie są w prawdziwej Narnii. Nawet Tirianowi zrobiło się lżej na sercu i idąc na przedzie, podśpiewywał stary narnijski marsz z refrenem:

Hej, dudni, dudni, dudni Młócony pałkami bęben!

Za królem szli obok siebie Eustachy i karzeł Pogin. Można powiedzieć, że Julia zupełnie się zakochała w jednoroźcu. Uznała go - i chyba się nie myliła - za najwrażliwsze, najwdzięczniejsze i najmiłsze zwierzę, jakie kiedykolwiek spotkała, a mówił tak łagodnie i miękko, że kto go dobrze nie znał, nigdy by nie uwierzył, jak straszny i dziki jest w walce.

- Och, jakie to cudowne! - westchnęła Julia. - Po prostu tak sobie iść. Bardzo bym chciała, żeby było więcej TAKICH przygód. Wiesz, szkoda, że w Narnii zawsze tyle się dzieje.

Ale Klejnot wyjaśnił jej, że się myli. Synowie i Córki Adama zawsze przybywają do Narnii ze swojego dziwnego świata w momencie wielkiego niepokoju i zagrożenia, ale to wcale nie oznacza, że zawsze tak jest. Między ich odwiedzinami upłynęły setki i tysiące lat, w których król po królu panowali spokojnie i szczęśliwie, tak że trudno nawet zapamiętać ich imiona lub kolejność, i nie zdarzało się prawie nic, co można by zapisać w kronikach. Opowiadał jej też o dawnych królach i bohaterach, o jakich nigdy przedtem nie słyszała. Snuł opowieści o królowej Łabędziej Śnieżce (która żyła jeszcze przed Białą Czarownicą i Wielką Zimą), tak pięknej, że kiedy spojrzała w leśną sadzawkę, odbicie jej twarzy jaśniało z wody jak gwiazda na wieczornym niebie

jeszcze przez rok i jeden dzień. Mówił o Księżycowym Zającu, który miał takie uszy, że mógł siedzieć nad Kotłem wśród grzmotu Wielkiego Wodospadu i słyszeć, co mówią szeptem ludzie w Ker-Paravelu. Opowiadał, jak to król Zefir, dziewiąty w kolejności monarcha po Franku, pierwszym ze wszystkich królów, pożeglował na wschodnie morze i uwolnił Samotne Wyspy od smoka, i jak z wdzięczności za to mieszkańcy oddali Wyspy królom Narnii w wieczyste posiadanie. Opowiadał o owych stuleciach, w których w Narnii panował taki spokój, że pamiętano z nich tylko jakieś nadzwyczajne uczty, bale, a zwłaszcza turnieje, a każdy dzień i tydzień był lepszy od poprzedniego. I kiedy jednorożec snuł swe opowieści, obraz tych wszystkich szczęśliwych setek i tysięcy lat wypełnił wyobraźnię Julii, aż poczuła się tak, jakby patrzyła z wysokiego wzgórza na cudowną, bogatą równinę, pełną rzek i jezior, lasów i pól uprawnych, rozciągającą się hen, daleko, aż po ginący we mgle widnokrąg. I powiedziała:

- Och, naprawdę, tak bym chciała, żebyśmy sobie szybko poradzili z tą małpą i powrócili do tych dobrych, zwykłych czasów. I mam nadzieję, że będą już trwały i trwały - wiecznie. NASZ świat pewnego dnia dobiegnie końca, ale może TEN będzie trwać wiecznie? Och, Klejnocie, czy nie byłoby cudownie, gdyby Narnia była zawsze taką Narnią, o jakiej mi opowiadałeś?

- Niestety, siostró moja - odrzekł Klejnot. - Wszystkie światy biegną do swojego końca, z wyjątkiem krainy samego Aslana.

- No cóż, w każdym razie mam nadzieję, że od końca tego świata dzielą nas miliony milionów lat... Hej! Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Król, Eustachy i karzeł wpatrywali się w niebo. Julię przeszedł dreszcz, bo przypomniawszy sobie, co już dzisiaj zobaczyli. Ale tym razem to, co dostrzegła, nie przestraszyło jej. Zobaczyła mały, czarny punkt na tle niebieskiego nieba.

- Sądząc po locie, przysięgłbym, że to jakiś mówiący ptak - rzekł jednorożec.

- Ja też tak myślę - zgodził się król. - Nie wiemy jednak, czy to przyjaciel, czy szpieg, sługa szympansa.

- To mi wygląda na orła Dalwida - powiedział karzeł.

- Czy nie powinniśmy ukryć się pod drzewami? - zapytał Eustachy.

- Nie - odparł Tirian. - Najlepiej stać nieruchomo jak posągi. Jeśli się poruszymy, natychmiast nas zobaczy.

- Patrzcie! Zatacza koło, już nas zobaczył! - powiedział Klejnot. - Zniża się wielkimi kołami.

- Strzała na cięciwę, pani - rzekł Tirian do Julii. - Ale nie waż się strzelić, dopóki nie dam znaku. Może to przyjaciel.

Gdyby mieli pewność, że tak jest, widok szybującego i opadającego miękko na ziemię ptaka byłby niewątpliwie wspaniałym przeżyciem. Orzeł usiadł z wdziękiem na skalnym występie tuż przed Tirianem, skłonił głowę uwieńczoną wspaniałym grzebieniem i powiedział dziwnym, orlim głosem:

- Bądź pozdrowiony, królu!

- Witaj, Dalwidzie - odrzekł Tirian. - Skoro nazywasz mnie królem, wierzę, że nie należysz do zwolenników małpy i fałszywego Aslana. Rad jestem, że cię spotykam.

- Panie - rzekł orzeł - kiedy usłyszysz nowiny, jakie przynoszę, moje przybycie zasmuci cię bardziej niż straty, jakie dotąd poniosłeś.

Tirianowi serce zamarło na te słowa, ale zacisnął zęby i rzucił tylko:

- Mów.

- Ujrzałem dwa straszne widoki. Jeden - to Ker-Paravel pełen martwych Narnijczyków i żywych diabłów z Kalormenu. Flaga Tisroka powiewała na królewskich murach, a twoi poddani uciekali z grodu na wszystkie strony, kryjąc się w lasach. Ker-Paravel został wzięty znienacka z morza. Dwie noce temu dwadzieścia wielkich okrętów z Kalormenu przybiło w ciemności do brzegu.

Nikt nie mógł wypowiedzieć choćby jednego słowa.

- Drugi widok, jakieś piętnaście mil od Ker-Paravelu, to centaur Runwid leżący bez życia, z kalormeńską strzałą w boku. Byłem przy nim aż do ostatniej chwili i oto, co kazał powtórzyć waszej królewskiej mości: „Pamiętaj, że wszystkie światy biegną do swego końca, oraz że szlachetna śmierć jest skarbem i nikt nie jest zbyt ubogi, aby go nabyć”.

- A więc - rzekł król po długiej chwili ciszy - nie ma już Narnii.

ROZDZIAŁ 9

WIELKIE ZGROMADZENIE NA WZGÓRZU STAJNI

PRZEZ DŁUGI CZAS nikt nie był w stanie przemówić, czy nawet uronić łzy. Potem jednorożec tupnął kopytem w ziemię, wstrząsnął grzywą i powiedział:

- Panie mój, niepotrzebna tu żadna narada. Teraz jest jasne, że szympans obmyślił wszystko o wiele lepiej i dokładniej, niż sądziliśmy. Bez wątpienia miał od dawna tajne konszachty z Tisrokiem i gdy tylko znalazł lwią skórę, dał mu znać, by przygotował swą flotę do ataku na Ker-Paravel i na całą Narnię. Nam siedmiorgu nie pozostaje już nic prócz powrotu na Wzgórze Stajni, oznajmienia prawdy i zdania się na taki los, jaki nam Aslan ześle. A jeśli zdarzy się cud i pobijemy tych trzydziestu Kalormeńczyków, którzy są z szympansem, to czeka nas śmierć w bitwie z wielką armią, która wkrótce wyruszy z Ker-Paravelu.

Tirian pokiwał głową. Zwrócił się do dzieci i powiedział:

- Nadszedł czas, moi przyjaciele, abyście powrócili do waszego świata. Każdy przyzna, że uczyniliście już to, po co zostaliście tu przysłani.

- A-a-ale my nic jeszcze nie zrobiliśmy - wyjąkała Julia, drżąc nie tyle ze strachu, ile z grozy całej sytuacji.

- Nieprawda - rzekł król. - Najpierw uwolniliście mnie tam, w lesie, potem ty, Julio, wiodłaś nas przez puszcze, ślizgając się jak wąż w ciemnościach, i przyprowadziłaś Łamigłówkę, a ty, Eustachy, zabiłeś Kalormeńczyka. Jesteście jednak za młodzi, by dzielić z nami tak krwawy koniec, jaki przypadnie nam w udziale tej nocy lub najpóźniej za trzy dni. Błagam was! Nie, rozkazuję wam: wracajcie tam, skąd przybyliście. Okryłbym się hańbą, gdybym poprowadził tak młodych rycerzy do tak beznadziejnej bitwy.

- Nie, nie, nie! - przerwała mu Julia, bardzo blada, gdy zaczęła mówić, potem nagle bardzo czerwona i znowu blada. - Nigdzie stąd nie odejdziemy i nie obchodzi mnie, co mówisz. Wytrwamy przy tobie do końca, cokolwiek się stanie, prawda, Eustachy?

- Oczywiście, ale i tak nie ma sensu o to się spierać - rzekł Eustachy, wsadziwszy ręce do kieszeni (i zapominając, jak dziwacznie to wygląda, jeśli się ma na sobie koleczugę). - Bo, widzicie, nie mamy żadnego wyboru. Co komu przyjdzie z mówienia o naszym powrocie, jeśli zupełnie nie wiemy, jak to zrobić? Przecież nie mamy magicznych pierścieni?

To, co powiedział, brzmiało bardzo rozsądnie, ale Julia rozszarpałaby go za to

na strzępy. Eustachy zawsze myślał piekielnie trzeźwo, nawet kiedy innych ogarniało podniecenie.

Gdy Tirian zrozumiał, że dwoje przybyszów nie może wrócić do swojego świata (chyba żeby Aslan nagle ich tam zdmuchnął), zaczął nalegać, by udali się przez góry na południe, do Archenlandii, gdzie prawdopodobnie byłiby bezpieczni. Okazało się jednak, że nie znają drogi, a nie miał kto im towarzyszyć. Pogin dodał, że kiedy Kalormeńczycy opanują już całą Narnię, z pewnością zaatakują zaraz Archenlandię; Tisrok zawsze marzył o podbiciu wszystkich północnych krain. Eustachy i Julia tak usilnie błagali Tiriana, że w końcu musiał się zgodzić, by z nim zostali i spotkali swój los lub - jak to o wiele lepiej wyraził - „przygodę, jaką ześle im Aslan”.

Z początku król opowiadał się za tym, by wrócić na Wzgórze Stajni - wszystkim robiło się teraz niedobrze na sam dźwięk tej nazwy - dopiero gdy zrobi się ciemno. Pogin dowodził jednak, że jeśli dojdą tam za dnia, najprawdopodobniej nie zastaną nikogo, może tylko kalormeńskiego wartownika. Wszystkie zwierzęta są zbyt przerażone tym, co im Krętacz i Imbir powiedzieli o „nowym”, rozeźlonym Aslanie - czyli TASZLANTE - aby zbliżyć się do Wzgórza, jeśli nie są wzywane na owe okropne zgromadzenia o północy. Kalormeńczycy nigdy nie czuli się dobrze w lesie. Według karła nawet w pełnym świetle dnia mogą z łatwością dostać się nie zauważeni na tyły Stajni, natomiast stanie się to o wiele trudniejsze, gdy szympans zwoła zwierzęta i wszyscy Kalormeńczycy obejmą służbę. A kiedy zacznie się zgromadzenie, mogą ukryć Łamigłówka za Stajnią, żeby go nikt nie zobaczył aż do chwili, w której sami zechcą go pokazać. Był to z pewnością dobry pomysł, jako że ich jedyna szansa polegała na zaskoczeniu Narnijczyków.

Wszyscy się zgodzili i natychmiast ruszyli w nowym kierunku - na północny wschód - ku zniechęconemu Wzgórzcu. Orzeł polatywał tu i tam nad nimi, a czasem przysiadł na grzbiecie Łamigłówki. Nikt nawet nie myślał o tym, by JECHAĆ na jednorożcu. Mógł to zrobić jedynie król w razie wielkiej potrzeby.

Tym razem Eustachy i Julia szli obok siebie. Kiedy prosili króla, aby im pozwolił ze sobą zostać, czuli się bardzo dzielnie, ale teraz męstwo ich opuściło.

- Julio Pole - szepnął Eustachy - muszę ci wyznać, że jestem zupełnie wykończony.

- Och, TY to co innego, Scrubb - odrzekła Julia. - Ty możesz walczyć. Ale ja... ja się po prostu cała trzęsę ze strachu, jeśli chcesz znać prawdę.

- Trzęsienie się to jeszcze nic, ale robi mi się niedobrze.

- Na miłość boską, nie mów o TYM! Szli w milczeniu przez minutę lub dwie.

- Julio - odezwał się znowu Eustachy.

- Co?

- Co się stanie, jak nas zabiją?

- No, chyba będziemy martwi.

- Ale chodzi mi o to, co stanie się w naszym świecie. Czy obudzimy się znowu w pociągu? A może po prostu znikniemy i nikt już więcej o nas nie usłyszy? Albo może znajdą nas nieżywych w Anglii?

- Ojej! Nie pomyślałam o tym.

- To by okropnie wstrząsnęło Piotrem i innymi. Pomyśl: zobaczyli mnie, jak macham do nich z okna pociągu, a potem pociąg przyjeżdża, staje, i nigdzie nas nie ma! Albo znajdują dwa... to znaczy, jeśli tam też umrzemy...

- Och! - jęknęła Julia. - Co za okropny pomysł!

- Ale nie takie okropne DLA NAS. Nas tam już nie będzie.

- Wiesz, wołałabym prawie... nie, nie, jednak nie...

- Co chciałaś powiedzieć?

- ZAMIERZAŁAM powiedzieć, że wołałabym, abyśmy tu wcale nie przybyli. Ale nie, teraz już wcale tego nie chcę, nie chcę, nie chcę. Nawet gdyby nas zabili. Wolę umrzeć, walcząc za Narnię, niż rosnać i głupieć tam, w domu, i może w końcu poruszać się w takim wózku dla chorych, a potem i tak umrzeć.

- Albo być zmiażdżonym przez Brytyjskie Koleje Państwowe.

- Co ci przyszło do głowy?

- No wiesz, jak się zdarzyło to szarpnięcie, to, które nas przeniosło do Narnii, pomyślałem, że to początek katastrofy kolejowej. Dlatego jeszcze bardziej się ucieszyłem, kiedy się znaleźliśmy tutaj.

Gdy Julia i Eustachy rozmawiali, pozostali dyskutowali nad szczegółami planu. Rozpacz powoli ich opuszczała. Zastanawiali się bowiem teraz przede wszystkim nad tym, co mają zrobić już niedługo, tej nocy, i myśl o tym, co stało się z całą Narnią - o tym, że jej chwała, radości i dobrobyt przeminęły - została zepchnięta gdzieś na dno ich serc. Gdyby tylko przestali rozmawiać, na pewno wróciłyby z jeszcze większą, obezwładniającą mocą, ale oni wciąż podtrzymywali rozmowę. Pogin wydawał się wręcz uradowany tym, co ich czeka tej nocy. Był pewien, że dzik i niedźwiedź, a może również i wszystkie psy od razu staną po ich stronie. Nie mógł też uwierzyć, by wszystkie pozostałe karły zgadzały się z Gryflem. Poza tym walka przy ognisku, z

możliwością przenoszenia jej do ciemnego lasu i z powrotem, dawała większe szansę słabszej stronie. A jeśli uda im się zwyciężyć tej nocy, to czy naprawdę muszą pożegnać się z życiem i przyjąć beznadziejną walkę z głównymi siłami Kalormenu kilka dni później? Dlaczego nie ukryć się w puszczy albo nawet wyżej, na Zachodnim Odludziu, za Wielkim Wodospadem, i tam zbierać powoli siły? Mówiące zwierzęta i Archenlandczycy będą się na pewno do nich przyłączać dzień po dniu. I w końcu będzie można wyjść z kryjówek i uderzyć na Kalormeńczyków, którzy po jakimś czasie przestaną się mieć na baczności. Coś podobnego już się raz wydarzyło za panowania króla Miraza!

A Tirian słuchał tego wszystkiego i myślał: „A co z Taszem?” W głębi serca czuł, że nie spełni się nic z tego, o czym z takim zapalem mówił Pogin. Ale nie powiedział tego na głos.

Kiedy podeszli do Wzgórza Stajni, wszyscy się uciszeli. Teraz zaczęły się prawdziwe leśne podchody. Od momentu, w którym zobaczyli Wzgórze, do znalezienia się na tyłach Stajni upłynęły ponad dwie godziny. Trudno tę drogę opisać, jeśli się nie chce poświęcić na to wielu stron - a ja nie chcę. Wielką przygodę stanowiło już samo przekradanie się od jednego zakrytego miejsca do drugiego, a trzeba do tego dodać bardzo dłużące się chwile oczekiwania między tymi przeskokami, a także wiele fałszywych alarmów.

Jeśli jesteście prawdziwymi harcerzami, sami dobrze wiecie, na czym to wszystko polegało. Zachód słońca zastał ich już ukrytych bezpiecznie w zagajniku ostrokrzewów, około dziesięciu metrów od tylnej ściany Stajni. Każdy dostał parę sucharów i legł w trawie. Teraz nadeszło najgorsze: oczekiwanie. Na szczęście dzieci zdrzemnęły się na parę godzin, ale obudziło je zimno, a co gorsza, bardzo chciało im się pić. Łamigłówek po prostu stał bez ruchu, miał nerwowe dreszcze i nie wydawał żadnego dźwięku. Za to Tirian, z głową wspartą na boku Klejnota, spał tak zdrowo, jakby leżał w królewskim łóżu w Ker-Paravelu. Obudził go dopiero dźwięk gongu. Usiadł i zobaczył, że po drugiej stronie Stajni płonie już ognisko. Nadszedł czas wielkiej próby.

- Pocałujmy się, Klejnocie - szepnął. - Jestem pewien, że to nasza ostatnia noc na tym świecie.

Jeśli kiedykolwiek uraziłem cię czymś, dużym czy małym, wybac mi to teraz.

- Umiłowany królu - odparł jednorożec - prawie bym chciał, aby tak było, bo mógłbym ci teraz wybaczyć. Zegnaj. Przeżyliśmy razem wiele radosnych chwil. Gdyby

Aslan dał mi prawo wyboru, nie wybrałbym innego życia niż to, jakie miałem, i innej śmierci niż ta, która nas czeka.

Obudzili Dalwida, który spał z głową schowaną pod skrzydłem (sprawiało to wrażenie, jakby w ogóle nie miał głowy), i podczołgali się do Stajni. Zostawili za nią Łamigłówka (nie szczędząc mu miłych słów, bo nikt już nie miał do niego żalu), przykazując, by się nie ruszał, dopóki ktoś po niego nie przyjdzie, a sami zajęli pozycję przy jednym z boków Stajni.

Ognisko, od którego dzieliło ich parę metrów, dopiero się rozpałało. Tłum Narnijczyków stał po drugiej stronie, tak że początkowo Tirian nie widział ich zbyt dobrze, choć oczywiście dostrzegał tuziny oczu świecących w blasku ognia, tak jak się widzi oczy królika lub kota w świetle samochodowych reflektorów. Właśnie gdy Tirian zajął swoją pozycję, gong przestał bić i gdzieś z lewa pojawiły się trzy postacie. Jedną był wódz Kalormeńczyków, Riszda Tarkaan. Drugą zaś szympans Krętacz. Trzymał się jedną ręką Tarkaana i mamrotał przez cały czas: „Nie tak szybko, nie tak szybko, nie czuję się dziś najlepiej. Och, moja głowa! Te wiece o północy zaczynają mnie męczyć. Małpy nie są stworzone do czuwania w nocy. Przecież nie jestem szczurem albo nietoperzem. Och, moja biedna głowa!” Z drugiej strony szympansa, krocząc bardzo dostojnie i miękko, z ogonem postawionym pionowo, szedł kot Imbir. Cała trójka podeszła do ogniska i znalazła się tak blisko Tiriana, że z pewnością by go dostrzegli, gdyby popatrzyli we właściwym kierunku. Na szczęście nikt tego nie zrobił. Tirian usłyszał, jak Riszda szepce do Imbira:

- Teraz, kocie, zajmij swoje miejsce. Tylko dobrze zagraj tę rolę.

- Miau, miau. Polegaj na mnie - odparł Imbir. Potem oddalił się od ogniska i usiadł w pierwszym rzędzie zgromadzonych zwierząt: na widowni, jak można by powiedzieć.

Bo w rzeczy samej, gdy się na to wszystko patrzyło, przypominało to teatr. Tłum Narnijczyków wyglądał jak widzowie w fotelach; mała, porośnięta trawą przestrzeń przed Stajnią, gdzie płonęło ognisko i stał Krętacz z Riszdą Tarkaanem, aby przemawiać do tłumu - jak scena; sama Stajnia - jak dekoracja z tyłu sceny; Tirian i jego przyjaciele - jak ludzie podglądający scenę i widownię zza kulis. Zajęli znakomite stanowisko: wystarczyło zrobić parę kroków ku ognisku, a wszystkie oczy natychmiast by się na nich zwróciły, natomiast dopóki pozostawali w cieniu Stajni, mogli mieć nadzieję, że pozostaną nie zauważeni.

Riszda Tarkaan pociągnął za sobą szympansa do samego ogniska. Odwrócili się

twarzami do tłumy, co - rzecz jasna - oznaczało, że stali teraz plecami do Tiriana i jego towarzyszy.

- Dalej, ma! - powiedział cicho Riszda - powiedz to, co wymyśliły mądrzejsze od ciebie głowy.

I wyprostuj się! - Po czym kopnął niepostrzeżenie szympansa z tyłu końcem buta.

- Daj mi spokój! - wymamrotał Krętacz. Ale wyprostował się nieco i zaczął przemawiać donośnym, skrzeczącym głosem:

- Posłuchajcie mnie wszyscy! Wydarzyło się coś strasznego. Coś bardzo niegodziwego. Coś tak nikczemnego jeszcze nigdy nie wydarzyło się w Narnii. Aslan...

- Tazlan, głupcze - syknął Riszda.

- ...a więc Tazlan bardzo się z tego powodu rozgniewał.

Wszystkie zwierzęta zamarły w oczekiwaniu na wieść o nowych grożących im kłopotach. Mała grupka ukryta w cieniu Stajni wstrzymała oddechy. Co on teraz powie?

- Tak - ciągnął szympans. - W tym samym czasie, gdy Straszliwy jest pośród nas, tam, w tej oto Stajni poza mną, w tym samym czasie pewien podły zwierzak uczynił coś, czego nikt nie ośmieliłby się uczynić nawet wówczas, gdyby on był tysiące mil stąd. Ten bezczelny zwierzak ubrał się w skórę lwa i chodzi sobie po lesie, udając, że jest Aslanem!

Julia przez chwilę myślała, że szympans zwariował. Czyżby zamierzał powiedzieć im całą prawdę? Nad zgromadzeniem przetoczył się ryk zgrozy i wściekłości.

- Grrrrr! Wrrrrr! Kto to jest? Gdzie on jest? Pozwólcie nam zatopić w nim zęby!

- To zwierzę widziano zeszłej nocy - zawołał piskliwie szympans - ale uciekło! To osioł! Zwykły, nędzny osioł! Jeżeli ktoś z was zobaczy osła...

- Grrrr! Wrrrr! - zawarczały zwierzęta. - Lepiej niech nie wchodzi nam w drogę!

Julia spojrzała na króla: miał otwarte usta i twarz pełną zgrozy. I nagle zrozumiała diabelski podstęp wroga. Mieszając kłamstwo z prawdą, uczynił swoje oszustwo o wiele bardziej przekonującym. Cóż im teraz da powiedzenie zwierzętom, że osioł został przebrany za lwa, aby ich oszukać? Szympans powie tylko: „Właśnie wam to mówiłem”. Co im da pokazanie Łamigłówek w lwiej skórze? Rozszarpia go na kawałki.

- Wytrącili nam oręż z ręki - szepnął Eustachy.
- Straciliśmy grunt pod nogami - rzekł cicho Tirian.
- Przekłeta, przekłeta przebiegłość - wycedził Pogin. - Mogę przysiąc, że to nowe kłamstwo jest dziełem Imbira.

ROZDZIAŁ 10

KTO WEJDZIE DO STAJNI?

JULIA POCZUŁA, ZE coś ją laskocze w ucho. To jednorożec Klejnot szeptał jej coś swoimi szerokimi, końskimi ustami. Skinęła głową i podbiegła na palcach do Łamigłówa. Szybko przecięła ostatnie sznurki utrzymujące na nim lwią skórę. Po tym, co powiedział szympans, nie mogą go schwytać w TYM stroju. Bardzo chciała ukryć gdzieś dalej samą skórę, ale była dla niej za ciężka. Udało jej się tylko wepchnąć ją nogą między najgęstsze krzaki. Potem dała znak Łamigłówowi, aby za nią poszedł, i wróciła do pozostałych. Szympans znów przemawiał.

- A po tym ohydny występku Aslan... Taszlan jest jeszcze bardziej zły niż przedtem. Mówi, że był dla was za dobry, wychodząc co noc, aby się wam pokazać. Tak, głupcy, Aslan już więcej nie wyjdzie!

Rozległy się piski, miauki, skowyty i chrząkania. Nagle zupełnie inny głos wybił się z tego lamentu, a był to donośny śmiech.

- Posłuchajcie tylko tej małpy! - zawołał gruby głos, gdy skończył się śmiać w całkowitej ciszy. - Ale my dobrze wiemy, dlaczego ten wspaniały Aslan już nie wyjdzie. Powiem wam dlaczego: bo szympans już go nie ma. Nigdy go nie miał. Nigdy nie miał nic prócz starego osła w lwiej skórze na grzbiecie. A teraz gdzieś mu TO zaginęło i nie wie, biedak, co robić.

Tirian nie widział dobrze twarzy po drugiej stronie ogniska, ale głowę by dał, że to głos Gryfla, wodza karłów. Upewnił go w tym chór karlich głosów, który zaczął skandować:

- Nie wie, co robić! Nie wie, co robić! Nie wie, co robić!

- Cisza! - zagrział Riszda Tarkaan. - Uciszcie się, dzieci błota! A wy, pozostali Narnijczycy, słuchajcie mnie albo każę moim wojownikom uderzyć na was z gołymi mieczami. Lord Krętacz już wam opowiedział o tym niegodziwym osle. Ale czy myślicie, że wobec tego w Stajni nie ma PRAWDZIWEGO Taszlana? Tak myślicie? Strzeżcie się! Strzeżcie się!

- Nie! Nie! - ryknął tłum. Ale z grupy karłów dały się słyszeć okrzyki:

- Zgadza się, czarniawy, my tak myślimy. Dalej, małpo, pokaż nam, co jest w tej Stajni. Jak zobaczymy, to uwierzymy.

Szympanś wykorzystał chwilę ciszy i powiedział:

- Wy, karły, uważacie się za wielkie mądrale, prawda? Ale nie tak szybko. Nigdy nie powiedziałem, że nie możecie zobaczyć Taszlana. Każdy, kto zechce, będzie go

mógł zobaczyć.

Nad całym zgromadzeniem zapadła głucha cisza. A potem - minęła chyba minuta - rozległ się pełen zdziwienia głos niedźwiedzia, z pewnym trudem dobierającego słowa:

- Nic z tego nie rozumiem. Myślałem... to znaczy... chyba sam mówiłeś, że...

- TY myślałeś! - parsknął szympans. - Tak jakby to, co się dzieje w twojej głowie, można nazwać myśleniem! Posłuchajcie mnie wszyscy! Każdy może zobaczyć Taszlana. Ale on nie wyjdzie. To WY musicie wejść do środka, żeby go zobaczyć.

- Och, to wspaniale! Dzięki ci, dzięki - rozległy się głosy. - Tego właśnie chcieliśmy! Możemy wejść i zobaczyć go twarzą w twarz. I on będzie teraz na pewno miły, i wszystko będzie tak, jak zawsze bywało.

Ptaki zaczęły ćwierkać, a psy ujadać w wielkim podnieceniu. A potem wybuchło wielkie zamieszanie, dał się słyszeć tumult i w ciągu jednej sekundy wszyscy runęli jednocześnie ku Stajni, starając się dostać jak najbliżej drzwi.

- Spokój! - wrzasnął Krętacz. - Wracać na swoje miejsca! Nie tak szybko!

Zwierzęta zatrzymały się raptownie, wiele łap zawisło w powietrzu, wiele ogonów kiwało się zawzięcie, a wszystkie głowy odwróciły się ku szympansowi.

- Myślałem... przecież powiedziałeś... - zaczął niedźwiedź, ale Krętacz przerwał mu:

- Każdy może wejść do środka, ale nie wszyscy jednocześnie. Tylko pojedynczo. Kto wejdzie pierwszy? On NIE powiedział, że jest dziś w nadzwyczaj przyjaznym nastroju. Bardzo się oblizywał, gdy zeszłej nocy połknął tego niegodziwego króla. Dzisiaj rano strasznie warczał. Ja sam nie wszedłbym do niego tej nocy. Ale róbcie, jak chcecie. Kto chce wejść pierwszy? Tylko nie miejcie do mnie żalu, jeśli was połknie w całości lub spali na popiół samym spojrzeniem. To wasza sprawa. No więc, kto pierwszy? Może któryś z was, karły?

- Raz-dwa-trzy, wychodź ty! Wejdz do środka, a zobaczysz, co cię spotka - warknął Gryfel szyderczo. - Skąd mamy wiedzieć, co trzymasz w środku?

- Ho-ho! - zawołał z triumfem szympans. - A więc zaczynacie już myśleć, że może jednak COŚ jest w środku? No co, zwierzęta, jeszcze minutę temu robiłyście taki rwetes. Co to, oniemiałyście? Kto wchodzi pierwszy?

Ale wszystkie stworzenia stały w milczeniu, patrząc po sobie, a potem zaczęły powoli odchodzić od Stajni. Już nie machały ogonami. Szympans miotał się wokół ogniska, chichocząc i szydząc:

- Ho-ho! A myślałem, że każdy chce zobaczyć Taszlana twarzą w twarz. Zmieniłyście zamiar, co?

Tirian pochylił głowę, aby usłyszeć, co Julia szepce mu do ucha.

- Jak myślisz, co jest naprawdę w tej Stajni? - zapytała.

- Kto to może wiedzieć? Założę się, że dwóch Kalormenczyków z szablami w dłoniach, każdy po jednej stronie drzwi.

- A czy nie myślisz, że może tam jest... no wiesz... ta straszna istota, jaką widzieliśmy?

- Sam Tasz? Nikt tego nie wie. Ale odwagi, moje dziecko. Wszyscy jesteśmy między łapami prawdziwego Aslana.

A potem zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Kot Imbir powiedział chłodnym, czystym głosem, nie zdradzającym najmniejszego podniecenia:

- Ja wejdę pierwszy, jeśli chcecie. Wszystkie stworzenia utkwiły w nim wzrok.

- Zważ na ich szatańską chytryść, panie - szepnął Pogin do króla. - Ten przeklęty kot jest z nimi w zмовie, a według mnie odgrywa główną rolę w spisku. Założę się, że cokolwiek tam w środku jest, jemu nie zrobi krzywdy. A potem kot wyjdzie z powrotem i powie, że widział jakieś niesamowite dziwy.

Ale Tirian nie miał czasu, aby mu odpowiedzieć. Szympons wezwał kota, by wystąpił.

- Ho-ho! A więc ty, zuchwały kocie, chcesz zobaczyć go twarzą w twarz? Chodź więc. Otworzę dla ciebie drzwi. Nie miej do mnie pretensji, jeśli ci wąsy wypadną ze strachu. To już twoja sprawa.

I kot wstał, opuścił swoje miejsce w tłumie, krocząc dostojnie i wdzięcznie, ze sterzącym wysoko ogonem i futerkiem wylizanym tak, że każdy włoszek był tam, gdzie być powinien. Przeszedł obok ogniska i znalazł się tak blisko Tiriana, że ten, przyciśnięty plecami do ściany Stajni, mógł mu spojrzeć prosto w twarz. Wielkie oczy kota nie mrugnęły ani razu. „Chłodny jak kiszony ogórek”, szepnął Eustachy. „Wie, że nie ma się czego bać”. Szympons, chichocząc i robiąc miny, podszedł powłóczytym krokiem do drzwi Stajni, podniósł rękę. Odsunął rygiel i otworzył drzwi. Tirianowi zdawało się, że słyszy, jak kot mruczy, wchodząc do ciemnego wnętrza.

- Aiiii-aaaa-ouuuuuuu!

Najokropniejszy miauk, jaki ktokolwiek słyszał w życiu, poderwał wszystkich na nogi, a niektórzy podskoczyli do góry w panice. Jeśli kiedyś w środku nocy obudziły was walczące lub zalecające się koty, znacie podobny dźwięk. Ale ten brzmiał

o wiele przeraźliwiej. Imbir wystrzelił nagle z otwartych drzwi Stajni, przewracając pod drodze szympana. Gdyby się nie wiedziało, że to na pewno kot, można by pomyśleć, że z drzwi wystrzeliła ruda błyskawica. Przeleciał przez otwartą przestrzeń i wpadł w tłum. Nikt nie miał ochoty na bliższe spotkanie z kotem w takim stanie. Zwierzęta pierzchły we wszystkie strony. Imbir wdrapał się błyskawicznie na drzewo, śmignął po gałęziach i zawisł głową w dół na jednej z najwyższych. Ogon miał w tej chwili prawie tak gruby jak cały tułów, oczy przypominały spodeczki pełne zielonego ognia, a każdy włos na grzbiecie sterczał pionowo

- Oddałbym brodę - szepnęła Pogin - żeby wiedzieć, czy ten zwierzak tak świetnie gra, czy też naprawdę spotkał tam coś, czego się przeraził.

- Pssst! - syknął Tirian, bo teraz Riszda i szympan szeptali coś między sobą i król chciał usłyszeć, o czym mówią. Udało mu się usłyszeć tylko zawodzenie małpy: „O moja głowa! O moja głowa!”, ale odniósł wrażenie, że ci dwaj są prawie tak samo zaskoczeni zachowaniem kota jak wszyscy pozostali.

- No, Imbirze - rzekł Riszda - dosyć już tego wrzasku. Powiedz im, co zobaczyłeś.

- Auiii-auuu-aoouuu-auuaaa! - zamiauczał przeraźliwie kot.

- Czy nie jesteś MÓWIĄCYM kotem? - zapytał Riszda. - Jeżeli jesteś, to skończ z tym diabelskim wyciem i mów.

To, co teraz nastąpiło, było okropne. Tirian nie wątpił (inni chyba też), że kot próbował coś powiedzieć, ale z jego ust nie wydobywało się ani jedno słowo - nic prócz zwykłych, niezbyt przyjemnych miauków i wrzasków, jakie wydają rozwścieczone lub przerażone koty na podwórkach w Anglii. A im dłużej miauczał, tym mniej przypominał mówiące zwierzę. W tłumie rozległy się niespokojne skamlenia i krótkie, przenikliwe kwiki strachu.

- Patrzcie, patrzcie! - zawołał niedźwiedź. - Nie może mówić. Zapomniał, jak się mówi! Stał się niemym zwierzęciem. Popatrzcie na jego twarz!

Wszyscy to widzieli. Narnijczyków ogarnęła prawdziwa zgroza. Każdego z nich uczono - kiedy był pisklakiem, szczenięciem, źrebakiem czy kociakiem - jak to Aslan na początku świata zamienił zwierzęta narnijskie w mówiące zwierzęta i jak je ostrzegł, że jeśli nie będą dobre, pewnego dnia mogą z powrotem stać się tymi niemymi, otepiałymi stworzeniami, jakie można spotkać w innych krajach.

- Litości! Litości! - zawodziły zwierzęta. - Oszczędź nas, miłościwy panie Krętaczu, stań między nami a Aslanem. To ty musisz tam zawsze wchodzić i

przemawiać w naszym imieniu. My się nie ośmielimy. Nigdy!

Imbir zniknął w koronie drzewa. I już nikt więcej go nie zobaczył.

Tirian stał z pochyłą głową, z dłonią na rękojeści miecza, wstrząśnięty okropnościami tej nocy. Co jakiś czas nawiedzała go myśl, że najlepsze, co może teraz zrobić, to dobyć miecza i uderzyć na Kalormeńczyków, ale już za chwilę czuł, że lepiej jeszcze poczekać i zobaczyć, co nowego przyniesie rozwój wypadków. I rzeczywiście, znowu zaczęło się coś dziać.

- Mój ojcze! - rozległ się czysty, dźwięczny głos, gdzieś na lewo od tłumu zwierząt. Tirian nie miał wątpliwości, że słowa te wypowiedział jakiś Kalormeńczyk, bo w armii Tisroka zwykli żołnierze zwracają się do oficerów: „Mój panie”, lecz oficerowie mówią do starszych od siebie rangą: „Mój ojcze”. Julia i Eustachy o tym nie wiedzieli, ale rozejrzawszy się, dostrzegli owego mówiącego, bo stał nieco z boku, a tam łatwiej mogli coś zobaczyć niż w środku, przez ognisko. Był to wysoki, szczupły młodzieniec, nawet piękny, choć w kalormeńskim - posępnym i wyniosłym - stylu.

- Mój ojcze - zwrócił się do Riszdy Tarkaana

- ja także pragnę wejść do środka.

- Uciszyć się, Emet - odparł Riszda. - Kto ci udzielił głosu? Czy przystoi chłopcu przemawiać na naradzie bez pozwolenia?

- Mój ojcze - powtórzył Emet - to prawda, że jestem młodszy od ciebie, ale we mnie także płynie krew Tarkaanów i też jestem sługą Tasza. Dlatego...

- Milcz! - krzyknął Riszda. - Czy nie jestem twoim dowódcą? Nie masz nic wspólnego z tą sprawą. Stajnia jest dla Narnijczyków.

- Nie, mój ojcze - odpowiedział młodzieniec.

- Ty sam powiedziałeś, że ich Aslan i nasz Tasz to jedno. A jeśli tak, to w tej Stajni przebywa sam Tasz. Jak więc możesz mówić, że nie mam z tym nic wspólnego? Z najwyższą ochotą poniósłbym śmierć tysiąc razy, jeślibym mógł choć raz spojrzeć w twarz Tasza.

- Jesteś głupcem i niczego nie rozumiesz - rzekł Riszda z naciskiem. - To są wyższe sprawy.

Na twarzy Emeta pojawił się cień gniewu.

- A więc nie jest prawdą, że Tasz i Aslan to jedna osoba? - zapytał. - Czyżby małpa nas okłamała?

- Ależ oczywiście, są jedną osobą - odezwał się Krętacz.

- Przysięgnij, małpo! - powiedział Emet.

- Aj-aj-aj! - zaskrzeczał szympans. - Och, przestańcie mnie wszyscy dręczyć. Głowa mi pęka. Tak, tak, przysięgam!

- A więc, mój ojciec - rzekł Emet - nie mnie nie odwiedzie od wejścia do tej Stajni.

- Głupcze... - zaczął Riszda, ale karły przerwały mu, krzyżąc:

- Dalej, czarniawy! Dlaczego mu nie pozwalasz! Dlaczego zachęcasz do tego Narnijczyków, a swoich ludzi trzymasz z dala? Co tam macie, że twoi ludzie nie mogą tego zobaczyć?

Tirian i jego przyjaciele widzieli tylko plecy Tarkaana, więc nigdy się nie dowiedzieli, jaką miał minę, gdy wzruszył ramionami i powiedział:

- Biorę wszystkich na świadków, że nie jestem winny krwi tego młodego głupca. A więc wejdź, zuchwały młodzieńcze.

Teraz Emet, podobnie jak uprzednio Imbir, przeszedł przez pustą przestrzeń między ogniskiem a Stajnią. Oczy mu płonęły, twarz miał poważną i uroczystą, dłoń oparł na rękojeści szabli, a głowę uniósł wysoko. Julia czuła, jak jej się ściska serce, gdy patrzyła na jego twarz. Klejnot szepnął do króla:

- Na grzywę Lwa, chociaż to Kalormeńczyk, polubiłem go. Wart jest lepszego boga niż Tasz.

Emet otworzył drzwi i wszedł do ciemnej czeluści

Stajni, a potem zamknął je za sobą od wewnątrz. Minęło zaledwie kilka chwil - choć wydawało się to trwać dłużej - gdy drzwi ponownie się otworzyły. Na progu stała postać w kalormeńskiej zbroi, zatoczyła się i upadła na plecy. Drzwi zamknęły się. Riszda podbiegł i ukląkł przy nieruchomym ciele, spojrzał i wzdrygnął się, jakby zobaczył upiora. Potem wstał, odwrócił się do tłumu i zawołał:

- Ten zuchwały młodzian uczynił to, czego pragnął. Spojrzał w twarz Tasza i jest martwy. Czy wystarczy wam to ostrzeżenie?

- Tak! Tak! Wystarczy! Wystarczy! - rozległy się wystraszone okrzyki. Ale Tirian i jego przyjaciele spojrzeli najpierw na martwego Kalormeńczyka, a potem na siebie. Będąc bliżej dostrzegli bowiem wyraźnie to, czego tłum za ogniskiem nie widział: nie leżało tam wcale ciało Emeta, ale jakiegoś starszego, tęgiego i niskiego mężczyzny z długą brodą.

- Ho-ho-ho! - chichotał szympans. - Czy ktoś jeszcze? Czy ktoś ma ochotę wejść do środka? No cóż, skoro jesteście tacy nieśmiali, ja sam wybiorę ochotnika. Ty, ty, dziku! Chodź tutaj! Podnieście go, Kalormeńczycy. On też zobaczy Tasza twarzą w

twarz.

- Uuuuuu-nf! - chrząknął dzik, podnosząc się z ziemi. - A więc chodźcie. Popróbujcie moich kłów.

Kiedy Tirian zobaczył, że dzielne zwierzę gotowe jest walczyć o swoje życie i kalormeńscy żołnierze otaczają go z dobytymi szablami, a nikt się nie rusza, by mu przyjść z pomocą, poczuł, że coś w nim wybucha. Nie zastanawiał się już, czy jest to najlepszy moment do zdradzenia swej obecności, czy nie.

- Chwytajcie za miecze - szepnął do swych towarzyszy. - Strzała na cięciwę. Za mną.

W następnej chwili zdumieni Narnijczycy ujrzeli siedem postaci wychodzących przed Stajnię: cztery miały na sobie zbroję. Miecz króla błysnął w świetle ogniska, gdy zakręcił nim nad głową i zawołał:

- Tu stoję ja, Tirian, król Narnii, aby w imię Aslana udowodnić wam, że Taz jest plugawym diabłem, szympanś zaprzysiężonym zdrajcą, a ci Kalormeńczycy zasłużyli na śmierć. Do mnie, prawdziwi Narnijczycy! Czy chcecie czekać, aż wasi nowi panowie zabiją was, jednego po drugim?

ROZDZIAŁ 11

WSZYSTKO DZIEJE SIĘ CORAZ SZYBCIEJ

RISZDA TARKAAN BŁYSKAWICZNIE ODSKOCZYŁ Spoza zasięgu królewskiego miecza. Nie należał do tchórzki i gdyby zaszła potrzeba, sam stawilby czoło Tirianowi i karłowi, ale widok orła i jednorożca nieco ostudził jego waleczność. Wiedział dobrze, że orły atakują z powietrza, uderzając w twarz i wydziobując oczy, słyszał też od swojego ojca (który spotkał się już z Narnijczykami na polu bitwy), że żaden człowiek nie pokona jednorożca, chyba że strzałą z łuku lub długą lancą, ponieważ ten rzuca się na przeciwnika, stając na tylnych nogach i wówczas ma się do czynienia z jego rogiem, zębami i kopytami jednocześnie. Wolał więc ukryć się w tłumie, skąd krzyknął:

- Do mnie, do mnie, wojownicy Tisroka, oby żył wiecznie! Do mnie wierni Narnijczycy, bo spadnie na was przekleństwo Taszlana!

Tymczasem wydarzyły się jednocześnie dwie inne rzeczy. Szympana nie ocenił sytuacji tak szybko jak Tarkaan. Przez kilka sekund siedział nadal przy ognisku, gapiąc się na przybyszów. Tirian doskoczył do niego, schwycił za kark i zaniósł do Stajni, krzycząc: „Otwórzcie drzwi!” Pogin uczynił to.

- A teraz wypij piwo, którego nawarzyłeś, Krętaczu! - zawołał król i wrzucił szympansa do ciemnego wnętrza.

Kiedy karzeł zamykał za nim drzwi, buchnęło z nich nagle oślepiające, zielononiebieskie światło, ziemia zatrzęsała się i wszyscy usłyszeli mrozący krew w żyłach dźwięk, przywodzący na myśl ochryply krzyk jakiegoś potwornego ptaka. Zwierzęta zawyły ze strachu. Rozległy się krzyki: „Taszlan! Taszlan!” Wiele stworzeń upadło na ziemię, wiele zakryło twarze skrzydłami lub łapami. Jeden tylko orzeł Dalwid, który miał najlepsze oczy ze wszystkich żyjących w Narnii stworzeń, zobaczył w tym momencie twarz Riszdy Tarkaana. Kalormeński dowódca stał tak samo zaskoczony i przerażony, jak wszyscy. „Oto człowiek wzywający bogów, w których nie wierzy”, pomyślał Dalwid. „Co się z nim stanie, kiedy naprawdę przybędą!”

Trzecią rzecz, jaka wydarzyła się w tym samym czasie, można nazwać najpiękniejszą niespodzianką tej nocy. Wszystkie mówiące psy biorące udział w zgromadzeniu (było ich piętnaście) przybiegły w podskokach do króla, szczekając radośnie. Były to przeważnie olbrzymie psy z potężnymi barkami i szerokimi szczękami. Podbiegły jak fala morska, załamująca się na plaży i niemal zwalająca z nóg. Bo chociaż należały do mówiących psów, zachowywały się podobnie jak zwykle,

kochane psy: stawały na tylnych łapach, opierały przednie na piersiach ludzi i lizały ich po twarzach, mówiąc jednocześnie:

- Tak-tak-tak-tak! Cieszymy się, żeś nas, królu, wezwał-wał-wał-wał! Pomożemy! Tylko nam powiedz jak! Jak-jak-jak!

Było to tak cudowne, że chciało się płakać. Oto wreszcie spotkali się z tym, na czym budowali swe nadzieje. I kiedy w chwilę później przydreptało do nich kilkanaście małych zwierzątek (myszy, kretów i wiewiórek) piszczących z radości, powtarzających: „To my, to my! Jesteśmy z wami!”, i kiedy potem przytoczył się niedźwiedź, a za nim nadbiegł dzik, Eustachy poczuł, że jeszcze mają jakieś szansę. Lecz Tirian spojrział wokoło i zobaczył, jak niewielką część stanowiły te zwierzęta, które do nich przybiegły.

- Do mnie! Do mnie! - zawołał. - Czyżbyście wszyscy stali się tchórzami od czasu, gdy byłem waszym królem?

- Nie śmiemy - zaskomlały zwierzęta. - Taszlan by się gniewał. Obroń nas przed Taszlanem.

- Gdzie są wszystkie mówiące konie? - zwrócił się Tirian do dzika.

- Widziałyśmy, widziałyśmy - zapiszczały myszy. - Szympanś kazał im pracować. Wszystkie są przywiązane tam, u stóp Wzgórza.

- A więc, dzielni malcy, wy gryzichrusty, zębochwaty i rozłupywacze orzechów, pędźcie tam zaraz ile sił w nogach i dowiedzcie się, czy konie są po naszej stronie. A jeśli są, pokażcie, co wasze zęby potrafią, uwolnijcie szlachetne rumaki i przyprowadźcie je do mnie.

- Z najwyższą ochotą, panie! - odpowiedział chór cienkich głosów, po czym cały ten bystrooki i ostrozęby ludek zniknął ze Wzgórza, machając radośnie ogonkami. Tirian roześmiał się z samej miłości do nich, gdy to zobaczył. Ale teraz musiał myśleć o innych sprawach. Riszda Tarkaan już wydawał rozkazy.

- Naprzód! - zawołał. - Weźcie ich żywcem, jeśli to możliwe, i wrzucie do Stajni. Kiedy już wszyscy będą w środku, podpalimy tę budę, składając ich w ofierze wielkiemu Taszowi.

- Ha! - rzekł Dalwid do siebie. - A więc to w ten sposób ma nadzieję przebłagać Tasza za swoje niedowiarstwo.

Blisko połowa sił wroga uformowała się w szyk bojowy i zaczęła nacierać. Tirian ledwo miał czas na wydanie rozkazów.

- Ustaw się tam, na lewo, Julio, i staraj się trafić, ilu zdołasz, zanim do nas

dojdą. Niedźwiedź i dzik obok niej. Pogin po moim lewym boku, Eustachy po prawym. Zamknij prawe skrzydło, Klejnocie. Stań przy nim, Łamigłówkę, i walcz kopytami. Ty, Dalwidzie, uderzaj z powietrza. Wy, psy, tuż za nami, w drugiej linii. Kiedy miecze się skrzyżują, ruszajcie między nich. Aslan z nami!

Eustachemu serce biło jak młotem. Powtarzał sobie w duchu: „Będę dzielny!” Po raz pierwszy w życiu widział coś tak mrożącego krew w żyłach (choć widział już smoka i węża morskiego), jak ów zbliżający się szybko szereg ciemnoskórych i jasnookich mężczyzn. Wśród nacierających był również mówiący byk z Narnii, lis Skradek i satyr Hałaburda. Eustachy usłyszał brzdęk cięciwy, świst - i jeden z Kalormeńczyków upadł, potem drugi brzdęk i świst - i upadł satyr.

- Dobra robota, córko! - rozległ się głos Tiriana. Lecz wróg był już przy nich.

Nigdy później Eustachy nie potrafił sobie przypomnieć, co właściwie działo się w ciągu następnych dwóch minut. Przypominało to sen (z rodzaju tych, jakie się ma w gorączce). Potem usłyszał z oddali głos Riszdy Tarkaana:

- Do odwrotu! Wycofać się i przegrupować!

Dopiero wówczas odzyskał w pełni świadomość i ujrzał, jak Kalormeńczycy pędzą ku swoim. Ale nie wszyscy. Dwóch leżało na trawie: jeden ugodzony strzałą z łuku Julii, drugi mieczem Tiriana. Tuż przy swoich stopach zobaczył martwego lisa - czy to możliwe, aby to on go zabił? Opodal leżał byk ze strzałą Julii w oku i z bokiem rozdartym kłębem dzika. Straty były jednak po obu stronach. Zginęły trzy psy, czwarty kuśtykał na trzech nogach poza linią walki. Poległ też niedźwiedź; przez chwilę poruszał jeszcze łapami, wymamrotał „Ja... ja... nie rozumiem”, a potem położył łeb na trawie jak układające się do snu dziecko i znieruchomiał.

Pierwszy atak zakończył się klęską wroga. Eustachy nie był w stanie cieszyć się z tego: bolała go ręka i zaschło mu w gardle.

Kiedy Kalormeńczycy wrócili do swego dowódcy, karły zaczęły z nich szydzić:

- No co, czarniawi, macie już dosyć? Nie spodobało się? A czemu to wasz wielki Tasz sam nie walczy, tylko was wysyła na śmierć? Biedni czarniawcy!

- Karły! - zawołał Tirian. - Chodźcie do nas i użyjcie swoich mieczy, a nie języków. Jeszcze nie jest za późno. Narnijskie karły! Wiem, że potraficie walczyć. Pokażcie, że znowu jesteście wiernymi poddanymi!

- Tere-ferre-kuku! - rozległy się szydercze okrzyki. - Ani nam w głowie. Jesteś takim samym oszustem jak tamci. Nie chcemy żadnych królów. Karły należą do karłów! Buuuuuuuuu!

Nagle wszyscy usłyszeli dźwięk bębna. Tym razem nie był to bęben karłów, lecz wielki kalormeński kocioł z byczej skóry. Dzieci zniechęciły ten dźwięk od pierwszego uderzenia. Bum-bum-ba-ba-bum! Ale nienawidziłby go jeszcze bardziej, gdyby wiedziały, co oznacza. Tirian wiedział. Gdzieś w pobliżu czekało więcej kalormeńskich oddziałów i Riszda Tarkaan wzywał je na pomoc. Tirian i Klejnot popatrzyli na siebie ponuro. Jeszcze przed chwilą mieli nadzieję, że tej nocy uda im się zwyciężyć; teraz wiedzieli już, że jeśli przybędą posiłki, wkrótce wszystko się skończy.

Tirian rozejrzał się z rozpaczą dookoła. Spora grupa Narnijczyków skupiła się przy Tarkaanie - albo z lęku przed „Taslanem”, albo świadomie wybierając zdradę. Pozostali wciąż siedzieli na swoich miejscach, przyglądając się walce i nie opowiadając po żadnej stronie. Tłum wyraźnie się jednak przerzedził. Najwidoczniej co śmielsi wymknęli się ukradkiem podczas pierwszej utarczki i czmychnęli w las.

Bum-bum-ba-ba-bum - dudnił posępny bęben. A potem zaczął się z nim mieszać jakiś inny dźwięk.

- Słuchajcie! - powiedział Klejnot.

- Patrzcie! - powiedział Dal wid.

W chwilę później nikt już nie miał wątpliwości. Z grzotem kopyt, ze sterczącymi uszami, rozdętymi chrapami i rozwianymi grzywami wbiegło na Wzgórze ponad dwadzieścia mówiących koni. Gryzichrusty i zębochwaty wykonały swoje zadanie.

Karzeł Pogin i dzieci już otworzyli usta, by wydać okrzyk radości, lecz głos zamarł im w gardle. Powietrze wypełniło krótkie stękanie cięciw i świst strzał. To strzelały karły. Przez chwilę Julia nie mogła w to uwierzyć, ale, niestety, była to prawda. Strzelały do koni. Łuk w ręku karła jest bronią morderczą. Koń za koniem toczył się po murawie. Ani jedno ze szlachetnych zwierząt nie dobiegło do króla.

- Podle ŚWINIE! - wrzeszczał Eustachy, podskakując z wściekłości. - Brudne, plugawe, zdradzieckie bydlaki!

- Panie, pozwól mi - rzekł Klejnot - a runę na nich i przebiję z dziesięciu za jednym razem.

Ale Tirian odpowiedział z śmiertelnie poważną twarzą:

- Wytrzymaj to, przyjacielu. - A zwracając się do Julii, dodał: - Jeśli musisz płakać, kochanie, odwróć twarz, aby łzy nie zmoczyły cięciwy. - A do Eustachego: - Spokojnie, chłopcze. I nie przeklinaj jak kucharka. Rycerze nie przeklinają. Ich

jedynym językiem są tylko uprzejme słowa lub miażdżące ciosy.

Ale karły zaczęły szydzić z Eustachego:

- Nie spodziewałeś się tego, chłopczyku, co? Myślałeś, że jesteśmy po waszej stronie? Nie chcemy żadnych mówiących koni. Nie chcemy, żebyście zwyciężyli, nie chcemy, by zwyciężyła jakakolwiek inna banda. Nie będziecie NAS mieli. Karły należą do karłów.

Riszda Tarkaan wciąż mówił coś do swoich ludzi, zapewne wydając polecenia co do następnego ataku. Prawdopodobnie żałował, że do pierwszego wysłał tylko połowę swoich sił. Bęben wciąż dudnił. I nagle, ku swej zgrozie, Tirian i jego przyjaciele usłyszeli słaby, daleki odgłos innego bębna. Jakiś inny oddział Kalormeńczyków usłyszał sygnały Riszdy i nadciągał z pomocą. Nikt by nie poznał po twarzy Tiriana, że w tej chwili opuściła go wszelka nadzieja.

- Posłuchajcie - rzekł bezbarwnym głosem - musimy zaatakować, zanim te lotry otrzymają posiłki.

- Zastanów się, panie - powiedział Pogin. - Tu mamy za plecami grubą ścianę Stajni. - Jeśli się ruszymy, otoczą nas i ugodzą szablami z tyłu.

- I ja bym tak powiedział, Poginie - odparł król. - Ale czy nie na tym polega ich plan, aby nas wrzucić do Stajni? Im dalej od tych diabelskich drzwi, tym lepiej.

- Król ma rację - wtrącił Dalwid. - Za wszelką cenę jak najdalej od przeklętej Stajni i tego, kto siedzi w środku.

- Tak, tak właśnie zrobmy - zgodził się Eustachy. - Nienawidzę samego jej widoku.

- Dobrze - rzekł Tirian. - A teraz spójrzcie tam, na lewo, na tę wielką skałę, która w świetle ogniska lśni biało jak marmur. Najpierw uderzymy na tych Kalormeńczyków. Ty, panienko, zajmiesz pozycję dalej, na lewym skrzydle, strzelając w ich linię tak szybko, jak potrafisz; ty orle, atakuj z powietrza od prawej strony. My uderzymy środkiem. Julio, kiedy dojdziemy do nich tak blisko, że będziesz się bała strzelać, aby nas nie porazić, wracaj do tej białej skały i czekaj na nas. Wy wszyscy miejcie uszy otwarte nawet w walce. Musimy zmusić ich do odwrotu w pierwszych minutach, to nasza jedyna szansa, bo jest nas mniej. Kiedy zawołam: „Do tyłu!”, biegnijcie do Julii przy białej skale. Tam znajdziemy osłonę z tyłu i chwilę na oddech. No, ruszaj, Julio.

Czując się okropnie samotnie, Julia odbiegła jakieś sześć metrów, cofnęła prawą nogę, lewą wystawiła do przodu, nałożyła strzałę na cięciwę i zaczęła się

modlić, aby ręce przestały jej drżeć. „Co za parszywy strzał!”, jęknęła do siebie, gdy pierwsza strzała przeleciała nad głowami wrogów. Ale już nałożyła następną, wiedziała, że najbardziej liczy się szybkość. Zobaczyła, jak coś wielkiego i czarnego spada na twarze Kalormeńczyków. Najpierw jeden, potem drugi rzucił szablę i zakrył twarz rękami, by ochronić oczy. Jedna z jej strzał trafiła kalormeńskiego żołnierza, druga narnijskiego wilka. Ale dłużej nie mogła już strzelać. Z błyskiem mieczy, kłów dzika i rogu Klej nota, z ochrypłym ujadaniem psów Tirian i jego mały oddział pędził na wroga z szybkością biegaczy na sto metrów. Julię zaskoczyło to, że Kalormeńczycy wydają się nie przygotowani na atak. Nie zdawała sobie sprawy, że to skutek jej strzał i działań orła. Trudno stać niewzruszenie i oczekiwać na nacierającego wroga, gdy jest się rażonym strzałami z jednej strony i atakowanym przez orła z drugiej.

- Och, dobra robota! DOBRA robota! - zawołała. Oddział króla starł się już z wrogiem. Jednorożec podrzucał ludzi w powietrze jak snopki na stóg. W oczach Julii (która w końcu nie najlepiej знаła się na walce mieczem) nawet Eustachy walczył wspaniale. Psy chwytały Kalormeńczyków za gardła. A więc chyba się uda! A więc to zwycięstwo...

Nagle przeszył ją od stóp do głowy lodowaty dreszcz. Zobaczyła, że chociaż Kalormeńczycy padali gęsto, ich liczba wcale się nie zmniejszała; przeciwnie, było ich teraz o wiele więcej niż na początku starcia. Ich zastępy rosły z każdą sekundą. Nadbiegali ze wszystkich stron. To nowi wojownicy! W rękach mieli długie włócznie. Zjawilo się ich teraz tylu, że w tłumie z trudem dostrzegała sylwetki swoich przyjaciół. A potem usłyszała głos Tiriana:

- Do tyłu! Do skały!

Bęben zrobił swoje. Wzgórze zalały wojska Tisroka.

ROZDZIAŁ 12

PRZEZ DRZWI STAJNI

OBSERWOWANIE WALKI tak Julię pochłonęło, że dopiero teraz przypomniała sobie o drugiej części swojego zadania. Powinna już być przy skale! Odwróciła się i popędziła ku niej ile sił w nogach. Dotarła do celu zaledwie o sekundę przed innymi. Natychmiast odwrócili się twarzami do wroga i wówczas zobaczyli straszny widok.

Kalormeński wojownik biegł do Stajni, trzymając coś, co kopało i wyrywało się. Kiedy znalazł się między nimi a ogniskiem, zobaczyli wyraźnie postać wojownika i jego zdobycz: to Eustachy!

Tirian i jednorożec bez namysłu rzucili się, aby go uwolnić. Ale Kalormeńczyk był o wiele bliżej drzwi Stajni niż oni. Zanim przebiegli połowę drogi, wrzucił Eustachego do środka i szybko zamknął drzwi. Nadbiegło pół tuzina innych i utworzyli zwartą linię, odcinając dostęp do drzwi.

Nawet w tej chwili Julia pamiętała, by odwrócić twarz na bok. „Nie mogę przestać beczeć, ale nie zmoczę cięciwy”, powiedziała do siebie przez łzy.

- Gotuj strzałę! - usłyszała głos Pogina.

Każdy pochylił głowę i nasunął mocniej hełm. Psy skuliły się u ich stóp. Rozległ się świst strzał, ale już po chwili spostrzegli z ulgą, że to nie oni są ich celem. Gryfel i jego karły znowu wzięły się do łuków, tym razem szyjąc celnie w Kalormeńczyków.

- Śmiało, chłopcy! - rozległ się głos Gryfla. - Wszyscy razem! Dobrze mierzyć. Nie chcemy czarniawych tak samo, jak nie chcemy małąp, lwów czy królów. Karły należą do karłów.

Cokolwiek można powiedzieć o karłach, to jednak nie można im odmówić męstwa. Mogły się z łatwością oddalić w jakieś bezpieczne miejsce, wołały jednak zostać i wystrzelać tyłu wrogów po obu stronach, ilu im się uda, obserwując jednocześnie z zadowoleniem, jak obie strony oszczędzały im nieco wysiłku, mordując się nawzajem. Karły chciały mieć Narnię tylko dla siebie.

Nie wzięły jednak pod uwagę dość ważnej okoliczności. Dla dobrych łuczników konie były łatwym celem, natomiast Kalormeńczycy mieli na sobie kolczugi. Mieli też dowódcę. Gdy tylko zaświstały strzały, rozległ się głos Riszdy Tarkaana:

- Trzydziestu! Otoczyć tych głupców pod skałą i pilnować, żeby nie uciekli! Reszta za mną! Zaraz damy nauczkę tym Synom Ziemi!

Tirian i jego przyjaciele, wciąż zadyszani po walce i wdzięczni za kilka minut

odpoczynku, patrzyli, jak Tarkaan prowadzi swych ludzi przeciw karłom. Była to niesamowita scena. Ognisko nieco przygasło, jego blask stał się teraz słabszy i czerwony. Na szczycie wzgórza widzieli tylko karły i Kalormeńczyków, choć w tym oświetleniu z trudem dostrzegali, co się dzieje.

Sądząc po odgłosach, karły walczyły dzielnie. Tirian słyszał przekleństwa Gryfla i co jakiś czas głos Tarkaana:

- Wziąć żywcem tylu, ilu zdołacie! Wziąć ich żywcem!

Trudno powiedzieć coś o samej walce, ale nie trwała długo. Jej odgłosy cichły. Potem Julia ujrziała Tarkaana zbliżającego się do Stajni; za nim postępowało jedenastu wojowników, a każdy niósł jednego związanego karła. (Nigdy już nie dowiedziano się, czy reszta zginęła w walce, czy też niektórym udało się zbiec.)

- Wrzucić ich do świątyni Tasza! - rozkazał Riszda.

A kiedy jedenastu karłów zostało wrzuconych lub wepchniętych do ciemnego otworu i drzwi ponownie zamknięto, skłonił się nisko przed Stajnią i powiedział:

- Tych także składamy ci w ofierze, wielki Taszu! I wszyscy Kalormeńczycy zaczęli uderzać płazami

szabel w tarcze i wołać:

- Tasz! Tasz! Wielki bóg Tasz! Nieubłagany Tasz! Już nie potrzebowali wspominać o takiej bzdurze jak „Taszlan”.

Zebrany przy skale mały oddział Tiriana przypatrywał się temu wszystkiemu, naradzając się szeptem. Znaleźli strużkę wody spływającą po skale i wszyscy napili się łapczywie: Julia, Pogin i król czerpiąc ją rękami, a czworonogi wprost z maleńkiej sadzawki, jaka utworzyła się u stóp skały. Odczuwali takie pragnienie, że woda wydała im się najwspanialszym napojem, jakiego skosztowali w całym życiu, a kiedy pili, byli naprawdę szczęśliwi i nie myśleli o niczym.

- Czuję w kościach - rzekł Pogin - że zanim nastanie świt, wrzucą nas jedno po drugim w tę ciemność za drzwiami. Myślę sobie o stu różnych rodzajach śmierci i wolałbym każdą z nich od tej.

- Zaprawdę, to posępne drzwi - rzekł Tirian. - Przypominają paszczę gotową do pożarcia.

- Och, czy NIC nie można już zrobić? - zapytała Julia drżącym głosem.

- Nic, szlachetna przyjaciółko - odparł Klejnot, trącając ją delikatnie nosem. - Ale nie trać otuchy. Dla nas mogą to być drzwi do krainy Aslana. Jeszcze tej nocy możemy wieczerzać u jego stołu.

Riszda Tarkaan odwrócił się od Stajni i powoli podszedł do białej skały.

- Wysłuchajcie mnie - powiedział. - Jeśli dzik, psy i jednorożec wyjdą i zdadzą się na moją łaskę, daruję im życie. Dzik pójdzie do klatki w ogrodach Tisroka, psy do jego psiarni, a jednorożec, po odcięciu mu rogu, będzie ciągnął wózek. Ale orzeł, dzieci i ten, który był królem, zostaną tej nocy złożeni w ofierze Taszowi.

Odpowiedział mu jedynie głuchy pomruk zwierząt.

- A więc naprzód, żołnierze! - zawołał Tarkaan. - Zabić zwierzęta i wziąć żywcem ludzi.

I tak zaczęła się ostatnia bitwa króla Narnii.

Niezależnie od przeważającej liczby wrogów, walkę naprawdę beznadziejną czyniły długie włócznie w rękach Kalormeńczyków. Ci, którzy towarzyszyli szympansowi, nie mieli ich, bo przeniknęli do Narnii pojedynczo lub po dwóch w przebraniu kupców, a oczywiście włócznie nie mogliby ukryć. Ale główne siły przekroczyły granicę później, kiedy Krętacz utwierdził swoją władzę i nie musieli się już ukrywać. Włócznie przesądzały sprawę. Dostatecznie szybki i wyćwiczony żołnierz uzbrojony we włócznie może zabić dzika, zanim znajdzie się w zasięgu jego kłów, i jednorożca, zanim dosięgnie go jego róg. A teraz pochylone ostrza włócznie zbliżały się powoli ze wszystkich stron do Tiriana i jego ostatnich przyjaciół. Po chwili wszyscy walczyli o życie.

Choć zapewne z trudem mi uwierzycie, nie było to aż tak straszne. Kiedy wykorzystuje się do granic wytrzymałości każdy miesiąc - to uskakując przed ostrzem włócznie, to znowu uchylając się przed nim, posuwając się o krok lub dwa do przodu, a następnie cofając się, obracając, przeginając i podskakując - nie ma czasu ani na strach, ani na rozpacz. Tirian wiedział, że nie może już nic zrobić dla innych: ich wspólny los był przesądzony. Widział, jak po jednej stronie pada dzik, a po drugiej walczy jeszcze zażarcie Klejnot. Kątem oka dostrzegł, że jakiś wielki Kalormeńczyk ciągnie gdzieś Julię za włosy. Król myślał już tylko o tym, by jak najdrożej sprzedać swoje życie. Najgorsze, że nie mógł dłużej utrzymać wybranej przez siebie pozycji, która pozwalała mu mieć tuż za plecami ścianę skały. Kiedy się walczy z tuzinem wrogów naraz, trzeba wykorzystywać każdą szansę i uderzać w każdą odsłoniętą przez moment pierś czy szyję. Wystarczy kilka takich ciosów, aby znaleźć się o dobre kilka kroków od miejsca, w którym się walkę zaczęło. Tirian wkrótce spostrzegł, że oddala się coraz bardziej od skały, a zbliża do Stajni. Miał niejasne poczucie, że powinien trzymać się od niej jak najdalej, ale teraz nie pamiętał już nawet dlaczego. A zresztą

nie mógł na to nic poradzić.

Naraz wszystko stało się jasne. Spostrzegł, że walczy z samym Tarkaanem. Za plecami kalormeńskiego wodza dopalało się ognisko. Tirian walczył już w samych drzwiach Stajni. Były otwarte, a dwóch żołnierzy czaiło się po bokach, gotowych do zatrzęsnięcia drzwi, gdy tylko król znajdzie się w środku. Teraz przypomniał sobie wszystko i zrozumiał, że wróg celowo, od samego początku walki, spychał go w kierunku Stajni. Myślał o tym, wciąż stawiając zawzięty opór Tarkaanowi.

Nagle przyszedł mu do głowy rozpaczliwy pomysł. Rzucił miecz, skoczył do przodu tuż pod szablą Tarkaana, która świsnęła mu nad głową, złapał przeciwnika obiema rękami i szarpnął ku sobie, wskakując jednocześnie do Stajni i krzycząc:

- Chodź ze mną i sam spotkaj swojego Tasza!

Rozległ się ogłuszający huk, ziemia zadrżała i rozbłysło oślepiające światło. Kalormeńscy żołnierze wrzasnęli: „Tasz! Tasz!” i zatrzęsnęli drzwi. Jeśli Tasz zapragnął mieć swojego kapitana, musiał go dostać. Oni, w każdym razie, nie pragnęli spotkania z Taszem.

Przez chwilę Tirian nie wiedział, gdzie się znajduje, a nawet kim jest. Potem otrząsnął się, zmrużył powieki i rozejrzał wokół siebie. W Stajni nie było ciemno, jak się spodziewał, lecz przeraźliwie jasno i właśnie dlatego musiał zmrużyć oczy.

Odwrócił głowę i spojrzał na Riszdę Tarkaana, ale ten nie patrzył na niego. Riszda jęknął głucho, wskazał na coś, zasłonił twarz rękami i upadł w dół, na ziemię. Tirian spojrzał tam, gdzie Tarkaan wskazywał. A wówczas zrozumiał.

Zbliżała się ku nim straszliwa postać: ten sam potwór z ptasią głową i czterema rękami, którego widzieli niedaleko wieży, i choć teraz był o wiele mniejszy, i tak znacznie przewyższał człowieka. Dziób miał otwarty, oczy płonęły mu piekielnym blaskiem. Rozległ się ochrypły głos:

- To ty wezwałeś mnie do Narnii, Riszdo Tarkaanie? Oto jestem. Co masz mi do powiedzenia?

Ale Tarkaan nie uniósł głowy i nie wyrzekł ani jednego słowa. Trząsał się jak człowiek, który ma okropną czkawkę. Potrafił mężnie walczyć, ale już wcześniej tej nocy opuściła go połowa odwagi, gdy po raz pierwszy zaczął podejrzewać, że prawdziwy Tasz rzeczywiście istnieje. Resztę odwagi stracił przed chwilą.

Nagłym ruchem - jak kogut opuszczający błyskawicznie dziób, aby podnieść robaka - Tasz schwycił nieszczęsnego Riszdę jedną ze swoich górnych kończyn i uniósł w powietrze. Odwrócił głowę i utkwiał w nim spojrzenie jednego ze swoich straszliwych

oczu, bo oczywiście, mając ptasią głowę, nie mógł przyglądać się czemuś na wprost.

Lecz oto nagle gdzieś zza niego rozległ się głos, potężny i spokojny jak letnie morze:

- Precz stąd, potworze! Zabierz swą prawowitą zdobycz i wracaj tam, skąd przybyłeś, w imię Aslana i jego wielkiego Ojca, Władcy-zza-Morza!

Ohydny stwór zniknął nagle razem z Tarkaanem. Tirian odwrócił się, by zobaczyć, kto przemówił. A to, co ujrzał, sprawiło, że serce zabiło mu tak, jak jeszcze nigdy w najcięższej walce.

Przed nim stało siedem postaci: królowie i królowe w koronach i w połyskujących szatach. Królowie mieli na sobie wspaniałe zbroje, a w dłoniach trzymali nagie miecze. Tirian skłonił się z szacunkiem i już chciał przemówić, gdy najmłodsza z królowych roześmiała się głośno. Spojrzał na jej twarz i z ust wyrwał mu się okrzyk zdumienia, bo ją poznał. To Julia! Ale nie ta Julia, jaką widział po raz ostatni jeszcze parę minut temu, z brudną i zapłakaną twarzą, w starej, drelichowej sukience zsuwającej się z jednego ramienia. Teraz wyglądała tak świeżo, jakby przed chwilą wyszła z kąpieli. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie starszej, ale już za chwilę Tirian pomyślał, że to tylko strój tak ją zmienił. Nie był tego pewien. A potem w najmłodszym królu rozpoznał Eustachego, lecz i on zmienił się tak jak Julia.

Tirian poczuł, że nie śmie podejść do tych ludzi, pokryty krwią, kurzem i potem, lecz w następnej chwili spostrzegł, że także się zmienił. Stał odświeżony, czysty i ubrany w strój, jakiego nie powstydziliby się podczas wielkiego święta na Ker-Paravelu. (W Narnii nawet najlepsze, „wizytowe” stroje nie są jednak tak strasznie niewygodne jak w naszym świecie. Tam wiedzą, jak szyć ubrania nie tylko piękne, ale i wygodne, i w ogóle nie używają takich rzeczy, jak krochmal, gruba flanela czy gumki.)

- Panie - powiedziała Julia, robiąc kilka kroków do przodu i składając pełen wdzięku ukłon - pozwól, że cię przedstawię Piotrowi, Wielkiemu Królowi nad wszystkimi królami Narnii.

Tirian nie musiał pytać, kto z nich jest Wielkim Królem, bo dobrze zapamięta! jego twarz (choć teraz była jeszcze bardziej szlachetna) ze swego snu. Zbliżył się, uklęknął na jedno kolano i ucałował rękę Piotra.

- Najjaśniejszy panie - rzekł - witam cię z całego serca.

A Wielki Król podniósł go i ucałował w oba policzki, tak jak to powinien uczynić Wielki Król. Potem poprowadził go do najstarszej z królowych - lale nawet ona nie była wcale stara: nie miała siwych włosów i ani jednej zmarszczki - i

powiedział:

- Królu Tirianie, oto pani Pola, która przybyła I do Narnii w Pierwszym Dniu, kiedy to Aslan sprawił, I że drzewa zaczęły rosnać, a zwierzęta mówić.

Potem poprowadził go do męża o twarzy pełnej mądrości, ze złotą, opadającą na pierś brodą.

- A to lord Digory, który był z nią w tym samym Dniu. A to jest mój brat, król Edmund, i siostra, królowa Łucja.

- Panie - powiedział Tirian, gdy przywitał się ze wszystkimi - jeśli dobrze znam nasze kroniki, to kogoś tutaj brakuje. Czyż wasza królewska mość nie ma dwóch sióstr? Gdzie jest królowa Zuzanna?

- Moja siostra Zuzanna - odparł Piotr z powagą - nie należy już do przyjaciół Narnii.

- Tak - dodał Eustachy. - A kiedy próbuje się porozmawiać z nią o Narnii, mówi: „Jaką macie wspaniałą pamięć! Ale to niemożliwe, żebyście wciąż myśleli o tych wszystkich śmiesznych rzeczach, w które się bawiliśmy, gdy byliśmy dziećmi”.

- Och, ta Zuzanna - westchnęła Julia. - Teraz interesują ją tylko nylonowe pończochy, szminki i zaproszenia na przyjęcia. Zawsze strasznie chciała być dorosła.

- Dorosła, w tym rzecz - rzekła Łucja. - Chciałabym, żeby wreszcie DOROSŁA. Zmarnowała lata szkolne, myśląc tylko o tym, żeby wreszcie być dorosła, a teraz zmarnuje resztę życia, starając się zatrzymać czas. To jej recepta na życie: przebiec ten najgłupszy dystans jak najszybciej, a potem zatrzymać się na tak długo, jak można.

- No dobrze, ale nie mówmy teraz o tym - powiedział Piotr. - Spójrzcie! Jakie wspaniale drzewa! Spróbujmy tych owoców.

I wówczas Tirian po raz pierwszy rozejrzał się dookoła i stwierdził, że przygoda, w jakiej przyszło mu brać udział, jest jeszcze dziwniejsza, niż mu się dotąd wydawało.

ROZDZIAŁ 13

JAK KARŁY NIE DAŁY SIĘ OSZUKAĆ

DO TEJ CHWILI TIRIAN MYŚLAŁ - albo myślałby, gdyby miał na to czas - że znajdują się wewnątrz małej, pokrytej strzechą Stajni, długiej na jakieś trzy metry i szerokiej na półtora metra. W rzeczywistości stali na trawie, nad głowami mieli błękitne niebo, a twarze chłodził im lekki wiatr, jaki bywa wczesnym latem. Niedaleko rosła duża kępa drzew gęsto pokrytych liśćmi, a spod każdego liścia wyglądały złote, pomarańczowe, purpurowe lub jaskrawoczerwone owoce, jakich nikt nigdy nie widział w naszym świecie. Patrząc na nie, Tirian pomyślał, że to chyba jesień, ale w powietrzu było coś, co mówiło mu, że to najpóźniej czerwiec. Podeszli do drzew.

Każdy podniósł rękę, by zerwać owoc, jaki mu się najbardziej podobał, a potem każdy pomyślał: „Nie, to nie dla mnie... na pewno nie wolno ich zrywać...”

- Nie lękajmy się, przyjaciele - rzekł Piotr. - Wiem, o czym każde z nas myśli, ale jestem całkowicie pewien, że niepotrzebnie się wahamy. Czuję, że jesteśmy w kraju, w którym dozwolone jest wszystko.

- No to do dzieła! - zawołał Eustachy. I wszyscy zaczęli jeść.

Jak smakowały te owoce? Niestety, nikt nie potrafi opisać smaku. Można tylko porównywać. O tych owocach można powiedzieć tylko tyle, że w porównaniu z nimi najświeższe grejpfruty są bez smaku, najsoczystsze pomarańcze suche, najbardziej rozpływające się gruszki twarde i drewniane, najśłodsze poziomki kwaśne. I nie miały twardych ziarenek ani pestek, a wokoło nie latały osy. Kiedy się zjadło taki owoc, najlepsze na świecie przysmaki smakowałyby później jak lekarstwo. Ale nie potrafię tego opisać. Jeśli chcecie się naprawdę dowiedzieć, jaki miały smak, musicie dostać się do tego kraju i sami spróbować.

Kiedy już się najedli, Eustachy rzekł do króla Piotra:

- Nie powiedziałaś nam jeszcze, jak się tu dostałaś. Miałaś to właśnie zrobić, gdy pojawił się Tirian.

- Nie ma tu wiele do opowiadania - odparł Piotr. - Edmund i ja staliśmy na peronie i zobaczyliśmy, jak nadjeżdża twój pociąg. Pamiętam, pomyślałem sobie, że bardzo szybko bierze zakręt przed stacją. Pamiętam też, jak pomyślałem: to zabawne, nasi jadą prawdopodobnie tym samym pociągiem, a Łucja o tym nie wie...

- Wasi, najjaśniejszy panie? - zapytał Tirian.

- Mam na myśli ojca i matkę, to znaczy rodziców moich, Edmunda i Łucji.

- Skąd oni się tam wzięli? - zdziwiła się Julia. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że

ONI wiedzą o Narnii?

- Och nie, to nie miało nic wspólnego z Narnią. Jechali do Bristolu. Po prostu usłyszałem, że wyjeżdżają tego ranka, a Edmund powiedział, że wobec tego muszą jechać tym pociągiem. - (Edmund należał do ludzi, którzy wszystko wiedzą o pociągach.)

- I co później się stało? - zapytała Julia.

- Cóż, nie tak łatwo to opisać, prawda, Edziu? - powiedział Wielki Król.

- No, nie bardzo - zgodził się Edmund. - To w ogóle nie przypominało tego, no wiecie, jak zostaliśmy przeniesieni do Narnii poprzednim razem, za pomocą magii. Usłyszałem okropny huk i coś jakby mnie z trzaskiem walnęło, ale nie czułem żadnego bólu. Nawet się nie przestraszyłem, tylko poczułem... no... jakieś takie podniecenie. I... pamiętam jeszcze coś dziwnego. Miałem boleśnie stłuczone kolano, wiecie, ktoś mnie kopnął podczas gry w rugby. I wtedy poczułem, że to nagle minęło. Poczułem się bardzo lekko. No i... byliśmy już tutaj.

- Z nami, w pociągu, było bardzo podobnie - rzekł lord Digory, wycierając kilka kropel owocowego soku ze swojej złotej brody. - Wydaje mi się tylko, że my, to znaczy ja i Pola, poczuliśmy się przede wszystkim o wiele bardziej rześcy i rozluźnieni. Wy, młodzi, nie potraficie tego zrozumieć. Po prostu przestaliśmy czuć się staro.

- Młodzi, też mi coś! - prychnęła Julia. - Nie wierzę, że jesteście o wiele starsi od nas.

- No, jeżeli nie jesteśmy, to w każdym razie BYLIŚMY - powiedziała pani Pola.

- A co się wydarzyło od momentu, gdy się tu znaleźliście? - zapytał Eustachy.

- Przez dłuższy czas - odparł Piotr - nic się nie działo, tak mi się przynajmniej wydawało. Potem drzwi się otworzyły...

- Drzwi? - przerwał mu Tirian.

- No tak, drzwi, przez które tu wpadłeś... albo wypadłeś, jak wolisz. Już zapomniałeś?

- Ale gdzie one są?

- Spójrz - rzekł Piotr i wskazał ręką. Tirian spojrzał i zobaczył najbardziej dziwną i śmieszna rzecz, jaką można sobie wyobrazić. Kilka metrów od nich stały sobie w pełnym słońcu zwykłe, dość prymitywne drzwi z desek, a naokoło nich drewniane odrzwia - i nic więcej: żadnych ścian, żadnego sufitu. Podeszedł do nich, zdumiony, a za nim pozostali, ciekawi, co chce zrobić. Obszedł drzwi dookoła. Z tamtej strony wyglądały tak samo jak z tej: zwykłe drewniane drzwi stojące sobie na

łącze w letni poranek. Można powiedzieć, że wyrastały z ziemi jak drzewo.

- Dostojny panie - rzekł Tirian do Wielkiego Króla - to naprawdę dziw nad dziwy.

- To są drzwi, przez które kilka minut temu wpadłeś tu wraz z tym Kalormeńczykiem - powiedział Piotr z uśmiechem.

- Ale przecież ja wpadłem z lasu do Stajni! A te drzwi prowadzą znikąd donikąd.

- One tak wyglądają, kiedy się je OBCHODZI naokoło - rzekł Piotr. - Przyłóż jednak oko do tej szczeliny między dwiema deskami i popatrz PRZEZ NIE.

Tirian przybliżył twarz do Drzwi i spojrzał przez szparę. W pierwszej chwili zobaczył tylko ciemność.

Potem, kiedy się trochę przyzwyczaił, ujrzał czerwony blask dogasającego ogniska, a wyżej gwiazdy na tle czarnego nieba. Po chwili dostrzegł też zarysy postaci poruszających się tu i tam lub stojących między Drzwiami a ogniskiem. Usłyszał głosy: najwyraźniej głosy Kalormeńczyków. Zrozumiał, że spogląda ze Stajni w ciemność Latarnianego Pustkowie, tam, gdzie stoczył swą ostatnią bitwę. Kalormeńczycy dyskutowali, czy wejść do środka i zobaczyć, co się stało z Riszdą Tarkaanem (tyle że żaden nie miał na to ochoty), czy też od razu podpalić Stajnię.

Rozejrzał się ponownie wokół siebie i ledwo uwierzył oczom. Nad głową jaśniało błękitne niebo, a zielony kraj rozciągał się w każdą stronę tak daleko, jak sięgał wzrok. Przy nim stali, śmiejąc się, jego nowi przyjaciele.

- Wygląda na to - rzekł Tirian i sam zaczął się śmiać - że Stajnia widziana z zewnątrz i Stajnia widziana od wewnątrz to dwa różne miejsca.

- Tak - przyznał lord Digory. - Jej wnętrze jest większe niż to, co jest na zewnątrz.

- Tak - dodała królowa Łucja. - W naszym świecie też była kiedyś taka stajenka, w której znajdowało się coś większego niż cały świat. - Przemówiła po raz pierwszy, a po drzeniu jej głosu Tirian poznał, dlaczego. Łucja przeżywała wszystko o wiele silniej niż inni. Była po prostu zbyt szczęśliwa, by mówić. Chciał jeszcze raz usłyszeć jej głos, więc powiedział:

- Uczyń mi łaskę, pani, i opowiadaj dalej. Opowiedz mi całą waszą przygodę.

- Po tym wstrząsie i huku - powiedziała Łucja - znaleźliśmy się tutaj. Dziwiliśmy się tym Drzwiom tak jak ty. Wtem otworzyły się po raz pierwszy - zobaczyliśmy przez nie ciemność - i wszedł wielki mężczyzna z szablą w dłoni. Po

rynsztunku poznaliśmy, że to Kalormeńczyk. Stanął przy drzwiach i wznosił szablę, opierając ją na ramieniu, gotów ściąć każdego, kto wejdzie. Podeszliśmy do niego i próbowaliśmy się z nim porozumieć, ale ani nas nie widział,

ani nie słyszał. Nie rozglądał się też wokoło; przypuszczam, że w ogóle nie widział nieba, słońca i trawy. A potem czekaliśmy dość długo, aż usłyszeliśmy, jak ktoś odsuwa rygiel z tamtej strony. Ten człowiek nie podniósł jednak wyżej miecza. Wywnioskowaliśmy z tego, że ma rozkaz uderzyć w jednych, a innych przepuszczać. Ale gdy tylko Drzwi się otworzyły, pojawił się nagle z tej strony Tasz, nikt nie zauważył skąd. A przez Drzwi wszedł wielki rudy kot. Zobaczył Tasza, wrzasnął i czmychnął z powrotem w ostatniej chwili, bo potwór już chciał go dziobnąć; nawet uderzył dziobem w zamykane Drzwi. Teraz ten żołnierz też ujrzał Tasza i padł przed nim na twarz. Ale Tasz zniknął. Potem znowu czekaliśmy przez długi czas. W końcu Drzwi otworzyły się po raz trzeci i wszedł młody Kalormeńczyk. Podobał mi się. Wartownik przy Drzwiach spojrzął i wyglądał na bardzo zaskoczonego, jakby się spodziewał kogoś innego...

- Teraz już wszystko rozumiem - wtrącił Eustachy (zawsze miał brzydki zwyczaj przerywania komuś opowieści). - Ten żołnierz wiedział, że kot wejdzie pierwszy, i miał nie wyrządzić mu krzywdy. Potem kot by wyszedł i powiedział, że zobaczył straszliwego Tasza. Miał UDAWAĆ przestraszonego, żeby przerazić wszystkie pozostałe zwierzęta. Ale Krętaczowi nigdy nie wpadło do głowy, że może zjawić się prawdziwy Tasz i że Imbir wyleci naprawdę przestraszony. A potem Krętacz miał wysłać do środka tego, kogo zechce, i ten drab miał go zabić, i...

- Przyjacielu - rzekł Tirian miękko - przeszkodziłeś tej szlachetnej damie w opowieści.

- No więc - powiedziała Łucja - wartownik był bardzo zaskoczony. To pozwoliło temu młodzieńcowi przygotować się do walki. Zabił wartownika i wypchnął ciało przez Drzwi na zewnątrz. Potem powoli podszedł, zobaczył nas, zobaczył to wszystko. Próbowaliśmy z nim rozmawiać, lecz zachowywał się jak w transie. Wciąż powtarzał: „Tasz, Tasz, gdzie jest Tasz? Idę do Tasza”. Daliśmy mu spokój, a on poszedł gdzieś... o, tam. Podobał mi się. A potem... och! - Łucja skrzywiła się.

- Potem - odezwał się szybko Edmund - ktoś wrzucił przez Drzwi małpę. I znowu pojawił się Tasz. Moja siostra ma tak czułe serce, że nie chce mówić, co stało się później. Tasz dziobnął tylko raz i już było po małpie.

- Dostała to, na co zasłużyła - wtrącił Eustachy. - Ale obawiam się, że Taszowi

nie wyjdzie to na zdrowie.

- A potem - ciągnął Edmund - weszło z tuzin karłów, potem Eustachy, Julia, a na samym końcu ty, panie.

- Mam nadzieję, że Tasz połknął również te karły - rzekł Eustachy. - Nędzne prosiaki!

- Nie, nie uczynił tego - powiedziała Łucja. - I nie bądź okropny. One wciąż tutaj są. Nawet stąd można je zobaczyć. Próbowałam się z nimi zaprzyjaźnić, ale bez skutku.

- ZAPRZYJAŹNIĆ się z NIMI! - zawołał Eustachy. - Gdybyś wiedziała, jak się zachowały...

- Och, przestań, Eustachy - powiedziała Łucja. - Chodź ze mną i popatrz na nie. Tirianie, może ty coś z nimi zrobisz?

- Nie potrafię dziś wzbudzić w sobie miłości do karłów - odparł Tirian. - Ale na twoją prośbę, pani, dokonałbym o wiele trudniejszych czynów.

Łucja poprowadziła ich i wkrótce wszyscy je zobaczyli. Był to bardzo dziwny widok. Karły nie spacerowały sobie po okolicy, nie zajadały się owocami, nie leżały w trawie, odpoczywając po trudach tej nocy. Siedziały w ciasnym kręgu nie patrząc wokoło i milcząc. Dopiero wówczas, gdy Łucja i Tirian stali już tak blisko, że mogli ich dotknąć, podniosły głowy i zaczęły nimi obracać, jakby niczego nie widziały, tylko coś słyszały i próbowały poznać po dźwięku, o co chodzi.

- Uważajcie! - odezwał się jeden z nich rozdrażnionym głosem. - Uważajcie, gdzie idziecie. Za chwilę wejdziecie nam na głowy.

- Dobra, dobra - odburknął Eustachy. - Nie jesteśmy ślepi. Mamy oczy.

- Muszą to być piekielnie dobre oczy, jeśli nimi coś tutaj widzisz - rzekł ten sam karzeł (miał na imię Digiel).

- Tutaj, to znaczy gdzie! - zapytał Edmund.

- Jak to gdzie, tępa głowo, TUTAJ - odparł Digiel. - W tej nędznej, ciemnej i śmierdzącej dziurze, jaką jest ta przeklęta Stajnia.

- Czy jesteście ślepi? - zapytał Tirian.

- A czy wszyscy nie jesteśmy ślepi w tych ciemnościach?

- Ależ tu wcale nie jest ciemno, biedne, głupie karły! - powiedziała Łucja. - Nie widzicie? Spójrzcie wokoło! Spójrzcie w górę! Nie widzicie nieba, drzew, kwiatów? Mnie nie widzicie?

- Jak, do wszystkich bzdur na świecie, mam zobaczyć coś, czego tu nie ma? A

ciebie nie widzę ani trochę lepiej niż ty mnie w tych grobowych ciemnościach.

- Ale JA ciebie WIDZĘ - odparła Julia. - Mogę ci to udowodnić. Masz fajkę w zębach.

- To może powiedzieć każdy, kto zna zapach tytoniu.

- Och, biedactwa! To okropne - powiedziała Łucja. Nagle wpadł jej do głowy pewien pomysł. Schyliła się i zerwała kilka fiołków.

- Posłuchajcie, karły - powiedziała - jeśli nawet coś jest nie w porządku z waszymi oczami, to może macie normalne nosy. Czujecie TO? - i podsunęła Digłowi świeże, wilgotne kwiaty pod nos. Ale natychmiast musiała odskoczyć, by uchylić się przed uderzeniem jego małej, twardej pięści.

- Tylko bez takich sztuczek! - zawołał. - Jak śmiesz przytykać mi do twarzy kupę jakichś plugawych śmieci z podłogi Stajni? I był w nich oset. Co za bezczelność! A w ogóle, kim wy jesteście?

- Synowie Ziemi - odezwał się Tirian - to jest królowa Łucja, przysłana tu przez Aslana z głębin czasów. Tylko ze względu na nią ja, Tirian, wasz prawowity król, nie uciałem wam jeszcze głów, bowiem dwukrotnie zdradziliście Narnię i jej koronę.

- Tego już za wiele! - rozżościł się na dobre Digiel. - Jak MOŻESZ powtarzać wciąż te wszystkie bzdury! Twój cudowny Lew jakoś nie przybył, żeby ci pomóc, co? Myślę, że nie. I nawet teraz, kiedy zostałeś pobity i zamknięty w tej ciemnej dziurze, wciąż bawisz się w stare gierki. Znowu zaczynasz kłamać. Znowu próbujesz nam wmówić, że nie jesteśmy zamknięci w Stajni, że nie jest ciemno i Bóg wie co jeszcze.

- Ta ciemna dziura istnieje tylko w waszej wyobraźni, głupcy! - krzyknął Tirian. - Wyłaźcie z niej! - Pochylił się, złapał Digła za pas i kaptur, i wyciągnął z kręgu karłów. Ale gdy tylko postawił go na ziemi, Digiel wskoczył z powrotem na swoje miejsce, rozcierając nos i zawodząc:

- Auu! Auu! Dlaczego to zrobiłeś? Uderzyłem twarzą o ścianę! O mało co nie zламаłeś mi nosa!

- Och, kochani - powiedziała Łucja - co możemy dla nich zrobić?

- Zostawić ich w spokoju - odparł Eustachy. Ale gdy tylko to powiedział, ziemia zadrżała. Powietrze wypełniła słodka woń. Jakaś jasność zapłonęła poza nimi. Wszyscy odwrócili się. Tirian uczynił to ostatni, bo przeniknął go lęk. I oto ujrzał przed sobą nadzieję swego serca, olbrzymiego i prawdziwego złotego Lwa, samego Aslana. Inni klęczeli już w półkolu wokół jego przednich łap, zanurzając ręce i twarze w złotej grzywie, a on pochylił się, aby dotknąć każdego językiem. A potem utkwiał

spojrzenie w Tirianie, a ten podszedł bliżej, drżąc, i upadł do stóp Lwa. Lew pocałował go i rzekł:

- Dzielnie się spisales, ostatni królu Narnii, stojąc nieugięte w jej najciemniejszej godzinie.

- Aslanie - powiedziała Łucja przez łzy - czy nie mógłbyś... czy zrobisz coś z tymi biednymi karłami?

- Kochanie - odparł Aslan - pokażę ci, co mogę, a czego nie mogę zrobić.

Zbliżył się do karłów i wydał z siebie cichy pomruk - cichy, lecz ziemia od niego zadrżała.

- Słyszeliście? - powiedział Digel. - To ta banda na drugim końcu Stajni. Chcą nas przestraszyć. Robią to za pomocą jakiejś maszyny. Nie zwracajmy na to uwagi. Nas nikt już nie nabierze!

Aslan podniósł głowę i wstrząsnął grzywą. I nagle na kolanach karłów pojawiły się najwspanialsze potrawy: pasztety, ozorki, gołąbki, biszkopty z kremem, lody, a każdy karzeł trzymał w ręku puchar dobrego wina. Ale i to nie poskutkowało. Zaczęły jeść i pić, lecz najwyraźniej nie czuły smaku tych wyszukanych potraw. Były przekonane, że jedzą i piją tylko to, co można znaleźć w każdej stajni. Jeden powiedział, że próbuje jeść siano, drugi, że znalazł kawałek starej rzepy, inny, że zmusza się do jedzenia zgniłej kapusty. Kiedy podniosły do ust złote puchary pełne czerwonego wina, zaczęły się krzywić, a jeden powiedział: „Tfu! To okropne pić brudną wodę z koryta, które służyło przedtem osłu! Nigdy nie myślałem, że upadniemy tak nisko”. Bardzo szybko każdy karzeł zaczął podejrzewać, że inni znaleźli coś lepszego niż on. Wyrwali sobie jedzenie z rąk, kłócili się i przeklinali szpetnie, aż wynikła z tego prawdziwa bijatyka i wszystkie przysmaki rozmazali sobie po twarzach albo wdeptali w ziemię. A kiedy w końcu usiedli, by zająć się swoimi podbitymi oczami i krwawiącymi nosami, rozległy się głosy:

- No, ale w każdym razie nie ma w tym żadnego matactwa. Nie pozwolimy, żeby nas ktoś oszukiwał. Karły należą do karłów.

- Sami widzicie - rzekł Aslan. - Nie pozwalają sobie pomóc. Wybrali przebiegłość zamiast wiary. Choć więzienie istnieje tylko w ich wyobraźni, to naprawdę są w nim zamknięci. Tak bardzo boją się, aby ich w coś nie WCIĄGNIĘTO, że nie można ich z tego WYCIĄGNAĆ. Ale chodźcie, dzieci. Mam co innego do zrobienia. Zbliżył się do Drzwi, a za nim podeszli wszyscy. Podniósł głowę i zaryczał:

- Już czas! - a potem głośniejszym głosem: - Czas! - a potem tak głośno, że chyba gwiazdy

zadrżały na swoich drogach: - CZAAAAS!

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

ROZDZIAŁ 14

NOC SPADA NA NARNIĘ

WSZYSCY STANĘLI OBOK ASLANA, po jego prawym boku, i spojrzeli przez otwarte Drzwi.

Ognisko wygasło. Wzgórze pogrążyło się w ciemnościach, gdyby nie czarne zarysy wierzchołków drzew na tle rozgwieżdżonego nieba, trudno byłoby uwierzyć, że patrzy się na las. Ale kiedy Aslan zaryczał po raz drugi, na lewo zamajaczył jeszcze jeden czarny kształt. Najpierw przypominał wielką, ciemną plamę na niebie, później ta plama rosła i rosła w górę, aż przybrała kształt olbrzyma stojącego na tle usianego gwiazdami nieba: największego ze wszystkich olbrzymów, jacy kiedykolwiek żyli w tym świecie. Wszyscy wystarczająco dobrze znali Narnię, by domyślić się, gdzie on musi stać: na torfowej wyżynie, daleko na północy, za Suchą Wodą. Julia i Eustachy przypomnieli sobie, jak pewnego razu, bardzo dawno temu, w głębokich podziemiach pod tymi torfowiskami zobaczyli wielkiego, śpiącego olbrzyma. Powiedziano im, że nazywa się Ojciec Czas i że obudzi się w dniu końca świata.

- Tak - powiedział Aslan, chociaż żadne z nich nie przemówiło. - Kiedy leżał uśpiony, nazywał się Czas. Teraz, gdy się przebudził, otrzyma nowe imię.

Wielki olbrzym poruszył się. Po zmianie czarnego zarysu na tle gwiazd poznali, że podniósł do ust róg. A potem - a upłynęło chyba dobrych kilka sekund, bo dźwięk rozchodzi się tak wolno - usłyszeli ryk rogu: przenikliwy i straszny, a jednak pełen dziwnego, śmiertelnego piękna.

Nagle niebo rozjarzyło się spadającymi gwiazdami. Cudownie jest zobaczyć choć jedną spadającą gwiazdę, a tu spadały ich tuziny, potem setki, a potem tysiące, aż w końcu niebo przesłoniła świetlista ulewa. Deszcz gwiazd padał i padał, a kiedy już oczy przyzwyczyły się do tych kaskad niebiańskiego blasku, zaczęli dostrzegać jeszcze jeden ciemny kształt na ich tle. Znajdował się w innym miejscu niż olbrzym, wysoko, nad ich głowami, na samym - jak można by powiedzieć - suficie nieba. „Może to obłok”, pomyślał Edmund. W każdym razie w tym miejscu nie widzieli gwiazd, tylko ciemność, a dookoła spadał wciąż deszcz żywego srebra. A potem ta bezgwiezdna plama zaczęła rosnąć, rozprzestrzeniając się ze środka nieba coraz dalej i dalej. Czerń pokrywała już ćwierć nieba, potem połowę, aż w końcu kaskada gwiazd opadała już tylko nad samym horyzontem.

Wszystkich przeszył dreszcz zdumienia (a także i trochę zgrozy), gdy zrozumieli, co się dzieje. Rozrastająca się plama czerni nie była chmurą: była po

prostu pustką. W czarnej części nieba nie pozostała już ani jedna gwiazda. Wszystkie spadły: Aslan wezwał je z niebieskich przestworzy na ziemię.

Ostatnich kilka sekund gwiazdnego deszczu wprawiło wszystkich w jeszcze większe oszołomienie. Teraz gwiazdy spadały wokół nich. W świecie, o którym wam opowiadam, gwiazdy nie są wielkimi ognistymi kulami, jak w naszym. Są żywymi istotami (Edmund i Łucja spotkali kiedyś jedną z nich). Tak więc znaleźli się teraz wśród ciżby roziskrzonych istot - z długimi włosami jak płonące srebro i z włócznie jak rozgrzany do białości metal - pędzących ku nim wprost z czarnego nieba szybciej niż spadają kamienie. Opadały z sykiem na ziemię, wypalając w tym miejscu trawę, a potem prześlizgiwały się przed nimi i zatrzymywały gdzieś z tyłu, z prawej strony.

Okazało się to bardzo korzystne, bo w przeciwnym razie, gdy niebo zostało ogołocone z gwiazd, na ziemi zapanowałaby całkowita ciemność i nic nie byłoby widać. Teraz tłum gwiazd rzucał ponad ich ramionami strumienie ostrego, białego światła. Widzieli milę za milą narnijskich puszczy i łąk, zalanych potopem blasku. Każde drzewo, każdy krzak, każde źdźbło trawy rzucało za siebie czarny cień. Krawędzie każdego liścia rysowały się tak ostro, że wydawało się, iż można sobie nimi skaleczyć palce.

Przed nimi, na trawie, leżały ich własne cienie. Lecz największe wrażenie sprawiał cień Aslana wybiegający daleko, w lewą stronę, groźny i majestatyczny. A wszystko to działo się pod niebem, na którym nie było już gwiazd.

Silny blask bijący spoza nich (nieco z prawej strony) oświetlał nawet zbocza gór zamykających Dzikie Kraje Północy. Dostrzegli tam jakiś ruch. Wielkie zwierzęta spelzały z gór ku Narnii: olbrzymie smoki, gigantyczne jaszczury, wielkie nieopierzone ptaki ze skrzydłami nietoperza. Teraz znikły w puszczy i przez parę minut panowała cisza. A potem nadpłynęły - najpierw z bardzo daleka - odgłosy tęsknego zawodzenia, a po chwili ze wszystkich stron rozległ się szum, tupot i tętent. Te dźwięki zbliżały się jak wielka fala zmierzająca ku wybrzeżu z samego serca oceanu. Wkrótce dał się odróżnić tupot małych stóp od głuchego kroku wielkich łap i stukot małych kopytek od grzmotu wielkich kopyt. A potem wszyscy ujrzeli tysiące par rozjarzonych oczu. I w końcu wystrzeliły z cienia drzew, pędząc w górę zbocza jak w biegu o życie, tysiące, miliony stworzeń wszystkich rodzajów: mówiące zwierzęta, karły, satyry, fauny, olbrzymy, Kalormeńczycy, mieszkańcy Archenlandii, jednonogi i nieziemskie stworzenia z dalekich wysp lub nieznanymi krajów Zachodu. I wszyscy biegli ku otwartym Drzwiom na szczycie Wzgórza, gdzie stał Aslan.

Tylko ta część ich przygody sprawiała wrażenie snu i trudno było dokładnie ją zapamiętać. Nikt później nie potrafił powiedzieć, jak długo trwała: czasem wydawało się, że tylko parę minut, a innym razem, że całe lata. Gdy później zastanawiali się nad tym wszystkim stało się oczywiste, że albo Drzwi niesłychanie urosły, albo wszystkie stworzenia zrobiły się małe jak komary, bo w przeciwnym razie taki tłum nie mógłby nawet próbować przez nie się przedostać. Ale wtedy nikt nie myślał o takich rzeczach.

Stworzenia nadbiegały, a ich oczy lśniły coraz jaśniej i jaśniej, gdy zbliżały się do stojących opodal gwiazd. A kiedy podbiegły do Aslana, coś się w nich zmieniło, a ściślej mówiąc, w każdym zaszła jedna z dwu zmian.

Wszystkie spojrzały mu prosto w twarz; nie sądzę, by mogły tego nie zrobić. Lecz u jednych wyraz twarzy zmienił się nagle okropnie: pojawiły się nienawiść i przerażenie. Trwało to ułamek sekundy i nagle przestały być MÓWIĄCYMI zwierzętami - stały się ZWYKŁYMI zwierzętami. I wszystkie stworzenia, które spojrzały na Aslana w ten sposób, zboczyły w prawo - czyli na lewo od niego - i znikły w jego wielkim, czarnym cieniu, który (jak już mówiłem) rozciągał się na lewo od Drzwi. Dzieci nigdy już ich nie zobaczyły. Sam nie wiem, co się z nimi stało. Natomiast inne stworzenia spojrzały w twarz Aslana z miłością, choć niektóre z lękiem. I te wszystkie przeszły przez Drzwi, gromadząc się w tłumie po jego prawicy. Były wśród nich bardzo dziwne gatunki. Eustachy rozpoznał nawet jednego z tych karłów, które strzelały do koni. Nie miał jednak czasu na dziwienie się temu (zresztą nie była to jego sprawa), bo wielka radość przesłoniła mu wszystko inne. Wśród rozradowanych stworzeń tłoczących się teraz wokół Tiriana i jego przyjaciół, znalazły się wszystkie, które uważali za zmarłe: centaur Runwid i jednorożec Klejnot, dobry niedźwiedź i dobry dzik, kochane psy i konie, orzeł Dalwid i karzeł Pogin.

- W dal i wwyż! - zawołał Runwid i grzmiąc kopytami, pocwałował na zachód. I chociaż nie pojęli sensu tych słów, przeniknął ich słodki dreszcz. Dzik zachrzękał do nich radośnie. Niedźwiedź zamierzał właśnie mruknąć, że wciąż niczego nie rozumie, gdy zobaczył owocowe drzewa. Potoczył się ku nim tak szybko, jak potrafił, i bez wątpienia znalazł tam wreszcie coś, co rozumiał bardzo dobrze. Ale psy pozostały przy nich, merdając ogonami, został też Pogin z roześmianą uczciwą twarzą, ściskając wszystkim dłonie. Klejnot skłonił swą śnieżnobiałą głowę ku twarzy króla, a król szepnął mu coś do ucha. A potem wszyscy zwrócili baczną uwagę na to, co widzieli przez Drzwi.

Teraz Narnia należała do smoków i jaszczurów. Krążyły tu i tam, wrywając

drzewa z korzeniami, podrzucając je do góry i chrupiąc jak łydgi rabarbaru. W kilka minut puszcze znikły. Cała kraina została obnażona i mogli zobaczyć wiele rzeczy, jakich przedtem nie zauważyli: małe wzniesienia, garby, zapadliny i jamy. Trawa zwiędła. Wkrótce Tirian patrzył na świat nagiej ziemi i skał. Trudno było uwierzyć, że coś tu kiedyś żyło. Potwory też szybko się zestarzały, legły na ziemi i pozdychały. Ich ciała wyschły i odpadły, aż pokazały się kości; wkrótce na martwych skałach leżały tylko tu i tam szkielety, wyglądające tak, jakby spoczywały tu od tysiący lat. Na długi czas wszystko zamarło.

W końcu coś białego - długa, pozioma linia bieli lśniąca w świetle stojących gwiazd - pojawiło się na wschodnim krańcu świata i zaczęło się ku nim przybliżać. Ciszę przerwał rozległy, toczący się dźwięk: najpierw pomruk, później bezładny tumult, jeszcze później ryk. Teraz zobaczyli, co się ku nim zbliża i z jaką pędzi szybkością: to spieniona ściana wody. Morze powstało ze swego legowiska. Patrząc przez Drzwi na ten nagi świat, widziało się, jak rzeki występują z brzegów, jeziora rozlewają się, łącząc się ze sobą, doliny przemieniają się w zatoki, wzgórza w wyspy. A potem

wyspy zginęły pod wodą. Na lewo stroma wyżyna, na prawo jeszcze wyższe góry popękały, skruszyły się i osunęły z hukiem w spiętrzoną wodę, a woda podbiegła, kłębiąc się i wirując, aż do samego progu Drzwi, tak że piana opadła na stopy Aslana. I od tego progu aż do samego widnokręgu wszystko pokrył teraz jeden płaski ocean.

Tam, gdzie wody łączyły się z niebem, pojawiła się jasność. Smuga posępnej zorzy rozlała się wzdłuż widnokręgu, poszerzając się szybko i rozjaśniając, aż przyćmiła światło stojących za nimi gwiazd. Wzeszło słońce. A kiedy wzeszło, lord Digory i pani Pola spojrzeli na siebie i pokiwali głowami: kiedyś, w innym świecie, widzieli już umierające słońce i nie mieli wątpliwości, że to również jest bliskie śmierci. Trzykrotnie - nie, dwudziestokrotnie większe niż być powinno, przybrało barwę ciemnej czerwieni. Gdy jego promienie padły na olbrzyma noszącego kiedyś imię Czas, zrobił się też czerwony, a cały bezmiar wód wyglądał teraz jak ocean krwi.

A potem w zupełnie nienormalnym miejscu, tuż koło słońca, pojawił się czerwony księżyc. Na jego widok słońce zaczęło miotać ku niemu wielkie jęzory purpurowego ognia, jak ośmiornica pragnąca zagarnąć zdobycz w swoje macki. Być może księżyc przyciągał słońce, w każdym razie zbliżyło się ku niemu, najpierw powoli, potem coraz prędzej i prędzej, aż w końcu długie promienie otoczyły mniejszą kulę i obie stały się jedną wielką bryłą, rozżarzoną jak płonący żużel. W morze spadły

strumienie płynnego ognia, wzbijając obłoki pary. Wówczas Aslan powiedział:

- Teraz uczyń koniec.

Olbrzym cisnął swój róg do morza. Wyciągnął poprzez niebo rękę - czarną i długą na tysiące mil - aż dosięgnął słońca. Pochwycił je i ścisnął jak pomarańczę. I nagle zrobiło się zupełnie ciemno.

Wszyscy, prócz Aslana, odskoczyli do tyłu przed lodowatym podmuchem, który wtargnął przez Drzwi. Odrzwia pokryły się soplami.

- Piotrze, Wielki Królu Narnii - rzekł Aslan - zamknij Drzwi!

Dygocąc z zimna, Piotr wychylił się w ciemność i pociągnął Drzwi ku sobie. Lód zachrzącał i Drzwi się zatrzęsęły. Potem, z pewnym trudem, bo ręce mu zgrabiały i zsiniały, wyjął złoty klucz i zamknął je.

Przez te Drzwi zobaczyli dziwne rzeczy. Ale najdziwniejsze widzieli teraz wokół siebie: znajdowali się w ciepłym świetle dnia, z błękitnym niebem nad głowami, z kwiatami u stóp i śmiechem w oczach Aslana.

Lew okręcił się błyskawicznie w miejscu, przycałował, uderzył ogonem po bokach i wystrzelił w powietrze jak złota strzała.

- Dalej w głąb! Dalej wzwyż! - zaryczał w skoku, odwracając do nich głowę. Ale kto mógłby dotrzymać mu kroku? Ruszyli za nim na zachód.

- A więc - powiedział Piotr - wieczna noc spadła na Narnię. Cóż to, Łusiu? Chyba nie PŁACZESZ? Z Aslanem przed nami, z tym wszystkim wokół nas?

- Nie wymawiaj mi tego, Piotrze - odpowiedziała Łucja. - Jestem pewna, że Aslan by tego nie zrobił. Jestem pewna, że nie ma nic złego w opłakiwaniu Narnii. Pomyśl o tym wszystkim, co leży martwe i zamrożone za tymi Drzwiami.

- Tak, ja też MIAŁAM wielką nadzieję, że to będzie trwało wiecznie - odezwała się Julia. - Wiem, że nasz świat kiedyś się skończy. Ale nie myślałam, że nastanie kiedyś koniec Narnii.

- Widziałem jej narodziny - rzekł lord Digory. - Nie sądziłem, że będę jeszcze żył, gdy nadejdzie jej koniec.

- Przyjaciele - powiedział Tirian - nie ma nic złego w tym, że te szlachetne panie płaczą. Spójrzcie, ja też ronię łzy. Ujrzałem śmierć mojej matki. Nigdy nie znałem innego świata prócz Narnii. Nie opłakiwać jej? Nie byłoby to cnotą, lecz brakiem czułości.

Odeszli od Drzwi i od karłów, które wciąż siedziały ponuro w nie istniejącej już Stajni. A kiedy szli, rozmawiali o dawnych wojnach i o czasach pokoju, o starożytnych

królach i wszystkich minionych świetnościach Narnii.

Psy wciąż im towarzyszyły. Od czasu do czasu brały udział w rozmowie, ale przede wszystkim hasały po łąkach, wrywając się w szalonym pędzie do przodu, powracając, obwąchując trawę i kwiaty, kichając i znowu pędząc wokół. Nagle zwęszyły jakiś trop, który wprowadził je w wielkie podniecenie i wywołał ożywioną dyskusję.

- Tak, to jest to. - Nie, to nie to. - To jest właśnie to, o czym mówiłem. - Czy ktoś wyczuwa, co to naprawdę jest? - 'Zabierz stąd swój wielki nochal i pozwól powąchać innym.

- Cóż tam macie, krewniacy? - zapytał Piotr.

- To jakiś Kalormeńczyk, panie - odpowiedziało natychmiast kilka głosów.

- Prowadźcie więc nas do niego - rzekł Piotr. - Powitamy go z radością, jeśli wyciągnie ku nam rękę, ale spotkamy się z nim równie ochoczo, jeśli będzie czekał na nas z nagą szablą.

Psy pognały za tropem i za chwilę, ujadając głośno, powróciły w takim pędzie, jakby od tego biegu zależało ich życie. Oznajmiły, że rzeczywiście znalazły Kalormeńczyka. (Mówiące psy, podobnie jak zwykle, zachowują się tak, jakby to, co robią w danej chwili, było niezwykle ważne.)

Psy zaprowadziły ich do rosnącego nad przejrzystym strumieniem kasztana. Siedział tam Emet, młody Kalormeńczyk, który tak bardzo pragnął zobaczyć swojego boga. Na ich widok powstał i skłonił się z powagą.

- Wasza wielmożność - rzekł do Piotra - nie wiem, czy przybywasz jako przyjaciel, czy jako wróg, lecz poczytam sobie za wielki honor i jedno, i drugie. Czyż bowiem jeden z poetów nie powiedział, że szlachetny przyjaciel jest darem najwspanialszym, a darem następnym co do wspaniałości jest szlachetny wróg?

- Panie rycerzu - odrzekł Piotr - nie znajduję żadnej przyczyny, dla której miałby nas dzielić wyciągnięte miecze.

- Powiedz nam, kim jesteś i co się z tobą działo? - zapytała Julia.

- Jeżeli ma to być dłuższa opowieść, to napijmy się i usiadźmy - zaszczekały psy. - Jesteśmy bardzo zdyszane.

- No i trudno się temu dziwić - zauważył Eustachy - skoro wciąż latacie tam i z powrotem z wywieszonymi językami.

Tak więc ludzie posiadali na trawie, a kiedy psy hałaśliwie zaspokoili pragnienie, uczyniły to samo, wspierając się na przednich łapach i przechylając łby na

bok, aby lepiej słyszeć. Tylko Klejnot stał, polerując sobie róg o swój biały jedwabisty bok.

ROZDZIAŁ 15

DALEJ WZWYŻ I DALEJ W GŁĄB

Wiedziecie, o waleczni królowie - zaczął Emet - i wy, szlachetne panie, których piękność rozjaśnia wszechświat, że jestem Emet, siódmy syn Harfy Tarkaana z miasta Tehiszbaan, leżącego na zachód od Wielkiej Pustyni. W ostatnich dniach przybyłem do Narnii wraz z dwudziestoma dziewięcioma towarzyszami pod wodzą Riszdy Tarkaana. Kiedy dowiedziałem się, że czeka nas wyprawa do Narnii, moje serce wypełniła radość, wiele bowiem słyszałem o waszym kraju i pragnąłem spotkać się z wami na polu bitwy. Lecz kiedy odkryłem, że mamy tu przyjść w przebraniu kupców - co jest niegodne rycerza i syna Tarkaana - i działać posługując się kłamstwem i podstępem, radość opuściła moje serce. A kiedy powiedziano nam, że musimy czekać na zdradę małpy, a później, że Tasz i Aslan to jedna osoba, wówczas świat pociemniał w moich oczach. Albowiem służyłem Taszowi wiernie od czasu, gdy byłem małym chłopcem, i zawsze marzyłem o tym, aby poznać go lepiej, a jeśli to będzie możliwe, aby spojrzeć w jego oblicze. A imienia Aslana nienawidziłem z całego serca.

I oto, jak sami widzieliście, wzywano nas wszystkich noc po nocy przed pokrytą słomą szopę i rozpalono wielkie ognisko, a małpa wyprowadzała z szopy jakieś czworonożne stworzenie, którego nigdy nie widziałem dokładnie, a ludzie i zwierzęta oddawali mu pokłony. Ja jednak myślałem: Oto Tarkaan daje się oszukiwać małpie, bo przecież to wyprowadzane ze Stajni zwierzę nie jest ani Taszem, ani żadnym innym bóstwem. Ale kiedy przypatrywałem się uważnie twarzy Tarkaana i słuchałem bacznie tego, co mówił do małpy, zmieniłem zdanie, ponieważ stało się dla mnie jasne, iż Tarkaan sam nie wierzy w to wszystko. I wtedy zrozumiałem, że on w ogóle nie wierzy w Tasza, bo gdyby wierzył, to czyż ośmielałby się z niego szydzić?

Kiedy to pojąłem, wielki gniew wypełnił moje serce i dziwiłem się, dlaczego prawdziwy Tasz nie spali małpy i Tarkaana ogniem z nieba. Ukryłem jednak mój gniew i nakazałem swemu językowi, by milczał, czekając, jak to się wszystko skończy. Ale ostatniej nocy, jak niektórzy z was wiedzą, małpa nie wyprowadziła ze Stajni żółtego stworzenia, lecz powiedziała, że wszyscy, którzy chcą spojrzeć w oblicze Taszlana - tak pomieszali te dwa imiona, udając, że to jedna osoba - muszą wejść pojedynczo do szopy. I powiedziałem sobie: zaprawdę, to jeszcze jedno oszustwo. Lecz kiedy wszedł kot i wypadł z szopy ogarnięty szaleństwem z przerażenia, powiedziałem sobie: oto ten, w którego oni nie wierzą i którego wzywali, nie wiedząc, kogo wzywają, prawdziwy Tasz pojawił się wśród nas, aby pomścić swoje zniewagi. I chociaż moje

serce stało się niczym woda w obliczu wielkości i grozy Tasza, to jednak moje pragnienie było silniejsze od lęku. Nakazałem swym kolanom, by nie drżały, a swoim zębom, by przestały szczekać, i postanowiłem spojrzeć w oblicze Tasza, nawet jeśli by miał odebrać mi życie. Tak więc wystąpiłem i oznajmiłem przed wszystkimi, że chcę wejść do szopy. A Tarkaan, choć niechętnie, musiał się na to zgodzić.

Kiedy tylko przekroczyłem próg Stajni, spostrzegłem ze zdumieniem, że jestem w pełnym słońcu - tak jak teraz - choć wewnątrz szopy z zewnątrz wydawało się ciemne. Nie miałem jednak czasu, by się temu dziwić, bo natychmiast zostałem zmuszony do walki o życie z jednym z naszych ludzi. Gdy tylko go ujrzałem, zrozumiałem, że to małpa i Tarkaan kazali mu stanąć przy Drzwiach i zabić każdego, kto wchodzi, chyba że byłby we wszystko wtajemniczony. Ten człowiek był więc kłamcą i bluźniercą, a nie prawdziwym sługą Tasza. Dlatego z ochotą uśmierciłem łotra, a jego ciało wyrzuciłem przez Drzwi.

Potem rozejrzałem się wokół siebie, zobaczyłem niebo i rozległą, zieloną krainę i poczułem słodką woń. I powiedziałem do siebie: „Na wszystkich bogów, cóż to za urocze miejsce, czy to możliwe, bym znalazł się w krainie Tasza?” Wyruszyłem więc w wędrówkę po tej przedziwnej okolicy, aby go odnaleźć.

Szedłem przez wiele ukwieconych łąk i pośród najróżniejszych rodzajów życiodajnych, pokrytych wyśmienitymi owocami drzew, aż oto w wąskim przejściu między dwiema skałami spotkałem wielkiego Lwa. Poruszał się z szybkością strusia, a wielki był jak słoń; jego grzywa lśniła jak czyste złoto, a oczy płonęły mu jak złoto roztopione na powierzchni. Był straszniejszy niż Płonąca Góra Lagur, a jego piękność przewyższała wszystko, co istnieje na świecie, tak jak uroda kwitnącej róży przewyższa pył pustyni. Upadłem na twarz u jego stóp i pomyślałem: Oto nadeszła godzina mojej śmierci, bo przecież ów godzin najwyższej czci Lew pozna, że przez wszystkie dni mojego życia nie służyłem jemu, lecz Taszowi. Czyż jednak nie lepiej zobaczyć Lwa i umrzeć, niż być Tisrokiem całego świata i żyć, nie widząc go? Lecz oto Wspaniały pochylał głowę, dotknął mego czoła swym językiem i powiedział: „Bądź pozdrowiony, synu”. A ja odpowiedziałem: „Niestety, panie, biada mi, bo nie jestem twoim synem, lecz sługą Tasza”. Ale on odrzekł: „Moje dziecko, wszystko, co uczyniłeś dla Tasza, ja przyjmuję jako służbę mnie”. A wówczas, nie mogąc już dłużej poskromić mojej żądy poznania i zrozumienia, przemogłem strach i zapytałem Wspaniałego: „Panie, a więc to prawda, że ty i Tasz to jedno?” Lew wydał z siebie gniewny pomruk, od którego ziemia zadrżała, i powiedział: „To fałsz, a wszystko, co czyniłeś dla Tasza, przyjmuję

tak, jakbyś to czynił dla mnie - nie dlatego, że on i ja jesteśmy jedną osobą, lecz dlatego, że jesteśmy swoimi przeciwieństwami. Ja i on tak bardzo się różnimy, iż żaden niegodziwy czyn nie może być dokonany w moje imię, a żaden czyn, który jest godziwy, nie może być dokonany w jego imię. Dlatego, jeśli ktokolwiek przysięga na Tasza i dotrzymuje przysięgi, ponieważ ją złożył, naprawdę przysięga mnie, choć o tym nie wie, i to ja udzielam mu nagrody. I jeśli ktokolwiek wyrządza okrucieństwo w moje imię, wówczas, choć wymawia imię Aslana, naprawdę służy Taszowi, i to Tasz przyjmuje jego czyn. Czy zrozumiałeś to, moje dziecko?" A ja powiedziałem: „Panie, wiesz, że zrozumiałem”. Lecz umiłowanie prawdy nakazało mi dodać: „A jednak przez wszystkie dni mojego życia szukałem Tasza”. A Wspaniały rzekł: „Mój umiłowany synu, gdybym to nie ja był tym, za kim tęskniłeś, nie szukałbyś tak długo i tak szczerze. Bo wszyscy znajdą to, czego naprawdę szukają”.

Potem tchnął na mnie, a drżenie moich członków ustąpiło i mogłem wstać. Powiedział, że powinniśmy się jeszcze spotkać i że muszę podążać dalej wzwyż i dalej w głąb. I zmienił się w burzę i potok ognia, i nagle zniknął.

I od tej chwili, czcigodni królowie i szlachetne panie, wędruję przed siebie, aby go spotkać, a przepełnia mnie tak wielkie szczęście, że odczuwam nawet słabość, jakbym był zraniony. Bo zaprawdę, czyż nie jest to dziw nad dziwy, że nazwał mnie umiłowanym synem, mnie, który jestem tylko psem...

- Psem? Co chcesz przez to powiedzieć? - przerwał mu jeden z psów.

- Panie - rzekł Emet - to tylko takie wyrażenie, jakiego używają w Kalormenie.

- No cóż, nie mogę powiedzieć, żeby mi się bardzo podobało - powiedział pies.

- Nie miał nic złego na myśli - odezwał się starszy pies. - Ostatecznie MY też nazywamy nasze szczenięta CHŁOPCAMI, kiedy się niewłaściwie zachowują.

- No tak... - przyznał pierwszy pies. - Albo DZIEWCZYNKAMI.

- Sza! - uciszył go starszy pies. - Nie używaj takich słów. Nie zapominaj, gdzie jesteśmy.

- Patrzcie! - powiedziała nagle Julia.

Ktoś zbliżał się do nich nieśmiało: wdzięczne, srebrnoszare stworzenie na czterech nogach. Wszyscy przyglądali mu się przez jakieś dziesięć sekund, a potem pięć czy sześć głosów zawołało jednocześnie:

- Przecież to Łamigłówek! Po raz pierwszy zobaczyli go w dzień, bez lwiej skóry, co bardzo go zmieniło. Był teraz sobą: cudownym osiołkiem z tak miękką szarą sierścią i tak łagodną, uczciwą twarzą, że gdybyście go zobaczyli, zrobilibyście

dokładnie to samo, co zrobiły Julia i Łucja: podbiegły, objęły go za szyję, ucałowały w nos i podrapały za uszami.

Zapytany, gdzie się podziewał, odrzekł, iż przeszedł przez Drzwi tuzem z innymi stworzeniami, lecz starał się później trzymać od nich z daleka, a zwłaszcza unikać Aslana. Widok prawdziwego Lwa napęlił go takim wstydem z powodu tego idiotycznego przebrania się w lwią skórę, że nie śmiał nikomu spojrzeć w oczy. Kiedy jednak zobaczył, że wszyscy jego przyjaciele wyruszają na zachód, podjadł nieco trawy („Nigdy jeszcze nie jadłem czegoś równie wspaniałego”), zebrał całą swą odwagę i poszedł za nimi.

- Ale jednego jestem pewien: zupełnie nie wiem, co zrobię, jeżeli naprawdę spotkam Aslana - zakończył swą opowieść.

- Zobacysz, że kiedy go naprawdę spotkasz, wszystko będzie dobrze - powiedziała królowa Łucja.

Później wszyscy razem ruszyli dalej w drogę, kierując się wciąż na zachód, bo czuli, że ten właśnie kierunek miał na myśli Aslan, gdy zawołał: „Dalej wzwyż i dalej w głąb!” Wiele innych stworzeń podążało wolno w tym samym kierunku, ale zielony kraj był tak rozległy, że nikt się nie tłoczył.

Wydawało się, że wciąż jest wczesnie, a powietrze przesyciła świeżość poranka. Co jakiś czas zatrzymywali się, aby popatrzeć wokoło i poza siebie, częściowo dlatego, że było tu tak pięknie, a częściowo dlatego, że okolicę przepełniało coś, czego nie mogli zrozumieć.

- Piotrze - powiedziała Łucja - gdzie my właściwie jesteśmy?

- Nie wiem. Coś mi to przypomina, ale nie potrafię tego bliżej określić. Czyżbyśmy gdzieś właśnie tu raz spędzali wakacje, gdy byliśmy bardzo, bardzo mali?

- Byłyby to naprawdę dobre wakacje - zauważył Eustachy. - Założę się, że w NASZYM świecie nigdzie nie ma takiego kraju jak ten. Spójrzcie, co za barwy! Czy kiedykolwiek widzieliście taki błękit jak tam, na tych górach?

- Czy to nie jest kraina Aslana? - zapytał Tirian.

- Nie, to nie przypomina krainy Aslana na szczycie wielkiej góry, za wschodnim krańcem świata - powiedziała Julia. - Byłam tam.

- Gdyby mnie kto pytał - rzekł Edmund - tobym powiedział, że jesteśmy gdzieś w Narnii. Spójrzcie na te góry przed nami i na te wysokie, oblodzone szczyty za nami. Czy nie są podobne do gór, na jakie patrzyliśmy z Narnii, wiecie, te góry na zachodzie, za Wodospadem?

- Tak, chyba masz rację - zgodził się Piotr.

- Tylko że te są wyższe.

- Nie wydaje mi się, żeby te góry wyglądały po narnijsku - odezwała się Łucja. -

Ale spójrzcie tam

- wskazała na lewo, na południe, i wszyscy przystanęli, by popatrzeć. - Te wzgórza, pokryte takim pięknym lasem, i te błękitne za nimi... czy nie przypominają południowej granicy Narnii?

- Rzeczywiście! - zawołał Edmund po chwili milczenia - No jasne, są zupełnie takie same! Patrzcie, tam jest góra Pir z rozwidlonym szczytem, a tam przełęcz wiodąca do Archenlandii!

- A jednak chyba nie - powiedziała Łucja. - Przecież są jakieś inne, bardziej kolorowe. I są chyba o wiele dalej niż tamte, w Narnii, jeśli dobrze pamiętam, i są bardziej... bardziej... och, nie wiem!

- Bardziej prawdziwe - rzekł lord Digory cicho. Nagle orzeł Dalwid rozwinął skrzydła, wzleciał na

jakieś dziesięć czy piętnaście metrów w powietrze, zatoczył koło i wylądował lekko obok nich.

- Królowie i królowe! - zawołał. - Wszyscy byliśmy ślepi. Dopiero teraz zaczynamy widzieć, gdzie jesteśmy. Z góry ujrzałem wszystko: Ettinsmoor, Bobrową Tame, Wielką Rzekę i Ker-Paravel jaśniejący nad brzegiem Wschodniego Morza. Narnia nie zginęła. To jest Narnia!

- Ale jak, w jaki sposób? - zdumiał się Piotr. - Przecież Aslan powiedział nam, starszym, że już nigdy nie wrócimy do Narnii.

- No właśnie - rzekł Eustachy. - A poza tym przecież widzieliśmy na własne oczy jej zniszczenie. I jak zgasło słońce.

- I to wszystko jest jednak trochę inne - dodała Łucja.

- Orzeł ma rację - powiedział lord Digory. - Posłuchaj, Piotrze. Kiedy Aslan powiedział, że już nigdy nie wrócisz do Narnii, mówił o Narnii, jaką ty miałeś na myśli, lecz nie o prawdziwej Narnii. Tamta miała początek i koniec. Była tylko cieniem lub odbiciem prawdziwej Narnii, która zawsze tu istniała i zawsze tu będzie, tak jak nasz własny świat, Anglia i cała reszta jest tylko cieniem lub odbiciem czegoś w prawdziwym świecie Aslana. Nie musisz oplakiwać Narnii, Łucjo. Wszystko, co się liczy ze starej Narnii - wszystkie kochane stworzenia - zostało wciągnięte do prawdziwej Narnii przez Drzwi. Masz rację, ta jest trochę inna, tak jak prawdziwa

rzecz jest inna od swego cienia lub jak życie na jawie różni się od snu.

Jego głos przeniknął wszystkich dreszczem. A potem Digory dodał bardzo cicho:

- To wszystko jest u Platona, wszystko jest u Platona. Coś takiego! Czego oni ich uczą w tych szkołach! - i starsi wybuchnęli śmiechem. Dokładnie to samo słyszeli wiele razy z jego ust dawno, dawno temu w innym świecie, kiedy miał siwą brodę zamiast złotej. Digory domyślił się, co ich tak rozbawiło, i sam się roześmiał. Ale wkrótce wszyscy znowu spowaźnieli, bo jak zapewne wiecie, jest taki rodzaj szczęścia i zadziwienia, który czyni człowieka poważnym. Jest po prostu za dobrze, by marnować czas na żarty.

Trudno właściwie określić, czym ten słoneczny kraj różnił się od starej Narnii, podobnie jak trudno było opowiedzieć, jak smakują owoce tego kraju. Wyobraźcie sobie, że jesteście w pokoju z oknem wychodzącym na cudowną zatokę lub zieloną dolinę wśród gór. A na przeciwległej do okna ścianie wisi lustro. I kiedy odwrócicie się od okna, znowu uchwycicie spojrzeniem to morze lub dolinę w lustrze. To morze w lustrze lub ta dolina w lustrze będą w pewnym sensie te same, co prawdziwe, a jednak inne. Tamte, oglądane przez okno, są jakby głębsze i wspanialsze, jak miejsca w opowieści - opowieści, jakiej nigdy nie słyszeliście, lecz jaką bardzo chcielibyście usłyszeć. Na tym mniej więcej polegała różnica między nową i starą Narnią. Nowa Narnia była krajem GŁĘBSZYM: każda skała, kwiat, każde źdźbło trawy wyglądały tak, jakby znaczyły WIĘCEJ. Nie potrafię tego lepiej opisać. Jeśli tu kiedyś traficie, dowiecie się, o co mi chodziło.

To, co czuli wszyscy, wyraził wreszcie jednorożec. Uderzył prawym przednim kopytem w ziemię, zarżał i zawołał:

- Nareszcie wróciłem do domu! To jest moja prawdziwa ojczyzna! Do niej należę. To jest kraj, za którym tęskniłem przez całe życie, chociaż nie wiedziałem o tym aż do dziś. To dlatego kochaliśmy starą Narnię, że czasami przypominała tę. Briihiiii-hii! Dalej wzwyż, dalej w głąb!

Potrząsnął grzywą, skoczył do przodu i pomknął galopem - pełnym galopem jednorożca, co w naszym świecie oznaczałoby, że w ciągu paru sekund zniknąłby nam z oczu. Lecz oto stała się rzecz jeszcze dziwniejsza. Wszyscy pobiegli za nim i ku swemu zdumieniu odkryli, że dotrzymują mu kroku: nie tylko psy i ludzie, ale nawet mały, gruby Łamigłówek i karzeł Pogin na krótkich nogach. Powietrze uderzyło ich w twarze, jakby pędzili odkrytym samochodem bez przedniej szyby. Okolica przesuwała

się tak szybko, jakby oglądali ją z okien pociągu ekspresowego. Biegli coraz szybciej i szybciej, lecz nikt się nie zgrzał, nie zmęczył i nie zadyszał.

ROZDZIAŁ 16

POŻEGNANIE Z KRAINĄ CIENI

GDYBY SIĘ POTRAFIŁO BIEC bez żadnego zmęczenia, to myślę, że nieczęsto chcieliby się robić coś innego. Mogą być jednak specjalne powody, aby się zatrzymać, i taki właśnie powód kazał Eustachemu zawołać:

- Hej! Wolniej! Patrzcie, dokąd się zbliżamy!

I dobrze zrobił, bo oto zobaczyli przed sobą Kocioł, a tuż za nim stromą ścianę skały, z której w każdej sekundzie spadały tysiące ton wody, połyskującej jak deszcz diamentów i wabiącej tajemniczą, przejrzystą zielenią. Był to Wielki Wodospad. Usłyszeli grzmot spadającej wody.

- Nie zatrzymujcie się! - zawołał Dalwid przenikliwym głosem, wznosząc się wyżej. - Dalej wzwyż i dalej w głąb!

- Łatwo mu powiedzieć - zauważył Eustachy, ale Klejnot również zawołał:

- Nie zatrzymujcie się! Dalej wzwyż i dalej w głąb! Zobaczycie, jakie to łatwe!

W ryku wody ledwie słyszeli jego głos, ale w następnym momencie ujrzeli, jak skacze do Kotła. Bez zastanowienia, bezładnie, za to z wielkim pluskiem, wszyscy zrobili to samo. Woda nie była wcale tak wściekle zimna, jak się każdy (a zwłaszcza Łamigłówek) spodziewał. Ogarnął ich rozkoszny, pienisty chłód. Popłynęli prosto do Wodospadu.

- To czyste szaleństwo! - zawołał Eustachy do Edmunda.

- Wiem! - odpowiedział Edmund.

- Czy to nie cudowne? - powiedziała Łucja. - Czy zauważyliście, że nie można się bać, nawet jak się chce? Spróbujcie.

- O holender, rzeczywiście nie można! - zawołał Eustachy, kiedy spróbował.

Pierwszy dotarł do stóp Wodospadu Klejnot, a Tirian tuż za nim. Julia dopłynęła ostatnia, więc widziała wszystko lepiej od innych. Zobaczyła, jak w górę Wodospadu wznosi się powoli coś białego. To był - jednorożec. Trudno powiedzieć, czy płynie, czy się wspina, ale wznosił się coraz wyżej i wyżej. Nad jego głową koniec rogu rozcinał wodę tak, że opadała mu na barki jak dwa tęczowe strumienie. Tuż za nim wlatywał w górę Tirian. Wznosząc się pionowo, poruszał rękami i nogami, jakby płynął w górę po ścianie domu.

Najśmieszniej wyglądały psy. Podczas szaleńczego biegu ani razu nie straciły oddechu, lecz teraz, gdy unosiły się, wirując, w górę, kichały i parskwały, bo przez cały czas czekały radośnie, a za każdym szczeknięciem do pyska i nosa wlewało im się

pełno wody. Ale Julia nie zdążyła się temu wszystkiemu dobrze przyjrzeć, bo sama została porwana w górę. Wiem, że trudno to sobie nawet wyobrazić. W naszym świecie, nawet gdyby się od razu nie poszło na dno, straszliwe masy wody roztrzaskałyby śmiałka na kawałeczki o niezliczone ostre występy skalne. W tym świecie wszystko było możliwe. Julia wznosiła się coraz wyżej i wyżej, wśród różnorodnych błysków, lśnień i promieni, wśród wielobarwnych kamieni prześwitujących przez tę świetlistą kaskadę, aż wydało się jej, że wspina się po samym świetle - i wciąż wyżej i wyżej, tak że samo poczucie wysokości mogłoby napęlić ją grozą, gdyby groza w ogóle mogła ją osiągnąć. Bo w tym świecie nie było grozy i lęku, tu przepełniało ją tylko cudowne, podniecające oszołomienie. A kiedy wreszcie dotarła do gładkiego, lśniącego łuku, którym woda załamywała się na krawędzi szczytu, ujrzała, że rozciąga się przed nią płaska toń szerokiej rzeki. Potężny prąd rwał ku tej krawędzi, lecz Julia pokonała go z łatwością. Wkrótce wszyscy stali na brzegu, ociekający wodą, lecz szczęśliwi.

Przed nimi otwierała się długa dolina, obramowana wysokimi pokrytymi śniegiem górami.

- Dalej wzwyż i dalej w głąb! - zawołał Klejnot i natychmiast ruszyli w dalszą drogę.

Teraz znajdowali się już poza granicami Narnii, wysoko, na Zachodnim Odludziu, którego nie widział przedtem ani Tirian, ani Piotr, ani nawet orzeł Dalwid. Lecz lord Digory i pani Pola spojrzeli na siebie, a kiedy się odezwali, ich głosy brzmiały cicho i spokojnie, choć pędzili szybciej od strzał:

- Pamiętasz?

- Pamiętasz?

- Czcigodny panie - rzekł Tirian - a więc to prawda, że, jak mówią stare opowieści, wy dwoje wędrowaliście przez ten kraj w dniu, w którym ten świat został stworzony?

- Tak - odparł Digory. - I wydaje mi się, jakby to było zaledwie wczoraj.

- Na latającym koniu? - zapytał znowu Tirian. - Czy to też prawdziwa opowieść?

- Tak, to też prawda - rzekł Digory. Lecz psy zaszczekały:

- Szybciej! Szybciej!

Więc pomknęli jeszcze szybciej i szybciej, aż przypominało to bardziej chyży lot niż bieg, i nie pozwolili się wyprzedzić nawet Dalwidowi lecącemu nad ich głowami. I

tak pędzili przez dolinę po dolinie, w górę stromych zboczy i - jeszcze szybciej - w dół, po drugiej stronie, wzdłuż rzeki, a czasem poprzez nią, prując tonie górskich jezior jak żywe ślizgacze, aż na dalekim krańcu długiego, niebieskiego jak turkus jeziora ujrzeli gładkie, zielone wzgórze. Jego zbocza wznosiły się stromo jak boki piramidy, a sam wierzchołek otaczał zielony mur. Nad murem zwieszały się gałęzie drzew, których liście zdawały się ze srebra, a owoce - ze złota.

- Dalej wzwyż i dalej w głąb! - wołał jednorożec i nikt nie pozostał w tyle. W mgnieniu oka znaleźli się u stóp wzgórza, a potem pomknęli po zboczu, tak jak fala wspina się na szczyt skały sterczącej w głębi zatoki. Nikt się nie poślizgnął, choć zbocze było strome jak dach kamienicy, a trawa gładka jak na boisku do gry w kręgle. I dopiero gdy osiągnęli szczyt, zatrzymali się, bo oto przed sobą mieli wielkie złote wrota. Przez chwilę nikt nie miał odwagi spróbować, czy są otwarte. Wszyscy czuli to samo co wówczas, gdy po raz pierwszy zobaczyli owoce: „Czy możemy? Czy nam wolno? Czy są dla NAS?”

Gdy tak stali, onieśmieleni, gdzieś spoza murów donośnie zabrzmiał cudownie dźwięczny i słodki głos rogu. Wrota otworzyły się gwałtownie.

Tirian stał, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na tego, kto wyjdzie. Lecz gdy zobaczył, zdumiał się głęboko, bo była to ostatnia istota, jakiej mógł się spodziewać: mała, bystrooka mysz z wąskim diademem i czerwonym piórem na głowie, z lewą łapką na rękojeści długiego miecza. Skłoniła się - a był to naprawdę zachwycający ukłon - i powiedziała cienkim głosem:

- W imię Aslana, witajcie! Wejdźcie dalej wzwyż i dalej w głąb.

A potem Tirian ujrział, jak król Piotr, król Edmund i królowa Łucja podbiegli, upadli na kolana i zaczęli ściskać mysz, wołając:

- Ryczypisk!

I Tirian odetchnął głęboko z wielkiego zdziwienia, bo teraz wiedział już, że stoi przed nim jeden z największych bohaterów Narnii, Ryczypisk, dzielny wódz myszy, który walczył w wielkiej bitwie pod Beruną, a później pożegłował na Koniec Świata z królem Kaspianem. Ale nie miał czasu się nad tym zastanowić, bo otoczyły go silne ramiona, poczuł brodaty pocałunek na policzku i usłyszał dobrze znany głos:

- No, chłopcze, widzę, że wyrosłeś i zmężniałeś od czasu, gdy cię ściszałem po raz ostatni.

Był to jego ojciec, dobry król Erlan, ale nie wyglądał wcale tak jak w dniu, w którym go przyniesiono do zamku, bladego, śmiertelnie rannego po walce z

olbrzymem, ani nawet tak, jak go Tirian pamiętał z wcześniejszych lat, gdy był rycerzem. To jego ojciec, lecz młody i szczęśliwy, jak wówczas, gdy on sam był małym chłopcem, bawiącym się z nim w ogrodach Ker-Paravelu, w letnie wieczory, tuż przed pójściem spać. Wydawało mu się nawet, że znowu poczuł znajomy zapach chleba i mleka.

Tymczasem Klejnot myślał: „Poczekam, aż trochę porozmawiają, a potem podejść przywitać dobrego króla Erliana. Wiele pięknych jabłek zjadłem z jego ręki, gdy byłem jeszcze źrebięciem”. Ale w następnej chwili musiał pomyśleć o czymś innym, bo oto przez wrota wszedł koń tak potężny i szlachetny, że nawet jednoróżec mógł się poczuć onieśmielony w jego obecności: wielki, skrzydlaty koń. Spojrzał na lorda Digory'ego i na panią Połę i zarżał:

- Ależ to wy, krewniacy! A oni zawołali:

- Pegaz! Dobry, stary Pegaz!

Lecz teraz mysz ponownie zaprosiła ich do środka. Zanurzyli się w rozkoszną woń ogrodu, w chłodną mieszaninę słońca i cienia pod drzewami, krocząc po miękkim kobiercu murawy przetykanej białymi kwiatami. Uderzyło ich, że ogród okazał się o wiele większy, niż wydawał się z zewnątrz. Nikt nie miał jednak czasu, by się nad tym zastanawiać, bo ze wszystkich stron nadchodziły najróżniejsze stworzenia, aby ich powitać.

Byli tu wszyscy, o których kiedykolwiek słyszeliście, jeżeli znacie dzieje tych krain: puchacz Świecopuch i Błotosmętek, król Rilian Odczarowany i jego matka, córka Gwiazdy, i jego wielki ojciec, Kaspian Żeglarz we własnej osobie. A tuż przy nim szedł lord Drinian i lord Bern, a obok karzeł Zuchon, borsuk Truflogon, centaur Grom o jar i stu innych bohaterów Wojny Wyzwoleńczej. A potem z drugiej strony nadszedł Kor, król Archenlandii, ze swym ojcem królem Luną, swą żoną królową Arawis i swym bratem Korinem Piorunorękim, i koń Bri, i klacz Hwin. A później - co Tiriana najbardziej zdziwiło - z jeszcze dalszej przeszłości przyszły dwa dobre bobry i faun Tumnus. I było mnóstwo powitań, uścisków, pocałunków i starych żartów (nie macie pojęcia, jak brzmią stare żarty, kiedy się je słyszy po pięciu czy sześciu stuleciach!), i całe towarzystwo ruszyło do środka sadu, gdzie na drzewie siedział feniks, spoglądając na nich zagadkowo z wysoka, zaś u stóp drzewa stały dwa trony. Zasiadali na nich król i królowa tak dostojni i piękni, że wszyscy skłonili się nisko przed nimi. I dobrze zrobili, albowiem stali przed królem Frankiem i królową Heleną, od których pochodzili wszyscy starożytni królowie Narnii i Archenlandii. Tirian czuł się tak, jak

wy byście się czuli, gdyby was postawiono przed Adamem i Ewą w całej ich chwale.

Pół godziny później - a może sto lat później, bo czas nie jest tu podobny do żadnego czasu - Łucja stała ze swym ukochanym przyjacielem, najdawniejszym ze wszystkich, z faunem Tumnusem, patrząc ponad murami na całą rozpościerającą się przed nimi Narnię. Bo kiedy stanęła na samym szczycie wzgórza, okazało się, że jest ono o wiele wyższe, niż myślała. Lśniące zbocza opadały daleko, tysiące stóp w dół, a jeszcze dalej, w tym niższym świecie, drzewa wyglądały jak ziarenka zielonej fasoli. Potem odwróciła się plecami do muru i znowu spojrzała na ogród.

- Ach, więc to tak - powiedziała w końcu w zamyśleniu. - Ten ogród jest jak ta Stajnia. Jest o wiele większy wewnątrz niż z zewnątrz.

- Oczywiście, Córko Ewy - rzekł faun. - Im dalej wzwyż i im dalej w głąb, tym wszystko staje się większe. Wnętrze jest zawsze większe od tego, co na zewnątrz.

Łucja spojrzała uważnie na ogród i zobaczyła, że naprawdę nie jest to jakiś ogród, lecz cały świat, z rzekami i lasami, z morzami i górami. Nie były jej obce: znała je dobrze.

- Rozumiem - powiedziała. - To jest wciąż Narnia, jeszcze bardziej prawdziwa i jeszcze piękniejsza od tej Narnii w dole, tak jak ta w dole jest bardziej prawdziwa i piękna od Narnii za Drzwiami Stajni! Ach, tak... świat wewnątrz świata, Narnia w Narnii...

- Tak - rzekł pan Tumnus - jak cebula, tyle tylko, że im głębiej się wchodzi, tym większa jest średnica.

Łucja spojrzała w ten sposób i wkrótce odkryła jeszcze jedną cudowną rzecz. Gdziekolwiek spojrzała - i jakkolwiek daleko - gdy tylko zatrzymywała na czymś spojrzenie, to miejsce przybliżało się i powiększało jak w teleskopie. Kiedy zechciała, widziała dokładnie całą Południową Pustynię, a za nią wielkie miasto Taszbaan; na wschodzie widziała Ker-Paravel na skraju morza i nawet okno komnaty, w której kiedyś mieszkała. A daleko, na morzu, odkrywała wyspy, jedną po drugiej, aż do Końca Świata, a jeszcze dalej potężną górę, którą nazywała krajem Aslana. Teraz zobaczyła, że jest to tylko jeden szczyt w wielkim łańcuchu gór, otaczającym cały świat. Spojrzała w lewo i zobaczyła coś, co w pierwszej chwili wzięła za skraj wielkiej, jaskrawokolorowej chmury, oddzielonej od nich bezmierną przepaścią. Wyteńczyła jednak wzrok i ujrzała, że to wcale nie chmura, tylko prawdziwy ląd. A kiedy utkwiła spojrzenie w jednym miejscu, zawołała:

- Piotrze! Edmundzie! Chodźcie tu i popatrzcie! Chodźcie szybko!

Nadbiegli i spojrzeli, a ich oczy też stały się takie jak Łucji.

- Ależ to Anglia! - wykrzyknął Piotr. - A to... to jest ten dom na wsi... stary dom Profesora Kirke, gdzie zaczęły się wszystkie nasze przygody!

- Myślałem, że został zburzony - rzekł Edmund.

- I nie myliłeś się - powiedział faun. - Patrzysz teraz na Anglię wewnątrz Anglii, na prawdziwą Anglię, tak jak to jest prawdziwa Narnia. A w tej wewnętrznej Anglii żadna dobra rzecz nie może ulec zniszczeniu.

Przenieśli spojrzenia w inne miejsce i nagle Piotr, Edmund i Łucja zaczerpnęli głośno powietrza w płuca, a potem zaczęli nawoływać i machać rękami, bo oto ujrzeli swoich rodziców, machających do nich w odpowiedzi poprzez wielką, głęboką dolinę. Było tak, jakby widzieli ludzi machających do nich rękami z pokładu wielkiego statku zbliżającego się do nadbrzeża w porcie.

- Jak można się do nich dostać? - zapytała Łucja.

- To bardzo proste - odparł pan Tumnus. - Ten kraj i tamten kraj, wszystkie PRAWDZIWE kraje, są tylko ostrogami grzbietów, wyrastających z wielkich gór Aslana. Trzeba tylko pójść wzdłuż krawędzi, w górę i do wewnątrz, aż się połączą. Ale posłuchajcie! To róg króla Franka. Wszyscy musimy iść wyżej.

Wkrótce wszyscy szli razem - wspaniałą barwną procesją - w górę ku szczytom o wiele wyższym od tych, jakie można by jeszcze zobaczyć w tym świecie, gdyby w ogóle istniały.

Zboczy tych niebosiężnych gór nie pokrywał śnieg, tylko puszcze i zielone hale, i rozkoszne sady, i połyskujące wodospady - jedno nad drugimi, coraz wyżej i wyżej. Szli teraz wąską granią, z głębokimi dolinami po obu stronach, a poprzez jedną z dolin widzieli coraz wyraźniej i bliżej kraj, który był prawdziwą Anglią.

Przed nimi narastała jasność. Łucja zobaczyła piętrzące się wielobarwne ściany skał, prowadzące w górę jak schody olbrzymów. A potem zapomniała o wszystkim, bo nadchodził sam Aslan, skacząc po tych schodach jak żywy, złoty wodospad mocy i piękna.

Pierwszą osobą, którą Aslan wezwał do siebie, był Łamigłówek. Nigdy jeszcze nie widzieliście osiołka wyglądającego tak nędznie i głupio jak Łamigłówek wspinający się ku Aslanowi. A gdy już stanął przed nim, przypominał szczenię przy wielkim bernardynie. Lew pochylił głowę i szepnął coś, a długie uszy Łamigłówka nagle opadły, lecz potem szepnął coś jeszcze, a uszy znowu stanęły sztorcem. Ludzie nie dosłyszeli tych słów. Aslan odwrócił się ku nim i rzekł:

- Nie wyglądacie na tak szczęśliwych, jak tego pragnę.

A Łucja odpowiedziała:

- Tak się boimy, że znowu nas odeślesz, Aslanie. Już tyle razy wysłałeś nas z powrotem do naszego świata.

-- Nie lękajcie się - powiedział Aslan. - Czy jeszcze się nie domyślacie?

Serca zabiły im mocno i poczuli, jak wypełnia ich dzika nadzieja.

- NAPRAWDĘ wydarzył się wypadek kolejowy - rzekł miękko Aslan. - Wasz ojciec, wasza matka i wy wszyscy jesteście, jak to zwykliście nazywać w Krainie Cieni, umarli. Już po szkole: zaczęły się wakacje. Sen dobiegł końca: jest poranek.

A kiedy to powiedział, przestał wyglądać jak Lew, lecz to, co zaczęło się dziać później, jest tak wielkie i piękne, że nie mogę o tym pisać. Dla nas to koniec wszystkich opowieści i można tylko dodać, że odtąd już zawsze wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Lecz dla nich prawdziwa opowieść dopiero się zaczęła. Całe ich życie w tym świecie i wszystkie przygody w Narnii były zaledwie okładką i stroną tytułową; teraz rozpoczynali wreszcie Rozdział Pierwszy Wielkiej Opowieści, jakiej nikt jeszcze na ziemi nie czytał - opowieści, która trwa wiecznie i w której każdy rozdział jest lepszy od poprzedniego.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział 1 NAD KOTŁEM.....	
Rozdział 2 LEKKOMYŚLNOŚĆ KRÓLA.....	
Rozdział 3 MAŁPA W PEŁNI CHWAŁY.....	
Rozdział 4 CO STAŁO SIĘ TEJ NOCY.....	
Rozdział 5 POMOC DLA KRÓLA.....	
Rozdział 6 NOCNY WYPAD.....	
Rozdział 7 GŁÓWNIE O KARŁACH.....	
Rozdział 8 JAKIE NOWINY PRZYNIÓSŁ ORZEŁ.....	
Rozdział 9 WIELKIE ZGROMADZENIE NA WZGÓRZU STAJNI.....	
Rozdział 10 KTO WEJDZIE DO STAJNI?.....	
Rozdział 11 WSZYSTKO DZIEJE SIĘ CORAZ SZYBCIEJ.....	
Rozdział 12 PRZEZ DRZWI STAJNI.....	
Rozdział 13 JAK KARŁY NIE DAŁY SIĘ OSZUKAĆ.....	
Rozdział 14 NOC SPADA NA NARNIĘ.....	
Rozdział 15 DALEJ WZWYŻ I DALEJ W GŁĄB.....	
ROZDZIAŁ 16 POŻEGNANIE Z KRAINĄ CIENI.....	